

**Haruki Murakami**

# **Kronika ptaka nakręcacza**

Nejimakidori kuronikuru

Tytuł przekładu angielskiego:

The Wind-Up Bird Chronicle

# Księga pierwsza

## Sroka złodziejka

czerwiec i lipiec 1984 roku

### 1. O wtorkowym ptaku nakręcaczu, sześciu palcach i czterech piersiach

Telefon zadzwonił, gdy gotowałem w kuchni makaron. Pogwizdywałem uwerturę do Sroki złodziejki Rossiniego, wtórując stacji radiowej FM. Była to idealna muzyka do gotowania makaronu.

Usłyszałem dzwonek telefonu i najpierw pomyślałem, że go zignoruję. Makaron dochodził, a Claudio Abado właśnie w tej chwili doprowadzał Londyńską Orkiestrę Symfoniczną do muzycznej doskonałości. W końcu jednak zmniejszyłem płomień, poszedłem do pokoju i podniosłem słuchawkę. Może postanowiłem odebrać, myśląc, że któryś ze znajomych dzwoni w sprawie nowej pracy.

- Proszę o dziesięć minut - powiedział nieoczekiwanie kobiecy głos. Mam dość dobrą pamięć do głosów, lecz tego głosu nie znałem.

- Przepraszam, pod jaki numer pani dzwoni? - zapytałem uprzejmie.

- Dzwonię do pana. Potrzebne mi tylko dziesięć minut. To wystarczy, żebyśmy się dobrze zrozumieli - powiedziała kobieta. Jej głos był niski, miękki, mało charakterystyczny.

- Żebyśmy się zrozumieli?

- Tak. Zrozumieli, co czujemy.

Wychyliłem się w stronę drzwi i zajrzałem do kuchni. Nad garnkiem z makaronem unosiła się para, a Abado dalej dyrygował Sroką złodziejką.

- Przepraszam panią, ale teraz gotuję makaron. Czy mogłaby pani zadzwonić później?

- Makaron? - zapytała zrezygnowana. - Gotuje pan makaron o

pół do jedenastej rano?

- A co to panią obchodzi? Mogę sobie jeść, co chcę i kiedy chcę - powiedziałem trochę urażony.

- To prawda - odrzekła kobieta suchym, pozbawionym wyrazu tonem. Jej głos zupełnie się zmienił pod wpływem najmniejszego wahania nastroju. - Wszystko jedno. Zadzwoń później.

- Chwileczkę - powiedziałem pospiesznie. - Jeśli próbuje pani coś sprzedać, nic z tego nie będzie, choćby nie wiem, ile razy pani dzwoniła. Jestem teraz bezrobotny i nie stać mnie na żadne zakupy.

- Wiem, niech się pan nie martwi.

- Co pani wie?

- Ze jest pan bezrobotny. Wiem o tym. Więc mech pan lepiej szybko dogotuje ten swój drogocenny makaron.

- A pani właściwie... - zacząłem, ale kobieta się rozłączyła, nagle i bez uprzedzenia.

Stałem tak, patrząc na słuchawkę, pełen uczuć, którym nie mogłem dać upustu. Wkrótce jednak przypomniałem sobie o makaronie i poszedłem do kuchni. Wyłączyłem gaz i odlałem makaron na sitko. Z powodu telefonu zrobił się trochę za miękki jak na al dente, ale można go było jeszcze uratować.

Żebyśmy się zrozumieli?, myślałem, jedząc makaron. Abyśmy w dziesięć minut dobrze zrozumieli, co czujemy? Nie mogłem pojąć, co ta kobieta próbowała mi powiedzieć. Może to był po prostu żart. Albo jakaś nowa metoda sprzedaży? Nieważne. Nic mnie to nie obchodzi.

Usiadłem znów na kanapie i próbowałem zabrać się do czytania pożyczonej z biblioteki powieści, lecz spoglądałem co pewien czas na telefon. Męczyła mnie myśl o tym, o co mogło chodzić tej kobiecie, gdy mówiła o zrozumieniu się w dziesięć minut. Właściwie jak można się zrozumieć w dziesięć minut? Na samym początku wyraźnie powiedziała, że chodzi o dziesięć minut, i wydawała się dosyć pewna tego czasowego ograniczenia, które sama sobie wyznaczyła. Być może dziewięć minut to za

mało, a jedenaście okazałoby się za wiele. Tak samo jak w przypadku gotowania makaronu al dente.

Gdy tak rozmyślałem, odechciało mi się czytania. Postanowiłem zabrać się do prasowania koszul. Od dawna, kiedy mam w głowie zamęt, zawsze prasuję koszule. Proces prasowania dzieje się na dwanaście etapów. Zaczynam od wierzchu kołnierzyka (1), a kończę na mankiecie lewego rękawa (12). Prasuję po kolei, odliczając etapy jeden po drugim. Jeśli tak tego nie robię, nic z prasowania nie wychodzi.

Uprasowałem trzy koszule, upewniłem się, że na ostatniej nie ma zmarszczek, i powiesiłem je na wieszaku. Wyłączyłem żelazko, schowałem je razem z deską do szafy i wtedy uświadomiłem sobie, że nieco rozjaśniło mi się w głowie.

Postanowiłem napić się wody i ruszyłem w stronę kuchni, gdy znów zadzwonił telefon. Trochę się zawahałem, ale w końcu postanowiłem odebrać. Jeśli to znów ta kobieta, powiem jej, że właśnie prasuję, i się rozłączę. Okazało się, że dzwoni Kumioko. Zegar wskazywał pół do dwunastej.

- Jak się masz? - zapytała.

- Dobrze - odpowiedziałem.

- Co robisz?

- Prasowałem.

- Coś się stało? - w jej głosie był leciutki ton napięcia. Dobrze wie, że kiedy jestem skołowany, prasuję.

- Nie, po prostu prasowałem. Nic szczególnego się nie stało. - Usiadłem na krześle i przełożyłem słuchawkę z lewej ręki do prawej. - A dlaczego dzwonisz?

- Umiesz pisać wiersze?

- Wiersze? - zapytałem zdziwiony. Wiersze? Co to właściwie są „wiersze“?

- Znajoma redakcja wydaje między innymi magazyn literacki dla dziewcząt i szukają kogoś, kto mógłby wybierać spośród nadesłanych przez czytelniczki wierszy te nadające się do druku i redagować je. Chcą też co miesiąc wiersz na okładkę. Jak na ta-

ką lekką pracą nieźle płacą. Oczywiście to tylko praca na zlecenie, ale jeżeli byliby zadowoleni, być może daliby ci też jakieś prace edytorskie i...

- Lekka praca? - powiedziałem. - Poczekaj chwileczkę. Ja szukam pracy związanej z prawem. Skąd ci się nagle wzięło redagowanie wierszy?

- Przecież mówiłeś, że coś pisałeś w liceum.

- W gazetce. W gazetce szkolnej. Która klasa wygrała turniej piłki nożnej albo że nauczyciel fizyki przewrócił się na schodach i poszedł do szpitala. Tylko takie głupawe artykułiki. Nie wiersze. Nie umiem pisać wierszy.

- Ale to mają być wiersze dla licealistek. Nie mówię ci wcale, żebyś pisał wspaniałe wiersze, które przejdą do historii literatury. Wystarczy, że coś tam byle jak napiszesz. Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Wcale nie umiem pisać wierszy ani byle jakich, ani żadnych innych. Nigdy nie pisałem i nie mam zamiaru pisać - uciałem. Przecież nie umiałbym takich rzeczy pisać.

- No tak - powiedziała z żalem moja żona. - Ale przecież trudno jest znaleźć pracę związaną z prawem, prawda?

- Rozmawiałem z wieloma ludźmi. Niedługo ktoś powinien się ze mną skontaktować, a jeśli nic z tego nie wyjdzie, wtedy dopiero się zastanowię.

- Tak? No dobrze, niech będzie. A właśnie, co dziś jest?

- Wtorek - powiedziałem, zastanowiwszy się przez chwilę.

- To czy mógłbyś iść do banku i zapłacić za gaz i telefon?

- Zaraz idę kupić coś na kolację, więc po drodze wstąpię do banku.

- A co będzie na kolację?

- Jeszcze się nie zdecydowałem. Pójdę po zakupy i pomyślę.

- Słuchaj - powiedziała żona, zmieniając ton - pomyślałam sobie, że nie musisz się chyba specjalnie spieszyć z szukaniem pracy.

- Dlaczego? - zapytałem, znowu zdziwiony. Zdawało się, że

wszystkie kobiety na świecie postanowiły mnie dziś przez telefon zadziwić. - Niedługo kończy mi się zasiłek dla bezrobotnych i nie mogę przecież w nieskończoność tak nic nie robić.

- Ale ja więcej teraz zarabiam, ta dodatkowa praca też dobrze idzie, mamy oszczędności, jeżeli nie będziemy rozrzutni, na jedzenie nam wystarczy. Nie lubisz zajmować się domem, tak jak teraz? Znudziłoby cię takie życie?

- Nie wiem - odparłem szczerze. Nie wiedziałem.

- Zastanów się nad tym spokojnie - powiedziała żona. - A kot nie wrócił?

Gdy zapytała, zdałem sobie sprawę, że od rana ani razu nie pomyślałem o kocie.

- Nie, jeszcze nie wrócił.

- Mógłbyś go trochę poszukać w sąsiedztwie? Nie ma go już od tygodnia.

Mruknałem coś w odpowiedzi i przełożyłem słuchawkę do lewej ręki.

- Myślę, że pewnie jest w ogrodzie tego pustego domu na końcu uliczki. W tym ogrodzie z kamienną rzeźbą ptaka. Wiele razy go tam przedtem widziałam.

- Na końcu uliczki? - powtórzyłem. - A po co ty tam chodziłaś? Do tej pory nigdy o tym nie wspominałaś...

- Słuchaj, przepraszam, ale muszę się rozłączyć. Muszę wracać do pracy. Proszę, poszukaj kota. - Rozłączyła się. Popatrzyłem przez chwilę na słuchawkę, a potem ją odłożyłem.

Zastanawiałem się, po co Kumiko chodziła po uliczce. Aby się tam dostać, trzeba przejść przez ogrodzenie z betonowych płyt stanowiące ścianę naszego ogrodu, a nie było tam przecież nic wartego takiego wysiłku.

Poszedłem do kuchni, napiłem się wody, wyszedłem na werandę i zajrzałem do kociej miski. Kupka suszonych sardynek, którą tam wczoraj wieczorem włożyłem, była nienaruszona. Więc kot jednak nie wrócił. Stałem na werandzie i patrzyłem na nasz mały ogródek oświetlany promieniami wczesnoletniego

słońca. Patrzyłem, choć nie był to ogród, którego widok wypełniał serce radością. Słońce dochodzi tu jedynie przez krótki czas, więc ziemia jest zawsze czarna i wilgotna, w rogu rosną tylko dwa czy trzy nędzne krzaki hortensji, za którymi nie przepadam. Z pobliskiego zagajnika dobiegał głos ptaka, monotony i przenikliwy, jak zgrzyt śruby służącej do nakręcania czegoś. Nazywaliśmy go ptakiem nakręcaczem. Kumiko tak go nazwała. Nie wiedzieliśmy, jak się naprawdę nazywał. Nie wiedzieliśmy też, jak wygląda, choć przylatywał co dzień to tego zagajnika i nakręcał sprężynę naszego spokojnego świata.

O rany, no to teraz na poszukiwanie kota, pomyślałem. Od dawna lubię koty. Lubilem tego kota, choć mają swój własny tryb życia. Nie są wcale głupimi zwierzętami. Jeżeli kot zniknął, to znaczy, że zachciało mu się gdzieś pójść. Wróci, kiedy będzie głodny i zmęczony. Ale pójdę go poszukać, bo Kumiko mnie prosiła. I tak nie mam nic innego do roboty.

W kwietniu odszedłem z kancelarii adwokackiej, w której od dawna pracowałem. Nie było ku temu żadnej szczególnej przyczyny. Nie mogę powiedzieć, że praca mi nie odpowiadała, choć rzeczywiście nie była niezwykle interesująca. Pensję miałem niezłą i w biurze panowała przyjemna atmosfera.

Moja praca sprowadzała się do roli wyspecjalizowanego chłopca na posyłki. Jak na mnie spisywałem się całkiem nieźle. Może sam nie powinienem tak o sobie mówić, ale jestem bardzo efektywny w wykonywaniu konkretnych zadań. Szybko pojmuję, o co chodzi, jestem energiczny, nie narzekam i trzeźwo myślę. Dlatego kiedy powiedziałem, że chcę zrezygnować z pracy, starszy partner - to znaczy ojciec, gdyż firma składała się z dwóch prawników: ojca i syna - zaproponował mi nawet podwyżkę.

W końcu jednak i tak odszedłem. Nie miałem żadnych konkretnych nadziei ani perspektyw na przyszłość. Nie pociągała mnie też myśl o zamknięciu się w domu i przygotowaniu do

egzaminu na aplikację adwokacką, a przede wszystkim nie miałem już ochoty być adwokatem. Nie chciałem dalej siedzieć w tej kancelarii i wykonywać tej samej pracy. Pomyślałem więc, że jeśli w ogóle mam kiedyś odejść, to najlepiej teraz. Jeżeli zostałbym dłużej, pewnie spokojnie pracowałbym tam do końca życia. A mam już przecież trzydzieści lat.

Kiedy raz przy kolacji nagle rzuciłem: „Zastanawiam się nad odejściem z pracy”, Kumiko powiedziała tylko „uhm”. Nie wiedziałem, co to „uhm” miało znaczyć, ale przez dłuższą chwilę się nie odzywała, więc ja także siedziałem w milczeniu, a wtedy Kumiko stwierdziła: „Jeśli chcesz odejść, to chyba lepiej odejść. To przecież twoje życie, możesz robić, co chcesz”. Nie powiedziała nic więcej, skupiła się na wyjmowaniu pałeczkami ości z ryby i układaniu ich na brzegu talerza.

Kumiko zajmowała się głównie redagowaniem magazynu poświęconego zdrowemu odżywianiu i naturalnej żywności. Zarabiała nie najgorzej, a do tego zaprzyjaźnieni redaktorzy, pracujący w innych pismach, podrzucali jej zlecenia na prace ilustratorskie (na uniwersytecie studiowała projektowanie i chciała kiedyś zostać niezależnym ilustratorem). Dochody z tego też były nie do pogardzenia. Ja po odejściu z pracy miałbym przez pewien czas prawo do pobierania zasiłku dla bezrobotnych, a poza tym będąc w domu, mógłbym zajmować się gospodarstwem i zostałyby nam jeszcze na dodatkowe wydatki, jak jedzenie w restauracjach czy oddawanie rzeczy do pralni. Nawet jeżeli się zwolnię, nasz poziom życia prawie się nie zmieni. I dlatego zrezygnowałem z pracy.

Telefon zadzwonił, gdy po powrocie z zakupów wkładałem jedzenie do lodówki. Wydawało mi się, że w dzwonku brzmiała straszna irytacja. Położyłem na stole do połowy odpakowane z plastiku tofu, wszedłem do pokoju i podniosłem słuchawkę.

- Już pan skończył z makaronem? - usłyszałem tamtą kobietę.
- Skończyłem - odparłem. - Ale teraz muszę iść szukać kota.



- Szukanie kota może chyba poczekać dziesięć minut? To co innego niż gotowanie makaronu.

Jakoś nie potrafiłem się rozłączyć i nie wiedziałem dlaczego. Coś w głosie tej kobiety przyciągało moją uwagę.

- No tak. Jeśli to tylko dziesięć minut - powiedziałem.

- A więc się zrozumiemy? - zapytała cicho.

Miałem wrażenie, że usiadła na krześle i skrzyżowała nogi.

- No nie wiem - odrzekłem. - To w końcu tylko dziesięć minut.

- Być może dziesięć minut to dłużej, niż pan sobie wyobraża.

- Czy pani naprawdę mnie zna? - zapytałem.

- Oczywiście. Spotkaliśmy się wiele razy.

- Kiedy? Gdzie?

- Kiedyś, gdzieś - odparła. - Jeśli zacznę panu po kolei takie rzeczy tłumaczyć, dziesięć minut nie wystarczy. Ważne jest teraz. Prawda?

- Ale czy nie mogłaby pani jakoś tego dowieść? Dowieść, że mnie pani zna.

- Na przykład jak?

- Ile mam lat?

- Trzydzieści - odpowiedziała natychmiast. - Trzydzieści lat i dwa miesiące. Czy to wystarczy?

Milczałem. Chyba naprawdę mnie zna, ale jej głos z nikim mi się nie kojarzył, choć próbowałem go sobie przypomnieć.

- To teraz proszę mnie sobie wyobrazić - zachęciła kobieta. - Proszę zacząć od głosu. Jaka jestem, ile mam lat, jak jestem ubrana, tego typu rzeczy.

- Nie wiem - powiedziałem.

- Proszę spróbować.

Spojrzałem na zegar. Minęła dopiero minuta i pięć sekund.

- Nie wiem - powtórzyłem.

- To ja panu powiem - rzekła. - Leżę teraz w łóżku. Wzięłam przed chwilą prysznic i nic na sobie nie mam.

O, rany!, pomyślałem. Zupełnie jak płatny seks przez telefon.

- Czy mam nałożyć bieliznę? A może lepiej pończochy? Tak będzie dla pana lepiej?

- Wszystko mi jedno. Niech pani nakłada, co pani chce. Jeśli pani chce coś nałożyć, niech pani nałoży. A jak woli pani być naga, to też dobrze. Ale przepraszam panią, mnie nie interesują tego typu rozmowy telefoniczne. Jestem zajęty...

- Tylko dziesięć minut. Chyba poświęcenie mi dziesięciu minut nie będzie niepowetowaną stratą w pańskim życiu, prawda? W każdym razie proszę mi odpowiedzieć. Czy woli pan, żebym była naga, czy mam coś nałożyć? Mam różne rzeczy. Na przykład czarną koronkową bieliznę.

- Może pani zostać tak, jak pani jest - powiedziałem.

- Czyli woli pan, żebym była naga, tak?

- Tak, wolę, żeby pani była naga - odparłem. Już cztery minuty.

- Włosy łonowe mam jeszcze mokre - powiedziała. - Niezbyt dokładnie wytarłam ręcznikiem. Dlatego są jeszcze mokre. Cięple i zupełnie mokre. Bardzo miękkie. Bardzo czarne i miękkie. Niech pan pogłaszcze.

- Przepraszam, ale...

- Pod nimi też jest ciepło. Jak ciepły budyń. Bardzo ciepło. Naprawdę. Jak pan myśli, co ja teraz robię? Zgięłam prawą nogę w kolanie, a lewą odgięłam. Jakby wskazówki zegara ustawione na pięć po dziesiątej.

Po tonie jej głosu poznałem, że nie kłamie. Naprawdę ustawiła nogi w pozycji pięć po dziesiątej, a jej włosy łonowe są ciepłe i wilgotne.

- Niech pan pogłaszcze wargi. Powoli. A teraz niech pan rozchyli. Też powoli. Niech pan głaszcze powoli opuszką palca. Tak, bardzo powoli. A drugą ręką niech pan ściśnie moją lewą pierś. Proszę głaszczyć delikatnie od dołu i lekko drażnić sutek. Niech pan to zrobi wiele razy, aż prawie doprowadzi mnie pan do orgazmu.

Odłożyłem słuchawkę, nic nie mówiąc. Potem położyłem się

na kanapie i wpatrując się w zegar, głęboko westchnąłem. Rozmawiałem z tą kobietą przez pięć albo sześć minut.

Nie minęło nawet dziesięć minut, gdy telefon znowu zadzwonił, ale tym razem nie podniosłem słuchawki. Zadzwonił piętnaście razy i umilkł, a wtedy pokój wypełniła głęboka zimna cisza.

Trochę przed drugą pokonałem ogrodzenie z betonowych płyt i znalazłem się na uliczce. Nazywam tak to miejsce, ale to nie uliczka w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Sam nie wiem, jak je właściwie nazwać. Ściśle mówiąc, nie jest to nawet dróżka. Dróżka jest jakby korytarzem wiodącym w określone miejsce, ma wejście i wyjście, a ta uliczka nie ma wejścia ani wyjścia, jest zablokowana z obu stron, nie przypomina więc nawet ślepej uliczki, która ma przynajmniej wejście. Okoliczni mieszkańcy od dawna nazywają uliczką ten krótki odcinek, który jakby spina tylne ściany ogrodów za domami i ciągnie się około dwustu metrów. Ma trochę ponad metr szerokości, lecz wystające płyty i składowane gdzieś tam różne sprzęty sprawiają, że w kilku miejscach trzeba przeciskać się bokiem.

Podobno - słyszałem to od wuja, który wynajmuje nam bardzo tanio dom - dawniej uliczka miała i wejście, i wyjście. Pełniła funkcję skrótu łączącego dwie ulice. Jednak w okresie szybkiego rozwoju ekonomicznego na wszystkich dawniej wolnych przestrzeniach po obu stronach zaczęły stawać jeden przy drugim nowe domy, uliczka jakby przez nie ściskana bardzo się zwężyła, a ponieważ mieszkańcy nie lubili, gdy ktoś im ciągle przechodził obok domu albo wzdłuż ściany ogrodu, została dyskretnie zablokowana. Zasłonięto ją najpierw niewielkim płotkiem, potem ktoś powiększył sobie ogród i postawiwszy ogrodzenie z betonowych płyt, całkiem zablokował jeden wylot. Jakby w odpowiedzi na to drugi koniec zagrodzono mocną metalową siatką, tak by nawet psy nie mogły się przecisnąć. Mieszkańcy i przedtem rzadko tędy chodzili, więc nikt nie narzekał, gdy ulicz-

ka została z obu stron zablokowana, uważano nawet, że pomoże to zapobiec kradzieżom. W rezultacie porzucono ją jak jakiś nieużywany kanał, nikt z niej nie korzystał i pełniła jedynie funkcję strefy buforowej między dwoma rzędami domów. Porosła chwastami i wypełniły ją lepkie pajęczyny.

Nie mogłem zrozumieć, w jakim celu moja żona przychodziła wielokrotnie w takie miejsce. Ja sam byłem tu może ze dwa razy, a przecież Kumiko jeszcze do tego nie lubiła pajaków. Wszystko jedno, pomyślałem. Skoro Kumiko mówi, że mam szukać kota w uliczce, będę szukał. Sto razy wolę sobie pospacerować, niż czekać w domu, aż zadzwoni telefon.

Ostre słońce wczesnego lata pokryło ziemię siateczką cieni rzucanych przez wystające gałęzie, unoszące się ponad moją głowę. Cienie były nieruchome i pewnie dlatego, że nie wiało, wyglądały jak rozrzucone po ziemi nieusuwalne plamy. Nie dobiegał tu żaden dźwięk, zdawało się, że słychać oddech oświetlonych słońcem, pojedynczych ździebełek trawy. Na niebie unosiło się kilka chmur. Były tak wyraźnie zarysowane, że przypominały kształtem chmury z tła średniowiecznych drzeworytów. Wszystko wokół miało ostre kontury, tak że własne ciało zdało mi się czymś nieograniczonym, pozbawionym kształtu. Było mi też strasznie gorąco. Miałem na sobie podkoszulek, cienkie bawełniane spodnie i tenisówki, ale idąc przez dłuższy czas w słońcu, spocilem się lekko pod pachami i na piersi. Dziś rano wyciągnąłem te spodnie i podkoszulek z pudła z letnimi rzeczami i nozdrza wypełniał mi teraz silny zapach naftaliny.

Domy w tej okolicy wyraźnie dzieliły się na stare i te nowo zbudowane. Nowe najczęściej były małe i miały niewielkie ogrody. Sznury do suszenia bielizny rozciągały się aż do uliczki i chwilami musiałem się przedzierać między rzędami ręczników, koszul i prześcieradeł. Z niektórych domów wyraźnie dobiegały odgłosy telewizorów i spuszczonej wody, czasami napływał zapach gotującego się sosu curry.

W odróżnieniu od nowych, ze starych domów nie dochodziły

prawie żadne zapachy. Te stare były odgradzone płotami ze starannie rozmieszczonymi krzewami chińskiego jałowca, pomiędzy których można było dostrzec zadbane ogrody. W rogu jednego stała samotna choinka, pożółkła i uschnięta. W innym leżały rzędami wszelkie możliwe rodzaje zabawek, jakby wystawione na pokaz pozostałości wielu dzieciństw. Dziecięce rowerki, kółka do rzucania, plastikowy miecz, gumowa piłka, zabawka w kształcie żółwia, mały kij baseballowy i wiele innych. Był ogród z koszem do koszykówki, inny z eleganckimi krzesłami ogrodowymi i stołem z ceramicznym blatem. Wyglądało na to, że białe krzesła nie były od wielu miesięcy - a może od wielu lat - używane, gdyż pokrywała je gruba warstwa kurzu. Do stołu przywarły zmoczone deszczem fioletowe płatki magnolii.

W jednym z domów przez szklane drzwi w aluminiowej ramie widać było fragment pokoju. Stał tam zestaw krytych skórą mebli wypoczynkowych, duży telewizor i dekoracyjna szafka z przeszklonymi drzwiczkami (na niej akwarium z tropikalnymi rybami i jakieś dwa puchary), była też ozdobna lampa stojąca. Wyglądało to jak dekoracje do filmu telewizyjnego. W ogrodzie stała ogromna buda-klatka dla dużego psa, którego zresztą w niej nie było, a jej drzwi stały otworem. Zrobiona z metalowej siatki, była tak powyginana, jakby ktoś się o nią przez wiele miesięcy opierał.

Pusty dom, o którym wspomniała Kumiko, znajdował się dalej, za domem z psią klatką. Na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że jest pusty i to pusty od dawna, nie od dwóch czy trzech miesięcy. Był stosunkowo nowy, piętrowy i tylko zamknięte drewniane okiennice miał zniszczone, a metalowe balustrady przy oknach na piętrze pokrywała rdza. W małym, przytulnym ogródku rzeczywiście znajdował się kamienny posąg przedstawiający ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Posąg stał na cokole sięgającym mi mniej więcej do piersi, ale otaczały go chwasty, szczególnie nawłóć, której łodygi tak wyrosły, że aż dotykały nóg ptaka. Wydawało się, że ten ptak - nie wiedziałem,

co to za gatunek - rozpostarł skrzydła, chcąc jak najszybciej odlecieć z tego nieprzyjemnego miejsca. Prócz tego posągu w ogrodzie nie było innych elementów dekoracyjnych. Pod wystającym okapem przy ścianie domu leżało jeden na drugim kilka starych plastikowych leżaków, a obok nich rosła obsypana kwiatami azalia. Były jasnoczerwone, ich kolor zdawał się dziwnie nierealny. Poza tym wszędzie pieniały się jedynie chwasty.

Oparłem się o sięgający mi do piersi parkan z metalowej siatki i przez chwilę wpatrywałem się w ogród, który mógł bardzo podobać się kotu, lecz nigdzie go nie dostrzegłem. Na sterczącej z dachu antenie telewizyjnej przycupnął gołąb i okolicę wypełniło jego monotonne gruchanie. Rozproszony na drobne fragmenty cień kamiennego ptaka padał na rosnące wszędzie chwasty.

Wyjąłem z kieszeni cytrynowego dropsa, odwinąłem z papierka i włożyłem do ust. Gdy rzuciłem pracę, rzuciłem też przy okazji palenie, ale za to teraz nie mogłem się obejść bez cytrynowych dropsów. „Jesteś uzależniony od cytrynowych dropsów - mówiła żona. - Niedługo będziesz miał w zębach pełno dziur”. Lecz ja i tak nie mogłem zrezygnować z cukierków. Gdy tak wpatrywałem się w ogród, gołąb tkwił na antenie telewizyjnej i jak urzędnik stemplujący numery na pliku rachunków gruchał dalej w tym samym nieomylnym rytmie. Sam nie wiem, jak długo stałem oparty o siatkę. Pamiętam, że drops zrobił się słodkawolepki i o połowę mniejszy, więc wyplułem go na ziemię. Potem znów skierowałem wzrok w stronę kamiennego ptaka, a wtedy wydało mi się, że ktoś mnie z tyłu zawołał.

Odwrociłem się i zobaczyłem dziewczynę stojącą w ogrodzie po drugiej stronie uliczki. Była drobna, włosy miała związane w koński ogon. Nosiła ciemnozielone okulary przeciwsłoneczne w oprawce bursztynowego koloru i jasnoniebieski podkoszulek bez rękawów. Wystające z niego szczupłe ramiona były równitko i ładnie opalone, mimo że jeszcze nie skończyła się pora deszczowa. Jedną rękę wsadziła do kieszeni szortów, a drugą

oparła o sięgającą jej do piersi bambusową furtkę, która nie stanowiła zbyt pewnego oparcia. Dzielił nas może metr.

- Gorąco, prawda? - rzekła dziewczyna.

- Tak, gorąco - odparłem.

Nic więcej nie powiedzieliśmy, lecz dziewczyna dalej stała i przyglądała mi się. Potem wyciągnęła z kieszeni szortów paczkę papierosów, wyjęła jednego i włożyła do ust. Usta miała małe z lekko wywiniętą górną wargą. Następnie wprawnym gestem zapaliła papierową zapałkę i przytknęła do papierosa. Gdy pochyliła głowę, wyraźnie zobaczyłem kształt jej ucha. Miała gładkie, ładne uszy, które zdawały się nowe, jakby przed chwilą wymodelowane. Delikatny kontur ucha pokrywał lśniący puszek.

Dziewczyna rzuciła zapałkę na ziemię, stuliwszy wargi, zaciągnęła się papierosem i podniosła głowę, jakby nagle sobie o mnie przypomniała. Szkła jej okularów były ciemne i do tego lustrzane, więc nie widziałem ukrytych za nimi oczu.

- Mieszka pan w sąsiedztwie? - zapytała.

- Tak - odparłem i wskazałem palcem w kierunku naszego domu, choć nie wiedziałem, gdzie dokładnie się znajduje, ponieważ prowadząca tu uliczka kilkakrotnie po drodze zakręciła. Wskazałem więc jakiś przypadkowy kierunek. - Szukam kota - powiedziałem, jakby się tłumacząc, i wytarłem spoconą dłoń o spodnie. - Już od tygodnia nie wraca do domu, ale ktoś go widział w tej okolicy.

- Jaki to kot?

- Dość duży kocur. Pręgowany, brązowy, koniec ogona ma jakby wygięty.

- Jak ma na imię?

- Noboru - odpowiedziałem. - Noboru Wataya.

- Wspaniałe imię jak na kota.

- Tak się nazywa brat żony. Kot w czymś go przypomina, więc żartem tak go nazwaliśmy.

- W czym go przypomina?

- Jakoś tak ogólnie. Ma podobny chód i tępe spojrzenie.

Dziewczyna wreszcie się uśmiechnęła. Teraz wydała mi się o wiele młodsza niż przedtem. Miała pewnie piętnaście lub szesnaście lat. Górna warga wywijała się ku górze pod przedziwnym kątem. Zdawało mi się, że słyszę głos mówiący: „Niech pan pogłaszcze”, głos tamtej kobiety w słuchawce telefonu. Otarłem dłonią pot z czoła.

- Pręgowany, brązowy kot z lekko wygiętym końcem ogona - powtórzyła dziewczyna, jakby chciała się upewnić. - Ma obrozę albo coś takiego?

- Ma czarną obrozę przeciw pchłom - powiedziałem.

Dziewczyna oparła dłoń o drewnianą furtkę i zamyśliła się. Po kilkunastu sekundach rzuciła wypalonego papierosa na ziemię i przydeptała go sandałem.

- Możliwe, że widziałam tego kota - powiedziała. - Nie przyglądałam się, czy ogon miał zagięty, ale widziałam brązowego, pręgowanego kota, dużego i zdaje się, że miał obrozę.

- A kiedy go widziałaś?

- Kiedy to mogło być? Chyba ze trzy czy cztery dni temu. Wszystkie okoliczne koty przechodzą przez nasz ogród, więc ciągle łażą w tę i z powrotem. Wszystkie przychodzą z domu państwa Takitanich i przez nasz ogród idą do ogrodu Miyawakich - mówiąc to, wskazała pusty dom naprzeciw. Kamienny ptak stał tam dalej z rozpostartymi skrzydłami, żółta nawłóć lśniła oświetlona słońcem wczesnego lata, a gołąb ciągle gruchał monotonnie na antenie telewizyjnej.

- A może poczeka pan w naszym ogrodzie? Wszystkie koty i tak prędzej czy później tędy przechodzą w drodze do domu naprzeciw, a jeśli będzie pan tam za długo chodził i szukał, to ktoś może pomyśleć, że jest pan złodziejem, i zawiadomi policję. Już wiele razy tak było.

Wahałem się.

- Naprawdę. W domu i tak nikogo prócz mnie nie ma. Możemy się razem poopalać, czekając na przechodzące koty. Mogę się panu przydać, bo mam dobry wzrok.



Spojrzałem na zegarek. Było pół do trzeciej. Dzisiaj musiałem już tylko zebrać przed zachodem słońca wysuszone pranie i przygotować kolację. Otworzyłem furtkę, wszedłem do ogrodu i ruszyłem po trawie za dziewczyną. Zauważyłem, że lekko powłóczy prawą nogą. Przeszła kilka kroków i odwróciła się.

- Siedziałam z tyłu na motocyklu i zrzuciło mnie - powiedziała, jakby ją to specjalnie nie obchodziło. - Dość niedawno.

Na skraju trawnika rósł duży dąb, a pod nim stały dwa płócienne leżaki. Na oparciu jednego z nich wisiał duży niebieski ręcznik, a na drugim leżały rozrzucone niedbale: nowe pudełko papierosów, popielniczka, zapalniczka, duże przenośne radio z magnetofonem i różne pisma. Z głośników radia dobiegały ciche tony hard rocka. Dziewczyna zrzuciła wszystko z leżaka na trawę, wskazała mi go zapraszająco i wyłączyła radio. Spomiędzy drzew widać było opuszczony dom po drugiej stronie uliczki. Widziałem też kamiennego ptaka, nawłóć i ogrodzenie z siatki. Dziewczyna musiała mnie stąd obserwować.

Ogród był przestronny; rozległy trawnik lekko nachylony, tu i tam rosły drzewa. Po lewej stronie leżaka znajdowało się spore oczko wodne z betonowym obrzeżem, ale wodę już dawno chyba z niego wypuszczono i pokryte ciemną zielenią dno jaśniało w słońcu. Z tyłu za drzewami widać było stary dom w stylu europejskim. Niezbyt duży i nie wyglądał na specjalnie kosztowny, jedynie ogród był przestronny i starannie utrzymany.

- Utrzymanie takiego dużego ogrodu wymaga chyba wiele pracy - powiedziałem, rozglądając się dokoła.

- Tak pan myśli?

- Dawniej pracowałem dorywczo w firmie, która kosiła trawniki - odparłem.

- Tak? - powiedziała dziewczyna głosem niewyraźającym wielkiego zainteresowania.

- Zawsze jesteś sama? - zapytałem.

- Koło południa tak. Jestem tu zawsze sama. Rano i późnym

popołudniem przychodzi kobieta do pomocy, a poza tym jestem zawsze sama. Nie napiłby się pan czegoś zimnego? Mam piwo.

- Nie, dziękuję.

- Naprawdę. Proszę się nie krępować. Potrząsnąłem głową.

- Nie chodzisz do szkoły?

- A pan nie chodzi do pracy?

- Nie mam pracy, do której mógłbym pójść.

- Jest pan bezrobotny?

- W zasadzie tak. Niedawno rzuciłem pracę.

- A gdzie pan pracował?

- Byłem kimś w rodzaju chłopca na posyłki u adwokata - powiedziałem. - Chodziłem do różnych biur i urzędów, kompleto-  
wałem dokumenty, porządkowałem dane, sprawdzałem prawne  
precedensy, załatwiałem formalności sądowe, tego typu rzeczy.

- Ale rzucił pan pracę?

- Tak.

- A pana żona pracuje?

- Pracuje - odpowiedziałem.

Gołąb, który jeszcze przed chwilą gruchał na dachu domu na-  
przeciwko, teraz gdzieś znikł. Nagle zorientowałem się, że otac-  
za mnie głęboka cisza.

- Koty zawsze przechodzą tamtędy - dziewczyna wskazała  
przeciwną stronę trawnika. - Widzi pan spalarkę do śmieci po  
drugiej stronie płotu Takitanich? Pojawiają się koło niej, przeci-  
niają trawnik, przełazą pod furtką i idą do ogrodu po drugiej stro-  
nie. Zawsze chodzą tą samą trasą. Wie pan, że pan Takitani jest  
słynnym ilustratorem. Tony Takitani. Słyszał pan o nim?

- Tony Takitani?

Dziewczyna opowiedziała mi o Tonym Takitanim. O tym, że  
Tony Takitani to jego prawdziwe imię i nazwisko. Że specjali-  
zuje się w bardzo precyzyjnych ilustracjach mechanizmów, że  
niedawno stracił żonę w wypadku samochodowym i sam miesz-  
ka w tym dużym domu. Prawie nie wychodzi i nie zadaje się z  
nikim z sąsiedztwa.

- Nie jest złym człowiekiem - powiedziała dziewczyna. -  
Chociaż właściwie nigdy z nim nie rozmawiałam.

Dziewczyna zsunęła na czoło okulary przeciwsłoneczne, zmrużywszy oczy rozejrzała się dokoła, a potem znowu włożyła okulary i wypuściła ustami dym. Kiedy odsłoniła oczy, obok lewego ukazała się około dwucentymetrowa rana. Była tak głęboka, że pewnie zostanie jej blizna na całe życie. Na pewno nosiła ciemne okulary, aby ukryć tę ranę. Jej rysy nie odznaczały się szczególną pięknnością, ale twarz zwracała uwagę. Być może przyciągały żywe oczy i nietypowy kształt warg.

- A słyszał pan o Miyawakich?

- Nie słyszałem - odparłem.

- Mieszkali w tym pustym domu. Byli tak zwanymi porządnymi ludźmi. Mieli dwie córki. Obie chodziły do znanych prywatnych liceów dla dziewcząt. Ojciec prowadził dwie czy trzy restauracje.

- I dlaczego już tu nie mieszkają?

Dziewczyna wyduła lekko wargi, jakby mówiąc „któż to może wiedzieć”?

- Może mieli długi. Pewnej nocy zniknęli w wielkim pośpiechu. To chyba było jakiś rok temu. Chwasty rosną jak szalone, koty się mnożą, nie jest tam bezpiecznie. Moja matka zawsze na to narzeka.

- Tak dużo tam kotów?

Dziewczyna spojrzała na niebo, nie wyjmując z ust papierosa.

- Są różne koty. Jest jeden wyleniały, jeden jednooki... stracił oko i to miejsce wypełniło się jakby żywym mięsem. Niesamowite, prawda?

Przytaknąłem.

- W mojej rodzinie jest osoba, która ma sześć palców. To dziewczyna, trochę starsza ode mnie. Obok małego palca ma drugi malutki, jakby niemowlęcy, ale zawsze go zrecznie podgina i trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby zauważyć. Jest bardzo ładna.

- Coś podobnego.

- Myśli pan, że to może być dziedziczne? Jak to się mówi? Że to jest w genach?

Powiedziałem, że nie znam się na dziedziczności. Dziewczyna milczała przez dłuższą chwilę. Ja ssałem dropsa i wpatrywałem się w drogę, którą ponoć chodziły koty. Do tej pory żaden się nie pokazał.

- Naprawdę nie ma pan ochoty na nic do picia? Ja się napiję coli - oznajmiła.

Odpowiedziałem, że nic nie chcę. Dziewczyna wstała z leżaka i lekko powłócząc nogą, zniknęła wśród drzew, a ja podniosłem z ziemi czasopismo i przerzuciłem kilka stron. Ze zdziwieniem odkryłem, że jest to miesięcznik dla mężczyzn. Na rozkładówce było zdjęcie dziewczyny siedzącej na stołku w nienaturalnej pozycji z szeroko rozchylonymi nogami. Przez cienką bieliznę widać było włosy łonowe i zarys warg sromowych. O, rany! - pomyślałem, odłożyłem pismo na miejsce, założyłem ręce na piersi i znów skierowałem wzrok na kocią drogę.

Dziewczyna wróciła po dość długim czasie ze szklanką coli w dłoni. Było gorące popołudnie. Kiedy tak siedziałem na leżaku wystawiony na słońce, głowę wypełniła mi pustka i myślenie stało się bardzo nużące.

- Co by pan zrobił, gdyby się pan dowiedział, że dziewczyna, którą pan pokochał, ma sześć palców? - kontynuowała poprzednią rozmowę.

- Sprzedałbym ją do cyrku - powiedziałem.

- Naprawdę?

- Nie. Żartowałem - odparłem ze śmiechem. - Chyba bym się tym nie przejmował.

- Nawet jeżeli pana dzieci mogłyby to odziedziczyć?

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Nie przejmowałbym się. Dodatkowy palec nie stanowi specjalnej przeszkody.

- A gdyby miała cztery piersi?

Nad tym też się przez chwilę zastanawiałem.

- Nie wiem - powiedziałem.

Cztery piersi? Wyglądało na to, że ta rozmowa może się ciągnąć bez końca, więc spróbowałem zmienić temat.

- Ile masz lat?

- Szesnaście - odrzekła. - Niedawno skończyłam szesnaście. Jestem w pierwszej klasie liceum.

- I od dawna nie chodzisz do szkoły?

- Jeśli długo chodzę, zaczyna mnie boleć noga. Mam też, niestety, ranę koło oka. W szkole robią zawsze dużo szumu i gdyby się dowiedzieli, że spadłam z motocykla i się poharatałam, byłoby gadanie... no i dlatego nie uczęszczam na zajęcia z powodu choroby. Przerwanie na rok nauki to przecież nic wielkiego. Nie zależy mi specjalnie na tym, żeby się szybko znaleźć w drugiej klasie.

- Coś podobnego - zdziwiłem się.

- Ale wracając do poprzedniej rozmowy, powiedział pan, że ożeniłby się z dziewczyną o sześciu palcach, a nie chciałby pan dziewczyny z czterema piersiami.

- Nie powiedziałem, że nie chciałbym. Powiedziałem, że nie wiem.

- Dlaczego pan nie wie?

- Bo nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Ale potrafi pan sobie wyobrazić sześć palców?

- Jakoś potrafię.

- Ciekawe, w czym tkwi różnica między sześcioma palcami a czterema piersiami.

Zastanowiłem się nad tym, ale nie przyszło mi do głowy żadne dobre wyjaśnienie.

- Czy ja zadaję za dużo pytań?

- Ludzie ci to mówią?

- Czasami.

Skierowałem wzrok na kocią drogę. Co ja właściwie tutaj robię, pomyślałem. Przecież nie widziałem jeszcze ani jednego kota. Z rękami założonymi na piersiach przymknąłem oczy na

dwadzieścia, a może trzydzieści sekund. Kiedy tak siedziałem bez ruchu, czułem, że pocą mi się różne części ciała. Oblewający mnie blask słońca zdawał się dziwnie ciężki. Dziewczyna potrząsnęła szklanką i lód zadźwięczał jak owczy dzwonek.

- Jeśli jest pan śpiący, proszę się przespać. Obudzę pana, jeżeli jakiś kot się pokaże - powiedziała cicho.

Skinałem w milczeniu głową, nie otwierając oczu. Nie było wiatru i wokoło panowała zupełna cisza. Gołąb musiał odlecieć gdzieś daleko. Pomyślałem o kobiecie, która do mnie dzwoniła. Czyżbym ją naprawdę znał? Nie rozpoznałem ani jej głosu, ani sposobu mówienia. Jednak ona mnie zna. To jakby scena z obrazu De Chirico - cień kobiety ściele się na drodze i rozciąga aż ku mnie, lecz rzeczywista kobieta znajduje się daleko poza obszarem świadomości. Obok mego ucha dalej dzwonił dzwonek.

- Usnął pan? - spytała dziewczyna, tak cicho, że nie byłem pewien, czy naprawdę ją usłyszałem.

- Nie, nie śpię.

- Czy mogę się trochę przysunąć? Łatwiej mi mówić ciszej.

- Proszę bardzo - powiedziałem, nie otwierając oczu.

Dziewczyna przesunęła swój leżak do mojego. Rozległ się suchy dźwięk drewna uderzającego o drewno. To dziwne, pomyślałem. Głos dziewczyny słyszany z otwartymi oczami wydawał się zupełnie różny od tego słyszanego z zamkniętymi oczami.

- Czy mogę coś powiedzieć? - zapytała. - Będę mówiła bardzo cicho, nie musi pan odpowiadać i może się pan zdrzemnąć.

- Proszę bardzo.

- Śmierć jest wspaiała, prawda?

Mówiła tuż przy moim uchu i zdawało się, że słowa te przeniknęły mnie wraz z ciepłym, wilgotnym oddechem.

- Dlaczego? - zapytałem.

Dziewczyna położyła palec na moich wargach, jakby nakazując im milczenie.

- Proszę o nic nie pytać - powiedziała. - I proszę nie otwierać

oczu. Zgoda?

Przytaknąłem tak lekko, jak lekki był jej szept. Palec przesunął się z moich warg na nadgarstek.

- Chciałabym przeciąć ją skalpelem i zajrzeć do środka. Nie chodzi mi o zwłoki, a o coś w rodzaju „grudki śmierci”. Wydaje mi się, że gdzieś musi być coś takiego. Coś okrągłego o znieczulonych nerwach, miękkiego jak piłka do softballu. Chciałabym to wyjąć z ciała zmarłego, rozciąć i zajrzeć do środka. Zawsze się zastanawiam, jak coś takiego może w środku wyglądać. Myślę, że musi tam być coś wyschniętego i stwardniałego, jak pasta do zębów zaschnięta w tubce. Nie sądzi pan? Nie, nie musi pan odpowiadać. Na zewnątrz jest miękkie i sflaczałe, a im bliżej środka, tym twardsze. Dlatego najpierw rozcinam górną warstwę, docieram do tej miękkiej części i oddzielam ją za pomocą czegoś w rodzaju skalpela i szpatułki. I gdy posuwam się dalej w głąb, ta miękkość staje się coraz twardsza, aż w końcu dochodzę do czegoś przypominającego małe jądro. Jest malutkie jak kuleczka w łożysku kulkowym i strasznie twarde. Nie sądzi pan? - Dziewczyna lekko zakaszłała. - Ostatnio ciągle o tym myślę. Na pewno dlatego, że mam tyle czasu. Kiedy nie ma się nic do roboty, myśli stopniowo płyną coraz dalej i dalej. A gdy pójdą za daleko, trudno za nimi nadążyć. - Zdjęła palec z mojego nadgarstka, wzięła do ręki szklankę i wypila do końca coca-colę.

Po dźwięku lodu poznałem, że szklanka jest pusta.

- Będę bardzo uważała na kota, proszę się nie martwić. Powiem panu, gdy tylko Noboru Wataya się pokaże. Więc niech pan zamknie oczy. Noboru Wataya na pewno jest teraz gdzieś w okolicy. Na pewno zaraz się pojawi. Noboru Wataya idzie wśród traw, przechodzi pod płotami, zatrzymuje się co pewien czas, by powąchać kwiaty, i powoli się tutaj zbliża. Niech go pan sobie wyobrazi.

Jednak mnie udało się wyobrazić sobie tylko coś, co było jedynie wizerunkiem kota. Strasznie niewyraźnym, jak przeświet-

lone zdjęcie. Promienie słońca przenikały przez moje powieki i burzyły wewnętrzną ciemność, a do tego, choć strasznie się starałem, nie potrafiłem sobie dokładnie przypomnieć, jak kot wyglądał. Kot, którego pamiętałem, był nienaturalny i przerysowany, jak nieudany portret. Zgadzały się jedynie cechy charakterystyczne, ale całość jest wybrakowana. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, jak chodził.

Dziewczyna znów przytknęła palec do mego nadgarstka i narysowała nim jakiś dziwny, nieokreślony kształt. Jakby w odpowiedzi na to moja świadomość pograżyła się w innej, dotąd nieznannej ciemności. Pomyślałem, że prawdopodobnie zasypiam. Nie chciałem spać, lecz nie mogłem się powstrzymać. Moje siedzące na leżaku ciało zdawało się ogromnie ciężkie i martwe, cudze. W tej ciemności przypominałem sobie cztery nogi Noboru Watai, cztery ciche, brązowe łapki z miękkimi, jakby gumowymi poduszeczkami. Bezszelestnie szły gdzieś po ziemi. Ale gdzie?

Wystarczy dziesięć minut, powiedziała ta kobieta przez telefon. Nie, odparłem ja, bywa, że dziesięć minut to nie dziesięć minut. Czasami się wydłuża, a czasami skraca. Wiem coś o tym.

Gdy się obudziłem, byłem sam. Leżak dziewczyny przysunięty bliźniutko do mego stał pusty. Ręcznik, papierosy i czasopisma dalej tam leżały, lecz zniknęła szklanka i radio. Słońce lekko pochyliło się ku zachodowi, cienie gałęzi dębu sięgały moich kolan. Zegarek wskazywał piętnaście po czwartej. Uniosłem się na poręczach leżaka i rozejrzałem wokoło. Rozległy trawnik, wyschnięty stawik, żywopłot, kamienny posąg ptaka, nawłóć, antena telewizyjna. Ani śladu kota. Usiadłem znów na leżaku, spojrzałem na kocią drogę i czekałem na powrót dziewczyny. Po dziesięciu minutach ani kot, ani ona się nie pojawili. Wszystko wokół trwało w bezruchu. Zdawało mi się, że podczas snu strasznie się postarzałem.

Wstałem i spojrzałem na dom. Nie było żywego ducha. Tylko



wykuszowe okno oświetlone zachodzącym słońcem lśniło oślepiającym blaskiem. Zrezygnowałem, przeszedłem przez trawnik, wyszedłem na uliczkę i wróciłem do domu. Nie znalazłem co prawda kota, ale przynajmniej go poszukałem.

Po powrocie do domu zebrałem pranie i przygotowałem skromną kolację. O pół do szóstej telefon zadzwonił dwanaście razy, lecz nie odebrałem. Choć dzwonek już zamilkł, ciemniejący pokój nadal wypełniony był jego echem jak kurzem. Zegar postukiwał twardym paznokciem o niewidzialną deskę zawieszoną w przestrzeni.

Nagle pomyślałem, że mógłbym napisać wiersz o ptaku nakręcaчу, jednak za nic nie mogłem wymyślić pierwszej linijki. Poza tym nie wydawało mi się, że taki wiersz spodobałby się licealistkom.

Kumiko wróciła o pół do ósmej. Od miesiąca wracała do domu coraz później - często po ósmej, a zdarzało się, że i po dziesiątej. Może było to spowodowane faktem, że ja byłem w domu, szykowałem kolację, więc nie musiała się spieszyć. Tłumaczyła, że mają za mało personelu, a do tego jeden z pracowników ostatnio często chorował i nie przychodził do pracy.

- Przepraszam. Myślałam, że zebranie nigdy się nie skończy - powiedziała. - Ta dziewczyna pracująca na godziny jest do niczego.

Stałem w kuchni i smażyłem na maśle rybę, zrobiłem też sałatkę i zupę sojową. W tym czasie Kumiko siedziała znużona przy kuchennym stole.

- Gdzie byłeś koło pół do piątej? - zapytała. - Dzwoniłam, żeby ci powiedzieć, że wrócę trochę później.

- Skończyło się masło, więc poszedłem kupić - skłamałem.

- Byłeś też w banku?

- Oczywiście - odpowiedziałem.

- A co z kotem?

- Nie znalazłem. Poszedłem do pustego domu w uliczce, tak

jak mi kazałaś, ale nie było tam śladu kota. Może poszedł sobie gdzieś dalej.

Kumiko nic nie powiedziała.

Po kolacji wykapałem się i kiedy wszedłem do pokoju, siedziała samotnie przy zgaszonym świetle. W szarej bluzce, skulona na podłodze wyglądała zupełnie jak jakiś zapomniany bagaż. Wycierając włosy ręcznikiem, usiadłem na kanapie naprzeciw Kumiko.

- Kot już na pewno nie żyje - powiedziała cicho.

- Niemożliwe - odparłem. - Gdzieś sobie przyjemnie spędza czas. Niedługo bardzo zgłodnieje i wróci. Przecież kiedyś już tak było. Kiedy mieszkaliśmy w Kóenji, też...

- Tym razem to co innego. Nie tak jak przedtem. Wiem, że zdechł, leży gdzieś w zaroślach i gnije. Szukałeś w zaroślach przy pustym domu?

- Słuchaj, ten dom jest pusty, ale i tak do kogoś należy i nie mogę sobie tak po prostu tam wejść.

- To gdzie właściwie szukałeś? - zapytała żona. - Tobie wcale nie zależy na znalezieniu kota i dlatego się nie znajduje.

Westchnąłem i jeszcze raz wytarłem włosy ręcznikiem. Chciałem coś powiedzieć, ale zauważyłem, że Kumiko płacze, więc zrezygnowałem. Nie ma rady pomyślałem. Zaczęła hodować tego kota zaraz po ślubie i bardzo go lubiła. Wrzuciłem ręcznik do kosza na brudną bieliznę w łazience, poszedłem do lodówki, wyjąłem piwo i się napiłem. Co za bezsensowny dzień. Bezsensowny dzień bezsensownego miesiąca bezsensownego roku.

Gdzie jesteś, Noboru Wataya, pomyślałem. Czy ptak nakręcacz zapomniał cię nakręcić? Zupełnie jak wers jakiegoś wiersza.

Gdzież jesteś Noboru Wataya? Czyżby ptak nakręcacz Zapomniał cię nakręcić?

Telefon zadzwonił, gdy została mi już tylko połowa piwa.

- Odbierz! - zawołałem w kierunku ciemnego pokoju.

- Nie chce mi się. Ty odbierz - powiedziała Kumiko.

Telefon dzwonił dalej i nikt go nie odbierał. Dzwonek rozpraszał kurz unoszący się w ciemności pokoju. Milczeliśmy oboje. Ja piłem piwo, a Kumiko bezgłośnie płakała. Doliczyłem do dwudziestego dzwonka i zrezygnowałem z liczenia. Przecież nie można liczyć w nieskończoność.

## **2. O pełni Księżyca i zaćmieniu Słońca oraz o koniach umierających w stajniach**

Czy w ogóle możliwe, by jeden człowiek całkowicie zrozumiał drugiego?

Zalóżmy, że poświęcamy dużo czasu na poznanie kogoś, bardzo się staramy, ale czy w rezultacie udaje nam się zbliżyć do prawdziwej istoty tej osoby? W jakim stopniu? Czy naprawdę wiemy coś ważnego o tych, których, jak nam się wydaje, dobrze znamy?

Zacząłem się poważnie zastanawiać nad takimi kwestiami mniej więcej w tydzień po odejściu z pracy w kancelarii adwokackiej. Dotychczas nigdy jeszcze nie zajmowały mnie tego typu problemy. Ciekawe dlaczego. Prawdopodobnie miałem pełne ręce roboty, próbując ułożyć sobie życie, i byłem zbyt zajęty, by nad sobą rozmyślać.

Tak jak to bywa z ważnymi problemami świata, które zaczynają się od drobnostek, ja także zacząłem mieć te wątpliwości z powodu zupełnej drobnostki. Kumiko w pośpiechu zjadła śniadanie i wyszła, a ja włożyłem pranie do pralki, posłałem łóżko, zmyłem naczynia, odkurzyłem podłogę. Potem usiadłem razem z kotem na werandzie i przejrzałem w gazecie ogłoszenia o pracy i reklamy wyprzedaży. W południe przygotowałem sobie coś prostego do jedzenia i poszedłem do sklepu. Zrobiłem zakupy na kolację, z półki z przecenionymi towarami wziąłem proszek do prania, a także chusteczki jednorazowe i papier toaletowy. Następnie wróciłem do domu, przygotowałem kolację, a potem położyłem się na kanapie i czytając książkę, czekałem na pow-

rót żony.

Ponieważ dopiero niedawno rzuciłem pracę, taki tryb życia wydawał mi się dość przyjemny. Nie muszę już jeździć do firmy zatłoczonym pociągiem, nie muszę się spotykać z ludźmi, z którymi nie mam ochoty się widywać. Nikt mi nie wydaje rozkazów i ja nie muszę ich nikomu wydawać. Nie muszę jeść z kolegami z pracy zestawów obiadowych w pobliskiej zatłoczonej restauracji ani słuchać o meczu baseballowym z poprzedniego dnia. I nie wiem już, czy czwarty pałkarz z drużyny Yomiuri Giants wybił piłkę na home run, czy też były tylko trzy strikes. To wszystko sprawiało mi przyjemność, ale największą to, że mogłem czytać, co chciałem i kiedy chciałem.

Nie wiedziałem, jak długo potrwa takie życie, lecz ten pierwszy tydzień wolności przynajmniej jak do tej pory bardzo mi się podobał i starałem się w miarę możliwości nie myśleć o tym, co będzie dalej. Miałem coś w rodzaju urlopu od życia. Kiedyś się skończy, ale póki trwa, trzeba się nim cieszyć. W każdym razie od bardzo dawna nie czytałem nic dla przyjemności, a szczególnie powieści. W ciągu ostatnich lat czytałem książki prawnicze albo byle jakie książeczki nadające się do tłocznych pociągów. Nikt nie ustanowił takiego prawa, lecz panuje opinia, że czytania wartościowych powieści przez osoby zatrudnione w firmach prawniczych nie uważa się, co prawda, za rzecz naganną, ale nie patrzy się też na nie łaskawym okiem. Jeżeli w mojej torbie lub w szufladzie biurka odkryto by taką książkę, ludzie pewnie zaczęliby na mnie spoglądać jak na parszywego psa. I powiedzieliby na przykład: „No, no, lubisz czytać powieści? Ja też lubię. W młodości dużo czytałem”. Uważają, że powieści czyta się tylko w młodości. Tak jakby mówili, że wiosną zbiera się truskawki, a jesienią winogrona.

Jednak tego popołudnia nie mogłem jak zwykle radośnie zatopić się w lekturze, a to dlatego, że Kumiko nie wracała. Zwykle przychodziła najpóźniej o pół do siódmej, a jeżeli miała się

spóźnić choćby dziesięć minut, zawsze dzwoniła. Pod tym względem była wręcz przesadnie skrupulatna. Tego dnia nie wróciła jeszcze, choć minęła siódma, i w ogóle nie zadzwoniła. Przygotowałem wszystko tak, by podać kolację od razu po jej powrocie. Nie przyrządzałem niczego specjalnego. Miałem zamiar szybko usmażyć krojoną w paski wołowinę, cebulę, paprykę i kielki fasoli, przyprawić solą, pieprzem, pokropić sosem sojowym, a na koniec dodać piwa. Często jadłem tę potrawę, gdy jeszcze sam mieszkalem. Ugotowałem ryż, podgrzałem zupę sojową, a pokrojone jarzyny leżały w kupkach na dużym talerzu i czekały tylko na usmażenie. Lecz Kumiko nie wracała. Byłem głodny, więc pomyślałem, że usmażę najpierw porcję dla siebie, ale jakoś nie miałem ochoty. Nie wiem dlaczego, zdawało mi się, że postąpiłbym niewłaściwie. Usiadłem przy kuchennym stole, napiłem się piwa i zjadłem kilka zwilgotniałych krakersów, które znalazłem w głębi szafki z naczyniami. Bezmyślnie wpatrywałem się, w małą wskazówkę zegara, która powoli dochodziła do punktu oznaczającego pół do ósmej, a potem go mijała.

Kumiko wreszcie wróciła po dziewiątej. Wyglądała na wykończoną. Miała zaczerwienione oczy. Był to zły znak. Zawsze, gdy miała takie oczy, zdarzało się coś złego. Powiedziałem sobie: „Tylko spokojnie. Nie mów nic niepotrzebnego. Spokojnie, naturalnie, nie atakuj”.

- Przepraszam. Za nic nie mogłam się wyrwać z pracy. Chciałam do ciebie zadzwonić, ale ciągle coś się działo i nie dałam ci znać.

- Nic nie szkodzi. Nie przejmuj się - powiedziałem jak gdyby nigdy nic.

Poza tym naprawdę wcale nie byłem zły. Mnie samemu wiele razy się to zdarzyło. Chodzenie do pracy to rzecz niełatwa. Nie jest tak proste jak dzień spędzony dwie ulice dalej u przeziębionej babci, której zaniósł się zerwaną rano w ogrodzie najpiękniejszą różę. Zdarza się, że trzeba robić coś głupiego z jakimiś

głupkami. Zdarza się też, że nie ma możliwości zadzwonienia do domu. Aby zadzwonić i powiedzieć „dziś wrócę późno”, wystarczy trzydzieści sekund. Telefony są wszędzie, ale zdarza się tak, że nie można zadzwonić.

Zabrałem się do gotowania. Włączyłem gaz, wlałem olej na patelnię. Kumiko wyjęła z lodówki piwo, a z szafki szklanę. Przeprowadziła wzrokową inspekcję składników potrawy, którą zamierzałem przyrządzić, a potem, nic nie mówiąc, siadła przy kuchennym stole i zaczęła pić piwo. Sądząc po wyrazie jej twarzy, nie było zbyt smaczne.

- Nie musiałeś na mnie czekać z jedzeniem - powiedziała.

- Nic nie szkodzi. Nie byłem bardzo głodny - odparłem.

Podczas gdy ja smażyłem mięso i jarzyny, Kumiko wstała i poszła do łazienki. Słyszałem, jak myje nad umywalką twarz i zęby. Po chwili wyszła z łazienki, niosąc coś w obu rękach. Były to kupione dziś przeze mnie chusteczki i papier toaletowy.

- Dlaczego to kupiłeś? - zapytała zmęczonym głosem.

Spojrzałem na nią, trzymając w ręce patelnię. Potem przesunąłem wzrok na chusteczki i papier, które miała w rękach. Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi.

- Nie rozumiem - powiedziałem. - To tylko chusteczki i papier toaletowy. Przecież jak zabraknie, to jest kłopot. Jeszcze trochę mamy, ale to się nie psuje.

- Nie mam nic przeciwko kupowaniu chusteczek i papieru toaletowego. To oczywiste. Ja cię pytam, dlaczego kupiłeś niebieskie chusteczki i papier toaletowy w kwiatki.

- Ciągle nie rozumiem - powiedziałem cierpliwie. - Rzeczywiście kupiłem niebieskie chusteczki i papier toaletowy w kwiatki. Jedno i drugie było przecenione. Przecież od wycierania niebieską chusteczką nos nie robi się niebieski. Nie ma w tym chyba nic złego?

- Owszem, jest w tym coś złego. Ja nie lubię niebieskich chusteczek i papieru we wzorki. Nie wiedziałeś?

- Nie wiedziałem - odparłem. - A z jakiego powodu nie lu-

bisz?

- Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego nie lubię - powiedziała. - Ty też nie lubisz ozdobnych pokrowców na telefon, termosów w kwiatki i rozszerzanych džinsów z nitami. Nie lubisz, jak sobie maluję paznokcie. Trudno wytłumaczyć powody tych wszystkich niechęci, prawda? Po prostu niektóre rzeczy się lubi, a innych nie.

Mogłem wytłumaczyć wszystkie te niechęci, ale oczywiście nie zrobiłem tego.

- Rozumiem. Po prostu nie lubisz. Dobrze to rozumiem. Ale powiedz, czy ty przez sześć lat naszego małżeństwa ani razu nie kupiłaś niebieskich chusteczek i papieru w kwiatki?

- Nie, nie kupiłam - rzuciła Kumiko.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odpowiedziała Kumiko. - Kupuję tylko białe, żółte albo różowe chusteczki. A papier zawsze kupuję gładki. Dziwię się, że mieszkając ze mną, tego nie zauważyłeś.

Ja też byłem zdziwiony. To znaczy, że przez tych sześć lat nigdy nie użyłem niebieskich chusteczek i papieru we wzorki.

- Przy okazji powiem ci jeszcze coś - odezwała się Kumiko. - Nie cierpię wołowiny smażonej z papryką. Wiedziałeś o tym?

Nie wiedziałem.

- Po prostu nie lubię. Nie pytaj o powód. Nie wiem dlaczego, ale nie znoszę zapachu mięsa smażonego z papryką.

- Przez tych sześć lat nigdy nie smażyłaś wołowiny z papryką?

Kumiko potrząsnęła głową.

- Jem paprykę w sałatce. Smażę wołowinę z cebulą, ale nigdy nie smażyłam wołowiny z papryką.

- O rany - powiedziałem.

- Nigdy cię to nie zastanowiło?

- Nigdy nawet tego nie zauważyłem - odparłem. Zastanowiłem się, czy od czasu ślubu jadłem kiedyś wołowinę usmażoną z papryką. Nie mogłem sobie przypomnieć.

- Żyjesz ze mną, ale tak naprawdę nie zwracasz na mnie uwagi, prawda? Na pewno myślałeś dotąd tylko o sobie - powiedziała.

Wyłączyłem gaz i postawiłem patelnię na kuchence.

- Poczekaj chwilę. Mieszasz różne sprawy. Być może nie zwróciłem uwagi na kwestię chusteczek, papieru i związku wołowiny z papryką. Przyznaję się do tego. Jednak uważam, że to nie znaczy, bym wcale nie zwracał na ciebie uwagi. Mnie naprawdę nie robi różnicy, jakiego koloru są chusteczki. Myślę, że gdybym znalazł na stole pudełko z czarnymi jak smoła, pewnie bym się zdziwił. Ale są białe, czy niebieskie, naprawdę mnie nie obchodzi. To samo dotyczy wołowiny z papryką. Wszystko mi jedno, czy są smażone razem, czy nie. Absolutnie by mi nie przeszkadzało, gdyby nawet czynność smażenia wołowiny z papryką zniknęła nieomal na stałe z powierzchni ziemi. To praktycznie nie ma nic wspólnego z tobą jako osobą, prawda?

Kumiko nie odpowiedziała. Dopiła dwoma łykami resztę piwa ze szklanki i w milczeniu patrzyła na pustą butelkę na stole. Ja wyrzuciłem do kosza zawartość patelni. Wylądowały tam wołowina, papryka, cebula i kielki. Przedziwne, pomyślałem. Jeszcze przed chwilą były to produkty, a teraz stały się tylko śmieciami. Zdjąłem kapsel i napiłem się piwa prosto z butelki.

- Dlaczego wyrzuciłeś? - zapytała.

- Bo ty tego nie lubisz.

- Przecież sam mogłeś zjeść.

- Nie miałem ochoty - powiedziałem. - Nie mam już ochoty jeść wołowiny smażonej z papryką.

Kumiko wzruszyła ramionami.

- Rób, co chcesz. - Położyła ręce na stole i złożyła na nich głowę. Siedziała tak bez ruchu. Nie płakała ani nie spała.

Patrzyłem na pustą patelnię na kuchence, na żonę i wypilem łyk piwa. Ojej, pomyślałem. Co się dzieje? Przecież to tylko chusteczki, papier i papryka. Podszedłem jednak do żony i położyłem jej rękę na ramieniu.



- Słuchaj, już nigdy nie kupię niebieskich chusteczek i papieru we wzorki. Obiecuję. Te, które kupiłem, jutro wymienię w sklepie. Jak mi się nie uda, to spalę je w ogrodzie. A prochy rozrzucę nad morzem. Sprawa wołowiny i papryki też jest już załatwiona. Może jeszcze trochę pachnie, ale niedługo się wywietrzy. Więc zapomnijmy o tym.

Ona jednak się nie odzywała. Pomyślałem, jakby to było dobrze, gdybym mógł wyjść na godzinę na spacer, a po powrocie do domu znalazłbym ją w dobrym humorze. Wiedziałem, że to zupełnie niemożliwe, i musiałem sam jakoś tę sprawę rozwikłać.

- Jesteś zmęczona - powiedziałem. - Odpocznij trochę, a potem, tak jak dawniej, pójdziemy gdzieś blisko, na przykład na pizzę. Zamówimy cebulę na jednej połowie, a anchois na drugiej. Przecież nic się nie stanie, jak czasem zjemy w restauracji.

Kumiko milczała. Usiadłem naprzeciwko i patrzyłem na jej głowę. Między krótkimi czarnymi włosami widać było ucho. W uchu miała kolczyk, którego nigdy przedtem nie widziałem. Mały złoty kolczyk w kształcie ryby. Gdzie i kiedy mogła go kupić?

Miałem ochotę zapalić. Rzuciłem palenie niewiele ponad miesiąc temu. Wyobraziłem sobie, jak wyjmuję z kieszeni pudełko papierosów i zapalniczkę, wkładam do ust papierosa z filtrem i zapalam. Nieświadomie nabrałem w płuca powietrza. Nozdrza wypełniło mi powietrze przesycone ciężkim zapachem smażonej wołowiny z papryką. Szczerze mówiąc, byłem straszliwie głodny. Potem nagle spojrzałem na wiszący na ścianie kalendarz. Zaznaczono na nim fazy Księżyca. Księżyc zbliżał się do pełni. To znaczy, że nadchodzi jej miesiączka, pomyślałem.

Szczerze mówiąc, po ślubie po raz pierwszy wyraźnie uświadomiłem sobie, że jestem przedstawicielem rodzaju ludzkiego żyjącego na Ziemi, będącej trzecią planetą Układu Słonecznego. Mieszkam na Ziemi, Ziemia krąży wokół Słońca, a Księżyc krąży wokół Ziemi. I to bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie. Tak będzie dalej przez całą wieczność (przypuszczam,

że nie ma przeszkód, bym użył tu słowa wieczność, jeśli wziąć pod uwagę relatywną długość mojego życia). Zacząłem tak myśleć dlatego, że moja żona regularnie co 29 dni dostawała miesiączki. Odpowiadało to dokładnie fazom księżyca. Miała ciężkie miesiączki i już na kilka dni przed ich nadejściem stawała się strasznie nerwowa i często była w wyjątkowo złym humorze. Dlatego dla mnie też - choć tylko pośrednio - był to bardzo ważny cykl. Musiałem się na niego przygotować, by uniknąć niepotrzebnych problemów. Przed ślubem praktycznie nie obchodziły mnie takie rzeczy jak nów czy pełnia. Czasami zdarzało mi się spojrzeć na niebo, ale to, jaki kształt miał księżyc w danym momencie, nie miało ze mną nic wspólnego. Jednak od czasu ślubu byłem ciągle świadom jego faz.

Przedtem chodziłem z innymi dziewczynami i one też miały oczywiście miesiączki. Niektóre były ciężkie, inne lekkie. Jedne trwały tylko trzy dni, inne cały tydzień. Były takie, które przychodziły regularnie, i takie, które potrafiły się opóźnić nawet o dziesięć dni, wprawiając mnie w wielki niepokój. Niektóre dziewczyny wpadały w czasie miesiączki w zły humor, na inne nie miało to wpływu, ale aż do ślubu z Kumiko nigdy nie mieszkalem z żadną dziewczyną. Jedynym naturalnym cyklem był dla mnie cykl zmian pór roku. Gdy przychodziła zima, wyjmowałem płaszcz, a latem wyciągałem sandały. I to wszystko. Jednak wskutek małżeństwa zyskałem nie tylko drugą osobę, z którą zamieszkałem, lecz przyswoiłem sobie także pojęcie nowego cyklu. Raz tylko przez okres paru miesięcy cykl ten przestał się dla Kumiko liczyć. Była wtedy w ciąży.

- Przepraszam - powiedziała, podnosząc głowę. - Nie chciałam się ciebie czepiać. Jestem tylko trochę zmęczona i poirytowana.

\_ Nie szkodzi - odparłem. - Nie przejmuj się. Jak człowiek jest zmęczony, to lepiej się do kogoś przyczepić. Można się wtedy wyładować.

Kumiko powoli nabrała powietrza, przez chwilę zatrzymała je

w płucach i znów powoli wypuściła.

- A ty? - zapytała.

- Co ja?

- Ty, nawet kiedy jesteś zmęczony, nikogo się nie czepiasz. Mam wrażenie, że tylko ja się czepiam. Ciekawe dlaczego?

Potrząsnąłem głową.

- Nie zauważyłem.

- Może masz w sobie jakby głęboką studnię. I kiedy przed nią stajesz i wołasz: „Król jest nagi!”, wszystko jakoś się samo rozwiązuje.

Zastanowiłem się nad tym.

- Może masz rację - powiedziałem.

Kumiko znów spojrzała na pustą butelkę po piwie. Przyjrzała się etykietce, potem otworowi, a następnie chwyciła butelkę za szyjkę i obróciła.

- Niedługo będę miała miesiączkę. Pewnie dlatego jestem poirytowana.

- Wiem - odrzekłem. - Ale nie musisz się przejmować. Takie rzeczy mają wpływ nie tylko na ciebie. Na przykład dużo koni zdycha podczas pełni księżyca.

Kumiko odstawiła butelkę i spojrzała na mnie z otwartymi ustami.

- O co ci chodzi? Skąd ci się nagle wzięły konie?

- Ostatnio czytałem o tym w gazecie. Miałem zamiar ci o tym powiedzieć i zapomniałem. Był wywiad z jakimś weterynarzem. Podobno fazy księżyca wyjątkowo wpływają na konie, pod względem fizycznym i psychicznym. Gdy zbliża się pełnia, fale mózgowie koni wariują i zwierzęta zaczynają mieć różne kłopoty ze zdrowiem. W dzień pełni wiele z nich choruje, bardzo wzrasta też liczba koni, które zdychają. I choć nikt nie wie, jaka jest tego prawdziwa przyczyna, badania statystyczne wyraźnie wskazują, że tak jest. Podobno weterynarze specjalizujący się w koniach są tak zajęci w noc pełni księżyca, że praktycznie nie mają czasu spać.

- Coś podobnego - powiedziała żona.

- Ale zaćmienie Słońca jest jeszcze gorsze niż pełnia. To prawdziwa tragedia dla koni. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, ile zdycha w czasie całkowitego zaćmienia. W każdym razie chciałem powiedzieć, że właśnie w tej chwili konie umierają gdzieś jeden po drugim. W porównaniu z tym twoje czepianie się to nic takiego, prawda? Nie musisz się specjalnie przejmować. Wyobraź sobie umierające konie. Jak leżą w noc pełni księżycy gdzieś w stajni na słomie, toczą z pysków pianę i ciężko dyszą w wielkim cierpieniu.

Zdawała się przez chwilę zastanawiać nad końmi umierającymi w stajni.

- Masz naprawdę zadziwiający dar przekonywania - rzekła, jakby się poddając. - Muszę ci to przyznać.

- To przebierz się i chodźmy gdzieś na pizzę - powiedziałem.

Tej nocy leżąc obok Kumiko w ciemnej sypialni, patrzyłem w sufit i zadawałem sobie pytanie, co ja właściwie wiem o tej kobiecie. Zegar wskazywał drugą nad ranem. Kumiko spała głębokim snem. W ciemności myślałem o niebieskich chusteczkach, papierze toaletowym we wzorki i wołowinie smażonej z papryką. Do dziś nie wiedziałem, że nie znosiła tych rzeczy. Samo w sobie było to drobnostką bez znaczenia. Zwykle po prostu byśmy się z tego uśmiali. Nie był to problem, który powinien wywołać aż takie zamieszanie. Za kilka dni zapomnimy pewnie o tej głupiej kłótni.

Jednak wydarzenie to dziwnie nie dawało mi spokoju. Powodowało dyskomfort, jak ość, która utkwiała w przełyku. Myślałem, że może było to coś fatalnego. Że mogło mieć fatalne skutki. A może to tylko początek czegoś większego i fatalnego. Może był to dopiero pierwszy krok. A dalej rozciąga się jeszcze mi nieznaną świat, świat samej Kumiko. Przywiodło mi to na myśl ogromny, pogrążony w zupełnej ciemności pokój. Stałem w tym pokoju z małą zapalniczką i w jej świetle mogłem dostrzec tylko

niewielką jego część.

Czy kiedyś uda mi się zobaczyć całość? Czy też zestarzeję się i umrę, nigdy nie dowiedziawszy się o niej wszystkiego? Jeżeli ma tak być, to na czym właściwie polega życie małżeńskie? I na czym polega moje życie, życie człowieka, który żyje i śpi w tym samym łóżku z osobą, której nie zna?

Myślałem o tym tamtej nocy, a także potem od czasu do czasu. Dopiero później zrozumiałem, że wtedy naprawdę dotknąłem samego sedna problemu.

### **3. O kapeluszu Malty Kano, barwach sorbetów, Allenie Ginsbergu i wyprawach krzyżowych**

Telefon zadzwonił, gdy szykowałem drugie śniadanie. Ukroiłem w kuchni dwie kromki chleba, posmarowałem je masłem i musztardą, położyłem na to plasterki pomidora i ser. Tak zrobioną kanapkę umieściłem na desce i właśnie miałem ją przekroić na pół, gdy zadzwonił telefon. Oczekałem trzy dzwonki i przekroiłem. Potem położyłem kanapkę na talerzu, wytarłem nóż i schowałem do szuflady. Następnie nalałem do filiżanki podgrzanej wcześniej kawy.

Telefon ciągle dzwonił. Musiał zadzwonić z piętnaście razy. Poddałem się i podniosłem słuchawkę. Nie chciałem odbierać, ale mogła przecież dzwonić Kumiko.

- Halo - powiedział kobiecy głos. Nie znałem tego głosu. Nie była to żona ani ta dziwna kobieta, która zadzwoniła niedawno, gdy gotowałem makaron. Był to inny, nieznan mi głos.

- Czy to mieszkanie pana Toru Okady? - zapytała. Mówiła, jakby czytała tekst z kartki.

- Tak.

- Czy jest pan mężem pani Kumiko Okady?

- Tak. Kumiko Okada to moja żona.

- A pan Noboru Wataya jest starszym bratem pana żony?

- Tak - odparłem cierpliwie. - Rzeczywiście Noboru Wataya jest bratem żony.

- Moje nazwisko Kano.

Nic nie mówiłem i czekałem na dalszy ciąg. To, że nieoczekiwanie padło nazwisko szwagra, wzbudziło moją czujność. Podrapałem się w szyję końcem ołówka, który znalazłem obok telefonu. Kobieta milczała przez kilka sekund. Ze słuchawki nie dobiegał nie tylko jej głos, ale także żaden inny dźwięk. Być może przykryła ją dłonią i rozmawia z kimś stojącym obok.

- Halo - powiedziałem zaniepokojony.

- Przepraszam bardzo. Pozwolę sobie znów zadzwonić - powiedziała nagle kobieta.

- Chwileczkę, proszę poczekać. To... - ale ona się rozłączyła.

Przez chwilę stałem, wpatrując się w słuchawkę. Potem jeszcze raz przyłożyłem ją do ucha, lecz połączenie zostało definitywnie przerwane.

Pełen trudnego do określenia niezadowolenia usiadłem przy kuchennym stole i pijąc kawę, zjadłem kanapkę. Nie mogłem sobie przypomnieć, o czym myślałem, zanim zadzwonił telefon. Trzymałem nóż w prawej ręce, zabierałem się do przekrojenia kanapki i niewątpliwie o czymś myślałem. Było to coś ważnego. Coś, czego sobie długo nie mogłem przypomnieć i co mi nagle zaświtało w głowie, gdy miałem przekroić chleb, ale teraz już zupełnie

nie pamiętałem, co to było. Jedząc kanapkę, łamałem sobie nad tym głowę. Nic z tego. To wspomnienie wróciło do ciemnych zakamarków mojej świadomości, w których przedtem mieszkało.

Skończyłem jeść i sprzątnąłem naczynia, gdy znów zadzwonił telefon. Tym razem natychmiast podniosłem słuchawkę.

- Halo - powiedział kobiecy głos.

Głos mojej żony.

- Halo - odpowiedziałem.

- Jak się masz? Zjadłeś już coś? - zapytała.

- Zjadłem. A ty co jadłaś?

- Nic - odparła. - Od rana jestem zajęta i nie miałam czasu na

jedzenie. Niedługo wyskoczę i kupię sobie jakąś kanapkę. Co zjadłeś?

Powiedziałem jej, co zjadłem.

- Aha - odparła. W jej głosie nie było wcale zazdrości. - Miałam ci rano powiedzieć, ale zapomniałam. Zadzwoń dziś do ciebie niejaka pani Kano - powiedziała.

- Już dzwoniła - odpowiedziałem. - Przed chwilą. Wymieniła moje nazwisko, twoje nazwisko, nazwisko twojego brata i rozłączyła się, nie mówiąc ani słowa, w jakiej sprawie dzwoni. O co właściwie chodzi?

- Rozłączyła się?

- Powiedziała, że znowu zadzwoni.

- To jak znowu zadzwoni, zrób to, co ci powie. To jest ważna sprawa. Myślę, że pewnie będziesz musiał się z nią spotkać.

- Spotkać? Dzisiaj?

- Masz jakieś plany albo jesteś z kimś umówiony?

- Nie - powiedziałem. Nie miałem planów i nie byłem umówiony ani wczoraj, ani dziś, ani jutro. - A czy nie możesz mi powiedzieć, kim jest ta pani Kano i jaką ma do mnie sprawę? Chciałbym mieć jakieś pojęcie, o co chodzi. Jeżeli to ma jakiś związek z moją pracą, nie chciałbym, żeby twój brat miał z tym coś wspólnego. Chyba już ci to mówiłem.

- Nie chodzi o twoją pracę - powiedziała zniecierpliwionym głosem.

- Chodzi o kota.

- O kota?

- Słuchaj, ja teraz jestem strasznie zajęta, ktoś na mnie czeka. Wyrwałam się tylko, żeby do ciebie zadzwonić. Jak ci mówiłam, nawet nie miałam czasu nic zjeść. Rozłączę się teraz, dobrze? Jak się tu uspokoi, znowu zadzwonię.

- Wiem, że jesteś zajęta, ale nie możesz mnie tak zaskakiwać. Ja przecież nie wiem, o co chodzi. O co chodzi z kotem? Czy ta pani Kano...?

- Nieważne, zrób to, co ci każe. Dobrze? To ważne! Nie wy-

chodź z domu, czekaj na jej telefon. No to ja lecę - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Telefon zadzwonił o pół do trzeciej, gdy drzemałem sobie na kanapie. Najpierw pomyślałem, że dzwoni budzik. Wyciągnąłem więc rękę, chcąc go wyłączyć, ale budzika nie było. Spałem nie w łóżku, a na kanapie. I było popołudnie, nie rano. Wstałem i odebrałem.

- Halo - powiedziałem.

- Halo - odparła kobieta. Ten sam głos, co przed południem. - Czy pan Toru Okada?

- Tak. Mówi Toru Okada.

- Nazywam się Kano.

- Pani przedtem dzwoniła, prawda?

- Bardzo przepraszam za ten poprzedni telefon. Czy pan ma na dzisiaj jakieś plany?

- Nie, nie mam specjalnie żadnych planów - odparłem.

- W takim razie, czy mógłby się pan ze mną później spotkać? Przepraszam, że tak dzwonię bez uprzedzenia.

- Później dzisiaj?

- Tak.

Spojrzałem na zegarek. Patrzyłem też trzydzieści sekund temu, więc nie musiałem ponownie sprawdzać, która godzina, ale na wszelki wypadek jeszcze raz spojrzałem. Zgadzało się, było pół do trzeciej.

- Czy to długo potrwa? - spytałem.

- Myślę, że niezbyt długo, ale może też potrwać dłużej, niż pan przypuszcza. Nie jestem w stanie w tej chwili dokładnie odpowiedzieć. Bardzo mi przykro - odrzekła.

Bez względu na to, jak długo mogło to potrwać, raczej nie miałem wyboru. Przypomniałem sobie, co Kumiko mówiła przez telefon. Prosiła, bym zrobił, co mi każe ta kobieta. Mówiła, że to ważna sprawa, więc musiałem jej posłuchać. Jeśli ona mówi, że to ważna sprawa, to znaczy, że sprawa jest ważna.

- Dobrze. Gdzie mam się stawić? - spytałem.



- Czy zna pan hotel Pacific naprzeciwko stacji Shinagawa?

- Znam.

- Na parterze jest kawiarnia. Będę tam czekała o czwartej.  
Dobrze?

- Dobrze.

- Mam trzydzieści jeden lat i będę miała na głowie czerwony plastikowy kapelusz - poinformowała.

O rany pomyślałem. Wydawało mi się, że w sposobie mówienia tej kobiety było coś dziwnego i przez chwilę miałem w głowie zamęt. Jednak nie umiałbym dokładnie wyjaśnić, co właściwie wydawało mi się dziwne. Przecież trzydziestojednoletnia kobieta miała prawo nosić czerwony plastikowy kapelusz.

- Dobrze - powiedziałem. - Przypuszczam, że panią poznam.

- A czy mógłby mi pan na wszelki wypadek powiedzieć, jakie są cechy charakterystyczne pańskiego wyglądu?

Zastanowiłem się na nowo nad charakterystycznymi cechami swego wyglądu. Jakie właściwie są cechy charakterystyczne mojego wyglądu?

- Mam trzydzieści lat, sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu, wagę sześćdziesiąt trzy kilo, mam krótkie włosy i nie noszę okularów - powiedziałem, myśląc jednocześnie, że nie można tego nazwać cechami charakterystycznymi. W kawiarni hotelu Pacific może być pięćdziesiąt osób, których wygląd zgadza się z tym opisem. Byłem tam kiedyś. To bardzo duża kawiarnia. Potrzebuję jakiejś cechy, która zwróci uwagę, ale nic takiego nie przychodziło mi do głowy. Oczywiście nie znaczy to, że jestem pozbawiony cech charakterystycznych. Mam album Sketches of Spain z autografem Milesa Davisa, mam dość wolny puls, zwykle około 47, i nawet kiedy mam gorączkę 38,5°C mój puls nie przekracza 70. Jestem bezrobotny i pamiętam imiona wszystkich braci Karamazow, ale tego typu rzeczy oczywiście nie można poznać po wyglądzie zewnętrznym.

- A w co będzie pan ubrany? - zapytała kobieta.

- Hm... - odrzekłem, ale nic nie mogłem wymyślić. - Nie wi-

em. Jeszcze się nie zdecydowałem. To wszystko mnie trochę zaskoczyło.

- W takim razie proszę włożyć krawat w kropki - powiedziała kobieta zdecydowanie. - Czy ma pan krawat w kropki?

- Myślę, że mam - odparłem.

Miałem granatowy krawat w małe kremowe kropki. Dostałem go na urodziny od żony dwa czy trzy lata temu.

- To proszę go założyć. W takim razie jeżeli pan pozwoli, zobaczymy się o czwartej - powiedziała i się rozłączyła.

Otworzyłem szafę i poszukałem krawatu w kropki, lecz nie było go na wieszaku. Zajrzałem do wszystkich szuflad, sprawdziłem też we wszystkich pudłach z ubraniami, ale krawat w kropki po prostu zniknął. Jeżeli znajdował się w domu, powinienem gdzieś na niego trafić. Kumiko była bardzo skrupulatna w porządkowaniu odzieży i było nie do pomyślenia, by jednego z moich krawatów brakowało na jego zwykłym miejscu. Wszystkie ubrania, i moje, i jej, wisiały jak zawsze uporządkowane. Pięknie poskładane koszule, gładkie i bez jednej zmarszczki, leżały w szufladzie, swetry w pudle, poprzekładane gęsto kulkami naftaliny. Otworzyłem pokrywę i aż mnie oczy rozboleły. W jednym z pudeł były ubrania Kumiko z okresu szkolnego. Minisukienka w kwiatki, granatowy mundurek licealny. Leżały tam jak stare albumy ze zdjęciami. Nie wiedziałem, dlaczego tak starannie przechowuje te rzeczy. Być może po prostu nie miała do tej pory okazji ich wyrzucić. A może zamierzała je kiedyś wysłać do Bangladeszu. Albo uczynić przedmiotem studiów kulturoznawczych. Tak czy inaczej mojego krawatu w kropki nigdzie nie było.

Z ręką na drzwiach szafy zastanowiłem się, kiedy ostatni raz miałem go na sobie, ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć. Był to gustowny, elegancki krawat, trochę zbyt ekstrawagancki na to, żebym mógł go nosić w kancelarii adwokackiej. Jeżeli zjawiłbym się w nim w pracy, ktoś podszedłby do mnie na pewno w czasie przerwy obiadowej i przez dłuższy czas powtarzał rze-

czy w rodzaju: „Świetny krawat. Ma ładny kolor i taki jest wesoły”, jednak stanowiłoby to coś w rodzaju ostrzeżenia. W naszym biurze taka pochwała absolutnie nie stanowiła powodu do dumy, toteż nigdy nie nosiłem tego krawatu do pracy. Wkładałem go jedynie, gdy szedłem na koncert albo elegancką kolację, czyli na stosunkowo oficjalne okazje w życiu prywatnym. Innymi słowy, w sytuacjach, gdy żona mówiła: „No, dziś musimy się porządnie ubrać”. Nie było ich tak wiele, ale zawsze wtedy zakładałem ten krawat w kropki. Pasował do granatowego garnituru i żonie się podobał. Teraz jednak zupełnie nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miałem go na sobie.

Jeszcze raz zajrzałem do szafy i poddałem się. Z jakiejś przyczyny krawat w kropki zniknął. Nie ma rady. Włożyłem granatowy garnitur, niebieską koszulę i krawat w paski. Jakoś to będzie. Ona może mnie nie poznać, ale wystarczy, że ja znajdę trzydziestoletnią kobietę w czerwonym kapeluszu.

Ubrany w garnitur usiadłem na kanapie i przez chwilę wpaływałem się w ścianę. Kiedy ostatni raz miałem na sobie garnitur? Ten granatowy był całoroczny i trochę za ciężki na tę porę roku, ale na szczęście tego dnia padał deszcz i było dość chłodno jak na czerwiec. Miałem go na sobie w ostatnim dniu pracy (w kwietniu). Nagle przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić kieszenie. W wewnętrznej na piersi znalazłem rachunek z datą z zeszłej jesieni. Był to rachunek za taksówkę. Powinienem był wystąpić do kancelarii o zwrot pieniędzy, ale teraz już za późno. Zmiałem go i wrzuciłem do kosza.

Przez dwa miesiące od odejścia z pracy ani razu nie włożyłem tego garnituru. Od dawna nienoszony, ciasno opinał moje ciało, które wydawało mi się jakieś obce. Garnitur był ciężki i sztywny, zupełnie do niego nie pasował. Wstałem, przeszedłem się po pokoju, stanąłem przed lustrem i pociągając poły i rękawy, próbowałem go dopasować. Wyciągnąłem ramiona, wziąłem głęboki oddech, zrobiłem skłon - sprawdzałem, czy przez te dwa miesiące zmienił się kształt mojej sylwetki. Potem znów usiadłem

na kanapie, ale jednak nie mogłem spokojnie usiedzieć.

Do wiosny codziennie chodziłem do pracy w garniturze i nie widziałem w tym nic dziwnego. W mojej kancelarii adwokackiej przywiązywano uwagę do ubioru i nawet tak nisko postawiony pracownik jak ja musiał nosić garnitur, dlatego też wkładałem go, idąc do pracy, i uważałem to za coś oczywistego.

Jednak teraz, siedząc tak w garniturze na kanapie, czułem, że robię coś niestosownego, wręcz nieprzyzwoitego. Miałem poczucie winy, jakbym podał komuś fałszywy życiorys w jakimś podejrzanym celu albo po cichu przebrał się za kobietę. Zrobiło mi się duszno. Poszedłem do przedpokoju, wyjąłem z szafki brązowe skórzane buty i włożyłem za pomocą łyżki do butów. Pokrywała je biała warstewka kurzu.

Nie musiałem szukać kobiety, ponieważ ona pierwsza mnie znalazła. Obszedłem kawiarnię dookoła, rozglądając się za czerwonym kapeluszem, lecz nikogo w takim nie zauważyłem. Spojrzałem na zegarek. Do czwartej brakowało jeszcze dziesięciu minut. Usiadłem przy stoliku, napiłem się wody, którą od razu przyniesiono, i zamówiłem u kelnerki kawę. Wtedy usłyszałem, że ktoś z tyłu wypowiada moje nazwisko. „Pan Toru Okada, prawda?”. Zaskoczony, odwróciłem się. Od czasu gdy obszedłem kawiarnię i usiadłem, nie minęły nawet trzy minuty.

Kobieta miała na sobie biały żakiet, żółtą jedwabną bluzkę i czerwony plastikowy kapelusz. Odruchowo wstałem i stanąłem naprzeciw niej. Można było ją nazwać piękną, a przynajmniej była o wiele ładniejsza od osoby, którą wyobraziłem sobie na podstawie słyszanego przez telefon głosu. Była szczupła, makijaż miała dyskretny. Trzymała się prosto. I bluzka, i żakiet były dobrze skrojone i w dobrym gatunku, w klapie żakietu błyszcząca złota broszka w kształcie piórka. Kobieta wyglądała trochę jak wysoko kwalifikowana sekretarka dyrektora, tylko ten czerwony kapelusz wydawał się zupełnie nie na miejscu. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ktoś ubrany z taką starannością specj-

alnie włożył czerwony plastikowy kapelusz. Może zawsze gdy się z kimś umawia, używa tego kapelusza jako znaku rozpoznawczego. Prawdopodobnie to niezły pomysł. Jeżeli chodziło o to, żeby się rzucać w oczy, kapelusz dobrze spełniał swoją rolę.

Kobieta usiadła po drugiej stronie stolika, a ja wróciłem na swoje miejsce.

- Jak pani mnie rozpoznała? - zapytałem zdziwiony. - Nie mogłem znaleźć krawatu w kropki. Musi gdzieś być, ale za nic nie mogłem go znaleźć. Dlatego nie mając wyboru, włożyłem ten w paski i miałem zamiar sam pani poszukać. Skąd pani wiedziała, że to ja?

- Oczywiście, że wiedziałam - odparła.

Potem postawiła na stoliku białą lakierowaną torebkę, zdjęła czerwony kapelusz i położyła na torebce, która zniknęła pod nim. Zdawało się, że kobieta za chwilę zacznie pokazywać sztuczki magiczne. Na przykład podniesie kapelusz i pod spodem nie będzie torebki.

- Ale mam inny krawat - powiedziałem.

- Krawat? - zapytała kobieta i skierowała zdziwiony wzrok na mój krawat, jakby mówiła „o co temu facetowi chodzi?”. - To mi wcale nie przeszkadza. Proszę się nie przejmować.

Ma przedziwne oczy, pomyślałem. Nie mają wcale głębi. Były ładne, ale zdawało się, że na nic nie patrzą. Wyglądały, jakby były zrobione ze szkła i nie miały nic w środku. Choć oczywiście nie były szklane. Poruszały się i mrugały.

Nie mogłem zrozumieć, jak mnie od razu znalazła w tej tłocznej kawiarni, choć nigdy przedtem mnie nie widziała. Duża kawiarnia była prawie pełna i wszędzie siedzieli faceci w moim wieku. Chciałem zapytać, jakim sposobem tak szybko wyłowила mnie z tłumu, lecz zdawało mi się, że lepiej nie zadawać niepotrzebnych pytań. Kobieta przywołała uwijającego się jak pszczołka kelnera i zamówiła wodę mineralną Perrier. Kelner powiedział, że nie ma Perrier, ale mają tonik. Kobieta zastanowiła się przez chwilę i powiedziała, że może być tonik. Siedzi-

ła w milczeniu, czekając na powrót kelnera. Ja też milczałem.

Wkrótce podniosła czerwony kapelusz, otworzyła klamerkę torebki i wyjęła z niej etui z czarnej błyszczącej skóry, nieco mniejsze niż kasetka magnetofonowa. Był to wizytownik. Też miał klamerkę. Nigdy przedtem nie widziałem etui z klamerką. Ostrożnie wyjęła jedną wizytówkę i wręczyła mi. Ja też chciałem jej dać swoją, ale gdy włożyłem rękę do kieszeni marynarki, przypomniałem sobie, że już nie mam wizytówek.

Wizytówka była z cienkiego plastiku i zdawała się lekko pachnieć trociczką. Kiedy zbliżyłem ją do nosa, zapach stał się wyraźniejszy. Niewątpliwie trociczka. Na wizytówce była tylko jedna linijka tekstu - imię i nazwisko wydrukowane drobnymi czarnymi literami.

Malta Kano

Malta?, pomyślałem. Odwróciłem wizytówkę. Z tyłu była pusta. Podczas gdy studiowałem wizytówkę, przyszedł kelner, postawił przed kobietą szklankę z lodem i napełnił ją do połowy tonikiem. W szklance znajdowała się częśćka cytryny. Potem przyszła kelnerka, niosąc na tacy srebrny dzbanuszek do kawy. Postawiła przede mną filiżankę, nalala kawę wstydliwym ruchem, jak ktoś wciskający komuś innemu niefortunną przepowiednię, położyła na stoliku rachunek i zniknęła.

- Nic tam nie jest napisane - oznajmiła Malta Kano. Dalej patrzyłem nieobecny wzrokiem na pustą stronę wizytówki. - Tylko imię i nazwisko. Nie potrzebuję numeru telefonu ani adresu, ponieważ nikt do mnie nie dzwoni. To ja dzwonię do ludzi.

- Aha - mruknąłem.

To pozbawione znaczenia puste słówko zawisło na chwilę nad stolikiem jak latająca wyspa w Podróżach Guliwera.

Trzymając szklankę w obu rękach, kobieta wypila przez słomkę niewielki łyk. Potem leciutko się skrzywiła i jakby straciwszy zainteresowanie napojem, odsunęła go na bok.

- Malta to nie jest moje prawdziwe imię - powiedziała. - Kano jest moim prawdziwym nazwiskiem, ale Malta to imię, którego

używam w pracy. Pochodzi od wyspy Malty. Czy pan był kiedyś na Malcie?

Odpowiedziałem, że nie. Nie byłem na Malcie. Nie wybieram się też w najbliższej przyszłości. Nawet nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby tam dojechać. Moja wiedza na temat Malty ogranicza się do piosenki Herba Alperta Maltańska melodia, która jest absolutnie beznadziejna.

- Ja byłem na Malcie przez trzy lata. Trzy lata tam mieszkałam. Na Malcie jest niesmaczna woda. Nie nadaje się do picia. Jakby się piło wodę morską rozcieńczoną zwykłą wodą. Chleb też jest słony, nie dlatego, że dodają do niego soli, a dlatego, że woda jest słona. Lecz chleb jest niezły. Lubię maltański chleb.

Przytaknąłem i napiłem się kawy.

- Więc na Malcie jest bardzo niesmaczna woda, ale woda ze źródła bijącego w pewnym miejscu wspaniale działa na elementy organizmu ludzkiego. Można powiedzieć, że to woda tak szczególna, że nieomal mistyczna. Źródło tej wody znajduje się tylko w tym jednym jedynym miejscu na Malcie. W górach. Z wioski u ich podnóża trzeba się wspinać przez wiele godzin - ciągnęła. -1 nie można jej transportować. Gdy woda zostaje przeniesiona w inne miejsce, traci skuteczność i dlatego, aby się jej napić, trzeba się udać aż do źródła. Opisy tej wody znajdują się w oryginalnych tekstach z okresu wypraw krzyżowych. Nazywano ją wodą duszy. Allen Ginsberg pojechał się jej napić. Keith Richards też tam był. Ja tam mieszkałam trzy lata. W małej wiosce u podnóża gór. Hodowałam jarzyny i uczyłam się tkactwa. Codziennie chodziłam do źródła i piłam. Od 1976 roku do 1979. Raz przez tydzień nic nie jadłam i piłam tylko tę wodę. Przez tydzień nie wolno spożyć niczego innego. Uważa się, że taka wewnętrzna dyscyplina jest potrzebna. Chyba można to nazwać praktykowaniem ascezy. W ten sposób oczyszcza się własne ciało. Było to naprawdę wspaniałe doświadczenie. I właśnie dlatego po powrocie do Japonii postanowiłam w sprawach zawodowych używać imienia Malta.

- Czy wolno spytać, czym pani się zajmuje? - zapytałem.

Malta Kano potrząsnęła głową.

- Nie jest to praca w ścisłym tego słowa znaczeniu. Nie dosta-  
ję za nią wynagrodzenia. Moja rola polega na konsultowaniu,  
rozmowie o elementach organizmu. Zajmuję się też badaniem  
dobroczynnego wpływu wody na te elementy. Nie zależy mi na  
pieniądzach, ponieważ posiadam znaczny majątek. Ojciec pro-  
wadzi szpital. Podarował mnie i młodszej siostrze akcje oraz ni-  
eruchomości w formie funduszu powierniczego. Zarządza tym  
doradca podatkowy. Mam więc co roku zapewnione dochody.  
Napisałam wiele książek i z tego też mam dochód, choć niewiel-  
ki. Za pracę związaną z funkcjonowaniem poszczególnych ele-  
mentów organizmu nie pobieram żadnych opłat, dlatego też nie  
umieściłam na wizytówce ani adresu, ani numeru telefonu. To ja  
dzwonię do innych.

Przytaknąłem, lecz był to jedynie gest. Rozumiałem każde jej  
słowo z osobna, ale nie mogłem pojąć tej historii jako całości.  
Elementy organizmu? Allen Ginsberg? Byłem coraz bardziej za-  
niepokojony. Nie jestem bynajmniej obdarzony szczególną intu-  
icją, jednak tutaj niewątpliwie wywęszyłem jakieś nowe kłopoty.

- Przepraszam bardzo, ale czy mogłaby pani mi wszystko wy-  
tłumaczyć po kolei? Dopiero co żona poprosiła mnie, bym się z  
panią spotkał i porozmawiał w sprawie kota. A kiedy tak teraz  
pani słucham, szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, jak ma  
się jedno do drugiego. Czy to wszystko ma jakiś związek z na-  
szym kotem?

- Tak - powiedziała kobieta. - Jednak chciałabym przedtem  
coś panu powiedzieć. - Malta Kano otworzyła klamerkę torebki  
i wyjęła białą kopertę ze zdjęciem w środku. Podała mi je, mó-  
wiąc: - To moja młodsza siostra.

- Na zdjęciu były dwie kobiety. Jedną z nich była Malta Ka-  
no, która i tu miała na głowie kapelusz. Żółty, szydełkowy kape-  
lusz. Ten kapelusz też fatalnie gryzł się z resztą jej stroju. Siost-



ra - zakładałem, że to musi być siostra, o której przedtem wspomniała - ubrana była w stylu modnym na początku lat sześćdziesiątych. Miała na sobie pastelowy kostium i pasujący do niego kolorem kapelusz. Zdawało mi się, że dawniej ludzie nazywali takie zestawienia kolorystyczne „barwami sorbetów”. Pomyślałem, że obie siostry muszą lubić kapelusze. Fryzura młodszej przypominała do złudzenia fryzury Jacqueline Kennedy z okresu prezydentury jej męża. Takie ułożenie włosów musiało wymagać dużej ilości lakieru. Makijaż był trochę za mocny, ale rysy twarzy miała tak regularne, że można je było nazwać pięknymi. Była w wieku między dwadzieścia dwa a dwadzieścia pięć lat. Przez chwilę przyglądałem się zdjęciu, a potem zwróciłem je Malcie Kano. Włożyła je z powrotem do koperty, a kopertę do torebki, którą zamknęła na klamerkę.

- Siostra jest ode mnie o pięć lat młodsza - powiedziała Malta Kano.

- Została zbrukana przez pana Noboru Watayę. Brutalnie zgwałcona.

O rany, pomyślałem. Miałem ochotę bez słowa wstać i wyjść, lecz było to niemożliwe. Wyjąłem chusteczkę z kieszeni marynarki, otarłem usta i wsadziłem ją do tej samej kieszeni. Potem odchrząknąłem.

- Nie wiem, co się dokładnie stało, ale jest mi naprawdę bardzo przykro, jeżeli pani siostra z tego powodu ucierpiała - zacząłem. - Jednak chciałbym, żeby pani zrozumiała, że nie jestem w szczególnie bliskich stosunkach z bratem żony. Więc jeżeli w związku z tą sprawą coś...

- Ja pana w związku z tym o nic nie winię - powiedziała sucho Malta Kano. - Jeżeli ktoś tu zawinił, to raczej ja. Nie byłam wystarczająco ostrożna. Powinnam była chronić siostrę, jednak z powodu różnych okoliczności nie mogłam tego zrobić. Takie rzeczy się zdarzają. Jak pan sam dobrze wie, świat jest pełen przemocy i chaosu, w niektórych miejscach tej przemocy i chaosu jest jeszcze więcej niż gdzie indziej. Rozumie pan? Co się

stało, już się nie odstanie. Siostra pewnie dojdzie do siebie po tym ciosie, po tym zbrukaniu. Na szczęście nie stało się najgorsze. Siostrze też powiedziałam, że przecież mogło być jeszcze gorzej. Najbardziej martwię się elementami jej organizmu.

- Elementami - powtórzyłem.

Najwyraźniej wszystko, o czym mówiła, zawsze kończyło się na elementach organizmu.

- Nie mogę tu panu dokładnie wytłumaczyć wszystkich powiązanych z tym okoliczności. To długa i skomplikowana historia, a poza tym - choć może to niegrzecznie z mej strony tak mówić - sędzę, że na obecnym etapie trudno byłoby panu dokładnie zrozumieć jej prawdziwy charakter, dlatego że traktuje o świacie, którym zajmujemy się zawodowo. I nie poprosiłam pana tutaj, by zgłaszać pretensje w tamtej sprawie. Oczywiście pan jest całkowicie bez winy. Co do tego nie ma wątpliwości. Chciałam tylko, by pan się dowiedział, że elementy mojej siostry zostały - choć tylko na pewien czas - zbrukane. Przypuszczam, że w przyszłości zetknie się pan w taki czy inny sposób z moją siostrą, dlatego że -jak wcześniej wspomniałam - siostra pracuje dla mnie, jest kimś w rodzaju asystentki. Myślę więc, że w takim wypadku lepiej, by pan wiedział, co zaszło między moją siostrą a panem Watayą. Chciałam, by był pan świadom, że takie rzeczy mogą się zdarzyć.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Malta Kano siedziała bez słowa, a jej twarz zdawała się mówić „pomyśl o tym troszeczkę”. Więc trochę o tym pomyślałem. O tym, że Noboru Wataya zgwałcił siostrę Malty Kano i o związku między tym a elementami organizmu. A także o tym, jaki to ma związek z naszym zaginionym kotem.

- To znaczy - zacząłem niepewnie - że ani pani, ani siostra nie mają zamiaru mówić o tym publicznie ani zawiadamiać policji?

- Oczywiście, że nie - powiedziała Malta Kano obojętnie. - Ścisłej mówiąc, nikogo nie oskarżamy. Raczej próbujemy się dokładnie dowiedzieć, co wywołało takie wydarzenie. Jeżeli się

nie dowiemy i nie rozwikłamy tej sprawy, może się przecież zdarzyć coś jeszcze gorszego.

Trochę się uspokoiłem, gdy to usłyszałem. Specjalnie by mi to nie przeszkadzało, gdyby Noboru Wataya został aresztowany pod zarzutem gwałtu, uznany za winnego i wtrącony do więzienia. Wydawało mi się nawet, że na to zasłużył. Lecz brat żony był dość znanym człowiekiem, więc sprawa dostałaby się do mediów i na pewno byłby to szok dla Kumiko. A więc ze względu na mój własny komfort psychiczny nie chciałem, by do tego doszło.

- Dzisiaj spotkaliśmy się tylko w sprawie kota - powiedziała Malta Kano. - Pan Wataya poradził się mnie w sprawie kota. Pana małżonka, pani Kumiko Okada, poradziła się pana Watai w sprawie zaginionego kota, a on poradził się mnie.

Aha, w takim razie wszystko rozumiem. Ona jest jasnowidzem czy czymś w tym rodzaju i poproszono ją o pomoc w znalezieniu kota. Rodzina Wataya od dawna wierzyła w przepowiadanie przyszłości, żyły wodne pod domem itp. Oczywiście każdy ma do tego prawo. Może sobie wierzyć, w co chce. Ale po co zaraz gwałcić młodszą siostrę takiej osoby? Po co pakować się w kłopoty? Po co robić niepotrzebne zamieszanie?

- Pani zawodowo zajmuje się takimi poszukiwaniami? - zapytałem.

Malta Kano, nieporuszona moimi słowami, patrzyła na mnie tymi swoimi pozbawionymi głębi oczami, które wyglądały, jakby wpatrywały się przez okno we wnętrze pustego domu. Sądząc z wyrazu jej oczu, zupełnie nie rozumiała intencji mojego pytania.

- Mieszka pan w przedziwnym miejscu. - Zignorowała moje pytanie.

- Tak? - zapytałem. - W jakim sensie przedziwnym?

Malta Kano nie odpowiedziała i odsunęła jeszcze o dziesięć centymetrów szklanek z tonikiem, którego praktycznie nie tknęła. - A koty są bardzo wrażliwymi stworzeniami.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Rozumiem, że mieszkam w przedziwnym miejscu i koty są wrażliwymi stworzeniami - powiedziałem. - Ale my tam mieszkamy od dość dawna. Razem z kotem. Dlaczego on nagle teraz sobie poszedł? Dlaczego nie odszedł wcześniej?

- Nie znam dokładnie przyczyny. Prawdopodobnie dlatego, że zmienił się nurt. Coś go zablokowało.

- Nurt - powtórzyłem.

- Nie wiem jeszcze, czy kot żyje, czy już nie, ale jedno jest pewne: nie ma go w pobliżu pana domu. Raczej go pan nie znajdzie, choćby nie wiem jak pan szukał.

Podniosłem do ust filiżankę i wypilem łyk wystygłej kawy. Widać było, że za oknem pada drobny deszcz. Na niebie wisiły nisko czarne chmury.

Ludzie pod parasolami melancholijnie wchodzili i schodzili po schodach kładki biegnącej nad ulicą.

\_ Proszę wyciągnąć rękę - powiedziała kobieta.

Położyłem na stoliku lewą rękę otwartą dłońią ku górze. Pomyślałem, że pewnie przepowie mi przyszłość, lecz zdawało mi się, że Malta Kano nie jest wcale zainteresowana wróceniem z ręki. Wyciągnęła rękę i przykryła moją dłoń swoją. Potem zamknęła oczy i siedziała tak chwilę bez ruchu. Zupełnie jakby robiła ciche wyrzuty niewiernemu kochankowi. Przyszła kelnerka i udając, że nie widzi, jak siedzimy w milczeniu, trzymając się za ręce, dołała mi kawy. Ludzie dokoła popatrywali w naszą stronę. Modliłem się, by nie było tu nikogo z moich znajomych.

- Proszę pomyśleć o jednej rzeczy, którą pan widział przed przyjściem tutaj - powiedziała Malta Kano.

- Tylko jednej? - zapytałem.

- Tak, tylko jednej.

Pomyślałem o minisukience w kwiatki, którą widziałem w pudle z ubraniami żony. Nie wiem, dlaczego nagle właśnie ona przyszła mi do głowy. Siedzieliśmy tak jeszcze przez pięć minut, trzymając się za ręce. Wydawało mi się, że strasznie długo.

Nie tylko dlatego, że denerwowały mnie spojrzenia siedzących dookoła ludzi. W dotyku ręki kobiety było coś niepokojącego. Miała małe dłonie, ani gorące, ani zimne. Dotyk jej ręki nie był intymny jak dotyk ręki kochanej osoby ani mechaniczny jak dotknięcie lekarza. Był bardzo podobny do jej oczu. Kiedy mnie dotykała, podobnie jak kiedy na mnie patrzyła, czułem się jak pusty dom. W środku nie było mebli, zasłon ani dywanów. Jak pusty pojemnik. Wkrótce Malta Kano cofnęła rękę i odetchnęła głęboko. Potem kilkakrotnie przytaknęła.

- Proszę pana - powiedziała. - Myślę, że niebawem w pana życiu zdarzą się różne rzeczy. Sprawa kota to prawdopodobnie tylko początek.

- Różne rzeczy? - zapytałem. - Będą to dobre rzeczy czy złe?

Malta Kano lekko pokręciła głową, jakby się zastanawiając.

- Będą i dobre rzeczy, a pewnie także i złe. Mogą być złe rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydadzą się dobre, i dobre, które na pierwszy rzut oka wydadzą się złe.

- Dla mnie brzmi to raczej jak ogólna teoria - powiedziałem. - Nie ma pani trochę bardziej konkretnych informacji?

- Ma pan rację. To, co mówię, brzmi zapewne jak ogólna teoria - odparła Malta Kano. - Ale bardzo często się zdarza, że prawdziwe sedno jakiejś rzeczy można opisać jedynie za pomocą ogólników. Proszę to zrozumieć. Nie jesteśmy wróżbitami ani prorokami. Możemy mówić tylko w taki niejasny sposób. W wielu przypadkach są to rzeczy tak oczywiste, że nie ma sensu o nich wspominać, czasem po prostu trywialne. Jednak szczerze mówiąc, tylko w ten sposób można iść do przodu. Konkretnie rzeczy niewątpliwie przyciągają uwagę, lecz większość z nich to tylko drobnostki, jakby niepotrzebne zbaczanie z drogi. Im dalej próbuje człowiek spojrzeć, tym bardziej się wszystko uogólnia.

Skinąłem głową w milczeniu, choć oczywiście nie zrozumiałem nic z tego, co mówiła.

- Czy mogę jeszcze do pana zadzwonić? - zapytała Malta Kano.

- Proszę - odparłem. Szczerze mówiąc chciałem, żeby już nikt nigdy do mnie nie dzwonił, ale co mogłem powiedzieć oprócz „proszę”.

Szybko podniosła ze stołu czerwony plastikowy kapelusz i ukrytą pod nim torebkę i wstała. Nie wiedząc, jak zareagować, siedziałem nieporuszony.

- Powiem panu tylko jedną drobnostkę - powiedziała Malta Kano, która, nałożywszy czerwony kapelusz, patrzyła na mnie z góry. - Pana krawat w kropki znajdzie się gdzie indziej, nie w domu.

#### **4. O wysokiej wieży i głębokiej studni, czyli bardzo daleko od Nomonhan**

Kumiko wróciła do domu w dobrym humorze. W wyjątkowo dobrym humorze. Była już prawie szósta, gdy po spotkaniu z Maltą Kano dotarłem do domu, nie miałem więc czasu na przygotowanie porządnej kolacji przed powrotem Kumiko i przyrządziłem coś prostego z mrożonek. Zjedliśmy, popijając piwem. Jak zawsze, gdy była w dobrym humorze, Kumiko opowiadała o pracy, o tym, z kim się tego dnia w biurze widziała, co robiła, kto z jej kolegów ma talent, a kto nie.

Słuchałem i przytakiwałem. Docierała do mnie mniej więcej połowa, ale nie znaczy to, że słuchanie było nieprzyjemne. Nie miało nawet znaczenia, co mówiła, lubiłem na nią patrzeć, gdy siedząc przy kolacji, z entuzjazmem opowiadała o pracy. Rodzina, pomyślałem, a w niej każde z nas wykonuje przypadające nam obowiązki. Ona mówi o pracy, ja szykuję kolację i słucham. Znacznie różniło się to od niejasnego obrazu rodziny, który sobie stworzyłem przed ślubem, jednak jakkolwiek na to patrzeć, był to rezultat mojego wyboru. Oczywiście w dzieciństwie miałem własną rodzinę, lecz nie była ona wybrana przeze mnie, a jakby wrodzona, dana mi czy mi się to podobało, czy nie. Teraz żyłem w świecie nabytym, który wybrałem z własnej woli. To moja rodzina. Oczywiście trudno ją nazwać idealną, jednak

byłem zasadniczo gotów tę rodzinę przyjąć i żyć w niej bez względu na to, jakie trudności mogły się narodzić. Był to mój własny wybór i jeżeli istniały tu jakieś problemy, ich źródło musiało tkwić we mnie.

- No i co w końcu stało się z kotem? - zapytała.

Opowiedziałem jej pokrótce o spotkaniu z Malłą Kano w hotelu w Shinagawa. Powiedziałem o krawacie w kropki. O tym, że nie wiadomo dłaczego, nie mogłem go w szafie znaleźć. O tym, że mimo to Malta Kano od razu rozpoznała mnie w zatłoczonej kawiarni. O tym, jak była ubrana i jak się wyrażała. Opowiedziałem Kumiko o tym wszystkim i ubawiła ją historia o czerwonym, plastikowym kapeluszu Malty Kano, lecz zdawała się rozczarowana faktem, że nie otrzymaliśmy jasnej odpowiedzi na pytanie, co się stało z naszym zaginionym kotem.

- To znaczy, że ona też nie wie, co się stało z kotem? - zapytała Kumiko niezadowolona. - Wie tylko, że nie ma go już w tej okolicy?

- No tak - odparłem. Postanowiłem nie wspominać o sugestii Malty Kano, że mieszkamy w miejscu, w którym „nurt jest zablokowany”, co może mieć związek z zaginięciem kota, ponieważ wydawało mi się, że Kumiko może to sobie wziąć do serca. Nie chciałem dodatkowego zawracania głowy. Poza tym byłby kłopot, gdyby Kumiko powiedziała „skoro to miejsce jest złe, przeprowadźmy się szybko gdzieś indziej”. Nasza obecna sytuacja ekonomiczna wykluczała przeprowadzkę. - Kota nie ma już w tej okolicy. Tak powiedziała.

- To znaczy, że już nie wróci do domu?

- Tego nie wiem - odparłem. - Mówiła bardzo niejasno. Samymi aluzjami. Powiedziała, co prawda, że się skontaktuje, jeśli się dowie czegoś konkretnego.

- Myślisz, że można jej zaufać?

- Nie wiem. Zupełnie się nie znam na takich rzeczach.

Dolałem sobie piwa i przez chwilę przyglądałem się, jak piwana opada w szklance. Kumiko podparła twarz dłońmi.

- Ta kobieta nie przyjmuje pieniędzy, nie bierze nic za fatygę.  
- To dobrze - powiedziałem. - Czyli nie ma problemu. Nie bierze pieniędzy, nie chce nam odebrać dusz, nie próbuje uprowadzić królowny. Nie mamy nic do stracenia.

- Musisz zrozumieć, że ten kot jest dla mnie bardzo ważny - powiedziała żona. - Myślę, że może być bardzo ważny dla nas. Znaleźliśmy go razem tydzień po ślubie. Pamiętasz, jak to było, prawda?

- Oczywiście, że pamiętam - powiedziałem.

- Był tylko kociakiem, zupełnie przemokniętym na deszczu. Tego dnia lało i wyszłam po ciebie na stację. Z parasolem. I w drodze do domu znaleźliśmy go porzuconego w skrzynce na piwo, stojącej obok sklepu monopolowego. Był to mój pierwszy kot w życiu. Ma dla mnie symboliczne znaczenie i dlatego nie mogę go stracić.

- Dobrze to rozumiem - powiedziałem.

- A jednak nie znalazł się, choć tak go szukałam, choć ciebie poprosiłam, żebyś szukał. Nie było go już od dziesięciu dni i nie widząc innego sposobu, zadzwoniłam do brata. Zapytałam, czy nie zna jakiegoś wróżbity albo jasnowidza, który pomógłby nam znaleźć kota. Wiem, że nie lubisz go o nic prosić, ale on poszedł w ślady ojca i zna się na takich rzeczach.

- Tradycja rodzinna - powiedziałem głosem chłodnym jak powiew wiatru o zmierzchu na zatoczką. - Ale skąd Noboru Wataya zna tę kobietę?

Żona wzruszyła ramionami.

- Pewnie gdzieś ją przypadkiem poznał. Ostatnio ma stosunki w różnych środowiskach.

- Pewnie tak.

- Podobno ta kobieta ma niezwykle zdolności, ale jest dość ekscentryczna - powiedziała Kumiko, mechanicznie grzebiąc widelcem w zapiekance z makaronem. - Jak ona się nazywa?

- Malta Kano - odparłem. - Malta Kano, która odbywała praktyki ascetyczne na Malcie.



- Tak, tak, pani Malta Kano. Co o niej sądzisz?

- Hm... - powiedziałem. Potem spojrzałem na swoje dłonie leżące na stole. - Przynajmniej nie nudziłem się, rozmawiając z nią, a to już coś. Na świecie jest mnóstwo niezrozumiałych rzeczy i ktoś musi tę pustkę wypełnić. I jeśli tak ma być, lepiej, żeby to robili ludzie, którzy są interesujący, a nie nudziarze, prawda? Tacy jak pan Honda.

Usłyszawszy ostatnie zdanie, Kumiko wesoło się roześmiała.

- Nie sądzisz, że był dobrym człowiekiem? Ja bardzo lubiłam pana Hondę.

- Ja też - powiedziałem.

Przez prawie rok po ślubie raz w miesiącu odwiedzaliśmy pewnego staruszka nazwiskiem Honda. Był medium, jednym z wysoko cenionych przez rodzinę Watayów, ale miał strasznie słaby słuch i nasze słowa prawie do niego nie docierały. Nosił aparat słuchowy, lecz mimo to był prawie głuchy.

Mówiąc do niego, musieliśmy tak krzyczeć, że ściany drżały. Zastanawiałem się, jak ktoś taki może dosłyszeć, co mówią duchy. A może właśnie było na odwrót: łatwiej usłyszeć głosy duchów, jeżeli jest się głuchym. Stracił słuch wskutek rany odniesionej w czasie wojny. W 1939 roku służył jako podoficer w Armii Kwantuńskiej i w bitwie pod Nomonhan na pograniczu Mandżurii i Mongolii w czasie walki z połączonymi siłami radzieckimi i mongolskimi z powodu jakiejś kanonady czy wybuchu granatu pękły mu bębunki w uszach.

Nie chodziliśmy do pana Hondy z powodu wiary w jego zdolności spirytystyczne. Mnie takie rzeczy nie interesowały, a i Kumiko, w porównaniu z rodzicami czy bratem, o wiele mniej wierzyła w takie nadprzyrodzone zjawiska. Była w pewnym stopniu przesądna i bardzo brała sobie do serca niepomysłne przepowiednie, ale sama ich nie szukała.

Spotykaliśmy się z panem Hondą na polecenie ojca Kumiko. Prawdę mówiąc, był to warunek, pod jakim zgodził się na nasze małżeństwo. To dość dziwny warunek, ale postanowiliśmy uni-

kać niepotrzebnych kłopotów. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się wcale, że rodzice Kumiko łatwo zgodzą się na nasz ślub. Jej ojciec był pracownikiem struktur rządowych. Młodszy syn chłopca z prefektury Niigata, z rodziny, którą trudno by nazwać zamożną, dostał stypendium i skończył ze znakomitymi wynikami Uniwersytet Tokijski. Potem stał się członkiem elity pracowników rządowych w Ministerstwie Transportu, co obojście uważam za niemałe osiągnięcie. Lecz, jak to bywa z takimi ludźmi, przepełniła go duma i przekonanie o własnej słuszności. Przywykł do wydawania rozkazów i ani trochę nie wątpił w słuszność systemu wartości, który obowiązywał w jego świecie. Nie kwestionował autorytetu ludzi zajmujących wyższą pozycję w hierarchii, nie czuł też najmniejszego oporu przed depntaniem tych, którzy znaleźli się niżej niż on. Ani ja, ani Kumiko nie przypuszczaliśmy, że taki człowiek radośnie przyjmie na zięcia kogoś takiego jak ja - bez pozycji, bez układów rodzinnych, o niezbyt imponującym wykształceniu, a więc praktycznie niemającego perspektyw na przyszłość, dwudziestoczteroletniego chłopaka bez grosza przy duszy. Gdyby rodzice Kumiko zdecydowanie się sprzeciwili, mieliśmy zamiar wziąć po prostu ślub i żyć sobie z dala od nich. Bardzo się kochaliśmy i byliśmy młodzi. Wierzyliśmy, że nawet jeżeli odetniemy się od rodziców, nawet bez grosza, razem będziemy szczęśliwi.

Gdy poszedłem do rodziców Kumiko, by poprosić o jej rękę, potraktowali mnie strasznie chłodno, zupełnie jakby nagle otwarty się drzwi wszystkich lodówek na świecie. Potem dogłębnie zbadali moją sytuację rodzinną. Nie było w niej nic zasługującego na szczególną wzmiankę: nic dobrego ani nic złego, dlatego była to jedynie strata czasu i pieniędzy. Do tamtego czasu nie miałem pojęcia, co moi przodkowie robili w okresie Edo<sup>\*1</sup>. Z badań rodziny Kumiko wynikało, że mieli tendencję do zostawiania mnichami lub uczonymi. Ogólnie byli też dość dobrze wykształceni, lecz niemający umiejętności praktycznego wykorzystania

---

1\* Okres Edo - 1603-1868

wiedzy (czyli talentu do robienia pieniędzy). Nie było wśród nich geniuszy, ale nie było też przestępców. Nikt nie dostał orderu zasługi, lecz nikt nie popełnił też samobójstwa z powodu aktorki. Był wśród nich jeden członek Shinsengumi<sup>\*\*</sup>, a także ktoś zupełnie nieznan, kto w czasie Restauracji Meiji popełnił harakiri w bramie świątynnej, bolejąc nad losem czekającym Japonię. Były to najbarwniejsze postaci wśród moich przodków, lecz wyglądało na to, że potomkowie nie poszli ich śladem.

Pracowałem wtedy w kancelarii adwokackiej. Rodzice Kumiko zapytali, czy zamierzam iść na aplikację adwokacką. Powiedziałem, że mam taki zamiar. I rzeczywiście, chociaż się wahałem, wtedy myślałem jeszcze, żeby nie marnować tej szansy, trochę się postarać i spróbować zdać egzamin. Gdy jednak sprawdzili moje oceny ze studiów, od razu stało się jasne, że nie mam szans na zdanie egzaminów. Właściwie więc byłem nieodpowiednim kandydatem na męża ich córki. Jednak w końcu, co prawda z oporami, zgodzili się na nasze małżeństwo. Zakrawało to na cud i zawdzięczaliśmy to panu Hondzie.

Po wysłuchaniu różnych informacji na mój temat pan Honda oświadczył: „Jeżeli chcą państwo wydać córkę za męża, nie znajdziecie równie wspaniałego kandydata. Jeśli córka chce za niego wyjść, absolutnie nie mogą się państwo sprzeciwić. Sprzeciw wywoła wyjątkowo złe skutki”. A ponieważ rodzice Kumiko wierzyli wtedy panu Hondzie bez zastrzeżeń, nie mogli się nie zgodzić z jego oceną i nie mając innego wyjścia, przyjęli mnie na zięcia.

Jednak i tak na zawsze pozostałem dla nich kimś z zewnątrz, nieproszonym gościem. Zaraz po ślubie mieliśmy obowiązek odwiedzać ich dwa razy miesiącu i zjadać z nimi posiłek. Było to naprawdę nie do wytrzymania, stanowiło coś pomiędzy bezsensownym umartwianiem się a okrutną torturą. Podczas jedze-

---

<sup>\*\*</sup> Shinsengumi - założona w 1863 roku i popierająca władzę cesarską patriotyczna organizacja samurajów, którzy opuścili swych panów, uważając, że szogunat nie będzie w stanie przeciwstawić się cudzoziemcom, domagającym się otwarcia Japonii.

nia miałem wrażenie, że stół jest rozmiarów dworca kolejowego. Na tamtym końcu oni coś jedzą i rozmawiają, a ja jestem zbyt daleko i widzą mnie tylko jako maleńki punkcik. W rok po ślubie straszliwie pokłóciłem się z ojcem Kumiko i od tego czasu przestaliśmy się widywać. Dopiero wtedy odetchnąłem z ulgą. Nic tak człowieka nie wyczerpuje jak niepotrzebny, bezsensowny wysiłek.

Tuż po ślubie starałem się jednak w miarę możliwości przez pewien czas utrzymywać poprawne stosunki z rodziną żony. Stosunkowo najmniej cierpienia wywoływały comiesięczne wizyty u pana Hondy.

Wynagrodzenie pana Hondy regulował ojciec Kumiko, my musieliśmy tylko raz w miesiącu pójść z dwulitrową butelką sake do jego domu w Meguro i wysłuchać, co miał nam do powiedzenia. Nic wielkiego.

Poza tym od razu polubiliśmy pana Hondę. Pominąwszy fakt, że był głuchy i zawsze miał bardzo głośno nastawiony telewizor - hałas panował naprawdę nie do zniesienia - okazał się bardzo miłym starszkiem. Lubił sake i twarz mu się rozjaśniała, gdy przynosiliśmy dużą butelkę.

Zawsze chodziliśmy do niego przed południem. I zimą, i latem siedział w pokoju wyłożonym matami przy stole z podgrzewanym od dołu blatem. Zimą pod blatem znajdowała się kapa do okrycia nóg i włączano grzejnik, latem nie było kapy ani ogrzewania. Ten dość znany wróżbita żył wyjątkowo skromnie, można nawet powiedzieć: ascetycznie. Dom był mały, sień tak ciasna, że jedna osoba ledwo mogła tam zdjąć i włożyć buty. Maty były zniszczone, pęknięte szkło w oknie sklejoną taśmą. Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się warsztat samochodowy i zawsze dobiegały stamtąd jakieś krzyki. Pan Honda nosił coś pośredniego między ubraniem roboczym a piżamą, strój nienoszący śladów niedawnego prania. Mieszkał sam, lecz codziennie przychodziła kobieta do pomocy, która sprzątała i przygotowywała posiłki. Jednak nie wiedzieć czemu, najwyraźniej sta-

nowczo sprzeciwiał się praniu swoich ubrań. Jego zapadnięte policzki pokrywał rzadki siwy zarost.

Najświetniejszą rzeczą w całym domu był przygniatający swym rozmiarem olbrzymi telewizor kolorowy, zawsze nastawiony na kanał NHK. Nie wiedziałem, czy pan Honda szczególnie lubi programy NHK, czy też nie chciało mu się zmieniać kanałów, a może był to specjalny telewizor, na którym dało się odbierać tylko NHK.

Gdy przychodziliśmy, zawsze siedział zwrócony ku wnętrzu, w której stał telewizor, i bawił się leżącymi na stole różdżkami. Telewizor ryczał nieustannie, pokazując programy o gotowaniu, o hodowli drzewek bonsai, wiadomości, dyskusje polityczne. Nigdy nie lubiłem manieri, z jaką mówią spikerzy NHK, więc w domu pana Hondy zawsze wpadałem w lekkie zdenerwowanie. Słuchałem ich i miałem wrażenie, że grając na ludzkich uczuciach, próbują zlikwidować różne rodzaje problemów społeczeństwa, wywołanych jego niedoskonałością.

- Prawo może do ciebie nie pasować - powiedział pewnego dnia pan Honda.

Mógł mówić do kogoś siedzącego dwadzieścia metrów za mną.

- Ach tak? - zapytałem.

- Krótko mówiąc, prawo rządzi sprawami tego świata. Świata, na którym cień to cień, a światło to światło, yin to yin, a yang to yang. Na którym ja to ja, a on to on. „Ja jestem mną, a on nim, jesienny zmierzch". Ale ty do niego nie należysz. Należysz albo do tego nad nim, albo pod nim.

- Który jest lepszy? Ten nad czy ten pod? - zapytałem powodowany czystą ciekawością.

- Żaden nie jest lepszy - powiedział pan Honda. Potem rozkaszał się i wypluł flegmę na ligninę. Przez chwilę jej się przyglądał, a potem zmiął i wyrzucił do kosza. - To nie jest coś, co można określać jako dobre lub złe. To, co ma iść w górę, idzie w górę, a to, co w dół, idzie w dół, nie opierając się nurtowi.

Gdy trzeba iść w górę, należy znaleźć najwyższą wieżę i wspiąć się na sam szczyt. A gdy ktoś ma iść w dół, powinien znaleźć najgłębszą studnię i zejść na samo dno. Kiedy nie ma nurtu, należy spokojnie czekać. Jeżeli przeciwstawisz się nurtowi, wszystko wyschnie. A jeśli wszystko wyschnie, świat wypełni ciemność. „Ja jestem nim, a on mną, wiosenny wieczór”. Gdy odrzuci się siebie, ma się siebie.

- Czy teraz nie ma nurtu? - zapytała Kumiko.

- Co?

- CZY TERAZ NIE MA NURTU??!!

- Teraz nie ma - przytaknął pan Honda. - Dlatego musi spokojnie czekać. Nic nie trzeba robić. Tylko musi uważać na wodę. Być może będzie w przyszłości cierpiał w związku z wodą. Wodą, której nie ma w miejscu, gdzie powinna być. Wodą w miejscu, w którym nie powinna być. Tak czy inaczej trzeba bardzo uważać na wodę.

Siedząca obok Kumiko przytaknęła z wielką powagą, ale widziałem, że próbuje powstrzymać się od śmiechu.

\_ Na jaką wodę? - zapytałem.

\_ Nie wiem, ale wiem, że chodzi o wodę - powiedział pan Honda.

W telewizji profesor jakiegoś uniwersytetu mówił, że bałagan panujący gramatyce japońskiej jest wiernym odzwierciedleniem bałaganu panującego w sposobie życia. „Ściśle mówiąc, nie można tego nazwać bałaganem. Gramatyka przypomina jakby powietrze. Nawet jeżeli ktoś na górze zdecyduje, że teraz tak zrobimy, wcale tak się nie stanie” - stwierdził. Temat wydawał się interesujący, ale pan Honda mówił dalej o wodzie.

- Szczerze mówiąc, naprawdę cierpiałem z powodu wody - powiedział. - W Nomonhan wcale jej nie było. Linia frontu się powykrzywiła, dostawy zostały przerwane. Nie było wody. Nie było pożywienia. Nie było bandaży. Nie było amunicji. To była straszna bitwa. Ważne figury na tyłach interesowały się tylko tym, które tereny zajmiemy i jak szybko. Nikt nie myślał o dos-

tawach. Raz prawie nic nie piłem przez trzy dni. Rano wyjmowałem ręcznik, który stawał się nocą lekko wilgotny. Wyciskałem go i wypijałem tych kilka kropel wody, ale to tylko tyle. Poza tym nie było żadnej wody. Wtedy naprawdę myślałem, że lepiej umrzeć. Nie ma nic gorszego niż nieugaszone pragnienie. Chętnie dałbym się zastrzelić, byle tylko nie cierpieć tego pragnienia. Moi towarzysze postrzeleni w brzuch krzyczeli, błagając o wodę. Niektórzy nawet zwariowali. To było prawdziwe piekło na ziemi. Przed oczami mieliśmy wielką rzekę. Gdybyśmy do niej doszli, wody byłoby w bród, lecz nie mogliśmy tam iść. Między nami a rzeką stał cały czas rząd sowieckich czołgów z miotaczami ognia. Pozycje karabinów maszynowych wyglądały jak poduszeczki do szpilek. Na pagórkach stali wyborowi strzelcy. Wieczorami wystrzeliwali race. My mieliśmy tylko karabiny piechoty kaliber trzydzieści osiem i po dwadzieścia pięć naboii. Wielu z moich towarzyszy mimo to poszło do rzeki po wodę. Nie mogli znieść pragnienia. Ale ani jeden nie wrócił. Wszyscy zginęli. Kiedy trzeba spokojnie siedzieć, naprawdę trzeba spokojnie siedzieć - przerwał, głośno wytarł nos w ligninę, sprawdził, co wydmuchał, potem zwinął ligninę i wyrzucił. - Ciężko jest czekać, aż pojawi się nurt, ale kiedy trzeba czekać, to trzeba. W tym czasie należy się zachowywać, jakby człowiek nie żył.

- To znaczy, że powinienem przez pewien czas być jakby umarły?

- Co?

- TO ZNACZY, ŻE POWINIENEM PRZEZ PEWIEN CZAS BYĆ JAKBY UMARŁY??!!

- Właśnie tak - powiedział. - „Gdy umrzesz, pojawi się wir, Nomonhan”.

Potem przez około godzinę opowiadał o Nomonhan. My tylko słuchaliśmy. Chodziliśmy do pana Hondy przez rok raz w miesiącu, lecz prawie nigdy nie „otrzymywaliśmy wskazówek”. Prawie nie przepowiadał przyszłości. Mówił do nas nieomal wyłącznie o bitwie pod Nomonhan. O tym, jak kula armatnia oder-

wała połowę głowy znajdującemu się obok porucznikowi, jak przyskoczył do sowieckiego czołgu i rozwalił go za pomocą butelki z benzyną, o tym, jak dogonili i zastrzelili sowieckiego pilota, który musiał awaryjnie lądować na pustyni. Same takie historie. Każda z nich była ciekawa i sensacyjna, ale zazwyczaj jest tak, że każda opowieść po siedmiu czy ośmiu razach traci trochę pierwotnego blasku. Do tego nie było to po prostu słuchanie historii opowiadanych głosem o normalnym natężeniu. Zdawało się, że pan Honda stoi nad przepaścią w wietrzny dzień i wykrzykuje do nas, stojących po drugiej stronie, albo że oglądamy stary film Akiry Kurosawy, siedząc w pierwszym rzędzie podmiejskiego kina. Po wyjściu od pana Hondy przez pewien czas mieliśmy trudności ze słuchem.

Mimo to oboje, a przynajmniej ja, lubiliśmy słuchać jego opowieści. Wykraczały poza zakres naszej wyobraźni. Wiele z nich było krwawych, lecz ponieważ te pełne szczegółów opowiadania snuł starzec w brudnym ubraniu, który mógł w każdej chwili umrzeć, traciły nieco ze swojej realności i brzmiały jak baśnie. Odmalowywał przed nami zażartą walkę sprzed pół wieku o skrawek jałowej ziemi na pograniczu Mongolii i Mandżurii, którego nie porosła nawet trawa. Przed usłyszeniem opowieści pana Hondy prawie nic nie wiedziałem o bitwie pod Nomonhan. Była to niewyobrażalna, heroiczna walka. Żołnierze japońscy walczyli właściwie gołymi rękami przeciw przeważającym liczebnie zmechanizowanym wojskom Związku Radzieckiego i zostali zgnieceni. Wiele oddziałów zostało rozbitych, rozartych w pył. Dowódcy, którzy chcą uniknąć masakry oddziałów, rozkazali odwrót, sami otrzymali potem od swoich dowódców rozkaz popełnienia samobójstwa i bezsensownie ponieśli śmierć. Wielu żołnierzy, którzy dostali się do rosyjskiej niewoli, bojąc się oskarżenia o dezercję w obliczu wroga, nie zgodziło się na udział w powojennej wymianie jeńców i ich kości spoczęły w mongolskiej ziemi. Pan Honda, utraciwszy słuch, został zwolniony z wojska i stał się wróżbitą.



- Ale może w końcu dobrze się stało - powiedział. - Gdybym nie został ranny w ucho, pewnie wysłaliby mnie na jakąś wyspę na południu i tam bym zginął. Wielu spośród żołnierzy, którzy przetrwali Nomonhan, zostało wysłanych na wyspy południowe i tam poginęli. Bitwa pod Nomonhan

Łwła dla armii cesarskiej powodem nieustającego wstydu i wszystkich żołnierzy, którzy przetrwali, skierowano na tereny najgwałtowniejszych walk. Zupełnie jakby dostali polecenie: jedźcie tam umrzeć. Oficerowie, którzy tak nieudolnie dowodzili pod Nomonhan, porobili potem kariery w kwaterze głównej. Niektórzy z tych drani zostali nawet politykami. A ci, którzy walczyli pod ich dowództwem na śmierć i życie, zostali prawie wszyscy wymordowani.

- Dlaczego bitwa o Nomonhan była aż takim powodem do wstydu w armii? - zapytałem. - Żołnierze walczyli przecież z żarciem i odważnie. Wielu z nich zginęło. Dlaczego ci, którzy przeżyli, musieli być tak chłodno potraktowani?

Zdawało się, że pan Honda nie dosłyszał mojego pytania. Znowu poruszył i postukał swoimi różdżkami.

- Niech pan lepiej uważa na wodę - powiedział.

I na tym skończyła się tego dnia nasza rozmowa.

Po mojej kłótni z teściem przestaliśmy chodzić do pana Hondy. Nie mogliśmy kontynuować naszych wizyt, ponieważ teść za nie płacił, a nam brakowało nadwyżek finansowych pozwalających na uiszczanie honorarium, choć nie mieliśmy pojęcia, ile ono właściwie wynosiło. Kiedy wzięliśmy ślub, właśnie udało mi się pod względem finansowym stanąć niepewnie na nogi. Wkrótce zapomnieliśmy więc o panu Hondzie. Tak jak zwykle ludzie młodzi i zajęci zapominają nie wiadomo kiedy o starych.

Położyłem się do łóżka, lecz dalej myślałem o panu Hondzie. Porównałem jego stwierdzenia o wodzie do tego, co mówiła Malta Kano. Pan Honda kazał mi uważać na wodę. Malta Kano odbywała praktyki ascetyczne na Malcie, aby prowadzić studia nad wodą. Może to przypadek, ale oboje bardzo

brali sobie sprawę wody do serca. To mnie trochę niepokoiło. Potem spróbowałam sobie wyobrazić pole bitwy pod Nomonhan. Radzieckie czołgi i pozycje karabinów maszynowych, rzekę po drugiej stronie. Straszliwe pragnienie, którego nie można znieść. Mogłem w ciemności usłyszeć szum płynącej rzeki.

- Toru - powiedziała żono cichutko. - Śpisz?

- Nie śpię - odparłem.

- Ten krawat, wiesz? Teraz w końcu sobie przypomniałam. Przed końcem roku oddałam ten krawat w kropki do pralni. Był wygnieciony i pomyślałam, że trzeba go uprasować. A potem zapomniałam odebrać.

- Przed końcem roku? - zapytałem. - Minęło już sześć miesięcy!

- Uhm. Źle zrobiłam. Znasz mnie, prawda? Wiesz, że nigdy nie zapominam o takich rzeczach. Ze mną też już coraz gorzej. To był taki ładny krawat. - Wyciągnęła rękę i dotknęła mego ramienia. - Oddałam do tej pralni naprzeciwko dworca. Myślisz, że jeszcze tam jest?

- Jutro tam pójde. Myślę, że pewnie jest.

- Dlaczego tak myślisz? Minęło już pół roku. Zwykle pralnie pozbywają się nieodebranych rzeczy po trzech miesiącach. Taka jest zasada. Dlaczego myślisz, że jeszcze go mają?

- Dlatego, że Malta Kano powiedziała, żeby się nie martwić - odpowiedziałem. - Że krawat znajdzie się pewnie gdzieś poza domem.

Zorientowałem się, że w ciemności zwróciła twarz w moją stronę.

- Wierzysz jej?

- Jakoś nagle zaczęło mi się wydawać, że można jej wierzyć.

- Może niedługo zaczniesz się dogadywać z moim bratem - powiedziała wesoło.!

- Może tak będzie - odparłem.

Kumiko usnęła, a ja dalej myślałem o polu bitwy pod Nomonhan. Wszyscy żołnierze śpią. Nad ich głowami niebo pełne gwi-

azd, cykają niezliczone świerszcze. Słysząc nurt rzeki. Zasnąłem, wsłuchując się w jej szum

## **5. O uzależnieniu od dropsów cytrynowych, nielatającym ptaku i wyschniętej studni**

Sprzątałem po śniadaniu, wsiadłem na rower i pojechałem do pralni naprzeciwko dworca. Właściciel był szczupłym mężczyzną, dobiegającym pięćdziesiątki, z głębokimi zmarszczkami na czole. Ze stojącego na półce magnetofonu dobiegały dźwięki orkiestry Percy'ego Faitha. Był to duży radiomagnetofon JVC ze specjalnymi głośnikami do niskich tonów, obok leżała góra kaset. Orkiestra wykonywała Tara's Theme, w pełni wykorzystując swą wspaniałą sekcję smyczkową. Właściciel stał w głębi pralni i pogwizdując melodię dobiegającą z magnetofonu, zręcznymi ruchami prasował parującym żelazkiem koszulę. Stałem przy ladzie i powiedziałem, że bardzo przepraszam, ale pod koniec roku oddaliśmy do pralni krawaty i zapomnieliśmy go odebrać. Moje pojawienie się w jego małym spokojnym światku pół do dziesiątej rano przypominało zapewne przybycie posłańca ze złymi wieściami w greckiej tragedii.

-Oczywiście nie ma pan kwitu do odbioru? - powiedział właściciel głosem udającym obojętność. Nie zwracał się do mnie, a do kalendarza wiszącego na ścianie obok lady. Czerwcowe zdjęcie przedstawiało pejzaż alpejski. Była na nim zielona dolina, a w niej stado owiec spokojnie skubiących trawę. Na tle znajdującego się w głębi Matterhornu czy Mont Blanc unosiła się wyraźnie zarysowana chmura. Potem właściciel spojrzał na mnie z wyrazem twarzy mówiącym „skoro i tak pan zapomniał, to po co pan sobie musiał teraz przypomnieć?”. Było to bardzo bezpośrednie i wymowne spojrzenie.

- Koniec roku, trudna sprawa... minęło już pół roku. No nie wiem, ale na wszelki wypadek sprawdzę - wyłączył żelazko, postawił na podstawce i pogwizdując dobiegającą z magnetofonu melodię z filmu A Summer Place, poszedł na zaplecze i zaczął

szukać, bardzo czymś szeleszcząc.

Byłem na tym filmie z dziewczyną jeszcze w szkole średniej. Grali w nim Troy Donahue i Sandra Dee. Odbywał się przegląd starych filmów i jednocześnie wyświetlano Follow the Boys z Connie Francis. O ile pamiętałem, nie był to zbyt dobry film, ale teraz, słuchając tej melodii trzynaście lat później w pralni chemicznej, przypominałem sobie tylko przyjemne wydarzenia z tamtych czasów. Po filmie poszliśmy do kawiarni w parku, napiiliśmy się kawy i zjedliśmy po ciastku. Musiało to być w czasie letnich wakacji, ponieważ w kinie grali stare filmy, A Summer Place i Follow the Boys. W kawiarni latały osy. Dwie małe usiadły na jej ciastku. Pamiętałem szum ich skrzydełek.

- To był niebieski krawat w kropki? - zawołał właściciel. - Na nazwisko Okada?

- Tak - odrzekłem.

- Ma pan szczęście - powiedział.

Wróciłem do domu i od razu zadzwoniłem do pracy Kumiko.

- Mieli jednak ten krawat - powiedziałem.

- Świetnie się spisałeś - odparła.

W jej głosie brzmiało coś sztucznego, jakby chwaliła dziecko za uzyskanie dobrego stopnia. Trochę zepsuło mi to humor. Pewnie powinienem był poczekać z dzwonieniem do przerwy obiadowej.

- Cieszę się, że się znalazł. Słuchaj, teraz jestem zajęta. Mam kogoś na drugiej linii. Mógłbyś później zadzwonić, na przykład w czasie przerwy obiadowej? Przepraszam cię.

- Zadzwonię w czasie przerwy - powiedziałem.

Odłożyłem słuchawkę, z gazetą w ręku poszedłem na taras i położywszy się na brzuchu - jak miałem w zwyczaju - otworzyłem stronę z ogłoszeniami o pracy. Powoli od deski do deski przeczytałem kolumny ogłoszeń pełne niezrozumiałych szyfrów i wskazówek. Świat był pełen przeróżnych profesji. Miały przypisane miejsca, jedna przy drugiej w równych rzędkach, zupełnie jak na planie nowego cmentarza. Zdawało mi się jednak, że

prawie niemożliwe będzie znalezienie wśród nich jakiegoś zajęcia, które by do mnie pasowało. Niewątpliwie w ramach tych istniały jakieś fakty czy informacje, choćby fragmentaryczne, jednak choć się starałem, nie potrafiłem sobie ich uzmysłowić. Ustawione rządkiem nazwy, symbole, liczby - być może dlatego, że były tak drobne i liczne - przypominały mi same kości, z których nie można już odtworzyć zwierzęcia.

Gdy długo czytam ogłoszenia o pracy, zawsze zaczynam się czuć jakby sparaliżowany. Czego ja właściwie szukam? W jakim kierunku chcę pójść? Albo raczej w jakim nie chcę pójść? Zaczynam być coraz bardziej zdezorientowany.

Jak zwykle o tej porze usłyszałem głos ptaka nakręcacza. Brzmiał jak „khrr”. Odłożyłem gazetę, podniosłem się, oparłem o słupkę tarasu i rozejrzałem po ogrodzie. Po chwili ptak znów się odezwał. To „khrr” dobiegało z czubka sosny u sąsiadów. Wyteżyłem wzrok, ale nie udało mi się dostrzec ptaka. Tylko głos. Jak zawsze. W każdym razie w ten sposób sprężyna świata została nakręcona na kolejny dzień.

Przed dziesiątą zaczął padać deszcz. Nieduży, drobny deszczyk, taki, że nie wiadomo, czy pada, czy nie, jednak gdy wyteżyć wzrok, widać, że na pewno pada. Na świecie istnieją dwa stany: albo deszcz pada, albo nie pada, a pomiędzy nimi powinna się znajdować linia demarkacyjna. Przez pewien czas siedziałem bez ruchu na tarasie i wypatrywałem tej linii, która powinna gdzieś tam być. Potem zacząłem się zastanawiać, czy przed obiadem pójść popływać w dzielnicowym basenie, czy też iść szukać kota w uliczce. Myślałem o tym przez chwilę, siedząc na tarasie i wpatrując się w deszcz padający w ogrodzie.

Basen czy szukanie kota?

W końcu postanowiłem poszukać kota. Malta Kano powiedziała, że kota nie ma już w tej okolicy, lecz tego ranka jakoś miałem ochotę iść na poszukiwania. To zajęcie stało się częścią mego rozkładu zajęć, a poza tym być może Kumiko się ucieszy, gdy się dowie, że próbowałem go znaleźć. Włożyłem cienki

płaszcz przeciwdeszczowy. Postanowiłem nie zabierać parasola. Na nogach miałem tenisówki, do kieszeni płaszcza wrzuciłem klucze i kilka dropsów cytrynowych i wyszedłem. Przeciąłem ogród i położyłem rękę na ogrodzeniu, chcąc przez nie przeleźć, gdy usłyszałem, że dzwoni telefon. Nie poruszając się, wyteżyłem słuch, ale nie potrafiłem rozróżnić, czy dzwoni nasz telefon, czy też telefon jakichś sąsiadów. Gdy tylko wyjdzie się na krok z domu, wszystkie telefony zaczynają brzmieć tak samo. Zrezygnowałem, przesadziłem betonowe ogrodzenie i zszedłem na uliczkę.

Przez cienkie podeszwy tenisówek czułem miękką trawę. W uliczce było ciszej niż zwykle. Stałem przez chwilę, wstrzymując oddech i natężając słuch, ale nie dobiegł mnie żaden dźwięk. Telefon też przestał już dzwonić. Nie było słycać ptaków ani szumu miasta. Niebo równomiernie i całkowicie pokrywała szarość. Pomyślałem, że w takie dni chmury pewnie pochłaniają różne odgłosy z powierzchni ziemi. Albo może pochłaniają nie tylko odgłosy, lecz przy okazji także inne rzeczy, takie jak na przykład wrażenia.

Szedłem wąską uliczką z rękami w kieszeniach płaszcza. Czasami przeciskałem się bokiem wzdłuż płotu, by uniknąć wystających prętów do suszenia bielizny, przechodziłem pod okapami domów i cicho posuwałem się opuszczoną dróżką przypominającą porzucony kanał. Gumowe podeszwy tenisówek bezszelestnie stapały po trawie. W jednym z mijanych domów grało radio. Był to jedyny prawdziwy dźwięk, jaki usłyszałem. Program, w którym udzielano porad życiowych. Głos mężczyzny w średnim wieku narzekającego na teściową. Słyszałem tylko fragment, że owa teściowa ma podobno sześćdziesiąt osiem lat i bzika na punkcie wyścigów konnych, lecz minąłem ten dom i dźwięk radia stawał się coraz cichszy, aż umilkł zupełnie. Jakby istniejący gdzieś na tym świecie mężczyzna w średnim wieku i jego teściowa szalona na punkcie wyścigów rozplynęli się stopniowo we mgle.

Wkrótce dotarłem do opuszczonego domu. Stał cichy, tak jak przedtem. Z zabitymi gwoździami okiennicami na piętrze i na tle nisko wiszących szarych, deszczowych chmur, zdawał się bardzo melancholijny. Wyglądał jak opuszczony frachtowiec, dawno temu rzucony nocnym sztormem na skały w jakiejś zatoczce. Gdyby nie to, że od mojej ostatniej tu wizyty, chwasty w ogrodzie urosły, może byłbym skłonny uwierzyć, że czas się w tym miejscu zatrzymał. Po kilkudniowych opadach, właściwych dla pory deszczowej, liście i trawy lśniły świeżą zielenią i wypełniały powietrze zapachem dzikości, który powstaje jedynie dzięki zapuszczeniu korzeni w ziemię. Pośrodku tego morza traw znajdował się posąg ptaka, dokładnie tak samo jak przedtem rozkładającego skrzydła, by za chwilę zerwać się do lotu, choć oczywiście ten ptak nigdzie polecieć nie mógł. I ja to wiedziałem, i on. Zamarły w bezruchu czekał, aż ktoś go gdzieś przeniesie lub zniszczy. Nie miał innej możliwości wydostania się z tego ogrodu. Poruszał się tu tylko wędrujący po czubkach traw spóźniony bielinek kapustnik. Wyglądał jak ktoś, kto szukając czegoś, zapomniał, czego właściwie szuka. Po pięciu minutach bezcelowych poszukiwań gdzieś sobie odleciał.

Ssąc dropsa, oparłem się o siatkę i przez chwilę przyglądałem się ogrodowi. Nie było śladu kota. Nie było żadnego śladu. Ogród wyglądał na obszar stojącej wody, w którym za pomocą jakiejś ogromnej siły zatrzymano naturalny nurt.

Nagle poczułem za sobą czyjąś obecność i obejrzałem się, lecz nikogo nie dostrzegłem. Po drugiej stronie uliczki był płot, a w nim mała furtka. W tej furtce poprzednio stała dziewczyna, jednak teraz furtka była zamknięta i w ogrodzie nikogo nie było. Wszędzie panowała przesycona wilgocią cisza. Pachniało roślinami i deszczem. Pachniało moim płaszczem deszczowym. Pod językiem miałem do połowy rozpuszczonego dropsa. Wzięłem głęboki oddech i wszystkie zapachy zlały się w jeden. Jeszcze raz rozejrzałem się dokoła. Nigdzie nie było żywej duszy. Kiedy wyteżyłem słuch, z oddali dobiegł stłumiony warkot helikoptera.

Musiał lecieć nad chmurami. Jednak i ten dźwięk stopniowo się oddalił i okolica znowu pograżyła się w ciszy.

W siatce otaczającej ogród opuszczonego domu znajdowała się furtka, także z siatki. Popchnąłem ją lekko, a ona otworzyła się aż nazbyt łatwo, jakby zapraszała mnie do środka. Mówiła: „to nic takiego, to bardzo proste, wejdź sobie do środka”. Nawet bez zgromadzonej przez prawie osiem lat wiedzy prawniczej wiedziałem, że wchodzenie bez pozwolenia na czyjąś posesję, nawet opuszczoną, jest niezgodne z prawem. Gdyby ktoś z sąsiadów, zobaczywszy mnie tu, zawiadomił policję, od razu by przyjechała i przesłuchała mnie. Powiedziałbym, że szukałem kota. Że kot zginął i szukam go w okolicy domu. Oni zapytaliby mnie o adres i miejsce pracy, ja musiałbym powiedzieć, że jestem bezrobotny, a to na pewno byłoby dla nich sygnałem ostrzegawczym. Policja ostatnio jest bardzo nerwowa z powodu terrorystów skrajnej lewicy i wyobraża sobie, że mają oni w całym Tokio kryjówki, a w nich ukrytą pod podłogą broń i domowej produkcji bomby.

Możliwe było, że zadzwonią do pracy żony, aby potwierdzić moje zeznania, a to na pewno straszliwie ją zdenerwuje.

Mimo to wszedłem jednak do ogrodu i szybko zamknąłem za sobą furtkę. Wszystko mi jedno, pomyślałem. Niech się dzieje, co chce. Jeżeli coś chce się dzieć, niech się dzieje. Mnie jest wszystko jedno.

Rozglądając się, powoli przeszedłem przez ogród. Moje tenisówki nadal nie wydawały żadnego dźwięku, ocierając się o trawę. Było tu kilka niskich drzewek owocowych, których gatunku nie rozpoznałem, i dość duży kwadrat gęstego trawnika, lecz teraz wszystko zarosło dzikimi trawami i nie można było już odróżnić poszczególnych roślin. Dwa drzewka obrosło gęsto brzydkie pnące passiflory i wyglądały, jakby się udusiły i uschły. Rosnący przy siatce krzew wonnej oliwki był pokryty jajeczkami owadów i zrobił się brudnobiały. Koło ucha zabręczał mi jakiś owad.



Przeszedłem obok kamiennego posągu, dotarłem pod dach, gdzie stały jedno na drugim białe plastikowe krzesła ogrodowe i podniosłem jedno. Górne pokrywało błoto, ale to pod nim już nie było tak brudne. Starłem ręką kurz i usiadłem. Znajdowałem się w miejscu osłoniętym chwastami i nikt nie mógł mnie dostrzec z uliczki, a ponieważ siedziałem pod występem dachu, nie musiałem się już bać deszczu. Siedziałem tak i przyglądając się ogrodowi skraplanemu drobnym deszczykiem, pogwizdywałem cicho. Na początku nie zorientowałem się, co gwizdzę, ale po chwili dotarło do mnie, że to uwertura do Sroki złodziejki Rossiniego. Gwizdałem to podczas gotowania makaronu, gdy zadzwoniła ta dziwna kobieta.

Gwizdałem fałszywie, siedząc w pustym ogrodzie, patrząc na chwasty i posąg kamiennego ptaka, i nagle zdało mi się, że wróciłem do okresu dzieciństwa. Jestem w tajemniczym miejscu, którego nikt nie zna. Nikt mnie nie widzi. Ta myśl bardzo mnie uspokoiła. Zachciało mi się rzucić kamieniem. Wziąć coś na cel i rzucić kamyk. Ten posąg ptaka byłby dobry. Rzuciłbym tak lekko, że nawet jeśli trafię, rozlegnie się tylko ciche stuknięcie. W dzieciństwie często się tak sam bawiłem. Stawiałem gdzieś daleko pustą puszkę i wrzucałem w nią kamyczki, aż się napelniła. Mogłem to robić przez wiele godzin i nigdy się nie nudziłem. Spojrzałem, lecz nigdzie na ziemi nie było kamyczka. Nie ma jednak idealnych miejsc.

Podciągnąłem nogi na krzesło, zgiąłem kolana i oparłem na nich łokcie. Przez chwilę siedziałem z zamkniętymi oczami. Nadal nic nie słychać. Ciemność, którą widziałem po zamknięciu oczu, przypominała niebo pokryte chmurami, ale szarość była trochę ciemniejsza. Poza tym co parę minut ktoś przychodził i przemalowywał ją na trochę inną szarość. Szarość z dodatkiem złota, do tego dodana zieleń, szarość z wyraźną czerwienią. Zachwyciło mnie, jak wiele istnieje odcieni szarości. Człowiek to przedziwna istota, pomyślałem. Siedząc z zamkniętymi oczami tylko przez dziesięć minut, może zobaczyć tyle rodzajów sza-

rości.

Przez pewien czas tkwiłem tak, o niczym nie myśląc i pogwizdując, i oglądałem próbki szarości.

- Proszę pana - powiedział ktoś.

Pospiesznie otworzyłem oczy i wychylając się w bok, spojrzałem na furtkę ponad zaroślami. Była otwarta. Szeroko otwarta. Ktoś tu za mną wszedł. Czuję, jak wali mi serce.

- Proszę pana - powiedział ten ktoś jeszcze raz.

Głos kobiety. Ukazała się zza kamiennego posągu i podeszła do mnie. Była to dziewczyna, która opalała się wtedy w ogrodzie naprzeciwko. Jak przedtem miała na sobie jasnoniebieski podkoszulek firmy Adidas i szorty, lekko powłóczyła nogą, lecz tym razem nie nosiła okularów przeciwsłonecznych.

- Co pan właściwie tu robi? - zapytała.

- Przyszedłem szukać kota - odparłem.

- Naprawdę? - spytała. - Wcale na to nie wygląda. I do tego nie znajdzie pan przecież kota, siedząc tu bez ruchu z zamkniętymi oczami i gwizdząc.

Poczerwieniałem lekko.

- Mnie to nie przeszkadza, ale jeśli ktoś obcy by to zobaczył, pomyślałby, że jest pan zboczony. Lepiej uważać - dodała. - Nie jest pan chyba zboczony, prawda?

- Myślę, że nie.

Podeszła do mnie, ze stosu leżących pod dachem krzeseł wybrała starannie jedno z mniej brudnych, obejrzała je jeszcze raz dokładnie, potem postawiła na ziemi i usiadła.

- Poza tym nie wiem, co pan gwizdał, ale nie brzmiało to jak żadna melodia. A czy przypadkiem nie jest pan gejem?

- Myślę, że nie - powiedziałem. - Dlaczego pytasz?

- Bo słyszałam, że geje nie umieją gwizdać. Czy to prawda?

- Nie wiem, chyba nie - powiedziałem.

- Mnie to zupełnie nie przeszkadza. Może pan sobie być zboczeńcem, gejem albo kimś innym - stwierdziła. - Jak się pan nazywa? Pytam, bo nie wiem, jak się do pana zwracać.

- Toru Okada - odparłem.

Powtórzyła kilka razy cicho moje imię i nazwisko.

- Brzmi dość zwyczajnie, prawda?

- Może i tak - powiedziałem. - Ale myślę, że mógłby się też tak nazywać jakiś przedwojenny minister spraw zagranicznych.

- Ja się na tym nie znam. Nie jestem dobra z historii. Ale niech będzie. A nie ma pan jakiegoś przezwiska, panie Toru Okada? Czegoś prostszego?

Zastanowiłem się nad tym, lecz żadne przezwisko nie przyszło mi do głowy. Nigdy w życiu nie miałem przezwiska. Ciekawe dlaczego. Powiedziałem, że nie mam.

- Na przykład Miś albo Żaba?

- Nie.

O rany - powiedziała. - Niech pan jakieś wymyśli.

- Ptak Nakręcacz.

- Ptak Nakręcacz? - patrzyła na mnie z otwartymi ustami. - Co to?

- Ptak, który nakręca sprężynę - powiedziałem. - Codziennie rano nakręca na drzewie sprężynę świata. „Khrr”.

Dalej wpatrywała się we mnie. Westchnąłem.

- Nagle mi to przyszło do głowy. Ten ptak co dzień pojawia się niedaleko naszego domu i na drzewie sąsiada śpiewa „khrr”. Ale nikt go jeszcze nie widział.

- Coś podobnego - rzekła. - Niech będzie. To też trudno powiedzieć, ale znacznie łatwiej niż Toru Okada. Pan Ptak Nakręcacz.

- Dziękuję - powiedziałem.

Wciągnęła nogi na krzesło i oparła podbródek na kolanach.

- A ty jak się nazywasz? - zapytałem.

- May Kasahara - odpowiedziała. - Jak miesiąc maj.

- Urodziłaś się w maju?

- To chyba oczywiste. Gdybym się urodziła w czerwcu i nazywałby mnie May, byłoby to strasznie mylące, prawda?

- To prawda. I ciagle nie chodzisz do szkoły? - zapytałem.

- Obserwowałam pana od dłuższej chwili, panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała May Kasahara, nie odpowiadając na moje pytanie. - Widziałam przez lornetkę ze swojego pokoju, jak otworzył pan furtkę i wszedł do tego ogrodu. Zawsze mam pod ręką małą lornetkę i obserwuję uliczkę. Pan może nie wie, że tędy przechodzą różni ludzie. Nie tylko ludzie, zwierzęta też. A właściwie dlaczego pan tu tak długo sam siedział?

- Tak sobie po prostu siedziałem - odparłem. - Przypominałem sobie różne rzeczy, gwizdałem.

May Kasahara przygryzła paznokieć.

- Czy jest pan dziwakiem?

- Nie jestem dziwakiem. Każdy robi takie rzeczy.

- Może i tak, ale nikt nie chodzi w tym celu specjalnie do opuszczonego domu w sąsiedztwie. Jeśli pan tylko sobie siedzi, przypomina sobie różne rzeczy i pogwizduje, to przecież może pan to robić w swoim własnym ogrodzie.

Niewątpliwie ma rację - pomyślałem.

- Ale tak czy inaczej, kot Noboru Wataya jeszcze nie wrócił, tak?

Potrząsnąłem głową.

- Nie widziałas mojego kota od tamtego czasu?

- Brązowego przegowanego z lekko wygiętym końcem ogona, prawda? Nie, ani razu nie widziałam, choć ciągle go wypatrywałam.

May Kasahara wyjęła z kieszeni szortów pudełko papierosów i zapaliła jednego papierową zapałką. Przez chwilę paliła w milczeniu, wkrótce spojrzała na mnie.

- Czy nie przerzedziły się panu włosy?

Odruchowo dotknąłem włosów.

- Nie tam - powiedziała. - Nie tam, a na czole, tam gdzie zaczynają rosnać. Ma pan wyższe czoło niż potrzeba. Nie uważa pan?

- Nie zauważyłem.

- Na pewno będzie pan łysiał od czoła. Ja się na tym znam. W

pana wypadku będzie się stopniowo tak posuwało. - Chwyliła własne włosy, pociągnęła ku tyłowi i zwróciła ku mnie odkryte białe czoło. - Niech pan uważa.

Dotknąłem nasady włosów na czole. Wydało mi się, że ich linia jest nieco dalej niż przedtem, ale może tylko dlatego, że to powiedziała. Trochę się zaniepokoiłem.

- Jak mianowicie mam uważać?

- Właściwie nie ma jak uważać - powiedziała. - Nie ma sposobu na zapobieganie łysieniu. Ci, co łysieją, i tak wyłysieją, kiedy przyjdzie ich pora. Nie da się tego powstrzymać. Często się słyszy, że aby nie wyłysieć, trzeba dbać o włosy. Ale to wszystko kłamstwa. Kłamstwa. Proszę pojechać na stację Shinjuku i popatrzeć na bezdomnych, którzy tam leżą. Nie ma ani jednego łysego. A przecież nie sądzi pan, że codziennie myją głowę szamponami Clinique albo Vidal Sassoon. Myśli pan, że codziennie kładą na włosy odżywkę? To tylko producenci kosmetyków mówią byle co i wyciągają pieniądze od ludzi z rzadziejącymi włosami.

- Aha - powiedziałem z zainteresowaniem. - A dlaczego ty się tak znasz na łysieniu?

- Ostatnio pracuję ciągle na zlecenia u wytwórcy peruk. I tak nie chodzę do szkoły, i mam czas. Przeprowadzałam ankiety, badania rynku, tego typu rzeczy. Dlatego dosyć dobrze się znam na łysych. Mam mnóstwo informacji.

- Coś podobnego.

- Ale mimo to - powiedziała, rzucając papierosa na ziemię i rozdeptując go podeszwą - w firmie, w której pracuję, absolutnie nie wolno używać słowa „łysy”. Musimy mówić „osoba o przerzedzonych włosach”, bo „łysy” to wyrażenie dyskryminujące. Raz żartem powiedziałam „osoba niepełnosprawna włosowo” i strasznie się na mnie zezłościłi. Powiedzieli, że nie można sobie z takich rzeczy żartować. Wszyscy strasznie poważnie tam pracują. Wie pan co? Prawie wszyscy ludzie na świecie są strasznie poważni.

Wyjąłem z kieszeni dropsy cytrynowe, włożyłem jednego do ust i podsunąłem je May Kasaharze. Potrząsnęła odmownie głową i wyjęła kolejnego papierosa.

- Panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała. - Był pan bezrobotny, prawda? Dalej jest pan bezrobotny?

- Tak, dalej jestem bezrobotny.

- Ma pan zamiar znaleźć prawdziwą pracę?

- Tak - odparłem, ale coraz mniej wierzyłem w to, co mówię.

- Nie wiem - poprawiłem się. - Jakby to powiedzieć? Mam wrażenie, że potrzebuję chyba czasu na zastanowienie. Sam tego dobrze nie rozumiem, więc nie mogę jasno wytłumaczyć.

May Kasahara przyglądała mi się przez chwilę, obgryzając paznokiec.

- Wie pan co, panie Ptaku Nakręcaczu? Nie miałby pan ochoty pójść ze mną popracować dla tej wytwórni peruk? Nie płacą za dobrze, ale praca jest lekka, a i czas jest nienormowany. Jeśli nie będzie pan tak głęboko rozmyślał, a weźmie pan pracę, która akurat wpada w ręce, być może różne rzeczy staną się jasne. Taka odmiana poprawi panu też nastrój.

Może to i niezły pomysł, pomyślałem.

- Niezły pomysł - powiedziałem.

- Okay. W takim razie następnym razem znajdę po pana. Gdzie pan mieszka?

- Trochę trudno to wytłumaczyć. Trzeba iść tą uliczką, skręcać tak jak i ona skręca, po lewej będzie dom, przed którym stoi czerwona honda Civic. Na zderzaku ma nalepkę z napisem „Aby wszyscy ludzie na ziemi żyli w pokoju”. Następny jest nasz dom, ale ponieważ nie ma wejścia od strony uliczki, trzeba przejść przez ogrodzenie z betonowych płyt. Jest trochę niższe ode mnie.

- Nie ma sprawy. Łatwo przelezę przez takie ogrodzenie.

- Noga cię już nie boli?

Wydała odgłos przypominający westchnienie i wypuściła dym.

- Noga jest w porządku. Powłóczę nią, bo nie chcę iść do szkoły. Udaję tylko przed rodzicami, ale zanim się zorientowałam, weszło mi to w nawyk. Nawet kiedy mnie nikt nie widzi, kiedy jestem zupełnie sama w pokoju, udaję, że mnie noga boli. Jestem perfekcjonistką. Mówi się, że aby oszukać innych, trzeba najpierw oszukać siebie samego. Panie Ptaku Nakręcaczu, czy pan należy do odważnych?

- Chyba nie bardzo - odparłem.

- Nigdy nie był pan odważny?

- Nigdy nie byłem i w przyszłości też pewnie się nie zmienię.

- Jest pan ciekawski?

- Trochę jestem.

- Czy odwaga i ciekawość nie są podobne? - zapytała. - Gdzie jest odwaga, tam znajdzie się i ciekawość, a gdzie jest ciekawość, znajdzie się i odwaga.

- Tak, rzeczywiście są między nimi podobieństwa - powiedziałem. - I być może w niektórych wypadkach, tak jak mówisz, ciekawość i odwaga idą w parze.

- W przypadku wchodzenia bez słowa na cudzą posesję.

- Właśnie tak. - Obracałem dropsa na języku. - Zdaje się, że w przypadku wejścia do cudzego ogrodu ciekawość i odwaga działają jednocześnie. Ciekawość wyciąga z ukrycia odwagę i budzi ją. Ale w większości przypadków ciekawość od razu znika i odwaga musi dalej iść sama. Ciekawość przypomina wesołego kolegę, któremu nie można zaufać. Podpuści cię, ile może, potem w odpowiednim momencie się zmyje. A człowiek sam musi dalej sobie radzić, próbując zebrać się na odwagę.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Tak - powiedziała. - Rzeczywiście można i tak na to patrzeć. - Wstała z krzesła i otrzepała kurz z szortów. Potem spojrzała na mnie. - Panie Ptaku Nakręcaczu, nie ma pan ochoty zobaczyć studni?

- Studni? - zapytałem. - Studni?

- Tu jest wyschnięta studnia - powiedziała. - Dosyć ją lubię.

Nie chce pan zobaczyć?

Aby dojść do studni, trzeba przeciąć ogród i obejść dom z boku. Była to okrągła studnia o około półtorametrowej średnicy, przykryta okrągłą pokrywą z grubych desek, którą przyciśnięto dwoma bloczkami betonu. Cembrowina studni wystawała około metr ponad ziemią, a obok rosło jedno stare drzewo, które zdało się mówić: ja bronię tej studni. Wyglądało na drzewo owocowe, ale nie rozpoznałem gatunku.

Studnia, podobnie jak inne rzeczy na terenie tej posesji, wyglądała, jakby już dość dawno przestano jej używać i zostawiono własnemu losowi. Czuło się tu coś, co chciałem nazwać „przygniatającą nieczułością”. A może przedmioty nieożywione stają się jeszcze bardziej nieożywione, gdy ludzie odwrócą od nich wzrok. Gdyby na przykład malować obraz na temat „porzuczonego domu” i uczynić ten ogród i dom modelem, nie można byłoby pominąć studni. Wyglądała, jakby ześlizgiwała się bezgłośnie po łagodnej pochylni czasu ku nieuniknionemu rozpadowi razem z plastikowymi krzesłami ogrodowymi, kamiennym posągiem ptaka i spłowiałymi okiennicami, zapomniana przez ludzi i porzucona.

Po dokładnym przyjrzeniu się studni z bliska odkryłem, że musiała zostać zbudowana dużo wcześniej niż otaczające ją obiekty. Prawdopodobnie istniała tu już przed postawieniem domu. Sądząc z pokrywy, była bardzo stara. Jej ściany zostały porządnie wybetonowane. Wyglądało to tak, jakby cement położono na nowo - pewnie w celu wzmocnienia - na powierzchnię tego, co było tam przedtem. Nawet to rosnące przy studni drzewo zdało się mówić, że jest znacznie starsze niż inne, otaczające je drzewa.

Zdjąłem betonowe bloczki i połowę pokrywy w kształcie półksiężyca. Oparłem ręce o cembrowinę, nachyliłem się i zajrzałem do środka, lecz nie udało mi się zobaczyć dna. Studnia wydawała się dość głęboka i od pewnego miejsca wypełniała ją ciemność. Nabrałem powietrza. Lekko tylko pachniało pleśnią.



- Nie ma wody - powiedziała May Kasahara. - Studnia bez wody.

Ptak, który nie może odlecieć, studnia bez wody, pomyślałem. Uliczka bez wyjścia i...

Dziewczyna podniosła z ziemi kawałek cegły i wrzuciła go do studni. Po chwili rozległ się cichy suchy dźwięk. I to wszystko. Dźwięk suchy jak pieprz, zdawało się, że można rozetrzeć go w palcach na proszek. Wyprostowałem się i spojrzałem na May Kasaharę.

- Dlaczego nie ma wody? Wyszła? Czy też może została zasypiana?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Jeżeli ktoś miał ją zasypać, to chyba zasypałby do końca, prawda? Nie ma sensu zasypać do połowy i zostawić taką dziurę, przecież to niebezpieczne, bo ktoś może wpaść. Nie sądzi pan?

- To prawda - przyznałem. - Pewnie z jakiegoś powodu woda wyszła. - Nagle przypomniałem sobie, co powiedział pan Honda. „Gdy trzeba iść w górę, należy znaleźć najwyższą wieżę i wspiąć się na sam szczyt. A gdy ktoś ma iść w dół, powinien znaleźć najgłębszą studnię i zejść na samo dno”. W każdym razie znalazłem tu studnię, pomyślałem.

Jeszcze raz się pochyliłem i zajrzałem w ciemność głębi, bez żadnego określonego celu. Pomyślałem, że oto tu, w takim miejscu, w biały dzień istnieje coś tak ciemnego. Odchrząknąłem i przełknąłem ślinę. W ciemności zabrzmiało to, jakby odchrząknął ktoś inny. Moja ślina miała jeszcze smak cytrynowego dropsa.

Przykryłem studnię pokrywą, którą przycisnąłem betonowym bloczkiem. Potem spojrzałem na zegarek. Było już prawie pół do dwunastej. Musiałem zadzwonić do Kumiko w czasie przerwy obiadowej.

- Muszę iść do domu - powiedziałem.

May Kasahara skrzywiła się lekko.

- Proszę bardzo, panie Ptaku Na-krećaczu. Niech pan sobie idzie do domu.

Przeszliśmy przez ogród, a kamienny ptak stał jak przedtem, wpatrując się w niebo swymi suchymi oczami. Niebo nadal pokrywała jednolita warstwa gęstych, szarych chmur, lecz deszcz przestał już padać. May Kasahara zerwała garść trawy i rzuciła w powietrze. Żdźbła trawy pospadały u jej stóp, ponieważ nie było wiatru.

- Wie pan, jeszcze zostało bardzo dużo czasu do zachodu słońca - rzekła, nie patrząc na mnie.

- Bardzo dużo czasu - powtórzyłem.

## **6. O tym, jak wychowali się Kumiko Okada i Noboru Wataya**

Nie mam rodzeństwa i dlatego nie potrafię sobie wyobrazić, co do siebie czują i jak się do siebie odnoszą bracia i siostry, którzy podorastali, są niezależni i wiodą własne życie.

Kiedy rozmowa schodzi na temat Noboru Watai, na twarzy Kumiko pojawia się osobliwy wyraz, jakby przez pomyłkę włożyła do ust coś o dziwnym smaku. Nie wiem jednak, jakie konkretne uczucia się za nim kryją- Kumiko zdaje sobie sprawę, że nie czuję do jej brata ani krztyny sympatii, i uważa to za naturalne. Ona sama wcale za nim nie przepada. Dlatego sędzę, że jeżeli przypadkiem nie łączyłyby ich więzy krwi, najprawdopodobniej nie zamieniliby ze sobą przyjaznego słowa. Jednak w rzeczywistości są rodzeństwem i dlatego sprawy stają się nieco bardziej skomplikowane.

Teraz nie mają praktycznie okazji do spotkań. Jak wcześniej wspomniałem, pokłóciłem się z ojcem Kumiko i definitywnie się rozstaliśmy. Była to dość gwałtowna kłótnia. Na palcach jednej ręki mogę zliczyć okazje, kiedy się z kimś kłóciłem, ale za to kiedy to robię, to z całym przekonaniem i nie mogę przestać. Ulżyłem sobie, powiedziawszy wszystko, co mi leżało na sercu, i nie czułem już złości do teścia. Miałem tylko wrażenie, że w

końcu kamień spadł mi z serca. Nie został po nim ani gniew, ani nienawiść. Pomyślałem, że teść musiał mieć w pewnym sensie ciężkie życie - nawet jeżeli moim zdaniem przybrało ono wyjątkowo nieprzyjemną i głupią formę. Powiedziałem Kumiko, że nigdy już nie chcę się widywać ani z jej matką, ani z ojcem, ale jeśli ona chce się z nimi spotykać, może to robić i że mnie to w ogóle nie będzie dotyczyło. Jednak Kumiko nie próbowała się z nimi widywać i powiedziała: „Nie zależy mi na tym. Do tej pory też wcale nie chciałam się z nimi spotykać”.

Noboru Wataya mieszkał już wtedy znowu z rodzicami, ale zupełnie nie brał udziału w owej kłótni. Oddalił się i gdzieś ukrył. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ w ogóle nie interesowała go moja osoba i poza sytuacjami, w których nie miał innego wyjścia, odmawiał bezpośrednich kontaktów ze mną. Dlatego gdy przestaliśmy bywać u teściów, nie było też powodu, by z nim się spotykać. Kumiko również nie zależało specjalnie na widywaniu go. Nigdy nie byli zbyt zżytym rodzeństwem.

Jednak czasem Kumiko dzwoniła do niego na uniwersytet i rozmawiali przez telefon. Noboru Wataya też telefonował czasami do niej do pracy. (Absolutnie nigdy nie dzwonił do nas do domu). Kumiko raportowała mi na przykład, że dziś dzwoniła do brata albo że brat do niej zadzwonił do pracy. Nie wiedziałem, o czym rozmawiali. Nie dopytywałem się specjalnie, ona też nie wyjaśniała, jeżeli nie było takiej potrzeby.

Nie interesowałem się szczególnie treścią ich rozmów. Nie sprawiał mi też przykrości fakt, że żona rozmawia z bratem przez telefon, choć szczerze mówiąc, nie mogłem tego zrozumieć. O czym mogą ze sobą rozmawiać dwie osoby, które, jakkolwiek by na to patrzeć, nie bardzo miały o czym ze sobą mówić i czy tematy rozmowy rodzą się tylko dzięki przefiltrowaniu przez ten szczególny związek krwi?

Noboru Wataya i moja żona byli rodzeństwem, lecz dzieliło ich aż dziewięć lat i nie czuło się między nimi zwykłej zażyłości między bratem a siostrą, być może dlatego, że w dzieciństwie

przez kilka lat Kumiko wychowywała się u dziadków ze strony ojca.

Na początku było troje rodzeństwa. Między Noboru a Kumiko była jeszcze jedna siostra, o pięć lat starsza od Kumiko. Kiedy Kumiko miała trzy lata, została wysłana z Tokio do domu rodzinnego ojca w prefekturze Niigata. Wychowywała ją tam babcia. Później rodzice powiedzieli jej, że odesłano ją do dziadków, ponieważ była dość wątłym dzieckiem i uznano, że lepsze będzie dla niej czyste wiejskie powietrze. Kumiko nie mogła się z tym wyjaśnieniem pogodzić, a to dlatego, że nie była szczególnie chorowita. Nigdy nie zapadła na żadną poważną chorobę i nie pamiętała, by podczas jej pobytu na wsi otoczenie specjalnie uważało na jej zdrowie. Twierdziła, że był to na pewno tylko pretekst.

Dopiero dużo później jakiś krewny powiedział jej, że ponoć przez wiele lat między jej babcią i matką panowała niezgoda i wysłanie Kumiko do rodziny ojca w Niigata było czymś w rodzaju prowizorycznego kompromisu. Dając Kumiko na pewien czas babce, rodzice złagodzili jej gniew, a babka, mając przy sobie jedno z wnucząt, zapewniła sobie namacalny związek z synem, czyli ojcem Kumiko. Kumiko została jakby zakładnikiem.

- Do tego - mówiła - ponieważ w domu byli brat i siostra, nikt specjalnie nie odczuwał mego braku. Oczywiście nie sądzę, że rodzice chcieli się mnie pozbyć. Wysłali mnie, myśląc po prostu, że to tylko na jakiś czas i że mi to nie zaszkodzi, bo jestem jeszcze mała. Pod różnymi względami było to dla wszystkich najlepsze rozwiązanie. Trudno uwierzyć, prawda? Nie mieli pojęcia, jaki straszny wpływ może to mieć na małe dziecko.

Chowała się więc u babci w Niigata od trzeciego do szóstego roku życia. Jej życie nie było ani nieszczęśliwe, ani nienaturalne. Rosła hołubiona przez babcię i przyjemniej było się bawić z kuzynami w podobnym wieku niż ze znacznie starszym rodzeństwem. Gdy miała iść do szkoły, postanowiono, że wróci do Tokio. Rodzice zaczęli stopniowo odczuwać niepokój z powodu

długiej rozłąki i na siłę wymogli odesłanie córki do Tokio, mówiąc, że potem może być za późno. Jednak w pewnym sensie już było za późno, kilka tygodni po zapadnięciu decyzji o powrocie Kumiko do Tokio babcia była strasznie zdenerwowana i niespokojna. Przestała jeść i nie mogła spać płakała, wybuchała złością, popadała w milczenie. Nagle chwyciła Kumiko w objęcia, a za chwilę uderzyła linijką tak mocno, że na małej rączce występowała pręga. Mówiła też źle o matce Kumiko, używając bardzo wulgarnych słów. Powtarzała, że nie da odejść wnuczce, że woli umrzeć, jeżeli ma ją stracić, a za chwilę wołała, że nie chce jej widzieć i że dziewczynka ma zejść jej z oczu. Próbowiła nawet podciąć sobie żyły nożyczkami. Kumiko zupełnie nie mogła zrozumieć, co się naokoło dzieje.

Wtedy na pewien czas zamknęła się przed światem. Całkowicie przestała o czymkolwiek myśleć i czegokolwiek sobie życzyć. Ocena sytuacji dalece przerastała jej możliwości. Zamknęła oczy, zatkała uszy, zatrzymała myśli. Nie ma żadnych wspomnień z tych kilku miesięcy. Nie pamięta ani jednego zdarzenia z tego okresu. Kiedy się zorientowała, była już w nowej rodzinie - rodzinie, w której powinna żyć cały czas. Byli w niej rodzice, starszy brat i siostra, lecz to nie jej rodzina, a jedynie nowe otoczenie.

Nie wiedziała, dlaczego zabrano ją od babci i przywieziono tutaj, ale instynktownie czuła, że nie wróci już do życia w Niigata. To nowe miejsce było światem, którego sześciolatnia Kumiko prawie nie pojmowała. Różnił się pod każdym względem od tego, w którym żyła do tej pory i nawet rzeczy, które wydawały się podobne, działały całkowicie odmiennie. Nie mogła zrozumieć zasadniczego systemu wartości i zasad obowiązujących w tym świecie. Nie mogła nawet włączyć się w rozmowy nowej rodziny.

W tym nowym otoczeniu stała się milczącym, trudnym dzieckiem. Nie umiała ocenić, komu można wierzyć, komu bezwzględnie zaufać. Nie mogła się uspokoić nawet wtedy, kiedy

matka lub ojciec brali ją na kolana i przytulali. Nie pamiętała zapachów ich ciał. Te nowe wywoływały w niej straszny niepokój. Czasami ich nienawidziła. Z trudem otwierała się trochę tylko przed siostrą. Rodzice nie wiedzieli, co począć w obliczu jej dziwnego zachowania, a brat od tego czasu przestał praktycznie zauważać małą siostrzyczkę. Jedyne siostra wiedziała, że Kumiko jest zagubiona i samotna. Cierpliwie się nią zajmowała, spała w tym samym pokoju, po trochu do niej zagadywała, czytała jej książeczki, chodziła razem z nią do szkoły, a po powrocie pomagała w lekcjach. Kiedy Kumiko siedziała przez kilka godzin w kącie, płacząc, siostra siadała przy niej i obejmowała ją. I tak próbowała po trochu wkraść się do serca siostrzyczki. Gdyby starsza siostra nie umarła na zatrucie pokarmowe w rok po powrocie Kumiko do domu, różne sprawy ułożyłyby się na pewno zupełnie inaczej.

- Myślę, że gdyby siostra żyła, nasza rodzina byłaby trochę lepsza - powiedziała Kumiko. - Chodziła dopiero do szóstej klasy, ale i tak stała się już jakby trzonem rodziny. Gdyby żyła, być może wszyscy bylibyśmy normalniejsi. Przynajmniej ja nie byłabym w takiej beznadziejnej sytuacji jak teraz. Rozumiesz? Od tamtego czasu ciągle czułam się winna w stosunku do wszystkich. Dlaczego ja nie umarłam zamiast siostry? Przecież to, że żyję, nikomu się nie przyda, nikogo nie cieszy. A rodzice i brat nie powiedzieli ani jednego miłego słowa, choć czuli, że tak myślę. Do tego jeszcze przy każdej okazji mówili o zmarłej siostrze. Jaka była ładna, jaka mądra, jak ją wszyscy kochali, jaka życzliwa, jak ładnie grała na pianinie. Ja też musiałam się uczyć grać, dlatego że po śmierci siostry zostało w domu pianino, ale mnie gra zupełnie nie interesowała. Wiedziałam, że pewnie nie nauczę się grać tak dobrze jak siostra, i nie chciałam ciągle udawania, że pod żadnym względem jej nie dorównuję. Nie mogłam jej zastąpić i nie chciałam. Ale oni mnie nie słuchali. Nikt mnie nie słuchał. I dlatego teraz nie znoszę nawet widoku pianina. Nie znoszę też patrzeć na ludzi grających na pianinie.

Kiedy usłyszałem od Kumiko tę historię, ogarnęła mnie złość na jej rodzinę o to, co jej zrobili, i o to, czego dla niej nie zrobili. Nie byliśmy jeszcze wtedy małżeństwem. Zналиśmy się niewiele ponad dwa miesiące. Był spokojny niedzielny poranek i leżeliśmy w łóżku. Kumiko opowiadała o swoim dzieciństwie, jakby powoli rozsypując poplątany sznurek, upewniała się, że ciągnie w dobrym kierunku. Wtedy po raz pierwszy tak długo mówiła o sobie. Do tamtej pory prawie nic nie wiedziałem o jej rodzinie i dzieciństwie. Wiedziałem tylko, że była małomówna, lubiła rysować, miała proste ładne włosy i dwa pieprzyki na prawej łopacie. I że byłem pierwszym mężczyzną, z jakim spała.

Opowiadając, trochę płakała. Dobrze rozumiałem, dlaczego chciało jej się płakać. Przytuliłem ją i głaskałem po głowie.

- Gdyby siostra żyła, na pewno byś ją polubił. Wszyscy ją od razu lubili - powiedziała Kumiko.

- Może by tak było - odparłem. - Tymczasem na pewno lubię ciebie. Słuchaj, to bardzo prosta sprawa. Sprawa tylko między mną a tobą, z twoją siostrą nie ma nic wspólnego.

Potem Kumiko umilkła i o czymś rozmyślała. O pół do ósmej w niedzielę wszystkie dźwięki zdawały się miękkie i puste. Słuchałem, jak gołębie chodzą po dachu, jak ktoś daleko przywołuje psa. Kumiko naprawdę długo wpatrywała się w jakiś punkt na suficie.

\_ Lubisz koty? - zapytała.

- Lubię - odpowiedziałem. - Bardzo lubię. W dzieciństwie przez wiele lat miałem kota. Zawsze się z nim bawiłem. Nawet z nim spałem.

- To musi być bardzo przyjemne. Ja też od dziecka strasznie chciałam mieć kota, ale mi nie pozwolili, bo mama nie lubiła kotów. Jeszcze nigdy w życiu nie dostałam czegoś, co naprawdę chciałam. Ani razu. Trudno uwierzyć, prawda? Ty na pewno nie potrafisz sobie wyobrazić takiego życia. Jak się człowiek przyzwyczai, że nie dostaje tego, czego pragnie, to stopniowo sam nie wie już, czego naprawdę chce.

Wziąłem ją za rękę.

- Może do tej pory tak było. Ale nie jesteś już dzieckiem i masz prawo wybrać takie życie, jakie chcesz. Jeśli marzysz o kocie, to możesz wybrać życie, w którym będziesz miała kota. To proste. Masz do tego prawo. Prawda? - zapytałem.

Kumiko wpatrywała się we mnie bez ruchu.

- Masz rację - powiedziała. Po kilku miesiącach zaczęliśmy rozmawiać o ślubie.

Kumiko spędziła w tej rodzinie nienormalne i skomplikowane dzieciństwo, lata dziecięce Noboru Watai były również nienaturalnie skrzywione, choć w innym sensie. Rodzice uwielbiali jedynego syna, ale przez to nie tylko go rozpieszczali, lecz jednocześnie bardzo wiele od niego wymagali. Ojciec był przekonany, że aby wieść życie na pewnym poziomie w społeczeństwie, trzeba mieć zawsze trochę lepsze wyniki w nauce niż inni i iść naprzód, przepychając się łokciami, zostawiając w tyle, kogo się da. Naprawdę święcie w to wierzył.

Niedługo po naszym ślubie usłyszałem o tym bezpośrednio od niego. Powiedział, że ludzie nie rodzą się wcale równi. W szkole dla zachowania pozorów uczą, że ludzie są równi, ale to zupełny nonsens. Państwo japońskie jest zbudowane na zasadach demokracji, lecz jednocześnie jest społeczeństwem klasowym, w którym każdy zażarcie walczy, przetrwają najsilniejsi i jeżeli nie dostanie się człowiek do elity, to nie ma sensu tu żyć, bo zostanie się powoli rozgniecionym jak między młyńskimi kamieniami. Dlatego każdy próbuje się wspiąć po drabinie choć o jeden szczebel. Jest to absolutnie zdrowe pragnienie. Gdyby ludzie je utracili, kraj prawdopodobnie zszedłby na psy. Nie powiedziałem, co myślę na temat opinii teścia. On też zresztą nie był ciekaw moich. Po prostu rozwodził się nad swoimi, które na zawsze pozostaną niezmiennie.

Trudno mi było wtedy pogodzić się z myślą, że będę musiał żyć, oddychając tym samym powietrzem, co tacy ludzie. To był tylko pierwszy krok. Takie rzeczy pewnie powtórzą się wiele,



wiele razy. Na tę myśl poczułem, jak przenika mnie na wskroś gwałtowne zmęczenie. Była to przerażająco płytka, jednostronna filozofia oparta na poczuciu wyższości. Brakowało w niej punktu widzenia wszystkich bezimiennych ludzi, na których społeczeństwo w rzeczywistości się opiera, nie brała też pod uwagę życia wewnętrznego i poszukiwania sensu życia. Brakowało w niej wyobraźni i sceptycyzmu, lecz teść był głęboko przekonany o swojej racji i nic nie zdołałoby tego przekonania zachwiać.

Matka Kumiko była córką wysoko postawionego urzędnika państwowego, wychowała się w eleganckiej części Tokio i nigdy niczego jej nie brakowało. Nie miała ani opinii, ani charakteru, które pozwoliłyby jej przeciwstawić się poglądom męża. O ile się zorientowałem, nie miała żadnych poglądów na tematy, które wybiegały poza zasięg jej wzroku (w rzeczywistości była strasznie krótkowzroczna). Kiedy potrzebny był pogląd na sprawy o nieco szerszym zasięgu, zawsze pożyczła opinie męża. Gdyby ograniczała się tylko do tego, nikomu nie czyniłaby krzywdy, lecz - jak często się zdarza w przypadku takich kobiet - była strasznie pretensjonalna. Ponieważ nie miała własnego systemu wartości, musiała pożyczać miary i punkty widzenia innych, by wiedzieć, na czym się opiera. Jej umysłem rządziła tylko jedna myśl: „Jak widzą mnie inni?”. Stała się więc ograniczoną, nerwową kobietą o zainteresowaniach, które zawężyły się do stanowiska męża w ministerstwie i sukcesów naukowych syna. Nie obchodziło ją nic, co nie dotyczyło tej wąskiej sfery. Od syna wymagała, by dostał się do najsłynniejszego liceum i na najsłynniejszy uniwersytet. A to, czy jego lata dorostania były szczęśliwe i jaki pogląd na życie wyrobił sobie w tym czasie, daleko wykraczało poza ramy jej wyobraźni. Gdyby ktoś wyraził kiedyś nawet najmniejszą wątpliwość na ten temat, prawdopodobnie bardzo by się zdenerwowała. Odebrałaby to jako nieuzasadnioną osobistą zniewagę.

W ten sposób rodzice dokładnie wbili do głowy małego No-

boru Watai wątpliwej wartości filozofię i zdeformowany światopogląd. Ich zainteresowania skoncentrowały się na synu. Absolutnie nie dopuszczali myśli, że ktokolwiek mógłby go wyprzedzić. Ojciec mówił, że kto nie może być pierwszy na małej arenie szkoły czy klasy, nie da rady zostać pierwszym w szerokim świecie. Rodzice wynajmowali najlepszych korepetytorów i popychali syna naprzód. Jeżeli miał znakomite wyniki w nauce, w nagrodę kupowali mu czego tylko sobie zażyczył. Dlatego też jego dzieciństwo było bardzo bogate pod względem materialnym. Jednak w tym okresie życia, w którym jest się tak wrażliwym i tak łatwo zostać zranionym, chłopiec nie miał czasu na dziewczynę, nie mógł poszaleć z kolegami. Musiał wszystkie siły spożytkować na to, być ciągle być najlepszym - to był jego jedyny cel. Nie wiem, czy Noboru Wataya lubił takie życie, Kumiko też nie wiedziała. Nie był człowiekiem, który szczerze okazuje uczucia siostrze, rodzicom czy komukolwiek innemu. Lecz czy mu się to życie podobało, czy nie, nie dano mu możliwości wyboru. Moim zdaniem pewne systemy myślenia stają się niemożliwe do odrzucenia z powodu ich jednostronności i prostoty. W każdym razie po skończeniu bardzo dobrego liceum dostał się na wydział ekonomii Uniwersytetu Tokijskiego i ukończył go z ocenami nieomal wyłącznie celującymi.

Ojciec spodziewał się, że po studiach zostanie urzędnikiem państwowym lub zatrudni się w jakiejś wielkiej firmie, lecz on postanowił zostać na uniwersytecie i robić karierę naukową. Noboru Wataya nie był głupi. Rozumiał, że lepiej poradzi sobie w świecie, w którym kładzie się nacisk na osobiste zdolności intelektualne i gdzie potrzebna jest umiejętność systematycznego traktowania wiedzy, niż w realnym świecie, gdzie musiałby działać w grupie. Skończył dwuletnie studia podyplomowe na uniwersytecie Yale i wrócił na studia doktoranckie na Uniwersytet Tokijski. Niedługo po powrocie do Japonii za radą rodziców poznał odpowiednią kandydatkę na żonę i ją poślubił, lecz małżeństwo trwało jedynie dwa lata. Po rozwodzie wrócił do domu

rodzinnego i zamieszkał z rodzicami. Kiedy go poznałem, był już dość nieprzyjemnym dziwakiem.

Trzy lata temu, w wieku 34 lat, napisał i wydał grubą książkę. Była specjalistyczna, ekonomiczna. Próbowałem ją przeczytać, ale szczerze mówiąc, nic nie rozumiałem. Nie rozumiałem praktycznie ani jednej strony. Nie mogłem stwierdzić, czy trudna jest treść, czy też książka jest po prostu źle napisana. Wśród ekonomistów narobiła dużo szumu. Kilku recenzentów chwaliło ją jako „zupełnie nowe podejście do ekonomii, zupełnie nowy punkt widzenia”, lecz ja nie mogłem nawet zrozumieć, co próbowali powiedzieć recenzenci. Niedługo mass media zaczęły kreować go na bohatera nowych czasów. Wyszło nawet kilka książek na temat jego książki. Wyrażenia „ekonomia seksualna” i „ekonomia ekskrementalna”, których użył, stały się bardzo modne. Czasopisma i gazety publikowały artykuły poświęcone Noboru Watai i opisujące go jako intelektualistę nowej epoki. Nie mogłem uwierzyć, że autorzy naprawdę zrozumieli jego książkę. Wątpiłem, czy nawet ją otworzyli, ale dla nich nie miało to znaczenia. Z ich punktu widzenia był młodym, nieżonatym człowiekiem, który miał tyle przytomności umysłu, by napisać niezrozumiałą książkę.

W każdym razie dzięki niej nazwisko Noboru Wataya stało się znane. Pisał coś w rodzaju krytyk do różnych czasopism i zaczął pojawiać się w telewizji jako komentator wydarzeń ekonomicznych i politycznych. Wkrótce stał się stałym członkiem grupy rozmówców w programach dyskusyjnych. Ludzie znający Noboru Watayę, ze mną i Kumiko na czele, nie uważali wcale, że ta wspaniała kariera do niego pasuje. Był raczej człowiekiem nerwowym, typem nerwowego naukowca, którego interesują jedynie sprawy specjalistyczne. Jednak w świecie mediów grał swoją rolę tak znakomicie, że budziło to ogólny podziw. Nawet nie drgała mu powieka, gdy kamera kierowała się na niego, wydawał się wtedy bardziej odprężony niż w normalnym życiu. Z niemy podziwem przyglądaliśmy się tej błyskawicznej meta-

morfozie. Występujący w telewizji Noboru Wataya odziany był w kosztowny, dobrze uszyty garnitur, doskonale dopasowany krawat i okulary w szylkretowej oprawie. Jego fryzura też stanowiła najnowszy krzyk mody. Prawdopodobnie miał zawodowego stylistę. Nigdy przedtem nie widzieliśmy go tak wspaniale ubranego. Nawet jeżeli założyć, że ubrali go tak w telewizji, ten styl przylgnał do niego idealnie, jak gdyby zawsze się tak ubierał. Zastanawiałem się wtedy, kim właściwie jest ten człowiek. Kim jest naprawdę.

Przed kamerą był dość oszczędny w słowach. Zapytany o zdanie, wyrażał je precyzyjnie, używając prostych słów i jasnych, logicznych sformułowań. Gdy inni kłócili się podniesionymi głosami, on zachowywał zawsze chłodny spokój. Nie dawał się sprowokować, pozwalał się innym wypowiedzieć, a na koniec odpierał ich argumenty jednym zdaniem. Posiadał umiejętność zadawania śmiertelnego ciosu w plecy z uśmiechem i pogodną twarzą. Poza tym - nie wiem dlaczego - na ekranie telewizyjnym zdawał się znacznie bardziej inteligentny i godzien zaufania niż w rzeczywistości. Choć niezbyt przystojny, był wysoki, szczupły i wydawał się bardzo dobrze wychowany. Jednym słowem Noboru Wataya znalazł w telewizji idealne miejsce dla siebie. Media przyjęły go z radością, a on im się odwdzięczał tym samym.

Nie lubiłem czytać tego, co napisał, i nie lubiłem oglądać go w telewizji. Niewątpliwie miał zdolności i talent, nie da się temu zaprzeczyć. Potrafił w kilku słowach i w krótkim czasie skutecznie zniszczyć oponenta. Umiał zwierzęcym instynktem wyczuwać kierunek wiatru. Jednak gdy czytało się uważnie to, co pisał, i słuchało tego, co mówił, widać było, że brak w tym spójności. Jego światopogląd nie był oparty na głębokich przekonaniach. Świat zbudował ze skomplikowanych połączeń w jednostronnym systemie myślenia. Potrafił w zależności od sytuacji błyskawicznie przebudować te połączenia. Były to pomysły, można nawet powiedzieć artystyczne, permutacje i skojarzenia,

lecz moim zdaniem stanowiły jedynie grę. jeżeli założyć, że w jego opiniach istniała spójność, była to jedynie spójność tego, że „jego opinie nie były spójne”, a jeśli przyjąć, że miał światopogląd, to musiał się on opierać na tym, że „nie ma światopoglądu”. Jednakże właśnie te braki stanowiły jego intelektualny kapitał. Spójność myślenia i ustalony światopogląd były niepotrzebne w potyczkach intelektualnych w mediach, które siekały czas na drobne kawałki, toteż fakt, że Noboru Wataya nie dźwigał na plecach takiego bagażu, stał się jego wielką zaletą.

Nie musiał niczego bronić, więc mógł skupić całą uwagę na czystej walce. Mógł jedynie atakować. Musiał tylko zniszczyć przeciwnika. W tym sensie Noboru Wataya był intelektualnym kameleonem. Zmieniał kolor w zależności od koloru przeciwnika i na poczekaniu tworzył logiczne argumenty i mobilizował wszelkie dostępne mu moce retoryki. Retoryka ta bywała zasadniczo zapożyczona, a czasem wydawała się wyraźnie pozbawiona treści. Lecz zupełnie jak prestidigitator zręcznie i szybko tworzył ją jakby z powietrza i prawie niemożliwe było wytknięcie mu wtedy od razu, że jest w środku pusta. Nawet jeżeli ktoś dostrzegał fałszywość jego argumentów, w porównaniu z prawdziwymi argumentami innych (które choć szczerze, zabierały dużo czasu na wyjaśnienia i robiły na większości widzów jedynie przeciętne wrażenie), jego wypowiedzi zdawały się pełne świeżości i o wiele bardziej przyciągały uwagę ludzi. Nie miałem pojęcia, gdzie się tego nauczył, ale potrafił bezpośrednio wpływać na uczucia wielu osób. Naprawdę wiedział, jak posługiwać się argumentami, które trafiają do większości. Nie musiały być ściśle logiczne, miały tylko wyglądać na logiczne. Liczyło się jedynie, czy wpływały na uczucia mas.

Czasami potrafił też wyrzucać z siebie niezrozumiały techniczny żargon. Oczywiście nikt nie rozumiał dokładnie, co mówi, jednak i w takim przypadku potrafił dać do zrozumienia, że wina jest po stronie tego, kto nie rozumie. Albo rzucał jakieś liczby. Te liczby miał wyrzyte w mózgu. Takie dane posiadały

wielką siłą przekonywania, jednak gdy później o tym

myślałem, uświadamiałem sobie, że nikt nigdy poważnie nie zakwestionował ani ich źródła, ani wiarygodności. Każdy wie, że dane liczbowe bardzo się zmieniają w zależności od sposobu cytowania, lecz jego strategia była bardzo zręczna i większość ludzi nie zwracała uwagi na to niebezpieczeństwo.

Te zręczne manipulacje wywoływały we mnie straszne niezadowolenie, lecz nie potrafiłem tego niezadowolenia dokładnie nikomu wytłumaczyć. Nie umiałem go uzasadnić. Przypominało to jakby walkę na pięści z duchem. Uderza się, lecz trafia jedynie powietrze. A to dlatego, że wewnątrz nie było nic, co mogłoby moje ciosy odparować. Dziwiłem się, patrząc, jak nawet wyrafinowani intelektualnie ludzie reagują na jego bodźce, i straszliwie mnie to irytowało.

W ten sposób zaczęto postrzegać Noboru Watayę jako jeden z najwybitniejszych umysłów. Zdawało się, że nikomu nie zależy już na intelektualnej spójności. Ludzie pragnęli rozgrywających się na ekranie telewizora słownych pojedynków i utoczonej podczas nich krwi. Wcale nie przeszkadzało im, że ten sam człowiek wygłaszał w poniedziałek zupełnie inne opinie niż w czwartek.

Poznałem Noboru Watayę, gdy postanowiliśmy z Kumiko wziąć ślub. Przed spotkaniem z jej ojcem zdecydowałem najpierw zobaczyć się z bratem. Myślałem, że ponieważ jest niewiele ode mnie starszy, stanie po naszej stronie.

- Lepiej chyba na niego nie liczyć - powiedziała Kumiko trochę niechętnie. - Nie umiem tego dobrze wyjaśnić, lecz to nie jest tego typu człowiek.

- Ale i tak będę kiedyś musiał go poznać - nie ustępowałem.

- No tak. Masz w zasadzie rację - odparła.

- To warto spróbować. Nigdy nie wiadomo.

- Tak, rzeczywiście, może to prawda.

Kiedy do niego zadzwoniła, odniosła wrażenie, że perspekty-

wa poznania mnie nie bardzo go ucieszyła, lecz znajdzie dla mnie pół godziny, jeżeli koniecznie mi na tym zależy. Umówiliśmy się w kawiarni niedaleko dworca Ocha-no-mizu. Nie napisał jeszcze wtedy książki i był tylko zwykłym asystentem na uniwersytecie. Nie wyglądał specjalnie imponująco. Kieszenie marynarki miał powypychane często trzymanymi w nich rękami, a włosy wymagały strzyżenia co najmniej od dwóch tygodni. Koszulka polo w kolorze musztardy i niebiesko-zielona tweedowa marynarka zupełnie do siebie nie pasowały. Wyglądał jak typowy młody asystent, którego pieniądze się nie mają - są tacy na każdym uniwersytecie. Miał zmęczone oczy, jakby od rana pracował w bibliotece i teraz tylko wyrwał się na chwilę, ale kiedy dobrze się przyjrzałem, dostrzegłem w nich przenikliwy, zimny blask.

Przedstawiłem się i powiedziałem, że zamierzam niedługo ożenić się z Kumiko. Mówiłem bardzo szczerze. Obecnie pracuję w kancelarii adwokackiej, ale nie jest to moja wymarzona praca. Jestem jeszcze na etapie poszukiwania tożsamości. Może się wydawać, że w mojej sytuacji myślenie o ożenku jest dowodem braku odpowiedzialności, ale kocham jego siostrę i myślę, że będziemy razem szczęśliwi. Uważam, że będziemy mogli sobie pomagać i wspierać się wzajemnie.

Zdawało się jednak, że Noboru Wataya prawie nic z tego nie rozumiał. Słuchał mnie w milczeniu z założonymi rękami. Kiedy skończyłem, siedział przez pewien czas bez ruchu. Wyglądał, jakby zamyślił się nad czymś zupełnie innym.

Na początku czułem się strasznie skrępowany i sądziłem, że to z powodu sytuacji, w jakiej się postawiłem. Nic dziwnego, że czuję się skrępowany, jeżeli komuś poznanemu przed chwilą, oznajmiłem nagle: „Prawdę mówiąc, chciałbym się ożenić z panną siostrą”. Jednak siedząc naprzeciw niego, poczułem, jak uczucie skrępowania stopniowo zmienia się w niechęć. Miałem wrażenie, że żołądek wypełnia mi coś śmierdzącego zgnilizną. Nie wywołało tego zachowanie Noboru Watai. Niechęć budziła

we mnie sama jego twarz. Instynktownie poczułem wtedy, że jest czymś powleczone. Coś było nie tak. Wydawało mi się, że nie jest to jego prawdziwe oblicze.

Miałem ochotę po prostu wstać i wyjść, lecz było to niemożliwe. Sam zacząłem rozmowę i nie mogłem jej tak nagle przerwać. Siedziałem więc dalej, pijąc wystygłą kawę, i czekałem, aż się odezwie.

- Szczerze mówiąc - zaczął cichym głosem, jakby oszczędzał siły - nie bardzo zrozumiałem, co powiedziałaś, a poza tym nie interesuje mnie to. Interesują mnie rzeczy innego typu, których pewnie nie mógłbyś zrozumieć i nie zainteresowałyby cię. Podsumowując: ty chcesz się żenić z Kumiko, ona chce za ciebie wyjść. Ja nie mam ani prawa, ani powodu, by się sprzeciwiać. Dlatego się nie sprzeciwiam. Nawet nie przyszłoby mi to do głowy. Ale chciałbym, żebyś niczego więcej ode mnie nie oczekiwał. Poza tym ~ i to jest dla mnie najważniejsze - chciałbym, żebyś nie zabierał mi już więcej czasu.

Potem spojrział na zegarek i wstał. Być może użył nieco innych słów, lecz nie pamiętam dokładnie jakich. W każdym razie jego wypowiedź mniej więcej do tego się sprowadzała. Nie powiedział nic, co nie było konieczne, a jednocześnie wyraził wszystko, co chciał. Dobrze zrozumiałem, co chciał powiedzieć i za jakiego uznał mnie człowieka. I tak się rozstaliśmy.

Po ślubie został moim szwagrem, więc przy kilku okazjach zamieniliśmy parę słów, lecz dialogów tych nie można nazwać rozmowami. Zgodnie z jego twierdzeniem, nie mieliśmy wspólnej płaszczyzny porozumienia. Mogliśmy więc mówić, ale nie rozmawialiśmy, naprawdę zdawało się, że mówimy różnymi językami. Gdyby Erie Dolphy tłumaczył leżącemu na łożu śmierci Dalajlamie, jak ważne jest wybranie oleju silnikowego w zależności od brzmienia basowego klarnetu, być może rozmowa ich byłaby bardziej wartościowa i skuteczna niż moje dialogi z Noboru Watayą.

Rzadko mi się zdarza, bym był emocjonalnie roztrzęsiony



wskutek jakiegoś spotkania. Oczywiście bywa, że zdarzy się coś przykrego i czuję w stosunku do kogoś złość i irytację, lecz nigdy nie trwa to długo. Mam umiejętność rozgraniczenia między sferą swego własnego życia i sferą życia innych. Myślę, że mogę to nazwać umiejętnością, a to dlatego, że - nie chwaląc się - nie jest to wcale taka prosta sprawa. Kiedy coś sprawi mi przykrość albo mnie zirytuje, najpierw przesuwam obiekt tej niechęci w jakąś inną, niemającą ze mną związku sferę, a potem myślę: „Jest mi teraz przykro i jestem zdenerwowany, ale powodu już tu nie ma, przesunąłem go gdzie indziej. Później spokojnie go zbadam i poradzę sobie z nim”. W ten sposób na pewien czas zamrażam swoje uczucia. Później, kiedy je odmrażam i powoli badam, zdarza się, że są jeszcze wzburzone, ale są to raczej wyjątkowe przypadki. Po upływie odpowiednio długiego czasu większość rzeczy traci ostrość i staje się nieszkodliwa. I prędzej czy później o nich zapominam.

Do tej pory uniknąłem wielu niepotrzebnych kłopotów dzięki stosowaniu tego systemu opanowywania uczuć i udało mi się utrzymać swój własny świat w stanie stosunkowo stabilnym. Jestem nawet trochę dumny z posiadania takiego efektywnie działającego systemu.

Jednakże w przypadku Noboru Watai system praktycznie przestał działać. Nie potrafiłem zepchnąć jednostki nazwiskiem Wataya w „sferę, która mnie nie dotyczy”. To raczej on jednym ruchem zepchnął mnie w sferę, która jego nie dotyczy. Ten fakt mnie zirytował. Ojciec Kumiko był niemożliwie arogancki i nieprzyjemny, ale jednocześnie to tylko człowiek. formatu, o wąskich horyzontach, który żyje, wierząc święcie w dość te idee, dlatego też potrafiłem o nim skutecznie zapomnieć, lecz Noboru Wataya był kimś zupełnie innym. Jasno zdawał sobie sprawę z tego, kim jest. Przypuszczalnie dość dokładnie wiedział też, kim ja jestem. Gdyby przyszła mu ochota, mógłby mnie rozgnieść na proch. Tylko dlatego tego nie robił, że go po prostu zupełnie nie obchodziłem. Z jego punktu widzenia nie byłem nawet wart cza-

su i energii, jakich wymagałoby zniszczenie mnie. Sądzę, że prawdopodobnie właśnie to mnie zirykowało. To prymitywny, pozbawiony kręgosłupa egoista, lecz znacznie bardziej utalentowany ode mnie.

Przez dłuższy czas po naszym spotkaniu czułem wyraźny niestrawny smak, jakby ktoś wpełznął mi do ust garść śmierdzących owadów. Wyplułem je, jednak ciągle jeszcze czułem na języku. Przez wiele dni myślałem o Noboru Watai. Starłem się wyrzucić go z myśli, lecz nie mogłem. Poszedłem na koncert i do kina. Poszedłem nawet na mecz baseballowy z kolegą z pracy. Piłem, przeczytałem książkę, którą miałem zamiar przeczytać w wolnym czasie. Jednak Noboru Wataya zawsze pozostawał w zasięgu mego wzroku, z założonymi rękami przyglądał mi się tymi niewróżącymi nic dobrego, nieruchomymi, jakby wypełnionymi szlamem oczami. Irytowało mnie to i miałem wrażenie, że mój świat zatrzęsł się w posadach.

Kiedy zobaczyłem się następnym razem z Kumiko, zapytała, jakie wrażenie zrobił na mnie jej brat. Nie byłem w stanie jej szczerze odpowiedzieć. Chciałem ją zapytać o tę maskę, którą nosił, o tę nienaturalnie zniekształconą rzecz, która musi się za nią kryć. Chciałem jej wyznać swoją niechęć i zdenerwowanie, lecz w końcu nic nie powiedziałem, bo miałem pewność, że choćbym jej długo tłumaczył, nie uda mi się tego przekazać. A skoro nie będę mógł wytłumaczyć, lepiej teraz nic nie mówić.

- Rzeczywiście jest trochę dziwny - powiedziałem. Chciałem jeszcze dodać coś stosownego, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Kumiko więcej nie pytała, tylko w milczeniu skinęła głową.

Mój stosunek do Noboru Watai prawie się od tamtej pory nie zmienił. Czuję nadal tę samą irytację, męczy mnie ciągle, jak stan podgorączkowy. Nie mamy w domu telewizora, ale ilekroć spojrzę gdzieś na ekran, zawsze widzę na nim wypowiadającego się na jakiś temat Noboru Watayę. Gdy w jakiejś poczekalni biorę do ręki przypadkowe czasopismo, zawsze po

przerzuceniu kilku stron znajduję zdjęcie Noboru Watai i jakiś tekst jego autorstwa. Czuję się, jakby czyhał na mnie na każdym rogu. Dobrze, przyznam się: nienawidzę Noboru Watai.

## **7. O szczęśliwej pralni oraz wejście na scenę Krety Kano**

Zaniosłem bluzkę i spódnicę Kumiko do pralni naprzeciw dworca. Zwykle chodziłem do pralni niedaleko domu, nie dlatego, że szczególnie przypadła mi do gustu, lecz po prostu była blisko. Z pralni przy dworcu korzystała czasem Kumiko, wstępując tam po drodze do pracy i odbierając uprane rzeczy, gdy wracała do domu. Mówiła, że ceny są nieco wyższe, ale prasują porządniej niż w naszej pobliskiej pralni. Dlatego też wołała zanosić tam ubrania, do których była szczególnie przywiązana. Tego dnia postanowiłem pojechać rowerem i oddać do tamtej pralni rzeczy Kumiko, myśląc, że na pewno ucieszy się, że właśnie tam je oddałem.

Ubrany w zielone spodnie z cienkiej bawełny, moje zwykłe tenisówki i żółty podkoszulek firmy płytowej z reklamą Van Halen, który Kumiko od kogoś dostała, wyszedłem z domu ze spódnicą i bluzką pod pachą. Właściciel pralni, tak jak przedtem, słuchał głośnej muzyki płynącej z radiomagnetofonu JVC. Dziś rano była to taśma Andy'ego Williama. Kiedy otworzyłem drzwi, właśnie dobiegała końca Hawaiian Wedding Song, a zaczynał się Canadian Sunset. Właściciel zapisywał coś szybko w notesie i pogwizdywał wesoło, wtórując piosence. Wśród leżących na półce kaset zauważyłem Sergio Men-desa, Berta Kampferta i „101 smyczków”. Musiał być maniakiem tak zwanej muzyki lekkiej, łatwej i przyjemnej. Nagle przyszło mi do głowy, że wielbiciele pełnego pasji jazzu w rodzaju Alberta Aylera, Dona Cherry czy Cecila Taylora nie mogliby być właścicielami pralni przy dworcach. A może mogliby, ale nie byłiby prawdopodobnie szczęśliwymi właścicielami pralni.

Położyłem na ladzie zieloną bluzkę w kwiaty i szarozieloną kloszową spódnicę. Właściciel rozpostarł je, szybko obejrzał i

starannie napisał na kwicie „bluzka i spódnica”. Cieszy mnie, kiedy w pralni tak starannie piszą. Jeżeli jeszcze do tego lubią And/ego Williama, naprawdę nie można im niczego zarzucić.

- Pan Okada, prawda? - zapytał. Powiedziałem, że tak. Wpisał moje nazwisko, wyrwał z bloczku kopię kwitu i wręczył mi. - Będą gotowe w przyszły wtorek, tym razem proszę nie zapomnieć ich odebrać. Czy to rzeczy małżonki?

- Tak - odparłem.

↳ Ładne kolory - powiedział. Niebo pokrywała warstwa chmur. Prognoza pogody zapowiadała deszcz. Było już po pół do dziesiątej, ale po schodach wiodących do dworca ciągle jeszcze wchodzili spieszący do pracy ludzie z teczkami i parasolami. Pewnie spóźnieni pracownicy jadący do firm. Poranek był duszny, lecz niepomni na to mieli na sobie porządne garnitury, porządne krawaty i porządne czarne buty. Zauważyłem wielu mężczyzn w moim wieku, ale żaden z nich nie nosił podkoszulka reklamującego Van Halen. W klapach marynarek mieli znaczki firm, a pod pachą „Nihon Keizai Shinbun”\*. Rozległ się sygnał oznajmiający przyjazd pociągu i kilku z nich ruszyło biegiem po schodach. Od dawna nie widziałem takich ludzi. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że zeszły tydzień spędziłem między domem, sklepem, biblioteką i osiedlowym basenem. Widziałem przez ten czas tylko gospodynie domowe, starszków, dzieci i kilku właścicieli sklepów. Stałem tam przez pewien czas bezmyślnie, przyglądając się ludziom w garniturach i krawatach.

Pomyślałem, że skoro przyjechałem aż tutaj, mógłbym zjeść w kawiarni przed dworcem śniadanie i napić się kawy, ale uznałem, że to zawracanie głowy, i zrezygnowałem. Właściwie nie miałem ochoty na kawę. Spojrzałem na swoje odbicie w szybie kwaciarni. Na rękawie podkoszulka była plama z sosu pomidorowego. Ciekawe, skąd się wzięła?

Wsiadłem na rower i ruszyłem do domu. Nie wiedzieć kiedy,

---

\* "Nihon Keizai Shinbun" - dziennik o tematyce ekonomicznej.

zacząłem pogwizdywać Canadian Sunset.

O jedenastej zadzwoniła Malta Kano.

- Halo - powiedziałem.

- Halo - odparła. - Czy to mieszkanie pana Toru Okady?

- Tak. Toru Okada przy telefonie. - Od razu poznałem ją po głosie.

- Nazywam się Malta Kano. Przepraszam za kłopot, jaki sprawiłam ostatnim razem. Czy ma pan jakieś plany na dzisiejsze popołudnie?

Powiedziałem, że nie mam. Tak samo jak ptaki przelotne nie mają nic nadającego się pod zastaw hipoteczny, ja nie miałem żadnych planów.

- W takim razie dzisiaj o pierwszej moja siostra Kreta Kano pozwoli sobie pana odwiedzić.

- Kreta Kano? - powtórzyłem bezbarwnym głosem

- Moja młodsza siostra. Wydaje mi się, że poprzednio pokazałam panu zdjęcie - powiedziała Malta Kano.

- Tak, wiem, że chodzi o pani siostrę, ale...

- Kreta Kano to imię i nazwisko mojej siostry. Pozwoli sobie przyjść w moim zastępstwie. Czy godzina pierwsza panu odpowiada?

- Tak, może być pierwsza...

- W takim razie pozwolę sobie pana pożegnać - powiedziała Malta Kano i odłożyła słuchawkę.

Kreta Kano?

Wyciągnąłem odkurzacz, odkurzyłem podłogę i posprzątałem. Związałem sznurkiem gazety i wepchnąłem do szafy, posegregowałem porozrzucone kasety i włożyłem do pudełka, pozmywałem w kuchni. Potem wziąłem prysznic, umyłem głowę i przebrałem się w czyste ubranie. Zaparzyłem świeżą kawę, zjadłem kanapkę z szynką i gotowane jajko. Usiadłem na sofie i czytając czasopismo dla gospodyń domowych, zastanawiałem się, co zrobić na kolację. Zaznaczyłem stronę z przepisem na sałatkę z tofu i wodorostów, zapisując potrzebne składniki na liście za-

kupów. Włączyłem UKF. Akurat Michael Jackson śpiewał Billy Jean. Potem zacząłem myśleć o Malcie i Krecie Kano. Co za imiona! Brzmiały zupełnie jak duet satyryczny. Malta Kano i Kreta Kano.

Moje życie niewątpliwie obierało jakiś dziwny kierunek. Kot uciekł. Jakaś dziwna kobieta zadzwoniła nie wiadomo po co. Poznałem osobliwą dziewczynę i zacząłem odwiedzać opuszczony dom w uliczce. Noboru Wa-taya zgwałcił Kretę Kano. Malta Kano przepowiedziała odnalezienie krawata. Żona powiedziała, że nie muszę już pracować.

Wyłączyłem radio, odłożyłem czasopismo na półkę i nalałem sobie jeszcze jedną filiżankę kawy.

Kreta Kano zadzwoniła do drzwi punktualnie o pierwszej. Wyglądała dokładnie tak jak na zdjęciu, drobna, musiała mieć dwadzieścia parę lat, lecz sprawiała wrażenie starszej. Wspaniale odtworzyła styl początku lat sześćdziesiątych. Gdyby American Graffiti działo się w Japonii, mogłaby zostać statystką bez żadnej dodatkowej charakteryzacji. Włosy miała utapirowane i podkrecone na końcach, jak na zdjęciu. Odgarnięte z czoła kosmyki podtrzymywała duża błyszcząca spinka. Czarne brwi były wyraźnie narysowane kredką, utuszowane rzęsy rzucały tajemnicze cienie, a szminka wspaniale podkreślała modne wówczas barwy. Zdawało się, że gdyby dać jej mikrofon, od razu zaczęłaby śpiewać Johnny Angel, jej ubranie było znacznie prostsze i mniej charakterystyczne niż makijaż. Wyglądała nieomal urzędowo. Miała na sobie skromną białą bluzkę i prostą dopasowaną, zieloną spódnicę. Nie nosiła żadnych ozdób ani dodatków, pod pachą trzymała białą lakierowaną torebkę, a na nogach miała białe pantofle o ostrych noskach. Były małe, a szpilki cienkie i zastrzone jak grafity ołówków. Wyglądały jak pantofelki dla lalki. Nie mogłem wyjść z podziwu, że udało jej się tu przyjść w czymś takim na nogach.

W rzeczywistości była dużo ładniejsza niż na zdjęciu, tak ład-

na, że mogła uchodzić za modelkę. Patrząc na nią, miałem wrażenie, że oglądam jakiś stary film produkcji firmy Tóhó, z rodzaju tych z Yuzo Kayamą i Yuriko Hoshi. Kyu Sakamoto jest właścicielem knajpki dostarczającej do domu zupy z makaronem i nagle pojawia się tam groźna Godzilla.

Zaprosiłem ją do środka, posadziłem na kanapie i podałem podgrzaną kawę. Zapytałem, czy jadła już obiad, bo jakoś wydawała mi się głodna. Powiedziała, że jeszcze nie.

- Ale proszę sobie nie robić kłopotu - dodała pospiesznie. - Bardzo proszę. Ja w ogóle mało jadam.

- Naprawdę? - zapytałem. - Zrobienie kanapki zajmie mi minutę, więc proszę się nie kępować. To dla mnie żaden kłopot, bo przywykłem do przygotowywania takich prostych rzeczy.

Kilka razy potrząsnęła głową.

- Jest pan bardzo uprzejmy, ale naprawdę dziękuję, nie będę nic jadła. Proszę sobie nie robić kłopotu. Wystarczy kawa.

Na próbę podałem jednak na talerzyku czekoladowe ciasteczka. Kreta Kano zjadła z apetytem cztery. Ja też zjadłem dwa i napiłem się kawy.

Po zjedzeniu ciasteczek i wypiciu kawy jakby trochę się uspokoiła.

- Przyszłam dziś w zastępstwie Malty Kano. Jestem jej młodszą siostrą i nazywam się Kreta Kano. To oczywiście nie jest moje prawdziwe imię. Prawdziwe brzmi Setsuko Kano, ale używam tamtego od czasu, gdy zaczęłam pomagać siostrze w pracy. To taki jakby pseudonim zawodowy. Nie mam żadnego związku z wyspą Kretą. Nigdy tam nawet nie byłam. Ponieważ siostra używa imienia Malta, wybrała dla mnie po prostu takie, które łączyło się z jej. To siostra tak mnie nazwała. Czy pan był może kiedyś na Krecie?

Powiedziałem, że niestety nie. Nie byłem na Krecie i nie wybieram się w najbliższej przyszłości.

- Ja chciałabym tam kiedyś pojechać - powiedziała. Potem kiwnęła głową z bardzo poważnym wyrazem twarzy. - Jest to

duża grecka wyspa położona najbliżej Afryki. Kwitła tam antyczna cywilizacja. Moja siostra Malta była na Krecie i mówi, że to wspaniałe miejsce. Wieją silne wiatry i miód jest bardzo smaczny. Bardzo lubię miód.

Przytaknąłem. Nie przepadam za miodem.

- Przyszłam dzisiaj, ponieważ mam do pana prośbę - ciągnęła.  
- Chciałabym prosić o próbkę wody z pana domu.

- Wody? - powtórzyłem. - Chodzi pani o wodę z kranu?

- Może być woda z kranu. A jeżeli w okolicy jest studnia, chciałabym też trochę wody z tej studni.

- Myślę, że w okolicy nie ma studni. Jest co prawda jedna, ale znajduje się na terenie czyjejś posesji, a poza tym wyschła i nie ma w niej wody.

Kreta Kano patrzyła na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Czy w tej studni naprawdę nie ma wody? Jest pan pewien?

Przypomniałem sobie suchy dźwięk, jaki wydał kamyczek wrzucony tam przez dziewczynę.

- Na pewno jest wyschnięta. Bez wątplenia.

- W takim razie prosiłabym o próbkę wody z pana domu.

Zaprowadziłem ją do kuchni. Z białej lakierowanej torebki wyjęła dwie małe buteleczki, przypominające flaszeczki używane do przechowywania lekarstw. Jedną z nich napełniła wodą z kranu i starannie zakręciła. Potem powiedziała, że chciałaby iść do łazienki, więc ją zaprowadziłem. Suszyła się tam bielizna i wiele par rajstop żony, ale Kreta Kano nie zwracała na nie uwagi. Odkręciła kran i napełniła wodą drugą flaszeczkę. Zakręciła, odwróciła do góry dnem, sprawdzając, czy woda nie wycieka. Flaszeczki miały zakrętki w różnych kolorach, tak by można odróżnić wodę z kuchni od wody z łazienki. Ta łazienkowa była niebieska, a kuchenna - zielona. Po powrocie do pokoju Kreta Kano wsadziła obie flaszeczki do plastikowego woreczka, jakich używa się w zamrażarkach, i zasunęła również plastikowy suwaczek. Potem włożyła go do torebki i zatrzasnęła zameczek.



Rozległ się przyjemny suchy dźwięk. Po jej wprawnych ruchach poznałem, że już wiele razy pobierała próbki wody.

- Dziękuję bardzo - powiedziała.

- Czy to wystarczy? - zapytałem.

- Tak, na razie wystarczy - odparła.

Potem wygładziła spódnice, włożyła torebkę pod pachę i właśnie zamierzała wstać z kanapy, gdy powiedziałem:

- Chwileczkę. - Nie spodziewałem się, że tak nagle sobie pójdzie i byłem trochę zaskoczony. - Proszę chwileczkę poczekać. Moja żona chciałaby wiedzieć co się stało z kotem. Zniknął już prawie dwa tygodnie temu i jeżeli pani wie cokolwiek na jego temat, proszę mi powiedzieć.

Kreta Kano wpatrywała się we mnie przez chwilę, ciągle ścisnąc torebkę pod pachą, potem kilka razy skinęła głową. Kiedy to robiła, jej podkreścone, utapirowane włosy falowały w stylu wczesnych lat sześćdziesiątych. Gdy zaś mrugała oczami, sztuczne rzęsy poruszały się jak wielkie wachlarze z piór w rękach ciemnoskórych niewolników.

- Szczerze mówiąc, siostra powiedziała, że to może być dłuższa historia, niż się na początku wydawało.

- Dłuższa historia, niż się na początku wydawało?

Określenie „dłuższa historia” przywiodło mi na myśl wysoki pal wbity gdzieś pośrodku wielkiej pustej równiny, na której jak okiem sięgnąć nie ma nic innego. Słońce się obniża, a cień pala wydłuża, tak że jego końca nie można już dostrzec.

- Tak. Chodzi chyba o to, że ta historia nie skończy się na zniknięciu kota.

Zawahałem się lekko.

- Ale nam zależy jedynie na znalezieniu kota, który zniknął. Wystarczy, że kot się znajdzie. Jeżeli kot nie żyje, chciałbym to wiedzieć. Dlaczego ma się to stać „dłuższą historią”? Nie bardzo rozumiem.

- Ja też nie bardzo rozumiem - powiedziała. Potem dotknęła błyszczącej spinki na głowie i przesunęła ją trochę do tyłu. - Ale

proszę zaufać mojej siostrze. Oczywiście ona nie wie wszystkiego, ale jeżeli mówi, że to „dłuższa historia”, to znaczy, że na pewno tak jest.

W milczeniu skinąłem głową. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Zmieniwszy ton głosu, powiedziała:

- Czy jest pan teraz zajęty? Czy ma pan jakieś plany?

Powiedziałem, że nie jestem zajęty i nie mam żadnych planów. Nie miałem planów, tak samo jak para nitkowców nie ma żadnej wiedzy o zapobieganiu ciąży. Miałem co prawda zamiar pójść przed powrotem żony do sklepu i kupić kilka produktów potrzebnych do zrobienia sałatki z tofu i wodorostów oraz rigatoni z krewetkami w sosie pomidorowym, ale było jeszcze mnóstwo czasu, a poza tym nie musiałem przecież przygotowywać właśnie tych potraw.

- Czy w takim razie mogłabym opowiedzieć panu o sobie? - zapytała Kreta Kano.

Położyła białą lakierowaną torebkę na kanapie i złożyła ręce na pokrytych zieloną spódnicą kolanach. Paznokcie miała pomalowane ładnym różowym lakierem. Nie nosiła pierścionków.

Powiedziałem, że proszę bardzo, może opowiedzieć. I od tego momentu

- jak można było przewidzieć, gdy Kreta Kano zadzwoniła do drzwi - moje życie zaczęło płynąć w coraz dziwniejszym kierunku.

## **8. Długa opowieść Kreta Kano oraz refleksje nad istotą bólu**

- Urodziłam się dwudziestego dziewiątego marca - zaczęła swą opowieść Kreta Kano - i po południu w dzień moich dwudziestych urodzin postanowiłam odebrać sobie życie.

Postawiłem przed nią filiżankę świeżo zaparzonej kawy. Nałła do niej mleczka i powoli zamieszała łyżeczką. Nie posłodziła. Ja, jak zwykle, piłem kawę bez mleka i cukru. Zegar tykał,

sucho postukując w ścianę czasu.

Wpatrując się we mnie, Kreta Kano powiedziała:

- A może lepiej, żebym opowiedziała po kolei, od początku? Żebym zaczęła od tego, gdzie się urodziłam, jaką miałam rodzinę, od tego typu rzeczy?

- Proszę opowiadać, tak jak pani woli. Tak jak jest pani łatwiej, w dowolnej kolejności - odparłem.

- Było nas troje rodzeństwa, ja jestem najmłodsza - powiedziała. - Najstarszy był brat, potem moja siostra Malta. Ojciec prowadził szpital w prefekturze Kanagawa. Nie mieliśmy żadnych problemów rodzinnych. Rodzice byli poważnymi ludźmi szanującymi ciężką pracę. Chociaż dość surowi, dawali nam dużo swobody w drobnych sprawach tak długo, jak nie sprawialiśmy nikomu kłopotu. Nie mieliśmy problemów finansowych, lecz rodzice uważali, że należy żyć skromnie i dawali nam pieniądze jedynie na rzeczy potrzebne. Żyliśmy raczej dość oszczędnie.

Malta jest ode mnie o pięć lat starsza i już w dzieciństwie wiadomo było, że ma w sobie coś niezwykłego. Zgadywała różne rzeczy. Nieomylnie wskazywała, w której sali przed chwilą umarł pacjent albo gdzie szukać zgubionej portmonetki. Na początku wszyscy uważali, że to bardzo ciekawe i wygodne, ale wkrótce zaczęli na nią patrzeć z niechęcią. Ojciec, jako dyrektor szpitala, nie chciał, aby ludzie dowiedzieli się, że jego córka posiada takie nietypowe umiejętności, więc rodzice zabronili jej mówić przy obcych o „rzeczach pozbawionych podstaw”. Od tego czasu Malta zamilkła. Nie tylko nie mówiła już o „rzeczach pozbawionych podstaw”, ale praktycznie przestała nawet uczestniczyć w codziennych rozmowach.

Otwierała się jedynie przede mną. Żyliśmy w zgodzie i przyjaźni. Uprzedzając, że nie wolno mi nikomu o tym powiedzieć, informowała, że niedługo w sąsiedztwie będzie pożar albo że babcia z Setagaya zachoruje. I rzeczywiście wszystko się sprawdziło. Byłam wtedy małym dzieckiem i wydawało mi się to niezwykle ciekawe. Nigdy nie uważałam, że to straszne albo ni-

esamowite. Od kiedy pamiętam, zawsze chodziłam krok w krok za Malta i słuchałam jej przepowiedni.

Wraz z dorastaniem szczególne zdolności Malty pogłębiały się, lecz ona nie wiedziała, jak z nich korzystać, jak je rozwijać. Przez długi czas bardzo ją to martwiło. Nie mogła się nikogo poradzić, nikogo poprosić o wskazówki i w tym sensie nastoletnia Malta była wyjątkowo samotna. Musiała wszystko sama rozwiązać, sama znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania. Nie była wcale szczęśliwa w naszej rodzinie. Jej serce nigdy nie zaznało spokoju. Musiała powściągać swe zdolności i ukrywać je przed ludźmi. To przypominało hodowanie dużej silnej rośliny w małej doniczce. Było nienaturalne i niesłuszne. Wiedziała, że powinna jak najprędzej opuścić dom. Myślała, że gdzieś musi istnieć świat i życie, które będą jej odpowiadały, jednak do końca szkoły średniej musiała w milczeniu znosić nasze życie rodzinne.

Po maturze postanowiła nie iść na studia, lecz poszukać nowej drogi życiowej i wyruszyć za granicę, lecz rodzice zawsze żyli bardzo rozsądnie i nie chcieli się zgodzić na jej wyjazd, więc Malta z wielkim trudem zebrała pieniądze i wyjechała, nic im nie mówiąc. Najpierw udała się na Hawaje i przez dwa lata mieszkała na wyspie Kawai. Wyczytała, że gdzieś na północnym brzegu jest doskonała woda. Już wtedy bardzo ją interesowała. Wierzyła, że elementy wody mają wielki wpływ na ludzkie życie i dlatego postanowiła zamieszkać na Kawai. W głębi wyspy istniała jeszcze wtedy duża komuna hippisowska. Malta przyłączyła się do niej. Tamtejsza woda miała wielki wpływ na jej zdolność jasnowidzenia. Gdy dostawała się do jej organizmu, Malta mogła „lepiej zharmonizować” tę zdolność z własnym ciałem. Napisała do mnie, że było to coś naprawdę wspaniałego i ten list bardzo mnie ucieszył. Wkrótce jednak pobyt na Kawai przestał ją satysfakcjonować. Było tam niewątpliwie pięknie i spokojnie, ludzie wolni od pragnień materialnych szukali tylko spokoju wewnętrznego, lecz byli za bardzo przywiązani do nar-

kotyków i swobody seksualnej, których ona nie potrzebowała. Po dwóch latach opuściła więc wyspę.

Następnie pojechała do Kanady, podróżowała po północnej części Ameryki, a potem ruszyła na kontynent europejski. W podróży piła wodę we wszystkich mijanych miejscowościach i znalazła kilka miejsc ze wspianą wodą, lecz nigdzie nie mogła znaleźć tej idealnej, więc podróżowała dalej. Kiedy kończyły jej się pieniądze, zajmowała się wróżbiarstwem. Ludzie płacili w podziękowaniu za znalezienie zaginionych osób lub rzeczy. Nie lubiła brać pieniędzy. Niewłaściwe jest zamienianie na dobra materialne talentu danego przez niebo, jednakże gdyby wtedy tego nie robiła, nie miałyby z czego żyć. Wieści o jej przepowiedniach rozchodziły się szybko i nie miała kłopotu z zarabianiem pieniędzy. Raz pomogła nawet w śledztwie policji angielskiej. Odnalazła miejsce, w którym ukryto zwłoki zaginionej dziewczynki, i rękawiczkę upuszczoną w pobliżu przez przestępcę, który został dzięki temu schwytany i od razu się przyznał. Pisali o tym w gazetach. Przy następnej okazji pokażę panu wycinki. I tak wędrowała po całej Europie, aż w końcu dotarła na Maltę. Było to pięć lat po jej wyjeździe z Japonii. Malta okazała się ostatnim przystankiem w jej wodnych poszukiwaniach. Na pewno panu o tym mówiła.

Przytaknąłem.

- Podczas tego wędrownego życia siostra ciągle do mnie pisała. Zdarzało się czasem, że z jakiegoś powodu nie mogła napisać, ale zazwyczaj raz w tygodniu dostawałam długi list. Informowała mnie o tym, gdzie jest i co robi. Byłyśmy bardzo zżyte. Nawet w wielkim oddaleniu potrafiłyśmy się zrozumieć za pośrednictwem listów. Były naprawdę cudowne. Gdyby pan je przeczytał, na pewno zrozumiałby, jakim wspianym człowiekiem jest moja siostra. Dzięki jej listom poznałam świat pod różnymi postaciami, dowiedziałam się o wielu bardzo interesujących ludziach. Te listy bardzo podnosiły mnie na duchu. Pomogły mi się rozwijać. Jestem siostrze za to głęboko wdzięczna.

Jednak listy to tylko listy, choć nie umniejszam ich wartości. Gdy miałam kilkanaście lat, przechodziłam najtrudniejszy okres i najbardziej potrzebowałam starszej siostry, lecz zawsze była gdzieś daleko. Na próżno szukałam. Nigdzie jej nie było. W rodzinie czułam się osamotniona i wiodłam samotnicze życie, nastoletnie życie wypełnione bólem - potem powiem panu o tym bólu. Nie miałam się kogo poradzić. W tym sensie byłam równie samotna jak Malta. Gdyby była wówczas przy mnie, być może moje życie potoczyłoby się inaczej. Myślę, że poradziłyby mi w ważnych sprawach i uratowałyby mnie. Ale nie ma sensu teraz do tego wracać. Musiałam sama znaleźć własną drogę, tak jak Malta znalazła swoją. Gdy skończyłam dwadzieścia lat, postanowiłam dopełnić samobójstwo.

Kreta Kano podniosła do ust filiżankę i wypila resztę kawy.

— Bardzo dobra kawa - rzekła.

— Dziękuję - powiedziałem jak gdyby nigdy nic. - Niedawno ugotowałem jajka. Może ma pani ochotę?

Wahała się przez chwilę i powiedziała, że poprosi o jedno. Przyniosłem z kuchni jajka i sól. Nalałem też kawy do filiżanek. Powoli obraliśmy jajka i jedliśmy je, popijając kawą. W tym czasie zadzwonił telefon, lecz nie odebrałem. Zadzwonił piętnaście czy szesnaście razy i nagle umilkł. Wyglądało na to, że Kreta Kano nie zauważyła nawet, że dzwonił.

Gdy skończyła jeść, wyjęła z białej lakierowanej torebki małą chusteczkę i otarła usta. Potem obciągnęła spódnicę.

- Postanowiłam umrzeć i zdecydowałam się zostawić list pożegnalny. Siedziałam przez godzinę przy biurku i starałam się opisać przyczyny, które popychają mnie ku śmierci. Chciałam wyraźnie napisać, że nie umieram z niczyjego powodu i że wszystkie przyczyny mają związek ze mną. Nie chciałam, aby po mojej śmierci ktoś czuł się niepotrzebnie za nią odpowiedzialny. Nie udało mi się jednak skończyć tego listu. Poprawiałam go wiele razy, ale po każdym czytaniu miałam wrażenie, że wszystko, co napisałam, jest głupie i śmieszne. Im poważniej

próbowałam pisać, tym śmieszniej mi wychodziło. Tak więc w końcu postanowiłam nic nie pisać. Pomyślałam, że nie ma sensu zastanawiać się nad tym, co będzie po mojej śmierci. Podarłam więc wszystkie nieudane listy na drobne kawałeczki i wyrzuciłam.

Myślałam, że to bardzo prosta sprawa. Po prostu życie rozczarowało mnie. Nie mogłam już znieść tych wszystkich rodzajów bólu, których doznawałam. Przez dwadzieścia lat cierpiałam ból. Moje życie było nieprzerwanym dwudziestoletnim pasmem bólu, jednak do tego czasu zawsze starałam się jakoś sobie z nim radzić. Jestem z tego bardzo dumna. Nikt nie mógłby mi zarzucić, że za mało się starałam. Nie poddałam się bez walki. Jednak w dzień dwudziestych urodzin zadałam sobie pytanie, czy życie naprawdę warto jest takich wysiłków? Było to dwadzieścia całkowicie zmarnowanych lat. Nie mogłam już więcej znieść bólu.

Milczała przez chwilę, składając leżącą na kolanach białą chusteczkę. Gdy spuściła powieki, rzęsy rzuciły delikatny cień na policzki.

Ochrząknąłem. Pomyślałem, że powinienem coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy, więc milczałem. Z odali usłyszałem głos Ptaka nakręcacza.

- To właśnie z powodu tego bólu postanowiłam popełnić samobójstwo. Z powodu bólu- powiedziała Kreta Kano. - Nie mówię o bólu psychicznym, bólu w przenośni. Mówię o zwykłym bólu fizycznym. Prostym, codziennym, fizjologicznym i dlatego bardzo dotkliwym. Konkretnie chodzi mi o ból głowy, zębów, bóle miesiączkowe, bóle krzyża, ból karku, gorączkę, bóle mięśniowe, oparzenia, odmrożenia, zwichnięcia, złamania, uderzenia... różnego typu bóle. Odczuwałam je o wiele częściej i znacznie silniej niż inni ludzie. Na przykład mam jakąś wrodzoną wadę zębów. Bolały mnie przez cały rok. Na nic się nie zdało mycie wiele razy dziennie i unikanie słodczy. I tak robią mi się dziury. A do tego nie bardzo działa na mnie znieczulenie. Dłate-

go wizyta u dentysty była dla mnie koszmarem. Był to ból, którego po prostu nie da się wyrazić słowami. Przerzątał mnie. Miałam też straszne bóle miesiączkowe. Moje miesiączki były obfite, trwały cały tydzień i dół brzucha bolał mnie, jakby ktoś wkręcał mi tam świder. Dokuczały mi też bóle głowy. Przypuszczam, że nie może pan sobie tego wyobrazić, ale były tak silne, że aż łzy stawały mi w oczach. Co miesiąc przez tydzień męczył mnie przypominający tortury ból.

Gdy leciałam samolotem, ból spowodowany zmianą ciśnienia po prostu rozsądzał mi głowę. Lekarz powiedział, że to pewnie z powodu budowy uszu. Podobno zdarza się to, gdy ucho wewnętrzne ma kształt wrażliwy na zmiany ciśnienia. Dokuczał mi też często, gdy wsiadałam do windy. Dlatego nawet w wieżowcach z niej nie korzystam. To jest taki ból, że mam wrażenie, że głowa mi pęknie i tryśnie z niej krew. Poza tym przynajmniej raz w tygodniu miałam po obudzeniu tak ostry ból brzucha, że nie mogłam wstać z łóżka. Wielokrotnie robiono mi badania, ale nie znaleziono żadnej przyczyny. Powiedziano, że to może być psychosomatyczne, lecz bez względu na przyczynę i tak mnie bolało. I musiałam w te dni chodzić do szkoły, bo gdybym za każdym razem z powodu bólu zostawała w domu, prawie nigdy nie pojawiłabym się w szkole.

Gdy się o coś otarłam, od razu powstawał siniak. Chciało mi się płakać na widok własnego odbicia w lustrze. Całe ciało miałam pokryte ciemnymi sińcami, wyglądałam jak zgniłe jabłko. Nie lubiłam się rozbierać do kostiumu kąpielowego i dlatego, jak sięgnę pamięcią, nie chodziłam na pływalnię. Miałam też kłopot ze stopami, które różniły się od siebie rozmiarem, i od każdych nowych butów robiły mi się straszne pęcherze.

Dlatego nie uprawiałam praktycznie żadnych sportów, ale raz w gimnazjum ktoś mnie zmusił do pójścia na łyżwy. Przewróciłam się wtedy, mocno uderzyłam w biodro i od tego czasu zawsze zimą to miejsce strasznie mnie boli. Jakby ktoś dźgał mnie grubą igłą. Wiele razy zdarzyło się, że upadłam, próbując wstać



z krzesła.

Cierpiałam też na straszne zatwardzenie, wydalanie stolca co trzy czy tery dni sprawiało mi potworny ból. Bardzo sztywniał mi kark. Stawał twardy jak kamień. Nie mogłam ustać, ale gdy się kładłam, wcale nie było lepiej. Czytałam w jakiejś starej książce o chińskiej metodzie tortur, polegającej na tym, że wkładano człowieka na wiele lat do wąskiego drewnianego pudła, i wyobrażałam sobie, że właśnie tak musiał się czuć. Prawie nie mogłam oddychać, kiedy tak strasznie sztywniał mi kark.

Mogłabym długo wyliczać wszystkie rodzaje bólu, jakie mi dokuczały, ale nie chcę pana zanudzać, więc przestanę. Chciałam tylko wyjaśnić, że moje ciało praktycznie składało się z próbek bólu. Dotknęły mnie wszystkie jego rodzaje. Myślałam, że zostałam przez kogoś przeklęta. Że życie jest niesprawiedliwe. Gdybym wiedziała, że wszyscy ludzie na świecie dźwigają na barkach ten sam bagaż bólu, mogłabym to jeszcze znieść. Lecz tak nie było. Ból jest bardzo niesprawiedliwy. Pytałam wielu osób, lecz nikt nie zaznał prawdziwego bólu. Większość ludzi żyje, prawie nie odczuwając go na co dzień. Kiedy się o tym dowiedziałam - a uświadomiłam to sobie wyraźnie na początku gimnazjum - zrobiło mi się tak smutno, że miałam łzy w oczach. Zastanawiałam się, dlaczego tylko ja muszę dźwigać na barkach ten straszny ciężar. Jeśli tylko to mnie czeka, wolę umrzeć.

Jednocześnie myślałam, że przecież na pewno nie zawsze tak będzie. Pewnego ranka obudzę się, a ból nagle w niewyjaśniony sposób zniknie i zacznie się bezbolesne spokojne życie. Nie miałam jednak pewności, że tak się stanie.

Podjęłam decyzję i wyznałam wszystko siostrze. Nie chcę takiego pełnego cierpienia życia. Co właściwie powinnam zrobić? Malta zastanawiała się nad tym przez pewien czas, a potem powiedziała: „Zdaje mi się, że coś jest z tobą nie tak, ale nie wiem, na czym to polega. Nie wiem też, co należy zrobić. Nie potrafię jeszcze oceniać takich rzeczy. Mogę tylko powiedzieć, że lepiej poczekać, aż skończysz dwadzieścia lat. Wytrzymaj do swych

dwudziestych urodzin, a wtedy podejmiesz różne postanowienia".

I dlatego postanowiłam tak czy inaczej dożyć dwudziestu lat. Mijały lata i miesiące, lecz sytuacja wcale się nie poprawiała, wręcz przeciwnie - bóle stały się jeszcze gwałtowniejsze. Jedno stało się dla mnie jasne: wzrostowi mego organizmu towarzyszył odpowiedni przyrost bólu. Znosiłam to przez osiem lat. Przez ten czas żyłam, starając się dostrzegać tylko dobre strony życia. Przestałam narzekać. Starłam się uśmiechać, nawet w chwilach wielkiego cierpienia. Gdy ból wzrastał się i stawał się nie do wytrzymania, ćwiczyłam zachowywanie spokojnego wyrazu twarzy. Płacz i narzekanie nie zmniejszały bólu, tylko czyniły mnie jeszcze bardziej nieszczęśliwą. Dzięki tym wysiłkom wielu ludzi mnie polubiło. Myśleli, że jestem poważną sympatyczną dziewczyną. Cieszyłam się zaufaniem starszych i miałam wielu przyjaciół w moim wieku. Gdybym tylko nie odczuwała bólu, moja młodość byłaby godna pozazdroszczenia, jednak był on zawsze obecny. Stał się jakby moim cieniem. Gdy choć na chwilę o nim zapomniałam, od razu gdzieś boleśnie atakował.

Poszłam na studia. Miałam chłopaka i w lecie na pierwszym roku studiów straciłam dziewictwo. Jak można się było spodziewać, ból był niewyobrażalny. Przyjaciółki mówiły: „Wytrzymaj, niedługo się przyzwyczaisz, a wtedy przestanie boleć”. Jednak czas mijał, a ból nie ustawał. Płakałam, kochając się ze swoim chłopakiem, i odechciało mi się seksu. Raz powiedziałam do niego: „Kocham cię, ale nie chcę już tego robić, bo za bardzo mnie boli”. Zdziwił się i powiedział, że nigdy nie słyszał nic równie głupiego. „Na pewno masz jakieś problemy psychiczne - odrzekł. - Musisz się zrelaksować. Przestanie cię wtedy boleć, nawet będzie przyjemnie. Przecież wszyscy to robią, niemożliwe, żebyś tylko ty nie mogła. Za mało się starasz. Rozczulasz się nad sobą. Różne inne problemy składasz na karb bólu. Narzekanie nic nie pomoże”.

Gdy to usłyszałam, poczułam, że opanowanie, które utrzymywałam przez lata, nagle rozsypało się jak domek z kart. „Ja nie zartuję! Ty nie masz pojęcia o bólu! To, co ja czuję, to nie jest zwykły ból. Wiem wszystko o wszelkich rodzajach bólu. Kiedy mówię, że boli, naprawdę mnie boli” - zawołałam, a potem wyjaśniłam mu jeden po drugim wszystkie doświadczane przeze mnie bóle, ale on prawie nic z tego nie rozumiał. Człowiek, który nie doznał prawdziwego bólu, zupełnie nie może go zrozumieć. I tak się rozstaliśmy.

Nadeszły moje dwudzieste urodziny. Dotąd cierpiałam w milczeniu, myśląc, że może gdzieś kiedyś nastąpi jakaś wspaniała zmiana, lecz nic takiego się nie zdarzyło. Byłam naprawdę rozczarowana. Powinnam była wcześniej umrzeć. Poszłam okrężną drogą i wydłużyłam tylko ból - przerwała i wzięła głęboki oddech.

Stał przed nią talerzyk ze skorupkami jajka i pusta filiżanka po kawie. Na kolanach miała porządnie poskładaną chusteczkę. Spojrzała na stojący na półce zegar, jakby nagle sobie coś przypomniała.

- Bardzo przepraszam - powiedziała cichym głosem. - Mówiłam dłużej, niż myślałam. Nie powinnam zabierać panu tyle czasu. Nie wiem, jak pana przepraszać za tę długą i nudną opowieść. - Chwyciła pasek białej lakierowanej torebki i wstała z kanapy.

- Niech pani zaczeka - zawołałem pospiesznie. Nie chciałem, żeby tak przerwała w połowie. - Nie musi się pani przejmować, że zabiera mi czas. Dziś po południu i tak nie mam nic do roboty. Już tyle mi pani powiedziała. Czy nie mogłaby pani opowiedzieć do końca? Jest jeszcze dalszy ciąg, prawda?

- Oczywiście, że jest - powiedziała Kreta Kano. Stała, lecz ja dalej siedziałem. Obiema rękami ścisnęła pasek torebki. - Do tej pory było tylko jakby wprowadzenie.

Poprosiłem, żeby poczekała, i poszedłem do kuchni. Stałem przy zlewie, wzięłem dwa głębokie oddechy, potem wyjąłem z

szafki dwie szklanki i napełniłem je lodem. Następnie nalałem do nich wyjętego z lodówki soku pomarańczowego. Postawiłem szklanki na małej tacy i zaniósłem do pokoju. Robiłem to wszystko powoli i wróciłem dopiero po dłuższej chwili. Kreta Kano nadal stała tam nieporuszona. Postawiłem przed nią sok, a ona jakby zmieniła zdanie, siadła na kanapie i postawiła torebkę obok siebie.

- Naprawdę nie ma pan nic przeciwko temu - upewniała się - żeby opowiedziała do samego końca?

- Oczywiście, że nie.

Kreta Kano wypłała połowę soku i zaczęła opowiadać dalej.

- Nie udało mi się umrzeć. To dla pana oczywiste, ponieważ w innym przypadku nie siedziałabym tu teraz i nie piła soku - powiedziała i spojrzała mi w oczy. Uśmiechnąłem się lekko, jakby potakując. - Gdybym umarła zgodnie z planem, byłoby to dla mnie ostateczne rozwiązanie. Umarłabym, utraciłabym na zawsze świadomość i nigdy już nie musiałabym czuć bólu. Tego pragnęłam, lecz niestety wybrałam zły sposób. O dziewiątej wieczorem dwudziestego dziewiątego maja poszłam do pokoju brata i poprosiłam, żeby pożyczył mi samochód. Ponieważ był dopiero co kupiony, nowiutki, brat nie okazał zadowolenia, ale ja się tym nie przejęłam. Pożyczył ode mnie trochę pieniędzy, żeby go kupić, więc nie mógł odmówić. Wzięłam kluczyki, wsiadłam do błyszczącej toyoty MR2 i pojeździłam nią przez pół godziny. Na liczniku było tylko 1800 kilometrów. Samochód łatwo się prowadził, Przyspieszał momentalnie po lekkim naciśnięciu pedału gazu. Doskonale nadawał się do mego celu. Gdy zbliżyłam się do brzegów rzeki Tamagawa, znalazłam tam kamienny mur, który wyglądał na bardzo porządnie zbudowany. Otaczał jakiś budynek. W dodatku znajdował się na końcu ślepej uliczki. Wybrawszy odległość, która pozwoli mi nabrać prędkości, z całej siły wcisnęłam gaz i uderzyłam w mur. Myślałam, że jechałam z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów. Gdy samochód uderzył w mur, straciłam przytomność.

Jednakże na moje nieszczęście mur okazał się o wiele mniej solidny, niż na to wyglądał. Prawdopodobnie murarz zbudował go na byle jakim fundamencie. Rozpadł się na kawałki, a przód samochodu równiutko spłaszczył, na tym się jednak skończyło. Mur się poddał, zamortyzował siłę uderzenia, a do tego ja zapomniałam odpiąć pasy bezpieczeństwa - musiałam mieć wielki zamęt w głowie.

I tak uniknęłam śmierci. Nie odniosłam prawie żadnych obrażeń. A także o dziwo nie czułam prawie żadnego bólu. Zdawało mi się, że zostałam przez coś opętana. Zabrali mnie do szpitala i nastavili mi tam jedno złamane żebro. Przyjechała policja. Powiedziałam im, że nic nie pamiętam, że musiałam pomylić gaz z hamulcem. Uwierzyli we wszystko. Miałam dwadzieścia lat i prawo jazdy dostałam zaledwie sześć miesięcy wcześniej. Poza tym na pierwszy rzut oka nie wyglądałam na typ samobójczyni. Przecież nikt nie próbuje popełnić samobójstwa z zapiętymi pasami.

Po wyjściu ze szpitala musiałam stawić czoło kilku kłopotliwym problemom rzeczywistości. Trzeba było spłacić pożyczkę za samochód, który zmieniałam w kupę złomu. Z powodu jakiejś pomyłki w dokumentach nie był ubezpieczony. Pomyślałam, że należało wynająć porządnie ubezpieczony samochód, ale ja oczywiście nie miałam wtedy głowy do takich rzeczy. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że ten głupi samochód brata może nie być ubezpieczony, a do tego, że nie uda mi się popełnić samobójstwa. Przecież w końcu uderzyłam w mur z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. To zadziwiające, że przeżyłam.

Niedługo otrzymałam z administracji budynku rachunek za naprawę muru opiewający na 1 364294 jenów. Musiałam i za to zapłacić, w dodatku gotówką. Nie mając wyboru, pożyczyłam od ojca. Był bardzo pedantyczny w kwestiach pieniężnych i powiedział, że mam mu oddawać ratami, jak pożyczkę bankową. Stwierdził, że muszę ponieść odpowiedzialność za spowodowa-

nie wypadku i zwrócić mu pożyczkę do ostatniego jena. Poza tym ojciec też nie miał wtedy nadwyżek finansowych. Akurat trwały prace nad rozbudową szpitala i trudno było znaleźć fundusze.

Myślałam o tym, żeby ponownie spróbować umrzeć. Tym razem zrobiłabym to porządnie. Rzuciłabym się z piętnastego piętra budynku uniwersytetu i na pewno bym zginęła. Nie mogło być wątpliwości. Sprawdziałam wielokrotnie i znalazłam odpowiednie okno. Miałam zamiar wkrótce z niego wyskoczyć, ale coś mnie wtedy powstrzymywało. Coś dziwnego, co nie dawało mi spokoju. I to „coś” dosłownie w ostatniej chwili nie pozwoliło mi wyskoczyć, jednak dość dużo czasu upłynęło, zanim się zorientowałam, czym to „coś” było.

Nie czułam bólu.

Od czasu wypadku i pobytu w szpitalu prawie nie czułam bólu. Różne wydarzenia następowały jedno po drugim i nie od razu zorientowałam się, że ból opuścił moje ciało. Normalnie oddawałam stolec, nie miałam bólów miesiączkowych ani bólów głowy. Żołądek też przestał dokuczać. Nawet złamane żebro prawie nie bolało. Nie miałam pojęcia, dlaczego tak się stało, ale tak czy inaczej ból zniknął.

Postanowiłam więcżyć jeszcze trochę. Zaintrygowała mnie ta sytuacja. Chciałam posmakować życia bez bólu. Umrzeć mogłam zawsze. Jednak życie oznaczało teraz konieczność spłacania długów. Łącznie miałam ponad trzy miliony jenów długu. Aby zwrócić te pieniądze, zostałam prostytutką.

- prostytutką? - powtórzyłem zdziwiony.

- Tak - powiedziała Kreta Kano jak gdyby nigdy nic. - Musiałam zarobić pieniądze w krótkim czasie. Chciałam jak najszybciej oddać długi i nie znalazłam innego skutecznego sposobu zarabiania. Nie wahałam się nawet przez chwilę. Przecież ja naprawdę chciałam umrzeć i myślałam, że umrę prędzej czy później. Wtedy utrzymywała mnie przy życiu tylko ciekawość dotycząca życia bez bólu. W porównaniu ze śmiercią sprzedawanie

własnego ciała to nic wielkiego.

- Aha - powiedziałem.

Kreta Kano zamieszała słomką sok pomarańczowy, w którym rozpuścił się już lód.

- Czy mogę o coś zapytać? - spytałem.

- Oczywiście. Proszę bardzo.

- Czy nie poradziła się pani w tej sprawie siostry?

- Malta odbywała wtedy praktyki ascetyczne na wyspie Malcie. W czasie trwania praktyk nigdy nie podawała mi adresu, żeby jej nie przeszkadzać w medytacjach i nie przerywać koncentracji. Dlatego w ciągu trzyletniego pobytu siostry na Malcie prawie nie miałam okazji do niej pisać.

- Aha - powiedziałem. - Może napije się pani jeszcze kawy?

- Dziękuję bardzo - odrzekła Kreta Kano.

Poszedłem do kuchni i wstawiłem kawę. Czekając, aż się podgrzeje, utkwilem wzrok w wentylatorze i kilka razy głęboko odetchnąłem. Gdy kawa była ciepła, nalałem jej do czystych filiżanek, postawiłem na tacy obok talerzyka z ciasteczkami czekoladowymi i zaniósłem do pokoju. Przez pewien czas popijaliśmy kawę i jedliśmy ciasteczka.

- Kiedy próbowała pani popełnić samobójstwo? - zapytałem.

- Kiedy skończyłam dwadzieścia lat, a więc sześć lat temu, czyli w maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku - odpowiedziała.

W maju tego samego roku wzięliśmy ślub. Akurat wtedy Kreta Kano planowała samobójstwo, a Malta Kano odbywała praktyki ascetyczne na Malcie.

- Chodziłam do dzielnic rozrywki, zaczęłam mężczyzn, negocjowałam cenę, szliśmy do pobliskiego hotelu i tam z nimi spałam - powiedziała Kreta Kano. - Nie czułam już żadnego fizycznego bólu w czasie seksu. Nie bolało tak jak przedtem. Nie odczuwałam też żadnej przyjemności. Poruszałam tylko ciałem. Nie miałam też wyrzutów sumienia z powodu otrzymywania pieniędzy za seks. Ogarnęła mnie zupełna nieczułość.

Bardzo dobrze zarabiałam. W ciągu pierwszego miesiąca zebrałam prawie milion jenów. Gdybym robiła to jeszcze przez trzy czy cztery miesiące, bez trudu udałoby mi się spłacić długi. Późnym popołudniem po powrocie z uczelni wychodziłam do miasta i starałam się skończyć pracę tak, aby być w domu przed dziesiątą. Rodzicom powiedziałam, że pracuję jako kelnerka w restauracji. Nikt w to nie wątpił. Ponieważ obawiałam się podejrzeń, zwracając od razu za dużo pieniędzy, postanowiłam spłacać po sto tysięcy jenów miesięcznie. Resztę wpłacałam na własne konto bankowe.

Pewnego dnia, gdy właśnie miałam zaczepić kogoś przy dworcu, dwóch mężczyzn złapało mnie z tyłu za ręce. Pomyślałam, że to policja, jednak gdy lepiej im się przyjrzałam, zorientowałam się, że to miejscowi gangsterzy. Wciągnęli mnie w boczną uliczkę, zagrozili jakimś nożem i zabrali do pobliskiego biura swojej organizacji. Zaprowadzili do jakiegoś pokoju na tyłach, rozebrali do naga, związali. Potem długo mnie gwałcili i nakręcili to wszystko na wideo. Przez cały czas miałam zamknięte oczy i starałam się o niczym nie myśleć. Nie było to wcale trudne, ponieważ nie odczuwałam ani bólu, ani przyjemności.

Później pokazali mi tę taśmę wideo. Powiedzieli, że jeśli nie chcę, by się dostała w niepowołane ręce, muszę przystąpić do ich organizacji i pracować dla nich. Zabrali mi z torebki legitymację studencką. Zagrozili też, że jeśli się nie zgodzę, wyślą taśmę do rodziców, będą ich szantażować i oskubią ich do suchej nitki. Nie miałam wyboru. Powiedziałam, że wszystko mi jedno i zrobię to, co każą. Było mi wtedy naprawdę wszystko jedno. Jeden z nich powiedział: „Jeżeli przystąpisz do naszej organizacji i będziesz dla nas pracowała, dostaniesz mniej na rękę, bo my bierzemy siedemdziesiąt procent, ale za to nie musisz szukać klientów. Nie będziesz się musiała martwić, że cię złapie policja. Będziemy ci przysyłać tylko dobrych klientów. Jak będziesz tak dalej zaczepiać byle kogo, to skończysz uduszona w jakimś pokoju hotelowym”.



Nie musiałam już stać na rogach. Po południu szłam do ich biura, a potem do wskazanego hotelu. Rzeczywiście przysyłali mi klientów na poziomie. Sama nie wiem dlaczego, traktowali mnie bardzo dobrze. W odróżnieniu od innych dziewczyn wyglądałam niewinnie i pochodziłam z dobrej rodziny. Myślę, że wielu klientów lubiło dziewczyny mojego typu. Inne przyjmowały po trzech lub więcej klientów dziennie, ja miałam tylko jednego lub dwóch. Dziewczyny nosiły w torebkach pagery i gdy je wzywano, spieszyły do obskurnych hotelików i spały z podejrzanymi typami. Ja zazwyczaj miałam umówione spotkania i prawie zawsze w najlepszych hotelach. Zdarzało się też, że chodziłam do mieszkań. Klienci byli zwykle w średnim wieku, choć trafiali się i młodzi.

Raz w tygodniu odbierałam w biurze pieniądze. Sumy były mniejsze niż przedtem, ale jeśli doliczyć prywatne napiwki od klientów, zarabiałam nieźle. Zdarzali się oczywiście klienci z dziwnymi wymaganiami, lecz mnie nic nie robiło różnicy. Im dziwniejsze wymagania, tym większy napiwek. Wielu z nich specjalnie o mnie prosiło. Zwykle dobrze płacili. Zarobione pieniądze wpłacałam na kilka kont w różnych bankach. Chociaż wtedy przestało mi już zależeć na pieniądzach, stały się one tylko rządkami cyfr. Myślałam, że żyję tylko po to, by upewnić się co do swojej nieczułości.

Budziłam się rano i leżąc w łóżku sprawdzałam, że nigdzie nie czuję żadnego bólu. Otwierałam oczy, powoli wracała mi świadomość i od stóp do głów po kolei sprawdzałam odczuwanie każdej części ciała. Nigdzie nic nie bolało. Nie mogłam stwierdzić, czy ból naprawdę nie istniał, czy też istniał, lecz ja go nie czułam. Tak czy inaczej nic mnie nie bolało. Nie czułam nie tylko bólu, nie czułam niczego. Potem wstawałam z łóżka, szłam do łazienki i myłam zęby. Zdejmowałam piżamę i brałam gorący prysznic. Moje ciało wydawało się strasznie lekkie, jak puch, jakby nie należało do mnie. Zdawało mi się, że jakby moja dusza zamieszkała niczym pasożyt w cudzym ciele. Przeglą-

dałam się w lustrze i miałam wrażenie, że to, co się w nim odbija, jest strasznie dalekie.

Życie bez bólu - coś, o czym marzyłam tak długo. Gdy jednak sen się ziścił, nie mogłam sobie znaleźć miejsca w tym nowym bezbolesnym życiu. Była w nim wyraźna wyrwa i to mnie bardzo dezorientowało. Czułam, że jako człowiek nie jestem nigdzie zakotwiczona. Do tej pory gwałtownie nienawidziłam świata, jego niesprawiedliwości i nierówności, ale przynajmniej byłam w nim sobą, a świat był światem, lecz teraz ani świat nie był już światem, ani ja nie byłam sobą.

Często płakałam. W południe chodziłam sama do parku Shinjuku-gyoen albo Yoyogi, siadałam na trawniku i płakałam. Zdarzało się, że płakałam przez godzinę albo dwie. Czasami nawet głośno szlochałam. Przechodnie gapili się na mnie, ale było mi to obojętne. Myślałam o tym, jaka byłabym szczęśliwa, gdyby wtedy, dwudziestego dziewiątego maja, udało mi się po prostu umrzeć. A teraz nie mogłam już nawet umrzeć. W tej nieczułości straciłam siłę potrzebną, by odebrać sobie życie. Nie miałam w sobie bólu, ale nie miałam też i radości. Nie miałam w sobie nic. Pozostała jedynie nieczułość. I nie byłam już sobą.

Kreta Kano wzięła głęboki oddech, podniosła filiżankę po kawie i zajrzała do niej. Potem lekko potrząsnęła głową i postawiła filiżankę na spodeczku. - W tamtym okresie poznałam też pana Noboru Watayę.

- Poznała pani Noboru Watayę? - zapytałam zdziwiony. - Jako klienta?

Kreta Kano przytaknęła w milczeniu.

- Ale - zacząłem i przez chwilę szukałem odpowiednich słów - ja nie bardzo rozumiem. Pani siostra mówiła, że została pani przez niego zgwałcona. To było przy innej okazji?

Kreta Kano podniosła leżącą na kolanach chusteczkę i znów lekko otarła nią usta. Potem spojrzała mi prosto w oczy. W jej zrenicach było coś, co mnie zaniepokoiło.

- Bardzo przepraszam, czy mogłabym prosić o jeszcze jedną

kawę?

- Oczywiście - odparłem.

Zebrałem na tacę filiżanki ze stołu i podgrzałem w kuchni kawę. Z rękami w kieszeniach oparłem się o zlew i czekałem, aż będzie gorąca. Gdy wróciłem z filiżankami do pokoju, Kreta Kano nie było na kanapie. Zniknęły jej torebka i chusteczka. Poszedłem do przedpokoju. Nie było też butów.

O rany, pomyślałem.

## **9. O całkowitym braku prądu, o kanale odpływowym oraz obserwacje May Kasahary dotyczące peruk**

Rano, po wyprawieniu Kumiko do pracy, poszedłem popływać w dzielnicowym basenie, ponieważ przed południem nie ma tam tłoku. Po powrocie do domu zrobiłem kawę i popijając ją, dumałem o dziwnej niedokończonych opowieści Kreta Kano. Przypominałem sobie po kolei wydarzenia. Im dłużej myślałem o tej historii, tym dziwniejsza mi się wydawała. Wkrótce poczułem się trochę skołowany. Ogarnęła mnie nieomal obezwładniająca senność. Położyłem się na kanapie, zamknąłem oczy i usnąłem.

Śniła mi się Kreta Kano, choć najpierw pojawiła się Malta Kano. W moim śnie nosiła tyrolski kapelusz. Przy kapeluszu miała duże, bardzo kolorowe piórko. Byłem w wielkiej sali wypełnionej ludźmi, ale od razu ją zauważyłem z powodu tego ekstrawaganckiego kapelusza. Siedziała sama przy barze. Przed nią stała duża szklanka z jakimś tropikalnym drinkiem, lecz nie byłem pewien, czy go piła czy nie. Ja miałem na sobie garnitur i tamten krawat w kropki. Gdy tylko ją spostrzegłem, ruszyłem w jej kierunku, jednak z powodu tłumu nie posuwałem się zbyt szybko. Kiedy wreszcie dotarłem do baru, Malty Kano już tam nie było. Została tylko samotna szklanka z drinkiem tropikalnym. Usiadłem na sąsiednim stołku i zamówiłem szkocką whisky z lodem. Barman zapytał, jaką sobie życzę, więc poprosiłem o Cutty Sark. Rodzaj whisky był mi obojętny, a Cutty

Sark pierwsza przyszła mi do głowy. Zanim barman zdążył mi nalać, poczułem, jak ktoś z tyłu ujmuję mnie delikatnie za ramię, zupełnie jakby się obawiał, że jest zrobione z czegoś łatwo tłukącego. Odwróciłem się i zobaczyłem mężczyznę bez twarzy. Nie wiedziałem, czy naprawdę nie miał twarzy, lecz tam, gdzie powinien mieć twarz, panował głęboki cień, którego nie mogłem przeniknąć wzrokiem. „Pan Okada. Tędy proszę - powiedział. Chciałem coś powiedzieć, lecz mi nie pozwolił. - Bardzo proszę tędy. Nie ma zbyt dużo czasu. Proszę się spieszyć”. Trzymając mnie za ramię, szybkim krokiem przemierzał zatłoczoną salę, aż wyszliśmy na korytarz. Nie stawiałem specjalnie oporu i szedłem wiedziony przez mężczyznę. Ten człowiek zna co najmniej moje nazwisko. Nie jest to jakiś przypadkowy obcy, któremu daję się Bóg wie gdzie prowadzić. To wszystko musi mieć swój powód i cel.

Mężczyzna bez twarzy szedł przez pewien czas korytarzem, potem zatrzymał się przed jakimiś drzwiami, na których wisiała tabliczka z numerem dwieście osiem. „Drzwi nie są zamknięte na klucz, proszę otworzyć” - powiedział, więc otworzyłem. Za drzwiami był duży pokój. Wyglądał jak apartament w starym hotelu. Z wysokiego sufitu zwisał staromodny żyrandol, lecz nie był zapalony. Światło rzucał jedynie niewielki kinkiet na ścianie. Wszystkie zasłony były pozasuwane.

- Jeżeli ma pan ochotę na whisky, są tu różne rodzaje. Zdaje się, że lubi pan Cutty Sark, prawda? Proszę się nie krępować i napić się - powiedział mężczyzna bez twarzy, wskazując szafkę znajdującą się obok drzwi.

Potem zamknął bezszelestnie drzwi, zostawiając mnie samego. Stałem przez dłuższą chwilę pośrodku pokoju, nie mogąc się zdecydować, co mam zrobić.

Na ścianie wisiał duży obraz olejny. Przedstawiał rzekę. Chcąc zebrać myśli, przyglądałem się przez chwilę obrazowi. Nad rzeką unosił się księżyc. Oświetlał nieco przeciwny brzeg,

ale nie mogłem dojrzeć, co się na nim znajduje. Blask był zbyt słaby, wszystkie kontury zdawały się rozmyte i niespójne.

Strasznie zachciało mi się napić whisky. Pomyślałem, że pójdę za radą mężczyzny bez twarzy, otworzę szafkę i wypiję łyk, jednak za nic nie dało się otworzyć drzwiczek. Okazały się jedynie świetną imitacją. Przez pewien czas próbowałem naciskać i pociągać różne wystające elementy, ale i tak nic z tego nie wyszło.

- Nie tak łatwo to otworzyć, proszę pana - powiedziała Kreta Kano. Zorientowałem się, że stoi obok mnie. Znow była ubrana w stylu wczesnych lat sześćdziesiątych. - Otwarcie zajmuje dużo czasu. Dziś już pan nie zdąży. Niech pan da sobie z tym spokój.

Na moich oczach jak fasola wyłuskiwana ze strączka zrzuciła z siebie ubranie i stanęła przede mną naga. Bez uprzedzenia i wyjaśnienia.

- Proszę pana, nie mamy za wiele czasu. Uporajmy się z tym jak najszybciej. Bardzo mi przykro, że nie mogę dłużej zostać, ale nie pozwalają na to pewne okoliczności. Dużo wysiłku kosztowało mnie samo przyjście tutaj - mówiąc to, podeszła do mnie, rozpięła mi spodnie i, jakby to było zupełnie oczywiste, wyjęła z nich mój członek. Spuściła oczy z czarnymi sztucznymi rzęsami i otoczyła go wargami. Jej usta były znacznie większe, niż myślałem. Mój członek od razu powiększył się i zeszywniał. Gdy poruszała językiem, jej podkręcone włosy drżały lekko jak na wietrze. Ich koniuszki łaskotały mi uda. Widziałem jedynie jej włosy i sztuczne rzęsy. Usiadłem na łóżku, a ona ukłękła na podłodze i zatopiła twarz w moim podbrzuszu.

- Niech pani przestanie - powiedziałem. - Przecież zaraz przyjdzie Noboru Wataya. Nie możemy się tu spotkać. Nie chcę się z nim spotykać w takim miejscu.

- Wszystko w porządku - powiedziała Kreta Kano, wyjmując mój członek z ust. - Wystarczy nam na to czasu. Proszę się nie martwić. - I znow sunęła po nim językiem. Nie chciałem mieć

wytrysku, ale nie mogłem go wstrzymać. Czuję, jakby coś wysysało ze mnie nasienie. Jej usta, wargi uczepliły się mnie jak jakieś wilgotne, żywe stworzenia. Miałem wytrysk. I obudziłem się.

O rany, pomyślałem. Poszedłem do łazienki, uprałem poplamioną bieliznę i chcąc pozbyć się lepkiego wrażenia po tym śnie, wziąłem długi gorący prysznic. Po raz pierwszy od wielu lat miałem sen erotyczny. Próbowałem sobie przypomnieć poprzedni, ale bez skutku. W każdym razie było to tak dawno, że już nie pamiętałem.

Wyszedłem spod prysznica i wycierałem się ręcznikiem, kiedy zadzwonił telefon. Dzwoniła Kumiko. Rozmawiając z nią, czułem się trochę skrępowany, ponieważ dopiero co miałem we śnie orgazm z inną kobietą.

- Masz dziwny głos. Czy coś się stało? - zapytała. Przerazająco trafnie wyczuwa takie rzeczy.

- Nie, nic się nie stało - odparłem. - Trochę przysnąłem i właśnie się obudziłem.

- Taak? - powiedziała podejrzliwie. Jej podejrzliwość dosięgła mnie za pośrednictwem słuchawki i wprawiła w jeszcze większe zakłopotanie. - Przykro mi, ale chyba dzisiaj trochę później wrócę. Może nawet koło dziewiątej. Więc zjem na mieście.

- Dobrze, to ja przygotuję coś dla siebie.

- Przepraszam - dodała.

Poczekala chwilę i rozłączyła się. Przez pewien czas wpatrywałem się w słuchawkę, potem poszedłem do kuchni, obrałem jabłko i zjadłem.

Od czasu, gdy sześć lat temu ożeniłem się z Kumiko, ani razu nie spałem z inną kobietą. To nie znaczy, że nie pożądałem innych kobiet albo że nie miałem okazji. Po prostu z takich okazji nie korzystałem. Nie umiem wytłumaczyć powodu, ale chyba miało to związek z tym, co się dla mnie w życiu liczy. Tylko raz przez przypadkowy zbieg okoliczności spędziłem noc w domu pewnej dziewczyny. Lubiłem ją, a ona nie miała nic przeciw-

ko przespaniu się ze mną. Wiedziałem, że tak myśli, lecz mimo to nie poszedłem z nią do łóżka. Przez kilka lat pracowaliśmy razem w firmie adwokackiej. Była ode mnie dwa lub trzy lata młodsza. Jej praca polegała na odbieraniu telefonów, ustalaniu rozkładu dnia pracowników. Była w tym naprawdę bardzo dobra. Miała wycucie i świetną pamięć. Nigdy się nie zdarzało, żeby nie wiedziała, gdzie ktoś obecnie przebywa i nad czym pracuje albo na której półce jest dany dokument. Umawiała też wszystkie spotkania. Cieszyła się ogólną sympatią i zaufaniem. Byłem z nią w nieomal zażyłych stosunkach i wiele razy chodziliśmy we dwoje na drinka. Nie można było jej nazwać pięknnością, lecz podobała mi się jej twarz.

Kiedy okazało się, że bierze ślub i odchodzi z pracy (z powodu pracy narzeczonego musieli się przenieść na wyspę Kiusiu), ostatniego dnia wraz z kilkoma osobami z biura zaprosiliśmy ją na drinka. Wracaliśmy oboje tym samym pociągiem i było już późno, więc odprowadziłem ją do domu. Kiedy doszliśmy do drzwi jej bloku, zapytała, czy nie napiłbym się kawy. Trochę się martwiłem, że nie zdążę na ostatni pociąg, ale pomyślałem, że więcej już jej nie zobaczę, a poza tym miałem ochotę na kawę, bo chciałem nieco wytrzeźwieć, więc postanowiłem wstąpić. Było to typowe mieszkanie samotnej dziewczyny. Jak na jedną osobę miała nieco zbyt imponującą lodówkę i wspaniałe stereo stojące na półce z książkami. Powiedziała, że lodówkę dostała za darmo od znajomego. Przebrała się w sąsiednim pokoju w strój domowy i zrobiła w kuchni kawę. Usiedliśmy na podłodze i rozmawialiśmy.

- Czy jest coś szczególnego, konkretnego, czego się obawiasz? - zapytała, jakby nagle sobie coś przypominając, gdy rozmowa utknęła na chwilę w martwym punkcie.

- Myślę, że nie ma nic specjalnego - powiedziałem po krótkim zastanowieniu. Jest parę rzeczy, których się obawiam, ale nie ma nic „szczególnego”. - A ty?

- Ja się boję kanałów odpływowych - powiedziała, obejmując

kolana ramionami. - Wiesz, o co mi chodzi? O te podziemne ści-  
eki. Ciemne strumienie zamknięte pokrywami.

- Kanały odpływowe - powtórzyłem. Nie mogłem sobie dok-  
ładnie przypomnieć, co to takiego.

- Wychowałam się na prowincji w prefekturze Fukushima i  
zaraz obok naszego domu płynęła rzeczka. Odwadniano do niej  
pola i w pewnym miejscu spływała do takiego kanału. Miałam  
wtedy dwa czy trzy lata i podobno bawiłam się ze starszymi dzie-  
ćmi z sąsiedztwa. Te dzieci wsadziły mnie do małej łódki i po-  
pychały na rzece. Pewnie zawsze się tak bawiły, lecz tego dnia  
było po deszczu, podniósł się poziom wody, łódka wymknęła się  
z rąk i rzeczka poniosła ją wprost ku temu kanałowi odpływo-  
wemu., gdyby nie przechodził akurat tamtędy ktoś z sąsiadów,  
na pewno zostałabym wciągnięta do tego tunelu i już by mnie  
nie znaleziono.

Dotknęła ust palcem lewej ręki, jakby chcąc się upewnić, że  
jednak żyje.

- Pamiętam jeszcze całe to wydarzenie. Leżę na plecach un-  
oszona przez wodę. Widzę kamienne koryto rzeczki, nad nim roz-  
ciąga się bardzo niebieskie niebo. A woda unosi mnie coraz da-  
lej i dalej. Nie wiem, co się dzieje, ale nagle uświadamiam so-  
bie, że mam przed sobą ciemność. Naprawdę tam jest. Zbliża się  
szybko i próbuje mnie pochłonać. Jeszcze teraz czuję dotknięcie  
zimnego spowijającego mnie cienia. To moje najwcześniejsze  
wspomnienie.

Wypiła łyk kawy.

- Boję się - powiedziała. - Tak strasznie się boję, że nie mogę  
tego strachu opanować. Tak jak wtedy. Stopniowo mnie tam  
wciąga. Nie mogę stamtąd uciec.

Wyjęła z torebki papierosa, włożyła do ust i zapaliła zapalką.  
Powoli wypuściła dym. Pierwszy raz widziałem ją palącą.

- Mówisz o małżeństwie?

Przytaknęła.

- Tak, o małżeństwie.



- Czy wiąże się z tym jakieś konkretne problemy? - zapytałem.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nic specjalnie konkretnego. Oczywiście jest mnóstwo drobnostek, ale nie ma sensu o nich mówić.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, lecz miałem wrażenie, że coś powinienem.

- Myślę, że każdy, kto ma zamiar wziąć ślub, doznaje podobnych uczuć. Myśli: czy ja przypadkiem nie popełniam wielkiego błędu? Ale sądzę, że to chyba zupełnie naturalny niepokój. Połączenie się z kimś na całe życie to przecież bardzo ważna decyzja. Dlatego myślę, że nie ma co się tak bać.

- Łatwo ci mówić, że wszyscy tak myślą, że wszyscy przechodzą przez to samo - powiedziała.

Zegar wskazywał kilka minut po jedenastej. Pomyślałem, że muszę jakoś zręcznie zakończyć tę rozmowę, jednak zanim zdążyłem coś powiedzieć, dziewczyna odwróciła się do mnie i poprosiła, żebym ją objął.

- Dlaczego? - zapytałem zdziwiony.

- Chcę, żebyś mnie naładował - powiedziała.

- Naładował?

- Mam za mało energii - odparła. - Od pewnego czasu prawie nie mogę spać. Zasypiam na trochę, budzę się i już nie mogę usnąć. Nie mogę też o niczym myśleć. W takich przypadkach ktoś musi mnie naładować. Jeśli się nie naładuję, nie mogę dalej żyć. Naprawdę.

Zajrzałem jej w oczy, sądząc, że musi być pijana, ale były jak zwykle mądre i spokojne. Wcale nie była pijana.

- Przecież w przyszłym tygodniu wychodzisz za męża. Mąż będzie cię obejmował, ile chcesz. Co wieczór może cię obejmować. Po to właśnie jest małżeństwo. Teraz już nigdy nie zabraknie ci energii.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Zaciśnęła usta i przyglądała się własnemu stopom. Stały jedna przy drugiej, były drobne, bi-

ale i miały po pięć kształtnych paznokci.

- Chodzi o teraz - powiedziała. - Nie o jutro, przyszły tydzień czy miesiąc. Teraz mi brakuje elektryczności.

Zdawało mi się, że naprawdę pragnie, żeby ktoś ją przytulił, więc spróbowałem. Było to bardzo dziwne uczucie. Uważałem ją tylko za zdolną i sympatyczną koleżankę z pracy. Siedzieliśmy w tym samym pokoju, żartowaliśmy, czasami chodziliśmy na drinka, lecz kiedy tak obejmowałem ją z dala od firmy, w jej mieszkaniu, wydawała mi się jedynie ciepłym ciałem. Pomyślałem, że w sumie odgrywaliśmy tylko przydzielone nam role na scenie biura. Gdy zeszedliśmy z tej sceny, przestaliśmy grać, staliśmy się jedynie niepewnymi, niezręcznymi ciałami. Ciepłymi kawałkami mięsa z zestawem kości, organów trawienia, sercem, mózgiem i organami płciowymi. Otoczyłem ramionami jej plecy, a ona przywarła do mnie piersiami. Były większe i bardziej miękkie, niż myślałem. Siedziałem na podłodze, oparty o ścianę, ona ciasno do mnie przylgnęła. Obejmowaliśmy się tak przez dłuższy czas w zupełnym milczeniu.

- Czy dobrze to robisz? - zapytałem głosem, który brzmiał dziwnie obco.

Zdawało się, że mówi za mnie ktoś inny. Poczulem, jak dziewczyzna kiwa potakująco głową.

Miała na sobie bluzę od dresu i cienką spódnicę do kolan, ale wkrótce zorientowałem się, że nie ma nic pod spodem. Uświadomiwszy to sobie, nieomal od razu dostałem erekcji. Wydawało się, że ona to zauważyła. Cały czas czułem na szyi jej ciepły oddech.

Nie przespałem się z nią, ale w końcu „doładowywałem” ją prawie do drugiej. Prosiła: „Nie zostawiaj mnie tu takiej samej. Obejmuj mnie, proszę, aż zasnę”. Zaprowadziłem ją do łóżka i położyłem, lecz długo nie mogła usnąć. Przebrała się w piżamę, a ja położyłem się koło niej i obejmowałem ją, „ładując jej baterie”. Kiedy trzymałem ją w ramionach, czułem, że jej policzki są gorące, a serce wali. Nie wiedziałem, czy słusznie postępuję, po

prostu nie przychodził mi do głowy żaden inny sposób poradzenia sobie z tą sytuacją. Najprostsze byłoby przespanie się z nią, ale udało mi się jakoś w myślach wykluczyć tę możliwość. Instykt mówił mi, że nie powinienem tego robić.

- Nie chcę, żebyś mnie przez to znienawidził. Po prostu strasznie brakuje mi elektryczności.

- Nie martw się, rozumiem - powiedziałem.

Pomyślałem, że muszę zadzwonić do domu, lecz jak miałem się wytłumaczyć Kumiko? Nie lubię kłamać, ale żona raczej nie zrozumie, nawet jeśli dokładnie jej to wszystko wyjaśnię. Wkrótce zrobiło mi się wszystko jedno, pomyślałem, że będzie, co ma być. Wyszedłem od niej o drugiej i gdy dotarłem do domu, zegar wskazywał trzecią. Trudno było znaleźć taksówkę.

Kumiko była oczywiście wściekła. Nie spała i czekała na mnie, siedząc przy kuchennym stole. Wyjaśniłem, że piłem z kimś z pracy, a potem grałem w mahjonga. Zapytała, dlaczego do niej nie zadzwoniłem. Odparłem, że nie przyszło mi to do głowy, ale ona oczywiście nie uwierzyła i kłamstwo od razu się wydało. Od wielu lat nie grałem w mahjonga, a poza tym nie bardzo umiem kłamać. Nie mając innego wyjścia, powiedziałem prawdę. Całą prawdę od początku do końca, opuszczając tylko oczywiście fakt, że miałem erekcję. Powiedziałem, że naprawdę do niczego między nami nie doszło.

Kumiko nie odzywała się do mnie przez trzy dni. Nie powiedziała ani słowa. Spała w drugim pokoju, sama jadła posiłki. Był to największy kryzys w historii naszego małżeństwa. Wściekła się na mnie naprawdę. I dobrze rozumiałem dlaczego.

- Co byś sobie pomyślał na moim miejscu? - zwróciła się do mnie po trzech dniach milczenia. Były to jej pierwsze słowa. - Gdybym ja wróciła do domu w niedzielę o trzeciej nad ranem, nawet do ciebie nie zadzwoniwszy, i powiedziała, że leżałam do tej pory w łóżku z mężczyzną, ale do niczego nie doszło. Nie musisz się martwić, wierz mi. Ja tylko ładowałam mu baterie. No, to zjedzmy teraz śniadanie i prześpijmy się. Uwierzyłbyś mi

i się nie wściekł?

Milczałem.

- Ale ty postąpiłeś jeszcze gorzej - powiedziała. - Najpierw skłamałaś. Najpierw powiedziałaś, że piłeś z kimś i grałeś w mahjonga, choć było to wierutne kłamstwo. Dlaczego mam wierzyć, że z nią nie spałeś? Dlaczego mam wierzyć, że nie kłamiesz?

- Nie powinienem był na początku kłamać - powiedziałem. - Skłamałem, bo trudno było wytłumaczyć, co się naprawdę stało. Nie tak łatwo to wyjaśnić, ale musisz mi uwierzyć, że naprawdę nie doszło do niczego niestosownego.

Kumiko położyła głowę na stole. Zdawało mi się, że atmosfera w pokoju nieco zelzała.

- Nie wiem, jak to inaczej wyrazić. Nie mam żadnego innego wyjaśnienia, lecz chciałbym, abyś mi uwierzyła - powiedziałem.

- Jeśli chcesz, żebym ci uwierzyła, mogę ci uwierzyć - odparła. - Ale ja chcę, żebyś sobie zapamiętał: ja pewnie też zrobię ci kiedyś coś takiego i wtedy będziesz musiał mi uwierzyć. Mam do tego prawo.

Do tej pory jeszcze nie skorzystała z tego prawa. Czasem myślę o tym, co by się stało, gdyby to zrobiła. Pewnie uwierzyłbym w to, co by powiedziała, ale jednocześnie sędzę, że wzbudziłoby to we mnie skomplikowane i trudne do zniesienia uczucia. Myślałbym: „czy naprawdę musiała zrobić coś takiego?”. Kumiko pewnie właśnie tak się wtedy czuła.

- Panie Ptaku Nakręcaczu! - zawołał ktoś od strony ogrodu. Był to głos May Kasahary. Wycierając włosy ręcznikiem, wyszedłem na taras. Siedziała na jego krawędzi i obgryzała paznokcie kciuka. Miała te same ciemne okulary przeciwsłoneczne, co przy naszym pierwszym spotkaniu, kremowe bawełniane spodnie i czarną koszulkę polo. W rękach trzymała papierową teczkę.

- Przelazłam przez to - powiedziała, wskazując ogrodzenie z betonowych płyt i otrzepała kurz ze spodni. - Mniej więcej wi-

edziałam gdzie i dlatego tu przelazłam, ale cieszę się, że trafiłam do pana. Strasznie byłoby przeleźć przez ogrodzenie do obcego ogrodu. - Wyjęła z kieszeni papierosy i zapaliła. - A właściwie jak się pan miewa?

- Dość dobrze - odpowiedziałem.

- Idę teraz do pracy. Może poszedłby pan ze mną, jeżeli ma pan ochotę? Pracuje się w zespołach dwuosobowych i dużo fajniej byłoby pracować z kimś, kogo się zna. Kiedy kogoś spotykam po raz pierwszy, zawsze muszę odpowiadać na wiele pytań. Ile mam lat? Dlaczego nie chodzę do szkoły? To straszne zawracanie głowy. Poza tym mogą trafić na zbrodźcę. Przecież takie rzeczy się zdarzają, prawda? Dlatego bardzo by mi było na rękę, gdyby pan się zgodził.

- Chodzi o przeprowadzanie tych badań dla producenta peruk, o których wcześniej mówiłaś?

- Uhm - powiedziała. - Trzeba tylko liczyć łysych w Ginzie od pierwszej do czwartej. To bardzo proste. Myślę, że panu też się przyda. Wygląda na to, że pan przecież też kiedyś zacznie łysieć, to lepiej teraz się rozejrzeć i przestudiować ten problem, prawda?

- Ale czy nikt cię nie zatrzyma za wagarowanie, jeżeli będziesz robiła w dzień takie rzeczy zamiast iść do szkoły?

- Wystarczy powiedzieć, że na przykład zbieramy w mieście wiadomości na lekcje nauki o społeczeństwie albo coś w tym stylu. Zawsze się tak wykręcam, nie ma sprawy.

Nie miałem żadnych planów i postanowiłem z nią pójść. May Kasahara zadzwoniła do firmy i powiedziała, że tam jedziemy. Przez telefon mówiła grzecznym normalnym językiem.

- Tak, chciałabym pracować razem z tym panem. Tak, tak, owszem. Oczywiście. Dziękuję bardzo. Tak, rozumiem, rozumiem. Przypuszczam, że będziemy u państwa po dwunastej - powiedziała.

Zostawiłem kartkę, że wrócę przed szóstą, na wypadek gdyby żona dziś wcześniej przysłała z pracy, i wyszliśmy.

Firma produkująca peruki znajdowała się w Shinbashi. Podczas jazdy metrem May Kasahara wyjaśniła mi w skrócie, o co chodzi w badaniach. Zgodnie z jej wyjaśnieniem mamy stać na rogu, liczyć przechodzących mężczyzn, którzy są łysi albo mają przerzedzone włosy, i w zależności od stopnia wyłysienia dzielić ich na trzy kategorie: „śliwa” - mężczyźni z lekko przerzedzonymi włosami, „bambus” - mężczyźni ze znacznie przerzedzonymi włosami i „sosna” - całkowicie łysi. Otworzyła papierową teczkę, wyjęła folder objaśniający zasady przeprowadzania badań i pokazała mi różne przykłady typów łysienia. Każdy z nich w zależności od postępu procesu łysienia był zaliczany do jednej z kategorii: śliwy, bambusa lub sosny.

- Chyba rozumie pan mniej więcej, w czym rzecz i jakie stopnie łysienia mieszczą się w tych kategoriach. Można by w nieskończoność mówić o szczegółach, ale wie pan mniej więcej, że jak tyle, to tu, prawda? Wystarczy w przybliżeniu.

- Myślę, że mniej więcej rozumiem, o co chodzi - powiedziałem bez przekonania.

Obok niej siedział gruby wyglądający na biznesmena facet, który niewątpliwie należał do kategorii „bambus”. Z wyraźną niechęcią zerkał na folder, ale May Kasahara absolutnie się takimi rzeczami nie przejmowała.

- Ja będę odpowiedzialna za podział na śliwy, bambusy i sosny. Pan będzie stał koło mnie i wystarczy, że będzie pan zaznaczał w tabelce, kiedy powiem sosna albo bambus. No i co? Proste, prawda?

- No tak - zgodziłem się. - Ale właściwie jaki sens mają te badania?

- Tego to ja nie wiem - odparła. - Przeprowadzają je w różnych miejscach. W Shinjuku, Shibuyi, w Aoyamie. Może sprawdzają, w której dzielnicy jest najwięcej łysych albo jaki jest procent sosen, bambusów i śliw w populacji. Tak czy inaczej mają za dużo pieniędzy i dlatego mogą je wydawać na coś

takiego. Na produkcji peruk świetnie się zarabia. Pracownicy dostają też o wiele większe premie niż ludzie w firmach handlowych. Wie pan dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Dlatego, że peruka dość szybko się niszczy. Pan pewnie nie wie, że wystarcza zwykle tylko na dwa, trzy lata. Ostatnio peruki są strasznie wymyślne, ale przez to też szybciej się zużywają. Po dwóch, a najwyżej trzech latach trzeba sobie kupić nową. Ciąsnio przylega do głowy i własne włosy pod spodem jeszcze się przerzedzają, więc nowa peruka musi być ciaśniejsza. A poza tym co by pan pomyślał, gdyby pan nosił perukę i ta peruka po dwóch latach przestałaby się nadawać do użytku? Czy pomyślałby pan: „No tak, ta peruka się zużyła. Już się nie nadaje, ale skoro za nową musiałbym płacić, od jutra pójdę do pracy bez peruki”? Tak by pan zrobił?

Potrząsnąłem głową.

- Pewnie nie.

- Tak, nie zrobiłby pan tego. Czyli jak się raz zacznie nosić perukę, to już taki los, trzeba ją nosić do końca. Dlatego właśnie producenci peruk dużo zarabiają. Nie powinnam tego mówić, ale to tak jak z handlarzami narkotyków. Jak się raz złapie klienta, to już na zawsze pozostanie klientem. Pewnie aż do śmierci. Słyszał pan kiedyś, żeby łyseму wyrosły nagle włosy? Peruka kosztuje zwykle około pięciuset tysięcy jenów, a te bardziej wymyślne około miliona. I co dwa lata kupuje się nową. Straszne pieniądze, prawda? Samochodem jeździ się cztery czy pięć lat i można go sprzedać, gdy kupuje się nowy. Peruka ma krótszy żywot i nikt jej przecież nie odkupi.

- Aha - powiedziałem.

- Do tego producenci peruk prowadzą własne salony fryzjerskie. Tam się myje peruki i strzyże własne włosy. No tak! Przecież trudno pójść do zwykłego fryzjera, usiąść przed lustrem, powiedzieć „no dobra”, zdjęć perukę i poprosić o strzyżenie. Z samych tych salonów mają niezłe zyski.

- Dużo wiesz na ten temat - powiedziałem z podziwem.

Siedzący obok bambus skwapliwie przysłuchiwał się naszej rozmowie.

- Uhm, zaprzyjaźniłam się z jedną osobą z tej firmy i dowiedziałam się różnych rzeczy - powiedziała May Kasahara. - To oczywiste, że zarabiają na perukach. Robią je w południowo-wschodniej Azji, gdzie jest tania siła robocza. Włosy też tam kupują. W Tajlandii albo na Filipinach. Dziewczyny obcinają włosy i sprzedają firmom produkującym peruki. W niektórych miejscach te pieniądze to cały ich posag. Świat jest naprawdę dziwny. I zdarza się, że włosy stojącego obok faceta to naprawdę włosy jakiejś indonezyjskiej dziewczyny.

Na te słowa obaj z bambusem odruchowo rozejrzeliśmy się po wagonie.

Wstąpiliśmy do firmy perukarskiej w Shinbashi i pobraliśmy papierowe torby z arkuszami badań i ołówkami. Podobno firma zajmowała drugą pozycję na liście firm perukarskich osiągających największe zyski, lecz wejście było bardzo dyskretne, aby klienci mogli przychodzić bez skrępowania i na budynku nie było żadnego szyldu. Ani na papierowej torbie, ani na arkuszach badań rynkowych nie umieszczono nazwy firmy. Wpisałem nazwisko, adres, wykształcenie i wiek w podaniu o prace zlecone i złożyłem w dziale badań rynkowych. Było to przerażająco spokojne miejsce pracy. Nikt nie wrzeszczał do telefonu i nikt, podwinawszy rękawy koszuli, nie walił w zapamiętaniu w klawisze komputera. Wszyscy byli schludnie ubrani i oddawali się pracy w cichym skupieniu. Być może należało się tego spodziewać w firmie produkującej peruki: nie było nikogo łysego. Może niektórzy noszą peruki własnej firmy? Nie potrafiłem jednak odróżnić tych w perukach od tych z własnymi włosami. Nigdy przedtem nie byłem w firmie o takiej dziwnej atmosferze.

Pojechaliśmy metrem do Ginzy. Mieliśmy jeszcze trochę czasu, a poza tym zgłodnieliśmy, więc weszliśmy do Dairy Queen i



zjedliśmy po hamburgerze.

- Panie Ptaku Nakręcaczu - odezwała się May Kasahara. - Myśli pan, że będzie pan nosił perukę, jeżeli pan wyłysieje?

- Sam nie wiem - odparłem. - Nie lubię zwracania głowy, więc jak wyłysieję, to pewnie będę po prostu łysy.

- Tak, tak jest na pewno lepiej. - Otarła ketchup z kącika ust. - Bycie łysym nie jest takie złe, jak sądzą łysi. Chyba nie ma co się tym przejmować.

- Hm... - powiedziałem.

Potem usiedliśmy przy wejściu do metra przed domem towarowym Wako i przez trzy godziny liczyliśmy ludzi z rzadkimi włosami. Siedzieliśmy tam dlatego, że spoglądając z góry na głowy ludzi schodzących i wchodzących po schodach, można najdokładniej ocenić stan ich owłosienia. May Kasahara mówiła „sosna albo bambus”, a ja zaznaczałem to w odpowiedniej rubryce. Zdawała się bardzo wprawiona, ani razu się nie zawahała, nie zająknęła ani nie zmieniła raz przypisanej kategorii. Naprawdę szybko i trafnie odróżniała trzy stopnie łysienia. Cicho mówiła tylko sosna albo bambus, aby przechodnie się nie zorientowali. Zdarzało się, że jednocześnie przechodziło kilka łysiących osób i wtedy musiała szybko recytować „śliwaśliwabambussosnabambusśliwa”. Pewien elegancki starszy pan (o wspańskiej siwej czuprynie) przyglądał nam się przez chwilę, a potem zapytał mnie:

- Przepraszam bardzo, ale co właściwie państwo robią?

- Badania - odpowiedziałem krótko.

- Jakie badania? - zapytał.

- Do nauki o społeczeństwie - odparłem.

- Śliwasosnaśliwa - powiedziała cicho May Kasahara.

Nieprzekonany, jeszcze przez chwilę przyglądał się naszej pracy, lecz wkrótce zrezygnował i gdzieś zniknął.

Zakończyliśmy badania, kiedy zegar na budynku domu towarowego Mitsukoshi po przeciwnej stronie ulicy wydzwonił

czwartą. Poszliśmy jeszcze raz do Dairy Queen na kawę. Chociaż praca ta nie wymagała specjalnego wysiłku, miałem dziwnie sztywny kark i szyję. A może było to wywołane wyrzutami sumienia z powodu skrytego liczenia łysiejących. Wsiadliśmy do metra, by pojechać do firmy w Shinbashi, a ja przez cały czas odruchowo dzieliłem ludzi na sosny i bambusy. Nie było to zbyt przyjemne. Próbowałem przestać, ale rozpędziłem się już i nie mogłem. Złożyliśmy nasze raporty w dziale badań rynkowych i otrzymaliśmy wynagrodzenie. Nie było złe, jak na czas trwania i rodzaj pracy. Podpisałem rachunek i włożyłem pieniądze do kieszeni. Pojechaliśmy metrem do Shinjuku, gdzie przesiedliśmy się w linię Odakyu i ruszyliśmy w kierunku domu. Powoli zaczynały się popołudniowe godziny szczytu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu jechałem zatłoczonym pociągiem, ale wcale się za tym nie stęskniłem.

- Niezła praca, prawda? - powiedziała May Kasahara w pociągu. - Łatwa i nie najgorzej płatna.

- Niezła - zgodziłem się, ssąc dropa cytrynowego.

- Chce pan znowu ze mną popracować? Można raz w tygodniu.

- Mogę popracować.

- Wie pan co - powiedziała po chwili milczenia, jakby nagle sobie coś przypomniała. - Tak się zastanawiam, że może ludzie boją się łysienia, bo przywodzi im to na myśl kres życia. Chodzi mi o to, że kiedy łysieją, sądzą, że ich życie też się powoli zaczyna zużywać. Może czują, że robią duży krok w kierunku śmierci, ostatecznego zużycia.

Zastanowiłem się nad tym.

- Rzeczywiście, to prawdopodobne.

- Wie pan, co? Ja się czasem zastanawiam, jakby się człowiek czuł, gdyby umierał powoli, po trochu.

Nie bardzo zrozumiałem, o co właściwie pyta, więc trzymając się poręczy, odwróciłem się i bacznie ją obserwowałem.

- Umierać powoli, po trochu? Na przykład o jaką konkretną

sytuację ci chodzi?

- Na przykład..., no na przykład, jeżeli jest się zamkniętym w jakimś ciemnym miejscu, nie ma się nic do jedzenia, nic do picia, umiera się stopniowo, po trochu.

- To by na pewno było straszne, bolesne - powiedziałem. - Nie chciałbym tak umierać.

- Ale panie Ptaku Nakręcaczu, czy samo życie nie polega właśnie na tym? Jesteśmy zamknięci w jakimś ciemnym miejscu, odebrano nam jedzenie i picie, i stopniowo, powoli umieramy. Po troszeczkę, po troszeczkę.

Roześmiałem się.

- Jak na swój wiek jesteś czasami straszłą pesymistką.

- Co to jest to pesycóż?

- Pesymistką. Ktoś, kto dostrzega tylko ciemne strony życia.

Kilka razy powtórzyła sobie słowo „pesymistką”.

- Panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała, podnosząc głowę i wpatrując się we mnie. - Mam dopiero szesnaście lat i jeszcze nie znam świata, ale to jedno mogę z przekonaniem stwierdzić: jeżeli ja jestem pesymistką, dorośli tego świata niebędący pesymistami to głupcy.

## **10. O czarodziejskich rękach, śmierci w wannie oraz o doręczycielu pamiątek po zmarłym**

Przeprowadziliśmy się do tego domu w dwa lata po ślubie. Budynek w Koenji, w którym wynajmowaliśmy mieszkanie, miał zostać przebudowany i musieliśmy go opuścić. Szukaliśmy więc taniego i dogodnie położonego mieszkania, lecz trudno było znaleźć oferty mieszczące się w naszym budżecie.

Dowiedział się o tym mój wujek i zapytał, czy nie chcielibyśmy na razie zamieszkać w jego domu w Setagaya. Kupił go w młodości i mieszkał w nim przez dziesięć lat. Chciał go rozebrać i zbudować nowy, bardziej funkcjonalny, ale z powodu przepisów architektonicznych nie pozwolono mu na planowaną przebudowę. Podobno niedługo przepisy miały zostać złagodzo-

ne, więc wuj czekał. Tymczasem dom był niezamieszkały, płacono się za niego podatki, ale wuj nie chciał wynająć nikomu obcemu, ponieważ zdarza się, że trudno jest potem pozbyć się lokatora. Powiedział więc, że możemy tam zamieszkać, płacąc tyle samo (bardzo tanio), ile płaciliśmy za nasze poprzednie mieszkanie, co rozwiąże mu sprawę podatku. Musieliśmy tylko obiecać, że kiedy poprosi, żebyśmy się wyprowadzili, opróżnimy dom w ciągu trzech miesięcy. Nie mieliśmy nic przeciwko temu. Nie rozumieliśmy zbyt dobrze, o co chodziło z podatkami, ale byliśmy bardzo wdzięczni, mogąc nawet przez krótki czas zamieszkać za niski czynsz w wolno stojącym domu. Do dworca linii Odakyu było dość daleko, lecz dom znajdował się w spokojnej dzielnicy mieszkaniowej, miał też mały ogródek. Choć nie był to nasz własny dom, po wprowadzeniu się tam poczuliśmy, że stworzyliśmy „ognisko domowe”.

Wuj był młodszym bratem matki, człowiekiem, który nigdy nie zawracał nikomu głowy. Można powiedzieć, że miał szczerą, otwarty charakter, ale było coś nieomal niepojętego w tym, że do niczego się nie wtrącał. Był moim ulubionym krewnym. Skończył uniwersytet w Tokio i został spikerem w rozgłośni radiowej. Pracował tam przez dziesięć lat, a potem powiedział, że mu się znudziło, rzucił rozgłośnię i otworzył bar w Ginzie. Był to zwyczajny, niewyszukany, mały bar, ale szybko zrobił się znany, ponieważ podawano tam niepodrabiane drinki i po kilku latach wuj prowadził już kilka barów i restauracji. Wyglądało na to, że miał talent do prowadzenia tego typu placówek, ponieważ wszystkie jego lokale doskonale prosperowały. Jeszcze na studiach zapytałem go: „Jak to jest, że wszystkie twoje knajpki są takie popularne? Zdarza się na przykład, że z dwóch lokali otwartych w tym samym miejscu i bardzo do siebie podobnych jeden świetnie prosperuje, a drugi upada. Nie rozumiem, jaka jest tego przyczyna”. Wuj wyciągnął przed siebie dłonie. „Czarodziejskie ręce” - powiedział z powagą. Nic więcej nie dodał.

Być może rzeczywiście wuj miał czarodziejskie ręce, ale

prócz tego miał też talent do znajdowania wyjątkowo uzdolnionego personelu. Płacił im wysokie pensje, dobrze traktował, a oni go uwielbiali i dobrze pracowali.

Kiedys wuj powiedział mi: „Jeżeli jesteś przekonany, że właśnie ten człowiek jest ci potrzebny, dajesz mu od razu dużo pieniędzy i szansę. Jeżeli można coś kupić za pieniądze, trzeba to zrobić, nie zastanawiając się nad zyskiem czy stratą. Nadmiar energii należy zachować na załatwienie rzeczy, których nie da się kupić”.

Ożenił się późno. Ustatkował się w końcu, mając czterdzieści parę lat, gdy odniósł już sukces finansowy. Jego żona była rozwódką, młodszą o trzy czy cztery lata, i też posiadała znaczny kapitał. Wuj nie powiedział, jak i gdzie ją poznał. Jego żona wyglądała na dobrze wychowaną, poważną osobę. Nie mieli dzieci. Ona nie miała też dzieci z poprzedniego małżeństwa, co mogło być przyczyną jego rozpadu. Mając czterdzieści parę lat, wuj nie był może bogaczem, ale znajdował się w takim położeniu finansowym, że nie musiał się zapracowywać. Prócz dochodów z restauracji i barów miał też czynsze z wynajmowanych mieszkań i domów oraz stałe dywidendy z inwestycji. Ponieważ działał w branży rozrywkowej, nasza rodzina, szczycąca się stałymi posadami i skromnym trybem życia, traktowała go chłodno, on sam też nie bardzo lubił spędzać czas z krewnymi, jednak zawsze interesował się mną, swoim jedynym siostrzeńcem, szczególnie od czasu, gdy na pierwszym roku studiów zmarła mi matka, a ojciec powtórnie się ożenił i nasze stosunki niezbyt dobrze się układały. Kiedy wiodłem w Tokio życie biednego studenta, wuj często karmił mnie za darmo w jednej ze swoich restauracji w Ginzie.

Wujostwo mieszkali w luksusowym mieszkaniu na wzgórzu w Azabu, ponieważ ciotka twierdziła, że z domem jednorodzinnym jest zwracanie głowy. Wuj nie przepadał za wystawnym trybem życia, jego jedyną pasją były rzadkie samochody i miał w garażu starego jaguara i alfę romeo. Oba były już nieomal an-

tykami, lecz bardzo o nie dbał i lśniły jak nowe.

Zadzwoiłem do wuja w jakiejś sprawie, a przy okazji zapytałem o rodzinę May Kasahary, ponieważ kwestia ta nie dawała mi spokoju.

- Kasahara - wuj zastanawiał się przez chwilę. - Nie przypominam sobie tego nazwiska. Kiedy tam mieszkałem, byłem kawalerem i praktycznie nie miałem kontaktu z sąsiadami.

- Naprzeciwno posesji Kasaharów, po drugiej stronie uliczki jest opuszczony dom - powiedziałem. - Podobno kiedyś mieszkali tam państwo Miyawaki, ale teraz jest pusty i okna zabito deskami.

- Miyawakiego dobrze znałem - odparł wuj. - Dawniej prowadził kilka restauracji. Miał też jedną w Ginzie. Poznałem go w związku z pracą i rozmawialiśmy parę razy. Prawdę mówiąc, ta jego restauracja to nie było nic specjalnego, ale miała dobrą lokalizację, więc nie najgorzej sobie radził. Miyawaki był bardzo sympatyczny, lecz od razu rzuciło się w oczy, że pochodzi z bogatej rodziny. Z rodzaju tych, co nigdy nie dorastają, bo albo nie znają ciężkiej pracy, albo wręcz nie umieją ciężko pracować. Ktoś go namówił, żeby zainwestował w akcje. Źle ulokował pieniądze, poniósł straszne straty, musiał się pozbyć ziemi, domu, restauracji, wszystkiego. Akurat tak się złożyło, że otwierał nową restaurację i wziął pożyczkę na hipotekę domu i ziemi. Grunt usunął mu się spod nóg, a do tego wiatr powiał mu w oczy. Zdaje się, że miał dwie dorastające córki.

- I od tamtego czasu nikt tam nie mieszka.

- Naprawdę? - zapytał wujek. - Nikt tam nie mieszka? To pewnie coś jest poplątane z tytułem własności i kapitał został zamrożony albo coś w tym stylu. Ale lepiej tego domu nie kupować, nawet jeżeli jest dość tani.

- Nie mógłbym go kupić, nawet gdyby był dość tani - odparłem, śmiejąc się.

- A dlaczego?

- Rozpytywałem się, kiedy kupowałem swój dom, i słyszałem

różne nieciekawe rzeczy.

- Chodzi o duchy czy coś w tym rodzaju?

- O duchach nie słyszałem, ale ludzie nic dobrego o tej posesji nie mówią - powiedział wuj. - Aż do końca wojny mieszkał tam jakiś znany wojskowy, zapomniałem nazwisko. Pułkownik, w czasie wojny był w północnych Chinach. Wysoko postawiony w armii. Oddziały, którymi dowodził, bardzo się tam odznaczyły, ale podobno żołnierze robili też straszne rzeczy. Przeprowadził jednorazową egzekucję pięciuset jeńców wojennych. Zgarnęli kilkuset chłopów do prac przymusowych i tak ich męczyli, że ponad połowa zmarła. Ja tylko o tym słyszałem, więc nie wiem, ile w tym wszystkim prawdy. Przed samym końcem wojny wezwano go z powrotem do Japonii, więc gdy wojna się skończyła, był w Tokio. Widział, co się dzieje dookoła i zdał sobie sprawę, że jest bardzo prawdopodobne, że stanie przed trybunałem wojskowym podejrzany o popełnienie zbrodni wojennych. Generałowie i oficerowie byli zabierani z domów przez amerykańską Military Police. Nie chciał stawać przed sądem. Nie miał ochoty być kozłem ofiarnym i na dokładkę zostać powieszonym. Wolał już sam odebrać sobie życie. Kiedy zobaczył więc, jak przed domem zatrzymuje się jeep armii amerykańskiej i wysiada z niego żołnierz, bez chwili wahania strzelił sobie w łeb. Wolałby spełnić harakiri, ale nie miał na to czasu. Pistolet pozwalał umrzeć łatwo; szybko. Jego żona powiesiła się w kuchni, nie chcąc opuszczać męża.

- Coś takiego!

- Okazało się, że to był po prostu zwykły żołnierz, który zabłądził, szukając domu swojej dziewczyny. Zatrzymał na chwilę jeepa, chcąc kogoś zapytać o drogę. Jak sam wiesz, w tamtej okolicy łatwo się obcemu zgubić. Hm... niełatwo musi być zdecydować się na samobójstwo.

- Na pewno niełatwo.

- Potem dom stał przez pewien czas pusty, aż kupiła go jakaś samotna aktorka filmowa. To już dawne czasy i nie była bardzo

znana, więc pewnie nie znasz jej nazwiska. Mieszkała tam razem ze służącą, niech pomyślę, jakieś dziesięć lat. Po pewnym czasie zachorowała na oczy. Zaczęła tracić wzrok i nawet z bliska wszystko widziała jak przez mgłę, lecz będąc aktorką, nie mogła nosić w pracy okularów. Nie było wtedy takich dobrych szkieł kontaktowych jak teraz i w ogóle powszechnie jeszcze ich nie używano. Dlatego zawsze starała się najpierw zbadać topografię miejsca, w którym miał być kręcony film. Starła się zapamiętać, że jeżeli przejdzie stąd tyle a tyle kroków, dojdzie do czegoś tam, a idąc tyle a tyle kroków stamtąd tu, trafi na coś innego i tak grała. To były stare seriale rodzinne produkowane przez Shochiku, więc granie tym sposobem było możliwe. Dawniej ludzie mniej się wszystkim przejmowali. Pewnego dnia jak zwykle wszystko sprawdziła, upewniła się, gdzie co jest, i uspokojona wróciła do garderoby, lecz młody operator, który nie wiedział o całej sprawie, trochę wszystko poprzestawiał.

- Co za historia!

- Aktorka potknęła się, skądś spadła i potem nie mogła już chodzić. Do tego, być może z powodu wypadku, jej wzrok jeszcze się pogorszył. Stała się prawie niewidoma. Biedna. Mimo że jeszcze młoda i ładna, nie mogła już oczywiście grać w filmach. Siedziała więc cały czas w domu. Pewnego dnia służąca, której ufała bez granic, wzięła wszystkie pieniądze i uciekła z jakimś facetem. Wybrała wszystko z banku, akcje, absolutnie wszystko. Straszne, prawda? I jak myślisz, co ta aktorka zrobiła?

- Sądząc z tego, jak ta opowieść się rozwija, zakończenie nie jest raczej zbyt szczęśliwe?

- Masz racje - powiedział wujek. - Napełniła wannę, wsadziła głowę do wody i popełniła samobójstwo. Na pewno rozumiesz, że trzeba mieć bardzo silną wolę, żeby w ten sposób ze sobą skończyć.

- Niezbyt szczęśliwe zakończenie.

- Bardzo nieszczęśliwe - powiedział wujek. - Niedługo potem Miyawaki kupił tę posesję. To przyjemna dzielnica, dom poło-



zony był na wzniesieniu, pełen światła, ogród duży, wszystkim się od razu podobał. Kiedy jednak usłyszał ponure opowieści o poprzednich mieszkańcach, kazał go całkowicie rozebrać i zbudował nowy. Nawet zamówił egzorcyzmy. No, ale i tak nic to nie pomogło. Tego, kto tam zamieszka, spotykają nieszczęścia. Są takie miejsca. Ja bym tego domu nawet za darmo nie wziął.

Zrobiłem zakupy w pobliskim sklepie i zacząłem przygotowywać kolację. Zebrałem wysuszone pranie, poskładałem rzeczy i włożyłem do szuflad. Poszedłem do kuchni, zaparzyłem kawę i się napiłem. Dziś panowała cisza, telefon nie zadzwonił ani razu. Położyłem się na kanapie i zacząłem czytać książkę. Nic mi nie przeszkadzało w czytaniu. Czasami odzywał się w ogrodzie ptak nakręcacz, lecz poza tym nie dochodziły do pokoju żadne dźwięki.

Koło czwartej ktoś zadzwonił do drzwi. Był to listonosz. Powiedział, że ma list polecony i pokazał grubą kopertę. Podpisałem dowód doręczenia i przyjąłem przesyłkę. Na eleganckiej kopercie z papieru ryżowego widniały moje nazwisko i adres napisane pędzlem czarnym tuszem. Spojrzałem na nazwisko nadawcy na odwrocie: Tokutaro Mamiya. Adres w prefekturze Hiroshima, w powiecie X. Ani nazwisko, ani adres nic mi nie mówiły. Sądząc z wykaligrafowanych tuszem liter, Tokutaro Mamiya musiał być człowiekiem wiekowym.

Usiadłem na kanapie i rozciąłem nożyczkami kopertę. List też był na ryżowym papierze, w tradycyjnym stylu, złożony w cienki pasek, napisane pędzlem litery łączyły się ze sobą. Było to piękne pismo człowieka wykształconego w kaligrafii, ale ponieważ ja takiego wykształcenia nie posiadam, bardzo się napociłem przy czytaniu. Styl też był tradycyjny i ceremonialny, jednak powoli go rozszyfrowałem. Treść była mniej więcej taka: pan Honda, wróżbita, do którego kiedyś chodziliśmy, zmarł dwa tygodnie temu we własnym domu, w Meguro. Na atak serca. Zdaniem lekarza zmarł szybko i prawie nie cierpiał. Żył samot-

nie, więc być może było to szczęściem w nieszczęściu. Sprzątaczką, która przyszła rano, znalazła go nieżywego przy stole. Tokutaro Mamiya był w czasie wojny porucznikiem w armii i stacjonował w Mandżurii. Przypadkowym zrzędzeniem losu dzielił niebezpieczeństwa wojny z kapralem Hondą. Teraz po śmierci Oishiego Hondy, zgodnie z wolą zmarłego, w zastępstwie jego rodziny podjął się podziału pamiątek po nim. Zmarły pozostawił niezwykle dokładne wskazówki dotyczące podziału pamiątek. Ostatnia wola była tak starannie sporządzona, że zdaje się, że zmarły zaiste przeczuwał nadejście własnej śmierci. W ostatniej woli zmarły nadmienia, że byłby szczęśliwy, gdyby pan Toru Okada raczył przyjąć pewien pamiątkowy przedmiot. Zapewne jest pan niezwykle zajęty, lecz gdyby jednak zgodził się pan Przez Wzgląd na pamięć zmarłego przyjąć ten przedmiot, nie byłoby większej radości dla jego dawnego towarzysza broni, któremu niewiele życia już pozostało. Na końcu znajdował się adres, pod którym przebywał w Tokio. Dzielnica Bunkyo, Hongo, numer X, u państwa Mamiya. Pewnie zatrzymał się u krewnych.

Napisałem odpowiedź przy kuchennym stole. Miałem zamiar skreślić tylko parę słów na kartce pocztowej, ale gdy wziąłem długopis do ręki, nie mogłem znaleźć odpowiednich. Znałem zmarłego i wiele mu zawdzięczam. Gdy powtarzam sobie, że pan Honda nie żyje, serce wypełniają mi różne wspomnienia. Był ode mnie znacznie starszy i znałem go przez zaledwie rok, ale zawsze czułem, że zmarły miał w sobie coś, co chwyciło za serce. Szczerze mówiąc, zupełnie nie spodziewałem się, że zmarły pozostawi mi, człowiekowi mało sobie znanemu, jakąś pamiątkę. Nie wiem też, czy jestem godzien coś takiego przyjąć. Jeżeli jednak taka była wola zmarłego, oczywiście zgadzam się. Proszę o kontakt w dogodnym dla Pana terminie. Wrzuciłem kartkę do pobliskiej skrzynki.

- Gdy umrzesz, pojawi się wir, Nomonhan - powiedziałem do siebie.

Była prawie dziesiąta, gdy Kumiko nareszcie wróciła do domu. Zadzwoniła przed szóstą i powiedziała, że raczej nie uda jej się dziś wcześniej wrócić i żebym sam zjadł kolację, a ona zje coś szybko na mieście. Powiedziałem, że nic nie szkodzi i zrobiłem sobie skromną kolację. Potem znowu zabrałem się do czytania książki. Kumiko wróciła i powiedziała, że ma ochotę na trochę piwa, więc wypiliśmy na spółkę średniej wielkości butelkę. Wyglądała na zmęczoną. Siedziała przy kuchennym stole, głowę oparła na dłoniach, a gdy ją zagadywałem, odpowiadała zdawkowo. Zdawała się myśleć o czymś innym. Powiedziałem jej o śmierci pana Hondy.

- Taak? Pan Honda umarł? - Westchnęła. - No, miał już swoje lata i nie słyszał - dodała.

Gdy jednak powiedziałem, że zostawił dla mnie jakąś pamiątkę, osłupiała, jakby uderzył grom z jasnego nieba.

- Zostawił pamiątkę dla ciebie?

- Tak, chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

Kumiko zastanawiała się nad tym przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

- Może mu przypadłeś do gustu?

- Ale ja nigdy naprawdę z nim nie rozmawiałem - powiedziałem.

- Przynajmniej ja nic nie mówiłem, a nawet kiedy coś mówiłem, on przecież prawie nie słyszał. Raz w miesiącu siedzieliśmy u niego i grzecznie słuchaliśmy. Mówił prawie wyłącznie o bitwie pod Nomonhan. Opowiadał tylko w kółko, które czołgi się zapalały od butelki z benzyną, a które nie.

- Nie wiem co, ale coś musiało mu się w tobie podobać. Nie wiadomo, jakimi torami bieżą myśli takich ludzi.

Potem znowu zamilkła. To milczenie było dziwnie pełne napięcia. Spojrzałem na wiszący na ścianie kalendarz. Jeszcze dość daleko do jej miesięczki. Pomyślałem, że musiało ją spotkać coś nieprzyjemnego w pracy.

- Masz za dużo pracy? - zapytałem.

- Trochę za dużo - powiedziała, wpatrując się w szklanę z piwem, z której wypila jedynie łyk. W jej głosie brzmiało jakby lekkie wyzwanie.

- Przykro mi, że tak późno wróciłam. Kiedy pracuje się w redakcji czasopisma, zdarzają się takie pracowite okresy. Ale przecież nie wracam zawsze tak późno, prawda? Z trudem wykręcam się od pracy po godzinach. Jako powód podaję fakt, że jestem zamężna.

Przytaknąłem.

- To normalne, że czasem późno wraca się z pracy. Mnie to nie przeszkadza. Martwię się tylko, że jesteś zmęczona.

Wzięła długi prysznic. Ja przeglądałem wieczorne wydanie gazety, które przyniosła, i piłem piwo.

Przypadkiem włożyłem rękę do kieszeni i znalazłem tam pieniądze za pracę dla firmy perukarskiej. Były jeszcze ciągle w kopercie. Nie powiedziałem Kumiko o tej pracy. Nie miałem specjalnie zamiaru tego ukrywać, ale przegapiłem okazję, a potem już jakoś o tym nie wspomniałem. Wraz z upływem czasu było mi coraz trudniej się na to zdobyć. Wystarczyłoby rzucić: „Poznałem dziwną szesnastoletnią dziewczynę z sąsiedztwa, pracowaliśmy razem przy badaniach rynkowych dla producenta peruk i zapłacili nawet więcej, niż się spodziewałem”. Kumiko odpowiedziałaby: „Tak? To świetnie” - i na tym by się skończyło. Lecz możliwe, że chciałyby się więcej dowiedzieć o May Kasaharze, może przejęłyby się faktem, że poznałem szesnastoletkę.

I być może wtedy musiałbym od początku wszystko tłumaczyć: kim jest May Kasahara, kiedy, gdzie i w jaki sposób ją poznałem. Nie jestem zbyt dobry w tłumaczeniu rzeczy po kolei.

Wyjąłem pieniądze z koperty, włożyłem do portfela, a kopertę zmiałem i wyrzuciłem do śmieci. Pomyślałem, że właśnie w ten sposób po trochu tworzy się tajemnice. Nie miałem wcale zamiaru świadomie trzymać tej sprawy w tajemnicy przed Ku-

miko. Nie było to nic ważnego, mogłem jej o tym powiedzieć albo nie, lecz gdy raz jakaś sprawa znalazła się w sferze sekretów, jakby przepłynęła na drugą stronę przez jakąś rurkę, zaczynał ją pokrywać woal tajemnicy, bez względu na to, jaki był początkowy zamiar. To samo było z Kretą Kano. Powiedziałem żonie o wizycie młodszej siostry Malty, że ma na imię Kreta, ubiera się w stylu wczesnych lat sześćdziesiątych i przyszła pobrać u nas próbki wody, lecz nie wspomniałem o tym, że potem zaczęła ni stąd, ni zowąd czynić niezrozumiałe wyznania i nagle zniknęła bez słowa, nie kończąc swojej opowieści. Ta historia była zbyt nieoczekiwana. Nie byłbym w stanie dokładnie jej opowiedzieć Kumiko i odtworzyć wszystkich niuansów znaczeniowych. Może Kumiko nie ucieszyłaby się też na wieść, że po pobraniu próbek Kreta Kano jeszcze długo tu siedziała i czyniła mi kłopotliwe wyznania. I to też stało się moją małą tajemnicą.

Pomyślałem, że może żona także ma przede mną takie same tajemnice. Nie mógłbym mieć do niej pretensji, nawet jeżeli tak było. Każdy ma przecież jakieś tajemnice. Choć prawdopodobnie ja mam większe skłonności do utrzymywania rzeczy w sekrecie. Kumiko raczej należy do osób typu „co w sercu, to na języku”. Kiedy o czymś pomyśli, zaraz o tym mówi. Ja jestem inny.

Nie wiedzieć czemu poczułem niepokój i poszedłem do łazienki. Drzwi były otwarte. Stałem w drzwiach i patrzyłem na stojącą tyłem do mnie Kumiko. Ubrana w gładką niebieską piżamę, stała przed lustrem i wycierała ręcznikiem włosy.

- Wiesz, chodzi o moją pracę - zwróciłem się do niej. - Ciągle o tym myślę. Pytałem przyjaciół. Sam też się w różnych miejscach dowiadywałem. Są różne prace. W każdej chwili mogę zacząć. Jeżeli tylko się zdecyduję, mogę pracować nawet od jutra. Ale jakoś nie mogę się jeszcze zdecydować. Sam nie wiem dlaczego. Nie wiem, czy można tak po prostu wybrać sobie jakąś pracę.

- Przecież przedtem już ci mówiłam, że możesz robić, co

chcesz - powiedziała, patrząc na moje odbicie w lustrze. - Nie musisz się decydować na pracę ani dziś, ani jutro. Nie przejmuj się sprawami finansowymi. Mówiłam, że nie musisz się o to martwić. Ale jeśli nie pracując, czujesz jakiś psychiczny niepokój, jeżeli to, że ja wychodzę do pracy zarabiać, a ty zajmujesz się domem, stanowi dla ciebie ciężar, to lepiej poszukaj na początek jakiegokolwiek zajęcia. Mnie to nie robi różnicy.

- Oczywiście, kiedyś będę musiał znaleźć pracę. Dobrze to rozumiem. Nie mogę tak żyć, wiecznie nic nie robiąc. Prędzej czy później coś znajdę, lecz szczerze mówiąc, sam nie wiem teraz, gdzie chciałbym pracować. Po rzuceniu pracy przez pewien czas myślałem, żeby poszukać po prostu czegoś związanego z prawem. Miałem trochę znajomości w tych kręgach. Ale teraz nie mam już na to ochoty. Im więcej czasu mija od mojego odejścia z kancelarii, tym bardziej tracę zainteresowanie prawem. Zdaje mi się, że to nie jest praca dla mnie.

Żona nadal patrzyła na mnie w lustrze.

- Ale kiedy się zastanawiam, co w takim razie chciałbym robić, niczego takiego nie znajduję. Gdyby ktoś mi kazał, pewnie mógłbym wykonywać prawie każdą pracę, ale nie przychodzi mi do głowy nic takiego, o czym pomyślałbym: to jest t o. Na tym właśnie polega kłopot. Nic mi nie przychodzi do głowy.

- A właściwie dlaczego na początku zająłeś się prawem?

- Jakoś tak wyszło - powiedziałem. - Zawsze lubiłem czytać książki i naprawdę chciałem studiować literaturę. Lecz kiedy miałem wybrać kierunek studiów, pomyślałem, że literatura jest chyba zbyt, jakby to powiedzieć, spontaniczna.

- Spontaniczna?

- Chodzi mi o to, że literatura nie nadaje się na przedmiot studiów specjalistycznych, jest czymś, co naturalnie rodzi się z normalnego życia. Dlatego wybrałem prawo. Oczywiście prawo też mnie interesowało.

- Ale teraz straciłeś zainteresowanie dla prawa?

Wypiłem łyk piwa z trzymanej w ręku szklanki.

- To przedziwne. W kancelarii pracowało mi się dość przyjemnie. Prawo to jakby układanka, w której trzeba efektywnie i prawidłowo ułożyć wszystkie dokumenty, żeby powstała całość. Potrzebna jest strategia i znajomość trików. Jest więc dość przyjemne, jeśli poważnie się do niego zabrać, ale gdy się od tego świata oddaliłem, zupełnie przestał mnie pociągać.

- Słuchaj - odłożyła ręcznik i odwróciła się ku mnie - jeśli zniechęciłeś się do prawa, nie musisz mieć pracy z nim związanej. Możesz po prostu zapomnieć o pomysłach zdawania egzaminu adwokackiego. Nie musisz się spieszyć z szukaniem pracy i skoro nic nie przychodzi ci do głowy, poczekaj. Możesz to zrobić, prawda?

Skinąłem głową. - Chciałem ci to tylko wytłumaczyć. Wytłumaczyć, jak się czuję.

- Aha - powiedziała.

Pposzedłem do kuchni i umyłem szklanki. Żona wyszła z łazienki i usiadła przy kuchennym stole.

- Dziś po południu dzwonił brat - powiedziała.

- Taak?

- Wygląda na to, że zamierza kandydować w wyborach. A właściwie już praktycznie postanowił kandydować.

- W wyborach? - zapytałem zdziwiony. Prawie zaniemówiłem. - W wyborach? Czyżby chodziło o wybory do parlamentu?

- Tak. Podobno zapytano go, czy nie chciałby się ubiegać o mandat stryja z jego okręgu w prefekturze Niigaty.

- Ale czy nie było ustalone, że ten mandat dziedziczy syn twojego stryja? Miał zrezygnować ze stanowiska dyrektora czy czegoś tam w Dentsu i wrócić do Niigaty.

Kumiko zabrała się do czyszczenia uszu patyczkiem owiniętym wata.

- Tak, rzeczywiście był taki plan, ale on podobno powiedział, że nie chce. Mieszka w Tokio z rodziną, dość lubi swoją pracę, nie ma ochoty nagle wracać do Niigaty i zostawać posłem. Podobno jedną z głównych przyczyn było też to, że jego żona bar-

dzo się temu sprzeciwiała. Innymi słowy, nie chce poświęcać szczęścia rodzinnego.

Starszy brat ojca Kumiko był posłem z okręgu w prefekturze Niigata od czterech czy pięciu kadencji. Nie doszedł do samej góry, ale miał nie najgorszy życiorys polityczny, raz nawet został jakimś ministrem. Jednak z powodu wieku i choroby serca trudno byłoby mu wziąć udział w następnych wyborach i ktoś musiał przejąć jego mandat w tym okręgu wyborczym. Miał dwóch synów, lecz starszy za nic nie chciał się angażować w politykę i padło na młodszego.

- I w tym okręgu wyborczym koniecznie chcą mojego brata. Chcą kogoś młodego, z głową na karku, energicznego. Kogoś, kto będzie mógł posłować przez wiele kadencji i stanie się wpływowym człowiekiem w centrum. Mówią, że brat jest znany, że młodzi ludzie będą na niego głosować, że jest idealnym kandydatem. Nie będzie umiał się przypodobać wszystkim miejscowym, ale ponieważ ma silne poparcie, działacze w okręgu mówią, że sami się tym zajmą. Jeśli chce, może sobie mieszkać w Tokio. Wystarczy, że przyjedzie na wybory.

Nie umiałem sobie wyobrazić Noboru Watai w roli posła.

- A co ty o tym sądzisz?

- Mnie to zupełnie nie dotyczy. Może sobie zostać posłem albo astronautą, kim tylko chce.

- Ale po co specjalnie radzi się ciebie w takiej sprawie?

- Żartujesz - odrzekła sucho. - Nie chciał się radzić. Chyba nie sądzisz, że on by potrzebował mojej rady. Powiadomił mnie tylko, że coś takiego może się zdarzyć. No bo jestem w końcu członkiem rodziny.

- Coś takiego! - powiedziałem. - A czy to, że się rozwiódł i nie jest żonaty, nie stanowi problemu przy kandydowaniu do parlamentu?

- Nie wiem - odparła Kumiko. - Nie wiem za wiele o polityce ani o wyborach i nie interesuje mnie to. Ale tak czy inaczej myślę, że on się już nie ożeni. Z nikim. W ogóle nie powinien być



się żenić. On przecież szuka czegoś innego. Czegoś zupełnie innego niż ja czy ty. Tego jestem pewna.

- Taak? - powiedziałem.

Kumiko zawinęła dwa patyczki w chusteczkę jednorazową i wyrzuciła do kosza. Potem podniosła głowę i przyjrzała mi się. - Kiedyś przypadkiem złapałam go na masturbacji. Myślałam, że w pokoju nikogo nie ma i otworzyłam drzwi.

- Przecież każdy się masturbuje - powiedziałem.

- Nie o to chodzi - odparła. Potem westchnęła. - To było chyba trzy lata po śmierci siostry. On był na studiach, a ja może w czwartej klasie podstawówki. Matka wahała się, co zrobić z ubraniami zmarłej siostry: pozbyć się ich czy nie. W końcu je zatrzymała. Pomyślała, że może ja będę je kiedyś nosić. Zapakowała do kartonów i włożyła do szafy. Brat je wyjął i robił to, wachając te ubrania.

Milczałem.

- Byłam jeszcze mała, nic nie wiedziałam o seksie i nie bardzo rozumiałam, co tam robi, ale nie miałam wątpliwości, że to coś spaczzonego, czego nie powinnam oglądać. Coś o znacznie głębszym znaczeniu, niż się mogło wydawać na pierwszy rzut oka - powiedziała i pokręciła głową.

- Czy Noboru Wataya wie, że go widziałaś?

- Tak, spotkaliśmy się wzrokiem.

Skinąłem głową.

- A co się w końcu stało z tym ubraniami? Nosiałaś je, gdy dorosłaś?

- Żartujesz - powiedziała.

- Może kochał się w twojej siostrze?

- Nie wiem - odparła Kumiko. - Nie wiem, czy pociągała go seksualnie, ale coś do niej czuł i wydaje mi się, że nie może tego czegoś zapomnieć. Właśnie o to mi chodziło, kiedy powiedziałam, że nie powinien się ożenić.

Potem milczała przez dłuższą chwilę. Ja też się nie odzywałem.

- W tym sensie ma dość poważne problemy psychiczne. Oczywiście każdy ma mniejsze czy większe, lecz jego różnią się od twoich czy moich. Są o wiele głębsze i poważniejsze. Ale on za nic w świecie nie odsłania przed ludźmi swoich zablźnionych ran czy słabości. Rozumiesz, o co mi chodzi? I te wybory też mnie trochę martwią.

- Martwią? Co cię martwi?

- Nie wiem. Coś- odpowiedziała. - Ależ jestem zmęczona! Nie mogę dziś o niczym więcej myśleć. Chodźmy już spać.

Poszedłem do łazienki i myjąc zęby, wpatrywałem się we własną twarz. Przez trzy miesiące po odejściu z pracy prawie nie wychodziłem do ludzi. Poruszałem się tylko pomiędzy pobliskimi sklepami, dzielnicowym basenem i domem. Nie licząc stania przed domem towarowym Wakó w Ginzie i spotkania w hotelu w Shinagawie, najdalej byłem w pralni naprzeciw dworca. Prawie z nikim się nie widywałem. Przez te trzy miesiące „widziałem się” tylko z żoną, siostrami Kano i May Kasaharą. Był to bardzo mały świat. Świat, który się praktycznie zatrzymał. Jednak zdawało mi się, że im jest mniejszy, im spokojniejszy, tym bardziej wypełniały go przedziwne rzeczy i ludzie. Zupełnie jakby czekali gdzieś cały czas ukryci w cieniu, aż się zatrzymam. Za każdym razem, gdy do ogródka przylatywał ptak nakręcacz i nakręcał ową sprężynę, pogłębiał się stopień zamętu na świecie.

Wyplukałem usta i jeszcze przez chwilę patrzyłem na siebie w lustrze. Nic mi nie przychodzi do głowy, powiedziałem do siebie. Mam trzydzieści lat, zatrzymałem się i od tego czasu nic mi nie przychodzi do głowy.

Gdy wyszedłem z łazienki i wszedłem do sypialni, Kumiko już spała.

## **11. Wejście na scenę porucznika Mamii oraz o tym, co wyłoniło się z ciepłego błota, i o wodzie toaletowej**

Pięć dni później zadzwonił Tokutaro Mamiya. Było pół do ósmej i właśnie jedliśmy z Kumiko śniadanie.

- Proszę wybaczyć, że pozwałam sobie dzwonić tak rano. Mam nadzieję, że pana nie obudziłem. - Pan Mamiya sprawiał wrażenie, jakby naprawdę było mu bardzo przykro.

Powiedziałem, żeby się nie martwił, bo zawsze wstaję o szóstej.

Podziękował za kartkę pocztową i powiedział, że chciał się ze mną skontaktować, zanim wyjdę do pracy, i że byłby bardzo wdzięczny, gdybym spotkał się z nim w czasie przerwy obiadowej, ponieważ chciałby w miarę możliwości wrócić dziś do Hiroshimy popołudniowym ekspresem. Planował zostać dłużej, ale wypadło mu coś pilnego i pragnie wyjechać dziś lub jutro.

Odpowiedziałem, że obecnie nie pracuję, jestem wolny przez cały dzień i mogę się z nim spotkać rano, w południe lub wczesnym popołudniem, kiedy tylko mu będzie wygodnie.

- Czy nie ma pana żadnych planów? - zapytał uprzejmie.

Powiedziałem, że nie mam.

- Czy w takim razie mógłbym odwiedzić pana dziś rano o dziesiątej?

- Bardzo proszę.

- A więc pozwolę sobie później wstąpić - powiedział i odłożył słuchawkę.

Po rozłączeniu się, uświadomiłem sobie, że zapomniałem mu wyjaśnić, jak dojechać do nas z dworca. Trudno, pomyślałem, ma adres i jakoś tu trafi, jeśli się postara.

- Kto dzwonił? - zapytała Kumiko.

- Ten pan, który rozdziela pamiętki po panu Hondzie. Mówi, że przyjdzie tu specjalnie dziś przed południem, żeby coś doręczyć.

- Taak? - powiedziała. Potem napiła się kawy i posmarowała grzanek masłem. - Niezwykle uprzejmy człowiek.

- Naprawdę uprzejmy.

- Słuchaj, dobrze byłoby pójść i zapalić panu Hondzie trociczkę. Przynajmniej ty mógłbyś pójść.

- Tak, zapytam o to - powiedziałem.

Przed wyjściem Kumiko podeszła do mnie i poprosiła, żebym zapiął jej na plecach suwak sukienki, która była dopasowana i zapięcie jej wymagało trochę wysiłku. Zza ucha Kumiko unosił się bardzo ładny zapach, niezwykle odpowiedni na letni poranek. - Nowa woda toaletowa? - zapytałem. Kumiko nie odpowiedziała. Szybko spojrzała na zegarek i poprawiła włosy. - No, muszę już iść - rzuciła i wzięła ze stołu torebkę.

Sprzątając mały pokój, którego Kumiko używała do pracy, zauważyłem w koszu na papiery żółtą kokardę. Wyglądała spod zapisanych kartek notatnika i ulotek reklamowych. Zauważyłem ją, ponieważ jaskrawa żółć lśniła i przyciągała wzrok. Była to kokarda, jakich używa się przy pakowaniu prezentów, zawiązana w kształcie wielopłatkowego kwiatu. Wyjąłem ją z kosza i obejrzałem. Znajdował się tam również papier z domu towarowego Matsuya. Pod papierem leżało pudełeczko z napisem Christian Dior. W pudełeczku był wytłoczony kształt buteleczki. Z samego opakowania wynikało, że zawartość musiała być dość kosztowna. Z pudełeczkiem w ręku poszedłem do łazienki i zajrzałem do kosmetyczki Kumiko. Znalazłem w niej prawie nieużywaną buteleczkę wody toaletowej Diora. Jej kształt idealnie pasował do wgłębienia w pudełeczku. Wyjąłem złoty koreczek. Był to ten sam zapach, który przed chwilą poczułem za uszami Kumiko.

Usiadłem na kanapie i kończąc poranną kawę, porządkowałem w głowie myśli. Prawdopodobnie ktoś sprezentował Kumiko wodę toaletową. Dość drogą. Kupił ją w Matsui i poprosił o zapakowanie i kokardę. Jeżeli to prezent od mężczyzny, musieli być w dosyć bliskich stosunkach. Gdyby mężczyzna nie był z kobietą w bliskich stosunkach (szczególnie w przypadku mężatki), nie ofiarowywałby jej wody toaletowej. A jeżeli to od kobiety... czy kobieta ofiarowałaby przyjaciółce taki prezent? Nie byłem pewien. Wiedziałem tylko, że nie było żadnego powodu, żeby Kumiko dostawała teraz od kogoś prezenty. Urodziny mi-

łała w maju. Nasza rocznica ślubu też była w maju. A może sama kupiła sobie wodę toaletową i poprosiła o ładną kokardę. Ale po co?

Westchnąłem i spojrzałem w sufit. Czy powinienem ją wprost zapytać: „Od kogo dostałaś tę wodę?”. A ona może odpowiedzieć: „Tę? Jedna dziewczyna w pracy miała kłopoty osobiste i trochę jej pomogłam. To długa historia. Była w bardzo trudnej sytuacji i pomogłam jej z czystej życzliwości. Chciała mi w ten sposób podziękować. Śliczny zapach, prawda? To dosyć droga woda”.

No dobrze, mogło tak być. I na tym koniec. Po co mam ją w ogóle pytać? Po co mam się tym przejmować?

Jednak coś mi nie dawało spokoju. Mogła o tej wodzie chociaż wspomnieć. Skoro miała czas na to, żeby po przyjeździe do domu iść do swego pokoju, zdjąć kokardę, odwinąć papier, otworzyć pudełeczko, wyrzucić to Wszystko do kosza i włożyć buteleczkę do kosmetyczki w łazience, to mogła mi powiedzieć: „Dostałam dziś taki prezent od koleżanki”, a jednak nic nie powiedziała. Może pomyślała, że nie warto o tym wspominać. Jeżeli nawet tak było, teraz ta sprawa pokryła się cienkim woalem „tajemnicy”. To mnie męczyło.

Przez długi czas wpatrywałem się bezmyślnie w sufit. Starałem się myśleć o czymś innym, ale głowa nie chciała mi pracować. Przypomniałem sobie gładkie białe plecy Kumiko, gdy zapinałem jej sukienkę i zapach za jej uszami. Po raz pierwszy od dawna zachciało mi się papierosa. Chciałem włożyć go do ust, zapalić i wciągnąć w płuca dym. Myślałem, że może trochę by mnie to uspokoiło. Lecz nie miałem papierosów. W tej sytuacji zdecydowałem się na cytrynowego dropsa.

Za dziesięć dziesiątą zadzwonił telefon. Pomyślałem, że to pewnie porucznik Mamiya. Dość trudno znaleźć ten dom. Zdarza się, że błądzą nawet ludzie, którzy tu wiele razy byli. Nie był to jednak porucznik Mamiya. Ze słuchawki dobiegł głos tajemniczej kobiety, z którą niedawno odbyłem tę dziwną rozmowę.

- Dzień dobry. Dawno nie rozmawialiśmy - powiedziała. - Jak było ostatnim razem? Dobrze? Coś pan poczuł, prawda? Ale dlaczego się pan w trakcie rozłączył? Właśnie zaczynało być przyjemnie.

Na początku nie rozumiałem i zdawało mi się przez chwilę, że mówi o moim niedawnym śnie erotycznym z Kretą Kano, ale chodziło jej oczywiście o coś innego. Mówiła o rozmowie podczas gotowania makaronu.

- Przepraszam, ale jestem teraz trochę zajęty - powiedziałem. - Za dziesięć minut ma przyjść do mnie gość i muszę się przygotować.

- Jest pan bardzo zajęty jak na bezrobotnego - rzekła ironicznie. Tak jak przedtem jej głos zmieniał się momentalnie. - Gotuje pan makaron, oczekuje gości. Ale to nie szkodzi, dziesięć minut zupełnie wystarczy. Porozmawiajmy sobie przez dziesięć minut. Może się pan rozłączyć, jak przyjdzie gość.

Miałem ochotę od razu się rozłączyć, ale nie mogłem. Byłem jeszcze trochę oszołomiony sprawą wody toaletowej żony. Myślałem, że chciałem z kimś o czymkolwiek porozmawiać.

- Nie wiem, kim pani jest - powiedziałem, obracając w palcach ołówek, który leżał obok telefonu. - Czy ja panią naprawdę znam?

- Oczywiście, że tak. Ja pana znam i pan zna mnie. Nie kłamałabym w takiej sprawie. Nie mam czasu, żeby dzwonić do zupełnie obcych ludzi. Na pewno ma pan w pamięci jakieś białe plamy.

- Ale ja nie rozumiem, przecież...

- Niech pan posłucha - przerwała mi kobieta - Niech pan przestanie się tak nad wszystkim zastanawiać. Pan mnie zna i ja znam pana. Ważne jest jedno; będę dla pana bardzo miła. Pan nie musi nic robić. Nie musi pan ponosić żadnej odpowiedzialności. Ja wszystko zrobię. Wszystko. Nie uważa pan, że to wspaniałe? Niech pan przestanie myśleć o rzeczach skomplikowanych i oczyści swój umysł. Jakby położył się pan w miękkim

blócie w ciepły, wiosenny poranek.

Milczałem.

- Jakby pan spał, śnił, leżał w ciepłym blócie... Niech pan zapomni o żonie. Niech pan zapomni o pracy, o przyszłości, zapomni o wszystkim. Wszyscy powstaliśmy z ciepłego błota i kiedyś w ciepłe błoto się obrócimy. W końcu... panie Okada, czy pan pamięta, kiedy pan ostatni raz kochał się z żoną? Czy to nie było przypadkiem dość dawno? Ze dwa tygodnie temu?

- Przepraszam, ale zaraz przyjdzie mój gość - powiedziałem.

- Tak, to było nawet dawniej. Poznaję po pana głosie. Jakies trzy tygodnie temu, co?

Nie odzywałem się.

- Niech będzie - powiedziała. Zdawało się, że jej głos jak mała miotelka ściera odrobinki kurzu z okiennych żaluzji. - To jest kwestia między panem a pańską żoną. Ale ja zrobię dla pana wszystko, czego pan potrzebuje, a pan nie musi ponosić za to żadnej odpowiedzialności. Zaraz za rogiem naprawdę jest takie miejsce. A za nim rozciąga się świat, którego pan nigdy nie widział. Powiedziałam, że ma pan gdzieś w pamięci białe plamy, ale jeszcze pan tego nie zrozumiał.

Milczałem, ściskając w ręku słuchawkę.

- Proszę się rozejrzeć dokoła i powiedzieć mi, co tam jest. Co pan widzi?

Właśnie wtedy ktoś zadzwonił do drzwi. Odetchnąłem z ulgą i nic nie mówiąc, odłożyłem słuchawkę.

Porucznik Mamiya okazał się zupełnie łysym, wysokim starszym panem w okularach w złotej oprawce. Wyglądał zdrowo, był lekko opalony, jak człowiek, który pracuje fizycznie na dworze. Nie miał na sobie grama tłuszczu. W kącikach oczu miał po trzy głębokie zmarszczki, jakby raziło go światło i często mrużył oczy. Nie umiałem dokładnie ocenić jego wieku, ale był pewnie po siedemdziesiątce. W młodości musiał być bardzo krzepki.

Świadczyła o tym jego postawa, a także sposób poruszania

się. Jego zachowanie i słowa były niesłychanie uprzejme, ale miały też w sobie jakąś pozbawioną ozdób precyzję. Wyglądał na człowieka, który przywykł sam oceniać sytuację i ponosić odpowiedzialność. Miał na sobie niczym się nie-wyróżniający, porządny jasnoszary garnitur, białą koszulę i krawat w szaro-czarne paski. Garnitur wydawał się za gruby na duszny lipcowy poranek, ale porucznik Mamiya wcale nie wyglądał na spoconego. Lewą rękę miał sztuczną. Dłoń protezy pokrywała cienka szara rękawiczka w kolorze garnituru. W porównaniu z opaloną, porośniętą włosami dłonią prawej ręki, lewa wydawała się niezwykle zimna i martwa.

Posadziłem go na kanapie i podałem herbatę.

Przeprosił, że nie ma wizytówki.

- Byłem nauczycielem historii i geografii w prowincjonalnej szkole średniej w prefekturze Hiroshima, ale osiągnąłem wiek emerytalny, odszedłem na emeryturę i od tego czasu nic nie robię. Mam trochę ziemi, więc trochę dla rozrywki zajmuję się tylko prostym rolnictwem. Dlatego też nie mam wizytówek, bardzo przepraszam.

Ja też nie miałem wizytówek.

- Proszę wybaczyć, że pozwolę sobie zapytać: ile pan sobie liczy lat?

- Trzydzieści - odpowiedziałem.

Skinął głową. Potem napił się herbaty. Nie byłem pewien, jakie wrażenie zrobił na nim mój wiek.

- Mieszka pan w niezwykle cichym domu - powiedział, jakby chcąc zmienić temat.

Odpowiedziałem, że wynajmuję ten dom bardzo tanio od wujka i że zwykle ludzie z naszymi dochodami nie mogliby sobie nawet pozwolić na mieszkanie w domu o połowę mniejszym. Przytakiwał i jakby nieco skrepowany rozejrzał się dokoła. Ja też się rozejrzałem. Kobieta powiedziała: „proszę się rozejrzeć dokoła”. Rozejrzałem się jeszcze raz i doznałem wrażenia, że pokój wypełniło jakieś zimne obce powietrze.



- Spędziłem tym razem w Tokio dwa tygodnie - powiedział porucznik Mamiya. - Jest pan ostatni na liście osób, które miały otrzymać pamiątki, i teraz będę mógł z czystym sumieniem wrócić do Hiroshimy.

- Pomyślałem, że jeżeli byłoby to możliwe, chciałbym odwiedzić dom pana Hondy i zapalić trociczkę za spokój jego duszy.

- Jestem panu bardzo wdzięczny za tę chęć, lecz dom rodziny pana Hondy znajdował się w Asahikawie na wyspie Hokkaido i tam też spoczęły jego szczątki. Krewni przybyli z Asahikawy do Tokio, zabrali wszystko z domu w Meguro, uporządkowali i już wyjechali.

- Aha - powiedziałem. - To znaczy, że pan Honda mieszkał w Tokio sam, z dala od rodziny.

- Tak. Ponoć najstarszy syn, który żyje w Asahikawie, namawiał ojca, żeby z nim zamieszkał, martwił się, nie chcąc zostawić starego człowieka samego w Tokio, a poza tym przejmował się tym, co ludzie powiedzą. Jednak pan Honda za nic nie chciał się na to zgodzić.

— To pan Honda miał dzieci - powiedziałem trochę zdziwiony. Zawsze wydawało mi się, że był zupełnie sam na świecie. - Jego małżonka umarła przed nim?

- To trochę zawiła historia. Prawdę mówiąc, żona pana Hondy zaraz po wojnie zakochała się w kimś i razem z tym mężczyzną popełniła samobójstwo. To było chyba w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym albo pięćdziesiątym pierwszym roku. Nie znam szczegółów. Pan Honda dokładnie o tym nie opowiadał, a i ja nie mogłem się dopytywać.

Przytaknąłem.

- Później pan Honda samotnie wychował syna i córkę, a gdy się usamodzielnili, przyjechał do Tokio i jak panu wiadomo, zaczął się zawodowo zajmować wróżbiarstwem.

- A czym zajmował się w Asahikawie?

- Prowadził razem ze starszym bratem drukarnię.

Spróbowałem wyobrazić sobie pana Hondę w roboczym ubra-

niu, gdy stoi przed maszyną drukarską i sprawdza świeżo wydrukowane strony, jednak w mojej pamięci pan Honda pozostał niechlujnym starcem w niechlujnym ubraniu, przewiazanym w pasie czymś przypominającym pasek od szlafroka. Starcem, który i zimą, i latem siedzi przy stoliku z podgrzewanym blatem i porusza trzymanymi w ręku różdżkami.

Porucznik Mamiya zręcznie rozwiązał jedną ręką przyniesione zawiniątko i wyjął niewielką paczkę przypominającą kształtem pudełko czekoladek. Owinięta była w papier pakowy i parę razy ciasno przewiazana sznurkiem. Położył ją na stole i przesunął w moją stronę.

- To jest pamiątka, której przekazanie zlecił mi pan Honda - powiedział.

Wziąłem paczkę do ręki. Prawie nic nie ważyła. Nie miałem pojęcia, co może być w środku.

- Czy mogę to teraz otworzyć?

Porucznik Mamiya potrząsnął głową.

- Bardzo przepraszam, ale zmarły pozostawił wskazówkę, aby zrobił pan to w samotności.

Skinąłem głową i odłożyłem pakunek na stół.

- Prawdę mówiąc, list pana Hondy - odezwał się porucznik Mamiya - otrzymałem dzień przed jego śmiercią. Pisał, że niebawem prawdopodobnie umrze. Wcale nie boję się śmierci. Taki los został mi przeznaczony, więc po prostu mu się poddam. Jednak zostało coś, czego nie zdążyłem zrobić. W moim domu w szafie znajdują się takie a takie przedmioty. Od dawna myślałem, aby pozostawić je różnym osobom, jednak wygląda na to, że już mi się to nie uda. I dlatego chciałem poprosić Pana o podział pamiątek po mnie zgodnie z załączoną listą. Zdaję sobie sprawę, że proszę o bardzo wiele. Będzie to dla pana kłopot, ale czy mógłbym mieć nadzieję, że spełni Pan tę prośbę - moją ostatnią prośbę? Tak mniej więcej brzmiał ten list. Zdziwiłem się, bo od ilu to już lat...? Chyba od sześciu czy siedmiu nie miałem od pana Hondy żadnych wiadomości i nagle otrzymałem taki

list. Od razu ułożyłem odpowiedź. Jednak minęła się po drodze z zawiadomieniem o śmierci pana Hondy, wysłanym przez jego syna.

Podniosłem do ust czarękę i wypilem łyk herbaty.

- Wiedział, kiedy umrze. Osiągnął stan, którego ktoś taki jak ja nie może sobie nawet wyobrazić. Tak jak pan do mnie napisał: rzeczywiście miał w sobie coś, co chwytало za serce. Czułem to od czasu, gdy go po raz pierwszy spotkałem w trzydziestym ósmym roku.

- Był pan w tym samym oddziale w czasie bitwy pod Nomonhan?

- Nie - powiedział porucznik Mamiya i lekko przygryzł wargi.  
- Byliśmy w innych oddziałach, w innych dywizjach. Braliśmy razem udział w pewnej strategicznej akcji na niewielką skalę, która poprzedzała bitwę o Nomonhan. Kapral Honda został potem ranny w bitwie pod Nomonhan i odesłano go do kraju. Ja nie brałem udziału w bitwie pod Nomonhan. Ja... - powiedział, podnosząc pokrytą rękawiczką protezę lewą rękę - tę rękę straciłem w sierpniu czterdziestego piątego roku w czasie inwazji sił radzieckich. Podczas ataku czołgów dostałem w ramię z karabinu maszynowego, na pewien czas straciłem przytomność i gaśienica zgmiotła mi rękę. Zostałem radzieckim jeńcem wojennym, udzielono mi pomocy w szpitalu w mieście Czyta, a potem wysłano do obozu na Syberii i trzymali mnie tam do czterdziestego dziewiątego roku. Od czasu gdy wysłali mnie do Mandżurii w trzydziestym siódmym, spędziłem na kontynencie łącznie dwanaście lat. Przez ten cały czas ani razu nie byłem w Japonii. Rodzina myślała, że zginąłem w walce z armią radziecką. Zrobili mi nawet grób na cmentarzu w rodzinnym mieście. Dziewczyna, z którą się przed wyjazdem z Japonii sekretnie zaręczyłem, też wyszła już za kogoś innego. Nie było rady. Dwanaście lat to kawał czasu.

Przytaknąłem.

- Pewnie takie opowieści z dawnych czasów nudzą młodego

człowieka - stwierdził. - Chciałbym tylko jedno powiedzieć: byliśmy takimi samymi zwyczajnymi młodymi ludźmi jak pan. Ani razu nie pomyślałem, że chciałbym zostać żołnierzem. Pragnąłem być nauczycielem, jednak zaraz po skończeniu studiów zostałem powołany. Niemal natychmiast posłali mnie na szkolenie oficerskie i skończyło się na tym, że znalazłem się na kontynencie, nie mogąc wrócić do Japonii. Moje życie minęło jak sen - porucznik Mamiya umilkł i przez chwilę siedział w milczeniu.

- Jeżeli nie miałby pan nic przeciwko temu, czy mógłby mi pan opowiedzieć, jak poznał pan pana Hondę? - poprosiłem. Naprawdę chciałem się dowiedzieć, jakim człowiekiem był kiedyś pan Honda.

Porucznik Mamiya oparł dłonie na kolanach i zastanawiał się nad czymś przez chwilę. Nie wahał się, tylko po prostu nad czymś się zastanawiał.

- To może być długa opowieść.

- Nic nie szkodzi - odparłem.

- Nigdy jeszcze nikomu o tym nie opowiadałem - rzekł. - Pan Honda też raczej nikomu nie powiedział. A to dlatego, że obaj... postanowiliśmy nigdy o tym nie mówić. Ale pan Honda już nie żyje, zostałem tylko ja. Nikomu już to nie zaszkodzi, jeżeli o tym opowiem.

I porucznik Mamiya rozpoczął swoją opowieść.

## **12. Długa opowieść porucznika Mamii - część pierwsza**

- Znalazłem się w Mandżurii na początku trzydziestego siódmego roku - zaczął porucznik Mamiya. - Jako podporucznik stałem się w sztabie generalnym Armii Kwantuńskiej w Sinjing\*. Ponieważ na uniwersytecie studiowałem geografię, przypisano mnie do oddziału topografii wojskowej. Byłem z tego niezwykle zadowolony dlatego, że obowiązki, które mi powierzono, należały do najlżejszych w całej armii. Do tego podówczas sytuacja w Mandżurii była stosunkowo spokojna, a przynajmniej stabil-

---

\* Obecnie Changchun

na. Z powodu wybuchu wojny chińsko-japońskiej, scena działań wojennych przesunęła się już do Chin, a do walki zamiast oddziałów Armii Kwantuńskiej posyłano teraz Chiński Korpus Ekspedycyjny. Prowadzono nadal likwidację partyzantki antyjapońskiej, ale to też odbywało się raczej w głębi kraju i ogólnie można powiedzieć, że najgorsze było za nami. Potężne siły Armii Kwantuńskiej zgromadzono w Mandżurii, gdzie miała tylko mieć na oku tereny północne i utrzymywać spokój oraz bezpieczeństwo w marionetkowym państwie Mandżukuo.

Powiedziałem, że panował spokój, lecz ponieważ była to jednak wojna, ciągle odbywały się ćwiczenia. Nie musiałem brać w nich udziału, z czego też się bardzo cieszyłem. Ćwiczenia odbywane podczas okrutnej zimy, kiedy temperatura osiągała minus czterdzieści czy pięćdziesiąt stopni, były bardzo ciężkim doświadczeniem, mogącym się skończyć śmiercią, jeżeli człowiek bardzo na siebie nie uważał. Po każdym ćwiczeniu kilkuset żołnierzy doznawało odmrożeń, wysyłano ich do szpitali i do gorących źródeł na leczenie. Sinjing nie można było nazwać dużym miastem, ale było to dość interesujące, egzotyczne miejsce, w którym jeżeli człowiek chciał, mógł przyjemnie spędzać czas. Jako nowi oficerowie nie mieszkaliśmy w barakach, lecz w wynajętych kwaterach. Było to jakby przedłużenie beztróskiego życia studenckiego i naiwnie myślałem, że może pokój będzie tak trwał, nic się nie wydarzy, do końca okresu mojej służby wojskowej.

Oczywiście był to tylko pokój pozorny. Zaraz poza naszym słonecznym kręgiem toczyła się brutalna wojna. Sądzę, że większość Japończyków zdawała sobie sprawę, że ta wojna stanie się bagnem, w którym ugrzęźniemy na dobre. A przynajmniej rozsądni Japończycy tak myśleli. Nawet jeżeli wygramy kilka bitew tu i tam, niemożliwe, żeby Japonia mogła przez dłuższy czas okupować i rządzić takim wielkim krajem. Każdy, kto się na zimno nad tym zastanowił, musiał to zrozumieć. I tak jak można było się spodziewać, im dłużej toczyły się walki, tym wi-

ększa stawała się liczba zabitych i rannych. Do tego staczające się po równi pochyłej stosunki japońsko-amerykańskie gwałtownie się pogorszyły. Nawet w Japonii efekty wojny były coraz bardziej odczuwalne. Rok trzydziesty siódmy i ósmy to ponury okres, lecz żyjąc wesołym życiem oficera w Sinjing, człowiek zadawał sobie pytanie: „Wojna? Gdzie ona właściwie jest?”. Prawie co wieczór piliśmy, prowadziliśmy głupie rozmowy, chodziliśmy do lokali, w których spotykaliśmy rosyjskie dziwczyny pochodzenia arystokratycznego.

Pewnego dnia, było to pod koniec kwietnia trzydziestego ósmego roku, zostałem wezwany do sztabu przez starszego oficera i poznałem tam człowieka w cywilnym ubraniu nazwiskiem Yamamoto. Miał krótkie włosy i wąsy. nie był zbyt wysoki. Myślałem, że mógł mieć ze trzydzieści parę lat. Na szyi miał bliznę, jakby po cięciu nożem. Przełożony powiedział, że pan Yamamoto jest cywilem, który na prośbę armii bada zwyczaje i życie Mongołów mieszkających w Mandżurii. Tym razem ma zbadać step Hulunbuir położony w obszarze przygranicznym Mongolii. Armia pośle z nim kilkusobową eskortę. Ja też wejdę w jej skład.

Jednak nie uwierzyłem w to, ponieważ Yamamoto, choć ubrany w cywilne ubranie, był najwyraźniej zawodowym żołnierzem. Poznałem to po oczach, sposobie mówienia i postawie. Zdawało mi się, że jest oficerem wyższej rangi, pewnie ma coś wspólnego z wywiadem i ukrywa fakt, że jest żołnierzem ze względu na misję, którą ma wykonać. Z jakiegoś powodu ogarnęły mnie złe przeczucia.

Łącznie ze mną miało mu towarzyszyć trzech żołnierzy. Jak na eskortę, była to bardzo mała liczba, ale gdyby grupa była większa, mogłaby przyciągnąć uwagę żołnierzy mongolskich patrolujących obszar przygraniczny. Chciałbym móc się pochwalić, że byliśmy garstką doborowych żołnierzy, ale w rzeczywistości to nieprawda. Ja, jedyny oficer, nie miałem żadnego doświadczenia bojowego. Jeżeli doszłoby do walki, mogliśmy liczyć tyl-

ko na sierżanta sztabowego nazwiskiem Hamano, którego dobrze znałem. Był to tak zwany twardziel, który ciężką pracą osiągnął stopień podoficera. Zasłużył się w wojnie w Chinach. Był wielki, nieustraszony i w razie czego można było na nim polegać. Nie wiedziałem natomiast, z jakiej przyczyny znalazł się w naszej grupie kapral Honda. Tak jak ja dopiero niedawno został tu przysłany z kraju i oczywiście nie miał żadnego doświadczenia na polu bitwy. Na pierwszy rzut oka wydawał się poważny, milczący i nie wyglądało na to, żeby mógł się okazać szczególnie przydatny na wypadek walki. Był z siódmej dywizji, co znaczyło, że sztab specjalnie wybrał go i sprowadził do udziału w tej misji, czyli musiał być bardzo wartościowym żołnierzem. Dopiero znacznie później odkryłem, z jakiej przyczyny.

Mianowano mnie dowódcą eskorty, ponieważ odpowiadałem za topografię zachodniej granicy Mandżukuo, głównie okolic rzeki Chałchy. Moja praca polegała na wykonywaniu dokładnych map tamtych terenów. Kilka razy latałem nad nimi samolotem, więc uznano, że moja obecność może okazać się przydatna. Prócz eskorty zlecono mi także zadanie zebrania dokładniejszych informacji topograficznych dotyczących tego terenu, aby podnieść stopień precyzji map. Coś w rodzaju upieczenia dwóch pieczeni przy jednym ogniu. Posiadane przez nas wtedy mapy okolic granicznych stepu Hulunbuir i Mongolii były, szczerze mówiąc, bardzo przybliżone - odrobinę ulepszone stare mapy dynastii mandżurskiej. Od powstania Mandżukuo Armia Kwantuńska kilkakrotnie przeprowadzała pomiary i próbowała sporządzić dokładne mapy, lecz teren był niestety za duży. Zachodnia część Mandżurii to bezkresny dziki obszar przypominający pustynię i choć ustalono tam jakieś granice, równie dobrze mogłyby one nie istnieć. Od dawna zamieszkiwali te obszary mongolscy nomadowie. Przez tysiące lat nie potrzebowali żadnych granic i nie znali nawet tego pojęcia. Sytuacja polityczna opóźniła prace nad dokładnymi mapami. Chodzi mi o to, że gdybyśmy wyznaczyli sobie dowolnie granice i sporządzili ofi-

cialną mapę, mogłoby to wywołać wojnę na wielką skalę. Graniczące z Mandżukuo Związek Radziecki i Mongolia były niezwykle wyczulone na punkcie naruszania granic i do tej pory wielokrotnie miały miejsce gwałtowne walki w okolicach przygranicznych. W tamtym czasie dowództwu armii nie zależało bynajmniej na wywołaniu wojny ze Związkiem Radzieckim, a to dlatego, że główne siły zaangażowano w wojnę z Chinami i nie było wolnych sił zbrojnych, które mogłyby stanąć do walki ze Związkiem Radzieckim. Nie było wystarczającej liczby dywizji, lecz także nie starczyłoby czołgów, artylerii ani samolotów bojowych. Poza tym należało najpierw ustabilizować świeżo utworzone Mandżukuo. Dowództwo myślało więc, że można będzie później jasno wytyczyć granice północne i północno-zachodnie. Postanowiono pozostawić je niejasnymi i trochę zyskać na czasie. Nawet potężna Armia Kwantuńska zasadniczo przystała na ten plan i czekała spokojnie na rozwój wydarzeń. I w ten sposób wszystko pozostawiono w stanie mglistej niejasności.

Gdyby jednak pomimo tych intencji doszło do walk (i tak się rzeczywiście stało następnego roku pod Nomonhan), nie moglibyśmy walczyć bez map. Potrzebne są nie zwyczajne mapy cywilne, lecz specjalne taktyczne. Gdzie i jakie zająć pozycje? Gdzie umieścić stanowiska artyleryjskie tak, by były najbardziej skuteczne? Ile dni zajmie piechocie dotarcie tam? Gdzie można zdobyć wodę pitną? Ile potrzeba karmy dla koni? W czasie wojny potrzebne są mapy z takimi dokładnymi informacjami. Bez nich niemożliwe jest jej prowadzenie i dlatego nasza praca często nakładała się na pracę wywiadu i wymienialiśmy się informacjami z wydziałem wywiadu Armii Kwantuńskiej i wydziałem specjalnym, mieszczącym się w Hailar. Znaliśmy się też prawie wszyscy z widzenia, lecz nigdy przedtem nie spotkałem tego Yamamoto.

Po pięciu dniach przygotowań wyruszyliśmy pociągiem z Sinjing do Hailar. Tam przesiedliśmy się na ciężarówkę i przejec-



hawszy przez teren należący do świątyni lamaistycznej o nazwie Khandur, dotarliśmy do przygranicznego punktu obserwacyjnego wojsk Mandżukuo. Nie pamiętam dokładnie, jaka to była odległość, ale myślę, że około trzystu do trzystu pięćdziesięciu kilometrów. Jak okiem sięgnąć, ciągnęło się tam prawdziwe dzikie pustkowie. Nie zapominając o zleconej mi pracy, porównywałem przez całą drogę mijany krajobraz z mapą, nie mogłem jednak znaleźć nic, co stanowiłoby jakikolwiek punkt orientacyjny. Wokół rozpościerały się jedynie niskie pagórki porośnięte zmierzwioną trawą, horyzont ciągnął się w nieskończoność, a po niebie przesuwały się chmury. Z mapy za nic nie potrafiłem się zorientować, gdzie jesteśmy. Mogłem tylko obliczać, jak długo już jedziemy i gdzie mniej więcej możemy się znajdować. Czasami kiedy przemierza się w ciszy takie pustkowie, ma się złudzenie, że człowiek sam się jakby rozmywa, traci kształt. Otaczająca przestrzeń jest tak bezmierna, że trudno zachować równowagę oraz świadomość siebie samego. Rozumie pan, o co mi chodzi? Wraz z krajobrazem świadomość się coraz bardziej powiększa, rozprasza i nie można jej już przypisać do własnego ciała. To właśnie czułem pośród mongolskiego stepu. Cóż za ogromna przestrzeń! - myślałem. Ten step bardziej przypomina morze niż dzikie pustkowie. Słońce wschodziło ponad wschodnim horyzontem, powoli przesuwało się po niebie i zachodziło za zachodni. Była to jedyna rzecz wokół, która się zmieniała. W tym ruchu czuło się coś ogromnego, kosmicznego, co można chyba nazwać miłością.

W punkcie obserwacyjnym armii mandżurskiej przesiedliśmy się z ciężarówki na konie. Oprócz czterech koni dla nas, przygotowano też dwa, które niosły pożywienie, wodę, broń itp. Byliśmy lekko uzbrojeni. Yamamoto i ja mieliśmy tylko pistolety. Hamano i Honda prócz pistoletów mieli też karabiny piechoty kaliber.38 i po dwa granaty ręczne.

Rzeczywistym dowódcą był Yamamoto. Decydował o wszystkim i wydawał nam polecenia. Ponieważ miał uchościć

za cywila, zgodnie z zasadami wojska, ja musiałem odgrywać rolę dowódcy, lecz wszyscy bez sprzeciwu wykonywali jego rozkazy. Stało się tak dlatego, że na pierwszy rzut oka widać było, że nadaje się na dowódcę, a ja, choć w randze podporucznika, nie miałem doświadczenia bojowego i pracowałem jedynie w biurze. Żołnierze trafnie rozpoznają prawdziwe kompetencje i naturalnie podporządkowują się silniejszemu. Poza tym przed wyjazdem przełożony polecił mi bezwzględnie słuchać poleceń Yamamoto, miałem wykonywać jego rozkazy, nie zważając na wojskowe hierarchie.

Dojechaliśmy do rzeki Chałchy i ruszyliśmy wzdłuż niej na południe. Topniały śniegi i podniósł się poziom wody. W rzece widzieliśmy duże ryby, a zdarzało się też, że w oddali dostrzegaliśmy wilki. Może to nie były prawdziwe wilki, a jakaś odmiana zmieszana z dzikimi psami, ale tak czy inaczej stanowiły niebezpieczeństwo. Co noc ktoś musiał stać na warcie, by chronić przed nimi konie. Widywaliśmy też dużo ptaków. Wiele z nich wracało na Syberię z ciepłych krajów. Rozmawiałem dużo z Yamamoto o topografii. Patrząc na mapę, upewnialiśmy się, jaką mniej więcej drogę przebywamy, i zapisywaliśmy w notesie szczegółowe informacje na temat wszystkich zauważonych po drodze rzeczy. Z wyjątkiem okazji, gdy wymienialiśmy specjalistyczne informacje, Yamamoto prawie się nie odzywał. W milczeniu popędzał konia, posiłki jadł w odosobnieniu i bez słowa zapadał w sen. Miałem wrażenie, że był w tej okolicy nie po raz pierwszy. Posiadał zadziwiająco dokładną wiedzę na temat topografii, kierunków itp.

Przez dwa dni posuwaliśmy się bez przeszkód na południe, kiedy Yamamoto zawołał mnie i powiedział, że przed świtem następnego dnia będziemy się przeprawiać przez Chałchę. Byłem bardzo zaskoczony, dlatego że na przeciwległym brzegu rzeki znajdowało się terytorium Mongolii. Prawy brzeg, wzdłuż którego się poruszaliśmy, też był ponoć terenem niebezpiecznych konfliktów przygranicznych. Mongolia twierdziła, że

teren ten należy do Mongolii, a Mandżukuo, że to terytorium Mandżukuo, więc ciągle dochodziło tam do zbrojnych potyczek. Nawet gdybyśmy zostali schwytani przez wojska mongolskie, tak długo jak byliśmy na prawym brzegu, mogliśmy się tłumaczyć, że z powodu różnicy poglądów obu krajów nasza obecność była usprawiedliwiona. Poza tym topniały śniegi, więc oddziały mongolskie raczej nie przechodziły na ten brzeg i niebezpieczeństwo przypadkowego ich spotkania było w rzeczywistości niewielkie. Jednak sprawy miały się zupełnie inaczej na lewym brzegu. Tam niewątpliwie były patrolujące oddziały mongolskie. Jeżeli nas złapią, nie będziemy mieli żadnego usprawiedliwienia. Byłoby to niewątpliwie naruszenie granicy i w niesprzyjających okolicznościach mogłoby nawet doprowadzić do problemów politycznych. Nikt nie mógłby mieć pretensji, gdyby nawet nas na miejscu rozstrzelali. Poza tym choć przełożony kazał mi słuchać poleceń Yamamoto, nie polecił mi przekraczać granicy. Nie mogłem się jednak zdecydować, czy wykonywanie poleceń Yamamoto miało również dotyczyć ważnych posunięć, jak naruszanie granic. Po drugie, jak wcześniej wspomniałem, rzeka w tym okresie wezbrała i prąd był zbyt silny na przepławę. W dodatku woda pochodziła z topniejącego śniegu i musiała być przeraźliwie zimna. Nawet nomadowie nie przeprawiali się przez rzekę o tej porze roku. Zwykle robili to, gdy była zamrznięta, lub latem, gdy prąd się trochę uspokajał, a temperatura wody wzrastała.

Powiedziałem to Yamamoto, a on przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu. Potem kilka razy skinął głową. „Rozumiem oczywiście, że martwi cię naruszanie granicy - powiedział nieco protekcyjnie. - To naturalne, że jako oficer mający pieczę nad żołnierzami zastanawiasz się nad tym, kto i za co ponosi odpowiedzialność. Na pewno nie chcesz niepotrzebnie narażać życia podwładnych. Jednak chciałbym, żebyś zdał się teraz na mnie. W pełni przyjmuję za to odpowiedzialność. Sytuacja nie pozwalała mi na wtajemniczenie cię w sprawę, ale osoby na samej górze

wiedzą o wszystkim. Jeżeli chodzi o przeprawę przez rzekę, nie ma z tym technicznych trudności. Są pewne ukryte miejsca, w których przeprawa jest możliwa. Armia mongolska przygotowała parę takich punktów i zabezpieczyła je. Ty też na pewno o tym wiesz. Ja już przedtem wielokrotnie się tamtędy przeprowałem. W zeszłym roku w tym samym czasie i w tym samym miejscu dostałem się do Mongolii. Nie musisz się martwić".

Rzeczywiście znająca dobrze tutejszy teren armia mongolska nawet w porze topnienia śniegów wysyłała na prawy brzeg oddziały bojowe, choć ich liczba była niewielka. Na rzece istniały więc miejsca, w których, gdy była taka potrzeba, mogły się przeprować całe oddziały. A skoro oni mogą to zrobić, to może i Yamamoto, a to z kolei znaczy, że i dla nas nie jest to pewnie niemożliwe.

Dotarliśmy do jednego z tajemniczych miejsc przeprowy, które musiało zostać zbudowane przez armię mongolską. Było zręcznie zakamuflowane, tak by na pierwszy rzut oka nie wyglądało na przeprowę. Dwie płycizny po obu stronach łączył most z desek znajdujący się pod powierzchnią wody, a wzdłuż ciągnęły się liny, mające zabezpieczyć go przed poniesieniem przez wartki prąd. Jasne było, że gdy woda jeszcze trochę opadnie, łatwo będą mogły tędy przejechać transporty wojskowe, wozy opancerzone, czołgi itp. Ponieważ most był pod wodą, nie mogły go dostrzec samoloty zwiadowcze. Trzymając się lin, przeprowiliśmy się na drugą stronę rzeki. Najpierw przejechał sam Yamamoto i sprawdził, czy na tamtym brzegu nie ma mongolskich patroli, a za nim ruszyliśmy my trzej. Woda była tak zimna, że straciłem czucie w nogach, ale mimo to i nam, i koniom udało się jakoś dostać na drugi brzeg. Wznosił się znacznie wyżej od prawego i widać z niego było ciągnącą się daleko, daleko pustynię po drugiej stronie. To jedna z przyczyn, dla których armia radziecka miała przez cały czas przewagę w bitwie pod Nomonhan. Różnica w wysokości terenów wpływa decydująco na celność artylerii. Tak czy inaczej, pamiętam, że zdziwiło mnie, jak

bardzo różni się krajobraz po obu stronach rzeki. Po zanurzeniu w lodowatej wodzie przez długi czas byłem jak zdrętwiały. Nie mogłem nawet wydobyć z siebie głosu. Lecz gdy uświadomiłem sobie, że jesteśmy na terytorium wroga, prawdę mówiąc, ze zderzenia zapomniałem nawet o zimnie.

Ruszyliśmy wzdłuż rzeki na południe. Chałcha płynęła w dole po lewej, wijąc się jak wąż. Trochę później Yamamoto powiedział nam, że lepiej będzie zdjąć z mundurów wszelkie oznaki stopni wojskowych. Postąpiliśmy zgodnie z jego poleceniem. Pomyślałem, że pewnie chodzi o to, że jeżeli zostaniemy schwytani, lepiej, żeby nie wiadano, kim jesteśmy. Z tego samego powodu zdjąłem oficerki i nałożyłem buty i getry.

W dniu przekroczenia rzeki rozbiliśmy właśnie wieczorem obóz, gdy w oddali pojawił się jakiś mężczyzna. Był Mongołem. Mongołowie używają nadzwyczajnie wysokich siodeł i dlatego można ich z daleka rozpoznać. Sierżant Hamano zobaczył go i wycelował do niego z karabinu, lecz Yamamoto powiedział: „Nie strzelaj!”, więc Hamano powoli opuścił broń. Staliśmy we czterech bez ruchu, czekając, aż mężczyzna się zbliży. Na plecach miał radziecki karabin, a u pasa mauzera. Twarz miał zarosniętą, na głowie czapkę z nausznikami. Odziany był w brudne ubranie, jakie zwykle nosili nomadowie, ale po jego postawie od razu poznaliśmy, że to zawodowy żołnierz.

Mężczyzna zsiadł z konia i zwrócił się do Yamamoto. Sądzę, że mówił po mongolsku. Do pewnego stopnia rozumiałem chiński i rosyjski, lecz on mówił jakimś innym językiem, dlatego też myślę, że musiał to być mongolski. Yamamoto odpowiedział też chyba po mongolsku, a ja wtedy byłem już pewien, że musi być oficerem wywiadu.

„Poruczniku Mamiya, pojedę z tym człowiekiem - zwrócił się do mnie Yamamoto. - Nie wiem, jak długo to potrwa. Czekajcie tu na mnie. Nie trzeba wam pewnie tego mówić, ale musicie zawsze mieć kogoś na warcie. Jeżeli nie wrócę po trzydziestu sześciu godzinach, chcę, żebyście złożyli raport w dowództwie.

Wyślijcie jednego przez rzekę do punktu obserwacyjnego armii mandzurskiej". „Rozkaz!" - odpowiedziałem. Yamamoto wsiadł na konia i odjechał z Mongołem na zachód.

Skończyliśmy we trzech rozbijanie obozu i zjedliśmy skromną kolację. Nie mogliśmy ugotować ryżu ani rozpalić ognia. Przebywaliśmy na dzikim pustkowiu, na którym, jak okiem sięgnąć, nie było żadnej osłony z wyjątkiem niewielkich piaszczystych wydm. Gdyby znad naszego ognia uniósł się dym, od razu wpadlibyśmy w ręce wroga. Rozbiliśmy niski namiot pod osłoną wydmy i, tak ukryci, zjedliśmy suchary i zimne mięso z puszki. Gdy tylko słońce zaszło za horyzont, świat natychmiast pograżył się w ciemności, a na niebie zabłyśły niezliczone gwiazdy. Z głośnym szumem Chałchy mieszało się dochodzące skądś wycie wilków. Położyliśmy się na piasku i odpoczywaliśmy po całym dniu.

„Panie poruczniku- powiedział sierżant Hamano. - Zdaje się, że jesteśmy w dość ryzykownym położeniu".

„Na to wygląda" - odparłem.

Nieźle już się wtedy znaleźliśmy z sierżantem Hamano i kapralem Hondą. Byłem świeżo mianowanym, nieposiadającym praktycznie żadnego wojskowego doświadczenia oficerem. Uważałbym więc za normalne, gdyby Hamano, tak doświadczony podoficer, stawiał mnie w niezręcznej sytuacji czy traktował jak głupka. Jednak między nami się to nie zdarzało. Byłem oficerem, który odebrał specjalistyczną edukację na uniwersytecie, toteż Hamano odczuwał do mnie pewien rodzaj szacunku, a ja nie przejmowałem się rangą i starałem się brać pod uwagę jego doświadczenie i umiejętność trzeźwej oceny sytuacji. Do tego pochodził z prefektury Yamaguchi, a ja z okolic prefektury Hiroshima, które były blisko granicy z Yamaguchi, więc łatwo dogadywaliśmy się i poczuliśmy do siebie sympatię. Opowiedział mi o wojnie w Chinach. Był urodzonym żołnierzem, ukończył jedynie szkołę podstawową, ale nawet on miał wątpliwości co do tej bezsensownej wojny w Chinach, która nie wiadomo, ki-

edy miała się skończyć, i szczerze mi się z nich zwierzył. „Jestem żołnierzem i nie mam nic przeciwko walce - mówił. - Nie mam też nic przeciwko ginięciu za ojczyznę. To mój fach. Ale panie poruczniku, ta wojna, którą tu prowadzimy, to - jakby na to nie patrzeć - nie jest wojna jak należy. Nie taka jak trzeba, z linią frontu, z wyzywaniem wroga do walki twarzą w twarz. My się posuwamy, wróg prawie bez walki ucieka. Rozgromieni chińscy żołnierze zdejmują mundury i mieszają się z ludnością cywilną. A wtedy my nie wiemy już nawet, kto jest wrogiem. Więc zabijamy wielu niewinnych ludzi, nazywając to polowaniem na rebeliantów i maruderów, i rekwirujemy pożywienie. Front Przesuwa się szybko, lecz zaopatrzenie za nim nie nadąża, więc musimy rekwirować. Nie mamy też gdzie trzymać jeńców ani czym ich żywić, więc musimy ich zabić. To jest zło. W okolicach Nankinu robiono naprawę straszne rzeczy. Nasze oddziały też to robiły. Wrzuciliśmy do studni kilkadziesiąt osób, a potem kilka granatów. Robiliśmy też inne rzeczy, których nawet nie mogę wypowiedzieć. Panie poruczniku, w tej wojnie nie ma żadnej słusznej sprawy, to po prostu zabijanie się nawzajem. A najbardziej cierpią biedni chłopci, którzy nie mają żadnej ideologii. Nie ma dla nich Kuomintangu, Zhang Xuelianga, Ósmej Armii ani armii japońskiej. Jak mają pełne żołądki, nic innego ich nie obchodzi. Jestem synem biednego rybaka i rozumiem biednych chłopów. Ludzie pracują jak woły od rana do wieczora i wystarcza im tylko na wyżywienie samych siebie, panie poruczniku. Nijak mi się nie wydaje, że zabijanie takich ludzi jednego po drugim przynosi Japonii jakkolwiek korzyść”.

W przeciwieństwie do Hamano kapral Honda nie mówił za wiele o sobie. Był z natury milczący, nigdy sam się nie odzywał i przysłuchiwał się tylko naszym rozmowom. Powiedziałem, że był milczący, ale to nie znaczy, że ponury. Po prostu nie odzywał się z własnej inicjatywy i dlatego czasami zastanawiałem się, co ten człowiek właściwie myśli. Jego milczenie nie było nieprzyjemne, działało raczej uspokajająco. Był całkowicie zrów-

noważony i pogodny. Wyraz jego twarzy prawie się nie zmieni-  
ał, bez względu na to, co się działo. Honda pochodził z Asahi-  
kawy, jego ojciec ponoć prowadził tam mały zakład drukarski.  
Był ode mnie dwa lata młodszy, skończył gimnazjum, a potem  
razem ze starszym bratem pomagali ojcu w zakładzie. Był naj-  
młodszym z trzech braci; najstarszy poległ dwa lata wcześniej w  
Chinach. Lubił czytać i gdy tylko miał wolną chwilę, kładł się  
gdzieś i czytał książki na temat buddyźmu.

Jak wcześniej wspomniałem, Honda nie miał doświadczenia  
na polu bitwy i odbył tylko roczne szkolenie w Japonii, ale mi-  
mo to był doskonałym żołnierzem. W każdym plutonie znajdzie  
się jeden lub dwóch takich żołnierzy, którzy cierpliwie i bez  
szemrania po kolei wykonują zlecone obowiązki. Są wytrzymali  
i bystrzy. Gdy ich czegoś nauczyć, w lot wszystko chwytają i  
prawidłowo stosują w praktyce. Honda był właśnie takim żołni-  
erzem. Odbył szkolenie kawaleryjskie i najlepiej z nas wszyst-  
kich znał się na koniach, więc opiekował się szóstką naszych.  
Nie robił tego byle jak, zdawało nam się wręcz, że musi dosko-  
nale rozumieć uczucia koni. Sierżant Hamano też szybko zorien-  
tował się w umiejętnościach kaprała Hondy i zaczął mu bez wa-  
hania zlecać różne zadania.

Uważam, że jak na przypadkowo dobraną grupę, rozumi-  
eliśmy się zadziwiająco dobrze. Ponieważ nie byliśmy regu-  
larnym oddziałem, nie było między nami oficjalnej sztywności.  
Byliśmy ze sobą tak swobodni, jakby spotkanie się... było nam  
pisane. I dlatego sierżant Hamano mógł ze mną tak szczerze roz-  
mawiać o sprawach, które zwykle nie mieściły się w ramach  
rozmów oficerów z podoficerami.

„Co pan porucznik myśli o tym Yamamoto?” - zapytał Hama-  
no.

„Prawdopodobnie jest ze służb specjalnych - powiedziałem. -  
Sądząc z tego, że mówi po mongolsku, musi być specjalistą. Ma  
też dokładne informacje o tym terenie”.

„Ja też tak uważam. Najpierw myślałem, że to któryś z tych



facetów wałęsających się bez przydziału po kontynencie albo członek konnych band, ale nie. Ja ich znam. Oni się zawsze przechwalają, zmyślają. I zaraz chcą urządzać zawody w strzelaniu z pistoletów. Ale ten Yamamoto nie jest taki lekkomyślny. To człowiek twardy. Wygląda mi na wysokiego rangą oficera. Coś słyszałem, że podobno armia ma tworzyć oddziały taktyczne składające się z Mongołów wywodzących się z armii mandżurskiej utworzonej w Mongolii Wewnętrznej. I podobno po to sprowadzili kilku wojskowych z Japonii, którzy specjalizują się w działaniach taktycznych. Może on ma z tym jakiś związek?"

Kapral Honda stał z karabinem w pewnym oddaleniu i miał obserwować okolicę. Ja położyłem na ziemi browninga, tak bym go mógł w każdej chwili dosięgnąć. Sierżant Hamano zdjął getry i masował sobie stopy.

„Ja oczywiście tylko zgaduję - ciągnął Hamano. - Może ten Mongoł jest oficerem mongolskim przeciwnym Związkowi Radzieckiemu i próbującym się tajnie skontaktować z armią japońską”.

„To możliwe - powiedziałem. - Ale lepiej takich rzeczy nie rozpowiadać. Możecie stracić głowę”.

„Nie jestem aż taki głupi. Tylko panu to mówię - odparł Hamano z uśmiechem. Potem spoważniał. - Ale panie poruczniku, jeżeli to prawda, to sprawa jest ryzykowna. Może z tego być wojna”.

Przytaknąłem. Mongolia była formalnie niezależnym państwem, lecz w rzeczywistości stanowiła satelitę Związku Radzieckiego pod jego pełną kontrolą. W tym niewiele różniła się od Mandżukuo, gdzie prawdziwe rządy sprawowała armia japońska. Jednakże wiadomo było, że w ukryciu istnieje frakcja antyradziecka. Do tej pory już wielokrotnie frakcja ta tajnie kontaktowała się z armią japońską w Mandżukuo i organizowała rebelie. Jądro frakcji rebeliantów stanowili wojskowi mongolscy sprzeciwiający się despotyzmowi wojskowych radzieckich, warstwa właścicieli ziemskich przeciwna przymusowej nacjonalizacji.

zacji ziemi i licząca ponad sto tysięcy grupa łamów. Jediną zewnętrzną siłą, na którą ta frakcja mogła liczyć, była armia japońska stacjonująca w Mandżukuo. Wyglądało na to, że czuli się bliżej Japończyków, którzy podobnie jak oni byli Azjatami, niż Rosjan. W poprzednim roku 1937 odkryto plany zorganizowania powstania na dużą skalę w Ułan Bator i przeprowadzono wielką czystkę. Dokonano egzekucji kilku tysięcy żołnierzy i łamów pod zarzutem działalności kontrrewolucyjnej oraz tajnych kontaktów z armią japońską, lecz mimo to uczucia antyradzieckie nie zniknęły i tliły się dalej tu i tam. Nie byłoby więc wcale dziwne, gdyby japoński oficer wywiadu przeprawił się przez rzekę Chałchę, chcąc się w tajemnicy skontaktować z oficerami mongolskimi z frakcji antyradzieckiej. Armia mongolska starając się temu zapobiec, z dużą częstotliwością wysyłała patrole, które dokonywały objazdu terenu, i wyznaczyła obszar od dziesięciu do dwudziestu kilometrów od granicy, w którym nie wolno było przebywać, lecz ze względu na szerokość tego przygranicznego pasa patrole nie były w stanie dokładnie go pilnować.

Gdyby nawet założyć, że powstanie się powiedzie, jasne było, że armia radziecka natychmiast wkroczy i zduś kontrrewolucję. Po interwencji radzieckiej wojska kontrrewolucyjne zwrócą się do armii japońskiej o pomoc, co będzie stanowić usprawiedliwienie dla interwencji wojskowej Armii Kwantuńskiej. Zajęcie Mongolii byłoby jak wbicie noża w serce radzieckich interesów na Syberii. Jeżeli nawet centrala w Japonii próbowałaby powstrzymać Armię Kwantuńską, była to okazja, której pełen ambicji sztab generalny nie mógł przepuścić. A wtedy nie byłby to już konflikt przygraniczny, a prawdziwa wojna japońsko-radziecka. Jeżeli zaś na granicy Związku Radzieckiego i Mandżukuo rozpocznie się prawdziwa wojna, być może Hitler w odpowiedzi wkroczy do Polski albo Czechosłowacji. Właśnie o tym mówił sierżant Hamano.

Nadszedł świt, lecz Yamamoto nie wracał. Mnie przypadła

ostatnia warta. Pożyczyłem karabin sierżanta Hamano, usiadłem na jednej z większych wydm i wpatrywałem się w niebo na wschodzie. Świty w Mongolii były wspaniałe. W jednej chwili horyzont stał się niewyraźną linią, uniósł się w ciemnościach, został jakby delikatnie podniesiony do góry. Zdawało się, że z nieba wyciągnęła się wielka ręka i powoli odsunęła z ziemi kurtynę ciemności. Był to imponujący widok. Tak imponujący, że jak wcześniej powiedziałem, znacznie przekraczał zakres mojej ludzkiej świadomości. Patrząc na niebo, czułem się, jakby moje własne życie stawało się coraz mniejsze i znikало. Nie było tu nawet śladu nieznacznych ludzkich przedsięwzięć. To samo odbywało się tutaj od setek milionów, miliardów lat, od najdawniejszych czasów, gdy nie istniało jeszcze żadne życie. Zapomniałem o trzymaniu warty i jak we śnie przyglądałem się tylko temu światowi.

Gdy słońce ukazało się już w całości ponad horyzontem, zapaliłem papierosa, napiłem się wody z manierki i oddałem mocz. Potem pomyślałem o Japonii. Przypomniałem sobie widok stron rodzinnych w początkach maja. Myślałem o zapachu kwiatów, szumie rzeki, chmurach na niebie. Myślałem o starych przyjaciółach i rodzinie. O słodkich, krągłych ciastkach ryżowych zawiniętych w liście dębu. Nie przepadam za słodczami, ale pamiętam, że wtedy wszystko bym dał za takie ciastko. Nawet półroczny zarobek. Kiedy myślałem o Japonii, wydało mi się, że zostałem porzucony na krańcu świata. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego musimy z narażeniem życia walczyć o te ogromne przestrzenie, na których nie ma nic prócz zmierzwionej, brudnej trawy i pluskwów, jałowe ziemie, które nie mają prawie żadnej wartości strategicznej ani przemysłowej. Walczyłbym, a nawet oddał życie w obronie stron rodzinnych, ale głupie zdawało mi się oddawanie jedyne go życia, jakie człowiek ma, za te dzikie ziemie, na których nie wyrośnie nawet jeden kłos.

Yamamoto wrócił o świcie następnego dnia. Tego poranka znów mnie przypadła warta. Wpatrywałem się akurat bezmyśl-

nie w rzekę, gdy usłyszałem za sobą jakby rzenie konia i pospiesznie się odwróciłem, nic jednak nie dojrzałem. Wycelowałem karabin w kierunku, z którego dobiegało rzenie. Przełknąłem ślinę i dźwięk dochodzący z własnego gardła wydał mi się bardzo głośny. Palec na cynglu drżał. Jeszcze nigdy przedtem do nikogo nie strzelałem.

Jednak po kilku sekundach, stąpając niepewnie, zza wydmy wyłonił się koń niosący Yamamoto. Z palcem na cynglu rozejrzałem się dokoła, lecz nie dostrzegłem nikogo innego. Nie było Mongoła, który wyjechał mu na spotkanie, ani innych żołnierzy wroga. Po wschodniej stronie nieba unosił się tylko duży biały księżyc, jak jakiś złowrózby megalit. Zdawało się, że Yamamoto jest ranny w lewe ramię. Chusta, którą je owinął, przesiąkała krwią. Obudziłem kaprala Hondę i kazałem mu się zająć koniem Yamamoto. Koń musiał przebyć długą drogę, ponieważ ciężko oddychał i był zlany potem. Hamano zmienił mnie na warcie, a ja wyjąłem apteczkę i opatrzyłem ranę Yamamoto.

»Kula przeszła na wylot i rana już nie krwawi" - powiedział Yamamoto. Rzeczywiście kula przeszła gładko przez ramię i wyrwała tylko trochę ciała.

Zdjąłem zastępującą opatrunek chustkę, zdezynfekowałem ranę spirytusem i obwiązałem świeżym bandażem. Przez ten czas Yamamoto nawet się nie skrzywił, tylko nad górną wargą wystąpił mu pot. Ugasił pragnienie wodą z manierki, zapalił papierosa i z wyraźną przyjemnością wciągnął w płuca dym. Potem wziął do ręki browninga i wsadziwszy go pod pachę, wyjął magazynek i zręcznie jedną ręką załadował trzy naboje. „Poruczniku Mamiya, natychmiast stąd wyruszamy. Przeprowadzamy się przez rzekę i kierujemy się do punktu obserwacyjnego armii mandżurskiej”.

Prawie się nie odzywając, w pośpiechu zwinęliśmy obóz, dosiedliśmy koni i ruszyliśmy w stronę przeprawy. Nie zadawałem Yamamoto żadnych pytań na temat tego, co się właściwie stało i kto go postrzelił. W naszych wzajemnych stosunkach nie na mi-

ejscu byłoby wypytywanie go, ale nawet jeśli ja byłbym upoważniony do zadawania pytań, on prawdopodobnie i tak by nie odpowiedział. Tak czy inaczej myślałem wtedy tylko o jednym: żeby jak najszybciej opuścić wrogie terytorium, przeprowić się przez rzekę i dotrzeć na stosunkowo bezpieczny prawy brzeg.

W milczeniu poganiał konie na stepie. Nikt nic nie mówił, ale jasne było, że wszyscy myślą o tym samym. Czy uda nam się bezpiecznie przeprowić przez rzekę? To wszystko. Jeżeli patrol mongolski dotrze do mostu przed nami, będzie po nas. Nie miałibyśmy szansy. Pamiętam, że spod pach płynął mi pot. Pot, który zdawał się nigdy nie wysychać.

„Poruczniku Mamiya, czy ktoś kiedyś do pana strzelał?” - zapytał Yamamoto po długim milczeniu.

Powiedziałem, że nigdy.

„A pan kiedyś do kogoś strzelał?”

„Nigdy” - powiedziałem jeszcze raz.

Nie wiedziałem, jakie wrażenie zrobiły na nim moje odpowiedzi, nie wiedziałem też, z jakiego powodu o to pytał.

„Prawdę mówiąc, mam tu dokumenty, które muszą zostać dostarczone do dowództwa - powiedział. Potem położył rękę na torbie przytroczonej do siodła. - Jeżeli będzie to niemożliwe, muszą koniecznie zostać zniszczone. Mogą być spalone, zakopane, lecz nie mogą się dostać w ręce wroga. Pod żadnym pozorem. To jest najważniejsza sprawa. Chciałbym, żeby pan to rozumiał. Jest to niezwykle, niezwykle ważne”.

„Zrozumiano” - powiedziałem.

Yamamoto spojrział mi w oczy. „Jeżeli sprawy źle się potoczą, przede wszystkim musi mnie pan zastrzelić. Bez wahania - powiedział. - Jeśli będę się sam mógł zastrzelić, zrobię to. Ale jestem ranny w ramię, poza tym w zależności od sytuacji mogę nie być w stanie popełnić samobójstwa. Wtedy proszę mnie zastrzelić. I jak będzie pan strzelał, proszę tak strzelać, żeby zabić”. Przytaknąłem w milczeniu.

Gdy przybyliśmy przed zmierzchem do punktu przeprowy,

okazało się, że obawy, które żywiłem po drodze, nie były bezpodstawne. Obozował tam już mały oddział armii mongolskiej. Razem z Yamamoto wjechaliśmy na nieco wyższą wydmy i obaj popatrzyliśmy przez lornetkę. Znajdowało się tam ośmiu żołnierzy, niezbyt wielu, ale jak na patrol graniczny byli dość dobrze uzbrojeni. Jeden z nich miał lekki karabin maszynowy, a na niewielkim wzniesieniu ustawiono ciężki karabin maszynowy. Wokół niego zgromadzono worki z piaskiem. Jasne było, że karabin został wycelowany w rzekę. Wyglądało na to, że ustawili się tutaj, aby nie pozwolić nam się przedostać na drugą stronę. Rozbili namioty nad rzeką, wbili słupki, do których przywiązali dziesięć koni. Prawdopodobnie nie mieli zamiaru się stamtąd ruszać, zanim nas nie pochwycają.

„Czy nie ma innego miejsca, gdzie moglibyśmy się przeprawić?” - zapytałem.

Yamamoto odwrócił wzrok od szkieł lornetki, spojrzał na mnie i pokręcił głową. „Jest, ale trochę za daleko. To dwa dni konnej jazdy stąd, a nie mamy tyle czasu. Musimy się przeprawić tutaj, nawet jeśli będzie to bardzo trudne”.

„To znaczy, że przeprawiamy się po cichu nocą?”.

„Tak. Nie ma innego sposobu. Konie zostawimy tutaj. Wystarczy tylko wykończyć wartownika, inni pewno będą głęboko spali. Szum rzeki zagłuszy większość dźwięków, więc o to nie trzeba się martwić. Ja załatwię wartownika. Do tego czasu nie ma co robić, lepiej teraz się wyspać i odpocząć”.

Postanowiliśmy podjąć przeprawę o trzeciej nad ranem. Kapral Honda rozkulbaczył konie, poprowadził daleko i puścił wolno. Wykopaliliśmy głęboki dół i ukryliśmy w nim niepotrzebną amunicję oraz pożywienie. Zostawiliśmy sobie tylko manierki z wodą, pożywienie na jeden dzień, karabiny i trochę amunicji. Gdyby schwytali nas żołnierze mongolscy, górujący nad nami siłą ogniową, i tak bylibyśmy bez szans, nawet mając wiele amunicji. Postanowiliśmy spać aż do czasu akcji, ponieważ, jeżeli uda nam się przeprawić przez rzekę, przez pewien czas nie

będziemy mogli sobie pozwolić na sen. Spać można było tylko teraz. Najpierw stanął na warcie kapral Honda, potem miał go zmienić sierżant Hamano.

Yamamoto zapadł w sen, gdy tylko znalazł się w namiocie. Wyglądało na to, że do tej pory prawie wcale nie spał. Torbę z owymi ważnymi dokumentami położył sobie u wezglowia. Wkrótce Hamano też zasnął. Wszyscy byliśmy zmęczeni, ale ja ze zdenerwowania długo nie mogłem zasnąć. Byłem straszliwie śpiący, lecz sen nie nadchodził. Wyobrażałem sobie, jak zabijamy wartownika, jak karabin maszynowy zieje w nas ogniem, gdy przepławiamy się przez rzekę, i coraz bardziej się denerwowałem. Dłonie miałem mokre od potu, boleśnie pulsowało mi w skroniach. Nie byłem pewien, czy jak przyjdzie co do czego, będę mógł się zachować, jak przystało na oficera. Wyszedłem z namiotu, podszedłem do pełniącego wartę kaprala Hondy i usiadłem obok niego.

„Może wszyscy tu zginiemy” - powiedziałem.

„Może” - odpowiedział Honda.

Milczeliśmy przez chwilę. Nie podobało mi się coś, co kryło się w tym jego „może”. Była w nim jakaś nuta wahania. Nie mam zbyt dobrej intuicji, jednak byłem pewien, że próbując coś ukryć, udzielił mi wymijającej odpowiedzi. Postanowiłem go wypytać. Powiedziałem, że jeżeli ma coś do powiedzenia, powinien to bez skрэpowania zrobić. Może to ostatnia okazja, więc lepiej powiedzieć, co człowiekowi leży na sercu.

Honda siedział z zaciśniętymi ustami i przez pewien czas gładził palcami piasek u swych stóp. Miałem wrażenie, że zmaga się z czymś w myślach. „Panie poruczniku - odezwał się po chwili. Wpatrywał się we mnie bez ruchu. - Pan porucznik będzie żył z nas czterech najdłużej i umrze w Japonii. Będzie pan żył o wiele dłużej, niż się pan spodziewa”.

Tym razem ja mu się przyjrzałem.

„Na pewno zastanawia się pan porucznik, skąd ja mogę to wiedzieć, lecz ja sam nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Po pro-

stu to wiem".

„Czyli jest to coś w rodzaju widzenia?”

„Może tak jest. Ale słowo «widzenie» nie pasuje do tego, co ja czuję. To nie jest nic tak wzniosłego. Tak jak przedtem powiedziałem, ja po prostu wiem. To wszystko”.

„Od dawna macie takie skłonności?”

„Tak - powiedział zdecydowanie. - Ale od czasu, gdy się na tym poznałem, ukrywam to przed ludźmi. Teraz mówię tylko dlatego, że to sprawa życia i śmierci, i także dlatego, że pan porucznik mnie zapytał”.

" A w takim razie co z innymi? Też wiecie, co się z nimi stanie?”

Potrząsnął głową. - „Niektóre rzeczy wiem, innych nie. Ale chyba lepiej, żeby pan porucznik nie wiedział. Może to nie wypada, żeby ktoś taki jak ja tak się wymądrzał przed panem porucznikiem, który był na uniwersytecie, ale ludzki los to coś, co się wspomina, gdy już minie, a nie poznaje naprzód. Sam jestem do pewnego stopnia przyzwyczajony, lecz pan porucznik niezwykajny”.

„W każdym razie mówicie, że tutaj nie umrę?”

Zaczerpnął z ziemi garść piasku i przesiał go między palcami. „Tyle tylko mogę powiedzieć. Nie umrze pan porucznik w Chinach”.

Chciałem jeszcze dłużej z nim porozmawiać, ale kapral Honda zaciął usta i zamilkł. Miałem wrażenie, że pogrążył się we własnych rozmyślaniach i rojeniach. Z karabinem w ręku wpastrywał się w dzikie pustkowię. Wyglądało na to, że moje słowa przestały do niego docierać.

Wróciłem do namiotu rozbitego nisko za wydumą, położyłem się obok Hamano i zamknąłem oczy. Tym razem nadszedł sen. I to tak głęboki, jakby ktoś złapał mnie za nogę i pociągnął na samo dno oceanu.

### **13. Długa opowieść porucznika Mamii - część druga**



Obudził mnie metaliczny dźwięk odbezpieczanego karabinu. Żołnierz na polu bitwy zawsze usłyszy ten dźwięk, choćby nie wiem jak głęboko spał. Jest to - jakby to powiedzieć? - szczególnie dźwięk, ciężki i zimny jak sama śmierć. Nieomal odruchowo wyciągnąłem rękę po leżącego u wezglowia browninga, lecz ktoś kopnął mnie w skroń i przez chwilę zrobiło mi się ciemno przed oczami. Odetchnąłem kilka razy, odrobinę otworzyłem oczy i zobaczyłem, jak ktoś - to musiał być człowiek, który mnie kopnął - schyla się i podnosi browninga. Powoli uniosłem głowę i zobaczyłem wycelowane we mnie dwie lufy. Za nimi dostrzegłem mongolskich żołnierzy. Gdy usypiałem, znajdowałem się w namiocie, lecz nie wiadomo kiedy namiot zniknął i rozpościerało się nade mną pokryte gwiazdami niebo. Drugi mongolski żołnierz przystawił lufę karabinu maszynowego do głowy Yamamoto, który być może myśląc, że nie ma sensu stawianie oporu, leżał spokojnie, jakby oszczędzając siły. Żołnierze odziani byli w długie płaszcze i hełmy bojowe. Dwóch z nich oświetlało nas latarkami. Na początku nie mogłem zrozumieć, co się właściwie stało. Pewnie dlatego, że bardzo głęboko spałem i szok był zbyt silny. Patrzyłem na mongolskich żołnierzy, na twarz Yamamoto

i w końcu do mnie dotarło, co się dzieje. Odkryli nasz namiot, zanim zdążyliśmy podjąć próbę przeprawy.

Zastanowiłem się, co się mogło stać z Hondą i Hamano. Powoli poruszając głową, rozejrzałem się dokoła, lecz nigdzie ich nie dostrzegłem. Nie wiedziałem, czy zostali już zabici, czy też może udało im się jakoś uciec.

Byli to prawdopodobnie żołnierze z patrolu, który widzieliśmy przy przeprawie. Nie było ich zbyt wielu. Mieli karabin maszynowy i zwykłe karabiny. Dowodził potężnie zbudowany podoficer, jedyny w prawdziwych oficerkach. To on mnie kopnął. Pochylił się, podniósł skórzaną teczkę leżącą przy głowie Yamamoto i zajrzał do środka. Potem odwrócił ją do góry dnem i potrząsnął. Z tecki wypadła jednak tylko paczka papierosów.

Zdziwiłem się, ponieważ widziałem na własne oczy, jak Yamamoto wkładał do niej dokumenty. Wyjął je z torby przytroczonej do siodła, wsunął do teczki, którą położył przy wezglówiu. Yamamoto starał się zachować swój zwykły niezmienny spokój, jednak zauważyłem, że na chwilę zmienił się na twarzy. Wyglądało na to, że on też nie ma pojęcia, jakim sposobem dokumenty zniknęły, ale tak czy inaczej, powinno go to cieszyć, ponieważ sam mówił, że naszym najważniejszym zadaniem było nie dopuścić, by dostały się w ręce wroga.

Żołnierze przewrócili wszystkie bagaże i sprawdzili je bardzo dokładnie, lecz nie było w nich nic ważnego. Potem zdjęli z nas mundury i przejrzeni kieszenie jedna po drugiej. Pocięli bagneta-  
mi ubrania i plecaki, jednak nigdzie nie znaleźli dokumentów. Zabrali nam papierosy, pióra, portfele, notesy, zegarki i tego typu rzeczy, i powsadzali sobie do kieszeni. Po kolei przymierzali nasze buty i wzięli je ci, na których pasowały. Dość gwałtownie kłócili się o to, który co dostanie, lecz dowodzący podoficer stał z obojętną twarzą. Prawdopodobnie w Mongolii normalne jest zabieranie dla siebie rzeczy odebranych jeńcom i poległym żołnierzom wroga. Podoficer wziął sobie tylko zegarek Yamamoto, a co do reszty dał żołnierzom wolną rękę. Inne wyposażenie wojskowe, czyli nasze pistolety, naboje, mapy, kompas, lornetkę itp., włożono do płóciennej torby. Prawdopodobnie miały zostać wysłane do dowództwa w Ułan Bator.

Potem związali nas nagich cienkim mocnym sznurem. Gdy podeszli bliżej, poczułem, że unosi się od nich zapach od dawna niesprzątanego obory. Ich mundury były wyjątkowo nędzne: brudne, pokryte plamami błota, kurzu i jedzenia. Nie można już było poznać, jakiego były naprawde koloru. Buty mieli strasznie zniszczone, pełne dziur, jakby za chwilę miały się rozpaść. To zrozumiałe, że chcieli nasze. Większość z nich miała bardzo nieokrzesane twarze, brudne zęby, niestrzyżone włosy. Na pierwszy rzut oka wyglądali raczej na bandytów, grupę rabusiów niż na żołnierzy, lecz broń produkcji radzieckiej i gwiazdki na

mundurach świadczyły, że byli regularnymi żołnierzami Mongolskiej Republiki Ludowej. Mimo to odniosłem wrażenie, że w tym oddziale dyscyplina i morale nie stały zbyt wysoko. Mongołowie są wytrzymałymi, twardymi żołnierzami, lecz niezbyt nadają się do nowoczesnej wojny, w której walczy się w oddziałach.

Noc była zimna, przyszedł mróz. Patrzyłem na ich oddechy unoszące się lekką białą mgiełką i znikające w ciemności. Wydawało mi się, że przez pomyłkę zostałem wciągnięty na scenę jakiegoś nocnego koszmaru. Nie mogłem jakoś przyjąć do wiadomości, że wszystko dzieje się naprawdę. Choć jak oczywiście później się dowiedziałem, był to jedynie początek niezwykle długiego złego snu.

Wkrótce z ciemności wyłonił się jeden z żołnierzy, ciągnąc coś za sobą. Nieprzyjemnie szczerząc zęby, dociągnął to do nas i rzucił na ziemię. Były to zwłoki Hamano. Jego buty musiał już ktoś zabrać, ponieważ miał bose stopy. Żołnierze zdarli ubranie z Hamano i przeszukali wszystkie kieszenie. Zabrali zegarek, portfel i papierosy. Podzielili się nimi i paląc, przeglądali zawartość portfela. Było tam kilka banknotów pochodzących z Mandżukuo i zdjęcie kobiety, zapewne matki. Dowodzący podoficer powiedział coś i zabrał pieniądze. Zdjęcie matki rzucono na ziemię.

Żołnierz mongolski musiał podkraść się cicho od tyłu do stojącego na warcie Hamano i poderznął mu gardło. Uprzedzili nas. Zrobili to, co my planowaliśmy zrobić. Z otwartej rany płynęła jasnoczerwona krew, lecz wyglądało na to, że większość już wypłynęła, ponieważ jak na ranę tej wielkości, nie było zbyt dużo krwi. Jeden z żołnierzy wyjął z wiszącej u boku pochwy zakrzywiony nóż o mniej więcej piętnastocentymetrowym ostrzu i pokazał mi. Po raz pierwszy widziałem nóż o takim dziwnym kształcie. Pewnie służył do jakiegoś specjalnego celu. Żołnierz wykonał gest naśladujący podrzynanie gardła i wydał krótki świst. Kilku Mongołów roześmiało się. Wyglądało na to, że był

to jego własny nóż, niestanowiący typowego wyposażenia, ponieważ choć wszyscy mieli przy boku pochwy z nożami, on jeden miał taki zakrzywiony. Prawdopodobnie właśnie tym nożem poderżnął gardło Hamano. Zręcznie obrócił go kilka razy w dłoni i włożył z powrotem do pochwy.

Yamamoto nic nie powiedział, tylko zerknął na mnie. Poruszyły się jedynie jego oczy. Była to chwilka, ale dobrze zrozumiałem, co mi chce powiedzieć. Te oczy pytały: „Czyżby Hondzie udało się uciec?”. Prawdę mówiąc, mimo tego strachu i oszołomienia ja też właśnie o tym myślałem. „Gdzie mógł się podziać kapral Honda?”. Jeżeli Hondzie udało się uciec mimo tego nieoczekiwanego ataku Mongołów, być może i my mamy jeszcze szansę, choćby niewielką. Zastanowiłem się, czego Honda może samotnie dokonać i ogarnął mnie ponury nastrój, ale zawsze jednak jakaś szansa była. Lepsze to niż nic.

Leżeliśmy tak związani na piaszczystej wydmie do samego świtu. Żołnierz z karabinem maszynowym i drugi ze zwykłym zostali, by nas pilnować. Inni, być może uspokojeni tym, że nas złapali, zebrali się w niejakim oddaleniu i rozmawiali, śmiejąc się i paląc papierosy. Yamamoto i ja nie odzywaliśmy się ani słowem. Choć był maj, temperatura przed świtem spadła poniżej zera. Byliśmy nadzy i zastanawiałem się nawet, czy nie zamrzniemy tam na śmierć, jednak zimno było niczym w porównaniu ze strachem, który czułem. Nie miałem pojęcia, co nas dalej czeka. Mongołowie byli po prostu żołnierzami z patrolu i pewnie nie mogli sami zdecydować, co z nami zrobić. Będą musieli czekać na rozkazy z góry. Dlatego przez pewien czas pewnie nas nie zabiją. Jednakże zupełnie nie da się przewidzieć, co będzie dalej. Yamamoto jest prawdopodobnie szpiegiem, a ponieważ zostałem schwytany razem z nim, oczywiście uznają mnie za współnika. Tak czy inaczej, łatwo się z tego nie wywinie.

Rozwidniło się i niedługo dobiegł nas odgłos przypominający warkot samolotu. Wkrótce w polu widzenia pojawiła się jego srebrna sylwetka. Był to samolot zwiadowczy produkcji radziec-

kiej z mongolskim oznakowaniem. Zrobił kilka rund nad nami. Wszyscy żołnierze zaczęli machać rękami. Samolot poruszył kilkakrotnie skrzydłami, sygnalizując, że nas widzi, a potem wylądował na otwartej przestrzeni w pobliżu, wznosząc kłęby piasku. Grunt był tu twardy i bez przeszkód terenowych, więc możliwy był start i lądowanie mimo braku pasa startowego. Być może już przedtem wiele razy używali tego miejsca jako lotniska. Jeden z żołnierzy dosiadł konia i prowadząc dwa dodatkowe, ruszył w tamtą stronę.

Wrócił z dwoma ludźmi wyglądającymi na wyższych rangą oficerów. Jeden z nich był Rosjaninem, drugi Mongołem. Domyślałem się, że podoficer patrolu musiał przez radio poinformować dowództwo o schwytaniu nas i ci oficerowie przylecieli specjalnie z Ułan Bator, żeby nas przesłuchać. Są prawdopodobnie oficerami wywiadu. Słyszałem, że za kulisami zeszłorocznych masowych aresztowań i wielkiej czystki frakcji antyrządowej stało GPU\*.

Obaj nosili czyste mundury i mieli porządnie ostrzyżone włosy. Rosjanin miał na sobie płaszcz w rodzaju prochowca z paskiem. Wystające spod płaszcza oficerki błyszcząły i nie było na nich ani jednej plamki. Jak na Rosjanina był niezbyt wysoki, dość szczupły, musiał mieć trzydzieści parę lat. Miał szeroką twarz, wąski nos, jasnoróżową cerę i okulary w drucianej oprawce. W całości jego twarz nie wywierała żadnego szczególnego wrażenia. W odróżnieniu od niego mongolski oficer był krępy, niski, o śniadej cerze. Obok Rosjanina wyglądał jak mały niedźwiedź.

Mongolski oficer zawołał podoficera, stanęli we trzech w niejakim oddaleniu i o czymś rozmawiali. Przypuszczałem, że nowo przybyli wysłuchują szczegółowego raportu. Podoficer przyniósł płócienną torbę z odebranymi nam rzeczami i pokazał jej zawartość. Rosjanin obejrzał wszystko dokładnie, a potem ws-

---

\* GPU - Gosudarstwiennoje Politiczskoje Uprawlenije 1922-34, w grudniu 1922 przekształcone w OGPU, a w 1934 w NKWD

dził z powrotem do torby. Powiedział coś do mongolskiego oficera, a on przekazał coś podoficerowi. Potem Rosjanin wyjął z kieszeni papierošnicę i poczęstował Mongoła i podoficera. Stali tak we trzech, paląc i rozmawiając. Rosjanin mówił coś do nich, uderzając pięścią prawej ręki o lewą dłoń. Wyglądał na lekko zirytowanego. Oficer mongolski stał z niezadowoloną miną i założonymi rękami, a podoficer kilkakrotnie potrząsał głową.

Niebawem Rosjanin podszedł powoli do miejsca, w którym leżeliśmy, i stanął przed nami. „Zapalicie?” - zapytał po rosyjsku. Jak wcześniej wspominałem, uczyłem się rosyjskiego na studiach, więc mniej więcej radzę sobie w rozmowie, ale ponieważ chciałem uniknąć kłopotów, udawałem, że nic nie rozumiem. „Nie, dziękujemy” - odpowiedział Yamamoto po rosyjsku. Mówił dość płynnie.

„Świetnie - powiedział radziecki oficer. - Skoro możemy rozmawiać po rosyjsku, szybko nam pójdzie”.

Zdjął rękawiczki i włożył do kieszeni płaszcz. Na serdecznym palcu lewej ręki nosił wąską złotą obrączkę. „Myślę, że zdajesz sobie sprawę, że szukamy pewnej rzeczy. Koniecznie musimy ją znaleźć. Wiemy też, że ty ją masz. Nie pytaj, skąd wiemy. Po prostu wiemy. Ale nie masz jej przy sobie, a więc logicznie biorąc, oznacza to, że zanim cię złapano, musiałeś ją gdzieś ukryć. Tam - mówiąc to, wskazał Chałchę - jej nie przeniosłeś, bo jeszcze nikt nie przeprawił się przez rzekę. List musi więc być ukryty gdzieś po tej stronie. Rozumiesz, co mówię?”

Yamamoto skinął głową. „Rozumiem, co pan powiedział, ale my nic o tym liście nie wiemy”.

„Świetnie - powiedział Rosjanin, nie zmieniając wyrazu twarzy. - W takim razie zadam wam jedno małe pytanko: co wy właściwie tu robiliście? Jak sami dobrze wiecie, jest to terytorium Mongolskiej Republiki Ludowej. W jakim celu weszliście na obce terytorium? chciałbym znać przyczynę”.

Yamamoto wytłumaczył, że sporządzaliśmy mapę. „Jestem cywilem zatrudnionym w firmie produkującej mapy, a ten czło-

wiek tutaj i ten drugi zabity przyjechali jako moja eskorta. Wiemy, że to wasze terytorium i bardzo przepraszamy, że przekroczyliśmy granicę. Jednak nie byliśmy świadomi, że naruszamy granice. Chcieliśmy tylko zobaczyć topografię terenu ze wzniesienia tego brzegu".

Rosjanin roześmiał się nieprzyjemnie, wykrzywiając wąskie wargi. „Bardzo przepraszamy - powtórzył powoli słowa Yamamoto. - Aha, rozumiem. Chcieliście zobaczyć topografię terenu ze wzniesienia. Rozumiem. Ze wzniesienia jest lepszy widok. Tak, to ma sens".

Przez chwilę milczał i wpatrywał się w chmury na niebie. Potem zwrócił wzrok ku Yamamoto, powoli pokręcił głową i westchnął.

„Jakby to było dobrze, gdybym mógł ci uwierzyć. Myślę, jakby to było dobrze, gdybym mógł poklepać cię po ramieniu i powiedzieć: «Rozumiem. No to teraz przepawcie się przez rzekę i wracajcie na tamtą stronę. I następnym razem uważajcie\*. Nie kłamie. Naprawdę tak myślę. Lecz niestety nie mogę tego zrobić. A to dlatego, że dobrze wiem, kim jesteś. Wiem też dobrze, co tu robisz. Mamy kilku przyjaciół w Hailar, tak samo jak wy macie kilku przyjaciół w Ułan Bator".

Rosjanin wyjął z kieszeni rękawiczki, ponownie je złożył i schował do kieszeni. „Szczerze mówiąc, nie jestem szczególnie osobiście zainteresowany męceniem was ani zabijaniem. Jeżeli tylko przekażecie mi list, niczego więcej nie będę od was chciał. Na moje polecenie zostaniecie od razu uwolnieni. Możecie wtedy przepawić się przez rzekę i wrócić na tamtą stronę. Daję wam słowo honoru. To, co się potem stanie, będzie naszą wewnętrzną sprawą i nie ma z wami nic wspólnego".

Światło słoneczne dochodzące ze wschodu zaczynało mnie nareszcie rozgrzewać. Nie było wiatru, na niebie unosiło się kilka gęstych białych chmur.

Zapanowało bardzo długie milczenie. Nikt nie odzywał się ani słowem. Rosyjski oficer, mongolski oficer, żołnierze z mon-

golskiego patrolu, Yamamoto, wszyscy milczeli. Zdawało się, że już od chwili, w której został schwytany, Yamamoto był przygotowany na śmierć i na jego twarzy nie malował się żaden wyraz.

„Albo... obaj... tutaj... umrzecie - powiedział Rosjanin powoli, słowo po słowie, jakby mówił do dzieci. - I będzie to dość straszna śmierć. Oni...- mówiąc to, spojrzął na mongolskich żołnierzy. Potężny żołnierz z karabinem patrzył na mnie, pokazując w nieprzyjemnym uśmiechu brudne zęby. - Oni bardzo lubią wymyślne długotrwałe zabijanie. Można ich nazwać ekspertami w tej dziedzinie. Od czasów Czyngis-chana Mongołowie radośnie praktykują wyjątkowo okrutne sposoby zabijania i dobrze się na nich znają. My, Rosjanie, jesteśmy tego boleśnie świadomi. Uczymy się o tym w szkole na lekcjach historii. Uczymy się o tym, co niegdyś Mongołowie robili w Rosji. Zabili miliony ludzi, kiedy napadli na Rosję. Zamordowali ich prawie bez powodu. Słyszeliście o tym, jak w Kijowie zabili kiedyś na raz kilkuset możnych, których schwytali? Przygotowali duże grube deski, pod nimi położyli jednego przy drugim, a na tych deskach urządzili ucztę. Rozgnietli ich swoim ciężarem. Coś takiego nie przysłoby zwykłemu człowiekowi do głowy. Nie uważacie? Zajęło to dużo czasu, wymagało wielu przygotowań. Straszne zawracanie głowy, prawda? Ale oni właśnie wazą się na takie rzeczy. A to dlatego, że to im sprawia przyjemność. Nawet teraz robią rzeczy tego typu. Raz widziałem coś takiego na własne oczy. Przedtem uważałem, że widziałem w życiu wiele przemocy, ale pamiętam, że tamtego wieczoru jednak straciłem apetyt. Czy dociera do was to, co mówię? Czy nie mówię za szybko?”.

Yamamoto potrząsnął głową.

„Świetnie - powiedział oficer. Potem odchrząknął i chwilę odczekał. - To będzie drugi raz, więc jak dobrze pójdzie, do kolacji wróci mi apetyt. Ale jeżeli o mnie chodzi, wołałbym uniknąć niepotrzebnego odbierania życia”.



Rosjanin założył ręce za plecami i przez chwilę patrzył na niebo. Potem wyjął rękawiczki i spojrzał w stronę samolotu. „Ładna pogoda - rzekł. - Wiosna. Jeszcze trochę chłodno, ale może być. Kiedy się zrobi goręcej, przylecą komary. Są straszne. Wiosna jest o wiele lepsza od lata - znowu wyjął papierośnicę, włożył papierosa do ust i zapalił zapałką. Powoli wciągnął dym, powoli wypuścił. - Jeszcze tylko raz zapytam: mówisz, że naprawdę nie wiesz o liście?”.

„Niet” - odrzekł krótko Yamamoto.

„Świetnie - powiedział Rosjanin. - Świetnie”. Potem zwrócił się do mongolskiego oficera i powiedział coś po mongolsku. Tamten skinął głową i Przekazał rozkaz żołnierzom. Żołnierze przynieśli skądś drewniane żerdzie, zręcznie zaostrzyli je za pomocą bagnatów i sporządzili jakby cztery paliki.

Potem zmierzili krokami potrzebną odległość i kamieniem wbili je porządnie w ziemię tak, by wyznaczyły kwadrat. Myślę, że przygotowania te trwały ze dwadzieścia minut. Nie miałem pojęcia, co miało się tu odbyć.

„Dla nich wyszukana jatka jest jak wyszukana potrawa - powiedział Rosjanin. - Im dłużej trwają przygotowania, tym większa przyjemność. - dodał. - Żeby zabić, wystarczy tylko strzelić z karabinu i już. W sekundę jest po wszystkim. Ale w tym... - powoli potarł czubkami palców gładką brodę - nie ma nic ciekawego”.

Rozwiązali sznury krępujące Yamamoto i zabrali go w stronę palików. Potem przywiązali go do nich, zupełnie nagiego, za nogi i ręce. Na jego rozciągniętym ciele widniało kilka blizn. Wszystkie były świeże.

„Jak wiecie, są ludem pasterskim - powiedział oficer. - Pasterze hodują owce, zjadają ich mięso, zużywają wełnę i zdzierają z nich skórę. Czyli owca jest zwierzęciem, które można wykorzystać w całości. Mieszkają razem z owcami, żyją z nimi. Bardzo zręcznie obdzierają je ze skóry. Robią z niej namioty i ubrania. Widziałeś kiedyś, jak obdzierają owcę ze skóry?”.

„Skoro macie mnie zabić, to możecie chyba zrobić to szybko” - powiedział Yamamoto.

Rosjanin złożył dłonie i przytaknął, powoli je pocierając. „W porządku, na pewno cię zabiją. Nie musisz się martwić. Nie musisz się o nic martwić. Trochę to potrwa, ale na pewno umrzesz, nie bój się. Nie ma się co spieszyć. Tu jak okiem sięgnąć jest dzikie pustkowicie. Mamy mnóstwo czasu. Poza tym ja mam ci jeszcze wiele do powiedzenia. Wracając do procesu obdzierania ze skóry, w każdej grupie jest jeden specjalista od obdzierania. Zawodowiec. Taki, który robi to naprawdę dobrze, nieomal cudownie. To jest jak sztuka. Dokonuje tego w mgnieniu oka. Obdziera tak szybko, że choć robi to na żywca, zdaje się człowiekowi, że ofiara chyba nawet nie zdąży się zorientować. Ale... - mówiąc to, znowu wyjął z kieszeni na piersi papierośnicę, włożył ją do lewej ręki i postukał palcem prawej -... oczywiście to niemożliwe, żeby się nie zorientowała. Jeżeli obdziera się na żywca ze skóry, ból jest straszny. Przekraczający wszelkie wyobrażenia. I mija strasznie dużo czasu, zanim się umrze. Umiera się z upływu krwi, a to trwa długo”.

Strzelił palcami. Mongolski oficer, który przyleciał razem z nim samolotem, wysunął się naprzód. Wyciągnął z kieszeni płaszcz a nóż w pochwie. Był tego samego kształtu co nóż żołnierza, który wcześniej naśladował podrywanie gardła. Wyjął go z pochwy i podniósł rękę. Stalowe ostrze załśniło osłepiająco w porannym słońcu.

„Ten człowiek to jeden z takich specjalistów - powiedział rosyjski oficer. - Przyjrzyjcie się dobrze temu nożowi. To specjalny nóż do obdzierania ze skóry. Jest naprawdę dobrze pomyślany. Ma ostrze cienkie i ostre jak brzytwa. Ich poziom techniki jest niezwykle wysoki. W końcu od tysięcy lat obdzierają zwierzęta ze skóry. Obdzierają człowieka ze skóry jak brzoskwinię. Wspañiale, schludnie, nie zostawiają na skórze żadnej blizny. Czy nie mówię za szybko?”.

Yamamoto nie odpowiedział.

„Obdziera się po trochu - powiedział rosyjski oficer. - Jeżeli chce się ładnie obedrzeć, nie niszcząc skóry, najlepiej robić to powoli. Jeśli w trakcie zachce ci się mówić, powiedz, to od razu przestaniemy. Wtedy unikniesz śmierci. On już to robił wiele razy i jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś do końca nie przemówił. Jak będziesz chciał, żeby przerwać, to lepiej powiedz szybko. To będzie dla wszystkich łatwiejsze”.

Podobny do niedźwiedzia oficer z nożem spojrzął na Yamamoto i zaśmiał się nieprzyjemnie. Nawet teraz pamiętam ten śmiech. Jeszcze ciągle mi się śni. Za nic nie mogę go zapomnieć. Potem przystąpił do pracy. Żołnierze przytrzymywali Yamamoto rękami i kolanami, a on za pomocą noża starannie obdzierał go ze skóry. Naprawdę zdzierał skórę, jakby obierał brzoskwinie. Nie mogłem na to patrzeć. Gdy jednak zamknąłem oczy, jeden z mongolskich żołnierzy uderzył mnie kolbą karabinu. Bił, aż otworzyłem. Z zamkniętymi i z otwartymi oczami słyszałem głos Yamamoto. Na początku wytrzymywał to w milczeniu, lecz w pewnej chwili zaczął krzyczeć. Był to krzyk zupełnie nie ludzki. Oficer najpierw naciał skórę wokół prawego ramienia Yamamoto. Potem zdarł ją od góry. Rzeczywiście, tak jak mówił Rosjanin, jego zręczność graniczyła niemal ze sztuką. Gdybym nie słyszał krzyków, być może pomyślałbym, że niemożliwe, by to bolało, lecz krzyk dawał świadectwo straszliwej męki, jaka towarzyszyła tej operacji.

Wkrótce skóra została całkowicie zdarta z prawego ramienia i wyglądała jak cienka płachta. Zdzierający podał ją stojącemu obok żołnierzowi. Żołnierz chwycił ją, rozpostarł i obszedł dookoła, pokazując wszystkim. Ze skóry kapłała jeszcze krew. Oficer zabrał się teraz za lewe ramię. Powtórzył te same czynności. Po zdarceniu skóry z obu nóg, obciął członek i jądra, a potem uszy. Zdarł skórę z głowy, z twarzy, a potem resztę skóry z całego ciała. Yamamoto mdlał, przytomniał i znowu mdlał. Gdy mdlał, krzyk ustawał, lecz wracał do przytomności i krzyczał dalej. Jego głos słabł jednak, aż w końcu umilkł. Przez cały ten

czas rosyjski oficer rysował butem na piasku jakieś nic nieznaczące kształty. Żołnierze mongolscy wszyscy tak samo w milczeniu przyglądali się operacji. Ich twarze nic nie wyrażały. Nie widniało na nich ani obrzydzenie, ani poruszenie, ani szok. Przyglądali się, jak skóra Yamamoto jest zdzierana płat po płacie, z wyrazem twarzy ludzi, którzy będąc na spacerze, zatrzymali się, by obejrzeć jakiś plac budowy.

Ja w tym czasie wiele razy zwymiotowałem. Nie miałem już czym wymiotować, ale dalej wymiotowałem. Podobny do niedźwiedzia oficer mongolski na koniec rozpostarł starannie zdartą skórę z tułowia Yamamoto. Były na niej sutki. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem nic równie przerażającego. Ktoś wziął to do ręki i potrząsał, jakby susząc prześcieradło. Potem na ziemi leżał już tylko całkowicie obdarty ze skóry trup Yamamoto, wyglądający jak krwawy kawał mięsa. Najbardziej żałosna była twarz. W czerwonym cieple tkwiły tylko otwarte białe gałki oczne. Obdarte ze skóry usta z wystającymi zębami, zdawały się otwarte we wrzasku. Po zdarceniu skóry z nosa zostały tylko niewielkie dziurki. Ziemię pokrywało morze krwi.

Oficer rosyjski splunął i spojrzął na mnie. Potem wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł usta. „Wygląda na to, że ten człowiek naprawdę nie wiedział - odezwał się. Włożył chusteczkę z powrotem do kieszeni. Jego głos wydawał się nieco bardziej suchy niż przedtem. - Gdyby wiedział, musiałby powiedzieć. Szkoda. Ale był zawodowcem i prędzej czy później umarłby jakąś nienaturalną śmiercią. Nie ma rady. No, co się stało, to się nie odstanie, lecz skoro on nie wiedział, to ty też pewnie nic nie wiesz”.

Włożył do ust papierosa i zapalił zapałkę.

„To znaczy, że nie masz już dla nas żadnej wartości. Nie warto cię torturować i próbować zmusić do mówienia, nie warto też brać cię w niewolę i darować ci życie. Prawdę mówiąc, chcemy zachować to całe wydarzenie w ścisłej tajemnicy. Nie chcemy się z tym reklamować. Więc jeżeli zabierzemy cię do Ułan Bator, zrobi się z tego trochę kłopotu. Najlepiej byłoby od razu te-

raz strzelić ci w łeb i gdzieś cię pogrzebać albo spalić i wrzucić do rzeki. I tak wszystko by się prosto zakończyło. Prawda? - powiedziałwszy to, dobrze mi się przyjrzał, lecz ja dalej udawałem, że nie rozumiem nic z tego, co mówi. - Ty najwyraźniej nie rozumiesz po rosyjsku, więc mówienie ci tego wszystkiego po kolei to strata czasu, ale trudno. To tak jakbym mówił do siebie. Chcę, żebyś tak myślał, słuchając mnie. A właśnie, mam dla ciebie dobrą wiadomość. Możesz uznać, że to moje małe przeprosiny za to, że choć niechętnie, na darmo zabiłem twojego kolegę. Dziś od rana dość się już tu nazabijaliśmy. Wystarczy jedna taka rzecz dziennie i dlatego ciebie nie zabijemy. Zamiast cię zabić, damy ci szansę przeżycia. Jak dobrze pójdzie, uratujesz się. Prawdopodobieństwo rzeczywiście nie jest duże. Można nawet powiedzieć, że prawie równe zeru. Ale zawsze szansa to szansa. Przynajmniej będzie to o wiele lepsze niż obdzieranie ze skóry. Prawda?"

Podniósł rękę i przywołał mongolskiego oficera. Tamten starrannie umył ostrze noża wodą z manierki i właśnie skończył ostrzenie go małą osełką. Żołnierze rozpostarli skórę zdartą z ciała Yamamoto i stając przed nią, o czymś rozmawiali. Wyglądało, że wymieniają poglądy na temat szczegółów techniki obdzierania. Oficer mongolski włożył nóż do pochwy, pochwę do kieszeni i podszedł do nas. Przez chwilę przyglądał mi się, a potem spojrzał na rosyjskiego oficera. Ten powiedział coś do niego krótko po mongolsku, a Mongoł skinął głową, nie zmieniając wyrazu twarzy. Żołnierze przyprowadzili dla nich dwa konie.

„Wracamy teraz samolotem do Ułan Bator. - Zwrócił się do mnie oficer rosyjski. - Żal, że wracamy z pustymi rękami, ale nie ma rady. Czasami się udaje, a czasami nie. Dobrze będzie, jeśli do kolacji wróci mi apetyt, lecz nie mam wielkich nadziei".

Potem dosiedli koni i odjechali. Samolot wystartował, stał się srebrnym punkcikiem i zniknął po zachodniej stronie nieba. Zostałem tylko ja, mongolscy żołnierze i konie.

Żołnierze przywiązali mnie mocno do siodła i w wojskowym

szyku jeden za drugim skierowaliśmy się na północ. Jadący przede mną żołnierz śpiewał cicho jakąś piosenkę o monotonnej melodii. Poza tym słychać było jedynie odgłos rozpryskujących piasek końskich kopyt. Nie miałem pojęcia, dokąd mnie zabierają i co mnie teraz czeka. Pewien byłem tylko jednego: dla nich jestem bezwartościowy i zbędny. Kilka razy powtórzyłem sobie w myślach słowa rosyjskiego oficera. Powiedział, że mnie nie zabiją. Nie zabiją mnie, ale praktycznie nie będę miał szansy przeżycia. Nie wiedziałem, co to konkretnie miało znaczyć. Mówił zbyt ogólnikowo. A może zamierzają użyć mnie do jakiejś makabrycznej zabawy. Może plan polega na tym, że nie zabiją mnie od razu, lecz będą się powoli zabawiali jakimiś sztuczka-  
mi.

Jednak jeśli nawet miało tak być, wzdychałem z ulgą na myśl, że do tej pory mnie po prostu nie zabili, a szczególnie, że nie obdarli mnie żywcem ze skóry, jak Yamamoto. Jeżeli muszę zostać zabity, nie ma rady, ale bardzo nie chciałbym umierać w taki straszny sposób. Poza tym, w co trudno uwierzyć, ciągle jeszcze żyję i oddycham. I jeżeli uwierzyłbym w to, co mówił rosyjski oficer, nie zostanę zabity od razu. Skoro mam jeszcze czas do śmierci, to znaczy, że mam też możliwość przeżycia. Muszę się jej uchwycić, jeżeli nawet jest to bardzo niewielka szansa,

Potem nagle przyszły mi na myśl słowa kaprała Hondy, dziwna przepowiednia, że nie umrę w Chinach. Przywiązany do końskiego siodła, z nagimi plecami wystawionymi na palące słońce pustyni, powtarzałem sobie wiele razy jego słowa. Powoli, niespiesznie przypominałem sobie jego wyraz twarzy, ton głosu, brzmienie słów. Postanowiłem z całego serca uwierzyć w tę przepowiednię. „Tak, nie umrę w takim poniżeniu. Na pewno się stąd wydostanę, stanę znów na rodzinnej ziemi” - powtarzałem sobie z przekonaniem.

Posuwaliśmy się na północ przez dwie czy trzy godziny. Żołnierze zatrzymali się przy kamiennej kapliczce lamaistycznej. Te kapliczki zwane oboo są czymś w rodzaju bóstw opiekuj-

ących się podróżnymi, lecz jednocześnie spełniają też ważną funkcję punktów orientacyjnych na pustyni. Przed oboem żołnierze zsiadli z koni i rozwiązali mnie. Potem dwóch odprowadziło mnie trochę dalej, podtrzymując za ramiona. Pomyślałem, że prawdopodobnie tu mnie zabiją. Zawiedli mnie do studni, której wylot otaczała wysoka na metr kamienna cembrowina. Zmusili mnie do ukłęknięcia, złapali za szyję i kazali zajrzeć do środka. Studnia wyglądała na głęboką, w środku panowały ciemności i nic nie było widać. Podoficer w oficerkach przyniósł kamień wielkości pięści i wrzucił. Po pewnym czasie doleciał suchy dźwięk. Studnia zdawała się wyschnięta. Dawniej musiała pełnić rolę źródła wody na pustyni, lecz ciekły wodne pewnie się przesunęły i już dawno temu wyschła. Sądząc z tego, jak długo kamień spadał, musiała być dosyć głęboka.

Podoficer zaśmiał się nieprzyjemnie na widok wyrazu mojej twarzy. Wyjął ze skórzanej torby przy pasie pistolet automatyczny. Odbezpieczył go i usłyszałem szcęk naboju wchodzącego do komory. Skierował wylot lufy w stronę mojej głowy.

Długo nie pociągał za cyngiel. Potem powoli opuścił lufę, podniósł lewą rękę i wskazał studnię za moimi plecami. Zwilżając językiem wyschłe wargi, wpatrywałem się w pistolet. Sprawa wyglądała następująco: miałem do wyboru dwa losy - albo mnie tu od razu na miejscu zastrzeli, albo sam wskoczę do studni. Ponieważ studnia jest głęboka, mogę się zabić, jeżeli źle upadnę. Jeśli zaś nie, będę powoli umierał na dnie tej ciemnej dziury. W końcu zrozumiałem. To była ta szansa, o której mówił rosyjski oficer, podoficer wskazał na zegarek Yamamoto, który sobie przywłaszczył, i podniósł pięć palców. Znaczyło to, że daje mi pięć sekund na zastanowienie. Kiedy doliczył do trzech, przesadziłem nogę przez cembrowinę i bez zastanowienia wskoczyłem. Nie miałem wyboru. Chciałem powoli zejść na dół, trzymając się ścian studni, jednak nie dano mi na to czasu. Nie zdołałem chwycić się ściany i spadłem na dół.

Studnia była głęboka. Zdawało się, że minęło dużo czasu, za-

nim moje ciało uderzyło o ziemię. Oczywiście w rzeczywistości było to najwyżej kilka sekund, czego nie można określić jako „dużo czasu”. Jednak pamiętam, że spadając tam w ciemności, naprawdę zdążyłem pomyśleć o wielu rzeczach: o dalekich stronach rodzinnych, o kobiecie, z którą tylko raz spałem przed powołaniem do wojska, o rodzicach. Dziękowałem losowi, że mam młodszą siostrę, a nie brata. Jeśli nawet tu umrę, ona nie zostanie powołana i zostanie przy rodzicach. Myślałem o ciastkach ryżowych. Potem uderzyłem o twardą ziemię i od tego wstrząsu straciłem na chwilę przytomność. Czułem się, jakby uciekło ze mnie całe powietrze. Moje ciało spadło na ziemię ciężko jak worek z piaskiem.

Myślę, że byłem nieprzytomny tylko przez chwilę. Gdy wróciła mi świadomość, coś na mnie pryskało. Najpierw pomyślałem, że pada deszcz, ale to nie był deszcz. Był to mocz. Żołnierze mongolscy sikali na mnie. Gdy spojrzałem w górę, zobaczyłem zarysy ich małych sylwetek wokół okrągłego otworu. Podchodzili jeden po drugim i sikali. Z jakiejś przyczyny wydawało mi się to strasznie nierealne. Miałem wrażenie, że to halucynacja po zażyciu narkotyków, lecz była to rzeczywistość. Leżałem na dnie studni, a oni oblewali mnie prawdziwym moczem. Gdy wszyscy się wysikali, ktoś poświecił na mnie latarką. Usłyszałem niski głos. Potem zniknęli znad cembrowiny. Odjechali i wszystko utonęło w głębokiej ciszy.

Przez pewien czas leżałem tak bez ruchu z odwróconą twarzą, żeby zobaczyć, czy wrócą, lecz nie wracali, choć minęło dwadzieścia czy trzydzieści minut (oczywiście nie miałem zegarka, ale wydawało mi się, że prawdopodobnie minęło tyle czasu). Wyglądało na to, że jednak odjechali. Zostawili mnie samego na dnie studni pośrodku pustyni. Gdy wiedziałem już, że nie wrócą, postanowiłem najpierw sprawdzić, w jakim jestem stanie. Dostyc trudno jest zbadać stan własnego ciała w ciemnościach. Nic nie widziałem. Nie mogłem się naocznie upewnić, co mi się stało. Mogłem ocenić swój stan jedynie drogą dotyku i na podstawie



tęgo, co odczuwałem. Gdy człowiek znajduje się w głębokiej ciemności, przestaje się orientować, czy to, co w danej chwili czuje, jest realne. Wydaje się nawet, że jest się oszukiwanym, miamionym. To bardzo dziwne uczucie.

Jednak po trochu i bardzo uważnie starałem się krok po kroku rozważyć sytuację, w której się znalazłem. Najpierw uświadomiłem sobie bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, a mianowicie, że dno studni wyścielał stosunkowo miękki piasek. Gdyby tak nie było, przy tej głębokości studni na pewno połamałbym wskutek uderzenia wszystkie kości. Wziąłem głęboki oddech i spróbowałem się poruszyć. Najpierw postanowiłem ruszyć palcami u rąk. Drgnęły, choć z niejakim oporem. Potem próbowałem się podnieść, lecz to mi się nie udało. Miałem wrażenie, że moje ciało straciło wszelką zdolność odczuwania. Byłem w pełni świadomy, jednak ta świadomość nie była prawidłowo powiązana z ciałem. Chciałem coś zrobić, lecz nie mogłem przełożyć myśli na ruchy mięśni. Poddąłem się i przez pewien czas leżałem spokojnie w ciemnościach.

Nie wiem, jak długo to trwało. Wkrótce czucie zaczęło mi wracać. Powrotowi czucia towarzyszyło też oczywiście nadejście bólu. Był to dość gwałtowny ból. Pomyślałem, że pewnie mam złamaną nogę. Mogę też mieć zwichnięty obojczyk albo, jeśli miałem pecha, on też może być złamany.

Leżąc, znosiłem ból. Nie wiadomo kiedy po policzkach zaczęły mi płynąć łzy. Wywołane były bólem, a także rozpaczą. Przypuszczam, że trudno panu zrozumieć, jak samotny, jak rozpaczony jest człowiek pozostawiony samemu sobie na dnie głębokiej studni pośrodku pustyni, cierpiący gwałtowny ból. Sam żałowałem nawet, że ten podoficer mnie po prostu nie zabił. Gdyby ktoś mnie zastrzelił, przynajmniej byłby w ten sposób świadomy mojej śmierci. Jeżeli zaś umrę tutaj, będzie to naprawdę samotna śmierć. Nikt się o niej nie dowie. Śmierć bezgłośna.

Czasami słyszałem wiatr. Gdy omiatał powierzchnię ziemi, u

wylotu studni rozległ się przedziwny dźwięk. Przypominał głos lamentującej gdzieś w dalekim świecie kobiety. Daleki świat jest połączony z moim wąskim otworem, przez który dobiega ów dźwięk. Jednak nawet on dobiegał bardzo rzadko. Byłem opuszczony w głębokiej ciszy i głębokiej ciemności.

Pokonując ból, pomacałem delikatnie ziemię wokół. Dno studni było płaskie, niezbyt rozległe. Średnica miała jakieś sto sześćdziesiąt, sto siedemdziesiąt centymetrów. Obmacując dno studni, dotknąłem czegoś twardego i ostrego. Przestraszyłem się i odruchowo cofnąłem rękę, lecz potem znów powoli i ostrożnie wyciągnąłem ją w tamtą stronę. Moje palce znów dotknęły czegoś zaostzonego. Najpierw pomyślałem, że to gałązka, jednak wkrótce zdałem sobie sprawę, że są to kości. Nie były to ludzkie kości, a kości jakiegoś mniejszego zwierzęcia. Były rozrzucone, co mogło znaczyć, że już długo tu leżą, albo ja zgmiotłem je, upadając. Prócz tych drobnych zwierzęcych kości na dnie studni nie było nic. Jedynie suchy drobny piasek.

Potem obmacałem dłonią ściany. Zbudowano je najwyraźniej z płaskich kamieni, które ułożono jeden na drugim. W ciągu dnia ziemia się bardzo nagrzewała, lecz gorąco nie dochodziło do podziemnego świata, kamienie były zimne jak lód. Przesuwając dłoń po ścianie studni, badałem szpary między kamieniami, jedną po drugiej. Myślałem, że być może uda mi się wydość na powierzchnię ziemi, używając ich jako stopni, lecz były zbyt wąskie, aby mogły posłużyć za stopnie do wspinaczki, a gdy jeszcze pomyślałem o ranach, które odniosłem, zrozumiałem, że i tak byłoby to praktycznie niemożliwe.

Podniosłem się z ziemi, wlokąc własne ciało, i jakoś oparłem się o ścianę. Przy każdym ruchu, noga i ramię bolały tak, jakby ktoś wbijał w nie wiele grubych igieł. Przez chwilę zdawało mi się, że przy najmniejszym westchnieniu ciało może mi się rozpaść na kawałki. Dotknąłem ramienia i poczułem, że jest gorące i spuchnięte.

Nie wiem, ile czasu potem minęło, jednak w pewnym mo-

mencie zdarzyło się coś całkowicie niespodziewanego. Jak jakieś objawienie nagle zaświeciły w studni promienie słońca. Przez chwilę udało mi się zobaczyć wszystko wokoło. Studnia wypełniła się rażącym blaskiem, jakby powodzią światła. Od tej jasności nieomal zapało mi dech. W jednej chwili odpędziła ciemność i zimno, ciepłe światło słoneczne delikatnie spowilo moje nagie ciało. Wydawało mi się, że nawet ból został nim pobłogosławiony. Koło mnie leżały kości jakiegoś małego zwierzęcia. Słońce opromieniło je i w jego świetle nawet te złowróżbne kości zdawały się ciepłe i przyjazne. Udało mi się zobaczyć otaczające mnie kamienne ściany studni. Spowity blaskiem zapomniałem o strachu, bólu, desperacji. Siedziałem oszołomiony w oślepiającym blasku. Jednak nie trwało to długo. Światło zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, i wszystko pochłonęła ponownie głęboka ciemność. Trwało to naprawdę krótko, najwyżej dziesięć, może piętnaście sekund. Prawdopodobnie tylko raz dziennie słońce docierało aż do dna głębokiej studni, miało to związek z kątem padania promieni. Powódź światła zniknęła, zanim zdążyłem pojąć, skąd się wzięła.

Znalazłem się w jeszcze głębszych ciemnościach niż przedtem. Prawie nie mogłem się poruszyć. Nie miałem wody, nic do jedzenia, nawet skrawka odzienia. Minęło długie popołudnie i nadeszła noc. Z jej nadejściem temperatura zaczęła szybko spadać. Prawie nie mogłem spać. Moje ciało domagało się snu, lecz zimno kłuło mnie niezliczonymi igłami. Czuję, że trzon życia zeszywniał i po trochu obumiera. Spojrzałem w górę i zobaczyłem jakby zamarzniete gwiazdy. Ich liczba była nieomal przerażająca. Długo się w nie wpatrywałem, a one zdawały się powoli poruszać. Dzięki temu ruchowi mogłem się upewnić, że czas ciągle jeszcze płynie. Zasnąłem na krótko, obudziło mnie zimno i ból, znowu zasnąłem i znowu się obudziłem.

Wkrótce nadszedł ranek. Gwiazdy widoczne w okrągłym wylocie studni zaczęły powoli blednąć. Otwór wypełnił się słabym światłem poranka. Jednak gwiazdy nie zniknęły, nawet po na-

dejściu świtu. Zbladły, lecz zostały na niebie. Ugasilem pragnienie, liżąc rosę, która zebrała się na ścianach studni. Oczywiście była jej tylko odrobina, ale i tak wydawała mi się darem niebios. Uświadomiłem sobie, że już ponad dobę nic nie piłem i nie jadłem, lecz zupełnie nie odczuwałem głodu.

Siedziałem bez ruchu na dnie studni. Nie pozostawało mi nic innego. Nie mogłem nawet o niczym myśleć. Moja samotność i rozpacz były aż tak głębokie. Nic nie robiłem, o niczym nie myślałem, tylko siedziałem, lecz podświadomie czekałem na ten promień oślepiającego blasku, który tylko raz dziennie przez chwilę oświetla dno studni. Teoretycznie biorąc, promienie padają na ziemię pod kątem prostym, gdy słońce jest najwyżej na niebie, czyli musi to być około samego południa. Wyczekiwałem tego promienia dlatego, że był jedyną rzeczą, na jaką mogłem czekać.

Wydaje mi się, że potem minął bardzo długi czas. Nie wiedząc kiedy, zdrzemnąłem się. Gdy nagle się obudziłem, czując jakąś obecność, światło już się pojawiło. Uświadomiłem sobie, że znów jestem spowity tym obezwładniającym blaskiem. Prawie nieświadomie podniosłem obie dłonie i nabrałem w nie światła. Było znacznie silniejsze niż za pierwszym razem i trwało dłużej niż przedtem, a przynajmniej mnie się tak wydawało. W tym blasku zalałem się łzami. Zdawało się, że wszystkie płyny w moim ciele zmieniły się w łzy i wylewały się z mych oczu. Miałem nawet wrażenie, że topnieję i rozpływam się. Pomyślałem, że mógłbym umrzeć w błogości tego wspaniałego światła, a nawet, że chciałbym umrzeć. Miałem obezwładniające poczucie jedności. Zdawało mi się, że sens życia krył się w tym trwającym kilkadziesiąt sekund świetle, że powinienem właśnie tu tak umrzeć.

Jednak ku mojemu rozczarowaniu światło znikło. Zorientowałem się, że znowu jak przedtem zostałem sam na dnie tej nieszczęśliwej studni. Ciemność i zimne powietrze otoczyły mnie ciasno, zupełnie jakby mówiły, że nie było nigdy żadnej takiej

jasności. Przez długi czas siedziałem tam w kucki bez ruchu. Twarz miałem mokrą od łez. Jakby przygnieciony jakąś ogromną siłą, nie mogłem o niczym myśleć ani nic robić. Nie czułem nawet istnienia własnego ciała. Byłem jak wyschnięte szczątki, pusta skorupa. Wtedy do mojej przypominającej puste pomieszczenie głowy powróciła przepowiednia kaprała Hondy, mówiąca, że nie umrę w Chinach. Po nadejściu i zniknięciu światła mogłem teraz w nią uwierzyć, dlatego że nie umarłem w miejscu i czasie, w którym powinienem był umrzeć. Nie chodziło o to, że tu nie umarłem. Ja tu nie mogłem umrzeć. Rozumie pan? I tak łaska, którą mnie obdarzono, przepadła.

Doszedłszy to tego miejsca w opowieści, porucznik Mamiya spojrział na zegarek.

- I jak pan widzi, jestem tu teraz - powiedział cicho i jakby odganiając niewidzialną pajęczynę wspomnień, lekko potrząsnął głową. - Tak jak powiedział kapral Honda, nie umarłem w Chinach i okazało się także, że z nas czterech najdłużej żyję.

Skinałem głową.

- Bardzo przepraszam. Strasznie się rozgadałem. Na pewno znudziły pana opowieści starca stojącego nad grobem - powiedział porucznik Mamiya. Potem wyprostował się na kanapie. - Jeżeli zaraz nie wyjdę, spóźnię się na ekspres.

- Proszę zaczekać - zawołałem pospiesznie. - Proszę nie przerywać opowieści w takim miejscu. Co było dalej? Chciałbym usłyszeć ciąg dalszy.

Porucznik Mamiya przyglądał mi się przez chwilę.

- Co tu zrobić? Ponieważ ja naprawdę nie mam już czasu, czy nie odprowadziłby mnie pan na przystanek autobusowy? Myślę, że przez ten czas będę mógł panu w skrócie opowiedzieć resztę.

Wyszliśmy razem z domu i ruszyliśmy na przystanek.

- Trzeciego dnia rano zostałem uratowany przez kaprała Hondę. Tej nocy, kiedy zostaliśmy schwytani, przewidział nadejście mongolskich żołnierzy, sam wyszedł z namiotu i ukrył się. Wyjął wtedy z torby dokumenty Yamamoto, dlatego że najważniejs-

złą sprawą dla nas było niedopuszczenie, by dostały się w ręce wroga. Być może zastanawia się pan, dlaczego, skoro Honda wiedział, że przyjdą mongolscy żołnierze, nie obudził nas wszystkich i nie uciekliśmy razem, dlaczego uciekł sam. Gdyby nawet nas obudził, nie dalibyśmy sobie rady z Mongołami. Wiedzieli, że tam jesteśmy. Byliśmy na ich terytorium, mieli nad nami przewagę liczebną i lepsze uzbrojenie. Na pewno bez trudu by nas znaleźli, zabili wszystkich i dokumenty dostałyby się w ich ręce. Innymi słowy, w tamtej sytuacji konieczne było, by uciekł sam. Postępowanie kaprala Hondy na polu bitwy uznane byłoby za dezercję w obliczu wroga, jednak w przypadku takiej specjalnej misji najważniejsze jest działanie stosowne do okoliczności.

Widział, jak przyjechali oficerowie i jak zdarto skórę z Yamamoto. Potem zobaczył, jak mongolscy oficerowie mnie zabierają, jednak nie miał konia, nie mógł od razu ruszyć moim śladem. Musiał iść piechotą. Wydobył zakopaną przez nas broń i ukrył tam dokumenty. Potem ruszył za nami, choć bardzo ciężko mu było znaleźć studnię, ponieważ nie wiedział nawet, w którym kierunku pojechaliśmy.

- Jak się panu Hondzie udało ją znaleźć? - zapytałem.

- Nie wiem. On też za wiele o tym nie mówił. Lecz myślę, że on po prostu wiedział. Gdy mnie znalazł, podarł swe ubranie, zrobił z niego długą linę i z wielkim trudem wyciągnął mnie ze studni prawie nieprzytomnego. Potem znalazł gdzieś konia, posadził mnie na nim, przeszedł wydmy, przeprawił się przez rzekę i doprowadził mnie do japońskiego punktu obserwacyjnego. Tam opatrzono mi rany, wsadzono nas na ciężarówkę z dowództwa i zawieziono do szpitala w Hailar.

- A co się stało z tymi dokumentami czy listem?

- Myślę, że śpią sobie tam pod ziemią niedaleko Chałchy. Nie mieliśmy czasu ani siły, żeby je po drodze wykopywać, a poza tym nie widzieliśmy żadnego powodu, żeby to robić. Doszliśmy do wniosku, że lepiej byłoby, gdyby w ogóle nie istniały. Ustali-

liśmy wspólną wersję na wypadek dochodzenia w armii i powiedzieliśmy, że nigdy o żadnych dokumentach nie słyszeliśmy, ponieważ zdawało nam się, że mogą nas pociągnąć do odpowiedzialności za ich niedostarczenie. Pod pozorem leczenia trzymano nas w oddzielnych pokojach pod ścisłą obserwacją i prawie codziennie byliśmy przesłuchiwani. Przychodziło wielu wysokich rangą oficerów i wiele razy musieliśmy powtarzać to samo. Pytali szczegółowo i podchwytliwie, lecz wyglądało na to, że nam uwierzyli. Niczego nie ukrywając, opowiedziałem dokładnie o swoich doświadczeniach. Ostrożnie unikałem tylko sprawy dokumentów. Zapisali wszystko, co powiedziałem, a potem powiedzieli, że cała sprawa jest tajna, nie zostanie nawet zamieszczona w oficjalnych dokumentach wojskowych i w związku z tym mam ją zachować dla siebie. Powiedzieli też, że jeżeli dowiedzą się, że się z tym przed kimś wygadałem, zostaną surowo ukarani. Po dwóch tygodniach wysłano mnie z powrotem do macierzystej jednostki. Myślę, że pan Honda też został odesłany do swej jednostki.

- Nie bardzo rozumiem, po co pan Honda został specjalnie sprowadzony z innej jednostki - powiedziałem.

- Pan Honda nie powiedział mi za wiele na ten temat. Prawdopodobnie zabroniono mu o tym mówić i uważał, że lepiej, że bym nic nie wiedział. Jednak ja na podstawie tego, co mi powiedział, wyobraziłem sobie, że między nim a Yamamoto istniały jakieś osobiste stosunki i sądzę, że to miało związek z jego szczególnymi zdolnościami. Często słyszałem o tym, że w armii istniał jakiś wydział specjalizujący się w badaniach zdolności tego typu, który zbierał z całego kraju ludzi posiadających zdolności spirytystyczne lub psychokinetyczne, i przeprowadzał różne eksperymenty. Przypuszczam więc, że być może taką drogą pan Honda poznał Yamamoto. Poza tym, prawdę mówiąc, bez tych zdolności, nie mógłby mnie znaleźć i trafić do punktu obserwacyjnego armii mandzurskiej. Bez mapy, bez kompasu dotarł prosto tam, nie błądząc po drodze. Rozsądnie myśląc, coś ta-

kiego nie powinno być możliwe. Jestem specjalistą od map, znam też mniej więcej topografię tamtych okolic, ale nawet dla mnie byłoby to niemożliwe. Yamamoto prawdopodobnie liczył na umiejętności pana Hondy.

Doszliśmy do przystanku i czekaliśmy na autobus.

- Oczywiście zagadka jest ciągle jeszcze zagadką - powiedział porucznik Mamiya. - Nadal nie rozumiem różnych rzeczy. Kim właściwie był ten mongolski podoficer, który na nas czekał? Co by się zdarzyło, gdyby udało nam się dostarczyć te dokumenty do dowództwa? Dlaczego Yamamoto nie zostawił nas na prawym brzegu rzeki i nie przeprowił się sam? Miałby wtedy znacznie większą swobodę działania. A może miał zamiar uciec, zostawiając nas na przynętę mongolskim żołnierzom? To zupełnie możliwe. Być może kapral Honda od początku to wiedział i dlatego spokojnie przyglądał się jego śmierci.

Tak czy inaczej potem przez długi czas nie widziałem się z kapralem Hondą. Zaraz po dotarciu do Hailar zostaliśmy rozdzieleni, zabroniono nam się spotykać i rozmawiać. Chciałem mu jeszcze ostatni raz podziękować, ale i to było niemożliwe. Został ranny w bitwie pod Nomonhan i odesłany do kraju, a ja do końca wojny byłem w Mandżurii, a potem zostałem wywieziony na Syberię. Dopiero wiele lat po powrocie z Syberii udało mi się znaleźć jego adres. Od tego czasu wielokrotnie się widzieliśmy i czasami wymienialiśmy listy. Lecz wyglądało na to, że pan Honda unikał tematu wydarzeń nad Chałchą, ja też nie miałem wielkiej ochoty o tym mówić. Było to dla nas obu zbyt duże przeżycie. Łączyło nas właśnie to, że o tym nie rozmawialiśmy. Rozumie pan?

Bardzo się rozgadałem, ale chciałem panu powiedzieć rzecz następującą: moje prawdziwe życie prawdopodobnie dobiegło końca w tej głębokiej studni na mongolskiej pustyni. Wydaje mi się, że na dnie studni podczas kilku czy kilkunastu sekund trwania tego intensywnego światła coś w rodzaju jądra mojego życia zupełnie się wypaliło. To światło było dla mnie aż tak mistycz-



ne. Nie umiem tego dobrze wytłumaczyć, ale będę zupełnie szczerzy: od tamtego czasu nie odczułem sercem nic z tego, co widziałem i przeżyłem. Nawet stojąc twarzą w twarz z radzieckimi formacjami wielkich czołgów, nawet gdy straciłem tę lewą rękę, nawet będąc w przypominającym piekło obozie pracy przymusowej na Syberii, byłem w stanie jakiegoś odrętwienia. To dziwnie zabrzmiało, ale takie rzeczy były mi obojętne. Coś we mnie już umarło. Być może - tak jak wtedy czułem - powinienem był tam umrzeć, stapiając się ze światłem. Był to czas mojej śmierci, a jednak zgodnie z przepowiednią pana Hondy nie umarłem. A może należy powiedzieć: nie mogłem umrzeć.

Po utracie ręki i dwunastu cennych lat wróciłem do Japonii. Gdy dotarłem do Hiroshimy, rodzice i siostra już nie żyli. Siostra została skierowana do prac pomocniczych związanych z wojną. Gdy była w fabryce w centrum miasta, wybuchła bomba atomowa i siostra tam zginęła. Ojciec akurat wtedy zaszedł do niej do fabryki i też zginął. Matka wskutek wstrząsu zaniemogła i umarła w 1947 roku. Jak wcześniej wspomniałem, dziewczyna, z którą byłem w sekrecie zaręczony, poślubiła innego i miała już dwoje dzieci. Na cmentarzu znajdował się nawet mój własny grób. Nic mi nie pozostało. Czułem się zupełnie pusty. Myślałem, że nie powinienem był tam wracać. Nie pamiętam, jak przeżyłem od tamtego czasu do chwili obecnej. Zostałem nauczycielem, uczyłem w szkole średniej geografii i historii, ale nie żyłem w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Wypełniałem jedno po drugim rzeczywiste zadania, jakie mi powierzano. Nie miałem ani jednego przyjaciela, nie stworzyłem też więzi między sobą a uczniami. Nikogo nie kochałem. Przestałem rozumieć, co to znaczy kogoś kochać. Gdy zamykałem oczy, pojawiał się przede mną obraz Yamamoto żywcem obdzieranego ze skóry. Wiele razy mi się to śniło. W moich snach był wiele, wiele razy obdzierany ze skóry i zmieniał się w kupę czerwonego mięsa. Słyszałem też wyraźnie jego rozdzierające serce krzyki. Śniło mi się często, że zacznym gnić, żyjąc jeszcze na dnie

studni. Czasami zastanawiałem się, czy właśnie te sny nie są naprawdę rzeczywistością, a moje obecne prawdziwe życie jedynie snem.

Bardzo się ucieszyłem, gdy pan Honda powiedział mi nad brzegiem Chałchy, że nie umrę w Chinach. Nieważne, czy mu wierzyłem, czy nie, ale wtedy byłem w takim stanie ducha, że chciałem się czegoś uchwycić. Pan Honda pewnie sobie to uświadamił i powiedział to, chcąc mnie uspokoić, ale w rzeczywistości nie było w tym nic radosnego. Po powrocie do Japonii żyłem cały czas jak pusta skorupa. A gdy jest się pustą skorupą, nie wiecie się prawdziwego życia, choćby nawet było długie. Serce i ciało pustej skorupy tworzą jedynie życie pustej skorupy. Naprawdę chciałbym, żeby pan to zrozumiał.

- To znaczy, że po powrocie do Japonii nigdy się pan nie ożenił? - zapytałem.

- Oczywiście, że nie - odparł porucznik Mamiya. - Nie mam żony, rodziców ani rodzeństwa. Jestem zupełnie sam.

Wahałem się przez chwilę, lecz potem zapytałem jeszcze: - Czy myśli pan, że lepiej byłoby, gdyby nie usłyszał pan wtedy przepowiedni pana Hondy?

Porucznik Mamiya milczał przez pewien czas. Potem spojrzał na mnie uważnie.

- Może tak jest. Może pan Honda nie powinien był tego mówić. Może ja nie powinienem był tego usłyszeć. Tak jak pan Honda wtedy powiedział: los to coś, co się wspomina, gdy już minie, a nie poznaje naprzód. Ale myślę, że teraz to już wszystko jedno. Żyję już dalej tylko z obowiązku.

Nadjechał autobus. Porucznik Mamiya uklonił się nisko i przeprosił, że zabrał mi tyle czasu.

- A więc pozwolę sobie się pożegnać - powiedział. - Dziękuję za wszystko. W każdym razie cieszę się, że mogłem to panu przekazać. Dzięki temu mogę teraz uznać sprawę za zakończoną. Mogę spokojnie wrócić do domu. - Posługując się sztuczną ręką i prawą zdrową, zrzęcznie wyjął monety na bilet i wrzucił je

do skrzynki na opłaty.

Stałem, przyglądając się, jak autobus znika za rogiem. Gdy nie było go już widać, ogarnęło mnie poczucie dziwnej pustki. Był to nastrój przygnębienia, jaki czuć musi dziecko, które zgubiło się w zupełnie obcym mieście.

Potem wróciłem do domu, usiadłem na kanapie i otworzyłem paczkę, którą pan Honda zostawił mi na pamiątkę. Z trudem odwinąłem wiele warstw ciasno opakowanego papieru i w środku znalazłem twarde kartonowe pudełko. Było to ozdobne pudełko po Cutty Sark, jednak po ciężarze zorientowałem się, że nie może zawierać whisky. Otworzyłem je i odkryłem, że w środku nic nie ma. Było zupełnie puste. Pan Honda zostawił mi jedynie puste pudełko.

## **Księga druga**

### **Ptak prorok**

**od lipca do października 1984 roku**

#### **1. O jak najbardziej konkretnych rzeczach i o apetycie w literaturze**

W dniu, w którym odprowadziłem porucznika Mamiyę na przystanek autobusowy, Kumiko nie wróciła na noc. Czekałem na nią, czytając i słuchając muzyki, ale gdy wskazówki zegara minęły dwunastą, zrezygnowałem i poszedłem spać. Usnąłem przy zapalonym świetle. Obudziłem się przed szóstą. Za oknem było zupełnie jasno. Przez cienką zasłonę słyszałem świergot ptaków. Żony przy mnie nie było. Biała poduszka leżała równiutka, bez żadnych wgłębień. Nikt na niej nie spał. Na szafce nocnej leżała ładnie poskładana i świeżo uprana letnia piżama Kumiko. To ja ją uprałem i złożyłem. Zgasilem lampkę nocną i wziąłem głęboki oddech, chcąc uregulować rytm upływu czasu.

Obszedłem cały dom. Najpierw zajrzałem do kuchni, potem

omiotłem wzrokiem duży pokój i sprawdziłem w pokoiku Kumiko, w łazience i toalecie, na wszelki wypadek zajrzałem nawet do szafy, lecz nigdzie jej nie było. Dom wydawał mi się wymarły i cichszy niż zwykle. Miałem wrażenie, że chodząc po pokojach, bezsensownie niszczę jego spokojną harmonię.

Co więcej mogłem zrobić? Poszedłem do kuchni, nalałem wody do czajnika i zapaliłem gaz. Gdy woda się zagotowała, zaparzyłem kawę, usiadłem przy stole i wypilem trochę. Potem zrobiłem w tosterze grzanki, wyjąłem z lodówki sałatkę ziemniaczaną. Po raz pierwszy od bardzo dawna jadłem śniadanie sam. Uświadomiłem sobie, że od naszego ślubu ani razu się nie zdarzyło, żebyśmy razem nie zasiedli do śniadania. Często nie było czasu na lunch, bywało też, że nie jedliśmy kolacji, jednak choćby się waliło, paliło, zawsze musiał być czas na wspólne śniadanie. Był to rodzaj niepisanego porozumienia, nieomal rytuał.

Jeżeli nawet poprzedniej nocy późno poszliśmy spać, wstawaliśmy wcześniej rano, robiliśmy możliwie porządne śniadanie i - jeżeli czas pozwalał - powoli je zjadaliśmy.

Lecz tego ranka Kumiko nie było. W milczeniu piłem samotnie kawę i w milczeniu jadłem samotnie grzanki. Naprzeciwko stało puste krzesło. Patrząc na nie, przypomniałem sobie wodę toaletową, którą Kumiko wczoraj rano pachniała. Pomyślałem o mężczyźnie, który mógł jej tę wodę sprezentować. Oczami wyobraźni ujrzałem, jak Kumiko leży gdzieś w łóżku w jego objęciach. Widziałem jego ręce pieszczące jej nagie ciało. Przypomniałem sobie te gładkie jak porcelana plecy, które podziwiałem wczoraj rano, zapinając suwak sukienki Kumiko.

Kawa smakowała jakoś mydłem. Już po wypiciu pierwszego łyka poczułem w ustach nieprzyjemny posmak. Najpierw myślałem, że to złudzenie, lecz drugi łyk był taki sam. Wylałem kawę do zlewu i napełniłem czystą filiżankę, lecz i teraz kawa miała ten sam mydlany zapach. Nie rozumiałem, skąd się mógł wziąć. Dzbanek był dobrze umyty, woda też była w porządku. Był to chyba zapach jakiegoś kosmetyku. Wylałem więc z dzbanka ca-

łą kawę i postawiłem na gazie świeżą wodę, ale w trakcie gotowania odechciało mi się i zrezygnowałem. Nalałem do filiżanki wody z kranu i wypilem. Nie miałem już ochoty na kawę.

Poczekalem do dziewiątej i zadzwoniłem do pracy Kumiko. Powiedziałem dziewczynie, która odebrała, że chciałbym rozmawiać z Kumiko Okadą. Odpowiedziała, że pani Okady nie ma jeszcze w pracy. Podziękowałem i rozłączyłem się. Potem zabrałem się za porządkowanie - czynność, której się zawsze oddaję, gdy jestem zdenerwowany. Zebrałem stare gazety i czasopisma, związałem sznurkiem, umyłem do czysta zlew i przetarłem szafki kuchenne, sprzątnąłem łazienkę i toaletę. Umyłem lustra i okna płynem do mycia szyb, zdjąłem i wyczyściłem żyrandole. Zmieniłem pościel na łóżku, brudną wrzuciłem do prania.

O jedenastej znów zadzwoniłem do pracy Kumiko. Odebrała ta sama dziewczyna i powiedziała mi to samo. Pani Okady jeszcze nie ma.

- Czy może wzięła dzisiaj wolne? - zapytałem.

- Nic o tym nie wiem - głos dziewczyny był całkowicie obojętny. Przekazywała tylko fakty.

Fakt że Kumiko nie było jeszcze w pracy o jedenastej był dość niezwykły. Redakcje wydawnictw mają zazwyczaj nienormalowany czas pracy, lecz nie było tak w redakcji Kumiko. Wydawali czasopismo na temat zdrowia i naturalnej żywności, mieli więc do czynienia z pisarzami, firmami produkującymi żywność, gospodarstwami rolnymi, lekarzami itp., ludźmi, którzy pracowali od samego rana i kończyli pracę późnym popołudniem. Dlatego też chcąc się do tego dopasować, Kumiko i jej koledzy przychodzili do pracy na dziewiątą i z wyjątkiem okresów redagowania tekstów do druku, kiedy byli bardzo zajęci, kończyli o szóstej.

Po odłożeniu słuchawki poszedłem do sypialni i sprawdziłem wiszące w szafie sukienki, bluzki i spódnice Kumiko. Gdyby wyprowadziła się z domu, zabrałaby swoje ubrania. Oczywiście nie pamiętałem wszystkich jej ubrań. Nie pamiętałem nawet do-

brze własnych, więc co dopiero mówić o ubraniach drugiej osoby, ale ponieważ często nosiłem do pralni i odbierałem jej rzeczy, wiedziałem mniej więcej, które lubi i o które szczególnie dba. Zdawało mi się, że prawie wszystkie były na miejscu.

Poza tym kiedy miałyby je niepostrzeżenie wynieść? Jeszcze raz dokładnie przypomniałem sobie, jak wychodziła wczoraj z domu. W co była ubrana? A torebka? Miała tylko torbę na ramię, którą zawsze nosiła do pracy, a w niej notesy, kosmetyki, portmonetkę, długopisy, chusteczkę do nosa, chusteczki jednorazowe itp. Nie zmieściłaby się w niej zmiana ubrania.

Otworzyłem komodę. Leżały w niej porządnie poukładane biżuteria, skarpetki, okulary przeciwsłoneczne, bielizna, sportowe koszule i inne rzeczy. Nie wiedziałem, czego może tu brakować. Może rajstopy i zmiana bielizny zmieściłyby się jej do torebki, ale właściwie nie miałyby sensu wynoszenie w tajemnicy rzeczy, które można łatwo wszędzie kupić.

Potem poszedłem do łazienki i jeszcze raz sprawdziłem szafkę z kosmetykami. Tam też nie zaszły widoczne zmiany. Szafkę wypełniały buteleczki, flakoniki i biżuteria. Odkorkowałem wodę toaletową Diora i powąchałem. Ten sam co przedtem zapach białych kwiatów, bardzo odpowiedni na letni poranek. Znowu przypomniałem sobie uszy i białe plecy Kumiko.

Wróciłem do dużego pokoju i rzuciłem się na kanapę. Zamknąłem oczy i wyteżyłem słuch, lecz prócz tykania zegara rytmicznie odmierzającego czas nie słyszałem innych dźwięków. Ani warkotu samochodów, ani ćwierkania ptaków. Nie wiedziałem, co dalej robić. Pomyślałem, że jeszcze raz zadzwonię do pracy Kumiko. Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer, ale na myśl, że może odebrać ta sama dziewczyna, zniechęciłem się i zrezygnowałem. W tej sytuacji nie mogłem nic więcej zrobić. Pozostało mi tylko cierpliwie czekać. Może mnie rzuciła - nie wiedziałem dlaczego, ale w każdym razie jest to możliwe. Jednak nawet w takim przypadku zniknięcie bez słowa byłoby do niej niepodobne. Gdyby postanowiła ode mnie odejść, postara-

łaby się jak najdokładniej wyjaśnić mi przyczyny. Byłem tego prawie stuprocentowo pewny.

A może miała wypadek? Może potrafił ją samochód i zabrano ją do szpitala? I może jest nieprzytomna i robią jej transfuzję. Na myśl o tym Zaczęło mi walić serce. Lecz gdyby nawet założyć, że coś takiego się stało, szpital albo policja powinna się ze mną skontaktować. Kumiko miała przecież w torebce prawo jazdy, karty kredytowe, notes z adresami. Usiadłem na tarasie i bezmyślnie wpatrywałem się w ogródek, choć w rzeczywistości nic przed sobą nie widziałem. Chciałem się nad czymś zastanowić, ale nie mogłem się skupić na żadnej określonej rzeczy. Wiele, wiele razy przypominałem sobie zapinanie sukienki Kumiko i jej plecy. Pamiętałem też zapach wody toaletowej za jej uszami.

Po pierwszej zadzwonił telefon. Wstałem z kanapy i podniosłem słuchawkę.

- Halo, czy to mieszkanie państwa Okada? - zapytał kobiecy głos. Był to głos Malty.

- Tak - powiedziałem.

- Nazywam się Malta Kano. Dzwonię w sprawie kota.

- Kota? - powtórzyłem trochę nieprzytomnie. Zupełnie zapomniałem o kocie. Oczywiście od razu sobie przypomniałem, ale zdawało mi się, że zdarzyło się to bardzo dawno.

- Kota, którego poszukiwała małżonka - powiedziała Malta Kano.

- Tak, tak, oczywiście - odparłem.

Malta Kano milczała po drugiej stronie, jakby coś szacowała. Może wyczuła coś w dźwięku mojego głosu. Odchrząknąłem i przełożyłem słuchawkę do drugiej ręki. Po dłuższej chwili Malta Kano powiedziała:

- Myślę, że kot się nie znajdzie, chyba żeby zaszło coś wyjątkowego. Bardzo mi przykro, ale sądzę, że lepiej się z tym pogodzić. Kot zniknął. Prawdopodobnie już nie wróci.

- Chyba żeby zaszło coś wyjątkowego? - powtórzyłem pytaj-

ąco, lecz nie było odpowiedzi.

Malta Kano długo milczała. Czekałem, aż się odezwie. Wyteżalem słuch, lecz ze słuchawki nie dobiegał nawet oddech. Zacząłem podejrzewać, że coś jest nie tak z telefonem, gdy wreszcie przemówiła.

- Panie Okada - powiedziała - nie chcę się narzucać, ale czy prócz sprawy kota mogłabym w czymś panu pomóc?

Nie mogłem jej od razu odpowiedzieć. Ze słuchawką w rękę oparłem się o ścianę. Dopiero po chwili wydobyłem z siebie głos.

- Wiele rzeczy jest jeszcze dla mnie niejasnych - powiedziałem. - Nie wiem nic pewnego. Na razie tylko się zastanawiam, ale w każdym razie zdaje mi się, że moja żona gdzieś sobie poszła. - Potem wytłumaczyłem jej, że Kumiko nie wróciła wczoraj na noc i dziś rano nie przyszła jeszcze do pracy.

Zdawało się, że Malta Kano nad czymś rozmyśla.

- Na pewno jest pan zmartwiony - powiedziała. - W tej chwili nie mogę nic powiedzieć, lecz prawdopodobnie niebawem wiele rzeczy się wyjaśni

Teraz można tylko czekać. Myślę, że będzie panu ciężko, ale na wszystko jest właściwy czas. Tak samo jak z przyptywami i odpływami. Nikt nie może ich zmienić. Kiedy należy czekać, można tylko czekać.

\_ Pani Kano, wiem, że pomogła nam pani w sprawie kota, i przepraszam, że to mówię, ale nie jestem teraz w nastroju do wysłuchiwania logicznych ogólników. Nie wiem, co począć. Naprawdę nie wiem, co począć. Do tego mam złe przeczucia, ale zupełnie nie wiem, co powinienem zrobić. Słyszysz pani?! Nie wiem, co mam zrobić po odłożeniu słuchawki. Potrzebne mi są konkretne fakty, choćby były drobne i głupie. Rozumie pani? Widoczne gołym okiem, namacalne fakty.

Ze słuchawki dobiegł odgłos, jakby coś ciężkiego - na przykład mosiężna kulka - uderzyło o drewnianą podłogę. Potem usłyszałem odgłos tarcia. Jakby ktoś pociągnął mocno trzymany



między palcami arkusz kalki technicznej. Te odgłosy zdawały się dobiegać z miejsca niezbyt oddalonego, ale też niezbyt bliskiego słuchawki.

Miałem jednak wrażenie, że Malta Kano nie zwraca na nie szczególnej uwagi.

- Rozumiem. Chce pan czegoś konkretnego - powiedziała monotonnym głosem.

- Tak. Możliwie najbardziej konkretnego.

- Proszę czekać na telefon.

- Cały czas czekam na telefon.

- Prawdopodobnie bardzo niedługo zadzwoni do pana ktoś o nazwisku zaczynającym się na „o”.

- Czy ten ktoś wie coś na temat Kumiko?

- Tego nie jestem pewna. Mówię panu o tym tylko dlatego, że chce pan mieć jakikolwiek konkretny fakt. I jeszcze jedno, niedługo połowa księżycy będzie się ukazywać przez parę dni.

- Połowa księżycy? - powtórzyłem. - Chodzi pani o ten księżyc na niebie?

- Tak. Księżyc na niebie. Ale tak czy inaczej musi pan czekać. Czekanie jest najważniejsze. A więc do usłyszenia niedługo - powiedziała Malta Kano i rozłączyła się.

Przyniosłem z biurka notes z numerami telefonów i spojrzałem na stronę z „O”. Były tam cztery nazwiska, adresy i numery telefonów wpisane drobnym, starannym pismem Kumiko. Na początku znajdowało się nazwisko mego ojca - Okada, Tadao. Dalej był Onoda, mój kolega ze studiów, dalej dentysta nazwiskiem Otsuka, a na końcu sklep Omury, nasz pobliski sklep z alkoholem.

Przede wszystkim można chyba wykluczyć sklep. Znajdował się o dziesięć minut piechotą od domu, ale nie mieliśmy z nim żadnych szczególnych powiązań, prócz zamawiania czasami przez telefon skrzynki piwa. Dentysta też nie miał z tym nic wspólnego. Dwa lata temu leczyłem u niego ząb trzonowy, lecz Kumiko nigdy tam nie była. Od czasu ślubu nie odwiedziła chy-

ba żadnego dentysty. Z moim kolegą Onodą nie widziałem się już od wielu lat. Po studiach zaczął pracować w banku, w drugim roku pracy wysłali go do oddziału w Sapporo i od tego czasu mieszka na wyspie Hok-kaido. Teraz wymienialiśmy już tylko kartki noworoczne. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, czy poznał Kumiko.

Został więc mój ojciec, lecz niemożliwe, żeby Kumiko mogła mieć jakieś głębokie powiązania z ojcem. Od czasu gdy po śmierci mamy ojciec ożenił się ponownie, nie widywaliśmy się, nie korespondowaliśmy ze sobą i nie rozmawialiśmy przez telefon. Kumiko nigdy go nie poznała.

Przerzucając kartki notesu, na nowo uświadomiłem sobie, jak mało utrzymywaliśmy kontaktów z ludźmi. Zdawało się, że przez sześć lat małżeństwa, z wyjątkiem niedających się uniknąć kontaktów z kolegami z pracy, żyliśmy w oddaleniu od wszystkich, nie utrzymując z nikim stosunków.

Postanowiłem zrobić sobie na obiad spaghetti. Nie byłem specjalnie głodny, a raczej prawie wcale nie miałem apetytu, ale nie mogłem przecież w nieskończoność siedzieć na kanapie i czekać, aż zadzwoni telefon. Trzeba było wyznaczyć sobie jakiś cel i wykonywać wiodące do niego czynności. Nalałem wody do garnka, włączyłem gaz i czekając, aż się woda zagotuje, przygotowywałem sos pomidorowy, słuchając radia. Nadawali sonatę skrzypcową Bacha. Było to wyjątkowo dobre wykonanie, lecz miało w sobie coś irytującego. Nie byłem pewien, czy powodem był skrzypek, czy też mój własny stan nerwów, ale wyłączyłem radio i przygotowywałem jedzenie w ciszy. Podgrzałem oliwę z oliwek, dodałem czosnek, potem dorzuciłem posiekaną w paski cebulę i gdy zaczęła się rumienić, włożyłem wcześniej pokrojone i osuszone pomidory. Niezłe takie krojenie i podsmażanie. Widać efekty, słyhać odgłosy, czuć zapach.

Gdy woda się zagotowała, dodałem soli i włożyłem wiązkę makaronu. Potem nastawiłem minutnik na dziesięć minut i zmyłem spiętrzone w zlewie naczynia. Nawet na widok stojącego

przede mną talerza ze spaghetti nie poczułem apetytu. W końcu zjadłem połowę, a resztę wyrzuciłem. Pozostały sos włożyłem do plastikowego pojemnika i schowałem do lodówki. Nie ma rady, w końcu przecież nie byłem głodny.

Pamiętam, że kiedyś dawno temu czytałem o człowieku, który czekając na coś, ciągle jadł. Długo i poważnie się nad tym zastanawiałem, aż w końcu przypomniałem sobie, że było to w Pożegnaniu z bronią Hemingwaya. Bohater (zapomniałem, jak się nazywał) przekracza łodzią granicę Włoch i Szwajcarii i w małym miasteczku czeka, aż jego żona urodzi dziecko. Ciągłe chodzi do kawiarni naprzeciwko i albo coś pije, albo je. Prawie nie pamiętałem akcji powieści. Utkwiło mi tylko w pamięci, że pod koniec, czekając na zakończenie porodu żony w obcym kraju, bohater ciągle je. Pamiętałem dobrze tę scenę, ponieważ była niezwykle realistyczna. Zdawało mi się, że zamiast opisywać kogoś, kto z niepokoju nic nie może przełknąć, bardziej prawdziwe literacko jest opisanie człowieka, który odczuwa wilczy apetyt.

Lecz gdy siedziałem tak sam w cichym domu i patrząc na wskazówki zegara, czekałem, aż coś się zdarzy, w odróżnieniu od bohatera Pożegnania z bronią zupełnie nie czułem głodu. Nagle przyszło mi do głowy, że być może nie mam apetytu, bo brak we mnie literackiego realizmu. Wydało mi się, że sam stałem się częścią jakiejś źle napisanej powieści. Jakby ktoś pouczał mnie: „nie masz w sobie za grosz realizmu”. Może rzeczywiście tak było.

Telefon zadzwonił przed drugą. Od razu podniosłem słuchawkę.

- Czy to mieszkanie państwa Okada? - zapytał nieznany mi męski głos.

Niski, pełen czaru głos młodego mężczyzny.

- Tak - odpowiedziałem nieco spięty.

- Państwa Okada spod numeru dwadzieścia sześć?

- Tak.

- Mówię ze sklepu z alkoholem Omury. Dziękujemy za korzystanie z naszych usług. Jeśli można, chciałbym teraz wpaść po zapłatę.

- Zapłatę?

- Tak, za dwie skrzynki piwa i skrzynkę soku.

- Proszę, myślę, że jeszcze przez pewien czas będę w domu - powiedziałem.

Na tym zakończyliśmy rozmowę.

Położywszy słuchawkę, próbowałem sobie przypomnieć, czy w tej rozmowie padło coś dotyczącego Kumiko, lecz był to chyba tylko krótki telefon ze sklepu w sprawie zapłaty. Rzeczywiście zamówiłem piwo i sok, które mi dostarczono. Po trzydziestu minutach przyszedł człowiek ze sklepu, a ja zapłaciłem za dwie skrzynki piwa i skrzynkę soku.

Młody mężczyzna był bardzo sympatyczny. Zapłaciłem, a on z uśmiechem wypisał mi rachunek.

- Wie pan, że dziś rano przed dworcem był wypadek? Koło pół do dziesiątej rano.

- Wypadek? - zapytałem zaskoczony. - Kto miał wypadek?

- Mała dziewczynka. Potrącił ją cofający się mikrobus. Podobno jest w ciężkim stanie. Zaraz potem tamtędy przechodziłem. Bardzo nieprzyjemnie od rana coś takiego zobaczyć. Z małymi dziećmi to strach. Nie widać ich w lusterku, jak się człowiek cofa. Zna pan tę pralnię naprzeciw dworca? To właśnie było przed nią. Tam stoją rowery, leżą stosy pudeł kartonowych, ograniczają pole widzenia.

Po jego odejściu poczułem, że nie zniosę dłużej bezczynnego siedzenia w domu. Zrobiło mi się w nim duszno, ciemno i ciasno. Włożyłem buty i postanowiłem przynajmniej wyjść na dwór. Nie zamknąłem drzwi na klucz, nie pozamykałem okien, nie zgasiłem światła w kuchni. Ssąc dropsy cytrynowe, bez celu włóczyłem się po okolicy. Odtwarzałem w myślach rozmowę z człowiekiem ze sklepu z alkoholem i przypominałem sobie, że nie odebrałem z pralni przed dworcem spódnicy i bluzki Kumi-

ko. Kwit został w domu, ale i tak pomyślałem, że pewnie mi wydadzą.

Atmosfera na ulicach była nieco inna niż zazwyczaj. Wszyscy mijani ludzie wydawali mi się jacyś nienaturalni, jakby nieprawdziwi. Idąc, przyglądałem się po kolei mijanym twarzom i zastanawiałem się, jakiego typu ludźmi są ich właściciele. W jakich domach mieszkają, jakie mają rodziny, jakie wiodą życie? Czy śpią z innymi kobietami prócz własnych żon i innymi mężczyznami prócz własnych mężów? Czy są szczęśliwi? Czy wiedzą, że wyglądają nienaturalnie i nieprawdziwie?

Przed pralnią widoczne były jeszcze świeże ślady - białe linie narysowane kredą na jezdni przez policję, kilka osób z torbami pełnymi zakupów rozmawiało z poważnymi minami o wypadku. W pralni jednak panowała taka sama atmosfera jak zwykle. Z czarnego radiomagnetofonu dobiegała ta sama lekka i przyjemna muzyka, w głębi huczał starego typu klimatyzator, a gęste kłęby pary z żelazka unosiły się pod sufit. Był to Ebb Tide\*, Robert Maxwell na harfie. Jak cudownie byłoby pojechać nad morze. Przypomniałem sobie zapach plaży i odgłos fal rozbijających się o brzeg. Oczyma wyobraźni ujrzałem mewy i puszki dobrze schłodzonego piwa. Powiedziałem właścicielowi, że zapomniałem kwitu.

- Zdaje się, że w zeszły piątek albo sobotę oddałem spódnicę i bluzkę.

- Pan Okada, pan Okada... - powiedział właściciel. Potem przewrócił kilka kartek w notatniku akademickim. - Jest, jest. Bluzka i spódnica. Ale małżonka już je odebrała.

- Ach tak? - powiedziałem zdziwiony.

- Tak, przyszła po odbiór wczoraj rano. Dobrze pamiętam, bo sam jej wydałem. Zdaje się, że wstąpiła po drodze do pracy. Wtedy otrzymałem też kwit.

Nie mogłem wydobyć głosu, więc patrzyłem na niego w milczeniu.

---

\* Ebb tide - odptyw

- Proszę spytać małżonkę i potwierdzić. Na pewno mam rację  
- powiedział właściciel pralni.

Potem wyjął papierosa z leżącej na kasie paczki, włożył do ust i zapalił.

- Wczoraj rano? - zapytałem. - Nie po południu?

- Tak, rano. Chyba koło ósmej. Małżonka była pierwszą klientką tego dnia, dlatego dobrze pamiętam. Bo to przecież bardzo przyjemnie, jeżeli pierwszą klientką rano jest młoda kobieta.

Nie bardzo wiedziałem, jaki przybrać wyraz twarzy, a głos, który z siebie wydobyłem, też nie brzmiał jak mój własny. - W takim razie nie ma sprawy. Nie wiedziałem, że żona przyszła po odbiór.

Właściciel pralni skinął głową, zerknął na mnie, potem zgasił papierosa, którym zdążył się zaciągnąć tylko dwa czy trzy razy, i wrócił do żelazka. Zdawało się, że coś go we mnie zainteresowało, że coś mi chciał powiedzieć, ale w końcu postanowił nic nie mówić. Ja też chciałem mu zadać różne pytania. Jak Kumiko wyglądała, kiedy przyszła odebrać tę spódnicę i bluzkę? Co miała ze sobą? Czuję się skołowany i strasznie zaschło mi w gardle. Chciałem najpierw gdzieś usiąść i napić się czegoś zimnego. Wydawało mi się, że inaczej nie będę w stanie już o niczym myśleć.

Wyszedłem z pralni, wstąpiłem do pobliskiej kawiarni i zamówiłem herbatę mrożoną. W kawiarni panował przyjemny chłód, a ja byłem jedynym gościem. Z małych głośników na ścianie pod sufitem dobiegało Eight Days a Week Beatlesów w wersji na orkiestrę. Jeszcze raz pomyślałem o morzu. Wyobraziłem sobie, jak idę boso plażą nad samą wodą. Piasek jest tak gorący, że nieomal parzy, a wiatr niesie mocny zapach morza. Biorę głęboki oddech i podnoszę wzrok ku niebu. Kiedy wyciągam otwarte dłonie ku słońcu, wyraźnie czuję na nich letni żar. Wkrótce chłodne fale obmywają mi stopy.

To dziwna historia, że Kumiko poszła odebrać rzeczy po drodze do pracy. Musiałaby wsiąść do zatłoczonego pociągu, trzy-

mając te świeżo uprasowane ubrania w ręce. W drodze powrotnej tak samo musiałyby je wieźć w tłoku. Byłoby to niewygodne, a przede wszystkim rzeczy strasznie by się wymięły. Niemożliwe, by Kumiko, która nie lubiła zmiętych i brudnych ubrań, zrobiła coś tak bezsensownego. Mogła przecież wstąpić do pralni po drodze z pracy. A jeżeli miała wrócić późno, mogła mnie poprosić o odebranie. Przychodziło mi na myśl tylko jedno wytłumaczenie: Kumiko już wtedy miała zamiar nie wracać do domu. Z bluzką i spódnicą w ręku gdzieś sobie poszła. Dzięki temu miała ubranie na zmianę, a inne rzeczy mogła dokupić. Ma karty kredytowe i bankomatowe. Ma też własne niezależne konto. Gdyby zachciało się jej gdzieś pojechać, może wybrać dowolne miejsce.

I prawdopodobnie nie jest sama - jest z mężczyzną. Nie ma innego powodu, dla którego miałyby odejść z domu.

Sytuacja musi być poważna. Kumiko zniknęła, zostawiając ubranie, buty, wszystkie swoje rzeczy. Lubiła kupować stroje i zawsze bardzo o nie dbała, musiała więc być bardzo zdeterminowana, żeby odejść praktycznie z pustymi rękami i zostawić to wszystko. A jednak bez wahania - tak mi się wydawało - odeszła jedynie z bluzką i spódnicą w ręce. Być może nie myślała wtedy o strojach.

Oparty o kawiarniane krzesło, słuchając mimowolnie nieomal nieprzyjemnie sterylnej kawiarnianej muzyki, wyobrażałem sobie, jak Kumiko wsiada do zatłoczonego pociągu z ubraniami wiszącym na drucianym wieszaku i pokrytym przezroczystą plastikową folią z pralni. Przypomniałem sobie kolor jej sukienki, zapach wody toaletowej za uszami i gładkie, idealne plecy. Byłem chyba strasznie zmęczony. Zdawało mi się, że gdybym zamknął teraz oczy, nie wiadomo, kiedy znalazłbym się w jakimś innym miejscu, nie tutaj.

## **2. W tym rozdziale nie ma żadnych dobrych wiadomości**

Po wyjściu z kawiarni znowu włóczyłem się bez celu po oko-

licy. Chodząc, poczułem, że z powodu gwałtownego popołudniowego upału stopniowo robi mi się niedobrze. Dostałem nawet dreszczy. Mimo to nie miałem ochoty wracać do domu. Zapierało mi dech na myśl, że znowu czekałbym beczynn timer w cichym pokoju przy telefonie, który mógł wcale nie zadzwonić.

Jedyna rzecz, jaka przysłała mi do głowy, to spotkanie z May Kasaharą. Wróciłem do domu, przelazłem przez betonowe ogrodzenie i poszedłem uliczką na tyły jej domu. Oparłem się o płot położonego naprzeciw opuszczonego domu i przyglądałem się ogrodowi z kamiennym posągiem ptaka. Jeżeli będę tu stał, May Kasahara wkrótce powinna mnie zauważyć. Raczej nie wychodzi z domu, z wyjątkiem dni, w które pracuje dla producenta peruk. Albo się opala, albo siedzi w swoim pokoju i obserwuje uliczkę.

Dziś się jeszcze nie pokazała. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Letnie słońce parzyło mnie w kark. Znad ziemi unosił się duszący zapach trawy. Patrząc na kamienny posąg ptaka, przypominałem sobie historie niedawno usłyszane od wuja i próbowałem się skupić na losach ludzi, którzy tu przedtem mieszkali, jednak w moich myślach pojawiało się jedynie morze. Zimne, niebieskie morze. Odetchnąłem głęboko parę razy i spojrziałem na zegarek. Kiedy już prawie zrezygnowałem z czekania, myśląc, że dziś pewnie nic z tego nie będzie, pojawiła się May Kasahara. Przeszła przez ogród i powoli się do mnie zbliżyła. Miała na sobie dzinsowe szorty i hawajską koszulę, a na nogach czerwone gumowe klapki. Stała przede mną i uśmiechnęła się lekko zza przeciwsłonecznych okularów.

- Dzień dobry, panie Ptaku Nakręcaczu. Czy kot Noboru Wataya się znalazł?

- Nie, jeszcze się nie znalazł - powiedziałem. - Dzisiaj długo nie wychodziłaś.

May Kasaharą wsadziła ręce do kieszeni szortów i z rozbawieniem rozejrzała się dookoła.

- Wie pan co? Mam co prawda dużo wolnego czasu, ale to nie



znaczy, że od rana do wieczora żyję tylko obserwowaniem uliczki. Nawet ja mam trochę roboty. No, w każdym razie przepraszam. Tak długo pan czekał?

- Nie tak długo. Tylko strasznie gorąco było tu stać.

May Kasahara dokładnie przyjrzała się mojej twarzy. Potem lekko zmarszczyła brwi.

- Co się stało, panie Ptaku Nakręcaczu? Wygląda pan strasznie. Jakby pan był gdzieś przez pewien czas pogrzebany i dopiero co pana odkopali. Lepiej niech pan tu wejdzie i odpocznie trochę w cieniu pod drzewem.

Wzięła mnie za rękę i zabrała do swego ogrodu. Przesunęła jeden z leżaków pod dąb i posadziła mnie na nim. Gęste zielone gałęzie tworzyły chłodny pachnący życiem cień.

- Wszystko w porządku. W domu jak zwykle nikogo nie ma. Nie ma się absolutnie czym przejmować. Niech pan tu trochę odpocznie, o niczym nie myśli.

- Mam do ciebie prośbę - powiedziałem.

- Słucham.

- Chciałbym, żebyś do kogoś zadzwoniła.

Wyjąłem z kieszeni notes z długopisem i napisałem numer do pracy Kumiko. Potem wyrwałem kartkę i podałem jej. Plastikowa okładka notesu zrobiła się nieprzyjemnie ciepła od potu.

- Zadzwoń pod ten numer i zapytaj, czy Kumiko Okada jest w pracy. Jeżeli jej nie będzie, to zapytaj, czy była wczoraj. To wszystko.

May Kasahara wzięła kartkę i przyglądała się jej z zaciśniętymi ustami. Potem spojrzała na mnie. - Nie ma sprawy. Zadzwonię, a pan niech o niczym nie myśli i wyciągnie się na leżaku. Nie wolno się panu stąd ruszać. Zaraz wrócę.

Zniknęła, a ja, tak jak mi kazała, wyciągnąłem się i zamknąłem oczy. Byłem zlany potem. Kiedy próbowałem o czymś myśleć, bolał mnie tył głowy i zdawało mi się, że mam w żołądku twardy supeł. Od czasu do czasu ogarniały mnie ciężkie fale mdłości. Wokół panowała zupełna cisza. Nagle uświadomiłem

sobie, że właściwie od bardzo dawna nie słyszałem głosu ptaka nakręcacza. Kiedy słyszałem go ostatni raz? Chyba ze cztery czy pięć dni temu, ale nie pamiętałem dokładnie. Teraz dopiero zorientowałem się, że już go nie ma. Może to ptak przelotny, który przemieszcza się wraz ze zmianą pór roku. Właściwie słyszałem go tylko przez jakiś miesiąc. Przez krótki czas nakręcał codziennie sprężynę małego światka, w którym żyłem. Była to pora ptaka nakręcacza.

May Kasahara wróciła po dziesięciu minutach. Podała mi dużą szklankę, rozległo się grzechotanie lodu. Zdawało mi się, że odgłos ten dochodził z jakiegoś bardzo odległego świata. Między mną a tym światem znajdowało się kilka bram. Teraz usłyszałem ten dźwięk dlatego, że akurat wszystkie były otwarte, ale będzie tak tylko przez pewien czas. Kiedy choć jedna z nich zostanie zamknięta, dźwięk przestanie do mnie dobiegać.

- Woda z lodem i cytryną. Proszę wypić - powiedziała. - Jak pan wypije, rozjaśni się panu w głowie.

Jakoś udało mi się wypić połowę i oddałem jej szklankę. Zimna woda przepłynęła przez przełyk i powoli rozchodziła się po ciele. Potem nagle ogarnęły mnie mdłości. Supeł rozkładający się w żołądku podchodził mi aż do gardła. Zamknąłem oczy i starałem się jakoś to znieść. Gdy zamykałem oczy, widziałem Kumiko wsiadającą do pociągu z bluzką i spódnicą w rękę. pomyślałem, że może lepiej będzie zwymiotować, lecz powstrzymałem się. Wziąłem kilka głębokich oddechów i stopniowo mdłości złągodniały, aż zupełnie zniknęły.

\_ Wszystko w porządku? - zapytała May Kasahara.

- W porządku - odparłem.

- Zadzwoiłam. Powiedziałam, że jestem kimś z rodziny. Nie szkodzi, prawda?

- Nie.

- To pana żona, prawda?

- Tak.

- Podobno wczoraj nie przyszła do pracy - powiedziała May

Kasahara. - W ogóle się nie skontaktowała. Po prostu nie przyszła. W pracy też nie wiedzą, co zrobić, bo ponoć to do niej niepodobne.

- Tak. Niepodobne do niej, żeby się nie skontaktować i po prostu nie pójść do pracy.

- Od wczoraj jej nie ma?

Skinałem głowę.

- Biedny pan Ptak Nakręcacz! - zawołała. Zdawało się, że naprawdę mi współczuje. Położyła mi rękę na czole. - Czy mogę jakoś pomóc?

- Na razie chyba nie - powiedziałem - ale dziękuję ci.

- Czy mogę jeszcze o coś zapytać? Czy raczej lepiej nie pytać?

- Możesz sobie pytać. Nie wiem tylko, czy będę mógł ci odpowiedzieć.

- Czy pana żona odeszła z innym mężczyzną?

- Nie wiem - powiedziałem. - Ale nie jest to wykluczone. Myślę, że jest taka możliwość.

- Przecież pan chyba przez cały czas z nią mieszkał? Nie wie pan, choć pan z nią mieszkał?

Rzeczywiście, ma rację, pomyślałem. Dlaczego nie wiem czegoś takiego?

- Biedny pan Ptak Nakręcacz - powiedziała znowu. - Chciałabym móc coś panu poradzić, ale niestety nie mam pojęcia o życiu w małżeństwie.

Podniosłem się z leżaka. Wymagało to o wiele większego wysiłku, niż się spodziewałem. - Dziękuję ci za wszystko. Bardzo mi pomogłaś, ale teraz muszę iść - powiedziałem. - Ktoś może chcieć się ze mną skontaktować. Może być jakiś telefon.

- Po powrocie do domu proszę od razu wziąć prysznic. Najpierw prysznic. Rozumie pan? I przebierze się pan w czyste ubranie. Potem proszę się ogolić.

- Ogolić? - powtórzyłem i pogładziłem brodę.

Rzeczywiście zapomniałem się ogolić. Od rana nawet nie

przyszło mi do głowy, żeby to zrobić.

- Takie drobne rzeczy są stosunkowo ważne, panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała May Kasahara, zaglądając mi w oczy. - Po powrocie proszę się dokładnie przejrzeć w lustrze.

- Dobrze.

- Mogę potem do pana wpaść?

- Proszę - powiedziałem. I dodałem: - Myślę, że twoja wizyta mi bardzo pomoże.

May Kasahara w milczeniu skinęła głową.

W domu przejrzałem się w lustrze. Rzeczywiście wyglądałem strasznie. Rozebrałem się, wziąłem prysznic, starannie umyłem włosy, ogoliłem się, wyszorowałem zęby, posmarowałem policzki płynem po goleniu i jeszcze raz szczegółowo obejrzałem w lustrze swoją twarz. Zdawało mi się, że wyglądam trochę lepiej. Mdłości też już ustały. Miałem tylko lekki zamęt w głowie.

Włożyłem szorty i świeżą koszulkę polo. Potem usiadłem na tarasie i patrząc na ogród, suszyłem włosy. Spróbowałem uporządkować w myślach wydarzenia ostatnich paru dni. Najpierw był telefon od porucznika Mami. Potem wczorajszy poranek - tak, to było niewątpliwie wczoraj rano. Żona wychodziła z domu. Zapiąłem jej sukienkę. Znalazłem pudełeczko po wodzie toaletowej. Następnie przyszedł porucznik Mamiya i snuł dziwne opowieści o wojnie, o tym, jak został schwytany przez mongolskich żołnierzy i wrzucony do studni. Zostawił mi pamiątkę od pana Hondy. Puste pudełko. Potem Kumiko nie wróciła na noc. Tego ranka odebrała uprane rzeczy z pralni przed dworcem i gdzieś zniknęła. Z pracą się też nie skontaktowała. Wczorajsze wydarzenia. Nie mogłem uwierzyć, że wszystkie miały miejsce jednego dnia. Było ich o wiele za dużo.

Kiedy tak rozmyślałem, ogarnęła mnie straszna senność. Nie była to zwykła senność, a senność gwałtowna, można nawet powiedzieć obezwładniająca. Starła się pozbawić mnie świadomości, jakby ktoś zdierał ubranie z niestawiającego oporu czło-

wieka. Z pustką w głowie poszedłem do sypialni, rozebrałem się i w samych slipkach położyłem do łóżka. Chciałem spojrzeć na zegarek na szafce nocnej, ale nie mogłem nawet odwrócić głowy. Zamknąłem oczy i natychmiast zapadłem w głęboki bezden-ny sen.

We śnie zapinałem suwak sukienki Kumiko i widziałem jej białe gładkie plecy, lecz gdy zapiąłem go do końca, zorientowa-łem się, że nie była to Kumiko, a Kreta Kano. W pokoju byli-śmy tylko ja i ona.

Był to ten sam pokój, co w poprzednim śnie. Apartament ho-telowy. Na stole stała butelka Cutty Sark i dwie szklanki. Było też wypełnione lodem metalowe wiaderko. Jacyś ludzie przeszli korytarzem, głośno rozmawiając. Nie dosłyszałem wyraźnie, ale zdawało się, że mówili w obcym języku. Z sufitu zwisał żyran-dol. Gęste zasłony znów były dokładnie zaciągnięte.

Kreta Kano miała na sobie letnią sukienkę Kumiko, ażurową, jasnoniebieską w ptaszki. Sukienka sięgała prawie do kolan. Jak zawsze miała makijaż w stylu Jacqueline Kennedy. Na lewej rę-ce nosiła dwie podobne bransoletki.

- Skąd wzięłaś tę sukienkę? Czy to twoja? - zapytałem.

Odwrociła się ku mnie. Potrząsnęła przecząco głową i podk-ręcone koniuszki jej włosów przyjemnie zafalowały.

- Nie, nie jest moja. Pożyczyłam sobie tylko na trochę. Ale proszę się nie martwić. Nie sprawi to nikomu kłopotu.

- Gdzie my właściwie jesteśmy? - spytałem.

Nie odpowiedziała. Tak jak przedtem usiadłem na łóżku. Mi-ałem na sobie garnitur i krawat w kropki.

- Nie musi pan o niczym myśleć - powiedziała Kreta Kano. - Nie musi się pan o nic martwić. Wszystko będzie w porządku.

Znowu, tak jak przedtem, rozpięła mi spodnie, wyjęła członek i włożyła do ust. Jednak w odróżnieniu od poprzedniego snu tym razem nie rozebrała się. Przez cały czas miała na sobie suki-enkę Kumiko. Próbowaliśmy się poruszyć, lecz zdawało się, że je-stem związany jakąś niewidzialną nicią i nie mogłem. Mój czło-

nek stał się w jej ustach strasznie twardy i wielki.

Sztuczne rzęsy trzepotały i drżały podkreśnione koniuszki włosów. Bransoletki wydały suchy dźwięk. Długi ciepły język lizał mnie, jakby obwijając się wokół, zaplądając. Prawie doprowadziła mnie do wytrysku, gdy nagle się odsunęła. Powoli mnie rozebrała. Zdjęła ze mnie marynarkę, rozwiązała krawat, ściągnęła spodnie, zdjęła koszulę i slipki i położyła mnie nagiego na plecach na łóżku, lecz sama się nie rozbrała. Usiadła, ujęła moją dłoń i delikatnie wsunęła pod sukienkę. Nie miała na sobie bielizny. Moje palce poczuły jej ciepło. Była wewnątrz głęboka, ciepła i bardzo wilgotna. Palce weszły w nią, nie czując żadnego oporu, zupełnie jakby wessane.

- Słuchaj, zaraz przyjdzie Noboru Wataya, prawda? Przecież chyba na niego tu czekałaś? - powiedziałem.

Kreta Kano bez słowa lekko położyła mi dłoń na czole.

- Nie musi pan o niczym myśleć. My się wszystkim zajmujemy. Proszę się na nas zdać.

- My?- powtórzyłem, lecz nie doczekałem się odpowiedzi.

Usiadła na mnie okrakiem, ujęła mój ciągle twardy członek i wprowadziła do swego wnętrza. Wsunąwszy go głęboko, zaczęła powoli wykonywać koliste ruchy biodrami. Jakby imitując ruchy jej ciała, rąbek jasnoniebieskiej sukienki muskał mój nagi brzuch i uda. Siedząca na mnie i otoczona kloszem sukienki Kreta Kano wyglądała zupełnie jak olbrzymi miękki grzyb. Jak roślina ceniolubna, która pod osłoną nocy cichutko puszcza pędy i ukazuje się spomiędzy opadłych liści. Wnętrze jej ciała było ciepłe, a jednocześnie zimne. Owijało mnie, zapraszało, a jednocześnie odpychało. Mój członek stał się jeszcze twardszy, jeszcze większy, zupełnie jakby za chwilę miał pęknąć. Było to zadziwiające uczucie przewyższające pożądanie czy orgazm. Zdawało się, że coś niezwykłego przechodzi z niej do mnie za pośrednictwem członka i przenika po trochu moje ciało.

Kreta Kano zamknęła oczy, lekko uniosła brodę i cicho pochylała się to w przód, to do tyłu, jakby we śnie. Widziałem, jak

jej okryta sukienką pierś, unosi się oddechem i opada. Kilka kosmyków grzywki wymknęło się spod spinki na czoło. Wyobraziłem sobie, że unoszę się sam na środku ogromnego morza. Zamknąłem oczy, wyteżyłem słuch i starałem się usłyszeć dźwięk drobnych fal obmywających mi twarz. Moje ciało zanurzyło się w letniej morskiej wodzie. Czuję powolny ruch przyływu. Woda dokądś mnie unosiła. Postanowiłem o niczym nie myśleć, tak jak kazała mi Kreta Kano. Zamknąłem oczy, rozluźniłem się i poddałem nurtowi.

Nagle zorientowałem się, że w pokoju zrobiło się ciemno. Rozejrzałem się dookoła, lecz nie było prawie nic widać. Nie wiadomo kiedy pogasły wszystkie kinkiety na ścianach. Widziałem tylko niewyraźny zarys chwiejącej się nade mną sukienki Krety Kano.

- Proszę zapomnieć - powiedziała, lecz nie był to jej głos. - Proszę o wszystkim zapomnieć. Jakby pan spał, jakby pan śnił, jakby pan leżał w ciepłym błocie. Wszyscy powstaliśmy z ciepłego błota i wszyscy się w nie obrócimy.

Był to głos kobiety od telefonów. Teraz ta zagadkowa kobieta siedziała na mnie okrakiem i kochała się ze mną. Ona też miała na sobie sukienkę Kumiko. Nie zorientowałem się, kiedy zajęła miejsce Krety Kano. Chciałem coś powiedzieć. Nie wiem co. W każdym razie chciałem coś powiedzieć, lecz miałem w głowie straszny zamęt i nie mogłem wydobyć głosu. Z moich ust wydostała się tylko kula gorącego powietrza. Otworzyłem szeroko oczy i spróbowałem dojrzeć twarz siedzącej na mnie kobiety, ale w pokoju było zbyt ciemno.

Kobieta więcej się już nie odezwała, tylko zaczęła jeszcze bardziej podniecająco poruszać biodrami. Jej miękkie ciało obejmowało mój członek, delikatnie ścisnęła i unosiła, jakby był niezależnym organizmem. Usłyszałem, jak za nią porusza się klamka w drzwiach. A może mi się tylko wydawało, że usłyszałem. Coś załśniło bielą w ciemności. Może to kubełek na lód, w którym odbiło się światło korytarza. A może błysk ostrego noża.

Lecz nie byłem w stanie już o niczym myśleć. I wtedy miałem wytrysk.

Wziąłem prysznic, umyłem się, uprałem w rękach pokrytą nasieniem bieliznę. O rany, pomyślałem. Dlaczego w takim trudnym momencie mam erotyczne sny?

Znów przebrałem się w czyste ubranie, usiadłem na werandzie i patrzyłem na ogród. Widziałem, jak promienie słońca tańczą przesiane przez gęste listowie. Dzięki kilkudniowemu deszczowi jasnozielone chwasty rozrosły się tu i tam, co nadawało ogrodowi lekkie zabarwienie zastoju i stagnacji.

Znowu Kreta Kano. W niewielkim odstępnie czasu miałem dwa sny erotyczne i w obu kochałem się z Kretą Kano. Nigdy nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby się z nią przespać, a mimo to zawsze kocham się z nią w tym pokoju ze snu. Nie rozumiałem, z jakiej przyczyny. I kim właściwie jest ta kobieta od telefonów, która zajęła miejsce Krety Kano? Zna mnie i twierdzi, że ja też ją znam. Przypomniałem sobie po kolei kobiety, z którymi sypiałem, lecz jej wśród nich nie było. Jednak mimo to coś nie dawało mi spokoju i ten fakt mnie irytował.

Zdawało mi się, że jakieś wspomnienie próbuje się wydostać na powierzchnię. Czulem jego niezręczne wysiłki. Wystarczy nawet mała wskazówka. Gdybym tylko mógł uchwycić jedną nitkę, udałoby mi się z łatwością rozplątać całość. Wspomnienie czekało, aż je rozplączę, lecz ja nie mogłem odnaleźć tej jednej cienkiej niteczki.

Wkrótce zrezygnowałem z zastanawiania się. Proszę o wszystkim zapomnieć. Jakby pan spał, jakby pan śnił, jakby pan leżał w ciepłym błocie. Wszyscy powstaliśmy z ciepłego błota i wszyscy się w nie obrócimy.

Telefon nie dzwonił, choć była już szósta i tylko May Kasahara przyszła w odwiedziny. Powiedziała, że ma ochotę na trochę piwa, wyjąłem więc z lodówki schłodzoną puszkę i podzielił się nim po połowie. Ponieważ zgłodniałem, zrobiłem so-



bie kanapkę z szynką i sałatą. Widząc, jak jem, May Kasahara powiedziała, że ma ochotę na to samo, więc jej przygotowałem. W milczeniu jedliśmy kanapki i piliśmy piwo. Czasami spoglądałem na zegar na ścianie.

- Czy w tym domu nie ma telewizora? - zapytała May Kasahara.

- Nie ma - odparłem.

May Kasahara lekko skrzywiła kąciki ust.

- Taaak, tak mi się wydawało. Tu chyba nie ma telewizora, myślałam sobie. Nie lubi pan telewizji?

- Nie to, żebym nie lubił, ale nie odczuwam jej braku.

May Kasahara zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Od ilu lat jest pan żonaty?

- Od sześciu - odpowiedziałem.

- I przez tych sześć lat żyje pan bez telewizji?

- Tak. Najpierw nie starczało nam pieniędzy na telewizor, a potem przywykliśmy do życia bez niego. Cisza i spokój.

- Na pewno był pan szczęśliwy.

- Dlaczego tak myślisz?

May Kasahara skrzywiła się.

- Przecież ja nawet jednego dnia nie mogę przeżyć bez telewizora.

- Dlatego że jesteś nieszczęśliwa?

May Kasahara nie odpowiedziała.

- Ale pani Kumiko nie wraca. Dlatego pan Ptak Nakręcacz nie jest już taki szczęśliwy.

Przytaknąłem i wypilem łyk piwa.

- Tak, może i tak jest. - Może i tak było.

Włożyła do ust papierosa i zapaliła wprawnym ruchem.

- Chciałabym, żeby mi pan zupełnie szczerze odpowiedział. Czy uważa pan, że jestem brzydka?

Odstawiłem szklanekę z piwem i spojrzałem znów na May Kasaharę. Rozmawiałem z nią, ale byłem trochę nieobecny myślami, zastanawiałem się nad czymś innym. Miała na sobie za obs-

zerny czarny podkoszulek bez rękawów i gdy się pochylała, widać było trochę jej dziewczęce piersi.

- Wcale nie jesteś brzydka. Absolutnie nie. Dlaczego w ogóle pytasz o coś takiego?

- Mój chłopak często tak mówił. Jesteś brzydula, masz małe piersi.

- Ten chłopak od wypadku motocyklowego?

- Tak.

Przyglądałem się, jak powoli wypuszcza ustami dym.

- Chłopcy w tym wieku często mówią takie rzeczy. Nie umieją dobrze wyrazić, co czują, i specjalnie mówią albo robią coś wręcz przeciwnego. Potrafią kogoś bez sensu zranić albo w rezultacie sami siebie ranią. W każdym razie wcale nie jesteś brzydka. Uważam, że jesteś bardzo ładna. Nie kłamię ani nie prawię ci komplementów.

May Kasahara przez chwilę zastanawiała się nad tym, co powiedziałem. Strząsnęła popiół z papierosa do puszki po piwie.

- A pana żona jest ładna?

- Hm... sam nie wiem. Niektórzy uważają, że tak, inni, że nie. To sprawa gustu.

- Ahaa - powiedziała May Kasahara.

Potem, jakby znudzona, kilka razy postukała paznokciem o szklanę.

- A co robi ten twój chłopak z motocyklem? Już się z nim nie spotykasz? - zapytałem.

- Nie, już się nie spotykamy - odparła May Kasahara. Lekko dotknęła blizny obok lewego oka. - Już więcej się z nim nie spotkam. Jestem pewna. Pewna na dwieście procent. Mogę się założyć o mały palec u prawej nogi. Ale nie mam teraz ochoty o tym mówić. Jak to się mówi? Że jak się o czymś rozmawia, to staje się to nieprawdą. Wie pan, o co mi chodzi?

- Sądzę, że wiem - powiedziałem.

Potem nagle spojrzełem na telefon w dużym pokoju. Stał na stole i milczał jak zakłęty. Wyglądał jak jakieś stworzenie z głę-

bi morza, które zaczęło się, udając, że go nie ma i czeka, aż w pobliżu pojawi się ofiara.

- Kiedyś panu opowiem o tym chłopaku. Jak będę miała ochotę o tym mówić. Ale teraz nie mogę. Jeszcze wcale nie mam ochoty.

Spojrzała na zegarek.

- No, muszę iść do domu. Dzięki za piwo.

Odprowadziłem ją do ogrodzenia. Księżyc w pełni oblewał ziemię swym gruboziarnistym światłem. Patrząc na niego, przypomniałem sobie, że zbliża się miesiączka Kumiko, lecz być może nie będzie to już ze mną miało jakiegokolwiek związku. Na tę myśl ogarnęło mnie dziwne uczucie, jakby moje ciało wypełniło się jakimś nieznanym płynem. Uczucie to było podobne smutkowi.

May Kasahara położyła rękę na ogrodzeniu i spojrzała na mnie.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, kocha pan panią Kumiko, prawda?

- Myślę, że tak.

- Czy kochałby pan ją nawet, gdyby się okazało, że ma kochankę i z nim odeszła? Czy przyjąłby pan ją z powrotem, jeśli powiedziałyby, że chce do pana wrócić?

Westchnąłem.

- To trudna sprawa. Musiałbym się nad tym zastanowić, gdyby rzeczywiście się tak stało.

- Nie powinnam się wtrącać - powiedziała May Kasahara. Potem lekko westchnęła. - Ale proszę się nie gniewać. Po prostu chciałam tylko wiedzieć, jak to jest, kiedy żona nagle odchodzi. Jest wiele rzeczy, o których nic nie wiem.

- Wcale się nie gniewam - odparłem. Znów spojrzałem na księżyc w pełni.

- No to proszę się trzymać, panie Ptaku Nakręcaczu. Dobrze byłoby, gdyby żona wróciła i wszystko się ułożyło - powiedziała i zadziwiająco lekko przesadziwszy ogrodzenie, zniknęła w mroku letniej nocy.

Po jej odejściu znowu zostałem sam. Siedząc na tarasie, zastanawiałem się nad pytaniami, które zadała. Gdyby Kumiko miała kochanka i gdzieś z nim odeszła, czy mógłbym mimo to przyjąć ją z powrotem? Nie wiedziałem. Naprawdę nie wiedziałem. Nie wiedziałem mnóstwa rzeczy.

Nagle zadzwonił telefon. Wyciągnąłem odruchowo rękę i podniosłem słuchawkę.

- Halo - powiedziała jakaś kobieta. Był to głos Malty Kano. - Mówi Malta Kano. Bardzo przepraszam, że tyle razy zawracam panu głowę telefonami. Czy ma pan na jutro jakieś plany?

Powiedziałem, że nie mam żadnych planów. Planów nie miałem żadnych - na razie.

- W takim razie chciałabym się z panem jutro koło południa spotkać.

- Czy to ma jakiś związek z Kumiko?

- Myślę, że to możliwe - odpowiedziała Malta Kano, starannie dobierając słowa. - Myślę, że obecny będzie także pan Noboru Wataya.

Usłyszawszy to, nieomal upuściłem słuchawkę.

- To znaczy, że spotkamy się i będziemy rozmawiać we trójkę?

- Myślę, że tak - odrzekła Malta Kano. - Jest to w tym przypadku konieczne. Nie mogę panu dokładniej wytłumaczyć przez telefon.

- Rozumiem. Nie szkodzi.

- Czy odpowiadałoby panu o pierwszej w tym samym miejscu, w którym się poprzednio spotkaliśmy? W kawiarni hotelu Shinagawa Pacific?

Powiedziałem, że będę o pierwszej w kawiarni hotelu Shinagawa Pacific, i rozłączyłem się.

O dziesiątej zadzwoniła May Kasahara. Nie miała żadnej sprawy, chciała tylko z kimś porozmawiać. Pogadaliśmy trochę na niezobowiązujące tematy. Na koniec zapytała:

- Panie Ptaku Nakręcaczu, czy ma pan jakieś dobre wiadomości?

- Nie mam dobrych wiadomości - odpowiedziałem. - Żadnych dobrych wiadomości.

### **3. Noboru Wataya opowiada oraz historia o małpach na obrzydliwej wyspie**

Dotarłem do kawiarni dziesięć minut przed umówioną godziną, lecz Noboru Wataya i Malta Kano już na mnie czekali. Było tłoczno, ponieważ to czas południowego posiłku, jednak Malte Kano zauważyłem od razu. Mała kto nosi w pogodne letnie popołudnie czerwony plastikowy kapelusz. I o ile nie miała kilku kapeluszy w tym samym kolorze i kształcie, musiał to być ten kapelusz, który miała na głowie podczas naszego pierwszego spotkania. Tak jak poprzednio ubrana była skromnie i gustownie. Pod biały lniany żakiet z krótkimi rękawami włożyła bawełnianą bluzkę z okrągłym wycięciem pod szyją. I bluzka, i żakiet nie miały ani jednej zmarszczki i były bielusieńkie. Nie nosiła biżuterii ani makijażu. Czerwony plastikowy kapelusz nie pasował do tego stroju ani pod względem stylu, ani materiału. Usiadłem, a ona, jakby tylko na to czekała, zdjęła kapelusz i położyła go na stoliku. Obok kapelusza leżała mała żółta torebka ze skóry. Zamówiła coś wyglądającego na tonik, ale jak przedtem prawie go nie tknęła. Stał więc sobie niezręcznie zawstydzony w wysokiej szklance i puszczał drobne bezcelowe bąbelki.

Noboru Wataya miał zielone okulary przeciwsłoneczne. Zdjął je, gdy usiadłem, i przez chwilę przyglądał się szkłom, a potem znowu nałożył. Pod granatową sportową marynarką miał białą koszulkę polo, która wyglądała na zupełnie nową. Stała przed nim mrożona herbata, ale on też prawie jej nie pił.

Zamówiłem kawę i wypłem łyk zimnej wody.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Noboru Wataya sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zauważył mojego przybycia. Chcąc się upewnić, że nie stałem się niewidzialny, położyłem dłoń na

stole i kilka razy obróciłem. Wkrótce przyszedł kelner, postawił przede mną filiżankę i nalał z dzbanka kawy. Gdy odszedł, Malta Kano odchrząknęła parę razy, jakby sprawdzała działanie mikrofonu, lecz nic nie powiedziała.

Pierwszy odezwał się Noboru Wataya.

- Ponieważ nie mam zbyt wiele czasu, rozmawiajmy możliwie wprost i bez ogródek - powiedział. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że mówi do stojącej na środku stolika cukierniczki z nierdzewnej stali, lecz oczywiście zwracał się do mnie. Mówił do cukierniczki, ponieważ znajdowała się akurat wygodnie na stole pomiędzy nami.

- O czym mamy rozmawiać wprost i bez ogródek? - zapytałem bez ogródek.

Noboru Wataya zdjął w końcu okulary, położył na stole, a potem spojrział na mnie. Ostatni raz rozmawiałem z nim ponad trzy lata temu, lecz teraz nie miałem wcale wrażenia, że długo się nie widzieliśmy, pewnie dlatego, że często jego zdjęcia pojawiały się w telewizji i czasopiśmie. Pewnego typu informacje przenikają do naszej świadomości jak dym i stają nam przed oczami bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie, czy ich poszukujemy, czy nie.

Lecz teraz gdy siedziałem obok niego, zauważyłem, że jego twarz bardzo się przez te trzy lata zmieniła. Dawny tępy wyraz jakby martwego zastoju został zepchnięty gdzieś w głąb i zasłoniło go coś wypolerowanego i sztucznego. Innymi słowy, Noboru Wataya znalazł nową, bardziej wyrafinowaną maskę, która była naprawdę dobrze zrobiona. Może nawet stała się jego nową skórą. Jednak bez względu na to czy była to maska, czy skóra, nawet ja musiałem przyznać, że to coś miało w sobie pewien urok. Poczuję się zupełnie, jakbym oglądał telewizję. Mówił jak ludzie występujący w telewizji i poruszał się jak ludzie występujący w telewizji. Czułem, że przez cały czas dzieli nas tafla szkła. Ja jestem po tej stronie, a on po tamtej.

- Jak się na pewno domyślasz, mamy rozmawiać o Kumiko -

powiedział Noboru Wataya. - O tym, co z wami dalej będzie. Z tobą i z Kumiko.

- Co konkretnie ma znaczyć „co z nami dalej będzie”? - zapytałem.

Podniosłem filiżankę i wypilem łyk kawy.

Noboru Wataya wpatrywał się we mnie oczami zadziwiająco pozbawionymi wyrazu.

- Co ma znaczyć? Przecież taki stan nie może trwać wiecznie. Kumiko odeszła do innego mężczyzny, a ty zostałeś sam. Taka sytuacja nikomu nie służy.

- Do innego mężczyzny? - powtórzyłem.

- Chwileczkę, proszę zaczekać - wtrąciła się Malta Kano. - Trzeba rozmawiać po kolei. Panie Wataya, panie Okada, rozmawiajmy po kolei.

- Nie bardzo rozumiem. Nie ma tu żadnej kolejności - powiedział Noboru Wataya lodowatym głosem. - Gdzie w tej rozmowie jest jakaś kolejność?

- Niech mu pani pozwoli najpierw się wypowiedzieć - zwróciłem się do Malty Kano - a potem razem ustalimy jakąś odpowiednią kolejność. Jeżeli oczywiście coś takiego istnieje.

Malta Kano przyglądała mi się chwilę z lekko zaciśniętymi ustami, lecz wkrótce przytaknęła.

- Dobrze. W takim razie, panie Wataya, proszę mówić.

- W życiu Kumiko był inny mężczyzna. Odeszła razem z nim. Co do tego nie ma wątpliwości. Skoro tak, nie ma przecież sensu ciągnąć tego małżeństwa. Na szczęście nie macie dzieci, w świetle wszystkich okoliczności nie będzie też potrzebne negocjowanie sumy za straty moralne, więc wszystko można szybko załatwić. Wystarczy, że usunie się nazwisko Kumiko z twego rejestru rodzinnego\*. Podpiszecie dokumenty przygotowane przez prawnika, przybijecie pieczętąki i na tym koniec. Na wszel-

---

\* Rejestry rodzinne - system rejestracji urodzin, zgonów, małżeństw itp. Po zawarciu małżeństwa kobieta wpisywana jest do rejestru rodzinnego męża, będącego głową rodziny, a po rozwodzie zostaje z niego usunięta

ki wypadek podkreśliłam też, że to, co mówię, to ostateczne stanowisko rodziny Wataya.

Z założonymi rękami zastanawiałem się przez chwilę nad tym, co powiedział.

- Mam kilka pytań. Po pierwsze, skąd wiesz, że Kumiko ma innego mężczyznę?

- Bo Kumiko sama mi o tym powiedziała - odparł Noboru Wataya.

Nie wiedziałem, co ja mam powiedzieć, więc milczałem przez chwilę, położywszy ręce na stoliku. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Kumiko miałyby mu się zwierzać z takich osobistych spraw.

- To było jakiś tydzień temu. Kumiko zadzwoniła i powiedziała, że chce ze mną o czymś porozmawiać - powiedział Noboru Wataya. - Spotkaliśmy się więc i rozmawialiśmy. Powiedziała mi wyraźnie, że spotyka się z jakimś mężczyzną.

Po raz pierwszy od długiego czasu chciało mi się zapalić, ale oczywiście nie miałem papierosów. Zamiast tego wypilem więc łyk kawy, a potem odstawiłem filiżankę na spodeczek. Rozległo się głośne suche stuknięcie.

- I Kumiko odeszła - dodał.

- Rozumiem - powiedziałem. - Skoro tak mówisz, prawdopodobnie tak jest. Kumiko miała kochanka. I poszła się ciebie w tej sprawie poradzić. Jeszcze trudno mi w to uwierzyć, ale nie sądzę, żebyś mnie w takiej sprawie specjalnie okłamywał.

- Oczywiście, że nie kłamię - powiedział Noboru Wataya.

W kąciu jego ust czaił się nawet uśmiech.

- I tylko tyle chciałeś mi powiedzieć? Kumiko ma kochanka, odeszła z nim, więc zgódź się na rozwód?

Noboru Wataya przytaknął raz lekko, jakby oszczędzał siły.

- Pewnie wiesz, że od początku nie apróbowałem twojego małżeństwa z Kumiko. Uważałem, że to nie moja sprawa, więc się nie wtrącałem, ale teraz widzę, że może powinienem był się zdecydowanie sprzeciwić - powiedział. Wypił łyk wody i cicho



odstawił szklanę na stolik, a potem mówił dalej. - Od pierwszego spotkania nie wiązałem z tobą wielkich nadziei. Nie zauważyłem w tobie żadnych konstruktywnych elementów, które pozwoliłyby ci do czegoś dojść albo zrobić z ciebie człowieka, jak się patrzy. Nie było w tobie błyskotliwości, nie było nic, co chciałoby zabłysnąć. Pomyślałem, że wszystko, co zrobisz, będzie połowiczne, że niczego nie uda ci się osiągnąć. I tak się stało w rzeczywistości. Minęło sześć lat od waszego ślubu. I co ty robiłeś przez ten czas? Nic, prawda? Przez tych sześć lat zrobiłeś tylko dwie rzeczy: zrezygnowałeś z pracy i skomplikowałeś jeszcze bardziej życie Kumiko. Teraz nie masz pracy, nie masz też żadnych planów, nie wiesz, co chciałbyś robić. Mówiąc dosadnie, w głowie masz prawie wyłącznie siano.

Do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego Kumiko się z tobą związała. Może zainteresowało ją to siano w twej głowie. Ale w końcu siano to tylko siano. W sumie od początku do siebie nie pasowaliście. Kumiko też miała swoje problemy. Z powodu pewnych okoliczności w dzieciństwie była nieco skrzywiona. I pewnie właśnie przez to na pewien czas się tobą zainteresowała. Lecz to już minęło. Tak czy inaczej, ponieważ tak się stało, lepiej to szybko rozwiązać. Ja z rodzicami zajmujemy się kwestią Kumiko. Ty się już więcej nie wtrącaj. Ani jej nie szukaj. To już nie jest twoja sprawa. Jeżeli będziesz się dalej wtrącał, tylko wszystko jeszcze bardziej skomplikujesz. Lepiej, żebyś gdzie indziej rozpoczął jakieś odpowiednie dla siebie życie. Tak będzie korzystniej dla obu stron.

Chcąc pokazać, że skończył mówić, Noboru Wataya dopił wodę ze szklanki, wezwał kelnera i kazał sobie dolać świeżej.

- Masz jeszcze coś do powiedzenia? - zapytałem.

Znów lekko pokręcił przecząco głową.

- No to - zwróciłem się do Malty Kano. - No to gdzie tu teraz mamy kolejność?

Malta Kano wyjęła z torebki małą, białą chusteczkę i otarła nią usta. Potem podniosła ze stolika czerwony plastikowy kape-

lusz i położyła go na torebce.

- Myślę, że to musi być dla pana szok - zaczęła. - Mnie samej bardzo ciężko jest siedzieć tu z panem i prowadzić taką rozmowę. Na pewno pan to rozumie.

Noboru Wataya spojrział na zegarek, by się upewnić, że on traci cenny czas, a ziemia dalej się kręci.

- Dobrze - powiedziała Malta Kano. - Rozmawiajmy bez ogródek, wprost. Pana żona najpierw spotkała się ze mną. Przyszła do mnie po radę.

- Z mojego polecenia - wtrącił się Noboru Wataya. - Kumiko potrzebowała rady w sprawie kota i to ja przedstawiłem jej panią Kano.

- Czy to było przed moim spotkaniem z panią czy po nim? - zapytałem.

- Przed - odparła.

- To znaczy - powiedziałem - jeżeli wszystko ustawić chronologicznie, było tak: Kumiko dowiedziała się o pani istnieniu od pana Noboru Watai. Przyszła do pani po radę w sprawie zaginionego kota. Później, nie wiem z jakiej przyczyny, zataiła przede mną fakt, że panią zna i kazała mi się z panią spotkać. Spotkałem się z panią tutaj i rozmawialiśmy. Tak było, prawda?

- Mniej więcej tak - odrzekła Malta Kano niechętnie. - Najpierw to było po prostu poszukiwanie kota, lecz ja czułam, że kryje się za nim coś głębszego i dlatego chciałam się z panem spotkać. Pomyślałam, że chcę się sama z panem spotkać i porozmawiać. Potem musiałam jeszcze raz zobaczyć się z pana żoną i porozmawiać o różnych głębszych, osobistych sprawach.

- I wtedy Kumiko zwierzyła się pani, że ma kochanka.

- Właściwie można tak powiedzieć. Sytuacja nie pozwala mi dodać nic więcej - powiedziała Malta Kano.

Westchnąłem. Oczywiście wzdychanie nic nie pomoże, ale nie mogłem się powstrzymać.

- Czy Kumiko od dawna widywała się z tym mężczyzną?

- Myślę, że mniej więcej od dwóch i pół miesiąca.

- Od dwóch i pół miesiąca - powtórzyłem. - Dlaczego ja się przez dwa i pół miesiąca w niczym nie zorientowałem?

- Dlatego, że pan żony o nic nie podejrzewał - odparła Malta Kano.

Przytaknąłem.

- Rzeczywiście tak było. Nigdy nie podejrzewałem jej o nic takiego. Nie przypuszczałem, że będzie w stanie tak kłamać i nawet teraz trudno mi w to uwierzyć.

- Umiejętność pełnego ufania komuś bez względu na rezultaty to jedna z właściwych stron natury ludzkiej - powiedziała do mnie Malta Kano.

- Nie jest to łatwe - dodał Noboru Wataya.

Przyszedł kelner i dolał mi kawy. Przy sąsiednim stoliku młoda kobieta roześmiała się głośno.

- A więc jaki jest cel tego spotkania? - zapytałem Noboru Watayę. - Po co się tu we troje zebraliśmy? Czy po to, bym zgodził się na rozwód z Kumiko? Czy też może jest jakiś inny głębszy cel? To, co powiedziałaś, wydaje się na pierwszy rzut oka logiczne, ale ważne aspekty są dwuznaczne, niejasne. Mówisz, że Kumiko ma kochankę i dlatego odeszła z domu. Ale dokąd poszła? Gdzie jest i co robi? Czy odeszła sama czy z tym mężczyzną? Dlaczego się ze mną nie kontaktuje? Jeżeli ma kogoś innego, chciałbym to od niej usłyszeć, inaczej nie uwierzę. Nic na to nie poradzę. Rozumiesz? Ta sprawa dotyczy mnie i Kumiko. Porozmawiamy i zdecydujemy. Ty nie powinienes się wtrącać.

Noboru Wataya odsunął na bok nietkniętą mrożoną herbatę.

- Przyszliśmy tu, żeby cię p o w i a d o m i ć. To ja poprosiłem panią Kano o przyjęcie. Myślałem, że lepiej będzie, jeżeli przy naszej rozmowie obecna będzie osoba trzecia. Nie wiem, kim jest kochanek Kumiko ani gdzie ona teraz jest. Jako osoba dorosła postępuje, jak jej się podoba. Nawet gdybym wiedział, gdzie jest, nie powiedziałbym ci. Nie kontaktuje się z tobą, bo nie chce z tobą rozmawiać.

- Co ona ci właściwie powiedziała? - zapytałem. - Myślałem,

że nie jesteście specjalnie zżyci.

- Jeżeli z tobą jest tak zżyta, to dlaczego śpi z innymi mężczyznami? - rzucił Noboru Wataya.

Malta Kano chrząknęła lekko.

- Kumiko powiedziała, że jest związana z innym mężczyzną. Mówiła też, że chciałaby uporządkować różne sprawy. Poradziłem jej, żeby się rozwiodła. Powiedziała, że się nad tym zastanowi - wyrecytował Noboru Wataya.

- To wszystko? - zapytałem.

- A czego więcej byś chciał?

- Za nic nie mogę tego zrozumieć - powiedziałem. - Nie mogę uwierzyć, że Kumiko poszłaby do ciebie po radę w takich sprawach. W czymś tak ważnym nie radziłaby się kogoś takiego jak ty. Sama by się nad tym zastanawiała. Albo zwróciłaby się bezpośrednio do mnie. Czy przypadkiem nie chciała rozmawiać o czymś innym? O czymś, o czym musielibyście rozmawiać w cztery oczy?

Noboru Wataya lekko się uśmiechnął. Tym razem był to wątyły, zimny uśmieszek, jak rogalik księżycyca na bledniejącym niebie.

- To się nazywa wpaść we własne sidła - powiedział cicho, lecz wyraźnie.

- Wpaść we własne sidła - powtórzyłem na próbę.

- No tak. Inny facet śpi z twoją żoną, do tego żona odeszła od ciebie, a ty próbujesz zwalić winę na innych. Nigdy nie słyszałem czegoś równie głupiego. Przecież ja tu nie przyszedłem dlatego, że chciałem. Musiałem przyjść. To czysta strata czasu. Jakbym wyrzucał czas w błoto.

Gdy skończył mówić, zapadło głębokie milczenie.

- Znasz historię o małpach na obrzydliwej wyspie? - zapytałem Noboru Watayę.

Bez zainteresowania potrząsnął głową.

- Nie znam.

- Gdzieś bardzo daleko jest obrzydliwa wyspa. Nie ma nazwy.

Nie jest warta tego, żeby jej nadawać imię. Jest to obrzydliwa wyspa o obrzydliwym kształcie. Rosną na niej obrzydliwe palmy. Te palmy wydają owoce o obrzydliwym zapachu, ale mieszczą tam obrzydliwe małpy, które lubią jeść owoce o obrzydliwym zapachu. Potem produkują obrzydliwe gówno. To gówno spada na ziemię, czyniąc ziemię obrzydliwą, a rosnące na niej obrzydliwe palmy stają się jeszcze obrzydlwsze. I tak się to kręci.

Dopiłem resztkę kawy.

- Patrząc na ciebie, nagle przypomniałem sobie opowieść o tej obrzydliwej wyspie - powiedziałem. - Chcę przez to powiedzieć, że pewnego typu obrzydliwość, pewien rodzaj stagnacji, pewnego rodzaju złe cechy mnożą się szybko same z siebie, cyklicznie. A kiedy miną pewien punkt, nikt nie może ich już powstrzymać. Nawet jeżeli chce to powstrzymać osoba, której to dotyczy.

Na twarzy Noboru Watai nie malował się żaden wyraz. Uśmiech zniknął, lecz nie było śladu irytacji, tylko między brwiami pojawiła się zmarszczka. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy zawsze tam była.

Mówiłem dalej.

- Słuchaj, ja wiem, jakim jesteś naprawdę człowiekiem. Mówisz, że przywodzę ci na myśl siano. I myślisz, że gdyby ci przyszła ochota, roztarcie mnie na proch byłoby dla ciebie dziecinną zabawą. Ale sprawy nie są aż takie proste. Być może rzeczywiście z punktu widzenia twojego systemu wartości przypominam siano, lecz nie jestem aż taki głupi, jak myślisz. Dobrze wiem, co znajduje się pod tą twoją maską, którą pokazujesz telewizji i światu. Wiem, jaka kryje się pod nią tajemnica. Kumiko wie i ja wiem. Jeżeli będę miał ochotę, mogę ją wyjawić. Wyciągnąć na światło dzienne. Zabierze to być może trochę czasu, lecz mogę to zrobić. Może jestem nikim, ale przynajmniej nie jestem workiem piasku. Jestem żywym człowiekiem. Gdy mnie ktoś uderzy, oddaję. Lepiej to sobie zapamiętaj.

Noboru Wataya, nic nie mówiąc, przyglądał mi się z tą pozabawioną wyrazu twarzą, która wyglądała jak odłamek skały unoszący się w przestrzeni. Moje słowa były prawie zupełnym blefem. Nic nie wiedziałem o tajemnicach Noboru Watai. Wyobrażałem sobie, że musi w nim być coś głęboko wypaczonego, ale nie wiedziałem, co to konkretnie jest. Zdawało się jednak, że moje słowa jakoś go dotknęły. Ich efekt był wyraźnie widoczny na jego twarzy. Nie zareagował tak, jak reagował zawsze w telewizyjnych dyskusjach: nie zaczął mnie wyśmiewać, łapać za słowa, doszukiwać się chytrze dziury w całym. Siedział tylko w zupełnym bezruchu i milczał.

Ale z jego twarzą zaczęło się dziać coś dziwnego. Stawała się czerwona w przedziwny sposób. Pojawiły się na niej gdzieś krwistoczerwone placki, a gdzieś indziej różowe, pozostałe zaś fragmenty były dziwnie blade. Przypomniało mi to las mieszany z dowolnie rozmieszczonymi drzewami liściastymi i wiecznie zielonymi, który jesienią pokrywa się nieregularnymi plamami barw.

Wkrótce Noboru Wataya bez słowa wstał z krzesła i nałożył okulary przeciwsłoneczne. Jego twarz nadal pokrywały przedziwne plamy. Zdawało się, że zostaną tam na zawsze. Malta Kano nie odzywała się, siedziała bez ruchu. Przybrałem obojętny wyraz twarzy. Wydawało mi się, że Noboru Wataya chce mi coś powiedzieć, lecz najwyraźniej w końcu zrezygnował. W milczeniu oddalił się od stolika i zniknął.

Po jego odejściu Malta Kano przez pewien czas milczała. Byłem strasznie zmęczony. Przyszedł kelner i zapytał, czy chciałbym więcej kawy. Powiedziałem nie. Malta Kano podniosła ze stołu czerwony kapelusz i przyglądała mu się ze dwie czy trzy minuty. Potem odłożyła go na krzesło.

W ustach czułem gorycz. Próbowalem się jej pozbyć, pijąc wodę ze szklanki, lecz gorzki smak pozostał.

Po pewnym czasie odezwała się Malta Kano:

-Trzeba czasem dać upust uczuciom. Jeżeli się tego nie robi,

zatrzymuje się wewnętrzny nurt. Powiedział pan, co leżało panu na sercu, i czuje się pan lepiej, prawda?

- Trochę lepiej - odparłem. - Ale niczego nie rozwiązałem. Niczego nie doprowadziłem do końca.

- Nie lubi pan pana Noboru Watai.

- Za każdym razem, gdy z nim rozmawiam, mam poczucie straszliwej pustki. Wszystko dokoła zaczyna mi się wydawać pozbawione prawdziwej treści. Wszystko, co widzę, zdaje mi się puste. Nie potrafię dokładnie oddać tego słowami i wyjaśnić przyczyny. I dlatego czasami mówię i robię rzeczy, które są do mnie niepodobne. A potem czuję się okropnie z tego powodu. Byłbym bardzo szczęśliwy, nie widząc go nigdy więcej.

Malta Kano kilkakrotnie potrząsnęła głową.

- Niestety, spotka się pan z nim jeszcze wiele razy. Nie da się tego uniknąć.

Pomyślałem, że pewnie ma rację. Prawdopodobnie nie uda się tak łatwo zerwać z nim stosunków.

Podniosłem ze stołu szklankę i wypilem jeszcze łyk wody. Skąd się bierze ten nieprzyjemny smak?

- A propos, chciałbym panią o coś zapytać. Właściwie po czyjej stronie stoi pani w tej sprawie? Po stronie Noboru Watai czy po mojej?

Malta Kano oparła łokcie na stole i złożyła dłonie.

- Nie jestem po żadnej stronie - powiedziała. - Dlatego, że w tej sprawie nie ma stron. Takie rzeczy nie istnieją. To nie jest coś, co ma górę, dół, prawo, lewo, przód i tył.

- Brzmi to jak zen. Ciekawe jako system myślenia, ale nic się za jego pomocą nie da wyjaśnić.

Skinęła głową. Potem rozsunęła złożone przed sobą dłonie na jakieś pięć centymetrów, nachyliła je pod pewnym kątem i skierowała ku mnie. Były drobne i kształtne.

- Rzeczywiście to, co mówię, wydaje się bez związku. I zrozumiałe, że to pana złości. Ale gdybym teraz coś panu powiedziała, prawdopodobnie w rzeczywistości do niczego by się to nie

przydało, a nawet wręcz przeciwnie, mogłoby coś zepsuć. Jest to coś, co musi pan zdobyć o własnych siłach, własnymi rękami.

- Jak w Wild Kingdom - powiedziałem, uśmiechając się. - Oddać, gdy ktoś mnie uderzy.

- Właśnie tak - powiedziała Malta Kano. - O to chodzi. - Po-tem lekko ujęła w dłonie torebkę, nałożyła czerwony plastikowy kapelusz. Robiła to delikatnie, jakby zbierała przedmioty należą-  
ce do zmarłego. Gdy włożyła kapelusz, doznałem przedziwnie namacalnego uczucia, że na tym zakończył się pewien etap.

Po odejściu Malty Kano przez długi czas siedziałem nieruc-homo, o niczym nie myśląc. Zupełnie nie przychodziło mi do głowy, dokąd miałbym pójść i co robić po wstaniu. Jednak nie mogłem wiecznie tu siedzieć. Po dwudziestu minutach zapłaci-łem rachunek za trzy osoby i wyszedłem z kawiarni. W końcu żadne z nich za siebie nie zapłaciło.

#### **4. O utraconej lasce i o prostytutce świadomości**

Po powrocie do domu zajrzałem do skrzynki i znalazłem w niej gruby list. Od porucznika Mami. Tak jak poprzednio na ko-percie widniały pięknie wykaligrafowane pędzlem moje nazwis-ko i adres. Przebrałem się, umyłem w łazience twarz, poszedłem do kuchni i wypilem dwie szklanki zimnej wody. Odpocząłem chwilę, a dopiero potem otworzyłem list.

Porucznik Mamiya pisał wiecznym piórem na cienkim papier-ze listowym, litery były drobne. List musiał mieć około dziesi-ęciu stron. Przerzuciłem kilka kartek, złożyłem i wsunąłem z po-wrotem do koperty. Byłem trochę zbyt zmęczony na czytanie ta-kiego długiego listu, nie mogłem się też skupić. Gdy przebiega-łem go wzrokiem, rzadki liter przywiodły mi na myśl rój dziw-nych niebieskich owadów. Poza tym w myślach słyszałem jesz-cze echo słów Noboru Watai.

Położyłem się na kanapie i leżałem przez dłuższy czas z za-mkniętymi oczami, o niczym nie myśląc. Nie było to zbyt trud-ne. Wystarczy myśleć po trochu o różnych rzeczach i po kolei



przesuwać je w próżnię.

W końcu przed piątą zdecydowałem się przeczytać list. Usiadłem na tarasie, oparłem się wygodnie i wyjąłem list z koperty.

Pierwszą stronę zajmowały długie konwencjonalne zdania dotyczące pogody, podziękowania za miłe przyjęcie i przeprosiny za to, że się zasiedział i zanudzał mnie długimi opowieściami. Porucznik Mamiya jest niezwykle dobrze wychowany. Pochodzi z epoki, w której dobre maniery stanowiły ważną część codziennego życia. Preczytałem te fragmenty pobieżnie i przeszedłem do następnej strony.

Bardzo przepraszam za ten długi wstęp. Powodem, dla którego pozwałam sobie jeszcze raz zawrócić Panu głowę, nawet mając świadomość, że to z mojej strony wielka niegrzeczność, jest fakt, że pragnąłbym zapewnić Pana, iż wydarzenia, o których opowiadałem, nie są wymysłem i pozbawionymi ładu i składu wspominkami starego człowieka, lecz całkowitą i szczerą prawdą we wszystkich szczegółach. Jak Pan wie, od zakończenia wojny minęło już dużo czasu i wraz z jego upływem naturalnie zmieniają się wspomnienia. Wspomnienia i myśli starzeją się tak samo jak ludzie. Lecz są wśród nich takie, które nie starzeją się nigdy. Wspomnienia, które nie bledną.

Nigdy przedtem nikomu poza Panem o tym nie opowiedziałem. Prawdopodobnie dla większości ludzi ta opowieść brzmiałaby jak absurdalny wymysł. Wiele osób ignoruje i pomija milczeniem sprawy niemieszczące się w ich sferze pojmowania, uznając je za nieracjonalne i niewarte zastanowienia. Ja ze swej strony myślę, jakby to było dobrze, gdyby ta historia była naprawdę jedynie absurdalnym wymysłem. Dożyłem do dzisiaj, chwytając się cienkiej niteczki nadziei, że wszystko to tylko mi się wydawało, że były to po prostu przywidzenia czy sny. Wiele razy próbowałem sam siebie przekonać. To przywidzenia, mnie się to tylko wydawało. Lecz zawsze, gdy próbowałem zepchnąć te wspomnienia w jakiś ciemny kąt, powracały jeszcze silniejsze i wyraźniejsze. Zapuściły korzenie w mojej świadomości i jak

komórki rakowe zaczęły pożerać ciało.

Nawet teraz potrafię sobie przypomnieć te wydarzenia, jedno po drugim, wyraźnie i wiernie, zupełnie jakby to było wczoraj. Mogę nieomal wziąć do ręki trawę lub piasek i poczuć ich zapach, przypomnieć sobie kształt chmur na niebie. Zdarza się, że czuję na policzkach suchy wiatr z odrobinami piasku. Wydaje mi się raczej, że wszystko, co później zdarzyło się w moim życiu, było nierealnym przywidzeniem na pograniczu snu. Podstawy mego życia, które kiedyś do mnie należały, zostały na tej bezkresnej i pustej mongolskiej równinie zamrożone i wypalone. Potem straciłem rękę w zażartej walce z radzieckimi jednostkami pancernymi, które przekroczywszy granicę, zaatakowały. Przeszedłem niewyobrażalne trudy w obozie na lodowatej Syberii, następnie wróciłem do kraju i prawie przez trzydzieści lat pracowałem spokojnie jako nauczyciel w wiejskiej szkole, a teraz żyję sam, zajmując się uprawą ziemi. Lecz wszystkie te lata i miesiące jawią mi się jedynie jako złudzenie. Wcale nie czułem, jak upływały. Moje wspomnienia przelatują nad tymi przypominającymi pustą skorupę latami i miesiącami i wracają prosto na dzikie pustkowia Hulunbuir. Sądzę, że przyczyna, dla której moje życie zostało tak zmarnowane, powód, że zamieniło się w pustą skorupę, kryje się w owym świetle widzianym w studni. W tym intensywnym świetle słonecznym przez dziesięć czy dwadzieścia sekund świecącym prosto na dno. Pojawiło się tylko raz w ciągu dnia nagle i bez uprzedzenia, by prawie natychmiast zniknąć. Jednak ja w ciągu tego nader krótkiego czasu zobaczyłem w powodzi światła coś, czego zwykle nie udaje się ludziom zobaczyć przez całe życie. Po ujrzeniu tego stałem się zupełnie innym człowiekiem.

Mimo że minęło już ponad czterdzieści lat, nadal nie mogę dokładnie zrozumieć znaczenia tego, co zdarzyło się na dnie studni i dlatego to, co teraz napiszę, jest jedynie hipotezą. Nie opiera się ona na żadnych logicznych podstawach, lecz w tej chwili jest najbliższa prawdziwego znaczenia moich doświadc-

zeń.

Zostałem wrzucony przez żołnierzy mongolskich do głębokiej ciemnej studni, znajdującej się pośrodku wielkiej równiny. Zraniłem sobie nogę i ramię, nie miałem wody ani pożywienia i czekałem tylko na śmierć. Przedtem widziałem, jak człowiek zostaje żywcem obdarty ze skóry. Z powodu tych nietypowych okoliczności moja świadomość była niezwykle skupiona i kiedy zaświeciło to intensywne światło, przez chwilę udało mi się dotrzeć do samego jej jądra. W każdym razie zobaczyłem, co się tam znajduje. Wszystko wokół mnie oblewa oślepiające światło. Jestem w samym środku świetlnej powodzi. Moje oczy nic nie widzą. Jestem całkowicie obłany światłem. Jednak coś dostrzegam. Mimo tej tymczasowej ślepoty widzę, jak coś próbuje przybrać kształt. Coś. Coś obdarzone życiem. W jasności to coś unosi się ciemnym cieniem, zupełnie jak w czasie zaćmienia Słońca. Jednak nie mogę tego wyraźnie dostrzec. To coś próbuje się do mnie zbliżyć. Próbuje mnie obdarzyć jakąś łaską. Czekam drżący. Jednak to coś w końcu do mnie nie dotarło. Nie wiem, czy zmieniło zamiar, czy też zabrakło mu czasu. Już przybrało nieomal wyraźny kształt, gdy nagle roztopiło się i znów zniknęło w świetle, które wkrótce zbladło. Skończył się jego czas.

To samo zdarzyło się następnego dnia. W zalanej światłem studni coś próbowało przybrać kształt i zniknęło, zanim mu się to udało. Umierałem z głodu i pragnienia. Było to wyjątkowe cierpienie, jednak w końcu okazało się, że nie miało wielkiego znaczenia. Najbardziej bolało to, że nie mogłem dostrzec w świetle kształtu czegoś. Był to głód ujrzenia tego, czego nie mogłem ujrzyć, i pragnienie poznania tego, czego nie mogłem poznać. Myślałem, że chętnie umarłbym tam z głodu i pragnienia, gdyby tylko udało mi się wyraźnie to ujrzyć. Naprawdę tak myślałem. Byłem gotów poświęcić wszystko za cenę zobaczenia.

Jednak nie zostało mi to dane. Wszystko skończyło się, zanim obdarzono mnie łaską. I tak jak wcześniej powiedziałem, po wyjściu ze studni moje życie stało się pustą skorupą. Dlatego

też, gdy przed samym końcem wojny armia radziecka zaatakowała Mandżurię, na własną prośbę zostałem wysłany na front. W syberyjskim obozie też specjalnie szukałem trudnych sytuacji, a jednak żadnym sposobem nie udawało mi się umrzeć. Tak jak przepowiedział tamtej nocy kapral Honda, pisane mi było wrócić do Japonii i żyć zadziwiająco długo. Pamiętam, że byłem szczęśliwy, kiedy mi to powiedział, ale okazało się to raczej czymś w rodzaju przekleństwa. Nie chodziło o to, że nie miałem umrzeć, ja nie mogłem umrzeć. I tak jak twierdził kapral Honda, lepiej byłoby, gdybym o tym nie wiedział.

A to dlatego, że gdy utraciłem objawienie i łaskę, utraciłem też własne życie. To, co niegdyś było we mnie żywe i dzięki temu posiadało jakąś wartość, wszystko umarło. Spłonęło w tym oślepiającym świetle i zamieniło się w popiół. Prawdopodobnie żar wydzielany przez owo objawienie czy łaskę spalił do szczytu moje człowieczeństwo. Nie miałem siły, by przeciwstawić się temu żarowi. Dlatego nie boję się śmierci. Jej nadejście byłoby dla mnie raczej wybawieniem. Wyzwoliłaby mnie na zawsze od cierpienia bycia sobą, od tego więzienia, z którego nie ma ucieczki.

Znowu się rozgadałem. Proszę mi wybaczyć. Tak naprawdę chciałbym Panu przekazać następującą rzecz: jestem człowiekiem, który w pewnym momencie stracił własne życie i przeżył z tym utraconym życiem ponad czterdzieści lat. I jako człowiek, który znalazł się w takim położeniu, myślę, że życie jest o wiele bardziej ograniczone, niż się wydaje ludziom będącym w jego wirze. Światło świeci w życiu jedynie przez bardzo krótki czas. Może tylko przez kilkanaście sekund. Jeżeli ten czas minie i jeżeli człowiek nie zdąży znaleźć danego mu objawienia, nie będzie już miał powtórnej okazji. I być może przyjdzie mu spędzić resztę życia w głębokiej samotności i żalu, od których nie ma ucieczki. Żyjąc w takim świecie mroku, człowiek nie może się już niczego spodziewać. W dłoniach trzyma się jedynie żalosne szczątki tego, co mogło być.

W każdym razie bardzo cieszę się, że miałem okazję Pana poznać i opowiedzieć Panu o tym. Nie jestem pewien, czy ta historia do czegoś Panu się przyda, lecz mam wrażenie, że podzieliwszy się nią z Panem, zostałem w jakiś sposób uratowany. Jest to bardzo niewielki ratunek, ale dla mnie cenny jak skarb. I trudno wątpić, że był w tym palec losu, że ratunek ten przywieziony został za pośrednictwem pana Hondy. Modlę się cicho, aby Pana życie było dalej szczęśliwe.

Jeszcze raz przeczytałem list powoli od początku do końca, a potem włożyłem z powrotem do koperty.

List porucznika Mamii poruszył moje serce, lecz mimo to przywiódł mi na myśl jedynie dalekie mgliste obrazy. Wierzyłem i przyjmowałem to, co mówił. Skoro on twierdził, że coś było faktem, mogłem to za fakt przyjąć. Jednak słowa takie jak „fakt” czy „prawda” nie miały dla mnie obecnie zbyt wielkiej siły przekonywania. Najbardziej poruszyła mnie zawarta w słowach listu frustracja, że choć próbuje, nie udaje mu się opisać, choć się stara, nie udaje mu się wytłumaczyć.

Poszedłem do kuchni, napiłem się wody, potem łąziłem to tu, to tam po domu. Wszedłem do sypialni i usiadłszy na łóżku, przyglądałem się wiszącym w szafie ubraniom Kumiko. Zastanawiałem się, jakie życie właściwie do tej pory wiodłem. Dobrze rozumiałem, co mówił Noboru Wataya. Zezłościłem się, gdy usłyszałem, ale na dobrą sprawę miał rację.

„Minęło sześć lat od waszego ślubu. I co ty robiłeś przez ten czas? Przez tych sześć lat zrobiłeś tylko dwie rzeczy: zrezygnowałeś z pracy i skomplikowałeś jeszcze bardziej życie Kumiko. Teraz nie masz pracy, nie masz też żadnych planów, nie wiesz, co chciałbyś robić. Mówiąc dosadnie, w głowie masz prawie wyłącznie siano” - powiedział Noboru Wataya. Musiałem mu przyznać słuszność. Obiektywnie biorąc, nie zrobiłem przez tych sześć lat prawie nic znaczącego, w głowie miałem pewnie coś bardzo podobnego do siana. Byłem zerem. Miał rację.

Ale czy rzeczywiście jeszcze bardziej skomplikowałem życie

Kumiko?

Długo patrzyłem na wiszące w szafie sukienki, bluzki i spódnice. Były to cienie, które po sobie zostawiła. Wisiały bezradne po stracie właścicielki. Potem poszedłem do łazienki, wyjąłem z szuflady wodę toaletową Diora i odkorkowałem flakon. Powąchałem i poczułem zapach, który unosił się za uszami Kumiko rano, w dniu jej odejścia. Powoli wylałem całą zawartość do umywalki. Spłynęła do otworu odpływowego i łazienkę wypełnił silny zapach kwiatów (za nic nie mogłem sobie przypomnieć, jak się nazywały), gwałtownie pobudzając wspomnienia. Owiany intensywnym zapachem, umyłem twarz, wyszorowałem zęby. Potem postanowiłem pójść odwiedzić May Kasaharę.

Jak zwykle stanąłem w uliczce za domem Miyawakich i czekałem na pojawienie się May Kasahary, lecz nie pokazała się, choć długo czekałem. Oparty o płot, ssałem dropsa cytrynowego, patrzyłem na rzeźbę ptaka i myślałem o liście porucznika Mamii. Zaczęło się ściemniać. Zrezygnowałem po trzydziestu minutach. May Kasahara prawdopodobnie dokądś poszła.

Wróciłem uliczką na tyły domu i przelazłem przez płot. Dom wypełniała cicha niebieska ciemność letniego zmierzchu. W pokoju była Kreta Kano. Pomyślałem, że to złudzenie, lecz była to jednak rzeczywistość. W domu unosił się jeszcze ulotny zapach wylanej przeze mnie wody toaletowej. Kreta Kano siedziała na kanapie z dłońmi na kolanach. Nawet nie drgnęła, gdy się zbliżyłem, zupełnie jakby czas się w niej zatrzymał. Zapaliłem światło i usiadłem na krześle naprzeciw niej.

- Drzwi nie były zamknięte na klucz - odezwała się wreszcie.  
-i dlatego pozwoliłam sobie wejść.

- Nic nie szkodzi. Zwykle nie zamykam drzwi na klucz.

Kreta Kano miała na sobie białą koronkową bluzkę, kloszową spódnice w kolorze bzu, a w uszach duże kolczyki. Na lewą rękę włożyła dwie duże bransoletki. Te bransoletki mnie zaskoczyły, ponieważ były prawie identyczne jak w moim śnie. Jej fryzura i

makijaż były takie jak zwykle. Włosy pokrywał lakier i zdawało się, że Kreta Kano przyszła tu prosto od fryzjera.

- Nie mam za wiele czasu - powiedziała. - Muszę zaraz iść, ale koniecznie chciałam z panem porozmawiać. Spotkał się pan dziś z moją siostrą i panem Noboru Watayą, prawda?

- Tak. Nie było to zbyt przyjemne spotkanie - odparłem.

- Czy nie chciałby pan w związku z tym o coś mnie zapytać? Jedna po drugiej pojawiają się różne osoby i zadają mi różne pytania.

- Chciałbym się więcej dowiedzieć o Noboru Watai. Wydaje mi się, że muszę o nim więcej wiedzieć.

Przytaknęła.

- Ja też chciałabym się więcej dowiedzieć o panu Watai. Sądzę, że siostra już przedtem panu powiedziała, że dość dawno temu mnie zbrukał. Nie mogę teraz panu tego wyjaśnić. Kiedyś panu opowiem. Stało się to wbrew mojej woli. Mieliśmy odbyć stosunek, dlatego nie był to gwałt w zwykłym znaczeniu tego słowa, lecz zbrukał mnie, a to bardzo zmieniło mnie jako człowieka pod różnymi względami. Udało mi się jakoś potem odzyskać równowagę. Innymi słowy, dzięki temu doświadczeniu i oczywiście przy pomocy Malty Kano udało mi się wznieść na nieco wyższy poziom. Lecz bez względu na to, jakie były efekty, nic nie zmienia faktu, że zostałam wtedy wbrew własnej woli zgwałcona, zbrukana przez pana Noboru Watayę. Było to złe i bardzo niebezpieczne. Istniała nawet możliwość, że zostanę na zawsze zgubiona. Rozumie pan?

Oczywiście nie rozumiałem.

- Oczywiście miałam też stosunki z panem, lecz odbyły się właściwym sposobem w słusznym celu. W takich stosunkach nie zostaję zbrukana.

Patrzyłem przez chwilę na Kretę Kano, jakbym przyglądał się ścianie pomalowanej w kolorowe plamy.

- Miała pani ze mną stosunki?

- Owszem - odpowiedziała Kreta Kano. - Za pierwszym ra-

zem zrobiłam to tylko ustami, za drugim mieliśmy stosunek. Dwukrotnie byliśmy w tym samym pokoju. Pamięta pan, prawda? Za pierwszym razem było bardzo mało czasu i trzeba było się spieszyć. Za drugim razem czasu mieliśmy więcej.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Za tym drugim razem ubrana byłam w sukienkę pańskiej żony. Niebieską sukienkę. Na lewym nadgarstku miałam takie same bransoletki jak te. Zgadza się? - wyciągnęła przed siebie rękę z zestawem dwóch bransoletek.

Przytaknąłem.

Kreta Kano mówiła dalej:

- Oczywiście nie odbyliśmy stosunku w rzeczywistości. Miał pan wytrysk nie w moim ciele, a we własnej świadomości. Rozumie pan? Była to sfabrykowana świadomość. Jednak oboje dzielimy świadomość tego stosunku.

- Po co robić coś takiego?

- Żeby się dowiedzieć - odparła. - Żeby się dowiedzieć więcej, głębiej.

Westchnąłem. Jakkolwiek na to patrzeć, ta historia nie miała sensu, a jednak Kreta Kano potrafiła dokładnie opisać scenę z mojego snu. Głaszcząc palcami brodę, przyglądałem się przez chwilę jej ręce z dwiema bransoletkami.

- Być może nie jestem zbyt rozgarnięty, ale nie mogę powiedzieć, że w pełni zrozumiałem to, co pani mówi - powiedziałem sucho.

- Gdy drugi raz pojawiłam się w pana śnie, w czasie naszego stosunku zamieniłam się miejscami z nieznaną kobietą. Prawda? Nie wiem, kim była ta kobieta. Ale ten fakt powinien panu coś zasugerować. Właśnie to chciałam panu przekazać.

Milczałem.

- Nie musi pan mieć poczucia winy z powodu odbycia ze mną stosunku - powiedziała. - Niech pan posłucha: ja jestem prostytutką. Kiedyś byłam prostytutką ciała, teraz jestem prostytutką świadomości. Jestem jakby przekaźnikiem.



Wstała i uklękła obok mnie. Ujęła moją rękę w obie dłonie. Były miękkie, ciepłe i drobne.

- Proszę mnie objąć - poprosiła.

Objąłem ją. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, co zrobić, jednak zdawało mi się, że objęcie Krety Kano nie było wcale pomyłką. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego miałem takie wrażenie. Objąłem ramieniem jej szczupłe plecy, jakbyśmy mieli rozpocząć taniec. Była ode mnie znacznie niższa, głową sięgała mi trochę ponad brodę. Jej piersi przycisnęły się do mego brzucha. Przyłożyła policzek do mojej piersi. Płakała bezgłośnie. Mój podkoszulek zrobił się ciepły i wilgotny od łez. Patrzyłem, jak drżą jej starannie ufryzowane włosy. Miałem wrażenie, że śnię dobrze zaprojektowany sen. Lecz nie był to sen.

Trwała tak bez ruchu bardzo długo, potem wyprostowała się nagle, jakby coś sobie przypomniała. Odsunawszy się, spojrzała na mnie.

- Bardzo panu dziękuję, panie Okada. Dzisiaj już się pożegnam - powiedziała.

Choć płakała dość gwałtownie, jej makijaż był nieomal nienaruszony.

Straciłem poczucie rzeczywistości.

- Czy jeszcze kiedyś pojawi się pani w moim śnie? - zapytałem.

- Tego nie wiem - odparła cicho, potrząsając głową. - Nie wiem, ale proszę mi zaufać. Bez względu na to, co się zdarzy, proszę się mnie nie bać i nie być ostrożnym. Dobrze, panie Okada?

Skinąłem głową.

Kreta Kano odeszła.

Wieczorna ciemność zgęstniała. Podkoszulek miałem na pierśsi zupełnie mokry.

Do rana nie mogłem spać. Nie byłem śpiący, ale także bałem się usnąć. Zdawało mi się, że jeśli usnę, mogę zostać porwany przez prąd przypominający ruchome piaski i przeniesiony do ja-

kiegoś innego świata. I nie będę już mógł wrócić do tego. Usiadłem na kanapie i pijąc brandy, myślałem do rana o opowieściach Krety Kano. Nawet po nadejściu świtu, jak uwięzione cienie w domu, pozostały jeszcze obecność Krety Kano i zapach wody toaletowej Diora.

## **5. O widokach dalekich miast, wiecznej połowie księżyca i dobrze umocowanej drabince**

Zasypiałem właśnie, gdy zadzwonił telefon. Na początku próbowałem go zignorować i dalej spać, lecz telefon, jakby przejrząwszy moje zamiary, dzwonił uparcie, dziesięć, dwadzieścia razy. Otworzyłem jedno oko i spojrzałem na zegarek przy łóżku. Po szóstej. Na dworze już zupełnie widno. Może dzwoni Kumioko. Wstałem, poszedłem do dużego pokoju i podniosłem słuchawkę.

- Halo - odezwałem się, lecz nie usłyszałem odpowiedzi.

Czułem jednak, że ktoś tam jest, choć nic nie mówi. Ja też się nie odzywałem. Gdy przycisnąłem słuchawkę do ucha, usłyszałem cichy oddech.

- Kto mówi? Nadal milczenie.

- Jeżeli to ta osoba, która zawsze do mnie dzwoni, proszę zadzwonić później - powiedziałem. - Nie mam ochoty rozmawiać o seksie przed śniadaniem.

- Osoba, która zawsze dzwoni? - odezwał się ktoś nieoczekiwanie. Był to głos May Kasahary. - Z kim pan rozmawia o seksie?

- Z nikim - powiedziałem.

- A ta kobieta, którą obejmował pan wczoraj wieczorem? Z nią pan rozmawia o seksie?

- Nie, nie z nią.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, ile właściwie ma pan wokół siebie kobiet oprócz żony?

- Tłumaczenie zajęłoby bardzo dużo czasu - odrzekłem. - Jest przecież dopiero szósta rano i nie mogłem w nocy spać. Ale za-

raz, to znaczy, że byłeś tu wczoraj wieczorem?

- Tak. I widziałam, jak obejmował pan tę kobietę.

- To naprawdę było bez znaczenia. Jakby to powiedzieć? Coś w rodzaju małego rytuału.

- Nie musi się pan przede mną tłumaczyć, panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała oschle May Kasahara. - Nie jestem pana żoną. Ale powiem panu jedno - coś jest z panem nie tak.

- Może i masz rację - powiedziałem.

- Jeżeli nawet znalazł się pan w strasznej sytuacji, a niewątpliwie jest pan w strasznej sytuacji, mam wrażenie, że pewnie sam ją pan wywołał. Z panem jest zasadniczo coś nie tak i to jak magnes przyciąga różne kłopoty. Więc każda kobieta z odrobiną rozsądku szybko od pana ucieknie.

- Może tak jest.

May Kasahara milczała przez chwilę. Potem odchrząknęła.

- Wczoraj późnym popołudniem był pan w uliczce, prawda? Stał pan długo za naszym domem. Jak początkujący złodziej. Widziałam pana.

- Ale nie wyszłaś?

- Czasami dziewczyna nie chce wyjść, panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała May Kasahara. - Czasami wpada się w taki złośliwy humor i myśli się: skoro czeka, to niech sobie poczeka.

- Uhm.

- Ale potem miałam wyrzuty sumienia i poszłam do pana specjalnie. Jak głupia.

- A kiedy przyszłaś, obejmowałam jakąś kobietę.

- Czy ona nie jest trochę dziwna? - zapytała May Kasahara. - Nikt się dziś tak nie ubiera i nie maluje. Może ona żyje w jakiejś innej epoce? Nie powinna przypadkiem pójść do lekarza i zbadać sobie głowy?

- Nie martw się o to. Głowę ma w porządku. Ludzie mają po prostu różne gusty.

- Mogą sobie mieć różne, ale większość ludzi nie posuwa się aż tak daleko, nawet z powodu gustu. Ona cała wygląda, jakby

wyszła prosto z ilustracji jakiegoś starego czasopisma.

Nie skomentowałem.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, przespał się pan z nią?

- Nie przespałem - odpowiedziałem po chwili wahania.

- Naprawdę?

- Naprawdę. To nie jest związek fizyczny.

- To po co ją pan obejmuje?

- Zdarza się, że kobiety chcą, żeby je po prostu objąć.

- Może tak jest, ale myślę, że to trochę niebezpieczny sposób myślenia - powiedziała May Kasahara.

- Niewątpliwie masz rację - przyznałem.

- Jak ona się nazywa?

- Kreta Kano.

May Kasahara znowu na chwilę zamilkła.

- Nie żartuje pan?

- Nie żartuję - powiedziałem. - Jej starsza siostra nazywa się Malta Kano.

- To nie są prawdziwe imiona, prawda?

- Nie, nie są prawdziwe. To pseudonimy zawodowe.

- Są artystkami kabaretowymi albo czymś w tym rodzaju?

Czy mają jakiś związek z Morzem Śródziemnym?

- Mają pewien związek z Morzem Śródziemnym.

- A czy jej siostra ubiera się normalnie?

- Tak, mniej więcej normalnie. W każdym razie o wiele normalniej niż jej młodsza siostra. Tylko zawsze nosi ten sam czerwony plastikowy kapelusz.

- Mam wrażenie, że też nie jest zupełnie normalna. Dlaczego musi się pan zadawać z takimi zbzikowanymi ludźmi?

- To długa, długa historia - odparłem. - Może kiedyś, gdy wszystko się uspokoi, będę mógł ci o tym opowiedzieć, ale teraz nie mogę. W głowie mam zamęt, a sytuacja jest jeszcze bardziej zamacona.

- Coś takiego - powiedziała May Kasahara podejrzliwie. - W każdym razie żona jeszcze nie wróciła?

- Nie, jeszcze nie wróciła.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, jest pan już dorosły. Dlaczego pan nie ruszy trochę głową? Jak pan myśli, co by się stało, gdyby pana żona wczoraj wieczorem zmieniła zdanie, wróciła do domu i zobaczyła, jak pan przytula tę kobietę?

- Oczywiście była taka możliwość.

- A teraz gdybym nie ja zadzwoniła, tylko żona, a pan zacząłby mówić o seksie przez telefon? Co by właściwie pomyślała pana żona?

- Niewątpliwie masz rację.

- Jednak z panem coś jest nie tak - powiedziała May Kasahara i westchnęła.

- Myślę, że coś jest nie tak - przyznałem.

- Niech pan się tak łatwo ze wszystkim nie zgadza. Niech pan nie myśli, że pan się tylko szczerze przyzna do swoich błędów, a wszystko się samo gładko rozwiąże. Czy pan się przyzna czy nie, błąd to zawsze błąd.

- Masz rację - powiedziałem. Naprawdę miała rację.

- Nie mam do pana zdrowia - powiedziała zrezygnowana. - A jaką miał pan do mnie wczoraj wieczorem sprawę? Czegoś pan potrzebował?

- To już nieważne - powiedziałem.

- Nieważne?

- Uhm. Po prostu ta sprawa... to już nieważne.

- Objął pan tę kobietę i teraz nie ma już pan do mnie spraw?

- Nie, nie o to chodzi. Ja po prostu wtedy sobie pomyślałem...

May Kasahara bez słowa odłożyła słuchawkę. O rany, pomyślałem, May Kasahara, Malta Kano, Kreta Kano, kobieta od dziwnych telefonów i Kumiko. Rzeczywiście, May Kasahara miała rację, otacza mnie zbyt wiele kobiet. I każda z nich ma własne, niezrozumiałe problemy.

Byłem tak śpiący, że nie mogłem dalej nad tym rozmyślać. Najpierw muszę się przespać. Kiedy wstanę, będę musiał coś zrobić.

Wróciłem do łóżka i usnąłem.

Obudziłem się i wyjąłem z szafy mały plecak zawierający zestaw niezbędny na wypadek ewakuacji. Były w nim: manierka, suchary, latarka i zapalniczka. Kiedy się tu przeprowadziliśmy, Kumiko, obawiająca się wielkiego trzęsienia ziemi, kupiła gdzieś cały ten zestaw. Manierka była pusta, suchary zwilgotniały i zmiękły, a baterie w latarce się wyczerpały. Nalałem wody do manierki, wyrzuciłem suchary i zmieniłem baterie. Potem poszedłem do pobliskiego sklepu żelaznego i kupiłem sznurową drabinkę, używaną do ewakuacji z pożaru. Zastanawiałem się, czy jeszcze coś będzie mi potrzebne, lecz nie przyszło mi do głowy nic poza dropsami cytrynowymi. Obszedłem cały dom, pozamykałem okna, pogasiłem światła. Zamknąłem drzwi na klucz, ale potem zmieniłem zdanie i otworzyłem je. Może ktoś przyjdzie mnie odwiedzić. Może wróci Kumiko. Poza tym nie było w domu nic nadającego się do ukradzenia. Zostawiłem na stole kuchennym kartkę. Napisałem: „Wychodzę na pewien czas. Wrócę. T”. Wyobraziłem sobie, jak Kumiko wraca i widzi ją. Co pomyśli, kiedy ją przeczyta? Zgniotłem kartkę i napisałem na nowo. „Mam ważną sprawę do załatwienia i wychodzę na pewien czas. Niedługo wrócę. Proszę poczekać. T”.

Ubrany w bawełniane spodnie i koszulkę polo z krótkimi rękawami, założyłem plecak i wyszedłem przez taras do ogrodu. Rozejrzałem się. Lato niewątpliwie nadeszło. Bezwarunkowe i niepowstrzymane, autentyczne lato. Blask słońca, zapach wiatru, kolor nieba, kształt chmur, głosy cykad, wszystko cudownie dowodziło nadejścia prawdziwego lata. Przelazłem przez płot i ruszyłem uliczką.

Kiedyś w dzieciństwie uciekłem z domu właśnie w taki letni poranek. Nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego postanowiłem uciec. Prawdopodobnie byłem o coś zły na rodziców. W każdym razie tak samo z plecakiem na ramieniu i oszczędnościami w kieszeni wyszedłem z domu. Skłamałem mamie, że idę na pieszą

wędrówkę z kolegami, więc zrobiła mi nawet jedzenie na drogę. Niedaleko domu było kilka wzgórz nadających się do pieszych wędrówek i dzieci często same się tam wybierały. Wsiadłem do wcześniej wybranego autobusu i dojechałem do końca trasy. Dla mnie było to „nieznane, dalekie miasto”. Tam przesiadłem się w inny autobus i pojechałem do innego „nieznanego, jeszcze dalszego miasta”. Wsiadłem - nie znałem nawet nazwy tej miejscowości - i włączyłem się bez celu. Miasto nie było zbyt charakterystyczne. Nieco bardziej gwarne i nieco brudniejsze od mojego. Miało ulicę handlową, dworzec kolejowy, małą fabryczkę. Płynęła przez nie rzeka, nad rzeką było kino. Na kinie wisiała reklama jakiegoś westernu. Kiedy nadeszło południe, usiadłem na ławce w parku i zjadłem przywiezione jedzenie. Byłem w tym mieście do późnego popołudnia, lecz z nadejściem zmierzchu poczułem się samotny i przestraszony. Pomyślałem, że oto moja ostatnia szansa powrotu. Kiedy robi się ciemno, być może nie uda mi się już stąd wydostać. I tymi samymi autobusami wróciłem. Dotarłem do domu przed siódmą, lecz nikt się nie zorientował, że uciekłem. Rodzice myśleli, że chodzę z kolegami po wzgórzach.

Zupełnie zapomniałem o tym wydarzeniu, jednak wspomnienie odżyło nagle w jednej chwili, gdy przelażłem z plecakiem przez płot. Poczucie niedającego się z niczym porównać opuszczenia, gdy stoi się samotnie na nieznannej ulicy, wśród nieznanymi ludzi, obok nieznanymi budynków, a popołudniowe słońce powoli traci blask. Przypomniałem sobie o Kumiko, która zniknęła gdzieś z torbą na ramieniu i bluzką oraz spódnicą właśnie odebranymi z pralni. Przegapiła ostatnią okazję powrotu. Prawdopodobnie teraz też stoi sama w jakimś nieznanym dalekim mieście. Nie mogłem znieść tej myśli.

Potem pomyślałem, że wcale nie wiadomo, czy jest sama. Pewnie z mężczyzną. To było o wiele bardziej sensowne.

Przestałem myśleć o Kumiko.

Szedłem uliczką. Trawa straciła już ten świeży zapach zieleni

z okresu pory deszczowej, przybrała jakby nieskrywaną mato-  
wość charakterystyczną dla letniej trawy. Spomiędzy niej żywo  
wyskakiwały zielone pasikoniki. Co pewien czas pojawiały się  
też żaby. Uliczka stała się teraz światem tych małych stworzeń,  
a ja byłem agresorem burzącym ich porządek. Doszedłem do  
domu państwa Miyawaki i bez wahania otworzyłem drewnianą  
furtkę. Brnąc w trawie, przeszedłem przez ogród, minąłem brud-  
nawy posąg ptaka, niezmiennie patrzącego w niebo, i zatrzyma-  
łem się obok domu. Miałem nadzieję, że May Kasahara nie za-  
uważyła, że tu wszedłem.

Zbliżyłem się do studni, zdjąłem betonowe bloczki z wierzc-  
hu i odsunąłem półokrągłą połowę pokrywy. Jeszcze raz wrzuci-  
łem do środka mały kamyk, chcąc się upewnić, że w środku nie  
ma wody. Tak jak przedtem usłyszałem suchy dźwięk. Nie ma  
wody. Zdjąłem plecak, wyjąłem ze środka sznurową drabinę i  
przywiązałem ją do pnia pobliskiego drzewa. Potem kilka razy  
silnie pociągnąłem, nabierając pewności, że się nie odwiąże.  
Ostrożność nie zawadzi. Gdyby się z jakiegoś powodu odwiąza-  
ła czy odczepiła, nie wy dostałbym się już nigdy na górę.

Podniosłem resztę drabinki i powoli spuściłem do studni.  
Wpuściłem tak całą drabinę, lecz nie poczułem, jak uderza o  
dno. Była dość długa i myślałem, że powinna wystarczyć, lecz  
studnia okazała się głęboka i choć świeciłem latarką prosto w  
dół, nie byłem pewien, czy drabinka dosięga do dna czy nie.  
Promień latarki zniknął po drodze pochłonięty przez ciemność.

Usiadłem na brzegu studni i wytężyłem słuch. Cykady śpi-  
ewały jak szalone między drzewami, zupełnie jakby sprawdzały,  
która może głośniej i która ma większą pojemność płuc, nie sły-  
chać było jednak śpiewu ptaków. Pomyślałem tęsknie o ptaku  
nakręcaczu. Może odleciał gdzieś, nie mając ochoty współza-  
wodniczyć w śpiewie z cykadami.

Podniosłem ręce i odwróciłem dłonie ku słońcu. Od razu się  
nagrzały. Zdawało się, że blask wdziera się we wszystkie  
zmarszczki, linie papilarne. Tutaj było niewątpliwie królestwo



światła. Wszystko dookoła zalane nim lśniło blaskiem lata. Nawet takie pozbawione formy rzeczy jak czas czy wspomnienia otrzymywały dar światła. Włożyłem do ust dropa cytrynowego i siedziałem, czekając, aż się całkiem rozpuści. Potem na wszelki wypadek jeszcze raz pociągnąłem silnie drabinę, upewniając się, że jest solidnie przymocowana.

Schodzenie po miękkiej drabinie było czynnością wymagającą więcej trudu, niż się spodziewałem. Zrobiona z mieszanej przędzy bawełny z nylonem, była bardzo mocna, lecz pod stopami zdawała się niepewna i gumowe podeszwy tenisówek strasznie się na niej ślizgały. Musiałem kurczowo się trzymać, aż dłonie mnie rozboleły. Schodziłem szczebel po szczeblu, powoli i uważnie. Schodziłem i schodziłem, lecz nie docierałem do dna. Zdawało się, że to schodzenie trwa wiecznie. Przypomniałem sobie odgłos kamyczka uderzającego o dno studni. W porządku, na pewno jest gdzieś dno. Po prostu długo trwa schodzenie po tej byle jakiej drabinie.

Gdy jednak minąłem dwudziesty szczebel, ogarnął mnie strach. Ten strach przyszedł nagle, zupełnie jakby prąd mnie poraził i unieruchomił.

Mięśnie zeszytywniały, stały się twarde jak kamienie. Spociłem się na całym ciele i nogi zaczęły mi drżeć. Czy naprawdę istnieją aż tak głębokie studnie? Jestem przecież w sercu Tokio, tuż za domem, w którym mieszkam. Wstrzymałem oddech i wytężyłem słuch, lecz nic nie było słychać. Nie słyszałem nawet cykad. W uszach dudniło mi tylko bicie własnego serca. Wziąłem głęboki oddech. Stałem na dwudziestym szczeblu, trzymając się kurczowo, nie mogąc iść w dół ani w górę. Powietrze w studni było zimne, pachniało ziemią. Był to świat oddzielony od tego na powierzchni ziemi, gdzie letnie słońce nie skąpiło blasku. Podniosłem głowę i zobaczyłem mały wylot studni. Otwór został dokładnie przecięty na pół przez połowę drewnianej pokrywy, która jeszcze na nim leżała. Widziany z dołu, wyglądał zupełnie jak unoszący się na wieczornym niebie półksiężyc.

Malta Kano powiedziała, że połowa księżyca będzie się ukazywać przez parę dni. Tak przepowiedziała przez telefon.

O rany, pomyślałem. Poczulem, jak opuszczają mnie siły, mięśnie wiot-czeją, uchodzi ze mnie powietrze.

Jeszcze raz zebrałem się w sobie i zacząłem schodzić po drabinie. Powiedziałem do siebie, że spróbuję zejść jeszcze tylko trochę. Jeszcze tylko trochę. Nie ma się czym martwić, musi być dno. Po dwudziestym trzecim szczeblu w końcu dotarłem na dno studni. Moje stopy dotknęły ziemi.

Trzymając się drabinki, aby w razie czego móc od razu uciec, zbadałem stopą dno studni. Upewniwszy się, że nie ma tam wody ani żadnych podejrzanych obiektów, zszedłem z drabinki. Zdjąłem plecak, po omacku otworzyłem suwak i wyjąłem latarkę. Jej światło wyraźnie oświetliło dno studni. Grunt nie był zbyt twardy ani zbyt miękki. Na szczęście ziemia była sucha. Leżało na niej kilka kamieni, pewnie przez kogoś wrzuconych. Prócz kamieni znajdowała się stara torebka po chrupkach ziemniaczanych. Oświetlone latarką dno studni przypomniało mi widzianą dawno temu w telewizji powierzchnię księżyca.

Ściany były zwyczajne, z gładkiego betonu, gdzieniegdzie omszałe. Ciągnęły się prosto w górę, jak komin, a wysoko nad nimi widziałem niewielki obszar światła w kształcie półksiężyca. Patrząc prosto w górę, po raz pierwszy uświadomiłem sobie dobitnie głębię tej studni. Jeszcze raz silnie pociągnąłem drabinę. Nie ustąpiła, trzymała się mocno. W porządku, tak długo jak mam tę drabinę, mogę wyjść na powierzchnię. Potem wziąłem głęboki oddech. Pachniało lekko pleśnią, lecz powietrze było dość czyste. Najbardziej martwiło mnie powietrze na dnie, ponieważ jest zwykle nieruchome. Szczególnie w wyschniętych studniach zdarza się często, że z ziemi wydzielają się trujące gazy. Dawno temu czytałem w gazecie o kopaczu studni, który zatrał się śmiertelnie metanem.

Odetchnąłem, usiadłem i oparłem się o ścianę. Zamknąłem oczy i starałem się przyzwyczać do tego miejsca. Oto jestem na

dnie studni.

## **6. O dziedziczeniu majątku, przemyśleniach na temat meduz i czymś w rodzaju poczucia oderwania**

Siedziałem w ciemnościach. Nad moją głową nadal jak jakiś znak unosił się odcięty pokrywą studni lekki półksiężyc światła, które kończyło się tam i nie docierało do dna studni.

Z upływem czasu moje oczy przywykły do ciemności. Wkrótce mogłem, co prawda niewyraźnie, dostrzec kształt ręki trzymanej przed oczami. Zaczynałem powoli odróżniać zarysy przedmiotów wokół siebie. Były zupełnie jak lękliwe zwierzątka, które po troszeczkę pozwalają się do siebie przybliżyć. Jednak ciemność nadal była ciemnością, choć oczy się do niej przyzwyczyły. Gdy starałem się zidentyfikować jakiś obiekt, natychmiast ukrywał on swój kształt i bezgłośnie tonął w mroku. Można było tę ciemność nazwać „bladą”, lecz krył się w niej gęsty mrok, głębszy niż czerń. Niby coś widziałem, lecz jednocześnie niczego nie mogłem zobaczyć.

W tej dziwnie brzemiennej ciemności z nieznaną dotąd siłą napłynęły wspomnienia. Fragmenty obrazów przez nie wywołwane były zadziwiająco świeże we wszystkich szczegółach i tak wyraźne, że - zdawało się - mógłbym ich dotknąć. Zamknąłem oczy i przypomniałem sobie, jak osiem lat temu poznałem Kumiko.

Po raz pierwszy zobaczyłem ją w poczekalni dla rodzin pacjentów kliniki uniwersyteckiej w Kandzie. W związku ze sprawą dotyczącą dziedziczenia musiałem prawie co dzień chodzić na spotkanie z klientem, który był Pacjentem szpitala, bogatym, sześćdziesięcioośmioletnim mężczyzną, właścicielem wielu parcel i terenów leśnych, położonych głównie w prefekturze Chiba. Jego nazwisko raz znalazło się nawet w gazecie na liście osób płacących najwyższe podatki. Na nasze nieszczęście jednym z jego upodobań (oczywiście nie wiedziałem, jakie miał inne upodobania) było okresowe sporządzanie nowych wersji testamen-

tu. Z niekończącego się zwracania nam głowy zdawał się czerpać radość niezrozumiałą dla normalnych ludzi. Wszyscy w kancelarii mieliśmy go już dosyć, lecz był bogatym posiadaczem ziemskim, a my przy każdej zmianie testamentu pobieraliśmy opłatę, której wysokość była nie do pogardzenia. Poza tym formalności związane ze zmianą testamentu nie są zbyt skomplikowane, więc kancelaria nie mogła narzekać. Byłem nowym pracownikiem, toteż mnie zlecono bezpośrednio zajęcie się tą sprawą. Ponieważ jednak nie miałem uprawnień adwokackich, moje obowiązki nieznacznie tylko różniły się od obowiązków zwykłego gońca. Adwokat wysłuchiwał treści zmian, które klient chciał umieścić w testamencie, udzielał porady z prawnego punktu widzenia (istnieje odpowiednia forma oraz zasady pisania testamentu i testament musi być napisany zgodnie z nimi; inaczej może zostać uznany za nieprawomocny), ustalał ogólne ramy i na tej podstawie sporządzano nowy testament. Ja znosiłem go do klienta i odczytywałem. Jeżeli nie było żadnych problemów, klient przepisywał go własnoręcznie, podpisywał i przybijał pieczętkę. Chodziło o to, żeby testament, który sporządzał, był tak zwanym poświadczonym prawnie własnoręcznym testamentem, a jako taki musiał być w całości napisany przez testatora.

Kiedy wreszcie kończył pisanie, wkładał testament do koperty, zapieczętowywał ją, a ja pieczołowicie znosiłem kopertę do kancelarii. Tam umieszczano ją w sejfie. W normalnych warunkach na tym sprawa by się kończyła, lecz w przypadku tego człowieka nie było to takie proste. Ponieważ był chory, nie mógł napisać całości za jednym razem, do tego testament był długi, więc zabierało mu to tydzień. Przez ten czas codziennie chodziłem do szpitala, odpowiadałem na jego pytania (studiowałem prawo, więc potrafiłem odpowiedzieć na pytania w ograniczonym zakresie), a kiedy nie znałem odpowiedzi, dzwoniłem do kancelarii i prosiłem o wskazówki. Zawsze czepiał się drobnostek i przejmował się każdym wyrażeniem. Każdego dnia jednak

trochę się posuwaliśmy, pocieszałem się więc myślą, że jeśli codziennie zrobimy niewielki postęp, nadejdzie kiedyś koniec tej mordegi. Gdy jednak koniec nareszcie się zbliżał, klient nieodmiennie przypominał sobie nagle o czymś, co zapomniał wpisać, albo kompletnie zmieniał wcześniejsze postanowienia. Kiedy zmiana była drobna, wystarczyło dodać na końcu poprawkę, lecz duże zmiany wymagały sporządzenia całości od nowa.

I to się powtarzało. Do tego miał jeszcze w trakcie operację, badania itp., tak że nawet kiedy stawiałem się w szpitalu o umówionej godzinie, nie zawsze mogłem od razu z nim porozmawiać. Zdarzało się też, że wzywał mnie na jakąś godzinę, a potem mówił, że nie jest w humorze i żebym przyszedł później. Nierzadko czekałem na spotkanie z nim po dwie, trzy godziny. Dlatego przez dwa czy trzy tygodnie musiałem prawie codziennie siedzieć w poczekalni dla rodzin pacjentów, zabijając czas, który wydawał mi się wiecznością.

Jak łatwo sobie wyobrazić, szpitalna poczekalnia nie jest miejscem ciepłym i przytulnym. Skaj pokrywający siedzenia kanap doznał stężenia pośmiertnego, zapach był taki, że można było zachorować od samego oddychania, telewizor zawsze nastawiony na beznadziejne programy, a kawa z automatu smakowała jak woda, w której ugotowano gazety. Wszyscy ludzie mieli ponure niesympatyczne miny. Na pewno tak właśnie wyglądałyby twarze bohaterów, gdyby Munch zrobił ilustracje do powieści Kafki.

Kumiko przychodziła do szpitala codziennie w przerwach między zajęciami na uniwersytecie, by opiekować się matką, która czekała na operację wrzodu dwunastnicy. Zwykle miała na sobie dżinsy albo prostą, krótką spódniczkę i sweter. Włosy wiązała w koński ogon. Był początek listopada, czasami przychodziła w płaszczu, czasami bez. Nosila torbę na ramię, a pod pachą ścisnęła zawsze kilka książek wyglądających na podręczniki i blok rysunkowy.

Gdy przyszedłem owego popołudnia do szpitala, Kumiko już

tam była. Siedziała na kanapie. Miała czarne buty na płaskim obcasie. Założywszy nogę na nogę, zatopiła się w lekturze książki. Usiadłem naprzeciw niej i co pięć minut spoglądając na zegarek, czekałem na spotkanie z klientem. Z jakiegoś powodu - nikt mi go nie podał - opóźniło się około półtorej godziny. Kumiko prawie nie podnosiła oczu znad książki. Pomyślałem, że ma bardzo zgrabne nogi. Patrząc na nią, odzyskałem trochę humor. Zastanawiałem się, co czuje człowiek, mając takie świetne nogi i młodą sympatyczną twarz; jej twarz wyglądała bardzo inteligentnie.

Spotkaliśmy się tak kilka razy i zaczęliśmy wkrótce prowadzić niezobowiązujące rozmowy. Wymienialiśmy się przeczytanymi czasopismami, podzieliliśmy się owocami, które ktoś przyniósł jej matce. Oboje byliśmy strasznie znudzeni, wyczerpani sytuacją i spragnieni rozmowy z kimś w tym samym wieku.

Kumiko zapytała, czy ktoś z moich krewnych leży w szpitalu i wtedy opowiedziałem jej ze szczegółami o skomplikowanym charakterze historii klienta piszącego testament. Czułem szczerą niechęć do tej sprawy i chciałem z kimś o tym porozmawiać. Była to długa i ponura opowieść, lecz Kumiko spokojnie jej wysłuchiwała. Gdy czasem nagle przerywałem, martwiąc się, że ją zanudzam, uśmiechała się lekko i łagodnie, jakby mówiła: W porządku, słucham cię, mów dalej.

- Sześć lat temu umarła mu żona, ma czworo dzieci. Dwóch synów i dwie córki. Skoro ma ich aż czworo, to wydaje się, że chociaż jedno musi być porządnym człowiekiem, ale wszyscy są naprawdę straszni. Zwykle najstarszy syn przejmuje interesy ojca, ale z tego straszny chytrus, myśli tylko o pieniądzach. Nie wiem, czy jest tchórzliwy, czy tylko skąpy, ale krew uderza mu od razu do głowy nawet w kwestii paru groszy. Choć pod względem charakteru jest może najbardziej podobny do ojca, są w strasznie złych stosunkach i bez przerwy się kłóca, skacząc sobie do gardeł. Ponieważ dbają o pozory, nie robią tego na oczach ludzi w szpitalu.

Młodszy syn pracuje w handlu nieruchomościami, ale podobno tylko w gębie jest mocny, lubi łatwy zarobek i pięć lat temu był notowany przez policję w związku z oszustwem. Ojciec jakoś to zatuszował za pomocą pieniędzy, ale on znowu robi jakieś podejrzanе interesy. Prawdopodobnie jest w to zamieszana mafia działająca w nieruchomościach. Prędzej czy później trafi za kratki. Ale z jakiegoś powodu ojcu ze wszystkich dzieci najbardziej przypadł do gustu właśnie ten syn.

Starsza córka w wieku szesnastu lat uciekła ze służącym ojca. Zabrała bez słowa dość poważną kwotę pieniędzy. Prowadzi teraz dwa salony fryzjerskie w Jokohamie, są dość popularne. Zdaje się, że z czworga rodzeństwa ma największy talent do biznesu. Pięć lat temu zwróciła zabrane ojcu pieniądze i jakoś naprawiła z nim stosunki. Nie wiem, jak została wychowana, ale używa takich słów, że uszy więdną. Młodsza córka jest przed trzydziestką, niezamężna, kupiła dom na Hawajach, mieszka tam i dzień w dzień gra w golfa. Nie obchodzi ją nic prócz golfa i kupowania ciuchów. Nie powinienem tak mówić, ale wszyscy wyglądają wyjątkowo antypatycznie. Nie chodzi o urodę ani nic w tym rodzaju, tylko kiedy się na nich patrzy, stopniowo ogarnia człowieka przygnębienie.

- Wszystkich ich poznałeś?

- Chodzi o dziedziczenie majątku, więc wszyscy gorliwie odwiedzają ojca w szpitalu, przywłóczą żony i dzieci. Jeżeli nie będą często przychodzić, nie wiadomo, co ojciec napisze w testamentie. Kiedy jestem u niego, a akurat przyjdzie ta banda, ojciec specjalnie mnie im przedstawia. Ten pan jest z kancelarii adwokackiej. I tak ich trzyma w napięciu. Mówi im, że właśnie pisze na nowo testament.

\_ A w jakim jest stanie? Czy musi w takim pośpiechu pisać testament?

- Hm... nie wiem. Nie wiem nic dokładnie na temat jego stanu zdrowia. Słyszałem, że ma chorą wątrobę i kroili go czy coś takiego. Zdaje się, że serce też ma chyba nie najzdrowsze. Ma

arytmię. Ale ja przewiduję, że ten człowiek przeżyje jeszcze dwadzieścia lat i napisze ze sto pięćdziesiąt testamentów.

- Bogatym też jest niełatwo.

- Zależy od człowieka - powiedziałem. - Są ludzie, którzy żyją sobie w spokoju ducha, nawet mając pieniądze, ale tacy nie przychodzą zwykle do kancelarii prawnych.

Kilka razy zjedliśmy razem jakiś prosty posiłek niedaleko szpitala. Nie mogliśmy się na długo oddalać, więc nie były to prawdziwe obiady, a na przykład hamburger w McDonalddie albo pizza, ale i tak smakowały o wiele bardziej niż od dawna nieżywa pieczona ryba w szpitalnej stołówce. Na początku Kumiko była milcząca i prawie się nie odzywała, ale kiedy opowiedziałem jej parę historii przeplatanych żartami, rozluźniła się. Po moich długich opowieściach, jakby w zamian, mówiła trochę o sobie. Studiowała socjologię na żeńskim uniwersytecie w centrum miasta, a jej hobby to malarstwo. Należała do uniwersyteckiego klubu malarskiego, wołała rysunki i akwarele od obrazów olejnych. Mówiła, że jeżeli jej się uda, chciałaby pracować jako projektantka.

- Operacja matki wcale nie jest poważna - powiedziała kiedyś, ze znużeniem obierając jabłko nożykiem do owoców. - Co prawda to wrzód dwunastnicy, ale mały. Z rodzaju tych, o których mówi się, że „można poczekać, ale lepiej usunąć”. Po raz pierwszy w życiu jest w szpitalu, więc nieomal przygotowała się na śmierć. Jeżeli nie pokażę się tu choć raz dziennie, dostaje hysterii. A kiedy matka dostaje hysterii, ojciec dostaje szału, więc nie mam wyboru i codziennie tu przychodzę. Ma pełną opiekę pielęgniarską, wszystkie potrzebne rzeczy i nie mam tu specjalnie nic do roboty. Do tego jestem teraz dosyć zajęta, ponieważ muszę się przygotować do egzaminów.

Nie chciała jednak opowiedzieć więcej o własnej rodzinie. Kiedy zadawałem jej pytania, uśmiechała się tylko niewyraźnie i nie udzielała konkretnej odpowiedzi. Dowiedziałem się, że ma starszego brata, a ojciec jest urzędnikiem państwowym. Oraz że



i do ojca, i do matki odnosiła się nie z miłością, a raczej z jakąś spokojną rezygnacją. Wyobrażałem sobie, że jej rodzinie dość dobrze się powodzi, bo była zawsze bardzo porządnie ubrana, a matka (której zresztą wtedy nie poznałem) leżała w jednoosobowym pokoju. Słyszałem, że aby w tym szpitalu dostać osobny pokój, trzeba było zapłacić pokaźną sumę i do tego mieć znajomości.

Wydaje mi się, że od samego początku dobrze się rozumieliśmy. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, gwałtowna jak rażenie piorunem, lecz coś bardziej spokojnego i łagodnego. Zdawało się, że dwa światelka przesuwane się w tym samym kierunku w wielkiej, ciemnej przestrzeni, stopniowo zbliżają się ku sobie. Im częściej widywałem się z Kumiko, tym mniej nieprzyjemne stawały się wizyty w szpitalu. Zauważyłem to i doznałem zadziwiającego uczucia: czułem nieomal, że spotkałem bliską osobę, której dawno nie widziałem, a nie, że poznaję kogoś nowego.

Myślałem ciągle, że chciałbym móc spokojnie pogadać z Kumiko gdzieś indziej, zamiast prowadzić tylko urywane rozmowy w okolicach szpitala. Pewnego dnia postanowiłem zaprosić ją na randkę.

- Wydaje mi się, że potrzebna nam jest zmiana nastroju - powiedziałem. - Wyjdźmy stąd i pójdźmy gdzieś, wszystko jedno gdzie, gdzie nie będzie chorych ani klientów.

Kumiko zastanowiła się przez chwilę i zaproponowała:

- Może do akwarium?

To była nasza pierwsza randka. W niedzielę rano Kumiko zainosiła matce czyste ubrania, a potem spotkaliśmy się w szpitalnej poczekalni. Był to pogodny ciepły dzień i Kumiko zarzuciła bladoniebieski zapinany sweterek na dość prostą białą sukienkę. Już wtedy robiło na mnie wrażenie to, jak dobrze się ubierała. Potrafiła za pomocą drobnej ozdoby, jakiejś zmiany w rodzaju podwinienia rękawów albo postawienia kołnierzyka, przeobrazić zwykłe ubranie w coś niezwykle efektownego. Miała do tego

szczególony talent. Wydawało się też, że bardzo dba o swoje stroje, nieomal je kocha. Za każdym razem idąc obok niej, z podziwem przyglądałem się temu, co miała na sobie. Na bluzkach ani jednej zmarszczki, fałdy równiuteńkie, białe rzeczy tak białe, że zdawały się zupełnie nowe, buty bez żadnej plamki czy smugi. Mogłem sobie wyobrazić jej bluzki i swetry porządnie i równiutko poukładane w szufladach komody, spódnice i sukienki wiszące w szafie, pokryte przezroczystą folią z pralni (po ślubie rzeczywiście to zobaczyłem).

Tego dnia spędziliśmy popołudnie w akwarium ogrodu zoologicznego Ueno. Pogoda była ładna, zdawało mi się, że przyjemnie byłoby pospacerować po zoo, więc zasugerowałem to w pociągu do Ueno, lecz Kumiko prawdopodobnie od początku nastawiła się na pójście do akwarium. Skoro chciała iść do akwarium, nie miałem oczywiście nic przeciwko temu. Odbywała się akurat wystawa meduz i obejrzelśmy po kolei przedziwne okazy z całego świata. W akwariach unosiły się i falowały naprawdę przeróżne stwory, od małych, wielkości paznokcia, miękkich, jakby z waty, do potworów o metrowej średnicy. Mimo niedzieli nie było dużego tłoku, można wręcz powiedzieć, że było pusto. W taki ładny dzień ja też wolałbym oglądanie słońi i żyraf w zoo niż meduz w akwarium.

Wtedy nie powiedziałem nic Kumiko, ale prawdę mówiąc, nie cierpię meduz. Wiele razy mnie poparzyły, gdy pływałem w dzieciństwie na plaży niedaleko domu. Raz wypłynąłem sam w morze i nagle zorientowałem się, że otoczyła mnie ławica meduz. Jeszcze teraz wyraźnie pamiętam ich zimny śliski dotyk. Otoczony nimi, poczułem gwałtowny strach, jakbym został wciągnięty w głęboką ciemność. Nie wiem, dlaczego mnie wtedy nie poparzyły, ale i tak wpadłem w panikę i napiłem się dużo wody. Dlatego w miarę możliwości wolałbym ominąć tę wystawę i obejrzeć normalne ryby, jak tuńczyki czy płaszczki.

Lecz Kumiko zdawała się całkowicie oczarowana meduzami. Zatrzymywała się przed każdym akwarium, pochylała się w jego

kierunku i zastygała nieruchoma, jakby nieświadoma upływu czasu. - Patrz, patrz na to - mówiła. - Są na świecie takie kolorowe różowe meduzy. I jak ładnie pływają. Falując przez całe życie, wędrują po morzach świata. Nie uważasz, że to cudowne?

- Uhm, tak - powiedziałem. Niechętnie dotrzymując jej towarzystwa, przyglądałem się po kolei meduzom i nagle poczułem, że brak mi tchu. Umilkłem, rosło we mnie napięcie, zacząłem w kółko przeliczać monety w kieszeni, ciągle ocierałem usta chusteczką. Modliłem się, żeby jak najszybciej dojść do końca wystawy, lecz ciągle pojawiały się nowe gatunki meduz. W morzach świata jest ich doprawdy wiele rodzajów. Znosiłem to aż przez trzydzieści minut, lecz wskutek napięcia stopniowo zaczęło mi się kręcić w głowie. Trudno mi już było ustać, nawet gdy opierałem się o poręcz, więc usiadłem na pobliskiej ławce. Kumiko podeszła i zmartwiona zapytała, czy źle się czuję. Powiedziałem szczerze, że przykro mi, ale podczas oglądania zakręciło mi się w głowie.

Kumiko przez dłuższą chwilę poważnie patrzyła mi w oczy.

- To prawda. Masz błędny wzrok. Trudno uwierzyć, że oglądanie meduz może do czegoś takiego doprowadzić - powiedziała jakby zrezygnowana, ujęła mnie pod ramię i wyprowadziła z ciemnawego, wilgotnego akwarium na słońce.

Posiedzieliśmy dziesięć minut w pobliskim parku, oddychałem powoli i głęboko, aż doszedłem do siebie. Jesienne słońce przyjemnie raziło, wyschnięte na proch liście miłorzębu szeleściły lekko poruszane wiatrem. Po pewnym czasie Kumiko zapytała:

- No jak? W porządku? Jesteś dziwny. Jeżeli tak nie lubisz meduz, trzeba było mi od razu powiedzieć, zamiast się męczyć, aż ci się zrobiło niedobrze - powiedziała ze śmiechem.

Niebo było bezchmurne, wiał przyjemny wiaterek, wszyscy niedzielni spacerowicze wydawali się zadowoleni. Wysoka szczupła dziewczyna prowadziła dużego, długowłosego psa, starsuszek w miękkim kapeluszu pilnował wnuczki na huśtawce,

kilka par siedziało jak my na ławkach. Gdzieś w oddali ktoś ćwiczył gamy na saksofonie.

- Dlaczego tak lubisz meduzy? - zapytałem.

- Hm, może dlatego, że są ładne - odparła. - Ale przed chwilą przyglądając im się, pomyślałam, że to, co przed sobą widzimy, to jedynie mała cząsteczka świata. Przyzwyczailiśmy się myśleć, że to właśnie jest świat, lecz naprawdę tak nie jest. Prawdziwy świat to ciemniejsze i głębsze miejsce, prawie w całości zamieszkane przez stworzenia w rodzaju meduz. My po prostu o tym zapominamy. Nie uważasz? Dwie trzecie powierzchni ziemi pokrywają oceany, a gołym okiem dostrzegamy jedynie powierzchnię morza, sam naskórek. Prawie nic nie wiemy o tym, co się znajduje pod.

Potem poszliśmy na długi spacer. O piątej Kumiko stwierdziła, że musi wrócić do szpitala, więc odprowadziłem ją. - Dziękuję bardzo - powiedziała, gdy się żegnaliśmy. Jej uśmiech miał w sobie łagodne światło, którego w nim przedtem nie było. Zrozumiałem, że dziś trochę się do niej zbliżyłem. Pewnie zawdzięczałem to meduzom.

Potem byliśmy na wielu randkach. Gdy nie było już potrzeby chodzenia do szpitala, ponieważ matka Kumiko wróciła zdrowa do domu i chwilowo uspokoiła się sprawa testamentu klienta, nadal spotykaliśmy się raz w tygodniu, chodziliśmy do kina, posłuchać muzyki albo po prostu na spacer. Przy każdym spotkaniu coraz bardziej się do siebie przyzwyczajaliśmy. Przyjemnie było spędzać z nią czas, a gdy przypadkiem zetknęły się nasze ciała, przechodził mnie dreszcz. Zdarzało się, że przed nadejściem weekendu nie mogłem się skupić na pracy. Byłem pewien, że ona też mnie lubi. Gdyby mnie nie lubiła, nie spotykałaby się chyba ze mną co tydzień.

Nie chciałem jednak w pośpiechu pogłębiać naszej zażyłości, ponieważ dostrzegłem w Kumiko jakieś nieokreślone wahanie. Nie było to nic konkretnego, lecz w jej słowach, a czasem w zachowaniu wyczuwałem niezdecydowanie. Zdarzało się, że od-

powiadała z pewnym opóźnieniem na moje pytania. Po chwili ciszy. W tej chwilowej pauzie wyczuwałem zawsze jakiś cień.

Nadeszła zima, nastał nowy rok. Przez ten czas spotykaliśmy się prawie co tydzień. Nie zapytałem ani słowem o to „coś”, Kumiko też nic nie mówiła. Spotykaliśmy się, spacerowaliśmy i prowadziliśmy rozmowy na bezpieczne tematy.

- Masz narzeczonego albo chłopaka? - zdecydowałem się zapytać pewnego dnia.

Kumiko przyglądała mi się przez chwilę.

- Dlaczego tak myślisz?

- Jakoś tak mi się wydaje - powiedziałem.

Spacerowaliśmy wtedy po opustoszałym, zimowym parku Shinjuku-gyoen.

- W jakim sensie?

- Mam wrażenie, że chcesz mi coś powiedzieć. Jeżeli możesz, to powiedz.

Lekko zmieniała się na twarzy, lecz była to zmiana tak drobna, że prawie niezauważalna. Może trochę się zawahała, ale od początku dobrze wiedziała, jak postąpi.

- Dziękuję, ale nie ma nic takiego, o czym szczególnie chciałabym porozmawiać - powiedziała.

- Nie odpowiedziałas na moje pierwsze pytanie.

- Czy mam narzeczonego albo chłopaka?

- Uhm.

Kumiko zatrzymała się, zdjęła rękawiczki i włożyła je do kieszeni. Potem ścisnęła mnie za rękę - ja nie nosiłem rękawiczek. Jej dłoń była ciepła i miękka. Kiedy lekko uściśnąłem ją, zdawało mi się, że chmurki oddechu Kumiko stały się mniejsze i bielsze.

- Moglibyśmy teraz pójść do ciebie?

- Oczywiście, że możemy - powiedziałem trochę zaskoczony.

- Możemy, choć nie mam się za bardzo czym pochwalić.

Mieszkałem wtedy w Asagai, w kawalerce z małą kuchenką, toaletą i kabiną prysznicową wielkości budki telefonicznej. Mi-

eszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, od południa, okno wychodziło na magazyn firmy budowlanej, więc było w nim przynajmniej jasno. Pokój wyglądał zupełnie zwyczajnie i to, że był słoneczny, stanowiło jego jedyną zaletę. Długo siedzieliśmy w słońcu, opierając się o ścianę.

Tego dnia po raz pierwszy spałem z Kumiko i nawet teraz wydaje mi się, że to ona tego pragnęła. W pewnym sensie mnie uwiodła, nie konkretnymi słowami czy gestami, lecz gdy dotknąłem jej ciała, zrozumiałem, że mnie pragnie. Jej ciało było miękkie, nie czułem w nim żadnego oporu.

Było to pierwsze doświadczenie seksualne Kumiko. Potem przez długi czas nic nie mówiła. Zwróciłem się do niej kilka razy, lecz nie odpowiadała. Wzięła prysznic, ubrała się i znowu usiadła w słońcu. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc usiadłem obok niej i razem milczeliśmy. Słońce przesuwało się i my też przesuwaliliśmy się po trochu razem z nim. Późnym popołudniem Kumiko powiedziała, że musi iść do domu, więc ją odprowadziłem.

- Naprawdę nie chcesz mi niczego powiedzieć? - zapytałem jeszcze raz w pociągu.

Kumiko potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, to nie ma znaczenia - powiedziała cicho.

Od tego czasu nigdy już o tym nie wspomniałem. W końcu przespanie się ze mną było wyborem samej Kumiko, i choć na razie nie mogła się zdobyć na całkowitą szczerą, miałem nadzieję, że to się w sposób naturalny rozwiąże z upływem czasu.

Potem też widywaliśmy się raz w tygodniu. Zwykle zachodziła do mnie i kochaliśmy się. Gdy leżeliśmy przytuleni, zaczynała mówić o sobie, o swoich doświadczeniach i o tym, co w związku z tymi doświadczeniami czuła i myślała. Po trochu starałem się rozumieć świat widziany jej oczami i mogłem też opowiedzieć o świecie widzianym przeze mnie. Pokochałem ją głęboko, ona też powiedziała, że chce być ze mną. Poczekaliśmy, aż skończy studia, i wzięliśmy ślub.

Po ślubie żyliśmy szczęśliwie i nie mieliśmy praktycznie żadnych problemów, choć czasem czułem, że jest w Kumiko jakaś prywatna sfera, do której nie mam dostępu. Bywało na przykład, że rozmawialiśmy normalnie albo gorąco o czymś dyskutowaliśmy, gdy w pewnym momencie Kumiko nagle popadała w milczenie. Bez żadnego powodu (a przynajmniej mnie nie przychodził do głowy żaden powód) w trakcie rozmowy nagle milkła. Zupełnie jakby idąc drogą, nagle wpadła w wykopaną pułapkę. Samo milczenie nie trwało długo, lecz potem ogarniał ją nastrój typu: „sercem jestem gdzie indziej”. Wracała do normalnego stanu dopiero po upływie pewnego czasu. Gdy się do niej zwracałem, odpowiadała niezobowiązująco, rzucając „uhm, tak”, „rzeczywiście” albo „no tak”, lecz zdawało się, że myśli o czymś innym. Wpadała w taki stan niedługo po ślubie i pytałem ją, czy coś się stało. Czułem się tym strasznie zakłopotany i martwiłem się, że czymś ją dotknąłem, lecz Kumiko zawsze się uśmiechała i odpowiadała, że nic się nie stało, a gdy minął odpowiednio długi czas, wracała do normalnego nastroju.

Pamiętam to dziwne zakłopotanie, gdy po raz pierwszy się kochaliśmy. Kumiko prawdopodobnie cierpiała. Narzekała na ból i przez cały czas była spięta, ale nie to mnie niepokoiło. Wyczułem w niej coś w rodzaju trzeźwej uwagi. Nie potrafię tego jasno wytłumaczyć, lecz było w niej poczucie oderwania. Doznałem przedziwnego wrażenia, że ciało, które obejmuję, różni się od ciała kobiety, która jeszcze przed chwilą była obok, z którą prowadziłem intymną rozmowę. Obejmując ją, cały czas gładziłem po plecach. Jej szczupłe gładkie plecy wprawiały mnie w uniesienie, lecz jednocześnie zdawało mi się, że są ode mnie straszliwie daleko. Zupełnie jakby Kumiko, kochając się ze mną, myślała o czymś innym w jakimś odległym miejscu, a ja obejmowałem zastępcze ciało, które jest tu tylko przez pewien czas. Może z tej przyczyny, choć byłem podniecony, wszystko trwało tak długo.

Tak zdarzyło się jednak tylko za pierwszym razem. Przy kole-

jnej okazji Kumiko wydawała mi się znacznie bliższa. Stała się też bardziej podatna na impulsy fizyczne. Powiedziałem sobie, że to poczucie oderwania musiało być spowodowane tym, że był to jej pierwszy raz.

Snując wspomnienia, co pewien czas wyciągałem ramię, chwytalem drabinkę i mocno szarpałem, chcąc mieć pewność, że się nie odczepiła. Cały czas myślałem, że w pewnej chwili może się odwiązać. Za każdym razem wywoływało to we mnie straszny niepokój. Tak się denerwowałem, że czułem w uszach walenie serca. Pociągnąłem drabinkę wiele - pewnie ze dwadzieścia albo trzydzieści - razy i stopniowo strach zniknął. Była mocno przywiązana do drzewa. Tak łatwo się nie odczepi.

Spojrzałem na zegarek. Fosforyzujące wskazówki pokazały, że jest przed trzecią. Trzecią po południu. Nad moją głową nadal unosił się półksiężyc światła. Ziemię zalewa na pewno oślepiający blask letniego słońca. Przypomniałem sobie migotliwy nurt rzeki, zielone liście poruszane wiatrem. Zaraz pod zniewalającym światłem istnieje taka ciemność. By ją znaleźć, wystarczy zaledwie zejść nieco pod ziemię po sznurowej drabince.

Jeszcze raz pociągnąłem drabinkę i upewniłem się, że jest przymocowana. Potem oparłem głowę o ścianę studni i zamknąłem oczy. Wkrótce, jak fala przyływu, nadszedł sen.

## **7. O refleksjach i rozmowach na temat ciąży oraz o doświadczalnym studium bólu**

Gdy się obudziłem, półksiężyc u wylotu studni zabarwił się głębokim błękitem zmierzchu. Zegarek wskazywał pół do ósmej. Pół do ósmej wieczorem. To znaczy, że spałem aż cztery i pół godziny.

Powietrze w studni było chłodne. Schodząc tu, prawdopodobnie z emocji, nie zauważyłem, jaka jest temperatura. Teraz jednak czułem przez skórę chłód. Potarłem dłonie, próbując je rozgrzać, i pomyślałem, że powinienem był wsadzić do plecaka coś do włożenia na podkoszulek. Zapomniałem, że temperatura na



dnie studni różni się od tej na powierzchni.

Spowijała mnie teraz głęboka ciemność. Nic nie widziałem, choć wyteżiałem wzrok. Nie widziałem nawet własnej ręki. Przesunąłem dłoń wzdłuż ściany, wymacałem drabinkę i pociągnąłem. Była nadal porządnie umocowana. Gdy poruszałem ręką, wydało mi się, że ciemność lekko zadrżała, lecz było to zapewne tylko złudzenie. Doznawałem przedziwnego uczucia, nie mogąc zobaczyć własnego ciała, choć wiedziałem, że tu jest. Siedząc bez ruchu w ciemności, stopniowo przestałem uświadamiać sobie fakt własnego istnienia i dlatego czasami lekko chrząkałem, gładziłem ręką policzek. Tym sposobem uszy upewniały się, że istnieje głos, ręka, że istnieje twarz, a twarz - że ręka.

Jednak mimo tych starań, moje ciało powoli traciło ciężar właściwy i masę, jak piasek unoszony przez nurt. Zdawało mi się, że odbywa się we mnie milczące zaciekłe przeciąganie liny, świadomość po trochu przeciągała ciało na swoją stronę. Ciemność zachwiała równowagę między nimi. Pomyślałem nagle, że może ciało jest tylko prowizoryczną skorupą przygotowaną dla świadomości w drodze odpowiedniej zamiany miejsc chromosomów. Gdyby znów pozamieniać je miejscami, znalazłbym się w zupełnie innym ciele niż przedtem. Kreta Kano nazwała siebie „ prostytutką świadomości”. Mogłem teraz bez oporów przyjąć te słowa. Odbyliśmy stosunek w świadomości, lecz mnie udało się mieć rzeczywisty wytrysk. Różne dziwne rzeczy stają się możliwe w prawdziwie głębokiej ciemności.

Potrząsnąłem głową i z wysiłkiem sprowadziłem świadomość z powrotem do ciała.

Złożyłem dłonie tak, że wszystkie palce dokładnie się stykały. Kciuk dotykał kciuka, palec wskazujący palca wskazującego. Palce prawej ręki upewniały się, że istnieją palce lewej, a palce lewej, że istnieją palce prawej. Potem powoli wziąłem głęboki oddech. Dam sobie spokój z zastanawianiem się nad świadomością. Pomyślę o czymś bardziej rzeczywistym. Pomyślę o rzeczywistym świecie, do którego należy ciało. Po to tu przysze-

dłem. Chciałem się zastanowić nad rzeczywistością. Wydawało mi się, że aby się zastanowić nad rzeczywistością, lepiej się od niej jak najbardziej oddalić, na przykład na dno studni. Pan Honda powiedział: „Gdy ktoś ma iść w dół, powinien znaleźć najgłębszą studnię i zejść na samo dno”. Oparty o ścianę, nabrałem w płuca powietrza przesiąkniętego zapachem pleśni.

Nie urządziliśmy wesela. Nie mieliśmy nadwyżek finansowych pozwalających na wyprawianie wesela, nie chcieliśmy też prosić rodziców. Od takich oficjalnych okazji ważniejsze było dla nas rozpoczęcie wspólnego życia tylko we dwoje w takim zakresie, w jakim było to dla nas możliwe. W niedzielę rano poszliśmy do otwartego okienka w urzędzie dzielnicowym, nacisnęliśmy guzik wzywający pracownika, obudziliśmy urzędnika, który jeszcze spał, i podpisaliśmy akt małżeństwa. Potem udaliśmy się do eleganckiej francuskiej restauracji, z rodzaju tych, na które zwykle nie mogliśmy sobie pozwolić, wypiliśmy butelkę wina i zjedliśmy wielodaniowy obiad. Zamiast wesela. To nam wystarczyło.

Biorąc ślub, nie mieliśmy prawie żadnych zasobów (matka zostawiła mi trochę pieniędzy, ale postanowiliśmy ich nie ruszać, bo miały być na czarną godzinę), nie mieliśmy też wcale porządnych mebli. Naszych perspektyw na przyszłość także nie można było nazwać szczególnie jasnymi. Człowiek bez uprawnień adwokackich pracujący w kancelarii adwokackiej ma marne rokowania na przyszłość. Firma Kumiko też była nieznanym, małym wydawnictwem. Kumiko mogła po studiach znaleźć wspaniałą pracę dzięki znajomościom ojca, jednak nie chciała z nich korzystać i postanowiła, że sama sobie poradzi. Byliśmy zadowoleni. Cieszyliśmy się, że dajemy sobie sami radę.

Jednak budowanie czegoś od zera we dwoje wcale nie było łatwe. Ja, jak przystało na jedynaka, byłem samotnikiem. Gdy poważnie się do czegoś zabierałem, lubiłem być sam. Zamiast ciągle komuś tłumaczyć i wyjaśniać, tracić czas i zawracać głowę, wolałem pracować sam w milczeniu. Kumiko też po stracie

siostry zamknęła się w sobie i dorastała praktycznie sama. Nigdy nie szukała rady nikogo z rodziny. Pod tym względem byliśmy do siebie podobni.

Mimo to po trochu przyzwyczajaliśmy nasze ciała i serca do nowej jednostki pod nazwą „nasza rodzina”. Ćwiczyliśmy wspólne podejmowanie decyzji i wspólne odczuwanie. Staraliśmy się przyjmować rzeczy, które zdarzały się każdemu z nas, jako „nasze”. Oczywiście raz się udawało, raz nie, ale sądzę, że cieszył nas ten proces prób i błędów jako coś nowego i świeżego. Nawet kiedy dochodziło do gwałtownych zderzeń, wkrótce przytuleni zapominaliśmy o nich.

W trzy lata po ślubie Kumiko zaszła w ciążę. Przez cały czas stosowaliśmy uważnie środki antykoncepcyjne, więc był to dla nas - a przynajmniej dla mnie - prawdziwy grom z jasnego nieba. Musieliśmy czegoś nie dopatrzeć. Nie wiedzieliśmy kiedy, lecz nie było innego wytłumaczenia. Tak czy inaczej nie mieliśmy warunków ekonomicznych pozwalających na urodzenie i wychowanie dziecka. Kumiko przywykła wreszcie do pracy w wydawnictwie i chciała jak najdłużej tam pozostać, a ponieważ była to mała firma, nie mogło być mowy o urlopie macierzyńskim. Jeżeli ktoś chciał mieć dziecko, musiał odejść z pracy. Oznaczałoby to dla nas życie przez dłuższy czas z mojej pensji, co było praktycznie niemożliwe.

- No, tym razem będziemy chyba musieli zrezygnować - powiedziała Kumiko głucho, po powrocie od lekarza z wynikami badań.

Ja też myślałem, że chyba nie ma innego wyjścia. Z każdego punktu widzenia wydawało się to najrozsądniejszym rozwiązaniem. Byliśmy młodzi i zupełnie nieprzygotowani na dzieci. Oboje potrzebowaliśmy jeszcze czasu dla siebie. Musieliśmy zbudować nasze własne życie. To było najważniejsze. W przyszłości będzie dużo czasu na dzieci.

Szczerze mówiąc, nie chciałem, żeby Kumiko usunęła ciążę. Na drugim roku studiów pewna dziewczyna zaszła ze mną w ci-

ażę. Poznałem ją w czasie jakiejś dorywczej pracy, była ode mnie o rok młodsza. Sympatyczna, dobrze się rozumieliśmy. Lubiliśmy się, ale nie chodziliśmy ze sobą, choć możliwe było, że zaczniemy. Oboje byliśmy samotni i potrzebowaliśmy kogoś, do kogo można się przytulić.

Wiedzieliśmy, dlaczego zaszła w ciążę. Zawsze używałem prezerwatyw, ale pewnego dnia zagapiłem się i nie miałem ich przy sobie. Skończyły mi się. Gdy jej to powiedziałem, wahała się przez kilka sekund, a potem rzuciła:

- Aha, no ale myślę, że dziś będzie w porządku. - Lecz zaszła w ciążę.

Nie mogłem sobie w pełni uświadomić, że „zrobiłem dziewczynie dziecko”, jednak, jakkolwiek na to patrzeć, usunięcie ciąży było jedynym rozwiązaniem. Skombinowałem pieniądze na zabieg i zabrałem ją do szpitala. Wsiadliśmy do pociągu i pojechaliśmy do kliniki w prefekturze Chiba, poleconej przez jej koleżankę. Wysiedliśmy na dworcu w miasteczku, o którym w życiu nie słyszałem. Jak sięgnąć wzrokiem, na łagodnych wzgórzach ciągnęły się w nieskończoność osiedla małych, stłoczonych domków. Były to nowe osiedla pobudowane na wielką skalę w ciągu ostatnich kilku lat dla stosunkowo młodych pracowników firm, którzy nie mogli sobie pozwolić na dom w obrębie Tokio. Nawet dworzec był zupełnie nowy, przed nim rozciągały się jeszcze pola ryżowe - w życiu nie widziałem takiej wielkiej kałuży. Ulica obwieszona była ogłoszeniami pośredników handlu nieruchomościami.

Poczekalnię wypełniały młode kobiety w zaawansowanej ciąży. Większość z nich była cztery czy pięć lat po ślubie. Wreszcie udało im się dostać pożyczkę, kupić dom na przedmieściach i teraz wreszcie mogły spokojnie urodzić dziecko. Po południu, w powszedni dzień, byłem jedynym młodym mężczyzną w poczekalni ginekologa. Wszystkie ciężarne zerkały na nas z nieukrywaną ciekawością. Ich spojrzenia nie wydawały mi się przyjazne. Wyglądałem najwyżej na studenta drugiego roku i

widać było, że jestem tu, bo zrobiłem dziewczynie dziecko i przyjechałem z nią na usunięcie ciąży.

Po zabiegu wsiedliśmy do pociągu i wróciliśmy do Tokio. Po południu Pociąg jadący w kierunku miasta był pusty. Przeprosiłem ją. Powiedziałem, że strasznie mi przykro, że przez nieuwagę postawiłem ją w takiej sytuacji.

Daj spokój, nie musisz się tak przejmować - odpowiedziała. - Przynajmniej pojechałeś ze mną do szpitala i dałeś mi pieniądze.

Wkrótce przestaliśmy się spotykać, dlatego nie wiem, gdzie teraz jest i co robi. Jednak długo po tym zabiegu, gdy już się z nią nie widywałem, nadal nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Za każdym razem, kiedy sobie o tym przypominałem, stała mi przed oczami nadmiernie zatłoczona poczekalnia z nadmiernie pewnymi siebie ciężarnymi kobietami. I zawsze myślałem, że powinienem być bardziej uważać.

Chcąc mnie w pociągu pocieszyć -mnie pocieszyć!- powtarzała raz po raz, że nie była to poważna operacja.

- To nie jest taka poważna operacja, jak sobie wyobrażasz. Ani długo nie trwa, ani nie boli. Rozbierasz się i po prostu tam leżysz. Oczywiście trochę wstyd. Ale lekarz był miły. Pielęgniarki też życzliwe. Pouczyli mnie tylko, żebym już teraz porządnie zapobiegała ciąży. Nie ma się co tak przejmować. Ja przecież też jestem za to odpowiedzialna. To ja powiedziałam, że będzie w porządku. Prawda? Więc głowa do góry!

Jednak w czasie jazdy pociągiem do tego małego miasta w prefekturze Chiba i podczas powrotu do Tokio stałem się w pewnym sensie innym człowiekiem. Zrozumiałem to, kiedy odwiozłem ją do domu i wróciłem do siebie: leżąc na łóżku, gapiłem się w sufit. Jestem teraz „nowym sobą” i nie ma już powrotu do dawnego mnie. Miałem świadomość utraconej niewinności. Nie było to poczucie, że popełniłem zło, poczucie winy w sensie moralnym. Wiedziałem, że zrobiłem błąd, ale nie miałem zamiaru sobie tego wyrzucać. Nie chodziło o robienie albo nierobienie sobie wyrzutów. Musiałem spokojnie i bez emocji stanąć

twarzą w twarz z fizyczną stroną zagadnienia.

Gdy dowiedziałem się o ciąży Kumiko, przed oczami stanęła mi ta przepelniona ciężarnymi kobietami poczekalnia i specyficzny zapach, który się w niej unosił. Nie wiedziałem, co to za zapach. Może nie była to woń czegoś konkretnego, a coś w rodzaju zapachu. Pielęgniarka wywołała nazwisko dziewczyny, a ona powoli wstała z pokrytego sztywnym plastikiem krzesła i poszła prosto do drzwi gabinetu. Wstając, rzuciła mi krótkie spojrzenie. W kącikach jej ust był ślad uśmiechu, tak jakby zaczęła się uśmiechać, lecz w trakcie zmieniła zdanie.

Powiedziałem Kumiko, że oczywiście rozumiem, iż nierealne jest dla nas posiadanie dziecka, ale zastanawiam się, czy nie ma jakiegoś sposobu uniknięcia tego zabiegu.

- Rozmawialiśmy o tym już tysiąc razy. Jeżeli teraz urodzę dziecko, będzie to koniec mojej pracy, ty będziesz musiał znaleźć gdzieś lepiej płatną posadę, żeby utrzymać mnie i dziecko. Ledwo nam starczy na życie, nie zostanie na żadne przyjemności. Realne możliwości na przyszłość bardzo się zawężą. Czy to by ci nie przeszkadzało?

- Mam wrażenie, że by nie przeszkadzało - powiedziałem.

- Naprawdę?

- Myślę, że jak będzie trzeba, pewnie uda mi się znaleźć pracę. Na przykład mój wujek potrzebuje rąk do pracy. Chce otworzyć nowy lokal, ale nie ma nikogo, na kim mógłby polegać, więc nie może otworzyć. Myślę, że tam mógłbym zarobić dużo więcej niż tutaj. Straciłbym kontakt z prawem, ale szczerze mówiąc, teraz też nie pracuję tam dlatego, że bardzo mi na tym zależy.

- Prowadziłbyś restaurację?

- Myślę, że mógłbym. Poza tym mam też trochę pieniędzy po matce. Nie umrzemy z głodu.

Kumiko milczała długo, zastanawiała się, mrużąc lekko oczy. Lubilem takie drobne wyraziste zmiany na jej twarzy.

- Czy to znaczy, że chcesz mieć dziecko?

- Nie wiem - powiedziałem. - Wiem, że jesteś w ciąży, ale nie całkiem dotarło do mnie, że mogę zostać ojcem. I gdybyśmy rzeczywiście mieli dziecko, trudno powiedzieć, jak nasze życie by się zmieniło. Lubisz swoją pracę i mam wrażenie, że pomyłką byłoby odebranie ci jej. Czasami myślę, że powinniśmy jeszcze pożyć tak we dwoje, ale jednocześnie zdaje mi się, że gdybyśmy mieli dziecko, nasz świat powiększyłby się i poszerzył. Nie wiem, co słuszne. Po prostu wiem tylko, że nie chcę, żebyś usunęła ciążę. Ale nie mogę niczego zagwarantować. Nie mam pewności i nie mam też żadnego doskonałego rozwiązania. Wiem tylko, że tak czuję.

Kumiko zastanawiała się przez chwilę. Co pewien czas gładziła się po brzuchu.

- Jak myślisz, dlaczego zaszłam w ciążę? Masz jakiś pomysł? Potrzęsnałem głową.

- Zawsze uważnie stosowaliśmy środki zapobiegawcze, bo nie chcieliśmy wpaść i potem się zastanawiać, co zrobić. Dlatego nie mam pojęcia, jak to się stało.

- Nie sądzisz, że mogłam cię z kimś zdradzić? Nie zastanowiłeś się nad taką możliwością?

- Nie zastanowiłem.

- Dlaczego?

- Nie mam specjalnie dobrego wyczucia, no ale przecież chyba bym się zorientował.

Siedzieliśmy wtedy przy stole kuchennym, pijąc wino. Było już późno i wokół panowała cisza. Zmrużywszy oczy, Kumiko przyglądała się ostatniemu łykowi wina w szklance. Zwykle prawie nie piła, czasami wypijała tylko kieliszek, gdy nie mogła zasnąć. Zaledwie jeden kieliszek wina pozwalał jej usnąć. Ja piłem dla towarzystwa. Nie mieliśmy takich eleganckich szkieł, jak kieliszki do wina, więc zamiast nich używaliśmy małych szklanek do piwa, które podarował nam pobliski sklep z alkoholem.

- Zdradziłaś mnie z kimś? - zapytałem na wszelki wypadek, lekko zaniepokojony.

Kumiko roześmiała się i kilkakrotnie potrząsnęła głową.

- Żartujesz. Jak mogłabym coś takiego zrobić? Wspomniałam o tym po prostu jako o możliwości - potem spoważniała i oparła łokcie na stole. - Ale szczerze mówiąc, czasem przestaję rozumieć różne rzeczy. Nie wiem, co jest prawdą, a co nie. Co się naprawdę wydarzyło, a co nie... tylko czasem.

- I teraz jest taki czas?

- Właściwie tak... Tobie się to nie zdarza?

Zastanowiłem się przez chwilę. - Nie mogę sobie nic konkretnego przypomnieć - powiedziałem.

- Nie wiem, jak to wyrazić. Wydaje mi się, że jest pewna różnica między tym, co ja uważam za rzeczywiste i co naprawdę jest rzeczywiste. Czasami zdaje mi się, że coś niewielkiego się we mnie ukrywa. Jak złodziej, który wślizgnął się do mieszkania i ukrywa się w szafie. Co pewien czas wychodzi z ukrycia, psuje mi porządek i logiczne myślenie. Jak magnes, który powoduje złe działanie maszyny.

- Coś niewielkiego? Złodziej? - powtórzyłem i roześmiałem się. - To strasznie mgliste.

- Bo to jest mgliste. Naprawdę - powiedziała Kumiko i dopiła do końca wino.

Przyglądałem się jej przez chwilę.

-I myślisz, że twoja ciąża ma związek z tym czymś niewielkim?

Kumiko potrząsnęła głową.

- Nie mówię, że ma albo nie ma związku, chodzi o to, że czasami przestaję rozumieć porządek różnych rzeczy. Tylko to miałam na myśli.

W słowach Kumiko zaczęła brzmieć lekka irytacja. Na zegarze było już po pierwszej. Pomyślałem, że czas zakończy rozmowę. Wyciągnąłem rękę nad wąskim stołem i ścisnąłem jej dłoń.

- Słuchaj, czy nie mógłbyś mnie zostawić tej decyzji? - zapytała Kumiko. - Oczywiście, dobrze wiem, że to ważny problem i



że dotyczy nas obojga, ale chciałabym, żebyś mi pozwolił samej zdecydować. Bardzo mi przykro, że nie umiem dobrze wyłumaczyć, co myślę i czuję.

- Uważam, że zasadniczo decyzja należy do ciebie. Szanuję to prawo.

- Sądzę, że w ciągu miesiąca będę się musiała na coś zdecydować. Rozmawialiśmy o tym, dlatego rozumiem mniej więcej, co czujesz. Teraz daj mi się samej zastanowić, więc przestańmy na pewien czas o tym rozmawiać, dobrze?

Kumiko usunęła ciężę, gdy przebywałem na wyspie Hokkaido. Nie zdarzało się, żeby tak nisko postawieni pracownicy jak ja byli wysyłani w delegację, ale wtedy akurat nikt inny nie mógł pojechać i wysłano mnie. Miałem wsadzić do torby dokumenty, zawieźć je, krótko wyjaśnić, o co chodzi, odebrać dokumenty od klienta i wrócić. Były to bardzo ważne dokumenty, więc nie można ich wysłać pocztą ani powierzyć komuś obcemu. Loty z Sapporo do Tokio były strasznie przepełnione, toteż musiałem spędzić noc w hotelu. Kumiko poszła sama do szpitala i usunęła ciężę. Zadzwoiła do mnie do hotelu po dziesiątej i powiedziała:

- Dziś po południu miałam zabieg. Przepraszam, że zawiadamiam cię po fakcie, ale akurat było miejsce, a poza tym pomyślałam, że łatwiej nam będzie obojgu, jeżeli sama zdecyduję i zrobię wszystko pod twoją nieobecność.

- Nie przejmuj się tym - odparłem. - Skoro myślałaś, że tak będzie lepiej, to tak było lepiej.

- Chciałabym ci więcej powiedzieć, ale jeszcze nie mogę. Sądzę, że będę musiała ci kiedyś o tym opowiedzieć.

- Porozmawiamy spokojnie po moim powrocie.

Po odłożeniu słuchawki włożyłem płaszcz, wyszedłem z hotelu i chodziłem bez celu po ulicach Sapporo. Był początek marca i po obu stronach ulicy leżały wysokie zasypy śniegu. Panowało dotkliwie zimno. Białe oddechy przechodniów pojawiały się i znikwały. Ludzie nosili ciepłe płaszcze, rękawiczki, byli okutani

szalikami i ostrożnie stąpali po śliskich chodnikach. Po ulicy jeździły tam i z powrotem hałaśliwe taksówki z łańcuchami na oponach. Gdy zmarzłem tak, że już nie mogłem tego dłużej znieść, wszedłem do baru i wypilem kilka czystych whisky. Po tem znowu chodziłem po ulicach.

Bardzo długo włóczyłem się po mieście. Czasami popadywał śnieg, lecz był to drobny, efemeryczny śnieżek, zupełnie jak wyblakłe wspomnienie. Kolejny bar znajdował się w suterenie. Był znacznie większy, niż się wydawało po wyglądzie wejścia. Przy barze znajdowała się mała scena. Szczupły mężczyzna w okularach grał na gitarze i śpiewał. Siedział na stalowym krześle, z nogą założoną na nogę, przy krześle leżał futerał na gitarę.

Usiadłem przy barze i piłem, słuchając bez większego zainteresowania. W przerwie między utworami mężczyzna wyjaśnił, że sam skomponował wszystkie piosenki i napisał słowa. Był pewnie pod trzydziestkę, miał mało charakterystyczną twarz, nosił okulary w brązowych plastikowych oprawkach. Ubrany w dżinsy, sznurowane buty i kraciatą flanelową koszulę wyrzuconą na spodnie. Nie potrafię wytłumaczyć, jaki rodzaj piosenek śpiewał. Może były bliskie typowi muzyki dawniej nazywanemu japońskim folkiem. Monotonne akordy, prosta melodia i nijakie słowa. Nie lubiłem tego typu muzyki. W normalnych warunkach nie słuchałbym, tylko wypiwszy drinka, zapłacił i wyszedł, ale dziś byłem przemarznięty do szpiku kości i za nic nie chciałem wychodzić na dwór, zanim się porządnie nie ogrzeję. Wypilem jedną czystą whisky i od razu zamówiłem drugą. Przez pewien czas siedziałem w płaszczu i w szaliku. Barman zapytał, czy nie chciałbym jakiejś zakąski do drinka, zamówiłem więc ser i zjadłem plasterek. Chciałem się nad czymś zastanowić, ale nie mogłem zebrać myśli. Nie wiedziałem nawet, nad czym by się tu zastanawiać. Zdawało mi się, że jestem jak pusty pokój, w którym głucho rozlegało się wyschnięte echo muzyki.

Mężczyzna skończył śpiewać i gdzieś rozległy się oklaski. Nie były specjalnie entuzjastyczne, ale więcej niż tylko

kurtuazyjne. Bar nie był zbyt tłoczny. Łącznie siedziało w nim może dziesięcioro, może piętnascioro gości. Mężczyzna wstał z krzesła i uklonił się. Powiedział coś żartobliwie i kilka osób się roześmiało. Zawołałem barmana i zamówiłem trzecią whisky. Potem zdjąłem wreszcie płaszcz i szalik.

- Na tym kończę dzisiejsze śpiewanie - powiedział piosenkarz. Po chwili rozejrzał się po barze. - Lecz ponieważ niektórzy tutaj myślą pewnie, że niezbyt dobrze śpiewałem, teraz właśnie dla nich zaprezentuję dodatkowy numer. Zwykle tego nie robię, więc dzisiejsi goście mają szczęście, bo to specjalna okazja.

Delikatnie położył gitarę na podłodze, otworzył futerał i wyjął świecę, była to biała gruba świeca. Zapalił ją zapałką, wytopił trochę wosku na talerzyk i umocował. Potem uniósł przed sobą talerzyk zupełnie jak grecki filozof. - Czy mogę prosić o przyciemnienie świateł? - poprosił. Jeden z pracowników lekko przyciemnił oświetlenie. - Może być jeszcze ciemniej - powiedział mężczyzna.

W barze zrobiło się całkiem ciemno i płomień świecy stał się wyraźnie widoczny. Trzymając w dłoni szklaneczkę whisky i ogrzewając ją patrzyłem na mężczyznę ze świecą.

- Jak państwo wiedzą, doświadczamy w życiu różnych rodzajów bólu - Powiedział cicho mężczyzna, lecz jego głos był wyraźnie słyszalny. - Jest ból ciała i ból serca, do tej pory doświadczyłem różnych form bólu i państwo pewnie też jednak w wielu wypadkach bardzo trudno jest wytłumaczyć drugiej osobie prawdziwą istotę odczuwanego bólu. Ludzie mówią, że nikt nie może zrozumieć bólu drugiego człowieka. Czy naprawdę tak jest? Ja tak nie uważam. Zdarza się, że gdy widzimy, jak ktoś naprawdę cierpi, czujemy to cierpienie czy ból jak własne. To jest siła współodczuwania, współczucia Rozumieją państwo?

Przerwał i jeszcze raz rozejrzał się po barze.

- Ludzie śpiewają również dlatego, że chcą osiąść siłę współczucia. Chcą się oddalić od ciasnej skorupy samego siebie, dzielić ból i smutek innych, lecz oczywiście nie jest to proste.

Dlatego chciałbym dziś tutaj drogą tak zwanego eksperymentu dać państwu odczuć prostszy rodzaj fizycznego współczucia.

Wszyscy wpatrywali się w scenę z zapartym tchem, zastanawiając się, co będzie dalej. Mężczyzna w milczeniu wpatrywał się w próżnię, jakby robił efektowną przerwę; a może starał się skoncentrować myśli. Potem bez słowa umieścił lewą dłoń nad płomieniem świecy. Po troszeczkę, po troszeczkę zbliżał dłoń do płomienia. Jeden z gości wydał westchnienie przypominające jęk. Wkrótce widać było, jak płomień świecy pali dłoń mężczyzny. Zdawało się nawet, że słychać skwierczenie. Jedna z kobiet jęknęła przejmująco. Pozostali przyglądali się, jakby zamarli. Mężczyzna znosił ból, gwałtownie wykrzywiając twarz. Co to u licha ma znaczyć?, pomyślałem. Po co robić coś tak bezsensownie głupiego? Czuję, jak robi mi się sucho w gardle. Po Pięciu czy sześciu sekundach powoli odsunął dłoń od ognia i odstawił talerzyk ze świecą na podłogę. Potem przyłożył dłonie jedną do drugiej.

- Jak państwo widzieli, ból dosłownie spala ciało - powiedział. Jego głos brzmiał tak samo jak przedtem. Cichy, napięty, spokojny. Z twarzy zniknęły wszelkie ślady cierpienia. Gościł na niej nawet nikły uśmieszek. - I wszyscy państwo mogli odczuć doznawany przeze mnie ból, jakby ten ból był wasz. To właśnie jest siła współczucia.

Powoli odsunął dłonie od siebie. Wyjął spomiędzy nich cienką czerwoną chusteczkę i rozpostarł ją. Potem wyciągnął przed siebie dłonie i pokazał zebrany. Na dłoni nie było śladu oparzenia. Przez chwilę panowało milczenie, a potem rozległy się gorące, jakby pełne ulgi, oklaski. Zapalono światła, bar wypełnił się gwarem uwolnionych od napięcia ludzi. Mężczyzna jak gdyby nigdy nic włożył gitarę do futerału, zszedł ze sceny i gdzieś zniknął.

Płacąc, zapytałem kelnerkę, czy ten człowiek zawsze tu śpiewa i czy często robi takie sztuczki.

- Nie jestem pewna - odparła. - O ile wiem, dzisiaj śpiewał tu

po raz pierwszy. Nigdy przedtem o nim nie słyszałam i nie wiedziałam, że robi sztuczki. Ale to było niesamowite, prawda? Jak on to robi? Pewnie mógłby to nawet pokazać w telewizji.

- Tak, naprawdę wyglądało, jakby palił sobie rękę - powiedziałem.

Wróciłem piechotą do hotelu, położyłem się na łóżku, a sen nadszedł od razu, jakby tylko na to czekał. Usypiając, pomyślałem o Kumiko, lecz zdawało mi się, że jest straszliwie daleko i nie mogłem już o niczym myśleć. Nagle stanęła przede mną twarz mężczyzny palącego swoją dłoń. Wyglądało, że naprawdę ją pali. Potem zapadłem w sen.

## **8. O korzeniach pragnień i przechodzeniu przez ścianę w pokoju numer 208**

Nad ranem miałem na dnie studni sen, lecz nie był to zwykły sen, a coś, co postanowiło przybrać formę snu.

Szedłem sam. Na ekranie dużego telewizora pośrodku przestronnego holu widać było twarz Noboru Watai. Właśnie rozpoczął przemówienie. Miał tweedowy garnitur, koszulę w paski, granatowy krawat. Splótł dłonie na stole i zwrócony do kamery zaczynał mówić. Na ścianie za jego plecami wisiała duża mapa świata. W holu było ponad sto osób i wszyscy co do jednego zastygli w bezruchu i zaczęli się przysłuchiwać. Zupełnie jakby miał ogłosić coś, co miało zdecydować o losach ludzkości.

Ja też się zatrzymałem i spojrzałem na ekran. Noboru Wataya mówił wyćwiczonym, lecz niezwykle szczerym tonem, zwracając się do milionów ludzi, których nie widział. To coś nieprzyjemnego, co odczuwało się, bezpośrednio z nim rozmawiając, było dobrze ukryte gdzieś w głębi oczu. Jego sposób mówienia miał specyficzną siłę przekonywania. Z drobnych pauz, brzmienia głosu, zmian wyrazu twarzy rodziła się jakaś przedziwna realność. Zdawało się, że z dnia na dzień staje się coraz lepszym mówcą. Chcąc nie chcąc, musiałem mu to przyznać.

- Rozumieją państwo? Wszystko, co jest skomplikowane, jest

jednocześnie bardzo proste. To podstawowa zasada rządząca światem - mówił. - Nie wolno o tym zapominać. Wszystko, co wydaje się skomplikowane, jest oczywiście naprawdę skomplikowane, a zarazem niezwykle proste, jeśli weźmiemy pod uwagę motywy. Chodzi tylko o jedno: czego się pragnie? Motyw można nazwać korzeniem pragnienia. Najważniejsze jest dotarcie do tych korzeni. Rozkopuje się więc powierzchnię skomplikowanej rzeczywistości. Aż do skutku. Aż dotrze się do samych koniuszków korzeni. Takie postępowanie sprawia - mówiąc to, wskazał palcem wiszącą za nim mapę - że wszystko wkrótce stanie się jasne. Tak właśnie jest zbudowany świat. Głupi ludzie nigdy nie potrafią się oderwać od tego pozornego skomplikowania. I nie rozumiejąc tego, jak zbudowany jest świat, umierają, błądząc w ciemnościach, poszukując wyjścia, jakby zagubieni w głębi lasu czy na dnie głębokiej studni, ponieważ nie rozumieją zasad, na jakich wszystko się opiera. W głowie mają tylko siano. Niczego nie rozumieją. Nie rozumieją nawet, gdzie jest przód, a gdzie tył, gdzie góra, a gdzie dół, gdzie jest północ, a gdzie południe. Dlatego nie mogą się wydostać z ciemności.

Noboru Wataya przerwał, pozwalając, by jego słowa dotarły do świadomości słuchaczy, potem ciągnął dalej:

- Zapomnijmy o takich ludziach. Chcącym się zagubić, pozwólmy się zagubić. Mamy co innego do roboty.

Słuchając go, poczułem, jak stopniowo wzbiera we mnie gniew, od którego nieomal brakło mi tchu. Udając, że zwraca się do całego świata, w rzeczywistości mówi do mnie. Na pewno ma jakiś pokrętny, wypaczony motyw, lecz inni tego nie rozumieją i właśnie dlatego Noboru Wataya może posłużyć się takim potężnym środkiem jak telewizja, by wysłać mi zaszyfrowaną wiadomość. Zacisnąłem pięści w kieszeniach, lecz nie miałem jak rozładować gniewu. Poza tym fakt, że nie mogę się moim gniewem podzielić z nikim z obecnych, wywołał we mnie głębokie poczucie osamotnienia.

Przeszedłem przez hol przepelniony ludźmi wyteżającymi

słuch, by nie uronić ani jednego słowa Noboru Watai, i ruszyłem korytarzem prowadzącym do pokoi hotelowych. Stał tam ten sam mężczyzna bez twarzy. Gdy podszedłem bliżej, zwrócił się ku mnie twarzą, której nie było. Potem cicho zagroził mi drogę.

- Teraz nie jest odpowiedni czas. Nie wolno panu tu teraz być.

Lecz mnie popychał ból, pochodzący z rany zadanej przez Noboru Wa-tayę. Wyciągnąłem rękę i odepchnąłem mężczyznę. Zachwiał się jak cień i odsunął na bok.

- Mówię to dla pana dobra - powiedział za mną. Jego słowa uderzały mnie w plecy jak ostre odłamki skały. - Jeżeli pójdzie pan dalej, nie będzie pan mógł wrócić. Czy mimo to chce pan iść?

Nie zwracając na niego uwagi, szedłem pospiesznie dalej. Niczego się już nie obawiałem. Musiałem wiedzieć. Nie mogłem być wiecznie zagubiony.

Szedłem korytarzem zapamiętanym z poprzedniego snu. Myślałem, że może mężczyzna bez twarzy pójdzie za mną, chcąc mnie powstrzymać, więc przeszedłszy parę kroków, odwróciłem się, lecz nikogo nie dostrzegłem. W długim, krętym korytarzu tu i tam były identyczne drzwi. Na nich znajdowały się numery, lecz nie mogłem sobie przypomnieć numeru pokoju, do którego mnie przedtem zaprowadzono. Wtedy go dobrze pamiętałem, ale teraz za nic nie mogłem sobie przypomnieć. Nie mogę przecież otwierać wszystkich drzwi.

Przez pewien czas chodziłem po korytarzu tam i z powrotem. Wkrótce zobaczyłem kelnera hotelowego z wózkiem służącym do dostarczania dań do pokoi. Na wózku znajdowała się nowa butelka Cutty Sark, kubełek z lodem i dwie szklaneczki. Minąłem go, a potem cicho ruszyłem jego śladem. Światło z sufitu odbijało się w nieskazitelnej tacy rzucającej srebrne błyski. Kelner ani razu się nie obejrzał. Wyprostowany, z brodą przy piersi zmierzał dokądś miarowym krokiem. Czasami pogwizdywał uwerturę do Sroki złodziejki. Początek, w którym słychać było

bębny. Gwizdał całkiem nieźle.

Korytarz był długi, lecz idąc za kelnerem, nie spotkałem nikogo innego. Wkrótce kelner zatrzymał się przed pewnymi drzwiami i cicho zapukał trzy razy. Po paru sekundach ktoś otworzył, a kelner wszedł do środka, niosąc tacę. Oparłem się o ścianę i kryjąc się w cieniu wielkiej wazy w chińskim stylu, czekałem, aż wyjdzie. Pokój miał numer 208. Tak, tamten pokój miał numer 208, pomyślałem. Dlaczego przedtem nie mogłem sobie przypomnieć?

Kelner przez dłuższy czas nie wychodził. Spojrzałem na zegarek, lecz wskazówki nie wiadomo kiedy stanęły. Przyglądałem się kolejno kwiatom w wazie i wahałem je. Wyglądały, jakby dopiero co przyniesiono je z ogrodu, wszystkie były cudownie świeże, nie utraciły jeszcze barwy ani woni. Prawdopodobnie jeszcze się nie zorientowały, że zostały odcięte od korzeni. W czerwonej róży o grubych, mięsistych płatkach był skrzydlaty owad.

Po pięciu minutach kelner wyszedł wreszcie z pustymi rękami i jak poprzednio z brodą przy piersi ruszył w kierunku, z którego przyszedł. Zniknął za rogiem, a ja stanąłem przed drzwiami pokoju. Wytężyłem słuch i wstrzymałem oddech, próbując się zorientować, czy dobiegają stamtąd jakieś dźwięki, nic jednak nie słyszałem. Wydawało się, że nikogo tam nie ma. Zdecydowałem się i zapukałem. Tak samo jak kelner zapukałem cicho trzy razy. Nie było odpowiedzi. Odczekałem trochę i zapukałem trzy razy, mocniej niż przedtem. Nadal nie było odpowiedzi.

Lekko nacisnąłem klamkę. Drgnęła, a drzwi bezgłośnie otworzyły się do wewnątrz. W środku było ciemno, lecz spomiędzy szpar w grubych zasłonach dostawało się światło i gdy wytężyłem wzrok, dostrzegłem zarysy okna, stołu i kanapy. Był to niewątpliwie pokój, w którym miałem stosunek z Kretą Kano. Apartament hotelowy podzielony na salon i sypialnię w głębi. Na stole w salonie dostrzegłem - co prawda niewyraźnie - butelkę Cutty Sark, szklaneczki i kubełek z lodem. Kiedy otworzy-



łem drzwi, zauważyłem, jak metalowy kubełek na lód, odbiwszy światło z korytarza, błysnął niczym ostrze noża. Wszedłem w tę ciemność i cicho zamknąłem za sobą drzwi. W pokoju było ciepło i unosił się intensywny zapach kwiatów. Wstrzymałem oddech i nasłuchiwałem czyjejś obecności. Lewą rękę trzymałem na klamce, by móc w każdej chwili otworzyć drzwi. Ktoś powinien w tym pokoju być. Ten ktoś zamówił do pokoju whisky, lód i szklaneczki, a potem otworzył drzwi i wpuścił kelnera.

- Proszę nie zapalać światła - powiedział kobiecy głos.

Dobiegał z pokoju w głębi, w którym znajdowało się łóżko. Od razu go poznałem. Była to kobieta od tych dziwnych telefonów. Puściłem klamkę i powoli ruszyłem po omacku w ciemności w stronę, z której dobiegał głos. W drugim pokoju było jeszcze ciemniej niż w salonie. Stałem w wejściu i wyteżyłem wzrok w ciemności. Usłyszałem cichy szelest prześcieradeł i zobaczyłem lekkie poruszenie czarnego cienia.

- Wolę, żeby było ciemno - powiedział kobiecy głos.

- Dobrze, nie zapalę światła - odparłem.

Mocno trzymałem się framugi.

- Sam pan tu przyszedł? - zapytała kobieta nieco zmęczonym głosem.

- Owszem - powiedziałem. - Pomyślałem, że jeśli tu przyjdę, być może uda mi się z panią zobaczyć. A jeżeli nie z panią, to z Kretą Kano. Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Kumiko. Proszę posłuchać, wszystko zaczęło się od pani telefonu. Po tym dziwnym telefonie, zupełnie jakby otworzyła się jakaś czarodziejska skrzynka, jedna po drugiej zaczęły się dziać dziwne rzeczy. I w końcu zniknęła Kumiko. Dlatego sam tu przyszedłem. Nie wiem, kim pani jest, ale ma pani jakiś klucz do tej zagadki. Prawda?

- Kreta Kano? - powtórzyła kobieta ostrożnie. - Nigdy nie słyszałam o takiej osobie. Ona też tu jest?

- Nie wiem, czy tu jest, ale kilka razy ją tu spotkałem.

Odetchnąłem i znowu poczułem silny zapach kwiatów. Powi-

etrze było ciężkie, zastale i nieprzezrocyste. W tym pokoju musi być wazon z kwiatami. Gdzieś w tym mroku kwiaty oddychają i wyginają się. W wypełnionej intensywnym zapachem ciemności zacząłem tracić świadomość własnego ciała. Zdawało mi się, że stałem się małym owadem i właśnie miałem wejść do kielicha olbrzymiego kwiatu. Czekają tam na mnie wilgotny nektar, pyłek i miękkie włoski. Pragnęły, bym tam wszedł i pozostał we wnętrzu. Zacząłem mówić: - Proszę pani, przede wszystkim chciałbym się po prostu dowiedzieć, kim pani jest. Twierdzi pani, że panią znam, jednak ja za nic nie mogę sobie pani przypomnieć. Kim właściwie pani jest?

- Kim ja właściwie jestem? - powtórzyła kobieta mechanicznie, lecz w jej tonie nie było złośliwości. - Napiłabym się. Czy nie mógłby pan nam nalać whisky z lodem? Pan też się napije, prawda?

Wróciłem do salonu, otworzyłem butelkę whisky, włożyłem lód do szklaneczek i wlałem whisky. Z powodu ciemności zajęło mi to dość dużo czasu. Wróciłem do sypialni, niosąc szklaneczki. Powiedziała, żebym postawił jej whisky na szafce nocnej, a sam usiadł na krześle przy łóżku.

Postąpiłem tak, jak mi kazała. Postawiłem jedną szklaneczkę na szafce nocnej, a sam usiadłem na nieco oddalonym pokrytym tapicerką fotelu. Oczy trochę przywykły mi do ciemności. Zobaczyłem, jak w mroku cicho porusza się cień. Najwyraźniej usiadła na łóżku. Zrozumiałem, że pije, gdy usłyszałem grzechotanie lodu. Ja też wypilem łyk.

Kobieta długo się nie odzywała. W przedłużającym się milczeniu wydało mi się, że zapach kwiatów jeszcze się wzmógł.

- Naprawdę chce pan wiedzieć, kim jestem? - zapytała.

- Po to tu przyszedłem - w ciemności moje pytanie zabrzmiało jakoś niezręcznie.

- Przyszedł pan tu, żeby się dowiedzieć, jak się nazywam? Chrząknąłem w odpowiedzi. To chrząknięcie też dziwnie zabrzmiało. Kobieta potrząsnęła kilka razy szklanką z lodem. - Sądzę,

że chciałby pan wiedzieć, jak się nazywam, lecz niestety nie mogę panu tego powiedzieć. Bardzo dobrze pana znam. Pan też zna mnie bardzo dobrze. Lecz ja nie znam samej siebie.

W ciemnościach potrząsnąłem głową.

- Nie bardzo rozumiem, co pani mówi. Mam już dosyć zagadek. Potrzebna mi jest konkretna wskazówka. Namacalny fakt, którym mógłbym się posłużyć jak łomem i wyważyć drzwi. Tego chcę.

Kobieta wypuściła powietrze jakby z samych trzewi.

- Panie Toru Okada, proszę odgadnąć, kim jestem. Nie, właściwie nie musi pan specjalnie odgadywać. Pan już zna moje imię. Musi je pan sobie tylko przypomnieć. Gdy tylko je pan odgadnie, będę mogła stąd odejść. Wtedy będę też mogła pomóc panu w szukaniu żony, pani Kumiko Okady. Jeżeli chce pan odnaleźć żonę, proszę najpierw odgadnąć moje imię. To będzie pana łom. Nie ma pan czasu na niepewność. Z każdym dniem opóźnienia w szukaniu Kumiko Okada coraz bardziej się od pana oddala.

Postawiłem szklaneczkę whisky na podłodze.

- Co to za miejsce? Od kiedy pani tu jest? I co właściwie pani tu robi?

- Lepiej, żeby pan już odszedł - powiedziała kobieta, jakby nagle przychodząc do siebie. - Jeżeli znajdzie tu pana ten mężczyzna, na pewno będą kłopoty. Ten mężczyzna jest o wiele bardziej niebezpieczny, niż pan myśli. Może pana naprawdę zabić. Nie byłoby to dla niego niczym niezwykłym.

- Kim jest ten mężczyzna?

Kobieta nie odpowiedziała. Ja też nie wiedziałem, co dalej mówić. Zdawało mi się, że zupełnie straciłem orientację. W pokoju nie rozlegały się żadne dźwięki, panowała głucha cisza i powietrze było duszące. Głowę miałem rozpaloną. Być może z powodu pyłków kwiatowych. Unoszące się w powietrzu drobiny dotarły do mózgu i podrażniają nerwy.

- Toru Okada - głos kobiety brzmiał inaczej niż przedtem.

Potrafił się momentalnie zmieniać i teraz był tak lepki jak powietrze w pokoju. - Chciałbyś się jeszcze kiedyś ze mną przespać? Chciałbyś wejść we mnie? Chciałbyś mnie całą lizać? Możesz mi robić, co tylko chcesz. Ja też zrobię, co będziesz chciał. Zrobię takie rzeczy, jakich nie robi ci żona, pani Kumiko Okada. Poczujesz się tak dobrze, że nigdy o tym nie zapomnisz. Jeżeli...

Nagle rozległo się mocne pukanie do drzwi, jakby ktoś wbijał gwóźdź w twardą powierzchnię. W ciemności zabrzmiało złowieszczo.

Kobieta wyciągnęła rękę i chwyciła mnie za ramię.

- Proszę tędy, szybko - powiedziała cicho. Jej głos znowu brzmiał normalnie. Ponownie rozległo się pukanie. Dwukrotnie, puk puk, i jeszcze raz puk puk, z dokładnie taką samą siłą. Przypomniałem sobie, że nie zamknąłem drzwi na klucz.

- Szybko! Musi pan stąd wyjść, a nie ma innego sposobu - powiedziała.

Posuwałem się w ciemności ciągnięty za rękę przez kobietę. Słysząc było, jak powoli przekręca się klamka w drzwiach. Z niewiadomych przyczyn na ten dźwięk poczułem dreszcz na plecach. Prawie w tej samej chwili, w której światło korytarza wdarło się w ciemność pokoju, wślizgnęliśmy się w ścianę. Była zimna i śliska jak olbrzymia galareta. Zacisnąłem wargi, nie chcąc, by dostała mi się do ust. O rany, przechodzę przez ściany, pomyślałem. Przechodzę przez ścianę, żeby się dostać z jednego miejsca do drugiego. Lecz jednocześnie czynność przechodzenia przez ścianę wydawała mi się czymś niezwykle naturalnym.

Poczułem, że język kobiety wślizguje mi się do ust. Ciepły i miękki język. Polizał mnie wewnątrz i owinał się wokół mego języka. Duszący zapach płatków kwiatów połaskotał ściany moich płuc. W łędźwiach wezbrało powoli pragnienie wytrysku, jednak przeciwstawiłem mu się, zacisnąwszy powieki. Trochę później poczułem na prawym policzku intensywne gorąco. Było to dziwne uczucie. Nie czułem bólu, miałem tylko wrażenie, że

jest tam gorąco. Nie wiedziałem nawet, czy to gorąco przyszło z zewnątrz, czy powstało w moim własnym ciele. Jednak wkrótce wszystko zniknęło: język, zapach kwiatów, pragnienie wytrysku, gorąco na policzku. I przeszedłem przez ścianę. Gdy otworzyłem oczy, byłem już po drugiej stronie ściany - na dnie głębokiej studni.

## **9. O studni, gwiazdach oraz o tym, jak zniknęła drabinka**

Po piątej rano niebo zrobiło się już jasne, lecz widać było też gwiazdy, które jeszcze nie zbladły. Porucznik Mamiya miał rację. Z dna studni nawet w dzień widać gwiazdy. Upakowane ładnie na wyciętym równo w kształcie półksiężyca wycinku nieba, słabo błyszczące gwiazdy wyglądały jak próbki rzadkich minerałów.

Będąc w piątej czy szóstej klasie, rozbiliśmy raz z kilkoma przyjaciółmi obóz w górach. Widziałem wtedy niebo dosłownie usiane gwiazdami. Wydawało się, że może nie znieść tego ciężaru, że za chwilę pęknie i spadnie na mnie. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem równie wspaniałego, rozgwieżdżonego nieba. Wszyscy poszli spać, lecz ja nie mogłem usnąć, wyszedłem z namiotu, położyłem się na plecach, wpatrywałem w niebo. Czasami widziałem smugi spadających gwiazd. Jednak wkrótce ogarnął mnie lęk. Gwiazd było za dużo, niebo zbyt wielkie i głębokie. Otoczyło mnie, spowilo jak jakieś przygniatające, obce ciało i wypełniło niepokojem. Do tamtej pory myślałem, że mam pod stopami solidną Ziemię, która będzie trwała wiecznie, a może nawet wcale się nad tym nie zastanawiałem. Nawet mi to nie przyszło do głowy. Lecz w rzeczywistości Ziemia jest zaledwie pyłkiem unoszącym się w zakamarku wszechświata, z którego perspektywy stanowi jedynie tymczasowe i marne oparcie dla stóp. Choćby jutro może zostać porwana i uniesiona wraz z nami wszystkimi w efekcie działania jakiejś niewielkiej siły, chwilowego błysku światła. Pod tym zapierającym dech, wspaniałym, rozgwieżdżonym niebem robiło mi się słabo na myśl o

małości i niepewności własnej egzystencji.

Oglądanie gwiazd nad ranem z dna studni jest szczególnym doświadczeniem, różnym od patrzenia na pełne gwiazd niebo ze szczytu góry. Patrząc na niebo przez to ograniczone pokrywą studni okno, miałem wrażenie, że świadomość mojej własnej egzystencji jest połączona z gwiazdami szczególnymi i silnymi więzami. Czuję, że są mi bardzo bliskie. Prawdopodobnie widziałem je tylko ja, siedząc na dnie studni. Odbierałem je jako coś szczególnego, a one w zamian dawały swego rodzaju siłę i ciepło.

Czas płynął i gdy na niebie zapanowało jaśniejsze światło letniego poranka, gwiazdy zaczęły jedna po drugiej znikać z mego pola widzenia. Znikały bardzo cicho. Nieruchomo przyglądałem się temu procesowi zacierania. Letnie światło nie starło z nieba wszystkich. Kilka gwiazd jaśniejących mocnym światłem zostało. Słońce wznosiło się wysoko na niebie, lecz one nadal cierpliwie trwały. Ucieszyło mnie to. Oprócz przesuwających się od czasu do czasu chmur gwiazdy były jedyną rzeczą, jaką mogłem stąd zobaczyć.

Spocilem się podczas snu i kiedy pot stygł, zrobiło mi się zimno. Kilka razy zadrzałem. Pot przypomniiał mi pogrążony w ciemności pokój hotelowy i kobietę od telefonów. Znowu zabrzmiały mi w uszach jedno po drugim jej słowa i pukanie do drzwi. W nozdrzach pozostał mi duszący tajemniczy zapach kwiatów. Noboru Wataya nadal mówił z ekranu telewizora. Wspomnienia tych odczuć ani trochę nie zbladły mimo upływu czasu. Jakby chciały mi powiedzieć, że nie bledną, ponieważ to nie był sen.

Po obudzeniu nadal piekła mnie część prawego policzka. Dokuczał mi też lekki ból, jak po potarciu gruboziarnistym papierem ściernym. Przycisnąłem to miejsce dłonią i poczułem nieogolony zarost, lecz ból się nie zmniejszył. Siedząc bez lusterka na dnie ciemnej studni, nie miałem jak sprawdzić, co się dzieje z moim policzkiem.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem ściany studni. Pomacałem powierzchnię palcami, a potem przyłożyłem do niej dłoń. Była to tylko gładka betonowa ściana. Lekko uderzyłem w nią pięścią. Twarda, nijaka i trochę wilgotna. Dokładnie pamiętałem dziwne wrażenie śliskości, kiedy przez nią przechodziłem, jakbym naprawdę przedzierał się przez galarete.

Po omacku wyjąłem z plecaka manierkę i wypilem łyk wody. Prawie przez całą dobę nic nie jadłem. Na tę myśl nagle poczułem straszny głód, lecz po pewnym czasie uczucie głodu stopniowo się zmniejszyło, jakby zostało wessane w jakąś neutralną sferę braku emocji. Jeszcze raz dotknąłem twarzy, badając stan zarostu. Na brodzie miałem jednodniowy, to znaczy, że minął dokładnie jeden dzień. Moja jednodniowa nieobecność prawdopodobnie nie zrobiła nikomu różnicy. Prawdopodobnie nikt się nawet nie zorientował, że mnie nie ma. Zniknąłem, lecz świat kręci się dalej, wcale tym niezainteresowany. Sytuacja jest naprawdę bardzo zawikłana, ale jedna rzecz wydaje się oczywista. A mianowicie: nie jestem już nikomu potrzebny.

Znów podniosłem głowę i spojrzałem na gwiazdy. Gdy na nie patrzyłem, bicie serca stopniowo się uspokoiło. Nagle przypomniałem sobie drabinkę i dotknąłem ściany, szukając, lecz nic nie znalazłem. Ostrożnie i pracowicie obmacałem duży fragment ściany. Drabinki nie było. Zniknęła z miejsca, w którym powinna być. Wziąłem głęboki oddech. Po chwili po omacku wyjąłem z plecaka latarkę i zapaliłem. Nie było śladu drabinki. Wstałem i oświetliłem latarką ziemię i ściany studni. Oświetliłem wszystko, co można było oświetlić, lecz drabinki nigdzie nie było. Zimne krople potu spływały mi po bokach jak jakieś wolno pełzające żyjątka. Latarka wypadła z ręki na ziemię i od uderzenia zgasła. Był to jakiś sygnał. Moja świadomość w jednej chwili rozprysła się, rozpadła w drobne kawałeczki jak piasek, zlała z otaczającą ciemnością i została przez nią wchłonięta. Wszystkie funkcje mego organizmu ustały, jakby ktoś odciął dostawę prądu. Ogarnęła mnie absolutna nicość.

Trwało to prawdopodobnie kilka sekund. Wkrótce przyszedłem do siebie. Funkcje organizmu powoli wróciły do normy. Pochyliłem się, znalazłem

latarkę, potrząsałem nią kilka razy i włączyłem. Zapaliła się bez problemu, postanowiłem spokojnie zebrać myśli. Panikując i trzęsąc się ze strachu, nie znajduję żadnego rozwiązania. Kiedy ostatni raz sprawdziłem, że drabinka jest na miejscu? Po północy, na chwilę przed uśnięciem. Po sprawdzeniu zasnąłem. Na pewno tak było. Podczas mego snu drabinka zniknęła. Ktoś ją wyciągnął i zabrał.

Zgasilem latarkę i oparłem się o ścianę. Zamknąłem oczy. Najpierw poczułem głód. Zbliżył się z oddali jak fala, przepłynął przeze mnie i cofnął się cicho. Po jego odejściu stałem się pusty, pozbawiony wewnętrzności, jak wypchane zwierzę. Gdy minęła pierwsza obezwładniająca panika, nie czułem już strachu ani rozpacz. O dziwo, poddałem się wtedy czemuś w rodzaju rezygnacji.

Po powrocie z Sapporo przytulałem i pocieszałem Kumiko. Była skołowana i pełna wątpliwości. Wzięła wolne w pracy. Powiedziała, że w nocy nie zmrzyła oka. - Akurat mieli miejsce w klinice i termin mi odpowiadał, więc sama się zdecydowałam i załatwiłam to - wyjaśniła. Potem trochę płakała.

- Już po wszystkim - powiedziałem. - Dużo o tym rozmawialiśmy i na tym się skończyło. Nie ma co dalej tego roztrząsać. Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, powiedz teraz. A potem o tym wszystkim zapomnimy. Masz mi coś do powiedzenia, prawda? Tak mówiłaś przez telefon.

Kumiko potrząsnęła głową.

- Nie. Już nie. Masz rację. Zapomnijmy.

Potem przez pewien czas unikaliśmy tematów, które miały związek z usunięciem ciąży, ale nie było to wcale proste. Czasami rozmawiając, nagle z jakiegoś powodu popadaliśmy w milczenie. W wolne dni często chodziliśmy do kina. Siedząc w ci-



emności, skupialiśmy się na filmie albo myśleliśmy o czymś niemającym z nim żadnego związku. Czasami zupełnie o niczym nie myśląc, dawaliśmy głowom odpocząć. Wiedziałem, że siedząca obok Kumiko jest myślami gdzie indziej. Jakoś to wyczuwałem.

Po kinie szliśmy gdzieś na piwo i zjadaliśmy coś lekkiego. Zdarzało się jednak, że nie wiedzieliśmy, o czym rozmawiać. Takie życie trwało sześć tygodni. W szóstym tygodniu Kumiko powiedziała:

- Słuchaj, weźmy od jutra urlop i pojedźmy na wycieczkę. Dziś jest czwartek, odpocznijmy sobie do niedzieli. Czasami człowiek potrzebuje chyba czegoś takiego.

- Rozumiem, że potrzebuje, ale nie jestem wcale pewny, czy takie wspaniałe słowo jak urlop jest w ogóle znane w mojej firmie - odparłem.

- To powiedz, że jesteś chory. Masz ciężką gripę albo coś w tym rodzaju. Ja zrobię to samo.

Wsiadliśmy do pociągu i pojechaliśmy do Karuizawy\*. Wybraliśmy to miejsce, gdyż Kumiko powiedziała, że chce pojechać gdzieś w góry, gdzie będzie można dużo chodzić na spacer. W kwietniu było jeszcze przed sezonem, więc w hotelu panowały pustki, większość sklepów zamknięto, lecz nam odpowiadał ten spokój. Codziennie chodziliśmy na spacer. Od rana do wieczora ciągle spacerowaliśmy.

Kumiko dała upust swoim uczuciom dopiero po upływie półtora dnia. Siedząc na krześle w pokoju hotelowym, płakała przez prawie dwie godziny. Objemowałem ją, nic nie mówiąc. Potem zaczęła mówić, powoli, jakby sobie przypominała. O zabiegu. O tym, co wtedy czuła. O gwałtownej świadomości straty. O tym, jak samotna była, gdy wyjechałem na Hokkaido. I o tym, że była w stanie to zrobić tylko w czasie tej samotności.

- Nie chodzi o to, że żałuję - powiedziała na koniec. - Nie było innego wyjścia. To jasne. Ale najtrudniej mi znieść to, że

---

\* Karuizawa - znany górski kurort o okoto dwie godziny drogi pociągiem od Tokio

nie mogę ci wszystkiego dokładnie powiedzieć o tym, co czuję, co mi leży na sercu. - Uniosła do góry włosy i ukazały się jej drobne uszy.

Potem lekko potrząsnęła głową.

- Nie ukrywam nic przed tobą, chcę ci kiedyś o tym powiedzieć. Pewnie tylko tobie mogłabym powiedzieć. Ale jeszcze nie teraz. Nie mogę tego ująć w słowa.

- To jest coś z przeszłości?

- Nie, to nie jest nic takiego.

- Jeżeli potrzebujesz więcej czasu, poczekaj, aż będziesz gotowa. Mamy mnóstwo czasu i zawsze będę przy tobie, więc nie musisz się spieszyć - powiedziałem. - Chciałbym tylko, żebyś jedno zapamiętała: wszystko, co ciebie dotyczy, przyjmę jako swoje własne, bez względu na to, co to będzie. Nie chcę, żebyś się niepotrzebnie martwiła.

- Dziękuję - powiedziała Kumiko. - Jak to dobrze, że za ciebie wysłałam. Jednak okazuje się, że byłem w błędzie, sądząc, że mamy mnóstwo czasu.

Czego właściwie Kumiko nie mogła mi dokładnie powiedzieć? Czy miało to jakiś związek z jej zniknięciem? A może gdybym wtedy zmusił ją do powiedzenia tego czegoś, nie utraciłbym jej. Roztrząsałem to przez pewien czas w myślach, ale potem doszedłem do wniosku, że to nie ma sensu. Kumiko powiedziała, że nie może tego wyrazić słowami. Bez względu na to, co to było, musiało to być coś ponad jej siły.

- Hej, panie Ptaku Nakręcaczu! - zawołała głośno May Kasahara.

Przysnąłem akurat lekko i zdawało mi się, że słyszę jej głos we śnie. Lecz to nie był sen. Podniosłem głowę i zobaczyłem wysoko w górze jej twarz.

- Panie Ptaku Nakręcaczu! Jest pan tam, prawda? Wiem, że pan tam jest, więc niech pan odpowie.

- Jestem! - zawołałem.

- Co u licha robi pan w takim miejscu?

- Rozmyślałam - odparłam.

- Nie rozumiem, po co specjalnie wchodzić do studni, żeby rozmyślać. Przecież to wymaga dużo wysiłku, zawracania głowy.

- Łatwiej mi się tu skupić na rozmyślaniu. Ciemno, chłodno, cicho.

- Często pan robi takie rzeczy?

- Nie, nie często. Po raz pierwszy w życiu zszedłem do studni - powiedziałem.

- I dobrze idzie panu rozmyślanie? Dobrze się tam myśli?

- Jeszcze nie wiem. Na razie próbuję.

Odchrząknęła. Chrząknięcie odbiło się echem na dnie studni.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, zauważył pan, że drabinka zniknęła?

- Uhm, przed chwilą zauważyłem.

- I domyślił się pan, że to ja ją wyciągnęłam?

- Nie, nie domyśliłem się.

- I myślał pan, że kto mianowicie to zrobił?

- Nie wiem - powiedziałem szczerze. - Nie umiem tego wyjaśnić. Nie myślałem o tym w ten sposób. Że ktoś ją zabrał. Pomyślałem, że po prostu zniknęła. Naprawdę.

May Kasahara milczała przez chwilę.

- Po prostu zniknęła - powtórzyła ostrożnie, jakby spodziewając się w moich słowach jakiejś pułapki. - O co panu chodzi? Jak to po prostu zniknęła? Samoczynnie nagle zniknęła?

- Może i tak.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, może nie powinnam teraz tego mówić, ale jest pan naprawdę dziwny. Niewielu znam ludzi równie dziwnych jak pan. Wie pan?

- Nie uważam się za specjalnie dziwnego.

- Dlaczego drabinka miałaaby sama zniknąć?

Potarłem rękami twarz i skupiłem się na rozmowie z May Kasaharą.

- To ty ją wyciągnęłaś, tak?

- Oczywiście, że tak - powiedziała May Kasahara. - Gdyby pan ruszył głową, sam by się pan tego domyślił. Wyciągnęłam cichutko w nocy.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Wczoraj zaszłam do pana kilka razy. Chciałam zapytać, czy nie popracowalibyśmy znowu razem, ale pana nie było. W kuchni leżała kartka, więc dość długo czekałam, lecz pan nie wracał. Wtedy nagle przyszło mi do głowy, że może jest pan koło pustego domu. Przyszłam tu i zauważyłam odsuniętą połowę pokrywy i wystającą ze studni drabinę, lecz wtedy jeszcze nie sądziłam, że pan może być na dnie. Pomyślałam, że może ktoś przyszedł coś naprawić i zostawił drabinę. Przecież nikt specjalnie nie schodziłby na dno studni, żeby tam siedzieć i rozmyślać.

- No tak - przyznałam.

- Ale potem jeszcze raz wyślizgnęłam się z domu o północy i poszłam do pana, lecz pana ciągle nie było. I wtedy nagle przyszło mi do głowy, że może pan być w studni. Nie miałam pojęcia, co mógłby pan tam robić, ale przecież w końcu jest pan dziwakiem. Przyszłam tu więc ponownie i wyciągnęłam drabinę. Musiał się pan przestraszyć, co?

- Tak - powiedziałem.

- Wziął pan ze sobą wodę i jedzenie?

- Mam trochę wody. Jedzenia nie przyniosłem, ale zostały mi jeszcze trzy dropy cytrynowe.

- Od kiedy pan tu siedzi?

- Od wczorajszego przedpołudnia.

- Musi pan być głodny.

- Jestem.

- A co pan robi z siusianiem i tak dalej?

- Jakoś sobie radzę. Nie jem porządnie ani nie piję, więc nie mam z tym kłopotów.

- Wie pan co, panie Ptaku Nakręcaczu? Jak będę miała taki kaprys, może pan tam umrzeć. Tylko ja jedna wiem, że pan tu jest i schowałam drabinę. Słyszysz pan? Jeżeli gdzieś sobie pó-

jdę, umrze pan tam po prostu. Nikt pana nie usłyszy, choćby pan krzyczał, a nikomu nie przyjdzie do głowy, że jest pan na dnie studni. Do tego nikt pewnie nie zauważył, że pan zniknął. Nie pracuje pan, żona od pana uciekła. Pewnie w końcu ktoś się zorientuje, że pana nie ma i zawiadomi policję, ale wtedy będzie pan już nieżywy. Nie znajdą nawet zwłok.

– Rzeczywiście masz rację. Jak będziesz miała taki kaprys, mogę tu umrzeć.

- I jak się pan z tym czuje?

- Boję się - powiedziałem.

- Nie zabrzmiało to, jakby pan się bał.

Pogładziłem dłońmi policzki. To są moje ręce, a to moje policzki, pomyślałem. Jest zupełnie ciemno, nic nie widać, ale moje ciało nadal tu jest.

- Pewnie dlatego, że jeszcze to do mnie w pełni nie dotarło.

- Do mnie w pełni dotarło - powiedziała May Kasahara. - Myślę, że zabicie człowieka jest prostsze, niż się zdaje.

- Pewnie zależy od sposobu zabijania.

- Jest proste. Przecież wystarczy, że tak tu pana zostawię. Nie muszę nic robić. Niech pan to sobie wyobrazi, panie Ptaku Nakręcaczu. Musi być straszliwie ciężko umierać powoli w ciemnościach z głodu i pragnienia. Nie może to być lekka śmierć.

- Pewnie masz rację - powiedziałem.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, tak naprawdę pan mi nie wierzy, prawda? Myśli pan, że w rzeczywistości nie zrobiłabym czegoś tak okrutnego.

- Nie wiem. Nie wierzę, że mogłabyś to zrobić, ale nie jestem też pewien, że nie mogłabyś. Przecież wszystko może się zdarzyć.

- Ja nie mówię o tym, co się może zdarzyć - powiedziała chłodno.

- Wie pan co? Właśnie mi coś przyszło do głowy. Wpadłam na dobry pomysł. Skoro zadał pan sobie tyle trudu i zszedł tam rozmyślać, może ja ułatwię panu skupienie na rozmyślaniach?

- W jaki sposób?
- W ten - powiedziała i dokładnie przykryła studnię drugą połową pokrywy.

Zapanowała całkowita, idealna ciemność.

## **10. O przemyśleniach May Kasahary na temat śmierci i ewolucji człowieka oraz o tym, co przyszło z innej planety**

Siedziałem w kucki w zupełnej ciemności. Widziałem jedynie nicość. Stałem się częścią tej nicości. Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w bicie mego serca, jak krew krąży w ciele, płuca kurczą się i nadymają jak miech, śliskie jelita się skręcają, łaknąc pokarmu. W głębokiej ciemności

wszelkie ruchy, wszelkie drgania były nienaturalnie wyolbrzymione. Własne ciało wydawało mi się zbyt żywe, zbyt cieleśne.

Wkrótce po trochu moja świadomość zaczęła wydostawać się na zewnątrz ciała.

Wyobraziłem sobie, że jestem ptakiem nakręcaczem, latam po letnim niebie, a potem przysiadam na gałęzi jakiegoś wielkiego drzewa i nakręcam sprężynę świata. Jeżeli ptak nakręcacz naprawdę zniknął, ktoś powinien przejąć jego obowiązki. Ktoś musi zamiast niego nakręcać sprężynę. W przeciwnym wypadku sprężyna odkręci się do końca i cały precyzyjny system wkrótce stanie. Zdawało się jednak, że nikt prócz mnie nie zauważył zniknięcia ptaka.

Spróbowałem wydobyć z gardła dźwięk podobny do głosu ptaka na-kręcacza, lecz nie bardzo mi się udało. Wydałem jedynie bezsensowny, do niczego niepodobny odgłos, jaki powstaje przy pocieraniu dwóch bezsensownych, do niczego niepodobnych rzeczy. Prawdopodobnie tylko ptak nakręcacz może wydać prawdziwy głos ptaka nakręcacza. Tylko on potrafi porządnie nakręcić sprężynę świata.

Postanowiłem jednak przelecieć się po letnim niebie jako niemy ptak nakręcacz, niemogący nakręcić sprężyny. Latanie nie

było zbyt trudne. Trzeba było wznieść się ku górze, ale potem wystarczyło już tylko poruszać skrzydłami pod odpowiednim kątem, regulować kierunek i wysokość. W mgnieniu oka przyswoiłem sobie technikę latania i bez trudu, swobodnie unosiłem się na niebie. Patrzyłem na świat z perspektywy ptaka nakręcacza. Czasami, gdy znudziło mi się latanie, przysiadalem na gałęzi i spomiędzy zielonych liści spoglądałem na dachy domów i ulice, na ludzi poruszających się po ziemi, wiodących tam życie. Niestety nie mogłem zobaczyć samego siebie, ponieważ nigdy nie widziałem ptaka nakręcacza i nie wiedziałem, jak wygląda.

Długo - ile czasu mogło upłynąć? - byłem ptakiem nakręcaczem, lecz do niczego mnie to nie doprowadziło. Oczywiście przyjemnie było latać po niebie, ale nie mogłem przecież wiecznie tylko się tym cieszyć. Muszę coś zrobić na dnie tej ciemnej studni. Przestałem być ptakiem nakręcaczem i wróciłem do własnej postaci.

May Kasahara przyszła po raz drugi po trzeciej. Po trzeciej po południu. Odsunęła połowę pokrywy i w górze ukazało się światło. Bardzo rażące światło słońca letniego popołudnia. Nie chcąc uszkodzić nawykłych do ciemności oczu, siedziałem przez pewien czas z zaciśniętymi powiekami i głową skierowaną w dół. Na samą myśl, że w górze jest światło, czułem wzbi-erające pod powiekami łzy.

- Hej, panie Ptaku Nakręcaczu! - zawołała May Kasahara. - Żyje pan jeszcze? Niech pan odpowie, jeśli pan żyje.

- Żyję - odpowiedziałem.

- Musi pan być głodny, co?

- Chyba jestem.

- Jeszcze mówi pan „chyba jestem”? Nie umrze pan z głodu tak od razu. Choćby nawet było się bardzo głodnym, nie umrze się tak łatwo, mając wodę.

- Pewnie tak - powiedziałem.

Mój rozlegający się w studni głos brzmiał bardzo niepewnie. Prawdopodobnie emocje, które się w nim kryły, zostawały wi-

elokrotnie wzmocnione przez pogłos.

- Byłam dziś rano w bibliotece i sprawdziłam - oznajmiła May Kasahara. - Przejrzałam różne książki o głodzie, pragnieniu, takich rzeczach. Wie pan co, panie Ptaku Nakręcaczu? Ktoś przeżył dwadzieścia jeden dni, nie biorąc do ust nic prócz wody. To było w czasie rewolucji rosyjskiej.

- Coś takiego - powiedziałem.

- Musiał bardzo cierpieć.

- Na pewno bardzo cierpiał.

- W końcu co prawda został uratowany, ale stracił wszystkie zęby i włosy. Wszystkie mu wypadły. Musi być strasznie ciężko znieść coś takiego, nawet jeśli człowiek się uratuje.

- Niewątpliwie byłoby to ciężko znieść - powiedziałem.

- Co prawda jak straci się włosy i zęby, można normalnie żyć, mając porządną perukę i sztuczną szczękę.

- Tak, zwłaszcza że technologia wyrobu peruk i sztucznych szczęk też znacznie się rozwinęła od czasów rosyjskiej rewolucji. Teraz byłoby łatwiej.

- Wie pan co, panie Ptaku Nakręcaczu - zaczęła May Kasahara i odchrząknęła.

- Co?

- Gdyby ludzie nie umierali, tylko żyli wiecznie, gdyby nie znikali, nie starzeli się i zawsze byli zdrowi, czy myśli pan, że nawet wtedy zastanawialiby się tak głęboko jak my tutaj nad różnymi rzeczami? Bo my się przecież zastanawiamy, prawda? Nad filozofią, psychologią, logiką albo religią czy literaturą. Czy gdyby nie istniała śmierć, rozmaite takie kłopotliwe myśli i idee w ogóle by się na ziemi zrodziły? Czyli...

May Kasahara przerwała nagle i milczała przez chwilę. W tym czasie słowo „czyli” wisiało w ciemnościach studni jak oderwany na siłę fragment myśli. Może odechciało jej się dalej mówić albo potrzebowała czasu, by zastanowić się nad dalszym ciągiem. W każdym razie w milczeniu czekałem, aż zacznie mówić. Głowę miałem nadal pochyloną. Nagle przyszło mi do gło-



wy, że gdyby May Kasahara chciała mnie zabić, byłoby to bardzo proste. Wystarczyłoby znaleźć jakiś większy kamień i wrzucić go do studni. Gdyby wrzuciła kilka, na pewno któryś z nich trafiłby mnie w głowę.

- Czyli... ja myślę, że chyba ludzie muszą się poważnie zastanawiać nad sensem życia tu i teraz, właśnie dlatego, że wiedzą, że kiedyś umrą. Tak jest, prawda? Gdyby miało się zawsze, zawsze tak po prostu żyć, nikt nie zastanawiałby się poważnie nad życiem. Nie byłoby takiej potrzeby. A nawet gdyby była, można by sobie powiedzieć: „Mam jeszcze mnóstwo czasu. Pomyślę o tym kiedy indziej”. Ale tak nie jest. Musimy myśleć teraz, tutaj, w tej chwili. Może jutro po południu potrąci mnie ciężarówka i umrę. A po trzech dniach pan może umrze z głodu na dnie studni. Prawda? Nikt nie wie, co się zdarzy. Dlatego dla ewolucji konieczna jest śmierć. Tak uważam. Im jaśniejsze, im ogromniejsze jest istnienie śmierci, tym bardziej jesteśmy nią opętani i się zastanawiamy.

May Kasahara zamilkła na chwilę.

- Panie Ptaku Nakręcaczu?

- Co?

- Zastanowił się pan tam w ciemności nad własną śmiercią? Nad tym, jak pan tam umrze?

Pomyślałem trochę.

- Nie - odparłem. - Myślę, że specjalnie się nad tym nie zastanawiałem.

- Dlaczego nie? - zapytała zrezygnowana, jakby mówiła do głupiego zwierzęcia. - No dlaczego się pan nie zastanawiał? Przecież pan teraz dosłownie stoi twarzą w twarz ze śmiercią. Wcale nie żartuję, mówię poważnie. Przedtem panu mówiłam, prawda? To, czy pan umrze, czy będzie żył, zależy tylko od mojego kaprysu.

- Mogłabyś wrzucić kamień - powiedziałem.

- Kamień? O co panu chodzi?

- Mogłabyś znaleźć gdzieś duży kamień i wrzucić go.

- Taaak, jest i taki sposób - zgodziła się, lecz zdawało się, że ten pomysł nie przypadł jej do gustu. - Ale w każdym razie, panie Ptaku Nakręcaczu, jest pan głodny, prawda? I będzie pan coraz głodniejszy. Woda też się panu skończy. Dlaczego więc nie myśli pan o śmierci? To dziwne, jakkolwiek by na to patrzeć.

- Rzeczywiście, może to dziwne - powiedziałem - ale ciągle myślałem o innych sprawach. Pewnie jak jeszcze bardziej zgłodnieję, zacznę myśleć o tym, że umrę. Mam przecież jeszcze trzy tygodnie, prawda?

- Pod warunkiem, że będzie pan miał wodę - odrzekła May Kasahara. - Ten Rosjanin miał wodę do picia. Był jakimś wielkim właścicielem ziemskim czy kimś takim i w czasie rewolucji wojska rewolucyjne wrzuciły go do głębokiego szybu opuszczonej kopalni. Na ścianie skraplała się woda i zlizując ją, udało mu się przetrwać. Był w zupełnej ciemności tak jak pan. Ale pan pewnie nie ma ze sobą za dużo wody?

- Zostało mi już tylko trochę - odpowiedziałem szczerze.

- To lepiej ją oszczędzać i pić po troszeczkę - poradziła. - Po kropelce. I proszę się powoli zastanowić nad śmiercią, nad tym, że pan umiera, bo ma pan jeszcze mnóstwo czasu.

- Dlaczego tak bardzo chcesz mnie zmusić do zastanawiania się nad śmiercią? Nie bardzo rozumiem. Czy moje myślenie o śmierci ma ci w czymś pomóc?

- Żartuje pan - powiedziała jakby naprawdę zrezygnowana. - Mnie pomóc? W czym miałyby mi pomóc pana zastanawianie się nad śmiercią? To przecież pana życie. Ze mną nie ma nic wspólnego. Po prostu mnie to interesuje.

- Zwykła ciekawość? - zapytałem.

- Tak. Zwykła ciekawość. Jak człowiek umiera? Jak się czuje, umierając? Ciekawość.

Umilkła. Gdy rozmowa się urwała, ogarnęła mnie głęboka cisza, która jakby tylko na to czekała. Podniosłem głowę, chcąc spojrzeć w górę. Chciałem się upewnić, czy widać tam May Kasaharę, lecz światło było dla mnie za mocne. Na pewno wypali-

łoby mi oczy.

- Mam ci coś do powiedzenia - powiedziałem.

- Proszę mówić.

- Moja żona miała kochanka - ciągnąłem. - Prawdopodobnie miała. Wcale się nie zorientowałem, lecz od paru miesięcy mieszkając ze mną, spotykała się jednocześnie i sypiała z innym mężczyzną. Najpierw nie mogłem tego przyjąć do wiadomości, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że musiało tak być. Różne drobne rzeczy nabierają sensu, gdy teraz je sobie przypominam. Na przykład, że stopniowo godziny jej powrotu z pracy stały się coraz bardziej nieregularne, że wzdragiała się czasem, gdy jej dotknąłem. Lecz ja nie potrafiłem odczytać tych sygnałów, ponieważ ufałem Kumiko. Myślałem, że przecież nie mogłaby mnie zdradzić. Nawet mi to nie przeszło przez myśl.

- Coś takiego - powiedziała May Kasahara.

- I pewnego dnia moja żona nagle odeszła. Rano zjedliśmy razem śniadanie. A potem zniknęła, wyszedłszy ubrana jak zwykle do pracy, z torebką na ramieniu oraz z bluzką i spódnicą odebranymi z pralni. Odeszła bez pożegnania, nie zostawiła żadnej kartki. Zostawiła wszystkie ubrania i inne rzeczy. I prawdopodobnie już do mnie nie wróci. Przynajmniej sama z siebie nie wróci. Jestem tego pewny.

- Czy pani Kumiko jest teraz z tym człowiekiem?

- Nie wiem - odpowiedziałem i powoli pokręciłem głową. Gdy poruszałem głową, miałem wrażenie, że otaczające powietrze jest jak ciężka woda. - Ale prawdopodobnie tak.

- I dlatego z rozgoryczenia zszedł pan na dno studni?

- Oczywiście, że byłem rozgoryczony, ale nie dlatego tu zszedłem. Wcale nie uciekam przed rzeczywistością, nie ukrywam się. Jak wcześniej ci mówiłem, potrzebowalem miejsca, w którym mógłbym spokojnie się skupić i zastanowić. Nie wiem na przykład, kiedy popsuł się mój związek z Kumiko, w jaki sposób skręcił na zły tor. Oczywiście nie znaczy to, że do tego cza-

su wszystko gładko się układało. Dwie osoby mające dwadzieścia kilka lat o całkowicie różnych charakterach spotykają się gdzieś przypadkiem i zaczynają razem żyć. Nie istnieją małżeństwa, które nie mają żadnych problemów, ale ja cały czas myślałem, że zasadniczo wszystko się między nami dobrze układa. Sądziłem, że wszelkie drobne problemy zostaną z czasem rozwiązane. Jednak w rzeczywistości tak się nie stało. Musiałem przegapić coś ważnego. Popełniłem jakiś zasadniczy błąd. Nad tym chciałem się zastanowić.

May Kasahara milczała. Przełknąłem ślinę.

- Nie wiem, czy to zrozumiesz, ale kiedy sześć lat temu wzięliśmy ślub, próbowaliśmy we dwoje zbudować zupełnie nowy świat. Jakbyśmy stawiali nowy dom na pustej działce. Mieliliśmy dokładny obraz tego, czego pragniemy. Nie musiał to być wspañiały dom. Wystarczyło, że stanowiłby ochronę przed wiatrem, deszczem i że bylibyśmy w nim sami. Nie chcieliśmy mieć nic niepotrzebnego. Dlatego wszystko wydawało nam się strasznie łatwe i proste. Nigdy o tym nie pomyślałaś? Żeby pojechać w jakieś inne miejsce i stać się zupełnie kimś innym niż teraz?

- Oczywiście, że pomyślałam - odparła May Kasahara.

- Ciągle o tym myślę- Właśnie to próbowaliśmy zrobić po ślubie. Chciałem się oderwać od siebie, takiego jakim byłem przedtem. Kumiko czuła to samo. W tym nowym świecie próbowaliśmy znaleźć prawdziwych siebie. Myśleliśmy, że uda nam się tam żyć najlepiej, w idealnej zgodzie z własnym ja.

Zdawało się, że May Kasahara przesunęła nieco w świetle swój środek ciężkości. Poczulem jej ruch. Odniosłem wrażenie, że czeka na dalszy ciąg opowieści, lecz nie miałem już nic więcej do powiedzenia. Nic nie przychodziło mi do głowy. Zmęczył mnie własny głos rozbrzmiewający w betonowym cylindrze studni.

- Rozumiesz, o czym mówię? - zapytałem.

- Rozumiem.

- Co o tym sądzisz?

- Jestem jeszcze dzieckiem i nie wiem, czym jest małżeństwo - odpowiedziała May Kasahara. - Dlatego oczywiście nie wiem, co czuła pana żona, spotykając się z innym mężczyzną, rzucając pana i odchodząc, ale teraz po wysłuchaniu tej opowieści zdaje mi się, że pan od samego początku się mylił. Panie Ptaku Nakręcaczu, przecież nikt nie mógłby dokonać tego, o czym pan mówił: „No to teraz zbuduję nowy świat” albo „No to teraz zbuduję nowego siebie”. Ja tak uważam. Gdyby nawet myślał pan, że się udało, że stworzył pan innego siebie, pod spodem ciągle byłoby to samo stare ja, które w pewnej chwili wystawiłoby łeb i powiedziało: „A kuku!” - Pan chyba tego nie rozumie. Jest pan z innej planety. I pana zamiar stworzenia siebie na nowo też jest z innej planety. Panie Ptaku Nakręcaczu, nawet ja to rozumiem. Dlaczego pan, dorosły, tego nie pojmuję? Myślę, że to rzeczywiście duży problem. I dlatego teraz na pewno padł pan ofiarą zemsty. Mści się na panu ten świat, który pan chciał odrzucić, i własne ja, które chciał pan odrzucić. Rozumie pan, co mówię?

Milczałem i patrzyłem na ciemność spowijającą moje stopy. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała cicho. - Niech się pan zastanowi, zastanowi i zastanowi - i jeszcze raz dokładnie zamknieła pokrywę studni.

Wyjąłem z plecaka manierkę i potrząsnąłem nią. W ciemności rozległ się lekki chlupot. Prawdopodobnie została jeszcze jedna czwarta. Oparłem głowę o ścianę i zamknąłem oczy. Pomyślałem, że może May Kasahara ma rację. Pochodzę pewnie z innej planety. Wszystko przyszło z innej planety i wszystko na niej zniknie. Jestem tylko korytarzem, ścieżką dla człowieka, którym jestem.

Panie Ptaku Nakręcaczu, nawet ja to rozumiem. Dlaczego pan tego nie pojmuję?

## **11. O uczuciu głodu w postaci bólu, długim liście Ku mi ko i o ptaku proroku**

Zasypiałem kilkakrotnie i za każdym razem budziłem się po chwili. Był to niepewny, niespokojny sen, jak w czasie podróży samolotem. Gdy zapadałem w głębszy sen, nagle wzdragałem się, budziłem, a gdy miałem już w pełni oprzytomnieć, nie wiadomo kiedy znów zapadałem w nicość. Tak się to powtarzało w nieskończoność. Z powodu braku zmian światła czas stał się niepewny jak pojazd z obluźowaną osią, a niewygodna, nienaturalna pozycja po trochu odbierała mi spokój. Po każdym przebudzeniu patrzyłem na zegarek i sprawdzałem, która jest godzina. Czas płynął ciężko, nierówno.

Nie miałem co robić, więc poświeciłem dokoła latarką. Oświetliłem ziemię, ściany i pokrywę studni, lecz dojrzałem tylko tę samą ziemię, te same ściany i tę samą pokrywę, co zwykle. Poruszałem latarką, a drżące cienie rzucane przez snop światła wydłużały się i skracały, rosły i malały. Kiedy mi się to znudziło, powoli i pracowicie obmacałem swoją twarz. Sprawdzałem na nowo, jaki ma kształt. Nigdy przedtem nie zastanowiłem się poważnie nad kształtem własnych uszu. Gdyby przedtem ktoś kazał mi je narysować nawet w przybliżeniu, miałbym z tym pewnie kłopot, lecz teraz mógłbym wiernie i dokładnie odtworzyć wszelkie kontury, zagłębienia, zaokrąglenia. O dziwo, badając jeden po drugim wszystkie szczegóły, odkryłem, że prawe ucho znacznie różni się od lewego. Nie wiedziałem, dlaczego tak się stało i jakie ta asymetria ma skutki (bo na pewno jakieś ma).

Zegarek wskazywał dwadzieścia osiem po siódmej. Pomyślałem, że od czasu zejścia tu musiałem spojrzeć na zegarek ze dwa tysiące razy. W każdym razie była siódma dwadzieścia osiem wieczorem. Byłby to koniec trzeciej lub początek czwartej zmiany meczu baseballowego. W dzieciństwie lubiłem siedzieć wysoko na trybunie po stronie zapola i patrzeć, jak letni dzień niechętnie zbliża się ku końcowi. Słońce zaszło już za horyzont, pozostała tylko jasna, piękna luna. Długie cienie jupiterów kładły się na płycie stadionu, jak tajemnicze wskazówki. Po rozpoczęciu meczu zapalały się ostrożnie jeden po drugim, choć było tak

widno, że dało się jeszcze czytać gazetę. Wspomnienie długiego żaru słońca uparcie broniło dostępu nocy.

To sztuczne światło cierpliwie, spokojnie, lecz pewnie pokonywało blask słońca w powodzi odświeżonych barw. Świeża zieleń trawy, czarna piękna ziemia, narysowane na niej białe nowiotkie linie, werniks lśniący na kijach, które trzymali w dłoniach czekający na swoją kolej zawodnicy, dymy papierosowe unoszące się w promieniach światła (w bezwietrzne dni wyglądały jak tłum dusz wędrujących w poszukiwaniu kogoś, kto je przygarnie) - takie rzeczy stawały się nagle wyraźnie widoczne. Chłopcy sprzedający piwo wystawiali ku światłu trzymane między palcami banknoty, ludzie wstawali, aby śledzić lot wysoko odbitej piłki, a ich głosy wznosiły się wraz z nią albo przeradzały się w jęk zawodu. Widać było małe stado ptaków lecących w stronę morza, wracających do gniazd. Tak wyglądał stadion o pół do ósmej wieczorem.

Przypomniałem sobie mecze baseballowe widziane do tej pory. Kiedy byłem bardzo mały, drużyna Saint Louis Cardinals przyjechała kiedyś do Japonii na mecz towarzyski. Obejrzałem ten mecz z ojcem, siedząc po stronie pola wewnętrznego. Przed rozpoczęciem meczu zawodnicy Cardinals obeszlili stadion dookoła, a potem podeszli do koszyków pełnych piłek tenisowych z autografami i zaczęli jakby na wyścigi rzucać piłki w stronę trybun. Ludzie za wszelką cenę próbowali je złapać. Ja siedziałem nieporuszony i nagle zorientowałem się, że na kolanach mam piłkę. Było to nieoczekiwane, przedziwne, nieomal magiczne wydarzenie.

Znów sprawdziłem czas. Siódma trzydzieści sześć. Minęło osiem minut od poprzedniego spojrzenia na zegarek. Zaledwie osiem minut. Zdjąłem zegarek i przyłożyłem do ucha - chodził. W ciemności wtuliłem głowę w ramiona. Moje poczucie czasu stopniowo stawało się coraz dziwniejsze. Postanowiłem na razie nie patrzeć na zegarek. Nie miałem nic innego do roboty, ale i tak takie ciągle patrzeć na zegarek jest niezdrowe. Jednak ni-

epatrzenie wymagało nie lada wysiłku, przypominało odmawianie sobie papierosa po rzuceniu palenia. Od momentu gdy postanowiłem odpędzić wszelkie myśli o czasie, nie byłem w stanie myśleć o niczym innym. Był to rodzaj sprzeczności, rozdwojenia. Im bardziej próbowałem zapomnieć o czasie, tym więcej o nim myślałem. Nieświadomie kierowałem wzrok na lewy nadgarstek, na którym miałem zegarek. I za każdym razem odwracałem głowę, zamykałem oczy i starałem się nie patrzeć. W końcu zdjąłem zegarek i wrzuciłem do plecaka, lecz moja świadomość i tak poszukiwała go w ciemności, gdy odmierzał w plecaku czas.

I tak czas płynął w mroku pozbawiony wskazówek zegarka. Był to czas niepodzielony, niemierzony. Utraciwszy skalę, zmienił się z linii ciągłej w nieregularne ciało płynne, które rosło i kurczyło się, jak mu się podobało. W tym czasie usypiałem, budziłem się, znowu przysypiałem i ponownie się budziłem. Po trochu przywykłem do niepatrzenia na zegarek. Zmusiłem własne ciało do zapamiętania, że czas jest mu już niepotrzebny, lecz wkrótce ogarnął mnie trudny do zniesienia niepokój. Niewątpliwie wyzwoliłem się z nerwowego spoglądania na zegarek co pięć minut, ale gdy z układu współrzędnych całkowicie zniknęła oś czasu, poczułem się, jakbym został zrzucony nocą do morza z pokładu płynącego statku. Choć głośno krzyczę, nikt tego nie zauważa, statek płynie dalej, zostawiwszy mnie za sobą, stopniowo oddala się i znika z pola widzenia.

Zrezygnowałem, wyjąłem zegarek z plecaka i założyłem na lewą rękę. Wskazywał szóstą piętnaście. Musiała być szosta piętnaście rano. Gdy sprawdzałem ostatni raz, było po siódmej. Po siódmej wieczorem. Logiczne było więc przyjęcie, że od tego czasu minęło jedenaście godzin. Nie mogły minąć aż dwadzieścia trzy. Choć nie było takiej pewności. Jaka jest zasadnicza różnica między jedenastoma a dwudziestoma trzema godzinami? Tak czy inaczej, bez względu na to czy minęło jedenaście, czy minęły dwadzieścia trzy godziny, dokuczał mi gwałtowny



głód. Było to uczucie zupełnie różne od moich niejasnych wyobrażeń gwałtownego głodu. Myślałem, że głód to rodzaj poczucia braku, lecz było to raczej coś bliskiego bólowi, bezpośredniemu i całkowicie fizycznemu bólowi, jaki odczuwa się, gdy ktoś wbija w ciało świder lub wiąże je ciasno sznurem. Ból przybierał czasem na sile, jak fala przyływu, prawie pozbawiając mnie przytomności, by znów powoli osłabnąć.

Chcąc odwrócić uwagę od wywołanego głodem bólu, skupiłem się, starając się pomyśleć o czymś innym, lecz nie byłem w stanie na niczym poważnie się skoncentrować. W głowie migwały mi jakieś strzępy myśli, ale wkrótce gdzieś znikwały. Gdy próbowałem je schwytać, wymykały mi się z rąk jak śliskie, próbujące się wyrwać stworzenia.

Wstałem, przeciągnąłem się i wziąłem głęboki oddech. Bolało mnie caluteńkie ciało. Siedziałem długo w nienaturalnej pozycji i teraz wszystkie mięśnie i stawy wyrażały swoje niezadowolenie. Powoli wyprostowałem się i zacząłem robić przysiady, lecz po około dziesięciu minutach nagle poczułem zawroty głowy. Usiadłem na ziemi i zamknąłem oczy. Dzwoniło mi w uszach, po twarzy spływał pot. Chciałem się czegoś uchwycić, lecz nie miałem czego. Poczulem mdłości, ale nie miałem nawet czym zwymiotować. Wziąłem kilka głębokich oddechów. Próbowałem przewietrzyć głowę, pobudzić krew do żywszego krążenia i zachować trzeźwą świadomość, lecz była ciągle zamglona. Zrozumiałem, że bardzo osłabłem, spróbowałem nawet powiedzieć: „Zrobiłem się bardzo słaby”, ale trudno mi było wypowiadać słowa. Gdybym przynajmniej widział gwiazdy. Ale nic z tego. May Kasahara dokładnie zamknęła pokrywę studni.

Myślałem, że przed południem znowu przyjdzie, lecz się nie pojawiła. Oparty o ścianę studni bez ruchu wyczekiwałem jej nadejścia. Mdłości, które czułem od rana, ciągle mnie męczyły i na pewien czas straciłem zdolność zastanawiania się nad cokolwiek w skupieniu. Głód ogarniał mnie jak przedtem i odchodził. Otaczająca ciemność także to gęstniała, to rzedła. A

wspólnie, jak złodzieje wynoszący meble z pustego domu, odbierały mi po trochu umiejętność skupienia się.

Minęło południe, ale May Kasahara nie nadchodziła. Zamknąłem oczy i próbowałem spać, mając nadzieję, że może we śnie zjawi się przede mną Kreta Kano, lecz zasnąłem bardzo płytko i absolutnie nic mi się nie przyśniło. Zrezygnowałem z prób myślenia o czymś w skupieniu, a wtedy zaczęły mnie nawiedzać różne fragmentaryczne wspomnienia. Nadeszły cicho, jak woda wypełniająca jaskinię. Wyraźnie przypominałem sobie odwiedzone miejsca, spotkanych ludzi, odniesione rany, odbyte rozmowy, kupione przedmioty, zgubione rzeczy. Przypominałem sobie wszystko tak zadziwiająco szczegółowo, że aż mnie to zastanowiło: po co pamiętam takie rzeczy? Przypominałem sobie kilka domów i mieszkań, w których kiedyś mieszkałem. Okna, szafy ściennie, meble, lampy, które w nich były. Przypominałem sobie kilku nauczycieli, którzy mnie uczyli od podstawówki aż do uniwersytetu. Wiele z tych wspomnień nie łączyło się ze sobą. Brakowało im porządku chronologicznego, większość była tylko urywkami bez znaczenia. Co pewien czas gwałtowny głód przerywał i rozpraszał moje refleksje, lecz każde kolejne wspomnienie było przedziwnie wyraziste i wstrząsało mną jak podmuch nadchodzącego cyklonu.

Gdy umysł biegł niechętnie tropem tych wspomnień, nagle przyszło mi na myśl coś, co zdarzyło się w pracy trzy czy cztery lata wcześniej. Było to nieważne wydarzenie, lecz gdy odtworzyłem je sobie po kolei w myślach, stopniowo ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie. Wkrótce to przykre uczucie zmieniło się w silny gniew, który przesłonił zmęczenie, głód, niepokój i wszystko inne. Trząsałem się z gniewu i oddychałem chrapliwie. Serce mi waliło, podskoczył poziom adrenaliny we krwi. Była to kłótnia wywołana drobnym nieporozumieniem. Ktoś rzucił mi kilka nieprzyjemnych słów, ja nie pozostałem mu dłużny. Lecz w końcu, ponieważ wszystko zaczęło się od małego nieporozumienia, przeprosiliśmy się nawzajem i nie pozosta-

ło po tym żadne przykre wspomnienie. Gdy człowiek jest zajęty i zmęczony, zdarza się, że nieumyślnie palnie coś niegrzecznego, ale nie ma to większego znaczenia i właśnie dlatego zupełnie o tym incydencie zapomniałem. Teraz byłem jednak na dnie ciemnej studni odcięty od rzeczywistości i wspomnienie to wróciło bardzo żywe, wypaliło się w mojej świadomości. Czułem jego żar na skórze, w uszach miałem syk palonego ciała. Przygryzając wargi, zastanawiałem się, dlaczego tak powściągliwie odpowiedziałem, mimo że tamten tak sobie pozwolił. Wymyślałem jedno po drugim cięte słowa, których powinienem był użyć w odpowiedzi do tego człowieka. Czelowałem je i ostrzyłem, a im ostrzejsze się stawały, tym bardziej wzmagał się mój gniew.

Lecz potem zupełnie jakby nagle minęło mi opętanie, zrobiło mi się wszystko jedno. Po co odgrzewać takie rzeczy? Tamten facet na pewno zupełnie zapomniał już o tej kłótni. Ja też do tej pory ani razu sobie o niej nie przypomniałem. Wziąłem głęboki oddech, rozluźniłem ramiona i przyzwyczyłem ciało do ciemności. Staralem się przywołać jakieś inne wspomnienie, jednak po odejściu tego absurdalnie gwałtownego gniewu wspomnień zabrakło. W głowie miałem taką samą pustkę jak w żołądku.

Sam, nie wiedząc kiedy, zacząłem do siebie mówić. Zorientowałem się, że mruczę fragmenty myśli. Nie potrafiłem tego opanować. Słyszałem, że coś mówię, lecz prawie nic nie mogłem zrozumieć. Usta poruszały się automatycznie, niezależnie od woli i wyrzucałem z siebie słowa, których znaczenia nie mogłem uchwycić. Wyłaniały się z jednej ciemności i momentalnie znikwały wsysane w inną. Moje ciało stało się tunelem, przez który jedynie przepływały słowa. Były to niewątpliwie fragmenty myśli, lecz powstawały poza moją świadomością.

Zastanowiłem się, co się właściwie dzieje. Zaczynałem po trochu tracić panowanie nad sobą. Spojrzałem na zegarek. Wskazywał trzecią czterdzieści dwie. Prawdopodobnie trzecią czterdzieści dwie po południu. Wyobraziłem sobie, że jestem pośród światła letniego popołudnia o trzeciej czterdzieści dwie.

Wyteżyłem słuch, lecz nie dosłyszałem żadnego dźwięku. Do mych uszu nie docierały głosy cykad, ptaków ani dzieci. A może, gdy byłem zamknięty na dnie studni, świat przestał się poruszać, dlatego że ptak nakręcacz nie nakręcił sprężyny. Stopniowo śruba odkręciła się do końca i w pewnej chwili całkowicie ustał wszelki ruch - nurt rzeki, szum liści, lot ptaków na niebie.

Co się stało z May Kasaharą? Dlaczego nie przychodzi? Już dawno jej nie było. Nagle przyszło mi do głowy, że mogło jej się coś przydarzyć. Może na przykład miała gdzieś wypadek. Jeżeli tak było, oznacza to, że nie ma już na świecie nikogo, kto wie, że tu jestem. I naprawdę powoli umrę w tej studni.

Potem zmieniłem zdanie. May Kasahara nie jest nieuważna i lekkomyślna. Nie wpadnie tak łatwo pod samochód. Na pewno siedzi teraz w swoim pokoju, czasami obserwuje przez lornetkę ten ogród i wyobraża sobie mnie na dnie studni. Celowo czeka i chce, żebym się niepokoił i myślał, że zostawiła mnie na pastwę losu. Musiało tak być. I jeżeli naprawdę specjalnie czeka i nie przychodzi, jej plan wydał wspaniałe owoce. Rzeczywiście byłem strasznie zaniepokojony, czułem się opuszczony i zdany na łaskę losu. Na myśl, że przyjdzie mi powoli gnąć w tej czerni, chwilami ogarniał mnie taki strach, że nie mogłem oddychać. W miarę upływu czasu będę coraz słabszy, uczucie głodu stanie się nieubłagane i nie do zniesienia. Wkrótce nie będę w stanie się poruszyć. Nawet jeżeli ktoś spuści mi drabinę, nie dam rady się po niej wspiąć. Może wypadną mi wszystkie zęby i włosy.

Nagle zastanowiłem się nad kwestią dopływu powietrza. Jestem od paru dni w tej wąskiej głębokiej dziurze i do tego z dokładnie zamkniętą przykrywą. Prawie nie ma przepływu powietrza. Na tę myśl zacząłem mieć trudności z oddychaniem. Nie potrafiłem ocenić, czy naprawdę brak w studni tlenu, czy też tylko tak mi się wydaje. Chcąc się upewnić, kilka razy głęboko zaczerpnąłem i wypuściłem powietrze, lecz im więcej oddychałem, tym gwałtowniejszą czułem duszność. Z niepokojem i strac-

hu zacząłem się strasznie pocić. Pod wpływem myśli o powietrzu śmierć zapanowała niepodzielnie w mojej świadomości jako coś niechybnego, nieuniknionego. Nadeszła bezgłośnie jak bardzo czarna woda i całkowicie zalała mi myśli. Wcześniej rozważałem już możliwość śmierci głodowej, lecz uważałem, że mam jeszcze dużo czasu. Jeżeli jednak zabraknie tlenu, wszystko stanie się o wiele szybciej.

Ciekawe, jak się umiera, nie mogąc oddychać. Jak dużo czasu minie, zanim człowiek umrze? Czy umiera się w długich cierpieniach, czy też może traci stopniowo świadomość i jakby zasypia? Spróbowałem sobie wyobrazić, że przychodzi May Kasahara i odkrywa, że umarłem. Woła mnie wiele razy, ale ponieważ nie ma odpowiedzi, wrzuca do środka kilka kamyków, myśląc, że śpię. Ja się jednak nie budzę i tak dowiaduje się, że umarłem.

Chciałem głośno kogoś zawołać. Krzyczeć, że jestem tu zamknięty. Jestem głodny i mam coraz mniej powietrza. Zdawało mi się, że stałem się znowu małym, bezsilnym dzieckiem. Uciekłem bez namysłu z domu i nie mogę wrócić. Zapomniałem, którą wiedzie droga powrotna. Wiele, wiele razy miałem taki sen. Były to koszmary senne okresu mojego dorastania. Błądzą, nie mogę znaleźć drogi powrotnej. Już dawno zapomniałem o tych snach, lecz teraz na dnie głębokiej studni czułem, jak odżywają i stają przede mną jak żywe. W ciemności czas płynął w przeciwnym kierunku i teraz został pochłonięty przez inny wymiar czasu.

Wyjąłem z plecaka manierkę, odkręciłem i ostrożnie wlałem wodę do ust, nie chcąc uronić ani kropelki. Długo trzymałem ją w ustach, pozwalając im przesiąknąć wilgocią, i powoli przełknąłem. Łykając, usłyszałem głośny dźwięk, który wydobył się z mego gardła. Brzmiał, jakby coś twardego i ciężkiego spadło na podłogę, lecz był to jedynie odgłos przetykania niewielkiej ilości wody.

- Panie Okada! - zawołał ktoś. Usłyszałem te słowa we śnie. - Panie Okada, panie Okada, niech się pan obudzi!

Był to głos Krety Kano. Jakoś udało mi się otworzyć oczy, lecz dookoła nadal było zupełnie ciemno i nic nie widziałem. Niejasna była granica między snem a jawą. Chciałem się podnieść, ale nie miałem w rękach tyle siły. Moje ciało stało się ospałe, przemarzło i skurczyło się jak ogórek pozostawiony za długo w lodówce. Wyczerpanie i bezsilność dokładnie spowły moją świadomość. Mnie to nie przeszkadza, rób co chcesz. Znów w podświadomości dostanę erekcji i wytrysnę w rzeczywistości. Jeżeli chcesz, mogę to zrobić. Z niejasną świadomością czekałem, aż jej ręka rozepnie mi pasek spodni, lecz głos dobiegał skądś z bardzo wysoka. - Panie Okada, panie Okada! - wołał. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że połowa pokrywy jest odsunięta i widać piękne gwiazdziste niebo. Wycinek nieba w kształcie półksiężyca.

- Jestem tu! - Jakoś się podniosłem, spojrzałem w górę i jeszcze raz zawołałem: - Tu jestem.

- Panie Okada - powiedziała rzeczywista Kreta Kano - jest pan tam?

- Tak, jestem.

- Dlaczego pan tam zszedł?

- To długa historia.

- Przepraszam, ale nie bardzo słyszę. Czy może pan mówić trochę głośniej?

- To długa historia - wrzasnałem. - Opowiem pani wszystko po wyjściu na górę. Teraz nie bardzo mogę głośno mówić.

- Ta sznurowa drabinka należy do pana?

- Tak.

- Jak ją pan tam z dołu wyjął? Wyrzucił pan do góry?

- Nie - odparłem. Po co miałbym robić coś takiego? Nie umiałbym zrobić czegoś wymagającego takiej zręczności. - Nie, nie wyrzuciłem. Ktoś ją bez mojej wiedzy wyciągnął.

- Ale przecież pan nie może przez to teraz wyjść.

- Właśnie - powiedziałem cierpliwie. - Właśnie tak jest. Nie mogę stąd teraz wyjść, więc czy mogłaby pani ją spuścić? Wte-

dy mógłbym wyjść.

- Tak, oczywiście. Zaraz spuszczę.

- Czy mogłaby pani przed spuszczeniem sprawdzić, czy drugi koniec jest mocno przywiązany do drzewa? Jeśli nie...

Nie było odpowiedzi. Na górze chyba już nikogo nie było. Wyteżałem wzrok, lecz nie dostrzegłem jej u wylotu studni. Wyjąłem z plecaka latarkę i skierowałem światło w górę. Nie ukazała się w nim żadna postać, ale drabinka rzeczywiście zwiisała, jakby mówiąc, że była tu cały czas od samego początku. Westchnąłem głęboko, a wtedy poczułem, jak mięknie i rozplywa się twarda gula we wnętrzu mego ciała.

- Pani Kreto! - zawołałem.

Nikt nie odpowiedział. Zegarek wskazywał siedem po pierwszej. Oczywiście siedem po pierwszej w nocy. Poznałem po gwiazdach lśniących na niebie. Zarzuciłem plecak na ramię, wziąłem jeden głęboki oddech i zacząłem wchodzić po drabince. Wspinanie się po niepewnej drabince nie było łatwym zadaniem. Od wysiłku trzeszczały i jęczały wszystkie mięśnie, kości i stawy. Wspinałem się ostrożnie i z każdym krokiem powietrze stawało się coraz cieplejsze, poczułem w nim wyraźny zapach trawy. Zaczęło dobiegać cykanie owadów. Położyłem ręce na brzegu cembrowiny, mobilizując resztki sił, przelazłem przez nią i wylądowałem, prawie spadając, na miękkiej ziemi. Jestem na powierzchni ziemi. Przez pewien czas leżałem na plecach, o niczym nie myśląc. Patrzyłem na niebo i kilka razy nabrałem powietrza głęboko do płuc. Było to ciężkie ciepawe powietrze letniej nocy, przepelnione świeżym zapachem życia. Czulem zapach ziemi. Pachniało też trawą. Sam zapach wystarczał, bym poczuł na dłoniach miękkiej dotyk ziemi i trawy. Przyszło mi nawet do głowy, żeby nabrać w dłonie trawy i ziemi i pożreć je.

Na niebie nie było już ani jednej gwiazdy - były widoczne tylko z dna studni, lecz unosił się bliski pełni puzaty księżyc. Nie wiem, jak dużo czasu tam spędziłem. Długo nasłuchiwałem bicia własnego serca. Zdawało mi się, że mógłbym tak trwać wi-

ecznie, słuchając tylko uderzeń serca. Wkrótce podniosłem się i powoli rozejrzałem dookoła. Nikogo nie było. Wokół rozpościerał się nocny ogród z posągiem ptaka, który jak zawsze nieruchomo patrzył w niebo. W domu May Kasahary zgasły wszystkie światła i tylko lampa rtęciowa w ogrodzie oświetlała uliczkę mdłym niebieskawym światłem. Gdzie się mogła podziąć Kreta Kano?

W każdym razie najpierw musiałem wrócić do domu. Wrócić do domu, napić się czegoś, zjeść, wziąć długi prysznic. Na pewno strasznie śmierdzieć. Musiałem się pozbyć tego smrodu. I napełnić pusty brzuch. Potem będzie czas na resztę.

Szedłem do domu zwykłą drogą, lecz uliczka była dziś inna, nieznaną. Może to za sprawą bezlitosnego światła księżyca dostrzegałem w niej poważniejsze niż zwykle symptomy zastoju i rozkładu. Czulem smród rozkładającego się zwierzęcia i niewątpliwy fetor odchodów. Mimo że była już północ, w wielu domach ludzie nie spali. Oglądali telewizję, rozmawiali i jedli. Z jednego okna napłynął zapach tłustego jedzenia i zaatakował mi mózg i żołądek. Umocowany na zewnątrz klimatyzator jęczał i owionął mnie nieprzyjemnie ciepłym powietrzem. Z innego domu dobiegał szum prysznica i w oknie łazienki majaczył niewyraźny cień postaci.

Jakoś przelazłem przez ogrodzenie i wszedłem do ogrodu. Widziany z tej strony dom był zupełnie ciemny i cichy, jakby wstrzymywał oddech. Nie zostało w nim nic ciepłego i przytulnego. Był to dom, w którym żyłem, lecz wyglądał teraz jak pusty, niezamieszany budynek. Nie miałem jednak innego miejsca, do którego mógłbym wrócić.

Wszedłem na werandę i cicho otworzyłem szklane drzwi. Z powodu długiego zamknięcia powietrze było ciężkie i zastałe. Unosił się w nim zapach przejrzałych owoców i naftaliny. Na stole kuchennym leżała moja kartka. W suszarce obok zlewu stały jak przedtem umyte naczynia. Wypiłem kilka szklanek wody z kranu jedną po drugiej. W lodówce nie było nic specjal-



nego. Beżładnie powsadzane resztki jedzenia i pozostałości produktów. Jajka, szynka, sałatka ziemniaczana, bakłażan, sałata, pomidory, tofu, biały ser. Otworzyłem puszkę z zupą jarzynową, wlałem do rondla i podgrzałem. Zalałem mlekiem płatki kukurydziane i zjadłem. Byłem straszliwie głodny, lecz gdy otworzyłem lodówkę i spojrzałem na prawdziwe jedzenie, prawie nie poczułem apetytu, a raczej lekkie mdłości. Chcąc jednak złagodzić wywołany głodem ból żołądka, zjadłem jeszcze parę krakersów, ale nie miałem ochoty na nic więcej.

Poszedłem do łazienki, zdjąłem ubranie i wrzuciłem do pralki. Potem stanąłem pod strumieniem gorącej wody, dokładnie wyszorowałem każdy skrawek ciała nowym mydłem i umyłem włosy. W łazience ciągle wisiał nylonowy czepek kąpielowy Kumiko. Były tam też jej szampon, odżywka i szczotka do włosów, szczoteczka i nitka do zębów. Po jej odejściu w wyglądzie domu nie zaszły żadne zmiany. Jedynym skutkiem nieobecności Kumiko był fakt, że jej samej tu nie było.

Stałem przed lustrem i przejrzałem się. Twarz pokrywał czarny zarost, lecz po krótkim wahaniu postanowiłem się nie golić. Gdybym się teraz ogolił, na pewno bym się zaciął. Zrobię to jutro rano. Nie będę się przecież teraz z nikim widział. Umyłem zęby, kilka razy wyplukałem usta i wyszedłem z łazienki. Potem otworzyłem puszkę piwa, wyjąłem z lodówki pomidory i sałatę i przyrządziłem prostą sałatkę. Po jej zjedzeniu poczułem niewielki apetyt, więc wyciągnąłem sałatkę ziemniaczaną i zjadłem z chlebem. Tylko raz spojrzałem na zegarek i zastanowiłem się, ile godzin spędziłem na dnie studni, lecz gdy próbowałem myśleć o czasie, poczułem tępy ból głowy. Nie chciałem już myśleć o czasie. Była to jedna z rzeczy, o których najbardziej nie chciałem myśleć.

Poszedłem do łazienki i długo siusiałem z zamkniętymi oczami. Tak długo, że trudno mi było w to uwierzyć. Gdy tak stałem, zdawało mi się, że za chwilę zemdleję. Położyłem się na kanapie w dużym pokoju i patrzyłem w sufit. Byłem w dziwnym na-

stroju. Ciało miałem zmęczone, lecz świadomość bardzo trzeźwą. Wcale nie chciało mi się spać.

Nagle zaniepokojony, wstałem z kanapy, poszedłem do drzwi wejściowych i zajrzałem do skrzynki na listy. Pomyślałem, że może w ciągu paru dni mego pobytu na dnie studni mógł przyjść jakiś list. W skrzynce znajdowała się tylko jedna koperta. Nie było nadawcy, lecz po literach w adresie od razu poznałem pismo Kumiko. Charakterystyczne, drobne litery, staranne, jakby każda z nich była oddzielnie zaprojektowana. Pisanie ich zabierało dużo czasu, lecz Kumiko nie umiała inaczej. Odruchowo spojrzałem na stempel pocztowy. Był rozmazany i nie mogłem go dokładnie odczytać, lecz jakoś udało mi się odcyfrować „Taka”. Mogło to być Takamatsu. Taka-matsu w prefekturze Kaga-wa? O ile wiedziałem, Kumiko nie miała znajomych w Takamatsu. Po ślubie nigdy tam razem nie byliśmy i ona sama też chyba nigdy tam nie była. Takamatsu ani razu nie pojawiło się w rozmowie. Może to jednak nie było Takamatsu.

Z listem w ręce wróciłem do kuchni, usiadłem przy stole i przeciąłem nożyczkami kopertę. Ciąłem powoli i ostrożnie, by przez pomyłkę nie przeciąć listu. Ręce mi drżały. Chcąc się uspokoić, wypilem ostatni łyk piwa.

Kumiko pisała granatowym atramentem do wiecznych piór Mont Blanc, którego zawsze używała. Papier listowy był zwyczajnym cienkim papierem, jaki wszędzie można kupić.

Na pewno zdziwiłeś się i zmartwiłeś, gdy tak nagle bez słowa zniknęłam. Chciałam wcześniej do Ciebie napisać i wyjaśnić Ci różne rzeczy, lecz łamałam sobie głowę, jak napisać, by dokładnie wyrazić własne uczucia, jak wyjaśnić, byś zrozumiał sytuację, w której się znalazłam, i zanim się zorientowałam, minęło dużo czasu. Jest mi naprawdę bardzo przykro z tego powodu.

Może sam już zacząłeś się domyślać, że spotykałam się z innym mężczyzną. Sypiałam z nim od prawie trzech miesięcy. Poznałam go w pracy i ty go nie znasz. Poza tym to, kim on jest, nie jest aż takie ważne, ponieważ nigdy więcej już się z nim nie

zobaczę. Przynajmniej dla mnie wszystko już całkowicie się zakończyło. Nie wiem, co prawda, czy to będzie dla Ciebie pocieszeniem.

Nie wiem też, jak odpowiedzieć na pytanie, czy byłam w nim zakochana. Samo pytanie wydaje mi się nieodpowiednie. Łatwo mi jednak odpowiedzieć, czy kochałam Ciebie. Kochałam Cię. Zawsze cieszyłam się, że za Ciebie wyszłam. Nawet teraz tak myślę. Zapytasz pewnie, dlaczego w takim razie Cię zdradzałam i w końcu nawet odeszłam. Ja też wiele, wiele razy zadawałam sobie to pytanie. Dlaczego robię takie rzeczy?

Nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie pragnęłam wcale mieć kochanka ani Cię zdradzać, dlatego na początku moje stosunki z nim nie miały żadnego ukrytego celu. Najpierw spotkaliśmy się kilka razy w związku z pracą, polubiliśmy się i potem czasami rozmawialiśmy przez telefon o sprawach z pracą niezwiązanych. Był ode mnie znacznie starszy, miał żonę i dzieci, nie był atrakcyjny jako mężczyzna, dlatego nawet nie powstało mi w głowie, że mogłabym mieć z nim jakieś bliższe stosunki.

Przyznaję też, że trochę chciałam Ci odpłacić pięknym za nadobne. Ciągle męczyło mnie, że spędziłeś wtedy noc u jakiejś dziewczyny. Wierzyłam, że do niczego między wami nie doszło, ale i tak uważałam, że byłeś nie w porządku. Chodziło o to, jak się czułam. Nie znaczy to, że chciałam się zemścić, zdradzając Cię z tym mężczyzną. Pamiętam, że raz tak powiedziałam, ale próbowałam Cię tylko nastraszyć. Przespałam się z nim po prostu dlatego, że chciałam się z nim przespać. Nie mogłam wytrzymać. Nie mogłam opanować pożądania.

Spotkaliśmy się w jakiejś sprawie po długim niewidzeniu i poszliśmy gdzieś coś zjeść. Po posiłku poszliśmy na małego drinka. Oczywiście ja, ponieważ prawie nie piję, dla towarzysza piłam tylko sok pomarańczowy bez kropli alkoholu, więc nie było to wywołane alkoholem. Zupełnie normalnie się spotkaliśmy i zupełnie normalnie rozmawialiśmy. Lecz w pewnej chwili przypadkiem go dotknęłam i nagle całym sercem zaprag-

nęłam znaleźć się w jego ramionach. Kiedy nasze ciała się zetknęły, poczułam, że i on mnie pożąda. Chyba zorientował się, że ja też go pragnę. Było to całkowicie irracjonalne, obezwładniające, elektryzujące porozumienie. Zupełnie jak grom z jasnego nieba. Policzki nagle zaczęły mi płonąć, serce waliło, a podbrzusze miałam bezwładne i ciężkie. Nie mogłam już prosto usiedzieć na stołku barowym. Na początku nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, lecz wkrótce zorientowałam się, że to pożądanie. Pragnęłam jego ciała tak gwałtownie, że nie mogłam oddychać. Nie wiem już, które z nas to zaproponowało, ale poszliśmy do pobliskiego hotelu i kochaliśmy się tam w zapamiętaniu.

Być może zrani Cię, że opisuję takie szczegóły, lecz zdaje mi się, że patrząc na to w perspektywie przyszłości, lepiej napisać wszystko szczerze i dokładnie. Pewnie będzie Ci ciężko, ale przeczytaj cierpliwie do końca.

Nie miało to praktycznie nic wspólnego z miłością. Chciałam być w jego ramionach i chciałam, żeby we mnie wszedł. Po raz pierwszy w życiu pożądałam mężczyzny tak bardzo, że zapierało mi dech w piersiach. Przedtem, gdy czytałam w jakiejś książce o „niepowstrzymanym pożądaniu”, nie potrafiłam sobie konkretnie wyobrazić, o co chodzi.

Nie wiem, dlaczego niespodziewanie coś takiego mi się przydarzyło, dlaczego zdarzyło się to nie z Tobą, a z innym mężczyzną. W każdym razie wtedy nie mogłam i nie miałam ochoty się powstrzymać. Spróbuj to jakoś zrozumieć. Nawet mi nie przyszło do głowy, że Cię zdradzam. Kochałam się z tym człowiekiem na łóżku hotelowym, jakbym straciła zmysły. Mówię naprawdę szczerze - nigdy w życiu nie czułam takiej przyjemności. Nie, to nie była po prostu przyjemność, moje ciało

tarzało się w gorącym błocie. Moja świadomość piła tę rozkosz, nabrzmiała, jakby miała pęknąć i pękła. Było to jak cud, jedna z najwspanialszych rzeczy, jaka mi się w życiu przytrafiła.

Potem, jak wiesz, długo to ukrywałam. Nie zorientowałeś się, że Cię zdradzam i moje późne powroty nie wzbudzały Twoich

podejrzeń. Prawdopodobnie całkowicie mi ufałeś. Myślałeś, że nie mogłabym Cię zdradzać. Lecz ja nie miałam wyrzutów sumienia, zdradzając Twoje zaufanie. Dzwoniłam do Ciebie z hotelu i mówiłam, że zebranie w pracy się przeciągnęło. Kłamałam wiele razy, lecz nie sprawiało mi to żadnej trudności. Zdawało mi się, że to oczywiste. Moje serce domagało się życia z Tobą, nasz dom był miejscem, do którego wracałam, światem, do którego należałam, lecz moje ciało gwałtownie domagało się seksu z tym mężczyzną. W połowie byłam tu, a w połowie tam. Wiedziałam, że kiedyś nastąpi katastrofa, lecz jednocześnie myślałam, że takie życie będzie trwało wiecznie. Podwójne życie, w którym tutejsza ja prowadziłam spokojne życie z Tobą, a tamtejsza ja uprawiała szalony seks z nim.

Chcę, żebyś wiedział jedno: nie chodziło o to, że ustępowałeś mi pod względem seksualnym, byłeś mniej atrakcyjny czy też, że znudził mi się seks z Tobą. Moje ciało było wtedy gwałtownie, nieprawdopodobnie wygłodniałe i nie mogłam się mu przeciwstawić. Nie wiem, z jakiego powodu tak się stało, ale w każdym razie tak było. Podczas gdy utrzymywałam z nim stosunki fizyczne, kilka razy chciałam się kochać z Tobą. Zdawało mi się niesprawiedliwe w stosunku do Ciebie, że śpię z nim, a z Tobą nie. Lecz gdy spałam z Tobą, nie czułam już absolutnie nic. Myślę, że Ty pewnie też to zauważyłeś. Dlatego ostatnio przez blisko dwa miesiące pod różnymi pozorami unikałam seksu z Tobą.

Pewnego dnia poprosił mnie, żebym odeszła od Ciebie i zamieszkała z nim. Skoro tak bardzo do siebie pasujemy, nie ma powodu, żebyśmy nie byli razem. Powiedział, że on też zostawi własną rodzinę. Odpowiedziałam, że potrzebuję czasu do namysłu, lecz wracając pociągiem do domu, nagle uświadomiłam sobie, że nic już do niego nie czuję. Nie wiem dlaczego, kiedy zaproponował wspólne życie, to coś szczególnego, co czułam, zniknęło jak zdmuchnięte silnym powiewem wiatru. Nie został nawet okruch pożądania.

Potem zaczęłam mieć poczucie winy w stosunku do Ciebie.

Jak wcześniej napisałam, w okresie gdy gwałtownie go pożałowałam, nie czułam ani krztyny winy. Uważałam tylko, że dobrze się składa, że się w niczym nie zorientowałaś. Myślałam nawet, że dopóki się nie dowiesz, mogę robić, co chcę. Że mój związek z nim i związek z Tobą należą do różnych światów. Kiedy zaś tak całkowicie wyparowało pożądanie jego ciała, zupełnie nie wiedziałam już, na czym stoję.

Zawsze uważałam się za uczciwą. Oczywiście mam różne wady, lecz nigdy nie kłamałam w ważnych sprawach ani nie oszukiwałam samej siebie. Nigdy nic przed Tobą nie ukrywałam i byłam z tego nawet trochę dumna. Lecz teraz przez kilka miesięcy straszliwie Cię okłamywałam i ani trochę mnie to wtedy nie martwiło.

Ten fakt mnie dręczył. Zdawało mi się, że jestem w środku pusta, pozbawiona wartości i znaczenia. Prawdopodobnie naprawdę tak jest. Lecz jedna rzecz nie daje mi spokoju: dlaczego nagle ogarnęło mnie takie bezrozumne gwałtowne pożądanie w stosunku do człowieka, którego wcale nie kochałam? Za nic nie mogę tego zrozumieć. Gdyby nie to pożądanie, żyłabym sobie teraz z Tobą szczęśliwie i przyjemnie, a z tym człowiekiem przyjaźniłabym się i prowadziła swobodne rozmowy. Owo absurdalne pożądanie zrujnowało i pozbawiło fundamentów to, co razem zbudowaliśmy. I wszystko zostało mi odebrane. Ty, dom, który z Tobą stworzyłam, i nawet praca. Dlaczego coś takiego musiało się zdarzyć?

Kiedy przerwałam trzy lata temu ciążę, powiedziałam, że muszę Ci o czymś opowiedzieć. Pamiętasz? Może powinnam była Ci to wyznać. Może wtedy nie doszłoby do czegoś takiego. Jednak nawet teraz nie mogę jeszcze wprost Ci o tym powiedzieć. Wydaje mi się, że gdybym Ci to zrobiła, zrujnowałabym nieodwracalnie jeszcze więcej. Dlatego uznałam, że lepiej będzie, jeżeli zachowam to dla siebie i zniknę.

Przykro mi to mówić, ale przed ślubem i po ślubie nigdy nie czułam z Tobą prawdziwej seksualnej rozkoszy. Seks był świ-

etny, lecz doznawałam tylko niejasnego, dalekiego uczucia, zupełnie jakby wszystko dotyczyło kogoś innego. Nie było w tym wcale Twojej winy. To ja ponoszę odpowiedzialność za to, że nie mogłam niczego naprawdę poczuć. Miałam jakieś zahamowania, które nie pozwalały mi odczuwać pełni rozkoszy seksualnej. Lecz gdy w stosunkach z tym mężczyzną z niewiadomej przyczyny zahamowania te nagle zniknęły, nie wiedziałam, co mam dalej robić.

Od samego początku istniała między mną a Tobą jakaś delikatna bliskość, która została z mojej winy utracona. To bajeczne dopasowanie kółek zębatach zostało zniszczone. Ja je zniszczyłam. Ściśle mówiąc, było we mnie coś, co je zniszczyło. Nie każdemu jest dana taka szansa i bardzo mi żal. Z całego serca nienawidzę tego, co to wszystko spowodowało. Prawdopodobnie nie rozumiesz, jak bardzo nienawidzę. Chciałabym dokładnie wiedzieć, co to jest. Muszę dojść do źródeł, dowiedzieć się, skąd się to wzięło, osądzić i ukarać, choć nie jestem pewna, czy starczy mi na to sił. Tak czy inaczej, jest to moje zmartwienie i nie ma z Tobą nic wspólnego.

Chcę prosić, żebyś się więcej mną nie przejmował. Nie szukaj mnie. Zapomnij o mnie i pomyśl o ułożeniu sobie życia na nowo. Napiszę jak należy list do rodziców i wyjaśnię, że wszystko jest rezultatem moich błędów i Ty nie ponosisz za nie żadnej odpowiedzialności. Myślę, że nie będą Ci robić kłopotów. Prawdopodobnie niedługo zacznę formalności rozwodowe. Sądzę, że to dla nas obojga najlepsze rozwiązanie, dlatego proszę, zgódź się bez protestów. Ubrania i inne rzeczy, które zostawiłam - przepraszam za kłopot - wyrzucić albo oddaj komuś. Wszystko to należy już do przeszłości. Nie mogę używać tego, czego choć przez chwilę używałam w życiu z Tobą.

Żegnaj.

Jeszcze raz powoli, niespiesznie przeczytałem list i wsadziłem z powrotem do koperty. Potem wyjąłem z lodówki jeszcze jedno piwo i napiłem się.

To, że planowała przeprowadzanie formalności rozwodowych, oznaczało, że nie miała zamiaru od razu popełniać samobójstwa. Trochę mnie to uspokoiło. Potem przypomniałem sobie o fakcie, że już od dwóch miesięcy z nikim się nie kochałem. Jak Kumiko sama napisała w liście, od dłuższego czasu odmawiała współżycia. Wy tłumaczyła mi, że zdaniem lekarza ma objawy lekkiego zapalenia pęcherza i powinna na pewien czas unikać seksu. Oczywiście uwierzyłem jej. Sądziłem, że nie mam powodu jej nie wierzyć.

W ciągu tych dwóch miesięcy kilkakrotnie miałem stosunki z kobietami we śnie - a przynajmniej moje ograniczone słownictwo nie pozwalało mi nazwać tego świata inaczej. Miałem stosunki z Kretą Kano i z kobietą od telefonów, lecz w rzeczywistym świecie ostatni raz spałem z rzeczywistą kobietą dwa miesiące temu. Leżąc na kanapie i przyglądając się własnym rękom złożonym na piersi, przypomniałem sobie ostatni raz widziane ciało Kumiko - miękką, zaokrągloną linię pleców, gdy zapinałem suwak jej sukienki, zapach wody toaletowej za uszami. Jeżeli przyjąć to, co napisała w liście, za nieodwołalny fakt, być może nigdy już nie będę z nią spał. Napisała tak wyraźnie, że prawdopodobnie musiał to być nieodwołalny fakt.

Im dłużej myślałem, że być może mój związek z Kumiko należy już do przeszłości, z tym większą tęsknotą przypominałem sobie łagodne ciepło jej ciała, które kiedyś do mnie należało. Lubilem z nią sypiać. Oczywiście lubilem to przed ślubem, ale nawet kilka lat po ślubie, kiedy już do pewnego

stopnia minęło pierwsze podniecenie, dalej lubilem się z nią kochać. Miałem przed oczyma jej szczupłe plecy, szyję, nogi, czułem dotyk jej piersi, jakbym miał je przed sobą. Przypominałem sobie po kolei, jak pieściłem Kumiko i jak ona mnie pieściła, gdy się kochaliśmy.

Jednak Kumiko rzuciła się w wir niewyobrażalnej namiętności z kimś, kogo nie znałem, i znalazła w tym rozkosz, której nie mogła doznać ze mną. Jej krzyki było pewnie słyhać w sąsi-



ednim pokoju i tak się wiła, że aż łóżko się trzęsło. Prawdopodobnie chętnie robiła dla niego rzeczy, których nie robiła dla mnie. Wstałem, otworzyłem lodówkę i wyjąłem piwo. Zjadłem sałatkę ziemniaczaną. Zachciało mi się posłuchać muzyki, więc nastawiłem cicho radio na stację z muzyką klasyczną. „Słuchaj, dzisiaj jestem zmęczona i nie mam na to ochoty. Przepraszam”, mówiła Kumiko. „Nie ma sprawy”, odpowiadałem. Skończyła się Serenada na smyczki Czajkowskiego i rozpoczął się krótki utwór, który brzmiał jak kompozycja Schumanna. Słyszałem go przedtem, ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć tytułu. Po zakończeniu utworu spikerka powiedziała, że była to siódma część Scen leśnych pod tytułem Ptak prorok. Wyobraziłem sobie, jak Kumiko porusza biodrami pod tym mężczyzną, podnosi nogi, wbija mu paznokcie w plecy, jej ślina cieknie na prześcieradło. Spikerka wytłumaczyła, że muzyka opisuje fantastyczną scenę w lesie, gdzie żyje przedziwny ptak przepowiadający przyszłość.

Zastanowiłem się, co ja właściwie wiem o Kumiko. Cicho zgniotłem pustą puszkę po piwie i wrzuciłem do kosza. Czy to możliwe, że Kumiko, którą rozumiałem, Kumiko, którą trzymałem w ramionach i z którą od kilku lat sypiałem, która była moją żoną, stanowi jedynie bardzo powierzchowną warstwę osoby o imieniu Kumiko? Tak samo jak większość tego świata stanowi królestwo meduz. Jeśli tak, czym było tych razem spędzonych sześć lat? Jakie miały znaczenie?

Gdy po raz drugi czytałem list, nagle niespodziewanie zaczął dzwonić telefon. Jego dźwięk dosłownie poderwał mnie z kanapy. Kto może dzwonić po drugiej nad ranem? Czyżby Kumiko? Nie, to nie Kumiko. Ona za nic tu nie zadzwoni. Pomyślałem, że to pewnie May Kasahara. Widziała, jak wychodzę z opuszczonego ogrodu, i dzwoni. A może Kreta Kano? Chce mi wytłumaczyć, dlaczego zniknęła. Albo ta kobieta od dziwnych telefonów. Chce mi przekazać jakąś wiadomość. Ale rzeczywiście

May Kasahara ma rację - mam wokół siebie trochę za dużo kobiet. Otarłem ręcznikiem pot z twarzy i powoli podniosłem słuchawkę.

- Halo - powiedziałem.

- Halo - usłyszałem w odpowiedzi.

Nie był to głos May Kasahary ani Krety Kano, ani tajemniczej kobiety od telefonów. Była to Malta Kano.

- Halo - powtórzyła. - Czy pan Okada? Mówi Malta Kano. Czy pamięta mnie pan?

- Oczywiście, dobrze pamiętam - powiedziałem, uspokajając bicie serca. O rany, jak mógłbym nie pamiętać.

- Bardzo przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze, jednak pozwoliłam sobie zadzwonić, nie zważając na to, że to niegrzeczne i że być może sprawię panu kłopot i pana zdenerwuję, ponieważ jest to pilna sprawa. Naprawdę bardzo przepraszam.

Powiedziałem, że nie musi się przejmować, bo i tak nie spałem i wcale mi nie przeszkadza.

## **12. O tym, co odkryłem w czasie golenia i co odkryłem po obudzeniu**

- Pozwalam sobie dzwonić o tak późnej porze, ponieważ pomyślałam, że lepiej skontaktować się z panem jak najszybciej - powiedziała Malta Kano. Słuchając jej, zawsze miałem wrażenie, że wszystkie słowa były niezwykle logicznie dobrane i uporządkowane. - Jeżeli można, chciałabym zadać panu kilka pytań. Pozwoli pan?

Ze słuchawką w ręku usiadłem na kanapie.

- Proszę. Proszę się nie krępować i pytać.

- Czy w ciągu tych dwóch dni nie wyjeżdżał pan dokądś? Dzwoniłam do pana wielokrotnie, lecz wyglądało na to, że jest pan nieobecny.

- Tak, rzeczywiście - odparłem. - Przez pewien czas nie było mnie w domu. Chciałem być sam i spokojnie się zastanowić. Muszę się zastanowić nad wieloma rzeczami.

- Oczywiście, wiem. Rozumiem, co pan czuje. Dobrze jest przenieść się w inne miejsce, kiedy chce się człowiek nad czymś głęboko zastanowić. Być może jest to zbędne pytanie, ale czy nie był pan przypadkiem strasznie daleko?

- Nie było to aż tak strasznie daleko... - odpowiedziałem wymijająco. Potem przełożyłem słuchawkę z lewej ręki do prawej.  
- Jak by to określić? Byłem w miejscu, które jest nieco oddalone, ale nie mogę dokładnie pani wyjaśnić, co to było za miejsce. Mam swoje powody, poza tym dopiero wróciłem i jestem zbyt zmęczony, żeby snuć długie opowieści.

- Oczywiście. Każdy ma swoje powody. Nie musi mi pan teraz nic tłumaczyć. Po głosie poznaję, że jest pan bardzo zmęczony. Proszę sobie tego nie brać do serca. To mnie jest przykro, że tak wypytyuję o różne rzeczy, kiedy pan jest w takim stanie. Odłóżmy tę sprawę na potem. Przez ostatnich parę dni martwiłam się po prostu, czy nie stało się panu coś złego, i nie zważając na dobre manieri, pozwoliłam sobie tak niedyskretnie zapytać.

Przytakiwałem cicho, lecz nie brzmiało to jak przytakiwanie, a raczej jak dyszenie wodnego stworzenia, któremu pomyliły się sposoby oddychania. Coś złego, pomyślałem. Które z rzeczy, jakie mi się przydarzają, są złe, a które nie? Które są słuszne, a które nie?

- Bardzo mi miło, że się pani o mnie martwi, ale obecnie wszystko jest w porządku - powiedziałem, upewniwszy się, że mój głos brzmi normalnie. - Nie uważam, że zdarzyło mi się coś dobrego, ale nie było to też nic złego.

- To świetnie.

- Jestem po prostu zmęczony - dodałem.

Malta Kano lekko odchrząknęła.

- A właśnie, panie Okada, czy w ciągu tych paru dni nie zauważył pan jakiejś dużej cielesnej zmiany?

- Chodzi pani o cielesną zmianę na moim ciele?

- Tak. O zmianę na pana ciele.

Podniosłem głowę i spojrzałem na własne odbicie w szybie okiennej od strony ogrodu. Nie zauważyłem niczego, co można by nazwać cielesną zmianą. Kiedy się dokładnie myłem pod prysznicem, też niczego nie spostrzegłem.

- Na przykład o jaką zmianę pani chodzi?

- Ja też nie wiem, co to za zmiana, ale powinna to być jakaś wyraźna zmiana, którą zauważy się na pierwszy rzut oka.

Położyłem na stole lewą dłoń i przez chwilę jej się przyglądałem. Wyglądała jak zawsze. Nie dostrzegłem na niej żadnych zmian. Nie pokrywała jej pożłota, nie wyrosła mi błona między palcami. Nie była piękna ani brzydka.

- Czy przykładem wyraźnej zmiany widocznej na pierwszy rzut oka byłoby, że wyrosły mi na plecach skrzydła albo coś w tym rodzaju?

- Może to być coś takiego - odparła Malta Kano niewzruszona. - Oczywiście to tylko jedna z możliwości.

- Oczywiście - powiedziałem.

- I co? Zauważył pan coś?

- Na razie nie ma żadnych takich zmian. Gdyby wyrosły mi na plecach skrzydła, chcąc nie chcąc, pewnie bym się zorientował.

- Prawdopodobnie tak - zgodziła się Malta Kano. - Ale proszę uważać. Nie tak łatwo się zorientować, w jakim się jest stanie. Na przykład nie można bezpośrednio zobaczyć własnej twarzy. Widzi się tylko twarz odbitą w lustrze. I tylko na podstawie doświadczenia wierzymy, że to odbicie w lustrze jest prawdziwe.

- Będę uważał - powiedziałem.

- Chciałabym pana zapytać jeszcze o jedną rzecz. Prawdę mówiąc, od pewnego czasu nie mogę się skontaktować z Kretą. Tak samo jak w pana przypadku. Może to zbieg okoliczności, ale dziwny. Pomyślałam więc, że może przypadkiem pan wie coś na ten temat. Czy tak jest?

- Chodzi o panią Kretę Kano? - zapytałem zdziwiony.

- Tak - odparła Malta Kano. - Czy niczego się pan nie domy-

śła?

Powiedziałem, że niczego się nie domyślam. Nie miałem żadnych konkretnych podstaw, by tak myśleć, ale zdawało mi się, że lepiej przez pewien czas ukryć przed Malcią Kano fakt, że dopiero co widziałem się i rozmawiałem z Kretą Kano, która od razu potem zniknęła. Jakoś miałem takie wrażenie.

- Kreta powiedziała, że martwi się, nie mogąc się z panem skontaktować, i wczoraj wieczorem wyszła z domu, mówiąc, że idzie do pana, zobaczyć, co się dzieje. Jest już późno, a ona ciągle nie wraca. I z jakiejś przyczyny nie mogę dobrze wyczuć jej obecności.

- Rozumiem. Jeżeli tu przyjdzie, powiem jej, żeby się od razu z panią skontaktowała - powiedziałem.

Malta Kano milczała przez chwilę po drugiej stronie.

- Szczerze mówiąc, martwię się o Kretę. Jak pan wie, nasza praca nie należy do zwyczajnych, lecz siostra nie jest tak jak ja obeznana z prawami, którymi rządzi się świat. Nie mówię, że nie ma daru. Posiada dar, lecz jeszcze nie całkiem do niego przywykła.

- Rozumiem.

Malta Kano ponownie umilkła. Tym razem milczała dłużej. Miałem wrażenie, że się waha.

- Halo?

- Tak, słucham - odparła.

- Jeżeli spotkam panią Kretę, na pewno przekażę jej, żeby się z panią skontaktowała - powtórzyłem.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Malta Kano, przeprosiła za telefon późno w nocy i rozłączyła się.

Po odłożeniu słuchawki jeszcze raz przyjrzałem się swemu odbiciu w szybie. Nagle zastanowiłem się, czy przypadkiem nie była to moja ostatnia rozmowa z Malcią Kano, czy teraz nie zniknie zupełnie z mojego życia. Nie pomyślałem tak z żadnego określonego powodu, po prostu nagle to poczułem.

Potem nagle przypomniałem sobie, że zostawiłem w studni

drabinkę. Lepiej ją jak najszybciej wyjąć. Jeżeli ktoś ją zauważy, mogą z tego wyniknąć kłopoty. Była też sprawa nagłego zniknięcia Kreta Kano. Ostatnio widziałem ją przy studni.

Wsadziłem do kieszeni latarkę, włożyłem buty, wyszedłem do ogrodu i znowu przeszedłem przez ogrodzenie. Doszedłem uliczką do pustego domu. Dom May Kasahary był nadal pogrążony w ciemnościach. Na zegarku dochodziła trzecia. Wszedłem do ogrodu i podążyłem prosto do studni. Tak jak przedtem drabinka była przywiązana do drzewa i zniknęła w studni. Połowa pokrywy została odsunięta.

Coś nie dawało mi spokoju, więc zajrzałem do studni i szep-tem zawołałem:

- Pani Kano! - Nie było odpowiedzi.

Wyjąłem z kieszeni latarkę i poświeciłem w dół. Światło nie dotarło do dna, lecz usłyszałem cichy głos przypominający jęk. Jeszcze raz ją zawołałem.

- Wszystko w porządku. Jestem tu - powiedziała Kreta Kano.

- Co pani robi w takim miejscu? - zapytałem cicho.

- Co robię?... Robię to samo co pan - odparła jakby podejrzliwie. - Zastanawiam się. To bardzo dobre miejsce na rozmyślanie.

- To prawda - powiedziałem. - Ale przed chwilą dzwoniła do mnie pani siostra. Strasznie się martwi pani zniknięciem. Nie wróciła pani do północy i nie może wyczuć pani obecności. Powiedziała, żebym jej od razu dał znać, jeśli panią zobaczę.

- Rozumiem. Dziękuję, że się pan kłopotał.

- Mniejsza o to. Nie wyszłaby pani stamtąd? Chciałbym z panią porozmawiać.

Kreta Kano nie odpowiedziała. Wyłączyłem latarkę i wsadziłem z powrotem do kieszeni.

- A może pan tu zejdzie? Posiedzmy tu sobie we dwoje i porozmawiajmy - odezwała się.

Pomyślałem, że może nieźle byłoby zejść znowu do studni i porozmawiać tylko we dwoje z Kretą Kano, lecz kiedy przypo-

niałem sobie pachnącą pleśnią ciemność na dnie, poczułem ciężar w żołądku.

- Przepraszam, ale nie chcę już tam schodzić. Pani też powinna niedługo wyjść. Ktoś może znowu zwinąć drabinkę i przepływ powietrza nie jest tam zbyt dobry.

- Wiem, ale chciałabym jeszcze trochę tu zostać. Proszę się o mnie nie martwić.

Skoro nie miała zamiaru wyjść, nie mogłem nic na to poradzić.

- Kiedy przed chwilą rozmawiałem z pani siostrą, nie powiedziałem, że panią tu widziałem. Dobrze zrobiłem? Jakoś mi się wydawało, że lepiej to ukryć.

- Tak, dobrze pan zrobił. Proszę jej nie mówić, że tu jestem - powiedziała. Po chwili dodała: - Nie chcę siostry martwić, ale ja też potrzebuję niekiedy czasu do zastanowienia. Wyjdę, gdy tylko skończę się zastanawiać. Dlatego chciałabym być przez pewien czas sama. Nie sprawię panu kłopotu.

Postanowiłem ją tam zostawić i na razie wrócić do domu. Mogę przyjść jutro rano i zobaczyć, jak się sprawy mają. Jeżeli się okaże, że May Kasahara znowu wyciągnie drabinkę, wtedy jakoś sobie poradzę i wydobędę Kretę Kano ze studni.

Wróciłem do domu, rozebrałem się i położyłem na łóżku. Potem wziąłem z szafki nocnej książkę i otworzyłem na stronie, na której skończyłem czytać. Zdawało mi się, że jestem zbyt zdenewrowany, żeby spać, lecz po przeczytaniu dwóch stron uświadomiłem sobie, że prawie zasypiam. Zamknąłem książkę i zgasłem światło. W chwilę potem już spałem.

Obudziłem się o pół do dziesiątej następnego ranka. Niepokoiłem się o Kretę Kano, więc nie myjąc nawet twarzy, szybko się ubrałem i poszedłem uliczką do pustego domu. Chmury wisiały nisko, poranne powietrze było pełne wilgoci i w każdej chwili mogło zacząć padać. Przy studni nie było już drabinki. Wyglądało na to, że ktoś odwiązał ją od drzewa i zabrał. Obie połówki

pokrywy szczelnie zamykały studnię. Leżały na nich kamienie. Zdjąłem jedną połówkę, zajrzałem do studni i zawołałem Krete Kano, lecz nie było odpowiedzi. Mimo to zawołałem jeszcze kilka razy. Pomyślałem, że mogła zasnąć, więc wrzuciłem kilka małych kamyków. Na dnie studni już nikogo nie było. Pewnie Kreta Kano wyszła dziś rano na górę, odwiązała drabinkę i poszła. Nałożyłem z powrotem pokrywę.

Wyszedłem z ogrodu opuszczonego domu, oparłem się o ogrodzenie i przez pewien czas patrzyłem na dom May Kasahary. Być może jak zawsze mnie zauważy i wyjdzie. Czekałem przez chwilę, lecz nie wyszła. Wokoło panowała cisza i spokój. Nie było żywego ducha i nie dobiegały żadne dźwięki. Nie śpiewały nawet cykady. Powoli uderzałem w ziemię czubkiem buta. Czułem jakiś niepokój, coś nieznanego - w czasie mojego pobytu w studni jakaś nowa rzeczywistość wyparła starą i zajęła jej miejsce. Miałem to wrażenie od czasu wyjścia ze studni.

Wróciłem uliczką do domu, w łazience umyłem zęby i ogoliłem się. Twarz pokrywał mi kilkuniedniowy czarny zarost. Wyglądałem jak świeżo uratowany rozbitek. Po raz pierwszy w życiu miałem taki długi zarost. Pomyślałem, że mógłbym go zostawić i zapuścić, lecz w końcu postanowiłem zgolić. Zdawało mi się, że lepiej wyglądać tak, jak przed odejściem Kumiko.

Położyłem na twarzy gorący ręcznik, potem pokryłem ją grubą warstwą kremu do golenia i zacząłem powoli i ostrożnie golić, nie chcąc się zaciąć. Ogoliłem brodę, lewy policzek, potem prawy. Spojrzałem w lustro i nagle oniemiałem. Na prawym policzku zobaczyłem siną plamę. Najpierw pomyślałem, że coś mi się tam przyczepiło. Zmyłem resztki kremu do golenia, starannie umyłem policzek mydłem i mocno potarłem ręcznikiem, lecz plama nie zeszła. Nie wyglądało na to, że zejdzie. Zdawało się, że głęboko wniknęła w skórę. Dotknąłem jej palcem. Skóra zdawała się tam nieco cieplejsza w porównaniu z resztą policzka, ale poza tym nic szczególnego nie wyczułem. Było to z n a m i ę. W miejscu, w którym poczułem w studni gorąco, zrobiło mi



się znamię.

Przysunąłem twarz do lustra i dokładnie je przestudiowałem. Znajdowało się trochę na zewnątrz prawej kości policzkowej i było duże, wielkości rączki niemowlęcia. Sine, prawie czarne, przypominało kolorem granatowy atrament do piór Mont Blanc, którego zawsze używała Kumiko.

Pierwsza możliwość, jaka mi przyszła do głowy, to jakieś uczulenie na skórze. Może zareagowałem na coś w studni, tak jak ludzie reagują na lakę. Ale na co mogłem zareagować na dnie studni? Oświetliłem latarką caluteńkie niewielkie dno. Była tam tylko ziemia i betonowa cembrowina. Poza tym z powodu alergii nie robi się takie wyraźne znamię.

Przez pewien czas byłem w stanie lekkiej paniki, jakby uderzony wielką falą, oszołomiony, zdezorientowany. Zrzuciłem ręcznik na podłogę, przewróciłem kosz na śmieci, uderzyłem o coś stopą, bez sensu mamrotałem. Potem uspokoiłem się, oparłem o umywalkę i na zimno zastanowiłem, co z tym fantem zrobić.

Postanowiłem trochę poczekać i zobaczyć, co się stanie. Do lekarza mogę iść później. Może to chwilowe i jak dobrze pójdzie, zniknie niedługo jak uczulenie na lakę. Powstało w ciągu paru dni, więc może zniknie bez śladu. Poszedłem do kuchni i zrobiłem kawę. Byłem głodny, lecz kiedy myślałem o zjedzeniu czegoś konkretnego, apetyt zniknął jak fatamorgana.

Położyłem się na kanapie i nieruchomo wpatrywałem w deszcz, który właśnie się rozpadał. Co pewien czas chodziłem do łazienki i spoglądałem w lustro, lecz nie dostrzegałem żadnych zmian w znamieniu. Zabarwiło się zadziwiająco intensywnym sinym kolorem.

Jedyna przyczyna pojawienia się znamienia, jaka przychodziła mi do głowy, miała związek z przejściem przez ścianę. Stało się to nad ranem w studni, w tej przypominającej sen wizji, gdy pociągnęła mnie za rękę kobieta od telefonów. Uciekając przed niebezpiecznym kimś, kto otworzył drzwi i wszedł do pokoju,

chwyciła mnie za rękę i poprowadziła do ściany. Przechodząc przez ścianę, poczułem na górze policzka wyraźne gorąco. Dokładnie tam, gdzie było znamię. Nie umiałem oczywiście wytłumaczyć, jaki był związek przyczynowo-skutkowy między nim a przechodzeniem przez ścianę.

Mężczyzna bez twarzy powiedział mi w holu hotelowym: „Teraz nie jest odpowiedni czas. Nie wolno panu tu teraz być”. Ostrzegł mnie, lecz ja zignorowałem ostrzeżenie i poszedłem dalej. Byłem zły na Noboru Watayę, na to, że czuję się zagubiony. I może w rezultacie otrzymałem to znamię. A może to piętno, które wypaliła na mnie ta dziwna wizja czy sen? Za pomocą piętna ktoś chce mi powiedzieć: to nie jest zwykły sen. To się naprawdę zdarzyło. I musisz o tym pamiętać za każdym razem, gdy spoglądasz w lustro.

Pokręciłem głową. Za wiele rzeczy nie daje się wytłumaczyć. Jasne jest tylko jedno, a mianowicie, że nic nie jest dla mnie jasne. Głowa znowu zaczęła pulsować tępym bólem. Nie mogłem już więcej myśleć. Nie chciało mi się nic robić. Pijąc wystygłą kawę, znowu wpatrywałem się w deszcz.

Po dwunastej zadzwoniłem do wuja i porozmawialiśmy trochę o niczym. Czułem, że jeżeli z kimś - wszystko jedno z kim - nie rozmawiam, oddalę się jeszcze bardziej od rzeczywistego świata, zostanę od niego odcięty. Wuj zapytał, jak się ma Kumiko, a ja powiedziałem, że dobrze. Teraz wyjechała w delegację. Mogłem mu szczerze o wszystkim powiedzieć, ale opowiedzenie tego ciągu wydarzeń od początku i po kolei trzeciej osobie było praktycznie niemożliwe. Sam dobrze wszystkiego nie rozumiałem, więc trudno, żebym umiał wytłumaczyć to komuś innemu. Postanowiłem przez pewien czas ukryć przed wujem prawdę.

- Wujek kiedyś mieszkał w tym domu, prawda? - zapytałem.

- Tak, myślę, że łącznie przez sześć czy siedem lat - powiedział. - Poczekaj... kupiłem dom, mając trzydzieści pięć lat i mieszkałem tam do czasu skończenia czterdziestu dwóch, czyli si-

edem lat. Potem się ożeniłem i przeprowadziłem się do tego mieszkania. Przedtem cały czas mieszkałem tam sam.

- Chciałbym o coś zapytać. Czy w tamtym czasie nie zdarzyło się wujkowi nic złego?

- Nic złego? - powtórzył wuj ze zdziwieniem.

- Na przykład chorował wujek albo rozstał się z kobietą... coś takiego.

Wuj roześmiał się z rozbawieniem.

- Rzeczywiście rozstałem się z kobietą, kiedy tam mieszkałem, ale to samo zdarzało mi się też w innych domach, więc nie mogę powiedzieć, że to było coś złego. Poza tym szczerze mówiąc, nie zależało mi na niej tak bardzo, żebym po zerwaniu cierpiał. Choroby... nie pamiętam, żebym chorował. Coś mi wyrosło z tyłu na szyi i wycięli mi, to wszystko. Fryzjer powiedział, że lepiej na wszelki wypadek wyciąć, więc poszedłem do lekarza, ale to nie było nic wielkiego. To była moja pierwsza i ostatnia wizyta u lekarza w czasie, gdy tam mieszkałem. Ma człowiek niemal ochotę poprosić o zwrot pieniędzy za ubezpieczenie.

- Nie ma wujek żadnych nieprzyjemnych wspomnień?

- Nie - odpowiedział po krótkim namyśle. - Dlaczego nagle pytasz o takie rzeczy?

- To nic ważnego. Prawdę mówiąc, Kumiko była ostatnio u wróżki i ta jej coś nagadała o rozkładzie pokojów w domu - skłamałem. - Ja się takimi rzeczami nie przejmuję, ale Kumiko kazała mi wujka zapytać.

- Hm... nie mam pojęcia o rozkładach pokojów i tego typu rzeczach, nie wiem, jaki jest dobry, a jaki zły, ale mieszkałem tam i wydaje mi się, że nie ma w tym domu żadnych problemów. Z domem Miyawakich to inna sprawa, ale mój jest od niego dosyć daleko.

- Kto tu mieszkał, kiedy wujek się wyprowadził?

- Po tym, jak się wyprowadziłem, zdaje się, przez trzy lata mieszkał nauczyciel miejskiego liceum z rodziną, a następnie

przez pięć lat młode małżeństwo. Ci młodzi prowadzili jakieś interesy. Nie pamiętam, co to było. No, ale nie wiem, czy żyło im się tam przyjemnie i szczęśliwie, bo zarządzał tym agent nieruchomości. Nigdy ich nie spotkałem i nie wiem, dlaczego się wyprowadzili, lecz nie słyszałem o niczym szczególnie złym. Myślałem, że zrobiło im się tam za ciasno i zbudowali sobie gdzieś własny dom.

- Ktoś mi powiedział, że w tym miejscu jest zablokowany nurt. Czy z czymś się to wujkowi kojarzy?

- Nurt jest zablokowany? - powtórzył wuj.

- Ja też nie bardzo wiem, o co chodzi, ale ktoś mi to powiedział.

Wuj zamyślił się przez chwilę.

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Ale może niedobrze, że zagrodzili z dwóch stron tamtą uliczkę? Jak się zastanowić, to uliczka bez wejścia i wyjścia jest dość dziwna, bo podstawowym prawem, na którym opierają się rzeki i drogi, jest to, że jest w nich przepływ, nurt. Jak się zablokuje, powstaje zastój.

- Aha - powiedziałem. - Chciałbym jeszcze o jedną rzecz zapytać. Czy słyszał wujek głos ptaka nakręcacza?

- Ptaka nakręcacza? - powtórzył wuj. - Co to takiego?

Wyjaśniłem krótko, czym był ptak nakręcacz. Przysiadł na drzewie w ogrodzie i raz dziennie wydawał dźwięk podobny do odgłosu nakręcanej sprężyny.

- Nie wiem. Nigdy go nie widziałem ani nie słyszałem. Lubię ptaki i od dawna już uważnie się im przysłuchuję, ale pierwsze słyszę o takim ptaku. Czy to ma jakiś związek z domem?

- Nie, nie ma szczególnego związku. Zapytałem tylko, bo myślałem, że wujek zna tego ptaka.

- Jeśli chcesz się czegoś dokładnie dowiedzieć o studni albo o ludziach, którzy tam po mnie mieszkali, idź do agencji nieruchomości przed dworcem. Nazywa się „Najlepsze nieruchomości Setagaya”. Podaj moje nazwisko i wypytaj o wszystko dziadka nazwiskiem Ichikawa. Przez cały czas zarządzał wynajmem do-

mu. Jest tam od bardzo dawna, dlatego może ci dużo różnych rzeczy powiedzieć. Od tego dziadka dowiedziałem się wszystkiego o domu Miyawakich. Lubi opowiadać, więc spotkaj się z nim i pogadaj.

- Dziękuję, tak zrobię - powiedziałem.

- A właśnie, jak idzie szukanie pracy? - zapytał wuj.

- Jeszcze nie znalazłem. Szczerze mówiąc nie szukam z wielkim zapałem. Teraz Kumiko pracuje, ja zajmuję się domem i jakoś sobie radzimy.

Zdawało się, że wuj się nad czymś zastanawia.

- No, jak nie będziesz sobie mógł poradzić, powiedz mi. Może będę mógł coś dla ciebie zrobić.

- Dziękuję. Jak będę w kłopotcie, poradzę się wujka - powiedziałem i zakończyłem rozmowę.

Pomyślałem, że zadzwonię do agencji i zapytam o historię domu i ludzi, którzy tu przede mną mieszkali, ale pomysł wydał mi się głupi i w końcu zrezygnowałem.

Po południu deszcz ciągle jeszcze padał. Zmoczył dachy, drzewa w ogrodach i ziemię. Na lunch zjadłem grzanki i zupę z puszek. Spędziłem całe popołudnie na kanapie. Zamierzałem iść po zakupy, ale na myśl o znamieniu jakoś mi się odechciało. Żałowałem, że zamiast zapuścić, zgolilem zarost. W lodówce miałem jeszcze trochę jarzyn, a na półce stało kilka puszek z jedzeniem. Były też ryż i jajka. Jeśli się tym zadowolę, wystarczy mi na jakieś dwa czy trzy dni.

Leżąc na kanapie, prawie o niczym nie myślałem. Czytałem książkę, słuchałem taśm z muzyką klasyczną albo patrzyłem bezmyślnie na padający w ogrodzie deszcz. Może dlatego, że przez długi czas skupiałem się na dnie czarnej studni, teraz moja zdolność myślenia była równa zeru. Gdy próbowałem się nad czymś poważnie zastanowić, w głowie pojawiał się tępy ból, jakby ścisłano ją w miękkim imadle. A kiedy starałem się coś sobie przypomnieć, wszystkie mięśnie czy nerwy zdawały się

zgrzytać. Czulem się jak Blaszyński Drwal z Czarodzieja z krainy Oz, który rdzewieje, bo mu zabrakło oleju.

Co pewien czas chodziłem do łazienki, stawałem przed lustrem i sprawdzałem stan znamienia, lecz nie było w nim żadnych zmian. Nie powiększało się ani nie malało. Kolor też był zupełnie taki sam. Zauważyłem, że zapomniałem się ogolić pod nosem. Kiedy po ogoleniu prawego policzka zobaczyłem znamię, wpadłem w popłoch i zapomniałem ogolić resztę. Znow umyłem twarz gorącą wodą, posmarowałem kremem do golenia i usunąłem resztę zarostu.

Gdy tak wielokrotnie przeglądałem się w lustrze, przypomniałem sobie słowa Malty Kano. Widzi się jedynie twarz odbitą w lustrze. Tylko na podstawie doświadczenia wierzymy, że odbicie jest prawdziwe. Proszę uważać. Na wszelki wypadek poszedłem do sypialni i przejrzałem się w długim lustrze, przed którym Kumiko przymierała zwykle ubrania. Znamię jednak było. Lustro nie miało z tym nic wspólnego.

Oprócz znamienia nie czulem żadnych zmian na ciele. Zmierzyłem temperaturę, lecz okazała się normalna. Byłem w zupełnie niezłym stanie, jeśli nie liczyć niewielkiego - jak na trzy dni spędzone w studni - apetytu i lekkich mdłości, które mnie czasem ogarniały - prawdopodobnie pozostałości tych, które czulem na dnie studni.

Spędziłem spokojne popołudnie. Telefon ani razu nie zadzwonił i nie przyszedł żaden list. Nikt nie przechodził uliczką i nie słyzałem głośów z sąsiedztwa. Po ogrodzie nie chodziły koty, nie przylatywały i nie śpiewały ptaki. Czasami odezwała się cykada, lecz nie tak energicznie jak zazwyczaj.

Przed siódmą trochę zgłodniałem, więc sporządziłem prosty posiłek z konserw i jarzyn. Posłuchałem od dawna niesłyszanych wiadomości radiowych, ale na świecie nic specjalnego się nie wydarzyło. Jakiś samochód, próbując bezskutecznie wyprzedzić kogoś na autostradzie, uderzył o mur i zginęło kilku jadących nim młodych ludzi. Toczyło się śledztwo przeciwko dy-

rektorowi i pracownikowi filii jednego z dużych banków w związku z nielegalnymi pożyczkami. Trzydziestosześcioletnia gospodyni domowa z Machi-dy została na ulicy zamordowana młotkiem przez jakiegoś młodego człowieka. Wszystko były to wydarzenia z jakiegoś innego, dalekiego świata. W moim świecie padał tylko deszcz w ogrodzie. Cicho i skrycie.

Gdy zegar wskazał dziewiątą, przeniosłem się z kanapy na łóżko i po przeczytaniu rozdziału książki zgasilem lampę i usnąłem.

Obudziłem się nagle z jakiegoś snu. Nie pamiętałem jego treści, ale musiał mnie zdenerwować, ponieważ waliło mi serce. W pokoju było jeszcze zupełnie ciemno. Przez pewien czas nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem. Dość dużo czasu minęło, zanim sobie uświadomiłem, że jestem w domu, we własnym łóżku. Na budziku było po drugiej. W studni spałem jak popadło i dlatego teraz śpię i budzę się w takim dziwnym cyklu. Kiedy rozjaśniło mi się w głowie, zachciało mi się siusiu. To przez piwo, które wypilem przed zaśnięciem. Próbowalem to zignorować i od razu z powrotem usnąć, lecz nie było rady. Musiałem wstać. Uniosłem się na łóżku, a wtedy ręką dotknąłem kogoś leżącego obok. Nie przestraszyłem się szczególnie, dlatego że zawsze spała tam Kumiko i byłem przyzwyczajony do tego, że ktoś obok śpi, lecz wtedy nagle sobie przypomniałem, że nie ma już Kumiko. Kumiko odeszła. Śpi tu obok mnie ktoś obcy.

Bez namysłu zapaliłem nocną lampkę. Była to Kreta Kano.

### **13. Dalszy ciąg opowieści Kreta Kano**

Kreta Kano była zupełnie naga. Leżała zwrócona ku mnie, niczym nieokryta. Widać było kształtne piersi, małe różowe sutki. Czarne włosy łonowe w dole płaskiego brzucha przypominały zacieniowany fragment rysunku. Miała białą i lśniąca, jakby nową skórę. Zaskoczony, przyglądałem się jej ciału. Spała ze złączonymi kolanami i ugiętymi nogami. Włosy opadły jej na twarz i w połowie ją przesłoniły, więc oczy były niewidoczne. Musiała

bardzo głęboko spać, ponieważ nawet nie drgnęła, gdy zapaliłem światło, a jej oddech był spokojny i równomierny. Zupełnie odechciało mi się spać. Wyjąłem z szafy cienką letnią kołdrę i przykryłem Kretę Kano. Potem zgasilem lampkę, poszedłem w pizamie do kuchni i usiadłem na chwilę przy stole.

Przypomniałem sobie o znamieniu. Dotknąłem policzka i poczułem, że ciągle jest w tym miejscu trochę cieplejszy. Nie było sensu specjalnie iść do lustra. Znamię nie zniknęło. Nie wyglądało na coś, co tak po prostu zniknie w ciągu nocy. Może rano lepiej poszukać w książce telefonicznej jakiegoś gabinetu dermatologicznego położonego w pobliżu. Ale co właściwie powiem, kiedy lekarz zapyta, czy domyślam się przyczyny powstania znamienia? Przez prawie trzy dni byłem w studni. Nie, nie z powodu pracy. Chciałem tylko trochę pomyśleć. Dno studni wydawało mi się dobrym miejscem na przemyślenia. Nie, nie wziąłem ze sobą jedzenia. Nie, to nie była moja studnia, a studnia przy opuszczonym domu w sąsiedztwie. Wszedłem bez pozwolenia.

Westchnąłem. O rany, przecież nie mogę tego powiedzieć.

Oparłem łokcie na stole i siedziałem, nie myśląc o niczym, gdy dziwnie wyraźnie stanęło mi przed oczami nagie ciało Krety Kano. Śpi smacznie w moim łóżku. Przypomniałem sobie, jak we śnie miałem stosunek z Kretą Kano ubraną w sukienkę Kumiko. Pamiętałem jeszcze dokładnie dotyk jej skóry i ciężar ciała. Jeżeli nie zastanowię się krok po kroku, gdzie kończy się rzeczywistość i zaczyna sfera nierealna, nie będę w stanie ich odróżnić. Ściana, która oddziela te dwie sfery, zaczęła się rozmywać, a przynajmniej w moich wspomnieniach rzeczywistość i nierealność były prawie równie ważne i żywe, współlegzystowały. Miałem stosunek z Kretą Kano, a jednocześnie nie miałem.

Chcąc odpędzić te powikłane seksualne wizje, poszedłem do łazienki i umyłem twarz zimną wodą. Potem sprawdziłem, co się dzieje z Kretą Kano. Spała ciągle głęboko, zsunąwszy do bi-



oder kołdrę, którą ją przykryłem.

Z miejsca, gdzie stałem, widziałem jedynie jej plecy. Przypomniały mi się widziane ostatniego dnia plecy Kumiko. Właściwie Kreta Kano miała figurę zadziwiająco podobną do figury mojej żony. Do tej pory tego nie zauważyłem, ponieważ miały zupełnie inne fryzury, inny gust w doborze stroju i nosiły inny makijaż, lecz były mniej więcej tego samego wzrostu i chyba mniej więcej tyle samo ważyły. Pewnie nosiły nawet ten sam rozmiar.

Zabrałem swoją kołdrę, poszedłem do dużego pokoju, położyłem się na kanapie i otworzyłem książkę. Niedawno zacząłem czytać pożyczoną z biblioteki książkę historyczną. Opowiadała o japońskich rządach w Mandżurii przed wojną i o bitwie z armią radziecką pod Nomonhan. Po usłyszeniu opowieści porucznika Mamii zainteresowała mnie sytuacja w Chinach w tamtym okresie, poszedłem więc do biblioteki i pożyczyłem kilka książek. Po dziesięciu minutach czytania szczegółowych historycznych opisów nagle znowu poczułem się senny. Położyłem książkę na podłodze i zamknąłem oczy, chcąc im dać trochę odpocząć. Zasnąłem jak kamień, nie gasząc nawet światła.

Obudziły mnie odgłosy dobiegające z kuchni. Poszedłem tam i znalazłem Kretę Kano przygotowującą śniadanie. Ubrana była w biały podkoszulek i niebieskie szorty. Obie rzeczy należały do Kumiko.

- Gdzie się podziało pani ubranie? - zapytałem, stojąc w drzwiach kuchni.

- Och, przepraszam. Spał pan, więc pozwoliłam sobie pożyczyć ubranie małżonki. Wiedziałam, że to bezczelność, ale nie miałam co na siebie włożyć - powiedziała Kreta Kano, odwracając ku mnie głowę.

Nie wiadomo, kiedy wróciła do makijażu i fryzury z lat sześćdziesiątych. Brakowało tylko sztucznych rzęs.

- To mi specjalnie nie przeszkadza, pytam tylko, co się stało z

pani ubraniem?

- Zgubiłam je - powiedziała po prostu.

- Zgubiła pani?

- Tak, owszem. Gdzieś zgubiłam.

Wszedłem do kuchni, oparłem się o stół i patrzyłem, jak szykuje omelet. Zręcznie rozbiła jajka, przyprawiła, szybko rozmieszała.

- To znaczy, że przyszła pani tu naga?

- Tak, owszem - odpowiedziała, jakby to było oczywiste. - Zupełnie naga. Przecież pan wie, ponieważ mnie pan przykrył.

- Rzeczywiście tak było - wymamrotałem. - Próbuję się dowiedzieć, gdzie i jak zgubiła pani ubranie i jak naga pani potem tu przyszła.

- Tego nie wiem - odparła, potrząsając patelnią i formując okrągły omelet.

- Tego pani nie wie - powtórzyłem.

Kreta Kano wyłożyła omelet na talerze i ozdobiła go gotowanym brokułem. Potem zrobiła grzanki i postawiła na stole razem z kawą. Ja wyjąłem masło, sól i pieprz. Zjedliśmy śniadanie, siedząc naprzeciw siebie jak para nowożeńców.

Nagle przypomniałem sobie o znamieniu na twarzy. Kreta Kano wcale nie zdziwiła się na mój widok i o nic nie zapytała. Na wszelki wypadek dotknąłem twarzy. Ze znamienia ciągle emanowało ciepło.

- Boli to pana?

- Nie, nie boli - odparłem.

Kreta Kano przyglądała mi się przez chwilę.

- Wygląda na znamię.

- Ja też uważam, że wygląda na znamię - powiedziałem. - Właśnie się waham, czy iść do lekarza.

- Mam wrażenie, że lekarz sobie z tym nie poradzi.

- Może ma pani rację, ale nie mogę przecież tego tak zostawić.

Kreta Kano rozmyślała nad czymś przez chwilę z widelcem w

dłoni.

- Jeżeli musi pan iść po zakupy albo ma coś do załatwienia, mogę to dla pana zrobić. Jeśli nie ma pan ochoty wychodzić, może pan zostać w domu.

- Dziękuję za ofertę, ale pani ma na pewno swoje sprawy, a ja przecież nie mogę wiecznie siedzieć w domu.

Kreta Kano zamyśliła się na chwilę.

- Może Malta Kano będzie coś na ten temat wiedziała. Może wiedzieć, jak sobie z czymś takim poradzić.

- Czy mogłaby się pani z nią skontaktować?

- Malta Kano sama się kontaktuje, z nią się nie można skontaktować

- powiedziała i ugryzła kawałek brokołu.

- Ale pani może się chyba z nią skontaktować?

- Oczywiście, że mogę. Jesteśmy przecież siostrami.

- To czy mogłaby pani przy okazji zapytać o moje znanie? Albo proszę ją poprosić, żeby się ze mną skontaktowała.

- Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe. Nie mogę pytać siostry o sprawę kogoś innego. Taką mamy zasadę.

Westchnąłem, smarując grzanekę masłem.

- To znaczy, że jeżeli mam sprawę do Malty Kano, muszę czekać, aż się ze mną skontaktuje?

- Tak, właśnie tak jest - powiedziała Kreta Kano i skinęła głową. - Ale uważam, że jeżeli to znanie pana nie boli ani nie swędzi, powinien pan na pewien czas o nim zapomnieć. Moim zdaniem wcale nie przeszkadza, więc i pan nie powinien się nim przejmować. Czasami ludziom zdarzają się takie rzeczy.

- Hm, ciekawe, czy rzeczywiście tak jest?

Potem przez pewien czas jedliśmy w milczeniu śniadanie. Od dawna nie jadłem z nikim posiłku i do tego wszystko było bardzo smaczne. Powiedziałem jej to i wydawała się zadowolona.

- A propos pani ubrania - zacząłem.

- Na pewno było panu przykro, że bez pytania włożyłam ubranie małżonki? - zapytała zmartwionym głosem.

- Nie, nie o to chodzi. Wcale mi nie przeszkadza, że nosi pani ubranie Kumiko. Zostawiła je i może sobie pani nosić, co tylko pani chce. Mnie niepokoi to, gdzie i jak zgubiła pani ubranie.

- Nie tylko ubranie, buty też.

- Jak pani to wszystko zgubiła?

- Nie pamiętam - odparła Kreta Kano. - Pamiętam tylko, że kiedy się obudziłam, leżałam naga w pana łóżku. Nie pamiętam nic, co się wcześniej zdarzyło.

- Zeszła pani do studni, prawda? Po moim odejściu.

- To pamiętam. I tam usnęłam. Ale nie pamiętam, co było dalej.

- To znaczy, że zupełnie nie pamięta pani, jak wyszła pani z tej studni?

- Nic nie pamiętam. Moje wspomnienia urywają się na pewien czas - powiedziała, pokazując w powietrzu około dwudziestocentymetrowy odcinek. Nie byłam pewien, jak długi czas miał reprezentować.

- Nie pamięta pani też, co się stało z drabinką przy studni? Bo zniknęła.

- Nic nie wiem o drabince. Nie pamiętam nawet, czy wyszłam stamtąd po drabince.

Przez chwilę wpatrywałem się w filiżankę z kawą.

- Może mi pani pokazać podeszwy stóp? - zapytałem.

- Tak, oczywiście - odrzekła Kreta Kano. Usiadła na krześle obok mnie, wyciągnęła przed siebie nogi i pokazała mi podeszwy obu stóp. Ująłem jej kostki i zbadałem podeszwy. Bardzo ładne podeszwy, wspaniale uformowane, bez śladu skaleczeń czy błota.

- Nie ma skaleczeń ani błota - powiedziałem.

- Aha - odparła Kreta Kano.

- Wczoraj cały dzień padał deszcz, jeżeli zgubiła pani buty i przyszła tu boso, powinna pani mieć błoto na podeszwach. I ponieważ musiała pani przyjść od strony ogrodu, na werandzie też powinny być ślady błota, prawda? Lecz nogi ma pani czyste, a

na werandzie nie ma nigdzie śladów błota.

-Aha.

- To znaczy, że nie przyszła pani boso.

Kreta Kano przechyliła głowę, jakby moje słowa zrobiły na niej wrażenie.

- Myślę, że to, co pan mówi, jest logiczne i słuszne.

- Może jest logiczne i słuszne, ale donikąd nas jeszcze nie doprowadziło - powiedziałem. - Gdzie mogła pani zgubić ubranie i buty i jak pani się tu znalazła?

Kreta Kano pokręciła głową.

- Sama nie mam pojęcia.

Stała przy zlewie, z zapalem zmywając naczynia, a ja zastanawiałem się, siedząc przy stole. Oczywiście ja też nie miałem pojęcia.

- Często się to pani zdarza? Że nie pamięta pani, że gdzieś była? - zapytałem.

- Nie jest to pierwszy raz. Niezbyt często zdarza się, że nie pamiętam, gdzie byłam i co robiłam, ale czasami tak jest. Raz już zgubiłam ubranie, lecz teraz po raz pierwszy zgubiłam wszystko: ubranie i buty.

Zakręciła wodę i wytarła ściereczką stół.

- Pani Kano - powiedziałem. - Nie słyszałem jeszcze zakończenia historii, którą pani poprzednio opowiadała. Wtedy nagle zniknęła pani w trakcie opowieści. Pamięta pani? Jeżeli można, chciałbym ją usłyszeć do końca. Co się stało po tym, jak złapali panią gangsterzy i zaczęła pani dla nich pracować jako prostytutka? Poznała pani Noboru Watayę i poszła z nim do łóżka?

Kreta Kano spojrzała na mnie, opierając się o zlew. Krople wody powoli spływały jej po palcach i spadały na podłogę. Pod białym podkoszulkiem rysowały się sutki. Na ich widok wyraźnie przypomniałem sobie widziane w nocy nagie ciało.

- Dobrze. Opowiem panu o wszystkim, co się potem stało.

Znowu usiadła naprzeciw mnie.

- Wtedy przerwałam nagle i wyszłam dlatego, że nie byłam

jeszcze przygotowana na mówienie o tym. Zaczęłam mówić, bo sądziłam, że powinnam panu jak najszczerzej powiedzieć, co się naprawdę stało, lecz w końcu nie zdobyłam się na opowiedzenie wszystkiego. Musiał się pan zdziwić, że tak nagle zniknęłam.

Patrzyła na mnie, opierając dłonie o stół.

- No tak, zdziwiłem się, ale nie była to najdziwniejsza z rzeczy, które ostatnio mi się zdarzyły - odpowiedziałem.

Jak już wcześniej panu mówiłam, ostatnim klientem, którego przyjąłem jako prostytutka, prostytutka ciała, był pan Noboru Wataya. Kiedy spotkałam go po raz drugi w związku z pracą Malty Kano, od razu go sobie przypomniałam. Nie mogłabym zapomnieć, nawet gdybym chciała. Nie wiem jednak, czy pan Noboru Wataya mnie pamiętał. Jest człowiekiem, który nie okazuje uczuć.

Sądzę, że lepiej opowiadać po kolei. Zacznę od tego, jak w roli prostytutki przyjąłem pana Noboru Watayę jako klienta. Zdarzyło się to sześć lat temu.

Jak wcześniej wspomniałam, moje ciało nie czuło w tamtym okresie żadnego bólu. Przestałam odczuwać nie tylko ból, ale również jakiegokolwiek doznania zmysłowe. Żyłam w bezdennej nieczułości. Oczywiście nie znaczy to, że w ogóle nie czułam ciepła, zimna, bólu, cierpienia, lecz wszystkie te wrażenia znajdowały się w jakimś dalekim, niemającym ze mną związku świecie. Dlatego też nie czułam żadnego oporu przed odbywaniem stosunków seksualnych z mężczyznami dla pieniędzy. Bez względu na to, co mi robili, moje odczucia nie były moimi własnymi odczuciami, ponieważ pozbawione czucia ciało nie było moim własnym ciałem. Wtedy wciągnięta już zostałam do sieci prostytucji prowadzonej przez gangsterów. Kazali mi spać z mężczyznami, więc robiłam to, a kiedy dawali mi pieniądze, przyjmowałam je. Przedtem opowiedziałam panu do tego miejsca, prawda?

Przytaknąłem.

- Tamtego dnia polecono mi iść na szesnaste piętro hotelu w

centrum miasta. Pokój był wynajęty na nazwisko Wataya, które jest nazwiskiem dość rzadko spotykanym. Zapukałam do drzwi, weszłam i zobaczyłam mężczyznę siedzącego na kanapie. Czytał książkę, popijając zamówioną do pokoju kawę. Ubrany był w zieloną koszulkę polo, brązowe bawełniane spodnie. Miał krótkie włosy i okulary w brązowych oprawkach. Na niskim stoliku przed nim stał dzbanek z kawą, filiżanka, leżała też książka. Musiał czytać w wielkim skupieniu, ponieważ w jego oczach widoczne było jeszcze podniecenie. Twarz nie była zbyt charakterystyczna, jedynie oczy zdawały się nienaturalnie ożywione. Na ich widok pomyślałam, że przez pomyłkę weszłam do innego pokoju, lecz był to właściwy pokój. Mężczyzna powiedział, żebyśmy weszły i zamknęły drzwi na klucz.

Potem, nie ruszając się z kanapy, w milczeniu obejrzał moje ciało. Od stóp do głów. Kiedy wchodzę do pokoju, większość mężczyzn omiata wzrokiem moją twarz i ciało. Przepraszam, że pytam, ale czy korzystał pan kiedyś z usług prostytutki?

Powiedziałem, że nie.

- To przypomina oglądanie towaru. Szybko przywyka się do takich spojrzeń. Ponieważ ludzie płacą za ciało, naturalne jest, że chcą sprawdzić jakość towaru. Jednak spojrzenie tego mężczyzny było inne. Zdawało się, że patrzy przez moje ciało na coś znajdującego się po drugiej stronie. Pod jego wzrokiem poczułam się niezręcznie, jakbym była na pół przezroczysta.

Musiałam być tym oszołomiona i upuściłam na podłogę torebkę. Rozległ się cichy odgłos, lecz dopiero po chwili zauważyłam, że ją upuściłam, ponieważ byłam jakby trochę nieprzytomna. Schyliłam się i podniosłam torebkę. Kiedy upadła, otworzyła się klamerka i ze środka wyleciało na podłogę kilka kosmetyków. Podniosłam ołówek do brwi, szminkę, małą buteleczkę wody toaletowej i włożyłam z powrotem do torebki. On cały czas tak samo na mnie patrzył.

Kiedy zebrałam wszystko z podłogi i wrzuciłam do torebki, powiedział mi, że mam się rozebrać. - Czy mogłabym przedtem

wziąć prysznic? Spociłam się - zapytałam. Był to bardzo gorący dzień i spociłam się, jadąc pociągiem i idąc ze stacji do hotelu.

Powiedział, że pot mu nie przeszkadza i że mam się szybko rozebrać, bo nie ma czasu.

Kiedy już byłam naga, kazał mi się położyć na brzuchu na łóżku. Posłuchałam go. Kazał mi leżeć bez ruchu, zamknąć oczy i nie odzywać się niepytana.

Usiadł koło mnie całkowicie ubrany, lecz tylko siedział, nawet mnie nie tknął. Patrzył nieporuszony na moje ciało, a ja leżałam z twarzą w dół. Na szyi, na plecach, na pośladkach i nogach czułam jego przenikliwe spojrzenie. Myślę, że patrzył tak na mnie przez jakieś dziesięć minut. Zastanawiałam się, czy on przypadkiem nie jest impotentem. Czasami trafiają się tacy klienci. Płacą prostytutce, każą jej się rozebrać i tylko patrzą. Są też tacy, którzy każą się rozebrać, a potem przypatrując się, sami sobie radzą. Różni ludzie z różnych powodów płacą prostytutkom, więc pomyślałam, że on może też do takich należeć.

Wkrótce jednak wyciągnął rękę i zaczął mnie dotykać. Jego dziesięć palców poruszało się powoli od ramion, po plecach, z pleców do bioder w poszukiwaniu czegoś. Nie była to tak zwana gra wstępna ani masaż. Jego palce poruszały się uważnie, zupełnie jakby szukały drogi na mapie. Zdawało się, że dotykając mnie, ciągle się nad czymś zastanawia. Nie po prostu rozmyśla, a poważnie, w skupieniu zastanawia.

Tych dziesięć palców wędrowało bez celu w różnych kierunkach, by nagle się zatrzymać i długo pozostać w tym samym miejscu. Zdawało się, że palce błędzą, a potem nabierają pewności. Rozumie pan? Tak jakby każdy z dziesięciu palców żył własnym życiem, miał wolną wolę i myślał. Było to bardzo dziwne wrażenie. Nieomal wyprowadzało mnie z równowagi.

Mimo to jednak dotyk tych palców mnie podniecał. To moje pierwsze takie doświadczenie. Zanim zostałam prostytutką, stosunki seksualne były dla mnie jedynie źródłem bólu, od samego myślenia o seksie ogarniał mnie strach przed bólem, lecz od cza-



su, gdy zajęłam się prostytutką, zupełnie się to zmieniło i przestałam cokolwiek czuć. Nie czułam bólu, ale nie czułam też nic innego. Wzdychałam i udawałam podniecenie, chcąc zadowolić klienta, ale to wszystko były kłamstwa. Zawodowa gra. Ale wtedy naprawdę głęboko wzdychałam pod palcami tego mężczyzny. Te dźwięki rodziły się naturalnie w głębi mego ciała. Zorientowałam się, że coś się zaczyna we mnie poruszać. Jakby środek ciężkości przesunął się to tu, to tam.

Wkrótce mężczyzna przestał poruszać palcami. Położył mi ręce na biodrach i zdawał się o czymś myśleć. Za pośrednictwem jego palców czułam, że stara się cicho uspokoić oddech. Potem zaczął się powoli rozbierać. Z zamkniętymi oczami i twarzą przyciśniętą do poduszki czekałam, co będzie dalej. Gdy rozebrał się do naga, rozsunął moje ramiona i nogi.

W pokoju panowała przerażająca cisza. Słyszać było tylko szmer klimatyzatora. Mężczyzna nie wydawał prawie żadnych dźwięków, nie słyszałam nawet jego oddechu. Położył mi dłoń na plecach, a ja całkowicie się rozluźniłam. Jego członek dotknął mych bioder. Był jeszcze miękki.

Wtedy zadzwonił telefon przy łóżku. Otworzyłam oczy i spojrzałam na mężczyznę, lecz zdawało się, że w ogóle nie usłyszał telefonu, który zadzwonił osiem czy dziewięć razy i umilkł. W pokoju znowu zapanowała cisza.

Kreta Kano powoli odetchnęła, potem przez chwilę przyglądała się własnym dłoniom.

- Bardzo przepraszam, ale chciałabym trochę odpocząć. Można?

- Oczywiście - odparłem.

Dolałem sobie kawy i wypilem. Ona napiła się zimnej wody. Przez jakieś dziesięć minut siedzieliśmy w milczeniu.

- Znowu zaczął głaskać mnie po całym ciele tymi dziesięcioma palcami - podjęła opowieść. - Dotknęły każdego skrawka mojego ciała. Nie mogłam już o niczym myśleć. Serce dudniło mi w uszach dziwnie wolno i głośno. Nie panowałam już nad

sobą. Gdy mnie głaskał, kilka razy głośno krzyknęłam Nie chciałam krzyczeć, lecz ktoś inny jęczał i krzyczał moim głosem. Miałam wrażenie, że obluzowują się we mnie wszystkie śruby. Po bardzo długim czasie, gdy ciągle jeszcze leżałam na brzuchu, włożył we mnie coś od tyłu Do dziś nie wiem, co to było, coś bardzo twardego i dużego, ale w każdym razie nie był to jego członek. Tego jestem pewna. Pomyślałam wtedy, że jednak ten człowiek jest impotentem.

Gdy to we mnie wepchnął, po raz pierwszy od nieudanej próby samobójstwa poczułam ból, wyraźny fizyczny ból. Jak to określić? Potworny ból, jakbym była rozrywana na pół. Jednak odczuwając gwałtowny ból, jednocześnie wiałam się z rozkoszy. Rozkosz złała się w jedno z bólem. Rozumie pan? Był to ból podszyty rozkoszą i rozkosz podszyta bólem. Musiałam to przełknąć jako jedną całość. W takim bólu i w takiej rozkoszy moje ciało stopniowo się rozerwało. Nie mogłam już tego powstrzymać. Potem zdarzyło się coś dziwnego. Poczułam, jak spomiędzy tych rozerwanych części z trudem wydobywa się coś, czego nigdy przedtem nie widziałam ani nie dotknęłam Nie wiem, jaką miało wielkość, ale było mokre i śliskie jak nowo narodzone dziecko. Nie miałam pojęcia, co to może być. Ale to coś musiało być we mnie, choć ja o tym nie wiedziałam. I ten mężczyzna to ze mnie wyciągnął.

Chciałam się dowiedzieć, co to jest. Bardzo chciałam się dowiedzieć. Chciałam to zobaczyć na własne oczy. Przecież była to część mego ciała. Miałam prawo to zobaczyć. Lecz nie mogłam. Pochłonął mnie wir bólu i rozkoszy. Moje ciało krzyczało, śliniło się i gwałtownie poruszało biodrami. Nie mogłam nawet otworzyć oczu.

I osiągnęłam szczyt seksualnej rozkoszy, lecz nie miałam wrażenia, że jestem na szczycie, a raczej, że zrzucano mnie z wysokiej skały. Krzyknęłam i myślałam, że wszystkie szyby i szkło w pokoju popękały. I nie tylko myślałam, naprawdę poczułam, jak rozpada się na drobne kawałki i sypie na mnie Potem

nadeszły straszne mdłości. Świadomość stała się płytka, ciało zimne. To dziwne porównanie, lecz miałam wrażenie, że stałam się jak zimny kleik ryżowy. Rzadki, kleisty, z grudkami tu i tam. I te grudki pulsują bólem w rytmie uderzeń serca. Niewątpliwie pamiętałam ten rodzaj bólu. Dość szybko sobie przypomniałam. Był to tamten śmiertelny ból, który czułam zawsze dawniej przed próbą samobójstwa. Ten ból jak łom podważał z wielką siłą pokrywę mej świadomości. Zerwał ją i bez udziału woli wywlókł ze świadomości przypominającą galaretę pamięć. To też dziwne porównanie, lecz czułam się jak zmarły przyglądający się sekcji własnych zwłok. Rozumie pan? Miałam wrażenie, że przyglądam się z boku, jak moje ciało zostaje rozcięte i wyciągane są z niego oślizgłe organy.

Rzucając się w konwulsjach, śliniłam się na poduszkę. Nie mogłam utrzymać oddechów. Pomyślałam, że muszę to jakoś zahamować, lecz nie byłam w stanie zapanować nad własnym ciałem. Wszystkie śruby co do jednej obluźowały się, puściły i powypadały. W tej zamglonej świadomości dobitnie czułam, jaka jestem samotna i bezsilna jako człowiek. Z mego ciała wylewały się różne rzeczy. Jedne uformowane, inne bezkształtne. Zmieniały się w ciecz takie jak mocz czy ślina i wypływały na zewnątrz. Pomyślałam, że nie mogę pozwolić, żeby wszystko się ze mnie wylało. To przecież ja, nie mogę tak na darmo siebie stracić. Lecz nie udawało mi się powstrzymać tego nurtu. Mogłam się tylko tępo przyglądać z założonymi rękami. Nie wiem, jak długo to trwało. Zdawało się, że wydobyły się ze mnie cała świadomość i pamięć, że wszystko wydobyło się na zewnątrz. Nagle ogarnęła mnie ciemność, jakby z góry opadła jakaś ciężka kurtyna.

Kiedy odzyskałam świadomość, byłam innym człowiekiem.

Kreta Kano przerwała i spojrzała na mnie.

- Właśnie to się wtedy stało - powiedziała cicho.

Milcząc, czekałam na dalszy ciąg opowieści.

## 14. Nowy wyjazd Kreta Kano

Kreta Kano mówiła dalej.

- Potem przez kilka dni żyłam z uczuciem, że moje ciało rozpadło się na kawałki. Chodziłam, lecz nie czułam, że dotykam stopami ziemi. Jadłam, lecz nie czułam, że żuję. Gdy siedziałam bez ruchu, bardzo często bałam się, że opadam bez końca w jakiejś pozbawionej dna i sufitu przestrzeni albo że wznoszę się nieustannie pociągana przez jakiś balon. Nie potrafiłam już powiązać ze sobą odczuć i ruchów własnego ciała. Zdawało się poruszać, kiedy chciało, bez związku z moją wolą. Nie było w tym ruchu ani porządku, ani kierunku. Nie umiałam opanować tego szalonego chaosu. Mogłam tylko czekać, aż nadejdzie odpowiedni czas i wszystko się uspokoi. Powiedziałam w domu, że niezbyt dobrze się czuję, i od rana do wieczora siedziałam zamknięta w pokoju, prawie nic nie jedząc.

W takim zamęcie minęło kilka dni. Myślę, że trzy lub cztery. A potem, zupełnie jak po gwałtownej burzy, wszystko się uspokoiło i zatrzymało. Rozejrzałam się dokoła, spojrzałam na siebie i zauważyłam, że stałam się innym, nowym człowiekiem. Czyli byłam już trzecią sobą. Pierwsza ja żyła, cierpiąc nieustanny gwałtowny ból. Druga ja trwała w pozbawionej bólu nieczułości. Pierwsza ja była oryginalną mną, która za nic nie mogła zrzucić z barków ciężkiego jarzma bólu. Kiedy próbowała je na siłę zdjąć - chodzi mi o nieudaną próbę samobójstwa - stała się drugą mną. To byłam ja pośrednia. Rzeczywiście zniknął ból ciała, który mnie przedtem zamęczał, lecz wraz z nim zniknęły czy zamgliły się inne odczucia. Wola życia, witalność, umiejętność koncentracji umysłu - wszystko to ulotniło się wraz z bólem. I po przejściu tego dziwnego przełomowego okresu stałam się nową sobą. Nie wiem jeszcze, czy to ja, jaką miałam być od początku, lecz mam - co prawda niejasne - uczucie, że posuwam się we właściwym kierunku.

Podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy, jakby pytając, jakie wrażenie robi na mnie ta opowieść. Jej dłonie nadal leżały

na stole.

- To znaczy, że ten mężczyzna dał pani nową siebie, tak? - zapytałem.

- Prawdopodobnie tak było - odpowiedziała Kreta Kano. Po-tem kilka razy przytaknęła. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, jak dno wyschniętego stawu. - Pieszczona, obejmowana przez tego mężczyznę po raz pierwszy w życiu doznałam szalonej seksualnej rozkoszy i w rezultacie w moim ciele zaszła jakaś wielka zmiana. Nie wiem, dlaczego to się stało i w dodatku dlaczego spowodował to ten mężczyzna. Bez względu na to, jaki zaszedł proces, kiedy przyszedłam do siebie, byłam już w nowym opakowaniu. I jak przed chwilą wspomniałam, po przejściu tego głębokiego chaosu, starałam się przyjąć to nowe ja jako bardziej prawdziwe. Przecież wydostałam się z głębokiej nieczułości, która stanowiła dla mnie duszące więzienie.

Potem jednak przez długi czas jak cień towarzyszył mi niesmak. Gdy przypominałam sobie owe dziesięć palców, to coś, co włożył mi do środka, śliską i wilgotną grudę, która ze mnie wyszła (a przynajmniej zdawało mi się, że wyszła), nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Czułam rozpacz i gniew, któremu nie mogłam dać upustu. Chciałam wymazać z pamięci wszystkie wydarzenia tamtego dnia, lecz nie mogłam tego zrobić, ponieważ ten człowiek coś we mnie na siłę otworzył. I to poczucie otwarcia na siłę zlało się ze wspomnieniem mężczyzny i nie odchodziło. Poza tym niewątpliwie czułam się zbrukana. Były to sprzeczne uczucia. Rozumie pan? Transformacja, którą przeszedłam, jest prawdopodobnie słuszna. Jest prawidłowa. Lecz z drugiej strony spowodowało ją coś nieczystego. Coś niesłusznego. To pełne sprzeczności rozdwojenie przez długi czas nie dawało mi spokoju. Przez chwilę znowu przyglądała się swoim leżącym na stole dłoniom.

- Potem przestałam sprzedawać własne ciało. Nie było już sensu tego robić - powiedziała.

Jej twarz była ciągle pozbawiona wyrazu.

- Mogła pani tak po prostu przestać? - zapytałem.

Kreta Kano skinęła twierdząco głową.

- Po prostu przestałam, nic nikomu nie mówiąc, lecz nie było żadnych szczególnych problemów. Poszło nieomal zbyt łatwo. Byłam przygotowana na to, że co najmniej do mnie zadzwonią, lecz wcale się nie odezwali. Znali mój telefon i adres i mogli mi grozić, ale nic takiego nie zaszło.

I tak na pozór stałam się znowu normalną dziewczyną. Wtedy zwróciłam już rodzicom wszystkie pożyczone pieniądze, a do tego miałam niemałe oszczędności. Za zwrócone pieniądze brat znowu kupił jakiś głupi samochód. Nawet sobie nie wyobrażał, co robiłam, żeby mu te pieniądze zwrócić.

Potrzebowałam czasu na przywyknięcie do nowej siebie. Kim jestem, jak funkcjonuję, co i jak odczuwam? Musiałam doświadczać odkryć te wszystkie rzeczy i zmagazynować je w pamięci. Rozumie pan? Prawie wszystko się ze mnie wylało i przepadło. Byłam nowa, ale jednocześnie prawie pusta. Musiałam po trochu wypełniać te puste miejsca, własnymi rękami krok po kroku stworzyć siebie albo elementy, z których się składałam.

Byłam jeszcze oficjalnie studentką, ale nie miałam ochoty wracać na uniwersytet. Rano wychodziłam z domu, szłam do parku i siedziałam beczynn timer sama na ławce. Czasem chodziłam po alejkach, a gdy padało, kryłam się w bibliotece, kładłam przed sobą książkę i udawałam, że czytam. Kiedyś spędziłam cały dzień w kinie, innego dnia wsiadłam w pociąg linii Yamanote\* i przez cały dzień jeździłam w kółko. Zdawało mi się, że sama unoszę się w ciemnościach kosmosu. Nie miałam się kogo poradzić. Mogłabym wyznać wszystko Malcie Kano, niczego przed nią nie ukrywając, ale jak wcześniej powiedziałam, siostra zakopała się wtedy na dalekiej wyspie Malcie i oddawała się praktykom ascetycznym. Nie znałam jej adresu i nie mogłam się skontaktować. Dlatego musiałam sama sobie ze wszystkim po-

---

\* Yamanote - kolejowa obwodnica wokół centralnej części Tokio

radzić. Nie było ani jednej książki, która wyjaśniałaby to, czego doświadczyłam. Lecz choć byłam samotna, nie czułam się niieszczęśliwa. Mogłam się mocno oprzeć na samej sobie. Przynajmniej teraz miałam siebie, miałam się na kim oprzeć.

Ta nowa ja czuła ból, choć nie był on tak gwałtowny jak przedtem. Jednocześnie nie wiadomo kiedy nauczyłam się, jak się od niego odseparować. To znaczy, że potrafię się odseparować od siebie czującej ból. Rozumie pan? Potrafię się rozdzielić, na cielesną siebie i niecielesną siebie. Wydaje się to skomplikowane, kiedy próbuje się to wyjaśnić słowami, lecz jeśli raz się tego nauczyć, nie jest wcale trudne. Gdy nadchodzi ból, oddalam się od cielesnej siebie. Tak jakbym wyszła do sąsiedniego pokoju, bo nadchodzi ktoś, z kim nie chcę się spotkać. Mogę to zrobić bardzo naturalnie. Jestem świadoma bólu ogarniającego moje ciało. Czuję, że istnieje, lecz mnie tam nie ma. Jestem w sąsiednim pokoju. Dlatego jarzmo bólu nie może mnie osiągnąć.

- To znaczy, że w dowolnej chwili mogła się pani od siebie oddzielić?

- Nie - odpowiedziała Kreta Kano po krótkim namyśle. - Na początku mogłam to robić tylko wtedy, gdy moje ciało ogarniał fizyczny ból. Innymi słowy, ból był kluczem do rozdwojenia świadomości. Potem z pomocą Malty Kano nauczyłam się do pewnego stopnia oddzielać się od siebie, kiedy chciałam. Ale to już później.

Wkrótce przyszedł list od Malty Kano. Dobiegły końca jej trzyletnie praktyki na Malcie i za tydzień wracała. Potem miała już nigdzie nie jeździć i na stałe zamieszkać w Japonii. Bardzo cieszyłam się na ponowne spotkanie z siostrą. Nie widziałyśmy się od siedmiu czy ośmiu lat. A poza tym, jak wcześniej wspominałam, Malta jest jedyną osobą na świecie, której mogę powiedzieć wszystko, co mi leży na sercu.

W dniu powrotu Malty opowiedziałam jej bez wyjątku o wszystkim, co się stało. W milczeniu wysłuchiwała całej dziwnej

opowieści. Nie zadała ani jednego pytania. Kiedy skończyłam, westchnęła głęboko i powiedziała: - Wiem, że powinnam była być cały czas przy tobie i strzec cię. Nie zorientowałam się z jakiejś przyczyny, że miałaś takie poważne problemy. Widocznie zabrakło mi dystansu, bo byłaś zbyt blisko mnie. Tak czy inaczej musiałam koniecznie zrobić pewne rzeczy. Musiałam sama pojechać w różne miejsca. Nie miałam wyboru.

Powiedziałam jej, że nie musi sobie tego brać do serca. Są to moje problemy i przecież radzę sobie coraz lepiej. Malta Kano zastanawiała się przez chwilę w milczeniu, a potem powiedziała: - Różne doświadczenia, które spotkały cię od czasu mojego wyjazdu z Japonii, musiały być bolesne i gorzkie, lecz jak sama powiedziałaś, zbliżasz się stopniowo i po trochu do prawidłowego stanu. Najtrudniejszy okres minął i nie wróci. Nic podobnego już ci się więcej nie zdarzy. Gdy minie odpowiedni czas, zapomnisz o różnych rzeczach, choć nie będzie to proste. Człowiek nie może żyć, nie będąc prawdziwym sobą. Tak samo jak z ziemią pod stopami. Gdy nie ma ziemi, nie można nic na niej zbudować.

Musisz jednak pamiętać o jednym - twoje ciało zostało zbrukane przez tego mężczyznę. To nie powinno było się zdarzyć. Lecz miałaś szczęście. Mogłaś zostać na zawsze zgubiona, być może musiałabyś błądzić w zupełnej nicości. Na szczęście akurat wtedy przypadkiem nie byłaś prawdziwą sobą i efekt był wręcz przeciwny. Udało ci się wyzwolić z tego prowizorycznego ja. Naprawdę całe szczęście. Jednak to zbrukanie w tobie pozostało i będziesz się musiała jakoś go pozbyć. Ja nie mogę go z ciebie zmyć. Nie wiem nawet, jak to konkretnie zrobić. Będziesz musiała sama znaleźć sposób i sama tego dokonać.

Potem siostra nadała mi nowe imię: Kreta. Ponieważ na nowo się odrodziłam, potrzebne mi było nowe imię. Od razu je polubiłam. Malta Kano zaczęła mnie używać jako medium. Pod jej kierunkiem nauczyłam się panować nad nową sobą i zapamiętałam sposób oddzielania ducha od ciała. W końcu po raz pi-



erwszy w życiu mogłam żyć w spokoju. Oczywiście ciągle jeszcze nie osiągnęłam prawdziwej siebie. Jeszcze wiele mi do tego brakuje, lecz teraz mam przy sobie Malnę Kano, pomocnika, na którym mogę polegać. Zrozumiała mnie i zaakceptowała. Stała się moim przewodnikiem i obrońcą.

- I wtedy jeszcze raz spotkała pani Noboru Watayę?

- Tak. Ponownie spotkałam pana Noboru Watayę. Było to na początku marca tego roku. Minęło ponad pięć lat od czasu, gdy poszłam do łóżka z panem Watayą, przeszłam transformację i zaczęłam pracować z Malną Kano. Pan Wataya przyszedł do nas do domu, aby spotkać się z Malną, i tam go widziałam. Nie rozmawiałam z nim. Widziałam go tylko przez chwilę w przedpokoju, lecz na jego widok zamarłam jak rażona piorunem. Był to tamten mężczyzna, mój ostatni klient.

Zawołałam Malnę Kano i powiedziałam jej, że to mężczyzna, który mnie zbrukał.

- Dobrze. Ja się tym zajmę, ty się o nic nie martw - powiedziała siostra. - Schowaj się w głębi domu i nie wychodź. Absolutnie mu się nie pokazuj. - Postąpiłam tak, jak mi kazała, dlatego nie wiem, o czym rozmawiali.

- A czego Noboru Wataya od niej chciał?

Kreta Kano pokręciła głową.

- Nie wiem.

- Lecz zwykle ludzie przychodzą do was, kiedy czegoś chcą, prawda?

- Tak. Tak jest.

- Czego na przykład chcą?

- Wszystkiego.

- Wszystkiego, czyli czego?

Kreta Kano lekko przygryzła wargi.

- Zagubionych rzeczy, tego, co ich czeka, przyszłości... wszystkiego.

- I wy to wiecie?

- Wiemy - powiedziała Kreta Kano i wskazała palcem skroń. -

Oczywiście nie wiemy wszystkiego, ale wiele odpowiedzi mieści się tutaj. Wystarczy tam wejść.

- Tak jak się schodzi do studni?

- Tak.

Oparłem łokcie na stole i powoli wziąłem głęboki oddech.

- Chciałbym, żeby mi pani coś powiedziała, jeżeli pani może. Kilka razy zjawiła się pani w moich snach. Zrobiła to pani celowo, z własnej woli. Prawda?

- Tak jest - odparła Kreta Kano. - Odbyło się to celowo. Wezszłam do pana świadomości i tam odbyłam z panem stosunek.

- Umie pani coś takiego zrobić.

- Umiem. Jest to jedno z moich zadań.

- Odbyliśmy stosunek w świadomości - powtórzyłem. Kiedy to głośno powiedziałem, poczułem się, jakbym na białej ścianie powiesił wyrazisty surrealistyczny obraz. Przyglądając się, czy nie wisi krzywo, jeszcze raz powtórzyłem: - Odbyliśmy stosunek w świadomości. Lecz ja o nic was nie prosiłem, nie chciałem się niczego dowiedzieć, prawda? Skoro tak, po co specjalnie zrobiła pani coś takiego?

- Malta Kano mi kazała.

- To znaczy, że Malta Kano, wykorzystując panią jako medium, przeszukiwała moją świadomość, próbując znaleźć jakąś odpowiedź. Dlaczego? Czy mogła to być odpowiedź, o którą prosił Noboru Wataya, czy też może odpowiedź, o którą prosiła Kumiko?

Kreta Kano milczała przez chwilę. Zdawało się, że się waha.

- Ja tego nie wiem. Nie otrzymałam dokładnych informacji. Jeżeli nie posiada się informacji, jest się bardziej spontanicznym medium. Ja tylko przewodzę. Nadawanie znaczenia odnalezionym rzeczom to rola Malty Kano. Ale chciałabym, żeby pan wiedział, że Malta Kano jest zasadniczo po pana stronie. Ja nienawidzę pana Noboru Watai, a Malta Kano robi wszystko dla mojego dobra. Myślę, że robiła to dla pana dobra.

- Proszę pani, ja nie bardzo rozumiem, dlaczego, ale od was-

zego pojawienia się w moim życiu zaczęły się dziać różne rzeczy. Nie mówię, że to wszystko jest wasza wina. Może robiłyście coś dla mojego dobra, lecz szczerze mówiąc, nie mogę powiedzieć, że przyniosło mi to szczęście. Wręcz przeciwnie, straciłem różne rzeczy. Wiele rzeczy ode mnie odeszło. Najpierw zniknął kot. Potem zniknęła żona. Później Kumiko przysłała mi list i wyznała, że od dawna spotykała się z innym mężczyzną. Nie mam przyjaciół. Nie mam pracy, nie mam dochodów. Nie mam perspektyw na przyszłość i nie mam celu w życiu. Czy to jest dla mojego dobra? Co zrobiłyście mnie i Kumiko?

- Oczywiście dobrze rozumiem, co pan mówi. Naturalne też, że jest pan rozgniewany. Żałuję, że nie mogę tego wszystkiego jasno wytłumaczyć.

Westchnąłem i dotknąłem znamienia na prawym policzku. - Nie ma sprawy. Mówię jakby sam do siebie, proszę się nie przejmować.

Patrząc na mnie uważnie, powiedziała:

- Rzeczywiście wiele się wokół pana zdarzyło w ciągu ostatnich paru miesięcy. Być może my też jesteśmy za to do pewnego stopnia odpowiedzialne. Lecz sądzę, że te rzeczy musiały się kiedyś zdarzyć, prędzej czy później. A skoro i tak miały się zdarzyć, to czy nie lepiej, że zdarzyły się wcześniej? Naprawdę tak czuję. Bo, proszę pana, mogło się zdarzyć coś o wiele gorszego.

Kreta Kano wyszła, mówiąc, że idzie do pobliskiego sklepu kupić coś do jedzenia. Dałem jej pieniądze i powiedziałem, że jeśli zamierza wyjść z domu, może powinna się przebrać w coś przyzwoitszego. Skinęła głową, poszła do pokoju Kumiko i wróciła ubrana w białą bawełnianą bluzkę i zieloną spódnicę w kwiaty.

- Nie przeszkadza panu, że noszę rzeczy małżonki?

Pokręciłem głową.

- W liście napisała, żeby wszystko wyrzucić. Nikomu nie przeszkadza, że będzie pani je nosić.

Tak jak myślałem, ubrania idealnie na nią pasowały. Zaskakująco dobrze. Nawet rozmiar butów miały ten sam. Kreta Kano włożyła sandały Kumiko i wyszła. Gdy patrzyłem na Kretę Kano ubraną w rzeczy Kumiko, znów poczułem, że kierunek biegu rzeczywistości trochę się przesunął. Jakby wielki statek pasażerski powoli zmieniał kurs.

Po odejściu Krety Kano położyłem się na kanapie i bezmyślnie wpatrywałem się w ogród. Wróciła po trzydziestu minutach taksówką, trzymając w objęciach trzy duże papierowe torby wypełnione żywnością. Potem zrobiła mi jajka na szynce i sałatkę z sardynek.

- Czy interesuje pana wyspa Kreta? - zapytała nagle po posiłku.

- Wyspa Kreta? - powtórzyłem. - Ta Kreta na Morzu Śródziemnym?

- Tak.

Potrząsnąłem głową.

- Nie wiem, czy mnie interesuje, czy nie. Nigdy o tym nie myślałem.

- Nie zechciałby pan pojechać ze mną na Kretę?

- Pojechać z panią na Kretę? - powtórzyłem.

- Szczerze mówiąc, chciałabym wyjechać na pewien czas z Japonii. Kiedy po rozstaniu z panem zeszedłem do studni, ciągle o tym myślałam. Po otrzymaniu tego imienia nieustannie myślałam, że chciałabym kiedyś tam pojechać na tę wyspę. Przeczytałam różne książki na temat Krety. Uczylałam się nawet greckiego, żeby móc tam sobie w przyszłości sama poradzić. Mam tyle oszczędności, że przez dłuższy czas mogę się utrzymać. Nie musi się pan martwić o pieniądze.

- Czy Malta Kano wie, że wybiera się pani na Kretę?

- Nie, jeszcze jej niczego nie wyznałam. Ale jeśli powiem, że chcę jechać, siostra się nie sprzeciwi. Prawdopodobnie pomyśli, że mi to dobrze zrobi. Korzystała ze mnie jako medium przez ostatnich pięć lat, ale to nie znaczy, że posługiwała się mną jak

narzędziem. W pewnym sensie pomagała mi wyzdrowieć. Chyba myślała, że jeżeli pozwolę, by przepływały przeze mnie świadomość i jaźń innych osób, umożliwi mi to pełne zrozumienie samej siebie. Rozumie pan? Takie jakby zastępcze doświadczenie posiadania jaźni.

Po namyśle dochodzę do wniosku, że nigdy wyraźnie nie powiedziałam: „Konieczmie chcę to zrobić”. Prawdę mówiąc, nigdy nawet nie pomyślałam: „Konieczmie chcę to zrobić”. Od urodzenia żyłam życiem skoncentrowanym wokół bólu. Niemal jedynym celem mego życia było współistnienie jakoś z bólem. A gdy skończyłam dwadzieścia lat i po nieudanej próbie samobójstwa ból zniknął, nadeszła bardzo głęboka nieczułość. Byłam jakby żywym trupem. Gruby woal nieczułości pokrywał moje ciało. Nie było w nim ani krztyny wolnej woli. Potem, gdy zostało zgwałcone przez pana Noboru Watayę, a świadomość na siłę otwarta, osiągnęłam trzecią siebie, lecz ciągle jeszcze nie jestem samą sobą. Udało mi się na razie zdobyć tylko minimum - pojemnik. Sam pojemnik. I tak będąc jedynie pojemnikiem, pod przewodnictwem Małty Kano przepuszczałam przez siebie różne jaźnie. Takie było moje życie przez dwadzieścia sześć lat. Proszę spróbować sobie to wyobrazić. Przez dwadzieścia sześć lat byłam niczym. Zorientowałam się w tym, gdy rozmyślając, siedziałam samotnie w studni. Przez taki długi czas byłam niczym. Byłam jedynie prostytutką. prostytutką ciała i prostytutką świadomości. Teraz staram się osiągnąć nową siebie. Nie jestem ani pojemnikiem, ani przewodnikiem. Staram się stanąć mocno nogami na ziemi jako ja sama.

- Rozumiem, o co pani chodzi, ale dlaczego chce pani jechać ze mną na Krete?

- Dlatego, że prawdopodobnie to dobre wyjście dla mnie i dla pana - odpowiedziała Kreta Kano. - Przez pewien czas oboje nie musimy być tutaj, a raczej mam wrażenie, że lepiej, żeby nas nie było. Czy ma pan jakieś plany, plany na przyszłość?

- Nie, nie mam żadnych planów.

- Jest coś, co chciałby pan tu zrobić?  
- W tej chwili chyba nie.  
- Jest coś, co musi pan zrobić?  
- Myślę, że muszę znaleźć pracę, ale nie muszę tego robić zaraz.

- W takim razie nie uważa pan, że mamy ze sobą wiele wspólnego?

- Rzeczywiście tak.

- Oboje musimy zacząć coś od nowa - powiedziała Kreta Kano, patrząc mi w oczy. - Uważam, że wyjazd na Kretę to niezły początek.

- Myślę, że niezły - przyznałem. - Trochę to nagłe, ale niezłe jak na początek.

Kreta Kano uśmiechnęła się do mnie. Uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy się do mnie uśmiechnęła. Kiedy się śmiała, miałem wrażenie, że historia zaczyna biec właściwym torem.

- Mamy jeszcze czas. Zabiorę się teraz w pośpiechu za przygotowania, lecz zajmie mi to pewnie około dwóch tygodni. Proszę się przez ten czas spokojnie zastanowić. Nie wiem, czy mogę panu coś dać. Nie mam chyba w tej chwili nic do dania. Jestem naprawdę dosłownie pusta. Teraz zamierzam po trochu wypełnić ten pusty pojemnik treścią. Lecz jeżeli to panu nie przeszkadza, mogę panu dać siebie. Myślę, że możemy sobie nawzajem pomóc.

- Zastanowię się - powiedziałem. - Cieszę się, że pani tak mówi i na pewno byłoby to wspaniałe. Tak sądzę. Jednak muszę się nad pewnymi rzeczami zastanowić i pewne rzeczy uporządkować.

- Jeżeli nawet powie pan, że jednak nie jedzie na Kretę, nie będę tym urażona. Będzie mi jedynie żal. Dlatego proszę się nie krępować i szczerze powiedzieć.

Tę noc Kreta Kano także spędziła u mnie w domu. Późnym popołudniem zapytała, czy nie poszedłbym na spacer do poblis-

kiego parku. Postanowiłem nie przejmować się znamieniem i wyjść z domu. Nie mogłem się ciągle tym przejmować. Spacerowaliśmy w przyjemnej porze letniego zmierzchu prawie przez godzinę, potem wróciliśmy do domu i zjedliśmy prosty posiłek.

W czasie spaceru opowiedziałem jej szczegółowo o liście Kumiko. Miała kochanka i spała z nim od ponad dwóch miesięcy. Rozstała się już z tym mężczyzną, ale nie ma zamiaru wrócić do mnie. Kreta Kano słuchała w milczeniu. Nie powiedziała, co o tym myśli. Zdawało się, że już przedtem знаła te wszystkie okoliczności. Prawdopodobnie byłem jedynym człowiekiem, który o niczym nie wiedział.

Po kolacji powiedziała, że chce iść ze mną do łóżka, a raczej, że chce ze mną odbyć stosunek cielesny. Nie spodziewałem się tego i nie wiedziałem, jak zareagować.

- Nie spodziewałem się tego i nie wiem, jak zareagować - powiedziałem szczerze.

Kreta Kano przyjrzała mi się uważnie.

- Bez względu na to, czy pojedzie pan ze mną na Kretę, czy nie, chciałabym, żeby tylko raz przespał się pan ze mną jak z prostytutką. Chciałabym, żeby dziś tutaj zapłacił pan za moje ciało, jak za ciało prostytutki. I na tym zakończę prostytuowanie się w sferze ciała i świadomości. Zamierzam nawet pozbyć się imienia Kreta. Ale do tego potrzebny mi jest wyraźny punkt graniczny, który będzie stanowił zakończenie.

- Rozumiem, że chce pani mieć punkt graniczny, ale dlaczego musi pani po to iść ze mną do łóżka?

- Niech pan posłucha. Drogą rzeczywistego połączenia się z panem, przeniknę przez pana. I dzięki temu przeniknięciu wyzwolę się ze zbrukania. To właśnie będzie punkt graniczny.

- Przepraszam, ale ja nie kupuję ludzi.

Kreta Kano przygryzła wargi.

- Zróbmy tak: proszę zamiast pieniędzy dać mi kilka ubrań zony. I buty. To będzie formalna opłata za moje ciało. Może tak być? To dla mnie ratunek.

- Zostanie pani uratowana, ponieważ wyzwoli się pani ze zbrukania, które pozostawił w pani Noboru Wataya, tak?

- Tak, o to chodzi.

Popatrzyłem na nią przez chwilę. Bez sztucznych rzęs jej twarz wyglądała o wiele dziecinniej niż zwykle.

- Kim jest właściwie Noboru Wataya? Jest starszym bratem mojej żony, ale właściwie nic o tym człowieku nie wiem. Co myśli? Czego chce?... Zupełnie nie mam pojęcia. Wiem tylko, że się nawzajem nie lubimy.

- Pan Noboru Wataya należy do zupełnie przeciwnego świata niż pan - powiedziała Kreta Kano. Potem zamilkła i szukała odpowiednich słów. - W świecie, w którym pan traci, on zdobywa. W świecie, do którego pan nie ma dostępu, on jest przyjmowany. I wręcz przeciwnie. Dlatego właśnie ten pan tak gwałtownie pana nienawidzi.

- Tego właśnie nie mogę zrozumieć. Dla niego moje istnienie tak mało znaczy, że prawie go nie zauważa. Noboru Wataya jest sławny, ma władzę. W porównaniu z nim jestem kompletnym zerem. Po co zadaje sobie trud i traci czas na nienawidzenie kogoś takiego?

Kreta Kano pokręciła głową.

- Nienawiść jest jak długi ciemny cień. W większości wypadków sam nienawidzący nie wie, skąd się wzięła. To miecz obojętny. Zadając ranę drugiemu, samemu odnosi się rany. Ci, którzy zadają gwałtowne rany, sami gwałtowne rany odnoszą. Zdarza się też, że można stracić życie. Lecz nie jest to coś, co można łatwo odrzucić, nawet jeżeli się próbuje. Pan też powinien uważać. To prawdziwe niebezpieczeństwo. Pozbycie się nienawiści, która zapuściła korzenie w sercu, to niezwykle trudna praca.

- Pani może to wyczuć, prawda? Źródło nienawiści w osobie Noboru Watai?

- Mogę - powiedziała Kreta Kano. - To właśnie rozdarło mnie na pół i zbrukało. Dlatego właśnie nie chcę, żeby dla mnie jako



prostytutki był ostatnim klientem. Rozumie pan?

Tej nocy poszedłem z nią do łóżka. Zdjąłem z Kreta Kano ubranie Kumiko i kochaliśmy się. Było to tak spokojne, jakby przedłużenie snu. Zdawało się, że powtarzam w rzeczywistości czynności, które wykonywałem z nią we śnie. Było to jej prawdziwe, żywe ciało, lecz jednak czegoś brakowało. Brakowało rzeczywistego poczucia, że naprawdę kocham się z tą kobietą. Co pewien czas ogarniało mnie nawet złudzenie, że kocham się z Kumiko. Pomyślałem, że w czasie wytrysku na pewno się obudzę, lecz nie obudziłem się. Miałem wytrysk w jej ciele. Była to rzeczywistość, ale za każdym razem, gdy sobie to uświadamiałem, zdawało się, że staję się po trochu mniej rzeczywista. Po troszeczkę odsuwa się od rzeczywistości i oddala. A mimo to była to jednak rzeczywistość.

- Proszę pana - powiedziała Kreta Kano, obejmując mnie. - Pojedźmy we dwoje na Kretę. Ani ja, ani pan nie powinniśmy tu dłużej być. Musimy pojechać na Kretę. Jeżeli pan tu zostanie, stanie się panu coś złego. Jestem tego pewna.

- Coś złego?

- Coś bardzo złego - przepowiedziała Kreta Kano.

Cichym i przenikliwym głosem, jak ptak prorok mieszkający w lesie.

## **15. O prawidłowym imieniu, o tym, co spalono w letni poranek po polaniu olejem, i o niezbyt trafnym porównaniu**

Rano Kreta Kano straciła imię.

Obudziła mnie niedługo po nadejściu świtu. Otworzyłem oczy i spojrzałem na światło przedostające się przez szpary między zasłonami. Potem popatrzyłem na nią siedzącą obok na łóżku i wpatrującą się we mnie. Nie miała na sobie nic prócz mego starego podkoszulka zamiast piżamy. W świetle poranka blado jaśniały jej włosy łonowe.

- Panie Okada, nie mam już imienia - powiedziała kobieta.

Przestała być prostytutką, medium i Kretą Kano.

- Okay, nie jesteś już Kretą Kano - powiedziałem. Potarłem oczy palcami. - Gratuluję. Jesteś nowym człowiekiem. Ale skoro nie masz imienia, jak mam cię teraz nazywać? Brak imienia to kłopot, kiedy na przykład trzeba kogoś zawołać.

Kobieta, która do wczoraj była Kretą Kano, pokręciła głową.

- Nie wiem. Prawdopodobnie muszę znaleźć nowe imię. Dawniej miałam prawdziwe imię, potem jako prostytutka posługiwałam się pseudonimem, którego nie chcę już nigdy używać, a jako medium otrzymałam imię Kreta Kano. Ponieważ nie jestem już żadną z tych osób, nowa ja potrzebuję zupełnie nowego imienia. Nic panu nie przychodzi do głowy? Jakies imię odpowiednie dla mego nowego ja?

Zastanowiłem się przez chwilę, ale nie mogłem wymyślić żadnego odpowiedniego imienia. - Prawdopodobnie musisz je sama znaleźć, bo będziesz teraz nową niezależną osobą. Tak będzie lepiej, jeżeli nawet znalezienie go zabierze dużo czasu.

- Lecz trudno jest znaleźć dla siebie właściwe imię.

- Oczywiście, że to niełatwe. W niektórych wypadkach imię wyraża wszystko - powiedziałem. - Może ja też powinienem tak jak ty pozbyć się teraz swojego imienia? Tak mi się wydaje.

Siostra Małty Kano uniosła się na łóżku, wyciągnęła rękę i dotknęła koniuszkami palców mego prawego policzka. Pewnie ciągle było tam znamię wielkości rączki niemowlęcia.

- Jeżeli pozbyłby się pan imienia, jak miałabym się do pana zwracać?

- Ptaku Nakręcaczu - powiedziałem. Przynajmniej miałem nowe imię.

- Ptak Nakręcacz - powtórzyła. Potem zawiesiła to imię w przestrzeni i przez chwilę mu się przyglądała. - Uważam, że to bardzo ładne imię. Co to za ptak?

- Ptak nakręcacz naprawdę istnieje. Nie wiem, jak wygląda. Nigdy go nie widziałem, słyszałem tylko jego głos. Przysiada na gałęzi któregoś z okolicznych drzew i po trochu nakręca spręży-

nę świata. Sprężyna zgrzyta. Jeżeli jej nie nakręci, świat staje w miejscu. Lecz nikt o tym nie wie. Wszyscy myślą, że świat poruszany jest jakimś wspaniałym, skomplikowanym, olbrzymim mechanizmem. Ale tak nie jest. W rzeczywistości ptak nakręca latami w różne miejsca i wszędzie po trochu nakręcając sprężynę, wprawia świat w ruch. To zwykła sprężyna, taka jak w nakręcanych zabawkach. Wystarczy nakręcić, lecz nikt poza nim jej nie widzi.

- Ptak nakręca - powtórzyła. - Pan Ptak Nakręca, nakręcający sprężynę świata.

Podniosłem głowę i rozejrzałem się dookoła. Przywykłem do tego pokoju. Sypiałem w nim już od czterech czy pięciu lat, lecz teraz wyglądał zadziwiająco pusto i przestronnie.

- Niestety nie wiem, gdzie znajduje się sprężyna. Nie wiem nawet, jak wygląda.

Położyła mi palec na ramieniu i narysowała małe kółeczko.

Leżąc na plecach, długo wpatrywałem się w plamę na suficie, która miała kształt żołądka. Znajdowała się dokładnie nad moją poduszką. Po raz pierwszy ją zauważyłem. Zastanawiałem się, od kiedy tam jest. Prawdopodobnie była już, gdy się tu wprowadziliśmy. Wisiała prosto nad nami, cicha, wstrzymywała oddech, gdy spaliśmy tu z Kumiko. I pewnego poranka nagle ją zauważyłem.

Czułem ciepło oddechu leżącej obok kobiety, która kiedyś była Kretą Kano. Czułem łagodny zapach jej ciała. Dalej rysowała na moim ramieniu małe kółeczko. Chciałem jeszcze raz wziąć ją w objęcia, ale nie miałem pewności, czy byłoby to właściwe. Wszystko wydawało się za bardzo poplątane. Odpędziłem wszystkie myśli i gapiłem się w milczeniu na plamę na suficie. Wkrótce siostra Malty Kano pochyliła się i lekko pocałowała mnie w prawy policzek. Gdy jej usta dotknęły znamienia, poczułem coś przypominającego głębokie odrętwienie.

Zamknąłem oczy i wyteżyłem słuch na odgłosy świata. Dobięło skądś gruchanie gołębia. Cierpliwie gruchał: gruchu, gruc-

hu, gruchu. Jego głos był pełen dobrych intencji w stosunku do świata. Błogosławił letni poranek i powiadał o rozpoczęciu nowego dnia. Lecz to nie wystarczy, pomyślałem. Ktoś musi nakręcić sprężynę.

- Panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała kobieta dawniej zwana Kretą Kano. - Myślę, że na pewno kiedyś znajdzie pan sprężynę.

Nie otwierając oczu, zapytałem:

- Jeżeli tak się stanie, jeśli uda mi się znaleźć tę sprężynę, czy wróci do mnie normalne życie?

Potrząsnęła głową w milczeniu. W jej oczach kryła się odrobina współczucia. Wyglądała jak kawałek chmury unoszący się wysoko na niebie.

- Nie wiem - odparła.

- Nikt nie wie - powiedziałem.

Są na świecie rzeczy, których lepiej nie wiedzieć, mówił porucznik Mamiya.

Siostra Malty Kano powiedziała, że chce sobie podciąć włosy. Pożyczyłem jej pieniądze, ponieważ nie miała ani grosza (przyszła do mnie dosłownie bez niczego). Ubrana w bluzkę, spódnicę i sandały Kumiko poszła do fryzjera, do którego zawsze chodziła moja żona, w pobliżu dworca.

Po wyjściu siostry Malty Kano odkurzyłem dawno niesprzątaną podłogę, włożyłem do pralki pranie, którego się nabierało. Potem wysunąłem szufladę biurka i wysypałem całą zawartość do kartonowego pudła. Miałem zamiar wyjąć potrzebne rzeczy, a resztę spalić, lecz okazało się, że prawie nic potrzebnego tam nie było. Nieomal wszystko niepotrzebne. Stare pamiętniki, listy bez odpowiedzi, stare kalendarzyki z dokładnym rozkładem zajęć, spis telefonów z rzędami nazwisk ludzi, którzy przewinęli się przez moje życie, spłowiałe wycinki z gazet i czasopism, nieważna już karta wstępu na basen, instrukcja obsługi i gwarancja magnetofonu, pół tuzina do połowy zużytych długopisów i ołówków, kartki z zapisanymi numerami telefonów (nie miałem

pojęcia czyich). Spaliłem też wszystkie listy, które przechowywałem w pudełku w szafie. Prawie połowa była od Kumiko. Przed ślubem często pisywaliśmy do siebie. Na kopertach widniały rzędy starannych drobnych liter pisanych jej ręką. Charakter pisma Kumiko prawie się przez tych siedem lat nie zmienił. Nawet kolor atramentu był ten sam.

Z pudełkiem pod pachą wyszedłem do ogrodu, połałem je obficie przyniesionym z kuchni olejem i podpaliłem. Zapłonęło żywym płomieniem, lecz spalenie wszystkiego zabrało dość dużo czasu. Nie było wiatru, więc biały dym unosił się prosto ku letniemu niebu. Wyglądał jak ogromne drzewo sięgające ponad chmury, jak w Jasiu i fasoli. Może gdybym wszedł po nim na samą górę, odkryłbym, że w małym światku żyje tam sobie wesoło cała moja przeszłość. Usiadłem na kamieniu i pocąc się, patrzyłem, jak unosi się dym. Był to gorący letni poranek zwiastujący nadejście jeszcze gorętszego popołudnia. Podkoszulek przyklepił mi się do spoconego ciała. W starych rosyjskich powieściach zazwyczaj listy pali się zimą, wieczorem w kominku, a nie w ogrodzie w letni poranek, polawszy olejem. Lecz w tym naszym byle jakim realnym świecie bywa, że złani potem ludzie palą listy w letnie poranki. Czasem nie można zrobić tego, co by się chciało, że nie można czekać do zimy.

Kiedy pudełko prawie się dopaliło, nabrałem wody do wiadra, połałem ogień i zdeptałem resztki tłącego się popiołu.

Skończywszy porządkować własne rzeczy, poszedłem do pokoju Kumiko i otworzyłem biurko. Po jej odejściu jeszcze tu nie zaglądałem. Zdawało mi się, że byłoby to przejawem złego wychowania. Lecz skoro sama mówi, że już nie wróci, nie przejmie się tym, że zajrzę do szuflady jej biurka.

Wyglądało na to, że przed odejściem zrobiła porządek i szuflada była prawie pusta. Zostały tylko papier listowy i koperty, spinacze w pudełku, linijka i nożyczki, razem może pół tuzina długopisów i ołówków; nic poza tym. Może zrobiła porządek, aby móc w każdej chwili odejść. Nie zostało nic, co by ją przy-

pominało.

A co z moimi listami? Powinna mieć ich mniej więcej tyle samo, co ja. Musiała je gdzieś przechowywać, lecz nigdzie ich nie znalazłem.

Potem poszedłem do łazienki i wyspałem do pudła wszystkie kosmetyki. Szminki, mleczko do twarzy, perfumy, spinki do włosów, ołówki do brwi, waciki, płyn nawilżający i inne niezna-  
ne mi rzeczy wrzuciłem do pudełka po ciasteczkach. Nie było tego dużo. Kumiko nie poświęcała zbyt wiele uwagi makijażowi. Wyrzuciłem też jej szczotkę i nitkę do zębów. I czepek kąpielowy.

Skończyłem te porządki i poczułem się bardzo zmęczony. Usiadłem na krześle w kuchni i wypłem szklanekę wody. Po Kumiko została jeszcze jedna półka książek i ubrania. Książki mogą sprzedać w antykwariacie, problem stanowiły ubrania. Kumiko napisała w liście, żebym się ich jakoś pozbył, ponieważ nie ma już zamiaru ich nosić, lecz nie powiedziała, jak konkretnie mam to zrobić. Czy sprzedać je w sklepie z używaną odzieżą, czy włożyć do plastikowej torby i wyrzucić do śmietnika, dać komuś potrzebującemu, przekazać Armii Zbawienia? Może będzie je nosić Kreta Kano (kobieta, która kiedyś była Kretą Kano), a może Kumiko zmieni zdanie i przyjdzie je odebrać. To chyba niemożliwe, ale kto wie, co jest niemożliwe? Nikt nie wie, co się jutro może zdarzyć, a jeszcze mniej wiadomo, co będzie pojutrze. Skoro już o tym mowa, to nie wiadomo nawet, co się zdarzy dziś po południu.

Przed dwunastą wróciła od fryzjera kobieta dawniej zwana Kretą Kano. Jej nowa fryzura była zadziwiająco krótka, w najdłuższym miejscu włosy miały może trzy, może cztery centymetry. Wymodelowano je za pomocą żelu. Całkowicie zmyła makijaż i na początku jej nie poznałem. Nie wyglądała już jak Jacqueline Kennedy.

Pochwaliłem jej nową fryzurę. - Jest o wiele naturalniej sza i cię odmładza, ale odnoszę wrażenie, że stałaś się inną osobą.

Zaproponowałem, żeby zjadła ze mną lunch, lecz w odpowiedzi pokręciła przecząco głową. Powiedziała, że musi teraz sama załatwić różne sprawy.

- Panie Okada, panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała. - Myślę, że zrobiłam pierwszy krok jako nowa osoba. Najpierw wrócić do domu, porozmawiam o wszystkim z siostrą, a potem rozpocznę przygotowania do wyjazdu na Kretę. Wystąpię o paszport, załatwię bilet lotniczy, spakuję się. Zupełnie do tego nie nawykłam, więc nie bardzo wiem, co trzeba zrobić. Nigdy przedtem nie byłam na wycieczce. Nigdy nie byłam nawet poza Tokio.

- Czy jeszcze ciągle chcesz mnie zabrać na Kretę? - zapytałem.

- Oczywiście - odparła. - Uważam, że to byłoby najlepsze dla mnie i dla pana. To bardzo ważne.

- Zastanowię się nad tym - powiedziałem.

Po odejściu kobiety dawniej zwanej Kretą Kano ubrałem się w czystą koszulkę polo i długie spodnie. Włożyłem też okulary przeciwsłoneczne, chcąc ukryć nieco znamię. Szedłem na dworzec w silnym słońcu. Wsiadłem w pusty po południu pociąg i pojechałem do Shinjuku\*. W księgarni Kinokuniya kupiłem dwa przewodniki po Grecji, potem w dziale wyrobów skórzanych domu towarowego Isetan kupiłem średniej wielkości walizkę. Po zakończeniu zakupów postanowiłem zjeść lunch w restauracji, którą zauważyłem po drodze. Kelnerka wyglądała strasznie nieprzyjemnie i była w złym humorze. Myślałem, że znam się na nieprzyjemnie wyglądających kelnerkach w złym humorze, lecz po raz pierwszy widziałem tak nieprzyjemnie wyglądającą kelnerkę w tak złym humorze. Absolutnie nie przyjęła do wiadomości ani mojego istnienia, ani tego, co zamówiłem. Kiedy czytając menu, zastanawiałem się, co zjeść, wpatrywała się w moje znamię i miała minę, jakby wyciągnęła przegrany los na loterii. Przez cały czas czułem na policzku jej spojrzenie. Zamó-

---

\* Shinjuku - jedno z handlowych i rozrywkowych centrów Tokio

wilem małe piwo, a ona po chwili przyniosła mi duże. Nic nie powiedziałem. Byłem wdzięczny za to, że dostałem choć zimne piwo z pianą. Skoro jest za duże, mogę przecież połowę zostawić.

Czekałem na jedzenie, pijąc piwo i czytając przewodnik. Kreta to długa i wąska wyspa, położona najbliżej Afryki ze wszystkich wysp greckich. Na wyspie nie ma kolei i turyści zazwyczaj przemieszczają się autokarami. Największym miastem jest Iraklion, niedaleko znajdują się ruiny pałacu w Knosos słynne z labiryntu. Głównym przemysłem jest uprawa oliwek, tamtejsze wina też są znane. W wielu częściach Krety wieją silne wiatry i znajduje się dużo wiatraków. Z różnych powodów natury politycznej Kreta najpóźniej z wysp greckich uniezależniła się od Turcji i stała częścią Grecji. Dlatego też zabudowa i zwyczaje nieco różnią się od pozostałych regionów. Kreteńczycy posiadali też silny etos bojowy, a i zażarty ruch oporu przeciw Niemcom w czasie drugiej wojny światowej uczynił Kretę sławną. Akcja powieści Grek Zorba Kazantzakisa też rozgrywała się na tej wyspie. Mniej więcej tyle wiedzy dostarczyły mi przewodniki, lecz nie miałem skąd się dowiedzieć, jak wyglądało tam prawdziwe życie. Trudno się dziwić - przewodniki przecież pisane są dla ludzi, którzy przebywają w danym miejscu krótko, przejazdem, a nie dla chcących tam zamieszkać.

Spróbowałem sobie wyobrazić, jak żyję w Grecji z kobietą dawniej zwaną Kretą Kano. Jakie będziemy tam prowadzić życie? W jakim domu zamieszkamy i co będziemy jedli? Co zrobimy po wstaniu? Na jakich rozmowach upłynie nam dzień? I ile miesięcy czy lat będzie to trwało? Lecz w wyobraźni nie powstawał żaden obraz. Znane mi konkretne obrazy Grecji pochodziły z filmów *Nigdy w niedzielę* i *Chłopiec na delfinie*, ale te filmy miały już po dwadzieścia czy trzydzieści lat.

Pomyślałem jednak, że mogę pojechać na Kretę bez względu na to, jak tam jest. Mogę tak czy inaczej pojechać na Kretę i żyć z kobietą dawniej zwaną Kretą Kano. Przenosiłem wzrok z le-



żących na stole przewodników na stojącą obok nowiutką walizkę. Były to moje możliwości, które przybrały konkretne kształty. Specjalnie przyjechałem do centrum i kupiłem przewodniki oraz walizkę, chcąc, aby te możliwości przybrały widoczny kształt. Im dłużej na nie patrzyłem, tym bardziej nęcące mi się zdawały. Mogę wszystko porzucić i odejść stąd z jedną walizką. To proste.

Jeżeli zostanę w Japonii, będę mógł jedynie siedzieć w domu i czekać na powrót Kumiko. Nie, Kumiko przecież nie wróci. Wyraźnie napisała, żebym na nią nie czekał i nie szukał jej. Oczywiście mam prawo dalej czekać, bez względu na to, co mówi, lecz w ten sposób sam zmarnieję. Stanę się jeszcze bardziej samotny, bardziej zagubiony, bardziej bezsilny. Problem polegał na tym, że nie byłem tu nikomu potrzebny.

Prawdopodobnie powinienem po prostu pojechać na Kretę z siostrą Malty Kano. Tak jak powiedziała, jest to pewnie najlepsze rozwiązanie i dla niej, i dla mnie. Jeszcze raz przyjrzałem się stojącej obok walizce. Wyobraziłem sobie, jak z tą walizką w rękę wysiadam razem z siostrą Malty Kano na lotnisku Iraklion (tak się nazywało lotnisko na Krecie). Wyobraziłem sobie, jak mieszkamy w jakiejś wiosce, jemy ryby i pływamy w błękitnym morzu. Lecz gdy snułem tak te oderwane, przypominające kolorowe widokówki marzenia, poczułem, jak w piersi rośnie mi stopniowo twarda gula. Idąc z nową walizką w rękę ulicą w Shinjuku, dokąd tłumy ściągają na zakupy, miałem ciągle wrażenie, że coś utkwilo mi w tchawicy i utrudnia oddychanie. Zdawało mi się, że nie panuję w pełni nad ruchami własnych kończyn.

Szedłem ulicą, gdy nagle niechcący silnie uderzyłem walizką nadchodzącego z przeciwka mężczyznę. Był potężnie zbudowany, młody, w szarym podkoszulku i czapce baseballowej. W uszach miał słuchawki od walkmana. Walizka trafiła go w nogę. Przeprosiłem go, mówiąc „przepraszam bardzo”, lecz on w milczeniu poprawił czapkę i zdecydowanie uderzył mnie prostym ciosem w pierś. Było to zupełnie nieoczekiwane, więc zachwi-

ałem się, przewróciłem i uderzyłem głową o ścianę domu. Mężczyzna upewnił się, że upadłem, i oddalił się z obojętnym wyrazem twarzy. Przez chwilę chciałem za nim pobiec, ale po namyśle zrezygnowałem. Nie było sensu. Podniosłem się, westchnąłem i otrzepałem spodnie z kurzu. Potem chwyciłem walizkę. Ktoś podał mi przewodniki, które upuściłem. Była to staruszka w okrągłym kapelusiku prawie bez ronda. Miał bardzo dziwny kształt. Podając mi książki, w milczeniu leciutko pokręciła głową. Patrząc na współczującą twarz i kapelusik staruszki, nagle, nie wiadomo dlaczego, przypomniałem sobie ptaka nakręcacza, który ukrył się gdzieś w głębi lasu.

Przez pewien czas bolała mnie głowa, ale nie krwawiłem, miałem tylko małego guza z tyłu. Pomyślałem, że zamiast się tu włóczyć, lepiej wrócić wcześniej do domu. Musiałem wrócić do tej cichej uliczki.

Chcąc się uspokoić, kupiłem gazetę i dropsy cytrynowe w kiosku na dworcu. Wyjąłem z kieszeni portmonetkę, zapłaciłem i z gazetą pod pachą ruszyłem w stronę peronów, gdy usłyszałem za sobą kobiecy głos.

- Hej! Proszę pana! Wysoki! - wołała. - Wysoki pan ze znamieniem na twarzy!

Chodziło o mnie. Wołała sprzedawczyni z kiosku. Wróciłem, nie wiedząc, o co chodzi.

- Zapomniał pan reszty - powiedziała i podała mi resztę z tysiąca jenów. Podziękowałem i przyjąłem pieniądze.

- Przepraszam, że powiedziałam o znamieniu - dodała. - Wypsnęło mi się, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

Potrząsałem głową i skrzywiłem twarz w lekkim uśmiechu, jakby mówiąc, że nie szkodzi.

Patrzyła na mnie.

- Jest pan bardzo spocony. Dobrze się pan czuje? Nie jest panu słabo?

- Spocilem się, idąc, bo gorąco. Dziękuję - powiedziałem.

Wsiadłem do pociągu i zacząłem czytać gazetę. Dopiero teraz

się zorientowałem, że już dawno nie miałem w rękach gazety. Czasami Kumiko, gdy przyszła jej ochota, w drodze do pracy kupowała w kiosku na dworcu poranne wydanie i potem przynosiła je dla mnie do domu. Następnego ranka czytałem tę gazetę z poprzedniego dnia, szukając tylko ogłoszeń o pracy. Po odejściu Kumiko nikt nie przynosił mi już gazety.

Nic mnie nie zainteresowało. Przejrzałem gazetę od pierwszej do ostatniej strony i nie znalazłem niczego, co miałem ochotę przeczytać, więc złożyłem gazetę i przyglądając się po kolei wiążącym w wagonie reklamom najnowszych wydań czasopism, zauważyłem nazwisko Noboru Watai. Dość dużą czcionką napisano: „Poruszenie wywołane pojawieniem się pana Noboru Watai na scenie politycznej”. Przez dłuższą chwilę przyglądałem się słowom „Noboru Watai”. Jednak naprawdę ma zamiar to zrobić. Naprawdę ma zamiar zostać politykiem. Pomyślałem, że choćby dlatego warto wyjechać z Japonii.

Z pustą walizką wsiałem do autobusu i wróciłem do domu. Dom przypominał pustą skorupę, ale i tak poczułem ulgę, gdy się w nim znalazłem. Odpocząłem trochę, a potem poszedłem do łazienki wziąć prysznic. Nie było tu już śladów Kumiko. Szczotka do zębów, czepek kąpielowy, kosmetyki, wszystko zniknęło. Nie suszyły się już rajstopy ani bielizna, nie było też jej szampynu.

Wyszedłem z łazienki i wycierając się, pomyślałem, że być może powinienem był kupić ten tygodnik z artykułem o Noboru Watai. Stopniowo coraz bardziej nie dawało mi spokoju, co tam może być napisane. Pokręciłem głową. Skoro chce zostać politykiem, niech zostanie. W tym kraju każdy, kto chce zostać politykiem, ma do tego prawo. Po odejściu Kumiko mój związek z Noboru Watayą został praktycznie zerwany i nie obchodzi mnie, co go dalej czeka. Tak samo jak jego nie obchodzi, co spotka mnie. To świetnie. Od początku powinno tak być.

Nie mogłem jednak odpędzić myśli o tej reklamie tygodnika. Spędziłem całe popołudnie na porządkowaniu szafy i kuchni,

lecz choć byłem zajęty i myślałem o innych rzeczach, duże drukowane litery reklamy „Noboru Watai” unosiły się przede mną, jak powidok pozostały na siatkówce oka. Zupełnie jak daleki odgłos telefonu dochodzący przez ścianę z sąsiedniego mieszkania. Nikt nie odbierał, więc dzwonił w nieskończoność. Starłem się udawać, że to nieprawda, że nie słyszę. Ale nic z tego. W końcu poddałem się, poszedłem do pobliskiego sklepu i kupiłem tygodnik.

Usiadłem na krześle w kuchni i popijając mrożoną herbatę, przeczytałem artykuł. Pisano, że pan Noboru Wataya, ekonomista i komentator, konkretnie zastanawia się nad kandydowaniem do niższej izby parlamentu z okręgu X w prefekturze Niigata. Zamieścili też szczegółowy życiorys.

Wykształcenie, publikacje, działalność w środkach masowego przekazu w ciągu ostatnich kilku lat. Pan Yoshitaka Wataya, poseł z okręgu X, był jego stryjem. Ogłosił ostatnio, że zamierza zrezygnować z mandatu z przyczyn zdrowotnych, a ponieważ nie ma innych obiecujących, wpływowych następców, ostatnio słyszy się opinie, że jeżeli wszystko dobrze pójdzie, bratanek, Noboru Wataya, odziedziczy jego okręg wyborczy. Pisano, że jeżeli Noboru Wataya będzie kandydował, niewątpliwie wygra wybory z powodu silnej pozycji obecnego posła Watai, a także własnej inteligencji i młodości. „Prawdopodobieństwo, że pan Noboru będzie kandydował, jest około 95%. Jeszcze trzeba wynegocjować szczegóły, ale sam pan Wataya też się do tego zapalił, więc będzie, co ma być” - mówiła „wpływową osobą” na miejscu. Była też dość długa rozmowa z Noboru Wataya. Powiedział, że jeszcze nie podjął formalnej decyzji o kandydowaniu, ale rzeczywiście jest o tym mowa. Ma swoje własne poglądy i choć zaproponowano mu, żeby kandydował, nie jest to takie proste, że wystarczy powiedzieć: rozumiem, dobrze, zgadzam się. Być może to, czego sam oczekuje od polityki, znacznie różni się od tego, czego oczekuje się od niego. Dlatego teraz będą stopniowo odbywały się rozmowy i spróbuje się wszystko dopa-

sować. Jeżeli dojdzie do porozumienia obu stron i rzeczywiście będzie kandydował w wyborach, zamierza za wszelką cenę wygrać, a i potem nie ma zamiaru być tylko nowym, nic nieznaczącym posłem. Skończył dopiero trzydzieści siedem lat i jeśli teraz wkroczy na drogę polityki, ma przed sobą jeszcze długą karierę. Posiada wizję i siłę, by ludzi do niej przekonać. Będzie prawdopodobnie działał, opierając się na dalekowzrocznej strategii i perspektywie. Na razie jego celem jest najbliższych piętnaście lat. Przed końcem dwudziestego wieku koniecznie musi osiągnąć pozycję, która umożliwi przyspieszenie stworzenia jednoznacznej tożsamości państwa japońskiego. To jest jego główny cel. Pragnie doprowadzić Japonię do osiągnięcia pewnego modelu politycznego i kulturalnego, wydobywając ją ze stanu obecnej politycznej peryferyjności. Innymi słowy, chce przebudować ramy państwa japońskiego. Odrzucenie hipokryzji, kierowanie się logiką i etyką. Potrzebny jest konkretny jasny obraz, a nie mgliste sformułowania i retoryka, która do niczego nie prowadzi. Przyszły czas, kiedy trzeba stworzyć taki jasny obraz, i obecnie od polityków stanowczo wymaga się właśnie osiągnięcia takiej państwowej, narodowej jedności. Pozbawiona ideologii polityka, jaką mamy obecnie, wkrótce zmieni ten kraj w stworzenie podobne do olbrzymiej meduzy, rzucanej z miejsca na miejsce i unoszonej siłą prądu. Nie jest zainteresowany idealizmem ani marzeniami. Mówi jedynie o tym, co musi być zrobione, a co musi być zrobione, musi być zrobione, bez względu na wszystko. Ma w tym celu specjalny plan strategiczny, który prawdopodobnie zostanie stopniowo zaprezentowany wraz z rozwojem sytuacji.

Artykuł zdawał się zasadniczo sympatyzować z Noboru Watayą. Pan Noboru Wataya jest wybitnym komentatorem politycznym i ekonomicznym i jego elokwencja jest znana od dawna. Młody, zdolny, pewnie czeka go obiecująca przyszłość jako polityka. W tym sensie można chyba powiedzieć, że dalekowzroczna strategia, o której wspomina, nie jest jedynie marzeniem,

a ma realne podstawy. Wielu wyborców z radością powita jego kandydaturę. Fakt, że się rozwiódł i nie jest żonaty, może stanowić niewielki problem w konserwatywnym okręgu wyborczym, lecz jego młodość i zdolności na pewno z nawiązką zrekompensują ten brak. Zdobędzie też pewnie wiele głosów kobiecych. Artykuł kończył się nieco kwaśnym stwierdzeniem: „To wszystko prawda, lecz można także spytać, czy fakt, że pan Noboru Wataya ma po prostu odziedziczyć bazę wyborczą stryja, nie jest korzystaniem z pozbawionej ideologii polityki, którą sam krytykuje. Choć jego szlachetne poglądy polityczne mają siłę przekonywania, dopiero zobaczywszy, jakie podejmie działania, będziemy mogli ocenić, jak sprawdzają się w rzeczywistości”.

Po przeczytaniu artykułu wyrzuciłem tygodnik do kosza na śmieci. Potem włożyłem do walizki ubrania i inne drobiazgi, które mogły się przydać na Krecie. Nie miałem pojęcia, jak zimna jest kreteńska zima. Sądząc z mapy, wyspa położona jest tuż obok Afryki, lecz nawet w Afryce w niektórych miejscach zimą robiło się dość chłodno. Wyjąłem skórzaną kurtkę i włożyłem ją do walizki. Dołożyłem dwa swetry i dwie pary spodni. Dwie koszule z długimi rękawami i trzy z krótkimi. Tweedową marynarkę. Podkoszulki i szorty. Skarpetki i bieliznę. Czapkę i okulary przeciwsłoneczne. Kąpielówki. Ręcznik. Podróżny zestaw do prania. Po włożeniu tego wszystkiego walizka wypełniła się zaledwie do połowy, lecz nie przychodziło mi do głowy nic innego, co mogło być potrzebne.

Zamknąłem na razie walizkę i nagle uświadomiłem sobie, że mam zamiar wyjechać. Zamierzam opuścić ten dom, opuścić Japonię. Ssąc dropsa cytrynowego, przyglądałem się przez chwilę nowej walizce. Pomyślałem, że odchodząc, Kumiko nie wzięła nawet walizki. Odeszła stąd w pogodny letni ranek z torebką na ramię oraz bluzką i spódnicą odebranymi z pralni przed dworcem. Miała jeszcze mniej bagażu niż ja w tej walizce.

Potem pomyślałem o meduzach. Noboru Wataya powiedział, że „pozbawiona ideologii polityka, jaką mamy obecnie, wkrótce

zmieni ten kraj w stworzenie podobne do olbrzymiej meduzy, rzucanej z miejsca na miejsce i unoszonej siłą prądu". Czy Noboru Wataya obserwował kiedyś z bliska prawdziwą meduzę? Pewnie nie. A ja - co prawda niechętnie - obserwowałem wtedy w akwarium, dotrzymując towarzystwa Kumiko, i widziałem na własne oczy meduzy z całego świata. Kumiko zatrzymywała się przed każdym małym akwarium i prawie bez słowa podziwiała spokojne, subtelne ruchy meduz. Zdawało się, że zupełnie zapomniała o moim istnieniu, mimo że była to nasza pierwsza randka.

Zgromadzono tam naprawdę rozmaite rodzaje meduz - o różnych kształtach i rozmiarach. Widzieliśmy meduzy przypominające grzebień, ogórki, pasy, duchy, meduzy wyglądające jak czysta woda... Kumiko była nimi całkowicie pochłonięta. Kupiłem potem album o meduzach i sprezentowałem jej. Noboru Wataya pewnie nie wie, że niektóre meduzy mają kości, a nawet mięśnie. Oddychają tlenem, wydalają. Mają spermatozoidy i jajeczka. Za pomocą macek i czasz pięknie się poruszają. Nie są po prostu unoszone prądem. Nie bronię bynajmniej meduz, ale i one mają swoją własną wolę życia.

Panie Noboru Wataya, pomyślałem, możesz sobie zostać politykiem. To oczywiście twoja wolna wola, nie mogę się do tego wtrącać, lecz pozwolę sobie powiedzieć, że mylisz się, używając niezbyt trafnych porównań i obrażając meduzy.

Po dziewiątej wieczorem nagle zadzwonił telefon, ale przez pewien czas nie odbierałem. Przyglądając się dzwoniącemu na stoliku aparatowi, zastanawiałem się, kto może dzwonić. Kto i czego tym razem chce?

Wkrótce domyśliłem się, kto to. Tamta kobieta od telefonów. Z jakiejś przyczyny byłem tego pewny. Dzwoni z tego dziwnego, ciemnego pokoju. Nawet teraz wypełnia go ciężki zapach kwiatów i jej gwałtowne požądanie. „Zrobię, co będzie pan chciał. Nawet to, czego nie robi dla pana żona". W końcu nie podniosłem słuchawki. Telefon umilkł po dziesięciu dzwon-

kach, znowu się odezwał, zadzwonił dwanaście razy i umilkł. Cisza była głębsza niż przedtem. Głośno biło mi serce. Długo przyglądałem się własnym palcom. Wyobrażałem sobie, jak krew pompowana z serca powoli dopływa aż do czubków. Potem spokojnie ukryłem twarz w dłoniach i głęboko westchnąłem.

W cichym w pokoju rozlegało się tylko suche tykanie zegara. Poszedłem do sypialni, usiadłem na łóżku i jeszcze raz popatrzyłem na nową walizkę. Kreta, pomyślałem. Bardzo mi przykro, lecz jednak pojedę na Kretę. Zmęczyło mnie trochę życie tutaj pod nazwiskiem Toru Okada. Głośno powiedziałem:

- Ja, dawniej zwany Toru Okada, postanawiam pojechać na Kretę z kobietą, dawniej zwaną Kretą Kano. - Nie wiedziałem, do kogo się zwracam. Do kogoś.

Zegar odmierzał czas tik-tak, tik-tak, tik-tak. Zdawało się, że ten dźwięk rozlega się w tym samym rytmie co bicie mego serca.

## **16. O jedynej złej rzeczy, jaka zdarzyła się w domu May Kasahary, i o studiach May Kasahary nad galaretowatym źródłem ciepła**

- Halo, panie Ptaku Nakręcaczu - powiedział kobiecie głos. Przyciskając słuchawkę do ucha, spojrzałem na zegarek. Czwarta po południu. Kiedy zadzwonił telefon, spałem na kanapie, pocąc się obficie. Był to krótki nieprzyjemny sen. Pozostało po nim wrażenie, jakby podczas snu ktoś ciągle mi siedział na pierśsi. Ten ktoś czekał, aż usnę, potem podszedł, przysiadł mi na pierśsi i zniknął na chwilę przed moim obudzeniem.

- Halo - powiedziała kobieta cicho, jakby szeptem. Zdawało się, że głos dociera do mnie przez rozrzedzone powietrze. - Mówi May Kasahara.

- Cześć - powiedziałem. Mięśnie ust jeszcze się nie rozruszały, więc nie wiem, jak to w jej uszach zabrzmiało. Ja w każdym razie próbowałem powiedzieć „cześć”. Może wyszedł mi



tylko zwykły jęk.

- Co pan robi? - zapytała podejrzliwie.

- Nic - odpowiedziałem.

Potem odsunąłem słuchawkę i odchrząknąłem.

- Nic nie robię. Drzemałem.

- Obudziłam pana?

- Tak, obudziłaś, ale nic nie szkodzi. To przecież tylko drzemka. Odezwała się dopiero po chwili, jakby się wahała. - Panie Ptaku Nakręcaczu, nie mógłby pan do mnie wpaść?

Zamknąłem oczy. Pod powiekami widziałem unoszące się w ciemności różne kolory i kształty.

- Mogę wpaść.

- Leżę w ogrodzie i opalam się, więc proszę wejść od strony ogrodu.

- Dobrze.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, gniewa się pan na mnie?

- Sam nie wiem - powiedziałem. - Tak czy inaczej teraz wezmę prysznic, przebiorę się i przyjdę do ciebie. Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

Najpierw przez pewien czas stałem pod zimnym prysznicem i dopiero, kiedy rozjaśniło mi się w głowie, wzięłem gorący. Na koniec jeszcze raz polełem się zimną wodą. Obudziłem się dzięki temu, lecz wrażenie ociężałości nie minęło. Czasami drżały mi nogi i kilka razy chwyciłem się wieszaka na ręczniki, musiałem też przysiąść na brzegu wanny. Może jestem bardziej zmęczony, niż mi się zdawało. Myjąc głowę z guzem, myślałem o młodym mężczyźnie, który powalił mnie uderzeniem. Nie rozumiałem znaczenia tego wydarzenia. Co popycha ludzi do takich zachowań? Zdarzyło się to zaledwie wczoraj, lecz miałem wrażenie, że minął już tydzień albo dwa.

Wyszedłem spod prysznica, wytarłem się, umyłem zęby i przejrzałem się w lustrze. Na prawym policzku dalej widniało sine znamię. Nie było ani ciemniejsze, ani jaśniejsze niż przedtem. Białka oczu przecinały drobne, czerwone żyłki, oczy były

podkrążone. Policzki zapadły się, włosy były trochę za długie. Wyglądałem jak świeży trup, który przed chwilą zmartwychwstał, odwalił ziemię i wyszedł z grobu.

Włożyłem czysty podkoszulek i szorty, czapkę, ciemne okulary i wyszedłem na uliczkę. Gorący dzień jeszcze nie dobiegł końca. Wszystkie bez wyjątku żywe i namacalne stworzenia oraz przedmioty dyszały i wyczekiwały nadejścia zmierzchu, lecz na niebie nie było ani jednej chmurki. Nie było też wiatru i uliczkę wypełniało nieruchome upalne powietrze. Jak zwykle nikogo po drodze nie spotkałem. W taki upalny dzień, z taką straszną twarzą nie chciałem się z nikim widzieć.

W ogrodzie pustego domu stał kamienny ptak i z dziobem do góry niezmiennie gapił się w niebo. Wyglądał na znacznie brudniejszego i bardziej zmęczonego niż ostatnim razem. W jego oczach też dostrzegłem jakby większe napięcie. Wyteżając wzrok, zdawał się wpatrywać w coś wyjątkowo ponurego, unoszącego się na niebie. Chciał odwrócić wzrok, lecz było to niemożliwe. Oczy miał unieruchomione i musiał patrzeć. Otaczające posąg wysokie chwasty stały nieruchome jak chór w greckiej tragedii i z zapartym tchem czekały, aż przemówi wyrocznia. Antena telewizyjna na dachu apatycznie wyciągała w tej duchocie srebrne czułki. W intensywnym letnim świetle wszystko zdawało się wyschnięte i wyczerpane.

Popatrzyłem przez chwilę na opuszczony dom, a potem wszedłem do ogrodu May Kasahary. Dąb rzucał na ziemię chłodny cień, lecz ona siedziała na leżaku w intensywnym słońcu, unikając cienia. Miała na sobie przerażająco skąpe czekoladowe bikini, składające się z kawałków materiału powiązanych sznureczkami. Poważnie wątpiłem, czy w czymś takim można się w ogóle kąpać. Miała te same okulary przeciwsłoneczne, co przy naszym pierwszym spotkaniu, a na jej twarzy widniały duże krople potu. Pod leżakiem leżały: biały ręcznik, buteleczka olejku do opalania i kilka czasopism. Były tam dwie puszki po sprucie, lecz jedna z nich służyła chyba jako popielniczka. Na trawniku

leżał wąż z rozpryskiwaczem. Ktoś go pewnie używał, a potem rzucił byle jak. Gdy się zbliżyłem, May Kasahara podniosła się na leżaku i wyciągnawszy rękę, wyłączyła radio. Była znacznie bardziej opalona niż ostatnim razem. Nie była to opalenizna w rodzaju tych złapanych w czasie weekendu nad morzem, a piękny, wspaniały brąz pokrywający całe ciało, od płatek uszu do palców u nóg. Pewnie codziennie się tu opala. Opalała się nawet, gdy byłem w studni. Rozejrzałem się dookoła. Ogród wyglądał mniej więcej tak jak przedtem: duży, starannie przystrzyżony trawnik, oczko wodne pozbawione wody, tak wyschnięte, że od samego patrzenia na nie zasychało w gardle.

Usiadłem na leżaku obok niej i wyjąłem z kieszeni dropy cytrynowe. Z powodu gorąca przykleiły się do papierka.

May Kasahara przyglądała mi się przez chwilę, nic nie mówiąc.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, skąd się wzięło to znamię? To jest znamię, prawda?

- Tak, chyba znamię. Nie wiem, skąd się wzięło. Kiedy je zauważyłem, już je miałem.

May Kasahara usiadła prosto na leżaku i spojrzała mi w oczy. Potem starła pot, który zebrał się koło nosa i poprawiła okulary. Jej oczy były prawie niewidoczne za ciemnymi szklami.

- Niczego się pan nie domyśla? Skąd się to panu wzięło?

- Zupełnie się nie domyślam.

- Zupełnie?

- Kiedy po wyjściu ze studni po pewnym czasie spojrzałem w lustro, już je miałem. Naprawdę.

- Boli pana?

- Nie boli ani nie swędzi. Trochę jest tylko ciepło.

- Był pan u lekarza?

Potrząsnąłem głową.

- Myślę, że nie ma sensu chodzić do lekarza.

- Może i tak - powiedziała May Kasahara. - Ja też nie lubię lekarzy.

Zdjąłem czapkę, okulary przeciwsłoneczne, wyjąłem chusteczkę i otarłem pot z twarzy. Moja szara koszulka zrobiła się pod pachami czarna od potu.

- Ładny kostium - powiedziałem.

- Dziękuję.

- Zrobiony chyba z jakichś ścinków. Bardzo efektywne wykorzystanie ograniczonych surowców.

- Kiedy nie ma nikogo w domu, zawsze zdejmuję górę.

- No, no - powiedziałem.

- Co prawda za wiele się pod nią nie kryje - dodała, jakby się tłumaczyła. Rzeczywiście widoczne pod kostiumem piersi były drobne i jeszcze nierozwinięte.

- Pływałaś kiedyś w tym? - zapytałem.

- Nie. Ja w ogóle nie umiem pływać. A pan?

- Umie.

- Jak daleko?

Obróciłem językiem dropa cytrynowego.

- Bardzo daleko.

- Nawet dziesięć kilometrów?

- Pewnie tak. - Wyobraziłem sobie, jak pływam w morzu na Krecie. Bardzo biały piasek i morze o kolorze intensywnym jak wino, było napisane w przewodniku. Nie potrafiłem sobie wyobrazić morza o kolorze intensywnym jak wino, ale brzmiało to niezłe. Znowu otarłem pot z twarzy. - Nikogo nie ma w domu?

- Wczoraj wszyscy pojechali do domku letniego na Izu\*. Tylko na weekend, popływać. Wszyscy to znaczy rodzice i młodszy brat.

- Ty nie pojechałaś?

Leciutko wzruszyła ramionami. Wyjęła spod ręcznika papirosy i zapalki i zapaliła.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, wygląda pan strasznie.

- Przez kilka dni siedziałem w ciemnej studni, nie mając prawie nic do jedzenia i picia. To zrozumiałe, że strasznie wyglą-

---

\* Izu - malowniczy półwysep położony na południowy wschód od Tokio.

dam.

May Kasahara zdjęła okulary przeciwsłoneczne i odwróciła się ku mnie. Koło oka nadal miała głęboką bliznę.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, gniewa się pan na mnie?

- Sam nie wiem. Zdaje mi się, że zanim się na ciebie rozgniewam, muszę wiele rzeczy przemyśleć.

- Żona wróciła?

Potrząsnąłem głową.

- Niedawno dostałem list. Pisze, że już nie wróci. A skoro Kumiko mówi, że już nie wróci, to znaczy, że już nie wróci.

- Jak raz podejmiemy decyzję, tak łatwo jej nie zmienia?

- Nie zmienia.

- Biedny pan Ptak Nakręcacz - powiedziała May Kasahara. Uniosła się, wyciągnęła rękę i lekko dotknęła mego kolana. - Biedny, biedny pan ptak Nakręcacz. Pewnie mi pan nie uwierzy, ale ja naprawdę miałam zamiar na koniec wyciągnąć pana z tej studni. Chciałam tylko trochę panu dokuczyć, postraszyć. Żeby się pan zląkł i zaczął krzyczeć. Chciałam zobaczyć, kiedy straci pan panowanie nad sobą i wpadnie w popłoch.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc tylko skinąłem w milczeniu głową.

- Myślał pan, że naprawdę pozwolę tam panu umrzeć?

Zwinąłem w kulkę papierek po dropsie cytrynowym.

- Nie byłem pewien. To, co mówiłaś, brzmiało jakbyś mówiła poważnie, ale brzmiało też jak czcza groźba. Kiedy rozmawia się z dna studni z kimś na górze, głos tej osoby brzmi bardzo dziwnie i trudno uchwycić, co naprawdę wyraża. Ale nie o to chodzi, co jest prawdą, a co nie. Rzeczywistość składa się z kilku warstw. Być może w tamtej rzeczywistości naprawdę chciałaś pozwolić mi umrzeć, a w tej naprawdę nie chciałaś, żebym umarł. Sprawa sprowadza się więc do tego, którą rzeczywistość przyjmiesz i którą ja przyjmę.

Włożyłem zwinięty w kuleczkę papierek po dropsie do puszki po spracie.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, mam do pana prośbę - powiedziała May Kasahara i wskazała leżący na trawie wąż. - Czy mógłby pan mnie poleć z tego węża? Jak się co pewien czas nie poleję, miesza mi się w głowie od upału.

Wstałem z leżaka, wszedłem na trawnik i podniosłem niebieski plastikowy wąż. Był ciepły i miękki. Odkręciłem ukryty wśród krzewów kurek i puściłem wodę. Na początku płynęła nieomal gorąca, ponieważ nagrzała się wewnątrz węża, lecz wkrótce stawała się coraz chłodniejsza, aż popłynęła zimna. Polełem silnym strumieniem leżącą na trawniku May Kasaharę.

Leżała spokojnie z zamkniętymi oczami.

- Strasznie zimna i przyjemna. Pan też powinien się trochę poleć.

- Nie mam na sobie kąpielówek - powiedziałem, ale polewana May Kasahara wyglądała na naprawdę zadowoloną i upał stawał się trudny do zniesienia.

Zdjąłem przepocony podkoszulek, schyliłem się i polełem się wodą, zaczynając od głowy. Przy okazji nabrałem wody do ust i wypilem. Była zimna i smaczna.

- Czy to jest woda ze studni? - zapytałem.

- Tak, mamy tu pompę. Zimna i przyjemna, prawda? Nadaje się też do picia. Niedawno był ktoś z wydziału sanitarnego, sprawdził jakość wody i powiedział, że jest absolutnie w porządku i że trudno dziś w Tokio o taką czystą wodę. Był bardzo zdziwiony. No, ale jakoś się boimy ją pić. Domy stoją tu jeden przy drugim i nie wiadomo, kiedy może coś się do tej wody dostać.

- Właściwie to dziwne, bo studnia w domu państwa Miyawaki całkowicie wyschła, a tutaj ciągle czerpiecie świeżą wodę. Dzieli was tylko wąska uliczka, więc skąd taka różnica?

- Ciekawe, dlaczego tak jest - powiedziała May Kasahara, przechylając głowę. - Pewnie z jakiegoś powodu trochę przesunęła się żyła wodna, tamta studnia wyschła, a ta nie. Nie wiem dokładnie dlaczego.

- Czy w waszym domu nie stało się nic złego? - zapytałem.

May Kasahara skrzywiła się i pokręciła głową.

- Jedyna zła rzecz, jaka wydarzyła się w tym domu przez ostatnich dziesięć lat, to bezbrzeżna nuda.

W kilka minut po polaniu wodą May Kasahara wytarła się ręcznikiem i zapytała, czy nie napiłbym się piwa. Powiedziałem, że chętnie. Przyniosła z domu dwie puszki zimnego heinekena. Ona wzięła jedną, ja drugą.

- Co ma pan zamiar teraz zrobić?

- Jeszcze całkowicie nie zdecydowałem, co zrobię - powiedziałem. - Ale prawdopodobnie się stąd wyprowadzę. A może wyjadę z Japonii.

- Wyjedzie pan z Japonii i dokąd pojedzie?

- Na Krete.

- Na Krete? Czy to ma jakiś związek z tamtą kobietą, tą Kretą Jakaśtam?

- Trochę ma.

May Kasahara rozmyślała nad tym przez chwilę.

- Czy to ta pani Kreta Jakaśtam wyciągnęła pana ze studni?

- Kreta Kano - powiedziałem. - Tak, Kreta Kano wyciągnęła mnie ze studni.

- Musi pan mieć wielu przyjaciół.

- Nie tak wielu. Jestem raczej znany z tego, że mam niewielu przyjaciół.

- A jak się ta pani Kreta Kano dowiedziała, że jest pan w studni? Przecież pan chyba nikomu nie powiedział, że się tam wybiera? Jak się dowiedziała, gdzie pan jest?

- Nie wiem - odparłem. - Nie mam pojęcia.

- W każdym razie jedzie pan na Krete?

- Jeszcze nie zdecydowałem, że jadę, ale powiedzmy, że jest taka możliwość.

May Kasahara włożyła do ust papierosa i zapaliła. Dotknęła koniuszkiem małego palca blizny obok oka.

- Kiedy siedział pan w studni, zwykle leżałam tu na słońcu.

Stąd spoglądałam na ogród opuszczonego domu, opalałam się i myślałam o panu na dnie studni. Że tam jest pan Ptak Nakręcacz. Że w ciemności jest pan coraz głodniejszy i po trochu zbliża się pan ku śmierci. Nie może pan stamtąd wyjść, nikt poza mną nie wie, że pan tam jest. Gdy o tym myślałam, strasznie wyraźnie czułam pana cierpienie, niepokój, strach. Rozumie pan? Zdawało mi się, że dzięki temu strasznie się do pana zbliżyłam. Naprawdę nie chciałam pana uśmiercić. Naprawdę. Ale chciałam się jeszcze dalej posunąć. Aż do samej krawędzi. Żeby się pan trząsł, był śmiertelnie przerażony i myślał, że już dłużej pan tego nie zniesie. Myślałam, że tak będzie lepiej dla mnie i dla pana.

- Ale ja myślę, że jeżeli rzeczywiście posunęłabyś się do samej krawędzi, być może przypadkiem zachciałoby ci się dojść do końca. Może to było znacznie prostsze, niż przypuszczałaś. Jak się już doszło dotąd, wystarczy tylko raz lekko popchnąć. A potem pomyślałabyś, że w końcu tak było lepiej dla mnie i dla ciebie - powiedziałam i wypilem łyk piwa.

May Kasahara zamyśliła się, przygryzając wargi.

- Może tak by się stało - odparła po chwili. - Sama nie wiem.

Wypilem ostatni łyk piwa i wstałem. Włożyłem okulary przeciwsłoneczne, wciągnąłem przez głowę wilgotną od potu koszulkę.

- Dziękuję za piwo.

- Panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała May Kasahara. - Wczoraj po odjeździe rodziny zeszałam do tamtej studni. Siedziłam tam łącznie z pięć albo sześć godzin.

- To znaczy, że to ty odczepiłaś i zabrałaś drabinkę?

May Kasahara lekko się skrzywiła.

- Tak, ja ją zabrałam.

Spojrzałem na trawnik w ogrodzie. Z nasiąkniętego wodą gruntu unosiła się para wyglądająca jak drżące powietrze wywołane upałem. May Kasahara zgasiała papierosa, wpychając go do puszeki po sprucie.



- Przez pierwsze dwie czy trzy godziny nie czułam nic szczególnego. Oczywiście, ponieważ jest tam tak ciemno, czułam się trochę nieswojo, ale nie byłam szczególnie wystraszona czy przerażona. Nie należę do dziewczyn, które z byle powodu od razu piszczą ze strachu. Myślałam tylko, że jest po prostu ciemno. Pan Ptak Nakręcacz był tu przecież kilka dni, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, nie ma powodu do strachu. Ale gdy minęły dwie czy trzy godziny, przestałam siebie poznawać. Siedząc nieruchomo w ciemności, poczułam, że coś we mnie wzbiera. Tak jak korzenie drzewa rosnące w doniczce w końcu tę doniczkę rozsadzają, zdawało mi się, że to coś w środku może tak urosnąć, że na koniec mnie rozerwie. Coś, co w świetle słonecznym siedziało we mnie spokojnie, jakby wysssało z ciemności jakąś specjalną pożywkę i zaczęło rosnać z przerażającą szybkością. Starłam się jakoś to powstrzymać, lecz nie mogłam. I wtedy zaczęłam się okropnie bać. Po raz pierwszy w życiu tak się bałam. Miałam w sobie galaretowatą masę białego tłuszczu, która ogarniała mnie, próbowała mnie pożreć. Panie Ptaku Nakręcaczu, ta galareta na początku była naprawdę malutka.

Zacisnęła na chwilę usta i patrzyła na swoje dłonie, jakby przypominała sobie te chwile.

- Naprawdę się bałam - powiedziała. - Pewnie chciałam, żeby pan też coś takiego poczuł. Chciałam, żeby usłyszał pan, jak panna ze chrzęstem gryzie i zjada.

Usiadłem na leżaku i spojrzałem na ciało May Kasahary okryte skąpym kostiumem kąpielowym. Miała szesnaście lat, lecz jej ciało było ciągle ciałem trzynasto- lub czternastolatki. Piersi i biodra jeszcze się porządnie nie rozwinęły. Przypominała mi zadziwiająco realistyczny rysunek, nakreślony minimalną liczbą kresek. Jednocześnie było w niej coś ze staruszki.

- Czy czułaś kiedyś, że zostałaś zbrukana? - nagle przyszło mi do głowy, żeby ją o to zapytać.

- Zbrukana? - Patrzyła na mnie nieco przymrużonymi oczami.

- Chodzi panu o zbrukanie ciała? O coś takiego?

- W sensie cielesnym albo duchowym.

May Kasahara spojrzała na swoje ciało, a potem zwróciła wzrok ku mnie.

- W sensie cielesnym nie. Przecież jestem jeszcze dziewicą. Pozwoliłam chłopakowi dotknąć piersi, ale tylko przez ubranie.

W milczeniu przytaknąłem.

- Nie wiem, co powiedzieć o sensie duchowym. Nie bardzo rozumiem, co ma znaczyć duchowe zbrukanie.

- Ja też nie bardzo umiem to wytłumaczyć. Po prostu pytałem, czy tak czułaś, czy nie. Jeżeli nie czujesz, to pewnie znaczy, że nie zostałam zbrukana.

- Dlaczego pyta pan mnie o coś takiego?

- Bo kilka z moich znajomych osób tak się czuje. I z tego rodzą się różne skomplikowane problemy. Chciałem cię o coś innego zapytać. Dlaczego ty zawsze tyle myślisz o śmierci?

Włożyła do ust papierosa i jedną ręką zręcznie zapaliła zapalniczkę. Potem włożyła okulary przeciwsłoneczne.

- A pan nie myśli nigdy o śmierci?

- Oczywiście czasem myślę, ale nie ciągle, bez przerwy. Tylko od czasu do czasu. Tak jak większość ludzi na świecie.

- Panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała May Kasahara - myślę, że każdy rodzi się z czymś stanowiącym centrum jego własnej egzystencji. I każda z tych rzeczy staje się jakby źródłem ciepła i porusza człowieka od środka. Oczywiście ja też mam coś takiego, ale czasami nie mogę sobie z tym dać rady. Chciałabym móc komuś przekazać, jak to we mnie rośnie albo maleje, tak jak mu się podoba, i potrząsa mną. Lecz nikt mnie nie rozumie. Oczywiście może źle to wyrażam, ale nikt mnie porządnie nie słucha. Udają, że słuchają, lecz naprawdę nie słuchają. Dlatego czasem jestem strasznie zirytowana i zachowuję się idiotycznie.

- Idiotycznie?

- Na przykład zamykam pana na dnie studni albo, jadąc z tyłu na motocyklu, zasłaniam rękami oczy kierowcy.

Powiedziawszy to, dotknęła blizny koło oka.

- To wtedy zdarzył się wypadek, prawda? - zapytałem.

May Kasahara spojrzała na mnie zaskoczona, jakby nie dosłyszała pytania, lecz musiała usłyszeć każde słowo. Nie widziałem wyrazu oczu ukrytych za ciemnymi okularami, ale jej twarz stężała, jakby pokryła ją warstwa gęstego oleju.

- Co się stało z tym chłopakiem? - zapytałem.

May Kasahara patrzyła na mnie z papierosem w ustach. Ścisłe mówiąc, patrzyła na moje znamię. - Panie Ptaku Nakręcaczu, czy muszę odpowiedzieć na to pytanie?

- Nie musisz, jeśli nie chcesz. To ty zaczęłaś o tym mówić. Jeżeli nie chcesz o tym mówić, nie mów.

May Kasahara milczała, jakby nie mogąc się zdecydować. Nabrała w płuca dużo dymu i powoli wypuściła. Ociężałym ruchem zdjęła okulary, zaciśnęła powieki i zwróciła twarz ku słońcu. Patrząc na nią, miałem wrażenie, że czas zaczął płynąć nieco wolniej. Pomyślałem, że sprężyna czasu odkręca się do końca.

- Umarł - powiedziała wkrótce May Kasahara pozbawionym wyrazu głosem, jakby się poddała.

- Umarł?

May Kasahara strząsnęła na ziemię popiół z papierosa. Podniosła rękawkę i wiele razy otarła pot z twarzy. Potem wyjaśniła szybko i urzędowo, jakby przypomniawszy sobie jakąś sprawę, o której zapomniawsza nadmieniła.

- Dlatego, że dość szybko wtedy jechał. Niedaleko Enoshimy\*.

Patrzyłem na nią w milczeniu. Trzymała w dłoniach biały rękawkę i przyciskała go do policzków. Z trzymanego między palcami papierosa unosił się biały obłoczek. Nie było wiatru i wznosił się prosto ku górze jak sygnał dymny. Zdawało się, że nie wie, czy ma się śmiać, czy płakać. Przynajmniej dla mnie tak to wyglądało. Stała niepewnie na tej wąskiej krawędzi i drżała. Trwało to w nieskończoność, ale w końcu nie spadła na

---

\* Enoshima - kurort nadmorski w pobliżu Tokio

žadną stronę. Ściągnęła twarz, położyła ręcznik na ziemi i zaciągnęła się papierosem. Zbliżała się pięta, lecz upał wcale nie zelżał.

- Zabiłam go. Oczywiście nie miałam zamiaru go zabić. Chciałam tylko posunąć się do samej krawędzi. Przedtem też wiele razy robiliśmy takie rzeczy. Jakby gry. Siedziałam za nim na motocyklu i zakrywałam mu oczy albo nagle łaskotałam lekko pod pachami... Ale do tamtego razu nic się nie stało. Tylko wtedy przypadkiem... - Podniosła głowę i spojrzała na mnie. - Panie Ptaku Nakręcaczu, nie czuję, że jestem zbrukana. Chciałam tylko jakoś zbliżyć się do tej galarety. Chciałam zrećźnie przynęcić, wyciągnąć i zgnieść to coś g a l a r e t o w a t e g o, co mam w środku. A żeby to przywabić, naprawdę trzeba się posunąć do samej krawędzi. Inaczej nie uda się tego zrećźnie chwycić i wyciągnąć. Trzeba mu dać coś dobrego do zjedzenia - powiedziała i powoli pokręciła głowę. - Myślę, że nie jestem zbrukana. Ale nie jestem też uratowana. Teraz nikt nie może mnie uratować. Cały świat wydaje mi się pusty. Wszystko dookoła wydaje mi się oszukane. Jedyna rzecz, która nie jest oszukana, to ta galaretowata rzecz we mnie.

Oddychała przez chwilę płytko i regularnie. Nie śpiewały ani ptaki, ani cykady. W ogrodzie było strasznie cicho, jakby świat naprawdę stał się pusty. Odwróciła się do mnie. Zdawało się, że nagle sobie coś przypomniała. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, jakby został z niej zmyty.

- Czy pan spał z tą Kretą Kano?

Skinąłem głową.

- Napisze pan do mnie z Krety? - zapytała.

- Napiszę. Jeżeli pojedę na Kretę. Jeszcze ostatecznie nie zdecydowałem, że pojedę.

- Ale ma pan zamiar jechać, prawda?

- Myślę, że pewnie pojedę.

- Niech pan tu podejdzie, panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała May Kasahara, podnosząc się na leżaku.

Wstałem i podeszedłem do niej.

- Niech pan tu usiądzie.

Posłusznie usiadłem przy niej.

- Niech pan tu przysunie twarz - poprosiła.

Przez chwilę przyglądała się z bliska mojej twarzy. Potem położyła mi jedną rękę na kolanie, a drugą przykryła znamię.

- Biedny pan Ptak Nakręcacz - powiedziała jakby szeptem. - Na pewno weźmie pan na siebie różne rzeczy. Sam o tym nie wiedząc, nie mając wyboru. Jak łąka oblewana deszczem. Niech pan zamknie oczy, panie Ptaku Nakręcaczu. Niech pan je zacisnie, jakby je pan skleił.

Zacisnąłem powieki.

May Kasahara dotknęła wargami znamienia. Miała wąskie, drobne wargi, przypominające dobrze wykonaną imitację. Wsunęła język i powoli polizała całe znamię. Jej ręka ciągle leżała na moim kolanie. Wilgotne, ciepłe doznanie docierało do mnie z miejsca dalszego niż wszystkie łąki świata. Potem ujęła moją dłoń i położyła ją na bliźnie koło swego oka. Lekko pogłaskałem około centymetrową bliźnię. Głaszcząc końcami palców poczułem fale świadomości dziewczyny. Były to lekkie drgania, jakby czegoś poszukujące. Pewnie ktoś powinien ją mocno objąć. Ktoś inny, nie ja. Ktoś, kto mógłby jej coś dać.

- Proszę do mnie napisać, panie Ptaku Nakręcaczu, jeżeli pojedzie pan na Kretę. Bardzo lubię dostawać długie, długie listy. A nikt do mnie nie pisze.

- Napiszę - powiedziałem.

## **17. O najprostszej rzeczy, wyrafinowanej formie zemsty i o tym, co było w futerale na gitarę**

Następnego ranka poszedłem zrobić zdjęcie do paszportu. Usiadłem na stołku w zakładzie fotograficznym, a fotograf przyglądał mi się przez chwilę z zawodowym zainteresowaniem, po czym bez słowa poszedł na zaplecze, przyniósł jakiś biały puder i pokrył nim znamię na moim prawym policzku. Potem odsunął

się i starannie ustawił natężenie i kąt padania światła, by znamie nie rzuciło się w oczy. Zwrócony w kierunku obiektywu, na polecenie fotografa wymusiłem na twarzy rodzaj lekkiego uśmiechu. Fotograf powiedział, że zdjęcie będzie gotowe pojutrze w południe i że potem mogę przyjść po odbiór. Wróciłem do domu, zadzwoniłem do wuja i powiedziałem, że przypuszczalnie wyprowadzę się w ciągu kilku tygodni. Przeprosiłem, że tak nagle go zawiadamiam, i wyznałem, że Kumiko niespodziewanie odeszła. Sądząc z listu, który później przysłała, nie ma zamiaru wrócić, a ja chcę się stąd na pewien czas oddalić - sam jeszcze nie wiem na jak długo. Skończyłem wyjaśnienia, a wuj po drugiej stronie zamilkł, jakby się zamyślił.

- Do tej pory wydawało mi się, że bardzo dobrze się między wami układa - powiedział, westchnąwszy lekko.

- Prawdę mówiąc, ja też tak myślałem - odparłem szczerze.

- Jeśli nie chcesz o tym mówić, nie musisz, ale czy Kumiko miała jakiś poważny powód do odejścia?

- Myślę, że miała kochanka.

- Domyślałeś się tego?

- Nie, niczego się nie domyślałem. Sama tak w liście napisała.

- Aha - powiedział wuj. - W takim razie pewnie tak było.

- Pewnie tak.

Wuj znowu westchnął.

- Naprawdę wszystko u mnie w porządku - powiedziałem wesoło, chcąc go pocieszyć. - Chciałbym się tylko na trochę oddalić. Pojechać gdzieś, zmienić otoczenie i spokojnie zastanowić się, co robić dalej.

- Masz na oku jakieś miejsce?

- Pewnie pojedę do Grecji. Kolega tam mieszka i już od dawna mnie zaprasza - skłamałem i zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie.

Niemożliwe wydawało mi się jednak wyjaśnianie teraz wujowi dokładnie wszystkiego, co się naprawdę zdarzyło. Zdecydowanie lepiej było skłamać.

- Aha - powiedział wuj. - Mnie to nie przeszkadza. Nie mam zamiaru tego domu nikomu wynajmować, więc możesz tam zostawić swoje rzeczy. Jesteś jeszcze młody, możesz zacząć wszystko od nowa, pojedź sobie gdzieś daleko i odpocznij. Grecja... Tam jest na pewno pięknie.

- Dziękuję za wszystko. Jeżeli podczas mojej nieobecności postanowi wujek jednak komuś wynająć ten dom, może się wujek pozbyć moich rzeczy. Nie ma tu i tak nic wartościowego.

- Dobrze, niech będzie. Ja się zastanowię i wszystkim zajmę. Czy to, co ostatnio mówiłeś o zatrzymaniu nurtu, miało jakiś związek z Kumiko?

- No tak. Trochę tak. Mnie to też nie daje spokoju.

Zdawało się, że wuj nad czymś rozmyśla.

- Czy mogę któregoś dnia do ciebie wpaść? Chciałbym na własne oczy zobaczyć, jak sobie radzisz. Dawno tam nie byłem.

- Proszę bardzo, wszystko jedno kiedy. Nie mam nic do roboty.

Rozłączyłem się i nagle poczułem, że nie mogę już tego znieść. W ciągu tych paru miesięcy jakiś dziwny nurt przyniósł mnie aż tutaj. Teraz między moim światem a światem wuja wyrósł niewidzialny, gruby, wysoki mur. Dzielił jeden świat od drugiego. Wuj był w tamtym, a ja w tym.

Przyszedł po dwóch dniach. Nie powiedział nic na temat znamienia. Może nie wiedział, co powiedzieć, i tylko ze zdziwieniem zmrużył oczy. Przyniósł w prezencie butelkę dobrej whisky i zestaw kamaboko\* kupiony w Odawarze. Usiedliśmy na werandzie i popijaliśmy whisky, pojadając kamaboko.

- Weranda to jednak dobra rzecz - powiedział wujek i pokiwał głową. - W mieszkaniu oczywiście nie mamy werandy i czasem tęsknię za tym domem. Werandy mają specjalny werandowy nastrój.

Wuj przyglądał się przez chwilę księżycowi, który podobny

---

\* Kamaboko - rodzaj rybnego pasztetu

był do białego, świeżo wystruganego rogalika. Przedziwne wydawało mi się, że coś takiego może tak ciągle unosić się na niebie.

- A właśnie, od kiedy masz to znamię i skąd się wzięło? - zapytał wuj, jak gdyby nigdy nic.

- Nie jestem pewien - powiedziałem i wypilem łyk whisky. - Nagle się zorientowałem, że je mam. Jakiś tydzień temu. Sam chciałbym mieć jakieś lepsze wytłumaczenie, ale niestety nie mam.

- Byłeś u lekarza?

Potrząsnąłem głową przecząco.

- Jeszcze jednego nie rozumiem: czy to ma jakiś związek z odejściem Kumiko?

Znowu potrząsnąłem głową.

- W każdym razie znamię zrobiło mi się po jej odejściu. Taka była kolejność, nic natomiast nie wiem o związku przyczynowo-skutkowym.

- Nigdy nie słyszałem o tym, żeby znamię mogło się tak nagle pojawić.

- Ja też nie słyszałem - powiedziałem. - Nie umiem tego dobrze wytłumaczyć, ale mam wrażenie, że się do niego przyzwyczajam. Oczywiście na początku przestraszyłem się, był to dla mnie wielki szok. Nieprzyjemnie mi było patrzeć na własną twarz i zastanawiałem się, co zrobię, jeżeli mi to zostanie na całe życie. Ale z upływem dni, sam nie wiem dlaczego, jakoś przestałem się tym znamieniem przejmować. Myślę nawet, że wcale nie jest takie złe. Nie wiem dlaczego.

- Coś takiego - powiedział wujek.

Potem przez dłuższy czas przyglądał się podejrzliwie memu prawemu policzkowi.

- Skoro tak mówisz, to dobrze. To w końcu przecież twoja sprawa. Jeśli chcesz, mogę ci polecić lekarza.

- Dziękuję, ale w tej chwili nie mam zamiaru iść do lekarza. Myślę, że lekarz nic na to nie poradzi.



Wuj złożył ręce i popatrzył przez chwilę na niebo. Jak zwykle nie było widać gwiazd i widniał tam tylko wyraźny sierp księżyca.

- Dawno już tak spokojnie sobie z tobą nie rozmawiałem. Zawsze myślałem, że można cię zostawić samemu sobie, bo dobrze sobie radzicie we dwoje z Kumiko. Poza tym nie bardzo się lubię wtrącać do spraw innych ludzi.

Powiedziałem, że wiem o tym.

Wuj potrząsnął trochę lodem w szklance, wypił łyk i odstawił.

- Nie bardzo rozumiem, co się teraz wokół ciebie dzieje. Nurt się zablokował, rozkład pokojów jest nie taki, Kumiko odeszła, pewnego dnia ni stąd, ni zowąd zrobiło ci się znamię na twarzy, jedziesz na jakiś czas do Grecji. No, ale niech ci będzie. W końcu to od ciebie odeszła żona i tobie zrobiło się na twarzy znamię. Prawda? Dlatego jeżeli nie chcesz mi wszystkiego wyjaśnić, wcale nie musisz. Ja też nie chcę się niepotrzebnie wtrącać. Ale uważam, że powinieneś się jeszcze raz dobrze zastanowić, co jest dla ciebie najważniejsze.

Kiwnąłem głową.

- Dużo się nad tym zastanawiam, lecz wiele rzeczy jest strasznie poplątanych, a ja nie potrafię ich rozplątać i oddzielić od siebie. Nie wiem, jak to zrobić.

Wuj uśmiechnął się.

- Jest na to dobry sposób. Zwykle ludzie go nie znają i dlatego podejmują błędne decyzje. I potem, kiedy coś im się nie powiedzie, narzekają albo zwalają winę na innych. Widziałem ogromnie dużo takich przypadków i szczerze mówiąc, nie bardzo lubię na to patrzeć. Dlatego właśnie tak się tu wymądrzam. Ten sposób polega na tym, żeby wszystko porządkować, poczynając od najmniej ważnych spraw. Jeżeli nadać rzeczom kolejność od A do Z, to nie zaczyna się od A, a mniej więcej od XYZ. Mówisz, że wszystko jest za bardzo poplątane i nie wiesz, jak się za to zabrać, ale jest tak pewnie dlatego, że próbujesz znaleźć rozwiązanie na początku. Kiedy zamierzasz zdecydować o czymś

ważnym, dobrze jest zacząć od czegoś zupełnie nieważnego. Od czegoś naprawdę głupiego, co jest dla każdego oczywiste i zrozumiałe. I poświęcić tej błażej sprawie mnóstwo czasu.

To, czym ja się zajmuję, to nie żadne wielkie interesy. Mam zaledwie cztery czy pięć lokali w Ginzie. Nie jest to specjalnie imponujące i nie mam się tak bardzo czym chwalić, lecz jeśli sprowadzić to do kategorii sukcesu lub porażki, to nigdy nie poniosłem porażki, właśnie dlatego, że stosuję ten sposób. Wszyscy pomijają te głupie, zrozumiałe dla każdego na pierwszy rzut oka rzeczy i jak najszybciej posuwają się naprzód. Ja tego nie robię. Najwięcej czasu poświęcam głupstwu, bo wiem, że im więcej czasu im poświęcę, tym lepiej ułoży się reszta.

Wuj wypił jeszcze łyk whisky.

- Na przykład, chcę gdzieś otworzyć lokal. Mam kilka miejsc do wyboru, lecz muszę wybrać jedno. Co powinienem zrobić?

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Pewnie trzeba spróbować każde z nich przekalkulować. Ile kosztuje w danym miejscu czynsz, ile trzeba wziąć pożyczki, jakie będą miesięczne raty, ilu klientów się zmieści, ilu klientów przypadnie dziennie na jedno miejsce, jaki będzie koszt jednego klienta, ile będzie kosztowała siła robocza, w którym momencie lokal zacznie przynosić zyski... coś w tym rodzaju.

- Większość ludzi ponosi porażki właśnie dlatego, że robią takie rzeczy - powiedział wujek, śmiejąc się. - Powiem ci, co ja robię. Jeżeli dane miejsce wydaje mi się dobre, stoję tam przez wiele dni, dzień w dzień przez trzy czy cztery godziny, i patrzę na twarze przechodzących ludzi. Nie trzeba o niczym myśleć, niczego obliczać. Wystarczy popatrzeć, jacy ludzie, z jakim wyrazem twarzy tamtędy przechodzą. Zabiera to co najmniej tydzień. Przez ten czas musi człowiek spojrzeć na twarze jakichś trzech albo czterech tysięcy ludzi. Zdarza się też, że zabiera to więcej czasu. Lecz wkrótce się człowiek orientuje, co to za miejsce. Tak jakby niespodziewanie rozwiła się mgła. Jeżeli to, czego wymaga dane miejsce, za bardzo różni się od tego, czego

człowiek sam wymaga, na tym koniec. Wtedy idzie się w inne miejsce i robi tam to samo. Lecz jeśli są pewne punkty wspólne, kompromisowe między wymaganiami miejsca a twoimi wymaganiami, to znaczy, że złapałeś Pana Boga za nogi. Potem musisz tylko mocno go trzymać i nie wypuszczać. Ale żeby go złapać, musisz tam najpierw postać jak głupek nawet w deszczu czy śniegu i samemu przyglądać się ludzkim twarzom. Kalkulować sobie możesz później, ile chcesz. Ja jestem raczej realistą. Wierzę tylko w to, co zobaczę na własne oczy. Argumenty, reklamy, kalkulacje albo jakieś -izmy czy teorie są dla ludzi, którzy nie potrafią zobaczyć większości rzeczy na własne oczy. A większość ludzi na świecie nie potrafi patrzeć własnymi oczami. Nie wiem dlaczego. Zdawałoby się, że każdy powinien to umieć.

- Czyli to nie tylko czarodziejskie ręce?

- One też są ważne - roześmiał się wujek. - Ale to nie wszystko. Wydaje mi się, że powinieneś się zastanowić, zaczynając od najprostszych rzeczy. Tak jakbyś stał gdzieś na rogu i przez wiele dni patrzył na ludzkie twarze. Nie musisz o niczym w pośpiechu decydować. Może ci być trudno, ale czasem trzeba się zatrzymać i poświęcić sprawie trochę czasu.

- To znaczy, że powinienem jeszcze tu zostać?

- Nie mówię, że masz gdzieś jechać albo zostać. Jeśli chcesz jechać do Grecji, jedź. Chcesz tu zostać, zostań. Musisz sam po kolei zdecydować. Ale ja zawsze uważałem, że to dobrze, że ożeniłeś się z Kumiko. Myślałem też, że Kumiko dobrze zrobiła. Nie mogę zrozumieć, dlaczego to się tak nagle rozpadło. Ty pewnie też jeszcze nie rozumiesz.

- Nie rozumiem.

- W takim razie myślę, że zanim coś wyraźnie zrozumiesz, powinieneś poćwiczyć patrzenie własnymi oczami. I pamiętaj, że musisz na to poświęcić dużo czasu. Poświęcenie na coś mnóstwa czasu to w pewnym sensie najbardziej wyrafinowany rodzaj zemsty.

- Zemsty - powtórzyłem trochę zdziwiony. - Jakiej zemsty? Zemsty na kim?

- Na pewno niedługo zrozumiesz - powiedział wuj ze śmiechem.

Siedzieliśmy na werandzie i popijaliśmy przez ponad godzinę. Potem wuj wstał, przeprosił, że się zasiedział, i wyszedł. Zostałem sam. Siedziałem na werandzie i bezmyślnie patrzyłem na ogród i księżyc. Przez pewien czas mogłem jeszcze pełną piersią oddychać atmosferą rzeczywistości, którą pozostawił po sobie wuj. Dzięki temu po raz pierwszy od dawna poczułem ulgę. Jednakże po kilku godzinach ta atmosfera rozrzedziła się stopniowo i znów wszystko spowiła mgiełka żalu. Znowu byłem w tym świecie, a wuj w tamtym.

Wuj powiedział, że mam się zacząć zastanawiać, poczynając od najprostszych rzeczy, lecz nie potrafiłem odróżnić rzeczy prostych od skomplikowanych. Dlatego następnego ranka, po godzinach szczytu wsiadłem do pociągu i pojechałem do Shinjuku. Postanowiłem stanąć tam i naprawdę popatrzeć na twarze ludzi. Nie wiedziałem, czy mi się to do czegoś przyda, ale myślałem, że być może lepsze to od nierobienia niczego. Jeżeli patrzeć na ludzi było przykładem prostej rzeczy, mogłem ten przykład wprowadzić w życie. Przynajmniej nie powinno zaszkodzić, a jeśli dobrze pójdzie, być może znajdę dzięki temu jakąś wskazówkę na temat prostych rzeczy.

Pierwszego dnia usiadłem na obrzeżu klombu przed stacją Shinjuku i przez dwie godziny przyglądałem się twarzom przechodzących, lecz przechodziło tamtędy zbyt wielu ludzi i szli zbyt szybko. Trudno było nawet dokładnie przyjrzeć się twarzom. W dodatku kiedy długo tam siedziałem, podszedł do mnie człowiek wyglądający na bezdomnego i natarczywie mnie zagadywał. Kilka razy przeszedł przede mną policjant i przenikliwie mi się przyglądał. Zrezygnowałem więc z siedzenia przed dworcem i postanowiłem znaleźć miejsce, gdzie mógłbym spo-

kojniej obserwować przechodniów.

Przeszedłem przejściem podziemnym pod torami na zachodnią stronę dworca i pochodziłem trochę, aż znalazłem mały placzyk przed grupą wieżowców. Była na nim elegancka ławeczka, na której mogłem do woli siedzieć i obserwować przechodzących. Nie było ich tu tylu, co przed dworcem i nie pojawiali się bezdomni z butelkami whisky w kieszeni. Kupiłem w Dunkin' Donuts pączka i kawę i zjadłszy to zamiast lunchu, przesiadziałem tam cały dzień. Wróciłem do domu przed rozpoczęciem wieczornego szczytu.

Najpierw zauważałem tylko ludzi z przerzedzonymi włosami. Był to rezultat badań rynkowych, które robiłem z May Kasaharą na zlecenie firmy produkującej peruki. Oczy same wyławiały łysiejących i klasyfikowały ich jako sosny, bambusy i śliwy. Pomyslałem nawet, że skoro i tak to robię, mogę zadzwonić do May Kasahary i powiedzieć, że znowu z nią popracuję.

Po kilku dniach przestałem o czymkolwiek myśleć i zacząłem po prostu patrzeć na ludzkie twarze. Większość przechodniów byli to pracownicy firm, płci obojga, wchodzący i wychodzący z wieżowców. Mężczyźni byli ubrani w białe koszule i krawaty, w rękach nieśli aktówki, wiele kobiet miało buty na wysokich obcasach. Byli też ludzie odwiedzający restauracje i sklepy w wieżowcach. Zdarzały się rodziny zmierzające na taras widokowy na najwyższym piętrze albo ludzie po prostu przemieszczający się z jednego miejsca w drugie. Większość nie szła zbyt szybko. Nie szukając w nich niczego szczególnego, patrzyłem bezmyślnie na twarze. Czasami któraś wzbudziła moje zainteresowanie, wtedy przyglądałem jej się w skupieniu i odprowadzałem wzrokiem.

Robiłem to codziennie przez tydzień. Koło dziesiątej, kiedy skończyły się poranne godziny szczytu, wsiadałem do pociągu, jechałem do Shinjuku, siadałem na ławce na placyku i do czwartej tkwiłem tam prawie bez ruchu, przyglądając się ludzkim twarzom. Uświadomiłem sobie, że wodząc wzrokiem za twarza-

mi przechodniów, mogę zupełnie oczyścić umysł, jakbym go odkorkował. Nie odzywałem się do nikogo i nikt mnie nie zagadywał. O niczym nie myślałem, nad niczym się nie zastanawiałem. Czasami zdawało mi się, że stałem się częścią kamiennej ławeczki.

Tylko raz z kimś rozmawiałem. Podeszła do mnie dobrze ubrana szczupła kobieta w średnim wieku. Nosiła doskonale dopasowaną intensywnie różową sukienkę, ciemne okulary w szylkretowej oprawie, biały kapelusz i białą siatkową torebkę. Miała zgrabne nogi i nieskazitelne białe sandały, które wyglądały na kosztowne. Była mocno, lecz nie wyzywająco umalowana. Zapytała, czy mam jakiś kłopot. Powiedziałem, że raczej nie. Stwierdziła, że codziennie mnie tu widuje i chciała wiedzieć, co właściwie robię. Odparłem, że patrzę na ludzkie twarze. Zapytała, czy temu patrzeniu na ludzkie twarze przyświeca jakiś cel. Odpowiedziałem, że nie ma szczególnego celu.

Wyjęła z torebki papierosy virginia slims i zapaliła jednego małą złotą zapalniczką. Mnie też zaproponowała. Pokręciłem odmownie głową. Potem zdjęła okulary przeciwsłoneczne i bez słowa wnikliwie mi się przyjrzała. A ściśle mówiąc, przyjrzała się mojemu znamieniu. Zrewanżowałem się, zaglądając jej w oczy, lecz nie wyczytałem w nich żadnych uczuć. Były tam tylko dwie czarne źrenice, które zdawały się prawidłowo wykonywać swoje funkcje. Miała mały, spiczasty nosek, wąskie wargi starannie pomalowane szminką. Trudno było ocenić jej wiek, ale musiała być po czterdziestce. Na pierwszy rzut oka zdawała się młodsza, lecz linie wokół nosa wskazywały na szczególny rodzaj znużenia.

- Czy ma pan pieniądze? - zapytała.

- Pieniądze? - powtórzyłem zdziwiony. - O co pani chodzi? Jakie pieniądze?

- Po prostu pytam, czy ma pan pieniądze. Nie ma pan kłopotów finansowych?

- Nie, w tej chwili nie mam szczególnych - odpowiedziałem.

Lekko krzywiąc wargi, przyglądała mi się uważnie, jakby badała to, co powiedziałem. Potem skinęła głową. Włożyła okulary, rzuciła papierosa na ziemię, wstała szybko i odeszła, nie odwracając się. Kompletnie zaskoczony, patrzyłem, jak znika w tłumie. Może jest trochę nienormalna. Chociaż jak na to była za dobrze ubrana. Rozgniotłem podeszwą wyrzucony przez nią niedopałek i powoli rozejrzałem się dookoła. Otaczał mnie zwykły rzeczywisty świat. Ludzie przemierzali się z miejsca na miejsce, każdy w jakimś celu. Nie wiedziałem, kim byli, a oni nie wiedzieli, kim ja jestem. Wzięłem głęboki oddech i wróciłem do bezmyślnego przyglądania się twarzom.

Łącznie siedziałem tam przez jedenaście kolejnych dni. Codziennie piłem kawę, jadłem pączki i przyglądałem się twarzom tysięcy przechodzących ludzi. Nie licząc tej bezsensownej krótkiej rozmowy z dobrze ubraną kobietą w średnim wieku, która do mnie podeszła, przez jedenaście dni nie zamieniłem z nikim ani słowa. Nie zrobiłem nic szczególnego i nic się nie wydarzyło. I choć minęło jedenaście pustych dni, nadal do niczego nie doszedłem. Wciąż byłem zagubiony w labiryncie. Nie mogłem rozwiązać nawet najmniejszego supelka.

Późnym popołudniem jedenastego dnia zdarzyło się coś dziwnego. Była to niedziela i siedziałem na swojej ławce, przyglądając się twarzom dłużej niż zwykle. W niedzielę przyjeżdżali do Shinjuku inni ludzie i nie było godzin szczytu. Nagle zauważyłem młodego mężczyznę z futerałem na gitarę. Nie był ani wysoki, ani niski. Miał ciemne okulary w plastikowych oprawkach, długie włosy opadały mu na ramiona, nosił niebieskie dzinsy, jasną dzinsową koszulę i zniszczone białe adidasy. Minał mnie, idąc prosto przed siebie, jakby nad czymś rozmyślał. Na jego widok coś mi zaświtało w głowie. Serce zabiło mocniej. Pomyślałem, że znam tego faceta. Gdzieś go przedtem widziałem. Minęło kilka sekund, zanim sobie przypomniałem. Był to człowiek, który tamtej nocy śpiewał w barze w Sapporo. Nie było wątpliwości, to na pewno on.

Szybko wstałem z ławki i pośpiesznie ruszyłem jego śladem. Szedł niezbyt szybko, więc nie miałem trudności z dogonieniem go. Dostosowałem krok do jego kroków i szedłem dziesięć metrów za nim. Pomyślałem nawet, żeby się do niego odezwać. Powiedziałbym: „Śpiewał pan trzy lata temu w Sapporo, prawda? Słyszałem pana piosenki”. On odparłby: „Ach tak? Dziękuję bardzo”. Ale co dalej? Czy mam powiedzieć: „Prawdę mówiąc tamtego wieczoru moja żona przerwała ciążę. A ostatnio odeszła z domu. Od dawna miała kochanka”? Postanowiłem iść za mężczyzną i zdać się na rozwój wypadków. Może po drodze przyjdzie mi do głowy jakiś dobry pomysł.

Mężczyzna oddalał się od dworca. Przeszedł przez skupisko wieżowców, minął szeroką ulicę Koshukaido i ruszył w kierunku Yoyogi. Nie wiedziałem oczywiście, o czym myśli, lecz zdawało się, że w skupieniu, głęboko się nad czymś zastanawia. Miałem wrażenie, że zna tę trasę, bo nie rozglądał się bezradnie i nie błędził. Patrzył cały czas przed siebie i szedł w tym samym tempie. Idąc za nim, przypominałem sobie dzień, w którym Kumiko usunęła ciążę. Sapporo na początku marca. Ziemia zamarznęta na kamień, co pewien czas prószył śnieg. Wróciłem myślami na tamte ulice i znów nabrałem w płuca mroźnego powietrza. Ujrzałem białe chmurki oddechów przechodniów.

Nagle pomyślałem, że właściwie od tego czasu coś zaczęło się zmieniać. Nie miałem wątpliwości. Ta chwila była punktem zwrotnym, na pewno zaczęły występować zmiany w nurcie wokół mnie. Gdy się teraz nad tym zastanawiałem, dochodziłem do wniosku, że to przerwanie ciąży było dla nas dwojga niezwykle ważnym wydarzeniem, lecz wtedy nie uświadamiałem sobie jego wagi. Za bardzo pochłaniał mnie sam akt usunięcia ciąży, choć najważniejsze było co innego.

„Musiałam to zrobić. Pomyślałam, że to będzie dla nas dwojga najlepsze. Są rzeczy, o których nie wiesz. Są rzeczy, o których nie mogę ci jeszcze powiedzieć. Nie ukrywam ich przed tobą, ale nie jestem jeszcze pewna, czy są prawdziwe, dlatego nie



mogę ci powiedzieć".

Nie była jeszcze wtedy pewna, czy to coś było prawdą. I to coś niewątpliwie dotyczyło raczej nie usunięcia ciąży, a samej ciąży. Mogło też dotyczyć płodu. Co to mogło być? Co jej wtedy nie dawało spokoju? Czyżby miała innego mężczyznę i nie chciała urodzić tego dziecka? Nie, to niemożliwe. Sama powiedziała, że to niemożliwe. Było to na pewno moje dziecko. Lecz było coś, czego nie mogła mi powiedzieć. I to miało ścisły związek z jej odejściem z domu. Wszystko się od tego zaczęło.

Nie miałem pojęcia, jaka tajemnica się za tym kryje. Zostałem sam w mroku. Jednego byłem pewien -jeżeli nie odkryję tej tajemnicy, Kumiko nigdy do mnie nie wróci. Wkrótce poczułem, jak wzbiera we mnie cichy gniew. Był to gniew na to coś niewidzialnego. Wyprostowałem się, wziąłem głęboki oddech, uspokoiłem bicie serca, lecz gniew bezgłośnie jak woda przenikał całe moje ciało. Był to gniew pełen żalu. Nie mogłem dać mu upustu, nie miałem jak go rozładować.

Mężczyzna posuwał się dalej w tym samym tempie. Przeszedł przez tory linii Odakyu, minął ulicę handlową, świątynię, tu i tam wchodził w labirynt uliczek. Nie chcąc, by mnie zauważył, szedłem, zachowując odpowiednią odległość i śledziłem go. Widać było, że nie ma pojęcia o mojej obecności. Ani razu się nie obejrzał. Pomyślałem, że niewątpliwie jest w tym człowieku coś niezwykłego. Nie tylko nie oglądał się za siebie, nie patrzył nawet na boki. O czym może myśleć w takim skupieniu? A może wręcz przeciwnie, o niczym nie myśli?

Wkrótce oddalił się od tłocznych ulic i wszedł w cichą dzielnicę mieszkaniową z rzędami piętrowych drewnianych domów. Uliczki były wąskie, kręte, po obu stronach zabudowane starymi, zniszczonymi domami, stojącymi tak blisko siebie, że zdawały się niemal zrosnięte. Było tu dziwnie bezludnie. Ponad połowa domów stała pusta. Wejścia zabito deskami i powieszono na nich tabliczki informacyjne dotyczące planów przebudowy. Gdzieniedzie pojawiały się nagle otoczone siatką i po-

rośnięte letnią trawą puste place, wyglądające jak miejsca po wyrwanych zębach. Prawdopodobnie planowano niedługo zburzenie tych wszystkich domów i budowę nowych bloków. Przed jednym z zamieszkałych domów stały stłoczone doniczki z poziomem i innymi roślinami. Obok leżał dziecienny rowerek, a w oknie na piętrze suszyły się ręcznik i dziecienny kostium kąpielowy. Na parapetach i przed drzwiami leżało kilka kotów, które ospale mi się przyglądały. Było jasne popołudnie, lecz nikogo nie zauważyłem. Nie wiedziałem, gdzie się znajduję w sensie geograficznym. Nie byłem nawet pewien, gdzie jest północ, a gdzie południe. Zdawało mi się, że muszę być w trójkącie wyznaczonym dworcami Yoyogi, Harajuku i Sendagaya, ale to tylko przypuszczenia.

Tak czy inaczej była to jakby zapomniana dzielnica, która przetrwała w centrum miasta. Prawdopodobnie deweloperzy dotarli tu dopiero teraz, ponieważ uliczki były tak wąskie, że samochody praktycznie nie mogły nimi przejechać. Miałem wrażenie, że czas cofnął się o dwadzieścia czy trzydzieści lat. Nagle zorientowałem się, że słyszany jeszcze przed chwilą głośny szum samochodów gdzieś się rozpląnął. Mężczyzna szedł dalej labiryntem uliczek z futerałem na gitarę w ręce, aż zatrzymał się przed niewielkim drewnianym budynkiem z pokojami do wynajęcia. Otworzył drzwi wejściowe, wszedł do środka i zamknął za sobą. Wyglądało na to, że nie zamknął na klucz.

Stałem tam przez chwilę. Zegarek wskazywał szóstą dwadzieścia. Oparty o siatkę ogradzającą pusty plac naprzeciwko, przez pewien czas obserwowałem budynek. Typowy drewniany, z pokojami do wynajęcia. Można to poznać po wyglądzie wejścia i układzie pokoi. W czasie studiów też przez pewien czas w takim mieszkalem. Przy głównym wejściu jest szafka na buty, wspólna toaleta, a w pokojach z małymi kuchenkami mieszkają studenci albo nieżonaci mężczyźni. Jednak zdawało się, że w tym budynku nikt nie mieszka. Nie dobiegał z niego żaden głos, nie widać było żadnego poruszenia. Przy pokrytych laminatem

drzwiach wejściowych nie było tabliczki z nazwiskiem. Wyglądało na to, że została niedawno oderwana i pozostał po niej białawy pasek. Choć panował jeszcze popołudniowy upał, wszystkie okna były dokładnie zamknięte i miały pozasuwane firanki.

Może ten budynek tak jak okoliczne domy ma niebawem zostać rozebrany i nikt już w nim nie mieszka? Jeżeli tak, to co robi tu mężczyzna z gitarą? Czekałem, że po jego wejściu otworzy się któreś z okien, lecz nadal nic się nie poruszało.

Nie mogłem w nieskończoność tkwić na tej odludnej uliczce, więc podszedłem do głównego wejścia i otworzyłem drzwi. Rzeczywiście nie były zamknięte na klucz i łatwo ustąpiły. Stałem przez chwilę w progu i zaglądałem do wnętrza. Panował półmrok i nie mogłem od razu dostrzec, co się tam znajduje. Okna były pozamykane i pomieszczenie wypełniało gorące duszne powietrze. Unosił się zapach pleśni podobny do tego na dnie studni. Z powodu upału koszulę miałem zupełnie mokrą pod pachami. Zza ucha spływała mi strużka potu. Bez namysłu wszedłem do środka i cicho zamknąłem za sobą drzwi. Chciałem sprawdzić, czy budynek jest zamieszkały, czy na skrzynkach pocztowych albo na szafce na buty są nazwiska, lecz nagle zorientowałem się, że ktoś się we mnie wpatruje.

Zaraz po prawej od wejścia stała wysoka szafka na buty i ten ktoś się za nią ukrywał. Wstrzymałem oddech i wpatrzyłem się w duszny półmrok. Stał tam młody mężczyzna z gitarą, za którym tu przyszedłem. Musiał od razu po wejściu schować się za szafką na buty. Serce łomotało mi w piersi. Co on u licha robi w takim miejscu? Może czeka na mnie. A może... - Dzień dobry - rzuciłem bez namysłu. - Chciałem o coś zapytać...

Lecz wtedy niespodziewanie coś uderzyło mnie strasznie mocno w ramię. Nie mogłem zrozumieć, co się stało. Poczułem jedynie uderzenie tak silne, że pociemniało mi w oczach. Stałem jak skamieniały. W następnej chwili nagle zrozumiałem. Kij baseballowy. Ten człowiek wyskoczył z za szafki ze zręcznością małpy i uderzył mnie kijem baseballowym. Kiedy stałem osłupi-

ały, znowu podniósł kij i przyskoczył do mnie. Chciałem się uchylić przed ciosem, lecz byłem zbyt wolny. Tym razem kij trafił mnie w lewe ramię.

przez chwilę straciłem w nim czucie. Nie bolało. Straciłem czucie, zupełnie jakby ramię rozplętnęło się w powietrzu.

Wtedy jednak nieomal odruchowo kopnąłem przeciwnika. W szkole średniej kolega, który posiadał któryś tam dan w karate, nauczył mnie dla zabawy paru wstępnych technik. Przez wiele, wiele dni kazał mi ćwiczyć same wykopy. Nie było to nic wymyślnego, po prostu ćwiczenie tego, żeby wysunąć nogę w wykopie z jak największą siłą, jak najwyżej i po jak najkrótszym torze. Powiedział, że w razie czego to mi się najbardziej przyda. Rzeczywiście tak było. Mężczyzna skupiał się tylko na wymachiwaniu kijem i nie wziął pod uwagę tego, że mogę go kopnąć. W zapamiętaniu nie zauważyłem nawet, w co go kopię i nie kopnąłem zbyt mocno, ale zaskoczenie odebrało mu impet. Przestał wymachiwać kijem i patrzył na mnie nieobecny wzrokiem, jakby czas się zatrzymał. Korzystając z okazji, wymierzyłem silniejszego i dokładniejszego kopniaka w jego podbrzusze. Gdy zwinął się z bólu, wyrwałem mu z rąk kij. Potem bez namysłu kopnąłem go w bok. Chciał mnie schwycić za nogę, więc jeszcze raz go kopnąłem. Potem dołożyłem mu kijem w udo. Mężczyzna wydał przenikliwy krzyk i upadł na podłogę.

Na początku kopałem go i biłem ze strachu i podniecenia. Kopałem i biłem, nie chcąc, by bił mnie. Lecz gdy padł na ziemię, poczułem silny gniew. Ten cichy gniew, który zawrzał we mnie niedawno, gdy po drodze myślałem o Kumiko, jeszcze we mnie tkwił. Teraz uwolnił się, urósł i wybuchnął w górę jak płomień. Był bliski gwałtownej nienawiści. Jeszcze raz uderzyłem mężczyznę kijem w udo. Z jego ust płynęła ślina. Moje uderzone kijem ramię i lewa ręka zaczynały powoli pulsować bólem, który jeszcze wzmógł mój gniew. Twarz mężczyzny również wykrzywił ból, lecz mimo to próbował się podnieść, podpierając się ręką. Ponieważ lewe ramię mi osłabło, odrzuciłem kij i pochy-

liwszy się nad nim, silnie uderzyłem go prawą ręką w twarz. Uderzałem go raz po razie. Biłem, aż palce prawej ręki zdrętwiały i zaczęły boleć. Chciałem go bić, aż straci przytomność. Złapałem go za szyję i uderzyłem jego głową o podłogę. Nigdy przedtem z nikim się nie biłem. Nigdy nikogo z całej siły nie uderzyłem, lecz nie wiadomo dlaczego teraz nie mogłem przestać bić. Mówiłem sobie, że muszę przestać. Już wystarczy. Nie powinienem posuwać się za daleko. Już się nie podniesie. Ale nie mogłem przestać. Zrozumiałem, że się rozdwoiłem. Ja, po tej s t r o n i e, nie mogłem już powstrzymać tamtego mnie. Poczulem gwałtowne dreszcze.

Wtedy zauważyłem, że mężczyzna się śmieje. Biję go, a on się do mnie uśmiecha. Im bardziej go biłem, tym szerzej się uśmiechał. Na koniec chichotał, choć krew leciała mu z nosa, z rozbitej wargi i krztusił się własną śliną. Pomyślałem, że musi mieć bzika. Przestałem bić i powoli się podniosłem.

Rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem czarny futerał na gitarę oparty o szafkę na buty. Zostawiłem mężczyznę, który ciągle się śmiał, podszedłem do futerału, położyłem go na ziemi, otworzyłem klamerkę i podniosłem pokrywę. W środku nic nie było. Futerał był pusty. Nie było gitary ani świec. Mężczyzna patrzył na mnie i śmiał się, kaszląc. Nagle zabrakło mi tchu. Nie mogłem już znieść dusznego powietrza w tym budynku. Nie mogłem znieść zapachu pleśni, własnego potu, zapachu krwi i śliny, wypełniającego mnie gniewu i nienawiści. Wyszedłem na zewnątrz i zamknąłem za sobą drzwi. Nadal nie było nigdzie żywej duszy. Przez pusty plac, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, przechodził tylko duży brązowy kot.

Chciałem się wydostać z tej okolicy, zanim ktoś mnie dostrzeże. Nie wiedziałem, w którą stronę iść, ale szedłem na wyczuć i znalazłem przystanek autobusu jadącego na dworzec Shinjuku. Do przyjazdu autobusu starałem się uregulować oddech i zebrać myśli, lecz nadal dyszałem, a w głowie miałem zamęt. Powtarzałem sobie w myślach, że przecież chciałem popatrzeć

na ludzkie twarze. Patrzyłem tylko na twarze przechodniów na ulicy, tak jak wuj. I chciałem jedynie rozwiązać najprostszy supelek. Wsiadłem do autobusu i wszyscy pasażerowie jednocześnie się ku mnie zwrócili. Spojrzeli na mnie zdziwieni, a potem niechętnie odwrócili wzrok. Pomyślałem, że to pewnie z powodu znamienia. Dopiero po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że patrzyli na plamy krwi na mojej białej koszuli (większość pochodziła z nosa mężczyzny) i kij baseballowy, który miałem w rękach. Nieświadomie zabrałem go ze sobą.

W rezultacie wróciłem z tym kijem do domu i wrzuciłem go do szafy.

Tej nocy nie mogłem usnąć aż do świtu. Ramię i ręka spuchły i pulsowały bólem, a w prawej dłoni pozostało wspomnienie zadanych ciosów. Zdałem sobie sprawę, że jest ciągle zaciśnięta w pięść i gotowa do walki. Próbowałem wyprostować palce, lecz mnie nie słuchały. Przede wszystkim nie chciałem spać. Jeżeli teraz usnę, niewątpliwie będę miał nieprzyjemny sen. Chcąc uspokoić nerwy, usiadłem przy stole kuchennym, napiłem się czystej whisky przyniesionej przez wujka i posłuchałem spokojnej muzyki z magnetofonu. Chciałem z kimś porozmawiać. Chciałem, żeby ktoś ze mną porozmawiał. Postawiłem telefon na stole i wpatrywałem się w niego przez kilka godzin. Proszę, niech ktoś do mnie zadzwoni. Wszystko jedno kto. Może nawet być ta dziwna tajemnicza kobieta. Choćby to miała być bezsensowna, nieprzyzwoita rozmowa, nieprzyjemna, złowróźbna rozmowa. Chciałem, żeby ktokolwiek do mnie zadzwonił.

Lecz telefon milczał. Sam dokończyłem pozostałe pół butelki whisky i kiedy na dworze zrobiło się widno, wróciłem do łóżka i usnąłem. Przed zaśnięciem pomyślałem: Proszę, nie chcę dziś żadnych snów. Tylko dziś chciałbym spać bez snów.

Ale oczywiście miałem sen. Tak jak się spodziewałem, był to straszny sen. Pojawił się w nim mężczyzna z futerałem na gitarę. We śnie zachowywał się dokładnie tak samo, jak w rzeczy-

wistości. Szedłem za nim, otworzyłem drzwi budynku z pokojami do wynajęcia, dostałem w ramię kijem, potem go biłem, biłem i biłem. Dalszy ciąg był inny niż w rzeczywistości. Kiedy przestałem go bić i wstałem, mężczyzna śmiejący się dziko ze śliną ciekącą z ust wyciągnął z kieszeni nóż. Był to mały nóż, wyglądający na bardzo ostry. Ostrze załśniło bielą jak kość, gdy się odbiło w nim wlewające się przez szpary między firankami światło zmierzchu. Lecz mężczyzna nie zaatakował mnie. Zdjął ubranie, rozebrał się do naga i zaczął się obdzierać ze skóry, gładko, jakby obierał jabłko. Głośno się śmiejąc, zdzierał po kolei całą skórę. Z jego ciała lała się krew i tworzyła na podłodze czarną, budzącą grozę i wstręt kałużę. Prawą ręką zdarł skórę z lewej, a potem zlaną krwią lewą zdarł skórę z prawej. W końcu zmienił się w kupę czerwonego mięsa, lecz śmiał się dalej przypominającymi czarną dziurę ustami. W tej kupie mięsa poruszały się tylko dziko białka oczu. Wkrótce, jakby w odpowiedzi na ten nienaturalnie głośny śmiech, zdarta skóra zaczęła cicho pełznąć po podłodze i zbliżać się ku mnie. Starąłem się uciec, lecz nogi ani drgnęły. Skóra dotarła do mych stóp, podniosła się powoli i ciasno do mnie przylgnęła. Pokryta krwią śliska skóra po trochu przywierała do mojej, nakładała się na nią. Powietrze wypełniał zapach krzepnącej krwi. Jak cienka błona skóra pokryła mi nogi, tułów i twarz. Wkrótce nic już nie widziałem i w pustce ciemności rozbrzmiewał tylko echem śmiech. Wtedy się obudziłem.

Po obudzeniu miałem w głowie straszny zamęt i czułem strach. Przez pewien czas nie bardzo nawet uświadamiałem sobie, kim jestem. Lekko drżały mi palce. Ale jednocześnie doszedłem do pewnego wniosku: nie mogę uciec i nie powinienem uciekać. Nie uda mi się uciec, to coś i tak mnie znajdzie. Wszędzie.

## **18. O wiadomości z Krety, o tym, co spadło z krawędzi świata, i o dobrych wiadomościach przekazywanych cichym**

## głosem

Aż do końca się wahałem, lecz w rezultacie nie pojechałem na Kretę. Dokładnie tydzień przed wyjazdem kobieta dawniej zwana Kretą Kano przyszła do mnie z papierową torbą pełną wiktuałów i zrobiła kolację. Podczas jedzenia prawie nie rozmawialiśmy. Kiedy posprzątaaliśmy po kolacji, powiedziałem, że chyba niestety nie będę mógł z nią pojechać na Kretę. Usłyszawszy to, nie wydawała się szczególnie zdziwiona. Przyjęła to raczej jako coś naturalnego. Przeczesaując palcami krótkie włosy nad czołem, powiedziała:

- Bardzo szkoda, że nie może pan ze mną pojechać, no, ale trudno. Mogę sama pojechać na Kretę, więc nie ma problemu. Proszę się o mnie nie martwić.

- Czy skończyłaś już przygotowania do wycieczki?

- Myślę, że zgromadziłam już mniej więcej potrzebne rzeczy. Paszport, rezerwacje lotnicze, czeki podróżne, torbę. Ale nie mam za wiele bagażu.

- Co powiedziała siostra?

- Jesteśmy bardzo zżyte. Dlatego ciężko nam być daleko od siebie. I mnie, i jej. Lecz Malta Kano jest silna, mądra i wie, co mi dobrze zrobi. - Spojrzała na mnie ze spokojnym, lekkim uśmiechem. - Doszedł pan do wniosku, że lepiej samemu tu zostać, prawda?

- Tak - odparłem. Potem wstałem i zagotowałem w czajniku wodę na kawę. - Tak mi się wydaje. Niedawno nagle sobie uświadomiłem, że mogę stąd odejść, lecz nie mogę uciec. Są rzeczy, od których nie można uciec, jeśli nawet odejdziesz od nich bardzo daleko. Jednak myślę, że tobie dobrze zrobi wyjazd na Kretę. Chcesz się generalnie rozliczyć z przeszłością i rozpocząć nowe życie. W moim przypadku tak nie jest.

- Chodzi o panią Kumiko?

- Prawdopodobnie tak.

- Będzie pan tu teraz czekał na powrót pani Kumiko?

Oparty o zlew, czekałem, aż woda się zagotuje, lecz ona wca-



le się nie spieszyła.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co mam zrobić. Nie mam się na czym oprzeć, ale stopniowo doszedłem do wniosku, że muszę coś zrobić. Nie mogę po prostu czekać na powrót Kumiko. Jeżeli chcę, żeby wróciła, muszę wiele wyjaśnić na własną rękę.

- Ale nie wie pan jeszcze, co zrobić?

Przytaknąłem.

- Czuję, że coś obok mnie przybiera powoli kształt. Widzę zarysy różnych rzeczy, które muszą być ze sobą jakoś powiązane. Nie mogę jednak niczego uchwycić i wydobyć na światło dzienne. Sądzę, że mogę tylko czekać, aż wszystko stanie się jaśniejsze.

Siostra Malty Kano położyła dłonie na stole i przez chwilę zastanawiała się nad moimi słowami. - Czekanie nie jest łatwe.

- Pewnie nie - powiedziałem. - Prawdopodobnie jest dużo trudniejsze, niż sobie wyobrażam. Będę tu sam, z różnymi nierozwiązanymi do końca problemami, czekając na coś, co może w ogóle nie nadejść. Prawdę mówiąc, gdybym mógł, wolałbym rzucić to wszystko i pojechać z tobą na Kretę. Zapomniałbym o wszystkim i zaczął nowe życie. Po to kupiłem walizkę i zrobiłem sobie zdjęcie do paszportu. Nawet się spakowałem. Naprawdę miałem zamiar wyjechać z Japonii. Lecz nie mogę pozbyć się wrażenia czy przeczucia, że tutaj czegoś się ode mnie oczekuje. Właśnie o to mi chodziło, kiedy powiedziałem, że nie mogę uciec.

Siostra Malty Kano przytaknęła w milczeniu.

- Z pozoru jest to niezwykle prosta sprawa. Moja żona miała kochanka i odeszła. Mówi, że chce rozwodu. I jak powiedział Noboru Wataya, takie rzeczy często się zdarzają. Być może nie powinienem się tak nad różnymi rzeczami zastanawiać, tylko pojechać z tobą na Kretę, zapomnieć o tym wszystkim i zacząć nowe życie. Ale wrzeczywistości nie jest to wcale takie proste, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Wiem o tym i ty też o tym wiesz. Prawda? Wie również Malta Kano. Prawdopodobnie wie

nawet Noboru Wataya. I w tym właśnie kryje się coś nieznanego. Chcę to jakoś wyciągnąć na światło dzienne.

Zrezygnowałem z robienia kawy, zgasilem gaz pod czajnikiem, wróciłem do stołu i spojrzałem na siostrę Malty Kano.

- I jeżeli to będzie możliwe, chciałbym sprowadzić z powrotem Kumiko. Własnymi rękami sprowadzić ją z powrotem do tego świata. Jeśli tego nie zrobię, będę zgubiony jako człowiek. Po trochu to sobie uświadamiam. Ciągłe co prawda niezbyt jasno.

Siostra Malty Kano przyglądała się swoim dłoniom na stole, potem podniosła głowę i spojrzała na mnie. Zacisnęła nieumalowane usta. Wkrótce odezwała się:

- Dlatego właśnie chciałam pana zabrać na Kretę.

- Żeby mi na to nie pozwolić?

Przytaknęła lekko.

- Dlaczego nie chcesz mi na to pozwolić?

- Ponieważ to niebezpieczne - odpowiedziała cicho. - To niebezpieczne miejsce. Teraz jeszcze może pan wrócić. Możemy oboje pojechać na Kretę. Tam będziemy bezpieczni.

Gdy nieobecny wzrokiem patrzyłem na zupełnie nową twarz Krety Kano bez cienia do powiek i sztucznych rzęs, przez chwilę nie byłem pewien, gdzie jestem. Moją świadomość niespodziewanie wypełniła mgła. Straciłem się z oczu. Sam straciłem siebie z oczu. Gdzie ja jestem? Gdzie właściwie jestem i co robię? Kim jest ta kobieta? Lecz szybko wróciłem do rzeczywistości. Siedzę przy stole w kuchni. Otarłem ścierką pot. Miałem lekkie zawroty głowy.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała zaniepokojona kobieta dawniej zwana Kretą Kano.

- Tak, dobrze - odpowiedziałem.

- Proszę pana, nie wiem, czy uda się panu kiedyś sprowadzić z powrotem panią Kumiko, lecz nawet jeżeli się to panu uda, nie ma gwarancji, że pan i pani Kumiko będziecie tak samo szczęśliwi jak przedtem. Przecież nigdy nie jest dokładnie tak samo

jak przedtem, prawda? Czy pomyślał pan o tym?

Splotłem, a potem rozplotłem przed sobą dłonie. Nie dobiegały żadne dźwięki. Spróbowałem jeszcze raz przyzwyczać się do samego siebie.

- Tak, zastanawiałem się też na tym. Wiele już utraciłem i to, co było przedtem, może nie wrócić, choćbym nie wiem, jak walczył. Jest to możliwe, a nawet wysoce prawdopodobne. Ale nie wszystko zależy od możliwości i prawdopodobieństwa.

Siostra Małty Kano wyciągnęła ręce i dotknęła lekko moich leżących na stole.

- Skoro jest pan w pełni świadomy różnych rzeczy, być może powinien pan zostać. Oczywiście sam pan zdecyduje. Przykro mi, że nie możemy razem pojechać na Kretę, ale rozumiem, co pan czuje. Prawdopodobnie spotkają pana różne rzeczy, lecz proszę o mnie nie zapominać, dobrze? Jeżeli coś się stanie, proszę mnie sobie przypomnieć. Ja też będę o panu pamiętała.

- Nie zapomnę o tobie - powiedziałem.

Kobieta dawniej zwana Kretą Kano znów zacisnęła usta i przez dłuższy czas szukała w przestrzeni odpowiednich słów.

- Jak pan wie, świat jest pełen krwawej przemocy. Żeby przetrwać, trzeba być silnym. Lecz jednocześnie konieczne jest uważne nasłuchiwanie, by nie uronić nawet najcichszego dźwięku. Rozumie pan? Dobre wiadomości są często przekazywane cichym głosem. Proszę to zapamiętać.

Przytaknąłem.

- Mam nadzieję, że uda się panu znaleźć sprężynę, panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała kobieta dawniej zwana Kretą Kano. - Do widzenia.

Pod koniec sierpnia dostałem kartkę z Krety. Był na niej grecki znaczek i stempel pocztowy z greckimi literami. Musiała ją przysłać kobieta dawniej zwana Kretą Kano. Na kartce nie było nazwiska nadawcy, lecz nie Przychodził mi do głowy nikt inny, kto mógłby mi przysłać widokówkę z Krety. Pomyślałem, że

pewnie nie wybrała sobie jeszcze nowego imienia. Brakowało nadawcy i brakowało jakiegokolwiek treści. Na kartce widniały tylko napisane niebieskim atramentem moje nazwisko i adres oraz grecki stempel pocztowy. Na odwrocie znajdował się kolorowy widok morza u brzegów Krety. Mała, bielutenka plaża otoczona skałami, opala się na niej samotna, młoda kobieta z odsłoniętymi piersiami. Morze jest w kolorze głębokiego błękitu, a na niebie unosi się chmurka, która wygląda na sztuczną. Wydaje się tak solidna, że można by chyba po niej przejść.

To znaczy, że kobieta dawniej zwana Kretą Kano dotarła jakoś na Kretę. Ucieszyłem się. Pewnie wkrótce znajdzie nowe imię, a wraz z nim nową tożsamość i nowe życie. Nie zapomniała o mnie. O tym mówiła pozbawiona słów kartka z Krety.

Dla zabicia czasu napisałem do niej list, choć nie znałem Jej adresu, a nawet imienia, był to więc list, który nie miał zostać wysłany- Miałem po prostu ochotę napisać do kogoś list.

Od dawna nie miałem już wiadomości od Malty Kano - pisałem- ~ Zdaje się, że zniknęła z mego świata. Mam wrażenie, że ludzie jeden po drugim spadają z krawędzi świata, do którego należą. Wszyscy idą ciągle w tamtą stronę i nagle znikają. Musi tam gdzieś być urwisko. Spędzam dni, które niczym się od siebie nie różnią. Ponieważ niczym się nie różnią, nie mogę odzielić w myślach jednego dnia od drugiego. Nie czytam gazet, nie oglądam telewizji, prawie nie wychodzę z domu. Czasem tylko chodzę na basen. Dawno już skończył mi się zasiłek dla bezrobotnych i teraz przejadam oszczędności, lecz nie mam zbyt dużych wydatków (być może życie kosztuje tu nieco więcej niż na Krecie) i dzięki niewielkiej sumie, którą zostawiła mi matka, będę mógł jeszcze przez dłuższy czas przeżyć. W znamięniu na twarzy nie widzę żadnych zmian, lecz prawdę mówiąc, wraz z upływem czasu coraz mniej mi ono przeszkadza. Jeżeli przyjdzie mi spędzić z nim resztę życia, po Prostu spędzę z nim resztę życia. Może jest to coś, z czym muszę żyć. Z jakiejś przyczyny tak mi się zaczęło wydawać. Tak czy inaczej spokojnie, uważnie

nasłuchuję.

Czasami przypominałem sobie noc spędzoną z Kretą Kano, lecz wspomnienie to było zadziwiająco mgliste. Kochaliśmy się kilka razy. Był to niezaprzeczalny fakt, lecz po kilku tygodniach zaczął się wydawać mniej realny. Nie mogłem sobie dokładnie przypomnieć jej ciała. Nie pamiętałem też, jak się kochaliśmy. Wcześniejsze wspomnienia seksu odbytego z nią w świadomości, w nierzeczywistości były o wiele wyraźniejsze od rzeczywistych wspomnień tamtej nocy. Ciągłe wyraźnie stawała mi przed oczami jej postać, gdy w tym dziwnym pokoju hotelowym siedziała na mnie okrakiem w niebieskiej sukience Kumiko. Na lewej ręce miała dwie bransoletki, które lekko brzęczały. Pamiętałem też własny twardy członek. Nigdy jeszcze nie był tak sztywny i tak duży. Wzięła go do ręki, wsunęła w siebie, a potem zaczęła powoli zataczać biodrami kręgi. Wyraźnie pamiętałem jeszcze pieszczący dotyk dołu sukienki Kumiko. Wkrótce, nie wiadomo kiedy, Kreta Kano stała się tajemniczą kobietą od telefonów. Siedziała na mnie okrakiem w sukience Kumiko owa kobieta, która kilka razy do mnie zadzwoniła. Nie było to już ciało Krety Kano, lecz ciało tamtej kobiety. Zmieniła się temperatura i jeszcze coś nieokreślonego, jakbym wszedł do innego pokoju. „Niech pan zapomni o wszystkim - wyszeptała. - Jakby pan spał, śnił, leżał w ciepłym błocie”. Potem miałem wytrysk.

Niewątpliwie coś to musiało oznaczać. To wspomnienie pozostało żywe w mojej pamięci, daleko bardziej żywe niż rzeczywistość, właśnie dlatego że coś oznaczało, lecz jeszcze nie rozumiałem co. Zamknąłem oczy, po raz setny odtwarzając to wspomnienie w myślach, i westchnąłem.

Na początku września zadzwonili z pralni przed dworcem. Powiedzieli, że mam przyjść po odbiór upranych rzeczy.

- Uprane rzeczy? - powtórzyłem. - Wydaje mi się, że nie oddawałem nic do prania.

- Lecz pana rzeczy tu są. Proszę przyjść po odbiór. Już zostało

zapłacone, wystarczy tylko odebrać. To mieszkanie państwa Okada, prawda?

Powiedziałem, że tak. Numer telefonu też się zgadzał. Pełen wątpliwości poszedłem do pralni. Właściciel jak zwykle prasował koszule, słuchając muzyki łatwej i przyjemnej z dużego magnetofonu. W małym świecie pralni przed dworcem nie było żadnych zmian. Nie było mody i zmienności. Awangardy i epigonizmu. Postępu i zacofania. Pochwały i potępienia. Niczego nie przybywało i niczego nie ubywało. Z magnetofonu dobiegało Do You Know the Way to San Jose? Burta Bacharacha, którego dawno nie słyszałem.

Stałem przy ladzie, a właściciel z żelazkiem w ręku przyglądał się przez chwilę z zakłopotaniem mojej twarzy. Nie wiedziałem, dlaczego tak mi się przypatruje, lecz wkrótce zorientowałem się, że to z powodu znamienia. No tak. Każdy ma prawo się zdziwić, jeżeli na twarzy kogoś znanego z widzenia nagle pojawi się znamię.

- Miałem mały wypadek - wyjaśniłem.

- Bardzo mi przykro - powiedział właściciel. Mówił tak, jakby naprawdę było mu bardzo przykro. Przez chwilę popatrzył na trzymane w ręku żelazko, potem odstawił je lekko na podstawkę, zupełnie jakby podejrzewał, że mogła to być wina tego żelazka. - Przejdzie to panu?

- Nie wiem - odparłem.

Właściciel podał mi zawinięte w przezroczystą folię bluzkę i spódnicę Kumiko. Były to ubrania, które dałem Krecie Kano. Zapytałem, czy oddała je do prania dziewczyna z krótkimi włosami, mniej więcej takimi, i rozsunąłem palce na odległość trzech centymetrów. Właściciel powiedział, że nie i że miała włosy dotąd - wskazał ramię. - Ubrana była w brązowy kostium i czerwony, plastikowy kapelusz. Zapłaciła za pranie i powiedziała, żeby do pana zadzwonić, jak będzie gotowe.

Podziękowałem, zabrałem ubrania i wróciłem do domu. Ofiarowałem te rzeczy Krecie Kano. Miały być opłatą za jej ciało, a

poza tym i tak do niczego mi się teraz nie przydadzą. Nie wiedziałem, po co Malta Kano specjalnie zaniósła je do pralni. Złożyłem je porządnie i schowałem do szuflady z ubraniami Kumiko.

Napisałem list do porucznika Mamii. Wyjaśniłem pokrótce, co się u mnie działo. Najpierw przeprosiłem go, mówiąc, że być może nie ucieszy go list ode mnie, ale nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym napisać. Napisałem, że Kumiko mnie opuściła w dniu, w którym mnie odwiedził. Także o tym, że przez kilka miesięcy sypiała z innym mężczyzną, że potem spędziłem prawie trzy dni, rozmyślając na dnie studni, że teraz mieszkam tu zupełnie sam i że pamiątka po panu Hondzie okazała się pustym pudełkiem po whisky.

Po tygodniu przysłał mi odpowiedź. Napisał, że prawdę mówiąc, ku jego zdziwieniu, myśl o mnie nie dawała mu spokoju od tamtego czasu.

Zdawało mi się, że powinniśmy byli dłużej ze sobą porozmawiać, szczerze i od serca. Niezwykle żałuję, że tego nie zrobiliśmy, lecz tego dnia miałem pilną sprawę i koniecznie musiałem przed wieczorem wrócić do Hiroszimy. Dlatego też w pewnym sensie bardzo ucieszyłem się, otrzymawszy list od Pana. Myślę, że być może pan Honda chciał nas ze sobą poznać. Być może myślał, że nasze spotkanie będzie korzystne i dla mnie, i dla Pana. Dlatego wysłał mnie do Pana pod pretekstem podziału pamiątek po zmarłym. Sądzę, że to tłumaczy, dlaczego zostawił Panu puste pudełko. Nasze poznanie się było prawdopodobnie tym, co Panu pozostawił po sobie.

Bardzo zdziwiło mnie, że zszedł Pan do studni, a to dlatego, że mnie samego bardzo ciągnie do studzien. Po niebezpieczeństwie, którego posmakowałem, zrozumiałe byłoby, gdybym nie miał nawet ochoty patrzeć na studnie, lecz tak nie jest. Zawsze, gdy widzę studnię, nie mogę się powstrzymać od zajrzenia do środka. A jeżeli jest to w dodatku studnia bez wody, chcę do niej wejść. Prawdopodobnie mam nadzieję, że coś tam dla siebie

znajdę. Spodziewam się, że jeżeli zejść na dół i spokojnie poczekam, być może coś zostanie mi dane. Nie przypuszczam, że naprawi to moje życie. Jestem już za stary na takie nadzieje. Poszukuję czegoś w rodzaju sensu życia, który utraciłem. Co mi go odebrało i dlaczego? Chcę się na własne oczy upewnić. Myślę nawet, że jeżeli mógłbym się w tym upewnić, nie przeszkadzałoby mi, gdybym potem poczuł się jeszcze bardziej zagubiony niż teraz. Nie wiem, ile lat życia mi pozostało, ale chętnie dźwiगाłbym na barkach ten ciężar.

Jest mi doprawdy bardzo przykro, że Pana żona odeszła. Niestety nie mogę Panu zaoferować żadnej rady. Od zbyt wielu długich lat żyję pozbawiony więzów, bez miłości i rodziny. Dlatego też nie mam kwalifikacji, by wypowiadać się na ten temat. Jeżeli jednak ma Pan choćby niewielką ochotę, by czekać jeszcze trochę dłużej na powrót żony, sądzę, że słusznie postępuje Pan, czekając spokojnie tak jak teraz. Jeżeli chciał Pan usłyszeć moje zdanie, jest ono właśnie takie. Myślę, że na pewno ciężko jest żyć samemu w miejscu, w którym ktoś nas opuścił. Dobrze to rozumiem. Lecz nie ma na świecie nic równie okrutnego, jak poczucie opuszczenia wywołane tym, że nie ma się na co czekać.

Jeżeli mi się uda, chciałbym niedługo wybrać się do Tokio i spotkać się z Panem. Teraz niestety dokuczają mi trochę noga i leczenie potrwa jeszcze przez pewien czas. Proszę dbać o siebie i pozostać w zdrowiu.

May Kasahara długo się nie pokazywała. Przyszła do mnie do domu pod koniec sierpnia. Jak zwykle przelazła przez płot i weszła od ogrodu. Zawołała mnie. Usiedliśmy na werandzie i rozmawialiśmy.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, słyszał pan? Od wczoraj rozbierają ten opuszczony dom. Dom państwa Miyawaki - powiedziała.

- To znaczy, że ktoś go kupił?

- Nie wiem.



Razem z May Kasahara poszliśmy uliczką na tyły opuszczonego domu. Sześciu robotników w hełmach zdejmowało okiennice, wyjmowało okna, wynosiło ze środka zlew, urządzenia instalacji elektrycznej. Przez pewien czas przyglądaliśmy się, jak pracują. Zdawało się, że nawykli do takiej pracy i poruszali się niemal bez słowa i wyjątkowo systematycznie. Na niebie ciągnęły się długie proste smugi białych chmur, przywodzące na myśl jesień. Zastanowiłem się, jaka jest jesień na Krecie. Ciekawe, czy tam też są takie same chmury?

- Ciekawe, czy rozwałą studnię? - powiedziała May Kasahara.

- Prawdopodobnie tak - odparłem. - Nie ma z niej żadnego pożytku. A przede wszystkim jest niebezpieczna.

- Ktoś może wejść do środka - oświadczyła bardzo poważnie.

Patrząc na jej opaloną twarz, wyraźnie przypominałem sobie dotyk jej języka na znamieniu w tym wypełnionym gorącym powietrzem ogrodzie.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, w końcu nie pojechał pan na Kretę.

- Postanowiłem zostać tu i poczekać.

- Kiedyś powiedział pan, że pani Kumiko już nie wróci, prawda?

- To inna sprawa - powiedziałem.

May Kasahara spojrzała na mnie lekko zmrużonymi oczami. Kiedy mrużyła oczy, pogłębiała się blizna w kąci oka.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, dlaczego poszedł pan do łóżka z panią Kretą Kano?

- Było to konieczne.

- To też inna sprawa?

- Tak, o to chodzi.

Westchnęła.

- Do widzenia, panie Ptaku Nakręcaczu. Do zobaczenia.

- Do widzenia - powiedziałem.

Wahała się przez chwilę, a potem dodała:

- Panie Ptaku Nakręcaczu, pewnie wrócę do szkoły.

- Nabrałaś ochoty na powrót do szkoły?

Lekko wzruszyła ramionami.

- Do innej szkoły. Za nic nie chcę wrócić do tamtej. Ta szkoła jest dość daleko stąd. Dlatego przez dłuższy czas się z panem nie zobaczę.

Przytaknąłem. Wyjąłem z kieszeni dropsa cytrynowego i włożyłem do ust. May Kasahara rozejrzała się dookoła, potem wetknęła do ust papierosa i zapaliła.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, przyjemnie jest spać z różnymi kobietami?

- Nie o to chodzi.

- Już to słyszałam.

- Uhm - powiedziałem.

Nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć.

- Wszystko jedno. Niech będzie. Ale nabrałam w końcu ochoty na powrót do szkoły dzięki temu, że pana poznałam. Naprawdę.

- Ciekawe dlaczego?

- Właśnie, ciekawe dlaczego - powtórzyła. Znowu patrzyła na mnie, zmrużywszy oczy. - Może zachciało mi się wrócić do normalniejszego świata. Z panem było zawsze strasznie interesująco. Naprawdę, nie kłamię. Jest pan zupełnie normalnym facetem, ale robi pan bardzo nienormalne rzeczy i do tego, jak by to powiedzieć... tak, jest pan nieprzewidywalny. Dlatego nigdy się z panem nie nudziłam. To był dla mnie ratunek. Jeżeli człowiek się nie nudzi, nie musi myśleć o niepotrzebnych rzeczach. Prawda? Z tego powodu bardzo się cieszę, że pana poznałam. Ale szczerze mówiąc, czasami robi mi się nieswojo.

- W jakim sensie?

- Jak by to powiedzieć? Czasami, gdy na pana patrzę, wydaje mi się, że pan ze wszystkich sił o coś dla mnie walczy. To dziwne zabrzmie, ale ja wtedy solidarnie męcę się razem z panem. Rozumie pan? Ma pan zawsze obojętny wyraz twarzy, jakby nic pana nie dotyczyło. Ale naprawdę tak nie jest. Walczy pan, jak może, ze wszystkich sił. Nawet jeżeli ludzie tego nie widzą. Ina-

czej nie wchodziłby pan przecież specjalnie do studni. Prawda? I oczywiście miota się pan jak szalony i zмага się pan z tym czymś nie dla mnie, a po to, żeby znaleźć panią Kumiko. Dlatego nie mam się po co specjalnie męczyć. Wiem o tym, a mimo to mam wrażenie, że walczy pan również dla mnie. Walcząc dla pani Kumiko, pewnie jednocześnie w rezultacie walczy pan też dla różnych innych ludzi. Dlatego czasami wychodzi pan na kompletnego głupka. Tak mi się coś wydaje. Ale gdy tak na pana patrzę, czasami czuję się nieswojo. Naprawdę nieswojo. Przecież zdaje się, że nie ma pan najmniejszych szans na zwycięstwo. Jeżeli musiałabym postawić pieniądze na którąś ze stron, to z przykrością postawiłabym na pana przeciwnika. Lubię pana, ale nie chciałabym przez to zbankrutować.

- Dobrze cię rozumiem.

- Nie chcę patrzeć, jak pan przegrywa, nie chcę się już tak męczyć. I dlatego chcę wrócić do normalniejszego świata. Lecz gdybym pana nie spotkała, gdybyśmy się nie spotkali przed tym pustym domem, pewnie bym się tak nie czuła. Na pewno nie pomyślałabym, żeby wrócić do szkoły. Na pewno marnowałabym czas w jakimś niezbyt normalnym miejscu. W tym sensie jest to dzięki panu - powiedziała. - Nie jest pan zupełnie bezużyteczny.

Przytaknąłem. Dawno mnie już nikt nie pochwalił.

- Uściśnię mi pan rękę? - zapytała.

Uściśnąłem jej drobną opaloną dłoń. Po raz pierwszy zauważyłem, jakie ma małe ręce. To zupełnie dziecko, pomyślałem.

- Do widzenia, panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała jeszcze raz. - Dlaczego nie pojechał pan na Kretę? Dlaczego pan stąd nie uciekł?

- Ponieważ nie mogę się zdecydować, na kogo postawić.

May Kasahara odsunęła rękę i przez chwilę patrzyła na mnie, jakby zobaczyła coś niezwykłego.

- Do widzenia panie Ptaku Nakręcaczu. Do zobaczenia.

Po dziesięciu dniach opuszczony dom został całkowicie rozebrany i posesja zmieniła się w gładko wyrównany plac. Dom zniknął jak sen, rozwiął się, a studnię zasypano, tak że nie pozostał po niej żaden ślad. Usunięto rośliny i drzewa z ogrodu, rzeźbę ptaka też dokądś zabrano. Pewnie ją wyrzucono. Może to lepiej dla ptaka. Proste ogrodzenie od strony uliczki zmieniło się w wysoki płot z ciasno zbitych desek, niepozwalający na zagładanie do środka.

Pewnego popołudnia w połowie października, pływając w dzielnicowym basenie, miałem coś w rodzaju wizji. Na tym basenie zawsze w tle gra muzyka, tego dnia puszczała Franka Sinatra. Stare piosenki takie jak Dream i Little Girl Blue. Słuchając ich jednym uchem, pływałem tam i z powrotem w dwudziestopięciometrowym basenie. Wtedy miałem wizję. A może to było objawienie.

Nagle zorientowałem się, że jestem w olbrzymiej studni. Pływałem nie w dzielnicowym basenie, lecz na dnie studni. Otaczająca mnie woda była bardzo ciężka i ciepła. Byłem zupełnie sam i dźwięk rozpryskiwanej wody rozbrzmiewał inaczej niż zwykle. Przestałem pływać. Spokojnie unosząc się na wodzie, rozjrzałem się powoli dookoła, a potem odwróciłem na plecy i spojrzałem w górę. Dzięki wypieraniu wody bez najmniejszego wysiłku unosiłem się na powierzchni. Otaczała mnie głęboka ciemność i w górze widziałem tylko równo wycięty okrągły kawałek nieba. O dziwo, nie czułem strachu. To, że jest tu studnia, że ja unoszę się na jej dnie, wydawało mi się bardzo naturalne. Dziwiłem się raczej, że do tej pory tego nie zauważyłem. Była to jedna z wielu studni istniejących na świecie, a ja byłem jednym z wielu „ja”.

Na okrągło wyciętym fragmencie nieba jasno świeciły niezliczone gwiazdy, sam wszechświat rozpadł się i rozprysnął na drobne kawałeczki. Gwiazdy bez słowa wkręcały ostre świderki światła w składający się z wielu warstw czerni sufit ciemności. Ponad wylotem studni wiał wiatr. Niósł jakieś nawoływanie. Ki-

edyś, dawno temu, słyszałem ten głos. Chciałem mu odpowiedzieć, lecz sam nie mogłem wydobyć głosu. Prawdopodobnie w tym świecie moje struny głosowe nie mogły wpaść w drgania.

Studnia była strasznie głęboka. Gdy patrzyłem na jej wylot, nagle góra i dół zamieniły się miejscami i doznałem wrażenia, że stoję na szczycie wysokiego komina i spoglądam w dół. Po raz pierwszy od długiego czasu poczułem się spokojny i rozluźniony. Wyprostowałem w wodzie nogi i ramiona, wzięłem kilka głębokich oddechów. Moje ciało rozgrzało się od środka i stało się lekkie, jakby coś mnie od dołu podpierało. Byłem otoczony, podpierany, chroniony.

Nie wiem, ile czasu tak minęło, lecz wkrótce nadszedł świt. Smugi wątego liliowego światła pojawiły się u wylotu studni i powoli zmieniając odcień, poszerzały się, a gwiazdy jednocześnie traciły blask. Kilka jaśniejszych pozostało jeszcze przez pewien czas w jednej części nieba, ale i one zamglily się i zaczęły rozplywać. Unoszę się na plecach w gęstej wodzie i wpatruję się w słońce. Nie razi mnie. Moje oczy są chronione przed intensywnym światłem słonecznym przez jakąś siłę, zupełnie jakbym miał okulary przeciwsłoneczne.

Trochę później, gdy słońce zaczęło świecić dokładnie nad studnią, w tej olbrzymiej kuli światła zaczęły zachodzić drobne, lecz wyraźne zmiany. Zanim jednak to nastąpiło, nadeszła dziwna chwila, kiedy zdawało się, że oś czasu nagle gwałtownie drgnęła. Wstrzymałem oddech, wyteżyłem wzrok i usiłowałem dostrzec, co się miało za chwilę zdarzyć. Wkrótce zobaczyłem, jak z prawej strony pojawia się na Słońcu czarna, przypominająca znamię, plama. I to małe znamię stopniowo zaczęło zasłaniać Słońce, tak jak przedtem Słońce pochłoneło ciemność nocy. Zaćmienie Słońca, pomyślałem. Na moich oczach odbywało się zaćmienie Słońca.

Lecz nie było to zaćmienie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Gdy czarne znamię zakryło mniej więcej połowę tarczy, nagle się zatrzymało. Do tego to znamię nie miało wyraźnego konturu

jak zwykle w przypadku zaćmienia i choć zjawisko wyraźnie przybrało formę zaćmienia, nie można go było w rzeczywistości tak nazwać. Nie miałem jednak pojęcia, jak w takim razie należy je nazwać. Jak w czasie testu psychologicznego, mrużę oczy i próbuję dopatrzeć się jakiegoś znaczenia w kształcie zaćmienia. Lecz jest to kształt, który jednocześnie nie jest kształtem, coś, co jest niczym. Wpatrując się w ten kształt, stopniowo tracę pewność siebie. Biorę kilka głębokich oddechów, uspokajam bicie serca, poruszam powoli palcami w gęstej wodzie i jeszcze raz upewniam się co do własnego istnienia w ciemności. W porządku, nie ma wątpliwości. Niewątpliwie tu jestem. Jestem w dzielnicowym basenie, lecz jednocześnie na dnie studni. Jestem świadkiem zaćmienia Słońca, które nie jest zaćmieniem.

Zamykam oczy i słyszę z oddali stłumiony dźwięk. Najpierw jest tak cichy, że nie jestem nawet pewien, czy go słyszę. Brzmi to jak, dochodząca przez ścianę, niewyraźna rozmowa. Lecz wkrótce dźwięk stopniowo się wyostrza, tak jakby ktoś nastroił radio. Kobieta dawniej zwana Kretą Kano twierdzi, że dobre wiadomości są często przekazywane cichym głosem. Skupiam się, wyteżam słuch i próbuję rozróżnić słowa. Lecz nie są to ludzkie głosy. Jest to pomieszane rzenie wielu koni. Gdzieś w ciemności konie rzą ostro, chrapią, mocno uderzają kopytami o ziemię, jakby czymś zdenerwowane. Zdawało się, że rzeniem i zachowaniem w wielkim zdenerwowaniu próbują przekazać mi jakąś wiadomość. Lecz ja nie rozumiem. Dlaczego tu są konie? I co chcą mi powiedzieć?

Nie mam pojęcia. Z zamkniętymi oczami staram się wyobrazić sobie konie, które gdzieś tu są. Przed oczami staje mi jedynie obraz koni leżących na słomie w stajni, toczących z pysków pianę i wijących się z bólu.

Nagle przypominam sobie historię o koniach umierających w czasie zaćmienia Słońca. Zaćmienia Słońca zabijają konie. Przeczytałem o tym w gazecie i opowiedziałem Kumiko. Tego wieczoru, kiedy późno wróciła i wyrzuciłem do śmieci kolację. Ko-

nie niepokoją się i boją znikającego słońca. I pewnie niektóre z nich naprawdę umierają.

Otworzyłem oczy, lecz słońca już nie było. Nic już nie było. Nad głową miałem jedynie ładnie wycięty okrąg pustki. Teraz studnię wypełniała cisza. Była tak głęboka i potężna, że zdawała się wszystko pochłaniać. Wkrótce zrobiło mi się duszno i nabrałem w płuca dużo powietrza. Poczułem w nim jakiś zapach. Był to zapach kwiatów. Oszałamiający zapach wydzielany w ciemności przez wiele kwiatów. Ulotny jak pozostałość przerwanej przemocy snu. Lecz w następnej chwili zapach wydał mi się ostry, jakby zmienił się pod wpływem jakiegoś silnego katalizatora i mnożył się z wielką siłą. Drobnе igiełki pyłku kwiatowego atakowały moje gardło, nozdrza i ciało.

Pomyślałem, że to taka sama woń jak ta, która unosiła się w pokoju 208. Duży wazon na stole, w nim kwiaty. Z ich zapachem miesza się lekki zapach szkockiej whisky w szklaneczkach. I ta dziwna kobieta od telefonów. „Ma pan w pamięci jakieś białe plamy”. Odruchowo rozglądam się dokoła. W głębokiej ciemności nie mogę niczego dostrzec, lecz wyraźnie czuję jej obecność. Jeszcze przed chwilą tu była, lecz teraz już jej nie ma. Przez krótką chwilę dzieliła ze mną ciemność i znikła, pozostawiając za sobą zapach kwiatów, jak znak swego istnienia.

Wstrzymuję oddech i lekko unoszę się na wodzie. Woda dalej mnie utrzymuje, jakby wspierając moją tutaj obecność. Spokojnie splatam dłonie na piersi. Znowu zamykam oczy i skupiam się. Do moich uszu dociera żywy odgłos serca. Brzmi jak bicie serca innej osoby, ale to moje serce. Jego bicie dobiega z jakiegoś innego miejsca. Powiedziała, że mam w pamięci jakieś białe plamy.

Tak, mam w pamięci jakieś białe plamy.

Czegoś nie zauważam.

Jest kimś, kogo powinienem dobrze znać.

Nagle wszystko rozumiem, jakby ktoś odwrócił jakąś kartę. W jednej chwili widzę wszystko w świetle dnia, nieomal zbyt

jasno, zbyt przejrzyście. Nabieram szybko powietrza i powoli je wypuszczam. Wydechane powietrze jest twarde i gorące jak nagrany kamień. Nie ma wątpliwości. Ta kobieta to Kumiko. Dlaczego wcześniej się nie zorientowałem? Gwałtownie potrzęsnałem głową w wodzie. To oczywiste, gdy się nad tym zastanowić. To naprawdę oczywiste. Kumiko opętana myślą o śmierci wysyłała mi z tego dziwnego pokoju tę jedyną wiadomość. „Proszę odgadnąć, jak się nazywam”.

Zamknięta w tym ciemnym pokoju, szukała ratunku. Nikt prócz mnie nie mógł jej uratować. Ja jeden na całym świecie miałem do tego kwalifikacje, ponieważ kochałem Kumiko, a ona kochała mnie. Jeżeli wtedy domyśliłbym się jej imienia, prawdopodobnie mógłbym znaleźć ukryty tam jakiś sposób i uratować ją ze świata ciemności. Lecz ja się go nie domyśliłem. Ponadto zignorowałem dzwonek telefonu, którym mnie wzywała. Być może nie będę już miał takiej szansy.

Niedługo minęło podniecenie i bezszelestnie nadszedł strach. Otaczająca mnie woda błyskawicznie straciła ciepło. Otoczyło mnie i spowiło coś śliskiego, bezkształtnego jak stado meduz. Słyszałem, jak wali mi serce. Jak żywe stanęło mi w oczach wszystko, co widziałem w tamtym pokoju. W uszach zabrzmiał suchy twarde dźwięk pukania do drzwi, dostałem gęsiej skórki na wspomnienie białego błysku ostrza noża, w którym odbiło się światło korytarza. Gdzieś tam prawdopodobnie ukrywała się Kumiko. I prawdopodobnie ten ciemny pokój był obszarem ciemności kryjącym się w sercu Kumiko. Przełknąłem ślinę i rozległ się głośny pusty dźwięk, jakby ktoś postukał w ścianę jaskini. Bałem się tej jaskini, lecz jednocześnie bałem się tego, co chciało ją wypełnić.

Strach minął równie szybko, jak przyszedł. Powoli wypuściłem wstrzymywany dotąd oddech i nabrałem świeżego powietrza. Woda stała się znowu trochę cieplejsza i poczułem, jak wzbiera we mnie gdzieś w głębi żywe uczucie podobne do radości. Kumiko powiedziała, że pewnie już nigdy się nie zo-



baczmy. Nie wiedziałem, dlaczego niespodziewanie ode mnie odeszła. Ona wcale mnie nie rzuciła. Nie tylko mnie nie rzuciła, a naprawdę desperacko mnie potrzebowała i gwałtownie poszukiwała. Lecz z jakiegoś powodu nie mogła mi tego powiedzieć i dlatego na różne sposoby, pod różnymi postaciami starała się za wszelką cenę przekazać mi jakąś wielką tajemnicę.

Na tę myśl zrobiło mi się gorąco. Czułem, jak rozpadają się i topnieją rzeczy, które tkwiły we mnie zamrożnięte. Nadpłynęły różne wspomnienia, myśli, odczucia, zlały się w jedno i uniosły grudę emocji, którą w sobie miałem. Topniejąca i unoszona prądem powoli mieszała się z wodą i w ciemnościach delikatnie spowiła moje ciało bladą mgiełką. Pomyślałem, że to tam jest. Jest tam i czeka, aż wyciągnę rękę. Nie wiadomo, jak długo to potrwa. Nie wiadomo, jakiej będzie wymagało siły. Lecz nie wolno mi się zatrzymywać. I muszę znaleźć sposób wyciągnięcia ręki ku tamtemu światu. To właśnie muszę zrobić. Kiedy należy czekać, należy czekać, tak powiedział pan Honda.

Usłyszałem stłumiony dźwięk wody. Ktoś zbliżał się w wodzie zwinnie jak ryba. Potem objął mnie silnym ramieniem. Ratownik. Kilka razy z nim rozmawiałem.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- W porządku - powiedziałem.

I nie byłem już na dnie studni, a w dwudziestopięciometrowym dzielnicowym basenie. W jednej chwili wróciła mi świadomość zapachu chloru i odbijającego się od sufitu echa plusku wody. Na brzegu basenu stało kilka osób, które patrzyły w moją stronę, jak gdyby coś się stało. Wyjaśniłem ratownikowi, że nagle dostałem skurczu nogi i dlatego leżałem bez ruchu. Wyciągnął mnie z wody i poradził, żebym trochę odpoczął.

- Dziękuję bardzo - powiedziałem.

Usiadłem oparty o ścianę i spokojnie zamknąłem oczy. Pocucie szczęścia, które przyniosła mi wizja, zostało jeszcze jak plama słońca i skąpany w nim pomyślałem znowu, że to się tam kryje. Nie wszystko wymknęło mi się z rąk. Nie wszystko zosta-

ło zesłane w ciemność. Pozostało jeszcze coś ciepłego, pięknego i cennego. I to jest tam. Jestem tego pewien.

Możliwe, że przegram. Może przepadnę. Może donikąd nie dotrę. Może poruszę niebo i ziemię, a i tak wszystko zostanie stracone i niczego nie da się odwrócić. Być może na próżno przesypuję tylko popiół na pogorzelisku i tylko ja jeden jeszcze tego nie zauważyłem. Nikt na mnie nie postawi. - Nie szkodzi - powiedziałem cicho i zdecydowanie do kogoś, kto krył się obok. - Jednego jestem pewien. Mam przynajmniej na co czekać i mam czego szukać.

Wstrzymuję oddech, wyteżam słuch i staram się dosłyszeć cichy głos, który powinien skądś dobiegać. Ponad pluskiem wody, muzyką i śmiechem moje uszy wychwytyją nieznaczący, bezgłośny dźwięk. Ktoś kogoś woła. Ktoś kogoś szuka. Głosem, który nie wydaje dźwięku. Słowami, które nie są słowami.

## **Księga trzecia**

### **Ptasznik**

**od października 1984 do grudnia 1985**

#### **1. Punkt widzenia May Kasahary**

Już od dawna chciałam do Pana napisać, ale za nic nie mogłam sobie przypomnieć Pana prawdziwego nazwiska i dlatego piszę dopiero teraz. Przecież gdybym napisała tylko „W. Pan Ptak Nakręcacz, Setagaya, XXX nr 2”, list nie dotarłby, mimo wielkich starań listonosza. Przedstawił mi się Pan jak należy, kiedy się poznaliśmy, lecz zupełnie nie mogłam sobie przypomnieć, jak się Pan nazywa (przecież Toru Okada to imię i nazwisko, które się od razu zapomina). Lecz ostatnio przy jakiejś okazji nagle mnie olśniło. Tak jakby przeciąg zniecka otworzył drzwi. Ależ tak, Pan Ptak Nakręcacz naprawdę nazywa się Toru

Okada!

Najpierw powinnam krótko wyjaśnić, gdzie jestem i co robię, ale nie jest to takie proste. I wcale nie znaczy, że jestem w jakimś strasznie trudnym położeniu. Samo położenie jest raczej zrozumiałe i jasne. Droga, która mnie tu przywiodła, też nie była zbyt skomplikowana. Można ją łatwo narysować, łącząc punkty za pomocą linijki i ołówka. Proste, prawda? Ale kiedy chcę to Panu od początku wytłumaczyć, jakoś nie mogę znaleźć słów. Wszystkie myśli bieleją jak futerko królika w śnieżny dzień. Czasami tłumaczenie prostych rzeczy wcale nie jest proste. Na przykład w pewnych miejscach i okolicznościach powiedzenie, że „słoń ma strasznie długą trąbę”, może się okazać wierutnym kłamstwem. Zmarnowałam wiele kartek, próbując napisać ten list i dopiero przed chwilą w końcu to odkryłam, jak Kolumb, który zobaczył przed sobą ląd.

Nie bawię się specjalnie w zagadki, lecz na razie powiem Panu tylko, że jestem „za siedmioma górami”. „Za siedmioma górami” tak jak w „Dawno, dawno temu, za siedmioma górami...”. Piszę ten list w małym pokoju, w którym znajduje się stolik, łóżko, półka na książki i szafa. Wszystkie meble są nieduże, proste i niewymyślne, idealnie pasuje do nich określenie „spełniają minimalne potrzeby”. Na biurku stoi lampa jarzeniowa, kubek z herbatą oraz papier i słownik przygotowane do pisania tego listu. Szczerze mówiąc, bardzo rzadko zaglądam do słownika, ponieważ w ogóle nie przepadam za słownikami. Nie lubię ich wyglądu i nie lubię stylu, w jakim są napisane. Korzystając z nich, zawsze krzywię się i myślę: czy ja naprawdę muszę wiedzieć takie rzeczy? Tacy ludzie jak ja nie bardzo radzą sobie ze słownikami. Weźmy na przykład słowo „transformacja” - przejście systemu z jednego stanu w inny. Przecież ja nie muszę takich rzeczy wiedzieć. Dlatego widząc leżący na biurku słownik, czuję się, jakbym patrzyła na psa, który wślizgnął się z tyłu do ogrodu i robi na trawniku wielką kupę. Ale musiałam kupić słownik, bo w czasie pisania listu do Pana mogły się trafić wyrazy,

których nie umiem napisać.

Mam też tuzin leżących w rządku i pięknie zaostrzonych ołówków. Są nowiutkie, świeżo kupione w sklepie papierniczym. Nie dopraszam się podziękowań, ale musi Pan wiedzieć, że kupiłam je specjalnie do napisania tego listu. Przyjemne są nowe, świeżo zastrzone ołówki, prawda? Jest tu też popielniczka, papierosy i zapalaki. Nie palę tyle, co przedtem, ale od czasu do czasu zapalam sobie dla zmiany nastroju (teraz też właśnie palę). Na biurku nie ma poza tym nic innego. Za biurkiem jest okno, a na nim zasłona. Zasłona jest w ładne kwiatki, ale proszę się nie martwić. Była tu już. Nie ja ją kupiłam i nie uważam, że „zasłony powinny być w kwiatki”. Z wyjątkiem zasłony w kwiatki jest to bardzo, bardzo skromny pokój. Nie przypomina pokoju nastolatki, a raczej modelową celę więzienną dla karanych po raz pierwszy, którą zaprojektował ktoś pełen dobrej woli.

Nie chcę jeszcze pisać o tym, co widać za oknem. Wolę zrobić to później. Nie wydziwiam, tylko po prostu rzeczy mają swoją kolejność. Na razie mogę Panu opowiedzieć tylko o tym pokoju. Na razie.

Od czasu naszego ostatniego spotkania często myślałam o Pana znamieniu, tym sinym znamieniu, które nagle pojawiło się na Pana policzku. Pewnego dnia wślizgnął się Pan jak borsuk do starej studni w opuszczonym ogrodzie państwa Miyawaki, a kiedy Pan wyszedł, miał Pan znamię. Teraz trudno mi uwierzyć, że zdarzyło się to nieomal na moich oczach. Zobaczyłam je i od razu pomyślałam, że pewnie to jakiś szczególny znak. Że prawdopodobnie ma jakieś głębokie znaczenie, które dla mnie jest niezrozumiałe. Przecież inaczej nie pojawiłoby się nagle na Pana twarzy.

Dlatego wtedy je pocałowałam. Koniecznie chciałam wiedzieć, jakie jest, jak smakuje. Wcale nie obcałowuję co tydzień obcych facetów. Chciałabym kiedyś Panu opowiedzieć, co wtedy czułam i co się wydarzyło (choć nie jestem pewna, czy mi się to

uda).

W poprzedni weekend poszłam pierwszy raz od dawna do fryzjera w miasteczku i obciąłam włosy. Przy okazji zauważyłam w tygodniku artykuł o opuszczonym domu państwa Miyawaki. Oczywiście strasznie się zdziwiłam. Zwykle nie czytam tygodników, ale akurat tam leżał, więc pod wpływem kaprysu otwieram go, patrzę, a tu ten artykuł! Nic dziwnego, że byłam zaskoczona, prawda? Sam artykuł był dość tajemniczy i oczywiście nie wspomnieli ani słowa o Panu, lecz nagle pomyślałam, że być może Pan Ptak Nakręcacz ma z tym jakiś związek. Zaświatało mi to w głowie i doszłam do wniosku, że muszę do Pana napisać, a wtedy nieoczekiwanie przyszło mi na myśl Pana prawdziwe nazwisko, jakby przeciąg z trzaskiem otworzył drzwi. Przecież Pan Ptak Nakręcacz nazywa się Toru Okada!

Gdybym miała czas, przelazłabym jak dawniej przez ogrodzenie i odwiedziłabym Pana. Może powinniśmy usiąść naprzeciw siebie przy tym chwiejnym kuchennym stole i spokojnie porozmawiać. Myślę, że tak byłoby najszybciej, lecz, niestety, z powodu różnych okoliczności jest to obecnie niemożliwe. Dlatego siedzę teraz przy biurku i ściskając w rękę ołówek, pracowicie piszę ten list.

Ostatnio często o Panu myślałam. Prawdę mówiąc, wiele razy mi się Pan śnił. Śniła mi się nawet tamta studnia. Nie były to zbyt imponujące sny. Nie odgrywał Pan w nich głównej roli, był Pan tylko „dodatkiem” i dlatego same sny nie miały większego znaczenia. Lecz mimo to strasznie, strasznie, strasznie mnie męczyły. No i rzeczywiście w tygodniku był artykuł o opuszczonym domu państwa Miyawaki (choć nie jest to już opuszczony dom).

Jakoś sobie wyobrażam, że Pani Kumiko jeszcze do Pana nie wróciła i że chcąc ją z powrotem sprowadzić, pewnie zaczął Pan robić coś dziwnego. Tak mi mówi intuicja.

Do widzenia, Panie Ptaku Nakręcaczu. Znów do Pana napiszę, kiedy przyjdzie mi ochota.

## **2. O tajemnicy willi wisielców**

### **TAJEMNICA SŁYNNEJ W SETAGAYA WILLI WISIELCÓW**

Kto kupił przeklętą posesję, której właściciele popełnili całą rodziną samobójstwo? Co się dzieje w sercu eleganckiej dzielnicy?

(Tygodnik..., 7 grudnia)

Posiadłość pod numerem 2 w kwartale X dzielnicy Setagaya znana jest wśród okolicznych mieszkańców pod nazwą „willi wisielców”. Dom położony jest w cichym zakątku willowej dzielnicy, na ponadtrzystumetrowej działce. Jego okna wychodzą na południe, jest słoneczny i wydaje się idealnie usytuowany, lecz znający jego historię ludzie zgodnie twierdzą, że „nie wzięliby tej posesji nawet za darmo”, dlatego że wszystkich bez wyjątku mieszkańców domu spotkał zły los. Sprawdziliśmy, że siedem spośród osób, które od połowy lat dwudziestych były właścicielami i mieszkańcami tej posiadłości, popełniło samobójstwo i większość z nich wybrała śmierć przez powieszenie lub uduszenie.

(skrót - szczegóły dotyczące samobójców)

### **FIRMA-WIDMO. KTÓRA KUPIŁA PRZEKŁĘTĄ POSESJĘ**

Trudno uznać tę serię nieszczęśliwych wydarzeń za przypadkowy zbieg okoliczności. Ostatnim przykładem była tragedia, którą mamy jeszcze świeżo w pamięci, a mianowicie samobójstwo całej rodziny pana Kojiro Miyawaki (fot. 1), właściciela znanej sieci restauracji o nazwie Rooftop Grill, z których największa znajduje się w Ginzie. Z powodu niepowodzenia w interesach pan Miyawaki popadł w ogromne długi, dwa lata temu sprzedał wszystkie lokale i ogłosił bankructwo, lecz dalej prześladowali go liczni prywatni wierzyciele. W rezultacie w styczniu tego roku pan Miyawaki zatrzymał się z rodziną w pewnym hotelu w Taka-matsu. Udusił paskiem śpiącą młodszą córkę Yukie (14

lat), a potem powiesił się wraz z żoną Natsuko, posłużycywszy się sznurem, który w tym celu przywieźli. Nieznane jest miejsce pobytu starszej córki, podówczas studentki. Kupując posiadłość w kwietniu 1972 roku, pan Miyawaki słyszał plotki, że wisi nad nią nieszczęście, lecz zbył je śmiechem, mówiąc, że to „zwykły zbieg okoliczności”. Po nabyciu posesji rozebrał stary dom, który od dłuższego czasu stał pusty, wyrównał grunt pod budowę. Na wszelki wypadek wezwał kapłana, poprosił o odprawienie egzorcyzmów i postawił nowy piętrowy dom. Wszyscy sąsiedzi twierdzą, że dzieci były wesołe i rodzina zdawała się żyć zgodnie i szczęśliwie. Jednak w jedenaście lat później dosięgnął ją zły los. Ponieważ pan Miyawaki wziął pożyczki pod zastaw domu, jesienią 1983 roku zmuszony był oddać go wierzycielom. Ci jednak spierali się o to, w jakiej kolejności długi mają zostać spłacone, i tak kwestia sprzedaży domu się odsuwała. Latem zeszłego roku dzięki mediacji sądowej możliwe stało się dysponowanie posesją. Najpierw została sprzedana za cenę znacznie niższą od rzeczywistej wartości Firmie X, będącej jedną z lepiej prosperujących firm na rynku handlu nieruchomościami. Firma X rozebrała dom pana Miyawaki i planowała sprzedaż działki. Dzięki pierwszorzędnej lokalizacji w Setagaya pojawiło się wielu zainteresowanych kupnem, lecz usłyszawszy plotki na temat wiszącego nad domem przekleństwa, wszyscy potencjalni kupcy w ostatniej chwili się wycofywali. Pan M., kierownik sprzedaży firmy X, powiedział: „Rzeczywiście wiedzieliśmy, że krążą takie złowieszcze opowieści, lecz jest to jednak doskonała lokalizacja, więc optymistycznie założyliśmy, że jeżeli tylko obniżymy nieco cenę, powinno dać się sprzedać. Jednak po wystawieniu działki na rynek absolutnie nic się nie działo. Do tego jeszcze, na nieszczęście, w styczniu doszła ta smutna sprawa z samobójstwem rodziny państwa Miyawaki i szczerze mówiąc, rwaliśmy tu sobie włosy z głowy”. Działkę udało się w końcu sprzedać w kwietniu tego roku. „Kupiec poprosił, żebyśmy trochę spuścili z ceny” (mówi pan M.). Nie znamy szczegółów, ale

w świecie handlu nieruchomościami panuje przekonanie, że firma X z goryczą rozstała się z tą nieruchomością po cenie znacznie niższej od ceny kupna. „Oczywiście kupujący wie o wszystkim. Nie mieliśmy zamiaru okłamywać klienta, byle tylko sprzedać, więc wcześniej wszystko mu wyjaśniliśmy” - mówi pan M.

Zadaliśmy sobie pytanie, kto był skłonny kupić tę nieszczęsną działkę, i okazuje się, że wcale nie tak łatwo się tego dowiedzieć. Z rejestru w Urzędzie Dzielnicowym dowiedzieliśmy się, że nabyła ją firma Akasaka Research, która ponoć zajmuje się badaniami gospodarczymi i konsultingiem i ma biuro w dzielnicy Minato. Firma nabyła nieruchomość w celu zbudowania na niej mieszkań dla pracowników.

I rzeczywiście owe mieszkania pracownicze zostały natychmiast zbudowane. Dlatego też wydaje się, że to typowa firma-widmo istniejąca jedynie na papierze. Kiedy jednak poszliśmy pod wskazany w dokumentach adres, znaleźliśmy tam niewielki budynek mieszkalny. Na jednych drzwiach znajdowała się mała tabliczka z napisem Akasaka Research, lecz nikt nie odpowiedział na dzwonek do drzwi.

### **STARANNA OCHRONA I TAJEMNICZOŚĆ**

Obecnie „dawna posesja Miyawakich” jest otoczona betonowym płotem wyraźnie wyższym niż płoty sąsiednich domów. Wielka, żelazna, pomalowana na czarno, solidna brama nie pozwala zajrzeć do środka (fot. 2). Na słupku bramy umieszczona jest kamera stanowiąca część systemu ochrony posesji. Ludzie z sąsiedztwa mówią, że czasami brama otwiera się automatycznie kilka razy w ciągu dnia i z posesji wyjeżdża lub wjeżdża na nią czarny mercedes 500SEL z przyciemnionymi szybami. Poza tym nikogo nigdy nie widują, nie dochodzą też stamtąd żadne odgłosy.

Budowa domu rozpoczęła się w maju, lecz przez cały czas teren posesji otaczał wysoki płot, więc nawet sąsiedzi nie wiedzą, jaki dom został tam postawiony. Budowa zakończyła się w ni-



ezwycykle krótkim terminie dwóch i pół miesiąca. Pracownik pobliskiej firmy cateringowej, która w trakcie budowy czasami dostarczała posiłki na teren posesji, powiedział: „Sam dom nie jest zbyt duży, bez żadnych ozdób, takie zwyczajne betonowe pudełko. Nie wyglądał na dom, w którym zwyczajnie mieszkają zwykli ludzie. Ale była tam jakaś firma ogrodnicza i sadziła wszędzie kosztowne drzewka. Musieli włożyć dużo pieniędzy w ogród”. Skontaktowaliśmy się telefonicznie ze wszystkimi większymi firmami ogrodniczymi w regionie tokijskim i jedna z nich przyznała, że podczas zakładania ogrodu była świadkiem budowy domu na „dawnej posesji Miyawakich”, lecz ta firma również nie posiadała żadnych informacji o kliencie. Zaprzężona firma budowlana przekazała tylko listę zamówień i plan posesji oraz zamówiła dostarczenie określonej liczby drzewek.

Firma ogrodnicza twierdzi, że w trakcie urządzania ogrodu wezwano przedsiębiorcę zajmującego się wykonywaniem studzien i wykopano głęboką studnię. „W kącie ogrodu zbudowano rusztowanie i wydobywano wykopaną ziemię. Przyglądaliśmy się tej pracy, ponieważ w pobliżu sadziliśmy śliwę daktylową. Podobno na nowo odkopywali wcześniej zasypaną starą studnię, więc samo kopanie nie było zbyt ciężką pracą, lecz ku naszemu zdziwieniu nie znaleziono w niej wody. Ta studnia była przedtem wyschnięta i trudno się spodziewać, żeby po ponownym odkopaniu pojawiła się w niej woda, więc zrobiło to na nas dziwne wrażenie”.

Niestety nie udało nam się dotrzeć do firmy, która odkopała studnię, ale dowiedzieliśmy się, że mercedes 500SEL, który wjeżdża i wyjeżdża z posesji, należy do dużej firmy leasingowej z siedzibą w dzielnicy Chiyoda i został w lipcu oddany w trzyletni leasing jako samochód służbowy firmie mieszczącej się w dzielnicy Mina-to. Nie chciano nam udostępnić nazwy klienta, lecz z rozmowy wynikało, że prawdopodobnie chodzi o „Aka-saka Research”. Przy okazji warto zauważyć, że opłata za leasing mer-

cedesa 500SEL wynosi przypuszczalnie około dziesięciu milionów jenów. Firma leasingowa zapewnia też szofera, lecz nie jest jasne, czy klient z tego skorzystał.

Ludzie z sąsiedztwa nie bardzo chcieli rozmawiać z naszym reporterem na temat willi wisielców. Dom nie ma żadnego kontaktu z sąsiadami i reporter odniósł wrażenie, że ludzie też wola nie mieć z nim nic wspólnego. Mieszkający w pobliżu pan A. powiedział: „Niewątpliwie przesadnie tego pilnują, ale zachowują się bez zarzutu, więc myślę, że ludzie też się specjalnie tym domem nie przejmują. Teraz jest dużo lepiej niż przedtem, kiedy stał tam opuszczony dom, o którym krążyły dziwne plotki”.

Jednak nadal pozostaje zagadką, kto kupił dom i do czego go wykorzystuje.

### **3. O zimowym ptaku nakręcaczu**

Od końca tego dziwnego lata do nadejścia zimy w moim życiu nie zaszło nic, co można by nazwać zmianą. Spokojnie nadchodziły świty, a po nich zmierzchy. We wrześniu często padało. W listopadzie było kilka dni tak ciepłych, że aż się człowiek poccił. Lecz poza pogodą jeden dzień nie różnił się prawie niczym od drugiego. Nieomal codziennie przeplýwałem długie dystanse w dzielnicowym basenie, chodziłem na spacer, trzy razy dziennie przygotowywałem posiłki i starałem się skupiać na sprawach realnych i praktycznych. Czasem jednak czułem w sercu gwałtowne ukłucia samotności. Woda, którą piłem, nawet powietrze, które wdychałem, najeżone były długimi, ostrymi igłami. Strony książek przerażały, lśniąc bielą jak cienkie ostrza brzytwy. W ciszy koło czwartej nad ranem słyszałem, jak powoli rosną korzenie samotności.

Istniało jednak kilka osób, które nie chciały mnie zostawić w spokoju. Byli to członkowie rodziny Kumiko. Przysyłali mi wiele listów. Kumiko mówi, że nie może już być twoją żoną, więc szybko zgódź się na rozwód, a wtedy cały problem od razu się

rozwiąże. Pierwsze listy były pełne nalegań i brzmiały urzędowo. Kiedy na nie nie odpowiedziałem, w kolejnych pojawiły się groźby, które w końcu zmieniły się w prośby, ale wszystkie domagały się tego samego. Wkrótce zadzwonił ojciec Kumiko.

- Nie twierdę, że absolutnie nie zgadzam się na rozwód - powiedziałem. - Ale chciałbym najpierw spotkać się i porozmawiać z Kumiko. Jeżeli ta rozmowa mnie przekona, mogę się rozwieść. Natomiast jeśli spotkanie jest niemożliwe, nie będzie rozwodu.

Wyjrzałem przez kuchenne okno i zobaczyłem rozciągające się w górze ciemne, deszczowe niebo. W tym tygodniu przez cztery dni bez przerwy padał deszcz. Cały świat pociemniał i przemókł.

- Zdecydowaliśmy się na ślub po dokładnym omówieniu wszystkiego. Chciałbym tak samo zakończyć nasze małżeństwo - powiedziałem.

Rozmawialiśmy tak, on swoje, ja swoje, i rozmowa do niczego nie doprowadziła, a właściwie ściśle mówiąc, może i do czegoś doprowadziła, lecz nie wydała owoców.

Miałem kilka wątpliwości: czy Kumiko naprawdę chce się ze mną rozwieść? Czy poprosiła rodziców, żeby mnie przekonali? Ojciec oświadczył: „Kumiko mówi, że nie chce się z tobą spotykać”. Noboru Wataya powiedział to samo, kiedy się z nim widziałem. Prawdopodobnie nie jest to wierutne kłamstwo. Zdarzało się, że rodzice Kumiko interpretowali zdarzenia w sposób dla siebie korzystny, ale, o ile wiedziałem, nie wyszliby czegoś takiego z palca. Mieli swoje wady, lecz byli realistami. Więc jeżeli ojciec mówi prawdę, czy to znaczy, że oni teraz „chronią” Kumiko?

Nie mogłem jednak w to uwierzyć. Od dzieciństwa Kumiko nie czuła prawie miłości do rodziców i brata i ze wszystkich sił starała się od nich uniezależnić. A może z jakiegoś powodu nawiązała romans i dlatego ode mnie odeszła? Nie mogłem po prostu przyjąć za dobrą monetę wyjaśnień, które umieściła w li-

ście, lecz musiałem przyznać, że istnieje taka możliwość. Nie umiałem jednak pogodzić się z tym, że po odejściu ode mnie poszła do własnej rodziny albo do jakiegoś mieszkania, które jej zapewnili, i kontaktuje się ze mną za ich pośrednictwem.

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym mniej to wszystko miało sensu. Jedną z możliwości, jakie mi przychodziły do głowy, była taka, że Kumiko doznała załamania nerwowego i nie była w stanie sama sobie poradzić. Możliwe też, że została gdzieś wbrew własnej woli uwięziona. Porządkowałem w myślach i przedstawiałem różne fakty, słowa i wspomnienia, lecz wkrótce zrezygnowałem z dalszego zastanawiania się. Przypuszczenia do niczego nie prowadziły.

Jesień dobiegała końca i w powietrzu czuło się nadchodzącą zimę. Jak zwykle o tej porze roku, zgraбіłem w ogrodzie opadłe liście, wsypałem je do plastikowych worków na śmieci i wyrzuciłem. Przystawiłem do dachu drabinę i oczyściłem z liści rynny. W moim małym ogródku nie było drzew, lecz wiatr przynosił mnóstwo liści z rozrośniętych drzew sąsiadów po obu stronach. Praca ta nie sprawiała mi przykrości. Czas mijał niepostrzeżenie, gdy patrzyłem zamyślony na suche liście tańczące w kałuży popołudniowego słońca. W ogrodzie sąsiada z prawej strony rosło duże drzewo o czerwonych owocach, na którym czasami zbierały się ptaki i śpiewały, jakby ze sobą konkurowały. Były to kolorowo upierzone ptaszki, o wysokich, przeszywających powietrze głosach.

Nie wiedziałem, jak uporządkować i przechować letnie ubrania Kumiko. Rozważyłem pozbycie się ich, tak jak sugerowała w liście, lecz pamiętałem, jak dbała o każdą rzecz. Pomyślałem, że przecież mam miejsce i na razie mogą sobie tu zostać.

Przy każdym jednak otwarciu szafy, chcąc nie chcąc, przypominałem sobie o nieobecności Kumiko. Wiszące tam ubrania wyglądały jak fatalny rząd pustych skorup po czymś, co kiedyś żyło. Pamiętałem, jak Kumiko je nosiła, a z niektórymi łączyły się konkretne wspomnienia. Kilka razy zorientowałem się, że si-

edzę na łóżku i bezmyślnie wpatruję się w rząd sukienek, bluzek i spódnic. Nie wiedziałem, od jak dawna tak siedzę. Może od dziesięciu minut, a może od godziny.

Czasem patrząc na te ubrania, wyobrażałem sobie, jak jakiś nieznany mężczyzna rozbiera Kumiko. Widziałem, jak jego ręce zdejmują z niej sukienkę, potem bieliznę. Patrzyłem, jak pieszczą piersi, rozsuwają nogi. Widziałem jej miękkie piersi, białe uda, a na nich ręce jakiegoś obcego mężczyzny. Nie chciałem myśleć o takich rzeczach, lecz musiałem, ponieważ to się prawdopodobnie naprawdę zdarzyło i musiałem się do tych obrazów przyzwyczaić. Nie mogłem po prostu uciec sobie od rzeczywistości.

W pierwszych dniach października zmarł stryj Noboru Watai, poseł z prefektury Niigata. Dostał nad ranem zawału w szpitalu w mieście Niigata i zmarł mimo wielkich wysiłków lekarzy. Od dawna spodziewano się śmierci schorowanego posła Watai, zaczęto więc mówić o zbliżających się wyborach i jego poplecznicy zadziałali błyskawicznie. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami zdecydowano, że Noboru Wataya odziedziczy mandat stryja. Organizacja zapewniająca poparcie dla zmarłego posła Watai była silna, a baza wyborcza z natury konserwatywna. Jeżeli nie zdarzy się nic niezwykłego, zwycięstwo ma praktycznie zapewnione. Przeczytałem ten artykuł w bibliotece. Od razu przyszło mi na myśl, że teraz przez pewien czas rodzina Wataya będzie zajęta i nie będą mieli głowy do rozwodu Kumiko.

Na początku wiosny następnego roku odbyły się wybory i zgodnie z przewidywaniami Noboru Wataya został wybrany ogromną większością głosów i pokonał kandydata partii opozycyjnej. Śledziłem w gazetach w bibliotece przebieg wypadków od czasu, gdy został oficjalnym kandydatem, do ogłoszenia wyników, lecz jego zwycięstwo nie wzbudziło we mnie żadnych

uczuć. Zdawało mi się, że wszystko było od początku przesądzone, a rzeczywistość tylko grzecznie się do tego dostosowała.

Sine znamię na mojej twarzy ani się nie powiększało, ani nie zmniejszało. Nie pulsowało ciepłem ani nie bolało, i powoli o nim zapominałem. Przestałem też próbować je ukryć za pomocą okularów przeciwsłonecznych albo nisko nasuniętej czapki. Czasami przypominałem sobie o jego istnieniu, gdy wyszedłszy po zakupy, zauważałem, jak wzdragają się lub odwracają wzrok mijani przechodnie, ale i do tego przywykłem i specjalnie mi to nie przeszkadzało. Przecież moje znamię nie sprawiało nikomu kłopotu. Codziennie rano myłem twarz, goliłem się i starannie badałem jego stan, lecz nie dostrzegałem żadnej zmiany. Wielkość, kolor i kształt pozostawały takie same.

Bardzo niewiele osób zwróciło uwagę, że nagle na mojej twarzy pojawiło się znamię. Łącznie były cztery takie osoby: zapytał o nie właściciel pralni przed dworcem, fryzjer, do którego zawsze chodziłem, sprzedawca ze sklepu z alkoholem Omury i znana z widzenia bibliotekarka. Nikt poza tym. Za każdym razem przybierałem zmartwiony wyraz twarzy i krótko wyjaśniałem, że „miałem mały wypadek”. Nikt dalej nie drażył. Mamrotali tylko przepraszająco coś w rodzaju „ojej” albo „to bardzo przykre”.

Zdawało się, że z dnia na dzień coraz bardziej się od siebie oddalam. Gdy długo przyglądałem się własnym ręką, miałem wrażenie, że robią się przezroczyste. Prawie z nikim nie rozmawiałem, nikt do mnie nie pisał i nie dzwonił. W skrzynce pojawiały się tylko rachunki i materiały reklamowe. Większość z nich były to barwne katalogi znanych firm adresowane do Kumiko, pełne zdjęć wiosennych sukienek, bluzek i spódnic. Zima była dość sroga, lecz mimo tego czasami zapominałem włączyć piecyk, bo nie potrafiłem odróżnić prawdziwego zimna od mego zimna wewnętrznego. Często włączałem piecyk dopiero po spojrzeniu na termometr i upewnieniu się, że „jest naprawdę zimno”. Zdarzało się jednak, że nawet w ogrzonym pokoju moje wewnętrzne poczucie zimna się nie zmniejszało.

Czasami tak jak latem przelazłem przez ogrodzenie i krętą

uliczką szedłem do pustej posesji, na której dawniej był opuszczony dom Miyawakich. W krótkim płaszczu, okutany szalikiem wędrowałem uliczką porośniętą wyschlą zimową trawą. Gwałtowne podmuchy mroźnego wiatru gwizdały pomiędzy liniami wysokiego napięcia. Dom został całkowicie rozebrany, teren otoczony płotem. Udało mi się zajrzeć przez szparę do środka i odkryłem, że nic tam już nie zostało. Nie było domu, wybrukowanej ścieżki, studni, drzew, anteny telewizyjnej, zniknął też posąg ptaka. Wszędzie rozciągała się tylko ugnieciona na płasko gąsienicami spychacza zmarznięta czarna ziemia i tylko gdzieniegdzie rosły zapomniane kępki chwastów. Trudno było uwierzyć, że znajdowała się tu kiedyś głęboka studnia i że zszedłem na jej dno.

Oparłem się o ogrodzenie i patrzyłem na dom May Kasahary. Spojrzałem w okna pokoju dziewczyny, lecz już jej tam nie było. Już nie wyjdzie do mnie i nie powie: „Dzień dobry, panie Ptaku Nakręcaczu!”.

W bardzo zimne popołudnie w połowie lutego wstąpiłem do agencji nieruchomości przed dworcem, o której powiedział mi wuj - „Najlepsze nieruchomości Setagaya”. Wszedłem i zobaczyłem za ladą urzędniczkę w średnim wieku. Przy wejściu stało kilka biurek, lecz krzesła były puste. Widocznie wszyscy wyszli załatwiać jakieś sprawy. Pośrodku pomieszczenia buzował czerwienią duży gazowy piecyk. W głębi znajdowało się pomieszczenie, wyglądające na pokój do przyjmowania klientów. Siedział tam na kanapie drobny staruszek pochłonięty czytaniem gazety. Zapytałem urzędniczkę, czy zastałem pana Ichikawę.

- Ja jestem Ichikawa. Ma pan do mnie jakąś sprawę? - odezwał się ów staruszek.

Wymieniłem nazwisko wuja. Powiedziałem, że jestem siostrzeńcem i mieszkam w jego domu.

- Aha, rozumiem. Jest pan siostrzeńcem pana Tsuruty - powiedział staruszek, odłożył gazetę na stół, zdjął okulary i schował

do kieszeni. Potem dokładnie mi się przyjrzał. Nie wiedziałem, jakie wywarłem na nim wrażenie. - Proszę tutaj. Napije się pan herbaty?

Powiedziałem, że dziękuję i żeby sobie nie robił kłopotu. Staruszek albo nie usłyszał mojej odpowiedzi, albo postanowił ją zignorować, ponieważ poprosił urzędniczkę o zaparzenie herbaty. Wkrótce wniosła tacę z czarkami, a my usiedliśmy naprzeciw siebie w pokoju w głębi. Piec był wyłączony i pokój się wyziębił. Na ścianie wisiała dokładna mapa okolicy, poznaczona tu i tam ołówkiem i flamastrem. Obok wisiał kalendarz ze słynnym obrazem van Gogha przedstawiającym most. Był to kalendarz reklamowy jakiegoś banku.

- Już dawno nie widziałem pana Tsuruty. Jakże się miewa? - zapytał staruszek, łyknąwszy herbaty.

- Bardzo dobrze. Jak zawsze zajęty i rzadko się widzujemy - odpowiedziałem.

- To świetnie. Ile to już lat go nie widziałem? Zdaje mi się, że bardzo długo - powiedział staruszek. Potem wyciągnął z kieszeni marynarki papierosy, starannie wymierzywszy, energicznie zapalił zapalną, następnie papierosa. - To ja znalazłem pana wujowi ten dom, a potem długo nadzorowałem dla niego wynajem. Ale to doskonale, że jest zajęty.

Sam pan Ichikawa nie wydawał się zbyt zajęty. Pewnie był już na emeryturze i przychodził tylko do firmy zajmować się starymi klientami.

- No i jak się panu mieszka w tym domu? Są jakieś kłopoty?

- Z domem jest wszystko w porządku - powiedziałem.

Staruszek przytaknął.

- To świetnie. To bardzo dobry dom. Trochę mały, ale dobrze się w nim mieszka. Wszystkim, którzy tam mieszkają, dobrze się wiedzie. Panu też się dobrze wiedzie?

- Jakoś się wiedzie - odparłem. Przynajmniej żyję, powiedziałem do siebie. - Zaszedłem dziś, ponieważ chciałem o coś zapytać, a wuj powiedział, że pan się najlepiej orientuje w spr-



wach okolicznych posesji.

Staruszek zachichotał.

- No tak, chyba rzeczywiście się orientuję. Przecież już prawie czterdzieści lat siedzę tu w nieruchomościach.

- Chciałem zapytać o dom państwa Miyawaki, który znajduje się za moim. Teraz to jest pusty plac, prawda?

- Uhm... - powiedział staruszek i zamilkł, jakby przeglądając szufladki pamięci. - Został sprzedany w sierpniu zeszłego roku. Wyjaśnili sprawy pożyczek, praw własności, kwestie prawne i w końcu sprzedaż stała się możliwa. Dość długo się targowali. W końcu kupił pośrednik, który zamierzał to znów sprzedać, więc rozebrali dom i wszystko usunęli. Jak dom tak długo stoi opuszczony, to się nie sprzedaje, choćby był piękny. Ten pośrednik, który kupił, nie był stąd. Nikt tutejszy by tego nie kupił. Słyszał pan różne historie o tym domu?

- Słyszałem jakieś od wuja.

- No to pan rozumie. Jak ktoś zna te historie, to tego nie kupi. My też nie kupilibyśmy. Nawet gdybyśmy znaleźli kogoś, kto by o niczym nie wiedział, udałoby się nam sprzedać i trochę zarobić, mielibyśmy potem niesmak, że oszukaliśmy klienta. My tak nie robimy interesów.

Kiwnąłem głową, że się zgadzam.

- W takim razie co za firma to kupiła?

Staruszek zmarszczył brwi i pokręcił głową. Potem podał mi nazwę średniej wielkości firmy handlującej nieruchomościami.

- Prawdopodobnie nie zbadali dobrze sprawy, tylko bez namysłu kupili, kiedy zobaczyli lokalizację i cenę. Pomyśleli, że na pewno łatwo na tym zarobią. Ale to nie takie proste.

- Ciągłe nie mogą sprzedać?

- Prawie im się kilka razy udało, ale jednak nie sprzedali - potwierdził staruszek, splatając ręce. - Ziemia nie jest tania, no i to przecież inwestycja na całe życie, więc zainteresowani sprawdzają różne rzeczy. A wtedy jedna po drugiej wypływają te historie o klątwie. Przecież tam nie zdarzyło się nic dobrego. Nor-

malny człowiek jak o tym usłyszy, to nie kupi. Tu prawie wszyscy znają te historie.

- A jaka jest cena?

- Cena?

- Cena działki, na której był dom państwa Miyawaki.

Staruszek przyjrzał mi się z zainteresowaniem.

- Cena rynkowa jest około czterystu trzydziestu tysięcy za metr. Bo to w końcu najlepsza lokalizacja. Wyjątkowe otoczenie w willowej dzielnicy i dobre nasłonecznienie. Tyle mniej więcej by to kosztowało. Teraz jest zastój i handel nieruchomościami nie za dobrze stoi, ale tam nie powinno być problemu. Jeżeli tylko poczekać, kiedyś powinno się ruszyć za dobrą cenę. Normalnie by tak było. Lecz tam nie jest normalnie. Nie ruszy się, choćby nie wiem jak długo czekać. No więc naturalnie cena spada. Obecna cena sprzedaży bardzo się obniżyła: do trzystu pięćdziesięciu tysięcy za metr. Tam jest łącznie trochę ponad trzysta metrów, więc pewnie jeszcze by obniżyli do równych stu milionów.

- Czy cena dalej będzie spadać?

Staruszek energicznie przytaknął

- Oczywiście, że będzie spadać. Spokojnie spadnie do trzystu tysięcy za metr. Oni kupili za trzysta, więc dotąd spuszcza. Teraz myślą: „Oj, niedobrze!”, i bardzo się ucieszą, jak choć pieniądze odzyskają. Nie wiem, czy spadnie jeszcze niżej. Jeżeli potrzebują gotówki, to może sprzedadzą taniej, nawet ze stratą, ale jeśli nie brakuje im pieniędzy, to się tego nie pozbędą. Nie wiem, jaka jest sytuacja w tej firmie. Ale nie ma wątpliwości, że teraz żałują kupna tej posesji. Lepiej nie mieć z nią nic wspólnego, bo i nic dobrego z tego nie wynika - powiedział i strząsnął popiół z papierosa, postukując o brzeg popielniczki.

- W tamtym ogrodzie jest studnia, prawda? - zapytałem. - Czy wie pan coś o tej studni?

- Tak, jest studnia - odparł pan Ichikawa. - Głęboka studnia. Ale niedawno ją zasypali. I tak była wyschnięta. Do niczego by

się nie przydała.

- Czy wie pan, kiedy wyschła?

Staruszek wpatrywał się przez chwilę w sufit z założonymi rękami.

- To było bardzo dawno i nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, ale przed wojną była w niej woda. Wyschła po wojnie. Nie wiem kiedy. Jak się tam wprowadziła aktorka, już była wyschnięta i chyba zastanawiano się, czy by jej nie zasypać. Ale potem jakoś przestało się o tym mówić. Zасыpywanie studni to w końcu kłopot.

- Lecz zaraz obok w studni państwa Kasahara jest woda i podobno dobra.

- Tak? To możliwe. Tam od dawna była bardzo smaczna woda z powodu rodzaju gleby. Ale żyły wodne to skomplikowana sprawa i wcale nierzadko się zdarza, że w jednym miejscu jest woda, a zaraz obok nie ma. Interesuje pana ta studnia?

- Prawdę mówiąc, chciałbym kupić tę działkę.

Staruszek podniósł głowę i znowu przyjrzał mi się w skupieniu. Podniósł czarę i wypił łyk herbaty.

- Chce pan kupić tę działkę?

Przytaknąłem, nic nie mówiąc.

Staruszek podniósł ze stołu paczkę papierosów, wyjął jednego i postukał nim o blat. Trzymał go między palcami, lecz nie zapalał. Zwilżył językiem wargi.

- Tak jak panu mówię od początku, z tym placem jest coś nie tak. Nikomu, kto tam mieszkał, się nie powiodło. Rozumie pan to, prawda? Szczerze mówiąc, choćby nawet cena była niska, nie będzie to dobry zakup. Czy to panu nie przeszkadza?

- Oczywiście, biorę to pod uwagę. Nie mam na razie do dyspozycji tylu pieniędzy, nawet zważywszy, że cena jest wyraźnie niższa od rynkowej. Ale jeżeli będę miał trochę czasu, jakoś to zorganizuję. Dlatego chciałbym prosić, żeby mnie pan informował, co się dzieje z tą działką. Czy mógłby mi pan donosić o zmianach ceny czy potencjalnych nabywcach?

Staruszek zamyślił się nad czymś przez chwilę, wpatrując się w niezapalonego papierosa. Potem lekko odkasznął.

- W porządku, nie musi się pan spieszyć. To się tak szybko nie sprzedaje. Ruszy się dopiero, jak zaczną sprzedawać prawie za bezcen, a na moje wyczucie tak szybko do tego nie dojdzie.

Dałem mu numer telefonu. Staruszek zapisał go w przepocynym czarnym notesie. Schował go do kieszeni marynarki, wbił we mnie wzrok, a potem spojrzał na znamię.

Luty dobiegł końca i w połowie marca zelżało wreszcie srogie zimno, a z południa powiał ciepły wiatr. Na drzewach pojawiły się pączki, w ogrodzie pokazały się nowe gatunki ptaków. W ciepłe dni siadałem na werandzie i spędzałem czas, wpatrując się w ogród. Pewnego dnia, w połowie marca, późnym popołudniem zadzwonił pan Ichikawa. Powiedział, że posesja państwa Miyawaki nadal nie została sprzedana i że cena jeszcze trochę spadła.

- Mówiłem panu, że tak łatwo się nie sprzedaje - stwierdził z dumą. - Nie ma się co martwić, jeszcze obniżą raz czy dwa. A co tam u pana? Zebrał pan pieniądze?

Kiedy koło ósmej wieczorem myłem w łazience twarz, zauważyłem, że znamię znowu robi się gorące. Dotknąłem go i poczułem ciepło, którego tam wcześniej nie było. Kolor też stał się żywszy, zabarwił się fioletem. Wstrzymując oddech, długo wpatrywałem się w lustro. Gapiłem się bez ruchu, aż moja własna twarz zaczęła wydawać się obca. Zdawało mi się, że znamię czegoś się ode mnie domaga. Gdy tak przyglądałem się sobie w lustrze, ten ja po drugiej stronie też w milczeniu wpatrywał się we mnie po tej stronie.

Za wszelką cenę muszę mieć tę studnię.

To wniosek, do którego doszedłem.

#### **4. O przebudzeniu ze snu zimowego, jeszcze jednej wizytówce i o bezimienności pieniędzy**

Oczywiście nie można od razu zdobyć nieruchomości tylko dlatego, że człowiek chce ją mieć. Suma, którą mogłem zorganizować, była bliska zeru. Miałem jeszcze trochę pieniędzy po matce, ale i one niedługo wyparują w toku zwykłego życia. Nie miałem pracy i niczego, co mógłbym dać pod zastaw pożyczki. Nigdzie na świecie nie było życzliwego banku, który pożyczyłby pieniądze komuś takiemu jak ja. Czyli muszę te pieniądze zdobyć w jakiś magiczny sposób. I to niebawem.

Pewnego ranka poszedłem do kiosku przed dworcem i kupiłem dziesięć losów na loterię, w której można było wygrać pięćdziesiąt milionów jenów. Losy miały kolejne numery. Przypiąłem je pinezkami do ściany w kuchni i codziennie się im przyglądałem. Raz nawet usiadłem na krześle i wpatrywałem się w nie przez godzinę, jakbym czekał, że pojawi się na nich jakiś tajemniczy numer, który tylko ja dostrzegę. Lecz po kilku dniach miałem coś w rodzaju przeczucia: nic nie wygram na tej loterii.

Wkrótce przeczucie zmieniło się w pewność. Absolutnie niemożliwe, żeby moje problemy rozwiązały się tylko dzięki pójściu na dworzec, kupieniu kilku losów, siedzeniu i czekaniu na ogłoszenie wyników. Muszę te pieniądze zdobyć, korzystając z własnych umiejętności, o własnych siłach. Podarłem losy i wyrzuciłem. Potem znowu stanąłem przed lustrem w łazience i wpatrywałem się w swoje odbicie. Musi być jakiś sposób, powiedziałem do siebie. Ale oczywiście nie otrzymałem odpowiedzi.

Zmęczyło mnie siedzenie w domu i zastanawianie się nad różnymi rzeczami, więc przeszedłem się po okolicy. Przez trzy czy cztery dni chodziłem na takie pozbawione celu spacer. Kiedy zmęczyło mnie łażenie, wsiadałem w pociąg i jechałem do Shinjuku. Przechodziłem koło dworca i nagle zachciało mi się odwiedzić dawno niewidziane miasto. Nieźle będzie zastanowić się nad różnymi rzeczami w innym otoczeniu niż zwykle. Właściwie dawno już nie jechałem pociągiem. Wrzucając monety do automatu biletowego, czułem się niezręcznie, jak przy wykonywaniu czynności, do których nie jest się przyzwyczajonym.

Uświadomiłem sobie, że już od ponad pół roku nie byłem w mieście. To wtedy zauważyłem mężczyznę z futerałem na gitarę w pobliżu zachodniego wejścia dworca Shinjuku i poszedłem za nim.

Obezwładniło mnie od dawna niewidziane ruchliwe i tłoczne centrum. Zabrakło mi tchu od samego patrzenia na rzekę ludzi i gwałtownie zaczęło mi bić serce. Minęły już godziny szczytu i tłok nie powinien być duży, lecz na początku trudno mi było zdobyć się na wejście pomiędzy innych przechodniów i torowanie sobie wśród nich drogi. Rzeka ludzi wydawała mi się ogromną falą powodziową, która potrafi zmiatać pagórki i porywać domy. Przeszedłem się trochę, a potem chcąc uspokoić nerwy, wstąpiłem do przeszklonej kawiarni przy głównej ulicy i usiadłem przy oknie. Było przedpołudnie i kawiarnia ziała pustkami. Zamówiłem kakao i pijąc, przyglądałem się bezmyślnie przechodzącym ludziom.

Nie wiem dokładnie, ile czasu tak spędziłem. Może piętnaście, może dwadzieścia minut. Nagle zorientowałem się, że wyszukuję wzrokiem i uważnie się przyglądam pięknie wypucowanym mercedesom, jaguarom, czasem porsche, powoli przesuwającym się po zatłoczonej jezdni. Po deszczu, w jasnym słońcu poranka lśniący lakier samochodów niemal raził, a one same zdawały się jakimiś symbolami. Nie było na nich ani jednej rysy, ani jednej plamki. Ci faceci mają pieniądze, pomyślałem. Po raz pierwszy w życiu przyszło mi na myśl coś takiego. Potrząsnąłem głową, patrząc na swoje odbicie w szybie. Po raz pierwszy w życiu gwałtownie potrzebowałem gotówki.

Nadeszła pora lunchu i w kawiarni zaczął się robić tłok, więc postanowiłem pójść pochodzić po ulicach. Nie szedłem w żadne określone miejsce, po prostu chciałem pospacerować po centrum, w którym dawno nie byłem-Przechodziłem z ulicy na ulicę, starając się nie wpadać na ludzi nadchodzących z przeciwka. W zależności od tego, jak zmieniały się światła i jaki miałem akurat kaprys, skręcałem w prawo, w lewo albo szedłem prosto-Z

rękami w kieszeniach skupiałem się na fizycznej czynności chodzenia-Z głównej ulicy, z rzędami wystaw domów towarowych i wielkich sklepów skręciłem w boczną uliczkę z tandetnie udekorowanymi sex shopami, stamtąd na gwarną ulicę kin, a potem minąwszy cichą świątynię, wróciłem na główną ulicę. W to ciepłe popołudnie ponad połowa przechodniów była bez płaszczów. Co pewien czas czułem przyjemne powiewy wiatru. Nagle zorientowałem się, że jestem w okolicy, którą dobrze znam. Wpatrywałem się w ceramiczne płytki na chodniku, małe rzeźby, spojrzałem w górę na wznoszące się przede mną szklane ściany. Byłem na środku placyku między wieżowcami, na którym zeszłego lata, za radą wuja, przez jedenaście dni obserwowałem twarze przechodzących. Wtedy przypadkiem zauważyłem dziwnego człowieka z futerałem na gitarę, poszedłem za nim i oberwałem kijem baseballowym w holu jakiegoś domu z pokojami do wynajęcia. Wędrowałem bez celu po Shinjuku i wróciłem w to samo miejsce!

Tak jak wtedy kupiłem kawę i pączka w pobliskim Dunkin' Donuts i zjadłem. Siedząc na ławce, nieruchomo wpatrywałem się w twarze przechodniów i po trochu ogarniał mnie łagodny spokój. Sam nie wiem, dlaczego czułem się, jakbym znalazł gdzieś w murze niszę, która dokładnie pasowała kształtem do mego ciała. Bardzo dawno nie przyglądałem się tak twarzom. I nie tylko twarzom - uświadomiłem sobie. Przez ostatnie pół roku naprawdę prawie niczemu się nie przyglądałem. Wyprostowałem się i znów spojrzałem na postacie ludzi, na pnące się w górę wieżowce, roz pogodzone wiosenne niebo, kolorowe tablice reklamowe, na gazetę, którą zauważyłem obok na ławce. Zdawało się, że wraz z nadchodzącym wieczorem wszystko wokół po trochu nabiera barw.

Następnego ranka znowu wsiałem do pociągu i pojechałem do Shinjuku. Usiadłem na tej samej ławce i patrzyłem na twarze przechodniów. W południe kupiłem sobie kawę i pączka. Wró-

ciłem do domu przed rozpoczęciem wieczornego szczytu. Następnego dnia powtórzyłem dokładnie te same czynności, lecz nic się nie zdarzyło, niczego nie odkryłem. Zagadki nadal były zagadkami, a wątpliwości wątpliwościami. Jednak miałem niejasne uczucie, że po trochu się do czegoś zbliżam. Stojąc przed lustrem w łazience, mogłem się o tym przekonać na własne oczy. Znamię nabrało wyraźniejszego koloru, stało się ciepłe. To znamię żyje, pomyślałem. Żyło tak samo jak ja.

Przez tydzień robiłem codziennie to samo, tak jak zeszłego lata. Rano po dziesiątej jechałem do miasta, siadałem na placyku przy wieżowcach i o niczym nie myśląc, przez cały dzień przyglądałem się przechodniom. Czasami z jakiegoś powodu dźwięki rzeczywistości oddalały się i znikaly. Wtedy do moich uszu docierał głęboki cichy odgłos nurtu. Nagle przypomniałem sobie Maltę Kano. Mówiła zdaje się coś o słuchaniu dźwięku wody. Woda była głównym tematem jej opowieści. Jednak nie mogłem sobie przypomnieć, co takiego o niej powiedziała. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, jak wyglądała. Pamiętałem tylko czerwień plastikowego kapelusza. Dlaczego zawsze nosiła czerwony plastikowy kapelusz?

Wkrótce jednak wszelkie odgłosy powróciły i znów skierowałem wzrok na twarze przechodniów.

Ósmego dnia zaczepiła mnie pewna kobieta. Siedziałem akurat z pustym papierowym kubkiem w dłoni i patrzyłem w innym kierunku.

- Proszę pana! - zawołała.

Odwróciłem się i spojrzałem na nią. Była to kobieta w średnim wieku, z którą rozmawiałem tutaj zeszłego lata. Jedyna osoba, która się do mnie zwróciła w ciągu tych dziesięciu dni. Nie spodziewałem się, że ponownie ją spotkam, lecz kiedy do mnie podeszła, wydało mi się, że to naturalny bieg wydarzeń.

Tak jak poprzednio ubrana była niezwykle kosztownie. Nosiła się bardzo dystyngowanie. Miała ciemne okulary w szylkretowej oprawie, na ramiona zarzuciła żakiet z wypchanymi rami-



onami w kolorze przydymionego błękitu, a do niego czerwoną spódnicę z cienkiej flaneli. Bluzka była jedwabna, a w kołnierzyku żakietu lśniła mała, złota, misternie wykonana broszka. Proste i pozbawione ozdób czerwone pantofle na obcasach musiały kosztować tyle, ile ja wydawałem na kilkumiesięczne utrzymanie. W porównaniu z nią, wyglądałem strasznie. Baseballowa kurtka kupiona na pierwszym roku studiów, rozciągnięta pod szyją szara bluza od dresu, podarte tu i tam dzinsy. Niedgdyś białe tenisówki były tak poplamione, że nie można już było rozpoznać koloru.

Wcale tym niezniechęcona, usiadła koło mnie, założyła nogę na nogę i otworzywszy torebkę, wyciągnęła pudełko virginia slims. Tak jak poprzednio zaproponowała mi jednego, a ja, tak jak poprzednio, odmówiłem. Włożyła papierosa do ust i zapaliła go cienką i długą złotą zapalniczką wielkości gumki do ścierania. Potem zdjęła okulary przeciwsłoneczne, wsunęła do kieszonki żakietu i zajrzała mi w oczy, jakby szukała monety, która wpadła do płytkiego stawiku. Ja też patrzyłem jej w oczy. Były przedziwne: głębokie, lecz pozbawione wyrazu. Lekko je zmrużyła.

- W końcu znowu pan tu przyszedł.

Skinąłem głową.

Patrzyłem, jak z końca cienkiego papierosa unosi się dym, rozprasza na wietrze i znika. Kobieta rozejrzała się dokoła, jakby chciała na własne oczy zobaczyć, czemu się z tej ławki przyglądałem. Wyglądało na to, że nic wokoło jej nie zainteresowało. Ponownie skierowała wzrok na mnie. Długo przyglądała się znamieniu, potem popatrzyła na moje oczy, nos, usta, a na koniec znów spojrzała na znamię. Zdawało się, że gdyby mogła, otworzyłaby mi usta, zajrzała w zęby i sprawdziła uszy, jak psu na wystawie.

- Wygląda na to, że teraz potrzebne mi są pieniądze - powiedziałem.

Po chwili spytała:

- Ile?

- Prawdopodobnie wystarczyłoby osiemdziesiąt milionów je-  
nów.

Kobieta odwróciła ode mnie wzrok i przez dłuższą chwilę pa-  
rzyła w niebo. Wyglądało na to, że szacuje w myślach tę sumę,  
tak jakby mówiła sobie: to przenieść tu, a coś stąd przesunąć  
tam. Ja przez ten czas przyglądałem się jej makijażowi: blademu  
jak cień myśli cieniowi do powiek, subtelnemu łukowi rzęs, któ-  
ry zdawał się coś symbolizować.

Lekko skrzywiła wargi.

- To dość duża suma.

- Mnie się wydaje niebotyczna.

Rzuciła na ziemię w jednej trzeciej wypalonego papierosa i  
ostrożnie rozgniotła go obcasem. Potem wyjęła z płaskiej torebki  
etui na wizytówki, wyciągnęła jedną i włożyła mi do ręki.

- Proszę przyjść tam jutro punktualnie o czwartej.

Na wizytówce wydrukowano czarnymi literami jedynie adres  
w dzielnicy Minato, Akasaka, numer i nazwa budynku. Nie było  
nazwiska. Nie było też telefonu. Na wszelki wypadek odwróci-  
łem wizytówkę, lecz na odwrocie była pusta. Zbliżyłem ją do  
nosa, ale nie poczułem żadnego zapachu. Był to tylko zwykły  
biały kartonik.

Spojrzałem na kobietę.

- Nie ma nazwiska?

Kobieta po raz pierwszy się uśmiechnęła, potem w milczeniu  
potrząsnęła głową.

- Przecież potrzebne są panu pieniądze. Pieniądze chyba nie  
mają nazwisk?

Ja też potrząsnąłem głową. Oczywiście, że pieniądze nie mają  
nazwisk. Gdyby miały nazwisko, przestałyby być pieniędzmi.  
To właśnie ta ciemna jak noc anonimowość i zapierająca dech w  
piersi bezapelacyjna wymienialność nadają im prawdziwe znac-  
zenie pieniędzy.

Wstała z ławki.

- Może pan przyjść o czwartej?  
- Jeśli przyjdę, dostanę pieniądze?  
- Hm, zobaczymy. - W kącikach jej oczu pojawił się ślad uśmiechu, jak ślad wiatru na piasku plaży. Jeszcze raz rozejrzała się wokoło i otrzepała nieskazitelnie czystą spódnicę.

Ruszyła szybkim krokiem i niebawem zniknęła w tłumie, a ja przez chwilę przyglądałem się rozdeptanemu niedopałkowi ze śladami szminki na filtrze. Żywa czerwień przywiodła mi na myśl plastikowy kapelusz Małty Kano.

Moja jedyna siła tkwi w tym, że nie mam nic do stracenia. Prawdopodobnie.

## **5. O tym, co zdarzyło się w środku nocy**

Chłopiec usłyszał w środku nocy jakiś wyraźny dźwięk. Obudził się, po omacku zapalił lampę i rozejrzał się po pokoju. Na ściennym zegarze dochodziła druga. Chłopiec nie potrafił sobie wyobrazić, co może dziać się na świecie o tak późnej porze.

Wtedy po raz drugi usłyszał ten sam dźwięk. Dochodził niewątpliwie z za okna. Brzmiało to tak, jakby ktoś gdzieś nakręcał coś dużego. Kto nakręca coś w środku nocy i co to może być? Nie, to tylko brzmi jak nakręcanie, ale naprawdę nim nie jest. To musi być głos jakiegoś ptaka. Chłopiec przysunął do okna krzesło, stanął na nim, odsunął zasłonę i uchylił okno. Na niebie unosił się typowy dla końca jesieni duży biały księżyc w pełni i w jego świetle ogród był widoczny jak w dzień, lecz drzewa robiły zupełnie inne wrażenie niż w blasku słońca. Nie odczuwał ich zwykłej przyjaznej bliskości. Dąb potrząsał co pewien czas z niezadowoleniem ciężkimi gałęziami i wydawał nieprzyjemne, skrzypiące dźwięki. Kamienie zdawały się bielsze i gładsze, patrzyły w niebo, zupełnie jakby udawały, że są twarzami zmarłych.

Ptak siedział chyba na sośnie. Chłopiec wysunął się dalej z okna i spojrział w górę, lecz ptak był ukryty wśród ciężkich gałęzi i z dołu niewidoczny. Chłopiec pomyślał, że chciałby go zo-

baczyć. Zapamiętałby kolor upierzenia i kształt, a jutro znalazłby go sobie spokojnie w atlasie ptaków. Był tak zaciekawiony, że przestało mu się chcieć spać. Bardzo lubił wyszukiwać ryby czy ptaki w różnych atlasach. Na półce stał cały rząd tych wspaniałych, grubych książek, które dostał w prezencie. Nie chodził jeszcze do szkoły podstawowej, ale umiał już czytać nawet niektóre chińskie znaki.

Ptak nakręcił sprężynę jeszcze kilka razy, a potem znów zamilkł na pewien czas. Chłopiec zastanawiał się, czy ktoś poza nim słyszał ten głos. Czy tata i mama usłyszeli? Czy babcia słyszała? Jeżeli nikt nie słyszał, będzie mógł jutro rano wszystkim o tym opowiedzieć. O drugiej nad ranem na gałęzi sosny w ogrodzie przysiadł ptak, który naprawdę śpiewał, jakby nakręcał sprężynę. Gdyby tylko udało się go choć przez chwilę zobaczyć! Wtedy mógłby wszystkim powiedzieć, co to był za ptak.

Lecz ptak więcej już nie zaśpiewał. Milczał jak zaklęty na wybielonej księżycem gałęzi sosny. Wkrótce, zupełnie jak jakieś ostrzeżenie, do pokoju wdarł się zimny powiew wiatru. Chłopiec zadrżał i zrezygnowany zamknął okno. To nie był wróbel czy gołąb, które nie boją się ludzkich oczu. Chłopiec czytał kiedyś w atlasie, że większość nocnych ptaków jest mądra i ostrożna. Ptak prawdopodobnie wiedział, że chłopiec go stąd wypatruje, dlatego na pewno się nie pokaże, choćby chłopiec bardzo długo czekał. Nie mógł się zdecydować, czy iść do toalety, czy nie. Musiałby przejść długim i ciemnym korytarzem. Nie, lepiej wrócić do łóżka i usnąć. Jakoś wytrzyma do rana.

Zgasił światło i zamknął oczy, lecz nie mógł usnąć, bo myśl o ptaku na gałęzi sosny nie dawała mu spokoju. Zza zasłony wlewało się do pokoju jasne jakby zapraszające światło księżyca. Gdy ponownie usłyszał głos ptaka nakręcacza, bez wahania wstał z łóżka. Tym razem nie zapalił lampy, włożył na piżamę rozpinany sweter i cichutko wszedł na krzesło przy oknie. Odsunął lekko zasłonę i przez szparę spojrzął na sosnę. W ten sposób przecież ptak nie zorientuje się, że na niego czyha.

Jednakże zamiast ptaka zobaczył dwóch mężczyzn. Nerwowo przełknął ślinę. Przykucnęli pod sosną jak dwa czarne cienie. Obaj byli ciemno ubrani, jeden miał gołą głowę, drugi jakby filcowy kapelusz. Chłopiec dziwił się, co ci obcy tak późno w nocy robią w jego ogrodzie. I dlaczego pies nie szczeka? Może lepiej zaraz powiedzieć rodzicom? Jednak nie mógł się oderwać od okna. Trzymała go tam ciekawość. Zobaczy, co ci ludzie mają zamiar zrobić.

Ptak nakręcacz zaśpiewał wśród gałęzi, jakby nagle sobie coś przypomniał. Kilka razy, długo nakręcał sprężynę: krrk, krrk, lecz mężczyźni nie zwrócili na to uwagi. Nie podnieśli wzroku, nie poruszyli się. Kucali przyczajeni z głową przy głowie. Wyglądało, że się nad czymś po cichu naradzali, lecz gałęzie zasłaniały światło księżyca i twarze mężczyzn były niewidoczne. Wkrótce obaj równocześnie wstali. Jeden był ze dwadzieścia centymetrów wyższy od drugiego. Wysoki (ten w kapeluszu) miał na sobie długi płaszcz. Niski nosił dopasowane ubranie.

Niski zbliżył się do pnia sosny i przez pewien czas patrzył w górę. Położył dłonie na pniu, głaskał go i obmacywał, jakby coś sprawdzał. Potem lekko wskoczył na pień i zaczął bez najmniejszego trudu (a przynajmniej tak się chłopcu zdawało) zwinnie wchodzić na drzewo. Chłopiec patrzył na to z podziwem jak na cyrkowy numer. Nie tak łatwo wspiąć się na tę sosnę. Pień jest śliski i nie ma żadnego oparcia dla stóp. Chłopiec znał ją jak dobrego przyjaciela. Ale po co oni w środku nocy wchodzą na drzewo? Czy chcą schwytać ptaka nakręcacza?

Wysoki stał pod drzewem i bez ruchu spoglądał w górę. Niski wkrótce zniknął z pola widzenia. Co pewien czas słychać było szelest igieł. To znaczy, że Niski ciągle jeszcze się wspina. Ptak nakręcacz na pewno usłyszy, że się zbliża, i zaraz odleci. Niełatwo jest schwytać ptaka, nawet jeśli się umie chodzić po drzewach. Jak dobrze pójdzie, może chłopcu uda się dostrzec odfruwającego ptaka. Wstrzymując oddech, czekał, aż usłyszy łopot skrzydeł. Cekał długo, lecz panowała cisza. Nie usłyszał też

śpiewu. przez długi czas nic się nie poruszało i z ogrodu nie dobiegały żadne dźwięki. Wszystko było skąpane w białym, nierzeczywistym blasku księżyca. Ogród zdawał się wilgotny jak dno morza, z którego dopiero co zniknęła woda. Jak zaczarowany chłopiec wpatrywał się nieruchomo w sosnę i Wysokiego. Nie mógł oderwać wzroku. Jego oddech zaparowywał okno. Na dworze musiało się zrobić zimno. Mężczyzna stał bez ruchu z rękami na biodrach i patrzył w górę. Nawet nie drgnął, zupełnie jakby skamieniał. Chłopiec wyobrażał sobie, że pewnie czeka zmartwiony, aż Niski zejdzie z drzewa po zakończeniu tego, co tam robił. Nic dziwnego, że się martwi. Łatwiej wejść na wysokie drzewo, niż z niego zleźć. Chłopiec dobrze o tym wiedział. Nagle Wysoki gdzieś poszedł, jakby postanowił dać sobie ze wszystkim spokój.

Chłopcowi zdawało się, że został sam. Niski zniknął gdzieś w koronie sosny, Wysoki odszedł. Ptak nakręcacz ciągle milczał. Czy powinien obudzić ojca? Ojciec na pewno mu nie uwierzy. Na pewno powie, że mu się śniło. Chłopiec rzeczywiście często miał sny i czasami mylił sen z jawą. Ale ojciec może mówić, co chce, to i tak się zdarzyło naprawdę. I ptak nakręcacz, i dwaj mężczyźni w czarnych ubraniach naprawdę tu byli, tylko gdzieś poznikali. Jeżeli porządnie wytłumaczy, ojciec powinien zrozumieć.

Nagle uświadomił sobie, że Niski przypominał ojca. Był chyba trochę niższy niż ojciec, ale kształt sylwetki i ruchy miał dokładnie takie same. Nie, ojciec nie umie tak dobrze chodzić po drzewach. Nie jest taki zwinny i nie ma tyle siły. Im dłużej o tym myślał, tym mniej rozumiał.

Wkrótce Wysoki wrócił pod sosnę. Tym razem niósł coś w obu rękach: w jednej łopatę, a w drugiej dużą płócienną torbę. Położył torbę na ziemi, a łopatą zaczął kopać dołek u nasady pnia. Do uszu chłopca zaczął dobiegać suchy dźwięk łopaty gładko wchodzącej w ziemię. Pomyślał, że to kopanie na pewno wszystkich obudzi. Przecież to bardzo wyraźny głośny dźwięk.

Lecz nikt się nie obudził. Mężczyzna w milczeniu kopał, dalej nie zwracając uwagi na otoczenie. Był bardzo chudy, lecz o wiele silniejszy, niż się wydawało. Widać to było po sposobie, w jaki poruszał łopatą - równomiernie, bez niepotrzebnych ruchów. Gdy wykopał tyle, ile sobie zaplanował, oparł łopatę o pień i przyjrzał się dołkowi. Ani razu nie spojrzął w górę, jakby zupełnie zapomniał o Niskim, który wlaźł na drzewo. Myślał tylko o dołku. Chłopcu się to nie podobało. On martwiłby się o człowieka na drzewie.

Po ilości wykopanej ziemi zorientował się mniej więcej, że dołek nie może być głęboki. Prawdopodobnie nieco powyżej kolan chłopca. Mężczyzna wyglądał na zadowolonego z jego kształtu i głębokości. Wkrótce wyciągnął z torby coś zawiniętego w czarny materiał. Sądząc z jego ruchów, musiało to być coś miękkiego i wiotkiego. Być może ma zamiar zakopać jakieś zwłoki. Na tę myśl chłopcu zabiło serce. Zawinięty w materiał przedmiot był najwyżej wielkości kota. Jeżeli to ludzkie zwłoki, mogło to być jedynie niemowlę. Dlaczego musi to grzebać w naszym ogrodzie? Chłopiec przełknął nadmiar śliny. Przestraszył go ten donośny dźwięk. Był tak głośny, że usłyszał go chyba mężczyzna w ogrodzie.

Wtedy jakby pobudzony dźwiękiem przetykanej śliny, odezwał się ptak nakręcacz. Śpiewał krrrk, krrrk, jakby nakręcał jeszcze większą sprężynę niż przedtem.

Słuchając tego głosu, chłopiec instynktownie poczuł, że zaraz zdarzy się coś bardzo ważnego. Przygryzł wargi i nieświadomie mocno potarł dłońmi ramiona. Lepiej w ogóle na to nie patrzeć, ale teraz już za późno. Nie może oderwać wzroku. Z otwartą buzią i nosem przytkniętym do szyby przyglądał się dziwnemu widowisku rozgrywającemu się w ogrodzie. Nie miał już nadziei, że ktoś z rodziny się obudzi. Pomyślał, że prawdopodobnie nikt się nie obudzi, choćby nie wiem jak hałasował. Prawdopodobnie nikt prócz niego tego nie słyszy. Od początku tak zostało zaplanowane.

Wysoki schylił się i ostrożnie położył w dołku zawinięty w czarny materiał przedmiot. Potem stał i bez ruchu mu się przyglądał. Nie było widać osłoniętej rondem kapelusza twarzy, lecz zdawało się, że jest ponury, jakby poważnie uroczysty. To muszą być jednak zwłoki, pomyślał chłopiec. Wkrótce, jakby podjął jakąś decyzję, mężczyzna sięgnął po łopatę i zasypał dołek. Gdy skończył, lekko udeptał ziemię. Potem oparł łopatę o pień i odszedł wolnym krokiem z torbą w rękę. Ani razu się nie obejrzał. Nie spojrzął także w górę, na drzewo. Ptak nakręcacz też już nie zaśpiewał.

Chłopiec odwrócił się i zerknął na ścienny zegar. Wyteżył wzrok i zobaczył, że wskazówki pokazują pół do trzeciej. Jeszcze przez dziesięć minut spoglądał przez szparę w zasłonie, chcąc się upewnić, że nic więcej się nie zdarzy, lecz wkrótce ogarnęła go gwałtowna senność, jakby nasuwała się na niego ciężka, żelazna pokrywa. Chciał się dowiedzieć, co się stało z Niskim i z ptakiem nakręcaczem, ale oczy same mu się zamykały. Niecierpliwie zdjął sweter, włożył do łóżka i pogrzyżył się we śnie.

## **6. O kupowaniu nowych butów i o tym, co wróciło do domu**

Od dworca metra Akasaka poszedłem gwarną ulicą z rzędami restauracji i barów po obu stronach, następnie wspiałem się drugą, prowadzącą pod górę, i tam znalazłem ów sześciopiętrowy biurowiec. Nie był stary, nie był też nowy. Ani duży, ani mały, niezbyt elegancki, ale i nie bardzo zniszczony. Na parterze znajdowało się biuro podróży, w dużym oknie wystawowym wisały dwa plakaty: port na wyspie Mykonos i kolejka w San Francisco. Kolory na obydwu były spłowiałe jak barwy zeszlomiesięczonego snu. Troje pracowników za szybą pracowicie odbierało telefony i stukało w klawisze komputerów.

Kształt budynku nie miał w sobie nic charakterystycznego. Był zwyczajny, jakby zaprojektowany na podstawie rysunku narysowanego ołówkiem przez ucznia szkoły podstawowej, któremu powiedziano, że ma narysować dom. Może specjalnie uczy-



niono go zwyczajnym, aby dobrze dopasował się do otoczenia. O mało go nie przeoczyłem, mimo że idąc, dokładnie sprawdzałem numery mijanych domów. Przy drzwiach prowadzących do biura podróży znajdowało się skromne wejście do budynku, a obok tabliczki z nazwiskami lokatorów. Przebiegłem je wzrokiem i stwierdziłem, że większość to biura niedużych firm w rodzaju kancelarii adwokackiej, biura projektowego, firmy importowej, gabinetu dentystycznego itp. Kilka tabliczek jeszcze lśniło nowością, tak że mogłem się w nich przejrzeć, lecz tabliczka z numerem 602 była dość zniszczona, zmieniła kolor i zaśniedziała. Wyglądało na to, że kobieta od dawna musi tu mieć biuro. Na tabliczce wyryto nazwę „Projektowanie ubiorów - Akasaka”. Fakt, że była taka stara, nieco mnie uspokoił.

Za wejściem był hol ze szklanymi drzwiami i aby dostać się do windy, należało najpierw zadzwonić pod dany numer i poprosić o otworzenie. Nacisnąłem guzik przy 602. Prawdopodobnie kamera przesłała mój obraz do monitora na górze. Rozejrzałem się i rzeczywiście dostrzegłem w kącie pod sufitem coś w rodzaju niewielkiej kamery. Wkrótce rozległ się brzęczyk odblokowywanych drzwi, więc popchnąłem je i wszedłem.

Wsiadłem do niczym się niewyróżniającej windy, wjechałem na szóste piętro i pochodziwszy tam i z powrotem niczym się niewyróżniającym korytarzem, znalazłem drzwi z numerem 602. Upewniłem się, że napis na nich głosi: „Projektowanie ubiorów - Akasaka”, i nacisnąłem krótko dzwonek przy drzwiach.

Otworzył młody mężczyzna. Szczupły, krótko ostrzyżony, o rzeźbionych rysach był prawdopodobnie najprzystojniejszym człowiekiem, jakiego spotkałem, jednak bardziej niż rysy mój wzrok przyciągnął jego strój. Koszula była tak biała, że aż oczy bolały. Włożył do niej ciemnozielony krawat w drobny wzorek. Krawat był bardzo stylowy i został zawiązany bez zarzutu. Zagłębienie poniżej węzła i sam węzeł wyglądały zupełnie jak na zdjęciu z magazynu mody dla panów. Ja nie potrafiłbym tak pięknie zawiązać krawatu. Jak to się robi? Może to wrodzony ta-

lent. A może po prostu efekt niekończących się ćwiczeń. Spodnie miał ciemnoszare, a na nogach brązowe mokasyny z troczkami. Wszystko wyglądało jak prosto ze sklepu.

Był ode mnie trochę niższy. W kącikach jego ust czaił się uśmiech. Naturalny uśmiech, jakby przed chwilą usłyszał bardzo zabawny dowcip. I nie był to nieprzyzwoity dowcip, a wyrafinowany żart z rodzaju tych, jakie dawno temu minister spraw zagranicznych mógłby opowiedzieć na przyjęciu w ogrodzie następcy tronu, a wszyscy wokół dyskretnie by zachichotali. Chciałem się przedstawić, lecz on lekko pokręcił głową, dając mi do zrozumienia, że nie muszę nic mówić. Potem otworzył szerzej drzwi i wpuścił mnie do środka. Szybko rzucił okiem na korytarz i zamknął drzwi. Przez ten czas nie odezwał się ani słowem, jedynie lekko zmrużył oczy, jakby mówił, że tu zaraz obok śpi bardzo nerwowa czarna pantera i przepraszam, ale teraz nie można rozmawiać. Oczywiście nigdzie nie było czarnej pantery, tylko tak to jakoś odczytałem.

W środku znajdowało się coś w rodzaju pokoju do przyjmowania klientów. Był tam zestaw skórzanych kanap wyglądających na bardzo wygodne, obok stały staroświecki wieszak i lampa. Drzwi w ścianie naprzeciw zdawały się prowadzić do innego pokoju. Przy tych drzwiach, zwrócone w stronę pokoju, stało proste dębowe biurko, a na nim duży komputer. Przed kanapą był stolik, na którym z trudem zmieściłaby się książka telefoniczna. Podłogę pokrywała jasnozielona wykładzina w bardzo przyjemnym odcieniu. Z ukrytych głośników dobiegały ciche dźwięki kwartetu Haydna. Na ścianach wisiało kilka pięknych grafik przedstawiających kwiaty i ptaki. Od razu było widać, że pokój jest schludny i panuje w nim idealny porządek. Na zamontowanych w ścianie półkach stały segregatory z próbkami materiałów i żurnale. Meble i wyposażenie pokoju nie były wcale imponujące ani nowe, ale ich lekkie zużycie miało w sobie uspokajającą przytulność.

Młodzieniec doprowadził mnie do kanapy i posadził, a sam

usiadł przy biurku. Rozłożył lekko ręce, skierował je dłońmi w moją stronę, jakby mówił: proszę tam chwilę poczekać. Uśmiechnął się lekko w znaczeniu: bardzo przepraszam", i podniósł palec w znaczeniu: „nie potrwa to zbyt długo". Zdawało się, że potrafi przekazać to, co chce powiedzieć bez użycia słów. Ski-  
nąłem raz głową, jakby mówiąc: „zrozumiałem". W jego towarzystwie zdawało mi się, że używanie słów byłoby nieeleganckie i nieodpowiednie.

Młodzieniec podniósł ostrożnie leżącą obok komputera książkę, jakby była czymś bardzo kruchym, i otworzył na stronie, na której skończył czytać. Była to gruba czarna książka. Nie miała obwoluty, więc nie widziałem tytułu. Otworzył ją i w następnej sekundzie był już głęboko pogrążony w lekturze. Wydawało się, że zapomniał o moim istnieniu. Żałowałem, że nie mam nic do czytania, bo to pomogłoby mi zabić czas, ale niczego takiego tu nie było. Cóż mi pozostało? Założyłem nogę na nogę i siedząc wygodnie na kanapie, słuchałem Haydna (choć nie przysiągłbym, że to Haydn). Była to ładna muzyka, ale należała do rodzaju tych, które rozplywają się w powietrzu zaraz po wydoby-  
ciu się z głośnika. Na biurku prócz komputera znajdował się zupełnie zwyczajny czarny telefon, tacka na długopisy i kalendarz.

Byłem ubrany mniej więcej tak samo jak wczoraj: w kurtkę baseballową, bluzę z kapturem, dzinsy i tenisówki. Włożyłem to, co było pod ręką. W tym porządnym, czystym pokoju naprzeciw tego porządnego, czystego młodzieńca moje tenisówki zdawały się jeszcze brudniejsze i nędzniejsze. Nie, nie tylko wyglądały, one naprawdę były brudne i nędzne. Miały znoszone na piętach podeszwy, kolor zrobił się szary, jeden but miał nawet z boku dziurę. Nasiąkły nieodwracalnie różnymi rzeczami. W końcu od roku chodziłem codziennie w tych samych butach. Wiele razy przełaziłem przez ogrodzenie za domem, czasami idąc uliczką, zdarzało mi się wdepnąć w zwierzęce odchody, szedłem nawet do studni. Nic dziwnego, że są brudne i nędzne. Właściwie od odejścia z firmy nie uświadamiałem sobie, w ja-

kich butach chodzę, ale gdy teraz tak na nie patrzyłem, dotkliwie poczułem, jak bardzo jestem samotny i jak oddalam się od świata. Pomyślałem, że czas kupić nowe buty. Te są naprawdę okropne.

Wkrótce utwór Haydna dobiegł końca - niezręczne, jakby urwane w połowie zakończenie. Po krótkiej przerwie rozpoczął się jakiś utwór Bacha na klawesyn (chyba był to Bach, lecz znów nie byłem stuprocentowo pewny). Siedząc na kanapie, kilka razy zakładałem nogę na nogę, a potem znowu ją zdejmowałem. Zadzwonił telefon. Młody człowiek włożył do książki kawałek papieru, zaznaczając, gdzie skończył czytać, zamknął ją, odsunął, a potem podniósł słuchawkę. Słuchał uważnie i czasami lekko przytakiwał. Spojrzał na kalendarz na biurku, coś zaznaczył ołówkiem, zbliżył słuchawkę do biurka i postukał nią dwukrotnie, jakby stukał do drzwi, a potem odłożył na widełki. Była to krótka rozmowa, trwała może dwadzieścia sekund, lecz on nie odezwał się ani słowem. Od czasu gdy wprowadził mnie do tego pokoju, nie wydał z siebie głosu. Czyżby był niemową? Lecz sądząc z tego, że zareagował na dzwonek, podniósł słuchawkę i słuchał tego, co ktoś mówi, słuch musi mieć w porządku.

Młodzieniec wpatrywał się przez pewien czas w telefon na biurku, jakby się nad czymś zastanawiał, lecz wkrótce wstał bezszelestnie, podszedł prosto do mnie i bez wahania usiadł obok. Położył ręce na kolanach. Jak można się było spodziewać po rysach twarzy, dłonie miał szczupłe i wytworne. Na wierzchu i na stawach palców widniały drobne zmarszczki. Nie istnieją palce bez zmarszczek. Kilka jest niezbędnych, żeby palce się zginały i poruszały. Lecz on ma ich niewiele, dokładnie tyle, ile trzeba. Skrycie przyglądałem się jego rękom. Czy on nie jest przypadkiem synem tej kobiety? Mają bardzo podobny kształt palców. Właściwie są też inne podobieństwa. Mają podobny kształt nosa: drobny, lecz lekko zaostroszony. Podobna jest też jakby sztuczna przezroczyistość ich źrenic. W kącikach ust młodzieńca zno-

wu zagościł tamten przyjemny uśmiezek. Pojawiał się i znikał bardzo naturalnie, jak wejście do morskiej jaskini pojawiające się i znikające w zależności od fali. Wkrótce wstał równie lekko, jak usiadł i zwróciwszy się do mnie, poruszył wargami, jakby mówiąc „proszę tędy”, lecz nie wydał żadnego dźwięku. Poruszał tylko leciutko wargami i nadawał kształt bezgłośnym dźwiękom. Mimo to zrozumiałem, co chciał powiedzieć. Wstałem i poszedłem za nim. Otworzył drzwi w głębi i wprowadził mnie do środka.

Po drugiej stronie znajdowała się mała kuchnia i chyba łazienka, a dalej jeszcze jeden pokój. Był bardzo podobny do tego, w którym czekałem, lecz nieco mniejszy. Stała tu równie podniszczona skórzana kanapa i okno miało taki sam kształt. Podłogę pokryto wykładziną w tym samym kolorze. Na środku stał duży stół krawiecki, a na nim porządnie ułożone leżały nożyczki, pudełko z przyborami, ołówki, teczka z projektami. Były też dwa manekiny górnej połowy ciała. Okno nie miało żaluzji, a firanki i zasłony zasunięto, tak że nie pozostała żadna szparka. Lampa pod sufitem była zgaszona, pokój wypełniał półmrok pochmurnego zmierzchu i paliła się tylko słaba żarówka lampy stojącej w niejakim oddaleniu od kanapy. Na stoliku przy kanapie stał szklany wazon z bukietem białych mieczyków. Kwiaty były świeże, jakby dopiero je ścięto. Woda w wazonie też była czysta. Nie dochodziła tu muzyka. Na ścianach nie dostrzegłem obrazów ani zegara.

Młodzieniec wskazał mi bez słowa kanapę. Usiadłem na niej, tak jak mi polecił (była równie wygodna jak ta poprzednia), a on wyciągnął z kieszeni coś przypominającego okularki do pływania. Przytrzymał je przede mną. Rzeczywiście były to okularki do pływania. Zwykle okularki z gumy i plastiku. Miały mniej więcej ten sam kształt jak te, których używałem na basenie. Nie wiedziałem, dlaczego teraz wyciąga okularki do pływania. Nie miałem pojęcia.

Nie ma się czego obawiać, powiedział młodzieniec. Ścisłe

mówiąc, nie „powiedział”. Poruszył tylko ustami i leciutko palcem, lecz dokładnie zrozumiałem, co mówi.

Przytaknąłem.

Proszę to włożyć. I proszę nie zdejmować, dopóki ja ich panu nie zdejmę. I proszę nie dotykać. Zrozumiał pan?

Znowu przytaknąłem.

Nikt panu nie zrobi krzywdy. Wszystko w porządku, proszę się nie martwić.

Skiąłem głową.

Młodzieniec przeszedł za kanapę i nałożył mi okulary. Naciągnął gumowy pasek na tył głowy i poprawił ramki otaczające oczy. Okulary różniły się od tych, których zwykle używałem, tym, że nic przez nie nie widziałem. Przezroczysty plastik został czymś grubo zamalowany. Otoczyła mnie całkowita sztuczna cisza. Nie wiedziałem nawet, gdzie jest światło lampy. Doznałem złudzenia, że sam zostałem czymś zamalowany.

Młodzieniec lekko położył mi dłonie na ramionach, jakby chciał dodać mi otuchy. Miał drobne, delikatne palce, lecz nie były wcale słabe. Miały w sobie zadziwiająco wyraźną żywotność jak palce, które pianista kładzie lekko na klawiaturze. Wyczuwałem w nich dobrą wolę. Nie była to dosłownie dobra wola, lecz coś jej bliskiego. „Wszystko w porządku. Proszę się nie martwić”, mówiły. Skiąłem głową. Młodzieniec wyszedł z pokoju. W ciemności usłyszałem oddalające się kroki i dźwięk otwierających się, a potem zamykających drzwi.

Po odejściu młodzieńca siedziałem przez chwilę w tej samej pozycji. Była to dziwna ciemność. W tym, że nic nie widać, przypominała ciemność, której doświadczyłem na dnie studni, lecz jakościowo była zupełnie inna. Bez kierunku i bez głębi. Nie miała ciężaru ani namacalności. Nie była to ciemność, a raczej próżnia. Sztucznie odebrano mi wzrok i byłem tylko przez pewien czas niewidomy. Zesztywniały mi mięśnie, w gardle poczułem suchość. Co właściwie będzie dalej? Przypomniałem sobie dotyk palców młodzieńca. Proszę się nie martwić, mówiły. Z

niewyjaśnionych przyczyn wydało mi się, że mogę ufać jego „słowom”.

W pokoju było tak cicho, że wstrzymując oddech, zacząłem się zastanawiać, czy świat się nie zatrzyma i czy wszystko nie zostanie wkrótce pochłonięte przez głęboki ocean wieczności. Lecz zdawało się, że świat niezmiennie posuwa się naprzód. Wkrótce jakaś kobieta otworzyła drzwi i starając się cicho stąpać, weszła do pokoju.

Po lekkim zapachu perfum zorientowałem się, że to kobieta. Nie był to rodzaj zapachu, jakiego używałby mężczyzna. Musiały być dość kosztowne. Spróbowałem zapamiętać ich woń. Nie byłem pewien, czy mi się uda. Gdy nagle odebrano mi wzrok, zdaje się, że zachwiała się równowaga mego węchu. Przynajmniej wiem, że nie są to perfumy używane przez elegancką kobietę, która mnie tu sprowadziła. Nieznajoma przeszła przez pokój z lekkim szelestem ubrania i cicho usiadła po mojej prawej stronie. Po tym, jak delikatnie usiadła, poznałem, że musi być drobna i lekka.

Siedziała obok i przyglądała się mojej twarzy. Wyraźnie czułem na skórze jej wzrok. Nawet jeżeli nic się nie widzi, czuje się wzrok innych ludzi, pomyślałem. Przez dłuższą chwilę przyglądała mi się bez ruchu. Nie mogłem dosłyszeć jej oddechu. Musi oddychać powoli, żebym jej nie usłyszał. Siedziałem nieruchomo zwrócony przed siebie. Zdawało się, że znamię stało się jakby cieplejsze. Prawdopodobnie jego kolor też zrobił się jaśniejszy. W końcu kobieta wyciągnęła rękę i ostrożnie, jakby dotykała czegoś kruchej i wartościowego, dotknęła koniuszkami palców znamienia i zaczęła je powoli głaskać.

Nie miałem pojęcia, jak na to zareagować i jakiej reakcji ode mnie oczekuje. Miałem jedynie bardzo dalekie poczucie rzeczywistości. Przedziwne wrażenie wyobcowania, jakbym próbował przeskoczyć z jednego pojazdu na drugi jadący z zupełnie inną prędkością. W owej pustce wyobcowania czułem się jak opuszczony dom. Jestem teraz opuszczonym domem, jak dawny dom

państwa Miyawaki. Ta kobieta weszła do domu i z jakiejś przyczyny dotyka sobie ścian i drzwi. Lecz bez względu na to, z jakiego powodu ich dotyka, ja, będący domem (będący jedynie domem), nie mogę nic na to poradzić, a co więcej, nie muszę nic na to poradzić. Na tę myśl poczułem lekką ulgę.

Kobieta nie odzywała się. W głębokiej ciszy wypełniającej pokój słycać było tylko szelest materiału. Wodziła palcami po mojej twarzy, zupełnie jakby próbowała odczytać na niej wyryte dawno temu tajemnicze litery.

Wkrótce przestała głaskać, wstała, obeszła kanapę i stanawszy za mną, dotknęła znamienia językiem, a potem zaczęła je lizać, jak kiedyś latem May Kasahara w ogrodzie. Lecz w porównaniu z May Kasaharą jej sposób lizania był o wiele dojrzalszy. Język umiejętnie przywierał do mojej skóry. Z różną siłą, pod różnymi kątami, różnymi ruchami smakował, ssał, pobudzał zamię. Poczułem w lędźwiach wilgotne gorące pulsowanie. Nie chciałem mieć erekcji. Zdawało mi się, że byłoby to bezsensowne, lecz nie mogłem jej powstrzymać.

Starałem się utożsamić z obrazem pustego domu. Jestem belką, jestem ścianą, jestem sufitem, jestem podłogą, jestem dachem, jestem oknem, jestem drzwiami, jestem kamieniem. Zdawało mi się, że to racjonalne postępowanie. Zamykam oczy i oddalam się od swego ciała ubranego w brudne tenisówki, dziwne okulary i niezręcznie doznającego erekcji. Odseparowanie się od własnego ciała nie wymaga wiele trudu. Dzięki temu udaje mi się poczuć ulgę, pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia. Jestem ogrodem zarosniętym chwastami, jestem kamiennym posągiem ptaka, który nie może latać, jestem wyschniętą studnią. Wiedziałem, że kobieta jest we mnie, będącym pustym domem. Nie widziałem jej, ale już nic mnie nie obchodziło. Jeżeli kobieta czegoś tu szuka, mogę jej to dać.

Upływ czasu staje się jeszcze bardziej niejasny. Nie wiem już, który z wielu czasów jest moim czasem. Świadomość powoli powraca do ciała. Jednocześnie mam wrażenie, że znika z niego



kobieta. Wychodzi z pokoju tak cicho, jak do niego weszła. Słychać szelest ubrania, w powietrzu drży woń perfum. Słyszę odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi. Część mojej świadomości jest ciągle jeszcze t a m, w pustym domu. Jednocześnie jestem na tej kanapie, jako ja. Zastanawiam się, co mam teraz zrobić. Nie potrafię jeszcze zdecydować, gdzie znajduje się rzeczywistość. Zdaje mi się, że słowo „tutaj” po trochu się we mnie rozdwaja. Jestem tutaj. Lecz jestem też tutaj.

Mam wrażenie, że są to porównywalne prawdy. Siedząc na kanapie, zatapiam się w tym dziwnym wyobcowaniu.

Wkrótce otworzyły się drzwi i ktoś wszedł do pokoju. Poznałem kroki młodzieńca. Pamiętałem ich dźwięk. Staje za mną i zdejmuję mi okulary. W pokoju jest ciemno, pali się tylko słabe światelko stojącej lampy. Lekko masuję dłońmi oczy i przyzwyczajam je do realnego świata. Młodzieniec ma teraz na sobie marynarkę od garnituru. Kolor krawatu doskonale pasuje do ciemnoszarej marynarki z dodatkiem zieleni. Uśmiecha się, delikatnie bierze mnie za rękę, pomaga wstać z kanapy i otwiera drzwi w głębi pokoju. Jest tam łazienka - toaleta, a dalej mała kabina prysznicowa. Sadza mnie na toalecie z opuszczoną pokrywą i odkręca kurek prysznica. Czeka przez chwilę, aż popłynie gorąca woda. Kiedy wszystko jest gotowe, pokazuje mi, że mam wziąć prysznic. Odwija z papieru nowe mydło i podaje mi. Potem wychodzi z łazienki i zamyka drzwi. Nie rozumiem, dlaczego mam tu brać prysznic. Czy jest jakiś powód?

Zdejmuję ubranie i zaczynam rozumieć. Nieświadomie miałem wytrysk i zabrudziłem bieliznę. Staję pod strumieniem gorącej wody i dokładnie się myję zielonym mydłem. Zmywam spernę z włosów łonowych. Wychodzę spod prysznica i wycieram się dużym ręcznikiem. Obok leżą opakowane w przezroczystą folię bokserki i podkoszulek Calvina Kleina. Jedno i drugie w moim rozmiarze. Może od początku zaplanowali, że będę tu miał wytrysk. Przez chwilę przyglądam się w lustrze swojej twarzy, lecz głowa mi nie pracuje. W każdym razie wy-

rzucam zabrudzoną bieliznę do kosza i wkładam nowe, czyste, białe bokserki. Wkładam nowy, czysty, biały podkoszulek. Wsuwam dzinsy i wciągam przez głowę bluzę. Nakładam skarpetki i brudne tenisówki. Na to kurtkę. Potem wychodzę z łazienki.

Młodzieniec czekał na mnie pod drzwiami. Zaprowadził mnie znowu do pierwszego pokoju.

Nic się w nim nie zmieniło. Na stole leżała do połowy przeczytana książka. Obok stał komputer, a z głośników dobiegała anonimowa muzyka klasyczna. Posadził mnie na kanapie i przyniósł mi szklanekę dobrze schłodzonej wody mineralnej. Wypiłem połowę. - Chyba się zmęczyłem - powiedziałem. Nie zabrzmiało to jak mój głos, a do tego nie miałem zamiaru niczego takiego powiedzieć. Głos wydobył się nie wiadomo skąd, niezależnie od mojej woli, lecz był to mój głos.

Młodzieniec skinął głową. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki śnieżnobiałą kopertę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni mojej kurtki, jakby wkładał w zdanie idealnie dobrany przymiotnik. Potem jeszcze raz lekko skinął głową. Wyjrzałem przez okno. Niebo zupełnie już pociemniało i miasto oświetlały neony, światła w oknach, latarnie i światła pociągów. Nie mogłem już dłużej wytrzymać w tym pokoju. W milczeniu wstałem z kanapy, podszedłem do drzwi, otworzyłem je i wyszedłem. Młody mężczyzna patrzył na mnie, stojąc przed biurkiem, lecz nic nie powiedział i nie próbował mnie zatrzymać.

Stacja Akasaka Mitsuke była przepelniona wracającymi z pracy ludźmi. Nie chciałem wsiadać do dusznego metra i postanowiłem pójść jak najdalej piechotą. Minąłem pałac, w którym przyjmuje się zagranicznych dygnitarzy, i dotarłem do stacji Yotsuya. Potem ruszyłem ulicą Shinjuku, wszedłem do małego załoczonego lokalu i wypilem małe piwo. Po wypiciu piwa uświadomiłem sobie, że jestem głodny, więc zamówiłem coś prostego do jedzenia. Spojrzałem na zegarek, była prawie siódma. Ale właściwie to, która jest godzina, nie robiło mi żadnej

różnicy.

Gdy się poruszyłem, uświadomiłem sobie, że mam coś w wewnętrznej kieszeni kurtki. Zupełnie zapomniałem o kopercie, którą dał mi przed wyjściem młodzieniec. Była to bardzo zwyczajna biała koperta, lecz kiedy ją wziąłem do ręki, poczułem, że jest cięższa, niż myślałem. Nie była po prostu ciężka, w jej ciężarze było coś niezwykłego, jakby coś w środku wstrzymywało oddech. Po chwilowym wahaniu otworzyłem ją - i tak kiedyś musiałem to zrobić. W środku znajdował się równy plik banknotów po dziesięć tysięcy jenów. Były to nowiutkie banknoty, bez jednego zagięcia. Tak nowe, że nie wydawały się prawdziwe, ale dlaczego nie miałyby być prawdziwe? Było ich dwadzieścia. Na wszelki wypadek policzyłem jeszcze raz. Nie pomyliłem się. Jednak dwadzieścia - dwieście tysięcy jenów.

Włożyłem je do koperty, a kopertę do kieszeni. Potem podniosłem ze stołu widelec i bezmyślnie się w niego wpatrzyłem. Najpierw przyszło mi do głowy, żeby za te pieniądze kupić nowe buty. Cokolwiek by mówić, potrzebne mi są nowe buty. Zapłaciłem, wyszedłem na ulicę i wstąpiłem do dużego sklepu obuwniczego przy ulicy Shinjuku. Wybrałem bardzo zwyczajne granatowe adidas i podałem sprzedawcy swój rozmiar. Nawet nie spojrzałem na cenę. Powiedziałem, że jeżeli będą pasowały, od razu je włożę. Sprzedawca w średnim wieku (a może to był właściciel) zrećnie zasznurował adidas białymi sznurowadłami i zapytał: - A co zrobić z butami, w których pan przyszedł? - Odparłem, że ich nie potrzebuję i żeby się ich pozbył. Potem rozmyśliłem się i powiedziałem, że jednak je zabiorę.

- Dobrze jest czasem mieć takie stare buty, które można zabrudzić - powiedział sprzedawca, uśmiechając się sympatycznie, jakby mówił, że codziennie widuje takie brudne buty.

Potem włożył stare buty do pudełka po nowych, a pudełko do papierowej torby. W pudełku wyglądały jak trupki jakichś zwierzątek. Zapłaciłem wyjętym z koperty, nieskazitelnym banknotem i dostałem resztę w postaci kilku niezbyt nowych bankno-

tów. Potem dzierżąc papierową torbę ze starymi butami, wsiadłem do pociągu linii Odakyu i wróciłem do domu. Wmieszany w ludzi wracających z pracy, trzymając się uchwyty, myślałem o kilku nowych rzeczach, które miałem na sobie: nowych bokserkach, nowym podkoszulku i nowych butach.

Po powrocie do domu jak zwykle usiadłem przy stole i pijąc piwo, słuchałem muzyki przez radio. Potem pomyślałem, że chciałbym z kimś porozmawiać. Może to być rozmowa o pogodzie albo narzekanie na rząd, wszystko jedno o czym. W każdym razie chciałem z kimś porozmawiać. Lecz niestety nie przychodził mi do głowy nikt, z kim mógłbym porozmawiać. Nie było nawet kota.

Następnego ranka gołąc się w łazience, jak zwykle zbałem w lustrze stan znamienia. Nie zauważyłem w nim żadnych szczególnych zmian. Usiadłem na werandzie i spędziłem cały dzień, patrząc na dawno nieogładany ogród. Był to przyjemny ranek i przyjemne popołudnie. Wczesnowiosenny wietrzyk cicho poruszał liśćmi drzew.

Wyjąłem z kieszeni kurtki kopertę zawierającą dziewiętnaście banknotów po dziesięć tysięcy jenów i włożyłem do szuflady biurka. Koperta ciągle zdawała się dziwnie ciężka, jakby przesiąknięta znaczeniem, lecz ja nie mogłem tego znaczenia zrozumieć. Coś mi to przypomina, pomyślałem. To, co zrobiłem, bardzo mi coś przypomina. Wpatrując się w kopertę w szufladzie, starałem się sobie przypomnieć, lecz nic z tego nie wyszło.

Zamknąłem szufladę, poszedłem do kuchni, zaparzyłem herbatę i piłem, stojąc przy zlewku. Potem w końcu sobie przypomniałem. To, co wczoraj zrobiłem, zadziwiająco przypominało pracę call girl, o której opowiadała mi Kreta Kano. Idzie się we wskazane miejsce, śpi się z kimś i otrzymuje się zapłatę. W rzeczywistości nie spałem z tą kobietą (tylko miałem wytrysk, nie zdejmując spodni), lecz poza tym było to mniej więcej to samo. Potrzebowałem określonej kwoty i zaoferowałem komuś swoje ciało. Zastanawiałem się nad tym, pijąc herbatę. W dali usłysza-

łem szczekanie psa, a po chwili warkot silnika śmigłowca. Nie mogłem uporządkować myśli. Znowu usiadłem na werandzie i patrzyłem na ogród obłany światłem popołudnia. Kiedy znudziło mi się patrzeć na ogród, spojrzałem na własne dłonie. Żebym ja został prostytutką!, pomyślałem, patrząc na nie. Kto by pomyślał, że dla pieniędzy będę sprzedawał swoje ciało. I że za zarobione pieniądze najpierw kupię sobie nowe adidasy.

Chciałem pooddychać świeżym powietrzem, więc postanowiłem iść po zakupy. Włożyłem nowe adidasy i przeszedłem się po okolicy. Zdawało mi się, że nowe buty zmieniły mnie w kogoś innego. Okoliczne ulice, twarze mijanych ludzi były trochę inne niż dawniej. W pobliskim sklepie kupiłem jarzyny, jajka, mleko, rybę i kawę. Zapłaciłem pieniędzmi z reszty, którą wydano mi wczoraj w sklepie obuwniczym. Miałem ochotę zwierzyć się pyzatej kasjerce w średnim wieku, że zarobiłem te pieniądze wczoraj, sprzedając własne ciało. Dostałem za to dwieście tysięcy jenów. Dwieście tysięcy jenów! Dawniej pracując jak wół codziennie po godzinach w kancelarii adwokackiej, przez miesiąc zarabiałem niewiele ponad sto pięćdziesiąt tysięcy. Chciałem jej o tym powiedzieć, ale oczywiście tego nie zrobiłem. Podałem jej pieniądze i przyjąłem torbę z jedzeniem.

W każdym razie coś zaczęło się dziać, powiedziałem do siebie, idąc z papierową torbą pod pachą. Teraz muszę się tylko mocno trzymać, żeby nie zostać wyrzuconym z toru. Jeśli tak zrobię, prawdopodobnie uda mi się dokąds dotrzeć. Przynajmniej do innego miejsca niż to.

Moje przeczucia okazały się trafne. Gdy wróciłem do domu, przywitał mnie kot. Otworzyłem drzwi do przedpokoju, a on zamiauczał głośno, jakby nie mógł się doczekać, i podszedł do mnie, unosząc zakrzywiony ogon. Był to Noboru Wataya, który zaginął prawie rok temu. Odstawiłem torbę z zakupami i podniosłem kota.

## **7. O tym, co można zrozumieć, jeżeli się człowiek dobrze za-**

## stanowi (punkt widzenia May Kasahary - 2)

Dzień dobry, panie Ptaku Nakręcaczu!

Pewnie myśli pan, że jak zwyczajna licealistka siedzę gdzieś teraz w jakimś liceum nad otwartym podręcznikiem i uczę się. Rzeczywiście, kiedy się ostatni raz widzieliśmy, sama panu powiedziałam, że „idę do innej szkoły”, więc nic dziwnego, że tak Pan myśli. I naprawdę poszłam do szkoły. Takiego bardzo, bardzo daleko położonego liceum dla dziewcząt z internatem. Lecz nie biednego i skromnego, a takiego z pokojami przypominającymi pokoje hotelowe, czyste i wspaniałe, ze stołówką, w której można sobie wybierać posiłki, kortem tenisowym i łniącym, wielkim basenem. Z rodzaju tych, co drogo kosztują i dlatego jest w nich dużo dziewczyn z bogatych domów sprawiających pewne trudności wychowawcze. Mniej więcej potrafi sobie Pan to wyobrazić, prawda? Ekskluzywna, zamknięta szkoła na prowincji. Otaczała ją wysokie ogrodzenie zakończone drutem kolczastym, a wejście stanowiły żelazne drzwi tak wielkie, że nawet Godzilla nie dałaby rady rozwalić ich kopniakiem. Strzegli ich na zmianę przez dwadzieścia cztery godziny przypominający roboty strażnicy. Nie po to, żeby nikogo tam nie wpuścić, a raczej po to, żeby nikt się stamtąd nie wydostał.

Być może zapyta Pan: skoro wiedziałaś, że jest tam strasznie, po co pojechałaś? Jeżeli nie chciałaś, nie musiałaś jechać. To prawda. Logiczne myślenie. Lecz ja szczerze mówiąc, nie miałam wtedy wyboru. Tylko ta jedna szkoła zlitowała się i zgodziła mnie przyjąć, mimo całego bigosu, jakiego narobiłam, a ja chciałam za wszelką cenę oddalić się od domu. Dlatego postanowiłam do niej iść, choć wiedziałam, że to straszne miejsce, myślałam, że jakoś to będzie. Lecz jednak było tam naprawdę strasznie. Mówi się czasem, że coś jest jak zły sen, ale tam było znacznie gorzej niż w złym śnie. Nawet kiedy miałam zły sen i budziłam się złana potem (naprawdę często miewałam tam takie sny), zawsze myślałam: och, nie chcę się budzić! Koszmar nocny był o wiele lepszy od rzeczywistości. Wie Pan, jak się czło-

wiek wtedy czuje? Czy był Pan kiedyś na takim zupełnym dniu?

W rezultacie spędziłam w tej „przypominającej hotel szkole-więzieniu na prowincji” tylko pół roku. Będąc w domu w czasie ferii wiosennych, oświadczyłam rodzicom, że wolę się zabić, niż tam wrócić. Wepchnę sobie do gardła trzy tampony, wypiję mnóstwo wody, podetnę brzytwą żyły i do tego rzucę się z dachu szkoły. Mówiłam poważnie, nie żartowałam. Moi rodzice mają razem wzięci tyle wyobraźni co zielona żaba, ale wiedzą, kiedy mówię poważnie i że nie były to tylko czcze pogroźki. Wiedzą z doświadczenia.

Dlatego nie wróciłam już więcej do tej głupiej szkoły. Od końca marca do początków kwietnia siedziałam w domu, czytałam książki, oglądałam telewizję albo tylko leniłam się, nic nie robiąc. I sto razy dziennie myślałam: chciałabym zobaczyć pana ptaka Nakręcacza. Chcę przejść uliczką, przejść przez ogrodzenie i porozmawiać z panem Ptakiem Nakręcaczem. Nie mogłam jednak tak po prostu iść się z Panem zobaczyć. Jeśli bym to zrobiła, byłoby znowu od początku to samo co latem. Dlatego siedząc w pokoju, patrzyłam na uliczkę i zastanawiałam się, co teraz może robić pan Ptak Nakręcacz. Cicho i niezauważalnie na świecie zapanowała wiosna, a ja myślałam: ciekawe jak żyje pan Ptak Nakręcacz? Czy wróciła pani Kumiko? Co się stało z tymi dziwnymi Malta i Kretą Kario? Czy wrócił kot Noboru Wataya? Czy panu Ptakowi Nakręcaczowi zniknęło znamię z twarzy?

Po miesiącu nie mogłam już znieść takiego życia. Nie wiem, jak doszło do tego, że okolice domu stały się dla mnie „światem pana Ptaka Nakręcacza”. Będąc tam, stawałam się jedynie częścią „świata pana Ptaka Nakręcacza”. Zanim się zorientowałam, już nią byłam. Pomyślałam, że nie może tak dalej być, choć oczywiście to nie była Pana wina. Dlatego musiałam gdzieś poszukać swojego własnego miejsca.

Myślałam i myślałam, i nagle coś przyszło mi do głowy.

(Wskazówka) Sam Pan się domyśli, jeżeli się Pan dobrze zastanowi. Postara się Pan i wyobrazi sobie. Nie jest to szkoła ani

hotel, ani szpital, ani więzienie, ani dom. Dość szczególne miejsce, które jest bardzo, bardzo daleko. To tajemnica. Na razie.

Tutaj też są góry, jest ogrodzenie (ale niezbyt imponujące), brama i staruszek strażnik, ale można sobie dowolnie wchodzić i wychodzić. Teren jest bardzo rozległy, jest nieduży las, staw, a jeśli pójdzie się wcześniej rano na spacer, można często spotkać zwierzęta. Lwy i zebry... - to oczywiście kłamstwo - szopy, bażanty, takie ładne i miłe zwierzątka. Jest tu internat i ja w nim mieszkam. Pokoje są jednoosobowe i choć nie takie, jak w tej przypominającej hotel szkole-więzieniu na prowincji, są dość ładne. Zdaje mi się, że na temat pokoju pisałam w poprzednim liście, prawda? Duże radio z magnetofonem, które przywiozłam z domu (pamięta je Pan?), stoi na półce i teraz śpiewa Bruce Springsteen. Jest niedzielne popołudnie i wszyscy gdzieś sobie poszli, więc nikt nie będzie narzekał na głośno nastawioną muzykę.

Ostatnio moja jedyna przyjemność to jeżdżenie w weekend do pobliskiego miasteczka i kupowanie w sklepie muzycznym taśm, które mi się spodobają (prawie nie kupuję książek; jeżeli chcę coś przeczytać, mogę wziąć z biblioteki). Dziewczyna z sąsiedniego pokoju, z którą się zaprzyjaźniłam, kupiła mały używany samochód i podwozi mnie do miasta. Prawdę mówiąc, ja też uczę się jeździć tym samochodem. Można ćwiczyć, ile się chce, bo teren jest bardzo rozległy. Nie mam jeszcze oficjalnie prawa jazdy, ale już zupełnie nieźle prowadzę.

Jeśli mam być szczerą, wycieczki do miasteczka nie są zbyt przyjemne, z wyjątkiem wizyt w sklepie muzycznym. Wszyscy tu mówią, że jeśli człowiek raz w tygodniu gdzieś nie pojedzie, to zwariuje, aleja się relaksuje, kiedy wszyscy gdzieś wyjeżdżają. Siedzę sobie sama i słucham ulubionej muzyki. Raz ta koleżanka z samochodem zaprosiła mnie na podwójną randkę. Na próbę. Jest stąd i ma wielu znajomych. Mój partner był studentem, zupełnie sympatycznym, ale jak by to powiedzieć, ja nie mam jeszcze ciągle wycucia w pewnych sprawach. Mam wra-



zenie, że różne rzeczy są ustawione daleko w rzędku, jak na strzelnicy, a między mną a nimi wisi kilka przezroczystych zasłon.

Prawdę mówiąc, kiedy spotykałam się z Panem zeszłego lata i na przykład siedzieliśmy naprzeciw siebie przy kuchennym stole i rozmawialiśmy, pijąc piwo, myślałam sobie: „Co ja zrobię, jeżeli pan Ptak Nakręcacz nagle się na mnie rzuci i będzie próbował mnie zgwałcić?”. Nie wiedziałam, co bym zrobiła. Pewnie opierałabym się, wołając: „Tak nie wolno, panie Ptaku Nakręcaczu! Nie może pan tego robić!”, ale podczas gdy zastanawiałabym się, jak wyjaśnić, dlaczego nie wolno i dlaczego nie może pan tego robić, zrobiłby mi się zamęt w głowie i może w tym czasie całkiem do końca by mnie pan zgwałcił. Na tę myśl zaczynało mi walić serce. I wtedy dochodziłam do wniosku, że to wszystko jest nie fair. Pan przecież wcale nie wiedział, że ja myślę o takich rzeczach, prawda? Sądzi Pan, że to głupie? Na pewno tak pan sądzi. No, bo to naprawdę jest głupie. Ale wtedy dla mnie to była okropnie, okropnie poważna sprawa. Dlatego wyciągnęłam drabinę, zostawiłam Pana na dnie studni i szczelnie zakryłam pokrywą. Jakbym Pana zapieczętowała. W ten sposób nigdzie już Pana nie było i przez pewien czas nie musiałam sobie zaprzętać głowy takimi zawiłymi rzeczami.

Teraz mi przykro i myślę, że nie powinnam była Panu tego robić (to znaczy nikomu nie powinnam). Czasami nie mogę się opanować. Jestem w pełni świadoma tego, co robię, ale nie mogę przestać. To mój słaby punkt.

Myślę, że nie rzuciłby się Pan na mnie i nie zgwałcił. Teraz jakoś sama to rozumiem. Nie chodzi mi o to, że nigdy nie mógłby się pan na kogoś rzucić i zgwałcić (przecież nikt nie wie, co się może stać), a o to, że przynajmniej nie zrobiłby pan tego, żeby wywołać zamęt w moich myślach. Nie umiem tego dobrze wyrazić, po prostu tak czuję.

Ale mniejsza o to. Zostawmy to zawracanie głowy z gwałtem.

W każdym razie nawet jeśli idę na randkę, nie mogę się na

tym skupić. Rozmawiam, uśmiecham się, lecz moje myśli błądzą gdzieś indziej jak balon z urwaną nitką. Do głowy przychodzą mi oderwane, jedna po drugiej. Jak by to wyrazić? Sądzę, że jeszcze przez pewien czas powinnam być sama. I chcę sobie po prostu rozmyślać. W tym sensie jestem być może jeszcze „w trakcie rekonwalescencji”.

Niedługo znowu do Pana napiszę. Myślę, że następnym razem będę mogła więcej Panu powiedzieć o różnych sprawach.

PS Proszę się zastanowić nad tym, gdzie jestem i co robię, do przyjscia następnego listu.

## **8. O cynamonie i galce muszkatołowej**

Kot był od głowy do końca ogona pokryty wyschniętym błotem. Sierść miał skołtunioną i gdzieniegdzie pozlepianą w kępki. Wyglądał, jakby długo tarzał się w jakiejś brudnej ziemi. Podniosłem go, podnieconego i mrużącego, i dokładnie obejrzałem centymetr po centymetrze. Był nieco wychudzony, lecz prócz tego pyszczek, waga i sierść nie różniły się specjalnie od czasu, kiedy go ostatnio widziałem. Oczy miał niezaropiałe i nie był poraniony. Nie wyglądał wcale na kota, którego nie było prawie przez rok. Zdawało się, że wrócił po nocy, dobrze się zabawiwszy.

Wyłożyłem na talerzyk pokrojonego śledzia, którego kupiłem w sklepie, i dałem kotu na werandzie. Musiał być strasznie głodny, ponieważ dławiąc się, dysząc i czasami wypluwając, błyskawicznie zjadł całą rybę, wylizując do czysta talerzyk. Znalazłem pod zlewem starą kocią miseczkę na wodę, napełniłem ją zimną wodą i podałem mu, a on wypił też prawie do końca. Dopiero wtedy odpoczął, wylizal brudną sierść, a potem, jakby nagle sobie o mnie przypomniał, wszedł mi na kolana, zwinął się w kłębek i usnął.

Spał z łapkami wsuniętymi pod siebie i mordką wciśniętą pod ogon. Na początku głośno mruczał, ale wkrótce ucichł, poddał się i usnął głębokim snem. Siedziałem na osłonecznionej we-

randzie i głaskałem kota leciutko, nie chcąc go obudzić. Poniważ tak wiele się wokół mnie działo, szczerze mówiąc, zupełnie zapomniałem o tym, że zaginał, lecz teraz mając na kolanach to ciepłe, miękkie zwierzątko i patrząc, jak śpi smacznie pełne zaufania, poczułem wzruszenie. Położyłem mu dłoń na piersi i poszukałem serca. Biło lekko i szybko, tak jak moje niestrudzenie i poważnie odmierzało czas przeznaczony ciału.

Nie miałem pojęcia, gdzie się podziewał, co robił i dlaczego teraz nagle wrócił. Szkoda, że nie mogę go zapytać. Gdzie byłeś przez prawie rok i co robiłeś? I gdzie pozostały ślady twego straconego czasu?

Przyniosłem starą poduszkę i położyłem na niej kota. Był bezwładny, jak stos brudnej bielizny. Kiedy go podniosłem, otworzył odrobinę oczy i pyszczek, lecz nie wydał głosu. Upewniłem się, że umożliwysz się na poduszce, ziewnął i znowu usnął, poszedłem do kuchni i pochowałem zakupy. Wyjąłem tofu, jarzyny i rybę i włożyłem do lodówki. Na wszelki wypadek wyjrzałem na werandę. Kot dalej spał w tej samej pozycji. Ponieważ miał podobny wyraz oczu jak brat Kumiko, żartem nazywaliśmy go Noboru Wataya, nie było to jednak jego oficjalne imię. Nie nadaliśmy mu imienia i tak przeżył sześć lat.

Jednak Noboru Wataya nie było odpowiednim imieniem, nawet w żartach, a to dlatego, że przez tych sześć lat prawdziwy Noboru Wataya stał się bardzo potężny. Nie mogliśmy dalej zmuszać kota do noszenia tego imienia. Muszę mu nadać nowe, oficjalne imię, póki tu jest. Im szybciej, tym lepiej. Do tego powinno to być możliwie proste, konkretne, realne imię. Imię, które można zobaczyć i którego można dotknąć. Trzeba zlikwidować wspomnienie, dźwięk i znaczenie imienia Noboru Wataya.

Przyniosłem do kuchni talerzyk po rybie. Lśnił, jakby został świeżo umyty i wytarty. Musiało kotu bardzo smakować. Cieszyłem się, że przypadkiem kupiłem śledzia na jego powrót. Zdawało mi się, że to dobry, pomyślny omen dla nas obu. Postanowiłem nazwać kota „Łosoś”. Podrapałem go za uchem i powi-

edziałem: - Słuchaj, już nie jesteś Noboru Wataya, tylko Łosoś.  
- Gdybym mógł, ogłosiłbym to całemu światu.

Do wieczora siedziałem obok Łososa na werandzie i czytałem książkę. Kot spał głęboko, zupełnie jakby chciał nadrobić jakieś braki. Słychać było cichy oddech, jak daleki dźwięk małego miecha, pierś unosiła się miarowo i opadała. Czasami wyciągałem rękę, dotykałem ciepłego ciała i upewniałem się, że kot naprawdę tu jest. Wspaniale jest, kiedy można wyciągnąć rękę i dotknąć czegoś, poczuć coś żywego. Nie uświadamiałem sobie, że od dawna nie doznawałem tego uczucia.

Następnego ranka Łosoś nie zniknął. Kiedy otworzyłem oczy, spał smacznie na boku z łapkami wyciągniętymi prosto przed siebie. Wyglądało na to, że obudził się w nocy i dokładnie się wylizał, ponieważ zniknęły błoto i kępki skołtunionego futra i kot wyglądał prawie tak jak dawniej. Zawsze miał piękną sierść. Przytuliłem go, potem dałem mu śniadanie i zmieniłem wodę. Odszedłem kawałek i zawołałem:

- Łosoś! - Za trzecim razem w końcu odwrócił się w moją stronę i odpowiedział miauknięciem.

Musiałem rozpocząć własny dzień. Wziąłem prysznic, uprasowałem świeżo wypraną koszulę, włożyłem bawełniane spodnie i nowe adidas. Niebo zasnuły bezkształtne chmury, lecz nie było szczególnie zimno. Postanowiłem włożyć grubego sweter i zrezygnować z płaszcza. Wsiadłem do pociągu i wysiadłem w Shinjuku. Potem przeszedłem przejściem podziemnym do zachodniego wejścia, poszedłem na placyk i usiadłem na swojej zwykłej ławce.

Kobieta pokazała się po trzeciej. Nie zdziwiła się specjalnie na mój widok, ja też się nie zdziwiłem, gdy nadeszła. Nie wymieniliśmy nawet formułek powitalnych, tak jakbyśmy byli tu umówieni. Ja podniosłem tylko trochę głowę, a ona spojrzała na mnie i lekko skrzywiła usta.

Nosiła bardzo wiosenny, pomarańczowy żakiet i dopasowaną

spódnicę w kolorze topazu. W uszach miała małe złote kolczyki. Usiadła obok mnie i w milczeniu zapaliła papierosa. Jak zwykle wyjęła z torebki virginia slims, włożyła jednego do ust i zapaliła małą złotą zapalniczką, jednak tym razem mnie nie poczęstowała. W zamyśleniu zaciągnęła się dwa czy trzy razy, a potem rzuciła papierosa na ziemię, zupełnie jakby chciała sprawdzić dzisiejszy stan grawitacji. Potem lekko poklepała mnie po kolanie. - Idziemy - powiedziała i wstała. Rozdeptałem niedopałek i posłusznie ruszyłem za nią. Podniosła rękę, zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i wsiadła. Usiadłem koło niej. Głośno podała kierowcy adres w dzielnicy Aoyama. Nie odezwała się ani słowem, aż taksówka, przedarłszy się zatłoczonymi ulicami, zatrzymała się na ulicy Aoyama. Ja przez ten czas patrzyłem przez okno na Tokio. Między zachodnim wejściem dworca Shinjuku a Aoyama postawiono kilka nowych budynków, których nigdy przedtem nie widziałem. Kobieta wyjęła z torebki notes i zapisała coś złotym ołóweczkiem. Czasami spoglądała na zegarek, jakby coś sprawdzała. Był to złoty zegarek w kształcie bransoletki. Zdawało się, że większość dodatków, jakie nosiła, była ze złota. A może wszystko, co wkłada, od razu zamienia się w złoto?

Zaprowadziła mnie do butiku przy ulicy Omotesandō, gdzie sprzedawano ubrania znanych projektantów. Wybrała dla mnie dwa garnitury z cienkiego materiału, jeden szaroniebieski, a drugi ciemnozielony. Były tak skrojone, że zdecydowanie nie nadawałyby się do noszenia w kancelarii adwokackiej, lecz gdy je włożyłem, zdałem sobie sprawę, że są świetnej jakości. Nie udzieliła żadnych wyjaśnień. Ja specjalnie się ich nie domagałem i postępowałem tak, jak mi kazała. Przypominało to scenę z tak zwanych filmów artystycznych, których kilka widziałem na studiach. W takich filmach wyjaśnienie sytuacji traktowane było jako zło, które niszczy realizm, i jako takie było zasadniczo odrzucane. Może jest to pewien sposób myślenia i patrzenia na życie. Lecz gdy sam znalazłem się w tym świecie jako zwykły

śmiertelnik, czułem się nieco dziwnie.

Poprawki krawieckie nie były potrzebne, gdyż miałem dość typową budowę. Dopasowano tylko długość rękawów i spodni. Do każdego garnituru kobieta dobrała po trzy koszule i trzy krawaty. Wybrała też dwa paski i pół tuzina skarpetek. Zapłaciła kartą kredytową i poprosiła o dostarczenie zakupów pod mój adres. Wyglądało na to, że ma w wyobraźni jasny obraz tego, jakie ubrania i jak powinienem nosić, więc wybór nie zajął jej dużo czasu. Ja dłużej zastanawiam się w sklepie papierniczym nad wyborem gumki do ścierania; trzeba przyznać, że w dziedzinie stroju miała doskonały gust. Wszystkie wybrane nieomal na chybił trafił koszule i krawaty idealnie pasowały kolorami i wzorami, jakby wybrała je po długim przemyśleniu, lecz jednocześnie zestawienia były bardzo wysmakowane.

Później zabrała mnie do sklepu obuwniczego i kupiła mi dwie pary butów pasujących do garniturów. To też poszło bardzo szybko. Tu również zapłaciła kartą kredytową i poprosiła, żeby zakupy dostarczono mi do domu. Pomyślałem, że nie warto zawracać komuś głowy dostarczaniem dwóch par butów, lecz wyglądało na to, że ona zawsze w ten sposób kupuje. Nie poświęcając na wybór za dużo czasu, płaci kartą i prosi o dostarczenie.

Potem poszliśmy do sklepu z zegarkami. Tam powtórzyło się to samo. Kupiła mi modny, elegancki zegarek na pasku z krokodylowej skóry, który pasował do garniturów. Znowu zabrało to zaledwie kilka minut. Kosztował pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy jenów. Do tej pory nosiłem tani plastikowy zegarek, który najwyraźniej nie przypadł jej do gustu. Zegarka jednak nie kazała dostarczać, tylko poprosiła o zapakowanie i w milczeniu mi go podała.

Następnie zostałem zaprowadzony do fryzjera. Był to duży salon z lśniącą drewnianą podłogą, jak w szkole tańca, i ścianami pokrytymi lustrami. Znajdowało się w nim piętnaście foteli, wokół których kręcili się fryzjerzy z nożyczkami i szczotkami,

jak animatorzy marionetek. Tu i tam stały doniczki z liściastymi roślinami, a z czarnych głośników Bose pod sufitem dobiegało cicho jedno z tych lekko przegadanych solo fortepianowych Keitha Jarretta. Przed przyjściem tutaj kobieta musiała się umówić na strzyżenie, gdyż od razu zostałem posadzony na fotelu. Udzieliła chudemu fryzjerowi, którego chyba znała, szczegółowych wskazówek. On patrzył na mnie w lustrze jak na potrawę - zwykłą miskę, do której wrzucono pęczek marchewki - i przytakiwał, słuchając jej zaleceń. Wyglądał jak Sołżenicyn za młodu.

- Wróć, jak pan skończy - powiedziała kobieta i szybkim krokiem wyszła z salonu.

W czasie strzyżenia fryzjer prawie się nie odzywał. Powiedział tylko: „Proszę tędy”, kiedy miałem iść do mycia, i „Przepraszam”, kiedy otrząpywał obcięte włosy. Czasami, gdy gdzieś odchodził, podnosiłem rękę i dotykałem znamienia na prawym policzku. W pokrywających ściany lustrach odbijało się wiele postaci, a ja byłem jedną z nich. Na policzku miałem bardzo wyraźne sine znamię. Nie uważałem, że jest brzydkie albo brudne. Było częścią mnie i musiałem je zaakceptować. Zdarzało się, że czułem na nim czyjś wzrok. Zdawało się, że ktoś patrzy na moje odbite w lustrze znamię, jednak zbyt wiele twarzy się tam odbijało i nie wiedziałem, która patrzy na mnie. Czułem tylko ten wzrok.

Strzyżenie trwało trzydzieści minut. Włosy, których nie obcinałem od czasu odejścia z pracy, znowu były krótkie. Usiadłem na krześle wśród czekających klientów i zacząłem przeglądać czasopisma, słuchając muzyki. Wkrótce nadeszła kobieta. Zdawała się dość zadowolona z mojej nowej fryzury. Wyjęła z portmonetki dziesięć tysięcy jenów, zapłaciła i wyszła, a ja za nią. Zatrzymała się i zbadała mnie uważnie wzrokiem od stóp do głów, tak jak ja czasem badałem kota, jakby sprawdzała, czy czegoś nie przeoczyła. Wyglądało na to, że plan został mniej więcej wykonany. Spojrzała na złoty zegarek, a potem lekko westchnęła. Była prawie siódma.

- Zjedźmy kolację - powiedziała. - Jest pan głodny?  
Rano zjadłem tylko jedną grzanekę, a w południe pączka.  
- Chyba tak - odparłem.

Zabrała mnie do pobliskiej włoskiej restauracji. Zdawało się, że ją tam znają, bo zaprowadzono nas bez słowa do cichego stolika w głębi. Usiadła, a ja siadłem naprzeciwko. Powiedziała, żebym wyjął wszystko z kieszeni spodni. W milczeniu spełniłem jej prośbę. Zdawało się, że moja rzeczywistość zgubiła się i gdzieś sobie wędruje. Mam nadzieję, że uda jej się mnie znaleźć, pomyślałem. Nie miałem w kieszeniach nic szczególnego.

Wyciągnąłem klucze, chusteczkę, portmonetkę i położyłem na stole. Patrzyła na to bez większego zainteresowania, a potem podniosła portmonetkę i zajrzała do środka. Było tam chyba pięć tysięcy pięćset jenów, do tego karta telefoniczna, bankomato- wa i karta wstępu na basen. To wszystko. Nic niezwykłego. Nie ma nic, co trzeba byłoby powąchać, zmierzyć, potrząsnąć, zamoczyć, obejrzeć pod światło. Nie zmieniając wyrazu twarzy, zwróciła mi przedmioty.

- Proszę iść do miasta choćby jutro i kupić sobie tuzin chusteczek, nową portmonetkę i breloczek - powiedziała. - To chyba sam pan potrafi wybrać. A właśnie, kiedy ostatnio kupował pan bieliznę?

Zastanowiłem się, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Powiedziałem, że nie pamiętam.

- To chyba było dość dawno, ale ja raczej lubię czystość i jak na kogoś, kto sam mieszka, często robię pranie...

- Proszę sobie kupić tuzin nowych kompletów, wszystko jedno jakich - powiedziała zdecydowanym tonem, jakby mówiła, że nie chce już więcej wracać do tego tematu.

W milczeniu skinąłem głową.

- Jeżeli przyniesie pan paragony, zwrócę panu za to. Proszę kupić rzeczy jak najlepszego gatunku. Poza tym będę płaciła za pralnię, więc proszę oddawać koszule do pralni po każdym noszeniu. Dobrze?



Znowu skinąłem głową. Właściciel pralni przed dworcem na pewno ucieszy się na tę wiadomość. Ale, pomyślałem, a potem rozciągnąłem ten zwarty spójnik Ignący do okna siłą ciśnienia powierzchniowego w porządne, długie zdanie.

- Ale dlaczego pani kupuje mi specjalnie całą garderobę i zamierza płacić za pralnię oraz fryzjera?

Nie odpowiedziała. Wyjęła z torebki virginia slims i włożyła jednego do ust. Jak spod ziemi wyrósł nagle wysoki kelner o regularnych rysach i zapaliwszy wprawnym ruchem zapałkę, podał jej ogień. Przy pocieraniu zapałki rozległ się przyjemny suchy dźwięk. Miałem wrażenie, że zaostrzył mi apetyt. Potem kelner podał nam wieczorne menu, lecz ona nawet na nie nie spojrzała. Powiedziała też, że nie interesuje ją, co poleca dziś kucharz.

- Proszę przynieść sałatę, bułki i jakąś potrawę z białej ryby. Na sałacie odrobina sosu, tylko trochę pieprzu. Do tego woda gazowana. Proszę nie wrzucać lodu.

Nie chciało mi się czytać menu, więc powiedziałem, że dla mnie może być to samo. Kelner uklonił się i odszedł. Wydawało się, że rzeczywistość jeszcze nie może mnie odnaleźć.

- Pytam z prostej ciekawości. Nie robi mi to specjalnej różnicy - zdecydowałem się jeszcze raz zapytać. - Kupiła mi pani różne rzeczy i wcale nie narzekam, pytam tylko, czy ta sprawa jest tak ważna, że wymaga aż takiego nakładu sił i pieniędzy?

Nadal nie było odpowiedzi.

- To czysta ciekawość - powtórzyłem.

Jednak i teraz nie odpowiedziała. W ogóle nie potraktowała poważnie mojego pytania i z wielkim zainteresowaniem przyglądała się olejnemu obrazowi na ścianie. Pejzażowi przedstawiającemu włoską - jak sądziłem - wieś. Były tam ładnie przycięte sosny, kilka czerwonych chałup przytulonych do zbocza wzgórza. Nie były duże, ale wszystkie wyglądały sympatycznie. Jacy ludzie tam mieszkają?, pomyślałem. Na pewno normalni i wiodący normalne życie. Pewnie dziwne kobiety nie kupują im

ni stąd, ni zowąd garniturów, butów i zegarków i nie muszą się starać skombinować wielkich pieniędzy, żeby dostać się do wyschniętej studni. Szczerze zazdrościłem ludziom żyjącym w takim normalnym świecie. Pomyślałem, że gdybym mógł, chciałbym w tej chwili wejść do tego obrazu. Wszedłbym do jednego z domów, poczęstowano by mnie winem, nakryłbym głowę kołdrą i zasnął od razu smacznie, o niczym nie myśląc.

Wkrótce przyszedł kelner i postawił przed nami wodę mineralną. Kobieta zgasiła w popielniczkę papierosa.

- Niech pan zapyta o coś innego - powiedziała.

Zastanawiałem się nad jakimś innym pytaniem, a ona piła wodę.

- Czy ten młody człowiek, który był w biurze w Akasaka, jest pani synem? - zapytałem.

- Tak - tym razem odpowiedziała od razu.

- Czy on przypadkiem nie jest niemową?

Przytaknęła.

- Od samego początku niewiele mówił, a kiedy skończył sześć lat, nagle przestał. Zupełnie przestał wydawać głos.

- Czy jest ku temu jakaś przyczyna?

Zignorowała pytanie. Postanowiłem wymyślić jakieś inne.

- Jak załatwia różne sprawy, skoro nie mówi?

Lekko zmarszczyła brwi. Nie zignorowała całkowicie pytania, lecz nie miała zamiaru odpowiedzieć.

- Na pewno pani wybrała wszystko, co miał na sobie, prawda? Tak samo jak ze mną.

- Ja po prostu nie lubię patrzeć na źle ubranych ludzi - odpowiedziała. - Absolutnie nie mogę tego znieść. Chciałabym, żeby przynajmniej wszyscy w moim otoczeniu byli porządnie ubrani. żeby byli odpowiednio ubrani. Zarówno na wierzchu, jak i pod spodem.

- A nie przeszkadza pani moja dwunastnica? - zapytałem żartem.

- Czy coś jest nie tak z wyglądem pana dwunastnicy? - odpo-

wiedziała pytaniem, poważnie mi się przyglądając.

Pożałowałem swojego żartu.

- W tej chwili wszystko z nią w porządku. Tak tylko sobie powiedziałem, jako przykład.

Jeszcze przez chwilę patrzyła na mnie podejrzliwie. Pewnie myślała o mojej dwunastnicy.

- Chcę, żeby ludzie byli porządnie ubrani, nawet jeżeli muszę sama za to zapłacić. Dlatego nie musi się pan martwić. Robię to wyłącznie ze względu na siebie. Po prostu nie cierpię, fizjologicznie nie znoszę byle jakiego ubrania.

- Tak jak muzyk o dobrym słuchu nie może znieść fałszywych tonów?

- Właśnie tak.

- To znaczy, że kupuje pani wszystkim wokół ubrania? Tak samo jak mnie?

- No tak. Ale nie mam wokół siebie zbyt wielu ludzi. Nie mogę przecież kupić całemu światu ubrań, nawet jeżeli nie podoba mi się, co ludzie noszą.

- Wszystko ma swoje granice - powiedziałem.

- Właśnie tak - przyznała.

Wkrótce przyniesiono sałatę i zabraliśmy się do jedzenia. Rzeczywiście pokropiono ją jedynie odrobiną sosu. Dało się policzyć kropelki.

- Chciałby pan jeszcze o coś zapytać? - spytała.

- Chciałbym wiedzieć, jak pani się nazywa - odparłem. - Dobrze byłoby, gdybym wiedział, jak się do pani zwracać.

Przez chwilę bez słowa gryzła rzodkiewkę. Potem między jej brwiami pojawiła się bardzo głęboka zmarszczka, jakby przez pomyłkę zjadła coś strasznie gorzkiego.

- Po co panu potrzebne moje nazwisko? Nie będzie pan przecież pisał do mnie listów. Nazwiska raczej nie mają znaczenia.

- Ale jeżeli chce się na przykład zawołać kogoś, kto jest odwócony tyłem, ma się kłopot, nie znając imienia i nazwiska.

Odłożyła na talerz widelec i w milczeniu otarła usta serwetką.

- Rozumiem, w ogóle o tym nie pomyślałam. Rzeczywiście w takich przypadkach może być kłopot. - Zamyśliła się. W tym czasie ja w milczeniu jadłem sałatę.

- Czyli potrzebne jest panu jakieś odpowiednie imię, kiedy będzie pan musiał na przykład zawołać mnie, idąc za mną?

- Właśnie tak.

- To znaczy, że to nie musi być prawdziwe imię?

- Przytaknąłem.

- Imię, imię... jakie będzie dobre? - zapytała.

- Chyba jakieś proste, które łatwo wymówić. Najlepiej, żeby było jak rzecz, konkretne, realne, żeby można było go dotknąć i zobaczyć. Takie łatwiej zapamiętać.

- Na przykład?

- Na przykład mój kot ma na imię Łosoś. Prawdę mówiąc, dopiero wczoraj go tak nazwałem.

- Łosoś - powtórzyła głośno, jakby upewniając się w jego brzmieniu. Potem przez chwilę wpatrywała się w stojący przed nią zestaw przypraw - sól i pieprz. Niedługo podniosła głowę i powiedziała

- Gałka.

- Gałka?

- Nagle przyszło mi do głowy. Jak gałka muszkatołowa. Może mnie pan tak nazywać, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Mnie to specjalnie nie przeszkadza... a jak mam nazywać pani syna?

- Cynamon.

- Parsley, sage, rosemary and thyme - zanucilem.

Gałka Akasaka i Cynamon Akasaka. Wcale nieźle brzmi, prawda? Gałka i Cynamon Akasaka. May Kasahara byłaby zaszkokowana, gdyby się dowiedziała, że poznałem takie osoby. O rany, panie Ptaku Nakręcaczu, dlaczego nie może pan się zadowalać z normalniej szymi ludźmi? Właśnie, dlaczego? Sam nie mam pojęcia.

- A propos, rok temu poznałem Malte Kano i Kretę Kano -

powiedziałem. - Dzięki nim przydarzyły mi się różne rzeczy. Teraz już ich tu nie ma.

Gałka lekko skinęła głową, lecz nie powiedziała, co o tym sądzi.

- Rozpląnęły się gdzieś - dodałem bez przekonania - zupełnie jak letnia mgiełka o poranku albo gwiazdy o świcie.

Podniosła widelcem do ust liść wyglądający jak cykoria. A potem, jakby nagle przypomniała sobie jakąś dawną obietnicę, wyciągnęła rękę i wypła łyk wody.

- Pewnie chce się pan czegoś dowiedzieć o tych pieniądzach? Tych, które pan przedwczoraj dostał? Nie mam racji?

- Bardzo chcę się dowiedzieć - odparłem.

- Mogę panu opowiedzieć, ale to może być dość długa opowieść.

- Skończy się do deseru?

- Pewnie nie - odpowiedziała Gałka Akasaka.

## **9. Na dnie studni**

Schodzę po przymocowanej do cembrowiny metalowej drabince na dno ciemnej studni i jak zwykle po omacku znajduję oparty o ścianę kij baseballowy. Jest to kij, który nieświadomie zabrałem z domu mężczyzny z futerałem na gitarę. Kiedy w ciemnościach na dnie studni ujmuję w dłonie stary, porysowany kij, czuję zadziwiające odprężenie. Pomaga mi się skupić, dlatego zawsze go tu trzymam. Wchodzenie i schodzenie po drabince z kijem baseballowym w dłoni byłoby trudne.

Znajduję kij, chwytam go mocno jak pałkarz wchodzący na pozycję. Upewniam się, że to mój kij. A potem w ciemności, w której absolutnie nic nie widać, sprawdzam po kolei, czy nic się nie zmieniło. Wyteżam słuch i nabieram w płuca powietrza, podszwami butów badam grunt, opukuję końcem kija ściany i testuję ich twardość. Są to jedynie rytuały, do których przywykłem i które pozwalają mi się uspokoić. Dno studni jest bardzo podobne do dna oceanu. Wszystko trwa bez ruchu w swym pier-

wotnym kształcie, jakby przygniecione jakimś rodzajem ciśnienia. Nic z dnia na dzień nie ulega zmianie.

W górze unosi się wykrojony wylotem studni krąg światła. Niebo o zmroku. Wznoszę wzrok i myślę o świetle w październikowym zmierzchu. Kryją się w nim życia ludzi, którzy w bladym świetle jesieni chodzą po ulicach, robią zakupy, przygotowują posiłki, jadą pociągami do domów i myślą, że to oczywiście, tak oczywiście, że nie warto się nad tym zastanawiać. A może w ogóle o tym nie myślą. Tak samo jak ja kiedyś. Są niejasnym bytem zwanym „ludźmi”, ja też byłem jednym z nich, bezmiennym. W świetle zmierzchu akceptują kogoś i są przez kogoś akceptowani. Czy to wiecznotrwałe, czy jedynie chwilowe, i tak ma w sobie spowitą owym światłem intymność. Lecz ja już do nich nie należę. Są na powierzchni ziemi, a ja w głębokiej studni. Posiadają światło, a ja staram się je utracić. Czasami myślę, że być może nie uda mi się już wrócić do tamtego świata. Być może nigdy nie przytulę już puszystego kota. Ta myśl wywołuje w głębi piersi ostry ból, jakby coś było z niej wyrwane.

Kopię gumową podszwą miękkie dno studni i oddalają się ode mnie sceny z powierzchni ziemi. Słabnie poczucie rzeczywistości, a zamiast niego spowija mnie intymność studni. Na dnie jest ciepło, spokojnie, ukryta miękkość ziemi koi moją skórę. Ból w piersi zaciera się jak ślady fal na piasku. To miejsce mnie akceptuje i ja je akceptuję. Ściskam uchwyt kija. Zamykam oczy, po chwili otwieram i patrzę w górę.

Pociągam za sznur i zamykam pokrywę studni (pomysłowy Cynamon zbudował urządzenie z krążkiem linowym, pozwalające na zamknięcie pokrywy z dołu). Ciemność staje się absolutna. Wejście do studni jest zablokowane i nigdzie nie ma już światła. Nie słysząc też wiatru, którego dźwięk przedtem czasami tu dobiegał. Jestem teraz definitywnie oddzielony od „ludzi”. Nie przyniosłem nawet latarki. Jest to jakby wyznanie wiary. Chcę i m pokazać, że przyjmuję ciemność bezwarunkowo.

Siadam na ziemi, opieram się o ścianę studni i z kijem między

kolanami zamykam oczy. Staram się usłyszeć bicie własnego serca. Oczywiście nie ma potrzeby zamykania oczu w ciemności. I tak nic nie widać. Jednak je zamykam. Nawet w zupełnej ciemności fakt zamknięcia oczu posiada pewne znaczenie. Biorę kilka głębokich oddechów i przyzwyczajam ciało do ciemnej przestrzeni o kształcie długiego walca. Pachnie tak jak zawsze i czuję na skórze taki sam dotyk powietrza. Studnia została całkowicie zasypana, lecz mimo to powietrze wcale się nie zmieniło. Pachnie pleśnią i jest trochę wilgotne, dokładnie tak samo jak za pierwszym razem. Nie ma tu pór roku, nie ma nawet czasu.

Zawsze wkładam stare tenisówki i plastikowy zegarek. Buty i zegarek, które nosiłem, kiedy pierwszy raz zszedłem do studni. Uspokajają mnie tak samo jak kij baseballowy. W ciemności upewniam się, że te przedmioty idealnie przylegają do mego ciała. Potwierdzam, że się od siebie nie oddaliłem. Otwieram oczy, a po chwili znowu zamykam. Po to, by po trochu zbliżyć i przyzwyczać do siebie dwa ciśnienia ciemności - to wewnątrz mnie i to na zewnątrz. Tak upływa czas. Wkrótce, tak jak zawsze, przestaję odróżniać dwa rodzaje ciemności. Nie wiem nawet, czy mam oczy otwarte czy zamknięte. Znamię na policzku zaczyna być ciepłe. Wiem, że staje się jaskrawofioletowe. W tych mieszających się ciemnościach, skupiam świadomość na znamienu i myślę o tamtym pokoju. Staram się oddalić od siebie, jak wtedy, gdy mam do czynienia z „tamtymi kobietami”. Próbuję uciec od własnego niezdarnego ciała skulonego w ciemności. Jestem teraz tylko pustym domem, porzuconą studnią. Wychodzę stamtąd i staram się przejść do innej rzeczywistości, o innej prędkości. Z całej siły ściskam w dłoniach kij.

Teraz oddziela mnie od tego dziwnego pokoju tylko jedna ściana. Powinno mi się udać przez nią przejść. Dzięki mojej własnej sile i sile panującej tu głębokiej ciemności.

Kiedy wstrzymuję oddech i koncentruję świadomość, mogę zobaczyć wnętrze pokoju. Mnie tam nie ma, lecz patrzę na ni-

ego. To apartament hotelowy. Pokój 208. Grube zasłony są ściśle zaciągnięte i jest bardzo ciemno. Wazon wypełniają kwiaty i pokój wypełnia ich ciężki sugestywny zapach. Przy drzwiach stoi duża lampa. Żarówka zgasła jak poranny księżyc. Mimo to wyteżam wzrok i dzięki dochodzącemu skądś wiatłemu światłu widzę, jak powoli wynurzają się z mroku kształty przedmiotów. Tak samo jak w kinie, kiedy wzrok przywyknie do ciemności. Na stoliku pośrodku pokoju stoi lekko napoczęta butelka Cutty Sark. W kubelku jest świeżo pokruszony lód (ma jeszcze ostre krawędzie), w szklaneczce whisky z lodem. Na stoliku stoi zimna metalowa taca. Nie wiadomo, która jest godzina. Może być rano, może wieczór, a może północ. A może tam w ogóle nie ma czasu? W sypialni obok leży na łóżku kobieta. Słyszę szelest materiału. Lekko potrząsa szklaneczką i słysząc dziwnie wesołe grzechotanie lodu. Unoszące się w powietrzu drobiny pyłku kwiatowego drżą na ten dźwięk. Jest to bardzo lekkie drżenie i szybko przychodzą do siebie. Ciemność spokojnie wchłania pyłek, a on czyni ją jeszcze gęstsza. Kobieta przykładła szklaneczkę whisky do ust, wlewa trochę płynu do gardła, a potem próbuje mi coś powiedzieć. W sypialni jest zupełnie ciemno, nic nie widać. Niewyraźnie porusza się tylko cień. Ma mi coś do powiedzenia. Wstrzymując oddech, czekam. Czekam na jej słowa. Są tam.

Obserwuję pokój z góry jak ptak na niby na niebie na niby. Powiększam to, co widzę, potem odsuwam się i patrzę z góry, znowu się zbliżam i powiększam detale. Nie ma wątpliwości, że szczegóły są bardzo ważne. Sprawdzam ich kształt, kolor, fakturę. Sprawdzam jeden po drugim. Jeden szczegół prawie nie jest z drugim związany. Straciły także ciepło. To, co robię w tej chwili, to jedynie mechaniczna inwentaryzacja szczegółów. Jak na pierwszą próbę poszło całkiem nieźle - rzeczywistość, w której rzeczy się łączą, po trochu nabiera kształtu, tak jak z pocierania kamieni czy kawałków drewna z czasem rodzą się gorąco i płomienie, tak jak z monotonnego powtarzania przypadkowego



zestawienia kilku dźwięków, które początkowo wydaje się bezsensowne, rodzi się sylaba...

Czuję w głębi ciemności narodziny tego delikatnego połączenia. Tak, tak dobrze. Wokoło jest bardzo cicho, o n i jeszcze się nie zorientowali, że tu jestem. Wiem, że dzieląca mnie od tego miejsca ściana zaczyna powoli mięknąć i rozpuszczać się jak galareta. Wstrzymuję oddech. Teraz jest ta chwila.

Lecz gdy stojąc przy ścianie, podnoszę stopę, rozlega się głośne pukanie, tak jakby ktoś przejrzał moje zamiary. Ktoś mocno wali pięścią w drzwi. Takie samo stukanie, jakie słyszałem przedtem - głośny, zdecydowany stuk, jak przy wbijaniu młotkiem gwoździa. Rytm uderzeń też jest podobny. Dwa stuknięcia, jedno po drugim, przerwa, potem znowu dwa stuknięcia. Słyszę, jak kobieta łapie ustami powietrze. Drzy unoszący się wokół pyłek, ciemność silnie wibruje. I przez wtargnięcie tego dźwięku mój korytarz, który właśnie zaczął przybierać kształt, zostaje całkowicie odcięty.

Jak zawsze.

Jestem znów we własnym ciele i siedzę na dnie głębokiej studni. Oparty o ścianę, ściskam w dłoniach kij baseballowy. Do moich palców wraca poczucie świata po tej stronie, jak obraz stopniowo nabierający ostrości. Uchwyt kija jest wilgotny od potu. W gardle czuję gwałtowne bicie serca. W uszach mam jeszcze wyraźnie to głośne pukanie, które zdaje się przesywać świat. Potem słyszę w ciemnościach, jak powoli obraca się klamka. Ktoś (coś?) próbuje z zewnątrz otworzyć drzwi. Chce powoli cicho wejść do pokoju. Lecz w tej chwili wszystkie obrazy znikają. Ściana jest znowu twardą ścianą, a ja zostałem z powrotem odrzucony na tę stronę.

W głębokiej ciemności stukam kijem o ścianę przed sobą. Jest jak zwykle twarda, zimna, betonowa. Otacza mnie walec z betonu. Jeszcze trochę, myślę. Powoli się do tego zbliżam. Nie ma co do tego wątpliwości. Kiedyś pewnie przekroczę tę blokadę i „wejde” tam. Wślizgnę się do pokoju przed pukaniem i tam na

nie poczekam. Ciekawe, ile czasu mi na to potrzeba?

I ile czasu mi pozostało?

Jednocześnie bałem się, że to może się zdarzyć. Bałem się stanąć twarzą w twarz z tym, co tam jest.

Przez pewien czas kulę się w ciemności. Muszę uspokoić bicie serca. Muszę zdjąć ręce z uchwytu kija. Na to, żeby się podnieść z dna studni i wyjść po drabince na ziemię, potrzebuję jeszcze trochę czasu i jeszcze trochę siły.

## **10. O ataku na zoo (albo o nieudolnej masakrze)**

Gałka Akasaka opowiedziała mi o tygrysach, lampartach, wilkach i niedźwiedziach zastrzelonych przez grupę żołnierzy w strasznie gorące sierpniowe popołudnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Opowiadała o tym wydarzeniu tak żywo i składnie, że miałem wrażenie, że oglądam na białym ekranie film dokumentalny. Nie było w jej opowiadaniu ani krztyny dwuznaczności, choć nie widziała tych scen na własne oczy. Stała wtedy na pokładzie transportowca płynącego do Sasebo i naprawdę widziała amerykańską łódź podwodną.

Uciekła na pokład z dusznej jak łaźnia parowa ładowni i wraz z wieloma innymi pasażerami, trzymając się poręczy, wystawiła twarz na lekki wiaterek i wpatrywała się w gładką powierzchnię morza. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, jak fragment snu wyłoniła się z morza łódź podwodna. Najpierw na powierzchni wody ukazały się antena, radar i peryskop, potem tworząc fale, wynurzyła się wieżyczka obserwacyjna, a wkrótce cała stalowa masa ukazała się w swej wilgotnej nagości w promieniach letniego słońca. Miała niewątpliwie kształt łodzi podwodnej, choć wyglądała raczej na jakiś symboliczny znak. Albo pozbawione znaczenia porównanie.

Przez pewien czas łódź podwodna posuwała się równolegle z transportowcem, jakby badając stan zdobyczy. Wkrótce otworzył się luk na pokładzie i wyszedł z niego marynarz, potem drugi. Wyłazili raczej ślamazarnie. Nikt się nie spieszył. Ofice-

rowie patrzyli na transportowiec z wieżyczki obserwacyjnej przez wielkie lornetki. Czasami szkła lornetek błyszczały w słońcu. Transportowiec był pełen cywilnej ludności wracającej do Japonii. Większość stanowiły kobiety i dzieci, rodziny japońskich urzędników państwowych i wysoko postawionych pracowników kolei mandżurskiej chcące uniknąć chaosu, jaki nastąpi po niechybnej porażce, i pragnące się schronić w ojczyźnie. W świetle tragicznej perspektywy, jaką niesło pozostanie w Chinach, gotowi byli podjąć ryzyko ataku przez amerykańską łódź podwodną - przynajmniej tak myśleli do czasu, gdy jedna pojawiła się nagle przed nimi.

Dowódcy łodzi podwodnej upewnili się, że transportowiec nie jest uzbrojony i że w pobliżu nie ma statku konwojującego. Nie mieli się już czego bać. Teraz panowali także w powietrzu. Okinawa upadła i na terytorium Japonii prawie nie było samolotów bojowych. Nie ma się co spieszyć, mają tyle czasu, ile chcą. Marynarze pokręcili korbą działa pokładowego i skierowali je na transportowiec. Podoficer dowodzący wydał krótkie, precyzyjne rozkazy i trzech marynarzy zostało przydzielonych do obsługi działa. Dwóch innych otworzyło luk w tylnej części pokładu i przydzwigali stamtąd ciężką amunicję. Kilku wprawnymi ruchami zakładało amunicję do karabinu maszynowego zamontowanego na nieco wyższej części pokładu przy wieżyczce obserwacyjnej. Wszyscy marynarze przygotowujący się do ataku mieli na głowach hełmy bojowe, lecz niektórzy byli nadzy od pasa w górę. Prawie połowa nosiła szorty. Kiedy Gałka wyteżyła wzrok, dostrzegła kolorowe tatuaże na ich ramionach. Wyteżając wzrok, dostrzegła różne rzeczy.

Siła ogniowa, jakiej zamierzała użyć łódź podwodna, składała się z jednego działa pokładowego i jednego karabinu maszynowego, lecz było to nieomal za dużo na zatopienie transportowca przebudowanego z przestarzałego frachtowca. Łódź podwodna była wyposażona w ograniczoną liczbę torped, lecz miały być użyte wyłącznie w wypadku natknięcia się na uzbrojony konwój

- zakładając, że coś takiego jeszcze w Japonii istniało. Była to żelazna zasada.

Trzymając się poręczy, Gałka obserwowała, jak obraca się ku niej czarne działo. Letnie słońce momentalnie osuszyło jeszcze przed chwilą moką lufę. Pierwszy raz widziała takie wielkie działo. W Sinjing często widywała na ulicach działa pułków armii japońskiej, lecz to na pokładzie łodzi było nieporównanie większe. Łódź podwodna wysłała transportowcowi sygnały świetlne, mówiące: „Natychmiast zatrzymać statek. Statek zostanie zatopiony ogniem artyleryjskim. Natychmiast ewakuować pasażerów w szalupy ratunkowe”. (Gałka oczywiście nie potrafiła odczytać sygnałów świetlnych, lecz dokładnie zapamiętała tę wiadomość). Jednak na transportowcu, który przerobiono ze starego frachtowca w czasie wojennej zawieruchy, nie było wystarczającej liczby szalup dla ponad pięciuset pasażerów i załogi. Na pokładzie znajdowały się zaledwie dwie i kilka kamizelek oraz kół ratunkowych.

Kurczowo trzymając się poręczy, Gałka jak zaczarowana wpatrywała się w opływowy kształt łodzi podwodnej, lśniącej, bez śladu rdzy, jakby została dopiero co zbudowana. Patrzyła na numer namalowany białą farbą na wieżyczce obserwacyjnej, na obracający się nad nią radar, na oficerów w ciemnych okularach i o włosach w kolorze piasku. Ta łódź podwodna wynurzyła się z głębokiego morza po to, żeby nas wszystkich zabić. Gałka wcale nie była zdziwiona. To może się zdarzyć każdemu, nie ma związku z wojną. Wszyscy myślą, że to przez wojnę. Ale tak nie jest. Wojna to tylko jedno z wielu różnych wydarzeń.

Nie czuła strachu, nawet mając przed sobą łódź podwodną i to wielkie działo. Matka coś do niej krzyczała, lecz Gałka nie do słyszała jej słów. Poczowała, że ktoś chwyta jej nadgarstki i ciągnie, lecz nie puściła poręczy. Wrzaski i zamieszanie oddaliły się stopniowo, jakby ktoś ściszył radio. Dlaczego jestem taka śpiąca, pomyślała zdziwiona. Zamknęła oczy i jej świadomość natychmiast się zamgliła i oddaliła od pokładu.

Widziała wtedy, jak żołnierze japońscy chodzą po dużym ogrodzie zoologicznym i zabijają jedno po drugim zwierzęta, które uznano za niebezpieczne. Oficer wydawał rozkaz, a kule z karabinów piechoty kalibru.38 wdzierały się w gładką skórę tygrysów i rozrywały im wnętrzności. Letnie niebo było błękitne, a z otaczających drzew spływał jak letni deszcz szalony śpiew cykad.

Żołnierze przez cały czas milczeli. Opalone twarze poblady i wyglądali jak postacie z obrazków namalowanych na antycznej ceramice. Za kilka dni, najpóźniej za tydzień, główne siły dalekowschodnich oddziałów armii radzieckiej miały dotrzeć do Sijnjing. Nie można było ich powstrzymać. Na początku wojny, chcąc utrzymać przesuwający się na południe front, przetransportowano tam niegdyś doborowe siły i uzbrojenie Armii Kwantuńskiej; teraz większość spoczywała już na dnie morza lub gniła w głębi dżungli. Nie zostały prawie żadne przeciwzołgowe działa ani czołgi. Większość ciężarówek do transportu oddziałów była zepsuta i brakowało części, żeby je naprawić. Zmobilizowano wszystkie siły i zebrano wielu żołnierzy, ale nawet starych karabinów nie starczyło dla wszystkich. Nie było też dość kul. I tak Armia Kwantuńska szczyca się mianem niewzruszonego obrońcy północy stała się jedynie papierowym tygrysem. Potężne radzieckie jednostki zmechanizowane, które rozgromiły wojska niemieckie, zostały właśnie przetransportowane koleją na Daleki Wschód. Miała pełno broni i wysokie morale. Zbliżał się upadek Mandżukuo.

Wszyscy o tym wiedzieli, a najlepiej ze wszystkich dowództwo Armii Kwantuńskiej. Dlatego przeniesiono główne siły na zaplecze, pozostawiając w rezultacie na łaskę losu garnizony strzegące granicy i rolników-osadników. Tysiące nieuzbrojonych chłopów zostało wyrzniętych przez pracę naprzód i niemożącą sobie pozwolić na branie jeńców armię radziecką. Wiele kobiet, żeby uniknąć gwałtu, wybrało lub zostało zmuszone do wybrania masowego samobójstwa. Garnizony przygraniczne

schroniły się w betonowym bunkrze, który nazwali „niezdobyta forteca”, i stawiały gwałtowny opór, lecz nie mając posiłków, uległy przeważającej sile ogniowej wroga i prawie wszyscy żołnierze zginęli. Dowództwo i wysocy rangą oficerowie przenieśli się do nowej kwatery głównej w Tonghua, niedaleko granicy z Koreą. Cesarz Pu Yi też spakował się w wielkim pośpiechu i wraz z rodziną zbiegł ze stolicy specjalnym pociągiem. Większość żołnierzy chińskich z „armii Mandżukuo”, odpowiedzialnej za obronę stolicy, zdezerterowała natychmiast po usłyszeniu o ataku radzieckim albo wywoływała bunty i mordowała dowodzących oficerów japońskich. To naturalne, że żołnierze ci nie mieli zamiaru narażać życia dla Japonii w walce z przeważającymi siłami armii radzieckiej. W rezultacie tych wydarzeń miasto specjalne Sinjing, duma Japończyków, stolica Mandżukuo zbudowana na dzikim pustkowiu, znalazło się wewnątrz przedziwnej, politycznej próżni. Wysocy rangą chińscy biurokraci z Mandżukuo, chcąc uniknąć niepotrzebnego chaosu i rozlewu krwi, nalegali, by miasto jako nieuzbrojone oddać bez walki, ale Armia Kwantuńska odrzuciła tę propozycję.

Żołnierze w ogrodzie zoologicznym też myśleli, że trudno im będzie uniknąć czekającego ich losu, że za kilka dni zginą w walce z armią radziecką (w rzeczywistości po rozbrojeniu zostali zesłani do kopalni węgla na Syberię i trzech z nich straciło tam życie). Modlili się tylko, żeby spotkała ich śmierć bez cierpień. Nie chcieli zostać rozjechani gąsienicami czołgów ani spaleni w okopach miotaczami ognia, ani umrzeć po długich cierpieniach ranni w brzuch. Lepiej po prostu dostać kulę w łeb albo w serce. Ale tak czy inaczej przedtem musieli zabić zwierzęta w zoo.

Aby nie marnować cennych kul, zwierzęta miały być zlikwidowane za pomocą trucizny. Młody porucznik dowodzący oddziałem otrzymał polecenie otrucia zwierząt od zwierznika, który powiedział mu też, że odpowiednią ilość trucizny przekazano w tym celu do ogrodu zoologicznego.

Na czele ośmiu w pełni uzbrojonych ludzi porucznik skierował się do zoo znajdującego się dwadzieścia minut piechotą od dowództwa. Od czasu ataku radzieckiego brama ogrodu została zamknięta i przy wejściu stało dwóch żołnierzy z bagnetami na lufach karabinów. Porucznik pokazał im rozkazy i wszedł ze swymi żołnierzami do środka.

Dyrektor ogrodu zoologicznego powiedział, że rzeczywiście otrzymał od wojska polecenie wytrzebiecia dzikich zwierząt, jeżeli dojdzie do sytuacji krytycznej, i wiedział, że ma się to odbyć metodą otrucia, lecz nigdy nie otrzymał rzeczony trucizny. Porucznik nie wiedział, o co tu może chodzić. Był oficerem przydzielonym do dowództwa, zajmował się wyłaczaniem żołądu i nigdy przedtem nie dowodził oddziałem. Teraz został oddelegowany ze względu na krytyczną sytuację, więc po otrzymaniu rozkazu w pośpiechu wydobyl z szuflady od wielu lat nieoliwiony rewolwer, który mógł w ogóle nie wystrzelić.

- Panie poruczniku, z urzędnikami zawsze tak jest - powiedział współczująco chiński dyrektor ogrodu. - Nigdy nie ma tego, co potrzebne.

W celu potwierdzenia wezwano weterynarza zatrudnionego w zoo, a on wyjaśnił porucznikowi, że ponieważ ostatnio dostawy były niewystarczające, obecnie ogród posiada jedynie niewielką ilość trucizny. Nie wiadomo nawet, czy wystarczyłoby na zabicie konia. Weterynarz był wysokim mężczyzną dobiegającym czterdziestki. Miał regularne rysy, lecz prawy policzek szpeciło mu sinoczarne znamię wielkości i kształtu rączki niemowlęcia. Musiał je mieć od urodzenia.

Porucznik zadzwonił z gabinetu dyrektora do dowództwa i poprosił do telefonu zwierzchnika, lecz od kilku dni, od czasu gdy armia radziecka przekroczyła granicę, w dowództwie Armii Kwantuńskiej panował straszny chaos i wielu wyższych rangą oficerów zniknęło. Pozostali byli strasznie zajęci paleniem na podwórzu stosów ważnych dokumentów albo dowodzeniem oddziałami kopiącymi na obrzeżach miasta rowy przeciwczołgo-

we. Nieznane było miejsce pobytu majora, który wydał mu rozkaz. Porucznik nie miał pojęcia, gdzie zdobyć potrzebną ilość trucizny. Jaki wydział Armii Kwantuńskiej odpowiada za takie rzeczy jak trucizna? Odsyłano go z jednego miejsca na drugie, aż w końcu do telefonu podszedł pułkownik, lekarz wojskowy.

- Ty idioto! Teraz rozstrzygają się losy całego kraju! Skąd ja mam wiedzieć, co się stanie z jakimś zoo?! - wrzasnął głosem drżącym ze złości.

A skąd ja mam wiedzieć, pomyślał porucznik. Odłożył słuchawkę z wyrazem przygnębienia i zrezygnował ze zdobywania trucizny. Miał dwie możliwości. Jedną z nich to wycofanie się stąd bez zabijania zwierząt. Drugą było zastrzelenie ich z karabinów. Ściśle mówiąc, obie były niezgodne z rozkazem, jaki otrzymał, lecz w końcu zdecydował się na zastrzelenie. Zostanie, być może, zrugany za marnowanie kul, ale przynajmniej osiągnie cel „wytrzebienia” zwierząt. Jeżeli zaś ich nie zabije, mogą go postawić przed sądem wojskowym za niewykonanie rozkazu. Wątpił, czy w tych czasach istniał jeszcze trybunał wojskowy, ale rozkaz to rozkaz. Tak długo jak istnieje armia, trzeba wykonywać rozkazy.

Przecież gdybym miał inne wyjście, wołałbym nie zabijać zwierząt w zoo, powtarzał sobie. Naprawdę tak myślał. Lecz brakuje już karmy, będzie coraz gorzej i nie ma żadnych perspektyw na poprawę. Szybkie zabicie będzie dla dobra zwierząt. Gdyby w rezultacie walk lub bombardowań zdychające z głodu zwierzęta znalazły się na ulicach, na pewno doszłoby do tragedii.

Dyrektor zoo przekazał mu otrzymaną wcześniej listę zwierząt do „likwidacji w sytuacji krytycznej” oraz plan ogrodu. Postanowiono, że plutonowi egzekucyjnemu będą towarzyszyli weterynarz ze znamieniem i dwaj chińscy pracownicy ogrodu. Porucznik przebiegł wzrokiem otrzymaną listę. Na szczęście liczba zwierząt przeznaczonych do likwidacji była niższa, niż się spodziewał, lecz były wśród nich dwa słonie indyjskie. Słonie?, po-



rucznik odruchowo skrzywił się, o rany, jak się zabija słonia?

Według mapy zoo ze zwierząt przeznaczonych do likwidacji najbliżej były tygrysy. Słonie postanowiono na wszelki wypadek zostawić na koniec. Przed klatką znajdowała się tabliczka z wyjaśnieniem, że tygrysy zostały schwytane na terenie Mandzuku w górach Da Singanling. Były dwa, więc porucznik postanowił przydzielić po czterech ludzi na tygrysa. Polecił im mierzyć dokładnie w serce, choć sam nie był pewien, gdzie je mają. Ośmiu żołnierzy jednocześnie odbezpieczyło karabiny kalibru.38 i wprowadziło naboje do komory, a ten suchy, złowieszczy dźwięk zupełnie zmienił atmosferę. Usłyszawszy go, tygrysy wstały i nienawistnie patrząc na żołnierzy, wydały zza prętów klatki groźny ryk z głębi piersi. Porucznik też na wszelki wypadek wyjął z kabury swój automatyczny rewolwer i odbezpieczył. Chcąc się uspokoić, lekko odchrząknął. Starał się myśleć, że to nic takiego. Że wszyscy robią takie rzeczy.

Żołnierze przyklękli na jedno kolano, starannie wycelowali karabiny i na sygnał porucznika jednocześnie pociągnęli za cyngle. Karabiny odbiły, gwałtownie uderzając ich w ramiona, tak że przez chwilę mieli pustkę w głowach, jakby zostały na moment utracone. Huk salwy poniósł się po pustym, zamkniętym ogrodzie zoologicznym. Odbijał się od budynku do budynku, od ściany do ściany, przedarł się między drzewami, przebiegł po powierzchni wody i przeszył piersi słuchających strachem jak złowieszczy daleki grzmot. Wszystkie zwierzęta wstrzymały oddech. Nawet cykady przestały śpiewać. Ucichło echo wystrzału, w okolicy zapanowała głucha cisza. Tygrysy, jakby uderzone maczugą jakiegoś niewidomego olbrzyma, poderwały się na chwilę w górę, a potem opadły na ziemię, aż zadudniło. Wiły się w cierpieniach, rzęziły i pluły krwią z głębi gardeł. Żołnierzom nie udało się uśmiercić tygrysów pierwszymi strzałami, ponieważ miały się po klatce i nie mogli dobrze wymierzyć. Bezdzwięcznym, mechanicznym głosem porucznik wydał rozkaz przygotowania się do ponownego strzału. Żołnierze otrząsnęły

się z osłupienia, odbezpieczyli broń, wyrzucili łuski i wycelowali karabiny.

Porucznik polecił jednemu z żołnierzy wejść do klatki i upewnić się, że tygrysy nie żyją. Miały zamknięte oczy, wyszczerzone kły i nie poruszały się, jednak trzeba było upewnić się, że naprawdę nie żyją. Weterynarz otworzył klatkę, a zaledwie dwudziestoletni żołnierz wszedł do niej pełen obaw, wystawiając przed siebie bagnet. Bardzo dziwnie to wyglądało, lecz nikt się nie śmiał. Lekko kopnął tygrysa w bok obcasem wojskowego buta. Tygrys ani drgnął. Żołnierz kopnął jeszcze raz mocniej w to samo miejsce. Tygrys niewątpliwie nie żył. Drugi (samica) też się nie poruszała. Żołnierz nigdy w życiu nie był w zoo i po raz pierwszy widział prawdziwe tygrysy, dlatego też nie docierało do niego, że oto naprawdę właśnie je tu zabili. Wydawało mu się, że został zaprowadzony w jakieś miejsce, z którym nie miał związku, i przypadkiem zmuszony do zrobienia czegoś, co nie miało z nim związku. Stał w morzu prawie czarnej krwi i patrzył na ciała tygrysów, jakby oszołomiony. Zdawały mu się znacznie większe niż przedtem żywe. Ciekawe, dlaczego dziwił się.

Betonowa podłoga klatki przesiąkła przenikliwym zapachem moczu, charakterystycznym dla wielkich kotów. Mieszał się z nim ciepły surowy zapach krwi. Z kilku dziur po kulach nadal buchała krew i tworzyła u jego stóp lepkie czarne bajoro. Karabin nagle wydał mu się ciężki i zimny. Chciał rzucić go, przykucnąć i zwymiotować całą zawartość żołądka. Na pewno lepiej by się poczuł. Ale nie mógł zwymiotować. Gdyby zrobił coś takiego, plutonowy tak by go złał, że sam by się w lustrze nie poznał. (Nie wiedział oczywiście, że w siedemnaście miesięcy później umrze - z głową rozłupaną łopatą przez radzieckiego strażnika w kopalni węgla w pobliżu Irkucka). Otarł pot z czoła wierzchem dłoni. Hełm wydawał się strasznie ciężki. Cykady też jakby w końcu odżyły. Najpierw zaśpiewała jedna, potem dołączyła się druga. Wkrótce z ich cykaniem zmieszał się głos

ptaka. Wydawał dziwny głos, przypominający nakręcanie sprężyny. Krrk, khrrh. Gdy żołnierz miał dwadzieścia lat, przeniósł się z wioski w górach na wyspie Hokkaido do wsi osadników w Beian i do czasu, gdy rok temu powołano go do wojska, pomagał rodzicom w gospodarstwie. Dlatego wiedział wszystko o mandżurskich ptakach, lecz o dziwo nie znał wydającego taki dziwny głos. A może to ptak z innego kraju śpiewający w jakiejś klatce? Lecz zdawało się, że śpiew dobiega z tego drzewa zaraz obok. Odwrócił się, zmrużył oczy i spojrzał w stronę, z której dobiegał śpiew. Niczego nie dostrzegł. Gęsto porośnięty liśćmi wielki wiąz rzucał na ziemię chłodny wyraźny cień.

Żołnierz spojrzał na porucznika, jakby prosząc o wskazówki. Porucznik skinął głową na znak, że już wystarczy, i kazał mu wyjść z klatki. Potem ponownie rozłożył plan zoo. Jakoś poradzili sobie z tygrysami. Teraz kolej na lamparty. A potem chyba wilki. Są też niedźwiedzie. Nad słoniami zastanowi się potem. Ależ upał! Powiedział żołnierzom, żeby trochę odpoczęli i napili się wody. Wszyscy napili się z manierek. Potem zarzucili karabiny na plecy i w milczeniu ruszyli jeden za drugim w stronę klatki lampartów. Nieznany ptak ciągle zdecydowanym skrzeczeniem nakręcał na jakimś drzewie sprężynę. Pot zabarwił ciemniejszym kolorem piersi i plecy ich letnich mundurów. Gdy żołnierze szli tak w pełnym uzbrojeniu, bezludny ogród zoologiczny wypełniał się pustym echem szczęku metalu pocierającego o metal. Jakby coś przewidując, mały uchwyciły się kurczowo prętów klatki i wydały rozdzierający krzyk, dramatycznie ostrzegając wszystkie zwierzęta, które - każde na swój sposób - dołączyły do mały. Wilki zawyły przeciągle, zwracając się ku niebu, ptaki zatrzepotały skrzydłami, gdzieś jakieś duże zwierzę rzucało się dziko w klatce, jakby grożąc. Zbite chmury w kształcie pięści pojawiły się nie wiadomo skąd i na chwilę przysłoniły słońce. W to sierpniowe popołudnie i ludzie, i zwierzęta, wszyscy myśleli o śmierci. Dziś zabijają zwierzęta, a jutro radzieccy żołnierze ich zabiją. Najprawdopodobniej.

Zawsze rozmawialiśmy, siedząc naprzeciw siebie przy tym samym stoliku w tej samej restauracji. Zawsze ona płaciła rachunek. Siedzieliśmy w głębi sali, która była podzielona na boksy, więc nikt nas nie słyszał i do nas nie dobiegały szmery innych rozmów. W tej restauracji można było zająć stolik na cały wieczór, toteż nikt nam nie przeszkadzał i mogliśmy spokojnie rozmawiać aż do zamknięcia. Kelnerzy też byli dyskretni i po podaniu zamówionych potraw nie zbliżali się do naszego stolika. Gałka zazwyczaj zamawiała butelkę burgunda określonego rocznika i zawsze zostawiała połowę niewypitą.

- Ptak nakręcający sprężynę? - zapytałem, unosząc głowę.

- Ptak nakręcający sprężynę? - powtórzyła Gałka. - Nie wiem, o czym pan mówi. O co właściwie panu chodzi?

- Przecież przed chwilą mówiła pani o ptaku nakręcającym sprężynę, prawda?

W milczeniu pokręciła przecząco głową.

- Nie pamiętam. Wydaje mi się, że nic nie mówiłam o żadnych ptakach.

Poddałem się. Zawsze na tym się kończyło. Nie zapytałem jej też o znamię.

- To znaczy, że urodziła się pani w Mandżurii?

Jeszcze raz pokręciła głową.

- Urodziłam się w Jokohamie. Kiedy miałam trzy lata, przenieśliśmy się z rodzicami do Mandżurii. Ojciec wykładał w szkole weterynaryjnej. Poszukiwano kogoś na głównego weterynarza nowo zakładanego ogrodu zoologicznego w Sinjing i sam się zgłosił. Matka nie chciała wyjeżdżać z Japonii i przenosić się na taki koniec świata, ale ojciec podobno uparł się, że pojedą. Może zamiast uczyć w kraju, chciał spróbować swoich sił na szerszym polu. Ja jeszcze byłam mała i było mi obojętne, czy mieszkam w Japonii, w Mandżurii, czy jeszcze gdzieś indziej. Bardzo mi się podobało życie w ogrodzie zoologicznym. Ojciec zawsze pachniał zwierzętami. Zapachy różnych zwierząt zlewały się i ta woń codziennie trochę się zmieniała, jakby zmieni-

ła się kompozycja perfum. Ojciec wracał do domu, a ja włożyłam mu na kolana i obwąchałam go.

Lecz gdy sytuacja na wojnie się pogorszyła i wokół zaczęło być niespokojnie, ojciec postanowił odesłać mnie z matką do Japonii. Wraz z innym repatriantami wsiadliśmy w pociąg w Sinjing, pojechaliśmy do Korei, a stamtąd przesiadaliśmy się na specjalny statek. Ojciec został sam. Pomachaliśmy sobie na dworcu w Sinjing i nigdy więcej go już nie widziałam. Wystawiłam głowę przez okno i długo patrzyłam, jak stojący na peronie ojciec robi się coraz mniejszy i znika w tłumie. Nikt nie wie, co się z nim potem stało. Prawdopodobnie wpadł w ręce nacierających wojsk radzieckich, został zesłany na Syberię, zmuszony do pracy i umarł tam jak wielu innych. Pewnie leży gdzieś pogrzebany bez nagrobka, w tej zimnej samotnej ziemi.

Jeszcze teraz dokładnie pamiętam całe zoo w Sinjing. Potrafię sobie wszystko odtworzyć w pamięci. Wszystkie dróżki i wszystkie zwierzęta. Mieszkaliśmy w mieszkaniach służbowych na terenie ogrodu, pracownicy mnie znali i pozwalali mi wszędzie wchodzić, nawet w dni, kiedy ogród był nieczynny.

Gałka przymknęła oczy i przywołała tamte obrazy. W milczeniu czekałam na dalszy ciąg opowieści.

- Ale nie jestem pewna, czy zoo było naprawdę takie, jak ja je pamiętam. Jak by to powiedzieć? Czasami wydaje mi się, że wspomnienia są zbyt żywe. I im głębiej się nad tym zastanawiam, tym mniej potrafię ocenić, dokąd ta żywość jest odzwierciedleniem prawdy, a odkąd wytworem mojej wyobraźni. Jakbym się znalazła w labiryncie. Zdarzyło się panu kiedyś coś takiego?

Nie zdarzyło.

- Czy ten ogród zoologiczny ciągle istnieje?

- Hm, nie wiem - odpowiedziała Gałka. Dotknęła palcem kolczyka. - Słyszałam, że po wojnie został zamknięty, ale nie wiem, czy potem go ponownie otwarto.

Przez długi czas Gałka Akasaka była jedyną osobą na świecie,

z którą rozmawiałem. Spotykaliśmy się raz lub dwa w tygodniu i rozmawialiśmy, siedząc naprzeciwko siebie w restauracji. Po kilku spotkaniach odkryłem, że jest idealnym słuchaczem. Była bystra i umiała za pomocą potakiwania i wtrącania odpowiednich pytań zręcznie kierować nurtem opowieści.

Nie chcąc jej sprawić przykrości, zawsze starałem się czysto i starannie ubierać na te spotkania. Wkładałem świeżo odebraną z pralni koszulę, doбираłem krawat, czyściłem buty. Kiedy się spotykaliśmy, najpierw lustrowała moje ubranie od stóp do głów, jak kucharz oglądający jarzyny. Jeżeli coś choć trochę jej się nie podobało, prowadziła mnie prosto do jakiegoś butik, wybierała odpowiednią część garderoby, kupowała i, o ile to było możliwe, kazała mi się od razu przebrać. W dziedzinie ubrań akceptowała tylko rzeczy idealne.

Dzięki temu liczba ubrań w mojej szafie zaczęła szybko wzrastać. Nowe garnitury, marynarki, koszule stopniowo, lecz niezaprzeczalnie, wkraczały na teren zajmowany przez rzeczy Kumiko. Kiedy zabrakło miejsca, włożyłem ubrania Kumiko do kartonowego pudła, przełożyłem naftaliną i schowałem do innej szafy. Jeżeli Kumiko wróci, na pewno zapyta zdziwiona, co zaszło podczas jej nieobecności.

Wytłumaczenie Gałce krok po kroku, co się stało z Kumiko, zajęło mi dużo czasu. Powiedziałem jej, że muszę jakoś uratować Kumiko i sprowadzić ją z powrotem.

Oparła łokcie na stole i chwilę mi się przyglądała.

- A właściwie skąd będzie ją pan sprowadzał i ratował? Czy to miejsce ma jakąś nazwę?

Szukałem odpowiednich słów, lecz nie znalazłem. Nie było ich ani w niebie, ani na ziemi.

- To jest gdzieś daleko - odpowiedziałem.

Gałka uśmiechnęła się.

- To brzmi jak historia Czarodziejskiego fletu Mozarta. Ratowanie za pomocą czarodziejskiego fletu i czarodziejskich dzwonek księżniczki uwięzionej daleko. Uwielbiam tę operę.

Widziałam ją setki razy. Znam na pamięć libretto. „Ptasznikiem jestem, znają mnie starzy i młodzi w całym kraju”. Widział pan?

Potrząsnąłem głową. Nie widziałem.

- W tej operze księżę i ptasznik Papageno dążą na chmurze do księżniczki prowadzeni przez troje dzieci. Ale trwa walka między krainami słońca i nocy. Kraina nocy chce wykraść księżniczkę z krainy dnia i sprowadzić z powrotem. Bohaterowie po drodze przestają się orientować, po czyjej stronie jest racja, kto jest uwięziony, a kto nie jest. Na koniec oczywiście księżę zdobywa księżniczkę, Papageno zdobywa Papagenę, a źli ludzie idą do piekła... - urwała i powoli przesunęła palcem po krawędzi szklanki. - Ale pan nie ma teraz ani ptasznika, ani czarodziejskiego fletu, ani dzwonek.

- Mam studnię - powiedziałem.

- Jeżeli się panu uda ją dostać - uśmiechnęła się. - Tę pana studnię. Ale na wszystko przyjdzie czas.

Kiedy zmęczyło mnie mówienie albo zabrakło mi słów i nie mogłem dalej opowiadać, Gałka pozwałała mi odpocząć i opowiadała o swoim dzieciństwie. Była to historia o wiele dłuższa i bardziej skomplikowana niż moja. Poza tym Gałka nie mówiła po kolei, a przeskakiwała w czasie tu i tam, tak jak jej przyszła ochota. Bez uprzedzenia cofała się, by potem znowu wyskoczyć w przeszłość, wprowadzała nagle nowe osoby, które okazywały się głównymi bohaterami. Musiałem z uwagą snuć domysły, aby zrozumieć, do którego miejsca jej biografii należy dana opowieść, ale zdarzało się też, że nie mogłem się domyślić. Mówiła o rzeczach widzianych na własne oczy, a równocześnie o wydarzeniach, których nie była świadkiem.

Zabili lamparty, zabili wilki, zabili niedźwiedzie. Z zastrzeżeniem dwóch wielkich niedźwiedzi mieli najwięcej kłopotu. Choć trafiło je po kilkadziesiąt kul, ciągle gwałtownie rzucały się w klatce, groźnie obnażały kły i ryczały, tocząc z pysków ślinę. W odróżnieniu od zwierząt z rodziny kotów, które łatwiej się poddały (a przynajmniej tak to z zewnątrz wyglądało), nie mo-

gły przyjąc do wiadomości faktu, że są zabijane. Prawdopodobnie dlatego niepotrzebnie długo zajęło im ostateczne pożegnanie się z tymczasowym stanem zwanym życiem. Kiedy wreszcie wydały ostatnie tchnienie, żołnierze ślaniali się ze zmęczenia. Porucznik zabezpieczył rewolwer i otarł czapką płynący po twarzy pot. W absolutnej ciszy kilku żołnierzy głośno splunęło, jakby pokrywając wstyd. Ziemia u ich stóp była pokryta łuskami naboju jak niedopałkami. W uszach huczał im jeszcze odgłos strzałów. Młody żołnierz, który siedemnaście miesięcy później zostanie zatłuczony na śmierć przez radzieckiego żołnierza w kopalni niedaleko Irkucka, oddychał głęboko, unikając wzrokiem trupów zwierząt. Starał się za wszelką cenę powstrzymać podchodzące do gardła mdłości.

W końcu postanowiono nie zabijać słoni. Kiedy przed nimi stanęli, okazały się zbyt wielkie. W ich obliczu karabiny zdawały się zabaweczkami. Po krótkim zastanowieniu porucznik zdecydował, że zostawia słonie w spokoju. Usłyszawszy to, żołnierze odetchnęli z ulgą. O dziwo - a może to wcale nie było takie dziwne - wszyscy myśleli, że od takiego zabijania zwierząt w klatkach woleliby już zabijanie ludzi na polu walki, nawet jeżeli sami mieliby przy tym zginąć.

Zwierzęta, które były już tylko zwłokami zwierząt, zostały wyciągnięte z klatek przez pracowników ogrodu, załadowane na wózki i zawieszono do pustego magazynu. Na podłodze ułożono stworzenia różnych kształtów i wielkości. Zakończywszy nadzór nad tymi pracami, porucznik wrócił do pokoju dyrektora i poprosił o podpisanie wymaganych dokumentów. Potem żołnierze ustawili się w szeregu i tak jak przyszli, odeszli w szyku ze szczękiem metalu. Pracownicy ogrodu umyli szlauchami poczerniałe od krwi klatki. Za pomocą szczotek usunęli strzępy ciała zwierząt, które przywarły do prętów. Kiedy skończyli pracę, poszli do weterynarza z sinym znamieniem na twarzy, żeby zapytać, co zamierza zrobić ze zwłokami. Weterynarz nie wiedział, co odpowiedzieć. Zwykle kiedy zdechło jakieś zwierzę, zwy-



wało się specjalną firmę, która zajmowała się usunięciem zwłok. Teraz zaś, kiedy zbliżał się wielki i krwawy atak na stolicę, raczej nikt nie zareaguje na telefon i nie przybiegnie usuwać martwych zwierząt. Był środek lata i już teraz w magazynie roiły się muchy. Będzie trzeba wykopać dół i pogrzebać zwłoki, ale na wykopanie takiego wielkiego dołu miał o wiele za mało ludzi.

Pracownicy powiedzieli, że jeżeli pan doktor podaruje im zwłoki, mogą się zająć ich usunięciem. Wywiozą je wózkami za miasto i skutecznie się ich pozbędą. Mają kolegów do pomocy. Nie zrobią panu doktorowi kłopotu. W zamian chcą mięso i skóry. Jest wielki popyt na niedźwiedzie mięso. Z niedźwiedzi i z tygrysów robi się lekarstwa, więc można je nieźle sprzedać. Teraz już za późno na żale, ale szkoda, że żołnierze nie celowali tylko w głowę. Można byłoby dobrze sprzedać skóry. To była amatorszczyzna. Trzeba było nam to zlecić, nie zrobilibyśmy tego tak nieudolnie. Weterynarz zgodził się na tę transakcję. Nie miał innego wyjścia. Przecież to w końcu ich kraj.

Wkrótce pojawiło się około dziesięciu Chińczyków z pustymi wózkami. Wywlekli z magazynu zwierzęta, załadowali na wózki, obwiązali sznurami i okryli słomianymi matami. W czasie tej pracy prawie się nie odzywali. Ich twarze były pozbawione wyrazu. Kiedy skończyli ładowanie, zniknęli gdzieś, ciągnąc za sobą wózki, skrzypiące boleśnie pod ciężarem zwierząt. I tak w to gorące popołudnie zakończyła się masakra. Nieudolna masakra, jak powiedzieli Chińczycy. Pozostało po niej tylko kilka posprzątanych do czysta klatek. Małpy nadal były podniecone i coś wykrzykiwały bez sensu. Borsuk miotał się po niewielkiej klatce. Ptaki w rozpaczy trzepotały skrzydłami, rozsypując wokoło pióra. Cykady hałasowały.

Kiedy żołnierze wrócili do dowództwa po zastrzeleniu zwierząt, a ostatni dwaj pracownicy odeszli z wózkami załadowanymi zwłokami, ogród wydał się pusty jak dom, z którego wyniesiono meble. Weterynarz usiadł na brzegu fontanny, w której nie było wody, spojrzął w niebo na wyraźnie zarysowane chmury. Słuc-

hał cykad. Nie było już słycać ptaka nakręcacza, lecz weterynarz tego nie zauważył. Nigdy nie słycał ptaka nakręcacza.

Usłyszał go tylko biedny młody żołnierz, który zostanie zabity łopatą w syberyjskiej kopalni.

Wyjął z kieszeni na piersi mokre od potu pudełko papierosów. Włożył jednego do ust i zapalił zapałkę. Przypalając papierosa, zauważył, że drżą mu ręce. To drżenie nie ustawało i zużył aż trzy zapałki. To nie znaczy, że doznał szoku. Ale na jego oczach zostało w jednej chwili „zlikwidowanych” tyle zwierząt, a on nie wie, czemu nie czuł ani wielkiego zdziwienia, ani smutku, ani gniewu. Prawdę mówiąc, nie czuł prawie nic prócz strasznego zaskoczenia.

Siedział tak przez pewien czas, wypuszczał dym z papierosa i próbował jakoś uporządkować myśli. Wpatrywał się we własne ręce na kolanach, potem jeszcze raz spojrzął na chmury. Na pierwszy rzut oka świat wydawał mu się taki sam jak zwykle. Nie dostrzegał w nim żadnych wyraźnych zmian, ale musiał to być świat zupełnie inny niż przedtem. Teraz znajduje się w świecie, w którym zlikwidowane zostały niedźwiedzie, tygrysy, lamparty i wilki. Żyły dziś rano, a teraz o czwartej po południu już nie istnieją. Zostały zmasakrowane przez żołnierzy, nie ma nawet ich zwłok.

W takim razie pomiędzy tymi dwoma światami powinna być zdecydowana różnica. Musiała być. Jednak za nic nie umiał się jej doszukać. Świat wyglądał tak jak zwykle. W zakłopotanie wprawiał go ten stan kompletnego znieczulenia.

Potem nagle uświadomił sobie, że jest straszliwie zmęczony. Rzeczywiście, prawie nie spał ostatniej nocy. Jakby to było dobrze, gdyby mógł się położyć w chłodnym cieniu drzewa i choćby chwilę się zdrzemnąć. Gdyby mógł o niczym nie myśleć i zatonać na pewien czas w cichym mroku nieświadomości. Spojrzął na zegarek. Musi zapewnić żywienie pozostałym zwierzętom, musi się też zająć pawianem, który miał wcześniej gorączkę. Ma mnóstwo roboty. Ale najpierw musi się za wszelką cenę

zdrzemnąć. O reszcie pomyśli po przebudzeniu.

Weterynarz wszedł do zagajnika i położył się na trawie z dala od ludzkich oczu. Trawa w cieniu była chłodna i przyjemna. Miała zapach, który pamiętał z dzieciństwa. Kilka dużych mandżurskich pasikoników przebiegło mu po twarzy z głośnym cykaniem. Na leżąc zapalił drugiego papierosa. Na szczęście ręce nie drżały mu już tak jak poprzednio. Głęboko zaciągając się dymem, wyobrażał sobie, jak pracownicy zoo zdzierają gdzieś skórę z tych wszystkich świeżo zabitych zwierząt i dzielą ich mięso. Wiele razy widział Chińczyków przy takiej pracy. Na pewno robią to wprawnie i zręcznie. W jednej chwili zwierzę zostaje podzielone na skórę, mięso, wnętrzności i kości, jakby te elementy były od początku oddzielne i tylko jakimś przypadkiem się połączyły. Prawdopodobnie kiedy się obudzę, to mięso będzie już leżało na jakimś targu. Rzeczywistość jest taka szybka i efektywna. Wyrwał kępkę trawy i przez chwilę ścisnął w dłoni, ciesząc się jej miękkością. Potem zgasił papierosa, westchnął głęboko, wypuszczając z płuc resztki dymu. Kiedy zamykał oczy, w ciemności dźwięk skrzydełek pasikoników zdawał się o wiele głośniejszy niż w rzeczywistości. Miał złudzenie, że skaczą wokół niego pasikoniki wielkości ropuch.

Tracąc świadomość, pomyślał nagle, że może świat kręci się tylko w kółko, jak drzwi obrotowe. I to, między które skrzydła się wejdzie, zależy wyłącznie od tego, kiedy zrobi się krok. Pomiędzy jedną parą skrzydeł są tygrysy, a pomiędzy drugą nie ma. Może to tylko na tym polega. Nie ma w tym prawie wcale logicznej ciągłości. A skoro nie ma ciągłości, dokonywanie wyborów też nie ma w rzeczywistości znaczenia. Może dlatego nie umie dostrzec różnicy między światami... Myślami doszedł tylko do tego miejsca. Nie mógł więcej nad niczym się zastanawiać. Znużenie przygniotło go jak mokry duszący koc. Nie myślał, wciągał w nozdrza zapach trawy, słyszał trzepot skrzydełek pasikoników i czuł gęsty cień, który go spowijał.

Wkrótce zapadł w głęboki sen popołudnia.

Zgodnie z rozkazem transportowiec wyłączył silniki, wkrótce zatrzymał się i unosił cichy na wodzie. Tak czy inaczej nie miał szansy uciec przed nową, znacznie szybszą łodzią podwodną. Działo pokładowe i karabiny maszynowe łodzi były nadal wycelowane w transportowiec, żołnierze gotowi do ataku, lecz między dwoma statkami zapanował dziwny spokój. Załoga łodzi podwodnej wyszła na pokład i przyglądała się transportowcowi, jakby nie miała nic do roboty. Wielu marynarzy stało nawet bez hełmów. Było wczesne bezwietrzne popołudnie. Umilkł dźwięk silnika i słychać było jedynie fale uderzające leniwie o kadłub. Transportowiec wysłał łodzi podwodnej wiadomość, że jest nieuzbrojonym statkiem przewożącym ludność cywilną, nie wiezie żołnierzy ani dostaw dla wojska. Prawie nie ma na nim szalup ratunkowych. Łódź podwodna odpowiedziała: „Nas to nie dotyczy. Bez względu na to, czy jest możliwość ewakuacji, rozpoczynamy atak za dokładnie dziesięć minut”. Na tym zakończyła się wymiana sygnałów. Kapitan transportowca postanowił nie przekazywać pasażerom ich treści. Po co miałyby to robić? Może kilka osób będzie miało szczęście i jakoś przeżyje, lecz większość zostanie wciągnięta na dno morza wraz z tym nędznym, przypominającym metalową balię statkiem. Miał ochotę na koniec napić się whisky, lecz butelka była w szufladzie biurka w jego kajucie. Była to szkocka whisky, którą bardzo oszczędzał, a teraz nie miał czasu po nią pójść. Zdjął czapkę i spojrzął na niebo. Patrzył, czy nie pojawią się tam cudem japońskie samoloty w szyku bojowym, ale nic takiego się nie zdarzyło. Kapitan nie mógł nic więcej zrobić. Znowu pomyślał o whisky.

Kiedy nadszedł już prawie czas zapowiedzianego ataku, na pokładzie łodzi podwodnej zapanowało dziwne zamieszanie. Stojący na wieżycze obserwacyjnej oficerowie pospiesznie się nad czymś naradzali. Jeden z nich zszedł na pokład i biegnąc między marynarzami, wykrzykiwał jakieś rozkazy. Usłyszawszy

je, rozstawieni na pozycjach i gotowi do ataku marynarze wpadli w lekkie podniecenie. Jeden z nich pokręcił głową i kilka razy uderzył pięścią w działo. Inny zdjął hełm i wpatrywał się w niebo. Mogły to być oznaki gniewu lub radości. Marynarze wyglądali na rozczarowanych, ale także na podnieconych. Ludzie na transportowcu nie mieli zielonego pojęcia, co się mogło stać ani co się może stać dalej. Stali i z zapartym tchem pożerali wzrokiem marynarzy jak widownia jakiejś pozbawionej scenariusza, lecz zawierającej niezwykle ważną wiadomość pantomimy. Starali się znaleźć jakikolwiek, choćby najmniejszy klucz do zagadki. Wkrótce opadły fale podniecenia i na rozkaz podoficera szybko usunięto z działa amunicję. Kręcąc korbą, marynarze przekręcili działo z powrotem na zwykłą pozycję, lufą na wprost. Nie mierzyło już w transportowiec. Zakryli złowieszczy czarny wylot lufy pokrywą. Amunicja wróciła pod pokład, a załoga zaczęła szybko znikać w lukach. Wszystkie czynności wykonywano teraz szybko i składnie. Nie było niepotrzebnych ruchów ani zbędnych rozmów.

Silniki łodzi podwodnej zamruczały zdecydowanie i kilka razy zabrzmiał przenikliwy sygnał, oznaczający „cała załoga pod pokład”. W tym czasie łódź ruszyła naprzód, marynarze zniknęli z pokładu, a łódź, jakby tylko czekała na zamknięcie luków, zaczęła się zanurzać, rozbryzgując fontanny białej piany. Wąski, długi kadłub pokrył się wodą, działo zniknęło pod powierzchnią, wieżyczka obserwacyjna zanurzyła się, przecinając granat morza, a na koniec utonęły antena i peryskop, jakby chciały zatrzeć wszelkie ślady swojej bytności. Przez pewien czas gładką powierzchnię morza burzyły drobne fale, lecz wkrótce i one się uspokoiły i zostało tylko podejrzanie spokojne morze w letnie popołudnie.

Po zniknięciu łodzi podwodnej, równie bezsensownie nagłym jak jej pojawienie się, stłoczeni na pokładzie pasażerowie wpatrywali się nieporuszeni w powierzchnię morza. Nikt nawet nie zakaszał. Kapitan wkrótce przyszedł do siebie, wydał nawigato-

rowi rozkaz, ten przekazał go do maszynowni i wiekowy silnik ruszył powoli, jak pies kopnięty przez właściciela.

Załoga transportowca, wstrzymując oddech, przygotowała się na atak torpedą. Być może Amerykanie z jakiejś przyczyny zrezygnowali z ostrzeliwania, które zabiera dużo czasu, i zdecydowali się na szybkie i skuteczne torpedowanie. Statek płynął zygzakiem, a kapitan z nawigatorem na oślepiającej od blasku słońca powierzchni wody wypatrywali przez lornetki zwiastującej śmierć białej linii. Ale torpeda się nie pojawiła. Po upływie dwudziestu minut od zniknięcia łodzi podwodnej ludzie wreszcie uwolnili się od fatum śmierci, które nad nimi zawisło. Na początku byli niepewni, lecz niedługo nabrali wiary. Śmierć zajrzała im w oczy i się cofnęła. Kapitan też nie wiedział, dlaczego Amerykanie zrezygnowali z ataku. Co się mogło stać? (Potem dowiedział się, że na chwilę przed planowanym atakiem Amerykanie otrzymali z dowództwa rozkaz, by zaprzestać aktywnych działań wojennych, chyba że łódź stanie się obiektem ataku ze strony wroga. Czternastego sierpnia rząd Japonii powiadomił aliantów, że jest gotów przyjąć postanowienia konferencji poczdamskiej i złożyć bezwarunkową kapitulację). Niektórzy pasażerowie usiedli tam, gdzie stali, i zaczęli głośno płakać z wielkiej ulgi, ale większość nie mogła ani się śmiać, ani płakać. Przez wiele godzin, a nawet przez kilka dni pozostali w stanie osłupienia. Do ich płuc, serc, kręgosłupów, mózgow i macic dostały się długie zakręcone ciernie koszmaru i długo nie mogli ich wydobyć.

W tym czasie mała Gałka Akasaka spała smacznie w ramionach matki. Spała bez przerwy przez ponad dwadzieścia godzin, jakby straciła przytomność. Na nic się zdało głośne wołanie i uderzanie w policzki. Spała tak głęboko, jakby zatonała na dnie oceanu. Oddychała coraz wolniej i jej puls też zwolnił. Nawet wyteżając słuch, nie dało się usłyszeć jej oddechu. Obudziła się nagle i bez uprzedzenia, gdy statek dopłynął do Sasebo. Jakby jakaś wielka siła przyciągnęła ją z powrotem na ten świat.

Dlatego nie widziała, jak amerykańska łódź podwodna zrezygnowała z ataku i zniknęła. Matka opowiedziała jej o tym ze szczegółami znacznie później.

Następnego dnia, szesnastego sierpnia po dziesiątej rano, transportowiec niepewnie zawinął do portu w Sasebo. Port był cichy, jak wymarły, i nikt nie witał statku. Nawet w okolicy znajdującej się niedaleko wejścia do portu pozycji obrony przeciwlotniczej nie było żywego ducha. Niemiłosierny letni żar cicho lał się na ziemię. Zdawało się, że cały świat pograżył się w głębokiej nieczułości. Ludzie na statku mieli złudzenie, że przez pomyłkę trafili do krainy zmarłych. Bez słów wpatrywali się w od lat niewidziany krajobraz ziemi ojczystej. W południe piętnastego sierpnia przez radio nadano oświadczenie cesarza o zakończeniu wojny. Siedem dni wcześniej Nagasaki zostało spalone i zrównane z ziemią wskutek wybuchu bomby atomowej. Iluzoryczne państwo Mandżukuo zostało w ciągu kilku dni pochłonięte przez ruchome piaski historii. A weterynarz ze znamieniem na policzku, który znalazł się w złej części drzwi obrotowych, niechętnie podzielił jego losy.

### **11. A teraz następna zagadka (punkt widzenia May Kasahary - 3)**

Dzień dobry, Panie Ptaku Nakręcaczu!

Czy zastanowił się Pan, gdzie jestem i co robię, tak jak prosiłam w ostatnim liście? Przyszło Panu coś do głowy?

Będę pisała, zakładając, że niczego się Pan nie domyślił, bo na pewno się Pan nie domyślił, prawda?

Nie będę więc zwracała dalej głowy i od razu Panu powiem.

Pracuję obecnie w „pewnej fabryce”. Jest to duża fabryka, położona w górach nad prowincjonalnym miasteczkiem, które z kolei znajduje się nad Morzem Japońskim. Powiedziałam „fabryka”, ale nie jest to supernowoczesna, „pasjonująca” fabryka, jaką Pan sobie pewnie wyobraził, z łomoczącymi maszynami, poruszającymi się pasami transmisyjnymi i kłębami dymu unos-

zającymi się z kominów. Jest duża, jasna i cicha. Nie ma żadnego dymu. Nie wyobrażałam sobie, że są na świecie takie przestronne fabryki. Poza tym widziałam w życiu tylko jedną fabrykę - fabrykę karmelków w Tokio, którą zwiedzaliśmy w czasie wycieczki w szkole podstawowej. Pamiętam, że był tam hałas, ścisk, wszyscy pracowali w milczeniu z ponurymi twarzami. Dlatego myślałam, że fabryka to miejsce przypominające podręcznikową ilustrację z podpisem „rewolucja przemysłowa”.

Pracują tu prawie wyłącznie dziewczyny. W nieco oddalonym budynku znajduje się laboratorium badawcze, gdzie nad rozwojem nowych produktów myślą nadęci mężczyźni w białych kitlach, ale stanowią bardzo niewielki procent pracowników, których większość to dziewczyny od kilkunastu do dwudziestu kilku lat. Siedemdziesiąt procent z nich tak jak ja mieszka w internacie na terenie fabryki. Ciężko jest dojeżdżać tu co dzień z miasteczka autobusem czy samochodem, poza tym internat jest bardzo przyjemny. Budynek jest nowy, wszystkie pokoje jednoosobowe, można sobie wybierać dowolne posiłki, które są wcale niezłe. Internat jest dobrze wyposażony i wcale dużo nie kosztuje. Jest podgrzewany basen, biblioteka, można się uczyć tradycyjnych sztuk - ceremonii herbacianej, ikebany, jeśli ktoś ma ochotę (ja na takie rzeczy nie mam), są też kluby sportowe. Dlatego nawet dziewczyny, które dojeżdżały do pracy z domu, ostatnio zaczęły się przenosić do internatu. Na weekend wracają do domów. Jedzą z rodziną obiady, chodzą do kina, na randki z chłopakiem. Dlatego w sobotę internat wygląda jak wymarły. Zdaje się, że nie ma tu zbyt wielu dziewczyn, które tak jak ja nie mają domu, gdzie mogą wrócić na weekend. Ale jak wcześniej Panu pisałam, lubię to „przestronne, puste” wrażenie pod koniec tygodnia. Czytam sobie cały dzień książki, słucham głośno muzyki, chodzę na spacer po górach albo - tak jak w tej chwili - siadam przy biurku i piszę list do Pana.

Wszystkie tutejsze dziewczyny to córki miejscowych rolników. Większość z nich - oczywiście nie wszystkie co do jednej -



jest zdrowa, dobrze zbudowana, wesoła i pracowita. W tych okolicach nie ma żadnych większych przedsiębiorstw, więc do niedawna po skończeniu szkoły średniej dziewczyny musiały jechać w poszukiwaniu pracy do dużych miast. Dlatego z miasteczka zniknęły młode kobiety, mężczyźni nie mogli sobie znaleźć żon i to jeszcze bardziej sprzyjało wyludnieniu. W rezultacie miasteczko przeznaczyło duży obszar na teren przemysłowy, zaoferowało go przedsiębiorstwom i zwabiło tu tę fabrykę, dzięki czemu dziewczyny nie muszą już wyjeżdżać z miasteczka i zostają. Wydaje mi się, że to był bardzo dobry pomysł. Przecież niektóre nawet przyjeżdżają tu specjalnie z daleka, tak jak ja. Kończą szkołę (choć są tu też dziewczyny, które tak jak ja przerwały naukę), zaczynają pracę w fabryce, oszczędzają skrzętnie, a kiedy osiągną odpowiedni wiek, wychodzą za mąż, odchodzą z pracy, rodzą dwoje lub troje dzieci i jak na komendę wszystkie tyją jak morsy. Oczywiście jest tu też trochę kobiet, które pracują nawet po zamążpójściu, ale większość po ślubie rzuca pracę.

Czy teraz potrafi Pan sobie trochę wyobrazić to miejsce?

A teraz następną zagadką: co jest produkowane w tej fabryce?

Wskazówka: kiedyś razem pracowaliśmy w związku z „tym”. Pojechaliśmy do Ginzy i przeprowadzaliśmy badania rynkowe, prawda?

Teraz to chyba nawet Pan się domyślił. Tak, ma Pan rację. Pracuję w fabryce peruk. Zdziwiło to Pana?

jak wcześniej pisałam, po pół roku uciekałam z tej strasznej ekskluzywnej szkoły-więzienia na prowincji i włóczyłam się leniwie po domu jak pies ze skaleczoną łapą, gdy nagle przypomniałam sobie o firmie produkującej peruki. Przypomniałam sobie, jak jeden z kierowników mówił kiedyś pół żartem: „W fabryce brakuje nam rąk do pracy, jeśli chciałabyś pracować, miejsce zawsze się znajdzie”. Pokazali mi kiedyś wspaniały folder o fabryce, która prezentowała się bardzo dobrze, i pomyślałam sobie wtedy, że nieźle byłoby popracować ciężko w takim miejs-

cu. Kierownik mówił, że dziewczyny zajmują się tam przymocowywaniem włosów do spodów peruk. Peruka to bardzo skomplikowana i szczególna rzecz, a nie aluminiowy garnek, który można zrobić szybko i maszynowo. Żeby zrobić perukę w dobrym gatunku, trzeba powoli starannie igłą przymocować prawdziwe włosy kępka po kępce. Nie robi się Panu słabo na samą myśl? Jak Pan sądzi, ile mniej więcej ma się włosów na głowie? Setki tysięcy. I tyle ich trzeba ręcznie umocować, jakby człowiek sadił rządki ryżu na polu, rządkiem za rządkiem. Ale tutejsze dziewczyny na to nie narzekają. W tej okolicy są długie, śnieżne zimy, więc córki rolników od pokoleń przywykły do tego, że zimą zarabiają, wykonując jakieś żmudne, ręczne prace i wszystkie mówią, że taka praca ich nie męczy. Podobno dlatego firma perukarska postanowiła właśnie tutaj zbudować fabrykę.

Szczerze mówiąc, ja zawsze dość lubiłam taki rodzaj pracy. Pewnie wcale na to nie wyglądam, lecz umiem na przykład dobrze szyć. Nauczycielka zawsze mnie chwaliła. Nie wyglądam na to? Ale naprawdę tak jest. Dlatego nagle pomyślałam, że dobrze byłoby pożyć trochę, nie myśląc o niczym skomplikowanym, skupiając się na precyzyjnej pracy od rana do wieczora w jakiejś fabryce w górach. Miałam serdecznie dosyć szkoły, nie chciałam też lenić się i wiecznie siedzieć na głowie rodzicom (oni pewnie też tego nie chcieli), ale nie przychodziło mi do głowy nic, co „koniecznie chciałabym zrobić”. W końcu doszłam do wniosku, że muszę chyba przyjechać do tej fabryki i popracować.

Rodzice za mnie poręczyli, kierownik z Tokio też mnie polecił (polubili mnie dzięki tym zleceniom), przyjęto mnie bez kłopotów po rozmowie w głównej siedzibie firmy w Tokio. W tydzień później spakowałam się - tylko ubranie i radio z magnetofonem - i sama wsiadłam w shinkansen\*. Potem przesiadłam się w ciuchcie i dojechałam do tego podupadłego, malutkiego miasteczka. Miałam wrażenie, że znalazłam się po drugiej stronie ku-

---

\* Shinkansen - słynny japoński superekspres

li ziemskiej. Kiedy wysiadłam z pociągu, poczułam się strasznie samotna i pomyślałam, że zrobiłam okropny błąd. Ale wydaje mi się, że jednak się nie pomyliłam. Przecież żyję tu już spokojnie od pół roku, nie jestem niezadowolona, nie mam kłopotów.

Nie wiem, dlaczego zawsze interesowały mnie peruki. Może należałoby raczej powiedzieć, że zawsze mnie pociągały. Pociągały tak, jak niektórych chłopców pociągają motocykle. Robiąc w Tokio badania rynkowe, widziałam wielu łysych (albo ludzi z „przerzedzonymi włosami”, jak ich nazywa nasza firma) i dobitnie uświadomiłam sobie, że na świecie jest naprawdę wielu łysych (z przerzedzonymi włosami). Wcześniej sobie tego nie uświadamiałam. Osobiście nie odczuwam nic szczególnego w stosunku do łysych. Nie jest tak, że ich nie lubię albo lubię. Gdyby miał Pan rzadsze włosy niż teraz (a myślę, że niedługo będzie Pan miał rzadsze), mój stosunek do Pana wcale by się nie zmienił. Chyba już wcześniej to Panu mówiłam: na widok łysych odnoszę silne wrażenie „zużycia”. A to mnie strasznie, strasznie interesuje.

Słyszałam kiedyś, że w pewnym wieku (było to dziewiętnaście albo dwadzieścia lat) ludzie osiągają szczyt wzrostu, a potem ich ciała zaczynają niszczyć. Skoro tak, to wypadanie i przerzedzanie się włosów jest po prostu przejawem tego „zużycia” i nie ma w nim nic dziwnego. Można wręcz powiedzieć, że jest to naturalne i oczywiste. Jedyny problem to fakt, że na świecie jest wielu młodych łysych i wcale niełysiejących starych. Dlatego być może łysiejący uważają, że to niesprawiedliwe, bo przecież łysina strasznie rzuca się w oczy. Nawet ja rozumiem, jak się czują, chociaż problem łysienia mnie nie dotyczy.

Ponadto człowiek nie ma żadnego wpływu na to, ile włosów mu wypada. Czy wypada mu mniej czy więcej niż innym. Mój kierownik z czasów pracy na zlecenia powiedział, że w dziewięćdziesięciu procentach o łysieniu decyduje dziedziczność. Ludzie, którzy odziedziczyli po dziadku albo ojcu „gen łysienia”, prędzej czy później wyłysieją, choćby nie wiem jak się starali to

powstrzymać. W tym przypadku nie sprawdza się zasada, że „dla chcącego nie ma nic trudnego”. Kiedy gen w pewnej chwili wstanie i powie: „no dobra, zaczynamy” (nie wiem, co prawda, czy gen może wstać), włosy nie mają wyjścia i zaczynają wypadać. To jest naprawdę niesprawiedliwe. Nie uważa Pan? Ja myślę, że tak.

W każdym razie dowiedział się Pan, że codziennie ciężko i z oddaniem pracuję w fabryce peruk położonej daleko w górach. Dowiedział się Pan też, że jestem osobiście głęboko zainteresowana perukami jako takimi. Następnym razem zamierzam napisać Panu więcej o swojej pracy i życiu.

No to wszystko, na razie do widzenia.

## **12. Czy to jest prawdziwa łopata? (o tym, co zdarzyło się w środku nocy - 2)**

Chłopiec usnął głęboko i miał bardzo realny sen. Zdawał sobie sprawę, że to sen i to go trochę uspokoiło. Jeżeli wiem, że to sen, to znaczy, że tamto snem nie było. Tamto się niewątpliwie, naprawdę zdarzyło. Potrafię jedno i drugie od siebie odróżnić.

We śnie chłopiec wyszedł w nocy do pustego ogrodu i zaczął łopatą odkopywać dołek. Łopatę znalazł opartą o pień drzewa. Ponieważ dziwny wysoki mężczyzna dopiero ten dołek wykopał i zasypał go, odkopanie nie sprawiało trudności. Ale chłopiec miał tylko pięć lat, więc zadyszał się od samego podnoszenia ciężkiej łopaty. Do tego nie włożył butów i było mu strasznie zimno w stopy. Dysząc, kopał, aż ukazało się zawiniątko zakopane przez męczyznę.

Ptak nakręcacz już nie śpiewał. Nie było też śladu po człowieku, który wlaźł na sosnę. Wokoło panowała taka cisza, że aż dzwoniło w uszach. Musieli gdzieś zniknąć. To tylko sen, pomyślał chłopiec. Ptak nakręcacz i podobny do ojca człowiek, który wszedł na drzewo, byli tu naprawdę. Dlatego na pewno nie ma związku między rzeczywistością a snem. Ale to dziwne. We śnie odkopuję dołek, który został naprawdę zasypany. Skoro

tak, to jak należy oddzielić sen od jawy? Na przykład czy to jest prawdziwa łopata, czy łopata ze snu?

Im dłużej się zastanawiał, tym mniej rozumiał, więc zrezygnował z zastanawiania się i dalej kopał. Wkrótce łopata dotknęła zawiniątka.

Ostrożnie, by nie uszkodzić, chłopiec odsunął z niego ziemię. Ukląkł obok i ostrożnie wyjął je z dołka. Na niebie nie było ani jednej chmurki i księżyc w pełni bez przeszkód oblewał ziemię wilgotnym światłem. We śnie chłopiec o dziwo w ogóle się nie bał. Kierowała nim przede wszystkim wielka ciekawość. Otworzył zawiniątko i znalazł w środku ludzkie serce. Serce miało taki sam kształt i kolor, jak organ na ilustracji w atlasie. Było jeszcze świeże, żyło i ruszało się, jak porzucony noworodek. Z przeciętych tętnic nie płynęła krew, lecz mimo to mocno biło. Do uszu chłopca docierało głośnie stukanie. Był to odgłos jego własnego serca. Serca biły unisono silnie i donośnie, jakby o czymś rozmawiały.

Chłopiec wziął głęboki oddech i powiedział sobie surowo, że ani trochę się nie boi. To jest tylko zwykłe ludzkie serce, nie coś dziwnego. Jest przecież w atlasie. Każdy ma serce. On też ma. Spokojnymi ruchami zawinął serce z powrotem w płótno, włożył do dołka i za pomocą łopaty przysypał ziemią.

Potem udeptał grunt bosymi stopami, tak by nie było widać, że dołek został odkopany, i oparł łopatę o pień. Ziemia była zimna jak lód. Chłopiec włożył przez okno z powrotem do swego ciepłego, przytulnego pokoju. Nie chcąc pobrudzić prześcieradła, otrzepał nad koszem do śmieci ziemię ze stóp, położył się do łóżka i próbował zasnąć, lecz zorientował się, że w łóżku ktoś jest. Ktoś leżał w jego łóżku i spał, okryty kołdrą.

Chłopiec zezłościł się i energicznie odsunął kołdrę. Chciał zwołać do tego kogoś: „Hej, wstawaj, to moje łóżko!”, lecz nie mógł wydobyć głosu. W łóżku zobaczył siebie samego. To on leżał w łóżku i smacznie spał. Chłopiec zaniemówił i stał osłupiały. Jeżeli śpię już w łóżku, to gdzie ma spać ten ja? Dopiero te-

raz się przeraził. Przeszył go paraliżujący strach. Chciał głośno krzyknąć, wydać przenikliwy wrzask i obudzić śpiącego siebie, obudzić cały dom. Nie mógł jednak wydobyć głosu. Wysilał się, lecz z jego gardła nie wydostał się najmniejszy dźwięk. Położył rękę na ramieniu śpiącego siebie i zdecydowanie nim potrząsnął. Śpiący nie obudził się.

Nie mając wyboru, chłopiec zdjął sweter i odepchnawszy z całej siły śpiącego siebie, wcisnął się na skraj wąskiego łóżka. Musi jakoś zapewnić sobie tu miejsce, inaczej może zostać z tego świata wyrzucony. Leżał niewygodnie ściśnięty i nie miał nawet poduszki, lecz kiedy znalazł się w łóżku, ogarnęła go straszliwa senność i nie mógł już o niczym myśleć. W następnej chwili zapadł w sen.

Kiedy obudził się następnego ranka, leżał sam na środku łóżka. Poduszkę miał jak zwykle pod głową. Obok nikogo nie było. Podniósł się powoli i rozejrzał po pokoju. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. To samo biurko, ta sama komoda, ta sama szafa, ta sama lampa. Zegar ścienny wskazywał szóstą dwadzieścia. Lecz chłopiec wiedział, że coś jest nie tak. Choć wygląda tak samo, nie jest to to samo miejsce, w którym wczoraj usnął. Powietrze, światło, dźwięki, zapachy są nieco inne niż zwykle. Inni by się nie zorientowali, lecz on wiedział. Odsunął kołdrę i przyjrzał się własnemu ciału. Poruszył kolejno palcami. Ruszały się normalnie. Nogi też się ruszały. Nie czuł bólu ani swędzenia. Wstał z łóżka i poszedł do toalety. Zrobił siusiu, a potem przyjrzał się sobie w lustrze. Zdjął górę od piżamy, wszedł na krzesło i obejrzał w lustrze swe drobne białe ciało. Nie dostrzegł nic niezwykłego.

A jednak coś było nie tak. Zdawało mu się, że został włożony w inne opakowanie. Wiedział, że jeszcze nie przywykł do tego nowego ciała. Czuł, że jest w nim coś, co nie pasuje do jego dawnej osoby. Nagle się przestraszył i chciał zawołać „mamo!”, lecz słowo to uwięzło mu w gardle. Struny głosowe nie mogły wywołać drgań powietrza. Jakby słowo „mama” zostało starte z

powierzchni ziemi. Wkrótce zorientował się, że zniknęło coś innego.

### **13. Tajemnicza kuracja pani M.**

ŚWIAT ARTYSTYCZNY ZARAŻONY OKULTYZMEM  
(Miesięcznik..., numer grudniowy)

... i tak w świecie artystycznym zapanowała moda na uzdrawianie okultyzmem. Wiadomości przekazywane są z ust do ust, słyszy się też o powstawaniu tajemniczych stowarzyszeń. Weźmy aktorkę, panią M. Ma trzydzieści trzy lata, dziesięć lat temu stała się znana dzięki drugoplanowej roli w serialu telewizyjnym. Od tego czasu grała główne role w filmach kinowych i telewizyjnych, a sześć lat temu wyszła za młodego biznesmena, zarządzającego jedną z czołowych firm deweloperskich. Podobno przez pierwsze dwa lata w małżeństwie nie było żadnych problemów. Jemu praca szła dobrze, a ona też robiła zupełnie przyzwoitą karierę jako aktorka. Potem jednak diner club i butik, które mąż otworzył na jej nazwisko w Roppongi i które niezbyt dobrze sobie radziły, wystawiły czeki bez pokrycia. Spłatenie długów spadło na nią jako na nominalną właścicielkę. Pani M. od początku nie miała ochoty prowadzić tych placówek, ale mąż, pragnący rozwinąć działalność, z trudem ją przekonał. Według jednej teorii został przez kogoś wrobiony w oszustwo. Do tego podobno stosunki pani M. z teściami były od dawna bardzo złe.

Powstałe w związku z tym tarcia między małżonkami stały się tematem plotek i wkrótce doszło do separacji. Potem w sądzie polubownym ustalono sprawę spłaty długów i po dwóch latach doszło do oficjalnego rozwodu za porozumieniem stron. Wkrótce pani M. zaczęła popadać w depresje i praktycznie wycofała się z życia publicznego, ponieważ musiała leczyć się w szpitalu. Według pracownika wytwórni filmowej, znajomego pani M., po rozwodzie miewała okresowo stany maniakalne i zniszczyła sobie zdrowie lekami na uspokojenie. Przez pewien

czas mówiono nawet, że skończyła się jako aktorka. „Straciła umiejętność koncentracji potrzebną do gry, strasznie zbrzydła. Ponieważ była z natury odpowiedzialna, zamartwiała się tym, a to jeszcze pogorszyło jej stan psychiczny. Uratowało ją to, że w wyniku rozwodu była w niezłej sytuacji finansowej i nie musiała pracować na utrzymanie”.

Pani M. jest daleką krewną małżonki pewnego słynnego polityka, który był kiedyś ministrem. Starsza krewna kocha ją jak córkę i dwa lata temu przedstawiła jej pewną kobietę, która podobno uzdrawiała bardzo ograniczoną grupę osób ze śmietanki towarzyskiej jakąś spirytualistyczną metodą. Z polecenia wyżej wspomnianej żony polityka pani M. przez rok chodziła regularnie na leczenie depresji do tej kobiety, lecz nie wiadomo, jak to leczenie konkretnie wyglądało. Pani M. milczy na ten temat jak zakłęta. W każdym razie wskutek kuracji stan pani M. niewątpliwie się poprawił. Wkrótce przestała przyjmować leki na uspokojenie. W rezultacie przeszło jej obrzmienie ciała, włosy odrosły i wróciła dawna uroda. Jej stan psychiczny także się polepszył i znowu zaczęła pracować jako aktorka. Wtedy przestała chodzić do uzdrowicielki.

Jednak w październiku tego roku, kiedy wspomnienie koszmaru zaczęło się zacierać, pani M. znowu odkryła u siebie dawne objawy. Na nieszczęście, za kilka dni zaczynała ważną rolę i musiała się lepiej poczuć, żeby móc ją zagrać. Postanowiła więc skontaktować się z ową kobietą i poprosić o ponowne „leczenie”. Okazało się jednak, że kobieta już się tym nie zajmuje. „Bardzo mi przykro, ale nie mogę pani pomóc. Nie mam już umiejętności ani siły. Jeżeli przyrzeknie pani, że zachowa tajemnicę, mogę pani kogoś przedstawić. Ale jeżeli piśnie pani o tym choć słowo, będzie pani miała kłopoty. Rozumie pani?” - powiedziała.

Podobno pani M. została zaprowadzona do mężczyzny, który miał na twarzy sine znamię. Był około trzydziestki i przez cały czas ani słowem się nie odezwał. Ponoć efekt kuracji okazał się



„tak rewelacyjny, że aż nie chciało się wierzyć”. Pani M. nie powiedziała, ile wtedy zapłaciła, ale przypuszcza się, że „opłata za konsultację” była niemała.

Taka jest historia zagadkowej kuracji, którą pani M. opowiedziała „bardzo bliskiej” osobie. W jednym z „hotelu w centrum” spotkała się z młodym człowiekiem, który był jej przewodnikiem. Na podziemnym parkingu do wyłącznego użytku VIP-ów wsiadła do „dużego, czarnego samochodu” i gdzieś pojechała, lecz nie udało nam się dowiedzieć prawdy na temat kuracji, która się tam odbyła. Pani M. powiedziała: „Ci ludzie dysponują potężną siłą i powiedzieli, że będę miała kłopoty, jeśli złamię obietnicę”.

Pani M. była tam tylko raz i od tego czasu nie ma ataków. Zwróciliśmy się bezpośrednio do pani M. z prośbą o informacje o tajemniczej kobiecie i o samej kuracji, lecz tak jak się spodziewaliśmy, odmówiła nam. Osoba dobrze poinformowana twierdzi, że ta „organizacja” unika kręgów artystycznych i działa raczej w bardziej dyskretnym świecie polityki i finansów. Na razie nie mamy więcej informacji o jej działaniu w świecie artystycznym. (...)

#### **14. O człowieku, który czekał, o tym, czego nie można strząsnąć, i o tym, że nikt nie jest samotną wyspą**

Kiedy mija ósma i na dworze robi się zupełnie ciemno, cicho otwieram tylną furtkę i wychodzę na uliczkę. Drzwiczki są tak małe i niskie, że muszę się przez nie przeciskać. W róg ogrodzenia zręcznie wbudowano ukrytą furtkę, mającą mniej niż metr wysokości. Z zewnątrz jest całkowicie zakamuflowana i niewidoczna. Uliczka jak zwykle wyłania się z ciemności oświetlona zimnym, białym światłem lampy rtęciowej z ogrodu May Kasahary.

Szybko zamykam furtkę i w pośpiechu podążam uliczką. Mijam tyły domów z ich salonami i pokojami stołowymi, przez ogrodzenia dostrzegam postacie ludzi jedzących kolację i oglądaj-

ących seriale. Z okien i wentylatorów napływają zapachy różnych potraw. Widzę nastolatka ćwiczącego szybki pasaż na gitarze elektrycznej z wyłączonym dźwiękiem. W oknie drugiego piętra dostrzegam poważną twarz małej dziewczynki uczącej się przy biurku. Słyszę głosy wzniesione w małżeńskiej kłótni i głośny płacz niemowlęcia. Gdzieś dzwoni telefon. Rzeczywistość w postaci dźwięków, zapachów, obrazów, pragnień i odpowiedzi wlewa się i wypełnia uliczkę, jak woda lejąca się bez przerwy do jakiegoś naczynia.

Włożyłem tenisówki, by stłumić dźwięk kroków. Nie mogę iść zbyt szybko ani zbyt wolno. Najważniejsze, by niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi, by niepotrzebnie nie wpaść na mój ślad „rzeczywistość”, która przepelnia uliczkę. Pamiętam wszystkie zakręty, wszystkie przeszkody. Mogę przejść tędy w ciemności, o nic się nie potykając. Wkrótce docieram na tyły swojego domu, zatrzymuję się, rozglądam dookoła, a potem przechodzę przez niskie ogrodzenie.

Dom czai się przede mną w cichym mroku jak olbrzymia skorupa jakiegoś zwierzęcia. Otwieram kluczem kuchenne drzwi, zapalam światło, zmieniam wodę w kociołku w kofe. Potem zdejmuję z półki puszkę jedzenia dla kotów i ją otwieram. Na ten dźwięk pojawia się skądś Łosoś. Ociera się parę razy o moje nogi i zaczyna jeść z apetytem. W tym czasie wyjmuję z lodówki schłodzone piwo. Kolację zawsze przygotowuje mi Cynamon w „willi”, więc w domu zazwyczaj nie jem, czasem tylko robię sobie prostą sałatkę albo zjadam plasterek sera. Pijąc piwo, biorę kota na kolana i przytulam, ciesząc się jego ciepłem i miękkością. Spędziliśmy ten dzień osobno i teraz cieszymy się z powrotu do domu.

Lecz kiedy dziś po wejściu do domu zdjąłem buty i wyciągnąłem rękę, by jak zawsze zapalić światło w kuchni, nagle poczułem czyjaś obecność. W ciemnościach zatrzymałem rękę, wytężyłem słuch i cicho wciągnąłem przez nos powietrze. Nic nie słysząc, ale czuć lekko zapach papierosa. Zdaje się, że jest tu

ktos oprócz mnie. Czekał na mój powrót. I pewnie niedawno nie mógł już wytrzymać i zapalił sobie. Przypuszczalnie otworzył okno i zaciągnął się tylko raz czy dwa, wydmuchując dym na zewnątrz, ale i tak zapach pozostał. Prawdopodobnie nie znam tego człowieka. Dom był zamknięty, do tego nikt z moich znajomych poza Gałką nie pali. Poza tym gdyby Gałka chciała się ze mną spotkać, nie czekałaby na mnie w ciemności. Moja ręka odruchowo szuka po omacku kija baseballowego, lecz kija już tu nie ma. Jest teraz na dnie studni. Serce zaczyna mi bić nienaturalnie głośno. Zdaje się, że wyrwało mi się z piersi i unosi się gdzieś w powietrzu w okolicy uszu. Biorę głęboki oddech. Pewnie kij nie będzie potrzebny. Gdyby ten ktoś chciał mi zrobić krzywdę, nie czekałby sobie spokojnie w głębi domu. Czuję straszne mrowienie w dłoniach pragnących chwycić kij. Pojawił się skądś kot i jak zawsze miaucząc, otarł się głową o moje nogi, lecz nie sprawiał wrażenia tak głodnego jak zawsze. Poznałem to po jego miauczeniu. Wyciągnąłem rękę i zapaliłem światło.

- Przepraszam, przed chwilą dałem kotu jeść - powiedział puufale mężczyzna siedzący na kanapie w dużym pokoju. - Długo tu na pana czekałem, a on tak głośno miauczał i ocierał mi się o nogi, więc wzięłem z półki puszkę i nakarmiłem go. Szczerze mówiąc, nie przepadam za kotami.

Nawet nie próbował wstać z kanapy. Przyglądałem mu się w milczeniu.

- Zdziwił się pan pewnie, że tak sobie wszedłem i po cichu na pana czekałem, co? Naprawdę przepraszam. Ale gdybym siedział przy zapalonym świetle, ostrzegłoby to pana i może by pan nie wszedł, prawda? Dlatego czekałem w ciemnościach. Nie zrobię panu żadnej krzywdy, więc proszę nie robić takiej strasznej miny. Chciałem tylko trochę z panem porozmawiać.

Był to niski mężczyzna w garniturze. Nie mogłem dokładnie ocenić jego wzrostu, ponieważ siedział, ale miał nie więcej niż metr pięćdziesiąt. Mógł mieć od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu lat, był rozlazły jak ropucha i łysy. „Sosna” w klasyfika-

cji May Kasahary. Nad uszami desperacko trzymały się jeszcze czarne kępkki włosów, lecz ich dziwny kształt tylko podkreślał łysinę. Miał duży nos. Nie wiem, czy był zatkany, ale przy oddychaniu wydawał dźwięki jak miech, rozdymał się i kurczył. Siedziały na nim grube okulary w złotych oprawkach. Gdy mężczyzna mówił, górna warga się wywijala i odsłaniała poślizkłe od papierosów, nierówne zęby. Był to niewątpliwie jeden z najbrzydszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Nie chodziło tylko o jego wygląd. Miał w sobie coś obleśnego, obrzydliwego, co trudno opisać słowami. Był wstrętny, tak jak wstrętny jest wielki nieznanym owad, którego niechcący dotknie się w ciemności. Przypominał raczej postać z dawno zapomnianego złego snu niż żywego człowieka.

- Przepraszam, czy mogę zapalić? - zapytał. - Już od dawna się powstrzymuję, ale kiedy tak siedziałem i czekałem, trudno mi było wytrzymać. Papierosy to zły nawyk.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc w milczeniu skinąłem głową. Mężczyzna o dziwnej aparycji wyjął z kieszeni marynarki papierosy bez filtra, włożył jednego do ust i zapalił, głośno pocierając zapałkę. Potem podniósł z ziemi puszkę po kocim jedzeniu i wrzucił do niej zapałkę. Wyglądało na to, że używał jej jako popielniczki. Palił ze smakiem, marszcząc grube krzaczaste brwi. Wydał nawet cichy, pełen zadowolenia pomruk. Zaciągnął się głęboko, a czubek papierosa zajarzył się mocną czerwienią jak węgielek. Otworzyłem szklane drzwi prowadzące na werandę i wpuściłem do pokoju trochę powietrza. Na dworze jeszcze cicho padał deszcz. Nie było go widać ani słyhać, ale po zapachu można było poznać, że pada.

Mężczyzna ubrany był w brązowy garnitur, białą koszulę i brudnoczerwony krawat. Wszystko wyglądało na bardzo tanie, znoszone do ostateczności i zniszczone. Brąz garnituru przypominał kolor pomalowanego niefachowo i byle jak starego gruchota. Spodnie i marynarka były tak wymięte, że wyglądały jak zdjecie rzeźby terenu zrobione z samolotu. Zmarszczki nie mo-

gły już pewnie być usunięte. Biała koszula cała lekko pożółkła, jeden z guzików na piersi zaraz odpadnie. Poza tym była chyba o rozmiar albo dwa za mała, górny guzik był rozpięty i kołnierzyk niechlujnie zwisał.

Bezkształtny krawat w przedziwny wzorek przypominający ektoplazmę wyglądał, jakby został zawiązany w zamierzchłych czasach Osmond Brothers i nigdy nierozwiązywany. Na pierwszy rzut oka było jasne, że ten człowiek nie przywiązuje żadnej wagi do ubrania. W coś trzeba się do ludzi ubrać, więc nie ma rady, ubiera się. Czulo się w tym nieomal złą wolę. Być może ma zamiar codziennie nosić to ubranie, aż pewnego dnia rozpruje się i rozleci na strzępy. Jak chłop z gór, który goni osła do pracy od rana do wieczora, aż zwierzę padnie.

Kiedy nabrał w płuca potrzebną ilość nikotyny, westchnął z ulgą, a na jego twarzy pojawiło się coś dziwnego pomiędzy uśmiechem a grymasem. Potem zaczął mówić.

- Oj, zapomniałem się przedstawić. Przepraszam, przepraszam. Nazywam się Ushikawa. „Ushi” jak krowa i „kawa” jak rzeka. Łatwo zapamiętać, prawda? Wszyscy mówią na mnie Ushi, czyli Krowa. „Hej, Krowa!” - wołają. Kiedy tak mnie nazywają, o dziwo, zaczynam się czuć jak prawdziwa krowa. Widzę gdzieś krowę i czuję nawet, że coś nas łączy. Nazwisko to dziwna rzecz, nie uważa pan? Pan ma bardzo dobre, proste nazwisko. Ja też czasem myślę, że chciałbym mieć takie normalne nazwisko. Ale niestety nie można sobie wybrać nazwiska. Jak się człowiek urodzi jako Ushikawa, to czy mu się to podoba czy nie, Ushikawa pozostanie. Przez to od podstawówki do dziś zawsze przezywają mnie Krowa. Nie ma rady. Każdy wołałby Krowa na człowieka z takim nazwiskiem, prawda? Mówi się, że nazwisko opisuje człowieka, ale chyba raczej człowiek upodabnia się do nazwiska. Tak mi się wydaje. No, w każdym razie proszę zapamiętać, że nazywam się Ushikawa. Jeżeli pan chce, może pan mnie nazywać Krową.

Poszedłem do kuchni, otworzyłem lodówkę, wyjąłem małą

butelkę piwa i wróciłem do pokoju. Nie zaproponowałem nic Ushikawie. Nie zapraszałem go do siebie. W milczeniu piłem piwo. On też się nie odzywał i napełniał płuca dymem papierosowym. Nie usiadłem naprzeciw niego, a stałem oparty o ścianę i patrzyłem na niego z góry. Wkrótce rozgniółł papierosa w puszcze po kocim jedzeniu i podniósł na mnie wzrok.

- Panie Okada, na pewno zastanawia się pan, dlaczego otworzyłem sobie drzwi i wszedłem tu bez pozwolenia, co? To dziwne, przecież wychodząc, zamknąłem drzwi na klucz, myśli pan. Tak, tak, rzeczywiście było zamknięte. Ale ja miałem klucz. Prawdziwy klucz. Proszę, niech pan spojrzy.

Włożył rękę do kieszeni marynarki, wyciągnął breloczek z kluczem i pokazał mi. Rzeczywiście zdawało się, że to klucz do mojego domu, ale zainteresował mnie breloczek, ponieważ był podobny do breloczka Kumiko \_ z zielonej skóry, z trochę nietypowym zamknięciem.

- To jest prawdziwy klucz. Jeżeli się pan przyjrzy, sam pan to pozna. A breloczek należy do pana żony. Nie chcę, żeby mnie pan źle zrozumiał, więc od razu powiem, że pana małżonka mi go dała. Pani Kumiko. Nie ukradłem ani nie zabrałem jej na siłę.

- Gdzie jest teraz Kumiko? - mój głos zabrzmiał dziwnie ni-enaturalnie.

Ushikawa zdjął okulary, przyjrzał im się, jakby sprawdzał, czy szkła są czyste, i z powrotem nałożył.

- Wiem, gdzie jest pana małżonka. Prawdę mówiąc, ja się jakby nią opiekuję.

- Opiekuje się pan Kumiko?

- Mówię, że się opiekuję, ale nie chodzi o taką opiekę, jak pan myśli. Proszę się nie martwić - powiedział ze śmiechem.

Kiedy się śmiał, jego twarz wykrzywiła się niesymetrycznie i okulary przechylały się ukośnie.

- Proszę tak groźnie na mnie nie patrzeć. Jednym z moich zadań jest pomaganie pani Kumiko. Kontaktuję się, załatwiam różne sprawy. Jestem tylko chłopcem na posyłki. Nie robię nic

wielkiego. Przecież małżonka nie może stamtąd wyjść. Wie pan o tym, prawda?

- Nie może wyjść? - powtórzyłem po nim znowu jak papuga.

Milczał przez chwilę i zwilżył wargi językiem.

- Nie, skoro pan nie wie, to mniejsza o to. Nie umiem panu wytłumaczyć, czy nie może wyjść, czy może nie chce. Pan pewnie chciałby wiedzieć takie rzeczy, ale proszę mnie o to nie pytać. Ja też nie znam dokładnie sytuacji. W każdym razie nie musi się pan martwić. Nie jest zamknięta wbrew swojej woli. To nie jest tak jak na filmie albo w powieści, w rzeczywistości się takie rzeczy nie zdarzają.

Ostrożnie postawiłem butelkę z piwem na podłodze.

- Właściwie w jakiej sprawie pan tu przyszedł?

Ushikawa kilka razy klepnął się dłońmi po kolanach i pokiwał głową.

- Oj, rzeczywiście, jeszcze o tym nie wspomniałem. Zacząłem się przedstawiać i zagapiłem się. No, żeby tak zapomnieć! To moja wada. Zawsze się niepotrzebnie rozgaduję i zapominam o tym, co ważne. Przez to często Popełniam głupstwa. Zapomniałem nadmienić, że pracuję dla brata pani Kumiko. Nazywam się Ushikawa. A prawda, już panu mówiłem, jak się nazywam. Facet zwany Krową. Jestem jakby sekretarzem brata pani Kumiko, pana Noboru Watai. Nie chodzi mi o to, że jestem jego sekretarzem w sprawach parlamentu. Do tego ma kogoś lepszego, kogoś odpowiedniego, innymi słowy są różne typy sekretarzy. Jest ich cała gama. Ja jestem raczej bliżej końca tej gamy. Gdyby porównać ich do duchów, to ja byłbym typem ducha najniższej klasy. Takim brudnym, nędznym, który czai się w toalecie albo w szafie. Ale nie mogę narzekać. Gdyby taki brzydał jak ja nonszalancko pchał się naprzód, popsułoby to publiczny wizerunek profesora Watai, uważanego za człowieka ze świeżym spojrzeniem, rzutkiego. Z publicznością musi się kontaktować ktoś z inteligentniejszą twarzą, ktoś wyrobiony. Gdyby wyszedł łysy starszawy karzeł i powiedział: „jestem sekretarzem pana Watai”,

ludzie pękliby ze śmiechu, prawda?

Milczałem.

- Dlatego zajmuję się dla profesora pracami, które są niewidoczne, niejako zakulisowe. Takimi, które nie wychodzą na widok publiczny. Jestem jak skrzypek pod balkonem. To moja specjalność. Tak jak na przykład sprawa pani Kumiko. Ale nie chcę, żeby pan pomyślał, że uważam zajmowanie się panią Kumiko za pracę poniżej swojej godności albo coś w tym rodzaju. Jeżeli tak pan mnie zrozumiał, to jest to wielkie nieporozumienie. Przecież pani Kumiko to jedyna ukochana siostra naszego profesora. Zajmowanie się nią to praca dająca dużą satysfakcję. Szczerze mówię. To chamstwo z mojej strony tak się dopraszać, ale czy przypadkiem nie poczęstowałby mnie pan piwem? Od gadania zaschło mi w gardle. Jeśli można, sam sobie przyniosę. Wiem, gdzie jest. Kiedy na pana czekałem, pozwoliłem sobie zerknąć do lodówki.

Skinąłem głową. Ushikawa wstał, poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął małą butelkę piwa. Potem znowu usiadł na kanapie i napił się z wielkim smakiem prosto z butelki. Wielka grdyka poruszała się nad węzłem krawata jak jakieś żyjątko.

- Wie pan, naprawdę nie ma to jak dobrze schłodzone piwo na koniec dnia. Niektórzy wybredni twierdzą, że zbyt zimne piwo jest niesmaczne, ale ja wcale tak nie myślę. Pierwsze piwo powinno być takie zimne, że prawie nie czuje człowiek smaku. Drugie rzeczywiście powinno być tylko lekko schłodzone, ale lubię, jak pierwsze jest jak lód. Tak, że prawie czuje się ból w skroniach. To tylko moje prywatne zdanie.

Stałem dalej oparty o ścianę i wypilem łyk piwa. Ushikawa zasnurował usta i rozejrzał się po pokoju.

- Ale wie pan co? Jak na to, że nie ma żony, ma pan tu ładnie posprzątane. Podziwiam pana. Wstyd powiedzieć, ale ja tak nie umiem. W domu mam straszny bałagan, śmietnik, jak w chlewie. Wanny nie myję już ponad rok. Zapomniałem powiedzieć, że moja żona też odeszła, pięć lat temu. Dlatego, jak to mówią,



rozumiem pana ból albo wiem, jak to jest. Choć w moim przypadku, w odróżnieniu od pana, to nic dziwnego, że żona ode mnie uciekła. Nie mogłem już być gorszym mężem. Dlatego nie mam prawa mieć pretensji. Podziwiam ją wręcz, że tak długo wytrzymała. Byłem beznadziejnym mężem. Jak się zezłościłem, biłem ją i dokuczałem jej. Nigdy nikogo innego nie biję, nie mogę. Jak pan widzi, jestem tchórzem. Mam tyle odwagi co pchła. Poza domem wszystkim się podlizywałem, a oni wołali na mnie: „Hej, Krowa!”. Choćby nie wiem, jak źle mnie traktowano, płaszczyłem się i nie narzekałem. „Ależ tak, oczywiście, ma pan rację”. Wracałem do domu i wyżywałem się za to na żonie. He, he, he. Co pan na to? Podłość, prawda? Sam zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie mogłem się powstrzymać. To było jak choroba. Łałem ją tak, że jej twarz zmieniała się nie do poznania. Nie tylko biłem, ale także popychałem i kopałem. Wylewałem na nią gorącą herbatę, rzucałem w nią czymś, robiłem różne rzeczy. Kiedy dzieci chciały mnie powstrzymać, przy okazji im też się dostawało. Małym dzieciom. Siedmio-, ośmioletnim. I to nie były klapsy, ja je naprawdę biłem. Byłem istnym diabłem. Nie mogłem się powstrzymać, choć chciałem. Nie mogłem się opanować. Myślałem, że już dość, że trzeba przestać, ale nie wiedziałem, jak przestać. Co pan na to? Straszne, co? I pięć lat temu zламаłem rękę pięcioletniej córce. Aż trzasnęło. W końcu żona nic już do mnie nie czuła, zabrała dwoje dzieci i odeszła. Od tego czasu nie widziałem ani żony, ani dzieci. Nie mam od nich żadnych wiadomości. Nie ma na to rady. To wszystko od początku do końca moja wina.

Milczałem. Kot podszedł i zamiauczał, domagając się pieszczot.

- Przepraszam, że tak pana zanudzam. Musi pan być zmęczony. Przecież przyszedłem tu w jakiejś sprawie, prawda? Tak, tak jest. Mam sprawę. Nie przyszedłem, żeby sobie z panem pogawędzić. Przyszedłem na polecenie profesora, pana Watai. Niech pan posłucha, powtórzę dokładnie, co mi powiedział.

Po pierwsze profesor jest gotów jeszcze raz przemyśleć kwestię pana i pani Kumiko. Innymi słowy, jeżeli obie strony będą sobie tego życzyły, możliwa jest naprawa stosunków i powrót do poprzedniego układu, on nie będzie się sprzeciwiał. Obecnie pani Kumiko nie ma takiego zamiaru, więc teraz i tak nie ma o czym mówić. Ale jeśli będzie się pan upierał, że nie chce pan rozwodu, że chce pan czekać, jemu to nie przeszkadza. Nie będzie nalegał na rozwód, tak jak przedtem. Dlatego jeżeli ma pan coś do przekazania pani Kumiko, może mnie pan wykorzystać jako przekaźnik. Czyli jest to odnowienie stosunków dyplomatycznych, propozycja zaprzestania ciągłego trykania się rogami. To jest pierwsza sprawa. Co pan na to?

Usiadłem na podłodze i pogłaskałem kota po głowie. Nie odzywałem się. Ushikawa przez chwilę też patrzył na kota. Potem znowu zaczął mówić.

- No tak. Nie może pan nic powiedzieć, dopóki nie usłyszysz pan wszystkiego do końca. Nie wie pan, co będzie dalej. Dobrze, powiem wszystko do końca. A więc druga sprawa. To jest troszeczkę kłopotliwe. Prawdę mówiąc, chodzi o artykuł o willi wisielców, który zamieszczono w pewnym tygodniku. Nie wiem, czy pan go czytał, ale to bardzo ciekawa lektura. Jest dobrze napisany. Posesja w eleganckiej, willowej części dzielnicy Setagaya, nad którą ciąży klątwa. W ostatnich latach wielu ludzi spotkała tam gwałtowna śmierć. Kim jest tajemnicza osoba, która ją kupiła? Co się odbywa za tym wysokim ogrodzeniem? Same zagadki.

Profesor Wataya przeczytał artykuł i nagle zdał sobie sprawę, że ta willa znajduje się bardzo niedaleko pana domu. Zaczęło go stopniowo nurtować, czy może istnieje jakiś związek między nią a panem. Dlatego trochę się podowiadawał - a właściwie to ja, Ushikawa do usług, na swych krótkich nóżkach pochodziłem i posprawdzałem. Pozwoliłem sobie powęszyć. Dowiedziałem się, że zgodnie z przewidywaniami czy też zgodnie z oczekiwaniami codziennie wychodzi pan tylnym wejściem i chodzi ulicz-

ką do tej willi. Jakkolwiek na to patrzeć, wygląda na to, że jest pan po uszy wplątany w to, co się tam odbywa. Muszę powiedzieć, że bardzo się zdziwiłem. Jednak profesor Wataya jest bardzo przenikliwy.

Jak dotąd ukazał się tylko jeden artykuł na ten temat, nie było dalszego ciągu. Ale niewykluczone, że to, co się teraz tli, wybuchnie płomieniami, bo to bardzo ciekawa historia. Szczerze mówiąc, profesor ma z tym mały dylemat. Gdyby nazwisko jego szwagra dostało się do mediów w związku z jakąś podejrzaną sprawą, profesor Wataya także mógłby zostać zamieszany w skandal. O profesorze dużo się teraz mówi, więc mass media od razu by się na to rzuciły. Do tego między nim a panem jest sprawa pani Kumi-ko i trochę skomplikowanych okoliczności. Może dojść do tego, że zaczną w tym grzebać, choć nie ma nic do ukrycia. Powiedziałem, że nie ma nic do ukrycia, ale przecież każdy ma jedną czy dwie rzeczy, które wolałby ukryć, prawda? Szczególnie jeśli chodzi o sprawy osobiste. Teraz jest bardzo ważny okres dla profesora jako polityka, musi postępować bardzo ostrożnie i właśnie o to chodzi. I dlatego chciałby ze swej strony zaproponować małą wymianę. Jeżeli pan zerwie wszelkie stosunki z tą „willą wisielców”, on poważnie zastanowi się nad uratowaniem waszego małżeństwa. Krótko mówiąc, o to chodzi. I co pan na to? Rozumie pan mniej więcej, o co chodzi?

- Chyba tak - odparłem.

- I co pan o tym myśli? O tym, co powiedziałem.

Zastanawiałem się przez chwilę, drapiąc kota pod brodą.

- Dlaczego Noboru Wataya pomyślał, że mogę mieć związek z tą willą? Dlaczego mu to przyszło do głowy?

Ushikawa znowu się roześmiał, strasznie wykrzywiając twarz. Zdawał się bardzo rozbawiony, lecz kiedy dobrze się przyjrzałem, oczy miał zimne, jak ze szkła. Wyjął z kieszeni wymięte pudełko papierosów i zapalił.

- Ach, panie Okada! Jak pan może mi zadawać takie trudne pytania? Powtarzam panu, że jestem tylko zwykłym chłopcem

na posyłki. Nie rozumiem skomplikowanych argumentów. Jestem jedynie nędznym gołębiem pocztowym. Przynoszę wiadomości i zanoszę odpowiedzi. Rozumie pan, prawda? Ale jedno mogę powiedzieć: on nie jest głupi. Naprawdę umie używać szarych komórek i ma jakiś szósty zmysł. Jest dużo potężniejszy, niż pan myśli. I ta jego siła rośnie z dnia na dzień. Trzeba mu to przyznać. Poza tym z różnych powodów pan za nim nie przepada. Mnie to nie dotyczy i wcale mi nie przeszkadza, ale na tym etapie to, czy się kogoś lubi czy nie, nie ma już znaczenia. Chciałbym, żeby pan to zrozumiał.

- Skoro Noboru Wataya jest taki potężny, to może chyba powstrzymać ten tygodnik przed pisaniem więcej na ten temat? To byłoby prostsze.

Ushikawa roześmiał się. Potem znowu długo i głęboko zaciągnął się dymem.

- Panie Okada, panie Okada. Niech pan nie mówi tak lekomyślnie. Proszę posłuchać. Żyjemy w wyjątkowo normalnym, demokratycznym kraju o nazwie Japonia. Prawda? Nie jest to jakiś reżim, w którym jak okiem sięgnąć ciągną się gaje bananowe i boiska do piłki nożnej. Wstrzymanie publikacji artykułu nie jest prostą sprawą nawet dla bardzo wpływowego polityka. To zbyt niebezpieczne. Zakładając nawet, że na górze wszystko jakoś by się udało załagodzić, ktoś i tak pozostałby niezadowolony. Wręcz przeciwnie, mogłoby to wzbudzić jeszcze większe zainteresowanie tą historią. To byłoby jak wsadzenie kija w mrowisko. Szczerze mówiąc, przy tego rodzaju historii nie opłaca się robić nic na siłę.

A do tego, tak między nami, możliwe, że w tę sprawę zamieszane są pewne nieprzyjemne osoby, o czym panu nic nie wiadomo. Jeżeli tak, wkrótce może się okazać, że dotyczy to nie tylko profesora, a wtedy wszystko może pójść innym torem. Czyli gdyby porównać to do leczenia zęba, na razie dentysta dotyka znieczulonego zęba i dlatego nikt specjalnie nie ma pretensji. Lecz niedługo świder dotrze do żywego nerwu, a wtedy ktoś

gdzieś podskoczy. Może się okazać, że ktoś jest naprawdę wściekły. Rozumie pan, o czym mówię? Nie chcę pana wcale straszyć, ale moim zdaniem jest pan nieświadomie po trochu wciągany w bardzo nieciekawą sytuację.

Zdawało się, że Ushikawa skończył wyłuszczenie swojej sprawy.

- Lepiej się wycofać, zanim mi się stanie krzywda? - zapytałem.

Ushikawa przytaknął.

- To jest jak granie w piłkę na autostradzie. Naprawdę niebezpieczne.

- Poza tym stanowi to kłopot dla Noboru Watai. Dlatego jeżeli się całkowicie wycofam, pozwoli mi się skontaktować z Kumiko.

Ushikawa znowu przytaknął.

- Tak, mniej więcej o to chodzi.

Wypiłem łyk piwa.

- Po pierwsze, ja sam sprowadzę z powrotem Kumiko - powiedziałem. - Za nic w świecie nie poproszę o pomoc Noboru Watai. Wcale nie musi mi pomagać. Istotnie, nie lubię tego człowieka. Ale tak jak pan powiedział, to nie jest kwestia tego, czy się kogoś lubi, czy nie. To coś bardziej podstawowego. Ja nie mogę zaakceptować jego istnienia. Dlatego nie będę z nim pertraktował. Proszę mu to przekazać. I proszę tu więcej samowolnie nie przychodzić. To jest w końcu mój dom, a nie hol hotelowy czy poczekalnia dworcowa.

Ushikawa zmrużył oczy i przyglądał mi się chwilę przez okulary. Jego oczy były nieruchome i nadal pozbawione emocji, co nie znaczyło, że nic nie wyrażały. Pojawiał się w nich jedynie krótkotrwały sztuczny wyraz dostosowany do sytuacji. Potem uniósł w powietrzu prawą dłoń, jakby sprawdzając, czy pada deszcz.

- Dobrze rozumiem, o co panu chodzi - powiedział. - Od początku obawiałem się, że tak łatwo nie pójdzie. Dlatego nie dziwi

mnie, że tak pan zareagował. Ja się w ogóle raczej niczemu nie dziwię. Rozumiem, co pan czuje i może lepiej, że sprawa jest jasna. Bez żadnego owijania w bawełnę, po prostu tak czy nie, jasno i zrozumiale. Gdyby dał mi pan niejasną, pokrętną odpowiedź, taką, w której nie wiadomo, co jest czarne, co białe, jako gołąb pocztowy miałbym trudności z jej rozgryzieniem i przekazaniem. Na tym świecie i tak już jest za dużo takich rzeczy. Nie to, żebym narzekał, ale każdy dzień jest jak rozwiązywanie zagadki Sfinksa. Taka praca nie jest dobra dla zdrowia. Nie może być dobra. Kiedy człowiek tak żyje, zanim się zorientuje, wypacza mu się charakter. Rozumie pan? Człowiek robi się podejrzliwy i zawsze szuka ukrytych znaczeń. Przestaje wierzyć w rzeczy proste i jasne. To naprawdę kłopot.

Ale dobrze, odpowiem profesorowi wprost. Tylko wie pan co? To się na tym nie skończy. Nawet jeżeli pan chciałby na tym zakończyć, tak łatwo nie pójdzie. I dlatego myślę, że znowu będę musiał pana odwiedzić. Dlatego przepraszam, że jestem brudny, mały i szpetny, ale czy mógłby się pan jakoś przyzwyczaić do mojego istnienia? Osobiście nic do pana nie mam. Naprawdę. Ale czy się to panu podoba czy nie, nie może się pan teraz mnie tak łatwo pozbyć. Wiem, że to dziwnie brzmi, lecz proszę tak o mnie myśleć. Następnym razem nie będę już taki nachalny i nie wejdę do pana bez pozwolenia. Tak jak pan mówi, to nie jest przyzwoite zachowanie. Padam na twarz i proszę o wybaczenie. Lecz tym razem nie miałem wyboru. Proszę to zrozumieć. Nie zawsze robię takie głupstwa. Bo chociaż tak wyglądam, jestem normalnym człowiekiem. Następnym razem zadzwonię najpierw jak normalny człowiek. Tak będzie dobrze, prawda? Zadzwonię dwa razy, rozłączę się i znów dwa dzwonki. Jeżeli dostanie pan taki telefon, proszę pomyśleć, że to znowu ten głupek Ushikawa, i niezawodnie odebrać. Dobrze? Proszę koniecznie odebrać. Inaczej będę zmuszony znowu tu wejść. Ja osobiście nie chciałbym tego robić, ale niestety muszę, ponieważ biorę pieniądze za to, że macham ogonem i biegam. Jeżeli

mam powiedziane „rób coś”, to robię, co mogę. Rozumie pan, prawda?

Nie odpowiedziałem. Ushikawa rozgniół w puszcze niedopakę i spojrzał na zegarek, jakby nagle sobie o czymś przypomniał.

- Ojej, ależ późno się zrobiło. Przepraszam za najście, za to, że sam tu wszedłem, rozgadałem się i jeszcze do tego wypilem panu piwo. Proszę wybaczyć. Jak panu mówiłem, jestem biednym człowiekiem, na którego nikt w domu nie czeka, więc jak czasem mogę z kimś porozmawiać, to nieumyślnie rozsiadam się wygodnie i gadam jak najęty. Żalodne, prawda? Dlatego lepiej nie żyć zbyt długo samotnie. Mówi się przecież, że nikt nie jest samotną wyspą. Albo że próżniaka diabeł kusi.

Strzeżnął z kolan nieistniejący kurz i powoli wstał.

- Nie musi mnie pan odprowadzać. W końcu sam przyszedłem, więc sam mogę wyjść. Zamknę drzwi na klucz. Być może niepotrzebnie się wtrącam, ale są na świecie sprawy, o których lepiej nie wiedzieć, choć o dziwo właśnie takich rzeczy ludzie bardzo pragną się dowiedzieć. To oczywiście tylko ogólnik... Pewnie jeszcze kiedyś się spotkamy. Cieszyłbym się, gdyby do tego czasu sytuacja się poprawiła. Dobranoc.

Deszcz padał cicho przez całą noc i ustał dopiero nad ranem, gdy zaczęło się rozwidniać, lecz pozostałe po tym człowieku dziwnie obrzydliwe wrażenie, smród papierosów bez filtra i wilgoć długo wypełniały dom.

## **15. O dziwnym języku migowym Cynamona i o muzycznej ofierze**

- Cynamon przestał mówić niedługo przed swoimi szóstymi urodzinami - opowiadała Gałka. - Akurat szedł do pierwszej klasy. W lutym tego roku nagle przestał się odzywać. Trudno w to uwierzyć, ale dopiero wieczorem zorientowaliśmy się, że przez cały dzień nie powiedział ani słowa. Nigdy nie był zbyt gadatliwy, ale i tak... Nagle zorientowaliśmy się, że od rana nie po-

wiedział ani słowa. Próbowaliśmy jakoś go zmusić do mówienia. Zagadywałam, potrząsałam nim, ale nic z tego. Milczał jak kamień. Nie wiedziałam nawet, czy nie może mówić, bo coś mu się stało, czy też sam postanowił się nie odzywać. Nadal tego nie wiem. Od tamtego czasu nie tylko nie mówi, ale przestał wydawać jakiegokolwiek dźwięki. Rozumie pan? Kiedy go coś bolało, nawet nie pisnął, nie śmiał się, kiedy go łaskotaliśmy. Gałka zabrała syna do kilku laryngologów, lecz nie znaleźli przyczyny jego milczenia. Zapewnili ją tylko, że nie jest to spowodowane żadną fizyczną wadą ani chorobą. Nie odkryli żadnych anomalii w jego organach głosowych. Cynamon normalnie odróżniał dźwięki, tylko po prostu nie mówił. - To raczej sprawa dla psychiatry - powiedzieli wszyscy zgodnie. Gałka zabrała Cynamona do znajomego psychiatry, lecz i on nie potrafił wyjaśnić przyczyny, dla której Cynamon milczał. Zbadał mu iloraz inteligencji i nie znalazł żadnych nieprawidłowości. Chłopiec miał dość wysoki iloraz inteligencji i nie miał problemów emocjonalnych. - Czy nie doznał jakiegoś niespodziewanego szoku? - zapytał lekarz Gałkę. - Proszę sobie dobrze przypomnieć. Czy nie był świadkiem czegoś nienormalnego, nie stał się ofiarą przemocy w rodzinie, nie zdarzyło się nic takiego? - Lecz Gałce nic nie przychodziło do głowy. Tego dnia syn jak zwykle zjadł kolację, jak zwykle z nią porozmawiał, jak zwykle poszedł do łóżka i spokojnie usnął. Następnego ranka pogrążył się w świecie milczenia. W rodzinie nie było problemów, dziecko rosło pod staranną opieką Gałki i jej matki. Nigdy go nikt nie uderzył. Lekarz powiedział, że w takim razie pozostaje tylko poczekać i poobserwować go. Jeżeli nie zna się przyczyny, niemożliwe jest leczenie. - Proszę go tu przyprowadzać raz w tygodniu. Być może niebawem poznamy przyczynę. Albo niedługo znowu zacznie mówić, tak jakby się obudził. Możemy tylko cierpliwie czekać. Rzeczywiście dziecko nie mówi, ale poza tym nie ma z nim żadnych konkretnych problemów... Długo czekali, lecz Cynamon nigdy nie wynurzył się z morza milczenia.



O dziewiątej otwiera się automatycznie brama i na teren posesji wjeżdża mercedes 500 SEL prowadzony przez Cynamona. Za tylną szybą wystaje antena telefonu, jak świeżo wyrosnięty czulek. Patrę na to spomiędzy żaluzji. Samochód wygląda jak wielka ryba wędrowna, która niczego się nie boi. Nowe, czarne opony bezszelestnie zakreślają na betonie łuk i zatrzymują się w wyznaczonym miejscu. Codziennie zakreślały ten sam łuk i zatrzymywały się dokładnie w tym samym miejscu. Różnice nie przekraczały pięciu centymetrów.

Piję świeżo zaparzoną kawę. Deszcz przestał padać, lecz niemo nadal pokrywają szare chmury, a ziemia jest ciemna, wilgotna i zimna. Ptaki przekrzykują się przenikliwie i fruwać niespokojnie, szukając robaków. Po chwili otwierają się drzwi po stronie kierowcy i wysiada Cynamon w okularach przeciwsłonecznych. Rozgląda się uważnie i upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, zdejmuje okulary i wkłada do wewnętrznej kieszeni marynarki. Zamyka drzwi samochodu. Dźwięk zamykających się szczelnie drzwi dużego mercedesa jest trochę inny niż we wszystkich innych samochodach. Dla mnie zwiastuje początek nowego dnia w „willi”.

Od rana myślałem o wczorajszej wizycie Ushikawy. Nie jestem pewien, czy powinienem powiedzieć Cynamonowi, że przyszedł jako posłaniec Noboru Watai i zażądał, bym wycofał się z tego, co tu się odbywa. W końcu Postanawiam nic nie mówić. Przynajmniej na razie. Ten problem musi zostać rozwiązany pomiędzy mną a Noboru Watayą. Nie chcę wciągać osób trzecich.

Cynamon jak zwykle ubrany jest w przepiękny garnitur. Wszystkie jego garnitury są dobrze uszyte, doskonale na nim leżą. Są raczej w stylu tradycyjnym, bynajmniej nie ekstrawaganckie, lecz gdy Cynamon je wkłada, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki młodnieją, jakby były ostatnim krzykiem mody.

Oczywiście codziennie nosi inny krawat dopasowany do garnituru, inną koszulę i inne buty. Pewnie matka wybrała to

wszystko i kupiła, jak miała w zwyczaju. Tak jak mercedes, którym jeździł, jego strój był nieskazitelny, buty nie miały ani jednej plamki. Każdego ranka na jego widok ogarniał mnie szczery podziw. Można wręcz powiedzieć, że ogarniało mnie wzruszenie. Jaki prawdziwy człowiek mógł się kryć w tym idealnym ciele?

Wyjął z bagażnika dwie papierowe torby wypełnione jedzeniem i innymi zakupami, wsadził je pod pachy i wszedł do domu. W jego rękach nawet te zwykłe torby z supermarketu stawały się eleganckie i artystyczne. Może znał jakiś specjalny sposób trzymania? A może to jest coś głębszego? Na mój widok twarz Cynamona rozjaśnia się uśmiechem. Ma piękny uśmiech. Zupełnie jakby po długim spacerze przez gęsty las wyszło się nagle na jasną polanę. Mówię „dzień dobry!”. „Dzień dobry!” - odpowiada. Poznają to po lekkim ruchu warg. Wyjmuje z toreb produkty i układa je starannie w lodówce, jak dziecko wypróbowujące świeżo nabytą wiedzę. Porządkuje inne zakupy i układa na półce. Potem pije kawę, którą zaparzyłem. Siedzimy naprzeciw siebie przy stole kuchennym. Tak jak dawno temu siadywaliśmy co rano z Kumiko.

W końcu w ogóle nie poszedł do szkoły - powiedziała Gałka. - Zwykła szkoła nie chciała przyjąć dziecka, które nie mówi, a mnie nie wydawało się słuszne posyłanie go do szkoły dla dzieci upośledzonych. Bez względu na to, jaka była przyczyna jego milczenia, niewątpliwie różniła się od powodów, dla których nie mówiły inne dzieci. Cynamon też wcale nie miał ochoty iść do szkoły. Czytał sobie spokojnie w domu książki, słuchał płyt z muzyką klasyczną, bawił się w ogródku z kundlem, którego wtedy mieliśmy, i takie życie najbardziej go cieszyło. Czasami chodziliśmy na spacer, ale nie lubił się spotykać z rówieśnikami z sąsiedztwa, więc nie nalegał na wychodzenie z domu.

Gałka nauczyła się języka migowego i tak na co dzień rozmawiała z Cynamonem. Kiedy nie mogli się tym sposobem porozumieć, pisała do niego kartki. Lecz pewnego dnia zorientowała

się, że rozumieją się prawie bez problemów nawet bez tych nieco okrężnych sposobów. Po drobnym ruchu albo zmianie wyrazu twarzy poznawała, o czym myśli Cynamon albo czego od niej chce. Wtedy przestała się martwić, że Cynamon nie mówi, ponieważ to wcale nie miało wpływu na psychiczne porozumienie między nią a synem. Oczywiście czasami zdarzały się niewygodne sytuacje spowodowane nieobecnością dźwięków, ale traktowała je tylko jako „niewygody”; dzięki nim jakoś ich porozumienia stała się nawet lepsza.

W przerwach między pracą uczyła go pisać i czytać, a także liczyć, choć właściwie nie potrzebowała go uczyć. Lubił czytać i sam nauczył się z książek potrzebnych rzeczy. Jej rola nie polegała więc na uczeniu, a raczej na znajdowaniu i podtykaniu mu odpowiednich lektur. Ponieważ lubił muzykę, chciał się uczyć gry na pianinie, ale po kilku miesiącach nauki gry u nauczyciela, przestał brać lekcje i za pomocą podręczników i taśm przyswoił sobie niezwykle jak na dziecko w tym wieku technikę gry. Lubił głównie Bacha i Mozarta, nie interesowali go kompozytorzy po okresie romantyzmu z wyjątkiem Poulenca i Bartoka. Przez pierwsze sześć lat pasjonował się muzyką i czytaniem książek. Kiedy osiągnął wiek gimnazjalny, jego zainteresowania zwróciły się w stronę nauki języków obcych. Najpierw nauczył się angielskiego, potem francuskiego. Po pół roku był w stanie czytać proste książki w obu językach. Oczywiście nie mówił nimi, ale jego celem nie była konwersacja, a czytanie. Potem polubił zabawianie się skomplikowanymi mechanizmami. Kupił sobie specjalistyczne narzędzia i budował radia, wzmacniacze, rozbiierał i naprawiał zegarki.

Ludzie z jego otoczenia - Cynamon stykał się praktycznie tylko z trzema osobami: Gałką, ojcem i babcią ze strony matki - całkowicie przywykli do tego, że nie mówi i nie uważali tego za coś nienaturalnego lub dziwnego. Po kilku latach Gałka przestała prowadzić syna do psychiatry. Cotygodniowe wizyty nie przynosiły żadnego efektu, a poza tym - jak sam lekarz powied-

ział - nic mu nie dolegało prócz tego, że nie mówił. W pewnym sensie był idealnym dzieckiem. Nie pamiętała, żeby kiedyś musiała mu coś kazać i nigdy nie musiała go karcnąć. Sam decydował o tym, co ma zrobić i robił to na swój własny, dogłębny sposób. Porównywanie Cynamona do innych dzieci nie miało żadnego sensu. Od czasu, gdy w wieku lat dwunastu stracił babcię (płakał wtedy bezgłośnie przez kilka dni), zajął się gotowaniem, praniem i sprzątaniami, podczas gdy Gałka w ciągu dnia pracowała. Po śmierci matki zamierzała zatrudnić gosposię, lecz Cynamon uparcie się temu sprzeciwiał. Nie zgadzał się na to, by do domu weszła obca osoba, nie chciał, by zachwiany został domowy porządek. W rezultacie wziął na siebie prawie całe prowadzenie domu i wszystkie prace domowe wykonywał wzorowo i systematycznie.

Cynamon rozmawiał ze mną, posługując się obiema rękami. Odziedziczył po matce szczupłe piękne dłonie. Palce były długie, lecz nie za długie. Jak dziesięć posłusznych zwierzątek poruszały się nieustannie przed jego twarzą, przekazując mi potrzebne wiadomości.

„Dziś o drugiej będzie jedna klientka. To wszystko. Do tego czasu jest wolne. Ja tu popracuję przez godzinę i pojedę. O drugiej wrócę razem z klientką. Według prognozy pogody cały dzień będzie zachmurzenie, więc myślę, że nie zaszkodzi panu na oczy, jeżeli nawet wejdzie pan do studni, zanim się ściemni”.

Tak jak mówiła Gałka, zrozumienie mowy jego palców nie nastęczało trudności. Nie znałem wcale języka migowego, lecz nie miałem kłopotu z nadążeniem za płynnymi i skomplikowanymi ruchami jego palców. Może te ruchy były tak wyrafinowane, że wystarczyło na nie spojrzeć, by zrozumieć ich mowę, tak samo jak bywa, że wzruszamy się na przedstawieniu w obcym języku. A może ja, mając zamiar podążać za ruchami palców, w rzeczywistości wcale na nie nie patrzyłem. Może były tylko ozdobną fasadą, a nieświadomie przyglądałem się czemuś innemu, znajdującemu się za nią. Każdego ranka, gdy rozmawia-

aliśmy, siedząc przy stole, próbowałem jakoś dostrzec te granice, ale nie udawało mi się. Nawet jeżeli przyjąć, że była tam jakaś linia graniczna, musiała się ciągle poruszać i zmieniać kształt.

Po zakończeniu naszej krótkiej rozmowy czy też po nadaniu wiadomości Cynamon zdejmował marynarkę, wieszał ją na wieszaku, wsuwał krawat pod koszulę i zabierał się do sprzątanania, a potem przyrządzał mi w kuchni coś do zjedzenia. W tym czasie słuchał muzyki z małej wieży. Przez tydzień była to ciągle taśma z muzyką sakralną Rossiniego, w innym tygodniu słuchał tylko koncertów Vivaldiego na instrumenty dęte. Słuchałem ich tyle razy, że nauczyłem się na pamięć.

Cynamon pracował z niezwykłą zręcznością, nie wykonując żadnych zbędnych ruchów. Na początku zaproponowałem, że mu pomogę, ale on tylko się uśmiechnął i pomachał odmownie ręką. Rzeczywiście, kiedy patrzyłem, jak pracuje, zdawało się, że wszystko pójdzie bardziej harmonijnie, jeżeli pozwolę mu zrobić to samemu. Od tego czasu, nie chcąc mu przeszkadzać w porannych porządkach, siadałem na kanapie w „przymierzalni” i czytałem książkę.

Dom nie był duży i wyposażono go jedynie w niezbędne meble. Ponieważ nikt tu naprawdę nie mieszkał, nie było brudu ani nieporządku, jednak Cynamon codziennie odkurzał caluteńką wilę, przecierał meble i półki, czyścił wszystkie szyby. Woskował stół. Wycierał żarówki. Odkładał wszystko na miejsce. Wkładał naczynia do szafek, ustawiał garnki podług wielkości. Układał równiutko obrusy i ścierki, przekręcał filiżanki do kawy, żeby wszystkie uszka były po tej samej stronie. Poprawiał mydło w mydelniczce i zmieniał ręczniki, choć wydawały się nieużywane. Zbierał śmieci z całego domu, zawiązywał worek i gdzieś wynosił. Ustawiał czas na zegarze zgodnie ze swoim zegarkiem (mogę się założyć, że różnica nie była większa niż trzy sekundy). Wszystko, co choć trochę odbiegało od należytego stanu, zostawało jego wykwintnymi i dokładnymi palcami przy-

wracane do porządku. Gdybym przesunął zegar na półce o dwa centymetry w lewo, następnego ranka Cynamon przesunąłby go o dwa centymetry w prawo.

Jednakże to zachowanie nie zdawało się wynikiem nerwicy, było naturalne i „prawidłowe”. Cynamon miał wryty w głowie jasny obraz tego, jak świat - a przynajmniej ten mały, istniejący tutaj świat - powinien wyglądać, i niewykluczone, że utrzymywanie go w tym stanie było dla niego równie naturalne jak oddychanie. Być może sądził, że trochę tylko pomaga przedmiotom, które czują immanentne pragnienie powrotu na swoje miejsce.

Cynamon wkłada do pojemników ugotowane potrawy, chowa je do lodówki i wskazuje mi, co mam zjeść na lunch. Dziękuję mu. Potem poprawia przed lustrem krawat, sprawdza koszulę, wkłada marynarkę. Uśmiecha się i mówi: „Do widzenia”, poruszając tylko wargami. Rozgląda się jeszcze raz dookoła i wychodzi. Wsiada do mercedesa, nastawia kasetę z muzyką klasyczną, otwiera zdalnie sterowaną bramę i wyjeżdża dokładnie po tym samym łuku, po którym wjechał. Samochód niknie i brama się znowu zamyka. Stoję z filiżanką kawy w dłoni i obserwuję to z za żaluzji.

Ptaki nie hałasują już tak jak przedtem. Nisko wiszące chmury zaczynają się rwać i widać, jak posuwają się, niesione wiatrem. Lecz nad niskimi chmurami unoszą się inne, gęste.

Siadam na krześle w kuchni, stawiam filiżankę na stole i rozglądam się po pięknie uporządkowanym pokoju, który wygląda jak wielka, trójwymiarowa martwa natura. Tylko zegar cicho odmierza czas. Wskazuje dwadzieścia po dziesiątej. Patrząc na puste krzesło Cynamona, zadaję sobie pytanie, czy dobrze postąpiłem, nie mówiąc im o wczorajszej wizycie Ushikawy. Czy postąpiłem właściwie? Czy nie zniszczę zaufania panującego między mną a Cynamonem, między mną a Gałką? Jednak wolałem poczekać i zobaczyć, co będzie dalej. Chcę zrozumieć, dla-

zego to, co robię, tak bardzo irytuje Noboru Watayę. Chcę wiedzieć, jak nadepnałem mu na odcisk i jakie konkretne środki podejmię, by temu przeciwdziałać. Być może dzięki temu uda mi się nieco zbliżyć do jego tajemnicy. I może będę mógł zbliżyć się trochę do miejsca pobytu Kumiko. Zanim wskazówki przesuniętego o dwa centymetry w prawo (a właściwie cofniętego na swoje miejsce) zegara wskazały jedenastą, wyszedłem do ogrodu, kierując się do studni.

Opowiedziałam małemu Cynamonowi o łodzi podwodnej i zoo. O tym, co widziałam z pokładu transportowca w sierpniu czterdziestego piątego roku. Podczas gdy amerykańska łódź podwodna skierowała lufę działa na nasz statek, zamierzając go zatopić, japońscy żołnierze chodzili po zoo, w którym pracował ojciec i strzelali do zwierząt. Długo nikomu o tym nie mówiłam i żyłam z tym sama. W milczeniu plątałam się po mrocznym labiryncie, który rozciągał się między tymi wizjami a prawdą. Ale kiedy Cynamon się urodził, pomyślałam, że tylko jemu jednemu mogłabym o tym opowiedzieć. Zanim jeszcze zaczął cokolwiek rozumieć, wiele, wiele razy opowiedziałam mu tę historię. Opowiadałam cichym głosem, ze szczegółami, i różne sceny stawały mi przed oczami tak żywe, jakby ktoś odsunął pokrywę i uwolnił je.

Kiedy Cynamon nauczył się trochę mówić, często prosił, żebym mu o tym opowiedziała. Powtarzałam tę historię ze sto, dwieście, może nawet pięćset razy. Ale nie tak po prostu powtarzałam. Za

każdym razem chciał usłyszeć inną małą opowieść zawartą w dużej opowieści. Chciał poznać wszystkie gałązki na dużym drzewie-Wiedzioną jego pytaniami, wodziłam palcami po tych gałązkach i opowiadałam ukryte w nich historie. I tak ta opowieść bardzo się rozrosła.

Był to jakby system mitów, który stworzyliśmy we dwoje. Rozumie pan? Codziennie rozmawialiśmy jak w transie. O imi-

onach zwierząt w zoo, o tym, jak lśniło ich futro, i jakiego koloru miały oczy, o różnych zapachach unoszących się w powietrzu, o imionach i wyglądzie każdego żołnierza, o tym, gdzie i jak się wychowali, o ciężarze karabinów i kul, o strachu i pragnieniach, które odczuwali, o kształcie chmur na niebie... Rozmawiając z Cynamonem, wyraźnie widziałam te barwy i kształty, ubierałam to, co widziałam, w słowa i przekazywałam. Znajdowałam właściwe określenia, idealnie je dobierałam. Opowieść nie miała końca, szczegółów przybywało, a ona pogłębiała się, rosła.

Uśmiechnęła się, jakby na wspomnienie tamtych czasów. Po raz pierwszy widziałem u niej taki naturalny uśmiech.

- Ale pewnego dnia nagle się to skończyło - powiedziała. - Od tego ranka w lutym, kiedy przestał mówić, przestał dzielić ze mną tę opowieść.

Przerwała i zapaliła papierosa.

- Teraz i ja rozumiem, co się stało. Jego słowa zostały pochłonięte w labiryncie świata opowieści i znikły. Coś, co wyszło z opowieści, odebrało mu mowę. A kilka lat później zabiło mojego męża.

Wiatr wzmógł się od rana, nieustannie niósł na wschód ciężkie szare chmury. Wyglądały jak milczący podróżni zmierzający na kraniec ziemi. Czasami wydawał krótki pozbawiony słów jęk, błędząc między bezlistnymi gałęziami w ogrodzie.

Stałem chwilę przy studni i patrzyłem na niebo. Pomyślałem, że być może gdzieś Kumiko tak samo patrzy na chmury. Nie wiedziałem, dlaczego tak mi się wydaje.

Schodzę po drabinie na dno studni, pociągam za sznur i zamykam pokrywę. Potem biorę kilka głębokich oddechów, ujmuję kij baseballowy, mocno ściskam go w dłoniach i po cichu siadam w mroku na ziemi. Panuje absolutna ciemność. Tak, to jest najważniejsze. Nieskalana ciemność jest kluczem do wszystkiego. Brzmi to jak jakiś program kulinarny, pomyślałem.



- Proszę posłuchać, drogie gospodynie. Absolutna ciemność jest najważniejsza. Dlatego proszę wybrać jak najgęstszą, całkowitą ciemność. I do tego jak najtwardszy kij, dodaję w myślach. Potem lekko się uśmiecham.

Czuję, jak rozgrzewa się znamię na policzku. Po trochu zbliżam się do sedna. Znamię daje mi o tym znać. Zamykam oczy. W uszach mam ciągle melodię, której słuchał dziś na okrągło Cynamon. Była to Ofiara muzyczna Bacha. Dźwięczy mi w uszach, jak szmer rozmów w wysokim pomieszczeniu, lecz wkrótce nadchodzi milczenie i wpełza pomiędzy fałdy mego mózgu, jak owad, który znosi jajka. Przechodzi od jednej do drugiej. Otwieram oczy i znów zamykam. Ciemności się mieszają i powoli wydostają się z powłoki własnego ciała.

Jak zawsze.

## **16. Być może to ślepa uliczka (punkt widzenia May Kasahary - 4)**

Dzień dobry, Panie Ptaku Nakręcaczu!

Ostatnio napisałam Panu, jak doszło do tego, że pracuję w położonej daleko w górach fabryce peruk wraz z wieloma tutejszymi dziewczynami. Teraz będzie ciąg dalszy.

Ostatnio przychodzi mi do głowy, że to trochę dziwne, że ludzie tak ciężko pracują od rana do wieczora. Myślał Pan kiedyś o tym? Nie jestem pewna, jak wytłumaczyć, o co mi chodzi. Moja praca polega na tym, że robię tylko to, co każe mi przełożony i dokładnie tak, jak mi każe. Nie muszę myśleć. Mogłabym zostawić mózg w szafce przed rozpoczęciem pracy i odebrać go, wracając do domu. Przez siedem godzin dziennie siedzę przy stanowisku i pracowicie przymocowuję włosy do spodu peruki, potem zjadam w stołówce obiad, biorę kąpiel i oczywiście muszę iść spać, jak zwykły człowiek, toteż w ciągu dwudziestu czterech godzin mam naprawdę tylko odrobinę czasu dla siebie. Ale nawet w czasie tego „czasu wolnego” jestem dosyć zmęczona, więc często tylko leżę bezmyślnie i praktycznie nie mam kiedy

spokojnie zastanowić się nad czymkolwiek. Oczywiście w weekend nie muszę pracować, ale trzeba zrobić całe pranie i sprzątanie, czasem jadę też do miasteczka i zanim się zorientuję, jest po weekendzie. Raz postanowiłam pisać pamiętnik, ale nie miałam o czym pisać i w końcu po tygodniu zrezygnowałam. Przecież dzień po dniu robię dokładnie to samo.

A mimo to, mimo to zupełnie mnie nie denerwuje fakt, że utożsamiam się z pracą, którą wykonuję. Nie jest to nieprzyjemne. Wydaje mi się nawet, że dzięki tej mrówczej pracy w pełnym skupieniu powoli zbliżam się do „prawdziwej siebie”. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale chodzi o to, że nie myśląc o sobie, zbliżam się do sedna swojej istoty. Właśnie to miałam na myśli, mówiąc, że to „trochę dziwne”.

Pracuję tu ze wszystkich sił. Nie chwale się, ale dostałam nawet nagrodę dla najlepszej pracownicy miesiąca. Mówiłam Panu, że wbrew pozorom mam zdolności manualne. Pracujemy podzielone na zespoły i grupy, do których mnie przydzielają, zaczynają mieć lepsze wyniki, bo kiedy skończę swoją pracę, zaczynam pomagać dziewczynom mającym zaległości. Dzięki temu cieszę się wśród koleżanek dość dobrą opinią. Nie uważa Pan, że trudno w to uwierzyć? Że ja cieszę się dobrą opinią? Ale mniejsza o to. Chciałam Panu powiedzieć, że od przyjazdu tu pracuję ciągle jak mrówka, jak wiejski kowal. Rozumie Pan jak dotąd?

Miejsce, w którym codziennie pracuję, jest naprawdę dziwne: wielkie jak hangar, puste i z sufitem strasznie wysoko. Pracuje tu sto pięćdziesiąt dziewczyn siedzących w rzędach i jest to niezwykle widok. Uważam, że ponieważ nie budujemy tu łodzi podwodnej, nie trzeba było budować takiego przesadnie wielkiego pomieszczenia i można było je podzielić na mniejsze, ale być może w ten sposób łatwiej obudzić w pracownikach poczucie solidarności, że oto „wszyscy razem pracujemy” albo przełożonym wygodniej w ten sposób „sprawować nad wszystkim nadzór”. Jest w tym pewnie jakaś tam psychologia. Zespoły si-

edzą przy stołach przypominających stoły z pracowni biologicznej, na których przeprowadza się sekcję żaby, a na końcu każdego siedzi najstarsza liderka zespołu. Można rozmawiać w czasie pracy (przecież trudno cały dzień pracować w milczeniu), ale kiedy mówi się głośno, roześmieje albo za bardzo zatopi w rozmowie, podchodzi liderka i zwraca ostro uwagę, mówiąc na przykład: „Yumiko, proszę pracować rękami, a nie językiem. Chyba trochę opóźniasz się w pracy?”. Dlatego rozmawiamy szeptem jak złodzieje pośród nocy.

W hali nadają muzykę. Zmieniają jej rodzaj w zależności od pory dnia. Jeżeli lubi Pan Barry'ego Manilowa albo Air Supply, może spodobałoby się tu Panu.

Wciążu kilku dni robię tu jedną „własną”, perukę. Zwykle tyle zajmuje zrobienie jednej, choć to zależy od rodzaju peruki. Dzieli się spód na kwadraty i po kolei wypełnia je włosami, ale nie jest to praca taśmowa, a „moja”. Nie tak jak w fabryce z tego filmu z Chaplinem, gdzie on przykręcał ciągle te same śruby i za chwilę podjeżdżała następna część ze śrubami do przykręcenia. Przez kilka dni pracuję nad tą „moją peruką”. Kiedy ją kończę, mam niemal ochotę gdzieś się na niej podpisać. „Taka a taka data, May Kasahara”. Oczywiście nie robię tego, bo dostałoby mi się, gdyby mnie na tym złapano. Ale myśl, że ktoś gdzieś na świecie nosi moją perukę, wprawia mnie we wspaniały nastrój. Mam wrażenie, że jestem z czymś silnie związana.

Życie to jednak dziwna rzecz. Gdyby ktoś mi powiedział trzy lata temu, że za trzy lata będę z wiejskimi dziewczynami robiła peruki w jakiejś fabryce daleko w górach, pewnie bym go wyśmiała. Pewnie nawet nie mogłabym sobie tego wyobrazić. Dlatego też nie wiadomo, co będę robiła za trzy lata. Czy Pan wie, co i gdzie będzie Pan robił za trzy lata? Na pewno Pan nie wie. Mogę się założyć o wszystkie pieniądze, że nie wie Pan nawet, co Pan będzie robił za miesiąc, a co dopiero za trzy lata. Prawie wszystkie dziewczyny w moim otoczeniu wiedzą, gdzie mniej więcej będą za trzy lata. Albo myślą, że wiedzą. Oszczędzają za-

robione tu pieniądze, za kilka lat mają zamiar znaleźć odpowiedniego kandydata, wyjść za mąż i żyć szczęśliwie.

Ich kandydaci na męża to zwykle synowie miejscowych rolników, ludzie mający odziedziczyć sklepiki ojców albo pracownicy tutejszych, niewielkich firm. Jak wcześniej pisałam, chronicznie brakuje tu młodych kobiet, więc jest na nie wielki „popyt”. Dziewczyna musi naprawdę mieć pecha, żeby nie znaleźć „nabywcy” i prawie wszystkie jakiegoś znajdują i wychodzą za mąż. To naprawdę coś. I jak wcześniej pisałam, po ślubie większość dziewczyn odchodzi z pracy. Dla nich praca w fabryce peruk to kilkuletni etap pomiędzy ukończeniem szkoły a znalezieniem męża. Jak pokój, do którego wchodzi się na trochę, a potem wychodzi.

Fabryce to nie przeszkadza, a wręcz cieszą się, że dziewczyny odchodzą po kilku latach pracy. Wolą, żeby załoga zmieniała się co parę lat. Inaczej mogą być kłopoty z pracownicami, które po przepracowaniu dłuższego czasu mogłyby się zacząć domagać, a to wyższej pensji, a to zasiłków, a to związków zawodowych. Fabryka ceni sobie do pewnego stopnia zdolne liderki grup, ale zwykle dziewczyny są jak przedmioty jednorazowego użytku i istnieje niepisane porozumienie, że po ślubie przerwą pracę. Dlatego to, co będzie za trzy lata, ogranicza się dla nich do dwóch możliwości: albo pracując tu, kątem oka będą szukać męża, albo już będą po ślubie i nie będą pracowały. Nie uważa Pan, że to bardzo proste?

Nie ma tu nikogo, kto tak jak ja mówi sobie cicho: „nie mam pojęcia, co będzie za trzy lata”. Wszystkie dziewczyny dobrze pracują. Nie trafiają się leniwe albo nie-lubiące swojej pracy. Prawie wcale nie narzekają. Czasem tylko ktoś powie coś złego o jadłospisie w stołówce. Oczywiście praca nie zawsze jest przyjemna i czasami ma człowiek ochotę po prostu iść się gdzieś rozerwać, a tu trzeba obowiązkowo tyrać od dziewiątej do piątej z dwugodzinną przerwą, ale ogólnie mówiąc, wszystkie wesoło pracują. Pewnie wiedzą, że to wyraźnie ograniczony

okres przejściowego odpoczynku pomiędzy jednym światem a przejściem do drugiego, i dlatego starają się jak najprzyjemniej go spędzić. Dla nich to tylko okres przejściowy.

Ale w moim przypadku tak nie jest. Dla mnie to nie jest okres odpoczynku, nie jest to także okres przejściowy, ponieważ zupełnie nie mam pojęcia, dokąd stąd pójdę. Być może to moja ślepa uliczka, koniec drogi, prawda? Dlatego ściśle mówiąc, praca tutaj mnie nie cieszy. Próbuję ją tylko całościowo zaakceptować. Kiedy robię perukę, myślę tylko o niej. I myślę poważnie, tak poważnie, że aż oblewam się potem.

Nie wiem, jak to wyrazić, ale chcę panu powiedzieć, że ostatnio myślę czasem o chłopaku, który zginął w wypadku motocyklowym. Szczerze mówiąc, do tej pory prawie go nie wspominałam. Wskutek szoku po wypadku moja pamięć dziwnie się jakoś wypaczyła i pamiętałam tylko jakieś zaskakujące, nieokreślone rzeczy, jak na przykład zapach jego potu pod pachami, beznadziejną tępotę, palce próbujące się wcisnąć w różne, dziwne miejsca. Ale ostatnio - sama nie wiem dlaczego - przypominam sobie po trochu nie tylko złe rzeczy. Szczególnie kiedy opróżniam głowę z myśli i pracowicie przymocowuję włosy do spodu peruki, wracają takie oderwane wspomnienia. Tak, tak, tak przecież było, myślę. Na pewno czas nie płynie po kolei, jak litery w alfabecie, A,B,C..., tylko to tu sobie popłynie, to tam.

Panie Ptaku Nakręcaczu! Mówiąc szczerze, jak najszczerzej, czasem ogarnia mnie okropny strach. Budzę się w środku nocy, jestem zupełnie sama, pięćset kilometrów od wszystkich i wszystkiego, w zupełnej ciemności i nie wiem, co będzie dalej. Wtedy naprawdę mam ochotę głośno krzyknąć. Czy Panu przypadkiem też się to zdarza? W takich chwilach próbuję sobie powiedzieć, że jestem do czegoś przywiązana i porządkuję sobie w myślach nazwy wszystkich rzeczy, do których jestem przywiązana. Wśród nich jest oczywiście Pan Ptak Nakręcacz. Jest także tamta uliczka, studnia, śliwa. Również peruki, które tu sama zrobiłam. I przypominam sobie po trochu chłopaka, który nie

żyje. Dzięki pomocy tych różnych drobnych rzeczy (oczywiście Pan nie jest „drobną rzeczą”, ale mniejsza o to) udaje mi się po trochu wrócić „tutaj”. W takich chwilach nagle przychodzi mi do głowy, że powinnam była pokazać chłopakowi swoje nagie ciało, pozwolić mu się dotknąć. Wtedy myślałam: „Też coś! Za nic mu nie dam dotknąć!”. Czasami myślę też, że może powinnam przez całe życie pozostać dziewicą. Całkiem poważnie o tym myślę. Co Pan o tym sądzi?

Do widzenia, Panie Ptaku Nakręcaczu. Mam nadzieję, że Pani Kumiko niedługo wróci.

## **17. O znużeniu, ciężarze całego świata oraz o magicznej lampie**

O pół do dziesiątej wieczorem zadzwonił telefon. Umilkł po dwóch dzwonekach, a po chwili znowu zaczął dzwonić. Przypomniałem sobie, że to sygnał Ushikawy.

- Halo - odezwał się. - Dobry wieczór, panie Okada. Mówi Ushikawa. Prawdę mówiąc, jestem niedaleko pana. Czy mógłbym teraz wpaść? Wiem, że już późno, ale mam z panem do pogadania i to nie jest rozmowa na telefon. Co pan na to? Chodzi o panią Kumiko, więc pewnie pana zainteresuje.

Słuchając tego głosu, wyobraziłem sobie twarz Ushikawy. Widnieje na niej chytry uśmieszek w rodzaju wiem, że mi nie odmówisz. Warga jest wywinięta i widać brzydkie zęby. Ale niewątpliwie miał rację.

Przyszedł dokładnie po dziesięciu minutach. Był ubrany tak samo jak trzy dni temu. A może się myliłem i był to zupełnie inny strój. Tak czy inaczej miał na sobie taki sam garnitur, koszulę i krawat. Wszystko było brudnawe, wygniecione, źle leżało. To pogardzane ubranie wyglądało tak, jakby zostało zmuszone do dźwigania na sobie znużenia i ciężaru całego świata. Pomyślałem, że jeżeli dane byłoby mi ponownie się narodzić i w następnym życiu miałbym zagwarantowaną niezrównaną chwa-

łę, i tak za nic nie chciałbym stać się takim ubraniem.

Zapytawszy, czy można, poszedł do lodówki i wziął sobie piwo. Dotknął butelki, upewniając się, że jest zimna, nalał sobie do pierwszej szklanki, jaka mu się nawinęła, i napił się. Usiedliśmy naprzeciw siebie przy stole kuchennym.

- A więc nie tracąc czasu na pogaduszki, przejdę od razu bezpośrednio do sprawy - powiedział Ushikawa. - Panie Okada, chciałby pan porozmawiać z panią Kumiko? Bezpośrednio, tylko we dwoje? Od dawna pan tego chce, prawda? Mówił pan, że bez tego nic się nie załatwi. Zgadza się?

Zastanowiłem się nad tym chwilę. A może udając, że się zastanawiam, próbowałem zyskać na czasie.

- Oczywiście, że chciałbym, jeżeli to możliwe - odparłem.

- Nie jest niemożliwe - powiedział cicho Ushikawa.

Potem kiwnął głową.

- Ale jest warunek...?

- Nie ma żadnych warunków - odrzekł Ushikawa i wypił łyk piwa. - Ale mam dziś dla pana nową propozycję. Proszę mnie wysłuchać i dobrze ją przemyśleć. To nie ma związku z tym, czy pan porozmawia z panią Kumiko czy nie.

Patrzyłem na niego w milczeniu.

- A więc proszę posłuchać. Panie Okada, wynajmuje pan tamtą posesję wraz z domem od pewnej firmy. Chodzi mi o „wille wisielców”. Kosztuje to pana co miesiąc niezłą sumkę. Lecz nie jest to zwykła umowa wynajmu, a specjalna umowa dzierżawna z opcją kupna po kilku latach. Prawda? Oczywiście umowa nie jest oficjalna i dzięki temu pana nazwisko nigdzie się nie pojawia i o to właśnie chodzi. Jednak w rzeczywistości jest pan właścicielem tej posesji i opłata za wynajem faktycznie działa jak spłata pożyczki. Ostateczna suma spłaty wyniesie, niech pomyślę, razem z domem około osiemdziesięciu milionów jenów, prawda? W ten sposób gdzieś za niecałe dwa lata powinien pan dostać tytuł własności ziemi i domu. To nie byle co. Naprawdę szybko. Podziwiam pana - powiedział Ushikawa.

Potem przyjrzał mi się, jakby szukał potwierdzenia.

Milczałem.

- Proszę mnie nie pytać, skąd znam te wszystkie szczegóły. Jak człowiek chce i się postara, wszystkiego może się dowiedzieć. Jeżeli się wie, jak się dowiadywać. Mam też mniej więcej pojęcie, kto się kryje za tą fikcyjną firmą. Błąkałem się po różnych miejscach jak w labiryncie i miałem trochę zawracania głowy z dowiedzeniem się. Można to porównać do trudu, jakiego wymaga znalezienie skradzionego samochodu, który został przemalowany, ma zmienione opony, tapicerkę i nawet zdrapany numer silnika. Bardzo ostrożnie to zorganizowali. To zawodowcy. No, ale teraz mniej więcej się w tym orientuję. Niewykluczone, że wiem więcej niż pan. Pewnie nie wie pan nawet, komu pan zwraca pieniądze?

- Pieniądze nie mają nazwiska - odpowiedziałem.

Ushikawa roześmiał się.

- Ma pan rację. Dobrze pan to ujął! Pieniądze rzeczywiście nie mają nazwiska. Dobrze powiedziane. Mam ochotę to zapisać w notesie. Ale, panie Okada, nie wszystko zawsze układa się gładko. Na przykład w urzędzie podatkowym nie są zbyt bystry. Mogą ściągnąć podatki tylko od osób z nazwiskami. Dlatego, jak gdzieś nie ma nazwiska, na siłę jakieś nazwisko przyczepiają. Nie tylko nazwisko, także numer. Są pozbawieni uczuć, pozbawieni wszystkiego, ale tak działa ten nowożytny kapitalizm, w którym żyjemy... I dlatego pieniądze, o których mówię, mają wspaniałe nazwisko.

W milczeniu patrzyłem na głowę Ushikawy. W zależności od kąta padania światła pojawiały się na niej różne wklęsnięcia.

- Nie ma sprawy, urząd podatkowy tu nie przyjdzie - powiedział ze śmiechem Ushikawa. - A nawet jeżeli przyjdzie, błędząc w tym labiryncie, na coś wpadną. Bęc! Zrobi im się wielki guz. Dla tych z urzędu podatkowego to w końcu tylko praca, oni też nie chcą sobie zaszkodzić. Skoro muszą skądś wyrwać pieniądze, wolą to zrobić tam, gdzie jest to proste, niż gdzieś indziej się



trudzić. Bez względu na to, skąd wycisną pieniądze, wyniki mają takie same. Szczególnie jak ktoś z góry życzliwie podpowie: „łatwiej wziąć stąd niż stamtąd”, normalny człowiek pójdzie tam gdzie łatwiej. Ktoś inny by się tyle nie dowiedział. Nie chwalać się, jestem całkiem niezły, chociaż tak wyglądam. Wiem, jak się nie sparzyć. Posuwam się szybko nocą, pod osłoną ciemności jak wesoła, sprytna małpa.

Ale, panie Okada, panu powiem szczerze, prosto z mostu: nawet ja nie mam zielonego pojęcia, co pan właściwie robi. Wszyscy ludzie, którzy tam przychodzą, płacą panu okazałe sumy. Tego jestem pewien. To znaczy, że daje im pan coś, co jest warte takich pieniędzy. Do tego miejsca jest to jasne jak liczenie kruków na śniegu. Ale nie wiem, co konkretnie pan tam robi i dlaczego tak bardzo zależy panu na tej posesji. Naprawdę mam z tym kłopot. Jakkolwiek na to patrzeć, to najważniejszy punkt tej całej sprawy. Lecz to sedno jest pięknie zakamuflowane jak szyld wróżki. To mi nie daje spokoju.

- To znaczy, że to nie daje spokoju Noboru Watai - powiedziałem.

Ushikawa nie odpowiedział, tylko pociągnął za pozostałe nad uszami skołtunione kępkę włosów. - Tak między nami, to ja pana podziwiam - oświadczył. - Naprawdę. To nie jest pochlebstwo. Nie powinienem tak mówić, ale jak na to nie patrzeć, jest pan zupełnie zwyczajnym człowiekiem. Mówiąc dosadnie, nie ma w panu nic specjalnego. Proszę się nie gniewać, że to mówię. Ale w oczach świata tak jest. A jednak kiedy tak sobie bezpośrednio rozmawiamy, trochę pana podziwiam. To nie byle kto, myślę sobie. Przecież pan nieźle zdenerwował i zakłopotał samego profesora Wa-tayę. Dlatego tak się staram jako ten gołąb pocztowy, negocjator. Zwykłego człowieka nie byłoby na to stać.

Mnie osobiście bardzo się to w panu podoba. Nie kłamię. Jak pan widzi, jestem nieprzyjemnym, podejrzanym facetem, ale nie kłamałbym na taki temat. Zaczął mnie pan obchodzić. Obi-

ektywnie biorąc, los był dla mnie jeszcze mniej hojny niż dla pana. Jestem mały, nie mam wykształcenia, jestem strasznie wychowany. Mój ojciec wyrabiał maty w Funabashi, był alkoholi-kiem, prawdziwym łajdakiem. Jako dziecko marzyłem, żeby tyl-ko szybko umarł. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale napraw-  
dę szybko umarł, a potem klepaliśmy biedę jak z powieści. Nie mam żadnych dobrych wspomnień z dzieciństwa. Oczywiście jest, że zszedłem na psy. Jakoś udało mi się skończyć szkołę średnią, a potem to już studiowałem na uniwersytecie życia, w jego ciemnych bocznych uliczkach. Przeżyłem, polegając tylko na tej pustej głowie. Dlatego nie lubię elit, urzędników państ-wowych, ludzi tego typu. Nie powinienem tego mówić, ale nie cierpię ich. Takich, co wchodzą sobie do społeczeństwa fron-towymi drzwiami, biorą sobie ładne żony i żyją wygodnie. Lu-bię takich ludzi jak pan, którzy sami sobie radzą. - Ushikawa za-palił zapałką papierosa. - Ale, panie Okada, nie może pan tak wiecznie żyć. Każdy się prędzej czy później sparzy. Nie ma ta-kich, co się nie sparzą. Z punktu widzenia ewolucji ludzie dopie-ro niedawno zaczęli chodzić na dwóch nogach i myśleć o skomplikowanych rzeczach. No i od tego się człowiek może sparzyć. Szczególnie w świecie, z którym pan zadziera, każdy się sparzy. Jest w nim dużo skomplikowanych rzeczy i ten świat właśnie dzięki nim istnieje. Ja w nim pracuję już od poprzedni-ego pokolenia, pokolenia stryja profesora Watai. A teraz odziedz-iczyl to wszystko z dobrodziejstwem inwentarza profesor. Przedtem robiłem dużo nieciekawych rzeczy. Gdybym dalej je robił, byłbym teraz w więzieniu albo leżałbym gdzieś sztywny. Nie przesadzam. Na szczęście pomógł mi poprzedni pan poseł. Dlatego te moje małe oczka już niejedno widziały. W tym świ-ecie i amatorzy, i zawodowcy, wszyscy się kiedyś sparzą. I sil-nym, i słabym staje się kiedyś krzywda. Dlatego wszyscy ubez-pieczają się na taką ewentualność. Nawet ktoś na samym dole, jak ja, to robi. W takim przypadku, jeśli się człowiek sparzy, i tak jakoś przeżyje. Ale jeżeli pan będzie działał sam, bez niczyj-

ego poparcia, raz się pan przewróci i kwita. Koniec pieśni.

Pewnie nie powinienem tak mówić, lecz już niedługo się pan przewróci. To pewne. W mojej książce za dwie, trzy strony jest to wydrukowane dużymi literami czarno na białym: Pan Toru Okada niedługo się przewróci. Naprawdę. Nie chcę pana straszyć. W sprawach tego świata jestem o wiele bardziej wiarygodny niż telewizyjna prognoza pogody. Dlatego chcę panu powiedzieć, że przychodzi czas na wycofanie się. - Przerwał i spojrzął na mnie. - Więc przestańmy zgadywać, co ten drugi ma na myśli i przejdźmy do konkretnej rozmowy... No, to był bardzo długi wstęp, a teraz przechodzę do propozycji, o której wcześniej wspomniałem.

Oparł dłonie na stole i zwilżył językiem wargi.

- Panie Okada, mówiłem panu, że „lepiej, żeby pan zerwał związki z tą posesją”, prawda? Ale może jest pan w takiej sytuacji, że nie może się pan wycofać, nawet gdyby pan chciał. Na przykład przyrzekł pan, że nic pan nie zrobi, dopóki pan nie spłaci długu. - Ushikawa przerwał i przyjrzał mi się pytająco. - Jeżeli problem leży w pieniądzu, my możemy zapewnić potrzebną sumę. Jeśli okaże się, że potrzebne jest osiemdziesiąt milionów, mogę tu przynieść równiutko ułożonych osiemdziesiąt milionów. Osiem tysięcy banknotów po dziesięć tysięcy jenów. Może pan z tego spłacić pozostałą pożyczkę, a resztę schować do kieszeni. Wtedy będzie pan wolny. Co pan na to? Byłoby doskonale, co? Co pan na to?

- I wtedy ten dom i posesja przeszłyby w ręce Noboru Watai? O to chodzi, prawda?

- Prawdopodobnie tak by się stało. Na pewno byłoby wiele skomplikowanych formalności.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

- Proszę pana, ja nie bardzo rozumiem, dlaczego Noboru Wataya jest gotów uciec się aż do takich środków, żebym tylko się stamtąd wycofał? I co ma zamiar zrobić z tym domem i posesją?

Ushikawa ostrożnie potarł dłonią policzek.

- Panie Okada, takich rzeczy to ja nie wiem. Jak panu na początku powiedziałem, jestem tylko nędznym gołębiem pocztowym. Właściciel woła mnie, każe mi to i to zrobić, ja mówię „tak jest!” i to wszystko. I to zazwyczaj jest jakieś zawracanie głowy. Pamiętam, jak byłem mały, czytałem Lampę Aladyna i współczułem temu dzinowi, który musiał wykonywać wszystkie rozkazy. Ojej! Nie sądziłem wtedy, że jak dorosnę, sam tak skończę. To naprawdę żalosne. No, ale tak czy inaczej, miałem panu przekazać tę wiadomość. Tak sobie życzył profesor Wataya. Wybór należy do pana. No, co pan na to? Jaką odpowiedź mam zanieść?

Milczałem.

- Oczywiście potrzebuje pan czasu do namysłu. Dobrze, dam panu czas. Nie mówię, że musi pan teraz od razu zdecydować. Proszę się spokojnie zastanowić... tak chciałbym powiedzieć, ale szczerze mówiąc, może nie ma tyle czasu. Powiem panu, co ja osobiście o tym myślę. Taka hojna propozycja nie będzie wcale aktualna. Może się zdarzyć, że rozwieje się jak mgła, kiedy pan się na chwilę odwróci. Dlatego proszę się poważnie i pospiesznie zastanowić. To nie jest zła propozycja. Rozumie pan?

Ushikawa westchnął i spojrział na zegarek.

- Ojej, muszę już lecieć. Znowu się zasiedziałem. I znowu poczęstował mnie pan piwem. Sam tylko gadałem jak najęty, to naprawdę niegrzeczne. Oczywiście to mnie nie tłumaczy, ale jakoś dobrze mi się u pana siedzi. Tu jest bardzo przytulnie.

Ushikawa wstał, zaniósł do kuchni szklankę, butelkę po piwie i popielniczkę i postawił przy zlewie.

- Niedługo znowu będę w kontakcie. Załatwię tak, żeby mógł pan porozmawiać z panią Kumiko. Obiecuję panu. Proszę się już na to cieszyć.

Po wyjściu Ushikawy otworzyłem okno i wypuściłem na zewnątrz unoszący się w pokoju dym papierosowy. Potem nalałem sobie do szklanki wody, wypilem, usiadłem na kanapie i wzi-

ąłem na kolana kota. Wyobrażałem sobie, jak po wyjściu za próg Ushikawa zdejmuje przebranie i wraca do Noboru Watai. Były to głupie wyobrażenia.

## **18. O przymierzalni i o następcy**

Gałka nie wiedziała nic o kobietach, które tu przychodziły. Żadna z nich nic o sobie nie mówiła, a Gałka nie zadawała żadnych pytań. Nazwiska, które podawały, były niewątpliwie fałszywe, lecz kobiety otaczał specyficzny zapach, będący rezultatem kombinacji pieniędzy i władzy. Nie obnosiły się z tym specjalnie, lecz po ich ubraniu i sposobie jego noszenia Gałka poznawała, do jakiej klasy należały.

Wynajmowała pomieszczenia biurowe w budynku w Akasaka. Ponieważ większość klientek miała obsesję na temat dyskrecji, wybrała jak najmniej rzucający się w oczy dom w jak najmniej rzucającym się w oczy miejscu. Rzeczywiście była kiedyś projektantką ubrań i nikt się nie dziwił, że przychodziło do niej wiele kobiet. Dobrze się też składało, że większość jej klientek miała od trzydziestu paru do pięćdziesięciu paru lat i należała do kobiet, które stać było na zamawianie drogich strojów. W biurze zgromadziła stopy żurnali i pism związanych z projektowaniem ubrań, postawiła stół krawiecki, manekin i skompletowała inne narzędzia, a żeby nadać wszystkiemu pozory prawdy, zaprojektowała tam nawet parę ubrań. Mniejszy pokój urządzono jako przymierzalnię. Gałka wprowadzała do niego klientki i na kanapie „dokonywała przymiarek”.

Listę klientek sporządziła dla niej żona właściciela domu towarowego. Miała dużo znajomości i ostrożnie wybrała niewielką liczbę osób, które uznała za godne zaufania. Była przekonana, że aby uniknąć skandalu, trzeba tu stworzyć rodzaj klubu składającego się ze starannie dobranych klientek. Inaczej od razu rozejdą się plotki. Członkiniom wyraźnie powiedziano, że nie mogą nikomu z zewnątrz wspomnieć o tych „przymiarkach”. Wszystkie były dyskretne i wiedziały, że jeżeli nie dotrzymają

obietnicy, zostaną na stałe wykluczone z klubu.

Dzwoniły najpierw, umawiały się na „przymiarke” i przychodziły o umówionej godzinie. Dzięki temu nie było możliwości, że klientki się spotkają i dyskrecja była w pełni zachowana. Opłatę wносиły na miejscu gotówką.

Żona właściciela domu towarowego według własnego widzi-misję ustaliła jej wysokość na poziomie znacznie przekraczaj-ącym oczekiwania Gałki. Wszystkie kobiety, które raz odbyły z Gałką „przymiarke”, potem ponownie dzwoniły, chcąc się umó-wić na kolejną. Wszystkie bez wyjątku. „Nie ma potrzeby prze-jmować się pieniędzmi - wytłumaczyła Gałce na początku żona właściciela domu towarowego. - Im więcej płacą, tym pewniej się czują” - powiedziała. Gałka chodziła do biura trzy razy w ty-godniu i dokonywała jednej „przymiarki” dziennie. Więcej nie mogła.

Kiedy Cynamon skończył szesnaście lat, zaczął pomagać matce w pracy. Gałka nie dawała sobie rady ze wszystkimi spra-wami, a nie chciała zatrudniać nikogo obcego. Kiedy po długim namyśle zapytała Cynamona, czy by jej nie pomógł, powiedział „proszę bardzo”. Nie zapytał nawet, czym matka się zajmuje. O dziesiątej rano wsiadał do taksówki, jechał do biura (nie mógł znieść jazdy metrem albo autobusem z obcymi), sprzątał, ukła-dał wszystko na miejscu, wkładał kwiaty do wazonu, robił ka-wę, kupował potrzebne rzeczy, puszczał cicho taśmy z muzyką klasyczną i prowadził księgowość.

Wkrótce nie mogła się bez niego w biurze obejść. Czy miała przyjść klientka, czy nie, ubrany w garnitur i krawat siedział przy biurku w pokoju przyjęć. Żadna klientka nie narzekała na to, że nie mówi. Nie uznawały tego za kłopotliwe, wręcz podo-bało im się, że się nie odzywa. Zapisywał je też przez telefon. Mówiły, którego dnia i o której godzinie chciałyby przyjść, a Cynamon odpowiadał, postukując w biurko. Jedno stuknięcie znaczyło „nie”, a dwa - „tak”. Klientkom podobał się ten prosty system. Cynamon był przystojnym młodzieńcem o twarzy tak

szlachetnej, że jego wyrzeźbiona podobizna z powrotem mogłaby się znaleźć w muzeum, a do tego, w przeciwieństwie do wielu młodzieńców, nie tracił uroku, kiedy otwierał usta. Wchodząc i wychodząc, zagadywały do niego. Uśmiechał się i słuchał, potakując. Te rozmowy pomagały się kobietom rozluźnić. Pozwalały rzucić stresy zewnętrznego świata i zmniejszyć uczucie niezręczności po „przymiarce”. A Cynamon, który zwykle unikał kontaktów z obcymi, nie miał chyba nic przeciwko rozmowom z klientkami.

Kiedy skończył osiemnaście lat, zrobił prawo jazdy. Gałka znalazła sympatycznego instruktora, który nauczył milczącego chłopca prowadzić samochód. Cynamon przeczytał już od deski do deski wszystkie podręczniki i przyswoił sobie całą wiedzę o technice prowadzenia. Po kilku dniach za kierownicą opanował parę ważnych umiejętności, których nie mógł się nauczyć z książek i szybko stał się dobrym kierowcą. Dostał prawo jazdy, przejrzał magazyn z ogłoszeniami o sprzedaży używanych samochodów i kupił porsche carrera. Jako przedpłaty użył pensji, którą matka mu płaciła (na co dzień w ogóle nic nie wydawał). Po nabyciu samochodu wypolerował silnik, kupił w sprzedaży wysyłkowej potrzebne części zamienne, prawie wszystko wymienił, założył nowe koła i doprowadził samochód do takiego stanu, że mógł brać udział w wyścigach. Lecz używał go tylko do przejechania co dzień tej samej drogi z mieszkania w Hiroo do biura w Akasaka. Dzięki temu od czasu, gdy przeszło w jego ręce, owo porsche 911 stało się z jednym niewielu samochodów tej marki na świecie, które nigdy nie przekraczały sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Gałka pracowała od siedmiu lat. W ciągu tego czasu straciła trzy klientki (jedna zginęła w wypadku, inna z pewnej przyczyny została „na stałe wykluczona” z klubu, a trzecia wyprowadziła się „daleko” z powodu pracy męża), ale zdobyła w zamian cztery nowe. Były to takie same czarujące kobiety w średnim wieku, ubrane w drogie stroje i posługujące się przybranymi na-

zwiskami. Przez tych siedem lat praca się nie zmieniła. Gałka robiła klientkom „przymiarki”, Cynamon utrzymywał w pokoju idealny porządek, prowadził księgowość i jeździł porsche. Nie było postępu ani regresu. Wszyscy się tylko po trochu starzeli. Gałka zbliżyła się do pięćdziesiątki, Cynamon skończył dwadzieścia lat. Zdawało się, że lubi swoją pracę, ale Gałkę powoli ogarniała bezsilność. Przez długie lata i miesiące „przymierzała” coś, co klientki nosiły w sobie. Sama niezbyt dokładnie wiedziała, co robi, choć wkładała w to wszystkie siły. Jednak nie udawało jej się tego czegoś uzdrowić. Nigdy nie znikало, dzięki jej uzdrawianiu na pewien czas stawało się jedynie mniej aktywne. Po kilku dniach (zwykle po trzech, a nigdy później niż po dziesięciu) znowu zaczynało działać, atakowało i cofało się, ale prawie zawsze stawało się silniejsze niż przedtem-jak komórki rakowe. Gałka czuła pod palcami ten wzrost. To coś mówiło jej: „Wszystko na nic. Na nic twoje wysiłki, w końcu i tak ja wygram”. Mówiło prawdę. Gałka nie miała szans. Mogła tylko trochę opóźnić pogorszenie i dać klientkom kilka dni nietrwałego spokoju.

- Czyżby wszystkie kobiety na świecie miały w sobie coś takiego? - Gałka wiele razy zadawała sobie to pytanie. - I dlaczego wszystkie kobiety, które tu przychodzą, są w średnim wieku? Czy ja też to mam?

Lecz prawdę mówiąc, nie chciała poznać odpowiedzi na te pytania. Wiedziała tylko, że z powodu jakichś okoliczności stała się więźniem „przymierzalni”. Była potrzebna kobietom, a tak długo jak była potrzebna, nie mogła opuścić tego pokoju. Czasami poczucie bezsilności gwałtownie się wzmagало i zdawało jej się, że jest tylko pustą skorupą. Miała wrażenie, że jej ubywa i że powoli znika w jakiejś ciemności. W takich chwilach szczerze zwierzała się Cynamonowi z tego nastroju. Milczący syn wysłuchiwał matki z uwagą i potakiwał. Nic nie mówił, ale po zwieryczeniu mu się Gałka czuła się dziwnie spokojna. Czuła, że nie jest samotna, nie całkiem bezsilna. To przedziwne, myślała. Ja



uzdrawiam innych ludzi, a Cynamon uzdrawia mnie. Ale kto uzdrawia Cynamona? Czy on tylko pochłania wszystkie cierpienia i całą samotność jak czarna dziura? Raz przyłożyła mu dłoń do czoła i poszukała czegoś tak jak w czasie „przymiarek”, lecz nic nie wyczuła. Gałka zaczęła się poważnie zastanawiać nad zrezygnowaniem z pracy. Nie miała już zbyt wiele siły. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce spłonę doszczętnie w tej bezsilności. Jednak kobiety gwałtownie potrzebowały jej „przymiarek”. Nie mogła ich tak po prostu porzucić.

Latem tego roku znalazła następcę. Zrozumiała to, gdy zobaczyła znajomą na policzku młodego mężczyzny siedzącego na ławce w Shinjuku.

## **19. O głupiej żabiej córce (punkt widzenia May Kasahary-5)**

Dzień dobry, Panie Ptaku Nakręcaczu!

Jest pół do drugiej nad ranem. Wszyscy śpią jak zabici. Ja nie mogłam usnąć, więc wstałam i piszę do Pana. Prawdę mówiąc, bezsenne noce są w moim życiu tak rzadkie jak zawodnik sumo, któremu do twarzy w bereciku. Zazwyczaj, kiedy pora spać, zasypiam od razu, a gdy przychodzi pora wstania, od razu się budzę. Mam budzik, ale prawie nigdy go nie używam. Lecz niezwykle rzadko trafia mi się taka noc. Nagle budzę się i już nie mogę usnąć.

Mam zamiar pisać ten list, aż zrobię się senna. Pewnie niedługo zachce mi się spać. Dlatego sama nie wiem, czy to będzie długi list, czy krótki. Chociaż nigdy przecież się nie wie, dopóki się nie dojdzie do końca.

Wydaje mi się, że większość ludzi na świecie - z niewielkimi wyjątkami - uważa, że życie i świat rządzą się prawami logiki (a przynajmniej powinny). Często mi to przychodzi do głowy, kiedy z kimś tu rozmawiam. Coś się wydarza - może to być coś w życiu prywatnym albo na skalę społeczeństwa - a ludzie często mówią coś w rodzaju: „No tak, to się zdarzyło, dlatego że coś

tam". W wielu wypadkach nawet godzą się z tym, mówiąc „aha, no tak, rozumiem", ale mnie jest to ciągle trudno zrozumieć. Bo „no tak, to się zdarzyło" i „dlatego że coś tam" wcale nie wyjaśnia, dlaczego po włożeniu zupy do kuchenki mikrofalowej, naciśnięciu guzika i poczekaniu, aż zadzwoni, wyjmuje się gorącą zupę. Przecież możliwe, że między włączeniem kuchenki a dzwonkiem zupa zmienia się w zapiekankę z makaronem, a potem znowu przeobraża w zupę. Ludzie myślą, że wyjęcie z kuchenki gorącej zupy to naturalny rezultat włożenia jej tam i wciśnięcia guzika, ale ja uważam, że to jedynie przypuszczenie. Poczulabym chyba ulgę, gdybym kiedyś po włożeniu do kuchenki zupy i podgrzaniu wyjęła z niej zapiekankę z makaronem. Oczywiście zdziwiłabym się, ale ulgę też bym poczuła. Przynajmniej myślę, że nie byłabym tym bardzo zaskoczona. Mam wrażenie, że to byłoby o wiele bardziej „realne".

Strasznie trudno mi ubrać w słowa, dlaczego „byłoby to bardziej realne", ale kiedy na przykład myślę o tym, co do tej pory przeżyłam, od razu widać, że nie ma w tym żadnej „logiki". Po pierwsze zagadką jest to, dlaczego jestem córką ludzi nudnych jak zielone żaby. To jedna, wielka zagadka. Nie powinnam może tak mówić, ale uważam, że jestem o wiele normalniejsza od nich dwojga. Nie chwalebę się, naprawdę tak jest. Nie twierdzę, że jestem lepsza niż moi rodzice, tylko że jestem normalniejsza. Pan też by tak pomyślał, gdyby ich pan poznał. Wierzą, że na świecie wszystko może być logicznie wytłumaczone, jak rozkład pokojów w eleganckim bloku mieszkalnym, i dlatego, jeżeli postępuje się logicznie, na koniec wszystko się dobrze ułoży. I martwią się, smucą i złością, kiedy ja tak nie postępuję.

Dlaczego przyszłam na świat jako córka takich głupich rodziców? Dlaczego nie stałam się głupią żabią córką, mimo że to oni mnie wychowali? Od dawna wiele o tym myślę, ale nie umiem tego wyjaśnić. Zdaje mi się, że musi być jakaś prawdziwa przyczyna, lecz nic nie przychodzi mi do głowy. Jest też dużo więcej takich niezrozumiałych rzeczy. Na przykład: „Dlaczego wszy-

szy zaczęli czuć do mnie taką antypatię?". Nie zrobiłam nic złego. Żyję sobie niezwykle zwyczajnie, a mimo to pewnego dnia zorientowałam się, że „nikt mnie nie lubi”. Naprawdę nie mogłam tego pojąć.

Zdaje mi się, że jedna oderwana rzecz doprowadziła do innej oderwanej rzeczy i tak nastąpiły różne wydarzenia. Na przykład poznałam tego chłopaka z motocyklem i spowodowałam głupi wypadek. W moich wspomnieniach czy raczej w moich myślach nie istnieje porządek w rodzaju „to się zdarzyło, dlatego że coś tam”. Kiedy usłyszę dzwonek, wyjmuję z kuchenki naczynie i podnoszę pokrywkę, pojawia się coś, czego nigdy przedtem nie widziałam.

Kiedy już zupełnie nie rozumiem, co się wokół mnie dzieje, przestaję chodzić do szkoły i leniuchuję w domu, poznaję Pana. Nie, przedtem zaczęłam pracować na zlecenia dla producenta peruk. Ale dlaczego dla producenta peruk? To też zagadka. Nie mogę sobie przypomnieć. Może od uderzenia w głowę w czasie wypadku coś mi się poprzestawiało w mózgu? A może wskutek szoku psychicznego weszło mi w zwyczaj chowanie gdzieś niektórych wspomnień? Jak wiewiórka, która wykopuje w ziemi dołek, chowa w nim orzechy, a potem zapomina, gdzie je zakopała. (Widział Pan kiedyś coś takiego? Ja widziałam. Byłam dzieckiem i śmiałam się wtedy z głupiej wiewiórki. Nie wiedziałam, że kiedyś mnie samej się to przydarzy).

W każdym razie zaczęłam pracować dla producenta peruk i z jakiegoś powodu peruki strasznie mi przypadły do gustu. To też się z niczym nie wiąże, prawda? Dlaczego to były peruki, a nie pończochy albo drewniane łyżki? Gdyby to były pończochy albo drewniane łyżki, nie pracowałabym pewnie teraz tak ciężko w fabryce peruk, prawda? A gdybym nie spowodowała tego głupiego wypadku motocyklowego, nie spotkałabym pewnie Pana latem w uliczce, gdybym zaś Pana nie spotkała, pewnie nie dowiedziałby się Pan o studni przy domu Miyawakich i nie zrobiłoby się Panu znamię na policzku, i może nie zostałaby Pan wplą-

tany w takie dziwne rzeczy... Może nie. Zastanawiam się, „gdzie na świecie jest jakaś logika?”.

A może są różne rodzaje ludzi. Dla niektórych życie i świat są logiczne, jak ta zupa w kuchence mikrofalowej, a dla innych zupełnie przypadkowe, tak jak pojawienie się zapiekanki z makaronem. Aleja przypuszczam, że gdyby moi żabi rodzice po włożeniu do kuchenki zupy, wyjęli z niej zapiekanke, wytłumaczyliby sobie, że musieli się pomylić i włożyli zapiekanke zamiast zupy. Albo wmawialiby sobie uparcie: „hm, wygląda na pierwszy rzut oka jak zapiekanka, ale to musi być zupa”. I tacy ludzie wcale by mi nie uwierzyli, gdybym im życzliwie wyjaśniła, że to się zdarza: wkłada się zupe, a wyjmuje zapiekanke. Nie tylko by nie uwierzyli, jeszcze by się rozgniewali. Rozumie Pan, o co mi chodzi?

Napisałam dawno temu w liście, że jeszcze kiedyś porozmawiamy o znamieniu. O tym, jak je pocałowałam. To chyba było w pierwszym liście. Pamięta Pan? Szczerze mówiąc, od naszego pożegnania zeszłego lata często przypominałam sobie tamtą chwilę i roztrząsałam ją, jak kot przyglądający się padającemu deszczowi. Co ja właściwie zrobiłam? Ale prawdę mówiąc, sama nie umiem tego wyjaśnić. Być może kiedyś w przyszłości - za dziesięć albo dwadzieścia lat, nie wiem kiedy - jeżeli będzie okazja, a ja będę już dorosła i mądrzejsza, uda mi się jakoś to Panu wytłumaczyć. Wydaje mi się, że niestety obecnie nie mam ani kwalifikacji, ani poglądów, które umożliwiłyby mi precyzyjne wyjaśnienie.

Ale mogę szczerze powiedzieć, że wolę Pana bez znamienia. Nie, nie jest tak. przecież Pan sam go sobie nie zrobił, więc to niesprawiedliwe, tak mówić. Chodzi mi chyba o to, że mnie wystarczał Pan nawet bez znamienia... Ale to na pewno nic nie wyjaśnia.

Panie Ptaku Nakręcaczu, myślę, że być może to znamie daje Panu coś ważnego, lecz pewnie też coś Panu odbiera. Niejako w zamian. I jeżeli wszyscy będą tak Panu coś odbierać, wkrótce

wyniszczy się Pan i zacznie się Pan zużywać. Więc chcę powiedzieć, że wcale by mi nie przeszkadzało, gdyby Pan nie miał czegoś takiego.

Prawdę mówiąc, czasami myślę, że być może robię tu peruki, dlatego że pocałowałam Pana zamię. Czy nie dlatego zdecydowałam, żeby się stamtąd, od Pana, choć trochę oddalić? Być może przykro Panu to czytać, ale to chyba prawda. Lecz dzięki temu udało mi się wreszcie znaleźć sobie miejsce. Dlatego w pewnym sensie jestem Panu wdzięczna. Choć to pewnie niezbyt przyjemne, gdy ktoś jest nam w pewnym sensie wdzięczny.

Mam wrażenie, że mniej więcej powiedziałam Panu wszystko, co musiałam. Dochodzi czwarta. Wstaję o pół do ósmej, mogę jeszcze pospać ponad trzy godziny. Mam nadzieję, że uda mi się szybko usnąć. W każdym razie na tym kończę ten list. Do widzenia, Panie Ptaku Nakręcaczu. Proszę się modlić, żebym usnęła.

## **20. O podziemnym labiryncie i podwójnych drzwiach Cynamona**

- W tej „willi” jest komputer, prawda, panie Okada? Nie wiem, co prawda, kto go używa - powiedział Ushikawa.

Była dziewiąta wieczorem i ze słuchawką przy uchu siedziałem w kuchni przy stole.

Odpowiedziałem krótko, że jest.

Usłyszałem, jak Ushikawa pociąga nosem.

- Tak, tak jak przedtem trochę posprawdzałem i dowiedziałem się, że chyba jest. Oczywiście to normalne, że jest, niech sobie będzie. Teraz każdy, kto pracuje głową, musi mieć komputer. Nie ma w tym nic dziwnego, że tam jest.

No i, panie Okada, krótko mówiąc, z pewnego powodu pomyślałem, że dobrze byłoby się z panem przez ten komputer porozumiewać, więc jak to ja, posprawdzałem różne rzeczy i okazuje się, że to wcale nie takie proste. Nie można się z nim połączyć, po prostu wykręcając numer telefonu. Jest tak ustawiony, że nie

można się do niego dostać bez specjalnego hasła. Bez niego drzwi się nie otwierają. No i jest kłopot.

Milczałem.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ja nie próbuję się tam wśliznąć, żeby zrobić coś złego. Nie mam na myśli niczego tak niedowarzonego. Przecież skoro nawet zwykła skrzynka e-mailowa jest tak starannie strzeżona, wydostanie z niego jakichkolwiek informacji nie byłoby proste. Takie zawracanie głowy nie przeszłoby mi przez myśl. Chodzi tylko o zorganizowanie panu rozmowy z panią Kumiko. Przecież poprzednio panu obiecałem. Powiedziałem, że postaram się, żeby mógł pan bezpośrednio z nią porozmawiać. Już wiele czasu minęło od jej odejścia i niedobrze jest tak zostawiać rzeczy w zawieszeniu. Jak nic się nie zmieni, pana życie popłynie w coraz dziwniejszym kierunku. Bez względu na okoliczności ważne jest, żeby w cztery oczy szczerze porozmawiać. Inaczej nie da się uniknąć nieporozumień. Ludzie stają się nieszczęśliwi... Robiłem więc, co mogłem, i przekonywałem panią Kumiko, lecz nie chciała się zgodzić. Mówiła, że nie ma zamiaru z panem bezpośrednio rozmawiać. Spotkanie nie wchodzi w rachubę, przez telefon też nie może rozmawiać. Nawet przez telefon nie chce. Na te słowa już prawie się poddałem. Wszystkiego próbowałem, przekonywałem, jak mogłem, ale twardo się trzymała. Jak skała. Mało brakowało, żeby porosła mchem.

Przerwał i czekał na moją reakcję, lecz ja milczałem.

- Ale nie mogłem przecież po prostu wycofać się, mówiąc: „Ach, to taka sprawa? Rozumiem”. Strasznie by mi się od profesora dostało. Choćby ta druga osoba była jak skała, jak mur, trzeba znaleźć jakiś kompromis... Na tym polega moja praca. Idę na kompromisy. Jeżeli nie sprzedadzą mi lodówki, kupuję przynajmniej lód. W tym duchu. Łamałem sobie głowę, czy nie ma jakiegoś sposobu. Człowiek to takie zwierzę, że zawsze się zastanawia. I tak jak gwiazdka spośród chmur zaświtał mi w tej mojej tępej głowie pewien pomysł. Przecież można porozmawi-

ać przez komputer. Uderza pan w klawisze i pisze na ekranie. Potrafi pan to, panie Okada?

W kancelarii adwokackiej używałem komputera do sprawdzania precedensów prawnych, poszukiwania danych osobowych klientów. Posługiwałem się też e-mailem. Kumiko również chyba korzystała w pracy z komputera. Redakcja magazynu o naturalnej żywności, w której pracowała, rejestrowała w komputerze analizy wartości odżywczej różnych produktów i przepisy kulinarne.

- Ze zwykłego komputera nie byłoby to możliwe, ale dzięki funkcjom naszego i funkcjom tego tam u pana powinno się udać bezpośrednio połączenie i dość szybka wymiana wiadomości. Pani Kumiko też mówi, że zgadza się z panem rozmawiać przez komputer. Jakoś ją do tego przekonałem- Tym sposobem będą państwo mogli porozmawiać w rzeczywistym czasie, więc będzie to bliskie prawdziwej rozmowie. Proponuję taki kompromis. Głupią małpę stać tylko na tyle. Co pan na to? Może się to panu nie spodobać, ale i tak wymagało wiele ruszania głową. Męczy się człowiek, kiedy musi myśleć, a brak mu szarych komórek.

W milczeniu przełożyłem słuchawkę do lewej ręki.

- Halo? Słyszysz mnie pan? - zapytał Ushikawa zaniepokojonym głosem.

- Słyszę - odparłem.

- Krótko mówiąc, jeżeli poda mi pan hasło, które umożliwi dostęp do e-maila tamtego komputera, będę mógł od razu zorganizować rozmowę z panią Kumiko. Co pan na to, panie Okada?

- Jest kilka obiektywnych trudności - powiedziałem.

- Jakich trudności? Proszę powiedzieć.

- Po pierwsze, nie będę mógł się upewnić, że osoba, z którą rozmawiam, to naprawdę Kumiko. W rozmowie przez komputer nie widać twarzy ani nie słychać głosu drugiej osoby. Może ktoś inny będzie do mnie pisał, udając, że jest Kumiko.

- Aha, rozumiem - powiedział Ushikawa jakby z podziwem. - Nie pomyślałem o tym, ale oczywiście takiej możliwości nie

można wykluczyć. Nie pochlebiam panu, ale uważam, że to bardzo dobrze wątpić we wszystko. Wątpię, więc jestem. Więc może tak zrobimy: najpierw zapyta pan o coś, na co tylko pani Kumiko może znać odpowiedź. Jeżeli tamta osoba odpowie prawidłowo, to znaczy, że to pani Kumiko. Żyli państwo razem przez kilka lat, więc musi być parę rzeczy wiadomych tylko państwu.

To, co mówił Ushikawa, miało sens.

- Dobrze. Ale tak czy inaczej nie znam hasła. Nigdy nawet nie tknąłem tego komputera.

Gałka powiedziała, że Cynamon sam stworzył cały system operacyjny komputera od początku do końca. Podniósł jego wydajność, zbudował skomplikowane bazy danych, ochronił programy szyfrem i sprytnie zabezpieczył, tak by nikt z zewnątrz nie mógł się tam łatwo dostać. Za pomocą dziesięciu palców panował niepodzielnie w tym powikłanym, trójwymiarowym podziemnym labiryncie i sprawował nad nim ścisły nadzór. Miał wyryty w pamięci system wszelkich ścieżek i przejść i potrafił się dostać na skróty w dowolne miejsce, naciskając zaledwie kilka klawiszy. Lecz nieznający drogi intruz (czyli każdy oprócz Cynamona) mógł błądzić po labiryncie przez wiele miesięcy, zanim trafił na ważne dane. Wszędzie ukryte były mechanizmy ostrzegawcze i pułapki. Opowiedziała mi o tym wszystkim Gałka. Komputer w „willi” nie był wcale duży, a mniej więcej tej samej wielkości, co ten w biurze w Akasaka. Oba były połączone z komputerem-matką, który Cynamon miał w domu, aby można było przekazywać informacje z jednego do drugiego i przetwarzać dane. Prawdopodobnie zawierały tajemnice związane z pracą, którą od lat wykonywał z matką, począwszy od listy klientek do podwójnego księgowania. Domyślałem się, że komputery musiały zawierać jeszcze inne rzeczy. Doszedłem do takiego wniosku, ponieważ Cynamon był niezwykle blisko związany ze swymi maszynami. Najczęściej pracował za zamkniętymi drzwiami, choć czasem bywały uchylone i dostrzegałem



go przez szparę. Zawsze czułem się wtedy winny, jakbym go podglądał. Miałem wrażenie, że jest zrośnięty z komputerem i poruszają się razem w nieomal erotycznym uścisku. Uderzał przez pewien czas w klawisze, potem czytał tekst, który ukazywał się na ekranie, i wykrzywił z niezadowoleniem usta. Czasami lekko się uśmiechał. Bywało, że uderzał w klawisze z zastanowieniem, po jednym, a niekiedy jego palce biegały gwałtownie po klawiaturze, jak palce pianisty grającego etiudę Liszta. Zdawało się, że prowadzi z komputerem milczącą rozmowę, a na ekranie ogląda sceny z jakiegoś innego świata. Miałem wrażenie, że te sceny były dla niego ważne i bliskie. Czasami nawet myślałem, że być może jego rzeczywistość to nie świat na ziemi, a jakiś świat istniejący w tym podziemnym labiryncie, w którym Cynamon mówi elokwentnie jasnym głosem, głośno się śmieje i płacze.

- Czy mogę się stąd dostać do waszego komputera? - zapytałem Ushikawę.

- Wtedy nie potrzebowałby pan hasła.

- To niemożliwe. W takim przypadku pana wiadomości docierałyby tutaj, ale tutejsze nie docierałyby do pana. Problem w tym hasło-kluczu. Jeśli go nie poznamy, nie mamy szans. Nikt nie otworzy wilkowi, choćby mówił pięknym głosem. Choćby zapukał i powiedział: „To ja, twój przyjaciel zajęczek”, bez hasła po prostu go nie wpuszczą. Ten komputer jest jak żelazna dziwica.

Usłyszałem, jak Ushikawa zapala zapałkę i przypala papierosa. Przypomniałem sobie jego krzywe poźółkłe zęby i obwisłe wargi.

- Hasło składa się z trzech znaków. Są to litery, cyfry albo kombinacja obydwu. Trzeba je wpisać w ciągu dziesięciu sekund po pojawieniu się okna dialogowego. Jeżeli trzykrotnie zostanie wpisane błędne hasło, system się zamknie i włączy alarm. To nie znaczy, że zawyje jakaś prawdziwa syrena, ale w komputerze pozostaną wyraźne ślady wilczych łap. Co pan na to? Nie-

źle pomyślane, co? Jak pan się zastanowi, zrozumie pan, ile jest możliwych zestawień i kolejności. Dwadzieścia sześć liter i dziesięć cyfr, prawie nieskończona liczba możliwości. Jak ktoś nie zna hasła, nie poradzi sobie.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym w milczeniu.

- No, panie Okada, nic panu nie przychodzi do głowy?

Następnego dnia po południu, po odjeździe „klientki” mercedesem prowadzonym przez Cynamona, wchodzę do jego pokoju, siadam przy biurku i włączam komputer. Ekran wypełnia się chłodnym błękitnym światłem. Pojawia się rząd liter.

Aby uruchomić komputer, wpisz prawidłowe hasło w ciągu dziesięciu sekund.

Wpisuję trzy litery:

zoo

Program się nie otwiera i rozlega się ostrzegawczy dźwięk.

Hasło różni się od zarejestrowanego w systemie. Wpisz prawidłowe hasło w ciągu dziesięciu sekund.

Na ekranie zaczyna się odliczanie sekund. Zmieniam na duże litery i wpisuję to samo słowo:

Znowu odmowna odpowiedź.

Hasło różni się od zarejestrowanego w systemie. Wpisz prawidłowe hasło w ciągu dziesięciu sekund. Jeżeli ponownie wpiszesz nieprawidłowe hasło, komputer zostanie automatycznie zamknięty.

Zaczyna się odliczanie. Jeszcze dziesięć sekund. Postanawiam napisać duże Z, a dwa O małymi literami. To moja ostatnia szansa.

Zoo

Rozlega się wesoły dźwięk.

Hasło zostało przyjęte.

Wybierz program z następującego menu.

Otwiera się ekran z menu. Powoli wypuszczam powietrze z płuc. Potem biorę głęboki oddech i przejrzawszy menu, wybi-

eram program poczty elektronicznej. Wkrótce na ekranie pojawia się nowe menu.

Wybierz żądany program.

Wybieram bezpośrednie połączenie - wzajemne przesyłanie wiadomości.

Ten program wymaga podania hasła.

Wpisz prawidłowe hasło w ciągu dziesięciu sekund.

Powinno to być ważne zabezpieczenie. Trzeba nieustępliwie strzec wejścia, aby do środka nie dostał się jakiś doświadczony hacker. A skoro to ważne zabezpieczenie, hasło też pewnie oznacza coś ważnego. Wystukuję:

**SUB**

Nie otwiera się żaden ekran.

Hasło różni się od zarejestrowanego w systemie. Wpisz prawidłowe hasło w ciągu dziesięciu sekund.

Zaczyna się odliczanie. 10, 9, 8... Próbuję tego samego sposobu, co przed chwilą. Zaczynam od dużej litery, a potem piszę dwie małe.

Sub

Rozlega się wesoły dźwięk.

Hasło zostało przyjęte. Wybierz numer telefonu.

Z założonymi rękami wpatruję się w komunikat. Nieźle. Otworzyłem dwoje drzwi w labiryncie Cynamona. Zupełnie nieźle. Zoo i łódź podwodna. Anuluje możliwość połączenia. Ekran powraca do początkowego menu. Kiedy klikam „Zamknij”, na ekranie pojawia się komunikat.

Operacje, których dokonałeś, zostaną automatycznie zarejestrowane w pliku operacji. Jeżeli nie chcesz ich zarejestrować, wybierz „Don't file”.

Zgodnie z poleceniem Ushikawy klikam na „Don't file”.

Operacje nie zostaną zarejestrowane w pliku operacji.

Ekran cicho zamiera. Ocieram dłonią pot z czoła. Starannie odkładam klawiaturę i mysz na swoje miejsce (nie mogą być przesunięte nawet o dwa centymetry), i oddalam się od stygną-

cego ekranu.

## 21. Opowieść Gałki

Gałka opowiadała mi o swoim życiu przez kilka miesięcy. Była to niekończąca się opowieść, pełna niezliczonych dygresji, dlatego zamieszczam tu jedynie proste (choć niezbyt krótkie) streszczenie, aczkolwiek szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy stanie się ono wiernym odbiciem istoty opowieści. W każdym razie będzie to przynajmniej ogólny zarys głównych wydarzeń jej życia.

Kiedy Gałka Akasaka uciekła z matką z Mandżurii do Japonii, ich cały majątek stanowiła biżuteria, którą miały na sobie. Podążyły do rodzinnego domu matki w Jokohamie. Jej rodzina zajmowała się handlem, szczególnie z Tajwanem, i przed wojną firma nieźle prosperowała, ale w czasie długich wojen interesy szły coraz gorzej. Ojciec, który wszystkim kierował, zmarł na serce, a młodszy syn, będący jego prawą ręką, zginął w bombardowaniu niedługo przed końcem wojny. Najstarszy syn zrezygnował z pracy nauczyciela i przejął firmę, ale charakterem nie pasował do handlu i nie potrafił uzdrowić rodzinnego interesu. Został przestronny dom, lecz życie w nim w pierwszych latach powojennych, kiedy wszystkiego brakowało, w roli darmozjadów nie było przyjemne dla Gałki i jej matki. Staraly się schodzić wszystkim z oczu, jadły mniej niż inni, wstawaly najwcześniej i zajęły się większością prac domowych. W dzieciństwie Gałka donaszała ubrania po kuzynkach, od rękawiczek, skarpetek po bieliznę. Do pisania miała krótkie, wyrzucone przez innych ołówki. Nie cierpiała ranków i konieczności budzenia się. Serce jej się ścisnęło na myśl, że oto ma przed sobą nowy dzień. Gdyby tylko mogły żyć we dwie z matką, choćby nawet w największej biedzie, ale bez tego ciągłego oglądania się na innych! Lecz matka nie chciała odejść z rodzinnego domu. „Dawniej była żywa i wesola, ale po ucieczce z Mandżurii stała się jak puśta skorupa. Pewnie utraciła wolę życia” - powiedziała Gałka.

Matka przestała wstawać z łóżka i opowiadała tylko w kółko historie o dawnym beztróskim życiu. Gałka musiała sama nauczyć się życia.

Lubiła się uczyć, ale nie interesowały ją ogólne przedmioty w szkole średniej. Nie była przekonana, że przyda jej się do czegoś wtlaczanie do głowy dat historycznych, gramatyki angielskiej czy wzorów geometrycznych. Pragnęła jak najszybciej przyswoić sobie jakąś konkretną umiejętność i uniezależnić się. Bardzo różniła się od swoich koleżanek, które wesoło spędzały szkolne lata.

Prawdę mówiąc, wtedy interesowała ją wyłącznie moda. Od rana do wieczora myślała o ubraniach. Nie mogła sobie pozwolić na modne stroje, więc przeglądała w nieskończoność zdobyte gdzieś żurnale, szkicowała niektóre modele, próbując je naśladować, i bez końca rysowała w zeszytach projekty sukien, które przychodziły jej do głowy. Sama nie wie, dlaczego czuła taki gwałtowny pociąg do mody. Może dlatego, że zawsze bawiła się w Mandżurii ubraniami matki. Jej matka kochała stroje i miała mnóstwo ubrań w stylu europejskim oraz kimon, tak dużo, że nie mieściły się w szafach. Mała Gałka lubiła je wyciągać, oglądać i dotykać. Kiedy jednak uciekały z Mandżurii, matka musiała zostawić większość ubrań, a to, co zmieściło się do plecaków, było stopniowo wymieniane na pożywienie. Matka z westchnieniem wyjmowała i oglądała każdą sztukę ubrania, na którą przychodziła kolej.

„Projektowanie ubiorów było dla mnie jak tajemnicze drzwi prowadzące do innego świata - powiedziała Gałka. - Gdy je otwierałam, znajdowałam tam swój własny świat. W nim liczyła się tylko wyobraźnia. Gdy coś sobie dobrze i wyraźnie wyobraziłam, mogłam uciec od rzeczywistości. A najbardziej cieszyło mnie, że to nic nie kosztuje. Wyobraźnia nie kosztowała ani grosza. Czy to nie wspaniałe? Odmalowywanie w myślach pięknych strojów i przenoszenie ich na papier stopniowo stało się dla mnie nie tylko drogą ucieczki od rzeczywistości i zatopi-

eniem się w marzeniach, ale czymś, bez czego nie mogłam żyć. Było to naturalne i oczywiste, jak oddychanie. Dlatego sądziłam, że wszyscy to robią w większym lub mniejszym stopniu. Lecz kiedy zrozumiałam, że inni wcale nie robią takich rzeczy, w dodatku, że pewnie nie umieliby, nawet gdyby chcieli, pomyślałam, że muszę w pewnym sensie różnić się od innych ludzi. Dlatego powinnam inaczej żyć".

Gałka zrezygnowała z nauki w liceum i przeniosła się do szkoły krawieckiej. Potrzebowała pieniędzy na chesne, więc ubłagała matkę, by sprzedała jedną z niewielu sztuk biżuterii, jakie jej pozostały. Przez dwa lata zdobywała realne umiejętności jak szycie, krój, projektowanie. Po ukończeniu szkoły wynajęła mieszkanie i wyprowadziła się z domu. Zarabiała szyciem i robieniem na drutach, a także pracowała wieczorami jako kelnerka, więc mogła chodzić do szkoły dla projektantów ubrań. Po jej ukończeniu znalazła pracę w firmie produkującej eleganckie stroje dla pań i zgodnie ze swoim życzeniem została przyjęta do działu projektowania.

Niewątpliwie posiadała oryginalny talent. Nie tylko potrafiła dobrze rysować, ale miała też swoje własne pomysły i sposób myślenia, jasny obraz tego, co chciała stworzyć. Nie zapożyczała od nikogo, projektowała według własnych koncepcji, które naturalnie rodziły się w jej wyobraźni. Potrafiła odnaleźć i odtworzyć szczegóły takiego obrazu, jak łosoś powracający pod prąd w górę rzeki. Pracowała tak dużo, że prawie nie miała czasu na sen. Praca była przyjemna i Gałka myślała tylko o tym, że chciałaby jak najszybciej zostać niezależną projektantką. Nie przychodziło jej do głowy, żeby iść się gdzieś rozerwać, poza tym nie wiedziałyby nawet, jak to zrobić.

Wkrótce przełożeni docenili pracę Gałki i zainteresowali się eleganckimi i odważnie nowatorskimi projektami. Terminowała już od kilku lat, więc postawiono ją na czele niewielkiego działu, gdzie miała o wszystkim decydować. Było to w tej firmie wyjątkowe wyróżnienie.

Z roku na rok miała coraz większe osiągnięcia. Wkrótce ludzie z branży spoza firmy zaczęli się interesować jej talentem i żywymi pomysłami. Świat projektantów jest bardzo zamknięty, lecz jednocześnie rządzi w nim sprawiedliwa konkurencja. Prawdziwą wartość projektanta ocenia się po tym, ile jest zamówień na jego projekty. Są to konkretne liczby i wyraźnie widać, kto jest wygrany, a kto przegrany. Gałka z nikim specjalnie nie współzawodniczyła, lecz jej osiągnięcia były niezaprzeczalne.

Do dwudziestego siódmego roku życia całkowicie pochłaniała ją praca. W tym czasie poznała dużo ludzi, wielu mężczyzn okazało jej sympatię lecz związki miewała krótkie i płytkie. Nie mogła się głębiej zainteresować żywymi ludźmi. Jej głowę wypełniały obrazy strojów i one wydawały się o wiele żywsze i treściwsze niż prawdziwi ludzie.

Kiedy skończyła dwadzieścia siedem lat, na przyjęciu noworocznym świata mody została przedstawiona dziwnie wyglądającemu mężczyźnie. Rysy miał regularne, włosy rozkudłane, nos i podbródek zastrzone jak kamienne narzędzia. Wyglądał nie na projektanta mody, a raczej na jakiegoś fanatyka religijnego. Był od niej o rok młodszy, chudy jak pies i miał głębokie, przepastne oczy. Rozglądał się po ludziach wzrokiem pełnym agresji, jakby chciał ich wprawić w zakłopotanie. Lecz Gałka dostrzegła w jego oczach własne odbicie. Był jeszcze nieznanym, dobrze zapowiadającym się projektantem i wtedy po raz pierwszy go widziała, choć przedtem słyszała plotki na jego temat. Miał szczególny talent, ale był arogancki, samolubny i skory do kłótni, podobno prawie nikt go nie lubił.

„Byliśmy do siebie podobni. Oboje urodziliśmy się na kontynencie, on też po wojnie wrócił sam statkiem z Korei. Jego ojciec był zawodowym żołnierzem i po wojnie cierpiał biedę. W dzieciństwie stracił matkę, która umarła na tyfus i dlatego zaczął się interesować kobiecymi ubraniami. Miał talent, ale zupełnie nie umiał sobie radzić z ludźmi. Mimo że projektował damskie ubrania, w obecności kobiet robił się czerwony i arogancki. In-

nymi słowy, oboje byliśmy jak zwierzęta, które się oddzieliły od stada".

Następnego roku wzięli ślub. To był sześćdziesiąty trzeci. W sześćdziesiątym czwartym (w roku igrzysk olimpijskich w Tokio) wiosną urodziło im się dziecko - Cynamon. „Nazwaliśmy go Cynamon, prawda?”. Po urodzeniu Cynamona Gałka sprowadziła do domu matkę, żeby zajęła się wnukiem. Sama musiała ciężko pracować od rana do nocy i nie miała czasu na opiekę nad małym dzieckiem. Tak więc Cynamon został praktycznie wychowany przez babcię.

Gałka sama nie wie, czy kochała męża jako mężczyznę. Brakowało jej systemu wartości, na którym mogłaby oprzeć taki sąd, to samo dotyczyło jej męża. Połączyła ich siła przypadkowego spotkania i pasja projektowania. Pierwszych dziesięć lat małżeństwa było dla nich obojga owocne. Po ślubie oboje odeszli z pracy i założyli własne studio projektowania mody. Znajdowało się w wychodzącym na zachód pokoiku w niewielkim budynku na tyłach ulicy Aoyama, ze złą wentylacją i bez klimatyzacji. Latem było tam tak gorąco, że mokry od potu ołówek wyslizgiwał się z rąk. Oczywiście na początku praca nie szła gładko. Obojgu zadziwiająco brakowało zmysłu praktycznego i łatwo dali się nabierać nieuczciwym ludziom. Nie udawało im się zdobyć zamówień, ponieważ nie znali zwyczajów panujących w świecie mody albo popełniali niewyobrażalnie głupie błędy i trudno im było wejść na właściwy tor. Ich długi tak się powiększyły, że zdawało się, iż będą musieli zwinąć interes. Punktem zwrotnym stało się znalezienie przez Gałkę zdolnego menedżera, który wysoko cenił ich talent i przysiągł lojalność. Od tego momentu firma zaczęła się tak rozwijać, że trudno było uwierzyć we wcześniejszy zastój. Sprzedaż podwajała się z roku na rok i firma, którą założyli bez grosza przy duszy, w siedemdziesiątym roku odnosiła sukcesy graniczące z cudem. Były tak imponujące, że zaskoczyły nawet nieznaną światu, arogancką parę. Zatrudnili więcej osób, przenieśli się do budynku przy



głównej ulicy i otworzyli sklepy w Ginzie, Aoyamie i Shinjuku. Ich kolekcje były często omawiane w środkach masowego przekazu i stały się bardzo znane.

Wraz ze wzrostem firmy zmienił się rodzaj pracy, którą wykonywali. Choć projektowanie ubrania jest aktem twórczym, w odróżnieniu od rzeźbienia czy pisania powieści, jest to także interes, od którego zależy byt wielu ludzi. Nie można siedzieć sobie w kącie i projektować, co się człowiekowi zamarzy. Ktoś musi wyjść w świat, bywać i podtrzymywać „stosunki”. Im bardziej rosną sumy transakcji, tym większa staje się ta potrzeba. Należy chodzić na przyjęcia i pokazy mody, witać się z ludźmi, prowadzić rozmowy, udzielać wywiadów. Ponieważ Gałka absolutnie nie zamierzała się tym zająć, musiał to zrobić jej mąż. Tak jak ona nie lubił „podtrzymywania stosunków” i na początku było mu bardzo ciężko. Nie umiał rozmawiać z obcymi i za każdym razem wracał kompletnie wyczerpany. Jednak po pół roku nagle zorientował się, że jest mu łatwiej niż kiedyś obcować z ludźmi. Nadal nie umiał prowadzić rozmów, lecz teraz jego szorstkość i małomówność zamiast ludzi odstręczać, zdawały się przyciągać. Jego lakonicznych odpowiedzi (wynikających z wrodzonej nieśmiałości) nie uznawano już za arogancję nieobytego człowieka, a za przejaw czarującego artystycznego temperamentu. Wkrótce nawet zaczęło go cieszyć to położenie. Nie wiadomo, kiedy został uznany za kulturalnego bohatera tamtych czasów.

„Pan pewnie też o nim słyszał - powiedziała Gałka. - W tym okresie ja robiłam dwie trzecie projektów. Jego odważne, oryginalne pomysły przyjęły się i wtedy przygotował ich już tak wiele, że moją rolą stało się rozwijanie ich, rozbudowywanie i nadawanie im kształtu. Choć skala firmy rosła, nie zatrudnialiśmy innych projektantów. Mieliśmy coraz więcej ludzi do pomocy, ale najważniejsze rzeczy robiliśmy we dwoje. Chcieliśmy robić nasze własne ubrania, a nie adresowane do jakiejś określonej klasy klientów. Nie przeprowadzaliśmy wcale badań rynko-

wych, nie było analizy kosztów, narad, takich rzeczy. Kiedy chcieliśmy zrealizować jakiś pomysł, projektowaliśmy zgodnie z nim, używaliśmy jak najlepszego materiału i wykonywaliśmy model bardzo starannie. Co w innych firmach robiono w dwóch etapach, u nas zajmowało cztery. Tam, gdzie oni zużywali trzy metry materiału, u nas wychodziły cztery. Starannie sprawdzaliśmy jakość i rzucaliśmy na rynek tylko to, co nam się podobało. To, co się nie sprzedawało, wyrzucaliśmy. Nie mieliśmy wyprzedazy. Oczywiście przez to ceny były stosunkowo wysokie. Na początku ludzie z branży mieli nas za idiotów, mówiąc, że coś takiego nie może się udać, ale nasze ubrania stały się jednym z symboli tamtych czasów. Były jak obrazy Petera Maksa, Woodstock, Twiggy, «Easy Rider». Naprawdę przyjemnie projektowało się ubrania w tamtych latach. Można było robić odważne rzeczy i klienci na to szli. Czuliśmy się, jakbyśmy mieli skrzydła i mogli polecieć tam, gdzie nas oczyszcza poniosą".

Interesy rozwijały się coraz lepiej, lecz Gałka i jej mąż zaczęli się stopniowo oddalać od siebie. Czasami, gdy razem pracowali, zauważała, że mąż jest sercem gdzie indziej. Z jego oczu zniknął dawny wygłodniały blask. Znikła gwałtowność, która kazała mu rzucać wszystkim, co nawinęło się pod rękę, kiedy coś nie szło po jego myśli. Często wpatrywał się nieobecny wzrokiem w dal, jakby głęboko nad czymś rozmyślał. Poza pracą praktycznie nie rozmawiali ze sobą. Nieraz nie wracał na noc do domu. Domyślała się, że miewa inne kobiety, ale specjalnie jej to nie raniło. Od dawna fizycznie nic ich już nie łączyło (Gałka przesłała prośbę o rozwód), myślała więc, że nie da się tego uniknąć.

Mąż został zabity pod koniec siedemdziesiątego piątego roku. Gałka miała wtedy czterdzieści lat, a Cynamon jedenaście. Znalaziono go martwego, pociętego nożem w pokoju hotelowym w Akasaka. Ciało odkryła pokojówka, która weszła do pokoju o jedenastej, zamierzając posprzątać. Łazienka tonęła we krwi. Z ciała wypłynęła cała krew, do ostatniej kropli. Usunięto z niego serce, żołądek, wątrobę, nerki i trzustkę. Wyglądało na to, że

morderca wyciął te organy, zapakował je pewnie do czegoś w rodzaju plastikowej torby i zabrał ze sobą. Głowa została odcięta od tułowia i umieszczona na pokrywie toalety, zwrócona twarzą naprzód. Cała twarz była pocięta nożem. Zdawało się, że przestępca najpierw obciął głowę, pocałował ją, a potem zabrał się do wycinania organów.

Do wycięcia z ciała organów potrzebny jest bardzo ostry nóż i specjalistyczna wiedza. Trzeba na przykład przepiłować kilka żeber. Zajmuje to dużo czasu i powoduje wielki upływ krwi. Nie wiadomo, dlaczego ktoś specjalnie zadał sobie tyle trudu.

Pracownik recepcji pamiętał, że mąż Gałki poprzedniej nocy wynajął pokój z jakąś kobietą. Pokój mieścił się na dwunastym piętrze. Był to pracowity okres pod koniec roku i urzędnik zapamiętał tylko, że kobieta była ładna, koło trzydziestki, niezbyt wysoka. Miała czerwony płaszcz i małą torebkę. Żadnego bagażu. Na łóżku odkryto ślady stosunku płciowego. Pobrane z prześcieradła włosy łonowe i ślady spermy pochodziły od zabitego. W pokoju znaleziono liczne odciski palców, lecz było ich zbyt wiele i nie pomogły w śledztwie. W niewielkiej skórzanej torbie należącej do zabitego znaleziono zmianę bielizny, przybory kosmetyczne, teczkę z dokumentami dotyczącymi pracy i jakiś magazyn. Karty kredytowe i sto tysięcy jenów gotówką były nienaruszone, natomiast brakowało notesu, który powinien był mieć przy sobie. W pokoju nie było śladów walki.

Policja zbadała wszystkie znajomości zabitego, lecz nie znalazła kobiety odpowiadającej opisowi podanemu przez pracownika recepcji. Pojawiły się nazwiska trzech czy czterech kobiet, ale śledztwo nie wykazało, by któraś z nich miała powody do nienawiści czy zazdrości w stosunku do ofiary, poza tym wszystkie miały alibi. Jeżeli nawet w świecie mody były osoby, które za nim nie przepadały (oczywiście były takie, gdyż świat ten nie jest przepelniony życzliwością i miłością), nie zdawały się żyć ku niemu morderczych uczuć, a przy tym nie miały chyba specjalistycznej wiedzy o tym, jak wydobyć z ciała sześć orga-

nów.

Morderstwo znanego projektanta mody odbiło się szerokim echem w gazetach i czasopiśmie, wywołało nawet niewielki skandal. Policji jednak zależało na nienagłaśnianiu tego perwersyjnego morderstwa i nie ujawniono faktu wycięcia organów, tłumacząc się powodami natury technicznej. Podobno ów znany hotel też nie chciał sobie popsuć reputacji i wywarł jakieś naciski na mass media. Do wiadomości publicznej podano tylko, że projektant został zamordowany nożem w pokoju hotelowym. Krążyły plotki, że miało tam miejsce coś „nienormalnego”, lecz w rezultacie wszystko rozeszło się po kościach. Policja przeprowadziła śledztwo zakrojone na szeroką skalę, ale nie schwytano mordercy, nie znaleziono nawet motywu.

„Ten pokój jest do dziś zamknięty na klucz” - powiedziała Gałka.

Wiosną, w rok po śmierci męża, Gałka sprzedała firmę, pozostałe modele, sklepy i znak firmowy wielkiemu producentowi ubrań. Podpisała umowę sprzedaży, przyniesioną przez prawnika, nawet nie patrząc na cenę.

Po pozbyciu się firmy zauważyła, że jej pasja projektowania zniknęła. To źródło gwałtownego i naglącego pragnienia, które było nieomal równoznaczne z samym życiem, niespodziewanie całkowicie wyschło. Bardzo rzadko zdarzało się, że projektowała coś na czyjąś prośbę. Robiła to jak profesjonalistka wysokiej klasy, lecz praca nie sprawiała jej żadnej radości, jakby jadła potrawę pozbawioną smaku. Miała wrażenie, jakby jej też usunięto wszystkie organy. Ludzie, którzy znali zapał i nowatorski charakter projektów Gałki, pamiętali ją jako osobę nieomal legendarną i ciągle zamawiali u niej stroje, lecz ona postanowiła nie przyjmować żadnych zamówień prócz tych, których absolutnie nie mogła odrzucić. Za radą księgowego pieniądze ze sprzedaży firmy zainwestowała w akcje i nieruchomości i dzięki boomowi ekonomicznemu jej inwestycje z roku na rok przynosiły zyski.

Wkrótce po sprzedaży firmy zmarła na serce jej matka. Pewnego upalnego dnia w sierpniu polewała wodą chodnik przed domem, gdy zrobiło jej się niedobrze, położyła się do łóżka i zaczęła chrapliwie oddychać. I tak umarła. Gałka i Cynamon zostali sami. Przez ponad rok Gałka prawie nie wychodziła z domu. Siedziała na kanapie i całymi dniami patrzyła na ogród, jakby chciała odzyskać spokój i harmonię, jakich jej życiu do tej pory brakowało. Nie odżywiała się porządnie i spała po dziesięć godzin na dobę. Cynamon, który osiągnął wiek gimnazjalny, zajmował się domem, w przerwach grał sonaty Mozarta albo Haydna i nauczył się kilku języków.

Kiedy minął ten wypełniony pustką rok, Gałka zupełnym przypadkiem zorientowała się, że posiada pewne szczególne umiejętności. Była to dziwna siła, której istnienia przedtem wcale sobie nie uświadamiała. Myślała, że siła mogła się w niej narodzić w zastępstwie gwałtownej pasji projektowania, która wyparowała. I rzeczywiście, ta umiejętność stała się podstawą jej nowego zajęcia.

Po raz pierwszy zdarzyło się to z żoną właściciela jednego z większych domów towarowych, bystrą, pełną witalności kobietą, która w młodości była śpiewaczką operową. Poznała się na talencie Gałki, zanim stała się sławna, i opiekowała się nią na różne sposoby. Gdyby nie jej pomoc, firma Gałki szybko by upadła. Dlatego Gałka zgodziła się dobrać stroje dla niej i dla jej jedynej córki, która wychodziła za mąż. Nie była to szczególnie trudna praca.

Pewnego razu, gdy siedziały w oczekiwaniu na przymiarkę i gawędziły, kobieta nagle bez uprzedzenia zakryła twarz rękami i ślaniając się, przykucnęła na podłodze. Gałka zaskoczona, otoczyła ją ramionami i pogłaskała prawą skroń kobiety. Zrobiła to instynktownie, bez żadnych zamiarów, lecz wyczuła tam jakąś obecność. Wyczuła kształt czegoś w środku, zupełnie jakby wyczuła coś w jakimś worku.

Nie wiedząc, co począć, zamknęła oczy i spróbowała pomy-

śleć o czymś innym. Przywołała więc w pamięci zoo w Sinjing. Zoo w dniu, kiedy ogród był nieczynny. Tylko ona, jako córka weterynarza, miała prawo tam wejść. To najszczęśliwszy okres w jej życiu. Czowała się chroniona, kochana, bezpieczna. Był to pierwszy obraz, jaki jej przyszedł do głowy. Wyludniony ogród zoologiczny. Przypominała sobie po kolei tamten zapach, jasne światło słońca, kształt obłoków na niebie. Szła sama od klatki do klatki. Jesienne niebo wydawało się ogromne, ptaki przelatywały grupami z jednej kępy drzew do drugiej. Był to jej pierwszy prawdziwy świat i w pewnym sensie świat na zawsze stracony. Nie wiedziała, jak dużo czasu minęło, lecz wkrótce kobieta wstała i przeprosiła Gałkę. Była jeszcze wstrząśnięta, lecz najwyraźniej gwałtowny ból głowy minął. W kilka dni później ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Gałka otrzymała niespodziewanie wysokie wynagrodzenie za pracę.

W miesiąc po tym wydarzeniu kobieta zadzwoniła i zaproponowała, żeby zjadły razem obiad. Po obiedzie zaprosiła ją do domu. Powiedziała, że chciałaby się o czymś upewnić, i poprosiła, żeby Gałka dotknęła jej głowy tak jak poprzednio. Nie było powodu odmawiać, więc Gałka spełniła prośbę. Usiadła koło kobiety i lekko położyła jej dłoń na skroni. Znowu wyczuła tam coś. Skupiła się i spróbowała bardziej konkretnie zbadać ten kształt. Gdy się skupiła, coś, jakby się wyślizgnęło i zmieniło kształt. To było coś żywego! Gałka trochę się przestraszyła. Zamknęła oczy i pomyślała o zoo w Sinjing. Nie sprawiało to trudności. Wystarczyło sobie przypomnieć. Przywołać to, co opowiadała Cynamonowi, tamte sceny. Jej świadomość oddaliła się od ciała i błądziła między wspomnieniami a opowieściami, potem wróciła. Kiedy Gałka przyszła do siebie, kobieta trzymała ją za rękę i dziękowała. Gałka o nic nie zapytała, kobieta nic nie wyjaśniła. Tak jak przedtem Gałka czuła lekkie znużenie. Jej czoło pokryło się kropelkami potu. Kiedy wychodziła, kobieta próbowała jej podać kopertę z pieniędzmi, mówiąc, że Gałka specjalnie się aż tu fatygowwała, ale Gałka grzecznie, lecz zdecydowanie

odmówiła. To nie była praca, a poza tym poprzednio otrzymałam o wiele za dużo, powiedziała. Kobieta nie nalegała.

Po kilku tygodniach poznała ją z inną klientką. Drobną kobietą, koło czterdziestu pięciu lat, o przenikliwym spojrzeniu głęboko osadzonych oczu. Ubrana była bardzo kosztownie, lecz nie miała żadnych ozdób prócz srebrnej obrączki. Rzuciło się w oczy, że to nieprzeciętna osoba. Wcześniej żona właściciela domu towarowego wyszeptwała Gałce: „Ta pani chciałaby, żeby jej pani zrobiła to samo co mnie. Proszę nie odmawiać. I proszę, nic nie mówiąc, przyjąć zapłatę. Patrząc perspektywicznie, tak będzie lepiej dla pani, lepiej dla nas”.

Gałka weszła z tą kobietą do drugiego pokoju i tak samo przycisnęła dłonią jej skroń. Znalazła tam coś innego. Było silniejsze i poruszało się szybciej niż u żony właściciela domu towarowego. Gałka zamknęła oczy, wstrzymała oddech i próbowała uspokoić te ruchy. Skupiła się jeszcze bardziej i przywołała wyraźniejsze wspomnienia. Zagłębiła się w szczegóły i wysłała temu czemuś ciepło własnych wspomnień.

„I zanim się zorientowałam, stało się to moją pracą” - powiedziała Gałka. Wiedziała, że została wciągnięta w jakiś wielki nurt. Wkrótce dorosły Cynamon zaczął jej pomagać w pracy.

## **22. O tajemnicy willi wisielców - 2**

**KTO BYWA W SŁYNNIEJ „WILLI WISIELCÓW” W SETAGAYA?**

Cień polityka, który pojawia się i znika, niezwykle prze-myślnie ukryta tajemnica - o co w tym może chodzić? (Tygodnik..., 21 grudnia)

Jak pisaliśmy w numerze z 7 grudnia, w spokojnej willowej części dzielnicy Setagaya znajduje się dom popularnie zwany „willą wisielców”. Ludzi, którzy tam mieszkali, dotykały nieszczęścia jedno po drugim, jakby się zmówiły, i wszyscy odbierali sobie życie, większość z nich wybrała śmierć przez uduszenie, (skrót - streszczenie poprzedniego artykułu)

Do tej pory udało nam się wyjaśnić jeden fakt, a mianowicie, że wszelkie próby dowiedzenia się, kto jest obecnym właścicielem „willi wisielców”, trafiają na niewzruszony mur milczenia. Zwróciliśmy się do firmy budowlanej, która postawiła dom, ale zdecydowanie odmówiono nam udzielenia informacji. Fikcyjna firma, na którą kupiono posesję, jest zupełnie czysta pod względem prawnym i tą drogą też do niczego nie można dotrzeć. Wszystko tak precyzyjnie i sprytnie zaplanowano, że trudno się oprzeć przekonaniu, iż jest ku temu jakaś przyczyna.

Inna sprawa, która zwróciła naszą uwagę, to fakt, że w utworzeniu fikcyjnej firmy, która kupiła posesję, brała udział pewna firma zajmująca się księgowością. Po sprawdzeniu okazało się, że ta firma jest „podwykonawcą” sławnej w świecie polityki firmy audytorskiej, została założona pięć lat temu i działa w jej cieniu. Znana firma audytorska posiada podobno kilku takich „podwykonawców”, którzy są odpowiednio wykorzystywani, a gdy pojawią się problemy, bez żalu spisywani na straty. Choć rzeczona duża firma nie stała się jeszcze bezpośrednim obiektem śledztwa prokuratury, „jej nazwa pojawiła się kilka razy w związku ze skandalami politycznymi, więc nic dziwnego, że mamy ją na oku” (jak mówi dziennikarz polityczny pewnej gazety). Nasuwa się przypuszczenie, że istnieje jakiś związek między nowym nabywcą „willi wisielców” a którymś z wpływowych polityków. Kiedy spojrzeć na sprawę z tego punktu widzenia, a mianowicie: wysoki mur, wymyślny system alarmowy wykorzystujący najnowsze osiągnięcia elektroniki, czarny mercedes wzięty w leasing, sprytnie utworzona fikcyjna firma... rzeczywiście, to - know-how wskazuje na pośrednictwo jakiegoś polityka.

#### DOSKONAŁY SYSTEM STRZEGĄCY TAJEMNICY

Nasz zespół dziennikarski, zainteresowany wyjaśnieniem pewnych faktów, prowadził obserwację mercedesa odwiedzającego „willę wisielców”. Obserwacja wykazała, że w ciągu dziesięciu dni mercedes wjechał na posesję dwadzieścia jeden razy.



Przeciętnie dwa razy dziennie wjeżdżał przez bramę, a potem wyjeżdżał. Jest w tym pewna regularność. Samochód przyjeżdża najpierw o dziewiątej rano, wjeżdża do środka i wyjeżdża o pół do jedenastej. Kierowca jest pod tym względem bardzo skrupulatny i różnice w czasie nie przekraczają pięciu minut. W porównaniu z regularnością porannych wizyt, pozostałe przyjazdy są nieregularne. Większość została zarejestrowana między pierwszą a trzecią, ale samochód przyjeżdża i wyjeżdża o różnych porach. Zdarza się, że wyjeżdża już po niecałych dwudziestu minutach, a czasami zostaje tam przez godzinę. Z powyższego można wysnuć następujące wnioski:

(1) Regularne wizyty poranne oznaczają, że ktoś przyjeżdża do tego domu „do pracy”. Ponieważ samochód ma przyciemnione wszystkie szyby, nie wiadomo, kim jest „pracownik”.

(2) Nieregularne wizyty w ciągu dnia prawdopodobnie oznaczają przybycie gości. Zmienny czas przyjazdów ma pewnie związek z tym, jaki czas odpowiada „gościowi”. Nie wiadomo, czy jest to zawsze ten sam gość, czy różne osoby.

(3) Wygląda na to, że w nocy nic się w tym domu nie dzieje. Nie wiadomo, czy ktoś tam jest. Z powodu muru nie widać, czy pali się światło.

Chcielibyśmy też wyjaśnić, że podczas dziesięciu dni obserwacji bramę przekroczył tylko ten czarny mercedes. Oprócz tego nie widzieliśmy żadnego innego samochodu ani żadnej osoby. Rozsądnie biorąc, jest to dość nienaturalne. „Ktoś” mieszkający w tym domu nie chodzi po zakupy ani na spacer. Wszyscy dostają się tam wielkim mercedesem z przyciemnionymi szybami i tak samo się wydostają. Innymi słowy, z jakiejś przyczyny absolutnie nie chcą, żeby ich zobaczono. Jaka może być tego przyczyna? Dlaczego zadają sobie tyle trudu i ponoszą takie koszty w celu zachowania absolutnej tajemnicy? Chcemy jeszcze dodać, że na posesję jest tylko jedno wejście, przez bramę. Za posesją znajduje się wąska uliczka, lecz donikąd nie prowadzi. Można się do niej dostać i wydostać, wyłącznie przechodząc

przez jakiś ogród. Okoliczni mieszkańcy twierdzą, że dziś nikt już z niej nie korzysta. Prawdopodobnie z tej przyczyny na terenie posesji nie ma furtki prowadzącej na uliczkę. Jest tam jedynie wysoki mur, jak mur obronny jakiegoś zamku.

W ciągu tych dziesięciu dni sprzedawcy prenumerat gazet i akwizytorzy wielokrotnie naciskali dzwonek przy bramie, lecz zdawało się, że nie było żadnej reakcji i brama oczywiście nie została otwarta. Jeżeli ktoś jest w domu, prawdopodobnie obserwuje bramę za pomocą kamery, widzi na monitorze interesanta i jeżeli nie ma potrzeby, nie reaguje. Nie przychodziła żadna poczta i nie dostarczano żadnych paczek.

Jedynym sposobem zdobycia informacji, jaki nam pozostał, było pojechanie za mercedesem i dowiedzenie się, dokąd jeździ. Śledzenie błyszczącego mercedesa jadącego powoli przez miasto nie było zbyt trudne, ale ono też zakończyło się fiaskiem, gdy samochód wjechał na podziemny parking pewnego luksusowego hotelu w Aka-saka. Przy wejściu stał strażnik w mundurze i wpuszczał tylko posiadaczy specjalnej karty, dlatego też nasz samochód nie mógł tam wjechać. W tym hotelu często odbywają się międzynarodowe konferencje i zatrzymuje się w nim wiele ważnych osobistości. Mieszkają tam też słynni artyści odwiedzający Japonię. Aby zapewnić im bezpieczeństwo i dyskrecję, hotel dysponuje specjalnym parkingiem dla VIP-ów, różniącym się od tego używanego przez zwykłych gości. Dla tych gości zarezerwowano też kilka wind, aby nikt nie wiedział kto, co i kiedy. Innymi słowy, mogą przybyć do hotelu i z niego wyjechać niewidziani przez nikogo. Mercedes korzysta właśnie z takiego miejsca dla VIP-a. Zgodnie z powściągliwym i zwięzłym wyjaśnieniem udzielonym przez hotel w odpowiedzi na nasze pytania te miejsca są „zazwyczaj” za specjalną opłatą wynajmowane jedynie firmom, posiadającym odpowiednie kwalifikacje po „szczegółowym sprawdzeniu”, lecz nie udało nam się zdobyć informacji na temat warunków wynajmu ani użytkowników.

W hotelu znajduje się pasaż handlowy, kilka kawiarni i resta-

uracji, cztery sale przeznaczone na przyjęcia weselne i trzy sale konferencyjne. Innymi słowy o wszystkich porach dnia i nocy przez hotel przewijają się mnóstwo anonimowych ludzi. Ustalenie tożsamości kierowcy i pasażerów mercedesa jest niemożliwe bez specjalnych uprawnień. Wystarczy, że wsiądą do zarezerwowanej dla VIP-ów windy, wysiądą na dowolnym piętrze i znikną w tłumie. Mamy nadzieję, że to daje Czytelnikom obraz tego, jak starannie przemyślany jest system zachowania tajemnicy. Widać tu niemal nadmierny nakład pieniędzy i wykorzystanie wpływów politycznych. Z wyjaśnienia hotelu wynika, że niełatwo wynająć miejsce na specjalnym parkingu. „Szczegółowe sprawdzenie” zawiera też zapewne opinię organów bezpieczeństwa związanych z ochroną ważnych zagranicznych (skrót - spekulacje na temat tego, osobistości, dlatego też musi tu być jakieś powiązanie polityczne. Nie wystarczą same pieniądze, ale oczywiste jest, że duże pieniądze też są tu potrzebne. czy dom nie jest używany przez organizację religijną, mającą poparcie wpływowego polityka)

### **23. O różnych meduzach z całego świata i o rzeczach, które się przeobraziły**

O wyznaczonej godzinie siadam przed komputerem Cynamona i za pomocą hasła dostaję się do poczty elektronicznej. Potem wpisuję numer podany przez Ushikawę. Połączenie zajmie pięć minut. Piję kawę, którą sobie zaparzyłem, i biorę głęboki oddech. Kawa jest pozbawiona smaku, a powietrze wydaje się pełne piasku.

Wkrótce następuje połączenie, rozlega się cichy dźwięk i na ekranie pojawia się komunikat, że możliwa jest wzajemna komunikacja. Potem wybieram połączenie na koszt rozmówcy. Jeżeli będę ostrożny i nie zostanie nigdzie zarejestrowane, Cynamon nie powinien się dowiedzieć, że korzystałem z komputera. (Ale nie mam pewności. To jego labirynt, a ja jestem w nim tylko bezradnym intruzem).

Mija więcej czasu, niż się spodziewałem, lecz wkrótce pojawia się komunikat, że rozmówca zgodzi się zapłacić za połączenie. Po drugiej stronie ekranu, na końcu kabla pełznącego w ciemnościach pod Tokio, prawdopodobnie jest Kumiko. Tak samo jak ja siedzi przed komputerem z dłońmi na klawiaturze. Lecz na własne oczy mogę zobaczyć jedynie ekran monitora wydający cichy, elektroniczny szum. Kliknięciem wybieram tryb wysyłania i piszę zdanie, które wiele razy ćwiczyłem w myślach.

Mam pytanie. Nie jest zbyt trudne, ale muszę mieć dowód, że to naprawdę Ty. Pytanie: na pierwszą randkę poszliśmy do akwarium. Chcę, żebyś mi powiedziała, co Cię tam najbardziej zainteresowało.

Ustawiam litery na ekranie. Potem naciskam „Wyślij” (Chcę, żebyś mi powiedziała, co Cię tam najbardziej zainteresowało J). Zmieniam na tryb odbierania wiadomości.

Odpowiedź przychodzi po dłuższej chwili ciszy. Jest krótka.

Meduzy. Różne meduzy z całego świata.

Na ekranie widnieje moje pytanie, a pod nim odpowiedź. Wpatruję się w nie. Różne meduzy z całego świata. Musiała to być Kumiko. Świadomość, że jest tam prawdziwa Kumiko, sprawia mi ból. Czuję się, jakby ktoś wyrwał mi serce. Dlaczego możemy rozmawiać tylko w ten sposób? Ale na razie muszę to po prostu zaakceptować. Uderzam w klawisz.

Na początek dobra wiadomość. Wiosną nagle wrócił kot. Był nieco wychudły, ale zdrowy i niepokaleczony. Od tego czasu nigdzie nie chodzi i siedzi w domu. Nadałem mu nowe imię, choć pewnie nie powinienem tego robić bez uzgodnienia z Tobą. Nazywałem go Łosoś. Tak jak ryba. We dwóch dość dobrze sobie radzimy. To chyba dobra wiadomość, prawda? J

Następuje przerwa. Nie wiem, czy to czas potrzebny na przesłanie wiadomości, czy Kumiko umilkła.

Naprawdę bardzo się cieszę, że kot żyje! Martwiłam się o niego. J

Wypijam łyk kawy, aby złagodzić suchość w gardle. Potem znowu uderzam w klawisze.

Teraz zła wiadomość. Właściwie poza powrotem kota mam same złe wiadomości. Po pierwsze ciągle jeszcze nie udało mi się rozwiązać różnych zagadek.

Piszę, czytam to, co pojawiło się na ekranie, i piszę dalej.

Pierwsza zagadka: gdzie Ty teraz jesteś? I co tam właściwie robisz? Dlaczego pozostajesz w oddaleniu? Dlaczego nie chcesz się ze mną spotkać? Czy jest jakaś przyczyna? Przecież musimy się spotkać i porozmawiać o wielu rzeczach. Nie uważasz? J

Odpowiedź na to zajmuje jej dużo czasu. Wyobrażam sobie Kumiko, jak siedzi przy klawiaturze z zaciętymi ustami i zastanawia się. Wkrótce kursor zaczyna szybko biegać po ekranie zgodnie z ruchem jej palców.

Wszystko, co chciałam Ci powiedzieć, napisałam w liście. Chciałabym, żebyś ostatecznie zrozumiał, że teraz pod różnymi względami nie jestem już tą osobą, którą znałeś. Ludzie zmieniają się z różnych powodów, a w niektórych przypadkach przeobrażają się i robią się do niczego. Dlatego nie chcę się z Tobą spotkać i dlatego nie chcę do Ciebie wrócić.

Kursor zatrzymuje się w tym miejscu i migając, szuka nowych słów. Wpatruję się w niego przez kilkanaście sekund i czekam, aż zacznie tworzyć na ekranie nowe wyrazy. Przeobrażają się i robią się do niczego?

Jeżeli to możliwe, postaraj się jak najszybciej o mnie zapomnieć. Najlepszym rozwiązaniem będzie dla nas formalny rozwód, dzięki czemu będziesz mógł zacząć inne, nowe życie. To, gdzie ja teraz jestem i co robię, nie jest zbyt ważne. Najważniejszy jest fakt, że z jakiegoś powodu znaleźliśmy się w oddzielnych światach. I to już się nie zmieni. Chcę, żebyś zrozumiał, że nawet takie porozumiewanie się z Tobą sprawia mi straszliwy ból. Nie wyobrażasz sobie, jak straszny. J

Czytam te zdania kilka razy. Jej słowa płyną wartko, są pełne bolesnej, niezłomnej pewności. Prawdopodobnie wiele razy je

sobie w myślach powtarzała. Jednak ja muszę jakoś zachwiać tym murem pewności. Choćby trochę. Uderzam w klawisze.

To, co mówisz, jest trochę niejasne i trudne do zrozumienia. Co konkretnie masz na myśli, mówiąc, że „zrobiłaś się do niczego”. Nie pojmuję, co to znaczy. Pomidory robią się do niczego, parasole robią się do niczego... to oczywiście rozumiem. Pomidory gniją, w parasolach łamią się druty. Ale co to znaczy, że „ty się zrobiłaś do niczego”? Nie mogę sobie nic konkretnego wyobrazić. Napisałaś w liście, że sypiałaś z innym mężczyzną. Czy przez to „zrobiłaś się do niczego”? Oczywiście był to dla mnie wstrząs. Ale to trochę co innego niż spowodowanie, że „ktoś jest do niczego”. J

Następuje długa przerwa. Martwię się, że Kumiko mogła sobie pójść. Lecz wkrótce na ekranie pojawiają się jej słowa.

To miało z tym związek. Ale to nie wszystko.

Znowu zapada głębokie milczenie. Starannie wybiera słowa z jakichś szufladek.

To był tylko jeden z przejawów. „Robiłam się do niczego” przez dłuższy czas. To zostało wcześniej obmyślane w jakimś ciemnym pokoju przez kogoś, kto nie miał ze mną nic wspólnego. Kiedy Cię poznałam i wyszłam za Ciebie, zdawało mi się, że otworzyły się przede mną nowe możliwości. Pomyślałam, że może uda mi się znaleźć jakieś wyjście i wymknąć się, ale było to tylko złudzenie. Zawsze jest jakiś znak i dlatego tak się wtedy starałam znaleźć kota.

Długo patrzę na tekst na ekranie, lecz nie pojawia się znaczek kończący wiadomość. Nie przestawiam trybu na wysyłanie. Kumiko myśli nad dalszym ciągiem. „Robiłam się do niczego” przez dłuższy czas. Co ona mi właściwie próbuje powiedzieć? Skupiam się na ekranie, lecz dostrzegam tam tylko coś w rodzaju niewidzialnej ściany. Znowu zaczynają się pojawiać litery.

Chciałabym, żebyś, jeśli możesz, myślał o tym w następujący sposób: zapadłam na nieuleczalną chorobę, która niszczy ciało i twarz, i powoli zmierzam ku śmierci. To jest oczywiście metafo-

ra. W rzeczywistości moje ciało i twarz są niezmienione. Ale to metafora niezwykle bliska rzeczywistości. Dlatego właśnie nie chcę, żebyś mnie widział. Oczywiście nie sądzę, że ta niejasna metafora umożliwi Ci pełne zrozumienie sytuacji, w jakiej się znalazłam. Nie uważam, że Cię przekona. Bardzo mi przykro, ale w tej chwili nie mogę tego inaczej powiedzieć. Musisz to zaakceptować. J

Nieuleczalna choroba.

Upewniłem się, że tryb zmienił się na tryb wysyłania i uderzam w klawisze.

Jeżeli chcesz, żebym przyjął to metaforyczne wyjaśnienie, mogę je przyjąć. Jest jednak jedna rzecz, której za nic nie mogę pojąć. Jeżeli nawet, tak jak mówisz, „zrobiłaś się do niczego” i zapadłaś na „nieuleczalną chorobę”, czy musiałaś z tym iść akurat do Noboru Watai? Dlaczego nie zostałaś tu ze mną? Czy nie po to wzięliśmy ślub? J

Cisza. Cisza, którą można niemal wziąć do ręki i zważyć. Splatam palce obu dłoni i powoli oddycham. Potem przychodzi odpowiedź.

Nie jestem tu dlatego, że mi się podoba, a dlatego, że to dla mnie odpowiednie miejsce. Muszę tu być. Nie mam prawa wybierać. Nawet gdybym chciała się z Tobą spotkać, nie mogłabym. Czy myślisz, że nie chcę się z Tobą spotkać?

Przerwa, jakby wstrzymywała oddech, a potem jej palce znowu zaczynają się poruszać.

Dlatego nie męcz mnie już o to. Jedyne, co możesz dla mnie zrobić, to jak najszybciej zapomnieć o moim istnieniu. Wyrzucić z pamięci te lata i miesiące, które razem przeżyliśmy. To będzie dla nas obojga najlepsze. Jestem o tym głęboko przekonana. J

Odpowiadam.

Mówisz, że chcesz, żebym o wszystkim zapomniał. Żebym Cię zostawił samej sobie. Ale jednocześnie skądś w tym świecie wzywasz mojej pomocy. Wołasz bardzo cichym głosem, lecz w

spokojne noce wyraźnie go słyszę. To jest niewątpliwie Twój głos. Myślę, że rzeczywiście jedna Kumiko próbuje się ode mnie oddalić. Prawdopodobnie ma ku temu swoje powody. A z drugiej strony inna Kumiko koniecznie chce się do mnie zbliżyć. Jestem tego pewien. I bez względu na to, co teraz mówisz, muszę wierzyć tej Kumiko, która szuka pomocy i próbuje się zbliżyć. Choćbyś nie wiem co mówiła, choćby były ku temu słuszne powody, nie mogę tak łatwo Cię zapomnieć i odrzucić tych wspólnie przeżytych lat i miesięcy, a to dlatego, że te rzeczy naprawdę się w moim życiu zdarzyły i niemożliwe jest całkowite ich przekreślenie. Byłoby to równoznaczne z przekreśleniem mnie samego. Nie zrobię tego bez jakiegoś słusznego powodu. J

Znowu mija niczym niewypełniony czas. Przez ekran komputera wyraźnie wyczuwam jej milczenie. Jak ciężki dym wślizguje się przez szpary w ekranie i wypełnia pokój, unosząc się ku górze. Dobrze znam te milczenia Kumiko. Wiele razy je widziałem i doświadczyłem ich w naszym wspólnym życiu. Kumiko wstrzymuje oddech i skupia się przed ekranem, marszcząc brwi. Podnoszę filiżankę i wypijam łyk wystygłej kawy. Z pustą filiżanką w dłoniach tak jak Kumiko wstrzymuję oddech i patrzę na ekran. Jesteśmy połączeni więzami ciężkiego milczenia, które przeniknęły mur dzielący oba światy.

Nie wiem. J

Ja wiem.

Odstawiam filiżankę i piszę szybko, jakbym chciał chwycić uciekający czas za ogon.

Ja wiem, że chcę jakoś dotrzeć do miejsca, w którym jesteś, w którym jest Kumiko „szukająca pomocy”. Niestety ciągle jeszcze nie wiem, jak się tam dostać i co mnie tam czeka. Przez długi czas po Twoim odejściu żyłem jakby pogrążony w zupełnej ciemności. Lecz powoli, po trochu, zbliżam się do sedna rzeczy. Chyba zbliżam się do tego miejsca. Koniecznie chciałem Ci to powiedzieć. Zbliżam się i zamierzam się jeszcze bardziej zbli-



żyć. J

Czekam na jej odpowiedź z dłońmi na klawiaturze.

Ja naprawdę nie wiem.

Potem zakończyła rozmowę.

Żegnaj. J

Na ekranie pojawia się komunikat, że rozmówca się wyłączył. Połączenie zostało przerwane. Mimo to patrzę na ekran i czekam, czy coś się na nim nie pojawi. Może Kumiko zmieni zdanie i wróci. Może sobie przypomni o czymś, co zapomniała mi powiedzieć. Lecz Kumiko nie wraca. Czekam dwadzieścia minut i w końcu się poddaję. Wstaję i idę do kuchni napić się zimnej wody. Przez pewien czas o niczym nie myślę i uspokajam oddech, stojąc przed lodówką. Wokoło jest strasznie cicho. Zdaje mi się, że cały świat nasłuchuje moich myśli, lecz ja nie jestem w stanie o niczym myśleć. Przepraszam, ale nie jestem w stanie myśleć.

Wracam do komputera. Siadam na krześle i jeszcze raz uważnie czytam na niebieskim ekranie zapis całej rozmowy. Co ja powiedziałem i co ona powiedziała. Co ja odpowiedziałem i co ona odpowiedziała. Nasza rozmowa została utrwalona na ekranie. Jest w niej coś zadziwiająco żywego. Wodząc wzrokiem po rządkach liter, słyszę jej głos. Poznaję jego intonację, drobne modulacje, pauzy. Cursor nadal miga w regularnych odstępach po ostatniej literze, jak bijące serce. Wstrzymując oddech, czeka na pojawienie się kolejnych słów. Lecz nie ma więcej słów.

Po wyrzyciu w pamięci całej rozmowy (uznam, że lepiej jej nie drukować) klikam i zamykam pocztę elektroniczną. Wybieram opcję nierejestrowania operacji, upewniam się, że o niczym nie zapomniałem, i wyłączam komputer. Ekran wydaje krótki dźwięk i ciemnieje. Monotonny, elektroniczny szum wsiąka w ciszę wypełniającą pokój. Jak żywy sen wyrwany ręką nicości.

Nie wiem, jak dużo czasu minęło, ale kiedy przyszedłem do siebie, siedziałem wpatrzony we własne ręce leżące na stole. Widnieją na nich ślady długiego wpatrywania się. Robiłam się

do niczego" przez dłuższy czas. O jak długi czas może jej chodzić?

#### **24. O liczeniu owiec i o tym, co mieści się w kręgu**

W kilka dni po pierwszej wizycie Ushikawy zapytałem Cynamona, czy nie mógłby mi codziennie przynosić gazety. Pomyślałem, że przyszedł czas, by zetknąć się z rzeczywistym światem. Choćby człowiek unikał rzeczywistości, sama do niego kiedyś przyjdzie.

Cynamon kiwnął głową i od tej pory codziennie rano przyjeżdżał do „willi” z trzema różnymi gazetami.

Przeglądałem je po śniadaniu. Od dawna niewidziane gazety wydawały mi się dość dziwne. Wyglądały na nieprzyjazne i puste. Od ostrego zapachu farby drukarskiej rozboleła mnie głowa, a rój czarnych, drobnych literek wyzywająco kłuł mnie w oczy. Układ gazety, czcionka nagłówków, styl tekstów wydały mi się strasznie nierzeczywiste. Wiele razy odkładałem gazetę, zamykałem oczy i wzdychałem. Dawniej tak nie było. Bardziej normalnie czytałem gazetę. Co się tak w gazetach zmieniło? Nie, pewnie gazety się nie zmieniły. To ja się zmieniłem.

Czytałem prasę przez kilka dni i jedna rzecz dotycząca Noboru Watai stała się dla mnie jasna, a mianowicie to, że budował sobie coraz silniejszą pozycję w społeczeństwie. Jako świeżo upieczony członek parlamentu prowadził ambitną działalność polityczną, lecz jednocześnie miał swój własny felieton w tygodniku, wyrażał opinie na łamach popularnych czasopism i występował w programach telewizyjnych jako stały publicysta. W różnych miejscach trafiałem na jego nazwisko. Nie wiedziałem, dlaczego ludzie zdawali się z coraz większym entuzjazmem słuchać jego opinii. Wymieniano go jako jednego z młodych polityków, z którym w przyszłości wiąże się wielkie oczekiwania, mimo że dopiero rozpoczyna karierę parlamentarną.

Zajął pierwsze miejsce w plebiscycie na najpopularniejszego polityka ogłoszonym przez jakieś pismo kobiece. Postrzegano

go jako aktywnego intelektualistę, nowy typ inteligentnego posła, który dotychczas nie istniał na arenie politycznej Japonii.

Poprosiłem też o kupienie czasopisma, w którym publikował Noboru Wataya. Nie chcąc, by Cynamon zwrócił uwagę na jego nazwisko, dodałem jeszcze tytuły kilku innych czasopism. Cynamon spojrział na listę i bez większego zainteresowania schował ją do kieszeni marynarki. Następnego dnia położył na stole czasopisma razem z gazetami. Potem jak zwykle zabrał się do porządków przy muzyce klasycznej.

Wyciąłem artykuły autorstwa Noboru Watai oraz te, w których o nim pisano, i włożyłem je do papierowej teczki. Za ich pomocą próbowałem się zbliżyć do nowego człowieka - Noboru Watai jako polityka. Zapomniawszy osobiste urazy oraz nasze stosunki, których nie można określić mianem przyjemnych, postanowiłem pozbyć się uprzedzeń i próbować zrozumieć Noboru Watayę od zera, jako czytelnik.

Jednakże zrozumienie prawdziwej istoty tego człowieka okazało się trudne. Obiektywnie patrząc, jego poszczególne artykuły nie były złe - stosunkowo dobrze napisane i logicznie uzasadnione. Kilka było bardzo dobrze napisanych. Zręcznie uporządkował liczne informacje, zaproponował nawet coś w rodzaju wniosków. Było to o kilka klas lepsze niż zawikłany styl specjalistycznych artykułów, które pisał dawniej. Te przynajmniej były tak przystępne, że nawet ja mogłem je zrozumieć. Mimo to za tymi na pierwszy rzut oka jasnymi i prostymi zdaniami dostrzegłem cień arogancji człowieka wierzącego, że może każdego przejrzeć na wylot. Przeszył mnie dreszcz na widok ukrytej tam złej woli. Wyczuwałem ją, ponieważ znałem prawdziwego Noboru Watayę, widziałem w wyobraźni jego ostre, zimne spojrzenie i sposób mówienia, lecz zwykły czytelnik prawdopodobnie tego w tych zdaniach nie odnajdzie. Dlatego postanowiłem spróbować o tym nie myśleć i śledziłem tylko treść.

Choć czytałem bardzo starannie i próbowałem być obiektywny, za nic nie mogłem zrozumieć, co polityk Noboru Wa-

taya usiłuje naprawdę powiedzieć. Poszczególne wywody i argumenty były sensowne i logiczne, ale kiedy próbowałem je połączyć w całość i zastanowić się, co on chce przez to powiedzieć, gubiłem się. Łączyłem szczegóły na różne sposoby, lecz nie powstawał z nich jasny obraz całości. Ani w ząb. Widocznie nie doszedł do żadnych jasnych wniosków. I to ukrywa. Kiedy mu na rękę, uchyla trochę drzwi, wychodzi krok na zewnątrz i głośno coś do ludzi krzyczy. Kończy, wchodzi z powrotem do środka i dokładnie zamyka drzwi za sobą.

W artykule opublikowanym w pewnym czasopiśmie pisał, że wielkie ciśnienie wywołane ogromnymi regionalnymi różnicami ekonomicznymi nie może być wiecznie sztucznie powstrzymywane, często środkami politycznymi, i niedługo wywoła w strukturze świata zmiany przypominające skutki lawiny.

„I jeżeli w ten sposób worek pęknie, na świecie zapanuje wielki «bała-gan». Istniejący od dawna i uznawany za oczywisty wspólny dla całego świata język duchowy (tutaj chciałbym go nazwać «wspólną zasadą») przestanie funkcjonować albo prawie przestanie. Prawdopodobnie stworzenie przez nowe pokolenie nowej «wspólnej zasady» z tego chaosu zajmie dużo więcej czasu, niż wszyscy myślą. Jednym słowem mamy przed sobą długi, głęboki, niebezpieczny, zapierający dech w piersi chaos duchowy. I oczywiście, że wraz ze zmianami nadejdzie konieczność zreformowania od podstaw struktury politycznej i duchowej powojennej Japonii. W wielu dziedzinach sytuacja powróci do stanu białej, niezapisanej karty, rozpocznie się czystka na wielką skalę i budowanie od nowa - nastąpi to w dziedzinie polityki, ekonomii i kultury. Rzeczy dotąd uważane za oczywiste, i w które nikt nie wątpił, przestaną być oczywiste i szybko stracą swą słuszność. Jest to oczywiście szansa na metamorfozę państwa japońskiego. Lecz, o ironio, mając przed sobą taką szansę, nie posiadamy jednak wspólnej zasady, która powinna posłużyć jako wskaźnik tej «czystki». Naglącą potrzebę znalezienia wspólnej zasady wywołało to, że ją po prostu utraciliśmy. Zori-

entowaliśmy się w tym prostym fakcie i prawdopodobnie stoimy osłupiali w obliczu tego fatalnego paradoksu".

Był to dość długi wywód, ale można go było streścić mniej więcej następująco: zdaniem Noboru Watai realistycznie biorąc, aby działać, ludzie muszą mieć jakiś wskaźnik. Potrzebny jest przynajmniej prowizoryczny tymczasowy model zasady. Jedyny model, jaki Japonia może w tej chwili zaoferować, to „wydajność”. Jeżeli założyć, że tym, co przez długi czas zadawało ci-osy systemowi komunistycznemu i doprowadziło do jego upadku, była „ekonomiczna efektywność”, teraz, w okresie chaosu, być może rozciągamy ją na wszystko i stosujemy jako praktyczne kryterium. Chciałbym, żeby Czytelnicy zastanowili się nad tym, jak podnosi się wydajność? Czy po wojnie my, Japończycy, stworzyliśmy jakąś inną filozofię albo coś w rodzaju filozofii? Kiedy kierunek jest jasny, wydajność stanowi wielką siłę, lecz gdy takim być przestaje, wydajność w jednej chwili staje się bezsilna. Tak samo, kiedy statek rozbija się na morzu i zgubi kierunek, nic nie pomoże, że są na nim silni i wytrawni wioślarze. Wydajne posuwanie się w złym kierunku jest gorsze od stania w miejscu. Określenie prawidłowego jest możliwe tylko za pomocą zasady posiadającej wyższe funkcje. Lecz obecnie nam jej brakuje. Zdecydowanie brakuje.

W wywodach Noboru Watai była pewna siła przekonywania i trafność sądów. Musiałem to przyznać. Jednak choć przeczytałem artykuł kilka razy, nie wiedziałem, czego pragnie Noboru Wataya jako człowiek lub jako polityk. I co z tego, że nie wiedziałem?

W jednym z artykułów odwoływał się do Mandżukuo i ten przeczytałem z wielkim zainteresowaniem. Pisał o tym, jak pod koniec lat dwudziestych, przygotowując się na wojnę totalną z armią radziecką, armia cesarska zastanawiała się nad możliwością zgromadzenia wielkich ilości odzieży chroniącej przed zimą. Do tej pory nie toczyła prawdziwych walk w takich ekstremalnych warunkach temperaturowych jak na Syberii, toteż

przygotowanie do ochrony przed zimmem uważano za sprawę bardzo nagłą. Konflikty graniczne mogły nagle doprowadzić do wybuchu prawdziwej wojny z Rosją (więc trzeba to było brać pod uwagę), lecz nie zostały poczynione prawie żadne przygotowania, które umożliwiłyby żołnierzom toczenie walk zimą. Dlatego w sztabie głównym utworzono zespół do spraw potencjalnej wojny z Rosją, a w dziale kwatermistrzowskim prowadzono poważne studia nad specjalną odzieżą przeznaczoną do noszenia w niskich temperaturach. Aby zrozumieć, co oznacza prawdziwe zimno, członkowie zespołu pojechali w środku zimy aż na Sachalin i tam na okrutnym mrozie wypróbowali ocieplone buty, płaszcze i bieliznę, ubierając w nie pewien oddział żołnierzy. Przystudiowali też dokładnie ekwipunek używany aktualnie przez armię radziecką i odzież, której używali żołnierze napoleońscy w czasie kampanii rosyjskiej. W rezultacie doszli do wniosku, że „przy obecnym ekwipunku ocieplającym armia japońska nie będzie w stanie przetrwać syberyjskiej zimy”. Obliczyli, że około dwie trzecie żołnierzy na froncie odpadnie z walki z powodu odmrożeń. Ciepła odzież wojskowa została uszyta z myślą o nieco łagodniejszych zimach północnych Chin, a poza tym i tak było jej za mało w liczbach bezwzględnych. Zespół obliczył ilość owczej wełny potrzebnej do wyekwipowania dziesięciu dywizji w odpowiednio zabezpieczające ubrania (w zespole żartowano, że są tak zajęci liczeniem owiec, że nie mają prawie czasu na spanie), oszacował liczbę zakładów potrzebnych do przetworzenia tej wełny i sporządził raport.

W raporcie napisano, że w Japonii liczba owiec hodowanych na wełnę była niewątpliwie niewystarczająca, by umożliwić prowadzenie długotrwałej wojny ze Związkiem Radzieckim na terytoriach północnych, zwłaszcza gdyby Japonia była jednocześnie obiektem sankcji ekonomicznych czy wręcz blokady. Dlatego też na terenie Mongolii i Mandżurii koniecznie należało zapewnić stałe źródła zaopatrzenia w wełnę (również skóry królicze i inne), a także urządzenia i miejsca jej przetwarzania.

Stryj Noboru Watai pojechał do Mandżukuo zaraz po jego utworzeniu, w 1932 roku, w celu zbadania sytuacji na miejscu. Miał za zadanie obliczenie, jak szybko można by zorganizować taki system zaopatrzenia. Był młodym technokratą, który ukończył szkołę oficerską. Specjalizował się w kwatermistrzostwie i było to pierwsze zadanie, jakie mu powierzono. Potraktował problem odzieży chroniącej przed zimnem jako modelowy przypadek współczesnego kwatermistrzostwa i przeprowadził drobiazgową analizę matematyczną.

Kiedy był w Mukdenie, znajomy przedstawił go niejakiemu Kanji Ishi-harze, z którym we dwóch pili i dyskutowali przez całą noc. Objechawszy Chiny dookoła, Ishihara dowodził, bardzo zresztą logicznie i z wielkim przekonaniem, że trudno będzie uniknąć wojny totalnej ze Związkiem Radzieckim, lecz kluczem do jej pomyślnego zakończenia będzie wzmocnienie kwatermistrzostwa, innymi słowy szybkie uprzemysłowienie nowo powstałego Mandżukuo i stworzenie samowystarczalnej gospodarki. Podkreślał wagę sprowadzenia osadników z Japonii dla systematyzacji i zwiększenia wydajności rolnictwa i hodowli. Uważał też, że nie należy robić z Mandżukuo typowej kolonii jak Korea czy Tajwan, a raczej stworzyć nowy model państwa azjatyckiego. Był wielkim realistą, który uświadamiał sobie fakt, że w przyszłości Mandżukuo może stać się bazą zaopatrzeniową Japonii w wojnie ze Związkiem Radzieckim, a także na wypadek wojny z Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Wierzył, że w chwili obecnej Japonia jest jedynym krajem w Azji, który mógłby prowadzić wojnę z Europą Zachodnią (nazywał ją „wojną ostateczną”), i inne kraje, chcąc się wyzwolić spod panowania krajów europejskich, mają obowiązek z nią współpracować. W tamtych czasach wśród oficerów armii cesarskiej nie było niko-go, kto tak jak Ishihara interesowałby się kwatermistrzostwem i dorównywał mu erudycją. Większość żołnierzy uważała, że kwatermistrzostwo to „babska dziedzina”, że obowiązkiem „żołnierzy Jego Cesarskiej Mości” jest odważne rzucenie się w wir

walki, choćby nie było wystarczającego ekwipunku, że prawdziwe zasługi bojowe oddaje się, walcząc małą, źle uzbrojoną grupą z przeważającymi siłami wroga. Prawdziwie honorowe było uderzenie na wroga i parcie naprzód tak szybkie, że „zaopatrzenie nie nadąży”. Z punktu widzenia wybitnego technokraty Yoshitaki Watai, stryja Noboru, była to kompletna bzdura. Rozpoczynanie długotrwałej wojny bez odpowiedniego zaopatrzenia równało się samobójstwu. Związek Radziecki w rezultacie pięcioletniego planu gospodarczego Stalina ogromnie zwiększył uzbrojenie wojska i zmodernizował je. Trwająca pięć lat krwawa pierwsza wojna światowa zrujnowała system wartości Starego Świata i zmechanizowanie armii zmieniło europejskie pojęcie strategii i zaopatrzenia. Yoshitaka Wataya, który przez dwa lata stacjonował w Berlinie, przesiąkł tymi ideami i dobrze je rozumiał. Jednakże świadomość większości japońskich żołnierzy zatrzymała się na etapie upojenia zwycięstwem w wojnie japońsko-rosyjskiej.

Yoshitaka Wataya wrócił do Japonii zachwycony jasnymi wywodami logicznymi i światopoglądem, a także charyzmatyczną osobowością Ishihary, z którym przez długi czas pozostali w bliskich stosunkach. W późniejszych latach Yoshitaka Wataya kilkakrotnie jeździł na spotkania z Ishihara, który został mianowany komendantem fortecy w Maizuru. Jego wyczerpujący i dokładny raport na temat hodowli owiec na wełnę i możliwości jej przeróbki, złożony niedługo po powrocie do dowództwa, został bardzo wysoko oceniony. Jednak wkrótce, wskutek bolesnej porażki w bitwie pod Nomonhan w 1939 roku i wzmocnienia angielsko-amerykańskich sankcji ekonomicznych, uwaga armii stopniowo skierowała się na południe i działalność zespołu do spraw potencjalnej wojny z Rosją stopniowo wygasła. Dużą rolę w tym, że na początku jesieni szybko zakończono bitwę pod Nomonhan i że nie doprowadziła ona do wybuchu prawdziwej wojny, odegrał sucho i dobitnie wyrażony w raporcie pogląd zespołu, że „przy obecnym wyposażeniu niemożliwe jest prowadzenie



zimą wojny z Rosją". Gdy powiały jesienne wiatry, cesarska kwatera główna, której zwykle bardzo zależało na niena-rażaniu na szwank dobrego imienia armii japońskiej, po prostu wycofała się z wojny i w wyniku negocjacji dyplomatycznych oddała bezludny step Hulunbuir wojskom Mongolii i Związku Radzieckiego.

Noboru Wataya na początku opisał ten epizod, o którym opowiedział mu niedawno zmarły stryj, a potem używając idei logistyki jako modelu, pisał dalej o gospodarce regionalnej z punktu widzenia geopolityki. Mnie zainteresował fakt, że jego stryj był technokratą zatrudnionym w sztabie głównym armii japońskiej i miał pewien związek z Mandżukuo i Nomon-han. Po wojnie padł ofiarą czystki na stanowiskach publicznych przeprowadzonej przez armię okupacyjną MacArthura i przez pewien czas żył w odosobnieniu w rodzinnej Niigacie. Niedługo wytyczne czystki przestały obowiązywać i wrócił do świata polityki. Kandydował z ramienia Partii Konserwatywnej i przez dwie kadencje był członkiem wyższej izby parlamentu, a potem przeniósł się do izby niższej. W jego biurze wisiała kaligrafia autorstwa Kanji Ishihary. Nie wiedziałem, jakim był posłem, jakim politykiem. Raz otrzymał tekę ministra i w swoim okręgu miał wielkie wpływy, ale w końcu nie został liderem na skalę państwa. A teraz jego bazę wyborczą odziedziczył bratanek, Noboru Wataya.

Zamknąłem teczkę i schowałem ją do szuflady. Potem zaplotłem dłońe za głowę i bezmyślnie utkwilem wzrok w bramę za oknem. Już niedługo otworzy się do wewnątrz i ukaże się w niej mercedes prowadzony przez Cynamona. Jak zwykle przywiezie „klientkę”. Połączyło mnie z nią to znamię na twarzy. Jestem nim także połączony z dziadkiem Cynamona (a ojcem Galki). Dziadka Cynamona i porucznika Mamiyę łączy miasto Sinjing. Porucznika Mamiyę i wróżbitę, pana Hondę, łączy misja specjalna na granicy Mandżukuo i Mongolii. Pan Honda został przedstawiony mnie i Kumiko przez rodzinę Noboru Watai. A mnie z

porucznikiem Mamią łączy dno studni. Studnia porucznika Mamii jest w Mongolii, a moja w ogrodzie tej willi. Dawniej mieszkał tu dowódca Chińskiego Korpusu Ekspedycyjnego. Wszystko to łączyło się ze sobą i stanowiło jakby krąg, w którego środku mieściły się przedwojenne Mandżukuo, Chiny i bitwa pod Nomonhan w trzydziestym dziewiątym roku. Nie mogłem jednak zrozumieć, dlaczego oboje z Kumiko zostaliśmy zaplątani w ten historyczny ciąg przyczyn i skutków. Przecież to wszystko zdarzyło się dawno przed naszym urodzeniem. Usiadłem przy biurku Cynamona i położyłem palce na klawiaturze. Pamiętałem jeszcze, jak uderzałem w klawisze podczas rozmowy z Kumiko. Nie miałem wątpliwości, że Noboru Wataya kontrolował całą naszą komputerową rozmowę. Chciał się czegoś z niej dowiedzieć. Niemożliwe, żeby zorganizował tę rozmowę ze zwykłej życzliwości. A może korzystając z dostępu do poczty elektronicznej, chce się dostać z zewnątrz do komputera Cynamona i poznać jego tajemnice. Nie bardzo mnie to martwiło, ponieważ oprogramowanie komputera odzwierciedlało zawłość charakteru Cynamona. A oni raczej nie wiedzą o niezmierniej głębi Cynamona.

Zadzwoniłem do biura Ushikawy. Od razu odebrał.

- Ojej, pan Okada. Wspaniale pan trafił. Prawdę mówiąc, dosłownie dziesięć minut temu wróciłem z delegacji. Przyfrunąłem tu z lotniska Haneda taksówką (choć, prawdę mówiąc, był straszny korek), i jestem w takim pośpiechu, że nie mam prawie czasu nosa wydmuchać. Właśnie miałem złapać pod pachę dokumenty i znowu wyjść. Nawet taksówce kazałem poczekać. Zupełnie jakby pan specjalnie czekał z telefonem na tę chwilę. Kiedy zadzwonił, zadałem sobie pytanie: kto ma takie niezwykle szczęście? Ale właśnie, czym zasłużyłem sobie na ten telefon?

- Czy mógłbym dziś wieczorem porozmawiać z Noboru Watayą przez komputer?

- Z profesorem?- Ushikawa zapytał ostrożnie ściszym głosem

sem.

- Tak - odparłem.

- Nie przez telefon, a przez ekran komputera? Tak jak ostatnim razem?

- Tak jest - powiedziałem. - Myślę, że tak będzie nam obu łatwiej rozmawiać. Myślę również, że się zgodzi.

- Jest pan tego pewny.

- Pewny nie jestem. Po prostu tak mi się wydaje.

- Tak się panu wydaje - powtórzył cicho Ushikawa. - Przepraszam, że pozwalam sobie o to pytać: czy to, że coś się panu „wydaje”, często się sprawdza?

- Hm, nie wiem - odpowiedziałem, jakby mnie to nie dotyczyło.

Po drugiej stronie Ushikawa milczał, nad czymś się zastanawiając. Zdawało się, że coś szybko w myślach kalkulował. Dobry znak. Niezły. Nie jest to wyczyn równy zatrzymaniu obrotu Ziemi i pchnięciu jej w przeciwnym kierunku, ale doprowadzenie tego człowieka do tego, żeby choć na chwilę zamilkł, nie jest proste.

- Panie Ushikawa, jest pan tam? - zawołałem.

- Jestem, oczywiście - powiedział pospiesznie. - Jestem jak pies podwórzowy. Nigdzie sobie nie pójdę. Choćby padało, choćby kot zamiauczał, dzielnie pilnuję domu. Dobrze, rozumiem - znowu mówił normalnym głosem. - Dobrze, jakoś przycisnę profesora. Ale dziś to będzie jednak niemożliwe. Jeżeli może być jutro, daję tę łysą głowę, że się uda. Jutro o dziesiątej wieczorem położę poduszkę na krześle przed komputerem i posadzę na niej profesora. Co pan na to?

- Może być jutro - odpowiedziałem po chwili.

- To mała Ushikawa tak to załatwi. Ja przez cały rok coś organizuję. Wie pan co, panie Okada? Nie skarzę się, ale zmuszenie profesora do czegoś wbrew jego woli nie jest łatwe. Przypomina zatrzymanie ekspresu na innym dworcu. Jest bardzo zajęty człowiekiem. A to nagranie w telewizji, a to pisanie arty-

kułu, a to wywiad, a to spotkanie z wyborcami albo narada w parlamencie, a to je z kimś kolację, pracuje nieomal w odcinkach dziesięciminutowych. Codziennie takie zamieszanie, jakby przeprowadzka nałożyła się na remont. Jest bardziej zajęty niż nieudolny minister spraw wewnętrznych. Dlatego jak mu powiem: „Panie profesorze, jutro o dziesiątej wieczorem zadzwoni telefon, więc proszę usiąść przed komputerem i czekać”, na pewno nie usłyszę: „Co ty powiesz, Ushikawa! Bardzo się cieszę. Nie mogę się doczekać”.

- Zgodzi się - powtórzyłem.

- Po prostu tak się panu wydaje, co?

- Uhm.

- Dobrze, dobrze, to świetnie. To mnie bardzo podnosi na duchu - powiedział Ushikawa, jakby wpadł w dobry humor. - A więc tak ustaliliśmy i jutro o dziesiątej będziemy czekali. W zwykłym miejscu, o zwykłej porze, nasz sygnał; brzmi to zupełnie jak słowa piosenki. Proszę nie zapomnieć hasła. Bardzo przepraszam, ale muszę już iść. Czeka na mnie taksówka. Przepraszam. Naprawdę nie mam nawet czasu wytrzeć nosa.

Rozłączył się. Odłożyłem słuchawkę na widelki, jeszcze raz położyłem dłonie na klawiaturze. Wyobraziłem sobie, co jest po drugiej stronie czarnego martwego ekranu. Chciałem jeszcze raz porozmawiać z Kumiko. Ale najpierw muszę porozmawiać bezpośrednio z Noboru Watayą. Tak jak przepowiedziała mi kiedyś zaginiona jasnowidząca Malta Kano, zdawało się, że coś mnie łączy z Noboru Watayą i nie możemy żyć niezależnie od siebie. Czy ona w ogóle przepowiedziała mi coś pomyślnego? Nie mogłem sobie przypomnieć wszystkiego, co mówiła. Wydawała mi się tak daleka, jakby dzieliło nas pokolenie.

## **25. O tym, jak światło zmieniło się na czerwone, i o długich rękach, które się po nas wyciągają**

Kiedy następnego ranka Cynamon przyjechał o dziewiątej do „willi”, nie był sam. Na siedzeniu pasażera siedziała Gałka Aka-

saka. Ostatni raz była tu ponad miesiąc temu. Wtedy też przyjechała bez uprzedzenia, zjadła ze mną śniadanie, pogawędziłyśmy godzinę na różne tematy i odjechała.

Cynamon powiesił marynarke na wieszaku i słuchając Concerto grosso Haendla (słuchał tego bez przerwy przez trzy dni), zrobił w kuchni herbatę i grzanki dla Gałki, która jeszcze nie jadła śniadania. Przygotował piękne grzanki - nadawały się na wystawę. Potem jak zwykle zabrał się do sprzątanania kuchni, a ja z Gałką siedzieliśmy przy małym stole, pijąc herbatę. Gałka zjadła grzankę cienko posmarowaną masłem. Na dworze padał zimny deszcz, jakby zmieszany ze śniegiem. Prawie się nie odzywała, ja też milczałem. Trochę tylko porozmawialiśmy o pogodzie, lecz miałem wrażenie, że Gałka ma mi coś do powiedzenia. Poznałem to po jej sposobie mówienia i wyrazie twarzy. Rwała grzankę na kawałki wielkości znaczków pocztowych i powoli wkładała je do ust. Czasami patrzyliśmy na padający deszcz, jakby był naszym wspólnym starym znajomym.

Kiedy Cynamon skończył sprzątananie kuchni i zabrał się za pokoje, Gałka zaprowadziła mnie do „przymierzalni”. Pokój urządzone był dokładnie w tym samym stylu, co „przymierzalnia” w biurze w Akasaka. Jego kształt i wielkość też były mniej więcej takie same. W oknie wisiały podwójne zasłony i nawet w południe panował w nim półmrok. Cynamon rozsuwał je tylko na dziesięć minut w czasie porządków. Znajdowała się tu skórzana kanapa, na stole stał szklany wazon z kwiatami, była też wysoka lampa stojąca. Na środku pokoju stał duży stół krawiecki, na nim drewniane pudełko z nożycami, ścinkami, igłami i nitkami, a także ołówki, katalog z projektami (narysowano w nim nawet kilka modeli), a poza tym jakieś specjalistyczne narzędzia, których nazw ani przeznaczenia nie znałem. Na ścianie wisiało duże lustro. W kącie stał parawan służący do przebierania się. Klientki przybywające do „willi” były zawsze wprowadzane do tego pokoju.

Nie wiedziałem, z jakiej przyczyny stworzyli tu identyczną

„przymierzalnię”. W tym domu taki kamuflaż nie był potrzebny. A może sami (jak również klientki) za bardzo przywykli do atmosfery tamtej „przymierzalni” i nie mogli wymyślić innego stylu urządzenia tego wnętrza. Oni mogliby oczywiście odpowiedzieć na to pytaniem: „A dlaczego nie może być tak jak w tamtej przymierzalni?”. Ale bez względu na to, dlaczego został tak urządzony, pokój i tak mi się podobał. W końcu to „przymierzalnia”, a nie żaden inny pokój i otoczenie różnych przyborów krawieckich dziwnie mnie uspokajało. Było dość surrealistyczne, ale nie nienaturalne. Gałka posadziła mnie na skórzanej kanapie i usiadła obok.

- Jak się pan czuje?

- Nieźle - odpowiedziałem.

Miała na sobie intensywnie zielony kostium. Spódnica była krótka, rząd dużych, sześciokątnych guzików ciągnął się wzdłuż całego przodu żakietu, jak w dawnych koszulach Nehru. Ramiiona wypukłały poduszki wielkości kajzerek. Przypomniałem sobie dawno widziany film science fiction o niedalekiej przyszłości. Prawie wszystkie kobiety w tym filmie nosiły takie stroje i żyły w futurystycznych miastach.

W uszach miała plastikowe klipsy dokładnie w kolorze kostiumu. Był to szczególny odcień głębokiej zieleni uzyskany w rezultacie zmieszania kilku kolorów, więc niewykluczone, że klipsy zostały zrobione na zamówienie, by pasowały do kostiumu. A może kostium został dopasowany do klipsów? Tak jak robi się w ścianie wnękę na lodówkę. To też niezły pomysł. Mimo deszczu weszła do domu w okularach przeciwsłonecznych, których szkła też zdaje się były zielone. Rajstopy również zielone. Dziś musi być dzień zieleni.

Swymi zwykłymi, płynnymi ruchami wyjęła z torebki papierosa, wsadziła jednego do ust, lekko skrzywiła wargi i zapaliła zapalniczką. Zapalniczka nie była zielona, tylko ta, co zwykle: złota, kosztownie wyglądająca, lecz złoto dobrze pasowało do zieleni. Potem usiadła z założonymi, pokrytymi zielenią nogami.

Uważnie obejrzała oba kolana i obciągnęła spódnicę. Spojrzała na mnie, jakbym znajdował się na przedłużeniu jej kolan.

- Czuję się nieźle - powtórzyłem. - Jak zawsze.

Gałka skinęła głową.

- Nie jest pan za bardzo zmęczony? Nie chce pan trochę odpocząć?

- Nie, nie jestem zmęczony. Stopniowo przywykłem do tej pracy i idzie mi dużo łatwiej niż przedtem.

Gałka nic na to nie odpowiedziała. Dym wznosił się w górę prostą nitką jak zaczarowana lina indyjskiego zaklinacza węży i znikał wsysany przez wentylator na suficie. Był to najcichszy i najlepiej działający wentylator, jaki kiedykolwiek widziałem.

- A jak pani się miewa? - zapytałem.

- Ja?

- Pytam, czy nie jest pani zmęczona.

Gałka spojrzała na mnie.

- Wyglądam na zmęczoną?

Wydawała się zmęczona od czasu, gdy ją poznałem. Powiedziałem jej to, a ona westchnęła.

- W tygodniku, który ukazał się dziś rano, znowu napisali o tym domu. W serii „Tajemnice willi wisielców”. Brzmi to zupełnie jak tytuł jakiegoś horroru.

- To już drugi artykuł, prawda? - zapytałem.

- Tak, drugi w serii - odparła. - Prawdę mówiąc, ostatnio w innym piśmie też ukazał się artykuł o nas, ale na szczęście jeszcze nikt nie zauważył związku pomiędzy nimi. Przynajmniej na razie.

- I wyjaśniło się coś nowego? Na nasz temat?

Wzięła popielniczkę i starannie zgasiła papierosa. Potem lekko potrząsnęła głową. Para zielonych klipsów zatrzepotała jak skrzydła motyli na początku wiosny.

- Nie napisali nic ważnego - powiedziała. Potem chwilę odczekała. - Nikt jeszcze nie wie, kim jesteśmy i co tutaj robimy. Zostawię panu to pismo, więc proszę przeczytać, jeśli to pana

interesuje. Ale ktoś mi szeptnął, że pana szwagier jest słynnym młodym politykiem. Czy to prawda?

- To prawda. Niestety - powiedziałem. - To starszy brat żony.

- Starszy brat żony, która odeszła?- upewniła się.

- Tak.

- Czy ten szwagier ma jakieś pojęcie o tym, co pan tu robi?

- Wie, że codziennie tu przychodzi i coś robię. Wynajął kogoś i kazał mu się dowiedzieć. Zdaje się, że martwiło go to, co robię. Ale poza tym chyba jeszcze nic nie wie.

Gałka zastanawiała się przez chwilę nad moją odpowiedzią. Potem podniosła głowę i zapytała:

- Nie przepada pan za szwagrem, prawda?

- Rzeczywiście niezbyt go lubię.

- On też za panem nie przepada.

- Nie da się ukryć.

- I teraz martwi go to, co pan tu robi - powiedziała. - Dlaczego?

- Jeżeli szwagier Noboru Wataya będzie zamieszany w coś podejrzanego, skandal może i jego osiągnąć. Jest teraz u szczytu popularności, więc może to naturalne, że go martwi taka sytuacja.

- Czyli raczej nie ma możliwości, że to pana szwagier specjalnie przekazuje prasie wiadomości?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć. Ale na zdrowy rozum biorąc, nie przyniosłoby mu to żadnej korzyści. Raczej wolałby wszystko załatwić po cichu, nie włączając nikomu w oczy.

Gałka długo obracała w palcach cienką złotą zapalniczkę, która wyglądała jak złoty wiatraczek kręcący się na słabym wietrze.

- Dlaczego nic nam pan do tej pory o nim nie powiedział? - zapytała.

- Nie tylko wam nie powiedziałem. Ja zasadniczo nikomu o tym nie mówię - odparłem. - Od początku nasze stosunki źle się układały, a teraz praktycznie się nienawidzimy. Nie ukrywałem



tego. Po prostu uważałem, że nie muszę o nim mówić.

Gałka wydała długie westchnienie.

- Ale powinien pan być nam powiedzieć.

- Może i tak - przyznałem.

- Zapewne domyśla się pan, że wśród klientek, które tu przychodzą, są osoby związane ze światem polityki i finansów. Bardzo wpływowe osoby. I wiele różnych sławnych osobistości. Musimy za wszelką cenę chronić ich prywatność i przejmujemy się tym w stopniu nieomal przesadnym. Wie pan o tym, prawda?

Przytaknąłem.

- Z dużym nakładem czasu i sił Cynamon samodzielnie stworzył skomplikowany i precyzyjny system zachowania tajemnicy. Labirynt firm istniejących tylko na papierze, wielowarstwowy kamuflaż księgowości, zapewnienie absolutnie anonimowego miejsca na parkingu w Akasaka, surowy nadzór nad klientkami, kontrola przychodów i wydatków, projekt tej „willi”, wszystko zrodziło się w jego głowie. I do tej pory system działał nieomal idealnie, zgodnie z planem. Oczywiście, utrzymanie takiego systemu kosztuje. Ale problem nie leży w pieniądzu. Najważniejsze jest dla klientek poczucie, że są bezpieczne.

- I mówi pani, że system po trochu przestaje być pewny - powiedziałem.

- Niestety tak - odparła Gałka.

Wyjęła z pudełka papierosa, ale nie zapalała go, trzymała tylko między palcami.

- Do tego ja mam szwagra, który jest sławnym politykiem i przez to może być jeszcze większy skandal.

- Właśnie o to chodzi - powiedziała, lekko krzywiąc usta.

- A jak Cynamon widzi tę sytuację? - zapytałem.

- Milczy. Jak wielka ostryga na dnie morza. Zamknął się w sobie, zatrzasnął drzwi i nad czymś się poważnie zastanawia.

Oczy Gałki uważnie przyglądały się moim. Wkrótce, jakby sobie o nim przypomniawszy, zapaliła papierosa.

- Nawet teraz często o tym myślę. O moim mężu, który został

zamordowany. Dlaczego ktoś musiał go zabić, dlaczego umazał krwią cały pokój hotelowy, dlaczego wyciął i zabrał jego wnętrzności? Myślę i myślę, lecz ciągle nie rozumiem przyczyny. Mój mąż nie był człowiekiem, który zasłużył na takie szczególne morderstwo. Ale myślę nie tylko o śmierci męża, a także o innych, niewytłumaczalnych zdarzeniach mego życia - na przykład o tym, że narodziła się we mnie pasja projektowania ubiorów, a potem nagle znikła, o tym, że Cynamon przestał się w ogóle odzywać, że wplątałam się w taką dziwną pracę - mam wrażenie, że może to wszystko zostało od początku zρέcznie zaplanowane i zaprogramowane po to, żeby mnie tu doprowadzić. Nie mogę odpędzić tych myśli. Wydaje mi się, że kierują mną jakieś długie ręce, które się skądś wyciągają i że moje życie było tylko wygodnym tunelem dla wszystkich tych rzeczy.

Z sąsiedniego pokoju dobiegał cichy dźwięk odkurzacza. Jak zawsze Cynamon pracował starannie i metodycznie.

- Nigdy nie miał pan takiego uczucia? - zapytała Gałka.

- Nie uważam, że zostałem w coś wplątany. Jestem tu, bo było to potrzebne.

- Aby uratować panią Kumiko, grając na czarodziejskim flecie?

- Tak.

- Szuka pan czegoś - powiedziała, rozprostowując i znowu zakładając jedną na drugą nogi w zielonych rajstopach. - A wszystko ma swoją cenę.

Milczałem.

Gałka nagle przeszła do konkluzji.

- Przez pewien czas klientki nie będą przychodziły. Tak postanowił Cynamon. Przez ten artykuł w czasopiśmie i pojawienie się pana szwagra żółte światło zmieniło się na czerwone. Od dzisiaj wszystkie wizyty zostały odwołane.

- Jak długi będzie ten pewien czas?

- Aż Cynamon naprawi nadwątłony system i upewni się, że całkowicie uniknęliśmy niebezpieczeństwa. Przepraszam, ale

chcemy uniknąć nawet najmniejszego niebezpieczeństwa. Cynamon będzie przyjeżdżał tak jak do tej pory, lecz klientek nie będzie.

Kiedy odjechali, ustał padający od rana deszcz. Kilka wróbli z zapalem myło skrzydełka w kałuży na podjeździe. Mercedes zniknął, powoli zamknęła się za nim elektronicznie sterowana brama, a ja usiadłem przy oknie i wpatrywałem się w zimowe, zachmurzone niebo widoczne między gałęziami. Potem nagle przypomniałem sobie „wyciągające się skądś długie ręce”, o których mówiła Gałka. Wyobraziłem sobie, jak wylaniają się spomiędzy niskich ciemnych chmur. Zupełnie jak na jakiejś złowieszczej ilustracji z książki dla dzieci.

## **26. O dojrzałych owocach i o tym, co zostało zniszczone**

O dziewiątej pięćdziesiąt wieczorem usiadłem przed komputerem Cynamona i włączyłem go. Za pomocą haseł otworzyłem blokady i dostałem się do poczty elektronicznej. Potem czekając na nadejście dziesiątej, wpisałem na ekranie numer telefonu i wybrałem połączenie na koszt rozmówcy. Po kilku minutach na ekranie pojawił się komunikat, że rozmówca zgodził się na opłacenie rozmowy. I tak za pośrednictwem komputera miało dojść do spotkania między mną a Noboru Watayą. Ostatni raz rozmawiałem z nim zeszłego lata, kiedy umówiłem się z nim i z Małgą Kano w hotelu w Shinagawa, aby omówić sprawę Kumiko. Rozstaliśmy się w głębokiej nienawiści. Od tego czasu nie zamieniliśmy ani słowa. Wtedy nie był jeszcze politykiem, a ja nie miałem znamienia. Wydawało mi się nieomal, że zdarzyło się to w poprzednim życiu.

Najpierw wybrałem tryb wysyłania. Wziąłem głęboki oddech, jak przed serwowaniem w tenisie, i położyłem dłonie na klawiaturze.

Podobno chcesz, żebym zerwał stosunki z tą „willą”. Słyszałem, że pod tym warunkiem jesteś gotów kupić ziemię i dom, a

nawet jesteś skłonny rozmawiać o zwróceniu mi Kumiko. Czy to prawda?

Potem naciskam klawisz J oznaczający koniec wiadomości. Wkrótce przychodzi odpowiedź. Na ekranie szybko pojawiają się litery.

Chciałbym najpierw wyjaśnić nieporozumienie. To nie ja decyduję o tym, czy Kumiko do ciebie wróci. Ona sama musi zdecydować. Nie jest nigdzie uwięziona, jak sam miałeś okazję się przekonać w czasie wymiany wiadomości e-mailem. Jako krewny zapewniłem jej miejsce, w którym mogła znaleźć spokój, i daję jej jedynie tymczasową ochronę. Dlatego mogę tylko próbować ją przekonać i umożliwić wam rozmowę. I rzeczywiście zorganizowałem wam możliwość porozumienia się przez komputer. Nic innego nie mogę zrobić. J

Zmieniam tryb na wysyłanie.

Mój warunek jest bardzo prosty. Jeżeli Kumiko wróci, mogę się całkowicie wycofać z tego, co robię w „willi”. Jeżeli nie wróci, będę to robił dalej. To mój jedyny warunek. J

Odpowiedź Noboru Watai była prosta i zwięzła.

Jeszcze raz powtarzam - to nie jest transakcja. Położenie nie pozwala ci na stawianie mi warunków. Zasadniczo rozmawiamy tylko o możliwościach. Jeżeli wycofasz się z „willi”, ja spróbuję przekonać Kumiko, ale oczywiście nie jest pewne, że do ciebie wróci. A to dlatego, że jest niezależną, dorosłą osobą i nie mogę jej do niczego zmusić. Jeżeli jednak będziesz nadal tam chodził, możesz być pewien, że Kumiko nigdy do ciebie nie wróci. Nie ma co do tego wątpliwości. Gwarantuję ci to. J

Uderzam w klawisze.

Nie musisz mi niczego gwarantować. Dobrze wiem, co myślisz. Chcesz, żebym się wycofał z „willi”. Bardzo chcesz, żebym się wycofał. Jednak bez względu na to, co zrobię, nie masz zamiaru przekonywać Kumiko. Od początku nie zamierzałeś jej wypuścić z rąk. Czy nie mam racji? J

Od razu przychodzi odpowiedź.

Oczywiście masz stuprocentowe prawo myśleć, co chcesz. Nie mogę ci w tym przeszkodzić. J

Tak, mam prawo myśleć, co chcę. Piszę.

To nieprawda, że moje położenie nie pozwala mi na stawianie ci warunków. Bardzo cię martwi, co ja tutaj robię. Czy nie jesteś wściekły, ponieważ zupełnie nie masz pojęcia, co to może być?

J

Tym razem, chcąc mnie zirytować, Noboru Wataya kazał mi długo czekać. Specjalnie pokazuje, że się nie spieszy.

Myślę, że bardzo się mylisz, co do swego położenia. A ściślej mówiąc, przeceniasz swoje siły. Nie wiem, co tam właściwie robisz, i specjalnie mnie to nie obchodzi. Ze względu na swoją pozycję po prostu nie chciałem zostać zaplątany w jakąś głupią aferę i dlatego pomyślałem, że dołożę wszelkich starań w sprawie Kumiko. Ale jeżeli z miejsca odrzucasz moją propozycję, mnie to nie robi specjalnej różnicy. Od tej chwili będę sam dbał o swoje interesy, bez związku z tobą. Będzie to więc nasza ostatnia rozmowa i prawdopodobnie nigdy już nie będziesz miał okazji rozmawiać z Kumiko. Jeżeli nie masz nic innego do powiedzenia, to chciałbym już skończyć tę rozmowę. Mam się jeszcze z kimś spotkać. J

Nie, jeszcze nie skończyłem!

Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy. Ostatnim razem powiedziałem Kumiko, że powoli, po trochu zbliżam się do sedna tej sprawy. Przez ostatnie półtora roku zastanawiałem się, dlaczego musiała odejść. Podczas gdy ty stałeś się politykiem i robiłeś się coraz sławniejszy, ja w ciemnym cichym miejscu bawiłem się w domysły. Rozważałem różne możliwości i tworzyłem hipotezy. Jak wiesz, jestem niezbyt rożgarnięty, ale miałem mnóstwo czasu i naprawdę przemyślałem różne rzeczy. I w pewnym momencie doszedłem do następującego wniosku: za tym, że Kumiko nagle odeszła, kryje się jakaś wielka tajemnica i tak długo, jak jej nie rozwiklam, Kumiko rzeczywiście do mnie nie wróci. Sądzę, że ty dzierżysz klucz do tej tajemnicy. Powiedziałem ci to,

kiedy widzieliśmy się latem zeszłego roku. Że wiem, co się kryje pod twoją maską i jeżeli mi przyjdzie ochota, mogę to wyciągnąć na światło dzienne. Szczerze mówiąc, wtedy blefowałem, nie miałem podstaw, by to mówić. Próbowałem tylko cię przestraszyć. Ale miałem rację. Stopniowo zbliżam się do prawdy, którą ukrywasz, i ty to pewnie czujesz. Dlatego martwi cię to, co robię, i jesteś gotów wydać wielkie pieniądze, żeby kupić tę posesję. No i co, mam rację? J

Była kolej Noboru Watai. Założyłem ręce i wodziłem wzrokiem po pojawiających się na ekranie literach.

Nie bardzo rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Jakoś mam wrażenie, że posługujemy się różnymi językami. Jak ci wcześniej mówiłem, Kumiko zniechęciła się do ciebie, znalazła sobie innego mężczyznę i w rezultacie odeszła. Teraz pragnie rozwodu. Niefortunnie się złożyło, ale to się często zdarza. A mimo to ty wymyślasz jeden po drugim jakieś dziwne argumenty i sam komplikujesz całą sprawę. To tylko strata czasu dla wszystkich.

Tak czy inaczej, nie ma mowy o odkupywaniu od ciebie tej posesji. Ta propozycja niestety nie jest już aktualna. Pewnie wiesz, że w tygodniku, który ukazał się dziś rano, pojawił się drugi artykuł o „willi”. Wygląda na to, że to miejsce zaczęło przyciągać uwagę i teraz wolę już go nie tykać. Poza tym zgodnie z moimi informacjami to, co tam robisz, dobiega końca. Podobno spotykasz się z licznymi wiernymi czy też klientami, dajesz im coś, a w zamian otrzymujesz pieniądze. Ale pewnie już więcej nie przyjdą. Zrobiło się to zbyt niebezpieczne. A skoro ludzie nie przyjdą, nie będzie też pieniędzy. W takim przypadku nie będziesz mógł spłacać długu i prędzej czy później będziesz musiał wypuścić to miejsce z rąk. Wystarczy, że na to poczekam, tak jakbym czekał, aż spadnie z drzewa dojrzały owoc. Czy nie mam racji? J

Teraz na mnie przyszła kolej zwlekania. Napilem się wody ze szklanki i kilka razy przeczytałem, co napisał. Potem powoli za-

cząłem poruszać palcami na klawiaturze.

Rzeczywiście nie wiem, jak długo uda mi się utrzymać ten dom. Masz rację. Ale minie jeszcze kilka miesięcy, zanim skończą mi się fundusze. Do tego czasu mogę dużo zrobić. Mogę zrobić rzeczy, których się nie spodziewasz. To nie jest błąd. Dam ci przykład. Nie miałaś ostatnio nieprzyjemnych snów? J

Milczenie Noboru Watai emanuje z ekranu jak pole magnetyczne. Wyostrzam zmysły i wpatruję się w ekran. Staram się choć trochę poczuć, jak drży po tamtej stronie ekranu.

Wkrótce na ekranie pojawiają się litery.

Przykro mi, ale czcze pogrożki nie robią na mnie wrażenia. Lepiej zapisz te bezsensowne głupoty w notesie i zachowaj dla swoich hojnych klientów. Na pewno wszyscy obleją się zimnym potem i dużo ci zapłacą. Zakładając, że jeszcze kiedyś tam wrócą. Dalsza rozmowa na nic się nie zda. Chciałbym już ją skończyć. Jak przed chwilą mówiłem, jestem zajęty. J

Odpisuję.

Poczekaj chwilę. Uważnie posłuchaj tego, co powiem. To dobra propozycja, więc na pewno na tym nie stracisz. Mogę cię wyzwolić od tego snu. Prawdopodobnie dlatego zaproponowałeś wymianę, prawda? Mnie wystarczy, że Kumiko do mnie wróci. To jest transakcja, którą ja proponuję. Nie uważasz, że jest korzystna?

Rozumiem, że masz ochotę mnie całkowicie zignorować. Rozumiem też, że nie chcesz prowadzić ze mną żadnych pertraktacji. Masz stuprocentowe prawo myśleć, co chcesz. Nie mogę ci w tym przeszkodzić. Rzeczywiście z twojego punktu widzenia jestem nieomal zerem. Ale niestety nie kompletnym. Na pewno masz dużo większe możliwości niż ja. Ja to przyznaję. Ale kiedy przychodzi noc, musisz spać, a jeśli śpisz, zawsze masz sny. Gwarantuję ci to. I nie możesz sam wybrać sobie snów. Prawda? Mam pytanie: ile razy co noc zmieniasz piżamę? Pewnie tyle, że nie nadaża się z praniem.

Dałem odpocząć rękom, wziąłem oddech i powoli wypuści-

łem powietrze. Jeszcze raz przeczytałem to, co napisałem. Poszukałem dalszych słów. Czuję obecność ciemności za ekranem, obecność czegoś wijącego się bezszelestnie w jakimś worku. Zbliżam się tam za pośrednictwem komputera.

Teraz mniej więcej orientuję się, co zrobiłaś starszej siostrze Kumiko. Nie kłamię. Konsekwentnie zniszczyłaś do tej pory różne osoby i pewnie dalej będziesz niszczyć, ale nie możesz uciec od snów. Dlatego lepiej się poddaj i zwróć mi Kumiko. Życzę sobie tylko tego jednego. I lepiej już przede mną niczego nie „udawaj”. To nie ma sensu, bo stale zbliżam się do tajemnicy ukrytej pod twoją maską. Pewnie w głębi serca się tego boisz. Lepiej się nie oszukiwać.

Wcisnąłem klawisz zakończenia wiadomości J i prawie jednocześnie Noboru Wataya przerwał połączenie.

## **27. O trójkątnych uszach i dzwoneczkach u sań**

Nie musiałem się spieszyć z powrotem do domu. Spodziewałem się, że późno wrócę, więc rano przed wyjściem dałem Łososiowi podwójną porcję jedzenia. Mogło mu się to nie podobać, ale przynajmniej nie będzie głodny. Kiedy pomyślałem o spacerze uliczką, przełazeniu przez ogrodzenie i wracaniu do domu, nagle mi się tego odechciało. Szczerze mówiąc, nie byłem nawet pewien, czy uda mi się przejść przez ogrodzenie. Czuję się całkowicie wyczerpany rozmową z Noboru Watayą. Byłem strasznie ociężały i nie mogłem nawet zebrać myśli. Dlaczego ten człowiek zawsze tak mnie męczy? Miałem ochotę się położyć i przespać. Mogę się tu zdrzemnąć, a potem wrócę do domu.

Wyjąłem z szafki koc i poduszkę, posłałem sobie na kanapie w „przymierzalni”, zgasilem światło, położyłem się i zamknąłem oczy. Usypiając, pomyślałem chwilę o Łososiu. Chciałem zasnąć, myśląc o kocie. Wrócił do mnie. Był czymś, co wróciło do mnie z daleka. To musi być jakiś rodzaj błogosławieństwa. Z zamkniętymi oczami myślałem o miękkich poduszczykach na



kocih łapkach, o zimnych, trójkątnych uszach, o różowym języczku. W mojej świadomości Łosoś zwinął się w kłębek i spokojnie zasnął. Czujęm dłonią jego ciepło i słyszałem regularny oddech. Byłem bardziej zdenerwowany niż zwykle, lecz sen wkrótce nadszedł. Był głęboki i nic mi się nie śniło.

O północy nagle się obudziłem. Zdawało mi się, że z oddali dobiega głos dzwonek u sań, jakby gdzieś w tle grała muzyka bożonarodzeniowa.

Dzwonki u sań?

Podniosłem się z kanapy i wymacałem leżący na stole zegarek. Fosforyzujące wskazówki pokazywały pół do drugiej. Zasnąłem mocniej, niż się spodziewałem. Wyteżyłem słuch. Słyszałem, jak serce mi bije, wydając suchy dźwięk - stuk puk, stuk puk. Musiało mi się wydawać. Może jednak miałem jakiś sen. Postanowiłem na wszelki wypadek rozejrzeć się po pokoju. Podniosłem z podłogi spodnie, włożyłem je i tłumiąc dźwięk kroków, poszedłem do kuchni. Kiedy wyszedłem z pokoju, dźwięk stał się wyraźniejszy. Brzmiał jak dzwonek u sań. Zdawało się, że dobiega z pokoju Cyna-mona. Stałem chwilę przed drzwiami i nasłuchiwałem, potem zapukałem. Może Cynamon wrócił, kiedy spałem. Nie było odpowiedzi. Uchyliłem drzwi i zajrzałem przez szparę do środka.

W ciemności na wysokości moich bioder unosiła się plama białego światła. Miała kształt kwadratu. Było to światło z ekranu komputera. Dźwięk dzwonek był powtarzającym się mechanicznie pikaniem maszyny (to nowy rodzaj pikania, jakiego jeszcze nie słyszałem). Komputer mnie wzywał. Jakby coś mnie do tego popychało, usiadłem przed tym światłem i przeczytałem komunikat na ekranie.

Otworzyłeś program „Kronika ptaka nakręcacza”. Wybierz numer dokumentu od 1 do 16.

Ktoś włączył komputer i stworzył program o nazwie „Kronika ptaka nakręcacza”. W domu nie ma chyba nikogo prócz mnie. Czy można sterować komputerem na odległość? Jeżeli

tak, to jedynym człowiekiem, który mógł to zrobić, jest Cynamon.

„Kronika ptaka nakręcacza”?

Wesołe pikanie przypominające dzwonki u sań nie ustawało. Zupełnie jak rano w dzień Bożego Narodzenia. Zdawało się, że to ode mnie domaga się wybrania dokumentu. Wahaniem się przez chwilę, a potem bez żadnego szczególnego powodu wybrałem numer 8. Natychmiast ustało pikanie i na ekranie pojawił się tekst, rozwinął się jak ilustrowany zwój.

## **28. Kronika ptaka nakręcacza # 8 (albo o drugiej nieudolnej masakrze)**

Weterynarz obudził się przed szóstą rano, umył twarz zimną wodą i przygotował sobie śniadanie. Latem wcześniej robiło się widno i większość zwierząt w zoo już nie spała. Przez otwarte okno jak zwykle słychać było ich głosy, a wiatr przynosił ostrą woń. Na podstawie brzmienia tych głosów i woni weterynarz potrafił, nie wyglądając przez okno, zgadnąć, jaka jest pogoda. Był to jeden z jego porannych nawyków. Wyteżał słuch, wciągał nosem powietrze i przyzwyczajał się do nowego dnia.

Lecz dziś powinno być inaczej niż wczoraj. Oczywiście, że musiało być inaczej. Przepadło wiele głosów i zapachów. Tygrysy, lamparty, wilki i niedźwiedzie zostały wczoraj zlikwidowane, wyeliminowane przez żołnierzy. Na drugi dzień te wydarzenia wydały mu się częścią jakiegoś męczącego, złego snu, lecz niewątpliwie miały miejsce w rzeczywistości. W uszach pozostał mu jeszcze lekki ból wywołany hukami strzałów. Nie mógł to być sen. Jest sierpień tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, weterynarz jest w mieście Sinjing, do którego po przekroczeniu granicy zbliżają się z godziny na godzinę radzieckie oddziały. Jest to tak samo rzeczywiste, jak umywalka i szczotka do zębów.

Usłyszał trąbienie słoni i poczuł ulgę. Tak, przecież słonie jakoś przetrwały. Myjąc twarz, pomyślał, że na szczęście dowod-

zający oddziałem młody porucznik był na tyle ludzki, że na własną odpowiedzialność skreślił słonie z listy zwierząt do likwidacji. Od przyjazdu do Mandżurii weterynarz poznał wielu młodych oficerów, którzy byli fanatycznymi formalistami, i zawsze go to odstręczało. Większość z nich pochodziła z chłopskich rodzin, dorastali w skrajnej biedzie wywołanej złą sytuacją ekonomiczną lat trzydziestych i wpojono im oparty na megalomanii pogląd na własne państwo. Bez pytania wykonywali każdy rozkaz przełożonych. Gdyby kazano im w imię Jego Cesarskiej Mości wykopać tunel prosto do Brazylii, od razu chwyciliby łopaty i zabrali się do pracy. Niektórzy nazywali to „czystością umysłu”, lecz weterynarzowi nasuwało się inne określenie. Tak czy inaczej, w porównaniu z kopaniem tunelu do Brazylii zastrzelenie dwóch słoni z karabinu było łatwym zadaniem. Weterynarz, który był synem lekarza i odebrał edukację w stosunkowo liberalnej atmosferze lat dwudziestych i początku trzydziestych, za nic nie mógł się z nimi dogadać. W słowach porucznika dowodzącego plutonem egzekucyjnym też dały się słyszeć lekkie naleciałości gwarowe, lecz był o wiele porządniejszym człowiekiem niż inni młodzi oficerowie. Wydawał się wykształcony i rozsądny. Widać to było w jego sposobie mówienia i zachowaniu.

Przynajmniej nie zabił słoni i za to trzeba być wdzięcznym, mówił sobie weterynarz. Żołnierze też pewnie odetchnęli z ulgą, nie musząc ich zabijać. Ale może pracownicy chińscy tego żalowali. Gdyby słonie zginęły, dostałoby im się dużo mięsa i kłów.

Weterynarz zagotował wodę w czajniku, zwilżył twarz gorącym ręcznikiem i ogolił się. Potem wypił herbatę, zrobił grzanki i zjadł je z masłem. Choć zaopatrzenia w Mandżurii nie można było nazwać wystarczającym, to na szczęście dla niego i dla zwierząt było ono jeszcze stosunkowo dobre. Zwierzęta denrowowały się zmniejszonymi porcjami karmy, lecz sytuacja była o wiele lepsza niż w ogrodach zoologicznych w Japonii, gdzie zabrakło już pożywienia. Nikt nie wiedział, co będzie da-

lej, ale przynajmniej na razie ani zwierzęta, ani ludzie nie cierpieli dotkliwego głodu.

Zastanawiał się, co mogą teraz robić żona i córka. Jeżeli wszystko poszło zgodnie z planem, pociąg, którym odjechały, powinien już dotrzeć do Pusanu w Korei. Mieszkał tam jego pracujący na kolei kuzyn z rodziną, i żona z córką miały się u niego zatrzymać do czasu, gdy uda im się dostać na transportowiec płynący do Japonii. Zateśknął za nimi, gdy obudziwszy się rano, nie znalazł ich w mieszkaniu. Nie słyszał ich wesołej rozmowy towarzyszącej przygotowywaniu śniadania, dom stał się pusty i cichy. Nie był to już dom rodzinny, który kochał, jego miejsce. Jednocześnie czuł rodzaj dziwnej radości, że pozostawiono go samego w pustym mieszkaniu służbowym. Czuł w sobie wyraźnie niewzruszoną siłę tak zwanego „losu”.

Los był chorobą, na którą przyszło mu w życiu cierpieć. Od dzieciństwa miał dziwnie jasne poczucie, że „żyje, bo postanowiła tak jakaś zewnętrzna siła”. Może było to z powodu siniego znamienia na prawym policzku. Kiedy był mały, gwałtownie nienawidził tej przypominającej pieczęć plamy, której inni nie mieli, a miał tylko on. Pragnął umrzeć za każdym razem, gdy koledzy się z niego wyśmiewali albo obcy się na niego gapili. Chciał to znamię wyciąć i wyrzucić. Lecz dorastając, powoli nauczył się je spokojnie akceptować jako coś, „co musi zaakceptować”, jako część siebie, której nie może się pozbyć. Stało się, być może, jednym z czynników, które ukształtowały jego fatalistyczną rezygnację w podejściu do losu.

Zwykle siła losu zabarwiała tylko kontury jego życia, jak cichy, monotony, basowy akompaniament. W codziennym życiu bardzo rzadko uświadamiał sobie jej istnienie, lecz czasami z jakiegoś powodu (nie wiedział, co to był za powód, nie dostrzegał w tym żadnych reguł) siła ta wzmagala się nagle i wprawiała go w stan bliskiej paraliżowi, głębokiej rezygnacji. W takich chwilach odrzucał wszystko i poddawał się tylko nurtowi. Z doświadczenia wiedział, że nic się nie zmieni bez względu na to, co

zrobi czy pomyśli. Los zawsze weźmie, co do niego należy, i nie spocznie, dopóki tego nie dostanie. Był tego pewien.

To bynajmniej nie znaczyło, że stał się biernym, pozbawionym żywotności człowiekiem. Był raczej stanowczy. Gdy raz podjął jakąś decyzję, wprowadzał ją w życie. Pod względem zawodowym był bardzo zdolnym weterynarzem i pełnym pasji nauczycielem. Nieco brakowało mu twórczej iskierki, ale od dziecka wyróżniał się w nauce i został nawet wybrany przewodniczącym klasy. W pracy też zwracał uwagę i młodsi koledzy go szanowali. Choć nie był tak zwanym fatalistą w powszechnie rozumianym znaczeniu, od urodzenia nigdy nie czuł, że sam o czymś subiektywnie decyduje, zawsze wydawało mu się, że „los zmusza go do decyzji, która losowi odpowiada”. Nawet kiedy postanawiał, że tym razem sam o czymś zdecyduje, zawsze potem uświadamiał sobie, że jednak zmusiła go do decyzji zewnętrzna siła. Była jedynie zręcznie zakamuflowana jako „wolna wola”, stanowiła przynętę mającą na celu oswojenie go. A może jego subiektywne decyzje dotyczyły tylko spraw w rzeczywistości nieważnych i drobnych. Czuł się jak tytułarny, marionetkowy monarcha zmuszany do przybijania pieczęci przez regenta sprawującego rzeczywistą władzę. Zupełnie jak cesarz Mandzuku.

Weterynarz bardzo kochał żonę i córkę. Uważał, że są najwspanialszą częścią jego życia. Szczególnie nie widział świata poza córką. W duchu myślał, że chętnie oddałby za nie życie. Wielokrotnie wyobrażał sobie, że za nie umiera. Zdawało mu się, że byłaby to niezwykle słodka śmierć. Lecz jednocześnie zdarzało się, że gdy wracał po pracy do domu, na widok córki i żony doznawał wrażenia, że są oddzielnymi, niezwiązanymi z nim istotami.

Zdawało mu się, że istnieją bardzo daleko od niego, są czymś nieznanym. Wtedy myślał, że przecież tych kobiet też sam nie wybrał, a kochał je bardzo głęboko, bezwarunkowo i bez żadnej rezerwy. Był to wielki paradoks, sprzeczność, której nigdy nie

uda mu się zrozumieć (a przynajmniej tak mu się wydawało).

Kiedy został zupełnie sam w służbowym mieszkaniu w ogrodzie zoologicznym, jego świat stał się znacznie prostszy i łatwiejszy do zrozumienia. Musi myśleć tylko o opiece nad zwierzętami. Żona i córka odjechały. Nie potrzebuje na razie zaprzętać sobie tym głowy. Został sam na sam z losem, nikt im nie przeszkadza.

W sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku miasto Sinjing było zdane na łaskę wszechpotężnego losu. To właśnie los, a nie Armia Kwantuńska, armia radziecka, wojska partii komunistycznej czy wojska Kuomintangu, odegrał tu największą rolę i przygotowywał się do odegrania jeszcze większej. Było to jasne dla każdego. Siła jednostki nie miała prawie żadnego znaczenia. Ten los pograżył wczoraj tygrysy, lamparty, wilki i niedźwiedzie, a uratował słonie. Nikt nie mógł przewidzieć, co jeszcze pograży, a co uratuje.

Weterynarz wyszedł z mieszkania i przygotował poranny posiłek dla zwierząt. Zakładał, że nikt nie przyjdzie do pracy, lecz w biurze czekało na niego dwóch nieznanym chińskich chłopców. Trzynasto- lub czternastoletni, byli szczupli, mieli ciemną cerę i zerkali na boki, czujni jak zwierzęta. Powiedzieli, że kazano im przyjść i pomóc panu doktorowi. Weterynarz skinął głową. Zapytał, jak się nazywają, lecz nie odpowiedzieli. Nawet nie mrugnęli okiem, jakby byli głusi. To oczywiste, że przysłali ich Chińczycy, którzy do wczoraj pracowali w zoo. Prawdopodobnie przewidując zerwali kontakty z Japończykami, ale pomyśleli, że dzieciom nikt nic nie robi. Był to wyraz ich dobrej woli w stosunku do weterynarza. Wiedzieli, że sam nie da rady zając się wszystkimi zwierzętami.

Weterynarz dał chłopcom po dwa herbatniki, a potem wspomagany przez nich zabrał się do rannego karmienia zwierząt. Szli od klatki do klatki z wózkiem ciągniętym przez muła, karmili zwierzęta i zmieniali im wodę do picia. Sprzątanie klatek nie wchodziło w rachubę. Spłukali szlauchem odchody, ale na

więcej nie było czasu ani sił. Ogród i tak był nieczynny, więc nikt nie będzie narzekał na fetor.

Było mniej roboty dzięki zniknięciu tygrysów, lampartów, niedźwiedzi i wilków. Podawanie pożywienia wielkim mięsożernym zwierzętom to ciężka, a zarazem niebezpieczna praca. Choć trudno było weterynarzowi przechodzić obok pustych klatek, po cichu czuł też ulgę z powodu zniknięcia zwierząt.

Zaczęli karmienie o ósmej, a skończyli po dziesiątej. Weterynarz był wyczerpany wysiłkiem. Po zakończeniu karmienia chłopcy zniknęli gdzieś bez słowa, a on wrócił do biura i powiadomił dyrektora, że zakończono poranne prace.

Przed południem znowu przyszedł do ogrodu ten sam porucznik z tymi samymi ośmioma żołnierzami. Byli w pełnym uzbrojeniu i gdy się zbliżali, z daleka dał się słyszeć szcęk metalu. Ich mundury pociemniały od potu. Wśród drzew znowu głośno śpiewały cykady. Lecz dziś żołnierze nie przyszli zabijać zwierząt. Porucznik zasalutował krótko dyrektorowi i powiedział, że chciałby się dowiedzieć, ile jest w zoo nadających się do użytku wózków i koni pociągowych. Dyrektor odpowiedział, że obecnie został tylko jeden muł i jeden wózek, ponieważ dwa tygodnie wcześniej oddał ciężarówkę i dwa konie dla wojska. Porucznik skinął głową i powiedział, że zgodnie z rozkazem dowództwa Armii Kwantuńskiej w dniu dzisiejszym rekwiruje muła i wózek.

- Proszę zaczekać - wtrącił się pospiesznie weterynarz. - Są potrzebne do porannego i wieczornego karmienia zwierząt. Wszyscy mandżurscy pracownicy zniknęli. Bez muła i wózka zwierzęta umrą z głodu. Nawet teraz ledwo dajemy sobie radę.

- Teraz wszyscy ledwo dają sobie radę - odparł porucznik. Miał czerwone oczy, a twarz pokrywał mu ciemny nieogolony zarost. - Dla nas najważniejszą sprawą jest obrona stolicy. Jeżeli nie będzie innego wyjścia, proszę je wypuścić z klatek. Niebezpieczne zwierzęta drapieżne już zlikwidowaliśmy, a inne nie będą stanowiły zagrożenia publicznego. To jest rozkaz wojska.

Proszę podjąć stosowne dalsze decyzje.

Bez dyskusji żołnierze zabrali muła i wózek. Po ich odejściu dyrektor i weterynarz spojrzeli sobie w oczy. Dyrektor napił się herbaty, pokręcił głową, lecz nic nie powiedział.

Żołnierze wrócili po czwartej z wózkiem ciągniętym przez muła. Wózek był załadowany i pokryty brudnym, wojskowym brezentem. Spocony muł dyszał z wysiłku i gorąca. Ośmiu żołnierzy prowadziło pod bagnetami czterech Chińczyków. Każdy z więźniów miał około dwudziestu lat, ubrani byli w jednakowe stroje baseballowe i mieli ręce związane z tyłu. Musieli zostać strasznie pobici, gdyż ich twarze pokrywały czarne sińce. Jednemu tak spuchło prawe oko, że stało się prawie niewidoczne, drugi miał na koszulce plamy krwi z rozbitej wargi. Na koszulkach nie było napisów, tylko widoczne ślady po oderwanych nazwiskach. Na plecach znajdowały się numery i ci czterej byli zawodnikami numer 1, 4, 7 i 9. Weterynarz nie wiedział, dlaczego w tych krytycznych dniach żołnierze przyprowadzili do zoo ubranych w stroje baseballowe i strasznie pobitych Chińczyków. Wyglądało to na scenę namalowaną przez nienormalnego malarza, wytwór wyobraźni, który nie mógł się zdarzyć w rzeczywistości.

Porucznik zapytał dyrektora, czy mógłby im pożyczyć łopaty i kilofy. Jego twarz wydawała się jeszcze bardziej wychudła i bledsza niż rano. Weterynarz zaprowadził ich do składziku za biurem. Porucznik wybrał dwie łopaty oraz dwa kilofy i kazał żołnierzom je zabrać. Potem powiedział weterynarzowi, żeby z nim poszedł w zarośla przy alejce. Weterynarz postąpił zgodnie z poleceniem. Spod nóg porucznika wyskakiwały, cykając, duże pasikoniki. W powietrzu unosił się zapach trawy, jak latem. Z ogłuszającym śpiewem cykad od czasu do czasu mieszało się jakby ostrzegawcze trąbienie słonia.

Porucznik szedł bez słowa między drzewami, aż znalazł coś w rodzaju niewielkiej polany. Miała na niej zostać zbudowana zagroda dla małych zwierząt, z którymi mogłyby się bawić dzieci,



jednak z powodu pogorszenia sytuacji na wojnie zabrakło materiałów budowlanych i plan został odłożony na przyszłość. Wycięto drzewa i oczyszczono grunt, tworząc pusty plac. Słońce oświetlało to miejsce, zupełnie jakby było jakąś sceną. Porucznik przystanął pośrodku i rozejrzał się. Potem podeszwą wojskowego buta obrócił parę grudek ziemi.

- Przez pewien czas będziemy przebywać w tym ogrodzie - powiedział, kucając i nabierając w garść ziemi.

Weterynarz w milczeniu skinął głową. Nie rozumiał przyczyny, dla której żołnierze mieliby przebywać w ogrodzie zoologicznym, lecz postanowił powstrzymać się od zadawania pytań. Żołnierzy lepiej o nic nie pytać - to zasada, której nauczyło go doświadczenie w Sinjing. W wielu wypadkach pytania tylko denerwowały żołnierza, a i tak nie uzyskiwało się porządnej odpowiedzi.

- Najpierw wykopiemy tu duży dół - powiedział porucznik, jakby do siebie. Potem podniósł się, wyjął z kieszeni na piersi papierosy i włożył jednego do ust. Poczęstował też weterynarza i przypalił oba zapalką. Palili przez chwilę, chcąc wypełnić milczenie. Porucznik znowu przesuwał but po ziemi. Narysował jakąś figurę, a potem ją starł.

- Gdzie się pan urodził? - spytał weterynarza.

- W prefekturze Kanagawa. W miejscowości Ofuna, niedaleko morza.

Porucznik pokiwał głową.

- A pan porucznik skąd pochodzi? - zapytał weterynarz.

Nie było odpowiedzi. Porucznik zmrugał oczy i wpatrywał się w unoszący się spomiędzy palców dym. Dlatego nie ma sensu zadawać pytań żołnierzom, pomyślał znowu weterynarz. To oni zawsze zadają pytania, lecz nigdy na żadne nie odpowiadają. Nie odpowiedzieliby pewnie, nawet gdyby zapytać, która godzina.

- Jest tam wytwórnia filmowa - powiedział porucznik.

Dopiero po chwili weterynarz zorientował się, że porucznik

mówi o mieście Ofuna.

- Tak, jest duża wytwórnia filmowa. Nigdy tam nie byłem - dodał.

Porucznik rzucił na ziemię niedopałek i zdeptał go.

- Dobrze będzie, jeżeli uda się nam wrócić do domu. Ale żeby wrócić, trzeba przebyć morze. Pewnie w końcu wszyscy tu umrzemy - mówił, nie podnosząc wzroku.

- I co, panie doktorze, boi się pan śmierci?

- Pewnie zależy od tego, jak miałbym umrzeć - odpowiedział weterynarz po krótkim namyśle.

Porucznik podniósł głowę i spojrzał na niego z zainteresowaniem. Zdawało się, że spodziewał się innej odpowiedzi.

- Rzeczywiście tak jest. Zależy od tego, jak się ma umrzeć.

Znowu zamilkli na chwilę. Porucznik wyglądał, jakby mógł w każdej chwili na stojąco usnąć. Zdawał się doszczętnie wyczerpany. Wkrótce jeden pasikonik uniósł się wysoko, jakby był ptaszkiem, i z głośnym cykaniem zniknął w gąszczu traw. Porucznik spojrzał na zegarek.

- Trzeba zaraz zabrać się do pracy - powiedział nie wiadomo do kogo. A potem zwrócił się do weterynarza - Proszę na razie z nami zostać. Może znowu o coś pana poproszę.

Weterynarz skinął głową.

Żołnierze przyprowadzili Chińczyków na polanę i rozciąli im więzy na rękach. Kapral narysował na ziemi duży okrąg kijem baseballowym - weterynarza zastanowiło, dlaczego właściwie żołnierze mają kij baseballowy - i rozkazał im po japońsku wykopać tej wielkości dół. Czterech Chińczyków w strojach baseballowych w milczeniu przystąpiło do kopania łopatami i kilofami. Żołnierze odpoczywali na zmianę po czterech. Kładli się w cieniu drzew i zasypiali. Chyba od dawna nie spali, bo padali na trawę w pełnym rynsztunku i od razu zaczęli chrapać. Pozostali przyglądali się Chińczykom, stojąc w pewnym oddaleniu z bagnetami na karabinach przy boku, tak by mogli ich w każdej chwili użyć. Dowodzący porucznik i kapral też na zmianę drze-

mali w cieniu drzew.

W ciągu godziny został wykopany dół o średnicy czterech metrów. Był tak głęboki, że sięgał Chińczykom do ramion. Jeden z nich poprosił po japońsku o wodę do picia. Porucznik skinął twierdząco głową i jeden z żołnierzy przyniósł w wiadrze wody. Chińczycy po kolei nabierali czerpakiem wodę i pili łapczywie. Wypili tak dużo, że wiadro zrobiło się prawie puste. Ich stroje były prawie czarne od krwi, potu i ziemi. Potem porucznik polecił dwóm żołnierzom przyciągnąć wózek. Kapral zdjął z wierzchu brezent, a spod niego ukazały się cztery ciała. Zmarli również ubrani byli w takie same stroje baseballowe i wyglądali na Chińczyków. Musieli zostać zastrzeleni, ich ubrania poczerniały od zakrzepłej krwi i wokół zaczynały się roić wielkie muchy. Sądząc ze stopnia skrzepnięcia krwi, musieli nie żyć już prawie cały dzień.

Porucznik kazał Chińczykom wrzucić ciała do dołu. Chińczycy, nadal nic nie mówiąc, zdjęli z wózka ciała jedno po drugim i z kamiennymi twarzami wrzucili je do dołu. Kiedy uderzały o dno, rozlegał się głuchy martwy odgłos. Zmarli byli zawodnikami numer 2, 5, 6 i 8. Weterynarz zapamiętał te numery. Po wrzuceniu ciał Chińczycy zostali mocno przywiązani do pni pobliskich drzew.

Porucznik podniósł rękę i z poważnym wyrazem twarzy spojrzął na zegarek. Potem podniósł wzrok na jakiś punkt na niebie, jakby czegoś tam szukał. Wyglądał jak zawiadowca stojący na peronie i czekający na fatalnie spóźniony pociąg. Nie wiadomo było, na co patrzy. Wydawało się, że czeka tylko, aż minie odpowiedni czas. Następnie zwrócił się do kaprała i zwięźle rozkazał mu zabić bagnietami trzech spośród czterech Chińczyków (z numerami 1, 7 i 9). Trzej wyznaczeni żołnierze stanęli przed skazańcami. Byli bledsi od Chińczyków, którzy zdawali się zbyt zmęczeni, by jeszcze mieć jakąkolwiek nadzieję. Kapral zaofiarował im po papierosie, ale żaden nie zapalił, więc kapral schował pudełko do kieszeni na piersi.

Porucznik zabrał ze sobą weterynarza i stanęli nieco dalej od żołnierzy.

- Pan też powinien się temu dobrze przyjrzeć - powiedział. - To jest jeden z możliwych sposobów umierania.

Weterynarz w milczeniu skinął głową. Nie mówi do mnie, a do siebie, pomyślał.

- Zastrzelenie byłoby najszybsze i najprostsze, ale dostaliśmy z góry rozkaz, żeby nie marnować ani jednej cennej kuli - wyjaśnił mu cicho porucznik. - Kule mamy zachować dla Rosjan, a na Chińczyków ich nie używać. Ale zabijanie bagnietami wcale nie jest takie proste. Czy uczono pana w wojsku, jak zabijać bagnietem?

Weterynarz powiedział, że był przydzielony do oddziałów kawaleryjskich i nie szkolono go w zabijaniu bagnietem.

- Aby skutecznie zabić bagnietem, najpierw trzeba go wsadzić pod żebra, czyli tutaj - porucznik wskazał miejsce nieco powyżej brzucha. - Potem przeciąga się bagniet dużym łukiem, tak by pociąć wnętrzności i ciągnie się w górę ku sercu. Nie wystarczy po prostu pchnąć. Wbija się te wiadomości żołnierzom do głów. Bezpośrednia walka na bagnety to obok nocnych ataków powód do dumy armii cesarskiej. Krótko mówiąc, chodzi o to, że to dużo mniej kosztuje niż czołgi, samoloty i armaty. Ale choć to wbijają do głowy, na ćwiczeniach zabija się manekiny ze słomy, które w odróżnieniu od żywych ludzi nie krwawią, nie krzyczą, nie wylewają się z nich flaki. Ci żołnierze nigdy jeszcze nie zabili człowieka. Ja też nie.

Porucznik skinął głową w stronę kaprała. Kaprał wydał rozkaz, a trzech żołnierze najpierw stanęli na baczność, potem ugięli lekko nogi, wystawili przed siebie bagnety i wycelowali. Jeden z Chińczyków (numer 7) rzucił jakieś przekleństwo i splunął, lecz ślina, nie docierając do ziemi, spłynęła po baseballowej koszulce.

Na kolejny rozkaz żołnierze zdecydowanie wepchnęli bagnety pod żebra Chińczyków. Potem, tak jak powiedział porucz-

nik, zataczając ostrzem koło, pocięli wnętrzości i popchnęli bagnety ku górze. Chińczycy nie krzyczeli zbyt głośno. Nie jęcze-  
li, a raczej głęboko szlochali. Brzmiało to, jakby przez jakąś  
szparę wypuszczali resztę powietrza, jaka jeszcze w nich zosta-  
ła. Żołnierze wyjęli bagnety i cofnęli się. Potem na rozkaz kap-  
rała jeszcze raz powtórzyli te same czynności. Wepchnęli bag-  
nety, przekręcili, pchnęli ku górze i wyciągnęli. Weterynarz pa-  
trzył na to niewzruszony. Doznawał złudzenia, że sam zaczyna  
się rozdwajać. Przeszywał kogoś, a jednocześnie sam był prze-  
szywany. Czuł opór wbijanego przez siebie bagnetu i ból rozry-  
wanych wnętrzości.

Chińczycy umarli wreszcie po zaskakująco długim czasie.  
Zostali pocięci wewnątrz na kawałki, ziemię pokryła ogromna  
ilość krwi, mieli wyprute wnętrzości, a mimo to nadal rzucali  
się w lekkich konwulsjach. Kaprał przeciął bagnetem sznury,  
którymi byli przywiązani do drzew, i z pomocą żołnierzy niebi-  
orących udziału w zabijaniu przeciągnął trzech leżących na zi-  
emi Chińczyków i wrzucił do dołu. Kiedy uderzyli o ziemię,  
znowu rozległ się głuchy odgłos, ale różnił się jakoś od poprzed-  
niego odgłosu spadających zwłok. Weterynarz pomyślał, że  
pewnie jeszcze tli się w nich życie.

Pozostał tylko Chińczyk z numerem 4. Trzej pobledli żołnier-  
ze podnieśli z ziemi duże liście i wycierali bagnety pokryte  
krwią, kawałkami ludzkiego ciała i płynem ustrojowym o dziw-  
nym kolorze. Musieli zużyć wiele, wiele liści, aby przywrócić  
bagnetom dawny blask stali.

Weterynarz dziwił się, dlaczego tylko mężczyzna z numerem  
4 nie został zabity, lecz postanowił już o nic nie pytać. Porucz-  
nik znowu wyjął papierosy i zapalił. Poczęstował też weterynar-  
za, który w milczeniu przyjął papierosa, włożył do ust i tym ra-  
zem sam sobie przypalił zapałką. Ręce mu nie drżały, ale zanik-  
ło w nich czucie. Miał wrażenie, że w grubych rękawiczkach za-  
pala papierosa.

- Byli uczniami w szkole oficerskiej armii Mandżukuo. Od-

mówili udziału w obronie Sinjing. Wczoraj w nocy zabili dwóch japońskich wykładowców i zbiegli. Schwytaliśmy ich w czasie nocnego obchodu i na miejscu zabiliśmy czterech, a tych czterech wzięliśmy do niewoli. Dwóch uciekło w ciemności - porucznik potarł dłonią zarost. - Próbowali uciec w strojach baseballowych. Myśleli, że w mundurach zostaną rozpoznani jako dezertery i schwytani. A może bali się, co z się z nimi stanie, jeżeli w mundurach armii Mandżukuo zostaną złapani przez wojska komunistyczne. W koszarach prócz mundurów były tylko te stroje klubu baseballowego szkoły oficerskiej. Dlatego oderwali nazwiska, przebrali się i próbowali uciec. Nie wiem, czy pan wie, że klub baseballowy szkoły oficerskiej był całkiem dobry. Nawet jeździł na mecze towarzyskie na Tajwan i do Korei. I ten - mówiąc to, wskazał na przywiązanego do drzewa Chińczyka - był kapitanem drużyny, pałkarzem numer cztery i zdaje się autorem planu tej ucieczki. Dwóch wykładowców zatłukł na śmierć kijem. Japońscy wykładowcy wiedzieli, że nastroje w koszarach są niespokojne i postanowili do ostatniej chwili nie dawać kadetom broni, ale nie wzięli pod uwagę kijów baseballowych. Obaj mieli pięknie rozłupane głowy i podobno zmarli na miejscu. Dwa perfekcyjne uderzenia. To ten kij.

Porucznik zwrócił się do kaprała i rozkazał mu przynieść kij. Podał go weterynarzowi. Weterynarz chwycił kij w dłonie i uniósł przed sobą jak pałkarz przed wejściem na pozycję. Był to zwykły kij, niezbyt kosztowny, byle jak wykonany z chropowatego drewna. Zdawał się bardzo ciężki i zużyty. Uchwyt pociemniał od potu. Nie wyglądał na kij, którym niedawno zabito dwóch ludzi. Jeszcze raz zważywszy go w dłoniach, weterynarz zwrócił kij porucznikowi. Ten ujął go i z dużą wprawą kilka razy lekko wziął zamach.

- Gra pan w baseball? - zapytał weterynarza.
- W dzieciństwie często grałem.
- A jako dorosły pan nie gra?
- Nie gram - odparł weterynarz.

Miał zamiar zapytać: „A pan porucznik?”, lecz zrezygnował.

- Otrzymałem z góry rozkaz, żeby go zabić tym samym kijem - powiedział porucznik sucho, stukając o ziemię końcem kija. - Oko za oko, ząb za ząb. Panu tylko szczerze powiem, że ten rozkaz jest do niczego. Co z tego, że się ich teraz zabije? Nie ma już samolotów, nie ma okrętów wojennych, większość porządnych żołnierzy zginęła. Hiroszima została w mgnieniu oka zmieciona z powierzchni ziemi po wybuchu specjalnej bomby nowego typu. Lada chwila zostaniemy wypędzeni z Mandżurii albo zabici, a Chiny wrócą do Chińczyków. Zabiliśmy już bardzo wielu Chińczyków. Nie ma sensu powiększać liczby trupów. Ale rozkaz to rozkaz. Jako żołnierz muszę wykonać każdy rozkaz. Dziś muszę zabić tych ludzi tak jak wczoraj zabiłem tygrysy i lamparty. Proszę się dobrze przyjrzeć, panie doktorze. To też jeden ze sposobów umierania. Pan jako lekarz jest pewnie przyzwyczajony do widoku noży, krwi i wnętrzności, ale chyba nie widział pan nigdy, jak ktoś zostaje zatłuczony na śmierć kijem baseballowym.

Porucznik rozkazał kapralowi przyprowadzić zawodnika numer cztery na skraj dołu. Znowu związano mu z tyłu ręce, zasłonięto oczy i zmuszono do ukłęknięcia. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał masywne ramiona grubości uda dorosłego mężczyzny. Porucznik zawołał jednego z młodych żołnierzy i podał mu kij.

- Zabij tego człowieka - powiedział.

Młody żołnierz stanął na baczność, zaszalutował i wziął kij, lecz nadal stał oślepiały trzymając go w rękę. Zdawało się, że nie dociera do niego, co ma oznaczać zabicie Chińczyka kijem baseballowym.

- Grałeś kiedyś w baseball? - zapytał porucznik żołnierza (był to ten, który niebawem miał zostać zabity łopatą przez strażnika w kopalni węgla niedaleko Irkucka).

- Nie, nie grałem - odpowiedział głośno żołnierz.

Wioska osadników na Hokkaido, w której się urodził, i osada

w Mandzurii, w której się wychował, były tak biedne, że ani jedna rodzina nie mogła sobie pozwolić na kupno piłki albo kija. Spędził dzieciństwo, biegając bez celu po polach, urządzając walki na miecze z patyków i łapiąc ważki. Nigdy nie grał w baseball ani nie widział żadnego meczu. Po raz pierwszy miał też w rękę kij.

Porucznik pokazał mu, jak go trzymać i jak wymachiwać. Sam kilka razy wziął zamach. - Rozumiesz? Ważny jest obrót bioder - powiedział łagodnie i cierpliwie. - Bierzesz zamach od tyłu i skręcając dolną część ciała, cały się obracasz. Koniec kija sam pójdzie za tobą. Rozumiesz, co mówię? Kiedy za bardzo myślisz o tym, żeby ścisnąć w rękach kij, całą siłę wkładasz w dłoń, a wtedy zamach traci impet. Nie bierz zamachu rękami, tylko obróć dolną połowę ciała.

Wyglądało na to, że żołnierz nie bardzo rozumiał wskazówki porucznika, ale zdjął ciężki rysz tunek i przez pewien czas ćwiczył zamachy. Wszyscy się temu przyglądali. Porucznik poprawiał najważniejsze elementy, kładąc ręce na dłoniach żołnierza i pokazując. Był dobrym nauczycielem. Wkrótce kij zaczął przecinać ze świstem powietrze, choć zamachy nie były jeszcze zbyt płynne. Żołnierz od dzieciństwa zaprawiony był w pracy na roli i miał dobrze rozwinięte mięśnie.

- No, to wystarczy - powiedział porucznik, ocierając czapką pot z czoła. - Słuchaj, uderz zdecydowanie, raz a dobrze. Nie ma po co długo go męczyć.

Chciał powiedzieć, że sam przecież też wcale nie ma ochoty nikogo zabijać kijem baseballowym. Komu przyszło do głowy coś tak głupiego? Ale oficer nie może powiedzieć czegoś takiego podwładnemu.

Żołnierz stanął za klęczącym z zasłoniętymi oczami Chińczykiem i podniósł kij. W silnym słońcu popołudnia rzucał długi, szeroki cień. Co za dziwna scena, pomyślał weterynarz. Rzeczywiście porucznik ma rację. Zupełnie nie przywykłem do widoku ludzi zabijanych kijem baseballowym. Młody żołnierz długo



trzymał kij wzniesiony nad głową. Widać było, że kij mocno drży.

Porucznik skinął głową, dając znak. Żołnierz wziął zamach i biorąc głęboki oddech, z całej siły uderzył Chińczyka w tył głowy. Był to doprawdy wspaniały zamach. Obrócił dolną połowę ciała, tak jak go uczył porucznik, i uderzył końcem kija za uchem. Pałka poszła tak jak trzeba do końca zgodnie z obrotem ciała. Rozległ się odgłos kruszącej się czaszki. Chińczyk nie wydał żadnego dźwięku. W dziwnej pozycji zatrzymał się przez chwilę w powietrzu, a potem jakby nagle sobie coś przypomniał, ciężko zwałił się naprzód. Z uszu leciała mu krew, policzek przygłnął do ziemi i ciało trwało w bezruchu. Porucznik spojrzał na zegarek. Młody żołnierz stał, ściskając w ręku kij, i z otwartymi ustami gapił się w przestrzeń.

Porucznik był człowiekiem ostrożnym. Odczekał minutę. Potem, upewniwszy się, że Chińczyk ani drgnie, zwrócił się do weterynarza:

- Przepraszam, że pana fatyguję, ale czy mógłby pan się upewnić, że nie żyje?

Weterynarz skinął głową, podszedł do Chińczyka, przykucnął i zdjął mu opaskę z oczu. Oczy były otwarte, źrenice zwrócone ku górze, z ucha płynęła jasnoczerwona krew. W rozchylnych ustach widoczny był zwinięty język. Pod wpływem uderzenia szyja skręciła się pod dziwnym kątem, a z nozdrzy wydobywały się sople krzepnącej krwi i tworzyły ciemną plamę na wyschniętej ziemi. Jakaś obdarzona bystrym wzrokiem wielka mucha włąziła już do jednego z nozdrzy i zamierzała złożyć tam jajeczka. Na wszelki wypadek weterynarz ujął nadgarstek mężczyzny i przyłożywszy do niego kciuk, poszukał pulsu, lecz go nie znalazł. A przynajmniej w miejscu, w którym powinien bić, nie można go już było wyczuć. Młody żołnierz jednym - i do tego pierwszym w życiu - uderzeniem kija pozbawił życia tego krzepkiego mężczyznę. Weterynarz spojrzał na porucznika i pokiwiał głową w znaczeniu „w porządku, na pewno nie żyje”. Po-

tem zaczął się powoli podnosić. Zdawało mu się, że słońce zaczęło bardziej palić go w plecy.

Właśnie w tej chwili chiński pałkarz numer cztery jakby nagle się obudził, podniósł się i - jak wydawało się patrzącym - bez wahania chwycił weterynarza za przegub dłoni. Wszystko stało się w jednej chwili. Weterynarz nie wiedział, co się dzieje. Ten człowiek niewątpliwie nie żył. Lecz ostatnim wysiłkiem życia, które skądś przywołał, ścisnął rękę weterynarza jak w imadle, a potem z szeroko otwartymi oczami i źrenicami zwróconymi w górę, wpadł do dołu, pociągając go za sobą. Weterynarz upadł na niego i poczuł, jak pod jego ciężarem tamtemu pękają żebra. Chińczyk nadal nie puszczał jego ręki. Żołnierze widzieli to wszystko, lecz z zaskoczenia stali tylko osłupiali. Porucznik pierwszy przyszedł do siebie i wskoczył do dołu. Wyrwał z kabury rewolwer i wystrzelił dwa razy, przystawiwszy lufę do głowy Chińczyka. Rozległy się suche odgłosy strzałów, na skroni Chińczyka pojawiła się duża czarna dziura. Był już całkowicie martwy, lecz mimo to nie puścił ręki weterynarza. Porucznik pochylił się i trzymając w jednej ręce rewolwer, drugą powoli odgiął jeden po drugim palec trupa. Przez ten czas weterynarz leżał w dole otoczony zwłokami ośmiu milczących Chińczyków w strojach baseballowych. Na dnie dołu głosy cykad brzmiały zupełnie inaczej niż na ziemi.

Gdy został w końcu uwolniony z uścisku ręki trupa, żołnierze pomogli im, jemu i porucznikowi, wydostać się z grobu. Weterynarz przykucnął na trawie, wziął kilka głębokich oddechów i spojrzął na nadgarstek. Widniały na nim wyraźne czerwone ślady pięciu palców. W to gorące sierpniowe popołudnie poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Pomyślał, że nigdy nie uda mu się pozbyć tego uczucia zimna. Ten człowiek naprawdę bardzo chciał mnie dokądś ze sobą zabrać.

Porucznik zabezpieczył rewolwer i powoli wsunął do kabury. On też po raz pierwszy do kogoś strzelił. Starał się o tym nie myśleć. Prawdopodobnie wojna jeszcze trochę potrwa i ludzie

będą dalej umierali. Lepiej o różnych rzeczach pomyśleć później. Otarł o spodnie pot z prawej dłoni i rozkazał żołnierzom, którzy nie brali udziału w egzekucji, zasypać dół ze zwłokami. Teraz unosiły się nad nimi niezliczone muchy, które uznały, że mogą wziąć je w posiadanie.

Młody żołnierz nadal stał z kijem w dłoniach jak skamieniały. Porucznik i kapral zostawili go w spokoju. Zdawało się, że przyglądał się, jak Chińczyk, który powinien być martwy, chwycił weterynarza za rękę, jak razem wpadli do dołu, jak porucznik wskoczył do środka i wykończył Chińczyka pistoletem i jak koledzy zasypywali dół łopatami i saperkami, lecz w rzeczywistości niczego nie widział. Wytężał tylko słuch na głos ptaka nakręcacza. Tak jak wczoraj siedział gdzieś w kępie drzew i wydawał głos podobny do zgrzytania nakręcanej sprężyny: krrk, khrrh. Żołnierz podniósł głowę, rozejrzał się i starał zorientować, z której strony dochodzi głos, lecz nigdzie ptaka nie dostrzegł. Poczul, jak do gardła podchodzą mu lekkie mdłości, ale nie były tak silne jak wczoraj.

Gdy nasłuchiwał zgrzytu sprężyny, przed oczami pojawiały mu się i znikwały różne fragmentaryczne obrazy. Młody porucznik, który wypłacał żołd, jest po rozbrojeniu przez wojsko radzieckie przekazywany Chińczykom i powieszony za udział w tych egzekucjach. Kapral umiera na dżumę w obozie na Syberii. Zostanie wrzucony do baraku izolatki i zostawiony tam, aż umrze, choć w rzeczywistości osłabł jedynie z niedożywienia i wcale nie był zarażony dżumą - zanim nie wrzucono go do baraku. Weterynarz ze znamieniem na twarzy zginie za rok w wypadku. Jest cywilem, ale ponieważ współdziałał z wojskiem, zostanie aresztowany przez armię radziecką i wysłany do obozu na Syberię. Będzie pracował w kopalni węgla. Kiedyś głęboki szyb zaleje woda i weterynarz utonie razem z wieloma żołnierzami. A on sam - lecz młodemu żołnierzowi nie dane było zobaczyć własnej przyszłości. Nie tylko przyszłości. Z niewiadomej przyczyny to, co działo się na jego oczach, nie wydawało mu się prawdziwe.

Zamknął oczy i wsłuchał się w głos ptaka nakręcacza.

Potem nagle pomyślał o morzu. O morzu, które widział z pokładu statku w drodze z Japonii do Mandzurii. Widział je wtedy po raz pierwszy i ostatni. Było to osiem lat temu. Pamiętał jeszcze zapach bryzy. Morze to jedna z najwspanialszych rzeczy, jakie widział w życiu. Było wielkie, głębokie i przekraczało wszelkie oczekiwania. W zależności od czasu, pogody i miejsca zmieniało kolor, zmieniało kształt, zmieniało wyraz. Budziło w sercu głęboki smutek, a jednocześnie dawało spokój i ukojenie. Czy jeszcze kiedyś uda mu się je zobaczyć? Żołnierz upuścił na ziemię kij. Gdy już nie czuł go w dłoniach, mdłości lekko się wzmogły.

Ptaka nakręcacz dalej śpiewał, lecz nikt inny go nie słyszał.

Na tym kończyła się „Kronika ptaka nakręcacza # 8”.

## **29. O brakujących ogniwach Cynamona**

Na tym kończyła się „Kronika ptaka nakręcacza #8”.

Nacisnąłem „Zamknij”, wróciłem do poprzedniego ekranu, wybrałem z menu „Kronikę ptaka nakręcacza # 9” i kliknąłem. Chciałem przeczytać dalszy ciąg opowieści, lecz nie otworzył się nowy ekran, a zamiast niego pojawił się komunikat.

Nie masz dostępu do „Kroniki ptaka nakręcacza # 9” na podstawie kodu R24. Wybierz inny dokument.

Wybrałem #10, lecz rezultat był taki sam.

Nie masz dostępu do „Kroniki ptaka nakręcacza # 10” na podstawie kodu R24. Wybierz inny dokument.

To samo zdarzyło się przy #11. Wynika z tego, że nie ma dostępu do żadnego z dokumentów. Nie wiedziałem, czym był „kod R24”, lecz z jakiegoś powodu czy też zgodnie z jakąś zasadą dostęp do pozostałych dokumentów został zablokowany. Kiedy otwierałem „Kronikę ptaka nakręcacza # 8”, miałem dostęp do wszystkich dokumentów, ale po wybraniu #8, przeczytaniu go i zamknięciu, wszystkie drzwi okazały się szczelnie zaryglowane. A może ten program pozwala tylko na dostęp do jednego doku-

mentu na raz.

Siedząc przed ekranem, zastanawiałem się, co dalej robić. Nie było rady. To precyzyjnie przemyślany świat skonstruowany i działający według zasad i pomysłu Cynamona. Nie znałem zasad tej gry. Poddałem się i wyłączyłem komputer.

Przed wszystkim nie miałem wątpliwości, że „Kronika ptaka nakręcacza #8” była historią opowiedzianą przez Cynamona. Napisał na komputerze szesnaście opowieści w tym cyklu, a ja przypadkiem wybrałem # 8. Przypomniałem sobie, jaką mniej więcej długość miała ta opowieść i pomnożyłem ją przez szesnaście. Niezbyt krótka. Gdyby stworzyć z niej książkę, byłaby dosyć gruba.

Co może oznaczać # 8? Skoro opowieść nazwano „kroniką”, być może jest chronologicznym opisem wydarzeń. Dalszy ciąg # 7 jest w # 8, a po nim następuje # 9. To rozsądne założenie. Ale niekoniecznie musi tak być. Możliwe też, że opowieść rozwija się w jakimś zupełnie innym porządku. Niewykluczone, że cofa się z teraźniejszości w przeszłość. A można wysunąć jeszcze śmielszą hipotezę, że jest to wiele różnych wersji tej samej historii. Lecz na pewno #8 był dalszym ciągiem historii, którą opowiedziała mi Gałka, o zastrzeleniu przez żołnierzy zwierząt w zoo w Sinjing w sierpniu czterdziestego piątego roku. Rozgrywa się w tym samym zoo następnego dnia. Bohaterem jest bezimienny weterynarz, ojciec Gałki i dziadek Cynamona.

Nie miałem możliwości oceny, na ile opowieść jest prawdziwa. Nie wiedziałem, czy jest to od początku do końca wytwór wyobraźni Cynamona, czy też może niektóre rzeczy zdarzyły się naprawdę. Gałka powiedziała, że „nikt nie wie”, jakie były dalsze losy weterynarza. Dlatego raczej nie jest możliwe, że prawdziwa jest cała historia, lecz nie można wykluczyć, że niektóre szczegóły tak. Być może, w czasie chaosu poprzedzającego wojnę, w ogrodzie zoologicznym w Sinjing odbyła się egzekucja kadetów ze szkoły oficerskiej Mandżukuo, ciała zostały pogrzebane w wykopanym dole, a dowodzący porucznik został po wo-

nie skazany na śmierć. Bunt i dezercje żołnierzy armii Mandżukuo były wówczas częste i mogło się zdarzyć, że zabiści Chińczycy byli ubrani w stroje baseballowe - choć jest to dość dziwna okoliczność. Cynamon mógł się dowiedzieć o tym wydarzeniu i dołożywszy do niego postać dziadka, stworzyć swoją opowieść.

Ale dlaczego w ogóle ją napisał? Dlaczego nadał tej historii formę opowieści? Dlaczego musiał ten zestaw opowieści nazwać „kroniką”? Usiadłem na kanapie w przymierzalni i rozmyślałem, obracając w palcach kolorowy ołówek do rysowania projektów.

Prawdopodobnie musiałbym przeczytać wszystkie opowieści, żeby znaleźć odpowiedzi na te pytania, lecz nawet po przeczytaniu # 8 miałem - co prawda niejasne - pojęcie o tym, czego Cynamon poszukuje. Prawdopodobnie poważnie zajmuje się poszukiwaniem znaczenia swojej egzystencji. Na pewno szuka jej w wydarzeniach poprzedzających jego urodzenie. W tym celu musi zapełnić kilka białych plam z przeszłości. Tworząc własną opowieść, próbuje umieścić w niej te brakujące ogniwa. Posługując się historią, którą matka mu wielokrotnie opowiadała, rozsnuwa na jej kanwie dalszą opowieść i w tych nowych ramach kreuje owianą tajemnicą postać dziadka. Zasadniczy styl opowieści przejął bezpośrednio od matki. Być może fakty nie są faktami, a prawda prawdą. Prawdopodobnie to, która część opowieści jest prawdziwa, a która nie, nie miało dla niego większego znaczenia. Ważne jest nie to, co dziadek zrobił, a co powinien był zrobić. I Cynamon dowiaduje się, opowiadając tę historię.

Opowieść zapewne dochodzi chronologicznie (a może niechronologicznie) aż do chwili obecnej i „ptak nakręcacz” jest w niej ważnym terminem, lecz nie wymyślił go Cynamon. Było to wyrażenie nieświadomie użyte przez Gałkę w historii, którą mi opowiadała w restauracji w Aoyamie. Wtedy nie wiedziała jeszcze, że jestem nazywany „Ptakiem Nakręcaczem”. To znaczy, że

zostałem jakoś przypadkowo powiązany z jego opowieścią.

Nie byłem jednak tego pewien. Być może Gałka w jakiś sposób dowiedziała się już wtedy o moim przezwisku. Te słowa mogły wpłynąć na jej historię (czy też ich historię), wnikać w nią nieświadomie. Może to nie jest opowieść zastygła w pewnym kształcie, a ciągle się zmieniająca, rosnąca epopeja, jak opowieści przekazywane z ust do ust.

Bez względu na to, czy była to zbieżność przypadkowa czy nie, w historii Cynamona ptak nakręcacz posiadał wielką moc. Idąc za jego głosem, słyszalnym tylko dla niektórych, ludzie zmierzali ku nieuniknionej zgubie. Ludzka wola była całkowicie bezsilna, tak jak od początku wydawało się weterynarzowi. Jak idące po stole lalki z nakręconą sprężyną w plecach, nie mieli wpływu na swoje postępowanie i na kierunek, w którym się posuwają. Prawie wszyscy w zasięgu śpiewu ptaka nakręcacza zostali gwałtownie zniszczeni, zgubieni. Wielu z nich zmarło. Spadli z krawędzi stołu.

Cynamon musiał kontrolować moją rozmowę z Noboru Wataya. Musiał też przed kilku dniami kontrolować rozmowę z Kumiko. Prawdopodobnie wie o wszystkim, co dzieje się na komputerze. Począł, aż skończymy rozmawiać, i pokazał mi opowieść zatytułowaną „Kronika ptaka nakręcacza”. Nie było to dziełem przypadku ani nagłego impulsu. Mając na oku wyraźny cel i posługując się komputerem, chciał mi pokazać jedną z opowieści. Jednocześnie zasugerował, że istnieje ich wiele.

Położyłem się na kanapie i spojrzałem na mroczny sufit przy mierzalni. Noc była głęboka, ciężka, a wszystko wokół znów pogrążyło się w przegniatającej ciszy. Biały sufit wyglądał jak gruba warstwa lodu, która przykryła pokój.

Miałem zadziwiająco wiele wspólnego z bezimiennym weterynarzem, dziadkiem Cynamona: sine znamię na twarzy, kij baseballowy, głos ptaka nakręcacza. Poza tym porucznik z opowieści Cynamona przypominał mi porucznika Mamiyę. Porucznik Mamiya także pracował w tamtych czasach w sztabie głów-

nym Armii Kwantuńskiej w Sinjing, lecz rzeczywisty porucznik Mamiya nie zajmował się wypłacaniem żołdu, a pracował w dziale topografii. Po wojnie nie został skazany na powieszenie (los kazał mu za wszelką cenę uniknąć śmierci), stracił tylko w walce rękę i wrócił do Japonii. Nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu, że ten porucznik dowodzący egzekucją był naprawdę porucznikiem Mamiyą. A przynajmniej wcale nie zdziwiłoby mnie, gdyby nim był.

Następnie była kwestia kija basebalowego. Cynamon wie, że mam na dnie studni kij. Dlatego możliwe, że obraz kija - tak samo jak słowa „ptak nakręcacz” - później wniknął w jego historię. Lecz nawet zakładając, że tak było, istniały kwestie dotyczące kija, które nie dały się łatwo wytłumaczyć, jak mężczyzna z futerałem na gitarę, który przyskoczył do mnie w drzwiach pustego budynku i uderzył mnie kijem. Najpierw popisywał się w barze w Sapporo, przypalając sobie dłoń płomieniem świecy, potem uderzył mnie kijem, a na koniec ja go nim zbiłem. On mi ten kij przekazał. I dlaczego na mojej twarzy wypaliło się znamię w takim samym kolorze i kształcie, co znamię dziadka Cynamona? Czy to też zdarzyło się w rezultacie „wniknięcia” mojego istnienia w ich opowieść? Czy prawdziwy weterynarz nie miał znamienia? Lecz po co Gałka miałaby wymyślać takie rzeczy w opisie własnego ojca? Przede wszystkim „odkryła” mnie na ulicy w Shinjuku właśnie dzięki temu znamieniu, bo takie samo miał jej ojciec. Wszystko było w skomplikowany sposób połączone, jak w trójwymiarowej układance typu puzzle. Prawda nie musiała być prawdą, a fakty faktami.

Wstałem z kanapy i znów wszedłem do pokoju Cynamona. Usiadłem przy biurku, oparłem się na łokciach i wpatrzyłem w monitor. Cynamon pewnie w nim jest. Żyją w nim i oddychają jego nieme słowa, które stały się opowieściami. Myślą, poszukują, rosną i emanują ciepło. Lecz ekran przede mną zamarł jak księżyc, a korzenie jego istnienia zniknęły w labiryncie lasu. Szklany kwadratowy ekran i będący za nim Cynamon nie próbo-



wali się już ze mną porozumieć.

### **30. O tym, że nie można ufać domom (punkt widzenia May Kasahary - 6)**

Jak się Pan miewa?

Pod koniec ostatniego listu napisałam, że chyba powiedziałam już Panu mniej więcej wszystko, co miałam do powiedzenia. Jakbym mówiła: „Na tym koniec”, prawda? Ale potem dużo rozmyślałam i zaczęło mi się wydawać, że lepiej jeszcze trochę napisać. Dlatego znowu wstałam w środku nocy jak karaluch, siedzę przy biurku i piszę list.

Nie wiem, dlaczego ostatnio często myślę o biednej rodzinie Miyawakich i ich dawnym domu. Zaszczuci przez wierzycieli, wyjechali i popełnili całą rodziną samobójstwo. W gazetach pisali chyba, że najstarsza córka nie umarła, tylko zniknęła bez śladu... Kiedy pracuję, jem w stołówce, czytam w pokoju książkę, słuchając muzyki, nagle, nie wiadomo skąd, przychodzi mi do głowy ta rodzina. Nie mówię, że te myśli mnie opętały i nie mogę się od nich uwolnić, ale jeżeli mam w głowie choć trochę miejsca (prawdę mówiąc, mam mnóstwo miejsca), wkradają się tam i zostają na

pewien czas, jak dym z ogniska wpełzający przez otwarte okno. Od tygodnia czy dwóch często mi się to zdarza.

Mieszkałam tam od urodzenia i wyrosłam, patrząc na dom po drugiej stronie uliczki. Z mojego okna był widok prosto na niego. Kiedy poszłam do szkoły podstawowej, dostałam własny pokój, a wtedy państwo Miyawaki zbudowali już ten nowy dom i zamieszkali w nim. Zawsze widywałam tam kogoś: w pogodne dni suszyło się dużo prania, dwie dziewczynki nawoływały w ogrodzie wielkiego czarnego wilczura (próbuję sobie przypomnieć, jak miał na imię, ale nie mogę), po zmierzchu w oknach zapalały się przyjazne światła, a gdy robiło się późno, gości jedno po drugim. Starsza dziewczynka uczyła się gry na pianinie, a młodsza na skrzypcach (starsza była ode mnie starsza, a młodsza trochę młodsza). W urodziny czy Boże Narodzenie urządzali

przyjęcia, zbierało się na nich mnóstwo przyjaciół i było bardzo wesoło. Komuś, kto widział ten dom tylko jako pustą ruinę, na pewno trudno to sobie wyobrazić.

W wolne dni często widywałam, jak pan Miyawaki przycina drzewka i krzewy. Chyba bardzo lubił takie pracochłonne zajęcia, jak czyszczenie rynien, spacer z psem, polerowanie samochodu woskiem. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego niektórzy ludzie lubią takie zawracanie głowy, ale przecież każdy ma do tego prawo, a poza tym dobrze, jak w rodzinie jest jedna osoba od takich rzeczy. Wszyscy lubili jazdę na nartach i kiedy przychodziła zima, ładowali narty na dach dużego samochodu i wesoło gdzieś odjeżdżali (ja nie cierpię nart, ale mniejsza o to).

Brzmi to jak opis bardzo zwyczajnej, szczęśliwej rodziny, jakie wszędzie można znaleźć, prawda? I nie tylko brzmi, ponieważ oni naprawdę byli bardzo zwyczajną szczęśliwą rodziną, jakie wszędzie można znaleźć. Nie było w niej nic, co kazałoby komuś zmarszczyć brwi, pokręcić głową i mówić: „Ojej, a to co takiego”?

Ludzie z sąsiedztwa gadali po cichu, że „nie zamieszkaliby w tym makabrycznym miejscu nawet za darmo”, ale jak wcześniej powiedziałam, rodzina państwa Miyawakich żyła tak spokojnie, że można by ich oprawić w ramkę, powiesić na ścianie i odkurzać. Żyli w czwórkę szczęśliwie, jakby przeżywali dalszy ciąg bajki po słowach „... i żyli długo i szczęśliwie”. Przynajmniej w porównaniu z moją rodziną wydawali się dziesięć razy szczęśliwsi. Dwie córki, które czasem spotykałam, też sprawiały bardzo sympatyczne wrażenie. Często myślałam, że fajnie byłoby mieć takie siostry. W każdym razie wydawali się bardzo miłą rodziną, wszyscy zawsze się śmiali. Zdawało się, że nawet pies się z nimi śmieje.

Nie mieściło mi się w głowie, że coś takiego mogło się nagle skończyć. Ale pewnego dnia zorientowałam się, że wszyscy bez wyjątku (nawet wilczur) zostali porwani przez jakąś gwałtowną wichurę i zniknęli, został tylko dom. Przez pewien czas - chyba

około tygodnia - nikt z sąsiadów nie zorientował się, że rodzina Miyawakich zniknęła. Ja dziwiłam się, że wieczorem nie zapala się światło, ale pomyślałam, że pewnie jak zawsze pojechali całą rodziną na wycieczkę. Potem matka usłyszała od kogoś, że podobno „wymknęli się nocą”. Pamiętam, że nie rozumiałam, co to znaczy, i zapytałam. Obecnie powiedziałoby się „wyparowali”, prawda?

Nie wiem, czy wymknęli się nocą, czy wyparowali, w każdym razie po ich zniknięciu dom zaczął, ku mojemu zdziwieniu, wywierać zupełnie inne wrażenie. Nigdy przedtem nie widziałam opuszczonego domu, nie wiem, jak wygląda zwyczajny opuszczony dom, ale myślałam, że będzie robił żałosne, „porzucone” wrażenie jak niechciany pies albo pusty pancierz owada. Lecz ten opuszczony dom wcale taki nie był. Nie wydawał się „porzucony”. Zaraz po zniknięciu państwa Miyawakich przybrał obojętną twarz, jakby mówił: „Miyawaki? Nie znam takiego”. Przynajmniej w moich oczach tak wyglądał. Był zupełnie jak głupi, niewdzięczny pies. Wraz z odejściem państwa Miyawakich stał się po prostu „opuszczonym domem samym w sobie”, niemającym nic wspólnego ze szczęściem tej rodziny. To nie do wytrzymania, myślałam. Przecież ten dom też razem z nimi zakosztował dużo przyjemności. Sprzątali go, dbali o niego, a przede wszystkim zbudowali. Nie uważa Pan, że to straszne? Domom naprawdę nie można wcale ufać.

Jak Pan wie, potem nikt w nim nie zamieszkał, pokryły go tylko ptasie odchody. Przez wiele lat przyglądałam mu się z okna pokoju. Siedząc przy biurku i ucząc się, albo udając, że się uczę, zerkiałam na dom. W pogodne, deszczowe, śnieżne, wietrzne dni. Był zaraz za oknem, więc widziałam go, jeśli tylko trochę podniosłam wzrok, sama nie wiem, dlaczego nie mogłam od niego oderwać oczu. Bardzo często zdarzało się, że z głową podpartą rękami patrzyłam na niego nieobecny wzrokiem przez pół godziny. Jeszcze niedawno wypełniał go śmiech, na wietrze kołysało się białe pranie jak w reklamie proszku (pani

Miyawaki chyba lubiła pranie w „nienormalnym stopniu”, niewątpliwie o wiele bardziej niż inni ludzie). W jednej chwili to wszystko zostało zmiecione, ogród porósł chwastami i nikt już nie pamiętał o szczęśliwych dniach rodziny Miyawakich. Wydawało mi się to naprawdę przedziwne.

Chciałabym zaznaczyć, że nie byłam w szczególnie bliskich stosunkach z tą rodziną. Prawdę mówiąc, praktycznie nigdy z nimi nie rozmawiałam, tylko wymienialiśmy na ulicy pozdrowienia. Lecz ponieważ codziennie z zapałem obserwowałam ich z okna, ich szczęśliwe poczynania stały się nieomal częścią mnie samej. Tak jak czasem jakaś obca osoba znajdzie się gdzieś w rogu na zdjęciu rodzinnym. I niekiedy wydaje mi się, że ta część mnie wraz z nimi „wymknęła się nocą” i gdzieś przepadła.

Jest to -jakby to powiedzieć? - dość dziwne uczucie. Część własnej osoby „wymknęła się nocą” z jakimiś ludźmi, których się nawet dobrze nie zna.

Przy okazji wspomnę o jeszcze jednej dziwnej rzeczy. Szczerze mówiąc, to strasznie dziwna rzecz.

Ostatnio czasami wydaje mi się, że stałam się panią Kumiko. Naprawdę jestem Pana żoną, z pewnej przyczyny uciekłam od Pana i pracuję teraz w fabryce peruk w głębi gór. Ale z różnych powodów na razie przyjąłam fałszywe imię i nazwisko May Kasahara, noszę maskę i udaję, że nie jestem Kumiko. A Pan czeka na mój powrót, siedząc na tej ponurej werandzie... Naprawdę mam takie uczucie.

Czy zdarza się Panu mieć takie halucynacje? Nie chwałę się, ale mnie się to często zdarza. Bez przerwy. Niekiedy są tak silne, że pracuję spowita w ich chmurze. To jest prosta praca, więc nie stanowią przeszkody, ale czasami ludzie dziwnie mi się przyglądają. Może mówię do siebie jakieś głupoty. Halucynacje są naprawdę nieprzyjemne. Czy chcę, czy nie chcę, zjawiają się jak miesiączka, kiedy nadejdzie ich czas. Nie mogę ich po prostu odprawić przy drzwiach, mówiąc, że przepraszam, teraz jestem zajęta, proszę przyjść później. Mam z tym prawdziwy kłó-

pot.

Chyba się Pan nie pogniewa, że czasami udaję panią Kumiko. Przecież ja nie robię tego specjalnie.

Coraz bardziej chce mi się spać. Zasnę teraz jak kamień na trzy czy cztery godziny, potem wstanę i przepracuję cały dzień. Słuchając nieszkodliwej muzyki, będę robiła peruki razem z innymi dziewczynami. Proszę się o mnie nie martwić. Mimo halucynacji nieźle sobie radzę z różnymi rzeczami. Życzę, żeby i Pan sobie nieźle radził. Mam nadzieję, że pani Kumiko wróci i znowu będziecie żyć spokojnie i szczęśliwie.

Do widzenia.

### **31. O narodzinach opuszczonego domu i koniu, na którego ktoś się przesiadł**

Następnego ranka minęło pół do dziesiątej, potem dziesiąta, lecz Cynamon się nie zjawiał. Od czasu, kiedy zacząłem tu „pracować”, codziennie rano bez wyjątku dokładnie o dziewiątej otwierała się brama i pokazywał się lśniący znaczek mercedesa. To nieco teatralne jak na powszedni dzień pojawianie się na scenie Cynamona oznaczało rozpoczęcie mojego dnia. Przywykłem do tego ustalonego porządku, tak jak ludzie przywykają do grawitacji i ciśnienia atmosferycznego. Ta idealna regularność Cynamona nie była po prostu mechaniczna, lecz miała w sobie rodzaj ciepła, które mnie uspokajało i dodawało otuchy. Dlatego poranek bez postaci Cynamona przypominał dobrze namalowany pejzaż, na którym brakuje głównego tematu.

Zrezygnowałem z czekania, odszedłem od okna i obrałem sobie na śniadanie jabłko. Potem pomyślałem, że może na komputerze jest jakaś wiadomość, i zająrzałem do pokoju Cynamona. Ekran był nadal ciemny. Nie mając wyboru, nastawiłem muzykę barokową, tak jak to zwykł robić Cynamon, i słuchając, zabrałem się do zmywania w kuchni, sprzątania podłogi, przecierania okien. Chcąc zabić czas, specjalnie starannie wykonywałem różne czynności. Wytarłem nawet skrzydełka wentylatora. Mimo to

czas płynął bardzo powoli.

O jedenastej nie przychodziło mi już do głowy nic innego do zrobienia, więc położyłem się na kanapie w przymierzalni i poddałem się niespiesznemu upływowi czasu. Wmawiałem sobie, że na pewno coś mu wypadło i się spóźni. Może po drodze zepsuł się samochód. Może tkwi w jakimś niewyobrażalnym korku. Ale to niemożliwe. Mogę się założyć o wszystkie pieniądze. Ten samochód się nie psuje i Cynamon bierze pod uwagę możliwość korka. Gdyby miał niespodziewany wypadek, zadzwoniłby do mnie z telefonu w samochodzie. Nie przyjeżdża tu, bo postanowił nie przyjeżdżać.

Przed pierwszą zatelefonowałem do biura Gałki w Akasaka, lecz nikt nie odebrał. Próbowałem wiele razy. Potem zadzwoniłem do biura Ushikawy. Zamiast sygnału, usłyszałem nagranie, że nie ma takiego numeru. To dziwne. Przecież zaledwie dwa dni temu dzwoniłem pod ten numer i rozmawiałem z Ushikawą. Zrezygnowałem i wróciłem na kanapę w przymierzalni. Wyglądało na to, że w ciągu ostatnich paru dni wszyscy jakby się zmówili i postanowili się ze mną nie kontaktować.

Podszedłem do okna i wyjrzałem przez szparę między zasłonami. Dwa energicznie wyglądające zimowe ptaszki przysiadły na gałęzi i żywo rozglądały się dookoła, potem nagle zerwały się i odleciały, jakby całkowicie zniechęcone tym, co zobaczyły. Poza tym nic się nie poruszało. Dom sprawiał wrażenie zupełnie nowego, opuszczonego. przez następnych pięć dni ani razu nie byłem w „willi”. Z jakiegoś powodu nie chciałem już schodzić do studni. Nie wiedziałem dlaczego. Jak powiedział Noboru Wataya, niedługo miałem ją stracić. Jeżeli klientki nadal nie będą przychodziły, wystarczy mi pieniędzy na utrzymanie „willi” najwyżej przez dwa miesiące. Dlatego powinienem częściej korzystać ze studni, póki jeszcze do mnie należała, ale robiło mi się tam strasznie duszno. Nagle zaczęła mi się wydawać złym, nienaturalnym miejscem.

Nie chodziłem do „willi” i włączyłem się bez celu po okolicy.

Po południu wsiadałem do pociągu, jechałem do Shinjuku, siedłem na tamtą ławkę na placu i zabijałem czas, nie robiąc nic szczególnego. Gałka się nie pojawiła. Poszedłem też do jej biura w Akasaka. Nacisnąłem guzik i wpatrywałem się w obiektyw kamery, lecz nie było odpowiedzi, choć długo czekałem. Wtedy w końcu się poddałem. Prawdopodobnie Gałka i Cynamon postanowili zerwać ze mną kontakt. Ta dziwna para uciekła z tonącego okrętu i ukryła się w jakimś bezpiecznym miejscu. Zasmuciło mnie to bardziej, niż się spodziewałem. Czuję się, jakby zdradziła mnie własna rodzina.

Piątego dnia po południu poszedłem do kawiarni hotelu Shinagawa Pacific. To tam spotkałem się i rozmawiałem latem zeszłego roku z Malcią Kano i Noboru Watayą. Nie tęskniłem za tamtym dniem, kawiarnia szczególnie mi się nie podobała, lecz bez żadnej określonej przyczyny, bez żadnego celu, nieomal nieświadomie wsiadłem w Shinjuku do pociągu linii Yamanote i wysiadłem w Shinagawa. Przeszedłem przez kładkę nad ulicą do hotelu, usiadłem przy stoliku przy oknie, zamówiłem małą butelkę piwa i zjadłem późny lunch. Bezmyślnie wpatrywałem się w ludzi idących w obu kierunkach po kładce, jakbym patrzył na jakieś pozbawione znaczenia liczby.

Wracając z toalety, przy zatłoczonym stoliku w głębi dostrzegłem czerwony kapelusz. Był identyczny jak ten, który zawsze nosiła Malta Kano. Jak zaczarowany ruszyłem ku niemu, lecz z bliska okazało się, że to inna kobieta. Cudzoziemka, młodsza i tęzsza od Malty Kano. Kapelusz też nie był plastikowy, a skórzany. Zapłaciłem rachunek i wyszedłem.

Z rękami w kieszeniach krótkiego granatowego płaszcza chodziłem trochę po okolicy. Na głowie miałem wełnianą czapkę w tym samym kolorze i ciemne okulary przeciwsłoneczne, by zasłonić znamię. Ulice wypełniało szczególne dla grudnia, przedświąteczne ożywienie, a w pasażu handlowym przed dworcem kręciło się pełno ciepło ubranych kupujących.

Było to spokojne, zimowe popołudnie jasnego dnia. Zdawało

mi się, że wszystkie dźwięki są krótsze i bardziej przenikliwe.

Zauważyłem Ushikawę, gdy czekałem na pociąg w Shinagawa. Stał naprzeciw mnie na peronie po drugiej stronie i czekał na pociąg linii Yamanote jadący w przeciwnym kierunku. Jak zawsze ubrany był ekscentrycznie i miał krzykliwy krawat. Kręcąc bezkształtną, łysą głową, gorliwie wczytywał się w jakieś czasopismo. Udało mi się go od razu odnaleźć w dworcowym tłumie, ponieważ wyraźnie odróżniał się od innych ludzi. Do tej pory widziałem go tylko u siebie w domu. Był wieczór, zawsze byliśmy sami i tam wydawał mi się bardzo surrealistyczny. Lecz nawet na dworze, nawet w biały dzień, nawet w tłumie niezliczonych, anonimowych ludzi, wyglądał nierzeczywiście, dziwnie i wyraźnie się wyróżniał. Miałem wrażenie, że otacza go chmura innego powietrza, które nie mogło się wmieszać w otoczenie.

Przepychałem się przez tłum, wpadłem na kogoś i poganiany okrzykami oburzenia zbiegłem po schodach. Wyszedłem na sąsiedni peron i zacząłem szukać Ushikawy, lecz zapomniałem, gdzie stał. Dworzec był wielki, perony długie, wielu pasażerów. Wkrótce przyjechał pociąg, drzwi się otworzyły, wypłyły beziemiennych ludzi i połknęły innych beziemiennych ludzi. Rozległ się dzwonek sygnalizujący odjazd pociągu, a ja jeszcze nie znalazłem Ushikawy. Postanowiłem wskoczyć do pociągu jadącego w stronę Yurakuchó i poszukać go, przechodząc z wagonu do wagonu. Ushikawa stał w drugim z kolei wagonie przy drzwiach i czytał czasopismo. Stałem chwilę przed nim, starając się uspokoić oddech, lecz wcale się nie zorientował.

- Panie Ushikawa - odezwałem się.

Ushikawa podniósł głowę znad czasopisma i spojrzał na mnie przez grube szkła okularów, jakby go coś raziło w oczy. Widziany z bliska w świetle dnia wydawał się bardziej wykończony niż zwykle. Zmęczenie przyłgnęło do jego twarzy, jak tłusty pot, którego nie da się zetrzeć. Oczy miał mętne, jak błotnista woda, a kępki włosów nad uszami przypominały chwasty wyrastające spod dachówek wałącego się domu. Zęby widoczne pomiędzy



wywinętych warg były brudniej sze i bardziej nierówne, niż pamiętałem, marynarka niezmiennie potwornie wymięta. Wyglądał, jakby do niedawna spał zwinięty w kącie jakiegoś składziku i dopiero się obudził. Do ramion marynarki przyczepiły się jakieś wióry, jakby po to, by jeszcze wzmocnić ogólne wrażenie.

Zdjąłem czapkę, potem okulary i włożyłem je do kieszeni płaszcza.

- Ach, to pan Okada! - powiedział Ushikawa bezdźwięcznym głosem. A potem jakby zbierając rozsypane kawałki i biorąc się znowu w garść, wyprostował się, poprawił okulary i lekko odchrząknął. - A to dopiero... znowu spotykamy się w dziwnym miejscu, prawda? To znaczy, zeeeeee... dziś pana t a m nie ma?

W milczeniu potrząsnąłem głową.

- Rozumiem - powiedział Ushikawa.

O nic więcej nie zapytał.

W jego głosie nie było zwykłego ożywienia. Mówił wolniej i gdzieś zniknęła jego zwykła gadatliwość. Czy mogło to być spowodowane godziną? Czyżby w świetle dnia nie mógł w sobie wzbudzić prawdziwej energii? A może jest naprawdę wykończony? Kiedy rozmawialiśmy, stojąc obok siebie, górowałem nad nim wzrostem. Z tej perspektywy jego zniekształcona głowa jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Wyglądała jak owoc, który za bardzo wyrósł, stracił kształt i został odrzucony, jako nienadający się na sprzedaż. Wyobrażałem sobie, jak ktoś rozwala jego głowę jednym uderzeniem kija. Ujrzałem w myślach czaszkę pękającą jak dojrzały owoc. Nie chciałem sobie wyobrażać takich rzeczy, lecz obraz pojawił się i rósł niepowstrzymanie.

- Proszę pana - powiedziałem. - Chciałbym z panem porozmawiać sam na sam, o ile to możliwe. Czy moglibyśmy wysiąść i pójść w jakieś spokojne miejsce?

Ushikawa skrzywił się trochę, jakby nie wiedział, co zrobić. Potem podniósł krótkie, grube ramię i zerknął na zegarek.

- Hm... ja też chciałbym spokojnie z panem porozmawiać... to prawda, nie nabieram pana. Ale szczerze mówiąc, muszę te-

raz gdzieś iść. To znaczy mam niecierpiącą zwłoki sprawę. Więc czy mogłoby być... nie tym razem, a przy następnej okazji. Co pan na to?

- Wystarczy chwila - powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. - Nie zajmę panu dużo czasu. Wiem, że jest pan bardzo zajęty. Ale mam wrażenie, że ta następna okazja, o której pan mówi, nigdy nie nastąpi. Nie wydaje się panu?

Ushikawa pokiwał głową, jakby sam siebie o czymś przekonywał, zwinął czasopismo i wetknął do kieszeni. - Dobrze. Rozumiem. Wsiądźmy na następnej stacji, znajdziemy kawiarnię i porozmawiajmy pół godzinki. A tamtą niecierpiącą zwłoki sprawę jakoś potem załatwię. To przeznaczenie, że się przypadkiem spotkaliśmy.

Wysiedliśmy w Tamachi, wyszliśmy z dworca i wstąpiliśmy do pierwszej napotkanej kawiarenki.

- Prawdę mówiąc, miałem się już z zamiar z panem nie spotykać - zaczął Ushikawa, gdy podano nam kawę. - Bo różne rzeczy jakby dobiegły końca.

- Dobiegły końca?

- Prawdę mówiąc, cztery dni temu zrezygnowałem z pracy u profesora Watayi. Powiedziałem, że odchodzę, i odszedłem. Od dawna już planowałem, że kiedyś to zrobię.

Zdjąłem czapkę i płaszcz, i położyłem na krześle obok. W kawiarni było nieomal gorąco, lecz Ushikawa nie zdejmował płaszcza.

- To dlatego nikt nie odebrał, kiedy dzwoniłem do pana do biura?

- Tak, zgadza się. Odłączyłem telefon i zwinąłem biuro. Kiedy się odchodzi, lepiej odejść szybko, od razu. Nie lubię się grzebać. To znaczy, że teraz jestem wolny, dla nikogo nie pracuję. Niezależny, a można też powiedzieć „bezrobotny” - powiedział z uśmiechem, ale ten uśmiech był jak zwykle tylko grymasem. Oczy się nie uśmiechnęły. Dodał do kawy śmietankę, wyspał łyżeczkę cukru i zamieszał. - Panie Okada, na pewno chce

mnie pan zapytać o panią Kumiko, prawda? O to, gdzie jest, co robi. Czy nie mam racji?

Skinałem głową twierdząco. - Ale najpierw chciałbym zapytać, dlaczego nagle rzucił pan pracę u Noboru Watai.

- Naprawdę chce pan wiedzieć?

- Interesuje mnie to.

Ushikawa wypił łyk kawy i skrzywił się. Potem spojrzał na mnie.

- Tak? No, skoro tak, to oczywiście panu powiem. Chociaż to nie jest zbyt ciekawa historia. Prawdę mówiąc, od początku nie miałem zamiaru trzymać się profesora Watai bez względu na wszystko do końca życia. Jak wcześniej panu mówiłem, kandydowanie profesora Watai polegało na przejęciu bazy wyborczej z dobrodziejstwem inwentarza, ja też byłem częścią tego inwentarza, ponieważ pracowałem dla poprzedniego posła Watai i zostałem razem z nim przeniesiony. Nie były to złe przenosiny. Obiektywnie biorąc, zamiast trzymać się poprzedniego pokolenia, które już się kończyło, lepiej było być z panem Noboru, który miał wielką przyszłość. Myślałem, że jeżeli dobrze pójdzie, pan Noboru stanie się ważną osobą na skalę światową.

Ale wcale nie czułem, że „z tym człowiekiem pójdę na kraj świata”, nie czułem żadnej - mogę chyba tak powiedzieć - lojalności. Może trudno panu uwierzyć, ale nawet ja jestem na swój sposób lojalny. Poprzedni pan poseł Wataya bił mnie, kopał, traktował jak śmiecia, gorzej niż psa. W porównaniu z tym obecny poseł Wataya jest bardzo uprzejmy. Świat to dziwne miejsce, panie Okada, i choć płaszczyłem się przed poprzednim posłem Wataya i poszedłbym za nim na koniec świata, nie mogłem tego zrobić dla profesora Watai. Wie pan dlaczego?

Potrząsnąłem przecząco głową.

- A niech tam, powiem prosto z mostu. Chyba dlatego, że ja jestem w gruncie rzeczy do niego podobny - powiedział Ushikawa. Potem wyjął z kieszeni papierosa i zapalił. Powoli zaciągnął się dymem i powoli go wypuścił. - Oczywiście różnymi się wy-

głędem, fryzurą i głową. Różnimy się tak bardzo, że to aż śmieszne. Jednak jeśli zedrzyć górną warstwę, pod spodem jesteśmy podobni. Od pierwszej chwili było to dla mnie widoczne jak na dłoni. Ojej, ten człowiek wygląda na wychuchanego synka inteligentów, ale to tylko ohydny pozer. To wcale nie jest porządny facet.

Nie, nie mówię, że to źle być pozerelem. Polityka, proszę pana, to rodzaj alchemii. Widziałem wiele przypadków, gdy nieprzystojne, wulgarne pragnienia wydały naprawdę wspaniałe owoce. Widziałem też kilka przypadków czegoś wręcz przeciwnego. Innymi słowy, widziałem, jak szlachetna sprawiedliwość daje zgniłe rezultaty. Więc szczerze mówiąc, trudno nawet powiedzieć, co jest lepsze. W świecie polityki liczą się nie argumenty, że to czy tamto, a rezultaty. Lecz pan Noboru Wataya nawet z mojego punktu widzenia jest wyjątkowo ohydny człowiekiem, przy nim wysiadała nawet moja wulgarność. Z nim nie wygram, pomyślałem. Kogoś tego samego typu poznaje się na pierwszy rzut oka. Przepraszam za nieprzystojne porównanie, ale to tak jak z długością fiuta. Duzi faceci mają duże. Rozumie pan?

Jaki rodzaj nienawiści jest najsilniejszy? Jak pan uważa, panie Okada? Kiedy spotyka się kogoś, kto bez trudu zdobył to, o czym człowiek sam na próżno od dawna marzy. Gdy patrzy się z zazdrością, jak inni dostają się bez trudu do świata, do którego człowiek sam nie może się dostać. I im bliżej jest ten człowiek, tym bardziej wzmaga się nienawiść. Tak już jest. Tak było w przypadku profesora Watai. On sam pewnie by się zdziwił, gdyby to usłyszał. A pan? Czuł pan kiedyś taką nienawiść?

Niewątpliwie czułem nienawiść do Noboru Watai, ale różniła się ona od nienawiści definiowanej przez Ushikawę. Potrząsnąłem przecząco głową.

- No i panie Okada, teraz dochodzę do pani Kumiko. Kiedyś profesor zawołał mnie i zlecił wdzięczne zadanie opiekowania się panią Kumiko. Nie wyjaśnił mi skomplikowanych okoliczności z nią związanych. Powiedział tylko, że to jego młodsza si-

ostra, że nie układało jej się w małżeństwie, wyprowadziła się od męża i mieszka sama. I że podupada na zdrowiu. Przez pewien czas zajmowałem się tą pracą z obowiązku. Płaciłem co miesiąc w banku czynsz, znalazłem kobietę do pomocy w domu, załatwiałem takie drobne sprawy. Byłem zajęty i na początku nie interesowałem się panią Kumiko. Czasami, gdy powstawały jakieś konkretne sprawy, trochę rozmawialiśmy tylko przez telefon, ale pani Kumiko była strasznie małowówna. Miałem wrażenie, że siedzi bez ruchu w kącie pokoju.

Ushikawa przerwał, napił się wody i spojrzął na zegarek. Potem starannie zapalił nowego papierosa.

- Na tym się nie skończyło. Nagle wyskoczyła sprawa pana. Chodzi o tę sprawę „willi wisielców”. Kiedy w tygodniku pojawił się ten artykuł, profesor Wataya wezwał mnie i powiedział, że nie daje mu to spokoju i mam sprawdzić, czy jest jakiś związek między panem a willą opisaną w artykule. Wiedział, że jestem dobry w takich dyskretnych poszukiwaniach, więc oczywiście padło na mnie. Zacząłem szukać i węszyć jak pies. Dalej sam pan wie, jak było. Ale jednak się zdziwiłem. Nastawiłem się, że to pewnie ma coś wspólnego z polityką, lecz nie spodziewałem się, że się dokopię do takiej ważnej figury. Naprawdę niegrzecznie tak mówić, ale to tak jak złowić wieloryba na szprotkę. Nie powiedziałem jednak o tym profesorowi Watai, tylko zachowałem w tajemnicy.

- I wykorzystawszy to, przesiadł się pan na innego konia? - zapytałem.

Ushikawa wypuścił dym w stronę sufitu i spojrzął na mnie. W jego oczach pojawiła się lekka wesołość, której tam przedtem nie było.

- Ależ pan ma nosa, panie Okada! Krótko mówiąc, właśnie tak było. Powiedziałem sobie tak: słuchaj Ushikawa, jeżeli masz zmieniać pracę, to teraz jest odpowiedni moment. No, przez pewien czas będę bez przydziału, ale nowa praca już prawie załatwiona. Na razie zostawiłem sobie trochę czasu na ochłonięcie.

Chcę odpocząć, a poza tym nie przystoi tak od razu z prawa na lewo.

Wyciągnął z kieszeni marynarki chusteczki jednorazowe i wydmuchał nos. Potem zwinął chusteczkę w kulkę i wepchnął do kieszeni.

- I co się stało z Kumiko?

- A właśnie, co dalej było z panią Kumiko? - powiedział, jakby sobie przypomniał. - Wyznam panu coś szczerze: nigdy jeszcze jej nie widziałem. Nie miałem zaszczytu jej poznać. Rozmawialiśmy tylko przez telefon. Nie spotyka się absolutnie z nikim, nie tylko ze mną. Nie wiem, czy widuje się z profesorem Watają. To zagadka. Poza tym prawdopodobnie z nikim się nie spotyka. Podobno prawie nie rozmawia nawet z kobietą do pomocy. Słyszałem o tym bezpośrednio od niej samej. Potrzebne zakupy i sprawy do załatwienia zapisuje jej na kartce, ale kiedy ta kobieta chce z nią porozmawiać, pani Kumiko unika jej i prawie się nie odzywa. Ja też poszedłem do tego mieszkania zobaczyć, co się dzieje. Była chyba w domu, lecz zupełnie nie miało się wrażenia, że ktoś tam mieszka, taka panowała cisza. Pytałem sąsiadów i nikt jej nigdy nie widział. Przez cały czas tak tam żyje. Już od ponad roku. Dokładnie rok i pięć miesięcy. Musi mieć jakiś powód, że nie chce wychodzić.

- Na pewno nie powie mi pan, gdzie jest to mieszkanie, prawda?

Ushikawa powoli pokręcił przecząco głową.

- Przykro mi, ale proszę mi to darować. Świat jest mały i wszyscy się znają. To mogłoby zaszkodzić mojej wiarygodności.

- Czy Kumiko się coś stało? Wie pan coś na ten temat?

Zdawało się, że Ushikawa się waha. W milczeniu patrzyłem mu w oczy. Miałem wrażenie, że czas zaczął płynąć wolniej. Jeszcze raz głośno wytarł nos. Potem uniósł się lekko na krześle, lecz znowu usiadł. Westchnął.

- Wie pan, to tylko moje domysły. Przypuszczam, że w rodzinie Wataya są jakieś podejrzane problemy. Nie wiem konkretnie

jakie. Pani Kumiko już od dawna to czuła, czy też wiedziała o tym i chciała stamtąd odejść. Wtedy pojawił się pan, zakochał się w sobie, wzięliście ślub i zaczęliście żyć długo i szczęśliwie. Sto lat i wszystkiego najlepszego... Dobrze byłoby, gdyby się tak ułożyło, ale niestety, to nie takie proste. Profesor Wataya z jakiegoś powodu nie chciał, żeby pani Kumiko odeszła z domu. Co pan na to? Z czymś się to panu kojarzy?

- Co nieco się kojarzy - odpowiedziałem.

- No to dalej snuję domysły: profesor Wataya porwał panią Kumiko z powrotem do swego obozu. A może kiedy brała z panem ślub, nie miał do niej żalu, lecz potem wraz z upływem czasu stopniowo wyraźnie sobie uświadomił, że jest mu potrzebna. Postanowił ją odzyskać, dołożył starań i rzeczywiście mu się udało. Nie wiem, jakich użył środków, ale wyobrażam sobie, że w czasie tego przeciągania liny być może utracone zostało to coś, co miała w sobie pani Kumiko. Może coś, co ją podtrzymało, jak wspornik, gdzieś się nagle z trzaskiem złamało. To oczywiście tylko moje przypuszczenia.

Milczałem. Podeszła kelnerka, dołała nam wody do szklanek i zabrała puste filiżanki po kawie. W tym czasie Ushikawa palił papierosa, gapiąc się na ścianę.

Spojrzałem na niego.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że Noboru Watayę i Kumiko łączyły związki natury seksualnej?

- Nie, nie mówię nic takiego - Ushikawa potrząsnął kilka razy zapalonym papierosem. - Nie daję panu nic takiego do zrozumienia. Absolutnie nie mam pojęcia, co między nimi było i co między nimi jest. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Ale wydaje mi się, że istnieje tam coś skrzywionego. Podobno między profesorem Watayą i jego rozwiedzioną żoną też nie było normalnego pożycia seksualnego. To oczywiście tylko plotki.

Ushikawa zamierzał wziąć do ręki filiżankę z kawą, lecz już jej nie było, więc napił się tylko wody. Potem poklepał się po brzuchu.

- Ostatnio dokucza mi żołądek. Bardzo mi dokucza. Tak mnie skręca. To, prawdę mówiąc, rodzinne. U nas wszyscy cierpią na żołądek. To przez to DNA. Dziedziczymy tylko złe rzeczy: łysienie, próchnicę zębów, słaby żołądek, krótkowzroczność. To jak prezent wypełniony przekleństwami. Nie do wytrzymania. Boję się, że jak pójdę do lekarza, to mi powie coś nieprzyjemnego, więc nie chodzę.

Panie Okada, może to nie moja sprawa, ale zdaje mi się, że odebranie pani Kumiko profesorowi Watai może nie być takie proste. Po pierwsze na obecnym etapie pani Kumiko nie chce do pana wrócić. A poza tym możliwe, że obecna pani Kumiko różni się od tej, którą pan znał. Może trochę się zmieniła. Bardzo niegrzecznie z mojej strony tak mówić, ale nawet gdyby założyć, że ją pan znajdzie i uda się panu ją odzyskać, obawiam się, że może pan nie udźwignąć tego ciężaru. W takim razie nie ma sensu robić czegoś połowicznie. Być może dlatego właśnie pani Kumiko do pana nie wraca?

Milczałem.

- Tak, wiele się zdarzyło, ale bardzo ciekawie było pana poznać. Wydaje mi się, że ma pan przedziwną osobowość. Gdybym kiedyś pisał autobiografię, wysiliłbym się i napisałbym o panu cały rozdział, ale niestety nie zanoszę na to. Więc rozstańmy się tu w zgodzie i na tym będzie koniec.

Jakby wyczerpany oparł się o krzesło i w milczeniu pokręcił głową.

-Trochę się rozgadałem. Przepraszam, proszę zapłacić za moją kawę. Jestem w końcu bezrobotny... choć właściwie pan też jest bezrobotny. No, niech nam się obu powiedzie. Życzę panu szczęścia. Pan też, jeżeli ma pan ochotę, może mi życzyć szczęścia.

Wstał, odwrócił się na pięcie i wyszedł z kawiarni.

## **32. O ogonie Małty Kano i Borysie Oprawcy**

We śnie (choć oczywiście podczas jego trwania nie wiedzi-



alem, że to sen) siedziałem naprzeciw Malty Kano i piliśmy herbatę. Prostokątny pokój był tak długi i szeroki, że nie było widać jego końca. Wypełniały go ustawione w równe rzędy kwadratowe stoliki. Musiało ich być ponad pięćset. Siedzieliśmy przy jednym z nich mniej więcej pośrodku. Byliśmy sami. Pod wysokim sufitem przywodzącym na myśl świątynię buddyjską ciągnęły się niezliczone grube belki i wszędzie coś z nich zwisało, jakby ktoś zawiesił tam doniczkowe rośliny. Gdy jednak dokładnie się przyjrzałem, uświadomiłem sobie, że były to prawdziwe skalpy. Poznałem to po czarnych śladach zakrzepłej krwi na podłodze. Na pewno wieszają tu świeżo zdarte skalpy do wysuszenia. Martwiłem się, że do herbaty może nam nakapać jeszcze niezakrzepłej krwi. Rzeczywiście tu i tam było słychać dźwięk skapującej jak krople deszczu krwi. W pustym pokoju dźwięk ten zdawał się bardzo głośny. Skalpy wiszące nad naszym stolikiem wyglądały na wyschnięte i nie zapowiadało się, że z nich będzie cokolwiek kapało.

Herbata była prawie wrząca, a na spodeczkach obok łyżeczek leżały po trzy jaskrawozielone kostki cukru. Malta Kano wrzuciła dwie do filiżanki i powoli zamieszała, lecz cukier nie rozpuścił się mimo długiego mieszania. Skądś pojawił się pies i usiadł obok naszego stolika. Przyjrzałem mu się i zauważyłem, że ma twarz Ushikawy. Był to przysadzisty, duży, czarny pies. Od szyi w górę był Ushikawą, choć pysk i szyję pokrywała taka sama skudlona czarna sierść jak resztę ciała.

- Przecież to pan Okada! - powiedział Ushikawa pod postacią psa. - Proszę rzucić okiem. Co pan na to? Głowa pokryta włosami. Prawdę mówiąc, jak tylko stałem się psem, wyrosły mi włosy. To nie byle co. Jaja mam dużo większe niż przedtem, żołądek też mnie nie boli. I okularów już nie no-szę, prawda? Nie muszę nosić ubrania. Jestem strasznie zadowolony. Dziwię się, że dopiero teraz na to wpadłem. Powinienem być wcześniej zostać psem. Co pan na to, panie Okada? Nie ma pan ochoty spróbować?

Malta Kano wzięła ostatnią kostkę cukru i mocno rzuciła w psa. Cukier trafił Ushikawę w czoło, pociekła czarna jak smoła krew i zabarwiła mu pysk, lecz zdawało się, że Ushikawa nie czuje bólu. Uśmiechając się nieprzyjemnie, podniósł ogon i bez słowa odszedł. Rzeczywiście miał nienormalnie duże jądra.

Malta Kano ubrana była w prochowiec. Poły zachodziły na siebie ciasno, lecz wiedziałem, że nie ma nic pod spodem. Czulem lekki zapach jej nagiego ciała. Poza tym oczywiście miała na głowie czerwony plastikowy kapelusz. Podniosłem filiżankę i wypilem łyk herbaty. Była bez smaku. Jedynie gorąca.

- Och dobrze, że pan przyszedł - powiedziała Malta Kano z wielką ulgą. Jej dawno niesłyszany głos wydawał mi się nieco weselszy. - Przez ostatnich kilka dni wiele razy do pana dzwoniłam, lecz ciągle pana nie było i martwiłam się, że może coś się stało, bo nie wiedziałam, co się z panem dzieje. Bardzo się cieszę, że wszystko w porządku. Uspokoiliam się, usłyszawszy pana głos. Przepraszam w każdym razie za długie milczenie. Trudno przez telefon opowiedzieć wszelkie zdarzenia i okoliczności, więc powiem panu tylko w skrócie. Długo podróżowałam i wróciłam dopiero tydzień temu. Halo, proszę pana?... Słyszysz mnie pan?

- Halo - odpowiedziałem. Zorientowałem się, że siedzę ze słuchawką przy uchu. Malta Kano siedziała naprzeciwko mnie i też trzymała słuchawkę. Dobiegały z niej trzaski zakłóceń na linii, jakby było to niezbyt dobre połączenie międzynarodowe.

- Przez ten czas nie było mnie w Japonii. Pojechałam na wyspę Malte na Morzu Śródziemnym. Pewnego dnia poczułam, że muszę znowu wrócić w pobliże tej wody, że nadszedł czas. Było to po naszej ostatniej rozmowie telefonicznej. Pamięta pan? Zadzwoiłam, bo nie wiedziałam, gdzie się podziała Kreta. Ale szczerze mówiąc, nie zamierzałam być tak długo poza Japonią. Przypuszczałam, że wrócę mniej więcej po dwóch tygodniach. Dlatego nie dałam panu znać. Prawie nikomu nic nie powiedziałam i tak jak stałam, wsiadłam do samolotu. Po dotarciu na mi-

ejsze długo jednak nie mogłam się zdobyć na powrót. Był pan kiedyś na Malcie?

Odpowiedziałem, że nie. Pamiętałem, że kiedyś, parę lat temu, prowadziłem tę samą rozmowę z tą samą osobą.

- Halo - powiedziała Malta Kano.

- Halo - odpowiedziałem.

Pamiętałem, że mam jej coś do powiedzenia, lecz nie mogłem sobie przypomnieć, co to było. Łamałem sobie głowę, aż w końcu mnie olśniło. Chwyciłem mocniej słuchawkę.

- A właśnie, od dawna chciałem panią o czymś zawiadomić. Kot wrócił. Malta Kano milczała przez kilka sekund. - Kot wrócił?

- Tak. Po raz pierwszy spotkaliśmy się z powodu zaginięcia kota, więc pomyślałem, że powinienem panią zawiadomić.

- Kiedy wrócił?

- Na początku wiosny tego roku. I od tego czasu w ogóle nie wychodzi z domu.

- Czy zauważył pan jakieś szczególne zmiany w jego wyglądzie zewnętrznym? Coś, co jest inne niż przed jego zniknięciem?

Zmiany w wyglądzie?

- Właściwie wydawało mi się, że trochę zmienił mu się kształt ogona...

- powiedziałem. - Kiedy go głaszczę, mam wrażenie, że dawniej miał bardziej zagięty ogon. Ale może to tylko złudzenie. Przecież nie było go przez prawie rok.

- Lecz jest to niewątpliwie ten sam kot?

- Niewątpliwie. Mam go od dawna, więc tego jestem akurat pewny.

- Rozumiem - powiedziała Malta Kano. - Bardzo mi przykro, ale prawdę mówiąc, jego prawdziwy ogon jest tu.

Odłożyła słuchawkę na stolik, szybko zsunęła płaszcz i stanęła przede mną naga. Rzeczywiście nic pod spodem nie miała. Jej piersi były tej samej wielkości, co piersi Krety Kano i włosy łonowe także tworzyły podobny kształt. Nie zdjęła plastikowego

kapelusza. Odwróciła się do mnie plecami. Istotnie ponad pośladkami miała koci ogon. Był znacznie większy niż oryginalny koci ogon, ponieważ jego wielkość była proporcjonalna do wielkości ciała kobiety, ale niewątpliwie miał kształt ogona Łososia. Był na końcu wyraźnie zagięty i to zagięcie zdawało się bardziej realne i przekonujące niż jego obecny ogon.

- Proszę się dobrze przyjrzeć. To jest prawdziwy ogon kota, który zniknął. Ten, który kot ma teraz, został później dorobiony. Wygląda tak samo, ale gdy się człowiek uważnie przyjrzy, widzi, że to inny ogon.

Chciałem dotknąć ogona, lecz machnęła nim i wymknęła mi się. Wskoczyła na jeden ze stolików. Na moją wyciągniętą dłoń spadła z sufitu kropla krwi. Miała taki sam jasnoczerwony kolor jak kapelusz Malty Kano.

- Proszę pana, dziecko, które urodziła Kreta Kano, ma na imię Korsyka - powiedziała Malta Kano ze stołu.

- Korsyka? - powtórzyłem.

- Mówi się, że nikt nie jest samotną wyspą - wtrącił skądś czarny pies Ushikawa.

Dziecko Krety Kano? Obudziłem się zlany potem.

Dawno już nie miałem takiego realnego, logicznie powiązanego, długiego snu. Dawno nie miałem też takiego dziwnego snu. Po obudzeniu przez pewien czas waliło mi serce. Wziąłem gorący prysznic, wyjąłem świeżą pizzę i się przebrałem. Było po pierwszej, lecz odechciało mi się spać. Chcąc się uspokoić, wyjąłem z kuchennej szafki starą butelkę brandy, nalałem sobie do szklaneczki i wypilem.

Potem poszedłem do sypialni i poszukałem Łososia. Kot spał smacznie zwinięty w kłębek pod kołdrą. Odwinąłem kołdrę, wziąłem do ręki koci ogon i dokładnie go obejrzałem. Wodziłem po nim palcami, próbując sobie przypomnieć dawny kształt. Kot przeciągnął się z niezadowolaniem, ale potem znowu zapadł w sen. Nie byłem już pewien, czy to ten sam ogon, który miał w czasach, gdy był Noboru Watayą. Ogon Malty Kano rzeczy-

wiecie wydawał się bliższy prawdziwemu ogonowi Noboru Watai. Jeszcze dokładnie pamiętałem kolor i kształt ogona ze snu.

„Dziecko, które urodziła Kreta Kano, ma na imię Korsyka”, powiedziała w moim śnie Malta Kano.

Następnego dnia nie oddalałem się zbyt daleko od domu. Rano poszedłem do sklepu koło dworca, kupiłem sporo jedzenia i zrobiłem sobie lunch. Kotu dałem dużą surową sardynkę. Po południu poszedłem na dawno nieodwiedzany basen dzielnicowy i popływałem. Nie był zatłoczony, może dlatego że zbliżał się koniec roku. Z głośników na suficie dobiegała świąteczna muzyka. Po przepłynięciu powoli tysiąca metrów, zacząłem mieć skurcze stóp, więc wyszedłem z wody. Na ścianie wisiała duża dekoracja świąteczna.

Wróciłem do domu i ku swojemu zdziwieniu znalazłem w skrzynce gruby list. Nie musiałem odwracać koperty i sprawdzać adresu nadawcy. Tylko porucznik Mamiya pisał tuszem takie wspaniałe litery.

Prosił, żeby mu wybaczyć tak długie milczenie. Jak przedtem, wyrażał się bardzo grzecznie i uprzejmie. Czytając, sam miałem nieomal ochotę przeproszać.

Od pewnego czasu czuje, że musi mi o czymś napisać, opowiedzieć, lecz z różnych powodów nie mógł zebrać się w sobie, usiąść przy biurku i chwycić za pióro. I gdy tak zwlekał, zbliżył się koniec roku. Lecz ma już swoje lata, nie wie, kiedy nadejdzie śmierć, i nie może w nieskończoność odkładać pisania tego listu. Może być niespodziewanie długi i ma nadzieję, że nie sprawi mi nim kłopotu.

Kiedy latem zeszłego roku dostarczyłem Panu pamiątkę po panu Hondzie, opowiedziałem tę długą historię o podróży do Mongolii. Prawdę mówiąc, ma ona swój dalszy ciąg. Można to nazwać dalszymi reminiscencjami. Opowiadając Panu tę historię w zeszłym roku, z kilku powodów opuściłem dalszy ciąg. Gdybym wszystko naraz opowiedział, historia byłaby trochę za dłu-

ga. Może pamięta Pan, że wtedy musiałem niestety załatwić pilną sprawę i nie miałbym czasu na opowiedzenie wszystkiego do końca. Ale jednocześnie nie byłem wtedy przygotowany na to, by szczerze się nią z kimś podzielić.

Jednak po pożegnaniu się z Panem pomyślałem, że trzeba było zapomnieć o tej sprawie do załatwienia i szczerze opowiedzieć Panu wszystko aż do samego końca, niczego nie ukrywając.

Trzynastego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku w czasie gwałtownych walk na obrzeżach Hailar zostałem raniony strzałem z karabinu maszynowego. Padłem na ziemię i lewe ramie zgmiotła mi gąsienica czołgu radzieckiego T-34. Zabrano mnie nieprzytomnego do szpitala armii radzieckiej w Czycie, zrobiono mi operację i jakoś uszedłem z życiem. Jak wcześniej wspominałem, zostałem przydzielony do wydziału topograficznego w sztabie głównym w Sinjing i w razie rozpoczęcia wojny ze Związkiem Radzieckim mieliśmy od razu zostać wycofani na tyły. Ale pragnąc umrzeć, zostałem na własną prośbę przeniesiony do oddziału stacjonującego w Hailar, w pobliżu granicy, i na jego czele rzuciłem się z miną w rękę jako żywy cel na formację czołgów radzieckich. Jednak tak jak kiedyś przepowiedział pan Honda nad brzegami Chałchy, nie dane mi było umrzeć. Nie straciłem życia, a jedynie lewą rękę. Przypuszczam, że wszyscy żołnierze z dowodzonego przeze mnie oddziału pewnie tam zginęli. Wykonywaliśmy rozkaz przełożonych, lecz było to bezsensowne, samobójcze działanie. Małe ręczne miny, w które zostaliśmy uzbrojeni, nie mogły nic zrobić wielkim czołgom T-34.

Okazało się, że armia radziecka zajęła się mną tak życzliwie i wyleczyła, dlatego że kiedy byłem nieprzytomny, majaczyłem po rosyjsku. Potem mi to powiedzieli. Jak wspominałem wcześniej, znałem podstawy rosyjskiego, ale w pracy w sztabie miałem dużo wolnego czasu, więc szlifowałem język i gdy wojna dobiegała końca, mogłem już płynnie rozmawiać. W Sinjing mieszkało wielu Rosjan pochodzenia arystokratycznego,

tw. białych, były rosyjskie kelnerki, więc nie brakowało osób do ćwiczenia konwersacji. I kiedy straciłem przytomność, nie wiadomo dlaczego przeszedłem na rosyjski.

Armia radziecka od początku miała zamiar po zajęciu Mandżurii wysłać japońskich jeńców do prac przymusowych na Syberię. Tak samo jak postąpili z żołnierzami niemieckimi po zakończeniu wojny w Europie. Odnieśli co prawda zwycięstwo, ale z powodu wieloletniej wojny gospodarka radziecka była na progu poważnego kryzysu i wszędzie brakowało rąk do pracy. Zapewnienie siły roboczej w postaci dorosłych mężczyzn - jeńców - było dla nich jedną z priorytetowych spraw. Potrzebowali też więcej tłumaczy, gdyż bardzo ich brakowało. Dlatego skoro mówiłem po rosyjsku, nie pozwolili mi umrzeć i jak najszybciej wysłali do szpitala w Czycie. Gdybym nie majaczył po rosyjsku, na pewno porzuciliby mnie tam i po prostu bym umarł. Pogrzebaliby mnie w bezimiennym grobie nad rzeką pod Hailar. Los jest naprawdę dziwny.

Ponieważ byłem kandydatem na tłumacza, szczegółowo sprawdzono moją przeszłość, przeszedłem kilkumiesięczne szkolenie ideologiczne, a na koniec zostałem zesłany do kopalni węgla na Syberię. Pominę szczegóły dotyczące tego okresu. Na studiach przeczytałem w ukryciu kilka dzieł Marksa i zasadniczo popierałem idee komunizmu, ale teraz za wiele widziałem, żeby ślepo za nimi podążać. Dzięki powiązaniom mojego wydziału z wydziałem wywiadowczym dobrze wiedziałem, jaki krwawy reżim wprowadził w Mongolii Stalin i dyktatorzy działający na jego polecenie. Od czasu rewolucji wysłali do obozów pracy przymusowej i w okrutny sposób pozbyli się dziesiątek tysięcy łamów, właścicieli ziemskich i członków sił opozycyjnych. Dokładnie to samo dokonywało się na terenie Związku Radzieckiego. Choć wierzyłem jeszcze w ideologię, nie mogłem już wierzyć w ludzi i organizacje, które wprowadzały w życie te idee i pryncypia. To samo dotyczy tego, co my, Japończycy, robiliśmy w Mandżurii. Na pewno nie wyobraża Pan sobie, ilu

Chińczyków zabito w czasie budowy fortecy w Hailar, a także potem, by nie wydały się tajne szczegóły jej konstrukcji.

Poza tym byłem świadkiem igrasze piekielnej sceny obdzierania ze skóry z udziałem rosyjskiego oficera i Mongołów. Potem zostałem wrzucony do głębokiej studni i w tym dziwnym, intensywnym świetle doszczętnie utraciłem wolę życia. Dlaczego miałbym wierzyć ideologii czy polityce takich ludzi?

Moja praca tłumacza polegała na przekazywaniu wiadomości między Rosjanami i żołnierzami japońskimi, którzy jako jeńcy zostali skierowani do pracy w kopalni. Nie wiem, jaka była sytuacja w innych syberyjskich obozach, ale w mojej kopalni niemal codziennie umierali ludzie. Nie brakowało powodów do śmierci. Niedożywienie, gwałtowne wycieńczenie spowodowane pracą, zawały w kopalni, zalania szybów, wybuchy chorób zakaźnych wywołane brakiem higieny, nieprawdopodobny mróz w zimie, brutalność strażników, gwałtowne duszenie najmniejszego oporu. Zdarzały się też lincze między Japończykami. Ludzie nienawidzili się, popadali w zwątpienie, bali się, załamywali.

Gdy rosła liczba zmarłych i stopniowo malała liczba rąk do pracy, nagle przywożono skądś kolejną po cichu transport nowych żołnierzy. Ubrania mieli w strzępach, byli wychudli i słabi. Dwadzieścia procent z nich nie podołało ciężkiej pracy w kopalni i umierali w ciągu pierwszych paru tygodni. Zmarli byli wrzucani do głębokiego szybu nieczynnej kopalni. Nawet gdyby ktoś chciał ich pogrzebać, nie było to możliwe, bo przez większą część roku ziemia była zmarznięta i łopaty w nią nie wchodziły. Nieczynna kopalnia okazała się najodpowiedniejszym miejscem na grób. Była głęboka, ciemna i z powodu zimna nie cuchnęła. Czasami posypywaliśmy to miejsce wapnem. Kiedy szyb się wypełniał, zasypywano go ziemią i kamieniami, jakby zakładano pokrywę, i przenoszono się do następnego.

Zdarzało się, że wrzucano tam nie tylko zmarłych, a dla wzbudzenia postrachu także żywych. Kiedy jakiś japoński żołnierz okazał hardość, radzieccy strażnicy wyprowadzali go na



dwór, bili na kwaśne jabłko, łamali mu nogi i wrzucali w piekielną głębię. Jeszcze teraz słyszę te rozpaczliwe krzyki. Było to prawdziwe piekło na ziemi.

Kopalni, jako ważnej placówki strategicznej, surowo strzegło wojsko, a kierował nią oficer polityczny przysłany z Komitetu Centralnego. Ten najważniejszy człowiek, politruk, pochodził podobno z tego samego miasteczka, co Stalin. Był jeszcze młody, pełen ambicji, ale okrutny i surowy. Jego działania miały na celu wyłącznie podniesienie produkcji kopalni. Zupełnie nie brał pod uwagę kwestii zużycia siły roboczej. Gdy wielkość produkcji rosła. Komitet Centralny uznawał kopalnię za wzorową i w nagrodę przysyłał więcej siły roboczej. Dlatego choć dużo ludzi umierało, zawsze na ich miejsce dostarczano nowych. Chcąc osiągnąć dobre wyniki produkcyjne, kazano jeńcom wydobywać węgiel z niebezpiecznych żył, których w zwykłych warunkach nikt by nie tknął. Oczywiście rosła też liczba wypadków, lecz tym się nie przejmowano.

Nie tylko ludzie u władzy byli okrutni. Większość strażników w kopalni stanowili byli więźniowie, niewykształceni, mściwi i brutalni. Nie było w nich śladu współczucia czy sympatii, zastanawiałem się nawet, czy zimne powietrze syberyjskiego końca świata stopniowo przez lata nie zmieniło ich w nieludzkie istoty. Popełnili jakieś przestępstwa, zostali zesłani do syberyjskiego więzienia, gdzie odsłużyli długie wyroki, i teraz nie mieli już ani domów, ani rodzin, do których mogliby wrócić, więc pozakładali nowe rodziny i osiedli na Syberii.

Do kopalni przywożono nie tylko Japończyków. Przyjeżdżali też liczni Rosjanie. Wielu z nich musiało być ofiarami stalinowskiej czystki, więźniami politycznymi i byłymi oficerami. Znajdowało się wśród nich niemało ludzi z wyższym wykształceniem, wyjątkowo dystygowanych. Zdarzały się także - choć rzadko - kobiety i dzieci. Prawdopodobnie były to rozdzielone rodziny więźniów politycznych. Kobiety i dzieci przydzielano

do przygotowywania posiłków, sprzątania i prania. Jeżeli kobiety były młode, zmuszano je do czegoś w rodzaju prostytucji. Poza tym przyjeżdżali też w transportach Polacy, Węgrzy i jacyś inni cudzoziemcy o śniadych twarzach (domyślam się, że pewnie byli to Ormianie i Kurdowie). Obóz podzielono na trzy strefy. W największej mieszkali jeńcy japońscy, w drugiej żyli inni więźniowie i jeńcy, a w trzeciej pozostali niebędący więźniami: pracujący w kopalni górnicy i specjaliści, oficerowie z oddziałów strzegących kopalni, strażnicy i ich rodziny oraz zwykli Rosjanie. Poza tym przy dworcu znajdowały się duże koszary wojskowe. Więźniom i jeńcom wzbronione było przechodzenie ze strefy do strefy. Dzielili je potężne zasieki z drutu kolczastego patrolowane przez żołnierzy z karabinami maszynowymi.

Ponieważ miałem uprawnienia tłumacza, codziennie musiałem chodzić do kierownictwa i w zasadzie mogłem się dowolnie przemieszczać między strefami, jeżeli tylko pokazałem przepustkę. Niedaleko kierownictwa znajdował się dworzec, a przed nim było coś w rodzaju miasteczka. Kilka podupadłych sklepów sprzedających przedmioty codziennego użytku, bar, kwatera, w której zatrzymywali się goście: urzędnicy z centrali i ważni oficerowie. Na placu z korytami dla koni powiewała wielka czerwona flaga Związku Radzieckiego. Pod nią stał pojazd opancerzony, strzegł go zawsze młody żołnierz w pełnym uzbrojeniu, ze znużoną miną opierający się o karabin maszynowy. Dalej było nowo zbudowany szpital wojskowy, a przy wejściu stał duży posąg Józefa Stalina.

Spotkałem tego człowieka wiosną czterdziestego siódmego roku. W końcu nadeszła pora topnienia śniegu, więc chyba musiał być początek maja. Minęło już półtora roku mojego zesłania. Ubrany był w strój noszony przez rosyjskich więźniów i wraz z grupą dziesięciu innych pracował przy naprawie stacji kolejowej. Rozbijali młotami kamienie i brukowali jakieś przejście. Uderzenia młotów o twarde kamienie niosły się echem. Wraciałem właśnie z kierownictwa kopalni, dokąd zaniósłem ja-

kaś wiadomość, i przechodziłem przed dworcem. Podoficer nadzorujący prace przywołał mnie i kazał mi pokazać przepustkę. Wyjąłem ją z kieszeni i podałem mu. Wielki sierżant przyglądał jej się przez chwilę podejrzliwie, ale jasne było, że nie umie czytać. Zawołał jednego z pracujących więźniów i kazał mu przeczytać, co w niej napisano. Więzień różnił się jakoś od pozostałych i wyglądał na wykształconego. Był to ten człowiek. Na widok jego twarzy pobladłem i zabrakło mi tchu. Naprawdę nie mogłem oddychać, jakbym się topił.

Był to ten rosyjski oficer, który nad brzegiem Chałchy kazał Mongołowi obedrzeć Yamamoto ze skóry. Wychudł, wyłysiał i brakowało mu z przodu jednego zęba. Zamiast nieskazitelnego munduru nosił pokryte brudem ubranie więzienne, a lśniące oficerki zastąpiły dziurawe filcowe buty. Szkła okularów były brudne i porysowane, oprawki powyginane. Lecz niewątpliwie był to ten sam oficer. Nie mogłem się mylić. Przyglądał mi się natarczywie. Zapewne zdziwił się, że stoję tam jak skamieniały. Ja też pewnie, tak jak i on, wychudłem i postarzałem się w ciągu tych dziewięciu lat. Miałem nawet trochę siwych włosów. Zdawało się, że on także sobie mnie przypomniał. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Na pewno myślał, że zgniłem na dnie studni w Mongolii. Mnie również nawet się nie śniło, że spotkam tego oficera ubranego w więzienny strój w syberyjskiej kopalni węgla.

Szybko powściągnął zdziwienie i spokojnie odczytał treść przepustki sierżantowi analfabecie z karabinem maszynowym u szyi: moje nazwisko, funkcję tłumacza i że mam prawo się przemieszczać między strefami. Sierżant zwrócił mi przepustkę i brodą wskazał, że mogę iść. Odszedłem kawałek i odwróciłem się. Ten człowiek też na mnie patrzył. Zdawało mi się, że na jego twarzy pojawił się lekki uśmiezek. Ale może to było tylko złudzenie. Przez pewien czas drżały mi nogi i nie mogłem się ruszyć. Na chwilę jak żywy powrócił tamten strach.

Pomyślałem, że prawdopodobnie z powodu jakichś okolicz-

ności popadł w niełaskę, został uwięziony i zesłany na Syberię. W tamtych czasach w Związku Radzieckim takie rzeczy często się zdarzały. W rządzie, partii i wojsku trwały gwałtowne tarcia, a granicząca z chorobą podejrzliwość Stalina kazała mu je śledzić i likwidować. Ludzie tracili stanowiska, na podstawie wyroku sądów doraźnych byli od razu rozstrzeliwani albo zsyłani do obozów pracy, lecz Bóg jeden wie, którzy mieli większe szczęście, ponieważ uniknąwszy śmierci, zesłańcy do końca życia wykonywali katorżniczą, niewolniczą pracę. My, Japończycy, byliśmy jeńcami wojennymi, więc gdyby nam się udało przeżyć, mieliśmy nadzieję na powrót do kraju, lecz rosyjscy zesłańcy nie mieli praktycznie żadnej. Ten człowiek też pewnie na próżno zgnije w syberyjskiej ziemi.

Martwiło mnie tylko jedno, a mianowicie, że teraz zna moje nazwisko i miejsce pobytu, oraz to, że przed wojną, sam o tym nie wiedząc, brałem wraz z Yamamoto udział w tajnej operacji. Przekroczyliśmy rzekę Chałchę i na terenie Mongolii oddawaliśmy się działalności wywiadowczej. Jeżeli te informacje dostałyby się za jego pośrednictwem do czyichś uszu, znalazłbym się w nieciekawym położeniu. Lecz on na mnie nie doniósł. Jak się później dowiedziałem, sekretnie kreślił wtedy bardziej dalekosiężne plany.

Po tygodniu znowu zauważyłem go przed dworcem. Tak jak przedtem odziany w brudny więzienny strój, z nogami skutymi łańcuchem rozbijał młotem kamienie. Spojrzałem na niego, a on na mnie. Położył młot na ziemi, wyprostował się tak jak kiedyś, gdy nosił mundur i odwrócił się w moją stronę. Tym razem nie miałem wątpliwości, że się uśmiecha. Był to bardzo wąty uśmiech, ale jednak uśmiech. Kryło się w nim mrozące krew w żyłach okrucieństwo. Tak wyglądały jego oczy, gdy przyglądał się zdzieraniu skóry z Yamamoto. Przeszedłem obok niego bez słowa.

W dowództwie radzieckim był tylko jeden oficer, z którym mogłem przyjaźnie porozmawiać. Też skończył geografię - na

uniwersytecie w Leningradzie - i byliśmy mniej więcej w tym samym wieku. Interesowało go tworzenie map i często pod jakimś pretekstem zabijaliśmy czas, prowadząc specjalistyczne rozmowy o ich rysowaniu. Prywatnie interesowały go mapy strategiczne Mandżurii, jakimi posługiwała się Armia Kwantuńska. Oczywiście nie rozmawialiśmy o tym w obecności jego przełożonych, tylko wybieraliśmy czas, gdy byliśmy sami, i prowadziliśmy przyjemne pogawędki specjalistów. Czasami dawał mi jedzenie. Pokazał mi też zdjęcia żony i dzieci mieszkających w Kijowie. Był to jedyny Rosjanin, do którego poczułem sympatię w okresie internowania w Związku Radzieckim.

Kiedyś jak gdyby nigdy nic zapytałem go o grupę więźniów rosyjskich pracujących przy dworcu. Jeden z nich zdawał się różnić od pozostałych.

Czy to przypadkiem ktoś, kto przedtem miał jakąś wysoką pozycję? Potem dokładnie opisałem, jak wygląda. Mój znajomy, który miał na imię Nikołaj, spojrzał na mnie ponuro.

- To Borys Oprawca - powiedział. - Ale lepiej za bardzo się nim nie interesuj.

Zapytałem dlaczego. Nikołaj nie bardzo chciał o tym mówić, lecz wiedział, że mogę mu się w razie czego przysłużyć, więc choć niechętnie, opowiedział mi o okolicznościach, w jakich Borys Oprawca został zesłany do kopalni. - Nie mów nikomu tego, co ci powiedziałem - dodał. - Ten człowiek jest niebezpieczny. To nie żarty. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

A oto, co opowiedział mi Nikołaj: Borys Oprawca naprawdę nazywał się Borys Gromow. Tak jak przypuszczałem, był majorem NKWD, tajnej policji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kiedy w 1938 roku Czobjalsan\* doszedł do władzy i został premierem, Gromowa wysłano do Ułan Bator jako doradcę do spraw wojskowych. Stworzył tam mongolską tajną policję na wzór radzieckiej pod wodzą Berii i okazał wielką przebiegłość

---

\* Czobjalsan Chorlogijn (1895-1952) - mongolski polityk, jeden z organizatorów i przywódców rewolucji mongolskiej

w tłumieniu sił kontrewolucyjnych. Robił oblawy, zsyłał do obozów, torturował. Wszyscy bez wyjątku, co do których były najmniejsze podejrzenia czy wątpliwości, byli likwidowani.

Kiedy skończyła się bitwa o Nomonhan i uniknięto kryzysu na Wschodzie, został od razu wezwany do centrali. Tym razem wysłano go do wschodniej Polski okupowanej przez Związek Radziecki, by zajął się czystką pozostałości armii polskiej. Tam zdobył przywisko Borys Oprawca. Podobno posługując się człowiekiem przywiezionym z Mongolii, torturował ludzi, na żywca obdzierając ich ze skóry. Polacy oczywiście śmiertelnie się go bali. Każdy kto widział obdzieranie ze skóry, od razu wszystko wyśpiewywał i przyznawał się do winy. Kiedy po nagłym wkroczeniu wojsk niemieckich rozpoczęła się wojna z Niemcami, Borys został wezwany z powrotem do Moskwy. Wielu ludzi aresztowano pod zarzutem pozostawiania w zorganizowanym porozumieniu z Hitlerem, poddawano ich egzekucjom albo zsyłano do obozów. Borys, działając jako prawa ręka Berii, wyróżnił się, stosując swe ulubione tortury. Stalin i Beria chcąc ukryć brak odpowiedzialności za to, że nie przewidzieli niemieckiej inwazji, i wzmocnić system władzy, musieli wymyślić teorię spiskową. Wielu ludzi bezsensownie zabito, stosując bestialskie tortury. Nie wiadomo, czy to prawda, ale mówiono, że Borys wraz ze swym mongolskim podwładnym obdarli ze skóry co najmniej pięć osób. Plotki głosiły, że Borys z dumą ozdabiał tymi skórami ściany swego pokoju.

Choć okrutny, był jednocześnie człowiekiem niezwykle ostrożnym i przezornym. Dzięki tej przezorności przeżył wszystkie intrygi i czystki. Beria kochał go jak syna. Ale być może nabrał zbyt dużej pewności siebie i pewnego razu posunął się za daleko. Ten wypadek okazał się dla niego fatalny. Aresztował dowódcę jednostki pancerniej podejrzewanego o współpracę z jednostką pancerną SS, poddał go śledztwu i w trakcie śledztwa zamordował. Wtykał mu w ciało gorące żelazo. W uszy, w nozdrza, w odbył, w penis, wszędzie. Lecz okazało się, że ten oficer

był siostrzeńcem kogoś, kto zajmował wysoką pozycję w Biurze Politycznym. Dokładne śledztwo przeprowadzone przez sztab główny Armii Czerwonej wyjaśniło, że oficer był zupełnie niewinny. Oczywiście w Biurze Politycznym zapanowała wściekłość, a armia, która straciła twarz, też nie mogła się w milczeniu wycofać. Tym razem nawet Beria nie mógł mu pomóc. Borys został natychmiast zwolniony, osądzony i wraz z mongolskim zastępcą skazany na śmierć, lecz NKWD dołożyło wszelkich starań, kara została złagodzona. Skazano go na ciężkie roboty i zesłano do obozu pracy na Syberię (Mongol został powieszony). Podobno Beria przesłał Borysowi do więzienia wiadomość, żeby jakoś przetrwał rok, a w tym czasie Beria załatwi z Armią Czerwoną i partią, żeby mógł wrócić na poprzednie stanowisko. Przynajmniej tak mówił Nikołaj.

- Rozumiesz, Mamiya? - mówił, ścisząc głos. - Wielu ludzi tutaj wierzy, że Borys wróci do centrali. Że niedługo Beria go stąd wyciągnie. Rzeczywiście obóz jest teraz pod nadzorem centrali i Armii Czerwonej, więc Beria nie może sobie pozwolić na nieostrożny ruch. Ale to nie znaczy, że można być spokojnym. Nie wiadomo, z której strony powieje wiatr. Gdyby teraz został tu źle potraktowany, niewykluczone, że potem straszliwie by się zemścił. Na świecie jest wielu głupców, ale nikt nie jest taki głupi, żeby sam na siebie podpisywał wyrok śmierci. Dlatego Borys traktowany jest z wielką ostrożnością, jak gość. Nie można mu dać służącego i umieścić go w hotelu, więc na pokaz się go zakuwa i posyła do lekkiej pracy. Ale i tak w tajemnicy dali mu własny pokój i dostaje tyle wódki i papierosów, ile chce. Moim zdaniem taki gość to jak jadowity wąż. Lepiej go zabić, bo ani krajowi, ani nikomu się na nic nie przyda. Najlepiej by było, gdyby mu ktoś w nocy poderznął gardło.

Pewnego dnia znów przechodziłem przed dworcem, gdy przywołał mnie tamten wielki sierżant. Wyjąłem przepustkę i chciałem mu pokazać, ale on potrząsnął głową i nie przyjął jej, tylko powiedział, że mam zaraz iść do biura zawiadowcy stacji.

Nie wiedząc, o co chodzi, poszedłem. W biurze nie znalazłem zawiadowcy, a czekającego na mnie Borysa Gromowa w więziennym ubraniu. Siedział przy stoliku zawiadowcy i pił herbatę. Zamarłem w drzwiach. Na nogach nie miał już okowów. Dał mi ręką znak, żebym wszedł.

- Dawnośmy się nie widzieli, prawda, poruczniku Mamiya? - powiedział, śmiejąc się wesoło. Zaproponował mi papierosa, lecz odmówiłem, potrząsając głową.

Borys zapalił.

-To już dziewięć lat minęło. A może osiem? No, mniejsza o to. Świetnie, że żyjecie i jesteście zdrowi. Bardzo się cieszę, spotkawszy ponownie starego przyjaciela. Szczególnie po takiej wielkiej okrutnej wojnie. Nieprawdaż? A właśnie, jak wam się udało wydostać z tej okropnej studni?

Milczałem z zaciśniętymi ustami.

- Mniejsza o to. W każdym razie jakoś się z niej wydostaliście. I gdzieś straciliście rękę. Nie wiadomo kiedy nauczyliście się też płynnie mówić po rosyjsku. To świetnie. Bez ręki można sobie poradzić. Ważne, że żyjecie.

Odpowiedziałem, że wcale nie mam ochoty żyć. Usłyszawszy to, Borys wybuchnął gromkim śmiechem.

- Poruczniku Mamiya, jesteście bardzo ciekawym człowiekiem. Ktoś, kto nie chce żyć, przeżył. To naprawdę ciekawe. Jednak mnie nie oszukacie. Zwykłemu człowiekowi nie udałoby się wyleźć samemu z tamtej studni, przebyć w bród rzeki i wrócić do Mandżurii. Ale nie martwcie się. Nie zamierzam nikomu o tym mówić. Niestety utraciłem dawną pozycję i, jak widzicie, jestem tu tylko zwykłym więźniem. Lecz nie mam zamiaru do końca życia rozbijać młotem kamieni na takim końcu świata. Nawet teraz zachowałem jeszcze oczywiście wpływy w centrali i z pomocą tych wpływów także tutaj z dnia na dzień wzmacniam swoją pozycję. I szczerze wam się przyznam, że chciałbym mieć dobre stosunki z wami, jeńcami japońskimi. Wyniki produkcyjne kopalni zależą od pracy wszystkich, licznych, praco-



witych jeńców japońskich. Uważam, że do niczego nie dojdziemy, jeżeli nie dostrzeżemy ważnej roli, jaką odgrywacie. Chciałbym skorzystać w tym z waszej pomocy, poruczniku Mamiya. Pracowaliście w wywiadzie Armii Kwantuńskiej i jesteście odważnym człowiekiem. Świetnie mówicie po rosyjsku. Jeżeli zostaniecie pośrednikiem, przysłużyć się, jak będę mógł, wam i waszym krajanom. To wcale nie jest zła propozycja.

- Nigdy nie byłem szpiegiem i nie mam zamiaru nim zostać - odpowiedziałem dobitnie.

- Wcale nie mówię, że macie zostać szpiegiem - powiedział Borys uspokajająco. - Nie zrozumcie mnie źle. Mówię, że przysłużyć się wam, jak będę mógł. Proponuję stworzenie dobrych stosunków. I proszę tylko, żebyście to przekazali innym. Poruczniku Mamiya, ja mogę nawet zwalić ze stołka tego głupiego gówniarza, tego gruzińskiego politruka. To szczerza prawda. No jak? Na pewno śmiertelnie go nienawidzicie. A gdy się go wygoni, możliwe będzie dla was uzyskanie częściowej autonomii. Będziecie mogli utworzyć komitet i rządzić sobą jako niezależną organizacją. Wtedy przynajmniej nie będziecie musieli znosić tego bezsensownego znęcania się strażników. Przecież od dawna sobie tego życzyacie, prawda?

Rzeczywiście było tak, jak mówił. Od dawna wysuwaliliśmy takie żądania do władz i zawsze były kategorycznie odrzucane.

- A co musimy zrobić w zamian za to? - zapytałem.

- Nic wielkiego - powiedział z uśmiechem, rozkładając ręce. - Zależy mi na bliskich i przyjaznych stosunkach z japońskimi jeńcami. Potrzebuję waszej pomocy w wygonieniu stąd kilku towarzyszy, z którymi trudno się porozumieć. Poza tym i mnie, i wam zależy do pewnego stopnia na tych samych rzeczach. No to jak, może połączymy nasze wysiłki? Give and take, jak mawiają Amerykanie. Jak mi pomożecie, nie będziecie żałować. Nie zamierzam was oszukać. Oczywiście rozumiem, że nie mogę was prosić, żebyście mnie polubili. Dzielą nas pewne niefortunne wspomnienia. Wbrew pozorom jestem lojalnym człowiekiem.

Zawsze dotrzymuję obietnic. Dlatego spuścimy zasłonę na to, co było w przeszłości. Chciałbym za kilka dni otrzymać zdecydowaną odpowiedź na tę propozycję. Myślę, że warto spróbować, poza tym nie macie już chyba nic do stracenia, prawda? Poruczniku Mamiya, przekazcie to w wielkiej tajemnicy tylko ludziom naprawdę godnym zaufania. Prawdę mówiąc, jest wśród was kilku informatorów donoszących politrukowi. Postarajcie się, żeby się pod żadnym pozorem nie dowiedzieli. Gdyby do tego doszło, mogłyby się zdarzyć nieciekawe rzeczy. Moje wpływy tutaj nie obejmują jeszcze wszystkiego.

Wróciłem do obozu i opowiedziałem o tym po cichu pewnemu człowiekowi. Był dawniej podpułkownikiem, człowiekiem mężnym i rezolutnym. Dowodził oddziałem, który zabarykadował się w fortecy Singanling, nie wywiesił białej flagi nawet po zakończeniu wojny i walczył do końca. Teraz stał się nieoficjalnym przywódcą japońskich jeńców i Rosjanie też musieli się z nim liczyć. Pominąwszy historię z Yamamoto nad Chałchą, powiedziałem mu, że Borys był wysoko postawionym oficerem tajnej policji i o tym, co zaproponował. Wydawało się, że podpułkownika zainteresowała możliwość wyrzucenia obecnego politruka i wywalczenia samorządności dla japońskich jeńców. Podkreśliłem, że Borys jest okrutnym, niebezpiecznym człowiekiem, mistrzem podstępów i nie można mu ślepo wierzyć. - Może to prawda, ale ten człowiek rzeczywiście ma rację: nie mamy nic do stracenia - odparł podpułkownik. Co mogłem powiedzieć? Rzeczywiście, bez względu na to, co się stanie w wyniku tej transakcji, nasza sytuacja nie mogła się już pogorszyć. Jednak bardzo się myliłem. W piekle jest wiele poziomów.

Po kilku dniach znalazłem miejsce, w którym podpułkownik mógł porozmawiać z Borysem bez świadków. Wystąpiłem w roli tłumacza. Po półgodzinnej rozmowie zawarli poufną umowę i uścisnęli sobie ręce. Nie wiem, co się potem zdarzyło. Unikali bezpośrednich kontaktów, by nie zwracać na siebie uwagi, lecz zdawało się, że jakimiś tajemniczymi sposobami często przesy-

łali sobie zakodowane wiadomości. Dlatego też nigdy już między nimi nie pośredniczyłem. Obaj zachowywali pełną dyskrecję, a mnie to cieszyło. Chciałem uniknąć jakichkolwiek kontaktów z Borysem. Oczywiście, jak później zrozumiałem, było to niemożliwe.

Mniej więcej po miesiącu, tak jak przyrzekł Borys, gruziński politruk został odwołany ze stanowiska na polecenie centrali i po dwóch dniach przysłano z Moskwy innego. Po kolejnych dwóch dniach nocą uduszono trzech japońskich jeńców. Aby upozorować samobójstwo, powieszono ich na sznurach przymocowanych do belki na suficie, ale nie było wątpliwości, że zostali zlinczowani przez innych Japończyków. Prawdopodobnie byli to informatorzy, o których mówił Borys. W końcu nie doszło do żadnego dochodzenia, nie wyciągnięto konsekwencji i cała sprawa przyschła. W tym czasie Borys dzierżył już w rękę prawdziwą władzę w obozie.

### **33. O zniknięciu kija i powrocie Sroki złodziejki**

W swetrze, krótkim płaszczu i wełnianej czapce nasuniętej głęboko na oczy przelazłem przez ogrodzenie i cicho zeskoczyłem na pustą uliczkę. Było trochę czasu do świtu, ludzie jeszcze spali. Tłumiąc odgłos kroków, posuwałem się ku „willi”.

Wewnątrz było dokładnie tak samo, jak sześć dni temu kiedy stąd wychodziłem. W zlewie stały niezmyte naczynia. Nie zastałem żadnej kartki ani wiadomości na sekretarce. Ekran komputera w pokoju Cynamona był zimny i martwy. Dzięki klimatyzacji w pomieszczeniu utrzymywała się stała temperatura. Zdjąłem płaszcz, rękawiczki, zagotowałem wodę i napiłem się herbaty. Zamiast śniadania zjadłem parę herbatników z serem. Potem zmyłem naczynia i poustawiałem w szafce. Zrobiła się dziewiąta, lecz, tak jak przewidywałem, Cynamon się nie pokazał.

Poszedłem do ogrodu, zdjąłem pokrywę ze studni, pochyliłem się i zajrzałem do środka. Panowała tam ta sama gęsta ciemność, co zwykle. Znałem już tę studnię tak dobrze, jakby była przedłu-

żeniem mego własnego ciała. Jej ciemność, zapach, cisza stały się częścią mnie. W pewnym sensie znałem tę studnię lepiej niż Kumiko. Oczywiście dobrze pamiętałem żonę. Gdy zamykałem oczy, przypominałem sobie ze szczegółami jej głos, twarz, postać, gesty. Przecież w końcu mieszkałem z nią pod jednym dachem przez sześć lat. Ale jednocześnie miałem wrażenie, że niektórych rzeczy nie mogę już sobie wyraźnie przypomnieć. A może nie byłem pewien, czy to, co sobie przypominam, odpowiada rzeczywistości. Tak samo jak nie mogłem sobie dokładnie przypomnieć, jak wygięty był ogon kota.

Usiadłem na cembrowinie, włożyłem ręce w kieszenie płaszcza i jeszcze raz rozejrzałem się dookoła. Zdawało się, że w każdej chwili może zacząć padać lodowaty deszcz albo śnieg. Wiatr nie wiał, lecz było bardzo zimno. Stado małych ptaszków kilka razy zakreśliło w powietrzu skomplikowane linie, jakby pisało jakieś tajemnicze hieroglify. Potem energicznie zerwały się do lotu i gdzieś zniknęły. Wkrótce dał się słyszeć stłumiony odgłos silnika odrzutowca, lecz zasłonięty gęstymi chmurami samolot był całkowicie niewidoczny. Przy takim zachmurzeniu, słońce nie zaszkodzi moim oczom, nawet jeżeli wejdę do studni w ciągu dnia.

Przez pewien czas siedziałem na cembrowinie, nic nie robiąc. Nie miałem się do czego spieszyć. Dzień się dopiero zaczynał, jeszcze daleko do południa. Oddałem się myślom, które przychodziły mi do głowy w przypadkowej kolejności. Co się właściwie stało z posągiem ptaka, który tu kiedyś był? Czy stoi teraz w jakimś innym ogrodzie i na próżno marzy o wzniesieniu się ku niebu? A może został wyrzucony na śmietnik, kiedy zeszłego lata rozebrano dom państwa Miyawaki? Zateęskniłem za tym posągiem. Wydawało mi się, że wraz z jego zniknięciem ogród stracił delikatną równowagę, która dawniej w nim panowała.

Po jedenastej nic już nie przychodziło mi do głowy, więc wszedłem do studni. Opuściłem się powoli po drabinie, staną-

łem na dnie i jak zawsze wziąłem głęboki oddech, sprawdzając stan powietrza. Było takie jak zawsze. Trochę pachniało pleśnią, ale tlenu nie brakowało. Potem poszukałem po omacku opartego o ścianę kija baseballowego. Lecz kija nie było. Zniknął. Zniknął całkowicie i bez śladu.

Usiadłem na dnie studni i oparłem się o ścianę.

Westchnąłem kilka razy. Były to bezcelowe puste westchnienia jak kapryśne powiewy wiatru w wyschniętej, bezimiennej dolinie. Kiedy zmęczyło mnie wzdychanie, potarłem rękami policzki. Kto mógł zabrać kij? Cynamon? Była to jedyna możliwość, jaka mi przychodziła do głowy. Nikt poza Cynamonem nie wiedział o jego istnieniu, poza tym nikt nie schodził do tej studni. Ale po co go zabrał? W ciemnościach bezradnie pokręciłem głową. Nie mogłem tego zrozumieć. Była to jedna z wielu rzeczy, których nie mogłem zrozumieć.

Dziś muszę sobie poradzić bez kija, pomyślałem. Nie ma rady. Kij od początku był tylko czymś w rodzaju amuletu. Nie szkodzi, świetnie sobie bez niego poradzę. Przecież za pierwszym razem dotarłem do tego pokoju z pustymi rękami. Przekonałem sam siebie w ten sposób, a potem pociągnąłem za sznur i zamknąłem pokrywę. Objąłem kolana rękami i zamknąłem oczy w głębokiej ciemności.

Nie udało mi się, tak jak poprzednio, skupić świadomości na jednej rzeczy. Do głowy wdzierały mi się różne myśli i przeskadzały w skupieniu. Chcąc je odpędzić, próbowałem myśleć o basenie. O dwudziestopięciometrowym krytym basenie dzielnicowym, na który chodziłem. Wyobrażam sobie, że pływam w nim tam i z powrotem czałem. Nie szybko, lecz powoli, niespiesznie, w nieskończoność. Spokojnie wyciągam łokieć z wody, tak by nie robić niepotrzebnego hałasu, by jej niepotrzebnie nie rozpryskiwać, i wkładam z powrotem do wody, palcami w dół. Nabieram wody do ust i powoli wypuszczam, jakbym oddychał pod wodą. Po pewnym czasie czuję, że moje ciało płynie w wodzie jak unoszone łagodnym wiatrem. Słyszę tylko własny regu-

larny oddech. Unoszę się na wietrze jak ptak i spokojnie patrzę na ziemię w dole. Widzę dalekie miasta, małe sylwetki ludzi, płynącą rzekę. Ogarnia mnie uczucie spokoju. Jestem nieomal w transie. Pływanie to jedna z najwspanialszych rzeczy, jakich w życiu doświadczyłem. Nie rozwiązało żadnego z moich problemów, ale również niczego nie zniszczyło. I samo nie zostało przez nic zniszczone. Pływanie.

Nagle wydaje mi się, że coś słyszę.

Orientuję się, że z ciemności dobiega niski monotony dźwięk przypominający szum skrzydełek owadów, lecz różni się od prawdziwego szumu skrzydełek. Jest bardziej maszynowy, sztuczny. Długość fali zmienia się trochę, dźwięk staje się to niższy, to wyższy, jak przy strojeniu radia na krótkich falach. Wstrzymuję oddech, wyteżam słuch i staram się zorientować, skąd dobiega. Zdaje się, że z jakiegoś punktu w ciemności, a jednocześnie słyszę go we własnej głowie. W głębokiej ciemności strasznie trudno jest znaleźć takie granice.

Skupiając się na tym dźwięku, zapadłem w sen. Nie poczułem stopniowo nadchodzącej świadomości „znużenia”. Naprawdę nagle zapadłem w sen, jakbym idąc korytarzem, nieoczekiwanie został wciągnięty do jakiegoś nieznanego pokoju. Nie wiem, jak długo spowijał mnie ten przypominający gęste błoto sen. Chyba niedługo. Może tylko przez chwilę. Ale nagle coś poczułem, wróciłem do świadomości i wiedziałem, że jestem w innej ciemności. Powietrze było inne, temperatura była inna, głębia i faktura ciemności były inne. W ciemność wmieszało się słabe nieprzezroczyste światło. Nozdrza podrażnił mi intensywny zapach pyłku kwiatowego. Byłem w tym dziwnym pokoju hotelowym.

Podniosłem głowę, rozejrzałem się i wstrzymałem oddech.

Przeszedłem przez ścianę.

Siedziałem na pokrytej wykładziną podłodze i opierałem się o pokrytą tkaniną ścianę. Obejmowałem rękami kolana. Ze strasznie głębokiego snu wróciłem do całkowitej, trzeźwej przytomności. Przyzwyczajenie się do myśli, że już nie śpię, zajęło mi

trochę czasu, ponieważ kontrast był tak duży. Serce kurczyło się szybko, głośno stukając. Nie ma wątpliwości. Jestem tu. Wreszcie udało mi się tu dotrzeć.

W drobnoziarnistej ciszy pokrytej wieloma gęstymi woalami pokój wyglądał dokładnie tak, jak pamiętałem. Lecz gdy oczy przywykły do ciemności, zauważyłem, że niektóre szczegóły nieco się różnią. Po pierwsze, telefon stoi w innym miejscu. Przeniósł się z szafki nocnej na łóżko. Cicho ukrył się w poduszce. Po drugie bardzo ubyło whisky z butelki. Teraz zostało tylko trochę na dnie. Lód w kubelku całkiem stopniał i zmienił się w nieświeżą, mętłą wodę. Szklaneczki wyschły i gdy ich dotknąłem, poczułem, że pokryły się warstwą kurzu. Podeszedłem do łóżka, podniosłem słuchawkę i przytknąłem do ucha. Nie było słyhać absolutnie żadnego dźwięku. Pokój wyglądał na od dawna porzucony i zapomniany. Nie czuło się w nim śladu żadnej ludzkiej obecności. Tylko kwiaty w wazonie zachowały swoją dziwną żywotność.

Na łóżku odcisnął się ślad postaci. Prześcieradło, narzuta i poduszka leżały nieporządnie odrzucone. Odsunąłem kołdrę i sprawdziłem. Nie była już ciepła. Nie zachował się też zapach kosmetyków. Wydawało mi się, że ktoś dość dawno wstał. Usiadłem na brzegu łóżka i jeszcze raz powoli rozglądając się dookoła, wyteżyłem słuch. Nic nie usłyszałem. Pokój wyglądał jak starożytny grób, z którego rabusie zabrali ciało.

Wtedy nagle zadzwonił telefon. Serce zamarło we mnie jak przerażony kot. Silne drżenie powietrza obudziło unoszący się pyłek kwiatowy, jakby nim potrząsnęło. W ciemności kwiaty podniosły płatki. Telefon? Ale przecież jeszcze przed chwilą był martwy jak kamień leżący w głębi ziemi. Wziąłem głęboki oddech, uspokoiłem szybko bijące serce i upewniłem się, że jestem w tym samym pokoju i nigdzie się nie przeniósłem. Wyciągam rękę, dotykam lekko słuchawki, czekam przez chwilę, potem powoli podnoszę ją. Telefon musiał zadzwonić ze trzy albo cztery razy.

- Halo - mówię, lecz telefon milknie w tej samej chwili. W dłoni czuję przypominający worek piasku ciężar nieodwracalnej martwoty. - Halo - powtarzam bezdźwięcznie, lecz mój głos odbija się od grubej ściany i wraca niezmieniony. Odkładam słuchawkę, a potem znowu przytykam ją do ucha. Nic nie słyshać. Siedząc na brzegu łóżka i wstrzymując oddech, czekam, aż telefon jeszcze raz zadzwoni, lecz on milczy. Patrzę, jak pyłek znów traci świadomość, osuwa się i opada. Odtwarzam w myślach dzwonek telefonu. Nie jestem już pewien, czy naprawdę zadzwonił. Ale lepiej o takich rzeczach nie myśleć, bo to do niczego nie doprowadzi. Muszę się pohamować. Jeżeli tego nie zrobię, zacznę wątpić w to, że tu jestem. Na pewno dzwonił, nie ma wątpliwości. I w chwilę potem ucichł. Chrząkam lekko, lecz to chrząknięcie też od razu rozplywa się w przestrzeni.

Wstaję i jeszcze raz przechadzam się po pokoju. Patrzę na podłogę, sufit, przysiadam na stole, opieram się lekko o ścianę. Jak gdyby nigdy nic przekręcam klamkę, zapalam i gaszę lampę stojącą. Oczywiście drzwi nawet nie drgną, lampa nie działa. Okno jest od zewnątrz zasłonięte. Na próbę wyteżam słuch, lecz cisza jest jak wysoki gładki mur. Jednak mimo to czuję w niej coś, co próbuje mnie oszukać. Jakies stworzenia. Wszystkie wstrzymują oddech i przywierają do muru, ukrywają oblicza, nie chcąc, bym je wyczuł. Dlatego u d a j ę, że ich nie zauważam. Wzajemnie zręcznie się oszukujemy. Znowu chrząkam. Dotykam palcami warg.

Postanawiam jeszcze raz zbadać pokój. Próbuję znów zapalić lampę. Światło się nie zapala. Odkręcam butelkę i wącham resztkę whisky. Ten zapach co zawsze. Cutty Sark. Zakręcam butelkę i odstawiam na stolik. Na wszelki wypadek jeszcze raz podnoszę słuchawkę i przykładam do ucha. Panuje w niej nieprawdopodobnie martwa cisza. Idę powoli po wykładzinie i zastanawiam się, co czuję pod podeszwami. Przykładam ucho do ściany i skupiam się, starając się zorientować, czy coś słyshać. Oczywiście nic nie słyshać. Potem stoję przed drzwiami i mówię



ąc sobie, że na pewno nic z tego, przekręcam klamkę. Klamka łatwo obraca się w prawo, lecz przez pewien czas nie mogę tego faktu przyjąć do wiadomości. Przed chwilą nawet nie drgnęła, jakby była zacementowana. Postanawiam zacząć od początku. Zdejmuję rękę z klamki, potem znowu wyciągam, kładę na klamce i przekręcam. Gładko obraca mi się w dłoni. Mam dziwne uczucie, że język wypełnia mi usta.

Drzwi są otwarte.

Kiedy lekko pociągam przekręconą klamkę, przez szparę wdzierają się do pokoju rażące światło. Myślę o kiju baseballowym. Gdybym go miał, byłbym spokojniejszy. Zapomnij o tym kiju! Zdecydowanie szeroko otwieram drzwi. Potem rozglądam się w obie strony, sprawdzając, czy nikogo nie ma, i wychodzę. Długi korytarz wyłożony wykładziną. Trochę dalej widać duży wazon pełen kwiatów. Schowałem się za nim, kiedy ten pogwizdujący kelner pukał do drzwi pokoju. Pamiętałem, że korytarz jest dość długi i kręty oraz ma różne odnogi. Trafiłem tu przypadkowo, bo spotkałem gwizdzącego kelnera i poszedłem jego śladem. Na drzwiach była tabliczka z numerem 208.

Uważając pod nogi, ruszam w kierunku wazonu. Nieźle byłoby dotrzeć do holu, w którym Noboru Wataya mówił z ekranu telewizora. Było tam dużo ludzi i ruch. Jak dobrze pójdzie, znajdę tam jakąś wskazówkę. Lecz przypomina to błądzenie bez kompasu po wielkiej pustyni. Jeżeli nie dotrę do holu i nie uda mi się wrócić do pokoju 208, utkwię w tym przypominającym labirynt hotelu i nie będę mógł wrócić do realnego świata. Nie mam jednak czasu na wahanie. To pewnie moja ostatnia szansa. Przez pół roku czekałem codziennie na dnie studni, aż wreszcie otwarto przede mną drzwi. Poza tym studnia niedługo zostanie mi odebrana. Jeżeli teraz się cofnę, wszystkie dotychczasowe wysiłki i miesiące zostaną zmarnowane.

Mijam kilka zakrętów. Moje brudne tenisówki bezszelestnie stąpają po wyłożonym wykładziną korytarzu. Nie słyszę głosów, muzyki, dźwięku telewizora. Nie słyszę nawet klimatyzatorów,

wentylatorów czy wind. Hotel pogrążył się w ciszy jak jakaś ruina, o której zapomniał czas. Mijam wiele zakrętów i przechodzę obok wielu drzwi. Napotykam kilka rozwidleń, lecz na każdym skręcam w prawo. Wybrałem prawą stronę, bo pomyślałem, że wracając do pokoju, wystarczy zawsze skręcać w lewo. Zupełnie straciłem orientację. Nie odnoszę wrażenia, że posuwam się w jakimś określonym kierunku. Numeracja pokoi jest kapryśna i nielogiczna, więc na nic się nie zdaje. Numery uciekają z pamięci, zanim zdążę je zapamiętać. Zdaje mi się czasami, że ponownie mijam te same pokoje. Staję na środku korytarza i biorę głęboki oddech. Czyżbym kręcił się w kółko jak człowiek, który zabłądził w lesie?

Stałem tak, nie wiedząc, co począć, gdy usłyszałem w oddali znajomy dźwięk. Gwizdzący kelner. Gwizdał bezbłędnie. Tylko on umiał tak wspaniale gwizdać. Tak samo jak przedtem była to uwertura do Sroki złodziejki Rossiniego. Niełatwo zagwizdać tę melodię, lecz jemu udawało się to bez trudu. Ruszyłem korytarzem w jego kierunku. Gwizdanie stawało się coraz głośniejsze i wyraźniejsze. Zdawało się, że kelner idzie w moją stronę. Ukryłem się za kolumną.

Kelner niósł srebrną tacę, a na niej -jak przedtem - stała butelka Cutty Sark, kubek z lodem i dwie szklaneczki. Szedł prosto przed siebie wyraźnie zachwycony własnym gwizdaniem i szybko przeszedł obok mnie. Nawet nie spojrzał w moją stronę, jakby mówił, że mu się spieszy i nie ma sekundy do stracenia. Wszystko jest dokładnie tak samo, pomyślałem. Miałem wrażenie, że zostaję wciągnięty w przeciwny nurt upływu czasu, ku przeszłości.

Od razu ruszyłem śladem kelnera. Srebrna taca bujała się wesoło w rytm muzyki i raziła blaskiem, odbijając światło z sufitu. Kelner gwizdał melodię ze Sroki złodziejki raz po raz, jak jakieś zaklęcie. Zastanowiłem się, co to właściwie za opera. Znałem tylko prostą melodię uwertury i przedziwny tytuł. Kiedy byłem mały, mieliśmy w domu płytę z tą uwerturą pod dyrekcją Tosca-

niniego. W porównaniu ze świeżą, nowoczesną i elegancką interpretacją Claudia Abado, było to wykonanie, od którego burzyła się krew. Przypominało wrażenie, którego się doznaje, gdy po gwałtownej walce wręcz powaliło się silnego przeciwnika i zastanawia się człowiek, czy go teraz powoli udusić. Czy Sroka złodziejka naprawdę opowiada o sroce, która coś kradnie? Pomyślałem, że kiedy wszystko się uspokoi, pójdę do biblioteki i sprawdzę w encyklopedii muzycznej. Jeżeli istnieje nagranie całej opery, może kupię i posłucham. A może nie. Niewykluczone, że nie będę już miał ochoty się tego dowiadywać.

Gwizdający kelner szedł równym krokiem jak robot, a ja za nim w pewnej odległości. Wiedziałem, dokąd idzie. Niesie do pokoju 208 nową butelkę Cutty Sark, lód i szklaneczki. Rzeczywiście zatrzymał się przed drzwiami do pokoju 208. Przełożył tacę do lewej ręki, sprawdził numer pokoju, wyprostował się i zapukał jakoś oficjalnie. Trzy razy, potem jeszcze raz trzykrotnie.

Nie dosłyszałem, czy ktoś zareagował na jego pukanie. Ukryty za wazonem, przyglądałem się kelnerowi. Mijał czas, lecz on stał wyprostowany przed drzwiami i nie poruszał się, zupełnie jakby sprawdzał granice swej wytrzymałości. Nie pukał już więcej, tylko po prostu czekał, aż drzwi się otworzą. Wkrótce, tak jakby jego modlitwy zostały wysłuchane, drzwi uchyliły się do środka.

#### **34. O zmuszaniu innych do posługiwania się wyobraźnią (dalszy ciąg powieści o Borysie Oprawcy)**

Borys dotrzymał obietnicy. Otrzymaliśmy częściową autonomię, utworzono komitet składający się z przedstawicieli jeńców japońskich. Podpułkownik stanął na jego czele. Rosyjskim strażnikom i wojskowym strzegącym obozu zabroniono stosowania przemocy, a komitet podjął się odpowiedzialności za utrzymanie spokoju w obozie. Oficjalna postawa nowego oficera politycznego (czyli praktycznie postawa Borysa) była taka, że tak długo

jak nie będziemy stwarzać kłopotów i wykonamy normę produkcyjną, nie będzie

się do niczego wtrącał. Takie, na pierwszy rzut oka demokratyczne, reformy powinny być dla nas, jeńców, bardzo pomyślną zmianą, lecz sprawa nie była taka prosta. W radości wywołanej zmianami wszyscy, nawet ja, zagapiliśmy się i nie dostrzegliśmy kryjących się za nimi podstępnych planów Borysa.

Nowy politruk bał się nawet pisać w obliczu Borysa, za którym stała tajna policja, więc korzystając z tego, Borys zaczął prowadzić w obozie i kopalni takie rządy, jakie mu się podobało. Intrygi i akty terroru były na porządku dziennym. Borys wybrał spośród więźniów i strażników dobrze zbudowanych okrutnych osiłków (w obozie nie brakowało takich typów), przeszkolił ich i stworzył lojalną straż osobistą. Byli uzbrojeni w rewolwery, noże i kilofy. Na rozkaz Borysa zastraszali ludzi, którzy mu się przeciwstawiali, katowali ich, a czasami zabierali gdzieś i mordowali, lecz nikt nie mógł im nic zrobić. Żołnierze, którzy zostali wyznaczeni przez wojsko do ochrony kopalni, spokojnie patrzyli na poczynania tej grupy i udawali, że ich nie widzą. Wtedy nawet wojsko bało się niepotrzebnie drażnić Borysa, toteż wycofało się i pilnowało tylko dworca i okolic koszar, zasadniczo nie zwracając uwagi na to, co dzieje się w kopalni i w obozie.

Wśród tej grupy był więzień mongolski popularnie zwany Tarem, który szczególnie przypadł Borysowi do gustu. Zawsze chodził za nim jak cień. Podobno był kiedyś mistrzem Mongolii w sumo. Prawy policzek szpeciła mu blizna po oparzeniu i mówiono, że to ślad po torturach. Teraz Borys pozbył się już więziennego ubrania, mieszkał w czystym mieszkanku, a jedna z więźniarek została jego służącą.

Nikołaj powiedział (choć stawał się coraz bardziej małomówny), że kilku Rosjan zniknęło w nocy bez śladu. Oficjalnie uznano ich za zaginionych lub za ofiary wypadków, ale nie było wątpliwości, że zostali po cichu załatwieni przez pachołków Bo-

rysa. Doszło do tego, że niepodporządkowanie się jego woli czy rozkazom groziło śmiercią. Kilka osób próbowało protestować w centrali przeciwko temu niesprawiedliwemu traktowaniu, lecz nie powiodło im się i także zniknęli. - Ci łajdacy zamordowali podobno nawet siedmioletnie dziecko - powiedział mi po cichu Nikołaj z pobladłą twarzą. - Zatlukli je na śmierć na oczach rodziców, żeby im dać nauczkę.

Na początku Borys nie wtrącał się w tak oczywisty sposób do strefy zamieszkaanej przez Japończyków. Najpierw zdobył całkowite panowanie nad Rosjanami i wkładał wszystkie siły w umocnienie własnej pozycji. Wtedy zdawało się, że nie zamierza ruszać Japończyków. Dlatego przez kilka miesięcy po reformach zasmakowaliśmy nietrwałego spokoju. Zapadła cisza jak w bezwietrzny dzień. W rezultacie żądań komitetu straszne warunki pracy trochę się polepszyły i nie trzeba było obawiać się brutalności strażników. Po raz pierwszy od przybycia do obozu czuliśmy coś w rodzaju nadziei. Ludzie myśleli, że stopniowo wszystko się polepszy.

Nie znaczy to, że Borys nic nam przez tych kilka miodowych miesięcy nie zrobił. Po cichu, lecz metodycznie rozstawiał na szachownicy swoje figury. Jednego po drugim zastraszał lub przekupywał członków komitetu, tak że nieoficjalnie stawali się jego podwładnymi. Unikał jednak widocznej brutalności, działał niezwykle ostrożnie, więc zupełnie nie zorientowaliśmy się w tych podstępach. A kiedy już się zorientowaliśmy, było za późno. Innymi słowy, pod pozorem autonomii doprowadził do tego, że ludzie przestali uważać i stworzył jeszcze skuteczniejszy żelazny system kontroli. Jego kalkulacje były diabelsko skrupulatne i chłodne. Rzeczywiście zniknęła z naszego życia bezsensowna przemoc, a zamiast niej narodziła się nowa przemoc, zimna, okrutna i wyrachowana.

Przez pół roku zbudował solidny jak skała system kontroli, potem zmienił kierunek i zabrał się za nas. Pierwszą ofiarą zos-

tał podpułkownik, który do tego czasu był najważniejszą postacią w Komitecie. Parokrotnie bezpośrednio stał się z Borysem, reprezentując interesy jeńców w kilku sprawach, i miał zostać zlikwidowany. W tym czasie w Komitecie prócz niego pozostało tylko kilka osób, niepopieranych przez Borysa. W nocy przytrzymano podpułkownikowi nogi i ręce, zatkało mu usta i uduszono, przykładając do twarzy mokry ręcznik. Oczywiście odbyło się to na rozkaz Borysa, ale on sam nigdy nie brudził sobie rąk zabijaniem Japończyków. Posługiwał się członkami komitetu, którym kazał zabijać rodaków. Śmierć podpułkownika została uznana za wywołaną chorobą i sprawa na tym się skończyła. Wszyscy wiedzieliśmy, kto bezpośrednio był za nią odpowiedzialny, lecz nie mogliśmy tego głośno powiedzieć. Wtedy orientowaliśmy się już, że są wśród nas szpiegzy Borysa, i doszło do tego, że trzeba było uważać, co się mówi. Po zabiciu podpułkownika komitet wybrał na przewodniczącego człowieka popieranego przez Borysa.

Po zmianach w Komitecie po trochu pogarszały się warunki pracy i w końcu wróciły do poprzedniego stanu. Przyrzekliśmy Borysowi wykonanie normy w zamian za autonomię, lecz ta obietnica stała się dla nas zbyt dużym ciężarem. Pod różnymi pozorami normy były stopniowo podnoszone i w rezultacie zmuszano nas do jeszcze bardziej katorżniczej pracy. Wzrosła liczba wypadków, wielu żołnierzy padło ofiarami nierozważnego wydobycia węgla i ich kości niepotrzebnie spoczęły w obcej ziemi. W rezultacie autonomia oznaczała po prostu, że Japończycy przejęli nadzór nad własną pracą, który dawniej prowadzili Rosjanie.

Oczywiście rosło niezadowolenie wśród jeńców. W małej społeczności, przywykłej po równo dzielić trudy, zrodziła się głęboka nienawiść i podejrzliwość, pojawiło się poczucie nierówności. Ci, którzy wysługiwali się Borysowi, mieli lekką pracę i dodatkowe korzyści, a inni musieli wieść katorżnicze życie niewiele lepsze od śmierci, lecz nie mogli głośno narzekać.

Jawny sprzeciw oznaczał natychmiastową śmierć. Taki człowiek mógł zostać wrzucony do potwornie zimnego karceru, gdzie umierał od odmrożeń i z braku pożywienia. „Oddział morderców” mógł przyłożyć mu w nocy mokry ręcznik do twarzy albo rozwalić kilofem głowę podczas pracy w kopalni i wrzucić ciało do szybu. Nikt nie wiedział, co może się zdarzyć w ciemnościach kopalni. Po prostu od czasu do czasu ktoś znikał.

Czułem się winny za to, że poznałem Borysa z podpułkownikiem. Oczywiście nawet gdybym nie pośredniczył, pewnie innym sposobem dostałby się pomiędzy nas, i prędzej czy później doszłoby do tej samej sytuacji. Ale to nie znaczy, że miałem mniejsze wyrzuty sumienia. Mylnie oceniłem sytuację i niechcący popełniłem błąd.

Pewnego dnia zostałem nagle wezwany do budynku, w którym Borys miał biuro. Bardzo dawno go nie widziałem. Siedział przy stole i pił herbatę, tak samo jak w czasie spotkania w pokoju zawiadowcy stacji. Za nim jak zawsze stał Tatar z automatycznym rewolwerem za pasem. Kiedy wszedłem do pokoju, Borys odwrócił się i gestem kazał Mongołowi wyjść. Zostaliśmy sami.

- No jak, poruczniku Mamiya? Dotrzymałem obietnicy, prawda? Odpowiedziałem, że tak. Rzeczywiście dotrzymał obietnicy. Niestety była to prawda. Stało się to, co mi obiecał. Przypominało to pakt z diabłem.

- Zdobyliście autonomię, a ja zdobyłem władzę - powiedział Borys, rozkładając z uśmiechem ręce. - Obie strony dostały to, co chciały. Wydobycie węgla wzrosło i Moskwa się cieszy. Wszystko się ułożyło, nic dodać, nic ująć. Jestem wam bardzo wdzięczny za pośrednictwo, poruczniku Mamiya. I szczerze mówiąc, myślę, że muszę się wam odwdziaczyć.

Odpowiedziałem, że nie musi ani mi być wdzięczny, ani dziękować.

- Dawno się znamy i nie musicie mówić tak oficjalnie - powiedział, śmiejąc się. - Krótko mówiąc, chciałbym, żebyście zosta-

li moim podwładnym i pracowali dla mnie. Chciałbym, żebyście mi tu pomogli. Niestety wyjątkowo brak ludzi, którzy potrafią ruszyć głową. Zdaje mi się, że choć macie tylko jedną rękę, jesteście bardzo bystrym człowiekiem. Dlatego byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście zostali czymś w rodzaju mego sekretarza, a ja postaram się, żebyście mieli tu jak najłżejsze życie. Niewątpliwie przeżyjecie i uda wam się wrócić do Japonii. Na pewno nie straciecie, będąc u mego boku.

W normalnych warunkach z miejsca bym odmówił. Nie miałem zamiaru zostać podwładnym Borysa, zaprzedać kolegów i samemu tylko wieść lepsze życie. Gdybym odmówił i Borys zabiłby mnie za to, spełniłoby się moje jedyne pragnienie. Lecz w głowie narodził mi się pewien plan.

- Jaka pracę miałbym wykonywać? - zapytałem.

Praca, której wymagał ode mnie Borys, nie była łatwa. Należało uporządkować mnóstwo różnych spraw. Moim najważniejszym zadaniem był nadzór nad osobistym majątkiem Borysa. Przywłaszczał on sobie (dochodzącą do czterdziestu procent całości) część produktów żywnościowych, ubrań i lekarstw przyśyłanych z Moskwy i z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, chował je w sekretnym magazynie i potem sprzedawał tu i tam. Ładował też na wagony część wydobytego węgla, zawoził gdzieś i rozprowadzał na czarnym rynku. Chronicznie brakowało opału, więc nie musiał się martwić o popyt. Przekupił kolejarzy, zawiadowcę i praktycznie dowolnie korzystał z pociągów do własnych celów handlowych. Dawał też jedzenie i pieniądze wojskowym strażnikom, a oni w zamian przymykali na to oczy. Dzięki tym interesom zgromadził już zadziwiająco duży majątek. Wy tłumaczył mi, że w przyszłości zostanie on przekazany na prowadzenie tajnej policji. Dla jej działalności potrzebne są wielkie sumy, które nie zostaną zapisane w oficjalnych rejestrach, i on je teraz w tajemnicy zabezpiecza. Było to kłamstwo. Oczywiście część była pewnie wysyłana do Moskwy jako dani-na, ale jestem przekonany, że ponad połowa stawała się jego



osobistym kapitałem. Nie znałem szczegółów, lecz zdaje się, że jakimś tajemniczymi drogami wysyłał te pieniądze na konta zagraniczne albo wymieniał na złoto.

Nie wiem, dlaczego zdawał się mieć do mnie pełne zaufanie. Teraz, po latach, wydaje mi się to zadziwiające. Chyba nawet nie przyszło mu do głowy, że mogę zdradzić tę jego tajemnicę. Do Rosjan i Europejczyków podchodził surowo i chłodno, jakby zawsze ich o coś podejrzewał, lecz zdawał się ufać Mongołom i Japończykom. A może myślał, że zdradzenie tajemnicy wcale by mu nie zaszkodziło? Bo właściwie komu miałbym o tym powiedzieć? Wszyscy wokół byli albo współnikami, albo podwładnymi Borysa. I wszystkim skapywały resztki z jego nieuczciwych interesów. Przez to, że z chęci zysku nielegalnie sprzedawał żywność, ubrania i lekarstwa, cierpieli i umierali tylko bezsilni więźniowie i jeńcy. Do tego wszelka poczta była cenzurowana i zabroniono kontaktów z ludźmi z zewnątrz.

Z zapałem i oddaniem wykonywałem obowiązki sekretarza Borysa. Rejestry księgowo i inwentaryzacja towaru były całkowicie chaotyczne. Sporządziłem je od nowa, by przepływ pieniędzy i dóbr stał się systematyczny i zrozumiały. Zrobiłem rejestr towarów, tak że można było od razu sprawdzić, co gdzie jest, w jakiej ilości i jak się zmienia cena. Przygotowałem długą listę przekupionych ludzi i obliczyłem „konieczne nakłady”. Pracowałem dla Borysa bez wytchnienia od rana do nocy i wskutek tego straciłem wszystkich przyjaciół, których i tak miałem niewiele. Oczywiście nie udało mi się uniknąć pogardy. Wszyscy uważali, że zniżyłem się do roli wiernego podwładnego Borysa (smutno mi, że pewnie teraz też tak o mnie myślą). Nikołaj całkiem przestał się do mnie odzywać. Dwóch czy trzech japońskich jeńców, z którymi byłem w bliskich stosunkach, zaczęło mnie unikać. Byli za to inni, którzy ciągnęli do mnie jako do ulubieńca Borysa, ale z nimi ja nie chciałem mieć do czynienia. W ten sposób stawałem się w obozie coraz bardziej odizolowany i czułem się samotny. Nie zostałem zabity tylko dlatego,

że miałem za sobą Borysa, który bardzo mnie cenił i nie opłacało się mnie zabić. Ludzie dobrze wiedzieli, jak potrafi być okrutny. Obdzieranie ze skóry nawet tu było legendarne.

Im bardziej stawałem się odizolowany, tym bardziej Borys mi ufał. Był zadowolony z mojej sprawnej i systematycznej pracy i nie szczędził pochwał.

- To nie byle co! Jeżeli jest wielu takich Japończyków jak wy, poruczniku Mamiya, Japonia na pewno kiedyś podniesie się po tej klęsce w wojnie. Związek Radziecki jest do niczego. Niestety prawie nie ma perspektyw. To już lepiej było za caratu. Przynajmniej car nie musiał sobie łamać głowy - która i tak była pusta - nad jakimiś poplątanymi teoriami. Lenin wziął z teorii Marksa te fragmenty, które mógł zrozumieć i które mu były na rękę, Stalin wziął z teorii Lenina te fragmenty, które mógł zrozumieć (a takich było bardzo niewiele) i które mu były na rękę. A w tym kraju im mniej ktoś rozumie, tym większą ma władzę. Im mniej rozumie, tym lepiej. Poruczniku Mamiya, jest tylko jeden sposób, żeby w tym kraju przeżyć. A mianowicie nie można sobie nic wyobrazić. Rosjanie z wyobraźnią są niszczeni. Ja oczywiście niczego sobie nie wyobrażam. Moja praca polega na tym, żeby zmusić innych do wyobrażania sobie. Z tego żyję. Wy lepiej też to sobie dobrze zapamiętajcie. Przynajmniej tak długo jak tu jesteście, jeżeli zachce wam się coś sobie wyobrazić, przypomnijcie sobie mnie i pomyślcie: „Nie można, wyobraźnia oznacza utratę życia”. To moje ostrzeżenie na wagę złota. Wyobrażanie sobie zostawiamy innym.

W ten sposób szybko minęło sześć miesięcy. Późną jesienią czterdziestego siódmego roku stałem się dla Borysa człowiekiem niezastąpionym. Przejąłem część jego działalności dotyczącą interesów, a Tatar przejął część wymagającą stosowania przemocy. Tajna policja nadal nie wzywała Borysa z powrotem do Moskwy, lecz zdawało się, że wtedy nie zależało mu już specjalnie na powrocie. W obozie i kopalni zbudował prywatne dominium, żył w nim sobie przyjemnie, chroniony przez własne, sil-

ne wojsko i stale powiększał kapitał. Może ważne osobistości w Moskwie wołały zostawić go tu, by wzmacniał pozycję i wpływ na Syberii, zamiast wzywać go z powrotem do centrali. Borys bardzo często prowadził korespondencję ze stolicą. Nie wysyłał listów pocztą, lecz za każdym razem wozili je i przywozili specjaliści kurierzy. Byli to wysocy mężczyźni o zimnych oczach. Kiedy wchodzili do pokoju, robiło się lodowato.

Równocześnie dalej umierało wielu więźniów pracujących w kopalni, a ich ciała tak jak przedtem były wrzucane do szybu. Borys surowo oceniał możliwości więźniów i ludzi uznanych za słabych fizycznie najpierw do cna wykorzystywano, a potem zmniejszano im racje żywności i umierali z głodu. Krzepkim więźniom zwiększano dzięki temu porcje i wzrastała produkcja. Obóz zmienił się w świat, w którym ponad wszystko liczyła się produkcja i silniejsi zjadali słabszych. Silniejsi brali sobie więcej, a słabi padali jeden po drugim. Kiedy zaczynało brakować siły roboczej, skądś przywożono nowych więźniów w bydłęcych wagonach. Zdarzało się, że w transporcie umierało nawet dwadzieścia procent ludzi, lecz nikt się tym nie przejmował. Większość nowych stanowili przywożeni z zachodu kraju Rosjanie i ludzie z Europy Wschodniej. Na szczęście dla Borysa na zachodzie nadal prowadzono kapryśną politykę terroru.

Mój plan polegał na zabiciu Borysa. Oczywiście nie było gwarancji, że zlikwidowanie tego jednego człowieka spowoduje poprawę naszej sytuacji.

Prawdopodobnie w mniejszym lub większym stopniu nadal trwałoby piekło. Jednak pod żadnym pozorem nie mogłem pozwolić, żeby taki człowiek jak Borys żył dalej. Tak jak przepowiedział Nikołaj, był kimś w rodzaju jadowitego węża. Ktoś musiał mu uciąć łeb.

Nie bałem się o własne życie. Gdybyśmy się nawzajem pozabijali, spełniłoby się moje najgorętsze życzenie. Lecz musiało mi się udać. Należało poczekać na moment, kiedy na pewno będę mógł go zabić i jednym strzałem skutecznie odebrać mu ży-

cie. Pracowałem, udając lojalnego sekretarza, i czujnie wypatrywałem odpowiedniej chwili. Jak wcześniej wspomniałem, Borys był człowiekiem niezwykle ostrożnym. Od rana do nocy zawsze miał przy boku Tatar. Gdyby nawet został kiedyś sam, jak miałem go zabić jedną ręką i bez broni? Cierpliwie czekałem, aż przyjdzie czas. Wierzyłem, że jeżeli gdzieś istnieje Bóg, kiedyś da mi szansę.

Na początku czterdziestego ósmego roku w obozie zaczęły krążyć plotki, że japońscy jeńcy w końcu będą mogli wrócić do kraju. Podobno wiosną miał po nas przyjechać statek repatriacyjny. Zapytałem o to Borysa.

- To prawda, poruczniku Mamiya - powiedział. - Ta plotka jest prawdziwa. Niedługo wszyscy zostaniecie repatriowani do Japonii. Okazało się, że nie możemy was tak tu w nieskończoność zmuszać do pracy, między innymi dlatego, że świat się tym oburza. Ale, poruczniku, mam propozycję. Nie mielibyście ochoty zostać tu nie jako więzień, a jako wolny obywatel Związku Radzieckiego? Bardzo dobrze dla mnie pracujecie i jeżeli wyjedziecie, trudno mi będzie znaleźć zastępstwo. Na pewno przyjemniej byłoby wam zostać tu przy mnie, niż szarpać się w Japonii bez grosza przy duszy. Mówią, że w Japonii brak żywności i ludzie umierają z głodu. Tutaj są i pieniądze, i kobiety, i władza - wszystko.

Borys poważnie to proponował. Jako jego prywatny sekretarz za dużo wiedziałem i pewnie uważał, że niebezpiecznie wypuszczać kogoś takiego z rąk. Jeżeli odmówię, może mnie zabić, chcąc mnie uciszyć. Lecz ja się nie bałem. Powiedziałem, że jestem mu wdzięczny za propozycję, lecz martwię się o rodziców i siostrę, i chcę jednak wrócić do Japonii. Borys wzruszył ramionami i nic więcej nie powiedział.

W marcu, gdy zbliżał się dzień repatriacji, pewnego wieczoru pojawiła się idealna szansa zabicia Borysa. Byliśmy sami w pokoju. Tatar, który zawsze towarzyszył Borysowi, akurat wy-

szedł. Było przed dziewiątą i ja jak zawsze porządkowałem rachunki, a on siedział przy biurku i pisał list. Zazwyczaj nie siedział w biurze do takiej późnej pory. Popijając ze szklaneczki brandy, pisał szybko wiecznym piórem. Na wieszaku obok skórzanego płaszcza i czapki wisiała też kabura z pistoletem. Nie był to zwykły duży pistolet stanowiący normalne wyposażenie armii radzieckiej, a niemiecki walther PPK. Podobno odebrał go jeńcowi, podpułkownikowi SS schwytanemu w walkach przy przekraczaniu Dunaju. Pistolet był pięknie wypolerowany, a na kolbie miał wyryty znak SS w kształcie błyskawicy. Baczenie obserwowałem Borysa, gdy czyścił pistolet, i wiedziałem, że w magazynku zawsze jest osiem naboí.

Zostawienie pistoletu na wieszaku było dla niego bardzo nietypowe. Ostrożny Borys pracując przy biurku, zawsze wkładał go do prawej szuflady, tak by mógł w każdej chwili po niego sięgnąć. Lecz tego wieczoru był w świetnym humorze, rozmowny i być może dlatego zapomniał o zwykłej ostrożności. Nadarzyła się szansa, o jakiej nawet nie marzyłem. Do tej pory wielokrotnie wyobrażałem sobie kolejne czynności: jedną ręką odbezpieczam pistolet, szybko posyłam nabój do komory. Zdecydowałem się, wstałem i udając, że idę po dokumenty, ruszyłem w stronę wieszaka. Borys, skupiony nad listem, nawet na mnie nie spojrział. Przechodząc, szybko wyciągnąłem pistolet z kabury. Nie był duży. Mieścił mi się w dłoni. Ujawszy go, poczułem, że to bardzo dobry pistolet - pasował do ręki, był dobrze wyważony. Stojąc przed Borysem, odbezpieczyłem, trzymając pistolet między kolanami, odciągnąłem zamek, żeby wprowadzić nabój do komory. Na ten cichy suchy dźwięk podniósł w końcu głowę. Wycelowałem w niego lufę.

Borys pokręcił głową i westchnął.

- Żał mi cię, bo nie ma w nim naboí - powiedział po zakręceniu pióra.

- Po ciężarze można poznać, czy jest naładowany, czy nie. Wystarczy lekko potrząsnąć. Kule 7,65 mm ważą około osiemd-

ziesięciu gramów.

Nie uwierzyłem mu. Szybko wycelowałem w jego twarz i bez wahania pociągnąłem za spust. Rozległ się jedynie pusty trzask. Tak jak mówił, w pistolecie nie było naboí. Opuściłem rękę i przygryzłem wargi. Nie byłem już w stanie o niczym myśleć. Borys otworzył szufladę biurka, wyciągnął stamtąd garść naboí i pokazał mi. Opróżnił magazynek! Zastawił na mnie pułapkę! Wszystko było farsą.

- Od dawna wiedziałem, że chcesz mnie zabić - powiedział spokojnie. - Wiele razy sobie wyobrażałeś, jak mnie zabijasz. Prawda? Ostrzegałem cię. Wyobrażanie sobie oznacza utratę życia. Ale niech tam. Jakkolwiek by się to potoczyło i tak nie możesz mnie zabić.

Potem wziął dwa naboje i rzucił mi je pod nogi. Potoczyły się obok moich stóp.

- Prawdziwe naboje - powiedział. - To nie jest żadna sztuczka. Możesz załadować i strzelić do mnie. To twoja ostatnia szansa. Jeżeli naprawdę chcesz mnie zabić, dobrze wyceluj i strzelaj. Ale jeśli ci się nie uda, w zamian musisz mi przyrzec, że nikomu nigdy nie powiesz o tym, co ja tu robiłem, nie zdradzisz moich tajemnic. Taka będzie nasza umowa.

Przytaknąłem. Przyrzekłem mu to.

Przytrzymując pistolet między kolanami, zwolniłem, wyciągnąłem magazynek i załadowałem dwa naboje. Nielatwo było zrobić to jedną ręką, która do tego lekko drżała. Borys z niewzruszoną miną przyglądał się tym czynnościom. Na jego twarzy pojawił się nawet uśmiezek. Wsunąłem magazynek w pistolet, wycelowałem mu między oczy, uspokoiłem drżenie palców i pociągnąłem za spust. W pokoju rozległ się głośny odgłos wystrzału, lecz kula przeleciała obok ucha Borysa i utkwiała w ścianie. W powietrzu uniósł się sproszkowany gips. Spudłowałem, mimo że strzelałem z odległości zaledwie dwóch metrów. Nie byłem wcale złym strzelcem. Kiedy stacjonowałem w Sinjing, pracowicie ćwiczyłem strzelanie. Miałem jedną rękę, lecz była

bardzo silna - silniejsza niż ręka niejednego żołnierza - a walther był dobrze wyważonym pistoletem, pozwalającym na dokładne celowanie. Nie mogłem uwierzyć, że spudłowałem. Odciągnąłem zamek i jeszcze raz wycelowałem. Potem wziąłem głęboki oddech i powiedziałem sobie, że muszę zabić tego człowieka. Jeżeli go zabiję, moje życie nabierze znaczenia.

- Dobrze celuj, poruczniku Mamiya. To twoja ostatnia kula. - Borys nadal się uśmiechał.

W tym momencie do pokoju wpadł Tatar z wielkim rewolwerem, zwabiony hukiem wystrzału. Borys powstrzymał go.

- Nie wtrącaj się - powiedział ostro. - Pozwól Mamii do mnie strzelić. Jeżeli mnie zabije, możesz z nim zrobić, co zechcesz.

Tatar skinął głową i wycelował we mnie lufę.

Wyciągnąłem prosto przed siebie rękę z waltherem, wycelowałem w środek tego przenikliwego, pewnego siebie, zimnego uśmiechu i spokojnie pociągnąłem za spust. Pistolet odbił, ale dalej go trzymałem. Był to idealny strzał, lecz kula znowu minęła Borysa o milimetr i rozbiła w proszek stojący za nim zegar. Borys nawet nie mrugnął okiem. Siedział oparty na krześle i przez cały czas przyglądał mi się tymi wężowymi oczami. Pistolet upadł na ziemię z głośnym stukiem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał i nie poruszał. Wkrótce Borys wstał z krzesła, pochylił się i podniósł z ziemi upuszczonego przeze mnie walthera. Przyjrzał mu się w głębokim zamyśleniu, pokręcił głową i odwiesił na wieszak. Potem klepnął mnie dwa razy po ramieniu, jakby pocieszająco.

- Mówiłem ci, że nie będziesz mógł mnie zabić - powiedział. Wyjął z kieszeni paczkę cameli, zapalił jednego zapalniczką. - Dobrze strzeliłeś, tylko po prostu nie jesteś w stanie mnie zabić. Nie nadajesz się do tego. Dlatego zmarnowałeś tę szansę. Żał mi cię, bo będziesz musiał wrócić do kraju z moją kłątwą. Dokądkolwiek byś pojechał, nie zaznasz szczęścia. Nigdy nikogo nie pokochasz i nikt ciebie nie pokocha. To moja kłątwa. Nie zabiję cię. Ale nie robię tego z dobrej woli. Zabiłem do tej pory wielu

ludzi i wielu jeszcze zabiję, lecz nie zabijam bez potrzeby. Do widzenia, poruczniku Mamiya. Za tydzień wyjedziesz stąd w kierunku Nachodki. Bon voyage. Już pewnie nigdy się nie spotkamy.

Wtedy po raz ostatni widziałem Borysa Oprawcę. W następnym tygodniu opuściłem obóz, pociągiem zostałem zawieszony do Nachodki, tam los jeszcze kilkakrotnie mnie doświadczył, i na początku następnego roku w końcu wróciłem do Japonii.

Szczerze mówiąc, nie wiem, do czego przyda się Panu ta moja długa i dziwna opowieść. Może to tylko bezsensowne bajdurzenie starego człowieka, lecz koniecznie chciałem się tym z Panem podzielić. Czuję, że muszę Panu opowiedzieć. Jak Pan widzi po przeczytaniu tego listu, poniosłem całkowitą porażkę, jestem zgubiony. Do niczego się nie nadaję. W rezultacie przepowiedni i klątwy nikogo nie pokochałem i nikt mnie nie pokochał. Jak żyjąca skorupa teraz tylko zniknę w mroku, ale dzięki temu, że udało mi się w końcu przekazać Panu tę historię, mam wrażenie, że zniknę z nieco lżejszym sercem.

Życzę Panu, aby przeżył Pan dobre życie i nie musiał niczego żałować.

### **35. O niebezpiecznym miejscu, ludziach przed telewizorem i pustym człowieku**

Drzwi uchyliły się do środka. Kelner uklonił się lekko, trzymając tacę w obu dłoniach, i wszedł do pokoju. Czekałem ukryty za wazonem, aż wyjdzie, i zastanawiałem się, co dalej robić. Mógłbym tam wejść, kiedy będzie wychodził. W pokoju numer 208 ktoś jest. I jeżeli wydarzenia rozwiną się tak, jak przedtem (do tej pory tak było), drzwi nie powinny być zamknięte na klucz. Mógłbym też zostawić sobie pokój na później i pójść za kelnerem. W takim przypadku dotarłbym do miejsca, z którego przyszedł.

Wahałem się pomiędzy tymi dwoma możliwościami. W koń-



cu postanowiłem iść za kelnerem. W pokoju 208 prawdopodobnie kryje się jakieś niebezpieczeństwo. Wejście tam może mieć fatalne skutki. Dobrze pamiętałem rozlegające się w ciemności twarde pukanie i groźny biały błysk ostrza noża. Muszę być ostrożny. Najpierw zobaczę, dokąd idzie kelner. Potem mogę tu wrócić. Ale jak? Wsadziłem ręce do kieszeni i pogrzebałem w nich. Znalazłem portfel, drobne, chustkę do nosa i krótki długopis. Wyjąłem go i sprawdziłem, czy pisze, rysując linię na dłoni. Pomyślałem, że mogę zrobić znaki na ścianie, wtedy uda mi się po nich wrócić. Prawdopodobnie mi się uda.

Drzwi się otworzyły i z pustymi rękami wyszedł kelner. Musiał wszystko, razem z tacą, zostawić w pokoju. Zamknął drzwi, wyprostował się i ruszył z powrotem tą samą drogą, znowu pogwizdując Srokę złodziejkę. Wyszędłem zza wazonu i ruszyłem za nim. Kiedy korytarz się rozdwajał, rysowałem na kremowej ścianie małe niebieskie krzyżyki. Kelner ani razu się nie obejrzał. W jego chodzie było coś charakterystycznego. Zdawało się, że mógłby być modelem w Konkursie Chodu Kelnerów Hotelowych. Z uniesioną głową, wciągniętym podbródkiem, wyprostowawszy plecy, szedł dużymi krokami, wymachując rękami w rytm gwizdanej melodii, jakby mówił: „tak właśnie powinien chodzić kelner hotelowy”. Wiele razy skręcał, wchodził i schodził po niskich schodkach. Oświetlenie stawało się to jaśniejsze, to ciemniejsze. Liczne wgłębienia w ścianach rzucały cienie o różnych kształtach. Szedłem, zachowując stosowną odległość, nie chcąc się rzucać w oczy, lecz śledzić go było dość łatwo. Na zakrętach znikał mi na chwilę z oczu, lecz dzięki dźwięcznemu pogwizdywaniu nie musiałem się martwić, że go zgubię.

Jak ryba udająca się w górę rzeki, która powoli dopływa do spokojnego rozlewiska, kelner wyszedł z korytarza do dużego holu hotelowego. Był to ten sam hol, w którym kiedyś w tłumie ludzi widziałem w telewizji Noboru Watayę, lecz teraz panowały w nim pustki i tylko garstka gości siedziała zebrana przed dużym telewizorem. Nadawano wiadomości NHK. Kiedy kelner

zbliżył się do gości, przestał gwizdać, nie chcąc przeszkadzać. Przeszedł prosto przez hol i zniknął za drzwiami dla pracowników.

Pochodziłem bez celu dookoła, udając, że to dla zabicia czasu. Usiadłem na kilku pustych kanapach, popatrzyłem na sufit, sprawdziłem stan wykładziny. Potem znalazłem telefon i wrzuciłem monetę, lecz nie działał, tak samo jak ten w pokoju. Podszedłem więc do telefonu wewnętrznego i na wszelki wypadek wykręciłem 208, ale ten też nie działał.

Usiadłem na nieco oddalonym krześle i udając obojętność, obserwowałem ludzi przed telewizorem. Siedziało tam dwanaście osób, dziewięciu mężczyzn i trzy kobiety. Większość była po trzydziestce lub po czterdziestce, zauważyłem też dwie osoby, które musiały mieć po pięćdziesiąt kilka lat. Mężczyźni ubrani w marynarki lub garnitury mieli klasyczne krawaty i skórzane buty. Z wyjątkiem różnic wzrostu i wagi nie zauważyłem żadnych cech, które odróżniałyby jednego człowieka od drugiego. Wszystkie kobiety były po trzydziestce, porządnie ubrane i ze starannym makijażem. Wyglądali, jakby wracali ze spotkania maturalnej klasy po latach, ale ponieważ siedzieli z daleka od siebie, wydawało się, że się nie znają. Chyba zebrali się tam przypadkowo i wszyscy pochłonięci byli oglądaniem telewizji. Nie zauważyłem żadnej wymiany uwag, a nawet spojrzeń czy skinienia głową.

Siedząc w pewnym oddaleniu, oglądałem przez pewien czas wiadomości. Nie było w nich nic szczególnie interesującego. Otwarto gdzieś jakąś drogę, gubernator przecinał wstęgę. W będących w sprzedaży dzieciennych kredkach odkryto jakąś szkodliwą substancję i zostały wycofane z rynku. W Asa-hikawa była wielka śnieżycy i z powodu ograniczonej widoczności i ślizgawicy autokar wycieczkowy zderzył się z ciężarówką. Kierowca ciężarówki zginął na miejscu, a kilku pasażerów autokaru zmierzającego do gorących źródeł odniosło rany. Spiker odczytywał powściągliwym tonem kolejne informacje, jakby rozdawał kła-

sówki ze złymi ocenami. Przypomniałem sobie telewizor w domu pana Hondy, wróżbity. Jego telewizor też zawsze był nastawiony na NHK.

Obrazy ilustrujące wiadomości wydawały mi się bardzo realne, a jednocześnie zupełnie nierealne. Współczułem temu trzydziestosiedmioletniemu kierowcy ciężarówki, który zginął w wypadku. Nikt nie chce umrzeć w cierpieniach z pokaleczonymi wnętrznościami w wielkiej śnieżycy w Asahikawa. Lecz nie znałem go osobiście, on też mnie nie znał, dlatego nie współczułem mu osobiście. Współczułem ogólnie, bo jakiegoś człowieka spotkała nagle gwałtowna śmierć. Taka ogólność zdawała mi się realna, a jednocześnie zupełnie nierealna. Odwróciłem wzrok od telewizora i jeszcze raz rozejrzałem się po pustym holu, nie zauważyłem w nim jednak żadnej wskazówki. Ani śladu pracowników, a mały bar był jeszcze nieczynny. Na ścianie wisiał obraz olejny przedstawiający jakieś góry.

Kiedy znów spojrzałem na ekran, ukazała się na nim znajoma twarz. Było to zdjęcie Noboru Wata i. Wyprostowałem się na krześle i wyteżyłem słuch. Coś mu się stało. Przegapiłem początek wiadomości. Wkrótce zniknęła fotografia i pojawił się znowu reporter. Miał na sobie krawat i płaszcz, w ręku trzymał mikrofon. Stał w wejściu dużego budynku.

- ... został przewieziony do tokijskiego Szpitala Akademii Medycznej dla Kobiet i leży na oddziale intensywnej terapii. Wiadomo tylko, że jest nieprzytomny z powodu głębokiego wgniecenia podstawy czaszki. Na pytanie, czy jego życiu zagraża niebezpieczeństwo, szpital powtarza tylko, że na obecnym etapie nie może zdecydowanie odpowiedzieć. Przewiduje się, że niedługo zostanie ogłoszony oficjalny komunikat o jego stanie. To na razie wszystko z tokijskiego Szpitala Akademii Medycznej dla Kobiet.

Potem na ekranie znowu pojawiło się studio ze spikerem. Odczytywał informację, którą właśnie mu przekazano.

- Poseł Noboru Wataya padł ofiarą brutalnego napadu i odni-

óśł ciężkie rany. Zgodnie z wiadomościami z ostatniej chwili, do wypadku doszło dziś o pół do dwunastej przed południem. Poseł Wataya spotykał się z kimś w biurze w Akasaka w dzielnicy Minato, gdy wtargnął tam młody mężczyzna i kilkakrotnie mocno uderzył go w głowę kijem baseballowym... - (pokazano budynek, w którym mieściło się biuro Noboru Watai) -... poseł Wataya odniósł poważne obrażenia. Mężczyzna udawał interesanta i ukrył kij w kartonowej tubie do noszenia rysunków technicznych. Podobno bez słowa przyskoczył do posła Watai. - (Na ekranie pojawia się biuro, w którym doszło do przestępstwa. Na podłodze leży przewrócone krzesło, obok widać czarne plamy krwi). - Z powodu zaskoczenia ani poseł Wataya, ani inne osoby nie stawiały oporu, a mężczyzna, upewniwszy się, że poseł Wataya stracił przytomność, uciekł z miejsca przestępstwa z kijem w dłoni. Zgodnie z zeznaniami świadków przestępca miał na sobie granatowy krótki płaszcz i granatową wełnianą czapkę narcisarską. Nosił ciemne okulary, miał około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, na prawym policzku coś w rodzaju znamienia i przypuszczalnie około trzydziestu lat. Poszukuje go policja. Po ucieczce z budynku przestępca wmieszał się w tłum i nie ustalono, dokąd się udał (policja bada miejsce wypadku, potem ruchliwa ulica w Akasaka)

Kij baseballowy? Znamię? Przygryzłem wargi.

- Pan Noboru Wataya stał się sławny jako wschodząca gwiazda ekonomii i komentator polityczny. Wiosną tego roku odziedziczył bazę wyborczą stryja, pana X Watai, został wybrany do parlamentu i był wysoko ceniony jako młody kompetentny polityk i polemista. Wiele się po nim spodziewano, chociaż był w parlamencie nowicjuszem. Policja prowadzi dwutorowe śledztwo: poszukuje tła politycznego, a jednocześnie osobistych animozji. Powtarzam. Poseł Noboru Wataya stał się dziś przed południem ofiarą brutalnego ataku kijem baseballowym, odniósł ciężkie obrażenia i został zabrany do szpitala. Nieznany jest jeszcze jego aktualny stan. Przechodzę do następnych wiadomości

mości...

Zdawało się, że ktoś wyłączył telewizor. Nagle urwał się głos spikera i zapadła cisza. Ludzie jakby przyszli do siebie i poprawili się na krzesłach. Wyglądało na to, że zebrali się przed telewizorem, żeby wysłuchać wiadomości o Noboru Watai. Nikt nie wstawał, choć telewizor zgasł. Nikt nie wzdychał, nie kiwał głową, nawet nie chrząknął.

Kto mógł uderzyć kijem Noboru Watayę? Opis przestępcy idealnie zgadzał się z moim wyglądem - granatowy płaszcz, wełniana czapka, okulary przeciwsłoneczne. Znamię na twarzy. Do tego wzrost i wiek. I kij baseballowy. Ale przecież przechowywałem go ciągle na dnie studni, a potem gdzieś zniknął. Jeżeli głowę rozwalono mu tym kijem, ktoś musiał go w tym celu zabrać ze studni.

Właśnie w tej chwili jedna z kobiet odwróciła się i spojrzała na mnie. Była chuda, miała rybią twarz o wydatnych kościach policzkowych. W długich płatkach uszu widniały białe klipsy. Długo mi się przyglądała. Spotkaliśmy się wzrokiem, lecz nie odwróciła oczu i nie zmieniła wyrazu twarzy. Siedzący obok łysy mężczyzna, idąc za jej wzrokiem, także na mnie spojrzał. Wzrostem i budową przypominał właściciela pralni przed dworcem. Wszyscy, jedno po drugim, odwrócili się i spojrzeli na mnie, jakby dopiero teraz się zorientowali, że tu jestem. Kiedy tak mi się przyglądali, uświadomiłem sobie, że mam na sobie granatowy krótki płaszcz, granatową wełnianą czapkę, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i jestem lekko po trzydziestce. No i mam znamię na prawym policzku. Zdawało się, że z jakiejś przyczyny wiedzą, że jestem szwagrem Noboru Watai i że nie żywię do niego przyjaznych uczuć (a raczej, że go nienawidzę). Widziałem to w ich oczach. Nie wiedząc, co począć, chwyciłem poręcz krzesła. Nie uderzyłem Noboru Watai kijem baseballowym. Nie robię takich rzeczy, a przede wszystkim nie mam już tego kija. Na pewno mi nie uwierzą. Bez zastrzeżeń wierzą telewizji.

Powoli podniosłem się z krzesła i postanowiłem wrócić z powrotem korytarzem, którym tu przyszedłem. Lepiej szybko stąd odejść. Nikt mnie tu radośnie nie wita. Przeszedłem parę kroków, odwróciłem się i zobaczyłem, jak kilka osób wstaje i rusza moim śladem. Przyspieszyłem kroku, przeciałem prosto hol i skierowałem się w stronę korytarza. Musiałem wrócić do pokoju numer 208. Czułem suchość w gardle.

Kiedy dotarłem do końca holu i wszedłem w korytarz, nagle w hotelu pogasły światła i ucichły wszelkie dźwięki. Wszystko nieoczekiwanie spowільniło, jakby ciężka kurtyna ciemności spadła na ziemię z szybkością uderzenia siekiery. Ktoś za mną wydał okrzyk przestachu. Ten głos zabrzmiał dużo bliżej, niż myślałem. W jego dźwięku było twarde jak kamień ziarno nienawiści.

Posuwałem się w mroku. Szedłem powoli i ostrożnie, obmacując ściany. Muszę się choć trochę od nich oddalić. Wpadłem na jakiś mały stolik, przewróciłem chyba wazon. Głośno uderzył o podłogę i się potoczył. Skuliłem się na ziemi ze strachu. Potem szybko wstałem i znowu ruszyłem dalej, obmacując ściany. Nagle coś mnie pociągnęło do tyłu, jakby płaszcz zaczepił o gwóźdź. Przez chwilę nie wiedziałem, co się dzieje, lecz wkrótce zrozumiałem. Ktoś schwycił brzeg mojego płaszcza i ciągnął. Bez wahania go zrzuciłem i pognałem w ciemność. Skręcałem po omacku, potykając się, wbiegałem po schodach, znowu skręcałem. Po drodze zderzałem się ramionami i twarzą z różnymi rzeczami, potknąłem się na schodach i uderzyłem w głowę, ale nie czułem bólu. Czasami tylko robiło mi się trochę słabo. Nie mogą mnie tutaj złapać.

Nigdzie nie było promyczka światła. Nie paliły się nawet lampy awaryjne, które powinny działać w czasie przerwy w dostawie prądu. Jak w transie posuwałem się w tej absolutnej ciemności, aż w końcu przystanąłem, wziąłem głęboki oddech i wytężyłem słuch. Cisza. Tylko głośne bicie mojego serca. Przykucnąłem, chcąc chwilę odpocząć. Prawdopodobnie zrezygnowali z

pogoni. Jeżeli będę się dalej posuwał w ciemnościach, tylko bardziej zagłębię się w labirynt. Postanowiłem oprzeć się o ścianę i trochę uspokoić.

Kto mógł wyłączyć światło? Nie wydawało mi się, że to był przypadek. Światło zgasło dokładnie w chwili, gdy wchodziłem w korytarz, a tamci ludzie mnie doganiali. Ktoś postanowił uchronić mnie przed niebezpieczeństwem. Zdjąłem czapkę, otarłem chustką pot z twarzy i znów ją nałożyłem. Całe ciało mnie rozboleło, jakby nagle przypomniało sobie o stłuczeniach, lecz nie byłem poraniony. Spojrzałem na fosforyzujące wskazówki zegarka, ale przypomniałem sobie, że stoi. Zatrzymał się o pół do dwunastej. Wtedy zszedłem do studni, a jednocześnie Noboru Wataya został przez kogoś pobity kijem w swoim biurze w Akasaka.

Czyżbym ja naprawdę uderzył kijem baseballowym Noboru Watayę?

W głębokiej ciemności miałem wrażenie, że jest to jedna z logicznych „możliwości”. Może naprawdę uderzyłem Noboru Watayę i zadałem mu ciężkie obrażenia? I może tylko ja nie zdaję sobie z tego sprawy? Może moja gwałtowna nienawiść zrobiła to bez mojej wiedzy? Nie, przecież sama tam nie poszła, pomyślałem. Żeby się dostać do Akasaka, trzeba wsiąść w linię Odakyu i przesiąść się w Shinjuku w metro. Czy sam mógłbym to zrobić, nie wiedząc o tym? To niemożliwe. O ile nie istnieje drugi ja.

Jeżeli Noboru Wataya rzeczywiście umrze albo nie odzyska przytomności, to znaczy, że Ushikawa był naprawdę przewidujący. W ostatniej chwili przesiadł się z tonącego okrętu na inny. Podziwiałem ten psi węch. Zdawało mi się, że słyszę jego głos. - Panie Okada, nie chwalcąc się, mam dobrego nosa. Naprawdę dobrze działa.

- Panie Okada - odezwał się ktoś blisko mnie.

Serce podskoczyło mi do gardła jak na sprężynie. Nie miałem pojęcia, skąd dochodzi głos. Napiałem mięśnie i rozejrzałem się

w ciemności, ale oczywiście niczego nie dostrzegłem.

- Panie Okada - powtórzył ten niski, męski głos. - Proszę się nie obawiać. Jestem po pana stronie. Kiedyś już się tu spotka-  
liśmy. Pamięta pan?

Rzeczywiście pamiętałem ten głos. Był to „mężczyzna bez  
twarzy”. Na wszelki wypadek nie odpowiedziałem.

- Musi pan jak najszybciej się stąd wydostać - powiedział. -  
Kiedy zrobi się jasno, na pewno przyjdą tu pana szukać. Pójdzi-  
emy na skróty, proszę iść za mną.

Włączył małą kieszonkową latarkę, którą trzymał w ręku.  
Małe światełko wystarczało do świecenia pod nogi. - Tędy -  
przynaglił. Wstałem z podłogi i pospiesznie ruszyłem za nim.

- To pan zgasił światło, prawda? - zapytałem, zwracając się  
do jego pleców. Mężczyzna nie przytaknął, ale i nie zaprzeczył.

- Dziękuję. Było niebezpiecznie - powiedziałem.

- To niebezpieczni ludzie - odparł. - Prawdopodobnie dużo ni-  
ebezpieczniejsi, niż pan myśli.

- Czy Noboru Wataya naprawdę został pobity i odniósł cięż-  
kie obrażenia?

- Tak mówili w telewizji - powiedział mężczyzna bez twarzy,  
starannie dobierając słowa.

- Ale ja tego nie zrobiłem! W tym czasie siedziałem sam na  
dnie studni.

- Skoro pan tak mówi, to na pewno tak było - stwierdził, jak-  
by to było oczywiste. Otworzył drzwi i świecąc pod nogi, zaczął  
ostrożnie wchodzić po schodach. Szedłem za nim. Schody były  
długie i po drodze przestałem się orientować, czy po nich wcho-  
dę, czy schodzę. Czy to w ogóle były schody?

- Czy ktoś mógłby zaświadczyć, że był pan wtedy w studni? -  
zapytał mężczyzna, nie odwracając się.

Milczałem. Nie było nikogo takiego.

- W takim razie najmądrzej będzie uciec, nic nie mówiąc. Oni  
są pewni, że to pan jest przestępcą.

- A kim oni właściwie są?



Mężczyzna doszedł do szczytu schodów, skręcił w prawo, przeszedł kawałek, następnie otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Potem zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał. - Pospieszmy się. Proszę się trzymać mojej marynarki.

Tak jak mi kazał, chwyciłem brzeg jego marynarki.

- Oni zawsze w zapamiętaniu oglądają telewizję. Dlatego oczywiście jest pan tu nielubiany. Bardzo lubią brata pana żony - powiedział.

- Pan wie, kim jestem? - zapytałem.

- Oczywiście, że wiem.

- A więc wie pan też, gdzie jest teraz Kumiko?

Mężczyzna milczał. Jakby to była jakaś zabawa, kurczowo uczepiony jego marynarki w ciemności skręcałem, wchodziłem szybko po schodkach, otwieraliśmy tajemnicze drzwiczki, przechodziliśmy nisko sklepionymi przejściami i znowu wchodziliśmy w długi korytarz. Ta przedziwna poplątana trasa śladem mężczyzny bez twarzy wydawała się jak nieskończone błądzenie we wnętrzu wielkiego posągu Buddy.

- Proszę pana, ja nie wiem o wszystkim, co się tutaj dzieje. To bardzo rozległe miejsce. Ja odpowiadam głównie za hol. Nie wiem o wielu rzeczach.

- Wie pan o pogwizdującym kelnerze?

- Nie - odpowiedział od razu. - Nie ma tu ani jednego kelnera. Ani pogwizdującego, ani niegwizdzącego. Jeżeli widział pan gdzieś kelnera, nie był to kelner, a coś, co udawało kelnera. Zapomniałem spytać. Chce pan pewnie iść do pokoju 208, prawda?

- Tak. Mam tam spotkać pewną kobietę.

Mężczyzna nic na ten temat nie powiedział. Nie zapytał, kim jest kobieta ani jaką mam do niej sprawę. Szedł pewnym krokiem kogoś znającego drogę, a ja, jak ciągnięty przez holownik, szedłem za nim w ciemności skomplikowaną trasą.

Wkrótce zatrzymał się gwałtownie przed jakimiś drzwiami. Uderzyłem w niego z tyłu i prawie się przewróciliśmy. Dotk-

nąwszy go, odniosłem wrażenie, że jego ciało jest dziwne lekkie i cienkie, jakbym uderzył w pustą skorupę. Lecz on szybko się wyprostował i oświetlił latarką numer na drzwiach. Ukazało się 208.

- Drzwi nie są zamknięte na klucz - powiedział. - Proszę wziąć tę latarkę. Ja wrócę po ciemku. Po wejściu proszę przekręcić zamek i nikomu nie otwierać. Skoro ma pan sprawę, proszę ją szybko załatwić i wrócić do siebie. Tu jest niebezpiecznie. Jest pan intruzem i tylko ja jeden jestem po pana stronie. Proszę o tym pamiętać.

- Kim pan jest?

Człowiek bez twarzy lekko włożył mi w dłoń latarkę.

- Jestem pustym człowiekiem - powiedział.

Potem skierował ku mnie nieistniejącą twarz i czekał, co powiem, lecz ja nie mogłem znaleźć właściwych słów. Wkrótce zniknął. Stał przede mną, a w następnej chwili rozpląnął się w ciemności. Poświeciłem w tamtą stronę, lecz w świetle ukazała się tylko niewyraźnie biała ściana.

Tak jak powiedział mężczyzna, drzwi do pokoju 208 nie były zamknięte na klucz. Klamka cicho obróciła się w mojej dłoni. Na wszelki wypadek zgasilem latarkę, starając się stąpać bezszelestnie, wszedłem do pokoju i próbowałem się w ciemności zorientować, co się dzieje. Tak jak przedtem pokój wypełniała cisza. Nic się nie poruszało. Słysząc było tylko chrzęst lodu topniejącego w kubelku. Zapaliłem latarkę i zamknąłem drzwi na klucz. Suchy szcęk metalu zabrzmiał bardzo głośno w panującej ciszy. Na stoliku na środku pokoju stała zapieczetowana butelka Cutty Sark, czyste szklaneczki i kubek ze świeżym lodem. Leżąca obok wazonu srebrna taca kokieteryjnie odbiła światło latarki, jakby długo na nie czekała. W odpowiedzi na chwilę wzmógł się zapach kwiatów. Powietrze zgęstniało i miałem wrażenie, że grawitacja jest silniejsza. Oparłem się o drzwi i świecąc przed siebie, patrzyłem na to wszystko. Tu jest niebezpiecznie. Jest pan intruzem i tylko ja jeden jestem po pana stronie.

Proszę o tym pamiętać.

- Nie świeć na mnie - powiedział kobiecie głos z pokoju w głębi. - Obiecuj, że nie będziesz na mnie świecił.

- Obiecuję - odrzekłem.

### **36. O tym, że ogniska już dogasa blask, o zdejmowaniu zakłęb i o świecie, w którym rano dzwonią budziki**

- Obiecuję - powiedziałem, lecz mój głos brzmiał jakoś obco, jakbym odtwarzał go z taśmy.

- Powiedz wyraźnie, że nie będziesz na mnie świecił.

- Nie będę na ciebie świecił. Obiecuję - powiedziałem.

- Naprawdę obiecujesz? Nie kłamiesz?

- Nie kłamię. Obiecuję.

- W takim razie mógłbyś zrobić dwie whisky z lodem i przynieść mi jedną? Włóż dużo lodu.

Był to głos rozpieszczonej dziewczynki, nieomal sepleniącej, a jednocześnie głos dojrzałej, zmysłowej kobiety. Wziąłem głęboki oddech, położyłem latarkę na stole i w jej świetle zrobiłem dwie whisky z lodem. Otworzyłem butelkę Cutty Sark, włożyłem szczypcami lód do szklaneczek, a potem wlałem whisky. Musiałem się ciągle w myślach upewniać, co robię. Naśladując ruchy moich rąk, na ścianie tańczyły dwa duże cienie.

Z dwiema szklaneczkami whisky w prawej dłoni i latarką w lewej wszedłem, świecąc sobie pod nogi, do pokoju w głębi. Zdawało się być nieco chłodniej niż przed chwilą. Musiałem się spocić i teraz pot zaczynał wysychać. Poza tym przypomniałem sobie, że po drodze pozbyłem się płaszcza.

Zgodnie z obietnicą zgasilem latarkę, wsadziłem do kieszeni spodni i po omacku postawiłem szklaneczkę na szafce przy łóżku. Potem z własną szklaneczką w ręce cofnąłem się i usiadłem w fotelu nieco dalej. Nawet w zupełnej ciemności pamiętałem układ mebli.

Wydawało mi się, że słyszę szelest prześcieradeł. W ciemności kobieta cicho usiadła na łóżku i opierając się o poduszki,

sięgnęła po whisky. Potrząsnęła szklaneczką, w której zagrzecgotał lód, a potem wypila łyk. W ciemnościach brzmiało to jak efekty dźwiękowe z radiowego słuchowiska. Powąchałem whisky, lecz nie wypilem.

- Dość dawno się nie widzieliśmy - odezwałem się. Mój głos brzmiał nieco bardziej normalnie.

- Tak? - odrzekła. - Nie bardzo wiem, co to znaczy dawno albo dość.

- O ile pamiętam, to już rok i pięć miesięcy, gwoli ścisłości - powiedziałem.

- Ach tak? - nie zrobiło to na niej wrażenia. - Ja nie pamiętam, gwoli ścisłości.

Postawiłem szklankę na podłodze i założyłem nogę na nogę.

- A właśnie, nie zastałem cię, kiedy tu przedtem przyszedłem.

- Niemożliwe, jestem tu cały czas i leżałam w łóżku. Przecież ja nigdy stąd nie wychodzę.

- Ale ja niewątpliwie byłem w pokoju 208. To pokój 208, prawda?

Potrząsnęła lodem w szklance. Potem zachichotała.

- Myślę, że niewątpliwie się pomyliłeś. Niewątpliwie poszedłeś do złego pokoju 208. Na pewno. Niewątpliwie nie mogło być inaczej.

W jej głosie było coś niepewnego i to mnie trochę zaniepokoiło. Może jest pijana. W ciemności zdjąłem czapkę i położyłem na kolanach.

- Telefon przestał działać, prawda? - zapytałem.

- Tak - odparła ze znużeniem. - To oni go wyłączyli. A ja lubiłam sobie dzwonić.

- Czy to oni cię tu trzymają?

- Hm, sama nie wiem, jak to jest - zaśmiała się cicho.

Kiedy się śmiała, jej głos zdawał się drżeć w tym dziwnym powietrzu.

- Po mojej ostatniej wizycie dużo o tobie myślałem - powiedziałem. - O tym, kim właściwie jesteś i co tu robisz.

- Bardzo ciekawe.

- Wyobraziłem sobie różne rzeczy, lecz jeszcze nie mam pewności. Tylko sobie wyobrażam.

- Coś takiego - rzuciła jakby zainteresowana. - Nie masz pewności, tylko sobie wyobrażasz.

- Tak jest. Prawdę mówiąc, myślę, że jesteś Kumiko. Najpierw się nie zorientowałem, ale stopniowo doszedłem do takiego wniosku.

- Ach tak? - powiedziała po chwili wesoło. - Naprawdę jestem Kumiko?

Przez chwilę poczułem się dezorientowany. Wydawało mi się, że musiałem się całkowicie pomylić. Miałem wrażenie, że przyszedłem do nieodpowiedniego miejsca i rozmawiam o nieodpowiednich rzeczach z nieodpowiednią osobą. To wszystko strata czasu i bezsensowna okrężna droga. Lecz jakoś udało mi się w ciemności wrócić do równowagi. Jakby chcąc się upewnić w tym, co jest rzeczywiste, ścisnąłem obiema rękami leżącą na kolanach czapkę.

- Innymi słowy, jeżeli jesteś Kumiko, różne rzeczy zaczynają do siebie pasować. Wielokrotnie do mnie dzwoniłaś. Prawdopodobnie chciałaś mi przekazać jakąś tajemnicę. Staralaś się stąd przekazać mi to, czego nie mogła mi powiedzieć rzeczywista Kumiko w rzeczywistym świecie. Słowami przypominającymi szyfr.

Milczała przez chwilę. Wypiła jeszcze trochę whisky, a potem odezwała się:

- No, skoro tak myślisz, to może i tak jest. Może naprawdę jestem Kumiko. Sama jeszcze dobrze nie wiem. I... jeżeli rzeczywiście tak jest, jeżeli rzeczywiście jestem Kumiko, to znaczy, że mogę za pośrednictwem jej głosu z tobą rozmawiać. Tak by było, prawda? Trochę to skomplikowane. To nie szkodzi?

- Nie szkodzi - odpowiedziałem.

Mojemu głosowi znowu brakowało opanowania i poczucia rzeczywistości.

Kobieta chrząknęła w ciemnościach.

- No, ciekawe, czy się uda - powiedziała. Potem znowu zachichotała. - To nie jest takie proste. Spieszysz się? Czy możesz trochę zostać?

- Nie wiem. Pewnie mogę.

- Poczekaj chwilę. Przepraszam. Hm... zaraz będę gotowa. Czekałem.

- Więc szukając mnie, dotarłeś aż tutaj? Żeby się ze mną spotkać? - rozległ się w ciemności poważny głos Kumiko.

Ostatni raz słyszałem go, kiedy letniego ranka zapinałem jej suwak sukienki. Wtedy za uszami pachniała wodą toaletową, którą od kogoś dostała. Potem wyszła z domu i już nie wróciła. Ten głos w ciemnościach mógł być prawdziwy albo udawany, ale wywołał wspomnienia tamtego poranka. Czulem zapach wody toaletowej i miałem przed oczami białą skórę pleców Kumiko. W ciemnościach wspomnienia były ciężkie i intensywne. Prawdopodobnie cięższe i intensywniejsze niż w rzeczywistości. Mocno ścisnąłem w dłoniach czapkę.

- Ściśle mówiąc, nie przyszedłem tu, żeby się z tobą spotkać. Przyszedłem, żeby cię stąd zabrać - powiedziałem.

Westchnęła lekko w ciemności.

- Dlaczego chcesz mnie stąd zabrać?

- Bo cię kocham - odparłem. - Ty też mnie kochasz i potrzebujesz mnie. Wiem o tym.

- Jesteś bardzo pewny siebie - odrzekła Kumiko, a raczej jej głos.

Nie było w nim śladu drwiny. Nie było też ciepła.

Z sąsiedniego pokoju dochodził chrzęst lodu topniejącego w kubelku.

- Ale żeby cię zabrać, muszę rozwiązać parę zagadek - powiedziałem.

- I teraz będziesz się nad nimi powoli zastanawiał? - zapytała.

- Nie masz chyba tyle czasu?

Rzeczywiście miała rację. Nie miałem czasu, za to miałem za

wiele rzeczy do przemyślenia. Wierchem dłoni otarłem pot z twarzy. Powiedziałem sobie, że to pewnie moja ostatnia szansa. Myśl!

- Chciałbym, żebyś mi pomogła.

- Nie wiem, czy się uda - odparł głos Kumiko. - Może nie będę mogła, no, ale spróbujmy.

- Pierwsze pytanie: dlaczego musiałaś odejść? Dlaczego musiałaś mnie opuścić? Chciałbym znać prawdziwą przyczynę. Przeczytałem w twoim liście, że związałaś się z innym mężczyzną. Czytałem to wiele razy. Jest to jakieś wytłumaczenie, ale nie mogę uwierzyć, że to prawdziwa przyczyna. Nie trafia mi do przekonania. Nie mówię, że to kłamstwo... ale wydaje mi się, że to tylko przerośnia.

- Przerośnia?- powtórzyła naprawdę zdziwiona. - Nie bardzo rozumiem, jakim rodzajem przerośni ma być spanie z innym mężczyzną. Na przykład?

- Chcę powiedzieć, że wygląda to na wyjaśnienie, które ma jedynie stanowić wyjaśnienie. Do niczego nie prowadzi... tylko ślizga się po powierzchni. Im dłużej czytałem ten list, tym bardziej odnosiłem takie wrażenie. Powinna być jakaś inna, bardziej zasadnicza, prawdziwa przyczyna. I pewnie jest w to zaplątany Noboru Wataya.

Czułem w ciemności jej wzrok. Czyżby ta kobieta mnie widziała?

- Zaplątany? W jaki sposób zaplątany? - zapytał głos Kumiko.

- Ten ciąg zdarzeń jest strasznie powikłany, pojawiają się różne osoby, jedna po drugiej zdarzają się przedziwne rzeczy i nie widzę w tym sensu, nawet jak po kolei się nad nimi zastanawiam. Ale gdy myślę o tym z dystansu, wyraźnie widzę, o co tu chodzi. Przeszłaś z mojego świata do świata Noboru Watai. Ważne jest to przeniesienie. Nawet jeżeli rzeczywiście sypiałaś z innym mężczyzną, jest to tylko sprawa drugorzędna. Na pokaz. Właśnie to chciałem powiedzieć.

W ciemności po cichu przechyliła szklanke. Kiedy wpatrywa-

łem się w miejsce, z którego dochodził ten dźwięk, zdawało mi się, że widzę kształt kobiecego ciała, ale to musiało być złudzenie.

- Panie Okada, ludzie nie zawsze wysyłają wiadomości po to, żeby przekazać prawdę - powiedziała. Nie był to już głos Kumiko ani też głos rozpieszczonej dziewczynki. Był to zupełnie nowy kobiecy głos. Miał spokojne inteligentne brzmienie. - Tak samo jak nie zawsze spotykają się z innymi po to, żeby im pokazać swą prawdziwą twarz. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Ale Kumiko próbowała mi coś przekazać. Bez względu na to, czy to była prawda czy nie, o coś mnie prosiła. I to jest dla mnie prawdą.

Miałem wrażenie, że gęstnieje otaczająca mnie ciemność. Jej ciężar właściwy wzrastał bezgłośnie, jak wieczorny przypływ. Muszę się spieszyć. Nie zostało mi już wiele czasu. Kiedy zapali się światło, przyjdą mnie tu szukać. Nagle zdecydowałem się powiedzieć to, co powoli przybierało kształt w moich myślach.

- To tylko moje domysły, ale sądzę, że rodzina Wataya jest genetycznie obciążona jakąś skłonnością. Nie umiem wyjaśnić, co to za skłonność, po prostu jakaś skłonność. I ty się tego bałaś. Dlatego czułaś strach przed urodzeniem dziecka. Gdy zaszłaś w ciążę, wpadłaś w panikę, bo martwiłaś się, że to ujawni się u dziecka. Ale nie mogłaś mi wyznać tej tajemnicy. Wszystko się od tego zaczęło.

W milczeniu odstawiła szklaneczkę na szafkę nocną. Mówiłem dalej.

- A twoja siostra nie umarła na zatrucie pokarmowe. Myślę, że umarła na co innego. Do śmierci doprowadził ją Noboru Wataya i ty o tym wiesz. Przypuszczalnie przed śmiercią siostra coś ci powiedziała. Coś w rodzaju ostrzeżenia. Prawdopodobnie Noboru Wataya obdarzony był jakąś specjalną siłą. Znajdował ludzi, którzy byli na nią podatni, i coś z nich wydobywał. Chyba użył tej siły w dość brutalny sposób w stosunku do Krety Kano, lecz jej udało się jakoś przyjść potem do siebie. Ale twojej si-



ostrze się nie udało. Mieszkała w tym samym domu, nie miała dokąd uciec. Nie mogąc tego znieść, wybrała śmierć. I twoi rodzice przez cały czas ukrywali fakt, że popełniła samobójstwo. Czy nie mam racji?

Nie było odpowiedzi. W milczeniu kryła się w ciemności, udając, że jej nie ma.

Ciągnąłem dalej.

- Na pewnym etapie, nie wiem z jakiej przyczyny, ale wskutek jakiegoś wydarzenia, te brutalne umiejętności Noboru Watai gwałtownie się wzmocniły. Za pomocą telewizji i innych środków masowego przekazu był w stanie wykorzystać je na wielką skalę, skierować wzmoczoną siłę ku społeczeństwu. A teraz za jej pomocą próbuje wydobyć na światło dzienne to, co wielu bezimiennych ludzi nieświadomie ukrywa w ciemności, i wykorzystać do własnych celów politycznych. Wydobywa coś naprawdę niebezpiecznego, fatalnie splamionego krwią i przemocą, a także bezpośrednio powiązanego z najciemniejszymi plamami historii. W końcu doprowadzi do zniszczenia i zguby wielu ludzi.

Westchnęła w ciemnościach. - Mógłbyś mi zrobić jeszcze jednego drinka? - poprosiła cicho.

Wstałem, podszedłem do szafki nocnej i podniosłem pustą szklaneczkę. Bez trudu udało mi się tego dokonać w ciemności. Poszedłem do drugiego pokoju, zapaliłem latarkę i przygotowałem świeżą whisky z lodem.

- To są twoje domysły?

- Połączyłem kilka rzeczy, które przysły mi do głowy - odpowiedziałem. - Nie mogę tego udowodnić. Nie mam żadnego dowodu, że to prawda.

- Chciałabym usłyszeć dalszy ciąg. Jeżeli jest dalszy ciąg. Wróciłem do pokoju w głębi i postawiłem szklanekę na stole. Zgasilem latarkę i wróciłem na krzesło. Potem skupiłem się i mówiłem dalej:

- Nie wiedziałaś dokładnie, co się stało siostrze. Wiedziałaś, że przed śmiercią cię ostrzegła, ale byłaś wtedy jeszcze za mała i

nie bardzo rozumiałaś treść tego ostrzeżenia. Jednak niejasno pojęłaś, że jakimś sposobem Noboru Wataya zbrukał i zranił siostrę oraz że we krwi waszej rodziny kryje się tajemnica, która może i ciebie dotyczyć. Dlatego zawsze byłaś samotna i bardzo spięta. Żyłaś w dziwnym, uśpionym niepokoju. Zupełnie jak te meduzy w akwarium.

Po studiach i po wielkiej awanturze wyszłaś za mnie i odeszłaś z domu rodziny Wataya. Żyjąc ze mną spokojnie, po trochu zapominałaś o tym ponurym niepokoju. Weszłaś między ludzi, stałaś się nowym człowiekiem i powoli wracałaś do zdrowia. Przez pewien czas wydawało się, że wszystko dobrze się ułoży. Ale niestety nie było to takie proste. Pewnego dnia poczułaś, że ta siła ciemności, którą zostawiłaś za sobą, ciągnie cię gdzieś bez twojej wiedzy. Na pewno wpadłaś w popłoch. Nie wiedziałaś, co zrobić. I poszłaś do Noboru Watai, chcąc dowiedzieć się prawdy. Szukając pomocy, poszłaś też na spotkanie z Maltą Kano. Tylko mnie nie mogłaś się z tego zwierzyć.

To musiało się chyba zacząć po ciąży. Tak mi się wydaje. Zajście w ciążę było na pewno czymś w rodzaju punktu zwrotnego. Pewnie dlatego wieczorem, w dniu, kiedy usunęłaś ciążę, dostałem w Sapporo pierwsze ostrzeżenie od mężczyzny z gitarą. Może ciąża stała się bodźcem, który obudził w tobie coś uśpionego. A Noboru Wataya musiał spokojnie czekać, aż to się zdarzy. Pewnie tylko w ten sposób może mieć związki seksualne z kobietami. Dlatego kiedy ta tendencja się w tobie ujawniła, starał się na siłę przeciwnie cię na swoją stronę. Byłaś mu konieczna. Oczekiwał, że przejmiesz rolę, którą kiedyś pełniła twoja siostra.

Przestałem mówić i zapadło głucho milczenie. Na tym kończyły się moje domysły. Część przemyślałem niejasno wcześniej, a reszta przyszła mi do głowy, gdy mówiłem w ciemności. Może siła mroku wypełniła w nich pewne luki, lecz jednak nadal pozostały tylko bezpodstawnymi domysłami.

- Bardzo ciekawa historia - powiedziała tamta kobieta. Jej

głos znowu stał się głosem rozpieszczonej dziewczynki. Zmienił się coraz szybciej. - Hm, i ukrywając zbrukane ciało, odeszłam od ciebie. Most Waterloo we mgle, ogniska już dogasa blask, Robert Taylor i Vivien Leigh...

- Zabiorę cię stąd - przerwałem jej. - Zabiorę cię z powrotem do normalnego świata. Do świata, w którym jest kot z zagiętym ogonem, mały ogródek i dzwoniący rano budzik.

- W jaki sposób? - zapytała. - W jaki sposób mnie pan stąd zabierze, panie Okada?

- Tak jak w bajkach. Wystarczy zdjąć zaklęcie - odparłem.

- Aha - powiedział ten głos. - Ale pan myśli, że ja jestem Kumiko. Próbuje mnie pan zabrać jako Kumiko. Co pan zrobi, jeżeli okaże się, że nie jestem Kumiko? Może chce pan zabrać kogoś zupełnie innego? Czy jest pan naprawdę pewny? Czy nie lepiej jeszcze raz się spokojnie zastanowić?

Ścisnąłem w kieszeni latarkę. Myślałem, że ta kobieta musi być Kumiko, lecz nie mogłem tego udowodnić. Była to w końcu tylko hipoteza. Rękę w kieszeni miałem spoconą.

- Zabiorę cię - powtórzyłem bezgłośnie. - Po to tu przyszedłem.

Usłyszałem lekki szelest materiału. Zdawało się, że porusza się na łóżku.

- Możesz to powiedzieć wyraźnie i bez wątpliwości? - zapytała, upewniając się.

- Mogę to wyraźnie powiedzieć. Zabiorę cię ze sobą.

- Nie zmienisz zdania?

- Nie zmienię zdania. Jestem zdecydowany.

Milczała długo, jakby się o czymś upewniała. Potem na zakończenie wzięła głęboki oddech.

- Mam dla ciebie prezent - powiedziała. - Nie jest to zbyt okazały prezent, ale może ci się przydać. Nie zapalaj światła i powoli wyciągnij rękę. Powoli, w stronę szafki.

Wstałem z fotela i jakby mierząc głębokość pustki, wyciągnąłem prawą rękę w ciemność. Palcami czułem ukłucia powietrza.

Moja ręka w końcu czegoś dotknęła. Kiedy się zorientowałem, co to jest, powietrze utkwiło mi w gardle i zmieniło się w twardą kulę. Był to kij baseballowy.

Złapałem za uchwyt i podniosłem nad głowę. Był to kij baseballowy, który odebrałem młodemu człowiekowi z futerałem na gitarę. Sprawdziłem kształt i ciężar. Raczej nie ma wątpliwości. To tamten kij. Lecz kiedy dokładnie obmacywałem go w ciemności, poczułem, że na końcu coś do niego przywarło. Przypominało to ludzkie włosy. Ująłem je między palcami. Sądząc po grubości i fakturze, musiały to być ludzkie włosy. Zdawało się, że kilka przywarło do kija razem ze skrzepniętą krwią. Ktoś został nim mocno uderzony w głowę - prawdopodobnie Noboru Wataya. W końcu udało mi się wydobyć głos z gardła.

- To twój kij, prawda?

- Chyba tak - powiedziałem, nie okazując uczuć. W głębokiej ciemności mój głos znowu nabrał innego brzmienia. Zupełnie jakby ktoś ukryty w mroku mówił zamiast mnie. Odchrząknąłem lekko i upewniwszy się, że to naprawdę mój głos, ciągnąłem dalej: - Ale zdaje się, że ktoś nim kogoś uderzył.

Nie odzywała się. Opuściłem kij i postawiłem między nogami.

- Powinnaś o tym wiedzieć. Ktoś uderzył Noboru Watayę tym kijem w głowę. Wiadomości telewizyjne były prawdziwe. Noboru Wataya leży nieprzytomny w szpitalu w stanie ciężkim i może umrzeć.

- Nie umrze - powiedział obojętnie głos Kumiko, jakby czytała z książki o wydarzeniach historycznych. - Ale może nie wrócić do przytomności. Może będzie już zawsze błądził w ciemności. Nikt nie wie, jaka to będzie ciemność.

Wymacałem szklaneczkę na podłodze, wlałem do ust jej zawartość i o niczym nie myśląc, przełknąłem. Pozbawiona smaku ciecz wniknęła do gardła i spłynęła w dół przez przelyk. Z niewiadomej przyczyny zrobiło mi się zimno. Miałem uczucie, że coś powoli zbliża się ku mnie z daleka w ciemności. Serce zabi-

ło mi szybciej, jakby coś przewidywało.

- Nie ma zbyt wiele czasu. Jeżeli możesz, powiedz mi, co to za miejsce - poprosiłem.

- Byłeś tu wiele razy i znalazłeś sposób na dostanie się tutaj. Żyjesz, nie jesteś zgubiony. Powinieneś dobrze wiedzieć, co to za miejsce. A poza tym teraz to już nie jest takie ważne. Ważne jest...

W tym momencie rozległo się pukanie. Twarde suche pukanie jak przy wbijaniu gwoździa w ścianę. Dwa razy, przerwa i znowu dwa razy. Takie samo pukanie jak przedtem. Kobieta wstrzymała oddech.

- Uciekaj - powiedział wyraźny głos Kumiko. - Teraz jeszcze uda ci się przejść przez ścianę.

Nie wiem, czy moje domysły są słuszne, lecz muszę z tym czymś wygrać. To moja własna wojna.

- Tym razem nie ucieknę - powiedziałem Kumiko. - Wrócę razem z tobą.

Odstawiłem szklankę na podłogę, nasunąłem czapkę i chwyciłem kij. Powoli skierowałem się ku drzwiom.

### **37. O prawdziwym nożu i o tym, co zostało przepowiedziane**

Starając się stąpać bezszelestnie, ruszyłem w stronę drzwi, świecąc latarką pod nogi. W prawej ręce trzymałem kij. Kiedy dochodziłem do drzwi, znowu rozległo się pukanie. Dwa razy, przerwa i znowu dwa razy. Było bardziej natarczywe i mocniejsze niż przedtem. Ukryłem się w cieniu i czekałem, wstrzymując oddech.

Gdy przebrzmiało echo pukania, pokój ponownie wypełniła głucha cisza, jakby nic się nie zdarzyło, lecz po drugiej stronie drzwi czułem czyjaś obecność. Ten ktoś stał i tak samo jak ja nasłuchiwał, nie oddychał i starał się w ciszy dosłyszeć jakiś oddech, bicie serca albo odczytać myśli. Oddychałem lekko, nie chcąc zachwiać równowagi powietrza. Nie ma mnie tu, powiedziałem sobie. Nie ma mnie tu, nie ma mnie nigdzie.

Niebawem otworzył się zamek w drzwiach. Ten ktoś był bardzo ostrożny i poświęcał na wszystko dużo czasu. Dźwięki były tak podzielone i wydłużone, że traciły znaczenie. Powoli obróciła się klamka, a potem rozległ się cichy skrzyp zawiasów. Serce zabiło mi szybciej. Staralem się jakoś je uspokoić, lecz nic z tego nie wyszło.

Ktoś wszedł do pokoju. Powietrze lekko zadrżało. Skupiłem się, wyostrzyły mi się zmysły i poczułem jakąś obcą woń. Był to przedziwny zapach: ciała spowitego w gruby materiał, wstrzymwanego oddechu, i zapach zdenerwowania przesiąkniętego ciszą. Czy ma nóż? Pewnie ma. Pamiętałem biały błysk jego ostrza. Wstrzymując oddech, udając, że mnie nie ma, ścisnąłem w dłoniach kij.

Ten ktoś wszedł do środka, zamknął drzwi i przekreślił klucz. Potem stojąc plecami do drzwi, ostrożnie rozejrzał się po pokoju. Moje ściskające kij dłonie były zupełnie mokre od potu. Miałem ochotę wytrzeć je o spodnie, lecz najmniejszy ruch mógł wywołać fatalne skutki. Pomyślałem o rzeźbie w ogrodzie państwa Miyawaki. Chcąc się stać niewidzialny, starałem się utożsamić z tym ptakiem. Znajdowałem się w letnim ogrodzie, wszystko zalewał rażący blask słońca, byłem rzeźbą ptaka i zesztywniałem w przestrzeni ze wzrokiem wpatrzonym w niebo.

Ten ktoś miał ze sobą latarkę. Zapalił ją i ciemność przecięł prosty promień niezbyt silnego światła. Była to mniej więcej taka sama kieszonkowa latarka jak moja. Czekałem, aż promień światła mnie dosięgnie, lecz ten ktoś nie ruszał się z miejsca. Latarka jak reflektor oświetlała jeden po drugim różne przedmioty w pokoju. Kwiaty w wazonie, srebrną tacę na stole (która znowu zalotnie zalśniła), kanapę, stojącą lampę... Snop światła przeszedł tuż obok mego nosa, skierował się na podłogę pięć centymetrów od moich butów. Lizał wszystkie zakątki pokoju jak języczek węża. Zdawało mi się, że to czekanie dłuży się w nieskończoność. Strach i napięcie zmieniły się w ostry ból i

wwierciły się w moją świadomość jak świdry.

Nie wolno mi o niczym myśleć, powiedziałem sobie. Nie wolno sobie nic wyobrażać. Tak napisał w liście porucznik Mamiya. Wyobrażanie sobie może tu oznaczać utratę życia.

Światło latarki zaczęło się powoli, naprawdę niezwykle powoli przesuwając ku przodowi. Zdawało się, że mężczyzna zamiarza wejść do pokoju w głębi. Mocniej ująłem kij. Zorientowałem się, że nie wiadomo kiedy wysechł mi pot na dłoniach. Teraz były wręcz zbyt suche.

Ten ktoś zbliżał się do mnie powoli, krok po kroku, jakby upewniał się, że ma grunt pod nogami. Nabrałem powietrza i wstrzymałem oddech. Jeszcze dwa kroki i powinien tu dojść. Jeszcze dwa kroki i będę mógł zakończyć ten rozgrywający się w kółko nocny koszmar. Wtedy nagle światło zniknęło. Wszystko znowu pograżyło się w idealnej ciemności. Wyłączyłem latarkę. W mroku starałem się szybko myśleć, lecz głowa mi nie pracowała. Przeszył mnie tylko nieznany dreszcz. Prawdopodobnie zauważył, że tu jestem.

Pomyślałem, że muszę wykonać jakiś ruch. Nie mogę tak stać jak skamieniały. Chciałem przenieść ciężar ciała na drugą nogę i odskoczyć w lewo, lecz nogi ani drgnęły. Stopy przywarły do podłogi jak nogi kamiennego ptaka. Pochyliłem się i na siłę odgiąłem zesztyniałą górną połowę ciała w lewo. W tym momencie coś gwałtownie uderzyło mnie w prawe ramię i jakaś twarda zimna rzecz dźgnęła mnie aż do kości.

Pod wpływem szoku przeszło mi zdrętwienie nóg, jakbym nagle się obudził. Odskokczyłem w lewo i skuliłem się, poszukując w ciemności przeciwnika. Krew pulsowała mi we wszystkich żyłach. Każdy mięsień i każda komórka domagały się świeżego tlenu. W prawym ramieniu czułem coś w rodzaju silnego odrętwienia. Nie odczuwałem jeszcze bólu. Nadejdzie później. Nie poruszałem się. Ten ktoś też się nie ruszał. Staliśmy naprzeciw siebie, wstrzymując oddech. Nie było nic widać ani słyszeć.

Nóż ponownie zaatakował bez uprzedzenia. Przeleciał obok

mojej twarzy, jak rozjuszona pszczoła. Ostry koniec ostrza otarł się o prawy policzek mnie więcej w tym miejscu, w którym było znamię. Czuję, że mam przeciętą skórę, lecz prawdopodobnie rana nie była głęboka. On mnie też nie widzi. Gdyby mnie widział, już dawno by mnie wykończył. Wycelowałem w miejsce, z którego nadleciał nóż, i zdecydowanie uderzyłem, lecz w nic nie trafiłem. Kij przeciął tylko ze świstem powietrze. Ten przyjemny dźwięk trochę zmniejszył moje napięcie. Mamy równe szanse. Zostałem dwukrotnie cięty nożem, ale nie odniosłem śmiertelnych ran. Nie widzimy się nawzajem. On ma nóż, ale ja mam kij.

Znowu zaczęliśmy się wzajemnie poszukiwać w ciemności, jak dwaj ślepcy. Każdy z nas ostrożnie badał ruchy przeciwnika. Czuję, jak po policzku spływa mi krew, lecz o dziwo, ochłonąłem już ze strachu. To tylko nóż, myślałem. To tylko rana. Czekałem bez ruchu. Czekałem, aż znowu wysunie się ku mnie nóż. Mogłem czekać w nieskończoność. Nabierałem powietrza i wypuszczałem, nie wydając żadnego dźwięku. No, rusz się, pomyślałem. Ja się nie ruszam. Jak chcesz mnie pchnąć, to pchnij. Nie boję się.

Skądś nadleciał nóż i przeciął sweter przy szyi. Poczułem na gardle ruch ostrza, lecz minęło skórę o milimetr i nawet mnie nie drasnęło. Skręciłem ciało, odskoczyłem w bok i machnąłem kijem, nawet nie zadając sobie trudu, żeby się wyprostować. Kij prawdopodobnie trafił go w obojczyk. Nie było to niebezpieczne miejsce ani zbyt silne uderzenie, lecz musiałem mu sprawić duży ból. Wyraźnie poczułem, jak go skręciło. Usłyszałem też, jak gwałtownie wciąga powietrze. Wziąłem niewielki zamach i jeszcze raz go uderzyłem. Mierzyłem w tym samym kierunku, tylko trochę zmieniłem kąt i celowałem nieco wyżej, tam, skąd dobiegał oddech.

Było to doskonałe uderzenie. Kij trafił go w okolice szyi. Rozległ się nieprzyjemny odgłos łamiącej się kości. Trzecie uderzenie trafiło w głowę i powaliło go. Wydał dziwny krótki



dźwięk i z rozmachem zwałił się na ziemię. Leżał i trochę charczał, lecz wkrótce ucichł. Zamknąłem oczy i nie myśląc o niczym, wycelowałem ostatnie uderzenie w kierunku, z którego doszedł ten głos. Nie chciałem tego robić, lecz musiałem. Nie kierowały mną nienawiść czy strach, po prostu musiałem to zrobić. Coś pękło w ciemności jak owoc. Jak dojrzały arbuz. Stałem nieporuszony, ściskając w rękach kij. Zorientowałem się, że drzę. Nie mogłem się opanować. Cofnąłem się o krok i chciałem wyjąć z kieszeni latarkę.

- Nie wolno ci na to spojrzeć! - zawołał ktoś, chcąc mnie powstrzymać.

Był to głos Kumiko z pokoju w głębi. Lecz moja lewa dłoń nadal ściskała latarkę. Chciałem wiedzieć, co to jest. Chciałem na własne oczy zobaczyć to coś, co było w ciemności, co sam rozbiłem. Część mojej świadomości rozumiała, że Kumiko mi zabrania. Nie wolno mi tego zobaczyć. Jednocześnie lewa ręka poruszała się niezależnie od woli.

- Proszę cię, przestań! - zawołała jeszcze raz bardzo głośno. - Jeżeli chcesz mnie ze sobą zabrać, nie patrz!

Zacisnąłem mocno zęby i powoli wypuściłem z głębi płuc powietrze, tak jakbym otwierał ciężkie okno. Drzenie ciała jeszcze nie minęło. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach. Był to zapach mózgu, zapach przemocy, zapach śmierci. To wszystko wywołałem ja. Padłem na pobliską kanapę i przez chwilę walczyłem z podchodzącymi do gardła mdłościami, lecz przegrałem. Zwymiotowałem na podłogę całą zawartość żołądka. Kiedy nie miałem już czym wymiotować, zwróciłem trochę kwasów żołądkowych. Potem wymiotowałem powietrzem i śliną. Kij wypadł mi z rąk. Potoczył się gdzieś głośno w ciemnościach.

Kiedy uspokoiły się konwulsje żołądka, chciałem wyjąć chusteczkę i otrzeć usta, lecz nie mogłem poruszyć ręką. Nie mogłem też wstać z kanapy.

- Wracajmy do domu - powiedziałem w kierunku ciemności w głębi. - To już koniec. Wróćmy razem do domu.

Nie odpowiedziała.

Nikogo już tam nie było. Opadłem na poduszki kanapy i zamknąłem oczy.

Palce, ramiona, szyja, nogi powoli stawały się bezsilne. Jednocześnie znikał też ból ran. Moje ciało traciło nieustannie ciężar i ogarniał je rodzaj paraliżu, lecz nie budziło to we mnie strachu. Nie stawiając oporu, zaufałem temu ciepłemu, dużemu, miękkiemu czemuś i poddałem się. Stało się to naturalne. Zorientowałem się, że przechodzę przez przypominającą galaretę ścianę. Poddawałem się tylko łagodnemu nurtowi. Pewnie nigdy już tu nie wrócę, myślałem, przechodząc przez ścianę. Wszystko się skończyło. Ale dokąd poszła Kumiko? Musiałem ją stąd zabrać. Po to go zabiłem. Tak, po to rozbiłem mu kijem głowę, jakbym rozbił arbuza. Po to... lecz nie mogłem już więcej myśleć. Świadomość wkrótce zniknęła pochłonięta przez głęboką kałużę nicości.

Kiedy się ocknąłem, byłem znów na dnie czerni. Jak zwykle opierałem się o ścianę. Wróciłem do studni.

Nie było to jednak takie samo dno studni jak zazwyczaj. Czułem w nim coś nowego, nieznanego. Skupiłem się i próbowałem zorientować, co to takiego. Co się zmieniło? Większość moich odczuć była jakby sparaliżowana i potrafiłem tylko wybiórczo postrzegać otoczenie. Miałem wrażenie, że zostałem omyłkowo włożony do złego opakowania. Mimo to po pewnym czasie udało mi się zrozumieć.

Otaczała mnie woda.

Nie była to już wyschnięta studnia. Siedziałem w wodzie. Chcąc się uspokoić, wziąłem kilka głębokich oddechów. Coś takiego! Studnia wypełniała się wodą. Woda nie była zimna, wydawała się raczej ciepła. Zupełnie jakbym siedział w podgrzewanym basenie. Potem nagle coś sobie przypomniałem i postanowiłem sprawdzić w kieszeni. Chciałem się przekonać, czy jest w niej jeszcze latarka. Czy wróciłem do tego świata z latarką z

tamtego? Czy to, co się tam stało, łączy się z tą rzeczywistością? Lecz ręka ani drgnęła. Nie mogłem poruszyć palcami. Całkowicie straciłem władzę w rękach i nogach. Nie mogłem nawet wstać.

Rozważyłem to spokojnie. Po pierwsze, woda sięga mi tylko do bioder, więc na razie nie muszę się martwić, że się utopię. Rzeczywiście nie mogę się teraz ruszyć, ale to pewnie dlatego, że wyczerpała mnie walka i osłabłem. Z czasem odzyskam siły. Rany od noża nie wydają się zbyt głębokie, a dzięki temu odretwieniu przynajmniej nie czuję bólu. Zdaje się, że krew przestała płynąć z rany na policzku.

Oparłem głowę o ścianę i powiedziałem sobie, że nie ma się czym martwić. Chyba już po wszystkim. Teraz muszę trochę odpocząć, a potem wrócę do poprzedniego świata, do świata na ziemi przepelnionego blaskiem słońca... Ale dlaczego nagle pojawiła się tu woda? Studnia wyschła już tak dawno temu, a teraz nagle wyzdrowiała i ożyła. Czy to ma związek z tym, co tam zrobiłem? Pewnie tak. Coś, co jak korek blokowało żyłę wodną, z jakiegoś powodu wyleciało.

Nieco później uświadomiłem sobie pewną niefortunną okoliczność. Na początku nie chciałem jej przyjąć do wiadomości i szukałem w myślach sposobów zaprzeczenia jej. Próbowałem sobie wmówić, że to złudzenie wywołane ciemnością i zmęczeniem, lecz wysiłki te okazały się bezcelowe i na koniec musiałem uznać fakt, że wody przybywa!

Przed chwilą sięgała mi tylko do bioder. Teraz dochodziła już do zgiętych kolan. Poziom podnosił się powoli, lecz stale. Spróbowałem znowu jakoś się poruszyć. Skupiłem się i wyteżyłem wszystkie siły, ale na nic się to nie zdało. Udało mi się tylko lekko poruszyć głową. Spojrzałem w górę. Pokrywa studni była szczelnie zamknięta. Chciałem spojrzeć na zegarek, lecz nic z tego nie wyszło.

Woda dostawała się tu przez jakąś szparę i zdawało się, że przybywa jej coraz szybciej. Na początku cicho się sączyła, ale

teraz niemal tryskała. Kiedy wyteżalem słuch, udawało mi się nawet uchwycić ten dźwięk. Sięgała mi już do piersi. Ciekawe dokąd dojdzie.

- Musi uważać na wodę - powiedział pan Honda.

Ani wówczas, ani później nie wziąłem sobie do serca tej przepowiedni. Nie zapomniałem jej (niełatwo zapomnieć coś tak dziwnego), ale też nie potraktowałem poważnie. Pan Honda był dla mnie i Kumiko tylko „nieszkodliwym epizodem”. Przy różnych okazjach żartowaliśmy z tych słów. „Musi uważać na wodę” - mówiłem. I śmieliśmy się. Byliśmy młodzi i niepotrzebne nam były przepowiednie. Samo życie wydawało się przepowiednią. Ale okazuje się, że pan Honda miał rację. Miałem ochotę się roześmiać. Pojawiła się woda i jestem w strasznej sytuacji.

Pomyślałem o May Kasaharze. Wyobraziłem sobie, że przyjdzie i odsunie pokrywę. Wyobraziłem sobie to niezwykle realistycznie. Tak realistycznie i wyraźnie, że nieomal mogłem wejść w tę wymyśloną scenę. Wyobrażenia nadal działała, choć nie mogłem się ruszyć. Cóż innego mi pozostało?

- Panie Ptaku Nakręcacz! - mówi May Kasahara. Jej głos odbija się w studni głośnym echem. Nie wiedziałem, że w studni wypełnionej wodą rezonans jest silniejszy niż w wyschniętej. - Co pan tam robi? Znowu pan rozmyśla?

- Nie robię nic szczególnego - odpowiadam jej. - Trzeba by to długo wyjaśniać. W każdym razie nie mogę się ruszyć. Do tego studnia wypełnia się wodą. Nie jest to już wyschnięta studnia jak przedtem. Mogę się tu utopić.

- Biedny pan Ptak Nakręcacz - mówi May Kasahara. - Dał pan z siebie wszystko i za wszelką cenę próbował pan uratować panią Kumiko. I pewnie się to panu udało. Prawda? Jednocześnie uratował pan różnych ludzi, lecz siebie pan nie uratował. I nikt inny nie może panu w tym pomóc. Ratując innych, doszczętnie wyczerpał pan swoje siły i los. Wszystkie ziarenka, co do jednego, zostały posiane gdzieś indziej. W woreczku nic już nie ma. To bardzo niesprawiedliwe. Z całego serca panu współc-

zuję. Nie kłamię. Ale sam pan to wybrał. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Chyba rozumiem - odpowiadam.

Nagle czuję gwałtowny ból w prawym ramieniu. To się naprawdę zdarzyło, myślę. Ten nóż był rzeczywisty i zadał mi rzeczywistą ranę.

- Boi się pan śmierci? - pyta May Kasahara.

- Oczywiście - odpowiadam. Słyszę echo własnego głosu. Jest to mój głos, a jednocześnie głos kogoś innego. - Oczywiście, że się boję, kiedy myślę, że umrę na dnie ciemnej studni.

- Do widzenia, biedny panie Ptaku Nakręcaczu - mówi May Kasahara. - Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc. Jestem bardzo daleko.

- Do widzenia, May Kasahara - odpowiadam. - Świetnie wyglądałaś w kostiumie kąpielowym.

- Do widzenia, biedny panie Ptaku Nakręcaczu - powtarza bardzo cicho.

Pokrywa znowu szczelnie zamyka wylot studni. Obraz znika. Potem nic się nie dzieje. Obraz z niczym się nie łączy. Zwrócony w kierunku wylotu studni krzyczę:

- May Kasahara! Dlaczego cię nie ma, kiedy tak bardzo cię potrzebuję?

Woda dochodzi do szyi. Owija się cicho wokół niej jak pętla szubienicy. Myślę o tym, że za chwilę zabraknie mi powietrza. Serce ze wszystkich sił odmierza w wodzie czas, jaki mi pozostał. Jeżeli wody będzie przybywało w takim tempie, za jakieś pięć minut zaleje mi usta i nos, niebawem wypełni płuca. Nie mam szans. Przywróciłem tej studni życie i przez to teraz umrę. To niezły sposób umierania, powiedziałem sobie. Istnieje mnóstwo o wiele gorszych.

Zamknąłem oczy i starałem się jak najspokojniej, jak najłagodniej przyjąć nadchodzącą śmierć. Próbowałem się nie bać. Przynajmniej udało mi się kilka rzeczy po sobie zostawić. To była dobra wiadomość. Dobre wiadomości są zawsze przekazy-

wane cichym głosem. Przypomniałem sobie te słowa i chciałem się uśmiechnąć, lecz nie bardzo mi wyszło.

- Jednak boję się umierania - powiedziałem cicho do siebie.

Były to moje ostatnie słowa. Niezbyt imponujące, ale teraz nie mogłem ich już zmienić. Woda podeszła powyżej moich ust. Potem dosięgła nosa. Przestałem oddychać. Płuca domagały się świeżego powietrza, którego już nie było. Została tylko ciepła woda.

Umierałem. Jak wszyscy inni żyjący na tym świecie.

### **38. O kaczych ludziach, cieniach i łzach (punkt widzenia May Kasahary )**

Dzień dobry, Panie Ptaku Nakręcaczu,

Czy ten list rzeczywiście do Pana dojdzie? Prawdę mówiąc, wcale nie mam pewności, że wszystkie moje listy do Pana dotarły. Adres napisałam dosyć przybliżony, taki „mniej więcej”, i w ogóle nie umieściłam adresu nadawcy. Dlatego niewykluczone, że moje listy pokrywają się kurzem z dała od ludzkich oczu na jakiejś półce na poczcie, na której kładzie się „zgubione listy o nieznanym miejscu przeznaczenia”. Ale do tej pory uważałam, że to nie szkodzi, jeśli nie dotrą. Chodzi mi o to, że dzięki tym listom przelałam własne myśli na papier. Pisanie do Pana przychodzi mi łatwo, bez większego trudu. Sama nie wiem, dlaczego. Tak... ciekawe dlaczego?

Lecz chciałabym, żeby ten jednak do Pana dotarł. Modlę się, żeby dotarł.

Teraz napiszę trochę o kaczych ludziach, choć pewnie zdziwi Pana, co mi nagle przyszło do głowy.

Jak wcześniej wspomniałam, teren należący do fabryki jest bardzo duży. Znajdują się tu nawet las i staw. Bardzo dobre miejsce na spacer. Staw jest dość duży, mieszkają nad nim kaczkę. Jest ich dwanaście. Nie wiem, jaka jest ich struktura rodzinna. Pewnie istnieją między nimi różne powiązania w rodzaju: „z tym i z tamtym mam dobre układy”, ale nigdy nie widziałam,

żeby się kłóciły.

Już jest grudzień i powierzchnia stawu zaczęła się powlekać lodem, lecz warstwa jest jeszcze cienka i nawet w zimne dni zostaje miejsce, w którym kaczki mogą sobie popływać. Podobno, kiedy się robi zimno i staw pokrywa gruby lód, moje koleżanki z pracy przychodzą tu na łyżwy. Wtedy kaczy ludzie (wiem, że to dziwne wyrażenie, ale jakoś przywykłam tak mówić) muszą iść gdzieś indziej. Ja nie lubię łyżew i po cichu mówię sobie, że dobrze by było, gdyby staw nie zamarzał, ale najwyraźniej nie da się tego uniknąć. To bardzo zimny region i tak długo, jak tu mieszkają kaczy ludzie, muszą być na to przygotowani.

Ostatnio, kiedy mam wolne w weekendy, zawsze tu przychodzę i spędzam czas, przyglądając się kaczym ludziom. Patrę sobie na nich i nie wiadomo kiedy mijają dwie albo trzy godziny. Jak myśliwy polujący na białe niedźwiedzie ubieram się w grube rajstopy, czapkę, szalik, długie buty, futrzany płaszcz, siadam na kamieniu i godzinami przyglądam się bezmyślnie kaczym ludziom. Czasami karmię ich suchym chlebem. Nikt oprócz mnie nie lubi takich rzeczy i nie ma tyle wolnego czasu.

Nie wiem, czy Pan wie, że kaczki to bardzo wesołe stworzenia. Mogę się im przyglądać w nieskończoność. Nie rozumiem, dlaczego inni się nimi nie interesują,

a specjalnie jeżdżą gdzieś daleko, wydają pieniądze na jakieś głupie filmy. Na przykład zdarza się, że kaczy ludzie nadlatują, łopocząc skrzydłami, lądują na lodzie, lecz nogi im się ślizgają i z pluskiem wpadają do wody. Zupełnie jak program rozrywkowy w telewizji. Na ten widok sama do siebie się śmieję. Oczywiście kaczy ludzie nie wygłupiają się po to, żeby mnie rozśmieszyć. Żyją poważnie i bardzo się starają, ale i tak wpadają do wody.

Mają ładne, płaskie pomarańczowe nóżki przypominające dziecinne kaloszki, lecz najwyraźniej nie zostały one pomyślane do chodzenia po lodzie i wszystkie są bardzo śliskie, więc kaczy ludzie lądują czasem na kupry. Pewno nie mają na tych nogach

bieżników. Zima nie jest więc chyba najprzyjemniejszą porą roku dla kaczych ludzi. Nie wiem, co w głębi serca myślą o lodzie, ale pewnie uważają, że nie jest taki zły. Kiedy na nich patrzę, odnoszę takie wrażenie. „Znowu lód! Nie ma rady” - narzekają, ale zdaje się, że zimą też dość przyjemnie sobie żyją. Bardzo mi się to w nich podoba.

Staw jest w lesie, położony w pewnym oddaleniu. Nikt specjalnie nie przychodzi tu na spacer o tej porze roku (oczywiście oprócz mnie), chyba że trafi się wyjątkowo ciepły dzień. Leśną drogę pokrywa świeży zmarznięty śnieg, który przyjemnie skrzypi pod podeszwami. Wszędzie jest też dużo ptaków. Kiedy idę tak leśną drogą, rozmyślając o kaczych ludziach, z postawionym kołnierzem, szyją obwiązaną szalikiem, białymi chmurkami oddechu i chlebem w kieszeni, wpadam w bardzo ciepły i szczęśliwy nastrój. Potem myślę nawet, że już dawno się tak dobrze nie czułam.

Na tym na razie koniec opowieści o kaczych ludziach.

Szczerze mówiąc, obudziłam się godzinę temu, bo miałam sen o Panu. I teraz siedzę przy biurku i piszę list. Jest godzina... (spoglądam na zegarek) druga osiemnaście w nocy. Jak zawsze położyłam się przed dziesiątą, zasnęłam głęboko, mówiąc „Dobranoc, kaczy ludzie”, i przed chwilą się obudziłam. Nie wiem, czy to był sen, ponieważ nic z niego nie pamiętam. Może więc nic mi się nie śniło. W każdym razie wyraźnie słyszałam Pana głos. Głośno mnie Pan wołał i to sprawiło, że się nagle obudziłam.

Kiedy otworzyłam oczy, w pokoju było dość jasno. Oświetlało go wpadające z okna światło. Zobaczyłam wielki księżyc, który unosił się nad wzgórzami jak srebrna taca ze stali nierdzewnej. Był tak wielki, że zdawało się, iż można go dosięgnąć i coś na nim napisać. Jego światło rozlało się na podłodze jak biała kałuża. Usiadłam w łóżku i zaczęłam sobie łamać głowę, co mogło się stać. Dlaczego Pan Ptak Nakręcacz tak natarczywie mnie wołał? Długo waliło mi serce. Gdybym była w domu, ub-



rałabym się od razu i szybko pobiegłabym uliczką do Pana, nie zważając na to, że jest środek nocy. Ale jestem teraz w górach pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od Pana i choćbym nie wiem, jak bardzo chciała do Pana polecieć, jest to niemożliwe. Prawda?

Wie Pan, co potem zrobiłam?

Rozebrałam się do naga. No, no... Niech Pan nie pyta dlaczego. Sama nie bardzo wiem dlaczego, więc niech pan spokojnie wysłucha do końca. Zdjęłam z siebie wszystko i wstałam. Potem uklęknęłam na podłodze w kałuży księżycowego światła. Ogrzewanie się wyłączyło i pokój powinien być bardzo wyziębiony, lecz nie czułam wcale zimna. Miałam wrażenie, że coś szczególnego ukrytego w świetle księżyca dokładnie pokryło moje ciało jakąś cienką ochronną warstwą. Przez pewien czas tak klęczałam, lecz potem zaczęłam kolejno wystawiać ku światłu różne części ciała. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale stało się to bardzo naturalnie. Blask księżyca był naprawdę niewypowiedzianie piękny i czułam, że muszę to zrobić. Zupełnie jakbym się w tym świetle kąpała, po kolei wystawiałam ku światłu jedną część ciała po drugiej: szyję, ramiona, ręce, piersi, pępek, nogi, pupę, nawet tamto miejsce.

Gdyby ktoś mnie zobaczył, na pewno pomyślałby, że robię strasznie, strasznie dziwne rzeczy. Może wyglądałam, jakby mi odbiło w świetle księżyca, jak wilkołakowi w noc pełni. Lecz oczywiście nikt mnie nie widział. A może przypadkiem ten chłopak z motocyklem skądś mnie widział. Ale to by mi nie przeszkadzało. On już nie żyje i jeżeli chce patrzeć, jeżeli mu to wystarczy, ja mu z przyjemnością pokażę.

W każdym razie nikt mnie nie widział. Byłam sama w blasku księżyca. Czasami zamykałam oczy i myślałam o kaczych ludziach śpiących koło stawu. I o tym uczuciu ciepła i szczęścia, które stworzyliśmy razem w ciągu dnia. Kaczy ludzie stali się dla mnie czymś w rodzaju ważnego talizmanu, amuletu.

Potem długo siedziałam na piętach. Zupełnie naga siedziałam

sama w księżycowym blasku, który zabarwił moje ciało przedziwnym kolorem. Na podłodze rysował się wyraźnie długi czarny cień mojej postaci. Ciągnął się aż do ściany. Nie wyglądała na mój cień, a na cień jakiejś innej kobiety. Innej, dojrzałej kobiety. Nie był cieniem kanciastej dziewicy, a miał kobiece krągłości, większe piersi i sutki. Był to jednak cień rzucany przez moje ciało, tylko wydłużył się i miał inny kształt. Kiedy się poruszałam, poruszał się wraz ze mną. Przez chwilę wykonywałam różne ruchy i dokładnie sprawdzałam swój związek z tym cieniem. Dlaczego tak inaczej wygląda? Nie mogłam tego zrozumieć. Im dłużej patrzyłam, tym dziwniejsze mi się to wydawało.

I od tego miejsca trochę trudno mi tłumaczyć. Nie jestem pewna, czy mi się uda.

Krótko mówiąc, wtedy nagle się rozplakałam. Tak jakby w scenariuszu napisano: „w tym momencie May Kasahara nieoczekiwanie zakrywa twarz rękami i wybucha gwałtownym, głośnym płaczem”. Proszę się nie dziwić. Do tej pory to przed Panem

ukrywałam, ale naprawdę jestem straszną beksą. Z najmniejszego powodu płaczę. To moja ukryta wada. Dlatego sam fakt, że się nagle rozplakałam, wcale mnie nie zdziwił. Zawsze trochę sobie popłaczę, a potem myślę: „No, już dość”, i przestaję. Jestem bardzo skłonna do płaczu, ale za to od razu też się uspokajam. Lecz dziś nie mogłam przestać płakać. Tak jakby coś się we mnie odkorkowało, za nic nie mogłam się uspokoić. Nie wiedziałam, dlaczego płaczę, więc nie wiedziałam też, jak powstrzymać łzy, które płynęły nieustannie jak krew buchająca z dużej rany. Wylałam nieprawdopodobną ilość łez. Zaczęłam się niemal poważnie martwić, że jak tak dalej pójdzie, kompletnie się odwodnię i wyschnę jak mumia.

Łzy kapąły, spadały głośno w białą kałużę księżycowego światła, która je pochłaniała, jakby same były światłem. Spadając oświetlone księżycem, lśniły w powietrzu pięknie jak kryształy. Nagle zauważyłam, że mój cień też płacze. Wyraźnie rysowały

się nawet cienie łez. Widział Pan kiedyś cień łzy? To nie jest zwykły cień. Jest zupełnie inny. Przybywa specjalnie z dalekiego świata, aby ucieszyć nasze serca. Myślałam wtedy, że może to cień płacze prawdziwymi łzami, a moje są tylko cieniami. Na pewno Pan nie rozumie. Wszystko może się zdarzyć, kiedy naga siedemnastoletnia dziewczyna zalewa się łzami w środku nocy. Naprawdę.

To się zdarzyło w tym pokoju około godziny temu. Siedzę przy biurku i piszę do Pana ołówkiem list (teraz jestem już oczywiście ubrana).

Do widzenia, Panie Ptaku Nakręcaczu. Nie umiem tego dobrze wyrazić, ale wraz z kaczymi ludźmi z lasu życzę Panu, żeby doznał Pan ciepła i szczęścia. Jeżeli znowu coś się przydarzy, proszę się nie krępować i głośno mnie zawołać.

Dobranoc.

### **39. O dwóch rodzajach wiadomości i o tym, co gdzieś zniknęło**

- Cynamon pana tu przyniósł - powiedziała Gałka.

Kiedy otworzyłem oczy, najpierw poczułem różne rodzaje stłumionego bólu. Bolały mnie rany od noża, wszystkie ścięgna, kości i mięśnie. Uciekając w ciemności, musiałem mocno uderzać ciałem o różne rzeczy. Lecz nie były to bóle w pełnym znaczeniu tego słowa. Były im bliskie, nie można ich jednak było jeszcze nazwać prawdziwymi bólami.

Potem zorientowałem się, że mam na sobie jakąś nową, nieznaną, granatową pizamę i leżę na kanapie w przymierzalni „wili”. Byłem przykryty kocem. Zasłony odsunięto i przez okno wpadało jasne poranne słońce.

Zdawało mi się, że musi być koło dziesiątej. Było tu świeże powietrze i czas, który się posuwał naprzód, ale ja nie bardzo rozumiałem skąd.

- Cynamon pana tu przyniósł - powtórzyła Gałka. - Rany nie są poważne. Cięcie na ramieniu jest dość głębokie, ale na szczę-

ście minęło tętnicę, a to na twarzy to tylko draśnięcie. Cynamon zszył je tym, co miał pod ręką, żeby panu nie zostały blizny. Zna się na takich rzeczach. Za kilka dni może pan sam zdjąć szwy albo pójść do szpitala, żeby tam panu zdjęli.

Chciałem coś powiedzieć, lecz język mi się plątał i nie mogłem wydobyć głosu. Nabrałem tylko powietrza i wypuściłem je ze świstem.

- Lepiej żeby się pan na razie nie ruszał i nic nie mówił - powiedziała Gałka. Siedziała przy mnie na krześle, założywszy nogę na nogę. - Cynamon powiedział, że za długo był pan w studni. Podobno groziło panu duże niebezpieczeństwo. Ale proszę mnie nie pytać o szczegóły. Ja nic o tym nie wiem. Dostałam wiadomość w środku nocy, wezwałam taksówkę i tak jak stałam, od razu tu przyjechałam. Nie wiem dokładnie, co się przedtem stało. W każdym razie pana ubranie było zupełnie mokre i umazane krwią, więc je wyrzuciliśmy.

Gałka rzeczywiście musiała tu przyjechać w pośpiechu, gdyż jej strój był znacznie prostszy niż zazwyczaj. Kremowy kaszmirowy sweter, pod nim męska koszula w paski i oliwkowa wełniana spódnica. Nie miała żadnych dodatków, a włosy związała po prostu z tyłu. Wydawała się też lekko śpiąca, lecz mimo to wyglądała, jakby wyszła prosto z żurnala. Włożyła do ust papierosa i z przyjemnym suchym trzaskiem zapaliła go złotą zapalniczką. Potem zaciągnęła się, mrużąc oczy. Słyszając trzask tej zapalniczki, powiedziałem sobie, że jednak nie umarłem. Cynamon musiał mnie uratować w ostatniej chwili.

- Cynamon rozumie różne rzeczy - powiedziała Gałka. - A poza tym w odróżnieniu ode mnie czy od pana naprawdę głęboko zastanawia się nad wszystkimi możliwościami. Ale nawet jemu nie przyszło do głowy, że w tej studni ni stąd, ni zowąd może pojawić się woda. Tej możliwości nie wziął pod uwagę. Przez to o mało pan nie umarł. Jeszcze nigdy nie widziałam go w stanie takiej paniki.

Uśmiechnęła się leciutko.

- Musi pana lubić - powiedziała.

Niczego więcej nie usłyszałem. Czułem ból za oczami, powieki stały się strasznie ciężkie. Zamknąłem oczy i zapadłem w ciemność, tak jakbym zjeżdżał gdzieś windą.

Powrót do zdrowia zajął mi całe dwa dni. Przez ten czas opiekowała się mną Gałka. Nie mogłem wstać ani mówić. Nie mogłem nic jeść. Czasami piłem tylko sok pomarańczowy i jadłem pokrojone brzoskwinie z puszki. Wieczorami Gałka wracała do domu, a rano znowu przyjeżdżała, bo w nocy i tak zapadałem w głęboki sen. Zresztą nie tylko w nocy, przesybiałem też większość dnia. Zdawało się, że do wyzdrowienia najbardziej potrzebny jest mi sen.

Przez ten czas Cynamon ani razu się nie pokazał. Nie wiedzieć czemu, miałem wrażenie, że świadomie unika spotkania ze mną. Słyszałem, jak wjeżdżał samochodem przez bramę i jak wyjeżdżał. Zza okna dochodził charakterystyczny głęboki pomruk silnika porsche. Nie używał już mercedesa, przywoził i odwoził Gałkę własnym samochodem, dostarczał jedzenie i ubranie. Nigdy nie wchodził do domu. Podawał Gałce w drzwiach paczki i odjeżdżał.

- Niedługo pozbędziemy się tej willi - powiedziała Gałka. - Teraz znowu ja będę się nimi zajmowała. Nie ma rady. Pewnie będę musiała sama to robić, aż nic ze mnie nie zostanie. Zapewne taki już mój los. Myślę, że w przyszłości nie będziemy mieli ze sobą nic wspólnego. Kiedy będzie już po wszystkim i wyzdrowieje pan, najlepiej byłoby, gdyby pan jak najszybciej o nas zapomniał. A to dlatego, że... a właśnie, zapomniałam panu powiedzieć. To dotyczy pana brata. To znaczy brata pana żony, pana Noboru Watai.

Przyniosła z drugiego pokoju gazetę i położyła na stole.

- Cynamon przywiózł przed chwilą tę gazetę. Pana szwagier zemdlął wczoraj wieczorem, został zawieziony do szpitala w Nagasaki i cały czas jest nieprzytomny. Napisał, że nie wiado-

mo, czy odzyska przytomność.

W Nagasaki? Nie zrozumiałem tego, co powiedziała. Chciałem się odezwać, lecz ciągle nie mogłem wydobyć głosu. Powinien był zemdleć w Akasaka. Dlaczego w Nagasaki?

- Wygłosił w Nagasaki przemówienie do tłumu, a potem w czasie kolacji z organizatorami nagle osunął się na podłogę i zemdleł. Od razu zawieziono go do pobliskiego szpitala. Podobno był to rodzaj wylewu. To znaczy, że od urodzenia musiał mieć coś nie tak z naczyniami krwionośnymi w mózgu. W artykule napisano, że dość długo będzie obłożnie chory. Jeżeli nawet odzyska przytomność, pewnie nie będzie mógł mówić. Oznaczałoby to koniec jego kariery politycznej. Szkoda, bo jest jeszcze taki młody. Zostawię tu panu gazetę, może pan przeczytać, jak się pan lepiej poczuje.

Dość dużo czasu zajęło mi przyjęcie tego do wiadomości jako faktu dokonanego. Obrazy widziane w telewizji w holu hotelowym zbyt głęboko wryły mi się w pamięć. Biuro Noboru Watai w Akasaka, tłum policjantów, wejście do szpitala, pełen napięcia głos spikera... Lecz powoli tłumaczyłem i powtarzałem sobie, że to były wiadomości z tamtego świata. W tym rzeczywistym świecie wcale nie pobiłem Noboru Watai kijem baseballowym. Dlatego nie zostaną poddany śledztwu ani aresztowany. Wskutek wylewu zemdleł na oczach wielu ludzi. Przestępstwo nie wchodziło w rachubę. Zrozumiałem to i kamień spadł mi z serca. Martwiłem się do tej pory, ponieważ opis przestępcy odczytany przez spikera dokładnie odpowiadał mojemu, a do tego nie miałem żadnego alibi, które by mnie uniewinniło.

Musi istnieć jakiś związek między tym, co tam zabiłem, a omdleniem Noboru Watai. Skutecznie zatłukłem coś, co miał w sobie albo z czym był silnie związany. Prawdopodobnie Noboru Wataya od dawna to przewidywał i męczyły go złe sny. Lecz moje ciosy nie zdołały pozbawić go życia. Był o włos od śmierci, ale przeżył. Powinienem był zamordować tego człowieka. I co się stanie z Kumiko? Czy tak długo jak on żyje, nie uda jej

się stamtąd wydostać? Czy nawet nieprzytomny będzie w stanie nadal trzymać Kumiko w więzach zaklęcia?

Nie mogłem dalej myśleć. Stopniowo traciłem świadomość. Zamknąłem oczy i usnąłem. Potem miałem fragmentaryczny nerwowy sen. Kreta Kano trzymała przy piersi niemowlę. Nie widziałem jego twarzy. Kreta Kano miała krótkie włosy i była nieumalowana. Powiedziała mi, że dziecko ma na imię Korsyka, że w połowie jego ojcem jestem ja, a w drugiej połowie porucznik Mamiya. Nie pojechała na Kretę, tylko została w Japonii, urodziła dziecko. Niedawno w końcu znalazła sobie nowe imię, mieszka w górach niedaleko Hiroszimy i prowadzi spokojne życie, uprawiając warzywa z porucznikiem Mamiyą. Wcale mnie to nie zdziwiło, ponieważ przynajmniej we śnie wszystko to przewidziałem.

- A co się stało z Małtą Kano? - zapytałem.

Kreta Kano nie odpowiedziała, tylko zrobiła smutną minę. Potem gdzieś zniknęła.

Trzeciego dnia udało mi się jakoś wstać o własnych siłach. Trudno mi jeszcze było chodzić, ale mogłem trochę mówić. Gałka zrobiła mi kleik ryżowy. Zjadłem go i odrobinę owoców.

- Co się dzieje z kotem? - zapytałem.

Nie dawało mi to spokoju.

- Kotem zajmuje się Cynamon, wszystko w porządku. Codziennie chodzi do pana, daje mu jeść i zmienia wodę. Nie musi się pan o nic martwić. Proszę się martwić o siebie.

- Kiedy pozbędziecie się tej willi?

- Przy pierwszej okazji. Pewnie w przyszłym miesiącu. Dostanie pan procent tego, co pan spłacił w formie rat pożyczki. Prawdopodobnie sprzedamy po cenie niższej od ceny kupna, więc nie będzie to duża suma, ale kilka miesięcy będzie pan mógł za to przeżyć. Dlatego o pieniądze też się pan nie musi martwić. Bardzo dobrze pan tu pracował, więc to oczywiste, że tyle dla pana zrobimy.

- Czy ten dom zostanie rozebrany?

- Pewnie tak. Dom pewnie zostanie rozebrany, a studnia jeszcze raz zasypana. Szkoda, bo znowu pojawiła się w niej woda, ale w dzisiejszych czasach nikt nie chce takiej staroświeckiej i groteskowej studni. Wszyscy kładą w ziemi rury i pompują wodę. To wygodniejsze i zajmuje mniej miejsca.

- Ta posesja prawdopodobnie zrobiła się zupełnie normalnym miejscem, nie jest już przekłeta - powiedziałem. - To już nie willa wisielców.

- Może ma pan rację - odparła Gałka, a po chwili lekko przygryzła usta. - Ale to już nie dotyczy ani mnie, ani pana, prawda? W każdym razie proszę przez pewien czas nie myśleć o niczym niepotrzebnym i odpocząć tu sobie. Myślę, że minie jeszcze trochę czasu, zanim pan zupełnie wydobrzeje.

Pokazała mi artykuł dotyczący Noboru Watai w porannym wydaniu gazety, którą przyniosła. Był krótki. Nieprzytomny Noboru Wataya został przewieziony z Nagasaki do tokijskiej Kliniki Akademii Medycznej i leży na oddziale intensywnej terapii. Jego stan nie uległ zmianie. Nie podano więcej szczegółów. Pomyślałem o Kumiko. Gdzie ona właściwie jest? Muszę wrócić do domu. Nie miałem jednak jeszcze na to sił.

Następnego ranka poszedłem do łazienki i po raz pierwszy od trzech dni przejrzałem się w lustrze. Wyglądałem naprawdę strasznie: nie jak zmęczony człowiek, a raczej jak dobrze zachowany trup. Tak jak mówiła Gałka, rana na policzku została fahowo zszyta. Biała nić ściśle połączyła jej brzegi. Miała około dwóch centymetrów, lecz nie była zbyt głęboka. Kiedy poruszyłem skórą na twarzy, rana ciągnęła, ale już prawie nie bolała. Umyłem zęby i ogoliłem się maszynką elektryczną. Nie miałem odwagi użyć zwykłej żyłki. Wtedy nagle coś zauważyłem. Odłożyłem maszynkę i jeszcze raz dokładnie przyjrzałem się twarzy. Znamię zniknęło. Ten człowiek ciął mnie nożem w policzek właśnie tam, gdzie było znamię. Miałem ranę, lecz zna-



mienia ani śladu. Zniknęło bez śladu.

W nocy piątego dnia znów usłyszałem cichy dźwięk dzwonków u sań. Było kilka minut po drugiej. Wstałem z kanapy, narzuciłem na piżamę zapinany sweter, wyszedłem z przymierzalni i przez kuchnię dotarłem do pokoju Cynamona. Cicho otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Cynamon znów wzywał mnie z drugiej strony komputera. Usiadłem przy biurku i spojrzałem na komunikat na ekranie.

Masz dostęp do programu „Kronika ptaka nakręcacza”. Wybiierz numer dokumentu od 1 do 17.

Napisałem 17 i kliknąłem. Otworzył się dokument.

#### **40. Kronika ptaka nakręcacza # 17 (list Kumiko)**

Mam Ci wiele do powiedzenia i pewnie opowiem Ci wszystko do końca zajmie bardzo dużo czasu. Może nawet parę lat. Powinnam była dawno wszystko Ci szczerze wyznać, lecz niestety zabrakło mi odwagi. Miałam nieuzasadnione nadzieje, że nie dojdzie do takiej strasznej sytuacji, i w rezultacie moje milczenie doprowadziło do koszmarnych skutków. To wszystko moja wina. No, ale tak czy inaczej, już za późno na tłumaczenie. Nie ma na to czasu. Dlatego chciałabym ci teraz powiedzieć najważniejszą rzecz, a mianowicie, że muszę zabić swojego brata, Noboru Watayę. Mam zamiar iść teraz do szpitala i odłączyć urządzenia, które utrzymują go przy życiu. Jako siostra mam prawo zajmować się nim w nocy zamiast pielęgniarki. Odłączę urządzenia i przez pewien czas raczej nikt się nie zorientuje. Wczoraj lekarz objaśnił mi mniej więcej, jak te urządzenia działają i jak są zbudowane. Zamierzam poczekać, aż brat umrze, a potem od razu zgłosić się na policję i przyznać do zabójstwa z premedytacją. Niczego więcej im nie wytłumaczę. Powiem tylko, że zrobiłam to, co uważałam za słuszną. Prawdopodobnie od razu mnie aresztują pod zarzutem morderstwa, a potem odbędzie się proces. Zlecą się dziennikarze i różni ludzie

będą mówili różne rzeczy. Może będą mówić o umieraniu z godnością. Lecz ja nic nie powiem. Nie zamierzam się bronić ani wyjaśniać. Powiem tylko, że po prostu chciałam zakończyć życie człowieka zwanego Noboru Wataya. To cała prawda. Przypuszczalnie wsadzą mnie do więzienia, lecz wcale się tego nie obawiam, ponieważ najgorsze już minęło.

Gdyby nie Ty, dawno już straciłabym rozum. Całkowicie oddałabym się komuś innemu i spadłabym gdzieś, skąd nie ma powrotu. Dawno temu Noboru Wataya zrobił to samo mojej siostrze i ona przez to popełniła samobójstwo. Zbrukał nas. Ściśle mówiąc, nie zbrukał nas w sensie fizycznym, a zrobił coś o wiele gorszego.

Odebrał mi wolność działania i siedziałam zamknięta w ciemnym pokoju. Nie znaczy to, że miałam skute nogi albo że ktoś mnie pilnował, ale i tak nie mogłam stamtąd uciec. Przywiązał mnie tam najmocniejszymi kajdanami i postawił przy mnie najlepszego strażnika, a mianowicie: mnie samą. Sama byłam kajdanami, które skuły mi nogi, i srogim, niestrudzonym strażnikiem. Miałam oczywiście w sobie inną siebie, która chciała uciec, lecz jednocześnie żyła we mnie ta druga ja, tchórzliwa i nieczysta, która poddała się, myśląc, że musi tam zostać, że nie uda jej się uciec. I ja, chcąc uciec, za nic nie mogłam zapanować nad tą drugą mną. Nie mogłam znaleźć sił na ucieczkę, ponieważ miałam już zbrukane ciało i serce. Nie miałam prawa uciec i wrócić do Ciebie. Zostałam zbrukana nie tylko przez Noboru Watayę, lecz wcześniej sama się nieodwracalnie zbrukałam.

W liście napisałam Ci, że spałam z innym mężczyzną, lecz list nie mówił całej prawdy. Teraz muszę Ci ją wyznać: spałam nie z jednym mężczyzną, a z wieloma. Nie mogę ich nawet policzyć. Nie rozumiem, co mnie do tego popchnęło. Teraz wydaje mi się, że mogło się to zdarzyć pod wpływem brata. Otworzył we mnie jakąś szufladkę, wyjął sobie z niej coś nieokreślonego i zmusił mnie do spania z niezliczonymi mężczyznami. Ma w so-

bie taką siłę, a poza tym - choć nie chcę tego przyznać - łączą nas jakieś ciemne więzy.

Tak czy inaczej, kiedy po mnie przyszedł, byłam już bezpowrotnie zbrukana. Na koniec zaraziłam się nawet chorobą weneryczną. Ale tak jak napisałam Ci w liście, wtedy w ogóle nie uważałam, że Cię tym krzywdzę. Zdawało mi się, że to zupełnie normalne zachowanie. Myślę, że nie byłam wtedy prawdziwą sobą. Nie mogło być inaczej. Lecz czy naprawdę tak było? Czy to jednak da się tak łatwo wyjaśnić? I w takim razie jaka jestem prawdziwa ja? Na jakiej podstawie uważam, że ja pisząca ten list to „prawdziwa ja”? Nie wierzyłam w siebie wtedy, teraz też nie mogę uwierzyć.

Często mi się śniłeś. Były to bardzo realne logiczne sny. Zawsze desperacko mnie szukałeś. Byłeś bardzo niedaleko mnie w jakimś miejscu przypominającym labirynt.

Chciałam głośno krzyknąć, że tu jestem, że jeszcze kawałek. Myślałam, że gdybyś mnie znalazł, wziąłbyś mnie w ramiona, zły sen dobiegłby końca i wszystko na pewno wróciłoby do normy. Ale za nic nie mogłam wydobyć głosu, a ty nie zauważałeś mnie w ciemności i szedłeś dalej. Zawsze miałam właśnie takie sny, lecz one mi bardzo dodawały otuchy. Zostały mi przynajmniej siły na to, żeby śnić. Nawet brat nie mógł mi tego odebrać. Czułam, że z wielkim wysiłkiem zbliżasz się do mnie. Myślałam, że może kiedyś mnie znajdziesz. Przyciśniesz mnie mocno do piersi, zmyjesz zbrukanie i na zawsze mnie stąd wyciągniesz. Zdejmiesz ze mnie zaklęcie, zapieczętujesz je, tak że prawdziwa ja nigdy nie będzie musiała odchodzić. Dlatego byłam w stanie w tej pozbawionej wyjścia zimnej ciemności zachować mały promyczek nadziei. Udało mi się uchronić odrobinę własnego głosu.

Dziś po południu dostałam hasło umożliwiające dostęp do tego komputera. Ktoś mi je przysłał przez kuriera. Korzystając z niego, wysyłam ci ten e-mail z biura brata. Mam nadzieję, że do ciebie dotrze.

Nie mam już czasu. Na dole czeka taksówka. Czas jechać do szpitala. Zabiję brata, a potem poniosę karę. O dziwo, już go nie nienawidzę. Teraz mam tylko absolutną pewność, że z moją pomocą musi zejść z tego świata. Myślę, że muszę to zrobić dla jego dobra, a także żeby nadać sens własnemu życiu.

Proszę cię, dbaj o kota. Naprawdę się cieszę, że wrócił. Nazwałś go Łosoś, prawda? Bardzo mi się to imię podoba. Sądzę, że ten kot był znakiem dobrych rzeczy, które się między nami narodziły. Nie powinniśmy byli wtedy go stracić.

Nie mogę już dłużej pisać. Do widzenia.

#### 41. Do widzenia

- Szkoda, że nie mogłam panu pokazać kaczych ludzi - powiedziała May Kasahara, jakby jej naprawdę było żal.

Siedzieliśmy nad stawem i patrzyliśmy na grubą warstwę lodu na jego powierzchni. Był to duży staw. Jak niezliczone bliźny widniały na nim smutne ślady łyżew. Było poniedziałkowe popołudnie, ale May Kasahara specjalnie ze względu na mnie wzięła wolne. Miałem zamiar przyjechać w niedzielę, lecz z powodu wypadku kolejowego spóźniłem się o jeden dzień. Dziewczyna miała na sobie płaszcz podbity futrem i jasnoniebieską wełnianą czapkę. Czapkę pokrywały białe geometryczne wzory, a na środku był pompon. Powiedziała, że sama ją zrobiła na drutach i że robi mi taką samą do przyszłej zimy. Miała zarumienione policzki, a oczy tak czyste i przejrzyste jak otaczające powietrze. Bardzo mnie to ucieszyło. Miała dopiero siedemnaście lat i mogła się jeszcze zmienić, tak jak chciała.

- Staw kompletnie zamrzł i wszyscy kaczy ludzie gdzieś się przenieśli. Myślę, że też by ich pan polubił. Niech pan znowu przyjedzie wiosną. Przedstawię pana kaczym ludziom.

Uśmiechnąłem się. Ubrany byłem w niezbyt ciepłą kurtkę budrysówkę. Obwiązałem szyję szalikiem i wsadziłem ręce do kieszeni. W lesie było zimno. Ziemię pokrywał zmarznięty śnieg i

adidasy straszliwie się na nim ślizgały. Powiniennem był sobie kupić jakieś zimowe buty na traktorach.

- To znaczy, że zostaniesz tu jeszcze trochę? - zapytałem.

- Tak, myślę, że przez pewien czas jeszcze tu zostanę. Być może po pewnym czasie znowu zachce mi się iść do szkoły. A może mi się nie zachce, tylko od razu wyjdę za kogoś za męża, chociaż nie sądzę, żeby tak się stało - powiedziała i roześmiała się, wypuszczając białą chmurkę dymu. - Ale w każdym razie chyba jeszcze trochę tutaj zostanę. Potrzebuję czasu na przemyślenia. Muszę się spokojnie zastanowić, co naprawdę chcę robić, gdzie naprawdę chcę pojechać.

Skinąłem głową. - Może to dobry pomysł - powiedziałem.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, czy pan w moim wieku zastanawiał się nad takimi rzeczami?

- Hm, sam nie wiem. Chyba niezbyt głęboko myślałem o tego typu sprawach. Tak naprawdę. Trochę się pewnie zastanawiałem, ale nie pamiętam, żeby to starannie przemyślał. Zdaje mi się, że zasadniczo uważałem, że jak będę normalnie żył, wszystko jakoś samo się ułoży. Ale wygląda na to, że wcale się nie ułożyło. Niestety.

May Kasahara spokojnie mi się przyglądała. Potem wciągnęła rękawiczki i położyła dłonie na kolanach.

- W końcu nie wypuścili pani Kumiko za kaucją?

- Nie chciała wyjść - wyjaśniłem. - Powiedziała, że woli siedzieć w spokoju w areszcie, niż oganiać się przed dziennikarzami. Ze mną też nie chciała się widzieć. Nie tylko ze mną, z nikim. Podobno do czasu, kiedy wszystko się rozwiąże.

- Kiedy zacznie się proces?

- Prawdopodobnie wiosną. Kumiko szczerze przyznaje się do winy i mówi, że przyjmie każdy wyrok. Proces pewnie niezbyt długo potrwa. Jest duża szansa, że dostanie wyrok w zawieszaniu, a nawet jeśli nie, to pewnie kara będzie lekka.

May Kasahara podniosła z ziemi kamyk i rzuciła na środek stawu. Uderzył głośno o lód, odbił się i potoczył na drugi brzeg.

- A pan będzie czekał na jej powrót, prawda? W tamtym domu?

Przytaknąłem.

- To dobrze się skończyło... chociaż nie wiem, czy mogę tak powiedzieć? - zapytała May Kasahara.

Wypuściłem w powietrze dużą chmurę oddechu.

- Tak, pewnie sami do tego doprowadziliśmy.

Mogło być jeszcze gorzej, pomyślałem.

Gdzieś bardzo daleko w lesie otaczającym staw zaśpiewał ptak. Podniosłem głowę i rozejrzałem się dookoła. Lecz trwało to tylko chwilę, potem znowu zapadła cisza. Niczego nie zauważyłem. Rozlegał się jedynie pusty dźwięk pukania dzięcioła.

- Jeżeli urodzi nam się dziecko, zamierzam je nazwać Korsy-ka - powiedziałem.

- Śliczne imię - pochwaliła May Kasahara.

Szliśmy razem przez las. May Kasahara zdjęła prawą rękawiczkę i wsunęła dłoń do kieszeni mojej kurtki. Przypomniałem sobie Kumiko. Często tak robiła, kiedy chodziliśmy razem zimą. W zimne dni dzieliliśmy się kieszenią. Ścisnąłem dłoń May Kasahary. Była drobna i ciepła, jak ukryta dusza.

- Panie Ptaku Nakręcaczu, wszyscy na pewno pomyślą, że jesteśmy zakochani.

- Może tak - powiedziałem.

- Przeczytał pan wszystkie moje listy?

- Twoje listy? - powtórzyłem. Nie wiedziałem, o co jej chodzi. - Przepraszam, ale nie dostałem ani jednego. Ponieważ nie miałem od ciebie wiadomości, skontaktowałem się z twoją matką i ona podała mi twój adres i telefon. Musiałem jej naopowiadać różnych głupich kłamstw.

- O rany, coś takiego! Napisałam do pana z pięćset listów - powiedziała, wznosząc oczy do nieba.

Późnym popołudniem odprowadziła mnie aż na stację. Wsiadliśmy do autobusu, pojechaliśmy do miasta, zjedliśmy pizzę w

restauracji przy dworcu i poczekaliśmy, aż przyjedzie trzywagony pociąg z dieslowskim silnikiem. W poczekalni dworcowej buzował duży piec, wokół niego stało kilka osób, lecz nie weszliśmy tam, a staliśmy sami na zimnym peronie. Na niebie unosił się jakby zamarznięty zimowy księżyc o wyraźnie zarysowanym konturze. Był to księżyc rogalik w kształcie ostrego łuku przypominającego chiński miecz. W jego świetle May Kasahara wyprostowała się i lekko przytknęła usta do mego prawego policzka. Poczuję jej zimne, drobne, wąskie wargi w miejscu, w którym nie było już siniego znamienia.

- Do widzenia, panie Ptaku Nakręcaczu - powiedziała cicho. - Dziękuję za to, że specjalnie przyjechał pan mnie odwiedzić.

Z rękami w kieszeniach wpatrywałem się w May Kasaharę. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Przyjechał pociąg, a ona zdjęła czapkę i cofnąwszy się o krok, rzekła:

- Panie Ptaku Nakręcaczu, gdyby coś się stało, proszę mnie głośno zawołać. Mnie i kaczych ludzi.

- Do widzenia, May Kasahara - powiedziałem.

Pociąg ruszył, lecz księżyc rogalik ciągle unosił się na niebie. Zniknął, gdy pociąg brał zakręty, i znowu się pojawiał. Patrzyłem na księżyc, a kiedy go nie było widać, na mijane miasteczka za oknem. Wyobraziłem sobie May Kasaharę w niebieskiej wełnianej czapce, jak sama wraca autobusem do fabryki w górach. Pomyślałem o kaczych ludziach śpiących gdzieś w cieniu traw. A potem o świecie, do którego wracałem.

- Do widzenia, May Kasahara - powtórzyłem. - Do widzenia, niechaj cię zawsze coś strzeże.

Zamknąłem oczy i próbowałem usnąć, lecz udało mi się dopiero znacznie później. W miejscu oddalonym od wszystkich i wszystkiego zapadłem spokojnie w chwilowy sen.

## Spis rozdziałów

## Księga pierwsza

Sroka złodziejka czerwiec i lipiec 1984 roku

1. O wtorkowym ptaku nakręcacz, sześciu palcach i czterech piersiach
2. O pełni Księżycy i zaćmieniu Słońca oraz o koniach umierających w stajniach
3. O kapeluszu Malty Kano, barwach sorbetów, Allenie Ginsbergu i wyprawach krzyżowych
4. O wysokiej wieży i głębokiej studni, czyli bardzo dalekood Nomonhan
5. O uzależnieniu od dropsów cytrynowych, nielatającym ptaku i wyschniętej studni
6. O tym, jak wychowali się Kumiko Okada i Noboru Wataya
7. O szczęśliwej pralni oraz wejście na scenę Krety Kano
8. Długa opowieść Krety Kano oraz refleksje nad istotą bólu
9. O całkowitym braku prądu, o kanale odpływowym oraz obserwacje May Kasahary dotyczące peruk
10. O czarodziejskich rękach, śmierci w wannie oraz o doręczycielu pamiątek po zmarłym
11. Wejście na scenę porucznika Mamii oraz o tym, co wyłoniło się z ciepłego błota, i o wodzie toaletowej
12. Długa opowieść porucznika Mamii - część pierwsza
13. Długa opowieść porucznika Mamii - część druga

## Księga druga

Ptaka prorok

od lipca do października 1984 roku

1. O jak najbardziej konkretnych rzeczach i o apetycie w literaturze
2. W tym rozdziale nie ma żadnych dobrych wiadomości
3. Noboru Wataya opowiada oraz historia o małpach na obrzydliwej wyspie
4. O utraconej łasce i o prostytutce świadomości



5. O widokach dalekich miast, wiecznej połowie księżycy i dobrze umocowanej drabince
6. O dziedziczeniu majątku, przemyśleniach na temat meduz i czymś w rodzaju poczucia oderwania
7. O refleksjach i rozmowach na temat ciąży oraz o doświadczalnym studium bólu
8. O korzeniach pragnień i przechodzeniu przez ścianę w pokoju numer 208
9. O studni, gwiazdach oraz o tym, jak zniknęła drabinka
10. O przemyśleniach May Kasahary na temat śmierci i ewolucji człowieka oraz o tym, co przyszło z innej planety
11. O uczuciu głodu w postaci bólu, długim liście Kumiko i o ptaku proroku
12. O tym, co odkryłem w czasie golenia i co odkryłem po obudzeniu
13. Dalszy ciąg opowieści Krety Kano
14. Nowy wyjazd Krety Kano
15. O prawidłowym imieniu, o tym, co spalono w letni poranek po polaniu olejem, i o niezbyt trafnym porównaniu
16. O jedynej złej rzeczy, jaka zdarzyła się w domu May Kasahary, i o studiach May Kasahary nad galaretowatym źródłem ciepła
17. O najprostszej rzeczy, wyrafinowanej formie zemsty i o tym, co było w futerale na gitarę
18. O wiadomości z Krety, o tym, co spadło z krawędzi świata, i o dobrych wiadomościach przekazywanych cichym głosem (punkt widzenia May Kasahary - 3)

### Księga trzecia

#### Ptasznik

od października 1984 do grudnia 1985

1. Punkt widzenia May Kasahary
2. O tajemnicy willi wisielców
3. O zimowym ptaku nakręcaczu

4. O przebudzeniu ze snu zimowego, jeszcze jednej wizytówce i o bezmierności pieniędzy
5. O tym, co zdarzyło się w środku nocy
6. O kupowaniu nowych butów i o tym, co wróciło do domu
7. O tym, co można zrozumieć, jeżeli się człowiek dobrze zastanowi (punkt widzenia May Kasahary - 2)
8. O cynamonie i gałce muszkatolowej
9. Na dnie studni
10. O ataku na zoo (albo o nieudolnej masakrze)
11. A teraz następna zagadka (o tym, co zdarzyło się w środku nocy - 2)
12. Czy to jest prawdziwa łopata? (o tym, co zdarzyło się w środku nocy - 2)
13. Tajemnicza kuracja pani M
14. O człowieku, który czekał, o tym, czego nie można strząsać, i o tym, że nikt nie jest samotną wyspą
15. O dziwnym języku migowym Cynamona i o muzycznej ofierze
16. Być może to ślepa uliczka (punkt widzenia May Kasahary - 4)
17. O znużeniu, ciężarze całego świata oraz o magicznej lampie
18. O przymierzaniach i o następcy
19. O głupiej żabiej córce (punkt widzenia May Kasahary - 5)
20. O podziemnym labiryncie i podwójnych drzwiach Cynamona
21. Opowieść Gałki
22. O tajemnicy willi wisielców - 2
23. O różnych meduzach z całego świata i o rzeczach, które się przeobraziły... 496
24. O liczeniu owiec i o tym, co mieści się w kręgu... 502
25. O tym, jak światło zmieniło się na czerwone, i o długich rękach, które się po nas wyciągają
26. O dojrzałych owocach i o tym, co zostało zniszczone

27. O trójkątnych uszach i dzwonkach u sań
28. Kronika ptaka nakręcacza # 8 (albo o drugiej nieudolnej masakrze)
29. O brakujących ogniwach Cynamona
30. O tym, że nie można ufać domom (punkt widzenia May Kasahary - 6)
- 31.0 narodzinach opuszczonego domu i koniu, na którego ktoś się przesiadł
32. O ognie Malty Kano i Borysie Oprawcy
33. O zniknięciu kija i powrocie Sroki złodziejki
34. O zmuszaniu innych do posługiwania się wyobraźnią (dalszy ciąg opowieści o Borysie Oprawcy)
35. O niebezpiecznym miejscu, ludziach przed telewizorem i pustym człowieku
36. O tym, że ogniska już dogasa blask, o zdejmowaniu zakłęk i o świecie, w którym rano dzwonią budziki
37. O prawdziwym nożu i o tym, co zostało przepowiedziane
38. O kaczych ludziach, cieniach i łzach (punkt widzenia May Kasahary - 7)
39. O dwóch rodzajach wiadomości i o tym, co gdzieś zniknęło
40. Kronika ptaka nakręcacza #17 (list Kumiko)
41. Do widzenia